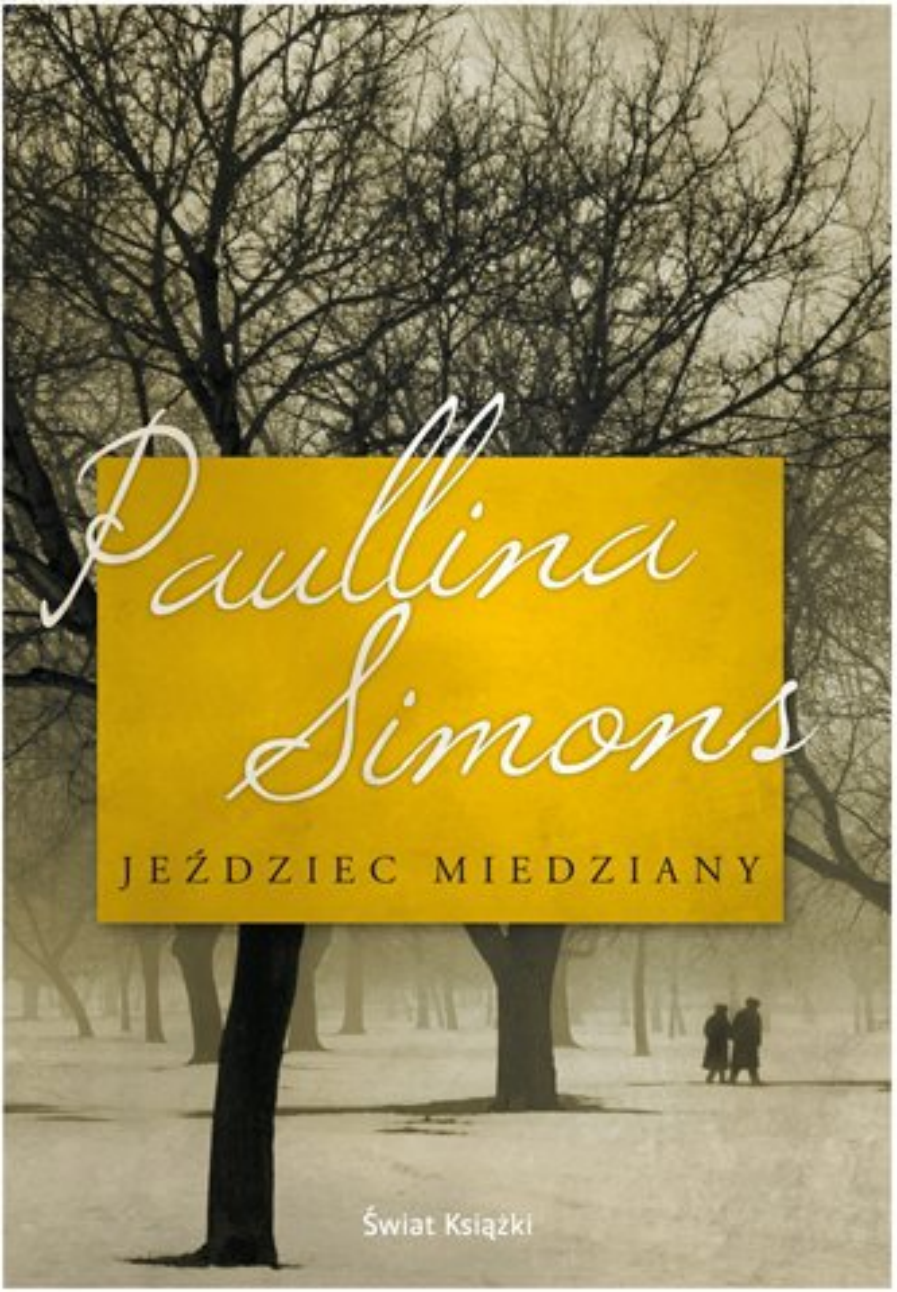
Paullina Simons
JEŹDZIEC MIEDZIANY
Świat Książki

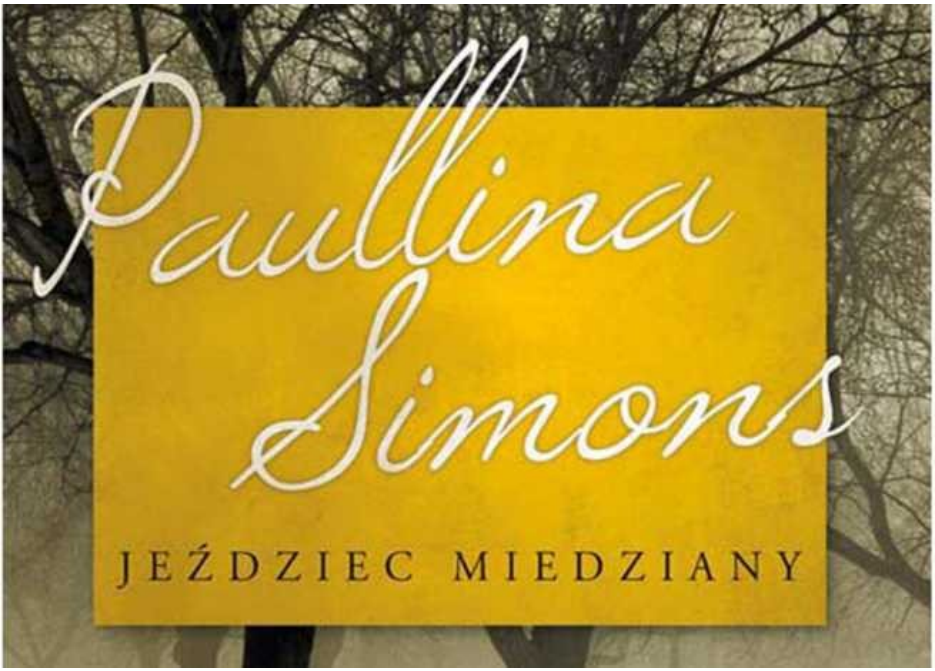
Paullina Simons
JEŹDZIEC MIEDZIANY

Tytuł oryginału
THE BRONZE HORSEMAN

Redakcja
Marta Trojan

Korekta
Jadwiga Przeczek

Copyright © by Paullina Simons
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Jan Krasko
Copyright © for the Polish edition by Świat Książki Sp. z o.o.

Świat Książki
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
Joanna Duchnowska

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-2138-2
Nr 45034

Skład wersji elektronicznej (2016 poprawione)

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

KSIĘGA I LENINGRAD

CZĘŚĆ 1 Blask bezksiężycowy

Kocham Marsowych Pól paradę

1

2

3

Toń

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Dym i grom

1

2

3

4

5

6
W jeden punkt
1
2
3
4
5
6
7
CZĘŚĆ 2 Zimy ostre wiewy
Szturm! Atak!
1
2
3
4
5
6
7
Mroczny nocy cień
1
2
3
4
5
6
7
Nad zasępionym Piotrogrodem
1
2
3
4
5
6
7
Armaty w twierdzy
1

2
3
Przez straszne fale
1
2
3
KSIĘGA II ZŁOTE WROTA
CZĘŚĆ 3 Łazariewo
Wiosenne dni
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
Nad pustkowiem fal
1
2
3
CZĘŚĆ 4 Podniósłszy łapy, jeżąc grzywę…

Z sercem strapionym, bliski łez…

1

2

3

4

5

Okno na Europę

1

2

3

Sztandarów strzępy, chwały blask

1

2

3

4

5

6

7

I w bladym blasku ukąpany

Przypisy

Mojej ukochanej Babci i Dziadkowi, Marii i Lwowi Handlerom, którzy przeżyli pierwszą wojnę światową, rewolucję październikową, rosyjską wojnę domową, drugą wojnę światową blokadę Leningradu, ewakuację, głód, czystki, Lenina i Stalina, i którym w złotej jesieni życia dane było przeżyć dwadzieścia lat w nieklimatyzowanym nowojorskim mieszkaniu. Niech Was Bóg błogosławi.

Tak właśnie, gdy się niebo wypogadza,
Choćbyśmy w głębi lądu stali,
W naszych duszach trwa widok nieśmiertelnej dali
Morza, którego władza
Dała nam tu się znaleźć; i zaraz myśl zmierza
Wstecz, ku piaskom wybrzeża,
Gdzie igra Dziecko i gdzie wiecznie trwa szum fal

William Wordsworth
przekład Stanisława Barańczaka

KSIĘGA I
LENINGRAD

CZĘŚĆ 1
Blask bezksiężycowy

(Blask bezksiężycowy[1])

Kocham Marsowych Pól paradę

1

Wraz z wpadającymi przez okno promieniami słońca w pokoju zagościł poranek. Tatiana Mietanowa spała, śniąc sny niewinne, niespokojnie radosne, ciepłe, jasne i pachnące czerwcowym jaśminem jak leningradzkie noce. Lecz przede wszystkim, odurzona życiem, śniła rozbuchane sny nieokiełznanej młodości.

Nie dane jej było spać długo.

Gdy promyki słońca wpełzły na łóżko, naciągnęła na głowę prześcieradło, próbując od nich uciec. Otworzyły się drzwi, zaskrzypiała podłoga: do sypialni weszła Dasza, jej starsza siostra.

Daria, Dasza, Daszeńka, Daszka.

Dla Tatiany była uosobieniem wszystkiego, co najdroższe.

Lecz w tej chwili Tania miała ochotę ją udusić. Dasza próbowała ją obudzić – niestety skutecznie. Potrząsała nią energicznie silnymi rękami, a w jej zwykle dźwięcznym, melodyjnym głosie pobrzmiewały irytująco zgrzytliwe nutki.

– Psst! Tania! Obudź się. Obudź się!

Tatiana jęknęła. Dasza ściągnęła z niej prześcieradło.

To, że jedna była starsza od drugiej o siedem lat, uwidoczniło się najbardziej właśnie teraz, kiedy Tatiana chciała spać, podczas gdy Dasza…

– Przestań – wymamrotała Tania, na próżno macając ręką w poszukiwaniu prześcieradła. – Nie widzisz, że śpię? Kim ty jesteś? Moją matką?

Ponownie otworzyły się drzwi, ponownie zaskrzypiała podłoga.

O wilku mowa.

– Tania? – rzuciła Irina Mietanowa. – Obudziłaś się? Natychmiast wstawaj.

Trudno było powiedzieć, że matka ma melodyjny głos. W ogóle nie miała w sobie nic łagodnego. Niska i porywcza, zawsze tryskała gniewną energią. Niebieska sukienka, przewiązane chustką włosy: pewnie szorowała podłogę we wspólnej łazience i nie chciała, żeby opadały jej na oczy. Była brudna i zmęczona, lecz wyglądało na to, że uporała się już z niedzielną robotą.

– Dlaczego? – spytała Tatiana, nie podnosząc głowy. Dasza muskała włosami jej plecy. W pewnej chwili położyła rękę na nodze siostry i nachyliła się, jakby chciała ją pocałować. Tanię zalała fala czułości, lecz zanim Dasza zdążyła cokolwiek powiedzieć, w sypialni ponownie zabrzmiał szorstki głos matki:

– Szybko. W radiu będzie ważny komunikat. Zaraz, za parę minut.

– Gdzieś ty była? – spytała cichutko Tatiana. – Wróciłaś dopiero po świcie.

– Nie moja wina, że świt był o północy – odrzekła szeptem rozanielona Dasza. – Przyszłam o dwunastej, jak na porządną dziewczynę przystało. – Uśmiechnęła się. – Już spałaś.

– Świtało o trzeciej, a o trzeciej jeszcze cię nie było.

Dasza zagryzła wargę.

– Powiem tacie, że nie zdążyłam. Że kiedy podnosili mosty, byłam jeszcze po drugiej stronie rzeki.

– Świetnie. I wyjaśnij mu przy okazji, co tam robiłaś o trzeciej nad ranem. – Tania przewróciła się na drugi bok. Tego ranka Dasza wyglądała wyjątkowo ładnie. Miała

niesforne, ciemnobrązowe włosy, ciemne oczy i okrągłą, pełną życia twarz z setką min na każdą okazję. Teraz gościł na niej wyraz wesołego rozdrażnienia. Tatiana też była rozdrażniona, choć mniej wesoła. Chciała jeszcze pospać.

Matka miała napiętą twarz. Tatiana odchrząknęła.

– Jaki komunikat?

Matka bez słowa ściągnęła prześcieradło z sofy.

– Mamo, jaki komunikat?

– Rządowy, za kilka minut – mruknęła Irina Mietanowa, kręcąc głową, jakby sprawa była zupełnie oczywista. – To wszystko, co wiem.

Tatiana niechętnie przetarła oczy. Komunikat. Mieli przerwać muzyczny program radiowy, żeby nadać rządowe obwieszczenie. Rzadki przypadek.

– Może znowu zaatakowaliśmy Finlandię. – Tania ziewnęła.

– Cicho bądź – burknęła matka.

– A może Finowie zaatakowali nas? W zeszłym roku odebraliśmy im kawał ziemi i od tamtej pory bardzo chcą go odzyskać.

– Niczego im nie odbieraliśmy – zaprotestowała Dasza. – W zeszłym roku wkroczyliśmy do Finlandii tylko po to, żeby odzyskać ziemie, które straciliśmy podczas wielkiej wojny. Powinnaś przestać podsłuchiwać dorosłych.

– Nieprawda, nic nie straciliśmy – odparła Tatiana. – Towarzysz Lenin oddał im te ziemie dobrowolnie. To się nie liczy.

– Taniu, nie prowadzimy wojny z Finlandią, jasne? A teraz wstawaj.

Tatiana ani drgnęła.

– W takim razie kogo mogliśmy napaść? Łotwę? Litwę? Białoruś? Tylko po co? Przecież już tam jesteśmy. W zeszłym roku Stalin zawarł pakt z Hitlerem i uznaliśmy, że to nasze ziemie, prawda?

– Tatiano Gieorgijewno! Proszę natychmiast przestać! – Ilekroć mama nie była w nastroju do żartów, do imienia dziewcząt zawsze dodawała imię ojca.

Tatiana spoważniała, a przynajmniej udała, że poważnieje.

– To co nam jeszcze zostało? – spytała. – Mamy już pół Polski…

– Powiedziałam, przestań! – krzyknęła matka. – Dość tych wygłupów. Wstawaj. Dario Gieorgijewno, ściągnij ją z łóżka, ale już!

Dasza nie zareagowała.

Irina Mietanowa wyszła z pokoju, gniewnie mrucząc pod nosem.

Dasza szybko odwróciła się w stronę siostry.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepnęła konspiracyjnym szeptem.

– Coś miłego? – Zaciekawiona Tatiana usiadła. Dasza rzadko kiedy zdradzała jej sekrety ze swego dorosłego życia.

– Coś wspaniałego! Zakochałam się!

Tatiana przewróciła oczami i opadła na poduszkę.

– Przestań! – wykrzyknęła Dasza i usiadła na niej okrakiem. – To poważna sprawa.

– No dobrze – odrzekła Tania z uśmiechem. – Kiedy go poznałaś? Wczoraj? Po tym, jak podnieśli mosty?

– Wczoraj spotkaliśmy się trzeci raz.

Tatiana pokręciła głową. Radość siostry była zaraźliwa.

– Złaź ze mnie.

– Nie – odparła Dasza, łaskocząc ją pod pachami. – Zejdę dopiero wtedy, gdy powiesz, że się z tego cieszysz.

– Niby dlaczego miałabym to mówić? – zachichotała Tatiana. – Wcale się nie cieszę. Przestań! To nie ja się zakochałam, tylko ty. Przestań! Przestań!

Do pokoju wróciła mama. Na okrągłej tacy niosła sześć filiżanek i srebrzysty samowar.

– Dość tego! – krzyknęła. – Słyszycie?

– Tak, mamo – odrzekła Dasza, łaskocząc siostrę po raz ostatni.

– Ajaj, boli! – wrzasnęła Tatiana. – Mamo, ona mi złamała żebro!

– Zaraz ja wam coś złamię. Jesteście już za duże na takie zabawy.

Dasza pokazała siostrze język.

– Od razu widać, jak bardzo jesteś dorosła – mruknęła Tatiana. – Mama nie wie, że masz dopiero dwa latka.

Ponieważ Dasza nie schowała języka, Tania chwyciła go dwoma palcami i mocno ścisnęła. Dasza głośno zapiszczała. Tatiana zwolniła chwyt.

– Co ja powiedziałam! – krzyknęła matka.

Dasza nachyliła się i szepnęła:

– Sama się przekonasz. Nigdy dotąd nie widziałaś tak przystojnego chłopaka.

– Naprawdę? Jest przystojniejszy od Siergieja, którym tak mnie katowałaś? Przecież to on miał być najładniejszy.

– Przestań! – syknęła Dasza, dając jej klapsa w nogę.

– Ale w zeszłym tygodniu jeszcze był, prawda?

– Nigdy tego nie zrozumiesz, bo wciąż jesteś niepoprawnym dzieckiem. – Kolejny klaps i wrzask matki. Dziewczęta spoważniały.

Do pokoju wszedł tata, Gieorgij Wasiljewicz Mietanow, ojciec Tatiany. Był niski, miał czterdzieści kilka lat i gęste, czarne, mocno zwichrzone włosy, które zaczynały już siwieć; Dasza odziedziczyła po nim swoje. Mijając łóżko, zerknął na ukryte pod prześcieradłem nogi Tani i powiedział:

– Już południe. Wstawaj albo będą kłopoty. Za dwie minuty masz być ubrana.

– Już się robi. – Tatiana błyskawicznie wstała i okazało się, że spała w bluzce i spódnicy. Dasza i mama pokręciły głową; mama prawie się uśmiechnęła.

Tata spojrzał w okno.

– Co my z nią zrobimy, Irino?

Nic, pomyślała Tania. Tylko niech tata na mnie nie patrzy.

– Muszę wyjść za mąż. – Dasza usiadła. – Wyjdę za mąż i nareszcie będę mogła się przebierać w swoim własnym pokoju.

– Chyba żartujesz – odrzekła Tatiana, podskakując na łóżku. – Będziemy mieszkali tutaj, w tym pokoju. Ty, twój mąż i ja, wszyscy razem w jednym łóżku, z Paszą w nogach. Jakie to romantyczne…

– Nie wychodź za mąż, Daszeńko – odezwała się matka. – Tania ma rację, choć raz. Za mało tu miejsca.

Ojciec bez słowa włączył radio.

W długim, wąskim pokoju stało duże łóżko, w którym spały siostry, sofa, na której spali mama i tata, oraz niska metalowa leżanka, na której spał Pasza, bliźniaczy brat Tatiany. Ponieważ pryczę ustawiono w nogach łóżka dziewcząt, Pasza mawiał, że jest ich małym podnóżkiem.

Dziadkowie mieszkali tuż obok, w pokoju na końcu krótkiego korytarza. Niekiedy Dasza sypiała na małej sofie, która stała przed ich drzwiami. Zdarzało się tak zwłaszcza wtedy, gdy wracała późno do domu i nie chciała budzić rodziców – nazajutrz dostałaby burę. Sofa w korytarzu miała zaledwie półtora metra długości i wygodniej spałoby się na

niej Tatianie, która była niewiele dłuższa. Ale Tatiana nie musiała sypiać w korytarzu, ponieważ rzadko kiedy wychodziła wieczorami, natomiast Dasza to zupełnie inna historia.

– Gdzie Pasza?

– Kończy śniadanie – odrzekła mama. Jak zawsze, była w ciągłym ruchu. Podczas gdy tata zamarł na starej sofie niczym kamienny posąg, ona krążyła po pokoju, zbierając pudełka po papierosach, poprawiając książki na półce i zmiatając ręką kurz z małego stolika. Tatiana wciąż stała na łóżku, Dasza wciąż na nim siedziała.

Mietanowowie mieli szczęście: mieszkali w dwóch pokojach na końcu wspólnego korytarza. Przed sześciu laty zbudowali tam przepierzenie, dzięki czemu czuli się niemal tak, jakby mieli osobne mieszkanie. Natomiast Iglenkowie, ci z naprzeciwka – było ich aż sześcioro – tłoczyli się w jednym dużym pokoju z drzwiami wychodzącymi na korytarz. To jest dopiero pech.

Przez wydęte firanki sączyły się jaskrawe promienie słońca.

Tatiana wiedziała, że nadejdzie taka chwila, krótka, króciutka chwilka, kiedy olśnią ją wszystkie możliwości, które niósł z sobą ten dzień, że ułamek sekundy później wszystko pierzchnie niczym piękny sen. I rzeczywiście pierzchło. Mimo to… To zalewające pokój słońce, ten odległy warkot autobusów wpadający przez otwarte okno, ten lekki wiatr.

Tę część niedzieli Tatiana lubiła najbardziej: początek.

Wszedł Pasza z dziadkiem i babcią. Byli bliźniętami, Tania i on, lecz bliźniętami zupełnie do siebie niepodobnymi. Pasza – do złudzenia przypominał ojca – obojętnie skinął siostrze głową.

– Ładna fryzura – rzucił.

Tatiana pokazała mu język; nie zdążyła się jeszcze uczesać.

Brat usiadł na leżance, babcia tuż obok niego. Ponieważ była najwyższa z Mietanowów, cała rodzina radziła się jej we wszystkim oprócz kwestii moralnych, w których za autorytet uchodził dziadek. Srebrzystowłosa babcia była kobietą niezwykle imponującą, konkretną, praktyczną. Dziadek był pokorny, ciemnowłosy i bardzo miły. Usiadł na sofie obok taty i wymamrotał:

– To coś poważnego, synu.

Tata w napięciu skinął głową.

Zdenerwowana mama wciąż sprzątała.

Babcia pogłaskała wnuczka po plecach.

– Pasza – Tatiana podpełzła do brzegu łóżka i pociągnęła brata za nogę – pobawimy się w parku w wojnę? Zobaczysz, że tym razem wygram.

– Marzycielka – odrzekł Pasza. – Nie masz ze mną szans.

Zatrzeszczało radio. Był 22 czerwca 1941 roku, godzina dwunasta trzydzieści.

– Tania, przestań gadać i usiądź – rozkazał ojciec. – Zaraz się zacznie. Irino, ty też. Siadaj.

Z radioodbiornika popłynął głos towarzysza Wiaczesława Mołotowa, ministra spraw zagranicznych.

Towarzysze i towarzyszki, obywatele Związku Radzieckiego. Rząd radziecki pod przewodnictwem towarzysza Stalina polecił mi złożyć następujące oświadczenie. O godzinie czwartej rano, bez wypowiedzenia wojny i bez żadnych konkretnych żądań względem Związku Radzieckiego, niemieckie wojska zaatakowały granice naszego kraju,

bombardując z powietrza Żytomierz, Kijów, Sewastopol, Kowno i wiele innych miast. Do ataku doszło, mimo że Związek Radziecki i Niemcy podpisały pakt o nieagresji, pakt skrupulatnie przez nas przestrzegany. Zostaliśmy zaatakowani, chociaż od chwili ratyfikowania powyższego paktu niemiecki rząd nie wnosił najmniejszych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki Związek Radziecki wywiązuje się ze swoich zobowiązań…

Rząd wzywa was, obywatele Związku Radzieckiego, do zwarcia szeregów wokół partii bolszewickiej, wokół radzieckiego rządu i jego wielkiego przywódcy, towarzysza Stalina. Walczymy o słuszną sprawę. Wróg zostanie zmiażdżony. Zwycięstwo będzie nasze.

Radio umilkło i zaszokowana rodzina Mietanowów znieruchomiała w pełnej napięcia ciszy.

Pierwszy otrząsnął się tata.

– Boże – szepnął i spojrzał na Paszę.

– Musimy natychmiast podjąć pieniądze z banku – powiedziała mama.

– Tylko nie kolejna ewakuacja – wymamrotała babcia. – Który to już raz? Nie przeżyjemy. Lepiej zostać w mieście.

– I znowu zatrudnią mnie na kursach ewakuacyjnych? – rzucił dziadek. – Mam prawie sześćdziesiąt cztery lata. Mnie pora umierać, a nie wyjeżdżać.

– Ale nasz garnizon nie idzie na wojnę, prawda? – spytała Dasza. – To znaczy, że wojna przyjdzie do nas?

– Wojna! – wykrzyknął Pasza. – Taniu, słyszałaś? Zaciągnę się do wojska. Zaciągnę się i będę walczył za matkę Rosję.

Zanim bezgranicznie podekscytowana Tatiana zdążyła odpowiedzieć – na usta cisnęło jej się tylko jedno słowo: „Klawo!” – ojciec spojrzał na syna i zerwał się z sofy.

– Co ty wygadujesz? Kto cię przyjmie?

– Tatusiu – odrzekł z uśmiechem Pasza. – Na wojnie przyda się każdy mężczyzna.

– Mężczyzna tak, ale nie dziecko – warknął ojciec, klękając na podłodze i zaglądając pod łóżko córek.

– Jak to? – powiedziała powoli Tatiana. – Wojna? To niemożliwe. Przecież towarzysz Stalin podpisał z nimi traktat pokojowy.

Mama rozlała herbatę.

– Możliwe, Taniu, możliwe.

– I co? – spytała Tatiana, z trudem panując nad głosem. – Będziemy musieli się… ewakuować?

Tata wyciągnął spod łóżka starą, zniszczoną walizkę.

– Już? – spytała Tania. – Tak szybko?

Dziadek i babcia opowiadali jej o niespokojnych czasach wielkiej rewolucji tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, kiedy to wyjechali za Ural do jakiejś małej wioski, której nazwy nawet nie pamiętała. Najpierw długie czekanie na pociąg, załadunek całego dobytku, potem ten straszny tłok w wagonach, przeprawa barkami przez Wołgę…

Ekscytowała ją odmiana. Ekscytowało ją nieznane. Kiedy miała osiem lat, była przejazdem w Moskwie, ale czy to się liczyło? Moskwa nie jest egzotyczna, myślała. Moskwa to nie Afryka, Ameryka czy choćby Ural. Moskwa to tylko Moskwa. Odrobinę piękna można tam znaleźć tylko na placu Czerwonym, nigdzie więcej.

Kilka razy wraz z całą rodziną była na całodziennej wycieczce w Carskim Siole i w Peterhofie, żeby zobaczyć letnie pałace carów w pięknie utrzymanych ogrodach. Bolszewicy urządzili tam wspaniałe muzea. Chodząc szerokimi korytarzami Peterhofu,

ostrożnie stąpając po zimnej posadzce z żyłkowatego marmuru, wprost nie mogła uwierzyć, że kiedyś mieszkali tam ludzie, że to wszystko należało do nich.

A potem wrócili do Leningradu, do dwóch pokojów przy Piątej Radzieckiej, i zanim dotarli na miejsce, musieli przejść obok otwartych drzwi do klitki, w której gnieździło się sześcioro Iglenkowów.

Kiedy miała trzy lata, spędzali wakacje na Krymie, na tym samym Krymie, który tego ranka zaatakowali Niemcy. Z tamtej kwietniowej wyprawy pamiętała bardzo dużo: pierwszy raz w życiu jadła wtedy ziemniaka na surowo – pierwszy i ostatni – pierwszy raz w życiu widziała ropuchy w małym stawie, pierwszy raz w życiu spała w wyścielanym kocami namiocie. Jak przez mgłę pamiętała również zapach morskiej wody. To właśnie tam, w chłodnych wodach Morza Czarnego, pierwszy i ostatni raz w życiu poczuła dotyk oślizgłej meduzy, która musnęła jej drobne, nagie ciałko, prowokując ją do radosnego, acz pełnego trwogi krzyku.

Na myśl o ewakuacji z podniecenia ścisnęło ją w dołku. Urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, w roku śmierci Lenina, po rewolucji, po wielkim głodzie i po wojnie domowej. Urodziła się po tym, co najgorsze, lecz nie zdążyła jeszcze zaznać niczego lepszego. Urodziła się w trakcie, podczas.

Dziadek spojrzał na nią swymi czarnymi oczami, chcąc odgadnąć, jakie miotają nią emocje.

– Tanieczko, o czym ty tak dumasz?

Tatiana spróbowała przybrać obojętną minę.

– O niczym.

– Co ci chodzi po głowie? To wojna. Rozumiesz? Wojna.

– Rozumiem.

– Chyba nie. – Dziadek zamilkł na chwilę. – Taniu, życie, które dotąd znałaś, już się skończyło. Zapamiętaj moje słowa. Od dzisiaj nic już nie będzie tak, jak to sobie wyobrażałaś.

– Właśnie! – wykrzyknął Pasza. – Damy Niemcom kopa i wyślemy ich do piekła, gdzie ich miejsce. – Uśmiechnął się do Tatiany, która odpowiedziała mu uśmiechem.

Mama i tata milczeli.

– Tak – szepnął tata. – A co potem?

Babcia usiadła obok dziadka. Położyła swoją dużą dłoń na jego ręce, zasznurowała usta i lekko skinęła głową, dając wnuczce do zrozumienia, że pewnych rzeczy nie zamierza nikomu zdradzać. Dziadek też wiedział swoje, ale to, co wiedzieli, razem i osobno, nie mogło równać się z podnieceniem, które odczuwała Tatiana. Nie szkodzi, pomyślała. Oni tego nie rozumieją. Nie sąjuż młodzi.

Było ich siedmioro i wszyscy milczeli. Ciszę przerwała mama.

– Co robimy, Gieorgiju Wasiljewiczu?

– Za dużo dzieci, Irino Fiodorowno – odrzekł ze smutkiem ojciec, mocując się z walizką Paszy. – Tyle dzieci i o każde trzeba się martwić.

– Naprawdę, tato? – spytała Tatiana. – A o które z nas wolałbyś się nie martwić?

Tata podszedł bez słowa do wspólnej szafy, otworzył szufladę syna i zaczął wrzucać do walizki jego ubranie.

– Wysyłam go, Irino. Na obóz w Tołmaczewie. Miał wyjechać w przyszłym tygodniu, z Wołodią Iglenko, ale wyjedzie wcześniej. A Wołodia z nim. Nina się ucieszy. Zobaczysz. Wszystko będzie dobrze.

Mama otworzyła usta i pokręciła głową.

– Tołmaczewo? Czy tam aby bezpiecznie? Na pewno?

– Absolutnie – odrzekł tata.

– Absolutnie nie – zaprotestował Pasza. – Tato, wybuchła wojna! Nie jadę na żaden obóz. Wstąpię do wojska.

Tak trzymaj, Paszka, pomyślała Tatiana, tak trzymaj, lecz tata odwrócił się nagle i przeszył syna wzrokiem. Tania wstrzymała oddech. Wszystko zrozumiała.

Ojciec chwycił Paszę za ramię i mocno nim potrząsnął.

– Coś ty powiedział? Oszalałeś? Do wojska?!

Pasza próbował się wyszarpnąć, lecz ojciec nie zwolnił uchwytu.

– Tato, puść mnie.

– Paweł, jesteś moim synem i będziesz mnie słuchał. Najpierw wyjedziesz z Leningradu. O twoim wojsku porozmawiamy potem. Teraz musimy złapać pociąg.

Ciasny pokój i tylu obserwatorów – było w tej scenie coś żenującego i niestosownego. Tatiana chciała się odwrócić, lecz nie miała gdzie. Spojrzała na swoje ręce i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że leży latem na środku pięknej łąki i pogryza słodką koniczynę. A wokoło nikogo.

Jak to możliwe, żeby w ciągu paru sekund wszystko się zmieniło?

Otworzyła oczy i mrugnęła. Jedna sekunda. Mrugnęła ponownie. I druga.

Przed kilkoma sekundami spała.

Przed kilkoma sekundami przemawiał Mołotow.

Przed kilkoma sekundami była taka radosna.

Przed kilkoma sekundami mówił tata.

A teraz Pasza wyjeżdża. Mrug, mrug, mrug.

Dziadek i babcia dyplomatycznie milczeli. Jak zwykle, jak to oni. Dziadek, niech mu Bóg wybaczy, robił wszystko, żeby się tylko nie odzywać. Jeśli chodzi o gadatliwość, babcia była jego dokładnym przeciwieństwem, lecz tym razem najwyraźniej postanowiła pójść w ślady męża. Może dlatego, że ilekroć otwierała usta, dziadek ściskał ją za nogę, a może z innego powodu, w każdym razie nie powiedziała ani słowa.

Dasza, która nigdy nie bała się ojca, i której nie przerażała odległa perspektywa wojny, wstała i oświadczyła:

– Tato, to czysty obłęd. Dlaczego wysyłasz go z domu? Niemcy są daleko. Słyszałeś, co powiedział towarzysz Mołotow. Zaatakowali Krym, to tysiące kilometrów stąd.

– Milcz, Daszeńko – odparł ojciec. – Nie znasz Niemców.

– Ale Niemców tu nie ma – powtórzyła Dasza nie znoszącym sprzeciwu tonem. Tatiana bardzo jej tego tonu zazdrościła. Jej własny głos był cichy i miękki jak echo – pewnie brakowało jej jeszcze jakiegoś kobiecego hormonu. Zresztą nie tylko tego od głosu. Miesiączkowała dopiero od roku, ale co to było za miesiączkowanie. Okres miewała raz na trzy miesiące. Pierwszy dostała zimą. Trwał trochę, doszedł do wniosku, że mu się nie podoba, zniknął i wrócił dopiero na jesieni. Ot, tak, jakby nigdy nic. Od tamtej pory nawiedził ją tylko dwukrotnie. Gdyby miesiączkowała częściej, miałaby pewnie bardziej sugestywny głos, taki jak Dasza. A według miesiączek Daszy można by regulować zegarek.

– Dario! – krzyknął tata. – Nie zamierzam się z tobą wykłócać. Twój brat nie zostanie w Leningradzie, i kropka. Ubieraj się, Pasza. Włóż spodnie i ładną koszulę.

– Tato…

– Powiedziałem, ubieraj się! Nie traćmy czasu. Gwarantuję, że za godzinę nie będzie miejsca na żadnym obozie i nigdzie cię nie wcisnę.

Może to był błąd, może ojciec nie powinien był tego mówić, bo Tatiana nigdy dotąd nie widziała, żeby brat poruszał się tak niemrawo jak teraz. Dobrych dziesięć minut szukał swojej jedynej koszuli. Kiedy się przebierał, wszyscy odwrócili wzrok. Tatiana ponownie zacisnęła powieki, szukając w pamięci obrazu łąki, zapachu czereśni i pokrzyw. Tak, chętnie zjadłaby czarnych jagód… Zdała sobie sprawę, że zgłodniała, i otworzyła oczy.

– Nie chcę jechać – jęczał Pasza.

– Niedługo wrócisz – odrzekł tata. – Wysyłam cię tylko na wszelki wypadek. Na obozie będziesz bezpieczny. Zostaniesz tam z miesiąc, a my zobaczymy, co z tą wojną. Potem wrócisz, a jeśli zarządzą ewakuację, wywiozę was z miasta, ciebie i twoje siostry.

Tak! Właśnie to Tatiana pragnęła usłyszeć.

– Gieorgij – odezwał się cicho dziadek. – Gieorgij.

– Tak, tato? – spytał z szacunkiem ojciec. Nikt nie kochał dziadka bardziej niż tata. Nikt, nawet Tatiana.

– Gieorgij, nie możesz mu tego zabronić.

– Czego? Wstąpienia do wojska? Oczywiście, że mogę. Ma dopiero siedemnaście lat.

Dziadek potrząsnął siwą głową.

– Właśnie, siedemnaście. Chętnie go wezmą.

Ojciec zrozumiał, że znalazł się w pułapce, i na jego twarzy zagościł wyraz strachu. Zagościł i szybko zniknął.

– Nie wezmą. Co ty mówisz? – Było widać, że tata nie jest w stanie wyrazić tego, co naprawdę czuje, że chce, by rodzina przestała wreszcie gadać i pozwoliła mu ratować syna w jedyny sposób, jaki znał. Dziadek oparł się o poduszkę.

Współczując ojcu i chcąc mu jakoś pomóc, Tatiana powiedziała:

– Chyba jeszcze nie… – lecz przerwała jej mama, mówiąc:

– Paszeńka, weź sweter, kochanie.

– Nie wezmę! – krzyknął Pasza. – Jest środek lata!

– Dwa tygodnie temu był mróz.

– A teraz jest gorąco. Nie wezmę żadnego swetra.

– Słuchaj matki – syknął ojciec. – Nocami będzie zimno. Bierz sweter. – Pasza westchnął buntowniczo, mimo to wziął sweter i wrzucił go do walizki. Tata zamknął ją i trzasnął zameczkami. – A teraz posłuchajcie, oto mój plan…

– Jaki plan? – spytała przygnębiona Tatiana. – Mam nadzieję, że uwzględniłeś w nim jedzenie, bo…

– Milcz i posłuchaj, bo dotyczy i ciebie – warknął tata, po czym zaczął mówić.

Tatiana opadła na łóżko. Skoro nigdzie nie wyjeżdżają – już teraz, zaraz, natychmiast – nie chciała nic słyszeć.

Pasza wyjeżdżał na obozy dla chłopców co roku, do Tołmaczewa, do Ługi albo do Gatczyny. Wolał Ługę, bo stamtąd miał blisko do ich daczy – tylko pięć kilometrów prosto przez las – i Tania mogła go odwiedzać. Natomiast Tołmaczewo leżało dwadzieścia kilometrów od Ługi, a członkowie prowadzącej obóz kadry byli bardzo surowi i urządzali pobudkę już o świcie. Pasza mówił, że jest tam trochę jak w wojsku. No i dobrze, pomyślała Tatiana, nie słuchając tego, co mówi ojciec. Na bezrybiu i rak ryba.

Dasza uszczypnęła ją mocno w nogę.

– Aj! – krzyknęła głośno Tania z nadzieją, że siostra dostanie burę. Ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Nikt nic nie powiedział. Nawet na nią nie spojrzeli. Wszyscy patrzyli na

Paszę, a chudy jak patyk Pasza – był w brązowych spodniach i beżowej koszuli o przetartym kołnierzyku i wystrzępionych rękawach – stał pośrodku pokoju niczym świeżo rozkwitły kwiat. Taki piękny, taki kochany… O czym doskonale wiedział.

Był ulubionym dzieckiem. Ulubionym wnukiem i bratem.

Ulubionym, bo jedynym. Jedynym synem.

Tatiana wstała z łóżka, podeszła bliżej, objęła go i powiedziała:

– Uśmiechnij się. Szczęściarz z ciebie. Ja zostaję w domu.

Odsunął się od niej, ale tylko o ćwierć kroku. Nie dlatego, że był skrępowany, nie. Po prostu nie uważał się za szczęściarza. Tania wiedziała, że brat chce wstąpić do wojska, że pragnie tego jak niczego innego na świecie. Nie miał ochoty jechać na jakiś głupi obóz.

– Pasza – rzuciła wesoło. – Najpierw musisz wygrać wojnę ze mną. Dopiero wtedy będziesz mógł walczyć z Niemcami.

– Zamknij się, Taniu – mruknął Paszka.

– Zamknij się, Taniu – powtórzył tata.

– Tato – spytała – mogę spakować swoją walizkę? Ja też chcę jechać na obóz.

– Gotowy, Pasza? – Tata nawet nie raczył jej odpowiedzieć. Obozy były tylko dla chłopców. – To chodźmy.

– Opowiem ci kawał, Paszka. – Niezrażona niechęcią brata, Tatiana nie zamierzała rezygnować.

– Nie mam ochoty wysłuchiwać twoich głupich kawałów.

– Ten ci się spodoba.

– Wątpię.

– Tatiana! – warknął groźnie tata. – Nie pora na żarty.

– Gieorgij – wstawił się za nią dziadek. – Niech opowie, co to komu szkodzi.

Podziękowawszy mu skinieniem głowy, Tatiana odchrząknęła.

– Prowadzą żołnierza na stracenie. „Fatalna pogoda” – mówi żołnierz do tych z plutonu egzekucyjnego. „Ty jeszcze narzekasz? – odpowiadają tamci. – My musimy wrócić”.

Nikt nie zareagował. Nikt się nawet nie uśmiechnął.

Pasza uniósł brwi, uszczypnął siostrę lekko i szepnął:

– Miło, że się starasz.

Tatiana ciężko westchnęła. Pewnego dnia będzie w wyśmienitym humorze. Pewnego, ale chyba nie tego.

2

– Tatiano, tylko bez długich pożegnań – powiedział ojciec, podnosząc z podłogi walizkę i torbę z dodatkowym jedzeniem na obóz. – Zobaczysz brata za miesiąc. Zejdź na dół i przytrzymaj drzwi. Mamę bolą plecy.

– Dobrze, tato.

Mieszkanie przypominało pociąg, a raczej wagon: długi korytarz, a w korytarzu dziewięcioro drzwi do dziewięciu pokojów. Były tam dwie kuchnie, jedna od frontu, druga od tyłu, a przy kuchniach łazienki i ubikacje. W dziewięciu pokojach tłoczyło się dwadzieścia pięć osób. Przed pięciu laty było ich jeszcze więcej, bo aż trzydzieścioro troje, ale ośmioro przeprowadziło się, umarło albo…

Rodzina Tatiany mieszkała na końcu korytarza. To było najlepsze miejsce. Mieli do dyspozycji większą kuchnię, no i schody, na dach i na podwórze; Tatiana lubiła nimi chodzić, gdyż idąc schodami, nie musiała mijać pokoju szalonego Sławina.

Mieli też większą płytę w kuchni i większą łazienkę. Poza tym dzielili te pomieszczenia tylko z trzema rodzinami, z Pietrowami, Sarkowami i z szalonym Sławinem, który nigdy nie gotował i się nie kąpał.

Sławina w korytarzu nie było. I dzięki Bogu.

Idąc do drzwi, musiała minąć wspólny telefon. Stał przy nim Piotr

Pietrow i Tatianie przemknęło przez głowę, że mają dużo szczęścia. Bo ich telefon działał. Bo mogli z niego korzystać. Telefon u jej kuzynki Mariny był zepsuty, i to cały czas; stare kable czy coś w tym rodzaju. Tania mogła do niej tylko pisać albo odwiedzać ją osobiście, co zdarzało się dość rzadko, gdyż Marina mieszkała za rzeką, na drugim końcu miasta.

Pietrow był bardzo zdenerwowany, wręcz wzburzony. Czekał na połączenie, a ponieważ nie mógł krążyć po korytarzu – kabel był za krótki – przebierał nogami w miejscu. Dostał połączenie w chwili, gdy Tatiana go mijała; trudno było tego nie zauważyć, gdyż natychmiast zaczął wrzeszczeć do słuchawki:

– Luba! To ty? To ty, Luba?

Krzyknął tak głośno, nagle i niespodziewanie, że Tatiana aż podskoczyła, wpadając na ścianę. Otrząsnęła się, minęła go szybko, po czym zwolniła, żeby posłuchać.

– Luba, słyszysz mnie? Fatalne połączenie, wszyscy gdzieś dzwonią. Luba, wracaj do Leningradu! Słyszysz? Wojna wybuchła. Bierz, co możesz, resztę zostaw i wsiadaj do pociągu. Luba! Nie, nie za godzinę, nie jutro, tylko teraz, rozumiesz? Natychmiast! – Słuchał chwilę. – Przecież mówię ci, żebyś dała sobie z tym spokój! Ogłuchłaś, babo, czy co?

Tatiana zerknęła przez ramię i ujrzała jego zesztywniałe plecy.

– Tatiana! – Tata przeszywał ją wzrokiem, który mówił: jeśli zaraz tu nie przyjdziesz…

Lecz Tatiana zwlekała, gdyż bardzo pragnęła usłyszeć coś jeszcze.

– Tatiano Gieorgijewno! Proszę natychmiast nam pomóc! – Tak samo jak matka, tata używał tego oficjalnego zwrotu tylko wtedy, gdy chciał podkreślić, o jak ważną chodzi sprawę. Tania ruszyła spiesznie wąskim korytarzem, myśląc o Pietrowie i o tym, dlaczego Paszka nie może sam otworzyć drzwi.

Jak choćby Wołodia Iglenko, chłopak w wieku Paszy, który miał jechać z nim na obóz do Tołmaczewa. Schodził z Mietanowami dźwigając walizkę i ani mu przez głowę nie

przeszło, żeby prosić kogoś o otwarcie drzwi. No tak, ale Wołodia miał trzech braci. Wołodia po prostu musiał dawać sobie radę sam.

– Pasza, coś ci pokażę – powiedziała cicho do brata. – To bardzo proste. Kładziesz rękę na klamce i ciągniesz. Drzwi się otwierają. Wychodzisz na ulicę i drzwi się zamykają. Zobaczmy, czy sobie poradzisz.

– Przestań gadać i otwieraj – mruknął Pasza. – Nie widzisz, że niosę walizkę?

Na ulicy przystanęli.

– Taniu – powiedział tata. – Weź sto pięćdziesiąt rubli, które ci dałem, i kup trochę jedzenia. Tylko nie marudź. Idź, kup i wracaj. Słyszysz?

– Tak, tato. Zaraz pójdę.

– Prosto do łóżka, co? – prychnął z uśmieszkiem Pasza.

– No, chodźmy, już pora – powiedziała mama.

– Tak – odrzekł ojciec – pora.

– Na razie. – Tatiana klepnęła brata w ramię.

Mruknął coś przygnębiony i pociągnął ją za włosy.

– Tylko zwiąż sobie włosy, zanim wyjdziesz. Nie strasz ludzi.

– Przestań – odparła wesoło Tania – bo w ogóle je zetnę.

– Chodźmy już, chodźmy – ponaglał tata, ciągnąc syna za rękaw.

Tatiana pożegnała się z Wołodią, pomachała matce, po raz ostatni spojrzała na plecy przybitego brata i wróciła na górę.

Dziadek i babcia właśnie wychodzili. Szli z Daszą do banku, żeby wyjąć oszczędności.

Tania została sama.

Westchnęła z ulgą i opadła na łóżko.

Wiedziała, że urodziła się za późno. Paszka też. Powinna była się urodzić w dziewięćset siedemnastym, jak Dasza. Oprócz nich rodzice mieli jeszcze troje dzieci, ale się nie uchowały. Dwaj bracia, jeden urodzony w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, drugi w dwudziestym pierwszym, zmarli na tyfus. Urodzona w dwudziestym drugim dziewczynka rok później zmarła na szkarlatynę. W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, kiedy umierał Lenin, kiedy nagle skończył się NEP, ten krótkotrwały powrót do prywatnej inicjatywy i wolnej przedsiębiorczości, kiedy plutony egzekucyjne Stalina konsekwentnie powiększały jego wpływy we władzach, bardzo zmęczona trzydziestodwuletnia Irina Fiodorowna urodziła ich, najpierw Paszę, a sześć minut później ją, Tanię. Rodzina pragnęła Paszy, chłopca, syna, dlatego narodziny córki były dla nich kompletnym zaskoczeniem. Bliźnięta? Nikt nie miał bliźniąt. Kto słyszał o bliźniętach? Poza tym nie było dla niej miejsca. Przez pierwsze trzy lata życia musiała dzielić kołyskę z bratem. Potem spała z Daszą.

Mimo to fakt pozostawał faktem: zajmowała cenną przestrzeń łóżkową. Dasza nie mogła wyjść za mąż, ponieważ jej siostrzyczka leżała nocą tam, gdzie miał leżeć jej mąż. Daszka często wyrzucała to Tatianie. Mówiła: „Przez ciebie umrę jako stara panna”, na co Tania odpowiadała: „Oby jak najszybciej, żeby na twoim miejscu mógł spać mój mąż”.

Przed miesiącem skończyła szkołę i natychmiast poszła do pracy, żeby nie spędzać kolejnych wakacji w Ludze na czytaniu, pływaniu łodzią i na głupich zabawach z dzieciakami mieszkającymi w domach przy wiecznie zapylonej drodze. Spędzała tam wszystkie wakacje, na daczy pod Ługą albo pod Nowogrodem nad jeziorem Ilmen, gdzie daczę mieli rodzice kuzynki Mariny.

Kiedyś nie mogła się wprost doczekać czerwcowych ogórków, lipcowych pomidorów i sierpniowych malin; w myślach zbierała grzyby i czarne jagody, w myślach łowiła ryby

w rzece. Kiedyś, ale nie tego lata. Tego lata wszystko miało być inaczej.

Zdała sobie sprawę, że zmęczyło ją bycie dzieckiem. Jednocześnie nie bardzo wiedziała, jak być kimś innym, dlatego załatwiła sobie pracę w Zakładach Kirowa, w fabryce w południowej części Leningradu. Praca: to już prawie dorosłość. A więc pracowała i nieustannie czytała gazetę, kręcąc głową na poczynania Francji, na marszałka Petaina, na Dunkierkę i na Neville'a Chamberlaina. Próbowała być bardzo poważna i ze skupieniem kiwała głową, czytając o kryzysie w Ardenach i na Dalekim Wschodzie. To były jej ustępstwa na rzecz dorosłości: Kirow i „Prawda".

Lubiła tam pracować, w tej największej fabryce w Leningradzie i prawdopodobnie w całym Związku Radzieckim. Słyszała, że u Kirowa budują czołgi, ale nie bardzo w to wierzyła. Jak dotąd nie widziała ani jednego.

Pracowała w dziale sztućców: pakowała do pudełek noże, łyżki i widelce. Była przedostatnią robotnicą na linii montażowej. Dziewczyna pracująca za nią, ta ostatnia, zaklejała pudełka taśmą. Tatiana bardzo jej współczuła; zaklejanie pudełek musiało być okropnie nudne. Ona mogła przynajmniej pobrzękiwać trzema rodzajami sztućców.

Fajnie będzie pracować tam latem, pomyślała, leżąc na łóżku, ale jeszcze fajniejsza byłaby ewakuacja.

Chętnie by trochę poczytała. Właśnie zaczęła zabawną, choć boleśnie prawdziwą książeczkę Michaiła Zoszczenki, zbiór satyrycznych opowiadań na temat realiów życia w Związku Radzieckim, ale polecenia ojca były bardzo wyraźne. Z utęsknieniem popatrzyła na książkę. Po co ten pośpiech? Dorośli zachowują się tak, jakby się gdzieś paliło. Niemcy są dwa tysiące kilometrów stąd. Towarzysz Stalin na pewno nie pozwoli, żeby ten zdrajca Hitler wkroczył w głąb kraju. A ona na pewno nie zostanie w domu sama.

Gdy tylko zdała sobie sprawę, że natychmiastowej ewakuacji nie będzie, wojna straciła dla niej całą atrakcyjność. Czy naprawdę jest aż tak interesująca? Może, ale opowiadanie Zoszczenki „Łaźnia", opowieść o mężczyźnie, który idzie do łaźni, rozbiera się w szatni, a numerek przywiązuje sobie do nogi w kostce, było przekomiczne: „…gdzie rozebrany do rosołu człowiek ma schować te numerki? […] A numerek został na nodze. Trzeba się rozebrać; ściągam spodnie i szukam, numerka ani śladu. Sznurek jest, a numerka nie ma. Spłynął z wodą. Podaję szatniarzowi sznurek, a ten nie bierze. Na podstawie sznurka – powiada – rzeczy nie wydaję. Gdyby tylko pozwolić, to każdy obywatel naciąłby sznurków i palt w kraju by zabrakło. Poczekaj, niech się rozejdą, to wydam ci palto, które pozostanie"[2].

Ponieważ nikt nie zamierzał się ewakuować, położyła się na łóżku, oparła nogi o ścianę i konając ze śmiechu przeczytała opowiadanie jeszcze raz.

Ale cóż, rozkaz to rozkaz. Musiała iść po zakupy.

Ale była niedziela, a w niedzielę Tatiana nie lubiła wychodzić ubrana byle jak. Dlatego bez pytania pożyczyła czerwone sandały Daszy. Miały wysokie obcasy, toteż chodziła w nich jak nowo narodzone cielę na uginających się nogach; Daszce szło znacznie lepiej, bo już się nauczyła.

Szczotkowała jaśniutkie włosy, żałując, że nie ma gęstych, czarnych loków jak reszta rodziny. Jej były takie proste, takie… bez charakteru. Zawsze wiązała je w kucyk albo zaplatała warkocze. Tego dnia uznała, że kucyk będzie lepszy. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego są proste i jasne. Broniąc córki, mama mówiła, że jako mała dziewczynka też miała jasne, proste włosy. Tak, a kiedy babcia wychodziła za mąż, ważyła tylko czterdzieści siedem kilo.

Tatiana włożyła swoją jedyną elegancką sukienkę, sprawdziła, czy ma czystą twarz, zęby i ręce, po czym wyszła.

Sto pięćdziesiąt rubli to olbrzymie pieniądze. Nie wiedziała, skąd ojciec je wziął, i nie śmiała pytać, ale pojawiły się w jego rękach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Co miała kupić? Ryż? Wódkę? Już zapomniała.

Mama powiedziała:

– Nie wysyłaj jej, ona nic nie załatwi.

Tatiana ochoczo poparła ją skinieniem głowy.

– Słusznie – dorzuciła. – Wyślij Daszę, tato.

– Nie! – wykrzyknął ojciec. – Na pewno sobie poradzisz. Weź torbę, idź do sklepu i kup…

No właśnie, i kup co? Ziemniaki? Mąkę?

Mijając pokój Sarkowów, zobaczyła Żannę i Żenię, którzy siedzieli w fotelach, pijąc herbatę i czytając. Robili wrażenie spokojnych i odprężonych, jakby była to ot, kolejna zwyczajna niedziela. Sami w takim wielkim pokoju, pomyślała. Ci to mają szczęście.

Szalonego Sławina w korytarzu nie było. I dobrze.

Dziwne. Zdawało się, że oświadczenie towarzysza Mołotowa, to sprzed dwóch godzin, było tylko niewielkim odstępstwem od normalnego toku dnia. Zaczęła nawet powątpiewać, czy dobrze je zrozumiała, i dopiero kiedy skręciła na Grecki Prospekt, gdy zobaczyła zwarte grupki ludzi spieszących w kierunku Newskiego, zdała sobie sprawę, że to jednak prawda.

Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała takie tłumy na ulicach Leningradu. Szybko zawróciła i poszła w stronę Prospektu Suworowskiego. Tak, przechytrzy ich i wyprzedzi. Skoro wszyscy szli na Newski, ona pójdzie do sklepów w okolicy parku Taurydzkiego, które były trochę gorzej zaopatrzone, za to mniej uczęszczane.

Naprzeciw niej szła jakaś para. Popatrzyli na jej sukienkę i uśmiechnęli się. Tatiana spuściła oczy, ale też się uśmiechnęła.

Sukienka była naprawdę wspaniała, biała w szkarłatne róże. Dostała ją w trzydziestym ósmym, na czternaste urodziny. Ojciec kupił ją na targu w Świętokreście, w małym miasteczku w Polsce, dokąd pojechał służbowo, gdy pracował w Leningradzkich Zakładach Wodociągowych. Był wtedy w Świętokreście, w Warszawie i w Lublinie. Kiedy wrócił, Tatiana uznała, że prawdziwy z niego światowiec i globtroter. Dasza i mama dostały czekoladki z Warszawy, lecz ostatnią czekoladkę zjedzono już dawno temu, a dokładnie przed dwoma laty i trzystoma sześćdziesięcioma trzema dniami. Tymczasem ona, Tania, wciąż nosiła swoją sukienkę ze szkarłatnymi różami wyhaftowanymi na grubej, gładkiej śnieżnobiałej bawełnie. Tak, wyhaftowano na niej nie pączki, tylko w pełni rozkwitłe róże. Była to naprawdę doskonała letnia sukienka, taka na wąskich ramiączkach. Nie miała rękawów, była mocno dopasowana w talii i szeroko rozkloszowana na dole, tak że kiedy Tatiana okręcała się szybko wokół własnej osi, sukienka wirowała wraz z nią niczym czasza spadochronu.

W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego Tania miała z nią tylko jeden problem: sukienka była na nią za mała. Krzyżujące się na plecach atłasowe paseczki, które mogła kiedyś bez trudu ściągnąć, ściągnąć się już nie dawały.

Drażniło ją, że jej własne ciało, w którym czuła się coraz bardziej nieswojo, przerosło ulubioną sukienkę. Nie to, żeby rozkwitło jak ciało Daszy, żeby miała rozłożyste biodra, pełne piersi, jędrne uda i prężne ramiona. Nie, wprost przeciwnie. Jej biodra, choć krągłe, wciąż były wąskie, nogi i ręce szczupłe, za to piersi wciąż rosły i właśnie w tym tkwił

problem. Gdyby piersi nie urosły, nie musiałaby poluźniać pasków na plecach i wystawiać na pokaz kręgosłupa od łopatek aż po krzyż.

Bardzo lubiła tę sukienkę. Lubiła, gdy materiał ocierał się jej o skórę, lubiła dotykać haftowanych róż, drażniła ją natomiast świadomość, że musi demonstrować światu fragment swego ciała, tkwiącego w bawełnianym kokonie, który bezlitośnie ściskał jej płuca. Z przyjemnością i rozrzewnieniem wspominała chwilę, kiedy jako chuda czternastolatka włożyła sukienkę pierwszy raz, żeby pójść w niej na niedzielny spacer po Newskim Prospekcie. To właśnie dlatego, dla tych pięknych wspomnień, włożyła ją i dzisiaj, w dniu, kiedy Niemcy zaatakowali Związek Radziecki.

Jej duszę łechtała również świadomość, że na sukience jest metka z napisem: „Fabriqué en France".

„Fabriqué en France"! Jakże miło było mieć coś, co zamiast z rąk radzieckich partaczy, wyszło z rąk starannych i romantycznych Francuzów. Bo czyż istnieli na świecie ludzie bardziej romantyczni niż oni? Francuzi to prawdziwi mistrzowie miłości. Każda nacja ma swoją specjalność. Rosjanie są niezrównani w cierpieniu, Anglicy w powściągliwości, Amerykanie w umiłowaniu życia, Włosi w umiłowaniu Chrystusa, a Francuzi w nadziei na miłość. Dlatego szyjąc sukienkę dla Tatiany, nasączyli ją obietnicą, jakby chcieli powiedzieć: włóż ją, *chérie*, a będą cię w niej kochali tak samo jak nas, włóż ją, a znajdziesz miłość. Dlatego w okraszonej szkarłatem bieli Tania nigdy nie traciła nadziei. Gdyby sukienkę uszyli Amerykanie, byłaby szczęśliwa. Gdyby uszyli ją Włosi, zaczęłaby się modlić, gdyby uszyto ją w Anglii, dumnie wyprostowałaby ramiona, ale ponieważ uszyli ją Francuzi, żyła nadzieją.

Choć akurat teraz szła Prospektem Suworowa, próbując nie zważać na to, że sukienka ściska jej rozkwitające piersi.

Na dworze było ciepło i rześko, dlatego świadomość, że właśnie tego pięknego, pełnego nadziei dnia Hitler zaatakował Związek Radziecki, poraziła ją jak prąd. Idąc, kręciła głową. Dziadek nigdy Hitlerowi nie ufał i powtarzał to od samego początku, od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, kiedy to towarzysz Stalin podpisał z Niemcami pakt o nieagresji. Mówił, że Stalin przespał się z szatanem, no i teraz szatan go zdradził. Więc dlaczego wszyscy są tacy zaskoczeni? Niby czego się spodziewali? Że szatan zachowa się honorowo?

Zawsze uważała, że dziadek jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie. Od trzydziestego dziewiątego, od napadu Hitlera na Polskę, ciągle powtarzał, że wkrótce przyjdzie kolej na Związek Radziecki. Od wiosny, a więc od paru miesięcy, znosił do domu konserwy. Babcia mówiła, że przesadza, że za dużo ich kupuje; nie chciała, żeby wydawał pieniądze na coś tak nieuchwytnego jak „wszelki wypadek". Szydziła z niego i drwiła. Wojna? – mówiła, łypiąc spode łba na puszkę mielonki. Jaka wojna? I kto to będzie jadł? Na pewno nie ja. Po co wydawać pieniądze na świństwa? Dlaczego nie kupisz marynowanych grzybów albo pomidorów? A dziadek, który kochał ją, jak żaden mężczyzna nie kochał żadnej kobiety, pochylał z pokorą głowę, czekając, aż babcia da upust złości, i miesiąc później przynosił do domu kolejne konserwy. Kupował również cukier, kawę, tytoń i wódkę. Z przechowywaniem tych ostatnich produktów miał dużo kłopotów, ponieważ na każde urodziny, na każdą rocznicę i na każdego 1 Maja otwierano butelkę wódki, palono tytoń, pito kawę i słodzoną herbatę i pieczono słodkie ciasto. Dziadek nie potrafił odmówić niczego rodzinie, natomiast sobie odmawiał niemal wszystkiego. Dlatego na swoje urodziny nigdy nie otwierał wódki. Ale babcia i tak napoczynała worek cukru, żeby upiec mu jagodziankę. Tak więc w sumie przybywało

jedynie mielonki – co miesiąc puszka lub dwie – której nikt nie lubił i nikt nie jadł.

Tatiana miała kupić wódkę i ryż, lecz okazało się, że zadanie jest trudniejsze, niż oczekiwała.

W sklepach przy Prospekcie Suworowa wódki nie było. Mieli ser. Ale ser się nie przechowa. Mieli chleb, lecz chleb też się nie przechowa. Kiełbasa zniknęła, puszki też. I cała mąka.

Przyspieszywszy kroku, szła Prospektem – miał ledwie kilometr długości i krzyżował się z jedenastoma innymi ulicami – zaglądając do wszystkich sklepów po kolei, ale nigdzie nie znalazła ani konserw, ani przetworów. Była dopiero trzecia po południu.

Minęła dwa banki. Oba były nieczynne. Na drzwiach wisiały pospiesznie nabazgrane napisy: ZAMKNIĘTE. Dziwne. Jak to zamknięte? Chyba nie zabrakło im pieniędzy, to przecież banki. Tania zachichotała.

Zdała sobie sprawę, że za długo czekali. Za długo pakowali rzeczy Paszy, za długo się sprzeczali i gapili smutno na siebie. Powinni byli natychmiast wyjść, ale nie, najpierw musieli wyprawić Paszkę na obóz. Potem czytała Zoszczenkę. Tak, szkoda, że nie wyszła godzinę wcześniej. Gdyby wyszła i pobiegła na Newski, stałaby już w kolejce wraz z innymi.

Ale chociaż przygnębiało ją, że nie potrafi zdobyć nawet głupiego pudełka zapałek, czuła, iż ciepły, letni wiatr niesie ze sobą zapach nowego, że zwiastuje porządek rzeczy, których dotąd nie znała i nie rozumiała. Biorąc głęboki oddech, pomyślała: czyżbym miała zapamiętać ten dzień do końca życia? Nieraz już to powtarzałam: och, tego a tego dnia na pewno nie zapomnę, a mimo to zapominałam. Wciąż pamiętam, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ropuchę. Zwykłą ropuchę. Kto by pomyślał? Wciąż pamiętam, jak pierwszy raz posmakowałam słonej wody z Morza Czarnego. Pamiętam, jak pierwszy raz zgubiłam się w lesie. Może pamięta się tylko to, co spotyka człowieka pierwszy raz w życiu? Nigdy dotąd nie widziałam prawdziwej wojny, więc kto wie, może ten dzień też zapamiętam.

Skręciła w stronę sklepów przy Taurydzkiej. Lubiła tę część miasta położoną z dala od Newskiego. Drzewa były tu zieleńsze i wyższe, a ludzi dużo mniej. Lubiła pobyć trochę w samotności.

Zajrzawszy do kilku sklepów spożywczych, chciała już zrezygnować. Zastanawiała się poważnie, czy nie wrócić do domu i nie powiedzieć ojcu, że nie sprostała zadaniu, którym ją obarczył, lecz myśl ta napełniała ją lękiem. Dlatego szła dalej. Przed sklepem na rogu Suworowa i Sałtykowa-Szczedrina stała długa kolejka.

Tania karnie stanęła za ostatnią osobą w ogonku.

Przestępując z nogi na nogę, stała i stała, od czasu do czasu pytała o godzinę, po czym stała dalej. Kolejka przesunęła się o metr. Tatiana ciężko westchnęła i spytała, po co właściwie stoją. Stojąca przed nią kobieta gniewnie wzruszyła ramionami i odwróciła się.

– Co? Co? – mruknęła, tuląc do piersi torebkę, jakby Tania chciała ją obrabować. – Stój jak wszyscy i nie zadawaj głupich pytań.

Więc Tania stała i czekała. Gdy ogonek przesunął się o kolejny metr, ponownie spytała o godzinę.

– Pytałaś mnie o to samo dziesięć minut temu – warknęła kobieta. – Dodaj sobie.

Wtem młoda kobieta stojąca przed nią zaczęła mówić o bankach i Tatiana zastrzygła uszami.

– Zabrakło pieniędzy. – To do stojącej obok staruszki. – Wyobraża pani sobie? Zabrakło pieniędzy. I co oni teraz zrobią? Mam nadzieję, że trzyma pani trochę pod

materacem.

Zmartwiona staruszka pokręciła głową.

– Mam dwieście rubli – odrzekła. – To oszczędności całego życia. Wzięłam wszystko.

– I dobrze. Niech pani kupuje co się da, zwłaszcza konserwy…

Staruszka ponownie pokręciła głową.

– Nie lubię konserw.

– No to kawior. Słyszałam, że jakaś kobieta kupiła na Newskim dziesięć kilo kawioru. Co ona z nim zrobi? Ale to nie moja sprawa. Ja kupuję oliwę. I zapałki.

– Niech pani kupi sól – doradziła mądrze staruszka. – Herbatę bez cukru wypijesz, owsianki bez soli nie zjesz.

– Nie lubię owsianki. Nigdy nie lubiłam. Nie przełknę ani łyżki. Papkowate gluty.

– No to kawior. Lubi pani kawior?

– Nie. Ale może wezmę kiełbasy – rzuciła w zadumie ta młodsza. – Trochę dobrej, suchej kiełbasy… Tak, proletariat obalił cara ponad dwadzieścia lat temu. Przez ten czas dużo się nauczyłam i wiem, czego oczekiwać.

Stojąca przed Tatianą jędza głośno prychnęła. Staruszka i jej sąsiadka odwróciły głowę.

– Akurat! – warknęła jędza. – Nic pani nie wie. To wojna! – I chrapliwie chrząknęła, co zabrzmiało jak sapnięcie parowozu.

– A kto panią pyta?

– To wojna, towarzyszki i towarzysze! Witamy w rzeczywistości, którą podarował nam Hitler. Nakupujcie kawioru i masła i zjedzcie wszystko jeszcze dzisiaj. Tak, tak, zapamiętajcie moje słowa: już w styczniu za dwieście rubli kupicie co najwyżej bochenek chleba.

– Zamknij się, babo!

Tatiana spuściła głowę. Nie lubiła kłótni. Ani w domu, ani na ulicy.

Ze sklepu wyszło dwoje ludzi z wielkimi papierowymi torbami pod pachą.

– Co dają? – spytała grzecznie Tania.

– Suchą kiełbasę – burknął mężczyzna i spiesznie odszedł, jakby się bał, że Tatiana dopędzi go, powali na ziemię, pobije i odbierze mu tę przeklętą kiełbasę. Tymczasem ona nie lubiła suchej kiełbasy. Wytrwale stała dalej.

Pół godziny później zrezygnowała.

Nie chcąc rozczarować ojca, szybko poszła na przystanek. Chciała złapać autobus dwadzieścia dwa na Prospekt Newski. Na Newskim mogła przynajmniej kupić kawior.

Kawior? – pomyślała. Będziemy musieli zjeść go już w przyszłym tygodniu, bo do zimy się nie przechowa. Czy po to ojciec wysłał ją na zakupy? Po żywność na zimę? Niemożliwe. Do zimy jeszcze daleko. A nasza armia jest niezwyciężona, sam towarzysz Stalin tak mówił. Do września po tych niemieckich świniach nie będzie już ani śladu.

Gdy skręcała za róg Sałtykowa-Szczedrina, pękła gumka, którą związała włosy, i wiatr dmuchnął jej nimi w twarz.

Przystanek był po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko parku. Zwykle jeździła stamtąd do Mariny, sto trzydziestką szóstką, ale tego dnia chciała dojechać na Newski. Wiedziała, że musi się pospieszyć, bo wyglądało na to, że i kawior wkrótce wykupią.

Parę kroków dalej zobaczyła stoisko z lodami.

Lody!

Dzień stał się nagle piękniejszy. Na stołku siedział sprzedawca. Czytał gazetę, chroniąc się przed słońcem pod małym parasolem.

Tatiana przyspieszyła kroku.

Wtem usłyszała warkot silnika. Odwróciła się: autobus był jeszcze daleko. Gdyby kawałek podbiegła, na pewno by zdążyła. Weszła na jezdnię, żeby przejść na drugą stronę ulicy, spojrzała na stoisko z lodami, potem na autobus, jeszcze raz na stoisko, i zatrzymała się.

Miała wielką ochotę na lody, ochotę wprost przemożną.

Zagryzła wargę i przepuściła autobus. Nie szkodzi. Niedługo nadjedzie następny, a tymczasem usiądę na przystanku i zjem lody.

Podeszła do stoiska i spytała:

– Lody, tak?

– Przecież pisze, że lody. Nie widać? Czego chcesz? – Podniósł głowę i natychmiast złagodniał. – Na jakie masz ochotę, złotko?

– Na… – Zadrżał jej głos. – Czy ma pan śmietankowe?

– Mam. – Sprzedawca otworzył pokrywę chłodziarki. – W pudełku czy w rożku?

– W rożku poproszę – odrzekła Tatiana, podskakując jak mała dziewczynka.

Skwapliwie zapłaciła; za taki smakołyk zapłaciłaby nawet dwa razy więcej. Wiedząc, że czeka ją wprost niebiańska przyjemność, szybko przebiegła na drugą stronę ulicy i usiadła na ławce pod drzewami, żeby spokojnie zjeść lody i poczekać na autobus, którym miała pojechać po kawior, czyli po zapasy na wojnę.

Na przystanku nie było nikogo. Tym lepiej, gdyż mogła rozkoszować się smakiem w samotności. Odwinęła biały papierek, wrzuciła go do kosza na śmieci obok ławki, powąchała lody, polizała słodki, zimny karmel, zamknęła ze szczęścia oczy i uśmiechając się błogo, czekała, aż lód roztopi się jej na języku.

Pyszne, pomyślała. Przepyszne.

Wiatr rozwiewał jej włosy, więc przytrzymała je wolną ręką, krążąc wargami po małej, beżowej kulce na stożkowatym wafelku. Założyła nogę na nogę, potem ją zdjęła, odrzuciła do tyłu głowę i czując, jak w gardle rozlewa jej się słodka lepkość, zanuciła piosenkę, którą ostatnio śpiewali niemal wszyscy: „Pewnego dnia spotkamy się we Lwowie, mój ukochany i ja”.

Wspaniały dzień. Przez pięć minut nie było żadnej wojny, tylko cudowna, czerwcowa niedziela w spokojnym Leningradzie.

Kiedy oderwawszy wzrok od lodów, spojrzała przed siebie, zobaczyła, że z drugiej strony ulicy patrzy na nią jakiś wojskowy.

W mieście garnizonowym, takim jak Leningrad, wojskowy to nic nadzwyczajnego. Żołnierzy mieli tu na pęczki. Zobaczyć żołnierza to tak, jak zobaczyć staruszkę z pełną siatką albo kolejkę przed sklepem, albo budkę z piwem. W normalnych okolicznościach Tatiana ominęłaby go wzrokiem i poszła dalej, zwłaszcza że ten gapił się na nią z miną, jakiej nigdy dotąd u nikogo nie widziała. Przestała lizać lody.

Jej chodnik tonął już w cieniu, natomiast chodnik żołnierza zalewało silne popołudniowe słońce. Patrzyła na niego przez krótką chwilę i właśnie wtedy, w momencie, gdy spojrzała mu prosto w twarz, poczuła, że coś w niej drgnęło. Chciałaby powiedzieć, że drgnęło leciutko, ot, niezauważalnie, lecz było zupełnie inaczej. Było tak, jakby serce zaczęło pompować krew czterema komorami naraz, zalewając nią i płuca, i całe ciało. Zamrugała. Nie wiedzieć czemu, zaczęła oddychać szybciej i płycej. Żołnierz roztapiał się powoli w żółtobladym słońcu.

Wtem zasłonił go autobus. Omal nie krzyknęła i zerwała się z ławki, ale nie po to, żeby wsiąść, tylko po to, żeby nie stracić z oczu żołnierza. Otworzyły się drzwi; kierowca spojrzał na nią wyczekująco. Niewiele brakowało i Tania, dziewczyna łagodna i dobrze

wychowana, zwymyślałaby go i kazała iść precz.

– Wsiadamy, panienko? Nie mogę czekać w nieskończoność.

Wsiadamy?

– Nie, nie, ja nie wsiadam.

– No to co, do diabła, robisz na przystanku? – zagrzmiał kierowca i zatrzasnął drzwi.

Tatiana cofnęła się w stronę ławki i zobaczyła, że żołnierz pędzi do autobusu.

Pędził, pędził i nagle przystanął. Znieruchomiał.

Ona też.

Kierowca ponownie otworzył drzwi.

– Jedziecie? – spytał.

Żołnierz spojrzał na Tatianę, potem na kierowcę.

– Na Lenina i Stalina! Niech was szlag trafi! – Trzasnęły drzwi, autobus odjechał.

Tania stała przy ławce. Zrobiła krok do tyłu i szybko usiadła.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Myślałem, że to mój – powiedział obojętnie, przewracając oczami.

– Ja też – wychrypiała nieśmiało Tatiana.

– Lody się topią – zauważył usłużnie.

Rzeczywiście się topiły. Spływały z rożka prosto na sukienkę.

– O Boże…

– Zejdzie, spierze się.

Tatiana spróbowała zebrać roztopioną masę ręką, ale tylko ją roztarła.

– Cudownie – mruknęła i stwierdziła, że drżą jej palce.

– Długo pani czeka? – Miał głęboki, dźwięczny głos i mówił… Z lekkim akcentem? Pewnie przyjezdny, pomyślała, nie odrywając wzroku od plamy na sukience.

– Nie, niezbyt – odrzekła szybko i wstrzymawszy oddech, podniosła oczy, żeby na niego spojrzeć. Podnosiła je i podnosiła. Był bardzo wysoki.

I miał na sobie wyjściowy mundur. Eleganckie spodnie, elegancki frencz, czapka z emaliowaną czerwoną gwiazdą nad daszkiem, a na ramionach szerokie epolety ze stalowoszarymi galonami. Wyglądały bardzo imponująco, lecz Tatiana nie wiedziała, co oznaczają. Był szeregowcem? Miał karabin. Czy szeregowcy chodzili z karabinem? Na jego lewej piersi błyszczał srebrny medal w złotej obwódce.

I miał ciemne włosy. Młody i ciemnowłosy, pomyślała. Same plusy. Nieśmiało spojrzała mu w oczy. Miały kolor karmelu i były odrobinę ciemniejsze niż lody, które przed chwilą jadła. Czy są to oczy żołnierza? A może oczy mężczyzny? Tak czy inaczej, były spokojne i przyjaźnie uśmiechnięte.

Patrzyli na siebie tylko chwilę, lecz była to chwila stanowczo za długa. Obcy patrzą na siebie krócej, znacznie krócej. Tatiana czuła się bardzo dziwnie. Miała ochotę otworzyć usta i wypowiedzieć jego imię. Szybko uciekła wzrokiem w bok. Drżała i było jej gorąco.

– Lody wciąż się topią – powtórzył uprzejmie żołnierz.

Tania zaczerwieniła się i odchrząknęła.

– Lody? – odrzekła. – Rzeczywiście. Ale nie szkodzi, już skończyłam. – Wstała i teatralnym gestem wrzuciła je do kosza, żałując, że nie ma przy sobie chusteczki, którą mogłaby wytrzeć plamę na sukience.

Ile on ma lat? – myślała. Tyle co ja czy więcej? Nie, chyba jednak więcej. Jest młody, choć starszy ode mnie, i patrzy na mnie oczami prawdziwego mężczyzny. Wbiła wzrok w chodnik między swoimi czerwonymi sandałami i jego czarnymi wojskowymi butami i znowu się zaczerwieniła.

Nadjechał autobus. Żołnierz odwrócił się i ruszył do krawężnika. Tatiana nie odrywała od niego oczu. Szedł jak ktoś nie z tego świata, zbyt długim, zbyt pewnym siebie krokiem, mimo to nie było w tym ani nic rażącego, ani nienaturalnego. Patrząc na niego, miała wrażenie, że znalazła książkę, którą gdzieś zapodziała i o której zupełnie zapomniała. O, jest!

No i tak. Za chwilę otworzą się drzwi, żołnierz wskoczy do autobusu, pomacha jej na do widzenia i już nigdy go nie zobaczy. Nie odchodź! – krzyknęła w myśli.

Im bliżej był autobusu, tym wolniej szedł, wreszcie zatrzymał się i cofnął, kręcąc głową do zirytowanego kierowcy, który niecierpliwie machnął ręką i zatrzasnął drzwi. Autobus powoli odjechał.

Żołnierz wrócił i usiadł na ławce.

Zakupy i to, co miała robić później, do końca dnia, wyfrunęło Tani z głowy bez słowa pożegnania.

Milczeli. Przecież nie można inaczej, pomyślała, dopiero co się poznaliśmy. Nie, zaraz, chwileczkę. Wcale się nie poznaliśmy. W ogóle się nie znamy. Nic dziwnego, że siedzimy tak i milczymy.

Nerwowo zerknęła w lewo, potem w prawo. Nagle przyszło jej do głowy, że żołnierz słyszy bicie jej serca. Tak, na pewno. Waliło tak głośno, że przepłoszyło wrony z drzew za ławką. Ogarnięte paniką, odleciały, gwałtownie łopocząc skrzydłami. Wiedziała, że to przez nią.

Żeby wreszcie przyjechał ten nieszczęsny autobus. Teraz, zaraz, natychmiast.

Był wojskowym, tak, ale widywała wielu wojskowych. Był przystojny, owszem, ale przystojnych mężczyzn też widywała. Latem poprzedniego roku widziała nawet przystojnych żołnierzy, dwóch, może nawet trzech. Jeden z nich – zapomniała już, jak miał na imię; ostatnio wszystko zapominała – kupił jej lody.

Nie, to nie mundur ją pociągał ani jego wygląd. Intrygował ją sposób, w jaki żołnierz patrzył na nią z drugiej strony ulicy, z chodnika za dziesięciometrowej szerokości pasem betonu, nad którym biegły przewody trakcji tramwajowej.

Sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

– Zapali pani?

– Nie, nie – odrzekła. – Nie palę.

Żołnierz schował papierosy.

– Nie znam nikogo, kto by nie palił – rzucił lekko.

Wśród jej znajomych nie paliło tylko dwoje: ona i dziadek. Nie, nie mogła dłużej milczeć – to było zbyt żałosne – ale kiedy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, przyszły jej do głowy tak głupie słowa, że czym prędzej zacisnęła wargi, modląc się w duchu o jak najszybszy przyjazd autobusu.

Ale autobus nie nadjeżdżał.

– Czeka pani na dwadzieścia dwa? – spytał w końcu żołnierz.

– Tak – odrzekła cichutko Tatiana. – To znaczy, nie. – Spojrzała w lewo i zobaczyła autobus. Trzycyfrowy numer: sto trzydzieści sześć. – Czekam na ten – dodała i niewiele myśląc, wstała.

– Sto trzydzieści sześć? – wymamrotał żołnierz.

Tania wyjęła pięć kopiejek i wsiadła. Zapłaciwszy, przeszła na tył autobusu, usiadła i zobaczyła, że żołnierz też wsiada i rusza przejściem wjej stronę.

Usiadł rząd za nią.

Tatiana wbiła wzrok w okno, próbując o nim nie myśleć. Sto trzydzieści sześć. Boże

święty, dokąd on jedzie? No tak. Do Mariny, na Prospekt Połuostrowski. Nie ma wyboru, wysiądzie na Połuostrowskim i zadzwoni do drzwi kuzynki.

Kątem oka widziała żołnierza.

Ciekawe dokąd jedzie?

Autobus minął park Taurydzki i skręcił w Prospekt Litiejny.

Tatiana wygładziła sukienkę i przesunęła palcami po szkarłatnych różach. Potem schyliła się między fotelami i poprawiła sandały. Ale głównie modliła się o to, żeby żołnierz nie wysiadł na następnym przystanku. Tylko nie na tym, nie na tym. Na tym też nie. Gdzie miał wysiąść, tego nie wiedziała, wiedziała jedynie, że nie chce, by wysiadł tutaj i teraz.

Żołnierz nie wysiadł. Siedział spokojnie, patrząc w okno. Od czasu do czasu spoglądał przed siebie i Tania mogła przysiąc, że zerka na nią.

Przejechali przez most Litiejny na Newie. Sklepy. Większość była zamknięta. Przed otwartymi stały długie kolejki.

Ulice powoli pustoszały. Leningradzkie ulice, jasne i wymarłe.

Mijali przystanek za przystankiem, zapuszczając się coraz głębiej w północną część miasta.

W przebłysku trzeźwiejszego myślenia Tania zdała sobie sprawę, że minęła swój przystanek, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Zdenerwowana, poruszyła się sztywno i niespokojnie.

Co teraz? Tego nie wiedziała, wiedziała jednak, że nie może wysiąść, przynajmniej nie w tej chwili. Po pierwsze, żołnierz wciąż siedział i najwyraźniej nie zamierzał pociągnąć za sznurek dzwonka, po drugie, nie znała tych okolic Leningradu. Gdyby wysiadła, musiałaby przejść na drugą stronę ulicy i zaczekać na powrotny autobus.

Tylko na co właściwie liczyła? Na co czekała? Chciała zobaczyć, gdzie wysiądzie żołnierz, żeby przyjechać tu któregoś dnia z Mariną? Na tę myśl zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Przyjechać z Mariną? Po co? Żeby odszukać swego żołnierza?

Idiotyczne. Absurdalne. Nie, chciała po prostu wyjść z tego z twarzą i wrócić do domu.

Pasażerów powoli ubywało. W końcu zostali tylko oni, ona i on.

Autobus przyspieszył. Tatiana nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Żołnierz nie wysiadał. W co ja się wpakowałam? Podjęła decyzję. Teraz albo nigdy. Zadzwoniła, ale kiedy tylko zadzwoniła, kierowca odwrócił się i spytał:

– Chcesz tu wysiąść? Tu nic nie ma, same składy i magazyny. Umówiłaś się z kimś?

– Nie… – wykrztusiła Tatiana.

– To lepiej zaczekaj. Zaraz będzie ostatni przystanek.

Upokorzona Tania ciężko opadła na fotel.

Autobus wjechał na pętlę.

– Koniec trasy – obwieścił kierowca.

Tatiana wysiadła na gorący, zabłocony asfalt na końcu opustoszałej ulicy. Bała się odwrócić. Przytknęła rękę do piersi, żeby uspokoić głośno dudniące serce. Boże, co teraz? Nic. Trzeba zaczekać na powrotny autobus. Powoli ruszyła przed siebie.

Jeden głęboki oddech, drugi… Dopiero po trzecim oddechu odważyła się zerknąć w prawo i… Wciąż tam był. I uśmiechał się do niej wesoło. Miał idealnie białe zęby – u Rosjanina to rzecz niezwykła. Wbrew sobie, odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem. Zrobiła to z ulgą. Z ulgą, lękiem i z czymś jeszcze.

– No dobrze, poddaję się – powiedział żołnierz, nie przestając się uśmiechać. – Dokąd

jedziesz?

Milczała. Cóż mogła odpowiedzieć?

Mówił z lekkim akcentem. Bardzo poprawnie, ale z akcentem. Próbowała odgadnąć, czy akcent i te bielutkie zęby pochodzą z tego samego miejsca, a jeśli tak, gdzie to miejsce jest. W Gruzji? A może w Armenii? W każdym razie na pewno leżało gdzieś nad Morzem Czarnym. Żołnierz lubił wodę. Słoną wodę.

– Słucham? – spytała w końcu.

– Pytałem, dokąd jedziesz.

Podniosła wzrok i dostała skurczu szyi. Ona była drobna i wiotka, on górował nad nią jak olbrzym. Nawet na wysokich obcasach sięgała mu zaledwie do obojczyka. O to też będzie musiała go spytać – pod warunkiem, że odzyska mowę – o ten wzrost. Zęby, akcent i wzrost: skąd pochodzisz, towarzyszu?

Przystanęli na środku opustoszałej jezdni. Głupio tak. Wybuchła wojna, pewnie dlatego tak tu pusto. Zamiast tłoczyć się na pętli, ludzie tłoczyli się przed sklepami, żeby kupić coś do jedzenia. Ale nie ona, nie Tatiana: ona stała jak idiotka na środku ulicy.

– Chyba przegapiłam mój przystanek – wymamrotała. – Muszę wrócić.

– Aha. W takim razie dokąd jechałaś? – powtórzył grzecznie. Wciąż stał dokładnie naprzeciwko niej. Nie odszedł i wcale nie zamierzał odchodzić. Stał, przesłaniając sobą słońce.

– Dokąd? – powtórzyła retorycznie. Miała rozczochrane włosy. Tak, na pewno. Nigdy się nie malowała, ale teraz żałowała, że nie pociągnęła szminką ust, że nie poczerniła sobie rzęs, że nie zrobiła czegokolwiek, żeby tylko nie wyglądać tak głupio i nijako.

– Zejdźmy z jezdni – zaproponował. Weszli na chodnik. – Usiądziesz? – spytał, wskazując ławkę na przystanku. – Zaczekamy. – Usiedli. On usiadł troszkę za blisko. O wiele za blisko.

Tatiana odchrząknęła. Raz, drugi i trzeci.

– To dziwne – powiedziała. – Moja kuzynka mieszka na Prospekcie Połuostrowskim. Jechałam do niej i…

– To kilka kilometrów stąd – zauważył. – Ze dwanaście przystanków.

Tania zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Tak, musiałam się zagapić.

Żołnierz spoważniał.

– Nie martw się. Dostarczymy cię na miejsce. Za kilka minut nadjedzie autobus.

Tatiana zerknęła na niego i spytała:

– A dokąd ty jechałeś?

– Ja? Służę w garnizonie. Dzisiaj jestem na patrolu. – W jego oczach igrały wesołe iskierki.

Świetnie, pomyślała Tatiana, uciekając wzrokiem w bok. Świetnie. On jest na zwykłym patrolu, a ja omal nie dojechałam do Murmańska. Idiotka. Kretynka. Zawstydzona, zaczerwieniła się i nagle zawirowało jej w głowie. Spojrzała na swoje buty.

– Oprócz lodów nic dzisiaj nie jadłam – szepnęła, czując, że zaraz zemdleje. Czas wydłużył się i zamarł.

Żołnierz objął ją i spokojnym, stanowczym tonem powiedział:

– Nie. Nie mdlej. Wytrzymaj.

I wytrzymała.

Osłabiona i zdezorientowana, nie chciała widzieć jego pochylonej głowy, jego zatroskanych oczu. Pachniał. Czymś przyjemnym i bardzo męskim, ani alkoholem, ani

potem, jak większość Rosjan. Ciekawe czym? Mydłem? Wodą kolońską? Rosjanie nie używali wody kolońskiej. Nie, po prostu pachniał sobą.

– Przepraszam – szepnęła, próbując wstać. Podtrzymał ją. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Już lepiej?

– Tak, znacznie. To chyba z głodu.

Wciąż ją podtrzymywał. Za ramię, dłonią wielkości małego państwa, na przykład Polski. Lekko drżąc, wyprostowała się, a wówczas ją puścił. Na ramieniu pozostało ciepłe, puste miejsce.

– Najpierw siedziałaś w autobusie, potem na słońcu… – odrzekł z nutką zatroskania w głosie. – Ale nic ci nie będzie. Chodź. Jest nasz autobus.

Ten sam autobus i ten sam kierowca. Spojrzał na nich, uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Tym razem usiedli razem, ona przy oknie, on przy niej. Usiadł i położył rękę na drewnianym oparciu jej fotela.

Był blisko, za blisko, tak blisko, że nie mogła na niego spokojnie patrzeć, nie mogła uciec przed jego spojrzeniem, a to właśnie jego spojrzenie, jego oczy pociągały ją najbardziej.

– Zazwyczaj nie mdleję – powiedziała, patrząc w okno. Skłamała. Mdlała bardzo często. Wystarczyło, żeby ktoś potrącił ją krzesłem w kolano, i już leżała nieprzytomna na podłodze. Nauczyciele pisali o tym do rodziców dwa, trzy razy w miesiącu.

Zerknęła na niego.

– Jak ci na imię? – spytał z zaraźliwym uśmiechem.

– Tatiana. – Leciutki zarost, ostra linia nosa, czarne brwi, mała, szara blizna na czole. Był opalony. I miał niesamowite zęby.

– Tatiana – powtórzył dźwięcznym, głębokim głosem. – Tatiana. – Tym razem wypowiedział jej imię powoli i łagodnie. – Tania? Tanieczka?

– Tania. – Podała mu rękę. Ujął ją, lecz się nie przedstawił. Jej mała dłoń zniknęła w wielkiej, ciemnej, ciepłej dłoni. Musiał słyszeć, jak bije jej serce. Tak, na pewno. Musiał wyczuć jej puls w nadgarstku, we wszystkich żyłach.

– Aleksander.

Jej dłoń wciąż spoczywała w jego dłoni.

– Tatiana. Dobre rosyjskie imię.

– Aleksander też – odrzekła, spuszczając oczy.

W końcu niechętnie zabrała rękę. Miał wielkie, czyste dłonie, długie, grube palce i starannie przycięte paznokcie. Przycięte paznokcie u mężczyzny były kolejną anomalią, jeśli chodzi o radzieckie doświadczenie Tatiany.

Spojrzała w okno. Było brudne. Zastanawiała się, kto je myje i jak często. Myślała o wszystkim, żeby tylko nie myśleć o nim, choć czuła, że w duchu prosi ją, by na niego spojrzała, że ma ochotę ująć ją za podbródek i odwrócić jej głowę. Podniosła oczy.

– Opowiedzieć ci kawał? – spytała z uśmiechem.

– Umieram z ciekawości.

– Prowadzą żołnierza na stracenie. „Fatalna pogoda” – mówi żołnierz do tych z plutonu egzekucyjnego. „Ty jeszcze narzekasz? – odpowiadają tamci. – My musimy wrócić”.

Nie odrywając od niej wesołych oczu, roześmiał się natychmiast i tak głośno, że wzruszyła się i rozczuliła; ale tylko troszeczkę.

– Przezabawny kawał, Taniu.

– Dziękuję – odrzekła z uśmiechem i dodała: – Znam jeszcze jeden. „Generale, co

myślicie o zbliżającej się bitwie?”

– Ten znam. „Przegrana sprawa”, mówi generał.

– „W takim razie po co do niej stawać?” – kontynuowała Tatiana.

– „Żeby sprawdzić, kto przegra” – dokończył Aleksander.

Uśmiechnęli się do siebie i uciekli wzrokiem w bok.

– Paski się rozluźniły – powiedział, gdy ponownie spojrzała w okno.

– Słucham?

– Paski, te na plecach. Odwróć się. Tak, jeszcze trochę. Zaraz je zwiążę…

Poczuła, że chwyta atłasowe ramiączko i delikatnieje ściąga.

– Wystarczy? – spytał. – Czy mocniej?

– Wystarczy – wychrypiała, wstrzymując oddech. Zdała sobie sprawę, że widzi jej nagie plecy, od karku aż po krzyż, i zawstydziła się.

Gdy na niego spojrzała, odchrząknął i spytał:

– Wysiadasz na Połuostrowskim? Idziesz do kuzynki? Zaraz będzie twój przystanek. A może chcesz, żebym cię odprowadził do domu?

– Na Połuostrowskim? – powtórzyła, jakby słyszała tę nazwę pierwszy raz w życiu. Zmarszczyła brwi. – O Boże. – Przytknęła rękę do czoła. – Nie uwierzysz. Nie mogę wrócić do domu, będę miała kłopoty.

– Kłopoty? Dlaczego? Mogę w czymś pomóc?

Dlaczego uwierzyła, że naprawdę chce pomóc? Co więcej, dlaczego nagle jej ulżyło, dlaczego nie bała się już wracać?

Opowiedziała mu o rublach, które miała w kieszeni, i o nieudanej wyprawie po zakupy.

– Nie wiem, dlaczego tata zlecił to akurat mnie – zakończyła. – Nic mi się nigdy nie udaje.

– Więcej pewności siebie, Taniu – odrzekł Aleksander. – Poza tym, mogę ci pomóc.

– Naprawdę?

Zaproponował, że zaprowadzi ją do specjalnego sklepu dla oficerów, gdzie będzie mogła kupić, co tylko zechce.

– Ale ja nie jestem oficerem – zauważyła.

– Za to ja jestem.

– Tak?

– Tak. Porucznik Aleksander Biełow. Jesteś pod wrażeniem?

– Porucznik? Nie wierzę. – Roześmiał się. Nie chciała, żeby był aż tak stary. – Za co ten medal? – spytała, patrząc na jego pierś.

– Za odwagę – odparł, obojętnie wzruszając ramionami.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się nieśmiało i z podziwem. – Co takiego zrobiłeś?

– Nic wielkiego. Gdzie mieszkasz, Taniu?

– Koło parku Taurydzkiego, na rogu Prospektu Greckiego i Piątej Radzieckiej. Wiesz, gdzie to jest?

Kiwnął głową.

– Patroluję prawie całe miasto. Mieszkasz z rodzicami?

– Tak, oczywiście. Z rodzicami, dziadkami, siostrą i z bratem bliźniakiem.

– W jednym pokoju? – spytał tym samym tonem.

– Nie, mamy dwa! – wykrzyknęła radośnie Tania. – A dziadkowie są na liście przydziałowej. Kiedy tylko zwolni się jakiś pokój, dostaniemy trzeci.

– Długo czekają?

– Od dwudziestego czwartego – odrzekła Tatiana i wybuchnęli śmiechem.

Zdawało się, że jadą przez całą wieczność i jeszcze sekundę.

– Wiesz, nie znam żadnego bliźniaka – powiedział, gdy wysiedli. – Lubicie się?

– Tak, ale Pasza bywa irytujący. Myśli, że jak już jest chłopcem, to zawsze musi wygrywać.

– To znaczy, że czasami przegrywa?

– Bardzo często – odparła, unikając spojrzenia jego roześmianych oczu. – Masz brata albo siostrę?

– Nie, byłem jedynakiem. – Aleksander zamrugał i szybko dodał: – Zatoczyliśmy pełny krąg, prawda? Na szczęście do sklepu już niedaleko. Dasz radę dojść czy zaczekamy na dwudziestkę dwójkę?

Tatiana przyjrzała mu się uważnie.

Powiedział „byłem”? „Byłem jedynakiem”?

– Dojdę – odrzekła powoli, stojąc w miejscu i patrząc w zamyśleniu na jego twarz. Miał wysokie czoło i mocno zarysowaną dolną szczękę. I czoło, i szczęka znieruchomiały, stężały niczym cement, jakby zacisnął zęby.

– Skąd pochodzisz? – spytała ostrożnie. – Mówisz z lekkim… akcentem.

– Nie, chyba nie – odparł, patrząc na jej stopy. – Na pewno dojdziesz? W tych butach?

– Tak, dojdę. – Czyżby próbował zmienić temat? Zsunęło jej się ramiączko. Nagle i bez uprzedzenia Aleksander wsunął pod nie palec i musnąwszy jej skórę, szybko je poprawił. Tania spiekła raka. Koszmar.

Jakże siebie nienawidziła. Nic, tylko czerwieniła się i czerwieniła, i to bez żadnego powodu.

Patrzył na nią. Złagodniała mu twarz. A jego oczy… Co on miał w oczach? Był… oszołomiony?

– Taniu…

– Chodź, idziemy. – To dziwne światło, te płonące węgle, ten głos. Uczucia, które nie wiedzieć kiedy przywarły do niej niczym mokre ubranie, były tak intensywne i nagłe, że omal nie dostała mdłości.

Miała obtarte stopy, ale nie chciała mu tego mówić.

– Daleko jeszcze? – spytała.

– Nie, już zaraz. Wstąpimy na chwilę do koszar. Muszę się odmeldować. Potem założę ci opaskę na oczy. Cywil nie może zobaczyć koszar. Tajemnica wojskowa.

Nie zamierzała patrzeć na niego i sprawdzać, czy mówi prawdę czy żartuje.

– No i proszę – rzekła z udawaną obojętnością. – Jedziemy, idziemy i jak dotąd nie rozmawialiśmy jeszcze o wojnie. – Przybrała teatralnie poważną minę. – Aleksandrze, co sądzisz o ataku Hitlera na Związek Radziecki?

Co go tak rozbawiło? Powiedziała coś śmiesznego?

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać?

– Oczywiście. To poważna sprawa.

Wciąż patrzył na nią z zadziwieniem w oczach.

– To tylko wojna – odrzekł. – Była nieunikniona. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później wybuchnie. Chodźmy tędy.

Minęli pałac Michajłowski albo Inżynieryjny, jak czasami go nazywano. Stał za krótkim mostem nad Fontanką, a właściwie nad skrzyżowaniem Fontanki i Mojki. Tatiana bardzo lubiła ten łukowaty, granitowy most i czasami wspinała się na zewnętrzny parapet i przechodziła nim na drugą stronę rzeki. Oczywiście teraz nie zamierzała nigdzie się wspinać. Tego dnia była bardzo dorosła.

Minęli zachodni kraniec Ogrodu Letniego i wyszli na trawiaste pole defilad zwane Polem Marsowym.

– Możemy zostawić tej kraj Hitlerowi – powiedział Aleksander – albo zostać i walczyć za matkę Rosję. Ale jeśli już zostaniemy, musimy walczyć na śmierć i życie. – Wyciągnął rękę. – Koszary są tam, za Polem Marsowym.

– Na śmierć i życie? – Podekscytowana Tatiana podniosła wzrok i zwolniła kroku. Szli po trawie i miała ochotę zdjąć buty. – Pojedziesz na front?

– Jeśli mnie wyślą, to pojadę. – On też zwolnił i przystanął. – Zdejmij buty, Taniu. Będzie ci wygodniej.

– Nie, tak jest dobrze. – Skąd wiedział, że ledwo idzie? Czy było to aż tak oczywiste?

– Śmiało – zachęcał łagodnie. – Trawa jest mięciutka…

Miał rację. Westchnęła z ulgą, nachyliła się, rozpięła paski, zdjęła sandały, wyprostowała się i rzekła:

– Rzeczywiście. Tak jest troszkę wygodniej.

Aleksander milczał.

– Jakaś ty teraz maleńka – powiedział w końcu.

– Wcale nie jestem maleńka – odparowała. – To ty jesteś wielki. – Zaczerwieniła się i spuściła oczy.

– Ile masz lat, Taniu?

– Jestem starsza, niż myślisz – odrzekła głosem doświadczonej kobiety. Ciepły leningradzki wiatr przesłonił jej twarz włosami. Trzymając sandały, wolną ręką próbowała coś z nimi zrobić. Szkoda, że nie miała zapasowej gumki do kucyka. Aleksander odgarnął je, spojrzał jej w oczy, potem na usta i tam zatrzymał wzrok.

Czyżby miała „wąsy” po lodach? Tak, na pewno. Co za wstyd. Oblizała wargi, próbując dotrzeć językiem do kącików ust.

– Co? – spytała. – Mam „wąsy”?

– Skąd wiesz, ile daję ci lat? Powiedz, ile masz?

– Niedługo skończę siedemnaście.

– Kiedy?

– Jutro.

– Nie masz nawet siedemnastu lat… – powiedział ze zdziwieniem.

– Jutro już będę miała! – powtórzyła rozeźlona.

– Tak, jesteś bardzo dorosła – odrzekł z roztańczonymi oczami.

– A ile ty masz lat?

– Dwadzieścia dwa. Dopiero.

– Ach tak… – szepnęła z nieudolnie skrywanym rozczarowaniem.

– Co? Jestem aż tak stary? – spytał, nie przestając się uśmiechać.

– Jak egipska mumia – odrzekła z uśmiechem ona.

Szli powoli przez Pole Marsowe, on w butach, ona boso, wymachując czerwonymi sandałami.

Nałożyła je dopiero na chodniku, po czym przeszli na drugą stronę ulicy i stanęli przed nie rzucającym się w oczy trzypiętrowym budynkiem z frontonem ozdobionym brązową sztukaterią. Wyróżniał go jedynie brak drzwi i długi, ciemny korytarz ginący w jego przepastnym wnętrzu.

– To są koszary pułku Pawłowskiego – powiedział Aleksander. – Tu stacjonujemy.

– Tego słynnego pułku Pawłowskiego[3]? – Tatiana popatrzyła na obdrapany budynek. – Niemożliwe.

– A czego się spodziewałaś? Pałacu z bajki?

– I wejdę do środka?

– Tylko do bramy. Zdam broń i się odmelduję. Zaczekasz na mnie, dobrze?

– Dobrze.

Szli korytarzem i szli, wreszcie doszli do żelaznej bramy. Przed bramą stał młody wartownik. Zasalutował Aleksandrowi i powiedział:

– Wchodźcie, poruczniku. Kto wam towarzyszy?

– Tatiana, sierżancie Pietrenko. Tatiana zaczeka tutaj.

– Tak jest. – Wartownik zerknął na nią ukradkiem, lecz nie zdołał jej się przyjrzeć, bo natychmiast to zauważyła.

Aleksander wszedł za bramę, zasalutował wysokiemu oficerowi, przystanął na dziedzińcu, żeby zamienić kilka słów z grupą palących papierosy żołnierzy, roześmiał się wesoło i odszedł. Praktycznie rzecz biorąc, niczym się od nich nie odróżniał, może z wyjątkiem tego, że był wyższy, miał ciemniejsze włosy, bielsze zęby, szersze bary i dłuższy krok. Niby nic, tyle tylko, że on żył i promieniał, a oni byli jakby przytłumieni.

Pietrenko spytał, czy Tatiana chciałaby usiąść.

Pokręciła głową. Aleksander kazał jej czekać, więc nie zamierzała się stamtąd ruszać. A już na pewno nie zamierzała siadać na krześle wartownika, chociaż miała na to wielką ochotę.

Stojąc i patrząc przez bramę na garnizonowe podwórze, poczuła się tak, jakby uniósł ją delikatny obłok losu, który okrasił to popołudnie nieprawdopodobnym spotkaniem i żądzą.

Żądzą życia.

Jedno z ulubionych powiedzonek dziadka mówiło: „Życie jest nieprzewidywalne. I właśnie to lubię w nim najmniej. Szkoda, że nie ma nic wspólnego z matematyką”.

W tą niedzielę nie mogła się z nim zgodzić.

Wolałaby taki dzień od każdego dnia w szkole czy w fabryce. Wolałaby taki dzień od każdego dnia w życiu.

Zrobiła krok w stronę wartownika i spytała:

– Czy cywilom wolno tu wchodzić?

Pietrenko uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Zależy, czym przekupią wartownika.

– Wystarczy, sierżancie – powiedział Aleksander, mijając go szybkim krokiem. – Chodźmy, Taniu. – Był już bez karabinu.

Właśnie mieli wyjść z korytarza na ulicę, gdy wtem, z ukrytych drzwi, których Tatiana przedtem nie zauważyła, wyskoczył na nich jakiś żołnierz. Przestraszył ją tak bardzo, że krzyknęła, jakby użądliła ją pszczoła. Aleksander położył jej rękę na ramieniu i pokręcił głową.

– Po co ty to robisz, Dmitrij?

Żołnierz roześmiał się gromko.

– Jak to po co? Żeby zobaczyć wasze miny!

Tatiana powoli się uspokoiła. Czy to tylko złudzenie, czy Aleksander naprawdę podszedł bliżej i zasłonił ją sobą? Bzdura. Absurd. Wrażenie minęło.

– A więc… kim jest twoja nowa przyjaciółka, Aleks? – spytał z uśmiechem żołnierz.

– Dmitrij, to jest Tatiana.

Dmitrij ochoczo potrząsnął jej ręką. Byłby potrząsał tak w nieskończoność, gdyby z wdziękiem jej nie cofnęła.

Według rosyjskich standardów był średniego wzrostu i Aleksander górował nad nim niemal tak samo jak nad Tatianą. Miał typowo rosyjską twarz, szeroką, rozlaną, nijaką i jakby wyblakłą, szeroki, zadarty nos i niezwykle cienkie usta, które przypominały dwa lekko ściśnięte paski gumy. Na jego szyi widniały ślady skaleczeń; pewnie zaciął się przy goleniu. Pod lewym okiem miał małe, czarne znamię. Na furażerce nie było nawet czerwonej gwiazdy, a zamiast stalowoszarych galonów nosił szerokie, czerwone epolety z cienkim, niebieskim paskiem. No i nie miał żadnego medalu.

– Bardzo mi miło – powiedział. – Dokąd idziecie?

Aleksander powiedział mu, dokąd.

– Chętnie pomogę odnieść zakupy do domu – zaproponował Dmitrij.

– Damy sobie radę, dzięki – odparł Aleksander.

– Nie, nie, zrobię to z prawdziwą przyjemnością – nalegał tamten, nie odrywając oczu od Tatiany.

Ruszyli. Ona i Dmitrij przodem, Aleksander z tyłu.

– Powiedz no, Taniu, gdzie poznałaś naszego dzielnego porucznika? – Tatiana obejrzała się. Aleksander patrzył na nią z wyraźnym niepokojem. Spotkali się wzrokiem. Ona szybko spojrzała w lewo, on w prawo. Aleks dopędził ich i poprowadził w stronę oficerskiego sklepu za rogiem ulicy.

– W autobusie – odrzekła Tania. – Ulitował się nade mną i zaproponował pomoc.

– Masz szczęście – droczył się z nią Dmitrij. – Aleksander uwielbia ratować damy w potrzebie.

– Nie jestem damą – wymamrotała Tatiana. W tym samym momencie Aleks popchnął ją łagodnie, weszli do sklepu i rozmowa się urwała.

Zwyczajne przeszklone drzwi, wywieszka z napisem: „Tylko dla oficerów”, a w środku… Tania oniemiała. Po pierwsze, nie było kolejki. Po drugie, na półkach stały niezliczone ilości pękatych worków i toreb, a wszędzie unosił się zapach wędzonej szynki i ryb, zmieszany z aromatem tytoniu i kawy.

Aleksander spytał ją, ile ma pieniędzy. Myślała, że wysokość kwoty zaskoczy go albo nawet oszołomi, lecz on tylko wzruszył ramionami i rzekł:

– Moglibyśmy wydać wszystko na cukier, ale bądźmy przewidujący, dobrze?

– Nie wiem, na co ani na jak długo kupuję, więc jak mogę być przewidująca?

– Kupuj tak – odparł – jakbyś miała jeść ostatni raz w życiu.

Bez namysłu dała mu pieniądze.

Kupił cztery kilo cukru, cztery kilo mąki pszennej, trzy kilo płatków owsianych, pięć kilo kaszy jęczmiennej, trzy kilo kawy, dziesięć puszek marynowanych grzybów i pięć puszek pomidorów. Ona dodała do tego kilogram czarnego kawioru, a za kilka rubli, które jej pozostały, kupiła dwie puszki szynki, żeby zrobić przyjemność dziadkowi. Żeby sprawić przyjemność sobie, kupiła małą tabliczkę czekolady.

Aleksander uśmiechnął się, poprosił o jeszcze cztery i zapłacił za nie z własnych pieniędzy.

Zaproponował, żeby kupiła zapałki. Zmarszczyła czoło i odparła – bardzo, według niej, dowcipnie – że zapałek nie da się zjeść. Zasugerował, żeby kupiła olej silnikowy. Powiedziała, że nie mają samochodu. Mimo to nalegał, żeby wzięła choć kilka litrów. Nie chciała. Nie zamierzała wydawać pieniędzy ojca na coś równie głupiego jak zapałki czy olej.

– Taniu – zauważył Aleksander. – Masz mąkę, ale nie masz zapałek. W jaki sposób upieczesz chleb? Jak rozpalisz ogień?

Uległa dopiero wtedy, gdy się okazało, że zapałki kosztują ledwie kilka kopiejek, ale i tak kupiła tylko dwieście pudełek.

– Nie zapomnij o oleju napędowym.

– Kiedy kupimy samochód, kupię i olej.

– A jeśli zimą zabraknie nafty?

– To co? Mamy prąd.

Założył ręce.

– Kup olej – powtórzył.

– Zimą? – Machnęła ręką. – O czym ty mówisz? Zima. Też mi coś. Jest dopiero czerwiec. Zimą Niemców już tu nie będzie.

– Powiedz to londyńczykom – odrzekł Aleksander. – Powiedz to Francuzom, Belgom i Holendrom. Walczą…

– Pod warunkiem, że to, co robią Francuzi, można nazwać walką.

– Kup olej, Taniu – nalegał ze śmiechem Aleks. – Nie pożałujesz.

Gdyby nie głos ojca, który rozbrzmiewał jej w głowie, oskarżając ją o bezmyślne wydawanie pieniędzy, pewnie by go posłuchała. A tak, odmówiła.

Poprosiła sprzedawcę o gumkę i związała włosy w kucyk. Kiedy Aleksander zapłacił, spytała, jak doniosą to wszystko do domu.

– Spokojna głowa – odrzekł Dmitrij. – Po to tu jestem.

– Przestań, Dima – powiedział Aleks. – Jakoś sobie poradzimy.

– Tragarz Dmitrij do usług. Chętnie ci pomogę – rzucił z szyderczym uśmieszkiem tamten.

Uśmieszek nie uszedł uwadze Tatiany. Pamiętała, że kiedy otworzyli przeszklone drzwi z wywieszką „Tylko dla oficerów", Dmitrij był równie zdumiony jak ona.

– Służycie w tym samym oddziale? – spytała, gdy załadowawszy zapasy do drewnianych skrzynek, wyszli ze sklepu.

– Nie, nie – odrzekł Dima. – Aleksander jest oficerem, a ja zwykłym szeregowcem. – Ironicznie wykrzywił gumowate wargi. – Ma znacznie wyższy stopień, dzięki czemu może wysłać mnie na front do Finlandii.

– Nie do Finlandii – poprawił go łagodnie Aleks. – I nie na front, tylko na Lisi Nos[4], na inspekcję naszych umocnień. Na co ty narzekasz?

– Wcale nie narzekam. Wychwalam twoją dalekowzroczność.

Tatiana zerknęła na Aleksandra, nie wiedząc, jak zareagować na nutkę szyderstwa w głosie Dimy.

– Na Lisi Nos? – spytała. – Gdzie to jest?

– W Przesmyku Karelskim – wyjaśnił Aleksander. – Poradzisz sobie?

– Oczywiście. – Niosła najlżejszą skrzynkę, tę z kawiorem i kawą, i nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do domu. Daszka umrze z zazdrości, kiedy zobaczy aż dwóch wojskowych.

– Nie za ciężka?

– Nie, nie. – Tak naprawdę skrzynka była dość ciężka i Tania nie wiedziała, czy doniesie ją na przystanek. Bo chyba szli na przystanek. Tak, na pewno. Piechotą z Pola Marsowego na Piątą Radziecką? Niemożliwe.

Początkowo chodnik był bardzo wąski, toteż szli gęsiego. Na czele Aleks, za nim ona, na końcu Dmitrij.

– Aleksandrze – wydyszała. – Czy my… idziemy pieszo? – Brakowało jej tchu.

Aleks przystanął.

– Daj mi to.

– Nie, nie.

Postawił skrzynkę na ziemi, ustawił na niej skrzynkę Tatiany i bez wysiłku dźwignął obie.

– Pewnie bolą cię stopy. W tych sandałach… Chodźmy.

Chodnik zrobił się szerszy i mogła iść obok niego. Dmitrij szedł po jej lewej stronie.

– Taniu, jak myślisz, dostaniemy za to szklaneczkę wódki? Za nasz trud i wysiłek?

– Chyba tak. Ojciec coś znajdzie.

– Powiedz nam, Taniu, czy często bywasz w mieście? W restauracjach, lokalach, no wiesz.

W lokalach? Dziwne pytanie.

– Nie, rzadko – odrzekła wstydliwie.

– Byłaś kiedyś w „Sadko”?

– Nie, ale moja siostra często tam chodzi. Mówi, że bardzo tam miło.

Dmitrij nachylił się ku niej i spytał:

– A gdybym tak zaprosił cię do „Sadka” w przyszłą sobotę? Poszłabyś?

– Nie, chyba nie. Dziękuję. – Spuściła oczy.

– Zobaczysz – zachęcał Dmitrij – będzie pyszna zabawa. Prawda, Aleks?

Aleksander nie odpowiedział.

Szli całą szerokością chodnika. Tatiana w środku. Gdy nadchodził ktoś z przeciwka, Dima przepuszczał go bokiem, chowając się za Tanię.

Zauważyła, że robi to z ciężkim westchnieniem, jakby przegrywał jakąś bitwę i musiał ustąpić pola nieprzyjacielowi. Początkowo myślała, że to przechodniów uważał za wrogów, lecz po chwili uświadomiła sobie, że nie, że wrogami byli oni, ona i Aleksander, ponieważ maszerowali noga w nogę, ramię w ramię i nikomu nie schodzili z drogi.

– Zmęczona? – spytał cicho Aleks.

Kiwnęła głową.

– Chcesz trochę odpocząć? – Postawił skrzynki na ziemi.

Dmitrij poszedł za jego przykładem i patrząc na Tanię, spytał:

– W takim razie gdzie się najczęściej bawisz?

– Gdzie? – powtórzyła. – Nie wiem. Chodzę do parku. A latem jeździmy na daczę pod Ługę. – Spojrzała na Aleksandra. – Powiesz mi, skąd pochodzisz, czy mam zgadywać?

– Chyba będziesz musiała zgadywać.

– Znad jakiegoś morza.

– Nie powiedział ci? – zdziwił się Dmitrij, podchodząc bliżej.

– Wymiguje się.

– Dziwne.

– Bardzo dobrze, Taniu – odrzekł Aleksander. – Pochodzę z Krasnodaru nad Morzem Czarnym.

– Właśnie – wtrącił Dmitrij. – Z Krasnodaru. Byłaś tam?

– Nie – odrzekła. – Nigdzie nie byłam.

Dmitrij zerknął na Aleksandra. Ten dźwignął skrzynki.

– Chodźmy – rzucił krótko.

Za cerkwią przeszli na drugą stronę Prospektu Greckiego. Tatiana była tak pogrążona w myślach – jak się z nim spotkać, jak się z nim umówić? – że nie zauważyła nawet, iż minęli jej dom. Zorientowała się dopiero kilkaset metrów dalej, gdy dochodzili do skrzyżowania z Suworowa. Przystanęła.

– Chcesz odpocząć? – spytał Aleksander.

– Nie – odrzekła, z trudem panując nad głosem. – Minęliśmy mój dom.

– Jak to? – wykrzyknął Dmitrij. – Niemożliwe.

– Po prostu minęliśmy, i tyle. Mieszkam na tamtym rogu.

Aleksander z uśmiechem spuścił głowę. Powoli zawrócili.

– To na drugim piętrze – powiedziała, otwierając frontowe drzwi. – Dacie radę?

– A mamy jakiś wybór? – wysapał Dmitrij. – Jest tu winda? Na pewno nie, zgadłem? To nie Ameryka, co, Aleks?

– Ano nie – odrzekł Aleksander.

Szli schodami przed Tatianą. Nawet dźwigając skrzynki z zapasami, byli o wiele szybsi od niej.

– Dziękuję – szepnęła za plecami Aleksandra. Mówiła głównie do siebie, a właściwie tylko myślała. A że myślała za głośno… Cóż, bywa.

– Nie ma za co – odrzekł, nie odwracając głowy.

Potykając się, parła przed siebie.

Otwierając drzwi do mieszkania, modliła się w duchu, żeby nie spotkali szalonego Sławina, żeby nie leżał jak długi na środku korytarza. Tym razem modlitwy pozostały bez echa. Sławin, chudy jak wąż, cuchnący, z głową porośniętą długimi, tłustymi, wiecznie rozczochranymi włosami, leżał na podłodze. Nogi miał w pokoju, tors na korytarzu.

– Znowu wyrywał sobie włosy – szepnęła Tania.

– Żeby tylko to – odszepnął idący tuż za nią Aleksander. – Myślę, że jeszcze z nim gorzej.

Sławin warknął, jęknął, przepuścił Tatianę, chwycił Aleksandra za nogę i wybuchnął histerycznym śmiechem.

– Puśćcie, towarzyszu – powiedział Dmitrij, przygniatając mu rękę butem.

– Zostaw – wtrącił się Aleks, odpychając go łokciem. – Dam sobie radę.

Sławin zapiszczał z uciechy i jeszcze mocniej przywarł do cholewy buta.

– Nasza Tanieczka przyprowadziła do domu przystojnego żołnierza! – wrzasnął. – Przepraszam, dwóch przystojnych żołnierzy! Co na to twój ojciec, Tanieczko? Pochwali cię? Oj, chyba nie. Na pewno nie. Nie lubi, jak przyprowadzasz do domu chłopców. Powie, że dwóch to dla ciebie za dużo. Powie, oddaj jednego siostrze, Tanieczko, słodyczy ty moja! – I roześmiał się jak obłąkany.

Aleksander wyszarpnął nogę. Sławin chciał chwycić za but Dmitrija, ale spojrzał mu w oczy i natychmiast cofnął rękę.

– Tak! – krzyknął, gdy go minęli. – Tak, Tanieczko, zabierz ich do domu! I przyprowadź następnych! Przyprowadź wszystkich, bo za trzy dni umrą. Bo za trzy dni zastrzeli ich towarzysz Hitler, dobry przyjaciel towarzysza Stalina!

– Był na wojnie – wyjaśniła z ulgą Tatiana. – Kiedy jestem sama, nie zwraca na mnie uwagi.

– Mam co do tego pewne wątpliwości – odparł Aleksander.

Tania spiekła raka.

– Naprawdę. Ma nas dość, bo my nie zwracamy uwagi na niego.

Aleks nachylił się ku niej i szepnął:

– Czyż życie w komunalnym mieszkaniu nie jest wspaniałe?

To ją zaskoczyło.

– A można mieszkać gdzie indziej?

– Nie – odrzekł. – I właśnie dzięki temu, że mieszkamy razem, szybciej uzdrowimy

nasze egoistyczne, burżuazyjne dusze.

– Towarzysz Stalin też tak mówi! – wykrzyknęła Tatiana.

– Wiem – powiedział Aleksander, z trudem zachowując powagę. – To był cytat.

Powstrzymując śmiech, Tania stanęła przed drzwiami, spojrzała na nich i podniecona westchnęła.

– Dobrze. Jesteśmy na miejscu. – Nacisnęła klamkę. – Wejdź, Aleksandrze.

– Ja też mogę? – spytał wesoło Dmitrij.

– Zapraszam.

Rodzice siedzieli przy dużym, okrągłym stole u dziadków. Tatiana zajrzała do pokoju i zawołała:

– Już jestem!

Nikt nawet na nią nie spojrzał.

– Gdzie byłaś? – spytała apatycznie mama; równie dobrze mogła spytać: „chcesz jeszcze chleba?".

– Mamo, tato! Spójrzcie tylko, ile kupiłam jedzenia.

Tata zerknął na nią znad kieliszka wódki.

– Dobrze, córeczko. – Powiedział to tak, jakby wróciła z pustymi rękami.

Tania cichutko westchnęła i zerknęła na stojącego w korytarzu Aleksandra. A cóż to za mina? Czyżby jej współczuł? Nie, to nie współczucie. To coś… cieplejszego.

– Postaw to i chodź – szepnęła. Weszła do pokoju i nie potrafiąc ukryć podekscytowania, przedstawiła im gości. – Mamo, tato, babciu i dziadku. To jest Aleksander.

– I Dmitrij – dodał szybko Dima, jakby Tania o nim zapomniała.

– I Dmitrij – dokończyła Tatiana.

Rodzice i dziadkowie uścisnęli im ręce, gapiąc się z niedowierzaniem to na Aleksa, to na dziewczynę. Mama i tata pozostali przy stole, na którym stała butelka wódki i dwa kieliszki, natomiast dziadek i babcia przesiedli się na sofę, żeby zrobić wojskowym miejsce. Są smutni, pomyślała Tania. Piją za Paszkę i zagryzają korniszonami.

Tata wstał.

– Dobrze się sprawiłaś, Taniu. Jestem z ciebie dumny. – Skinął na Aleksandra i Dmitrija. – Chodźcie. Napijcie się po kieliszku.

Aleksander grzecznie pokręcił głową.

– Dziękuję, ale wieczorem mam służbę.

– Mów za siebie – rzucił Dmitrij, podchodząc do stołu.

Tata zmarszczył czoło. Nie chce się napić? A cóż to za mężczyzna? Aleksander miał pewnie powody, żeby odmówić, lecz Tania wiedziała, że właśnie dlatego ojcu bardziej spodoba się Dmitrij. Ot, niby nic nie znacząca drobnostka, a zapadała w pamięć na zawsze. Ale za to, że Aleksander odmówił, polubiła go jeszcze bardziej.

– Mleka pewnie nie kupiłaś – powiedziała mama.

– Nie, tata nie kazał.

– Skąd pochodzisz, chłopcze? – spytała ojciec.

– Z Krasnodaru – odrzekł Aleksander.

Tata pokiwał głową.

– Mieszkałem tam w młodości. Ale mówisz tak, jakbyś stamtąd nie pochodził.

– Ale pochodzę – odparł łagodnie Aleks.

– Aleksandrze – przerwała im Tatiana, żeby zmienić temat. – Może zrobić ci herbaty? Zaraz zaparzę.

Podszedł tak blisko, że zabrakło jej tchu.

– Nie, dziękuję, Taniu – odrzekł ciepło. – Mogę zostać tylko chwilę, zaraz wracam do koszar.

Tatiana zdjęła sandały.

– Przepraszam, ale moje stopy… – Uśmiechnęła się. Dzielnie udawała, że nic jej nie jest, tymczasem na dużym i małym palcu miała krwawiące pęcherze.

Aleksander zerknął na nie, pokręcił głową, podniósł wzrok i w jego migdałowych oczach ponownie zagościło to dziwne coś.

– Boso jest lepiej – szepnął.

Do pokoju weszła Dasza. Zatrzymała się w progu i spojrzała na gości.

Wyglądała zdrowo i promiennie. Tatiana zdała sobie sprawę, że siostra wygląda zbyt zdrowo i zbyt promiennie, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Dasza radośnie wykrzyknęła:

– Aleksander! Co ty tu robisz?

Nawet nie zerknęła na zaskoczoną Tanię, która popatrzyła na Aleksa i spytała:

– Znasz moją… – i urwała, widząc jego twarz. Malował się na niej smutek i wyrzuty sumienia.

Tatiana spoglądała to na niego, to na siostrę. Czuła, że blednie, i to na wylot. Boże, tylko nie to, tylko nie to. Jak to możliwe?

Aleksander miał twarz bez wyrazu. Nie patrząc na Tatianę, uśmiechnął się swobodnie do Daszy i odrzekł:

– Tak, znamy się.

– I to jeszcze jak! – Dasza roześmiała się głośno i uszczypnęła go w rękę. – Co ty tu robisz?

Tania rozejrzała się po pokoju, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył to samo co ona. Dmitrij jadł ogórek. Dziadek miał na nosie okulary i czytał gazetę. Tata pił. Mama otwierała pudełko ciasteczek, a babcia drzemała. Nie, nikt niczego nie widział.

– Panowie przyszli z Tanią – wyjaśniła mama. – Przynieśli jedzenie.

– Naprawdę? – Lekko zaciekawiona Dasza spojrzała na Aleksandra. – Skąd znasz moją siostrę?

– Poznaliśmy się przypadkowo, w autobusie.

– Wpadliście na siebie? Ot tak, po prostu? Niesamowite! To przeznaczenie! – Ponownie uszczypnęła go w ramię.

– Usiądźmy – zaproponował Aleksander. – Chyba się jednak napiję. – Podszedł do stołu, one zaś zostały przy drzwiach.

Dasza nachyliła się do siostry.

– To ten, o którym ci mówiłam! – szepnęła głośno, wyobrażając sobie, że nikt nie słyszy.

– Jaki „ten”?

– Ten, o którym opowiadałam ci rano – syknęła Dasza.

– Rano?

– Ty co? Ogłuchłaś? To ten!

Tatiana wszystko rozumiała. I bynajmniej nie ogłuchła. Żadnego ranka nie było. Było tylko czekanie na autobus i Aleksander.

– Ach tak… – mruknęła, nie chcąc wiedzieć, co czuje. Była zbyt wstrząśnięta.

Dasza usiadła. Oczywiście obok Aleksandra. Zerknąwszy smutno na jego plecy, Tatiana poszła schować zapasy.

– Tanieczko – zawołała mama. – Tylko poukładaj wszystko, jak trzeba, a nie po swojemu.

– Poproszę do szklanki – powiedział Aleksander. – Szkoda kieliszka.

– To rozumiem – pochwalił go ojciec. – Napijmy się. Za nowych przyjaciół.

– Za nowych przyjaciół – powtórzyli chórem pozostali.

– Taniu! – zakrzyknął Dmitrij. – Chodź, wzniesiesz z nami toast.

Tatiana wróciła do pokoju, ale tata powiedział: nie, córka jest za młoda, żeby pić. Dmitrij go przeprosił, Dasza oświadczyła, że wypije za siebie i za siostrę, na co ojciec odrzekł: „Jakbyś nigdy w życiu nie piła", i wszyscy wybuchnęli śmiechem, prócz babci, która usiłowała drzemać, i Tani, która pragnęła, żeby ten dzień natychmiast się skończył.

Wyszła na korytarz i skrzynka po skrzynce przeniosła wszystkie zakupy do kuchni. Gdy chodziła tam i z powrotem, do ucha wpadały jej strzępy rozmów.

– Trzeba przyspieszyć prace przy umocnieniach.

– I przerzucić wojsko na granice.

– Musimy poprawić stan naszych lotnisk. I ustawić działa na wysuniętych pozycjach. A wszystko już, natychmiast.

Trochę później ojciec powiedział:

– Tania? Nasza Tania pracuje w Zakładach Kirowa. Właśnie skończyła szkołę, i to rok przed czasem! W przyszłym roku chce pójść na uniwersytet. Patrząc na nią, nigdy byś nie powiedział, że skończyła szkołę rok przed czasem. Mówiłem już o tym czy nie?

Tatiana posłała mu uśmiech.

– Nie wiem, dlaczego chce pracować u Kirowa – powiedziała mama. – To tak daleko, na drugim końcu miasta. Jak ona sobie poradzi?

– No pewnie, że nie poradzi – warknął tata. – Niby jak ma sobie poradzić? Odkąd się urodziła, wszystko za nią robisz.

– Tania! – krzyknęła mama. – Jak już tam jesteś, to pozmywaj naczynia z obiadu, dobrze?

Tatiana poukładała worki i poustawiała puszki. Nosząc skrzynki, zaglądała do pokoju, żeby zerknąć na plecy Aleksandra. Karelia i Finowie, Finowie i granice, czołgi i przewaga w uzbrojeniu, uzbrojenie i zdradliwe, bagniste lasy, w których trudno się utrzymać, tysiąc dziewięćset czterdziesty i wojna z Finlandią, wojna z Finlandią i…

Gdy z pokoju wyszli Aleksander, Dasza i Dmitrij, była w kuchni.

Aleksander nawet na nią nie spojrzał. Jakby był rurą wodociągową pełną wody, i jakby Tania zakręciła wmontowany w nią kran.

– Pożegnaj się, już wychodzą – powiedziała Dasza.

Tatiana żałowała, że nie jest niewidzialna.

– Do widzenia – rzuciła z daleka, wycierając utytłane mąką ręce w białą sukienkę z różami. – Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

– Odprowadzić cię? – Dasza wzięła Aleksandra pod rękę.

Dmitrij podszedł do Tani i spytał, czy może ją kiedyś odwiedzić. Może powiedziała tak, może tylko kiwnęła głową. Ledwo go słyszała.

– Miło było cię poznać, Taniu. – To on, Aleksander.

– Wzajemnie. – To jej głos czy nie jej? Chyba jednak nie jej.

Wyszli, a ona została. Do kuchni zajrzała mama.

– Ten oficer zapomniał czapki.

Tania wzięła czapkę, ale zanim zdążyła wyjść na korytarz, do kuchni wrócił Aleksander. Był sam.

– Zapomniałem…

Tatiana spuściła głowę i bez słowa podała mu czapkę.

Wyciągnął rękę i musnął palcami jej dłoń. Musnął i lekko przytrzymał. Podniosła oczy i spojrzała na niego ze smutkiem. Co zrobiłaby na jej miejscu dorosła kobieta? Bo jej chciało się płakać. Mogła tylko przełknąć ból i udawać dorosłą.

– Przepraszam – szepnął tak cicho, że chyba źle go usłyszała. Potem odwrócił się i wyszedł.

Matka patrzyła na nią ze zmarszczonym czołem.

– Co ty robisz? – spytała.

– Ciesz się, że kupiłam jedzenie – odparła Tatiana i zaczęła robić sobie kanapkę. Posmarowała masłem kawałek chleba, w posępnym osamotnieniu zjadła połowę, nagle zerwała się z krzesła i resztę wyrzuciła.

Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Ani w kuchni, ani w korytarzu, ani w sypialni. Chciałaby mieć swój pokoik, gdzie mogłaby zapisywać różne rzeczy w pamiętniku.

Lecz pokoiku nie miała, skutkiem czego nie miała też pamiętnika. Z książek wiedziała, że pamiętnik powinien zawierać intymne, osobiste wynurzenia. Cóż, w jej świecie nie było intymnych słów. A intymne myśli trzymało się w głowie, nawet jeśli leżało się w łóżku z kimś tak bliskim jak rodzona siostra. Zresztą miała takie myśli pierwszy raz w życiu. Lew Tołstoj, jeden z jej ulubionych pisarzy, prowadził pamiętnik jako chłopiec, jako dorastający młodzieniec i jako młody mężczyzna. Ale jego pamiętnik był przeznaczony dla tysięcy czytelników. Ona prowadziłaby zupełnie inny. Taki, w którym mogłaby zapisać imię Aleksandra i nikomu go nie pokazać. Pragnęła mieć pokój, w którym mogłaby wypowiedzieć to imię na głos i nikt by jej nie usłyszał.

Aleksander.

Zamiast do sekretnego pokoiku, wróciła do wspólnego pokoju, usiadła obok matki i zjadła herbatnika.

Rodzice rozmawiali o pieniądzach, których Dasza nie zdołała pobrać z zamkniętego banku, i o ewakuacji. O Paszy nie mówili, no bo jak mogli mówić o Paszy, a Tatiana ani słowem nie wspomniała o Aleksandrze, bo przecież nie wypadało. Ojciec mówił też o Dmitriju, o tym, że przystojny z niego mężczyzna. Tania siedziała cicho przy stole, zbierając swe nastoletnie siły. Wróciła Dasza. Wróciła i gestem ręki zaprosiła ją do drugiego pokoju. Tatiana posłusznie poszła za siostrą. Dasza odwróciła się na pięcie i spytała:

– No i co?

– Co no i co? – mruknęła znużonym głosem Tania.

– Co o nim myślisz?

– Jest miły.

– Miły? Przestań. Nie mówiłam? Nigdy w życiu nie widziałaś przystojniejszego chłopaka.

Tania zdołała wykrzesać z siebie słaby uśmiech.

– Miałam rację? – pytała wesoło Dasza. – Miałam?

– Miałaś.

– To niesamowite, żeście się spotkali. Cóż za dziwny zbieg okoliczności!

– Prawda? – rzuciła apatycznie Tatiana. Miała ochotę uciec z pokoju, lecz podekscytowana siostra blokowała drzwi, bezwiednie prowokując ją do kłótni, tymczasem ona nie miała na kłótnię ochoty, ani na dużą, ani nawet na małą. Po prostu stała i milczała. Jak zawsze. Dasza była siedem lat starsza. Była silniejsza, mądrzejsza,

zabawniejsza i ładniejsza. Dlatego zawsze wygrywała. Tatiana usiadła na łóżku.

Siostra przysiadła obok niej.

– A co myślisz o Dmitriju? Podoba ci się?

– Nie wiem, chyba tak. Nie martw się o mnie, Daszka.

– A kto się martwi? – Potargała jej włosy. – Daj mu szansę. Chyba mu się spodobałaś – dodała jakby ze zdziwieniem. – Pewnie przez tę sukienkę.

– Na pewno. Słuchaj, jestem zmęczona. To był długi dzień.

Dasza położyła jej rękę na ramieniu.

– Aleksander mi się podoba – powiedziała. – Podoba mi się tak bardzo, że… że nie umiem tego wyrazić.

Tatianę przeszedł zimny dreszcz. Spotkała go, jechała z nim i szła, uśmiechała się do niego i, doszczętnie rozbita, dopiero teraz zdała sobie sprawę, że siostra traktuje tę znajomość bardzo poważnie, że nie jest to kolejny flirt, który za kilka dni skończy się na schodach Peterhofu albo w Ogrodach Admiralicji. Tym razem nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Nie musisz się tłumaczyć, Dasza.

– Pewnego dnia wszystko zrozumiesz.

Tania zerknęła na nią kątem oka, otworzyła usta i… Minęła sekunda, minęły dwie.

Chciała powiedzieć: Daszo, ale on przeszedł na drugą stronę ulicy dla mnie.

To dla mnie wsiadł do autobusu, to dla mnie pojechał na przedmieścia Leningradu.

Nie, nie mogła jej tego zrobić. Była jej młodszą siostrą.

Chciała powiedzieć: Daszka, miałaś ich na pęczki. W każdej chwili możesz mieć kolejnego. Jesteś czarująca, inteligentna i piękna, wszystkim się podobasz. Ale jego chcę mieć tylko dla siebie.

A jeśli będzie wolał mnie? Nie ciebie, tylko mnie? Co wtedy?

Siedziała i milczała. Nie była pewna, czy to wszystko prawda. Zwłaszcza to ostatnie. Bo czy to możliwe, żeby wolał ją niż zgrabną, ciemnowłosą Daszę? Może dla niej też przeszedł na drugą stronę ulicy? Może i dla niej jechał z drugiego końca miasta w ten piękny, jasny ranek, kiedy podnieśli mosty na Newie? Wciąż milczała. Nie miała nic do powiedzenia. Zamknęła usta. Szkoda słów. Żart. Co za potworny żart.

Dasza przyglądała się jej z zatroskaniem.

– Taniu, Dmitrij jest żołnierzem. Nie wiem, czy jesteś… czy jesteś gotowa na żołnierza.

– To znaczy?

– Nic, nic. Będziemy musiały cię trochę wystroić i podszkolić.

– Podszkolić? – powtórzyła Tatiana, czując, że serce grzęźnie jej w płucach.

– No wiesz, pogadamy, pomalujemy ci usta… – Dasza pociągnęła ją za włosy.

– Ale nie dziś, dobrze? Lecę z nóg.

I w białej sukience w szkarłatne róże zwinęła się na łóżku twarzą do ściany.

3

Aleksander szedł szybko Prospektem Ligowskim.

Przez kilka minut milczeli, wreszcie zasapany Dmitrij powiedział:

– Miła rodzina.

– Bardzo miła – odrzekł spokojnie Aleksander. Jemu tchu nie brakowało. Po prostu nie chciał rozmawiać z Dimą o Mietanowach.

– Pamiętam Daszę. – Dmitrij ledwo za nim nadążał. – Widziałem was w „Sadko".

– Tak.

– Ale jej siostrzyczka… Ładniutka jest, co?

Aleksander nie odpowiedział.

– Gieorgij Wasiljewicz mówi, że ma prawie siedemnaście lat. – Dima pokręcił głową. – Siedemnaście lat! Pamiętasz, co robiłeś, kiedy miałeś siedemnaście lat?

Aleksander nie zwolnił kroku.

– Aż za dobrze. – Wolałby nie pamiętać. Wolałby mieć siedemnaście lat mniej.

Dmitrij nie dawał za wygraną.

– Co? Nie słyszałem.

– Pytam – powtórzył cierpliwie Dima – czy według ciebie to młoda siedemnastka, czy stara?

– Dla ciebie na pewno za młoda – odparł chłodno Aleksander.

Dmitrij zamilkł.

– Jest bardzo ładna – rzekł po chwili.

– Tak, ale dla ciebie za młoda.

– A co ci do tego? Ty znasz starszą, ja poznam młodszą. – Dima zachichotał. – Czemu nie? Moglibyśmy pójść na mały czworokącik. Dwóch przyjaciół i dwie siostrzyczki. Co ty na to? Jest w tym pewna symetria…

– Dima – przerwał mu Aleksander. – A co z Jeleną? Mówiła mi, że jej się podobasz. Mogę ci ją przedstawić, choćby za tydzień.

Dmitrij machnął ręką.

– Naprawdę z nią gadałeś? – Parsknął śmiechem. – Nie. Takich jak Jelena mogę mieć na pęczki. Zresztą może być i Jelena, proszę bardzo. Nie, nie, Tatiana jest inna. – Z uśmiechem zatarł ręce.

Na twarzy Aleksandra nie drgnął ani jeden mięsień. Oczy były nieruchome, usta lekko rozchylone, czoło bez jednej zmarszczki. Poruszały się tylko nogi. Szybciej, szybciej, jeszcze szybciej.

Dmitrij truchtał za nim.

– Zaczekaj. Wiesz, jeśli chodzi o Tanię… Chciałem cię tylko spytać, czy nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ skąd – odrzekł z kamiennym spokojem Aleksander. – Co mi do tego?

– Jasne! – Dima klepnął go w plecy. – Dobry z ciebie człowiek. Szybkie pytanko: chcesz, żebym zorganizował coś na…

– Nie!

– Całą noc będziesz na służbie. Zabawimy się. Albo to pierwszy raz?

– Nie. Nie dzisiaj. – Przyspieszył kroku. – I już nigdy więcej.

– Ale…

– Spóźnię się. Muszę lecieć biegiem. Do zobaczenia w koszarach.

Toń

1

Obudziła się wczesnym rankiem i natychmiast stanął jej przed oczami obraz twarzy Aleksandra. Do Daszy się nie odezwała. Próbowała na nią nie patrzeć, ale ta, wychodząc z pokoju, rzuciła:

– Wszystkiego najlepszego!

– Właśnie, wszystkiego najlepszego, Tanieczko – dodała mama, która też już wychodziła. – Nie zapomnij zamknąć drzwi.

Ojciec pocałował ją w czubek głowy.

– Twój brat też kończy dzisiaj siedemnaście lat.

– Wiem, tato.

Ojciec pracował jako hydraulik w miejskich zakładach wodociągowych. Mama była szwaczką w przyszpitalnym zakładzie krawieckim. Dasza asystentką dentysty. Pracowała u niego od dwóch lat, odkąd skończyła uniwersytet. Mieli ze sobą romans, ale kiedy romans się skończył, postanowiła u niego zostać, ponieważ lubiła tę pracę. Poza tym dobrze jej płacił i mało wymagał.

Tatiana pojechała do Kirowa i przesiedziała cały ranek na zebraniu załogi, wysłuchując patriotycznych przemówień. Kierownik wydziału, Siergiej Krasienko, spytał ją, czy chce wstąpić do Armii Pospolitego Ruszenia[5] i kopać rowy na południowym krańcu miasta. Rowy i okopy miały powstrzymać znienawidzonych Niemców.

Dzisiaj ich nienawidzili, wczoraj kochali. A jutro?

Wczoraj poznała Aleksandra.

Krasienko mówił i mówił. Wojsko miało doprowadzić do porządku umocnienia na północnym końcu miasta, te na granicy z Finlandią. Dowódcy Armii Czerwonej podejrzewali, że Finowie zechcą odzyskać Karelię. Karelia. Tatiana zastrzygła uszami. O tym samym mówił wczoraj Aleksander. Aleksander. Natychmiast oklapła. Jakby uszło z niej powietrze.

Kobiety słuchały, ale żadna z nich nie miała ochoty nigdzie wstępować. Żadna z wyjątkiem Tamary, tej z końca linii montażowej.

– Co mam do stracenia? – szepnęła, ochoczo zrywając się z krzesła. Tania podejrzewała, że Tamara po prostu się nudzi.

Przed obiadem dostała specjalne okulary, ochronny czepek na głowę i brązową kurtkę. Po obiedzie nie pakowała już noży, łyżek i widelców. Z taśmociągu schodziły teraz małe, cylindryczne pociski. Spadały tuzinami do małych, kartonowych pudełek, a ona wkładała te pudełka do dużych, drewnianych skrzyń.

O piątej zdjęła kurtkę i czepek, spryskała twarz wodą, związała włosy w kucyk i wyszła z fabryki na Prospekt Strajków, wzdłuż którego biegła wysoka na siedem metrów betonowa ściana, słynny Kirowski mur, ciągnący się przez piętnaście przecznic. Do przystanku miała tylko trzy.

A na przystanku czekał… Aleksander.

Zobaczyła go i - nic nie mogła na to poradzić – natychmiast się rozpromieniła. Przyłożyła rękę do serca, przystanęła, lecz gdy posłał jej uśmiech, zaczerwieniła się, wyprostowała, przełknęła to, co miała w gardle, i podeszła bliżej. Zauważyła, że jest bez czapki; trzymał ją w ręku. Żałowała, że tak niedokładnie umyła twarz.

W głowie kłębiły jej się tysiące ważkich słów, tymczasem teraz potrzebowała słów

prostych i niewinnych, takich, których używa się podczas rozmowy o niczym.

– Co ty tu robisz? – spytała nieśmiało.

– Prowadzimy wojnę z Niemcami – odrzekł. – Nie mam czasu na udawanie.

Chciała coś powiedzieć, coś, cokolwiek, żeby tylko przerwać ciszę. Więc powiedziała:

– Ach tak…

– Wszystkiego najlepszego.

– Dziękuję.

– Robisz coś… wieczorem?

– Nie wiem. Dziś poniedziałek, wszyscy będą zmęczeni. Zjemy kolację. Coś wypijemy. – Westchnęła. W innym świecie pewnie zaprosiłaby go na kolację albo na przyjęcie. W innym, ale nie w tym.

Czekali. Wraz z nimi czekali szarzy, przygnębieni ludzie. Ona nie była przygnębiona. Spojrzawszy na tłumek mężczyzn i kobiet, pomyślała: czy ja też bym tak wyglądała, gdybym stała tu sama i czekała na autobus, jak oni?

Czy właśnie tak będę wyglądała przez wszystkie dni, które pozostały mi do końca życia?

A potem pomyślała: wybuchła wojna. Jak się to życie teraz zmieni?

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Twój ojciec mówił, że pracujesz u Kirowa. Zaryzykowałem i przyszedłem na najbliższy przystanek.

– Dlaczego? – spytała wesoło. – Czyżbyśmy byli skazani na komunikację miejską?

– My w sensie Rosjanie, czy ty i ja? – spytał z uśmiechem.

Zaczerwieniła się i spuściła oczy. Nadjechała dwudziestka, mogąca pomieścić dwadzieścia parę osób. Wsiadło ponad trzydzieści. Aleksander i Tatiana zostali.

– Chodź, pójdziemy piechotą – powiedział, popychając ją lekko w stronę muru.

– Ale dokąd?

– Do domu. Chcę z tobą porozmawiać.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Do domu? To osiem kilometrów. – Zerknęła na swoje buty.

– Dzisiaj masz wygodne? – spytał, nie przestając się uśmiechać.

– Tak, dziękuję – odrzekła, przeklinając siebie w duchu. Zachowywała się jak mała dziewczynka.

– Wiesz co? – zaproponował. – Przejdźmy do Goworowa i wsiądźmy do jedynki. Dasz radę? To niedaleko. Wszyscy czekają na autobus albo na trolejbus, a my pojedziemy tramwajem.

Myślała chwilę.

– Tramwaj do mnie nie dojeżdża.

– Nie, ale przy Dworcu Warszawskim przesiądziesz się do szesnastki i wysiądziesz na rogu Greckiego i Piątej Radzieckiej. Możemy też przesiąść się razem do dwójki. Ja wysiądę przed koszarami, a ty przed muzeum. – Zamilkł. – Albo iść piechotą.

– Osiem kilometrów to dla mnie za dużo – zdecydowała. – Nawet w wygodnych butach. Nie, chodźmy do tramwaju. – Już wiedziała, że przy żadnym dworcu nie wysiądzie. Miałaby wysiąść i jechać dalej sama? Nie.

Czekali dwadzieścia minut, ale tramwaju jak nie było, tak nie było. Trudno. Zgodziła się przejść kilka kilometrów do szesnastki. Ulica Goworowa skręcała w ulicę Szkapina, potem meandrowała na północ i wychodziła na Kanał Obwodowy.

Nie chciała wsiadać do swego tramwaju. Nie chciała, żeby on wsiadał do swego. Tylko

jak mu to powiedzieć? Musiała też o coś go zapytać. Nigdy się z niczym nie wychylała. Zawsze szukała najtaktowniejszych słów, a ponieważ nie ufała zasadom etykiety, które huśtały jej się w głowie niczym dziesiątki wahadeł, najczęściej po prostu milczała, co odbierano jako oznakę bolesnej nieśmiałości lub wyniosłości. Dasza nie miała takich kłopotów. Dasza mówiła to, co przychodziło jej do głowy.

Tania czuła, że powinna bardziej zaufać wewnętrznemu głosowi. A głos ten aż w niej dudnił.

Chciała spytać Aleksandra o Daszę. Już otwierała usta, gdy wtem…

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Pomyślisz, że jestem arogancki, ale… – I znowu zamilkł.

– Skoro uważasz, że jesteś, to pewnie jesteś – odrzekła łagodnie.

Aleksander wciąż milczał.

– Mimo to możesz mi powiedzieć – dodała.

– Musisz porozmawiać z ojcem, Tatiano. Niech pojedzie do Tołmaczewa i ściągnie Paszę do domu.

W tej samej chwili po drugiej stronie ulicy zobaczyła bogato zdobiony fronton Dworca Warszawskiego. Pomyślała, jak by to było cudownie, gdyby mogła pojechać do Warszawy, do Lublina, do Świętokrestu, a tu nagle masz: Pasza i Tołmaczewo.

Tego się nie spodziewała. Chciała porozmawiać o czymś innym, tymczasem on mówił o Paszy, którego nawet nie znał.

– Dlaczego? – spytała w końcu.

Nie odpowiedział od razu.

– Ponieważ istnieje niebezpieczeństwo, że Tołmaczewo wpadnie w ręce Niemców.

– Co ty mówisz? – Nic z tego nie rozumiała, a nawet gdyby rozumiała, po prostu nie chciałaby zrozumieć. Nie miała ochoty się denerwować. Była zbyt szczęśliwa, że Aleksander przyszedł do niej nieproszony, z własnej woli. Mimo to w jego głosie pobrzmiewała dziwna, trochę niepokojąca nutka: Pasza, Tołmaczewo, Niemcy – trzy słowa wypowiedziane chłodnym tonem przez człowieka, którego prawie nie znała. Przejechał taki szmat drogi, żeby ją ostrzec? Przed czym?

– Ale ja? Co ja mogę? – spytała.

– Porozmawiaj z ojcem. Niech sprowadzi Paszę do domu. Po co go tam wysyłał? Dla bezpieczeństwa? – Aleksander zadrżał. Przez twarz przemknął mu mroczny cień.

Patrzyła na niego. Uważnie go obserwowała, czekając, aż powie coś więcej, aż wszystko jej wyjaśni. Lecz wyjaśnienia nie było. Ani wyjaśnienia, ani nawet słów.

Odchrząknęła.

– Tam są obozy dla chłopców. Dlatego go wysłaliśmy.

Kiwnął głową.

– Wiem. Bardzo wielu leningradczyków wysłało tam swoich synów. – Miał nieprzeniknioną twarz.

– Przecież Niemcy są na Krymie. Sam towarzysz Mołotow tak mówił. Nie słuchałeś przemówienia?

– Tak, na Krymie, ale nasze europejskie granice mają dwa tysiące kilometrów długości, a na każdym metrze tych granic stoją niemieckie wojska. Są wszędzie, Taniu, na południe od Bułgarii i na północ od Polski… – Urwał. Tatiana milczała. – Najbezpieczniejszym miejscem dla Paszy jest Leningrad. Przynajmniej na razie.

– Skąd ta pewność? – spytała sceptycznie Tania. I z ożywieniem dodała: – W takim razie dlaczego w radiu mówią, że Armia Czerwona jest najpotężniejsza w świecie? Mamy

czołgi, mamy samoloty, artylerię i karabiny. W radiu mówią co innego – zakończyła z naganą w głosie.

Aleksander pokręcił głową.

– Taniu, Taniu, Taniu…

– Co, co, co? – odparła, a on omal się nie roześmiał, chociaż twarz miał bardzo poważną. Niewiele brakowało i ona też by się roześmiała, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Taniu, ledwie dwadzieścia kilometrów za miastem przebiega granica z Finlandią. Od wielu lat jest to granica wroga, tak wroga, że rzuciliśmy tam niemal wszystkie siły, zapominając, że granice południowe są praktycznie nie obstawione. I właśnie w tym tkwi całe niebezpieczeństwo.

– Skoro tak, to dlaczego wysyłasz Dmitrija na północ? Przecież, według ciebie, nic się tam nie dzieje.

Aleksander długo milczał.

– Wysyłam go na zwiad – odrzekł w końcu i Tania wyczuła, że coś przed nią ukrywa. – Chcę tylko powiedzieć, że większość naszych sił obronnych skupiliśmy na północy. Natomiast na południowym i południowo-zachodnim krańcu miasta nie ma ani jednej dywizji, ani jednego pułku, ani jednej jednostki. Rozumiesz?

– Nie – odrzekła zadziornie.

– Porozmawiaj z ojcem o Paszy – powtórzył.

Zamilkli, idąc ramię w ramię cichymi ulicami. Słońce było zamglone, liście na drzewach nieruchome i tylko oni, Aleksander i Tania, szli leniwie w letnim upale. Przed każdym skrzyżowaniem zwalniali kroku, wbijali wzrok w chodnik albo spoglądali na tabliczkę z nazwą ulicy. Tatiana myślała: Boże, nie pozwól, żeby zaraz odszedł. A on? O czym myślał Aleksander?

– Posłuchaj… – zaczął. – Przepraszam za wczorajsze. Nic nie mogłem na to poradzić. Twoja siostra i ja… Nie wiedziałem, że to twoja siostra. Poznaliśmy się w „Sadko”…

– Wiem – przerwała mu Tatiana. – Oczywiście. Nie musisz się tłumaczyć. – Sam podniósł ten temat. To dobrze. To tyle znaczy.

– Muszę. Przepraszam, jeśli… jeśli cię zdenerwowałem.

– Nie, nie, wszystko w porządku. Dasza opowiadała mi o tobie. Wy… – Urwała. Chciała dodać, że zupełnie jej to nie przeszkadza, lecz słowa utkwiły w gardle. – Powiedz, jaki jest ten Dmitrij? Miły? Kiedy wraca z Karelii? – Powiedziała to ot tak, dla efektu? Chyba nie. Po prostu chciała zmienić temat.

– Nie wiem. Kiedy skończy inspekcję. Za kilka dni.

– Zmęczyłam się. Możemy wsiąść do tramwaju?

– Oczywiście – odrzekł powoli Aleksander. – Zaczekajmy na szesnastkę.

Odezwał się dopiero, gdy tramwaj ruszył.

– Tatiano, twoja siostra i ja… To nic poważnego. Powiem jej, że…

– Nie! – Krzyknęła tak głośno, że dwaj krępi mężczyźni, którzy siedzieli przed nimi, spojrzeli na nią z niemym zdziwieniem. – Nie – powtórzyła nieco ciszej, lecz nie mniej wojowniczo. – To niemożliwe. – Zasłoniła twarz rękami, po czym szybko je opuściła. – Dasza jest moją starszą siostrą, rozumiesz?

„Byłem jedynakiem”. Słowa te wibrowały jej w piersiach niczym dźwięk skrzypiec.

– Jedyną siostrą – dodała łagodniej. Zawahała się. – Dla niej to… to coś bardzo poważnego. – Czyż musiała mówić coś więcej? Sądząc po wyrazie jego twarzy, chyba tak. Myślała chwilę, wreszcie z wdziękiem wzruszyła ramionami. – Mogę mieć innych

chłopców, ale nigdy nie będę miała innej siostry.

A on powiedział tylko:

– Nie jestem chłopcem.

– W takim razie mężczyzną – wykrztusiła Tania. Ta rozmowa ją przerastała.

– Skąd wiesz, że będą inni?

Tatiana osłupiała, lecz mimo to konsekwentnie parła dalej.

– Bo mężczyźni stanowią połowę ludności świata, a moja siostra jest tylko jedna.

Ponieważ tego nie skomentował, niepewnie spytała:

– Lubisz Daszę, prawda?

– Tak – odrzekł cicho – oczywiście. Ale…

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– W takim razie załatwione. Nie musimy już o tym rozmawiać. – Powiedziała to z ciężkim sercem i ciężko westchnęła.

On też westchnął, choć nieco ciszej.

– Nie – odrzekł. – Chyba nie.

– No i dobrze. – Tania spojrzała w okno.

Ilekroć zastanawiała się nad swoim przyszłym, dorosłym życiem, zawsze myślała o dziadku, o godności, z jaką egzystował w tym szarym świecie. Dziadek mógłby być, kim by tylko zechciał, ale postanowił zostać nauczycielem. Nie wiedziała, czy to nauczanie surowych, logicznych absolutów kazało mu dostrzegać w życiu tylko barwy czarne i białe, czy też kazał mu je dostrzegać jego swoisty charakter, lecz bez względu na to, jak było naprawdę, Tatiana zawsze go podziwiała. Ilekroć pytano ją, kim chce zostać, kiedy dorośnie, niezmiennie odpowiadała: „Chcę być taka jak mój dziadek”.

Wiedziała, co zrobiłby na jej miejscu. Na pewno nie złamałby serca rodzonej siostrze.

Tramwaj minął plac Powstania i skręcił w Grecki. Aleksander poprosił ją, żeby wysiadła kilka przystanków wcześniej, koło szpitala na rogu Drugiej Radzieckiej i Prospektu.

– Widzisz ten wielki budynek z czerwonej cegły? – spytała. – To szpital. Tam się urodziłam.

Aleksander szedł obok niej.

– Powiedz, spodobał ci się Dmitrij?

Upłynęło co najmniej kilkanaście sekund, zanim to sobie przemyślała.

Jakiej odpowiedzi się spodziewał? Wypytywał w swoim imieniu czy w imieniu Dmitrija? Co mu odpowiedzieć? Gdyby pytał w imieniu Dimy i gdyby powiedziała „nie”, zraniłaby uczucia jego najlepszego przyjaciela, a tego nie chciała.

Gdyby pytał w imieniu swoim i gdyby powiedziała „tak”, zraniłaby jego, a tego też nie chciała. Co zrobiłaby na jej miejscu inna dziewczyna? Pewnie rozpoczęłaby jakąś grę, pewnie zwodziłaby go, kusiła i udawała.

Aleksander należał do Daszy. Czyjej młodsza siostra winna mu była szczerą odpowiedź?

Czy tej odpowiedzi chciał?

Tak, na pewno.

– Nie – odrzekła w końcu. Jego uczucia przede wszystkim.

Po twarzy Aleksandra poznała, że wyraźnie mu ulżyło.

– Ale Dasza mówi, że powinnam dać mu szansę. Myślisz, że powinnam?

– Nie – odparł bez namysłu.

Przystanęli na rogu Drugiej Radzieckiej i Prospektu Greckiego. Kilkaset metrów dalej

błyszczała w słońcu kopuła cerkwi. Tania nie mogła znieść myśli, że Aleksander zaraz odejdzie. Przyszedł do niej, poprosił o rzecz niemożliwą, ona mu odmówiła i bała się teraz, że już nigdy go nie zobaczy. Samego, tak jak teraz.

Nie, nie mogła pozwolić mu odejść. Jeszcze nie.

– Aleksandrze – spytała cicho, patrząc mu prosto w twarz. – Czy twoi… rodzice wciąż mieszkają w Krasnodarze?

– Nie – odrzekł. – Już nie.

Nie odwróciła głowy. Spojrzał jej w oczy.

– Taniu, jest tyle rzeczy, których nie mogę ci wyjaśnić, choć bardzo chcę.

– To wyjaśnij – odrzekła cicho, wstrzymując oddech.

– Pamiętaj jedno: to, co dzieje się w tej chwili w Armii Czerwonej, brak przygotowania i kompletna dezorganizacja, można zrozumieć tylko z perspektywy wydarzeń ostatnich czterech lat. Czy to dla ciebie jasne?

Tatiana znieruchomiała.

– Nie, wcale. Co to ma wspólnego z twoimi rodzicami?

Aleksander podszedł pół kroku bliżej, osłaniając ją przed promieniami zachodzącego słońca.

– Moi rodzice nie żyją. Matka zginęła w trzydziestym szóstym, ojciec w trzydziestym siódmym. Zostali zastrzeleni – szepnął. – Przez NKWD, przez funkcjonariuszy naszej pseudo-tajnej policji. Muszę już iść.

Musiała mieć zaszokowaną minę, bo z posępnym uśmiechem poklepał ją po ramieniu i powiedział:

– Nie martw się. Czasami bywa tak, że nadzieje się nie spełniają. Bez względu na to, co planujemy i jak bardzo sobie tego życzymy. Prawda?

– Tak – odrzekła, spuszczając oczy. Nie wiedzieć czemu, czuła, że Aleksander mówi nie tylko o swoich rodzicach. – Chcesz…

– Muszę iść. Do zobaczenia.

Chciała spytać, kiedy, lecz powiedziała tylko:

– Do zobaczenia.

Nie miała ochoty wracać do domu, do kuchni, do pokoju, do mieszkania. Chciała znowu jechać tramwajem, znowu być na przystanku, nawet w sklepie, na ulicy, gdziekolwiek, byle tylko nie siedzieć w domu bez niego.

Weszła do kamienicy, otępiała stanęła za drzwiami i bezwiednie kreśląc palcami ósemkę, zebrała siły na dalszą drogę. Na szczyt schodów i dalej. Znacznie dalej.

Z ciężkim sercem weszła na pierwszy stopień.

2

Rodzice i dziadkowie rozmawiali o wojnie. Nie było urodzinowej kolacji, było za to dużo wódki. I głośnych kłótni. Co z Leningradem? Gdy weszła do pokoju, ojciec i dziadek sprzeczali się na temat zamiarów Hitlera – jakby osobiście go znali. Mama chciała wiedzieć tylko jedno: dlaczego towarzysz Stalin nie przemówił do narodu. Natomiast Dasza zastanawiała się, czy warto dalej pracować.

– A niby co miałabyś robić? – warknął tata. – Spójrz na Tanię. Ma zaledwie siedemnaście lat i nie pyta, czy warto dalej pracować.

Wszyscy, łącznie z Daszą, spojrzeli posępnie na Tatianę.

Tania postawiła torebkę.

– Już skończyłam siedemnaście, tato. Dzisiaj.

– No właśnie! – wykrzyknął ojciec. – Co za zwariowany dzień. Wypijmy za zdrowie Paszy. I Tani – dodał po chwili.

Paszy wśród nich nie było i pokój jakby się skurczył.

Tatiana stała przy drzwiach, zastanawiając się, czy to odpowiednia chwila, żeby porozmawiać o bracie i o Tołmaczewie. Nikt nie zauważył, że podpiera ścianę, z wyjątkiem Daszy, która zerknęła na nią z sofy i spytała:

– Zjesz krupniku? Jest na płycie.

Tania uznała, że to dobry pomysł. Poszła do kuchni, nalała sobie dwie warząchwie zupy z kawałkami kurczaka i marchewką, przysiadła na parapecie i wyjrzała na podwórze. Krupnik stygł. Nie miała ochoty na nic gorącego. W środku płonęła.

Gdy wróciła do pokoju, matka pocieszała ojca.

– Wojna się szybko skończy. Do zimy będzie po wszystkim.

Tata w milczeniu pocierał mankiety koszuli.

– Napoleon też napadł na Związek Radziecki w czerwcu.

– Napoleon? – zapiszczała mama. – Gieorgiju Wasiljewiczu, a co ma z tym wspólnego Napoleon? Proszę. Błagam.

Tania otworzyła usta, żeby powiedzieć coś o Tołmaczewie, lecz w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że nie tylko nie jest pewna wiadomości, którą zamierzała przekazać swojej dojrzałej, wszechwiedzącej i nieznośnej rodzinie, ale że z pewnością będzie musiała im wyjaśnić, skąd zna plany Niemców.

Z pewnością? Z pewnością. Szybko zamknęła usta.

Tata siedział obok mamy, spoglądając na pusty kieliszek.

– Wypijmy jeszcze po jednym – wymruczał posępnie. – Za Paszę.

– Jedźmy do Ługi! – wykrzyknęła mama. – Na daczę, aby dalej od miasta!

Tania wzięła głęboki oddech. Czyż mogła przepuścić taką okazję?

– Może – wybełkotała nieśmiało, podziwiając własną bezczelność – może zaprosimy i Paszę?

Tata, mama, Dasza, dziadek i babcia popatrzyli na nią skonsternowani, jakby, po pierwsze, zdumiało ich to, że Tania umie mówić, i, po drugie, jakby mieli wyrzuty sumienia, że rozmawiają o dorosłych sprawach w obecności dziecka.

Mama wybuchnęła płaczem.

– Tak, sprowadźmy Paszę. Boże, przecież on ma dzisiaj urodziny, a siedzi tam sam jak palec.

Ja też mam dzisiaj urodziny, pomyślała Tatiana. Postanowiła wziąć kąpiel.

– Gdzie idziesz? – spytał tata.

– Do wody.

– Do wody? – warknęła mama. – Jak idziesz zmywać, to zabierz talerze.

– Nie idę zmywać. Idę się wykąpać. – Tania zebrała talerze i zaniosła je do kuchni.

Dasza wyszła. Tatiana nie wiedziała dokąd. Podejrzewała, że na spotkanie z Aleksandrem. Nigdy sobie nie współczuła i nie zamierzała współczuć sobie teraz. Było jej tylko przykro, że dziwny splot wydarzeń odmienił jej serce i że uczucie, które się w nim zalęgło, musiało zostać zduszone przez absurdalny wybryk losu. Ale litować się nad sobą? Wpuścić do serca tego złośliwego diabła? Przenigdy.

Zmusiła się do przeczytania kilku opowiadań Czechowa, których apatyczność zawsze ją uspokajała. Przy siódmym opowiadaniu, tym o dziewczynie siedzącej na ławce ze starszym panem, zawsze usypiała.

Czytając, słyszała, jak tata i dziadek sprzeczają się o wojnę. Według dziadka, wielu ludzi uważało, że tak, wojna to straszna rzecz, prawdziwa tragedia, lecz wojna może też ich wyzwolić. Ten nowy koszmar może im przynieść coś dobrego. Może uwolnić Rosję z bolszewickiego jarzma i dać narodowi szansę na nowe, normalne, ludzkie życie.

– Nic nas nie uwolni od bolszewickiego jarzma – wybełkotał tata, wyraźnie podpity.

Ojciec zawsze był pesymistą, a wódka tylko ten pesymizm pogłębiała.

Coś musiało dać im szansę na lepsze życie. Tylko co? Tego Tania nie wiedziała.

Wkrótce potem usnęła.

Za kwadrans druga obudził ją odgłos, którego nigdy dotąd nie słyszała: mroczną noc rozdzierało przeraźliwe wycie syren. Przerażona, głośno krzyknęła, a wówczas podszedł do niej ojciec i powiedział, że to nic, że to tylko alarm przeciwlotniczy. Spytała, czy musi wstać. Czyżby bombardowali ich Niemcy? Już?

– Śpij, Tanieczko, śpij – odrzekł tata, lecz jak mogła spać, gdy za oknem zawodziły syreny, a Daszy nie było w domu? Kilka minut później wycie ucichło, lecz Dasza wciąż nie wracała.

3

Na porannym zebraniu u Kirowa zawiadomiono ich, że w związku z wysiłkiem wojennym, który podejmowała cała ojczyzna, dzień pracy został przedłużony do siódmej wieczorem. Tak, aż do odwołania. Czyli do końca wojny, domyśliła się Tatiana. Krasienko poinformował robotników, że sekretarz moskiewskiego komitetu partii postanowił przyspieszyć produkcję czołgów KW-60, niezbędnych do obrony Leningradu. Powiedział, że żołnierze będą bronić miasta czołgami, armatami i amunicją wyprodukowaną u Kirowa. Że towarzysz Stalin nie przerzuci wojsk z frontu południowego, by wzmocnić te, które stacjonują na północy.

Dlatego musi im wystarczyć to, co wyprodukują tu, na miejscu.

Po tej masówce do wojska wstąpiło na ochotnika tyle osób, że Tania myślała, iż zamkną fabrykę. Niestety, nie zamknęli. Ona i jej koleżanka, znużona kobieta w średnim wieku imieniem Zina, wróciły na linię montażową.

Po południu zepsuł się pistolet do gwoździ i dali jej młotek. Do siódmej rozbolały ją plecy i ręka.

Szły wzdłuż muru Kirowskiego, lecz zanim dotarły do przystanku, Tania dostrzegła ciemnowłosą głowę Aleksandra górującą nad tłumem przechodniów.

– Muszę iść. – Natychmiast zabrakło jej tchu. Przyspieszyła kroku. – Do jutra.

Zina wymamrotała coś w odpowiedzi.

– Cześć – powiedziała Tania spokojnie, choć serce waliło jej jak młotem. – Co tu robisz? – Była zbyt zmęczona, żeby udawać. Posłała mu uśmiech.

– Cześć. Przyszedłem, żeby odprowadzić cię do domu. Jak tam urodziny? Dobrze się bawiłaś? Rozmawiałaś z rodzicami?

– Nie.

– Źle się bawiłaś czy nie rozmawiałaś?

– Nie, nie rozmawiałam – odrzekła, unikając tematu urodzin. – Może Dasza z nimi porozmawia? Jest odważniejsza ode mnie.

– Naprawdę?

– Tak, o wiele. Ja zawsze tchórzę.

– Próbowałem zagadnąć ją o Paszę, ale interesuje ją to jeszcze mniej niż ciebie. – Wzruszył ramionami. – Trudno, nie moja sprawa. Chciałem pomóc. – Spojrzał na czekający tłum. – Nie wciśniemy się. Chcesz się przejść?

– Ale tylko do najbliższego tramwaju. Ledwo żyję, lecę z nóg. – Poprawiła kucyk. – Długo czekasz?

– Dwie godziny – odparł i nagle poczuła się mniej zmęczona. Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Dwie godziny? – Chciała spytać: czekasz dwie godziny na mnie?! Ale oczywiście nie spytała. – Od dzisiaj pracujemy do siódmej. Przykro mi, że musiałeś tak długo tu stać – dodała cichutko.

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli w kierunku Goworowa.

– Po co to nosisz? – spytała, wskazując karabin. – Jesteś na służbie?

– Nie, zaczynam dopiero o dziesiątej, ale otrzymaliśmy rozkaz chodzenia z bronią.

– Już tu są? – rzuciła z udawaną wesołością Tania. – Nie, chyba jeszcze nie, prawda?

– Nie, jeszcze nie.

– Ciężki ten karabin?

– Nie. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Chciałabyś go ponieść?

– Tak. Zobaczmy. Nigdy w życiu nie trzymałam karabinu… – Był tak ciężki, że z trudem uniosła go oburącz. – Masz – powiedziała kilka kroków dalej. – Nie wiem, jak ty to robisz. Dźwigasz broń, te wszystkie rzeczy…

– Nie tylko ją dźwigam, ale i strzelam. Biegam, padam na ziemię, zrywam się, biegnę dalej, a na plecach mam ciężki chlebak.

– Nie wiem, jak wy to robicie. – Chciałaby być tak silna jak on. Pasza nie miałby z nią szans.

Nadjechał zatłoczony tramwaj. Wsiedli. Tatiana ustąpiła miejsca jakiejś staruszce, Aleksander w ogóle nie zamierzał siadać. Jedną ręką przytrzymywał się skórzanego uchwytu pod sufitem, drugą ściskał pasek karabinu. Tania chwyciła się na wpół przerdzewiałej poręczy. Ilekroć tramwaj hamował czy gwałtownie ruszał, wpadała na Aleksandra i za każdym razem go przepraszała. Pierś miał twardą jak mur Kirowski.

Chciałaby usiąść z nim gdzieś na uboczu i wypytać go o rodziców; w tramwaju rozmawiać nie mogli. Nie wiedziała tylko, czy warto, czy jeszcze bardziej się do niego nie zbliży, podczas gdy teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko o nim zapomnieć.

W milczeniu dojechali do Prospektu Wozniesieńskiego, tam złapali dwójkę i wysiedli przed muzeum.

– Muszę iść – powiedziała niechętnie.

Nagle spytał:

– Usiądziemy na chwilę? Przy Włoskiej są ławki, odpoczniemy. Chcesz?

– Dobrze. – Drobiła obok niego, pilnując się, żeby nie podskakiwać jak mała dziewczynka.

Gdy usiedli, wyczuła, że coś leży mu na sercu, że chce jej coś powiedzieć, lecz nie może. Oby tylko nie zaczął mówić o Daszy, pomyślała. Przecież mamy to już za sobą, prawda? Nie, ona niezupełnie, ale on jest starszy. On powinien się z tym pogodzić.

– Co to za budynek? – spytała. – Ten po drugiej stronie ulicy.

– Europejski. Europejski i Astoria to najlepsze hotele w mieście.

– Wygląda jak pałac. Kto tam mieszka?

– Tylko obcokrajowcy.

– Kilka lat temu tata był w Polsce i mówił, że w jego warszawskim hotelu mieszkali goście z Krakowa. Polacy! Wyobrażasz sobie? Długo mu nie wierzyliśmy. Jak to możliwe, żeby w warszawskim hotelu mieszkali Polacy? – Zachichotała. – To tak, jakbym ja wynajęła pokój w Europejskim.

Aleksander spojrzał na nią z rozbawieniem i zdziwieniem.

– Są na świecie takie miejsca, gdzie ludzie mogą podróżować dokąd tylko zechcą, po całym kraju.

Tania machnęła ręką.

– Pewnie tak, na przykład Polska. – Przełknęła ślinę i odchrząknęła. – Przykro mi z powodu twoich rodziców. – Łagodnie dotknęła jego ramienia. – Powiedz, jak to się stało. Proszę.

Aleksander wstrzymał oddech i z wyraźną ulgą wypuścił powietrze.

– Twój ojciec ma rację – odrzekł. – Nie jestem z Krasnodaru.

– Nie? A skąd?

– Słyszałaś może o Barrington?

– Nie. To jakieś miasto?

– Tak, w Massachusetts.

W Massachusetts? Chyba się przesłyszała.

– Massachusetts? – wyszeptała z oczami jak spodki. – W Ameryce?

– Tak, w Ameryce.

– Pochodzisz z Massachusetts w Ameryce? – powtórzyła.

– Tak.

Tania oniemiała. Dosłownie nie mogła mówić. Słyszała tylko ogłuszający i elektryzujący łomot własnego serca. Gdyby nie zacisnęła zębów, na pewno rozdziawiłaby usta.

– Nabierasz mnie – wykrztusiła w końcu. – Nie jestem aż taka naiwna.

Aleksander pokręcił głową.

– Nie, nie nabieram cię.

– Wiesz, dlaczego ci nie wierzę?

– Wiem. Myślisz pewnie, kto by chciał tu przyjeżdżać?

– Właśnie.

– Życie w komunie było dla nas wielkim rozczarowaniem. Przyjechaliśmy tu pełni nadziei, w każdym razie ojciec, i nagle okazało się, że nie ma pryszniców.

– Czego?

– Nieważne. A gorąca woda? Mieszkaliśmy w hotelu, ale nawet tam nie mogliśmy się wykąpać. Macie gorącą wodę?

– Oczywiście, że nie. Gotujemy wodę na płycie i w wannie dodajemy zimnej. A co sobotę chodzimy do publicznej łaźni. Jak wszyscy w Leningradzie.

Kiwnął głową.

– W Leningradzie, w Moskwie, w Kijowie, w całym Związku Radzieckim.

– I tak mamy szczęście. W dużych miastach jest bieżąca woda, a na prowincji nie mają nawet tego. Dziadek mi mówił.

– To prawda. Ale nawet w Moskwie spłuczki w ubikacjach działają tylko sporadycznie. I ten fetor. Moi rodzice i ja jakoś się przystosowaliśmy. Gotowaliśmy na drewnie i udawaliśmy, że jesteśmy Ingallsami.

– Kim?

– Rodziną Ingallsów. Byli traperami, żyli na Dzikim Zachodzie na początku dziewiętnastego wieku. Tymczasem nam przyszło żyć w socjalistycznej utopii. Kiedyś chciałem dogryźć ojcu i powiedziałem: „Masz rację, tato, tu jest o niebo lepiejniż w Massachusetts”. „Socjalizmu nie da się zbudować bez walki”, odrzekł. Przez jakiś czas chyba w to wierzył.

– Kiedy tu przyjechaliście?

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym, zaraz po krachu giełdowym w dwudziestym dziewiątym. – Nie rozumiała, o czym mówi, więc tylko westchnął. – Mniejsza o to. Miałem jedenaście lat. I nie chciałem wyjeżdżać z Barrington.

– Boże – szepnęła.

– Gotowaliśmy na naftowym prymusie, mieszkaliśmy po ciemku, wdychaliśmy te wszystkie zapachy. Przygnębiało nas to, dobijało. Mama zaczęła pić. Czemu nie? Przecież wszyscy pili.

– Tak – powiedziała Tatiana. Jej ojciec też pił.

– A kiedy się upiła, szła do ubikacji, ale ubikacja była zawsze zajęta przez obcokrajowców, którzy mieszkali z nami w tym moskiewskim pałacu… Nie, nie, nie w takim jak ten. – Wskazał Hotel Europejski. – Więc jeśli ubikacja była zajęta, mama szła

do publicznej toalety w parku. Musiała jej wystarczyć zwykła dziura w ziemi. – Był ciepły leningradzki wieczór, mimo to Aleksander zadrżał, a Tania zadrżała wraz z nim. Delikatnie dotknęła jego ramienia, a ponieważ nie zareagował, ponieważ zasłaniały ich drzewa i ponieważ w pobliżu nie było żywej duszy, przycisnęła palce trochę mocniej i już ich nie zabrała.

– W sobotę – kontynuował – ojciec i ja, tak samo jak ty, twoja mama i siostra, szliśmy do publicznej łaźni i czekaliśmy dwie godziny w kolejce, żeby się wykąpać. Mama chodziła w piątki. Pewnie żałowała, że nie urodziła córki, bo gdyby urodziła córkę, czułaby się mniej samotna i nie cierpiałaby tak z mojego powodu.

– A cierpiała?

– Bardzo. Początkowo jakoś się trzymałem, ale w miarę upływu lat zacząłem ich obwiniać za swój los. Mieszkaliśmy wtedy w Moskwie. Było nas siedemdziesięciu. Siedemdziesięciu idealistów z dziećmi, którzy żyli jak wy, dzieląc trzy małe kuchnie i trzy toalety w długim korytarzu.

– Hmm…

– Tobie się takie życie podoba?

Tatiana myślała chwilę.

– Na naszym piętrze mieszka dwadzieścia pięć osób, ale cóż mogę powiedzieć? Wolę naszą daczę. – Zerknęła na niego kątem oka. – Świeże pomidory, czyste, pachnące powietrze o poranku…

– Właśnie! – wykrzyknął, jakby słowo „czyste” było tajemnym zaklęciem.

– Poza tym – dodała – nie lubię, jak wszyscy siedzą mi na głowie. Chciałabym mieć trochę… – Urwała, szukając odpowiedniego określenia.

Aleksander wyprostował nogi i spojrzał jej w oczy.

– Wiesz, o co mi chodzi? – spytała nieśmiało.

– Tak, Taniu, wiem.

– Więc co? Powinniśmy się cieszyć, że Niemcy nas zaatakowali?

– To tak, jak zamienić diabła na szatana.

Tatiana pokręciła głową.

– Lepiej nie mów tego przy ludziach. Jak ktoś cię usłyszy… – Zwyciężyła w niej dziewczęca ciekawość. – Który z nich to diabeł?

– Stalin. Jest trochę zdrowszy psychicznie.

– Ty i mój dziadek… – wymruczała w zadumie.

– Co? – spytał z uśmiechem. – Czyżby dziadek się ze mną zgadzał?

Ona też się uśmiechnęła.

– Nie, to ty zgadzasz się z moim dziadkiem.

– Taniu, przestań się oszukiwać. Niektórzy, zwłaszcza Ukraińcy, mogą uważać Hitlera za zbawcę narodu, ale sama się przekonasz, jak szybko wyzbędą się złudzeń. Hitler zniszczy je tak samo, jak zniszczył iluzje Austriaków, Czechów, Słowaków i Polaków. Tak czy inaczej, czuję, że bez względu na to, jak ta wojna się skończy i jaki będzie miała wpływ na resztę świata, tutaj, w Związku Radzieckim, nie zmieni się absolutnie nic. – Zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów. – Czy twoja rodzina cię… chroniła? – spytał z troską. – Przed tym, co tu się działo?

Zacisnęła rękę na jego ramieniu.

– Nie mieliśmy z tym do czynienia – odrzekła. – W każdym razie nie bezpośrednio. – Nie chciała o tym rozmawiać. Trochę się bała. – Kiedyś słyszałam, że aresztowano znajomego taty, kogoś z zakładów wodociągowych. Kilka lat temu mieszkał z nami ojciec

z córką. Nagle zniknęli, a do ich mieszkania wprowadzili się Sarkowowie. – Pogrążyła się w zadumie. Tata twierdził, że krępi, zjadliwi Sarkowowie są informatorami NKWD. – Chyba tak, chyba chcieli mi tego oszczędzić.

– Mnie nikt nie oszczędzał. – Aleksander wyjął papierosy i zapalniczkę. – Wprost przeciwnie. Dlatego nie mogę przestać myśleć o moich rodzicach, którzy przyjechali tu pełni nadziei, by dać się zmiażdżyć przekonaniom, którym byli wierni niemal od urodzenia. – Pstryknął zapalniczką. – Mogę zapalić?

– Tak, oczywiście. – Patrzyła na niego. Lubiła jego twarz. – A tam? – spytała. – Jak wam się żyło? Chyba nie za dobrze, skoro twój ojciec, rodowity Amerykanin, porzucił ojczyznę i przyjechał tutaj.

Aleksander długo milczał; wypalił prawie całego papierosa.

– Opowiem ci jak. Komunizm w Ameryce lat dwudziestych – nazywano ten okres Czerwoną Dekadą – był bardzo modny, zwłaszcza wśród bogaczy.

Kiedy skończył dziesięć lat, ojciec, Harold Barrington, zażądał, by jego syn wstąpił do organizacji młodzieży komunistycznej, do Młodych Pionierów Ameryki. Organizacja była bardzo nieliczna i - według Harolda – potrzebowała świeżej krwi. Aleksander odmówił – należał już do skautów. Barrington było małym miasteczkiem we wschodnim Massachusetts, nazwanym tak od Barringtonów, którzy mieszkali tam od cza sów Benjamina Franklina. Przodkowie Aleksandra walczyli z Anglikami w wojnie o niepodległość. W dziewiętnastym wieku podarowali miastu czterech burmistrzów, a ojczyźnie trzech żołnierzy, którzy walczyli i zginęli w wojnie Północy z Południem.

Ojciec Aleksandra też pragnął pozostawić po sobie jakiś ślad. Chciał żyć po swojemu. Jego żona przyjechała z Włoch na przełomie wieków, żeby pokochać Amerykę, i kiedy jako dziewiętnastolatka wyszła za Harolda, pokochała ją całym sercem. Ona też chciała żyć po swojemu i żeby to zrobić, zostawiła we Włoszech całą rodzinę.

Jane i Harold byli początkowo radykałami, potem socjaldemokratami, wreszcie zostali komunistami. Żyli w kraju, który im na to pozwalał, więc pokochali komunizm jak nic innego na świecie. Nowoczesna i postępowa Jane Barrington nie chciała mieć dzieci, a Margaret Sanger, propagatorka Planowanego Rodzicielstwa, tylko ją w tej decyzji utwierdziła.

Po jedenastu latach takiego radykalizmu Jane zmieniła zdanie i postanowiła zajść w ciążę. Próbowała pięć lat i wreszcie, po licznych poronieniach, na świat przyszło ich jedyne dziecko: Aleksander. Był rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty. Jane miała trzydzieści pięć lat, Harold trzydzieści siedem.

Aleksander żył i oddychał komunistyczną doktryną, odkąd tylko zaczął rozumieć po angielsku. W wygodnym amerykańskim domu, pod wełnianymi kocami przed płonącym kominkiem, wymawiał słowa takie jak „proletariat”, „równość”, „manifest” i „leninizm”, zanim pojął, co oznaczają.

Kiedy skończył jedenaście lat, rodzice postanowili wprowadzić te słowa w czyn. Harolda ciągle zatrzymywano i aresztowano za uczestnictwo w agresywnych demonstracjach na ulicach Bostonu, więc w końcu poszedł do Amerykańskiego Związku Swobód Obywatelskich i poprosił o pomoc przy uzyskaniu dobrowolnego azylu politycznego w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Żeby ten azyl uzyskać, gotów był zrzec się amerykańskiego obywatelstwa i przeprowadzić się tam, gdzie nareszcie żyłby w pełnej jedności z ludem pracującym miast i wsi, gdzie nie istniały podziały klasowe, bezrobocie, uprzedzenia rasowe, gdzie nie było żadnej religii. Zakaz

wyznawania religii trochę Barringtonów niepokoił, lecz ponieważ zawsze uważali się za postępowych intelektualistów, doszli do wniosku, że podczas tego wielkiego komunistycznego eksperymentu obejdą się bez Boga.

Zwrócili paszporty i kiedy przyjechali do Moskwy, przyjmowano ich i karmiono jak parę królewską. Zdawało się, że tylko jeden Aleksander czuje smród w ubikacji, zauważa brak mydła i widzi natrętnych oberwańców w szmacianych łapciach, którzy zbierali się przed oknami restauracji, czekając, aż kelnerzy wyniosą do kuchni brudne talerze, by zlizać z nich resztki jedzenia. Wrzaskliwe, pijackie głosy w piwiarniach, do których zabierał go Harold, tak bardzo chłopca przygnębiały, że przestał tam chodzić, chociaż pragnął być z ojcem.

W hotelu, gdzie zostali zakwaterowani wraz z emigrantami z Anglii, Włoch i Belgii, chuchano na nich i dmuchano.

Wkrótce odebrali nowe radzieckie paszporty i tym samym ostatecznie zerwali z ojczyzną. Jako niepełnoletni, Aleksander miał otrzymać paszport dopiero w wieku szesnastu lat i musiał się zarejestrować w wojskowej komisji rekrutacyjnej.

Poszedł do szkoły, nauczył się rosyjskiego, zdobył wielu przyjaciół. Powoli przystosowywał się do nowego życia, gdy nagle, w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, powiedziano im, że muszą poszukać sobie nowego mieszkania i pracy, gdyż rząd radziecki nie może ich dłużej utrzymywać. Niestety, w Moskwie mieszkań nie było. Ani mieszkań, ani wolnych kwater w mieszkaniach komunalnych. Przeprowadzili się więc do Leningradu i po wielu tygodniach chodzenia po różnych komitetach znaleźli dwa pokoje w zrujnowanym domu na południowym brzegu Newy. Harold zaczął pracować w fabryce, Jane piła coraz więcej. Aleksander milczał i dużo się uczył.

Wszystko skończyło się w maju trzydziestego piątego. Miał wtedy szesnaście lat.

Barringtonów aresztowano w najmniej oczekiwany, choć najbardziej rozpowszechniony sposób. Pewnego dnia Jane poszła na rynek i już nie wróciła.

Harold chciał zawiadomić syna, ale trzy dni wcześniej bardzo się pokłócili i od tamtego czasu Aleksander nie nocował w domu.

O trzeciej nad ranem, cztery dni po zniknięciu Jane, ktoś cicho zapukał do ich drzwi.

Harold tego nie wiedział, lecz byli to przedstawiciele Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych, którzy przyszli po Aleksandra.

W Wielkim Domu przesłuchiwał ją śledczy nazwiskiem Leonid Słonko.

– Mówicie zabawne rzeczy, towarzyszko Barrington. Ciekawe, skąd wiedziałem, że je powiecie?

– Widzicie mnie pierwszy raz.

– Widziałem tysiące takich jak wy.

Tysiące, akurat. Czy naprawdę przyjeżdżają tu tysiące Amerykanów?

– Tysiące – potwierdził Słonko. – Wszyscy przyjeżdżają. Żeby budować Związek Radziecki, żeby żyć w świecie wolnym od kapitalizmu. Komunizm wymaga ofiar, towarzyszko. Musicie wyzbyć się burżuazyjnej estetyki i spojrzeć na nas oczyma świeżo zreformowanej radzieckiej kobiety, a nie oczyma Amerykanki.

– Wyzbyłam się burżuazyjnej estetyki – odrzekła Jane. – Zostawiłam dom, pracę, przyjaciół, wyrzekłam się dotychczasowego życia. Przyjechałam tu i zaczęłam nowe, ponieważ w nie wierzyłam, a wyście mnie zawiedli.

– Doprawdy? Karmiąc was? Ubierając? Dając wam pracę? I mieszkanie?

– W takim razie dlaczego mnie aresztowano?

– Ponieważ to wyście nas zawiedli – odparł Słonko. – Próbujemy odrodzić ludzką rasę dla dobra ogólnoświatowej cywilizacji, zmieść z powierzchni ziemi biedę i nieszczęścia, dlatego nie możemy tolerować waszego rozgoryczenia. – Po chwili milczenia podjął: – Pozwólcie, że was o coś spytam, towarzyszko Barrington. Parę tygodni temu pojechaliście do ambasady amerykańskiej w Moskwie, wyrażając w ten sposób jawną pogardę dla naszego kraju. Otóż pytam was: czy zapomnieliście może, że będąc członkinią Amerykańskiego Frontu Powszechnego, zachęcając do obalenia demokracji i zrzekając się amerykańskiego obywatelstwa, przestaliście być lojalną obywatelką Stanów Zjednoczonych? Już nią nie jesteście. Żyjecie, umarliście, co to za różnica, ich to nie obchodzi. – Słonko wybuchnął śmiechem. – Ależ z was głupcy. Przyjeżdżacie tu, obrzucacie błotem swój rząd, swoje zwyczaje i styl życia, który tak bardzo was mierzi. Mimo to, gdy tylko zaczynają się kłopoty, do kogo biegniecie? – Trzasnął pięścią w stół. – Możecie być pewni, że amerykański rząd ma was gdzieś. Zapomnieli już, kim byliście. Wasze akta, akta waszego męża i syna, zostały zapieczętowane przez urzędników Departamentu Stanu i ukryte w sejfie. Teraz należycie do nas.

Słonko nie kłamał. Dwa tygodnie przed aresztowaniem Jane była w amerykańskiej ambasadzie w Moskwie. Pojechała pociągiem, z Aleksandrem. Musieli ją śledzić. W ambasadzie przyjęto ją bardzo chłodno. Nie, Amerykanie nie zamierzali pomagać ani jej, ani jej synowi.

– Śledzono mnie? – spytała.

– A jak myślicie? Wasze wiernopoddańcze deklaracje były guzik warte. Dobrze, że was śledziliśmy. Dobrze, że wam nie ufaliśmy. I teraz, zgodnie z artykułem pięćdziesiątym ósmym radzieckiej konstytucji, zostaniecie oskarżeni o zdradę stanu. Wiecie o tym, prawda? Wiecie, co was czeka.

– Tak – odrzekła. – Chciałabym tylko, żebyście załatwili to jak najszybciej.

– A po co? – spytał ze śmiechem Słonko. Był rosłym, okazałym, starszym już mężczyzną, mimo to robił wrażenie silnego i biegłego w swoim fachu. – Sami rozumiecie, co myśli o was radziecki rząd. Zerwaliście z ojczyzną, a potem opluliście kraj, który zatroszczył się o was i o waszą rodzinę. Wam, Barringtonom z Massachusetts, żyło się w Ameryce bardzo dobrze, dopóki nie zapragnęliście zmiany. Przyjechaliście do nas. My na to: świetnie, zapraszamy. Byliśmy przekonani, że wszyscy jesteście szpiegami. Obserwowaliśmy was, ale z ostrożności, nie z zemsty. Obserwowaliśmy was, a potem chcieliśmy, żebyście stanęli na własnych nogach. Obiecaliśmy się wami zająć, lecz żądaliśmy w zamian dozgonnej wierności. Oczekuje tego sam towarzysz Stalin. Nie, towarzysz Stalin się tego domaga.

Pojechaliście do ambasady, ponieważ zmieniliście o nas zdanie, tak samo jak zmieniliście zdanie na temat Ameryki. Oni powiedzieli: przykro nam, ale was nie znamy. My mówimy: przykro nam, ale już was nie potrzebujemy. Więc cóż wam pozostało? Dokąd możecie pójść? Oni was nie przyjmą, my was nie chcemy. Udowodniliście, że nie można wam ufać. I co teraz?

– Śmierć – odrzekła Jane. – Ale błagam was, oszczędźcie mojego syna. – Spuściła głowę. – Był wtedy małym dzieckiem. Nie zrzekł się amerykańskiego obywatelstwa.

– Zrzekł się go, rejestrując się w wojskowej komisji rekrutacyjnej i zostając obywatelem Związku Radzieckiego.

– Departament Stanu nic na niego nie ma. Mój syn nie wstąpił do amerykańskich komunistów, nie ma z tym nic wspólnego. Błagam was.

– Ależ towarzyszko – przerwał jej Słonko – wasz syn jest najbardziej niebezpieczny

z całej waszej trójki.

Po aresztowaniu widziała męża tylko raz. Potem stanęła przed radzieckim trybunałem, któremu przewodniczył Słonko. Po szybkim procesie nałożono jej opaskę na oczy, ustawiono pod ścianą i rozstrzelano.

Do chwili aresztowania znacznie bardziej przygnębiały go rozwiane złudzenia niż niepokój o syna.

W więzieniu siedział nieraz, więzienie go nie przerażało. Wyrok za przekonania był jak zaszczytny medal i w Ameryce nosił ten medal z wielką dumą. Siedziałem w najlepszych więzieniach w Massachusetts – mawiał. W Nowej Anglii nie ma nikogo, kto w walce o przekonania zniósłby więcej niż ja.

Związek Radziecki okazał się krajem garkuchni. Komunizm nie sprawdzał się w Rosji dlatego, że była to Rosja. W Ameryce sprawdziłby się znakomicie. Tak, najodpowiedniejszym miejscem dla komunizmu jest Ameryka, myślał. Dom. Trzeba ponownie zaszczepić go w domu.

Dom?

Nie mógł uwierzyć, że wciąż nazywa ten kraj domem.

W Związku Radzieckim czuł się całkiem znośnie, lecz nie był tu u siebie i radzieccy komuniści dobrze o tym wiedzieli. Dlatego przestali go chronić, chociaż długo nie chciał się z tym pogodzić. Tak, był teraz wrogiem ludu. Wszystko rozumiał.

Szydził z Ameryki. Pogardzał Ameryką za jej płytkość i fałszywą moralność. Nienawidził etyki i uważał, że demokracja jest wymysłem kompletnych idiotów. Ale teraz, siedząc w betonowej celi w radzieckim więzieniu, pragnął tylko jednego: odesłać syna do Ameryki. Koniecznie, za wszelką cenę.

Zdawał sobie sprawę, że Związek Radziecki go nie ocali. Ocalić go mogła jedynie Ameryka.

Co ja mu zrobiłem? Jaką spuściznę mu zostawiłem? Harold nie pamiętał już, czym jest komunizm. Oczyma duszy widział tylko, jak pewnego sobotniego popołudnia dwudziestego siódmego roku stoi na trybunie w Greenwich w stanie Connecticut i rzucając w tłum inwektywami, czuje na sobie zadziwiony wzrok syna.

Kim jest chłopiec, którego nazywam Aleksandrem? Jeśli ja tego nie wiem, skąd ma wiedzieć o tym on? Znalazłem swoją drogę, ale jak on znajdzie swoją w kraju, który go nie chce?

Niekończące się przesłuchania, prośby, podania, odmowy i zamęt – wszystko to trwało rok, a przez cały ten czas pragnął jedynie zobaczyć przed śmiercią syna. W trakcie jednej z rozmów ze śledczym odwołał się do jego człowieczeństwa.

– Człowieczeństwo? – odparł Słonko. – Nie znam tego słowa. Człowieczeństwo nie ma nic wspólnego z komunizmem, z budową lepszego porządku społecznego. Budowa nowego porządku wymaga dyscypliny, wytrwałości i obojętności.

– Raczej bezduszności – odrzekł Harold.

– Syn nie przyjdzie was odwiedzić – powiedział ze śmiechem Słonko. – Wasz syn nie żyje.

Tani brakowało słów. Siedziała obok Aleksandra i obiema rękami głaskała go po ramieniu.

– Tak mi przykro – szepnęła. Rozpaczliwie pragnęła dotknąć jego twarzy, lecz nie miała odwagi. – Słyszysz? Tak mi przykro…

– Wiem, Taniu, wiem. Cóż… – Wstał. – Rodziców już nie ma, ale ja wciąż żyję. To już coś.

Ona wstać nie mogła.

– Zaczekaj. Jak zmieniłeś nazwisko? Co się stało z twoim ojcem? Już nigdy potem go nie widziałeś?

Spojrzał na zegarek.

– Ten czas – wymamrotał. – Kiedy jestem z tobą, pędzi jak wiatr. Muszę iść. Opowiem ci kiedy indziej. – Pomógł jej wstać.

Serce wezbrało jej radością. Kiedy indziej? A więc jeszcze się spotkają? Powoli wyszli z parku.

– Opowiadałeś o tym Daszy? – spytała.

– Nie – odrzekł, patrząc prosto przed siebie.

Bez słowa dreptała obok niego.

– Cieszę się, że mi opowiedziałeś – powiedziała w końcu.

– Ja też.

– Obiecujesz, że opowiesz resztę?

– Pewnego dnia złożę ci taką obietnicę – odrzekł z uśmiechem.

– Amerykanin – szepnęła. – Nie mogę w to uwierzyć. Mój pierwszy Amerykanin… – I natychmiast się zaczerwieniła.

Nachylił się i delikatnie pocałował ją w policzek. Miał ciepłe wargi i kłujący zarost.

– Uważaj na siebie, Taniu.

Patrzyła za nim z rozpaczą i bólem w sercu. A jeśli spojrzy przez ramię i mnie zobaczy? Przyszło jej do głowy, że musi wyglądać głupio, stojąc tak i gapiąc się za odchodzącym mężczyzną, lecz zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Aleksander przystanął i odwrócił się. Przyłapana na gorącym uczynku, chciała szybko odejść, lecz nogi miała jak z waty. Aleksander zasalutował. Pięknie. Gapię się na niego jak sroka w gnat. Ciekawe, co sobie pomyślał? Żałowała, że nie jest bardziej przebiegła i przewrotna, i postanowiła się podszkolić. A potem podniosła rękę i też mu zasalutowała.

4

Dasza była na dachu. Spośród mieszkańców każdego budynku wyznaczono obserwatorów, którzy najpierw posprzątali strych, a potem czuwali na zmianę na dachu, wypatrując niemieckich bombowców.

Siostra siedziała na papie, paląc papierosa i rozmawiając głośno z dwoma najmłodszymi Iglenkami, Antonem i Kiryłem. Parę kroków dalej stały wiadra z wodą i leżały ciężkie worki z piaskiem. Tatiana chciała usiąść obok siostry, lecz nie mogła.

Dasza wstała.

– Idę. Dasz sobie radę?

– Tak, oczywiście. Anton mnie popilnuje. – Anton był najlepszym przyjacielem Daszy.

Dasza pogłaskała ją po głowie.

– Nie siedź tu za długo. Zmęczona? Wracasz tak późno. Mówiłam, że Kirow jest za daleko. Dlaczego nie chcesz pracować u taty? Byłabyś w domu w niecały kwadrans.

– Nie martw się, nic mi nie będzie. – Tania uśmiechnęła na dowód, że mówi prawdę.

Kiedy Dasza poszła, Anton próbował ją rozweselić, ale Tatiana nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Chciała chwilę pomyśleć. Pomyśleć godzinę, nawet cały rok. O czymkolwiek, byle tylko nie o tym, co czuła.

W końcu uległa i zagrali w geograficzną okręcankę. Zasłoniła sobie oczy, a on, Anton, chudy blondynek, okręcał ją dookoła, gwałtownie zatrzymywał i pytał, gdzie leży Finlandia. Krasnodar. Ural. Ameryka.

Potem ona okręcała jego.

Gdy zabrakło geograficznych nazw, podliczyli poprawne odpowiedzi. Jako zwycięzczyni, Tania musiała kilka razy podskoczyć.

Ale nie podskoczyła. Usiadła ciężko na dachu. Mogła myśleć tylko o Aleksandrze i o Ameryce.

– Nie bądź taka ponura – powiedział Anton. – To takie podniecające.

– Tak? – spytała.

– No jasne. Za dwa lata będę mógł wstąpić do wojska. Piet'ka już wyjechał. Wczoraj.

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Na front! – odrzekł ze śmiechem Anton. – Może nie zauważyłaś, ale jest wojna.

– Zauważyłam. – Tania lekko zadrżała. – Wołodia pisał? – Wołodia był z Paszą w Tołmaczewie.

– Nie. Chciałbym wstąpić do wojska. Kirył też. Nie może się już doczekać, kiedy skończy siedemnaście lat. Mówi, że siedemnastolatka wezmą.

– Tak, na pewno – odrzekła wstając.

– Ciebie też ktoś weźmie, Taniu? – spytał z uśmiechem Anton.

– Nie sądzę. Idę. Powiedz mamie, że mam dla niej czekoladę. Niech przyjdzie jutro wieczorem. Na razie.

Zeszła na dół. Dziadkowie czytali na sofie. W pokoju paliła się mała lampa. Tania wcisnęła się między nich i wtuliła. Uwielbiała to. Jakby siedziała u obojga na kolanach.

– Co się stało, kochanie? – spytał dziadek. – Nie bój się.

– Nie boję się, dziadku. Jestem tylko bardzo, bardzo… skonsternowana. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. – I nie mam z kim porozmawiać.

– O wojnie?

Powiedzieć im? Nie, to nie wchodziło w rachubę.

– Dziadku, zawsze mówiłeś: „Taniu, całe życie przed tobą. Bądź cierpliwa”. Nadal tak uważasz?

Dziadek długo nie odpowiadał. Już znała odpowiedź.

– Och, dziadku… – szepnęła żałośnie.

– Taniu… – Dziadek objął ją i przytulił, babcia poklepała ją po kolanie. – Z dnia na dzień dużo się zmieniło…

– Na to wygląda.

– Może powinnaś być trochę mniej cierpliwa.

– Też tak myślę – odrzekła z uśmiechem. – Cierpliwość to przereklamowana cnota.

– Ale bądź moralna. Prawa. I nie zapominaj o trzech pytaniach, które kazałem ci sobie zadać, żebyś wiedziała, kim naprawdę jesteś.

Wolałaby, żeby nie przypominał jej o pytaniach, przynajmniej nie tego dnia.

– Dziadku, w tej rodzinie to ty jesteś ekspertem od prawości i sprawiedliwości – odparła ze słabym uśmiechem. – Nam nie zostało już nic.

– Taniu, to jedyne, co pozostało nam wszystkim – odrzekł, kręcąc siwą głową.

W łóżku myślała o Aleksandrze. Myślała, myślała i doszła do wniosku, że nie tylko opowiedział jej historię swego życia, ale i ją w to życie wciągnął, tak samo jak życie wciągnęło jego. Słuchając go, wstrzymywała oddech i lekko rozchylała usta, żeby mógł tchnąć w nie cały ból i smutek, żeby ten smutek stał się jej smutkiem. Dźwigał na barkach nieznośny ciężar i potrzebował kogoś do pomocy.

Potrzebował jej.

Miała nadzieję, że jest gotowa.

A Dasza? O Daszy nie mogła myśleć.

5

Nazajutrz rano w drodze do fabryki widziała, jak strażacy kopią zbiorniki przeciwpożarowe i montują hydranty. Czyżby spodziewali się aż tylu pożarów? Czyżby niemieckie bomby miały spalić całe miasto? Niewyobrażalne. Równie niewyobrażalne jak Ameryka.

Olbrzymi sobór Smolny i klasztor zaczynały przybierać nierozpoznawalny kształt i formę. Robotnicy obwieszali je maskującymi siatkami, które malowali następnie na zielono, brązowo i szaro. Ciekawe, co zamierzali zrobić z trudniejszymi do ukrycia – ale i trudniejszymi do wypatrzenia z góry – wieżycami soboru Piotra i Pawła? Albo z gmachem Admiralicji? Na razie jak dawniej błyszczały w jasnym słońcu.

Przed wyjściem z pracy dokładnie umyła twarz i wyszorowała ręce, aż się zaróżowiły. Potem stanęła przed lustrem w szatni i rozczesała włosy. Postanowiła, że tym razem nie zwiąże ich w kucyk. Miała na sobie spódniczkę w kwiatki i niebieską bluzkę z krótkimi rękawami i białymi guziczkami. Patrząc w lustro, nie mogła się zdecydować, czy wygląda na dwanaście czy na trzynaście lat. I czyją jest siostrą? No tak, Daszy. Proszę, czekaj na mnie, czekaj. Wybiegła na ulicę.

Przystanek, a na przystanku… Aleksander z czapką w ręku.

– Masz piękne włosy, Taniu – powiedział z uśmiechem.

– Dziękuję – wymamrotała. – Szkoda tylko, że pachnę naftą. I smarem.

– No nie. – Przewrócił oczami. – Znowu robiłaś bomby?

Wybuchnęła śmiechem.

Popatrzyli na tłum przygnębionych ludzi, potem na siebie.

– Do tramwaju? – spytali jednocześnie i przeszli na drugą stronę ulicy.

– Przynajmniej jeszcze pracujemy – rzuciła lekko Tania. – W „Prawdzie” piszą, że w Ameryce z pracą nietęgo. A w Związku Radzieckim mamy pełne zatrudnienie.

– Tak. – Nachylił się ku niej i szepnął: – W więzieniu w Dartmoor też wszyscy pracują, z tego samego powodu.

Tania chciała nazwać go wywrotowcem, ale nie nazwała.

Czekali na tramwaj.

– Mam coś dla ciebie. – Podał jej mały pakunek w brązowym papierze. – W poniedziałek były twoje urodziny, ale przedtem nie miałem okazji…

– Co to? – Była szczerze zaskoczona. Ścisnęło ją w gardle.

Aleksander zniżył głos.

– W Ameryce jest taki zwyczaj. Kiedy dostajesz urodzinowy prezent, musisz go otworzyć i podziękować.

Tatiana nerwowo spojrzała na pakunek.

– Dziękuję. – Nie przywykła do podarków. W dodatku ten był owinięty w papier. Niesłychana rzecz, chociaż papier był zwyczajny, brązowy.

– Nie, najpierw otwórz. Dziękuje się potem.

– Ale… jak? Mam zdjąć papier?

– Tak. Po prostu go rozerwij.

– A potem?

– Potem wyrzuć.

– Wszystko czy tylko papier?

– Tylko papier – odrzekł powoli.
– Tak ładnie go zawinąłeś. Szkoda wyrzucać.
– To tylko papier.
– Skoro tak, to po co zawijałeś?
– Taniu, otworzysz to wreszcie czy nie?

Szybko rozerwała papier. W środku były trzy książki: zbiór poematów Puszkina pod tytułem „Jeździec miedziany i inne poematy", oraz dwie mniejsze książki, w tym jedna autorstwa Johna Milla, o którym nigdy nie słyszała. „O wolności". Była po angielsku. Był też słownik. Angielsko-rosyjski.

– Angielsko-rosyjski? – przeczytała z uśmiechem. – Szkoda, że nie mówię po angielsku. Twój?
– Tak. Przywiozłem go z Ameryki. Bez niego nie przeczytasz Milla.
– Bardzo ci dziękuję, za wszystkie.
– „Jeździec" należał do mojej matki. Dała mi go kilka tygodni przed aresztowaniem.

Tatiana nie wiedziała, co powiedzieć.

– Uwielbiam Puszkina – szepnęła cichutko.
– Tak myślałem. Wszyscy Rosjanie go uwielbiają.
– Czytałeś, co napisał Majkow w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci?
– Nie.

Skrępowana i podniecona jego spojrzeniem, spróbowała się skupić.

– Napisał… Zaraz… „Jego słowa brzmią jak nie z tego świata. Przesyca je nieśmiertelny zaczyn… Wszystkiemu, co ziemskie – uczuciom, gniewowi i namiętnościom – nadał niebiańską formę".

– Wszystkiemu, co ziemskie – uczuciom, gniewowi i namiętnościom – nadał niebiańską formę… – powtórzył powoli Aleksander.

Tania zaczerwieniła się i zerknęła na ulicę. Gdzie ten tramwaj?

– A ty? – spytała nieśmiało. – Czytałeś Puszkina?
– Tak. – Wyjął jej papier z rąk, zmiął go i wyrzucił. – „Jeździec miedziany" to mój ulubiony poemat.
– Mój też! – odrzekła i spojrzała na niego zadziwiona.

Okrutna, straszna była pora,
Mam o niej z wspomnień świeżych wieści…
I o niej dla was, przyjaciele,
Snuć zacznę wątek opowieści.
Będzie w tych dziejach smutku wiele[6].

– Taniu, cytujesz Puszkina jak prawdziwa Rosjanka!
– Bo jestem prawdziwą Rosjanką.

Nadjechał tramwaj.

Przed Muzeum Rosyjskim Aleksander spytał:

– Chcesz się przejść?

Nie mogła mu odmówić.

Nawet gdyby chciała.

Ruszyli w kierunku Pola Marsowego.

– Czy ty kiedykolwiek pracujesz? – spytała żartobliwie. – Dmitrij wyjechał do Karelii. Nie musisz nic robić?
– Muszę. Zostałem, żeby nauczyć żołnierzy gry w pokera.

– W pokera?

– To taka amerykańska gra. Któregoś dnia ciebie też nauczę. Poza tym wyznaczono mnie na stanowisko oficera odpowiedzialnego za werbunek i szkolenie kandydatów do Ochotniczej Armii Ludowej. Od siódmej do szóstej jestem na służbie. Co drugi dzień, od dziesiątej do dwunastej w nocy, stoję na warcie. – Zamilkł.

Tatiana już wszystko wiedziała. Właśnie wtedy spotykał się z Daszą.

– Dają mi za to wolny weekend, ale nie wiem, jak długo to potrwa. Podejrzewam, że raczej krótko. Nasz garnizon ma bronić miasta. Ja też. Kiedy zabraknie ludzi na froncie, wyślą i nas.

Ale wtedy zabraknie nam ciebie, pomyślała.

– Dokąd idziemy?

– Do Ogrodu Letniego. Ale zaczekaj. – Przystanęli niedaleko koszar. Na Polu Marsowym po drugiej stronie ulicy stało kilka ławek. – Wiesz co? Usiądźmy i zjedzmy kolację.

– Kolację?

– Urodzinową. Tak, zjemy urodzinową kolację. – Obiecał przynieść chleb i mięso. – Może zdobędę nawet kawior – dodał z uśmiechem. – Jako prawdziwa Rosjanka, na pewno lubisz kawior, prawda?

Przypomniały jej się zakupy w oficerskim sklepie.

– Hmm… A zapałki? – Chciała się z nim trochę podroczyć, lecz nie wiedziała, jak on na to zareaguje. – Zapałki nie będą potrzebne? Na pewno?

– Jeśli chcesz coś podgrzać, podgrzejemy to na wiecznym płomieniu, który płonie na Polu Marsowym. Przechodziliśmy tamtędy w niedzielę, pamiętasz?

Czyż mogła zapomnieć?

– Chcesz odgrzewać jedzenie na dumnym, bolszewickim płomieniu? – Cofnęła się o krok. – To świętokradztwo.

Roześmiał się głośno.

– Kiedy mamy wolną noc, smażymy na nim kebab. To też świętokradztwo? Poza tym myślałem, że Boga nie ma.

Popatrzyła na niego, a raczej zerknęła. Czyżby się z nią droczył?

– Słusznie – odparła – nie ma.

– Oczywiście. Żyjemy w komunistycznej Rosji, wszyscy jesteśmy ateistami.

– Opowiem ci kawał, chcesz? Towarzysz pyta towarzysza: „Jak tam tegoroczne zbiory ziemniaków?” „Dobrze, bardzo dobrze”, odpowiada tamten. „Z bożą pomocą będzie ich tyle, że ułożone w stertę, sięgną Jego stóp”. „Towarzyszu, co wy mówicie? Przecież partia twierdzi, że Boga nie ma”. A ten pierwszy odpowiada: „Tak samo jak ziemniaków”.

– Fakt, ziemniaków nie ma – odrzekł ze śmiechem Aleksander. – Idź – dodał łagodnie. – Zaczekaj na ławce. Zaraz wracam.

Przeszła przez ulicę. Usiadła, poprawiła włosy, wsunęła rękę do płóciennej torby, pogłaskała książki i nagle…

Co ona tu robi? Była tak zmęczona, że przestała myśleć. Aleksandra nie powinno tu być.

Aleksander powinien być z Daszą. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości, bo gdyby Dasza spytała ją, gdzie była, musiałaby jej skłamać. Szybko wstała i ruszyła w przeciwną stronę, gdy wtem usłyszała głos Aleksandra.

– Taniu!

Podbiegł do niej bez tchu, z dwiema papierowymi torbami w ręku.

– Dokąd idziesz?

Nie musiała nic mówić. Wystarczyło, że zobaczył jej twarz.

– Taniu – zaczął przyjaźnie. – Przyrzekam, że nakarmię cię i odeślę do domu. Pozwól się nakarmić. – Wolną ręką dotknął jej włosów. – To na twoje urodziny. Chodź. Proszę.

Wiedziała, że nie może z nim iść. A on? Czy on też wiedział? Czy zdawał sobie sprawę, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, że jest zmieszana i skonsternowana? Czy rozumiał, jakie miotają nią uczucia?

W drodze do Ogrodu Letniego przeszli przez Pole Marsowe. Newa błyszczała w słońcu, chociaż była już prawie dziewiąta wieczorem.

Źle trafili.

Nigdzie nie mogli znaleźć wolnej ławki. Ani przy długich alejkach, ani między greckimi posągami, ani pod strzelistymi wiązami. Wszędzie siedziały zakochane pary, splecione ze sobą niczym krzewy dzikiej róży.

Tatiana szła ze spuszczoną głową.

W końcu znaleźli miejsce przy posągu Saturna. Miejsce niezbyt dobre, ponieważ Saturn miał szeroko otwarte usta i właśnie wpychał do nich dziecko, które zamierzał pożreć.

Aleksander przyniósł wódkę, trochę wędzonej szynki i biały chleb. Przyniósł też słoiczek czarnego kawioru i tabliczkę czekolady. Tania była bardzo głodna. Kazał jej zjeść cały kawior. Początkowo protestowała, ale bez wielkiego przekonania. Małą łyżką wyjadła połowę, połowę oddała jemu.

– Masz. Dokończ. Proszę.

Wypiła łyczek wódki prosto z butelki. Wypiła i natychmiast nią wstrząsnęło; nie lubiła wódki, ale nie chciała, żeby wziął ją za małą dziewczynkę. Aleksander roześmiał się, odebrał jej butelkę i pociągnął mały łyk.

– Nie musisz pić – powiedział. – Przyniosłem ją, żeby uczcić twoje urodziny. Ale szklanek zapomniałem.

Zajął prawie całą ławkę i siedział bardzo blisko niej. Bliziutko, aż za blisko. Gdyby głębiej odetchnęła, ich ciała by się zetknęły. Za bardzo się wstydziła, żeby cokolwiek powiedzieć, gdyż miotały nią zbyt silne uczucia.

– Taniu? – spytał. – Smakowało ci?

– Tak. – Odchrząknęła. – Tak, bardzo. Dziękuję.

– Chcesz jeszcze wódki?

– Nie.

– Powiedz, upiłaś się kiedyś?

Chcąc uniknąć spojrzenia jego roześmianych oczu, spuściła głowę.

– Hmm… Tak, kiedy miałam dwa lata. Wypiłam pół litra czy coś takiego. Zabrali mnie do szpitala na Greckim.

– Kiedy miałaś dwa lata? A potem już nigdy? – Przypadkowo musnął nogą jejnogę.

Zaczerwieniła się.

– Nie, nigdy. – Odsunęła nogę i spytała go o Niemców. Aleksander westchnął i opowiedział jej, co się dzieje w garnizonie. Kiedy mówił, mogła na niego patrzeć, wędrować wzrokiem po jego twarzy. Miał lekki zarost. Chciała go spytać, czy nigdy nie goli się dokładnie, lecz uznała, że to zbyt poufałe, i nie spytała. Zarost był najwyraźniejszy w okolicy ust i jeszcze bardziej uwydatniał jego wargi. Chciała go spytać, co się stało z jego bocznym zębem – był nadłamany – ale też nie spytała. Oczy

miał jak czekoladowe lody i chciała go prosić, żeby przepłoszył z nich ten lekki, czuły uśmiech, gdyż…

Ona też miała ochotę się do niego uśmiechnąć.

– A więc… mówisz po angielsku?

– Tak, ale nie mam okazji. Nie mówiłem po angielsku, odkąd matkę i ojca… – Nie dokończył.

Tatiana potrząsnęła głową.

– Przepraszam, nie chciałam. Chciałam tylko, żebyś nauczył mnie choć kilku słów.

Oczy zapłonęły mu tak jasno, że poczuła, iż cała krew spływa jej do policzków.

– Jakich słów, Taniu? – spytał powoli. – Chcesz, żebym uczył cię angielskiego?

Długo milczała, bojąc się, że zacznie się jąkać.

– Nie wiem jakich – wykrztusiła w końcu. – Jak jest po angielsku… wódka?

– To łatwe – odrzekł. – *Vodka*. – I wybuchnął śmiechem.

Śmiał się ładnie. Szczerze, głęboko, dźwięcznie, po męsku, śmiechem głośnym i zaraźliwym, który rodził się w głębi jego piersi. Wyjął korek z butelki.

– Za co wypijemy? – spytał. – Masz urodziny, wypijmy za twoje zdrowie. I za urodziny w przyszłym roku. *Salut.*

– Dziękuję. Za to i ja wypiję łyczek – odrzekła, biorąc butelkę. – Lubię obchodzić urodziny z Paszą.

Puściwszy tę uwagę mimo uszu, odstawił butelkę i spojrzał na posąg Saturna.

– Pod innym posągiem byłoby milej, nie uważasz? Kiedy patrzę, jak pożera własne dzieci, jedzenie staje mi w gardle.

– Gdzie byś chciał usiąść? – spytała, pogryzając czekoladę.

– Nie wiem. Choćby tam, koło Marka Antoniusza. – Rozejrzał się wokoło. – Myślisz, że jest tu gdzieś posąg Afrody…

Tatiana szybko wstała.

– Możemy już iść? Za dużo zjadłam, muszę się trochę przejść.

Ale kiedy doszli do rzeki, nagle zapragnęła spytać, czy kiedykolwiek nazywano go innym imieniem. Kilka kroków dalej uznała, że pytanie jest nie na miejscu, i nie zadała go. Trudno. Musiał jej wystarczyć ten gasnący wieczór i spacer granitowym nabrzeżem. Nie mogła też spytać, czy lubi, gdy nazywają go pieszczotliwym zdrobnieniem, a jeśli tak, to jakim.

– Chcesz usiąść?

– Nie – odrzekł. – Chyba, że ty chcesz.

– Tak, usiądźmy.

Usiedli na ławce z widokiem na Newę. Po drugiej stronie rzeki strzelała w niebo złota wieżyca soboru Piotra i Pawła. Aleksander wyciągnął długie nogi i oplótł ramionami oparcie, zajmując prawie całą ławkę. Tatiana przysiadła na samym brzeżku. Musiała uważać, żeby nie dotknąć kolanem jego kolana.

Już dawno zauważyła, że Aleksander niemal zawsze porusza się nonszalancko i swobodnie. Chodził, siedział, odpoczywał i ubierał się tak, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera na nieśmiałej siedemnastolatce. Biła zeń głęboka wiara, że ma swoje miejsce we wszechświecie. Jakby całym sobą mówił: wszystko to zostało mi dane. Moje ciało, twarz, wzrost, moja siła. Nie prosiłem o to, żadnej z tych cech nie stworzyłem ani o nią nie walczyłem. To dar, za który codziennie dziękuję, myjąc i czesząc włosy, dar, o którym nie myślę, i który wykorzystuję tak, jak powinienem. Dar ten ani nie napawa mnie dumą, ani nie zmusza mnie do pokory. Nie podsyca we mnie

arogancji czy próżności, lecz nie zmusza mnie również do fałszywej skromności czy nieśmiałości.

Każdym ruchem ciała zdawał się mówić: wiem, kim jestem.

Tatiana zapomniała o oddychaniu. Nabrała powietrza dopiero po dłuższej chwili i spojrzała na Newę.

– Lubię na nią patrzeć – powiedział cicho Aleksander. – Zwłaszcza w białe noce. W Ameryce niczego takiego nie ma.

– Może na Alasce?

– Może. Ale to… Lśniąca rzeka, na jej brzegach miasto, po lewej stronie słońce, które zachodzi za gmach uniwersytetu, naprzeciwko nas sobór Piotra i Pawła… – Pokręcił głową i umilkł. Zapadła cisza.

– Jak to ujął Puszkin w „Jeźdźcu miedzianym”? – spytał po chwili Aleksander.

I mrokom nocy wstępu broniąc,
Na złoty strop nowego dnia…

Urwał. – Nie pamiętam, co dalej.

Tania znała „Jeźdźca” praktycznie na pamięć, więc dokończyła za niego.

…Jutrznia, na zmianę zorzy goniąc,
Dla nocy pół godziny ma[7]

Wciąż patrzyła na rzekę, a on na nią.

– Taniu, skąd u ciebie te piegi? – spytał cicho.

– Tak, wiem, są okropne. To od słońca – odrzekła, czerwieniąc się i dotykając twarzy, jakby chciała zetrzeć brązowe kropeczki z nasady nosa i spod oczu. Proszę, błagam, przestań tak na mnie patrzeć, myślała, bojąc się jego spojrzeń i swego serca.

– A te jasne włosy? Też od słońca?

Jego prawa ręka spoczywała na oparciu ławki, tuż za jej plecami, czego była aż za bardzo świadoma. Wystarczyłoby, żeby przesunął dłoń kilka centymetrów w prawo i dotknąłby jej włosów. Ale nie, nie przesunął.

– Białe noce są niesamowite, prawda? – spytał, nie odrywając od niej wzroku.

– W przeciwieństwie do naszych zim – wymamrotała.

– Fakt, leningradzkie zimy są dużo mniej zabawne.

– Kiedy Newa zamarza, przychodzimy tu się poślizgać. Nawet po ciemku. Przy świetle zorzy.

– My?

– Pasza, ja, nasi przyjaciele… Dasza też. Ale ona jest dużo starsza i już z nią nie chodzę. – Po co powiedziała, że Dasza jest dużo starsza? Ze złośliwości? Zagryzła wargi. Zamknij się wreszcie, pomyślała. Siedź i milcz.

– Musisz ją bardzo kochać – odrzekł.

Co chciał przez to powiedzieć? Wolała nie pytać.

– Paszę też kochasz?

– Paszka to co innego. Paszka i ja… – Urwała. Jadła z bratem z tej samej miski. Z miski, którą podawała im Dasza. – Śpię z siostrą w jednym łóżku. Ciągle mi powtarza, że nie mogę wyjść za mąż, bo nie chce spać z moim mężem.

Spotkali się wzrokiem. Chciała odwrócić głowę, lecz nie mogła. Miała tylko nadzieję, że w promieniach zachodzącego słońca Aleksander nie zobaczy, jak bardzo pokraśniała.

– Jesteś za młoda, żeby wychodzić za mąż.

– Wiem. – Zawsze miała kompleks na punkcie swojego wieku. – Ale nie jestem za młoda…

Na co? – pomyślała i w tym samym momencie usłyszała spokojny głos Aleksandra:

– Za młoda na co?

Wyraz jego oczu, Newa, park – czuła, że dłużej tego nie wytrzyma.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Co odpowiedziałaby na jej miejscu Dasza? Albo inna dorosła kobieta?

– Na to, żeby służyć w Armii Pospolitego Ruszenia – odrzekła w końcu odważnie. – Może mnie przyjmą? Szkoliłbyś mnie? – Roześmiała się wesoło i zażenowana umilkła.

Aleksander gwałtownie zamrugał.

– Jesteś za młoda. Nie przyjmą cię, dopóki… – Nie dokończył.

Nie rozumiała, skąd to wahanie w jego głosie, skąd lekkie drżenie ust. Pod dolną wargą miał zagłębienie, które wyglądało jak miękkie gniazdko…

Ta rozświetlona słońcem noc, ta rzeka – nie, nie mogła patrzeć na jego usta ani sekundy dłużej. Zerwała się z ławki.

– Muszę wracać. Robi się późno.

– Dobrze. – On też wstał, choć o wiele wolniej. – Taki ładny wieczór.

– Tak. – Odwróciła się i ruszyli wybrzeżem.

– Tęsknisz za Ameryką?

– Tak.

– Chciałbyś tam wrócić?

– Chyba tak.

– A możesz?

Zmarszczył brwi.

– Jakim cudem? Kto by mi pozwolił? I czy w ogóle mam do tego prawo?

Pragnęła wziąć go za rękę, dotknąć go, jakoś mu ulżyć.

– Opowiedz mi o Ameryce – poprosiła. – Widziałeś ocean?

– Tak, Atlantyk. Jest niesamowity.

– Słony?

– Tak, i zimny, olbrzymi. W wodzie pływają meduzy, a na wodzie białe żaglówki.

– Kiedyś też widziałam meduzę… A jakiego jest koloru?

– Atlantyk? Zielonego.

– Jak drzewa?

Popatrzył na Newę, na drzewa i na nią.

– Jak twoje oczy.

– Jest szaro-ciemnozielony? – Z emocji ściskało ją w piersiach, nie mogła oddychać. Oddychałam całe życie, pomyślała, teraz nie muszę.

Zaproponował, żeby wracać przez Ogród Letni.

Zgodziła się, ale zaraz przypomniał jej się widok splecionych z sobą par.

– Może jednak nie. Nie ma krótszej drogi?

– Nie.

Wysokie wiązy rzucały długie cienie.

Przeszli przez bramę i zanurzyli się w labirynt wąskich alejek między posągami.

– Nocą jest tu zupełnie inaczej – zauważyła.

– Nigdy nie byłaś tu nocą?

– Nie – przyznała. – Ale bywałam gdzie indziej. Raz…

Aleksander nachylił się ku niej.

– Taniu, powiedzieć ci coś?

– Co? – spytała, odchylając się lekko w przeciwną stronę.

– Cieszę się, że nie wychodzisz nigdzie wieczorami. Bardzo mi się to podoba.

Oniemiała, szła chwiejnie przed siebie i gapiła się na własne buty.

On szedł tuż obok, dostosowując krok do jej kroku. Była ciepła noc; jej nagie ramię dwa razy musnęło szorstki materiał jego wojskowej koszuli.

– To najlepsza pora, Taniu. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Lepiej mi nie mów.

– Bo już nigdy nie będzie tak jak teraz. Życie już nigdy nie będzie tak proste i nieskomplikowane.

– To ma być nieskomplikowane życie? – Pokręciła głową.

– Tak. Jesteśmy po prostu parą przyjaciół, którzy spacerują po Leningradzie w świetlistym zmierzchu.

Przystanęli przed bramą.

– O dziesiątej mam służbę. Gdyby nie to, odprowadziłbym cię do domu…

– Nie, nie, pójdę sama. Nic mi nie będzie, nie martw się. Dziękuję za kolację.

Nie, nie mogła patrzeć mu w oczy. Na szczęście była niska i patrzyła na guziki jego munduru. Ich się nie bała.

Aleksander odchrząknął.

– Powiedz, czy nazywają cię jakoś… jakoś inaczej? Inaczej niż Tania albo Tatiana?

Drgnęło jej serce.

– Ale kto? – spytała.

Nie odpowiadał przez całą wieczność.

Odeszła, lecz pięć kroków dalej zatrzymała się i odwróciła. Pragnęła jeszcze raz zobaczyć jego cudowną twarz.

– Czasami mówią mi Tatia.

Uśmiechnął się.

To nieznośne milczenie. Było najgorszą torturą. Co się wtedy robi?

– Jesteś bardzo piękna, Tatiu – szepnął.

– Przestań – wymamrotała bezgłośnie, odzyskawszy władzę w nogach.

– Jeśli chcesz – zawołał – możesz mi mówić Szura.

Szura! Prześliczne imię. Chciała krzyknąć: tak, z rozkoszą, ale nie krzyknęła.

– Kto tak na ciebie mówi?

– Nikt – odrzekł i zasalutował.

Zamiast iść, dosłownie frunęła. Wyrosły jej u nóg jaskrawoczerwone skrzydła i żeglowała na nich po lazurowym leningradzkim niebie. Jednakże im bliżej domu, tym były krótsze i cięższe, wreszcie zniknęły na dobre. Związała włosy i sprawdziła, czy książki leżą na dnie torby. Zanim weszła na górę, przez kilka minut opierała się o ścianę domu, przyciskając do piersi zwinięte w pięści dłonie.

Dasza siedziała przy stole z… Dmitrijem. Ot, niespodzianka.

– Czekamy na ciebie trzy godziny – rzuciła rozdrażniona. – Gdzieś ty była?

Tatiana zastanawiała się, czy wyczują, że obok niej szedł Aleksander. Czy dojdzie ich aromatyczny zapach jaśminu, zapach słońca z jej nagich ramion, zapach wódki, kawioru i czekolady. A może zobaczą kilka nowych piegów u nasady nosa? Spacerowałam w blasku bijącym z bieguna północnego. Ogrzewałam twarz w promieniach północnego

słońca. Czyżby mieli dostrzec to wszystko w jej udręczonych oczach?

– Przepraszam. Coraz dłużej pracujemy.

– Jadłaś coś? Babcia zrobiła kotlety z tłuczonymi ziemniakami. Pewnie umierasz z głodu. Zjedz.

– Nie, dziękuję. Jestem zmęczona. Przepraszam cię, Dima. – Poszła się umyć.

Dima został jeszcze dwie godziny. O jedenastej do pokoju wrócili dziadkowie, więc on, Dasza i Tatiana poszli na dach i w gasnącym świetle wieczoru siedzieli tam aż do północy. Tania mówiła niewiele. Dmitrij był miły i dowcipny. Pokazał im pęcherze na rękach; całe dwa dni kopał okopy. Tatiana czuła, że nieustannie na nią zerka, że chce, by ona zerknęła na niego. Ilekroć to robiła, szeroko się do niej uśmiechał.

– Jesteście dobrymi przyjaciółmi? – spytała Dasza. – Ty i Aleksander?

– O tak – odrzekł Dima. – Znamy się od niepamiętnych czasów. Jesteśmy jak bracia.

Tania szybko zamrugała. Widziała jak przez mgłę i oszołomiona próbowała skupić się na jego słowach.

Dobry Boże, modliła się tej nocy, odwróciwszy się do ściany i naciągnąwszy na głowę kwieciste prześcieradło i dwa cienkie, brązowe koce. Jeśli gdzieś jesteś, proszę cię, naucz mnie ukrywać to, czego nigdy nie umiałam okazywać.

6

Przez cały czwartek pracowała przy miotaczach ognia i myślała o Aleksandrze. Tego wieczoru znowu na nią czekał. Już nie pytała, co tu robi, a on niczego nie wyjaśniał. Nie przyniósł też kolejnego prezentu, po prostu przyszedł. Mówili niewiele. Szli, potrącając się niechcący rękami i ramionami, a raz, kiedy tramwaj gwałtownie zahamował, wpadła na niego i musiał ją objąć.

– Dziś wieczorem przyjdę do was – powiedział cicho. – Dasza mnie zaprosiła.

– Ach tak… Świetnie. Oczywiście. Rodzice bardzo się ucieszą. Rano byli w znakomitym humorze. Wczoraj mama rozmawiała przez telefon z Paszą. Paszka dobrze sobie radzi… – Urwała. Była zbyt smutna, żeby mówić dalej.

Na przystanek szesnastki szli tak powoli, jak tylko mogli, a potem, ramię w ramię, stali bez słowa aż do Greckiego.

– Do zobaczenia, poruczniku. – Chciała powiedzieć „Szura", lecz nie mogła.

– Do zobaczenia, Tatiu.

Tego wieczoru pierwszy raz spotkali się we czworo na Piątej Radzieckiej i poszli razem na spacer. Kupili lody, mleczny koktajl i piwo, i przez cały ten czas Dasza trzymała Aleksandra pod rękę. Tatiana szła w przyzwoitej odległości od Dmitrija, wykorzystując swe skromne umiejętności, żeby nie patrzeć na przyklejoną do Aleksandra siostrę. Z zaskoczeniem stwierdziła, że to bardzo nieprzyjemny widok. O wiele bardziej wolała tę Daszę, która spotykała się z nim gdzieś w niezbadanym, mglistym i zmyślonym Leningradzie.

Aleksander robił wrażenie wesołego i zadowolonego, jak zadowolony byłby każdy żołnierz w towarzystwie dziewczyny takiej jak Daszka. Na Tatianę ledwie zerkał. Jak wyglądali razem, on i Dasza? Dobrze? Lepiej niż Aleksander i ona? Tego nie wiedziała. Nie miała pojęcia, jak wygląda u jego boku. Wiedziała jedynie, jak się przy nim czuje.

– Taniu! – To Dmitrij. Coś do niej mówił. Tylko dlaczego tak głośno?

– Przepraszam, Dima, zamyśliłam się.

– Nie uważasz, że Aleksander powinien mnie przenieść? Może do dywizji zmotoryzowanej?

– Nie wiem. A dałbyś sobie radę? Czy ci ze zmotoryzowanej nie muszą umieć prowadzić czołgu albo… albo czegoś takiego?

Aleksander tylko się uśmiechnął. Dmitrij milczał.

– Taniu! – wykrzyknęła Dasza. – Co ty możesz wiedzieć o służbie u zmotoryzowanych? Lepiej się nie odzywaj. Aleks – spytała chichocząc – powiedz, będziecie forsować rzeki i przypuszczać szarże na wroga?

– Nie – odparł Dmitrij – to nie tak. Najpierw Aleks wyśle mnie, żebym oczyścił teren. Dopiero potem wyjdzie w pole sam i dostanie za to kolejny awans. Dobrze mówię, poruczniku?

– Powiedzmy – odrzekł Aleksander. – Chociaż bywa, że kiedy muszę iść sam, zabieram i ciebie.

Tatiana prawie ich nie słyszała. Dlaczego Dasza idzie tak blisko niego? I dlaczego Aleksander zabrał na spacer Dmitrija? Co to wszystko znaczy?

– Taniu! – To znowu Dima. – Czy ty mnie słuchasz?

– Tak, tak, oczywiście. – Dlaczego on ciągle podnosi głos?

– Jesteś jakaś rozkojarzona.

– Nie, nie. Ładny wieczór, prawda?

– Nie słabo ci? Może weźmiesz mnie pod rękę?

Dasza zerknęła na nią beztrosko i rzuciła:

– Uważaj, ona zaraz zemdleje.

Kiedy już sobie poszli, uciekła do łóżka, naciągnęła na głowę koc i udała, że śpi. Nie odezwała się nawet wtedy, kiedy obok niej położyła się Dasza.

– Taniu. Taniu. Śpisz? Taniu?

Nie chciała rozmawiać z siostrą w prowokującej do zwierzeń ciemności. Chciała jedynie wypowiedzieć na głos jego imię. Szura.

7

W piątek stwierdziła, że u Kirowa zostały tylko najmniej wartościowe robotnice, albo młode, jak ona, albo bardzo stare. Mężczyzn zostało ledwie kilku. Albo należeli do kadry kierowniczej, albo mieli po sześćdziesiątce, albo byli sześćdziesięciokilkuletnimi kierownikami.

Przez pierwsze pięć dni wojny docierało podejrzanie mało wiadomości z frontu. Spikerzy radiowi z dumą wychwalali Armię Czerwoną za jej wielkie zwycięstwa, nie wspominając ani słowem o sile wojsk niemieckich, o ich pozycjach na terytorium Związku Radzieckiego, o grożącym Leningradowi niebezpieczeństwie czy o ewakuacji. Radio było włączone cały dzień i podczas gdy Tatiana napełniała miotacze ognia zagęszczoną naftą i nitrocelulozą, zza podwójnych drzwi wypadały na taśmociąg najrozmaitsze pociski.

Brzdęk, brzdęk, brzdęk – jakby odmierzały upływające sekundy, a w ciągu długiego dnia sekund tych było bardzo dużo. Brzdęk, brzdęk, brzdęk, i tak od rana do wieczora.

Myślała tylko o jednym: o tym, jak dotrwać do siódmej.

Podczas przerwy obiadowej radio podało, że od przyszłego tygodnia będą racjonować żywność i artykuły pierwszej potrzeby. Podczas tej samej przerwy Krasienko poinformował ich, że najprawdopodobniej od poniedziałku rozpoczną ćwiczenia wojskowe i że dzień pracy zostaje przedłużony do ósmej wieczorem.

Przed wyjściem przez dziesięć minut szorowała ręce, żeby zabić zapach nafty, lecz na próżno. Wychodząc z Ziną za bramę fabryki i spiesząc wzdłuż muru Kirowskiego, pragnęła podzielić się z kimś swoją niepewnością i niepokojem.

A potem zobaczyła oficerską czapkę Aleksandra, zobaczyła, jak Aleksander ją zdejmuje, jak obraca ją w rękach, i natychmiast o wszystkim zapomniała. Ba! omal nie zaczęła biec. Powoli przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w kierunku Goworowa.

– Przejdźmy się trochę. – Nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała te słowa po całym dniu harówki. Zresztą, wcale nie odczuwała zmęczenia. Wiedziała, że w sobotę i niedzielę nie będzie go miała dla siebie ani przez minutę.

– To znaczy? – spytał.

Wzięła głęboki oddech.

– Do szesnastki.

Powoli szli opustoszałymi ulicami, cisi i anonimowi. Po prawej stronie biegły szyny tramwajowe i leżały pola, po lewej wznosiły się fabryczne budynki zakładów Kirowa. Nie ryczały syreny alarmowe, nad głowami nie latały samoloty. Świeciło blade słońce. Ludzi nie było.

– Dlaczego Dima nie jest oficerem, jak ty?

Aleksander milczał chwilę.

– Chciał być oficerem. Byliśmy razem w szkole oficerskiej.

Tego nie wiedziała.

– Dima nic o tym nie mówił.

– Nic dziwnego. Myśleliśmy, że dotrwamy do końca razem, on i ja, ale Dima odpadł.

– Co się stało?

– Nic. Nie potrafił wytrzymać pod wodą bez wpadania w panikę, nie umiał wstrzymać oddechu, denerwował się pod pozorowanym ostrzałem, był zbyt agresywny, nie potrafił

zachować zimnej krwi, miał słaby czas na pięć kilometrów i nie umiał zrobić pięćdziesięciu pompek. Po prostu nie dawał sobie rady. Jest dobrym żołnierzem. Bardzo dobrym żołnierzem. Ale oficerem byłby kiepskim.

– Nie to co ty – tchnęła Tania z akcentem na „ty".

Zerknął na nią z rozbawieniem i pokręcił głową.

– Ja byłbym żołnierzem zbyt agresywnym.

Nadjechał tramwaj. Niechętnie wsiedli.

– I co na to wszystko Dima?

Nie próbowała już utrzymać równowagi. Lubiła wpadać na Aleksandra i nie mogła się wprost doczekać, kiedy wpadnie na niego po raz kolejny. Ilekroć tramwaj ruszał, ona ruszała w przeciwną stronę, prawie nie trzymając się poręczy. A on stał niczym skała i zręcznie obejmował ją w talii. Tego wieczoru też ją objął – objął i już nie puścił. Czekał, aż Tania coś powie, ale nie mogła. Wreszcie cofnął rękę.

– Na co? – spytał. – Na to, że nie został oficerem?

– Nie. Na to, że ty nim zostałeś. I tak w ogóle.

– Bo ja wiem…

Tramwaj się zatrzymał. Żeby nie upadła, przytrzymał ją za ramię. Momentalnie dostała gęsiej skórki.

– Uważa – kontynuował – że za łatwo mi wszystko przychodzi.

– Co znaczy wszystko?

– Po prostu wszystko. Że za dobrze mi idzie na służbie, na strzelnicy…

Tania czekała. Na strzelnicy i gdzie jeszcze? Co jeszcze przychodziło mu zbyt łatwo?

– Nieprawda – odrzekła. – Miałeś bardzo ciężkie życie.

– W dodatku dopiero co się zaczęło. – Powiedział to z wymuszoną łagodnością. – Posłuchaj. Dużo z Dmitrijem przeszliśmy i znam go na wylot. Jestem pewien, że wkrótce zacznie ci opowiadać niestworzone rzeczy. O mnie. Dziwne, że jeszcze nie zaczął.

– Tak? Prawdziwe czy zmyślone?

– Nie wiem. Pewnie i takie, i takie. Dima ma specyficzny dar: potrafi mieszać prawdę z kłamstwem tak dobrze, że można od tego zwariować.

– To ci dopiero dar – odparła. – Więc skąd będę wiedziała, co jest prawdą, a co nie?

– Nie będziesz. Właśnie na tym to polega. – Spojrzał na nią i dodał: – Jeśli chcesz poznać prawdę, spytaj mnie.

– I mogę pytać o wszystko? – Podniosła wzrok.

– Tak.

Przestało jej bić serce. Przestało bić w chwili, gdy mocno zagryzła wargę, żeby nie spytać: kochasz mnie? Pragnęła wpaść w przerażenie, które sparaliżowałoby i ją, i jej myśli, lecz nie mogła. Chciał, żeby go o coś spytała? A co cisnęło jej się na usta? Co próbowało się przebić przez zaciśnięte zęby, przez milczenie, przez pozbawione tchu piersi i zastygłe bez ruchu serce?

– A chciałabyś? – spytał łagodnie.

– Nie – odrzekła, patrząc na metalowy uchwyt i siwą głowę siedzącej przed nimi kobiety.

– Kanał Obwodowy – powiedział Aleksander. – Jesteśmy na miejscu. – Wysiedli, lecz zamiast jak zwykle zaczekać na szesnastkę, poszli piechotą, chociaż do domu było prawie pięć kilometrów.

Minęli żelazną bramę i ukryte za nią drzwi. I brama, i drzwi prowadziły donikąd. Wyglądało to tak, jakby zbudowano je i porzucono.

– Spójrz – powiedział Aleksander. – Te bramy, te drzwi, wszystkie mają uszy, wszystkie podsłuchują. Wczoraj, dzisiaj, podsłuchują cały czas. Kiedy pracujesz u Kirowa, kiedy odpoczywasz, nawet kiedy śpisz, ktoś cię podsłuchuje, przytykając szklankę do ściany, i…

– Chyba żartujesz. Za ścianą śpią dziadkowie. Chcesz powiedzieć, że na mnie donoszą?

– Nie, nie o to mi chodzi. Chcę tylko powiedzieć, że nikomu nie można ufać. Że nikt nie jest bezpieczny.

– Nikt? – spytała, zerkając na niego figlarnie. – Nawet ty?

– Zwłaszcza ja.

– To znaczy, że nie można ci ufać?

– Można – odrzekł z uśmiechem. – Ale nawet ja nie czuję się bezpieczny.

– Przecież jesteś oficerem Armii Czerwonej!

– Tak? Powiedz to oficerom z roku trzydziestego siódmego i trzydziestego ósmego. Wszystkich rozstrzelano. Właśnie dlatego nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za tę wojnę.

Zrobiła pół kroku w jego stronę.

– A ja? – spytała. – Jestem bezpieczna?

– Tatiano – szepnął jej do ucha. – Oni nas śledzą, zawsze i wszędzie. Pewnego dnia mogą wyskoczyć z ukrytych drzwi, aresztować cię i postawić przed biurkiem człowieka, który spyta, o czym rozmawiałaś z Aleksandrem Biełowem w drodze do domu.

– Za dużo mi naopowiadaliście, poruczniku Biełow. – Tania lekko odchyliła głowę. – Tylko dlaczego? Skoro zakładasz, że prędzej czy później mnie przesłuchają, dlaczego…

– Musiałem komuś zaufać.

– Dlaczego nie zaufałeś Daszy, ryzykując jej życie?

Długo milczał.

– Bo chciałem zaufać tobie.

Lekko trąciła go biodrem.

– I dobrze – rzuciła wesoło. – Jestem jak studnia. Ale zrób coś dla mnie i już nic więcej mi nie mów, dobrze?

– Za późno – odrzekł, trącając biodrem ją.

– Chcesz powiedzieć, że już nic nas nie uratuje? – spytała ze śmiechem. – Że jesteśmy skazani?

– Na wieczność. Chcesz lodów?

– Tak, chętnie. – Tania promieniała.

– Śmietankowe, tak?

– Moje ulubione.

Usiedli na ławce, żeby mogła spokojnie zjeść, ale nie wstali nawet wtedy, kiedy już zjadła. Siedzieli, rozmawiali, wreszcie Aleksander zerknął na zegarek. Zrobiło się późno.

Dochodziła dziesiąta, kiedy przystanęli na rogu Greckiego i Drugiej Radzieckiej, trzy ulice od jej domu.

– A więc… przyjdziesz? – Westchnęła. – Dasza mówiła, że przyjdziesz.

– Tak. – On też westchnął. – Z Dmitrijem.

Tatiana milczała. Stali naprzeciwko siebie.

Był tak blisko, że czuła jego zapach. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który pachniałby tak ładnie i świeżo.

Zdawało się, że chce jej coś powiedzieć. Otworzył usta, pochylił głowę i zmarszczył

czoło. Czekała w napięciu. Rozpaczliwie pragnęła, żeby to powiedział, a jednocześnie chciała od niego uciec. Przeklinała swoje brzydkie robocze buty, żałowała, że nie ma na nogach pięknych, czerwonych sandałów i przypomniawszy sobie, że są to sandały Daszy, że ona, Tania, ładnych butów nie ma, zapragnęła stanąć przed nim boso. Miotana nie znanymi dotąd emocjami i poczuciem winy, powoli zrobiła krok do tyłu.

On też.

– Idź – powiedział. – Do zobaczenia.

Odeszła, czując na sobie jego wzrok. Odwróciła się. Patrzył za nią z oddali.

8

Przyszli o jedenastej. Na dworze wciąż było jasno. Dasza nie wróciła jeszcze z pracy. Jej szef uwijał się jak w ukropie, wyrywając ludziom złote koronki: w ciężkich czasach złoto było pewniejsze niż pieniądze, bo nie traciło na wartości. Dasza harowała do późnej nocy, nienawidząc tego, co robi, i pragnąc, żeby wszyscy zachowywali się tak, jakby życie nie uległo zmianie, żeby Leningrad był dawnym Leningradem, ciepłym, ospałym, zakurzonym i pełnym zakochanych par.

Stali speszeni w kuchni, ona, Dmitrij i Aleksander. Do żeliwnego zlewu kapała woda z kranu.

– Coście tacy ponurzy? – spytał Dima, patrząc to na nią, to na niego.

– Jestem zmęczona. – Skłamała, choć niezupełnie.

– A ja głodny. – Aleksander zerknął w jej stronę.

– Chodźmy na spacer, Taniu.

– Nie, Dima.

– Chodź. On zaczeka na Daszę. Nic tu po nas – dodał z uśmiechem. – Bardzo chcieliby zostać sami, prawda, Aleks?

– Niczego tu nie zdziałają – mruknęła Tatiana. I dzięki Bogu.

Aleksander podszedł do okna i wyjrzał na podwórze.

Tania odchrząknęła.

– Nie mogę, Dima. Jestem…

Dmitrij wziął ją pod ramię.

– Chodź, Tanieczko. Już jadłaś, tak? Chodźmy. Zaraz wrócimy, obiecuję.

Tatiana widziała tylko kwadratowe ramiona Aleksandra.

Miała ochotę spytać: Szura…

– Aleksandrze – spytała – przynieść ci coś do jedzenia?

– Nie, Taniu, dziękuję – odrzekł, spoglądając na nią przez ramię. Jego smutne oczy rozbłysły na chwilę i przygasły.

– Idź do kuchni. Babcia zrobiła pierożki. Zjedz trochę. Jest i barszcz.

Dmitrij wyciągnął ją na korytarz. Ostrożnie przestąpili nad Sławinem, który leżał spokojnie na podłodze, i wyglądało na to, że bez przeszkód dotrą do drzwi, lecz ten w ostatniej chwili chwycił Tanię za kostkę.

Dmitrij nastąpił mu na nadgarstek, Sławin wrzasnął i wyszarpnął rękę.

– Nie wychodź, Tanieczko! – zawodził. – Za późno na spacery! Zostań w domu! – Nie patrzył na Dmitrija, który zaklął i ponownie przygniótł mu butem nadgarstek.

Gdy wyszli na ulicę, zaproponował, że kupi jej lody. Nie chciała, żeby kupował jej lody, ale mimo to odrzekła:

– Dobrze, waniliowe.

Smutna i nieszczęśliwa, jadła idąc. Noc była ciepła. A Tania mogła myśleć tylko o jednym.

– O czym tak myślisz? – spytał Dmitrij.

– O wojnie – skłamała. – A ty?

– O tobie. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Jesteś inna niż dziewczęta, które zwykle widuję.

Tatiana skrzywiła się i nie odrywając wzroku od lodów, wymamrotała „Dziękuję”.

– Mam nadzieję, że Aleksander coś zje – powiedziała. – Dasza może wrócić dopiero za godzinę.

– O tym chcesz rozmawiać? O Aleksandrze? – Nawet jej niewyrobione ucho wychwyciło dziwny chłód w jego głosie.

– Ależ skąd – odrzekła szybko. – Po prostu podtrzymuję rozmowę. – Zmieniła temat. – Co dzisiaj robiłeś?

– Kopałem okopy. Umocnienia na północnym froncie są prawie gotowe. W przyszłym tygodniu Finowie mogą nas atakować. – Szyderczo wykrzywił usta. – Wiem, o czym myślisz. Zastanawiasz się pewnie, dlaczego nie jestem oficerem, jak Aleksander.

Tatiana milczała.

– Dlaczego mnie o to nie spytałaś?

– Nie wiem. – Serce zabiło jej szybciej.

– Jakbyś już wiedziała.

– Ja? Nie. – Miała ochotę wyrzucić lody i uciec do domu.

– Rozmawiałaś z nim o mnie?

– Nie – odrzekła spięta.

– I nie dziwi cię, że ja jestem zwykłym frontowcem, a on oficerem?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. To było głupie. Nie znosiła kłamać.

Z trudem przychodziło jej zachowywanie milczenia, przybieranie obojętnej miny i unikanie czyjegoś wzroku, ale kłamstwo? Nie przeszłoby jej przez gardło.

– Aleks i ja chcieliśmy zostać oficerami. Taki mieliśmy plan.

– Jaki plan?

Dmitrij nie odpowiedział i pytanie zawisło w powietrzu jak miecz, a potem utkwiło w jej głowie.

Zadrżały jej ręce.

Nie chciała być sama z Dmitrijem.

Nie czuła się bezpiecznie.

Doszli do parku Taurydzkiego. Chociaż słońce stało trzydzieści stopni nad horyzontem, pod drzewami zapadł już mrok.

– Przejdziemy się alejkami? – spytał Dmitrij.

– Która godzina?

– Nie wiem.

– Muszę już wracać.

– Nieprawda, nie musisz.

– Muszę. Rodzice nie lubią, kiedy wychodzę późnym wieczorem, nie przywykli do tego. Zdenerwują się.

– Nie, twoi rodzice mnie lubią. – Podszedł bliżej. – Zwłaszcza ojciec. Poza tym – dodał – są zbyt zajęci myśleniem o Paszy i nawet nie zauważą, że cię nie ma.

Tatiana zatrzymała się i odwróciła.

– Idę – oznajmiła i ruszyła w stronę domu.

Chwycił ją za rękę.

– Nie, zaczekaj. – Ścisnął jej dłoń. – Chodź. Usiądźmy pod drzewami.

– Dmitrij, nigdzie nie usiądę. Możesz mnie puścić?

– Chodź…

– Nie. Puść mnie.

Zacisnął palce i podszedł bliżej.

– A jeśli nie puszczę?

Tania ani drgnęła. Wolną ręką objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Dima. – Była spokojna i opanowana, patrzyła mu prosto w oczy. – Co ty robisz? Zwariowałeś?

– Tak, zwariowałem. – Nachylił się, żeby ją pocałować, lecz krzyknęła i gwałtownie odwróciła głowę.

– Nie! Puść mnie.

Wtedy ją puścił.

– Przepraszam – wychrypiał drżącym głosem.

– Muszę wracać do domu. – Ruszyła przed siebie najszybciej jak mogła. – Jesteś dla mnie za stary.

– Nie. Nie. Proszę. Mam tylko dwadzieścia trzy lata.

– Chciałam powiedzieć, że to ja jestem za młoda dla ciebie. Mój chłopak nie może… nie może ode mnie tyle wymagać – dokończyła po namyśle.

– Nie tyle? A ile?

– Niczego nie może wymagać.

– Przepraszam, Taniu. Nie chciałem cię wystraszyć.

– Nie szkodzi. Po prostu nie jestem dziewczyną, która wysiaduje pod drzewami. – Z tobą, pomyślała z drżącym sercem, wspominając Ogród Letni.

– Teraz już o tym wiem i pewnie dlatego jeszcze bardziej mi się podobasz. Tylko czasami nie wiem, jak się przy tobie zachować.

– Szanuj mnie i bądź cierpliwy.

– Będę cierpliwy jak Hiob. – Nachylił się ku niej. – Wiesz dlaczego? Dlatego, że nie zamierzam z ciebie rezygnować.

Przyspieszyła kroku.

– Mam nadzieję, że Dasza lubi Aleksandra – powiedział po chwili.

– Lubi.

– Bo on bardzo lubi ją.

– Tak? – spytała cicho. – Skąd wiesz?

– Przedtem miał dużo zajęć… pozasłużbowych, że tak powiem, ale od jakiegoś czasu prawie nigdzie nie wychodzi. Tylko nic nie mów siostrze, będzie jej przykro.

Miała ochotę odpowiedzieć, że nic z tego nie rozumie, ale bała się, że Dima zacznie jej tłumaczyć.

Dasza i Aleksander siedzieli na małej sofie w korytarzu, czytając opowiadania Zoszczenki i zanosząc się śmiechem.

– To moja książka – wymamrotała gderliwie Tatiana.

Nie wiedzieć czemu, Dasza uznała, że to przezabawne; nawet Aleksander się uśmiechnął. Idąc do pokoju, Tania potknęła się o jego wyciągnięte nogi i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Podtrzymał, natychmiast puścił i spytał:

– Co ty masz na ramieniu?

– Gdzie? Nic, nie. – Wymawiając się zmęczeniem, przeprosiła ich, powiedziała dobranoc i zniknęła w pokoju dziadków. Dziadkowie siedzieli na sofie i słuchali radia, rozmawiając cicho o Paszy. Tania wcisnęła się między nich i od razu poczuła się lepiej.

Nieco później, gdy już leżała w łóżku, usłyszała szept Daszy:

– Taniu? Taniu?

– Co? Jestem zmęczona.

Siostra cmoknęła ją w ramię.

– Przestałyśmy ze sobą rozmawiać. Pasza wyjechał i już ze sobą nie rozmawiamy. Tęsknisz za nim, prawda? Niedługo wróci.

– Tak, tęsknię. Ostatnio jesteś bardzo zajęta. Porozmawiamy jutro, dobrze?

– Taniu, zakochałam się! – szepnęła Dasza.

– Cieszę się – odszepnęła Tania i odwróciła się do ściany.

Dasza pocałowała ją w tył głowy.

– Tym razem to naprawdę to. Och, Tanieczko, po prostu nie wiem, co ze sobą zrobić!

– Może się trochę prześpij?

– Cały czas myślę tylko o nim. Doprowadza mnie do szaleństwa. Jest taki… i chłodny, i gorący zarazem. Dzisiaj był miły, spokojny i zabawny, ale są takie dni, kiedy… Nie potrafię go rozgryźć.

Tatiana milczała.

– Wiem, że nie można oczekiwać za dużo i nie od razu. To, że do mnie przychodzi, to prawdziwy cud. Przedtem nie mogłam go namówić i dopiero w niedzielę…

Tania miała ochotę zauważyć, że to nie Dasza go namówiła, lecz oczywiście nie powiedziała ani słowa.

– Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Chyba nas lubi. Wiedziałaś, że on jest z Krasnodaru? Nie był tam, odkąd wstąpił do wojska. Nie ma ani braci, ani sióstr. I nie chce rozmawiać o swoich rodzicach. Jest taki… Nie umiem tego określić. Taki milczkowaty. Nie lubi mówić o swoich sprawach. Ale o moje wypytywał.

– Tak? – Tania nie zdołała wykrztusić nic więcej.

– Mówi, że nie chce tej wojny.

– Nikt nie chce wojny.

– Ale to już coś, prawda? Jest nadzieja, że po wojnie będzie inny, że jakoś nam się ułoży. – Dasza wtuliła twarz w jej włosy. – Taniu, lubisz Dmitrija?

Tatiana z trudem zapanowała nad głosem.

– Jest miły.

– Bo on ciebie bardzo.

– Nieprawda.

– Prawda. Nie znasz się na tym.

– Trochę się znam i wiem swoje.

– Chciałabyś o czymś porozmawiać, o coś mnie zapytać?

– Nie!

– Musisz być trochę śmielsza, masz już siedemnaście lat. Nie możesz być trochę bardziej… uległa?

– Wobec Dmitrija? Nie, Dasza.

Zanim zasnęła, zdała sobie sprawę, że mniej boi się wojny, która była czymś mglistym i nieokreślonym, niż bólu złamanego serca, który był aż nadto realny.

9

W sobotę poszła do biblioteki i pożyczyła rozmówki rosyjsko-angiel-skie. W szkole uczyła się alfabetu łacińskiego i nieźle go znała. Prawie przez całe popołudnie powtarzała zwroty i zdania, zwłaszcza te najbardziej idiotyczne. Najtrudniejsze do wymówienia było *th*, *w* i miękkie *r.* A zdanie: *The weather will be thunder and rain tomorrow* zbudowano specjalnie po to, żeby ją dobić. Nieźle wychodziło jej *be.*

W niedzielę przyszedł Aleksander i osobiście poprzyklejał do szyb papierowe paski, żeby podczas bombardowania szkło nie wypadło od podmuchu eksplozji.

– Wszyscy muszą to zrobić – wyjaśnił. – Już niedługo po mieście będą chodzić specjalne patrole i sprawdzać, czy wszystkie okna są dobrze pozaklejane. Jeśli Niemcy dojdą do Leningradu, nigdzie nie będzie szkła.

Mietanowowie przyglądali się mu z wielkim zainteresowaniem, a mama bezustannie się nim zachwycała. Jaki jest wysoki, powtarzała, jaki sprawny, jakie zwinne ma ręce, jak pewnie stoi na parapecie. W końcu spytała, gdzie się tego wszystkiego nauczył.

– Mamo – odrzekła niecierpliwie Dasza – przecież on służy w Armii Czerwonej!

– Czy w armii uczą stania na parapecie? – rzuciła cicho Tania.

– Och, zamknij się, Tanieczka – odparła ze śmiechem Dasza; Aleksander też się roześmiał, ale nie kazał jej się zamknąć.

– Co to za deseń? – spytała mama, kiedy zeskoczył na podłogę.

Tatiana, Dasza, mama i babcia popatrzyły na okno. Zamiast zwykłego białego krzyża – w Leningradzie przybywało ich z dnia na dzień – w ich oknie widniało coś, co przypominało drzewo. Drzewo o grubym, lekko pochylonym pniu i podłużnych liściach na wierzchołku.

– A cóż to jest, młodzieńcze? – spytała władczo babcia.

– To jest palma, Anno Lwowno.

Do Aleksandra podeszła Dasza.

– Co takiego? – Dlaczego ona zawsze musi podchodzić tak blisko?

– Palma.

Tatiana obserwowała go w napięciu.

– Palma? – powtórzyła niepewnie Dasza.

– Tropikalne drzewo – wyjaśnił. – Rośnie w obu Amerykach i na wyspach południowego Pacyfiku.

– Hmm… – zadumała się mama. – Trochę dziwnie to wygląda, nie uważasz?

– Lepsza palma niż krzyż – wymamrotała Tatiana.

Uśmiechnął się do niej. Ona do niego.

– Młody człowieku – powiedziała babcia. – W naszych oknach niczego nie komponuj. Nam wystarczą zwykłe krzyże. Obejdziemy się bez palm.

Potem Dasza i Aleksander wyszli, zostawiając Tanię w domu z markotną, zmęczoną rodziną. Niewiele myśląc, poszła do biblioteki i przesiedziała tam kilka godzin, powtarzając obco brzmiące angielskie słowa. Były bardzo trudne, i do czytania, i do pisania. Postanowiła, że przy najbliższej okazji poprosi Aleksandra, żeby powiedział coś po angielsku. Ot, tak, żeby usłyszeć, jak ten język brzmi. Boże, już myślała o następnym spotkaniu, jakby na pewno miało do niego dojść. Poprzysięgła sobie, że zabroni mu przychodzić pod zakłady. Poprzysięgła to sobie tej nocy, leżąc w łóżku twarzą do ściany.

Poprzysięgła to ścianie, wodząc palcem po starej papierowej tapecie, głaszcząc ją i powtarzając: przyrzekam, przyrzekam, przyrzekam. Potem pomacała ręką pod łóżkiem i dotknęła „Jeźdźca miedzianego”. Nie, powie mu to kiedy indziej. Najpierw posłucha, jak Aleksander mówi po angielsku, porozmawiają o wojnie i dopiero wtedy…

W nocy ponownie zawyły syreny. Dasza wróciła bardzo późno, budząc siostrę, której palce wciąż spoczywały na cierpliwej ścianie.

10

W poniedziałek Krasienko wezwał ją do biura i oznajmił, że chociaż Tania znakomicie daje sobie radę przy miotaczach ognia, musi ją natychmiast przenieść na wydział budowy czołgów. Właśnie dostali nowe rozkazy z Moskwy: bez względu na liczebność załogi, Kirow musi produkować pięćdziesiąt czołgów miesięcznie.

– A kto będzie robił miotacze?

– Same się zrobią. – Krasienko zapalił papierosa. – Miła z ciebie dziewczyna, Taniu. Idź. Zjedz trochę zupy w stołówce.

– Myślicie, że przyjmą mnie do Ochotniczej…

– Nie!

– Podobno piętnaście tysięcy naszych robotników pracuje przy budowie umocnień za Ługą. To prawda?

– Prawda jest taka, że ty ich budować nie będziesz. A teraz jazda stąd.

– Czy Ludze grozi niebezpieczeństwo? – Niedaleko Ługi był Pasza.

– Nie – odparł Krasienko. – Niemcy są daleko. Nasi ludzie budują umocnienia na wszelki wypadek. A teraz idź już.

Na wydziale produkcji pracowało znacznie więcej ludzi, a linia montażowa była bardziej skomplikowana niż ta przy miotaczach, ale dzięki temu Tatiana miała mniej do roboty. Kazano jej wkładać tłoki do cylindrów wysokoprężnego silnika czołgowego.

Hala montażowa, szara i ciemna, była wielkości lotniczego hangaru.

Do końca dnia zmontowali pół czołgu. Silnik był na swoim miejscu – dzięki Tatianie – mocno skręcona rama i gąsienice też, jednak wnętrze kadłuba ziało pustką, bo nie było w nim ani przyrządów, ani paneli, ani broni, ani pojemników na amunicję, ani wyrzutni, ani nawet wieżyczki, dlatego machina bardziej przypominała ciężko opancerzony samochód niż radziecki KW-60. Jednakże w przeciwieństwie do pakowania małokalibrowych pocisków, do napełniania miotaczy naftą czy do pokrywania bomb warstwą smaru, zmontowanie połowy czołgu dało Tani poczucie spełnienia, jakiego nie zaznała podczas całego miesiąca pracy u Kirowa. Czuła się tak, jakby sama go zbudowała. I kolejny powód do dumy: po południu Krasienko powiedział jej, że Niemcy nie mogą nawet marzyć o czołgu tak doskonałym, tak znakomicie uzbrojonym, tak łatwym w obsłudze, tak zwrotnym i szybkim, mimo to opancerzonym czterdziestomilimetrowej grubości blachą stalową i wyposażonym w działo kalibru osiemdziesiąt pięć milimetrów. Wciąż uważali, że najlepszy jest ich Tygrys.

– Świetnie się sprawiłaś – zakończył Krasienko. – Kiedy dorośniesz, powinnaś zostać mechanikiem.

O ósmej Tania wyszorowała ręce, poprawiła kołnierzyk, wyszczotkowała włosy i wybiegła na ulicę, nie wierząc, że po jedenastu godzinach harówki może jeszcze biec, a jednak biegła, w obawie, że Aleksander nie będzie na nią czekał.

Ale nie: czekał.

Czekał, lecz się nie uśmiechał.

Zdyszana próbowała nad sobą zapanować. Pierwszy raz od piątku była z nim sam na sam, nie licząc morza obcych na przystanku. Miała ochotę powiedzieć: „Jestem taka szczęśliwa, że przyszedłeś”. Hmm, a co się stało z: „Już nigdy tu nie przychodź”?

Ktoś ją zawołał. Niechętnie odwróciła głowę. Ilja, szesnastolatek, który pracował przy

montażu gąsienic czołgu.

– Czekasz na autobus? – spytał, zerkając na milczącego Aleksandra.

– Nie, do zobaczenia jutro. – Gestem ręki dała Aleksandrowi znak i przeszli na drugą stronę ulicy.

– A ten to kto?

– Ilja? – spytała zaskoczona Tatiana. – Pracuje ze mną.

– Naprzykrza ci się?

– Co? Ależ skąd. – Szczerze mówiąc, Ilja trochę się jej naprzykrzał. – Przeszłam na inny wydział – dodała z dumą. – Montujemy czołgi na front w Łudze.

– Szybko je montujecie?

– Jeden w dwa dni. To chyba nieźle, prawda?

– Żeby pomóc tym z Ługi, musielibyście montować dziesięć dziennie.

Wyczuwając coś w jego głosie, podniosła głowę, lecz twarz miał jak z kamienia.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Tak.

Zmarszczyła czoło.

– Co się stało?

– Nic.

Ludzie stojący na przystanku tramwajowym w milczeniu palili papierosy. Nikt z nikim nie rozmawiał.

– Chcesz się przejść? – spytała nieśmiało.

Pokręcił głową.

– Cały dzień byłem na szkoleniu wojskowym.

– Myślałam, że już dawno cię wyszkolili – zażartowała, trącając go lekko w ramię.

– Nie, to ja szkoliłem ich. Manewry, strzelnica, budowa schronów. – Spostrzegła, że jest dziwnie przygaszony. Czyżby aż tak dobrze znała jego głos? Jego twarz?

– Co się stało? – spytała po raz drugi.

– Nic. – Nagle chwycił ją za rękę i podciągnął rękaw sukienki, odsłaniając ciemny siniak na ramieniu. – Taniu, co to jest?

Boże.

– Nic. – Próbowała zabrać rękę, lecz nie mogła, gdyż stali za blisko siebie. – To nic, naprawdę. – Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Nie wierzę. Mówiłem ci, żebyś nie zadawała się z Dmitrijem.

– Nie zadaję się z Dmitrijem. – Wymienili spojrzenia i Tania wbiła wzrok w guzik munduru Aleksandra. – Chciał tylko, żebym z nim usiadła.

– Jeśli znowu chwyci cię za ramię, w dodatku tak mocno, masz mi natychmiast o tym powiedzieć. – Dopiero teraz ją puścił.

Te długie, szczupłe, silne palce… Szkoda, że zabrał rękę.

– Dima jest miły. Po prostu miał do czynienia z innego rodzaju dziewczętami. – Odkaszlnęła. – Kto nie miał? Posłuchaj, rozmawiałam z nim. Jestem pewna, że to się już nie powtórzy.

– Naprawdę? Tak samo jak rozmawiałaś z rodzicami o powrocie Paszy?

Tatiana milczała chwilę.

– Mówiłam, że to dla mnie trudne. Nie udało ci się namówić do tego nawet mojej dwudziestoczteroletniej siostry. Może sam spróbujesz? Przyjdź, napij się z tatą wódki i spróbuj. Pokaż mi, jak to się robi, bo ja nie potrafię.

– Nie potrafisz porozmawiać z rodzicami o swoim bracie, ale potrafisz dać odpór

Dmitrijowi?

– Żebyś wiedział – podniosła głos i ze smutkiem pomyślała: czy my się kłócimy? Dlaczego?

W tramwaju były dwa wolne miejsca. Ona trzymała się metalowej poręczy na oparciu fotela przed sobą, on splótł dłonie na kolanach. Cały czas milczał i unikał jej wzroku. Coś nie dawało mu spokoju. Dmitrij? Mimo to siedzieli blisko siebie: jej ramię dotykało jego ramienia, jego noga jej nogi. Nie odsunęła się; jakby mogła, jakby choć raz o tym pomyślała. Hipnotyzował ją i przyciągał jak magnes. Jego udo miało twardość marmuru.

Chcąc złagodzić napięcie, zaczęła mówić o wojnie.

– Gdzie przebiega teraz linia frontu?

– Przesuwa się na północ.

– Ale jest jeszcze daleko, tak? Daleko od…

Patrzył prosto przed siebie.

– Mimo całego męstwa, jesteśmy narodem cywilów. Te głupie manewry – prychnął – te ćwiczenia, te uziemione samoloty, te żałosne czołgi… Nie wiedzieliśmy, z kim będziemy mieli do czynienia.

Przytuliła się leciutko do jego ramienia, chłonąc go przez skórę.

– Słuchaj, dlaczego Dmitrij nie chce iść na front? Przecież bez walki nie wypędzimy Niemców.

– Dima ma Niemców gdzieś. Obchodzi go tylko… – Urwał i spojrzał w okno.

Tatiana czekała.

– Wkrótce dowiesz się o nim jednego: Dima uważa, że przetrwanie jest jego niezbywalnym prawem.

– Co znaczy „niezbywalne prawo”?

– Prawo, którego nie można nikomu odebrać – wyjaśnił z uśmiechem.

Tania zmarszczyła czoło.

– Kto tak powiedział? Czy my w ogóle mamy takie prawa? Nie są zastrzeżone dla państwa?

– My? Gdzie?

– Tu. – Zniżyła głos. – W Związku Radzieckim.

– Nie, Taniu, tu ich nie mamy. Masz rację, w Związku Radzieckim prawa te są zastrzeżone dla państwa. I dla Dmitrija. Zwłaszcza prawo do przetrwania za wszelką cenę.

– Niezbywalne prawo… – powtórzyła w zadumie Tatiana. – Nigdy dotąd nie słyszałam tego określenia.

– Nic dziwnego. – Złagodniała mu twarz. – Jak spędziłaś resztę niedzieli? Byłaś gdzieś? Jak się miewa mama? Ilekroć ją widzę, wygląda tak, jakby zaraz miała upaść.

– Tak, ostatnio ma dużo zmartwień. – Spojrzała w okno. Nie chciała rozmawiać o Paszy. – Wiesz, co wczoraj zrobiłam? Nauczyłam się kilku angielskich słów. Chcesz posłuchać?

– Bardzo, ale najpierw wysiądźmy. Czy chociaż dobre są te słowa?

Nie bardzo wiedziała, co ma na myśli, ale i tak się zaczerwieniła.

Wysiedli i mijając Dworzec Warszawski, Tania zobaczyła tłum stojących grupkami ludzi: kobiet z dziećmi, staruszków i staruszek z bagażami. Wszyscy jakby na coś czekali.

– Na co oni czekają? – spytała.

– Na pociąg. Ci są mądrzy. Wyjeżdżają.

– Wyjeżdżają?

– Tak. Ty też powinnaś wyjechać – dodał, gdy przeszli jeszcze kilka kroków.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Byle dalej.

Dlaczego jeszcze tydzień temu myśl o ewakuacji była taka ekscytująca, a teraz brzmiała jak wyrok śmierci? Bo to nie była ewakuacja. To było wygnanie.

– Z tego, co słyszę – ciągnął Aleksander – Niemcy dają nam w kość. Biją nas, miażdżą. Jesteśmy nieprzygotowani, źle wyposażeni, nie mamy ani czołgów, ani broni.

– Nie martw się – odrzekła ze sztuczną beztroską w głosie. – Jutro skończymy nasz czołg.

– Nie mamy nic oprócz ludzi, Taniu. Bez względu na to, jak dobre wiadomości podają przez radio.

– Są bardzo krzepiące. – Chciała powiedzieć to wesoło, lecz nie zdołała.

– Taniu.

– Tak.

– Czy ty mnie słuchasz? Prędzej czy później Niemcy uderzą na Leningrad. Tu jest niebezpiecznie. Powinnaś wyjechać.

– Moja rodzina nie ruszy się z miejsca!

– To wyjedź sama.

– Co ty mówisz? – wykrzyknęła ze śmiechem. – Nigdy w życiu sama nie wyjeżdżałam! Sama chodzę najwyżej do sklepu. Nie mogę wyjechać. Zresztą dokąd? Na Ural albo gdzieś, dokąd ewakuują ludzi z zachodu? Chciałbyś, żebym tam wyjechała? A może wyślesz mnie do Ameryki? Czy w Ameryce byłabym bezpieczna? – Zachichotała. Cóż to za absurd?

– Tak – odparł posępnie. – Tam byłabyś bezpieczna.

Wróciwszy do domu, wszczęła z ojcem rozmowę o wyjeździe i o Paszy.

Tata zaciągnął się dymem. Dokładnie trzy razy; Tania liczyła. Potem wstał, zgasił papierosa i mocno akcentując słowa, odrzekł:

– Taniusza, co ci do głowy przychodzi? Niemcy tu nie przyjdą. Nigdzie nie wyjadę. A Paszy nic nie grozi. Jestem tego pewny. Posłuchaj, jeśli tak bardzo się martwisz, mama jutro do niego zadzwoni. Dobrze?

– Taniu – powiedział dziadek – poprosiłem o pozwolenie na wyjazd do obwodu mołotowskiego na Uralu. Mam tam kuzyna…

– Wasiliju, twój kuzyn umarł dziesięć lat temu – przerwała mu babcia, kręcąc dużą, siwą głowa. – Podczas głodu w trzydziestym pierwszym.

– Ale jego żona żyje.

– Umarła na dyzenterię w dwudziestym ósmym.

– Druga żona umarła, ale pierwsza, Maria Michajłowna, żyje.

– Ale nie mieszka w Mołotowskiem, tylko w tej małej wiosce, w której i my kiedyś mieszkaliśmy…

– Kobieto! – ryknął dziadek. – Chcesz ze mną jechać czy nie?

– Ja z tobą pojadę, dziadku – rzuciła wesoło Tania. – Czy tam jest ładnie?

– Pojadę z tobą, Wasilij – powiedziała babcia – ale nie udawaj, że mamy tam jakąś rodzinę. Równie dobrze moglibyśmy wyjechać na Czukotkę.

– Na Czukotkę? – spytała Tatiana. – Czy to na kręgu polarnym?

– Tak – odrzekł dziadek.

– Koło Cieśniny Beringa?

– Tak.

– To może jedźmy na Czukotkę? Skoro już musimy…

– Na Czukotkę? – wykrzyknął dziadek. – A kto mnie puści na Czukotkę? I kogo tam będę uczył?

– Tania jest głupia. – Mama pokiwała głową.

Tatiana zamilkła. Myślała o dziadku, który uczy matematyki na Czukotce. Myślała o czymś absurdalnym. O czymś tak absurdalnie absurdalnym, że gdyby nie obecność rodziny, wybuchnęłaby śmiechem.

– Dlaczego pytasz o Cieśninę Beringa? – mruknął dziadek.

– Ona ma niedorzeczne myśli – wtrąciła Dasza. – I niedorzeczne życie wewnętrzne.

– Wcale nie – odparła Tania. – Co jest na drugim brzegu Cieśniny Beringa?

– Alaska – odrzekł dziadek. – Ale co to ma do rzeczy?

– Właśnie, Taniu, lepiej się nie odzywaj – dodała mama.

Nazajutrz wieczorem tata wrócił z pracy z kartkami dla całej rodziny.

– Nie uwierzycie – powiedział. – Kartki na żywność. Cóż, jakoś sobie poradzimy. Zresztą całkiem sporo tego… – Robotnicy dostawali osiemset gramów chleba dziennie, kilogram mięsa i pół kilograma płatków owsianych tygodniowo. Wydawało się, że to rzeczywiście dużo.

– Mamo, dzwoniłaś do Paszy? – spytała Tatiana.

– Próbowałam. Poszłam nawet na pocztę główną, na Wielkiej Koniuszennej, ale się nie dodzwoniłam. Spróbuję jutro.

Wiadomości z frontu były złowieszcze. Komunikaty frontowe – porozwieszane po całym Leningradzie na drewnianych tablicach, gdzie kiedyś wywieszano codzienne gazety – niepokojące w swej ogólnikowości. Radio podawało, że Armia Czerwona zwycięża, chociaż wojska niemieckie wciąż posuwają się naprzód.

Jak to zwycięża? – zastanawiała się Tatiana. Jak może zwyciężać, skoro Niemcy coraz bliżej?

Kilka dni później dziadek oznajmił, że ma duże szanse na posadę w obwodzie mołotowskim i zaproponował, żeby zaczęli się pakować.

– Bez Paszy nigdzie nie pojadę – warknęła mama. – Poza tym – dodała spokojniejszym tonem głosu – szyję teraz mundury dla wojska. Ojczyzna mnie potrzebuje. – Kiwnęła głową. – Wszystko będzie dobrze. Wojna niedługo się skończy. Słuchaliście radia? Armia Czerwona zwycięża. Wypieramy wroga z kraju.

– Irino, Irino… – westchnął dziadek. – Ten wróg to największa, najlepiej uzbrojona i wyszkolona armia w świecie. Nie słyszałaś? Anglicy walczą z nimi od półtora roku. Sami. Nie dali im rady, chociaż mają ten słynny RAF.

– Tak, tatusiu – wtrącił ojciec, idąc żonie na odsiecz – ale teraz Niemcy prowadzą prawdziwą wojnę, nie tylko powietrzną. Radziecki front to wielki front. Będą mieli z nami ciężką przeprawę.

– Może i tak, ale lepiej tego nie sprawdzajmy.

– Ja nie jadę-oświadczyła mama.

– Popieram mamę – wtrąciła Dasza.

No pewnie, pomyślała Tania.

Paszy z nimi nie było, więc nie zabierał głosu.

Siedzieli w kiszkowatym pokoju, tata i mama paląc, babcia i dziadek kręcąc siwymi głowami. Dasza szyła.

Ja też nie jadę, zdecydowała Tania.

Nie mogła jechać, bo się okopała. Okopała się Aleksandrem i nie była w stanie z tego

okopu wyjść. Żyła dla tej jednej wieczornej godziny, dla tych kilku chwil, które popychały ją ku przyszłości i ku ledwie ukształtowanym bolesnym uczuciom, których nie potrafiła ani wyrazić, ani zrozumieć. „Przyjaciele, którzy spacerują po Leningradzie w świetlistym zmierzchu". Nie mogła żądać i nie żądała od niego niczego więcej, mimo to podczas tej jednej, jedynej godziny po długim dniu pracy, kiedy serce omal nie wyskoczyło jej z piersi i kiedy brakło jej tchu, była naprawdę szczęśliwa.

W domu otaczała się rodziną, ale była z nimi i nie była zarazem. Wieczorami zaś obserwowała ich, jak choćby teraz, nieufnie sondując ich nastrój.

– Mamo, dzwoniłaś do Paszy?

– Tak, ale nikt nie odbierał. Tam, w obozie. Nikt nie podnosił słuchawki. Pewnie podali mi zły numer. Dzwoniłam do rady w tej wsi, w Dogotinie, ale tam też głucho. Spróbuję jutro. Wszyscy chcą się gdzieś dodzwonić. Linie są przeciążone.

Mama próbowała dzwonić jeszcze kilka razy, lecz bez skutku. Z frontu wciąż nie było dobrych wiadomości, nie mówiono też o ewakuacji.

Aleksander przestał ich odwiedzać. Dasza pracowała do późnego wieczora. Dmitrij wyjechał na fińską granicę.

Codziennie po pracy Tatiana szczotkowała włosy i wybiegała z zakładu, myśląc: „proszę, czekaj na mnie", i Aleksander czekał. Jednakże nie zapraszał jej już na spacer po Ogrodzie Letnim, nie proponował, żeby usiedli na ławce pod drzewami.

Znużonym krokiem wędrowali powoli od przystanku do przystanku i niechętnie żegnali się na Greckim, trzy ulice od jej domu na Piątej Radzieckiej.

Idąc, gawędzili o Ameryce, o jego życiu w Moskwie, o wakacjach Tatiany nad jeziorem Ilmen i pod Ługą, o wojnie – choć ze względu na denerwujący brak wieści o Paszy, o wojnie rozmawiali coraz mniej – czasem Aleksander uczył ją angielskiego, czasem opowiadali sobie kawały, a czasem milczeli. Bywało, że balansując niepewnie na wysokiej krawędzi Kanału Obwodowego, dla zachowania równowagi Tatiana niosła jego karabin.

– Tylko nie spadnij – powiedział kiedyś. – Nie umiem pływać.

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem i omal nie spadła.

Błyskawicznie przytrzymał lufę karabinu.

– Lepiej nie sprawdzajmy. Nie chcę stracić broni.

– Spokojnie – odrzekła, chwiejąc się niebezpiecznie na krawędzi. – Bardzo dobrze pływam. Zanurkuję po karabin, i już. Pokazać ci?

– Nie, dziękuję.

Czasem, kiedy Aleksander mówił, przyglądała mu się tak intensywnie, że po jakimś czasie z zażenowaniem stwierdzała, że ma rozchylone usta. Nie wiedziała, jaką przybierać minę, gdy o czymś opowiadał: jego karmelowe oczy mrugały, jaśniały, śmiały się i posępniały, rozedrgane usta poruszały się, otwierały i oddychały. Patrzyła to na oczy, to na wargi, sunęła wzrokiem od linii włosów do podbródka, bojąc się, że przegapi jakiś szczegół.

O pewnych sprawach nie chciał mówić i nie mówił. Na przykład o swoim ojcu, o tym, jak zmienił nazwisko na Biełow ani o tym, za co dostał medal. Nigdy go o to nie wypytywała. Brała to, co jej dawał, i niecierpliwie czekała na resztę.

11

– Za długo pracuję – powiedziała w piątek wieczorem ze znużonym uśmiechem człowieka, który ma za sobą dwanaście godzin harówki. – Dzisiaj zrobiłam dla ciebie cały czołg. Taki z czerwoną gwiazdą i z numerem trzydzieści sześć na wieżyczce. Umiesz prowadzić czołg?

– Ba! – odrzekł. – Umiem nim nawet dowodzić.

– To jakaś różnica?

– Oczywiście – odrzekł z uśmiechem. – Jako dowódca nic nie robię. Wykrzykuję tylko rozkazy i czekam, aż nas zabiją.

– Bardzo śmieszne – wymamrotała. – Chcę się przenieść do piekarni. Zamiast robić czołgi, niektórzy szczęściarze pieką chleb.

– Im więcej, tym lepiej.

– Czołgów?

– Chleba.

– Obiecali nam premię za zmontowanie całego czołgu, uwierzysz? Premię! – Zachichotała. – System zarobków podczas wojny – niby dlaczego mielibyśmy tak ciężko pracować za parę rubli więcej? – stoi w całkowitej sprzeczności z tym, czego uczono nas od urodzenia, a tu proszę: premia.

– Nic się nie martw. Nie przestaną was indoktrynować, dopóki nie zechcecie pracować nawet za kopiejkę więcej.

– Przestań, ty wywrotowcze – szepnęła z uśmiechem. – Nic dziwnego, że cały czas oglądasz się przez ramię. Zina naraziła się bardzo podobną uwagą. Powiedziała, że chętnie wstąpi do wojska, bo w wojsku nie może być gorzej niż w zakładzie.

Aleksander popadł w zadumę. Chodnik był szeroki, mimo to szli blisko siebie, potrącając się ramionami.

– Zina ma rację – rzekł w końcu. – Lepiej uważaj, nie popełnij żadnego błędu. Słyszałaś o Karlu Otsie?

– O kim?

– Był dyrektorem w czasach, kiedy wasza fabryka nazywała się Zakłady Putiłowskie. Karol Ots. Po zabójstwie Kirowa w trzydziestym czwartym próbował zaprowadzić tam porządek, uchronić robotników przed… powiedzmy, że przed odwetem.

Tatiana słyszała o Siergieju Kirowie od ojca i od dziadka.

– Aresztowali go? Skazali na śmierć?

Aleksander kiwnął głową.

– Tak. Któregoś dnia, podczas kontroli czołgu T-28, stwierdzono brak jakiejś śruby. Tego samego dnia czołg miał być przekazany wojsku. Wybuchł skandal, zaczęto gorączkowo szukać „wrażego sabotażysty”. – Aleksander wziął głęboki oddech. Tatiana czekała.

Przystanęli na skrzyżowaniu.

– Ots wiedział, że to tylko głupi błąd. Ot, zwykłe przeoczenie mechanika, który zapomniał przykręcić śrubę. Wiedział i dlatego nie chciał dopuścić do polowania na czarownice.

– Niech zgadnę – szepnęła Tania. – Nie udało mu się.

– Równie dobrze mógł stawić czoło cyklonowi, twierdząc, że to tylko lekki wiatr.

– Cyklonowi?

– Z fabryki zniknęły setki ludzi.

Tania spuściła głowę.

– Ots też?

– Uhm. Jego zastępcy, księgowi, kadrowcy, kierownicy produkcji i narzędziowni, nie wspominając już o byłych pracownikach zakładów, którzy awansowali na wyższe stanowiska rządowe. Pierwszy sekretarz miejskiego komitetu partii, pierwszy sekretarz obwodu newskiego, mer Leningradu… On też zniknął.

Światło zmieniło się na zielone, potem na czerwone, potem znowu na zielone. Przeszli przez jezdnię, kiedy paliło się czerwone, ale już się nie dotykali. Tatiana pogrążyła się w głębokiej zadumie.

– Więc co chcesz przez to powiedzieć? – spytała w końcu. – Żeby starannie dokręcać wszystkie śruby?

– Właśnie.

– Zina ma rację. Harujemy do upadłego, jest wyczerpana. Chce tylko jednego: wyjechać do Mińska, do siostry.

Aleksander potarł oczy i włożył czapkę.

– Powiedz jej – rzucił spięty – żeby dała sobie spokój z Mińskiem. Niech skupi się na tym, co robi, na czołgach. Jaki macie plan?

– Przedtem piętnaście, teraz już trzydzieści miesięcznie. Nie nadążamy.

– Za dużo od was wymagają.

– Czekaj, zaraz. – Położyła mu rękę na ramieniu i zaskoczona sama sobą, szybko ją cofnęła. – Dlaczego Zina ma dać sobie spokój z Mińskiem?

– Bo Mińsk padł – odrzekł ponuro Aleksander. – Trzynaście dni temu.

– Co takiego?

– To, co słyszałaś.

– Trzynaście dni temu?! Nie, nie, to niemożliwe. Mińsk jest tylko kilka kilometrów od… – Słowa uwięzły jej w gardle.

– Taniu, nie kilka, ale kilkaset.

Nogi miała jak z waty.

– Nie, bliżej, znacznie bliżej. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Taniu, to tajemnica wojskowa! Mówię ci tylko to, co mogę, nic więcej. Ciągle mam nadzieję, że ci z radia wreszcie powiedzą prawdę, ale oni wciąż kłamią, dlatego ostrożnie dawkuję wiadomości. Mińsk padł już w sześć dni po rozpoczęciu wojny. Nawet towarzysz Stalin był zdziwiony.

– Przemawiał do nas w zeszłym tygodniu. Dlaczego nic nie powiedział?

– Nazwał was braćmi i siostrami, prawda? Chciał, żebyście powstali i walczyli. Po co miał mówić, że Niemcy są już w głębi kraju?

– Daleko zaszli?

Aleksander milczał.

– A co z naszym Paszą? – spytała przybita, ledwo poruszając ustami.

– Taniu! Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz! Od samego początku, od pierwszego dnia wojny przychodziłem tu i powtarzałem, żebyście zabrali go z Tołmaczewa!

Tatiana odwróciła głowę, z trudem powstrzymując łzy. Nie chciała, żeby widział ją zapłakaną.

– Do Ługi jeszcze nie dotarli – odrzekł. – Ani do Tołmaczewa. Nie martw się. Ale powiem ci jeszcze, że od początku wojny straciliśmy tysiąc dwieście samolotów.

– Nie wiedziałam, że tyle ich mieliśmy.
– Mniej więcej tyle.
– I co my teraz zrobimy?
– My? – Zerknął na nią i przystanął. – Mówiłem ci: wyjedź z Leningradu.
– A ja ci mówiłam, że rodzice nie wyjadą bez Paszy.
Aleksander zamilkł. Poszli dalej.
– Zmęczona? – spytał cicho. – Chcesz wracać do domu?
Tak, jestem zmęczona, ale nie chcę wracać do domu.
– Przejdziemy się na most Pałacowy? – spytał, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Chyba są tam jeszcze lody.

Gdy zjadła, ruszyli brzegiem Newy prosto w zachodzące słońce, zostawiając za sobą soczystą zieleń i biały przepych Pałacu Zimowego, gdy wtem po drugiej stronie ulicy dostrzegła mężczyznę, na widok którego gwałtownie przystanęła.

Wysoki, szczupły, miał długą jowiszową brodę i stał przed Ermitażem z wyrazem potwornej rozpaczy na twarzy.

Natychmiast to zauważyła. Jakąż trzeba przeżyć tragedię, żeby mieć tak smutną twarz? Stał przed wojskową ciężarówką, obserwując, jak młodzi żołnierze ładują do niej skrzynie z Pałacu Zimowego. Patrzył właśnie na nie, na skrzynie, patrzył z tak wielkim bólem i smutkiem, jakby żegnał się z ukochaną.

– Kto to jest? – spytała wstrząśnięta.
– Kustosz Ermitażu.
– Dlaczego tak patrzy na te skrzynie?
– Ich zawartość to jedyna pasja jego życia. Nie wie, czy kiedykolwiek je zobaczy.

Tatiana szybko zamrugała. Niewiele brakowało i podbiegłaby do mężczyzny, żeby go pocieszyć.

– Powinien mieć więcej wiary, nie sądzisz?
– Masz rację – odrzekł Aleksander z uśmiechem. – Powinien. Po wojnie na pewno je zobaczy.
– Patrzy na nie tak, jakby po zwycięstwie miał zamiar przytargać je tu własnymi rękami. – Na podwórzu muzeum parkowały cztery opancerzone ciężarówki. – Co się tam dzieje?

Aleksander nie odpowiedział, lecz powstrzymał ją gestem ręki, wskazując szerokie, zielone drzwi. Po chwili wyszło z nich czterech żołnierzy z kolejnymi skrzyniami. We wszystkich były małe otwory.

– Obrazy?
Kiwnął głową.
– Cztery ciężarówki obrazów?
– To jeszcze nic. To tylko niewielka cząstka całego ładunku.
– Dlaczego wywożą je z Ermitażu?
– Ponieważ jest wojna.
– Jest wojna, dlatego wywożą stąd dzieła sztuki?
– Tak.
– Skoro tak bardzo się boją, że Hitler zajmie Leningrad, dlaczego nas nie ewakuują?
Uśmiechnął się i niemal zapomniała, o co go pytała.
– Taniu, jeśli wszyscy wyjadą, kto będzie walczył z Niemcami? Chyba nie obrazy.
– Zaraz. Przecież my nie umiemy walczyć, nikt nas nie uczył.

– Nie, ale my umiemy. Dlatego tu jestem. W naszym garnizonie stacjonują tysiące żołnierzy. Obwarujemy się i będziemy walczyć. Na pierwszy ogień pójdą frontowcy…

– Dmitrij?

– Tak, Dmitrij. Wyjdzie na ulicę z karabinem, a jak go zabiją, na ulicę wyjadę ja, czołgiem, takim, jakie montujecie u Kirowa. A kiedy zabiją i mnie, kiedy padną wszystkie barykady, kiedy nie będzie już ani czołgów, ani nawet karabinów, wtedy wyślą ciebie. Z kamieniem w ręku.

– A kiedy mnie zabiją?

– Jesteś ostatnią linią obrony. Jeśli polegniesz, hitlerowskie wojska przemaszerują przez Leningrad, tak jak przemaszerowały przez Paryż. Pamiętasz?

– To niesprawiedliwe – mruknęła ponuro Tania. – Francuzi nie walczyli. – Miała w tej chwili ochotę znaleźć się jak najdalej od Ermitażu, z którego wywożono dzieła sztuki.

– Oni nie, ale ty na pewno będziesz walczyć. O każdą ulicę, o każdy dom. A kiedy przegrasz…

– Ocaleje tylko sztuka.

– Tak! – wykrzyknął z uniesieniem. – Ocaleje sztuka. Malarz namaluje wspaniały obraz, unieśmiertelni cię na płótnie w chwili, gdy na tle pomnika Piotra Wielkiego na miedzianym koniu idziesz na niemiecki czołg z kijem w ręku. Obraz zawiśnie w Ermitażu, a kiedy wybuchnie kolejna wojna, kustosz znowu stanie na chodniku, by zapłakać nad bezcennym dziełem sztuki.

Żołnierze weszli do gmachu, by kilka minut później wyjść na ulice z kolejnymi skrzyniami.

– Jakie to romantyczne – powiedziała Tatiana. – Mówisz tak, jakby warto było umierać za Leningrad.

– A nie warto? Nie warto umierać za matkę Rosję? Nie chcesz bronić jej przed Hitlerem?

– Być nazistą… Może to nie takie złe. Salutujemy towarzyszowi Stalinowi… – Zasalutowała jak żołnierz. – Możemy salutować i Hitlerowi. – Podniosła rękę w geście hitlerowskiego pozdrowienia. – Odbierze nam wolność i zrobi z nas niewolników. No to co? Będziemy mieli co jeść. Będziemy żyli. Życie człowieka wolnego jest lepsze, ale lepiej jest żyć niż nie żyć, prawda?

Aleksander nie odpowiedział.

– Nie będziemy mogli podróżować po świecie – ciągnęła Tatiana. – Ale teraz też nie możemy. Zresztą kto by miał ochotę zwiedzać te potworne zachodnie slumsy, w których jeden morduje drugiego za pięćdziesiąt… centów, tak? Czyż nie tego uczą nas w szkole? – Spojrzała mu w oczy. – Wiesz, wolałabym chyba umrzeć przed pomnikiem Piotra Wielkiego z kamieniem w ręku. A wolnym życiem, którego nie znam i nie pojmuję, niech sobie żyją inni.

– Wiem, Taniu – odrzekł chrapliwie Aleksander – wiem. – Czułym, a zarazem rozpaczliwym gestem położył rękę na jej obnażonej szyi. Dłoń miał tak wielką, że sięgała od obojczyka aż po piersi. Tania czuła, że jeszcze chwila i przylgnie do jej serca.

Podniosła wzrok i, zupełnie bezbronna, zobaczyła, że Aleksander nachyla się nad nią, lecz w tym samym momencie dobiegł ich głos strażnika, który stanął na krawężniku po drugiej stronie ulicy i krzyknął:

– Hej, wy tam! Jazda stąd! Jazda! Na co się tak gapicie? Nie ma na co się gapić! Napatrzyliście się? To idźcie stąd!

Aleksander zabrał rękę i przeszył go wzrokiem. Strażnik odszedł, mamrocząc, że

oficerowie Armii Czerwonej muszą przestrzegać prawa jak wszyscy inni.

Kiedy żegnali się kilka minut później, żadne z nich nie wspomniało o tym, co się przed chwilą stało, mimo to jednak Tania patrzyła w ziemię, a on w bok.

Na kolację były zimne ziemniaki z zimną smażoną cebulą. Szybko zjadła i poszła na dach wypatrywać samolotów. Tego wieczoru niemieckie bombowce mogły zmieść z powierzchni ziemi całe miasto, ponieważ patrząc w niebo, widziała jedynie namiętne oczy Aleksandra i czuła jego gorącą rękę na swym mocno bijącym sercu.

W tamtych tygodniach Tania straciła niewinność. Straciła ją wraz z uczciwością, która odeszła raz na zawsze, ustępując miejsca zakłamaniu. Zakłamanie to miało towarzyszyć jej wszędzie, na każdym kroku, dzień w dzień i noc w noc, miało jej przypominać o sobie, ilekroć do tknęła stopą stopy śpiącej obok Daszy. Wszystko przez to, co do niego czuła.

Jednakże to, co czuła, było szczere i prawdziwe.

I czuła to, głucha na ostrzegawczy krzyk sumienia.

Och, żeby tak spacerować po Leningradzie noc w noc, we wszystkie białe noce, kiedy świt i zmierzch stapiają się ze sobą niczym ruda platyny, myślała, odwracając się do ściany, znowu do ściany, jak zwykle, jak zawsze do ściany. Aleksandrze, nocy moja i dniu, myśli moja. Wiem, że niedługo odejdziesz, że kiedy odejdziesz, znowu będę sobą, że będę żyła dalej i z czasem skieruję swe uczucia ku komuś innemu, bo tak to na tym świecie jest.

Lecz niewinności nie odzyskam już nigdy.

12

Dwa dni później, w drugą niedzielę lipca, do Tatiany i Daszy przyszli Aleksander i Dmitrij. Byli po cywilnemu. Aleksander miał na sobie czarne płócienne spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami. Tania widziała go w takiej koszuli pierwszy raz, pierwszy raz – nie licząc twarzy i rąk – widziała nagą skórę jego ramion. A ramiona miał muskularne i opalone. I był starannie ogolony. Niesamowite. Do wieczora jego policzki zawsze ciemniały od zarostu. Z trzepoczącym się jak ptak sercem stwierdziła, że jest nieprawdopodobnie przystojny.

– Dokąd chcecie iść? – spytał Dmitrij. – Chodźmy gdzieś. Jedźmy do Peterhofu.

Zapakowali trochę jedzenia i ruszyli na Dworzec Warszawski; do Peterhofu była godzina jazdy pociągiem. Szli wzdłuż Kanału Obwodowego, gdzie Tatiana i Aleksander spacerowali co dnia. Tania milczała. Raz, kiedy Aleksander zeskoczył z wąskiego chodnika, żeby ich wyprzedzić, jego nagie ramię musnęło jej ramię, też nagie.

– Taniu – rzuciła Dasza w pociągu. – Powiedz Dimie i Aleksowi, jak nazywasz Peterhof.

– Słucham? – spytała wyrwana z zamyślenia. – Peterhof? To Wersal Związku Radzieckiego.

– Kiedy była mała – wyjaśniła Dasza – chciała być królową i mieszkać w Wielkim Pałacu. Prawda, Tanieczko?

– Uhm.

– A jak nazywały cię dzieciaki spod Ługi?

– Nie pamiętam.

– Zaraz, zaraz, jakoś tak śmiesznie… Nazywały cię królową…

Tatiana zerknęła na Aleksandra, Aleksander na Tatianę.

– Taniu – wtrącił Dmitrij. – A gdybyś tak została królową, jaki byłby twój pierwszy edykt?

– Nakazałabym przywrócić pokój w królestwie i ściąć wszystkich przestępców.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Tęskniłem za tobą, Taniu – powiedział Dmitrij.

Aleksander przestał się śmiać i spojrzał w okno. Tania też. Siedzieli naprzeciw siebie, na skos.

– Dlaczego nigdy nie chodzisz z rozpuszczonymi włosami? – spytał Dima, dotykając jej kucyka. – Raz widziałem cię z rozpuszczonymi i wyglądałaś prześlicznie.

– Dima – prychnęła Dasza – daj sobie spokój. Ona jest za uparta. Ciągle jej powtarzamy: po co je hodujesz, skoro ciągle nosisz kucyk? Ale nie, ona wie lepiej. Nic tylko kucyk i kucyk. Prawda, Tanieczko?

– Tak, Daszo – odrzekła Tatiana, modląc się, żeby Aleksander nie zobaczył jej zaczerwienionej twarzy.

– Rozwiąż go, Taniu – poprosił Dmitrij. – Śmiało.

– Właśnie, rozwiąż – wsparła go Dasza.

Tatiana powoli zdjęła gumkę, rozpuściła włosy i ponownie spojrzała w okno. Nie odezwała się aż do końcowego przystanku.

W Peterhofie, zamiast pójść na wycieczkę z przewodnikiem, pospacerowali po starannie wypielęgnowanych ogrodach wokół pałacu i w końcu znaleźli miejsce na

trawniku pod drzewami niedaleko Wielkiej Fontanny Kaskadowej. Tam rozłożyli się na piknik.

Ze smakiem zjedli jajka na twardo, chleb i ser. Dasza przywiozła nawet wódkę. Ona, Aleksander i Dmitrij pili z butelki, Tania odmówiła. Potem wszyscy zapalili – wszyscy z wyjątkiem Tani.

– Tanieczko – powiedział Dmitrij – nie palisz, nie pijesz, to co ty robisz?

– Gwiazdy! – wykrzyknęła Dasza. – Prawda, Taniu? W Łudze uczyła chłopców robić gwiazdy. Wszystkich nauczyła!

– Wszystkich? – spytał Aleksander.

– Właśnie, właśnie – powtórzył Dmitrij. – Wszystkich? Dużo ich tam było?

– Pełno. Nie mogła się od nich opędzić.

– O czym ty mówisz, Dasza? – spytała zażenowana Tatiana, z trudem unikając wzroku Aleksandra.

Dasza uszczypnęła ją w udo.

– Opowiedz im, Tanieczko, opowiedz – rzuciła ze śmiechem. – Byli jak dzikie bestie, ciągnęli do niej jak niedźwiedzie do miodu.

– Właśnie – zachęcał Dmitrij – opowiedz, Taniu.

Aleksander milczał.

Tatiana zrobiła się czerwona jak burak.

– Daszo, miałam wtedy siedem lat. Było nas dużo, cała grupa, chłopcy i dziewczęta…

– Tak, ale wszyscy kręcili się tylko wokół ciebie. – Dasza odsunęła się i spojrzała na nią czule. – Bo nasza Tania była najładniejsza. Miała małe, okrągłe oczy, piegi na nosku i jasne, jaśniutkie włoski. Turlała się po Łudze jak słoneczna kulka. Staruszki nie mogły się jej natulić.

– Tylko staruszki? – spytał obojętnie Aleksander.

– Zrób gwiazdę, Taniu – poprosił Dmitrij, kładąc jej rękę na plecach. – Pokaż, co potrafisz.

– Właśnie – dodała Dasza. – To doskonałe miejsce, prawda? Majestatyczny pałac, fontanny, trawniki, kwitnące gardenie…

– Niemcy w Mińsku – mruknęła Tatiana, próbując nie patrzeć na Aleksandra. A on leżał na boku, niedbale podpierał się łokciem i wyglądał tak sympatycznie, tak znajomo, tak…

Jednocześnie był taki nieosiągalny, taki niedostępny…

– Daj sobie spokój z Niemcami – odparł Dmitrij. – To miejsce na miłość.

Tego się właśnie obawiała.

– Nie daj się prosić, Taniu – rzucił łagodnie Aleksander, siadając po turecku. – Pokaż nam tę słynną gwiazdę. – Zapalił papierosa.

– No zrób – zachęcała Dasza. – Nie masz ochoty zrobić gwiazdy? Niemożliwe.

Możliwe. Tego dnia Tania nie miała ochoty.

Westchnęła i niechętnie wstała.

– No, dobrze. Chociaż szczerze mówiąc, nie wiem, jaką byłabym królową, gdybym robiła gwiazdę na oczach swoich poddanych.

Miała na sobie sukienkę, ale nie tę w szkarłatne róże, tylko taką zwykłą, różową. Odeszła kilka metrów dalej i spytała:

– Gotowi? – Widziała, że Aleksander pochłania ją wzrokiem. – No to patrzcie. – Wystawiła do przodu prawą stopę, wyrzuciła do góry ramiona, zatoczyła ciałem idealny łuk, poderwała nogę, opadła najpierw na prawą rękę, potem na lewą, by chwilę później,

powiewając rozpuszczonymi włosami, nie tracąc czasu na oddech i zostawiając za sobą Dmitrija, Daszę i Aleksandra, potoczyć się boskim kręgiem w stronę Wielkiego Pałacu, ku dzieciństwu i niewinności.

Wracając z zaczerwienioną twarzą i rozwianymi włosami, pozwoliła sobie zerknąć na Aleksandra. Na twarzy miał wypisane wszystko to, co pragnęła zobaczyć.

Dasza opadła na niego, zanosząc się śmiechem.

– A nie mówiłam? Moja siostrzyczka ma ukryte talenty.

Tatiana spuściła oczy i usiadła na kocu.

Dmitrij pogłaskał ją po plecach.

– Hmm… – wymruczał. – Powiedz nam, Tanieczko, co jeszcze chowasz w zanadrzu?

– Już nic – ucięła oschle Tania.

Nieco później Dmitrij spytał:

– Daszo, Taniu, jak byście zdefiniowały miłość?

– Co?

– Miłość. Czym dla was jest?

– Dima! – Dasza uśmiechnęła się do Aleksandra. – Popatrz no, popatrz!

– Po prostu pytam. – Dmitrij nalał sobie wódki i spojrzał z uśmiechem na Tatianę. – Piękna okolica, ładna niedziela, czemu mam nie zapytać?

– Bo ja wiem – odrzekła Dasza. – Odpowiedzieć?

Aleksander spojrzał na nią, wydmuchnął dym i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Ten koc jest za mały, pomyślała Tatiana. Ona siedziała w pozycji kwiatu lotosu, mając naprzeciwko siebie Daszę i Aleksandra, a po jej lewej stronie leżał na brzuchu Dima.

– No dobrze – zaczęła Dasza. – Miłość to… Pomóż mi, Taniu, dobrze?

– Przestań, Daszka. Wiem, że sama sobie poradzisz. – Tatiana wolała nie mówić, że siostra ma spore doświadczenie na tym polu.

– Hmm… Miłość to… Miłość jest wtedy, kiedy on mówi, że przyjdzie i przychodzi – rzekła, trącając łokciem Aleksandra. – Miłość jest wtedy, kiedy on się spóźnia, lecz przeprasza za spóźnienie. Miłość jest wtedy, gdy on patrzy tylko na mnie. – Trąciła go łokciem ponownie, dwa razy. – Co ty na to?

– Bardzo ładnie, Daszo – odrzekł Aleksander.

Tatiana odkaszlnęła.

– Co? – rzuciła Dasza. – Nie podobało ci się?

– Nie, nie, ależ skąd – odrzekła z umyślnym wahaniem Tania. – Tylko…

– Tylko co? No mów, mądralo. Czego nie powiedziałam?

– Powiedziałaś wszystko, tylko wydaje mi się, że opisałaś, co znaczy być kochaną. – Zamilkła. Oni też milczeli. – Czyż miłość nie jest tym, co mu dajesz, a nie tym, co od niego dostajesz? To pewna różnica, nie sądzisz? A może się mylę?

– Całkowicie – odrzekła z uśmiechem Dasza. – Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Nic – szepnęła Tatiana, spuszczając oczy.

– Tanieczko – spytał Dmitrij. – A według ciebie? Czym jest miłość według ciebie?

Tatiana czuła, że zastawiają na nią pułapkę.

– Powiedz – nie ustępował Dima. – Czym jest miłość?

– Powiedz, Taniu – wsparła go Dasza. – Wytłumacz Dmitrijowi, czym jest miłość. – I kąśliwym, choć czułym tonem dodała: – Miłość to dla Tani lato sam na sam z książką. I spanie do południa, to przede wszystkim. Miłość to lody, zwłaszcza śmietankowe… Nie, najpierw lody, dopiero potem spanie. Taniu, powiedz szczerze: czy gdybyś mogła spać do

południa przez całe lato, a przez resztę dnia czytać, jedząc lody, czyż nie byłaby to dla ciebie pełnia szczęścia? – Dasza wybuchnęła śmiechem. – Miłość to… Już wiem. Miłość to dziadek! Tak jest, to on jest na pierwszym miejscu. Miłość to Wielki Pałac. Miłość to opowiadanie kawałów, to rozśmieszanie innych. Miłość to Pasza. Tak, Paszka jest nawet przed dziadkiem. Miłość to… Mam! – wykrzyknęła radośnie. – To gwiazdy na golasa!

– Nago? – powtórzył Aleksander, nie odrywając wzroku od Tatiany.

– Mogłabyś pokazać nam choć jedną? – rzucił Dmitrij.

– Och, Taniu, szkoda, że cię wtedy nie widzieli. Nad jeziorem Ilmen robiła nago pięć gwiazd, a potem jak z katapulty wpadała prosto do wody. Zaraz! Już sobie przypomniałam! Właśnie tak ją nazywano: królową gwiazd znad jeziora Ilmen!

– Tak, ale nie nagich – zaprotestowała cicho Tatiana.

Aleksander z trudem powstrzymywał śmiech.

Dasza i Dmitrij tarzali się po kocu.

Tania zaczerwieniła się jeszcze bardziej i cisnęła w siostrę kawałkiem chleba.

– Miałam wtedy siedem lat.

– Teraz też masz siedem!

– Zamknij się.

Dasza pchnęła Tatianę na plecy i usiadła na niej okrakiem.

– Tania, Tania, Tania – zapiszczała, łaskocząc ją pod pachami. – Jesteś najzabawniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek znałam. – Nachyliła się nad nią i dodała: – Ile ty masz piegów! – Cmoknęła ją w czubek nosa. – Niesamowite. Pewnie dużo spacerujesz. Wracasz z pracy pieszo?

– Nie. A teraz złaź ze mnie, jesteś za ciężka. – Tatiana połaskotała ją i zepchnęła na koc.

– Taniu, nie odpowiedziałaś na pytanie – zauważył Dmitrij.

– Właśnie – wtrącił Aleksander. – Odpowiedz, Taniu.

Chwilę trwało, zanim wrócił jej normalny oddech.

– Miłość… – Z mocno bijącym sercem myślała, co może powiedzieć, a co byłoby jednym wielkim łgarstwem. I co byłoby prawdą? Całą czy choćby tylko częściową? Ile z tej prawdy mogłaby zdradzić, wiedząc, kto jej słucha? – Miłość… – powtórzyła powoli, patrząc tylko na siostrę. – Miłość jest wtedy, kiedy on jest głodny, a ty go karmisz. Kiedy wiesz, że jest głodny.

– Taniu, przecież ty nie umiesz gotować! Ukochany umarłby przy tobie z głodu!

– A gdyby miał chętkę na ciebie? – zarechotał Dmitrij. – Co wtedy? – Śmiał się tak głośno, że dostał czkawki. – Czy kochać to wiedzieć, kiedy facet ma chętkę? I go podkarmić?

– Zamknij się, Dmitrij – warknął Aleksander.

– Dima, jesteś ordynarny – powiedziała Dasza. – Nie masz klasy. – Spojrzała na Aleksandra i pchnęła go lekko w pierś. – A teraz ty – rzuciła ochoczo.

Tatiana siedziała nieruchomo w pozycji kwiatu lotosu. Patrzyła na Wielki Pałac, myśląc o złotej sali tronowej i wspominając swoje dziecięce marzenia.

– Miłość to być kochanym – odrzekł Aleksander. – Z wzajemnością.

Tatiana nie odrywała wzroku od fasady letniego pałacu Piotra Wielkiego. Drżała jej dolna warga.

Dasza pochyliła się z uśmiechem i szepnęła:

– Pięknie to ująłeś, Aleksandrze.

Dopiero kiedy wstali, złożyli koc i wyszli z parku, żeby złapać powrotny pociąg do

miasta, Tatiana uświadomiła sobie, że nikt nie spytał o miłość Dmitrija.

Tej nocy leżała twarzą do ściany, czując coraz większe wyrzuty sumienia. Odwrócić się tyłem do Daszy oznaczało przyznać się do nieprzyznawalnego, zaakceptować nieakceptowalne, wybaczyć niewybaczalne. Oznaczało, że dopóki będzie miała tę ciemną ścianę, dopóty jej życiem będzie rządzić fałsz.

Bo jak mogła normalnie żyć, jak mogła normalnie oddychać, skoro noc w noc musiała zasypiać plecami do rodzonej siostry? Do siostry, która przed kilkunastu laty zabrała ją w Łudze na grzyby; poszły tylko z koszykiem, bez noża i bez papierowej torby, „żeby grzybki się nie bały". Do siostry, która co lato tak troskliwie się nią zajmowała, która zawsze kryła ją przed rodzicami, która dla niej gotowała, która zaplatała jej włosy, i która ją kąpała, kiedy Tatiana była małą dziewczynką. Do siostry, która zabrała ją kiedyś na wieczorny spacer ze swoimi amantami, żeby pokazać Tani, co to jest randka. Skrępowana Tatiana stała pod ścianą na Prospekcie Newskim, jedząc lody, podczas gdy starsi chłopcy całowali się ze starszymi dziewczętami. Potem Dasza już nigdy jej nie zabierała i od tamtej pory stała się jeszcze bardziej opiekuńcza.

Nie, Tatiana nie mogła tak żyć ani dnia dłużej.

Musiała poprosić Aleksandra, żeby przestał przychodzić po nią do Kirowa.

Czuła to, co czuła. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Jednocześnie wiedziała, że musi zachowywać się zupełnie inaczej. Co do tego też nie miała wątpliwości.

Odwróciwszy się tyłem do ściany, delikatnie pogładziła gęste loki siostry.

– Jak miło… – wymruczała Dasza.

– Kocham cię – szepnęła Tatiana, roniąc gorące łzy.

– Mmm… Ja ciebie też. Śpij już.

Ale Tania nie spała. Podczas gdy jej umysł po raz kolejny ustanawiał nienaruszalną granicę rozdzielającą dobro od zła, jej serce biło miarowym rytmem, a oddech szeptał cichutkie: Szura, Szura, Szura.

13

W poniedziałek po wycieczce do Peterhofu, kiedy uśmiechnięty Aleksander spotkał przed fabryką posępną Tatianę, ta zaczęła rozmowę nie od powitania, tylko od stanowczego:

– Nie możesz tu przychodzić.

Natychmiast przestał się uśmiechać. Stał chwilę bez słowa, po czym popchnął ją lekko do przodu i rzekł:

– Chodź. Przejdźmy się.

Ruszyli w stronę Goworowa.

– Co się stało? – Patrzył w ziemię.

– Ja już tak dłużej nie mogę. Po prostu nie mogę.

Aleksander zagryzł wargę.

– Nie dam rady – kontynuowała Tatiana, czerpiąc siłę z betonowego chodnika pod stopami; cieszyła się, że idą, i że nie musi patrzeć mu w oczy. – Jest mi za ciężko.

– Dlaczego?

Speszona pytaniem, zamilkła. Nie, nie mogła powiedzieć tego na głos.

– Przecież jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda? – mówił spokojnie Aleksander. – Dobrymi przyjaciółmi. Przychodzę tu, bo wiem, że jesteś zmęczona. Masz za sobą ciężki dzień, czeka cię długa droga do domu i długi wieczór. Przychodzę, ponieważ kiedy jesteś ze mną, czasami się uśmiechasz i chyba jesteś szczęśliwa. Może się mylę, ale chyba nie. Dlatego przychodzę. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Aleksandrze! – wykrzyknęła Tatiana. – Jeśli jest tak, jak mówisz, jeśli naprawdę nic się między nami nie dzieje, to… – Wzięła głęboki oddech. – To dlaczego nie powiemy Daszy, że codziennie mnie odprowadzasz? Dlaczego codziennie wysiadamy trzy ulice przed moim domem?

– Dasza by tego nie zrozumiała – odrzekł powoli. – Poczułaby się urażona.

– Oczywiście. I nic dziwnego.

– Taniu, to nie ma nic wspólnego z Daszą.

Żeby zachować spokój, Tatiana coraz mocniej zaciskała pięści. Zaciskała je tak mocno, że zbielały jej kłykcie.

– Wprost przeciwnie – odparła – ma. Noc w noc leżę z nią w jednym łóżku i cały czas się boję. Już dłużej nie mogę. Proszę…

Doszli do przystanku tramwajowego. Aleksander zastąpił jej drogę.

– Taniu, spójrz na mnie.

Odwróciła głowę.

– Nie.

Wziął ją za ręce.

– Spójrz na mnie.

Podniosła wzrok. Miał takie duże, takie czułe i bezpieczne dłonie. Zabrakło jej tchu.

– Taniu, spójrz mi w oczy i powiedz: Aleksandrze, nie chcę, żebyś po mnie przychodził.

– Aleksandrze – szepnęła – nie chcę, żebyś po mnie przychodził.

Nie puścił jej rąk, a ona ich nie zabrała.

– Po wczorajszym? – spytał łamiącym się głosem.

Spuściła głowę.

– Tak, głównie po wczorajszym.

– Taniu! – wykrzyknął. – Powiedzmy jej!

– Słucham? – Myślała, że się przesłyszała.

– Tak! Powiedzmy jej.

– Ale o czym? – wykrztusiła sparaliżowana strachem i lekko zadrżała w bluzce z krótkimi rękawami. – Nie mamy jej nic do powiedzenia.

– Taniu, proszę. – Płonęły mu oczy. – Powiedzmy jej prawdę i pogódźmy się z konsekwencjami. Bądźmy uczciwi. Dasza na to zasługuje. Zerwę z nią i…

– Nie! – Spróbowała wyszarpnąć ręce. – Błagam, nie. Będzie zdruzgotana. Musimy myśleć o innych…

– O innych? A co z nami? – Ścisnął jej dłonie. – Taniu – szepnął – co z tobą i ze mną?

– Aleksandrze… – Nerwy miała w strzępach. – Proszę…

– Ty prosisz! – powiedział głośno. – Mam tego dość. Wszystko dlatego, że nie chcesz postąpić honorowo.

– Czy honorowo jest ranić innych?

– Dasza jakoś to przeżyje.

– A Dmitrij?

Aleksander milczał.

– Dmitrij też? – powtórzyła.

– Pozwól, że Dmitrijem będę martwił się ja, dobrze?

– Nie, mylisz się. Dasza tego nie przeżyje. Jesteś miłością jej życia.

– Nieprawda. Nawet mnie nie zna.

Tatiana nie mogła tego słuchać. Wyszarpnęła ręce.

– Nie. Nie. Już nic nie mów.

Stał przed nią na chodniku.

– Jestem żołnierzem Armii Czerwonej. Nie jestem lekarzem w Ameryce. Ani naukowcem w Anglii. Jestem żołnierzem i mieszkam w Związku Radzieckim. Do niedzieli mogę już nie żyć, mogę umrzeć w każdej chwili, na tysiąc sposobów. Kto wie, może to nasze ostatnie wspólne minuty. Nie chcesz spędzić ich ze mną?

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– W tej chwili marzę tylko o jednym: żeby położyć się do łóżka…

– Tak! – wykrzyknął z zachwytem. – Ze mną!

Słabnąc, pokręciła głową.

– Nie mamy dokąd pójść…

Podszedł jeszcze bliżej, przytknął dłonie do jej policzków i drżącym, choć nieco odważniejszym głosem szepnął:

– Coś wymyślimy, Tatiasza, zobaczysz. Przyrzekam, że jakoś…

– Nie!

Opuścił ręce.

– Źle mnie zrozumiałeś – wykrztusiła. – Chciałam powiedzieć, że nic nie możemy na to poradzić.

Spuścił oczy.

Ona też.

– Dasza jest moją siostrą. Dlaczego nie możesz tego zrozumieć? Nie złamię serca rodzonej siostrze.

Cofnął się o krok.

– Jasne – rzucił chłodno. – Już mi to mówiłaś. Będą inni chłopcy, ale siostrę masz tylko jedną. – Odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę.

Pobiegła za nim.

– Zaczekaj!

Aleksander szedł dalej.

Nie mogła za nim nadążyć.

– Proszę cię, zaczekaj! – zawołała, przytrzymując się żółtej ściany jakiegoś domu. – Wróć – szepnęła cichutko. Błagam…

Wrócił.

– Chodźmy – rzucił obojętnie. – Zaraz muszę być w koszarach.

– Posłuchaj. Jeśli przestaniemy się widywać, nie będziemy musieli nic mówić. Im, naszym bliskim, tym, którzy nam wierzą, których nie wolno nam zdradzić. A Dasza…

– Tatiano! – Podszedł bliżej tak szybko i gwałtownie, że oderwała się od ściany i omal nie upadła. Podtrzymał ją za łokieć. – O czym ty mówisz? – spytał gniewnie. – Zdrada? Zdrada to rzecz względna. Myślisz, że co? Że jeśli nic im nie powiedziałaś, to ich nie zdradziłaś?

– Przestań.

Ale on mówił dalej.

– Że nie zdradzasz ich, kiedy unikasz mego wzroku tylko dlatego, że się boisz, by nie wyczytali z twej twarzy tego co ja? Kiedy wybiegasz z tej głupiej fabryki z uśmiechem widocznym z drugiego końca ulicy?

Kiedy rozpuszczasz włosy? Kiedy drżą ci wargi? – Oddychał głośno i szybko. – Wargi cię zdradzają…

– Przestań. – Była zdenerwowana i mocno zaczerwieniona. Próbowała się od niego uwolnić, ale bezskutecznie.

– Taniu, ty już ich okłamujesz. W każdej minucie, którą ze mną spędzasz, okłamujesz siostrę, Dmitrija, rodziców, Boga i samą siebie. Kiedy wreszcie przestaniesz?

– To ty przestań – szepnęła.

Puścił jej rękę.

– Masz rację – wychrypiała, z trudem łapiąc oddech. – Ale nie okłamywałam siebie, dlatego nie mogę tego dłużej ciągnąć. Proszę… Nie chcę się z tobą kłócić. I nie chcę ranić Daszy, nie mam na to siły. Już na nic nie mam siły.

– Siły czy ochoty?

Błagalnym gestem uniosła ręce.

– Siły. Siły. Nigdy w życiu tak nie kłamałam. – Uświadomiła sobie, do czego się przyznaje, i zaczerwieniła się jak piwonia, lecz cóż, nie pozostawało jej nic innego, jak odważnie przeć naprzód. – Nie masz pojęcia, ile mnie kosztuje codzienne ukrywanie się przed Daszą. To udawanie, ta pozorna obojętność, to zaciskanie zębów. Czy wiesz, jaką płacę za to cenę?

– O tak, wiem – odparł ponuro. – Bo oprócz ciebie, tylko ja znam prawdę. I dlatego chcę skończyć tę maskaradę.

– Skończyć ją i co? – wykrzyknęła gniewnie. – Zastanawiałeś się nad tym? I co? Co dalej? W dalszym ciągu będę mieszkała z Daszą! – Wzburzona, wybuchnęła szyderczym śmiechem. – Myślisz, że będziesz mógł mnie odwiedzać? Że ty powiesz Dmitrijowi, ja powiem jej, i że wszystko będzie jak dawniej? Że będziesz przychodził do nas na obiadki? Gawędził z moimi rodzicami? I co ze mną? Niby dokąd miałabym pójść? Z tobą? Do koszar? Przecież ja nie mam dokąd pójść! Możesz zerwać z Daszą, możesz

zrobić, co tylko zechcesz, ale już nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Rozumiesz?

– Nie groź mi, Tatiano – odrzekł głośno, gniewnie błyskając oczami. – A ja myślałem, że właśnie o to chodzi…

Tania jęknęła. W oczach miała łzy.

Aleksander zwiesił głowę.

– Już dobrze, nie irytuj się tak. – Pogłaskał ją po ramieniu.

– To przestań mnie denerwować!

Cofnął rękę.

– Żyj swoim życiem, Aleksandrze. Jesteś mężczyzną. – Spuściła oczy. – Nie zrywaj z Daszą. Dasza… Ona jest w sam raz dla ciebie. To dobra dziewczyna, a ja jestem…

– Ślepa! – wykrzyknął.

Jej serce toczyło zaciekłą i osamotnioną bitwę z samym sobą. Bitwę, którą powoli przegrywało.

– Boże, czego ty ode mnie chcesz?

– Wszystkiego! – syknął.

Pokręciła głową i przytknęła do piersi zaciśnięte dłonie.

Powiódł ręką po jej włosach.

– Taniu, proszę cię ostatni raz.

– A ja ostatni raz mówię „nie” – odparła łamiącym się głosem.

Przestał ją głaskać.

Cofnęła się o krok i łagodnie położyła mu rękę na ramieniu.

– Szura… Nie jestem panią jej życia. Nie mogę poświęcić życia rodzonej siostry. Nie mogę go zniszczyć tylko po to, żeby sprawić przyjemność tobie i sobie…

Gwałtownym ruchem odtrącił jej dłoń.

– Świetnie. Teraz wszystko jest jasne. Bardzo się co do ciebie myliłem. Dobrze, jak chcesz. Ale powiem ci jedno: bez względu na to, jak postąpisz, zrobię po swojemu, nie po twojemu. Zerwę z Daszą, a ty już nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

– Nie, proszę…

– Idź już, dobrze? – Ruchem głowy wskazał kanał na końcu ulicy. – Idź. Wracaj do domu. Do swojej Daszy.

– Szura… – jęknęła boleśnie.

– Nie nazywaj mnie tak – przerwał jej chłodno i założył ręce na piersiach. – Idź. Odejdź!

Tatiana szybko zamrugała, żeby powstrzymać łzy. Kiedy spacerowali, kiedy byli razem, oddychała jego oddechem, dlatego ilekroć się rozstawali, w jej płucach pozostawała bolesna pustka, pustka niemal fizyczna. Gdy wracała do domu, natychmiast otaczała się rodziną, żeby mniej o nim myśleć, mniej go pragnąć. Jednakże noc w noc musiała kłaść się obok siostry, wbijać wzrok w ścianę i błagać ją o siłę.

Dasz radę, myślała. Spędziłaś z Daszą siedemnaście lat, a z nim tylko trzy tygodnie. Dasz radę. Czuj, co czujesz, lecz zachowuj się, jak na siostrę przystało.

Odwróciła się i odeszła.

14

Zgodnie z obietnicą, przy najbliższej okazji Aleksander zabrał Daszę na spacer Newskim Prospektem i oświadczył, że musi mieć czas na przemyślenie kilku spraw. Dasza płakała, co sprawiało mu wielką przykrość, ponieważ nie lubił, kiedy kobieta płacze, i błagała, co też nie sprawiło mu żadnej przyjemności. Był twardy i nie uległ. Nie mógł jej powiedzieć, że Tatiana doprowadziła go do furii. Że wściekł się na maleńką, drobną istotkę, która zmieściłaby się na jego dłoni i która mimo swej kruchości nie chciała ustąpić choćby na krok, nawet jemu.

Nie widział jej zapierającej dech twarzy przez kilka dni i doszedł do wniosku, że tak jest lepiej. Dowiedział się, że Niemcy są osiemnaście kilometrów na południe od słabo ufortyfikowanej Ługi, a więc tylko trzydzieści sześć kilometrów od Tołmaczewa. Do garnizonu nadeszła wiadomość, że zdobyli Nowogród, że zajęli to miasto w kilka godzin. Nowogród leżał na południowy wschód od Ługi – to właśnie tam Tatiana robiła swoje nagie gwiazdy.

W Łudze stacjonowały dziesiątki tysięcy żołnierzy Armii Pospolitego Ruszenia. Cóż z tego, skoro dopiero zaczynali kopać okopy.

Ze względu na groźbę ataku Finów znakomitą większość sprzętu i wojsk saperskich przerzucono na północ od Leningradu, skutkiem czego granica fińsko-rosyjska stała się najpilniej strzeżoną granicą Związku Radzieckiego: najpilniej strzeżoną i najspokojniejszą. Dmitrij na pewno się cieszy, myślał Aleksander. Natomiast gwałtowne natarcie wojsk niemieckich od strony południowej bardzo wszystkich zaskoczyło. Wszystkich, a szczególnie Armię Czerwoną. Żołnierze pospiesznie budowali linię obrony wzdłuż studwudziestopięciokilometrowego odcinka rzeki Ługi, od jeziora Ilmen do Narwy. Wznieśli trochę umocnień, rozmieścili kilkanaście stanowisk artyleryjskich, wykopali rowy przeciwczołgowe, lecz wkrótce okazało się, że to stanowczo za mało. Zdając sobie sprawę, że trzeba coś zrobić, i to natychmiast, dowództwo obrony Leningradu rozkazało załadować na ciężarówki betonowe kozły zaporowe i przewieźć je z Karelii do Ługi.

Tymczasem wojska radzieckie, zdziesiątkowane i wyczerpane walką, były w ciągłym odwrocie.

I nie był to odwrót zwykły, planowy. Armia po prostu uciekała, i to błyskawicznie, gdyż podczas pierwszych trzech tygodni wojny cofnęła się aż pięćset kilometrów w głąb kraju. Nie było wsparcia lotniczego, a mimo najlepszych chęci Tatiany – tych kilka czołgów, którymi dysponowały wojska pancerne, znaczyło tyle co nic. W połowie lipca Armia Czerwona składała się głównie z piechoty, która z karabinem w ręku musiała stawić czoło hitlerowskim czołgom, artylerii samobieżnej, bombowcom i żołnierzom wojsk zmechanizowanych. Rosjanom zaczynało brakować i broni, i ludzi.

Obrona Ługi spoczęła teraz na barkach żołnierzy z Ochotniczej Armii Ludowej, którzy nie mieli ani przeszkolenia, ani – co gorsze – karabinów. Byli po prostu żywym murem złożonym z mężczyzn i kobiet, murem, który wyrósł na drodze Hitlera. Broń zdobywali, odbierając ją poległym żołnierzom. Niektórzy ściskali w rękach szufle i szpadle, inni nie mieli nawet tego.

Aleksander nie musiał się zastanawiać, czym są kije wobec czołgów. Dobrze o tym wiedział.

Dym i grom

1

Aleksander przestał wystawać na ulicy i świat Tatiany się zmienił. Wychodziła z pracy jako jedna z ostatnich i mijając powoli wielką, podwójną bramę fabryki, odwracała głowę z nadzieją, że zobaczy jego twarz, jego mundur, czapkę w dłoniach.

Szła wzdłuż fabrycznego muru, dochodziła do przystanku i czekała, aż autobus wypluje jedną porcję pasażerów, by zabrać następną. Potem siadała na ławce. Po jakimś czasie wstawała i szła piechotą osiem kilometrów, szukając go i wszędzie go widząc. Ponieważ wracała do domu o jedenastej, czasem nawet później, przygotowana o siódmej kolacja była już zimna i niesmaczna. Rodzice i dziadkowie w napięciu słuchali radia, nie wypowiadając ani słowa na jedyny temat, który ich interesował: na temat Paszy.

Pewnego wieczoru Dasza wróciła zapłakana i powiedziała, że Aleksander chce z nią zerwać. Szlochała całe pięć minut, a Tatiana delikatnie poklepywała ją po plecach.

– Ale ja się nie poddam – chlipała Daszka. – Ani myślę. Aleks za dużo dla mnie znaczy. Coś go dręczy. Pewnie boi się stałego związku, jak większość żołnierzy. Ale ja nie zrezygnuję. Powiedział, że potrzebuje trochę czasu, bo chce sobie coś przemyśleć. Trochę to chyba nie wieczność. Pomyśli, pomyśli i wróci, prawda?

– Nie wiem, Daszeńko. – Czy istnieją ludzie, którzy zawsze dotrzymują słowa? Tatiana takich nie znała.

Raz odwiedził ją Dmitrij i spędzili godzinę z rodzicami i dziadkami. Była trochę zaskoczona, że Dima nie wpada częściej, ale ponoć nie miał czasu, w co nie bardzo wierzyła. Kręcił i kluczył, robił wrażenie rozkojarzonego. Nie wiedział, gdzie są Niemcy, nie znał ich aktualnych pozycji. Jego wargi na jej policzku pod koniec wieczoru były równie odległe jak Finlandia.

Dzieci sąsiadów miały na dachu ekscytującą rozrywkę: wypatrywały bomb zapalających. Ale bomby nie spadły. Noc była bardzo cicha, nie licząc śmiechu Antona i jego przyjaciół. I bicia jej serca.

Siedząc na dachu, myślała o tych wieczornych chwilach. O chwili, gdy wychodziła z fabryki, gdy nie czekając na resztę ciała, jej głowa automatycznie odwracała się w lewo, a oczy wypatrywały jego twarzy.

O chwili, gdy szła spiesznie ulicą z kącikami ust radośnie uniesionymi ku białemu niebu. O czerwonych skrzydłach, które wyrastały jej u ramion na jego widok.

A nocami wciąż odwracała się do ściany, tyłem do Daszy, której prawie nigdy nie było w domu.

Marniałaby tak dalej, lecz pewnego ranka Mietanowowie usłyszeli w radiu, że Niemcy wciąż napierają i że mimo bohaterskich wysiłków żołnierzy Armii Czerwonej, są już niedaleko Ługi. Lecz to nie wiadomość o Łudze sprawiła, że rodzice i dziadkowie zaniemówili, że nie mogli nawet jeść. Z tego, co wiedzieli, Ługa leżała ledwie parę kilometrów od Tołmaczewa, gdzie, jak sądzili – nie, w co głęboko wierzyli – obozował bezpiecznie Pasza.

Jeśli wojska niemieckie miały niebawem przetoczyć się przez Ługę, to co się stanie z Tołmaczewem, gdzie przebywał ich syn, ich wnuk, ich brat?

Tatiana próbowała pocieszyć ich pustymi, nic nie znaczącymi słowami:

– Nic mu się nie stanie, wszystko będzie dobrze, zobaczycie. – Kiedy to nie pomogło, spróbowała czegoś innego: – Jakoś się z nim skontaktujemy. Przestań, mamo, nie płacz. –

Ponieważ i to nie poskutkowało, szybko dodała: – Mamo, czuję, że on wciąż tam jest. To mój brat, w dodatku bliźniak. Mówię ci, jest cały i zdrowy. – Niestety, rodzina nie dawała się pocieszyć.

Mimo tych dziarskich przemów, brak wiadomości o Paszy dawał się we znaki i jej. Coraz bardziej się o niego martwiła.

W radzie miejskiej nic nie wiedzieli. W dzielnicowej też nie. Tatiana poszła tam z mamą.

– Cóż wam mogę powiedzieć? – rzuciła surowa kobieta z wąsami. – W biuletynie informacyjnym piszą tylko, że Niemcy są pod Ługą. O Tołmaczewie nie ma tam ani słowa.

– W takim razie dlaczego nie podnoszą słuchawki? – spytała mama. – Dlaczego? Telefony nie działają?

– A kim ja jestem? Towarzyszem Stalinem? Tylko on wie wszystko.

– Czy można tam dojechać?

– Do Ługi?! O czym wy mówicie? Na front?! Może jeszcze autobusem, co? Tak, oczywiście, powodzenia! – Roześmiała się, poruszając szarymi wąsami. – Tamara! Chodź no, musisz to usłyszeć!

Tatiana chciała powiedzieć coś niegrzecznego, lecz zabrakło jej odwagi. Żałując, że się bardziej nie postarała i nie namówiła rodziny na ściągnięcie Paszy z obozu, wyprowadziła mamę z urzędu.

Tej samej nocy, gdy leżała twarzą do ściany – z ręką pod książką od Aleksandra na podłodze – usłyszała płaczliwy szept rodziców. Mama cichutko szlochała, a tata ją uspokajał.

– Ciii – mówił. – Ciii…

Potem on też zaczął szlochać i Tatiana zapragnęła zapaść się pod ziemię.

Od czasu do czasu dochodziły ją urywki zdań i żałosne westchnienia.

– Może nic mu nie jest. – To mama.

– Może. – To ojciec.

– Gieorgij – zawodziła mama – przecież nie stracimy naszego Paszy, to niemożliwe. Naszego chłopca, naszego…

– Ukochanego syna. Jedynego syna…

Mama gorzko zapłakała.

Zaszeleściło prześcieradło. Ktoś pociągnął nosem.

– Jakiż Bóg chciałby go nam odebrać?

– Boga nie ma, Irino – pocieszał ją ojciec. – I nie mów tak głośno. Obudzisz dziewczynki.

– Wszystko mi jedno! – wykrzyknęła mama, ale ponownie zniżyła głos. – Dlaczego Bóg nie chce zabrać którejś z nich?

– Nie mów tak. Na pewno byś tego nie chciała.

– Dlaczego, Gieorgij, dlaczego? Wiem, że ty też tak myślisz. Nie zamieniłbyś Paszy na Tatianę? Albo nawet na Daszę? Tania jest taka nieśmiała, taka słaba, nigdy do niczego nie dojdzie…

– Śmiała czy nieśmiała, jakie czeka ją życie?

– Nie to co naszego syna. Nie to co Paszę.

Tatiana naciągnęła prześcieradło na głowę. Dasza wciąż spała. Mama i tata też wkrótce zasnęli, lecz ona zasnąć nie mogła. Wciąż słyszała te straszne słowa: Dlaczego zamiast Paszy Bóg nie zabrał do siebie jej, Tatiany?

2

Zdenerwowana i zalękniona, nie wierząc w to, co robi, nazajutrz po pracy poszła do koszar pułku Pawłowskiego. Uśmiechniętemu sierżantowi Pietrence podała nazwisko Aleksandra, oparła się o ścianę i czekała z nadzieją, że nogi nie odmówią jej posłuszeństwa.

Kilka minut później przed bramę wyszedł Aleksander. Napięcie na jego twarzy natychmiast ustąpiło miejsca… Niestety, tylko na chwilę.

– Cześć, Taniu – rzucił chłodno, stając w stosownej odległości od niej. – Wszystko dobrze? – Miał mocno podkrążone oczy.

– Mniej więcej – odrzekła. – A u ciebie? Wyglądasz, jakbyś…

Szybko zamrugał.

– U mnie? Też dobrze. Jak się miewasz?

– Niedobrze – wyznała i natychmiast ogarnęła ją obawa, że pomyśli, iż to przez niego. – Widzisz… – Z trudem panowała nad głosem. Pobrzmiewała w nim nutka strachu o Paszę, ale nie tylko. Nie chciała, żeby Aleksander ją przejrzał. Wiedziała, że musi wziąć się w garść. – Posłuchaj, czy… czy mógłbyś dowiedzieć się czegoś o Paszy?

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Taniu, Taniu… Po co?

– Proszę. Mógłbyś? Rodzice rozpaczają.

– Lepiej nie wiedzieć.

– Proszę. Mama i tata muszą… Nie mogą tak dalej żyć. Ja też muszę wiedzieć. Bez tego nie jestem w stanie…

– Myślisz, że będzie im łatwiej, jeśli się dowiedzą?

– Tak, absolutnie. Zawsze jest lepiej wiedzieć, bo wtedy można stawić czoło prawdzie. – Uciekła wzrokiem w bok. – Ta niepewność ich dobija. – Ponieważ Aleksander nie odpowiadał, zagryzła wargę i dodała: – Gdyby znali prawdę, Dasza i ja, a może nawet mama, wyjechałybyśmy do Mołotowa z dziadkiem i babcią.

Zapalił papierosa.

– Aleksandrze, spróbujesz? – Cieszyła się, że może wypowiedzieć jego imię na głos. Pragnęła dotknąć jego ramienia. Widok jego twarzy uszczęśliwiał ją, a zarazem sprawiał ból, pragnęła podejść bliżej. Był w mundurze. Musiał wyjść do niej prosto z kwatery, bo miał źle zapiętą koszulę, której nie zdążył nawet włożyć do spodni. Mogła podejść bliżej? Nie, chyba nie.

Palił w milczeniu. Przechylił głowę, ale ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku. Usiłowała spoglądać obojętnie. Zdołała się nawet blado uśmiechnąć.

– Wyjedziesz do Mołotowa? – spytał.

– Tak.

– To dobrze – powiedział sucho i bez chwili wahania. – Taniu, bez względu na to, czy dowiem się czegoś o Paszy, czy nie, ty musisz wyjechać. Twój dziadek miał szczęście, że dostał pracę. Większość ludzi zostaje tu, w Leningradzie.

– Rodzice mówią, że miasto jest teraz najbezpieczniejsze. Dlatego tylu ludzi tu zjeżdża – dodała z powagą. – Tysiące. Ze wsi, zewsząd…

– Taniu, w Związku Radzieckim nie ma teraz bezpiecznych miejsc.

– Uważaj – szepnęła.

Nachylił się ku niej, a ona podniosła głowę, nie tylko ochoczo, ale i z radosnym wyczekiwaniem.

– Co? – spytała. – Co? – Lecz zanim zdążył odpowiedzieć, z bramy wypadł Dmitrij.

– Tania? – rzucił, marszcząc brwi. – Cześć. Co wy tu robicie?

– Przyszłam do ciebie.

– A ja palę – odrzekł spokojnie Aleksander.

– Akurat teraz? – rzucił z uśmiechem Dmitrij. – Musisz wreszcie rzucić. Jak to miło, że przyszłaś, Tanieczko, jestem wzruszony. – Objął ją i przytulił. – Chodź, odprowadzę cię do domu. A może chciałabyś gdzieś pójść? Taki ładny wieczór.

– Do zobaczenia – rzucił Aleksander. Tania myślała, że oszaleje.

Poszedł do pułkownika Michaiła Stiepanowa.

Służył pod jego dowództwem w wojnie zimowej z Finlandią, w tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy to pułkownik był dopiero kapitanem, a on, Aleksander, podporucznikiem. Od tamtej pory Stiepanow mógł awansować nie tylko na generała brygady, ale nawet na generała majora, jednak wolał zachować dotychczasowy stopień i pozostać dowódcą Garnizonu Leningradzkiego.

Był szczupły i wysoki, prawie tak wysoki jak Aleksander. Poruszał się sztywno, lecz zwinnie i z wdziękiem, a jego niebieskie oczy powlekała delikatna mgła, która nie opadała nawet wówczas, gdy się uśmiechał.

Aleksander zasalutował.

– Dzień dobry, towarzyszu pułkowniku.

– Dzień dobry, poruczniku – odrzekł Stiepanow, wychodząc zza biurka. – Spocznijcie. – Uścisnęli sobie ręce i pułkownik wrócił za biurko. – Jak się macie?

– Bardzo dobrze, towarzyszu pułkowniku.

– Jak tam? Major Orłow dobrze was traktuje?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku, dziękuję.

– W czym mogę wam pomóc?

Aleksander odchrząknął.

– Przyszedłem o coś spytać.

– O co? Spocznij, powiedziałem, spocznij.

Aleksander rozsunął stopy i założył ręce do tyłu.

– O naszych ochotników, towarzyszu pułkowniku. Co się z nimi dzieje?

– O ochotników? Przecież wiecie. Sami ich szkoliliście.

– O tych spod Ługi koło Nowogrodu.

– Koło Nowogrodu? – Stiepanow pokręcił głową. – Brali udział w kilku bitwach. Sytuacja w Nowogrodzie jest… marna.

– Tak?

– Niewyszkolone kobiety szły z granatami na tygrysy. Niektóre nie miały nawet granatów. Rzucały kamieniami. – Stiepanow zmrużył oczy. – Dlaczego was to interesuje?

Aleksander trzasnął obcasami.

– Towarzyszu pułkowniku, próbuję odnaleźć pewnego siedemnastolatka, który wyjechał na obóz do Tołmaczewa. Telefony nie działają i jego rodzina wpadła w panikę. – Po chwili dodał: – To młody chłopak, towarzyszu pułkowniku. Nazywa się Paweł Mietanow. Pojechał na obóz w Dogotinie.

Stiepanow przyglądał mu się chwilę, w końcu odrzekł:

– Wracajcie do swoich obowiązków. Zobaczę, co da się zrobić. Niczego nie obiecuję.

Aleksander zasalutował.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

Tego samego wieczoru do kwatery, którą Aleksander dzielił z trzema innymi oficerami, przyszedł Dmitrij. Akurat grali w karty. Aleksander tasował z papierosem zwisającym luźno z kącika ust. Gdy otworzyły się drzwi, ledwie odwrócił głowę.

Dmitrij kucnął przy jego krześle.

– Czernienko – mruknął porucznik Anatolij Marazow, nie odrywając wzroku od kart. – A honory przełożonemu to gdzie?

Dmitrij wstał i zasalutował.

– Melduję się, towarzyszu poruczniku.

– Spocznij, szeregowy.

– Co słychać, Dima? – spytał Aleksander.

– Niewiele – szepnął Dmitrij i znów kucnął. – Możemy gdzieś pogadać?

– Możemy pogadać tutaj. Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Powiadają, że się stąd nie ruszymy.

– Ruszymy się, ruszymy, Czernienko – rzucił Marazow. – Mamy bronić miasta.

– Finowie chcą się sprzymierzyć z Niemcami – prychnął Dima. – Jeśli się sprzymierzą, już po nas. Możemy od razu złożyć broń.

– Nie ma to jak żołnierski hart i duch walki – mruknął Marazow. – Biełow, to ty mi go dałeś?

– Porucznik ma rację, Dmitrij – powiedział Aleksander obojętnym głosem. – Dziwi mnie twoja postawa. Zupełnie do ciebie nie pasuje.

Dima uśmiechnął się nieśmiało.

– Wstępując do wojska, nie na to liczyliśmy, co?

Aleksander nie odpowiedział.

– Chodzi mi o wojnę – dodał szybko Dmitrij. – Tylko o wojnę.

– Nie, na wojnę nie liczyłem – odparł Aleksander. – Chyba nikt nie liczył na wojnę. Ty liczyłeś?

– Dobrze wiesz, że nie, ale ja miałem mniejszy wybór.

– A ty, Biełow? – spytał Marazow. – Miałeś jakiś wybór?

Aleksander odłożył karty, zgasił papierosa i wstał.

– Zaraz wracam. – Ruszył do drzwi. Dmitrij potruchtał za nim. Ponieważ na korytarzu było dużo oficerów, zbiegli na dół i bocznymi drzwiami wyszli na brukowane podwórze. Minęła pierwsza w nocy. Niebo ściemniało i poszarzało.

Kilka kroków dalej stało trzech żołnierzy, ćmiąc papierosy. Aleksander wiedział, że na większą prywatność nie mają co liczyć.

– Dima, przestań wygadywać bzdury – powiedział. – Ja też nie miałem żadnego wyboru.

– Miałeś. Mogłeś być gdzie indziej.

Aleksander nie odpowiedział. Wolałby być wszędzie, byle tylko nie tutaj, z Dimą.

– W Finlandii robi się niebezpiecznie.

– Wiem. – Aleksander nie chciał rozmawiać o Finlandii.

– Za dużo żołnierzy, i tu, i tam. W dodatku wszędzie pełno tych z NKWD, z jednostek ochrony pogranicza. Na Lisim Nosie też. Żołnierze, okopy, druty kolczaste. Niebezpiecznie. Nie wiem, co zrobimy. Mówisz, że Finowie uderzą na Lisi Nos? Na pewno?

Aleksander milczał, zaciągając się i wypuszczając dym.

– Na pewno – odrzekł w końcu. – Zechcą odebrać swoje ziemie. Uderzą. Prędzej czy później uderzą.

– To co możemy zrobić? Cierpliwie czekać na odpowiednią chwilę, nie?

Aleksander nie odpowiedział.

– Myślisz, że ta chwila kiedyś nadejdzie?

– Nie wiem, Dima. Zobaczymy.

Dmitrij westchnął.

– Słuchaj, mógłbyś mi załatwić przeniesienie do pierwszego pułku strzelców?

– Dima, niedawno przeniosłem cię do drugiego batalionu piechoty.

– Tak, ale drugi batalion pójdzie do ataku. Ludzie Marazowa też, w drugim rzucie. Wolałbym już rozpoznanie. Albo zaopatrzenie, coś w tym stylu. Miałbym szansę zwiać, nie sądzisz?

– Chcesz służyć w zaopatrzeniu? – zdziwił się Aleksander. – Wozić amunicję na front?

– Nie, myślałem o przewożeniu poczty, papierosów, i tak dalej.

Aleksander wykrzywił usta w uśmiechu.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Dmitrij rzucił papierosa na ziemię i rozgniótł go czubkiem buta.

– Co ci jest, Aleks? Czemuś taki ponury? Ostatnio chodzisz jak struty. Przecież nic się nie dzieje. Niemcy daleko, mamy piękne lato…

Aleksander milczał.

– Posłuchaj, chciałem z tobą pogadać… Tania to bardzo miła dziewczyna.

– Co?

– Tania. Mówię, że miła z niej dziewczyna.

– Tak.

Dmitrij przestąpił z nogi na nogę.

– Nie chciałbym, żeby się zmieniła. Nie powinna tu przychodzić i rozmawiać z żołnierzami. A już na pewno nie z tobą.

– Racja.

– Wiem, że jesteście dobrymi przyjaciółmi i że chodzisz z jej siostrą, ale, szczerze mówiąc, nie chcę, żebyś popsuł jej reputację. Tania to Tania, a garnizonowe dziwki, z którymi się zadawałeś…

Aleksander zrobił krok w jego stronę.

– Dość, wystarczy.

Dmitrij roześmiał się lekko.

– Tylko żartowałem. Dasza wciąż przychodzi? Dawno u nich nie byłem. Tatiana ma zwariowane godziny pracy. Ale Dasza przychodzi, tak?

– Tak. – Przychodziła co noc i próbowała wszystkiego, żeby tylko do niej wrócił. Ale nie zamierzał rozmawiać o tych sprawach z Dimą.

– Sam widzisz. Gdyby zobaczyła tu siostrę, niepotrzebnie by się zdenerwowała, prawda?

– Prawda – odrzekł Aleksander. – Masz papierosa?

Dmitrij natychmiast sięgnął do kieszeni.

– Uwielbiam to. Porucznik prosi o fajkę zwykłego kamasza. Lubię, jak mnie prosisz.

Aleksander zapalił.

Dmitrij odchrząknął.

– Gdybym cię nie znał, powiedziałbym, że moja maleńka Tanieczka zawróciła ci

w głowie.

– Ale mnie znasz, prawda?

Dima wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Tylko że czasami patrzysz na nią tak jakoś…

– Bzdura – przerwał mu Aleksander. – Wyobraźnia cię ponosi.

Dmitrij westchnął.

– Wiem, wiem… Ale cóż, nic na to nie poradzę. Zakochałem się w tej dziewczynie na zabój.

Aleksander długo milczał. Papieros powoli spalał mu się w palcach.

– Tak?

– Tak. A co? Dziwisz się? – Dima roześmiał się serdecznie. – Myślisz, że za wysokie progi? Że Tania nie dla mnie?

– Nie, dlaczego? Ale z tego, co słyszę, nadal bywasz w „Sadko".

Dmitrij wzruszył ramionami.

– A co to ma wspólnego z Tanią? – Zanim Aleksander zdążył odpowiedzieć, podszedł krok bliżej i zniżył głos. – Tania jest młoda i prosiła mnie, żebym się tak nie spieszył. Szanuję jej wolę i jestem cierpliwy. – Uniósł brwi. – I wiesz co? Powoli zaczyna się do mnie przekonywać…

Aleksander cisnął papierosa na ziemię i rozgniótł go butem.

– No, dobrze – mruknął. – Chyba skończyliśmy. – Ruszył w stronę wejścia.

Dmitrij chwycił go za łokieć.

Aleksander odwrócił się na pięcie i wyszarpnął rękę.

– Przestań – warknął, gniewnie błyskając oczami. Niebo poszarzało jeszcze bardziej. – Nie jestem Tanią.

Dmitrij szybko się cofnął.

– Dobrze, już dobrze. – Cofnął się krok dalej. – Chryste, ty i twój temperament. Musicie coś z tym zrobić, towarzyszu Barrington – syknął, akcentując każdą sylabę ostatniego słowa. Uśmiechnął się i jakby zmalał, skarlał. W zapadającej nocy jego małe zęby stały się ostrzejsze i bardziej żółte, włosy bardziej tłuste, a oczy węższe.

3

Nazajutrz rano Tatiana biegła do pracy z nadzieją w sercu. Nauczyła się już nie zwracać uwagi na bezdusznych, wszechobecnych funkcjonariuszy NKWD, którzy stali przed bramą fabryki z odrażającymi karabinami w ręku, którzy krążyli po wszystkich halach, którzy maszerowali korytarzami z bronią przy nodze. Patrzyli na nią, gdy ich mijała, i zawsze wtedy żałowała, że nie jest jeszcze niższa, jeszcze drobniejsza i mniej zauważalna. Mieli posępne, nieprzeniknione twarze i gapili się na nią nieruchomymi oczami: wtedy szybko mrugała, uciekała wzrokiem w bok i spiesznie szła do drzwi, by zniknąć wśród robotników przy taśmociągu, gdzie panowała większa anonimowość.

Żeby nie znudziła ich monotonia i rutyna pracy – i żeby nie zaniedbywali swoich obowiązków – co dwie godziny przerzucano ich na inny wydział. Tatiana to obsługiwała dźwig, który podnosił czołg i stawiał go na gąsienicach, to malowała czerwoną gwiazdę na wieżyczce maszyny, która miała być przewieziona na wydział wyposażenia. Malowała nie tylko gwiazdy, ale i słowa: ZA STALINA!, które odcinały się bielą od zielonej skorupy czołgu.

Odkąd tylko Aleksander przestał wystawać pod fabryką, Ilja, chudy, krótko ostrzyżony wyrostek, nie odstępował jej na krok i ciągle zasypywał przeróżnymi pytaniami. Ponieważ była dobrze wychowana, cierpliwie mu odpowiadała, ale w końcu nie wytrzymała i dała upust złości.

– Przestań – warknęła. – Nie mogę się skupić.

Zastanawiała się też, jakim cudem Ilja zawsze pracuje w jej pobliżu, i to bez względu na to, ile razy i dokąd ją przenoszono. W stołówce zawsze siadał obok niej i Ziny, która go nie znosiła i wcale tego nie ukrywała.

Ale tego dnia Tatianie zrobiło się go żal.

– Jest samotny – powiedziała, przeżuwając kawałek kotleta i zbierając chlebem sos z talerza. – Pewnie nikogo nie ma. Zostań, Ilja.

I tak Ilja został.

Tatiana potrafiła być wspaniałomyślna i wyrozumiała. Nie mogła się już doczekać wieczoru. Była pewna, że po ich ostatniej rozmowie Aleksander przyjdzie po nią do Kirowa. Miała na sobie swoją najlżejszą sukienkę i najdelikatniejszą bluzkę, a rano wzięła nawet kąpiel, chociaż kąpała się przed pójściem spać.

Po pracy wybiegła bramą na ulicę. Ze lśniącymi, rozwianymi włosami, z czyściutką, zaróżowioną twarzą, bez tchu spojrzała w lewo i…

Aleksandra nie było.

Minęła ósma. Tatiana usiadła na ławce i z rękami na kolanach przesiedziała tam do dziewiątej. Potem wstała i ruszyła pieszo do domu.

Rodzice wciąż nie mieli wiadomości o Paszy i bardzo rozpaczali. Cały czas płakali. Daszy nie było. Dziadek i babcia powoli się pakowali. Tania poszła na dach, usiadła i obserwowała wielkie balony zaporowe, które płynęły po północnym niebie niczym białe wieloryby. Anton i Kirył czytali na głos „Wojnę i pokój” Tołstoja, wspominając Wołodię, który przepadł w Tołmaczewie. Słuchała ich jednym uchem, wspominając Paszę. Pasza też przepadł. I też w Tołmaczewie.

Aleksander nie przyszedł. Pewnie niczego się nie dowiedział. Albo dowiedział się i nie mógł spojrzeć jej w twarz. Nie, znała prawdę: nie przyszedł, ponieważ z nią zerwał. Miał

dość i jej, i jej dziecinnego sposobu myślenia. Po prostu z nią skończył, i tyle. Spacerując w parku, byli przyjaciółmi, ale on był też mężczyzną i postawił na niej kreskę.

Dobrze, że nie przyszedł. Miał rację. Nie, wcale nie zamierzała płakać.

Jednakże myśl, że dzień po dniu będzie musiała żyć i bez niego, i bez Paszy, że będzie musiała stawić czoło tylu samotnym wieczorom i tej strasznej wojnie, napełniła ją tak przenikliwą pustką, że nie zważając na roześmianych kolegów, omal nie jęknęła.

Pragnęła jednego: zobaczyć chłopca, który przez siedemnaście lat oddychał tym samym powietrzem co ona, który chodził z nią do tej samej klasy, który dzielił z nią pokój i łono matki. Pragnęła odzyskać przyjaciela i brata.

Niemalże czuła, jak siedzi z nią na dachu pod ciemniejącym niebem; białe noce skończyły się szesnastego lipca. Nie, Paszy na pewno nic nie jest. Pasza na nią czeka, a ona go nie zawiedzie. Nie zamierzała być taka jak reszta rodziny. Nie zamierzała bezczynnie siedzieć, palić i załamywać rąk. Wiedziała, że wystarczyłoby pięć minut z Paszką i byłoby jej lżej na sercu. I na pewno zapomniałaby o ubiegłym miesiącu.

I o Aleksandrze. Tak. Musi coś zrobić, żeby zapomnieć o Aleksandrze.

Kiedy wszyscy położyli się spać, zeszła na dół, wzięła kuchenne nożyce i bezlitośnie ścięła włosy, patrząc, jak gęstymi puklami spadają do zlewu. W małym, brudnym lustrze niewiele widziała. Bez okalających twarz włosów jej głęboko osadzone zielone oczy płonęły jeszcze silniejszym blaskiem. Bez włosów miała jeszcze smutniejsze usta. I więcej piegów na nosie. Wygląda jak chłopiec? Tym lepiej. Wygląda młodziej? Delikatniej? Co pomyślałby Aleksander, widząc ją w takiej fryzurze? Kogo to obchodzi. Wiedziała, co by pomyślał. Szura. Szura. Szura…

O świcie włożyła jedyne spodnie, jakie mogła znaleźć, wzięła trochę sody do pieczenia i wody utlenionej do czyszczenia zębów oraz szczoteczkę – bez szczoteczki nigdzie by nie wyjechała – wygrzebała stary śpiwór Paszy, zostawiła na stole krótki list do rodziców i poszła pieszo do fabryki.

Ostatniego dnia pracy przydzielono ją do silników wysokoprężnych. Wkręcała świece żarowe, które podgrzewały powietrze w cylindrach, żeby paliwo mogło się zapalić. Była w tym dobra – wkręcała je nie pierwszy raz – dlatego pracowała machinalnie, denerwując się i myśląc o tym, co ją czeka.

W porze obiadu poszły z Ziną do Krasienki i oświadczyły, że chcą wstąpić do Armii Pospolitego Ruszenia; Zina wspominała o tym co najmniej od tygodnia.

Krasienko odrzekł, że Tatiana jest za młoda.

Ale Tania się zaparła.

– Dlaczego to robisz? – spytał Krasienko ze współczuciem. – Ługa nie jest dla dziewcząt takich jak ty.

Powiedziała, że zna sytuację, i wie, że jest bardzo ciężka. Ogłoszenia w korytarzach krzyczały: WSZYSCY DO ŁUGI! WSZYSCY DO OKOPÓW! Dodała, że wie, iż wyjechały tam piętnastoletnie, a nawet czternastoletnie dziewczęta. Że ona i Zina chcą zrobić, co tylko się da, żeby pomóc żołnierzom Armii Czerwonej. Zina stała obok i bez słowa potakiwała. Krasienko musiał im wydać specjalną przepustkę.

– Siergieju Andriejewiczu, tak bardzo prosimy…

– Nie – odparł.

Tania nie ustąpiła. Oświadczyła, że w takim razie weźmie przysługujący jej urlop, i to już od jutra, i pojedzie do Ługi tak czy inaczej. Nie bała się Krasienki, wiedziała, że on ją lubi.

– Siergieju Andriejewiczu, przecież nie możecie nas zatrzymać. Jak by to wyglądało,

gdybyście zabraniali ochotnikom pomagać ojczyźnie i żołnierzom Armii Czerwonej?

Zina cały czas kiwała głową.

Krasienko ciężko westchnął, wypisał im przepustki i podstemplował dowody osobiste. Gdy ruszyły do drzwi, życzył im szczęścia. Tatiana chciała mu powiedzieć, że jedzie szukać brata, ale ponieważ na pewno próbowałby jej to wyperswadować, powiedziała tylko „dziękuję".

Poszły do wielkiej, ciemnej sali. Tam wręczono im kilofy i szufle – Tania natychmiast się zorientowała, że narzędzia są dla niej za ciężkie – i odesłano na Dworzec Warszawski, gdzie miały czekać wojskowe ciężarówki.

Tatiana zastanawiała się, czy będą to ciężarówki opancerzone, takie jak te, którymi wywożono obrazy z Ermitażu, albo jak te, którymi czasem jeździł Aleksander.

Ale nie. Przed dworcem stały zwyczajne ciężarówki z ciemnozieloną plandeką, jakich było pełno w Leningradzie.

Wsiadły. Wraz z nimi wsiadło czterdzieści osób. Żołnierze załadowali jakieś skrzynie. Miały na nich usiąść.

– Co w nich jest? – spytała Tania.

– Granaty – odrzekł żołnierz z uśmiechem.

Tatiana nie usiadła.

Ciężarówki ruszyły; w sumie było ich siedem. Jechali konwojem na południe. Do Ługi.

Ale już w Gatczynie kazano im się przesiąść do pociągu.

– To dobrze – powiedziała Tania. – Będziemy mogły wysiąść w Tołmaczewie.

– Zwariowałaś? – odparła Zina. – Przecież jedziemy do Ługi.

– Wiem. Wysiądziemy, wsiądziemy do następnego i dojedziemy.

– Nie.

– Proszę cię, Zina. Ja muszę wysiąść. Muszę znaleźć brata.

Zina spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Taniu! Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że Mińsk padł? Czy prosiłam cię wtedy, żebyś pojechała ze mną szukać mojej siostry? – Zacisnęła usta. Miała małe, ciemne oczy i szybko mrugała.

– Nie, ale chodzi o to, że moim zdaniem Tołmaczewo jeszcze nie padło. Jest nadzieja, że…

– Nigdzie nie wysiadam – przerwała jej Zina. – Jak wszyscy jadę do Ługi i jak wszyscy będę pomagała naszym żołnierzom. Nie chcę, żeby ci z NKWD rozstrzelali mnie za dezercję.

– Zina! – wykrzyknęła Tatiana. – Za jaką dezercję? Nie jesteś dezerterką, tylko ochotniczką. Wysiądź ze mną.

– Powiedziałam: nie. Dość tego. – Zina odwróciła głowę.

– Dobrze, jak chcesz – odrzekła Tania. – W takim razie wysiądę sama.

4

Kapral wetknął głowę do pokoju i krzyknął, że Aleksandra chce widzieć pułkownik Stiepanow.

Pułkownik pisał coś w dzienniku. Robił wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego niż przed trzema dniami. Aleksander cierpliwie czekał. Wreszcie Stiepanow podniósł głowę. Pod oczami miał ciemne worki, a z jego spiętej twarzy można było wyczytać, ile wysiłku kosztuje go kierowanie podwładnymi.

– Przepraszam, że tak długo to trwało. Niestety, nie mam dla was dobrych wiadomości.

– Rozumiem, towarzyszu pułkowniku.

Stiepanow spojrzał na swój dziennik.

– Sytuacja w Nowogrodzie była rozpaczliwa. Kiedy nasi żołnierze zdali sobie sprawę, że Niemcy są ledwie kilka kilometrów dalej, że otaczają pobliskie wioski, zwerbowali pionierów z obozów w okolicach Tołmaczewa, żeby ci pomogli im otoczyć miasto linią okopów. Wzięli też chłopców z Dogotina. O Pawle Mietanowie nic konkretnego nie wiem, ale… – Pułkownik odchrząknął. – Jak dobrze wiecie, wojska niemieckie parły naprzód znacznie szybciej, niż oczekiwaliśmy.

Mówienie nie wprost. Sowieckie dwuznaczniki. Tak samo jak w radiu. Mówili to, ale chcieli powiedzieć tamto.

– To znaczy? – spytał Aleksander.

– Nowogród padł.

– A ci chłopcy? Co z nimi?

– Poruczniku, wiem tylko to, co wam powiedziałem. – Stiepanow pomilczał chwilę i spytał: – Dobrze znaliście tego Mietanowa?

– Znam jego rodzinę, towarzyszu pułkowniku.

– A więc to sprawa osobista?

Aleksander zamrugał.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Stiepanow ponownie zamilkł. Bawił się piórem i spuściwszy wzrok, patrzył na swój dziennik, unikając wzroku Aleksandra. W końcu przemówił, ale nawet wówczas nie podniósł głowy.

– Żałuję, że nie mam dla ciebie lepszych wiadomości, Aleksandrze. Niemcy zrównali Nowogród z ziemią. Pamiętasz pułkownika Janowa? Zginął. Tamci strzelali do żołnierzy i do cywilów, na oślep, jak leci. Splądrowali miasto, a potem doszczętnie je spalili.

Nie cofając się i nie spuszczając wzroku z jego twarzy, Aleksander spokojnie spytał:

– Nie wiem, czy dobrze was zrozumiałem, towarzyszu pułkowniku. Dowództwo Armii Czerwonej posłało do walki nieletnich chłopców?

Stiepanow wstał.

– Chcecie nas uczyć, jak prowadzić wojnę, poruczniku?

Aleksander trzasnął obcasami, zasalutował, lecz nie wyszedł.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu pułkowniku, ale posyłać niewyszkolonych chłopców do walki wraz z wyszkolonymi oficerami, rzucać ich na żer hitlerowcom to czyste szaleństwo.

Pułkownik nie wyszedł zza biurka. Stali naprzeciw siebie i milczeli – jeden młody, drugi już stary, choć miał dopiero czterdzieści cztery lata. Ciszę przerwał Stiepanow.

– Powiedzcie rodzinie, że ich syn zginął w obronie matki Rosji – wychrypiał załamującym się głosem. – Że zginął w służbie naszego wielkiego przywódcy, towarzysza Stalina.

Przed południem Aleksandra poproszono do bramy. Szybko zszedł na dół, bojąc się, że to Tatiana. Nie potrafiłby z nią rozmawiać, w każdym razie jeszcze nie teraz. Wieczorem miał zamiar pójść po nią do Kirowa. Zszedł i zobaczył Daszę, która stała z Pietrenką. Była zaszokowana i spięta.

– Co się stało? – spytał, odprowadzając ją na bok z nadzieją, że nie spyta go ani o Tołmaczewo, ani o Paszę, lecz ona wcisnęła mu do ręki świstek papieru i powiedziała:

– Spójrz. Spójrz, co zrobiła moja zwariowana siostra!

Rozprostował papier. Pierwszy raz widział pismo Tatiany. Literki były okrągłe, małe i zgrabne. „Kochani Mamo i Tato, wstąpiłam do Leningradzkiej Armii Pospolitego Ruszenia, żeby odnaleźć Paszę i przywieźć go do domu. Tania”.

Z trudem panując nad twarzą, ostrożnie zwrócił list Daszy.

– Kiedy wyjechała?

– Wczoraj rano. Kiedy wstaliśmy, już jej niebyło.

– Wczoraj? Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie od razu?

– Myśleliśmy, że się wygłupia, że wróci.

– Mieliście nadzieję, że znajdzie Paszę? – spytał powoli Aleksander. – Że przywiezie go do Leningradu?

– Nie wiem! Czasami zachowuje się jak sfiksowana. Nie mam pojęcia, co chciała zrobić. Sama nie trafi nawet do sklepu, a pojechała na front. Mama i tata wychodzą z siebie. Tak bardzo martwią się o Paszę, a tu masz.

– Martwią się czy są źli?

– Szaleją z niepokoju. Śmiertelnie się o nią boją. Tania… – Urwała. Zwilgotniały jej oczy. – Najdroższy… – Podeszła bliżej i zarzuciła mu ręce na szyję. Twarz Aleksandra pozostała obojętna i nieprzenikniona jak kamienny mur. – Nie wiem, do kogo się zwrócić. Pomóż nam, proszę. Pomóż odnaleźć moją siostrę. Nie możemy jej stracić…

– Wiem.

– Błagam. Zrobisz to… dla mnie?

Poklepał ja po plecach i cofnął się.

– Zobaczę. Coś wymyślę.

Pominąwszy swego bezpośredniego przełożonego, majora Orłowa, poszedł prosto do pułkownika Stiepanowa i dostał zgodę na wyjazd do Ługi: wraz z dwudziestoma ochotnikami i dwoma sierżantami miał dostarczyć amunicję na pierwszą linię frontu. Wiedział, że żołnierze Armii Czerwonej zaczynają ustępować pod naporem wroga, że bardzo potrzebują wsparcia, uzupełnień i zapasów. Obiecał, że za kilka dni będzie z powrotem.

– Wracajcie, poruczniku – dodał na zakończenie Stiepanow. – Z ludźmi. Jak zawsze.

– Postaram się, towarzyszu pułkowniku – odrzekł Aleksander i zasalutował. Niewielu ochotników wracało do koszar.

Przed wyjazdem poszedł do Dmitrija i zaproponował mu wyjazd. Ale ten odmówił.

– Dima, powinieneś jechać.

– Pojadę, kiedy mnie wyślą – odparł Dmitrij, kręcąc głową. – Nie zamierzam dobrowolnie wpływać do paszczy rekina. Słyszałeś o Nowogrodzie?

Aleksander usiadł za kierownicą. Wiózł żołnierzy, trzydzieści pięć naganów[8],

trzydzieści pięć nowiutkich tetetek, dwie skrzynki granatów, trzy skrzynki min przeciwczołgowych, siedem skrzynek amunicji, skrzynię pocisków artyleryjskich i skrzynię pocisków moździerzowych. Dobrze, że ciężarówka była opancerzona. Żałował, że nie dali mu czołgu, jednego z tych, które Tania montowała u Kirowa.

Na trasie przejazdu leżały trzy miasta: Gatczyna, Tołmaczewo i wreszcie Ługa. Gdy dotarli do Gatczyny, usłyszeli daleki pomruk artylerii. Droga była bardzo wyboista. Ciężarówka cały czas podskakiwała, a wraz z ciężarówką podskakiwali ludzie i ładunek. Słyszeli wybuchy bomb i pocisków. Eksplodowały jak fajerwerki, jak we śnie, i Aleksander ujrzał przed sobą twarz ojca, który pytał go, po co tu przyjechał, po co stuka do wrót śmierci, skoro ma jeszcze tyle życia przed sobą.

– Przyjechałem po nią, ojcze, po nią…

– Co mówiliście, towarzyszu poruczniku? – spytał Oleg Kasznikow, młody, krzepki sierżant.

– Nic, nic. Czasami rozmawiam ze swoim ojcem.

– Ale to nie było po rosyjsku. Mówiliście po angielsku?

– Po angielsku? A skąd. Tak sobie mamroczę.

Kiedy wysiedli w Łudze, grzmot artylerii przybrał na sile. Teren był płaski, a zza horyzontu bił czarny dym. Ten huk, pomyślał Aleksander. Ten huk. Niesie z sobą gniew i śmierć.

Czwartego lipca wieczorem rodzice zabrali go na przejażdżkę łodzią po zatoce Nantucket. Oglądali pokaz ogni sztucznych. Siedmioletni Aleksander mocno zadzierał głowę, oczarowany tęczowym światłem eksplo dujących z hukiem fajerwerków. Nie wyobrażał sobie, żeby mogło istnieć coś bardziej widowiskowego niż te rozedrgane barwy, niż ten ożywczy deszcz kolorów.

Dokładnie naprzeciw była droga do rzeki. Po lewej stronie rozciągały się pola, a po prawej las. Aleksander spostrzegł grupkę dziesięcioletnich dzieci, które zbierały to, co pozostało z tegorocznych zbiorów. Na skraju pola żołnierze, starcy i kobiety kopali okopy. Wiedział, że kiedy tylko dzieci skończą, cały teren zostanie zaminowany.

Ścisnął w ręku karabin, spokojnym głosem rozkazał ludziom czekać i poszedł do pułkownika Piadyszewa, który organizował linię obrony na dwunastokilometrowym odcinku rzeki. Piadyszew ucieszył się z amunicji. Natychmiast kazał żołnierzom rozładować ciężarówkę i rozdzielić zapasy.

– Tylko siedemdziesiąt sztuk broni? – spytał.

– Więcej nie mieliśmy – odrzekł Aleksander. – Ale niedługo przyjedzie kolejny transport.

Zaprowadził ochotników na brzeg, gdzie dostali szpadle i gdzie przez kilka godzin mieli kopać okopy. Potem wziął lornetkę, zlustrował las po drugiej stronie rzeki i doszedł do wniosku, że Niemcy są już w zasięgu strzału, choć nie zajęli jeszcze pozycji.

Żołnierze zrobili przerwę na posiłek. Zjedli konserwy, popili wodą z rzeki. Aleksander zostawił ich pod opieką Kasznikowa i Szapkowa i poszedł poszukać ochotników z Kirowa, którzy przyjechali do Ługi przed czterema dniami.

Nie znalazł żadnego, ale już nazajutrz spotkał na polu Zinę. Zgięta wpół, zawzięcie machała szpadlem. Kopała kartofle i wraz z ziemią wrzucała je do kosza. Zasugerował, żeby najpierw trochę je oczyściła, bo w koszu było więcej ziemi niż kartofli. Łypnęła na niego spode łba, gotowa coś odburknąć, ale kiedy zobaczyła jego czerwoną gwiazdę

i karabin, nie powiedziała ani słowa. Widać było, że go nie poznaje. Bywa. Nie każdy ma pamięć do twarzy.

– Szukam waszej przyjaciółki. Jest tu gdzieś? Ma na imię Tania.

W oczach Ziny zamigotał strach.

– Nie widziałam jej. Pewnie jest tam. – Machnęła ręką.

Czego ona się boi? – pomyślał Aleksander, oddychając z ulgą.

– A więc jest tu? Gdzie?

– Nie wiem. Rozdzielili nas.

– Gdzie was rozdzielili?

– Nie wiem. – Była wyraźnie zdenerwowana. Nie trafiła do kosza i kartofle rozsypały się po ziemi. Nawet ich nie zebrała. Kopała dalej.

Aleksander trzasnął kolbą karabinu w ziemię.

– Towarzyszko! Przestańcie. Wyprostujcie się i popatrzcie na mnie. Nie pamiętacie mnie?

Spięta Zina pokręciła głową.

– Nie zastanowiło was, skąd wiem, jak wam na imię?

– Macie swoje sposoby – wymamrotała.

– Nazywam się Aleksander Biełow. Przychodziłem do Kirowa po Tatianę. Stąd was znam. Przypominacie sobie?

Na jej nieprzyjaznej, umorusanej ziemią twarzy zagościł wyraz ulgi.

– Jej rodzina umiera z niepokoju – mówił dalej Aleksander. – Wiecie, gdzie ona jest?

– Posłuchajcie – broniła się gniewnie Zina. – Tatiana chciała, żebym z nią wysiadła, ale ja nie wysiadłam. Nie jestem dezerterką.

– Jak to? Gdzie miałyście wysiąść? Nie możecie być dezerterką. Służycie w Armii Pospolitego Ruszenia.

Ale do Ziny nic nie docierało.

– Wszystko jedno. Od tamtej pory jej nie widziałam. Nie dojechała. W Tołmaczewie wyskoczyła z pociągu.

Aleksander pobladł.

– Wyskoczyła?

– Tak. Kiedy pociąg zwolnił na rozjeździe, zeszła na stopień i skoczyła. Widziałam, jak stacza się z nasypu. – Zina pokręciła głową.

– Dlaczego jej na to pozwoliliście? – spytał ze ściągniętą twarzą.

– Ja?! – wykrzyknęła Zina? – Nikt jej nie pozwolił! Nie skacz, mówiłam, nie skacz! Ale się uparła. Chciała, żebym i ja wyskoczyła! Niby dlaczego, pytam? Ja nie szukam brata. Wstąpiłam do Armii Pospolitego Ruszenia, bronię matki Rosji.

Aleksander odszedł krok dalej.

– A dla matki Rosji, towarzyszko? Skoczyłabyś z pociągu?

Zina nie odpowiedziała. Odwróciła się, pochyliła i wbijając szpadel w ziemię, wymamrotała:

– Ja tam nigdzie skakać nie zamierzam. Nie jestem dezerterką. Aleksander szybko odszukał swoich żołnierzy. Wraz z Kasznikowem i pięcioma ochotnikami wsiadł do pustej już ciężarówki i pojechali do oddalonego o osiemnaście kilometrów Tołmaczewa. Miasto było prawie opustoszałe. Jeździli nie brukowanymi ulicami i jeździli, aż w końcu znaleźli kobietę z małym dzieckiem i torbą. Powiedziała, że Dogotino leży trzy kilometry na zachód.

– Ale nikogo tam nie znajdziecie – dodała. – Nikogo.

Mimo to pojechali. Kobieta miała rację. Chaty były puste, wioska zbombardowana, sześć budynków strawił pożar. Aleksander nie rezygnował.

– Tania! – wołał. – Tatiana!

Zajrzał do wszystkich domów, nawet do tych zniszczonych. Jego ludzie też wołali. W ich ustach imię Tani brzmiało dziwnie obco. Ale Kasznikow był dobrym sierżantem. O nic nie pytał. Żołnierze cieszyli się, że mogą pomóc, choćby tylko dlatego, że nie musieli już kopać okopów.

– Tania! Tania! – Ich głosy rozbrzmiewały pośród lasów i pól. Nie znaleźli żywej duszy. Na ziemi walały się tylko koce, podpisane plecaki i szczoteczki do zębów.

Na skraju wsi stał mały drogowskaz z napisem: DOGOTINO – OBÓZ DLA CHŁOPCÓW. Wąską ścieżką przeszli dwa kilometry przez las i trafili na małą łąkę ze stawem, nad którym stało dziesięć porzuconych namiotów.

Obejrzawszy obozowisko, Aleksander doszedł do wniosku, że musiało ich być jedenaście. Jeden namiot zniknął. W miejscu, gdzie stał, ziały jeszcze dziury po „śledziach". Kazał żołnierzom zwinąć pozostałe. Były duże, z grubego płótna. Uznał, że to dobry pomysł.

Wypełniony popiołem krąg pośrodku obozowiska był zimny, jakby od wielu tygodni nie rozpalano tam ogniska. Nie znalazł ani resztek jedzenia, ani śmieci pozostawionych przez chłopców czy przez Tatianę.

Do Ługi wrócili późnym wieczorem. Żołnierze wyładowali namioty i rozstawili je pod lasem na tyłach wojskowego obozowiska. Aleksander legł na ziemi i przykrył się kocem. Długo nie mógł zasnąć.

W Ameryce należał do skautów. Często wyjeżdżali, rozstawiali w lesie namioty, zbierali jagody, rozpalali ognisko, piekli w żarze złowione ryby, jedli konserwową szynkę i słodkie pianki, śpiewali piosenki. Późno chodzili spać, a za dnia uczyli się, jak przetrwać w lesie i jak wiązać węzły marynarskie. Dla ośmio-, dziewięcioletniego chłopca była to prawdziwa idylla. Spędzone na skautowskich obozach wakacje należały do jego najpiękniejszych wspomnień z dzieciństwa.

Wiedział, że jeśli tylko Tatiana nie skręciła sobie karku, skacząc z pociągu, na pewno dotarła do opustoszałego obozowiska. Jeżeli była bystra, mogła zabrać brakujący namiot. Ale co zrobiła potem? Wróciła do Leningradu?

Nie, chyba nie. Jeśli już postanowiła odszukać brata, nie mogła wrócić do domu bez żadnych wiadomości. A więc dokąd pojechała?

Do Ługi. Tak, do Ługi. Pojechała tam, uznawszy, że Pasza pomaga żołnierzom kopać okopy.

Ożywiony nadzieją, w końcu zasnął.

Nazajutrz o wschodzie słońca usłyszał odległy warkot. Nadlatywały samoloty. Radzieckie?

Niestety. Chociaż leciały na wysokości trzystu metrów, wszyscy doskonale widzieli czarne swastyki na ich burtach. Szesnaście maszyn w szyku dwójkowym przemknęło z rykiem nad linią okopów, zrzucając po drodze ładunek. Zewsząd rozległy się okrzyki przerażenia, lecz zamiast bomb z nieba spadł deszcz ulotek. Spływały na ziemię niczym maleńkie spadochrony, a jedna z nich wylądowała u jego stóp.

Rosjanie! - przeczytał. – *Wasz koniec blisko! Przyłączcie się do zwycięzców i ocalcie życie! Poddajcie się, a przeżyjecie! Nazizm jest lepszy od komunizmu. Damy wam jedzenie, pracę i wolność! Zróbcie to teraz! Natychmiast!*

Druga ulotka była przepustką uprawniającą do przekroczenia linii frontu.

Aleksander pokręcił głową, rzucił ją na ziemię i poszedł się obmyć w leśnym strumyku wpadającym do rzeki Ługi.

O dziewiątej rano nadleciały kolejne samoloty, wszystkie z czarnymi swastykami. Leciały nisko, ledwie sto metrów nad ziemią, ostrzeliwując pracujących w polu ludzi.

Wszyscy popędzili do lasu, między drzewa. Jeden z namiotów stanął w ogniu. Aleksander włożył hełm i wskoczył do okopu. To nie bomby, pomyślał. Szkoda im cennych bomb. Oszczędzają.

Może i tak, lecz już kilka minut później okazało się, że hitlerowcy na pewno nie oszczędzają bomb. Kiedy spadły, buchnął potworny krzyk, zagłuszony hukiem eksplozji.

Aleksander poszukał wzrokiem swoich ludzi, lecz nie mógł ich znaleźć. Bombardowanie trwało pół godziny, a potem samoloty odleciały, zasypując ich na pożegnanie deszczem ulotek. Tym razem widniało na nich tylko jedno zdanie: *Poddajcie się albo zginiecie!*

Poddajcie się albo zginiecie.

Kłęby czarnego dymu, płonące namioty, jęki i krzyki, słowem, apokalipsa. Rzeką płynęły ludzkie zwłoki. Na brzegu, wzdłuż linii okopów i betonowych stanowisk strzeleckich, wili się ranni. Kasznikow przeżył. Miał tylko oberwane ucho i krwawił obficie na mundur. Szapkow był cały i zdrowy. Do południa znosili rannych z pola, a przez resztę dnia kopali. Tym razem nie okopy, lecz masowe groby. Aleksander i jego szesnastu ochotników wykopali olbrzymią mogiłę pod lasem, by następnie wypełnić ją ciałami dwudziestu trzech ofiar porannego bombardowania. Zginęło jedenaście kobiet, dziewięciu mężczyzn, staruszek i dwoje dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Nie było wśród nich ani jednego żołnierza.

Aleksander obejrzał zwłoki wszystkich kobiet. Ilekroć spoglądał w martwą twarz, zamierało mu serce.

Potem przeszedł wzdłuż rzędu rannych, lecz Tatiany wśród nich nie było. Szukał nawet Paszy, tak na wszelki wypadek; Tania pokazała mu kiedyś zdjęcie, na którym dwunastoletni Paweł stał w kąpielówkach obok siostry, ciągnąc ją za jaśniutkie warkocze. Szukał, nie wierząc, że go znajdzie. Wiedział, że Paszy w Łudze nie ma.

Ziny też nie znalazł.

W końcu poszedł do Piadyszewa i stanąwszy na baczność, powiedział:

– Trudno pracować w takich warunkach. Prawda, towarzyszu pułkowniku?

– W jakich warunkach? Wojennych?

– Nie, towarzyszu pułkowniku. Chodzi mi o to, że jesteśmy źle przygotowani do walki z groźnym przeciwnikiem. Czeka nas ciężki bój. Jutro wznowimy budowę umocnień.

– Nie, poruczniku. Budowę umocnień wznowicie już dzisiaj, dopóki jeszcze widno. Myślicie, że co? Że jutro Niemcy mają święto i nie będą nas bombardować?

Aleksander nie miał żadnych wątpliwości, że będą.

– Poruczniku Biełow – kontynuował Piadyszew. – Dopiero co przyjechaliście, a dzisiaj pracowaliście w pocie czoła…

– Przyjechaliśmy trzy dni temu, towarzyszu pułkowniku.

– Słusznie, trzy dni temu. A wiecie, od kiedy nas bombardują? Od dziesięciu dni. Bombardowali nas wczoraj – nie wiem, gdzie wtedy byliście – i przedwczoraj. Bombardują nas codziennie, od dziewiątej do jedenastej, jak w zegarku. Najpierw zrzucają ulotki, a potem bomby. Resztę dnia spędzamy na grzebaniu zabitych i kopaniu okopów. Ich główne siły nadciągają z prędkością piętnastu kilometrów dziennie. Skosili nas w Mińsku, skosili w Brześciu Litewskim, a teraz koszą nas w Nowogrodzie. My

jesteśmy następni w kolejce. Macie rację. Nie mamy żadnych szans. Ale kiedy mówicie, że jesteśmy źle przygotowani do walki, to powiem wam, że zrobimy wszystko, co się da, a potem zginiemy. I w tym rzecz. – Drżącymi rękami zapalił papierosa i oparł się ciężko o stolik.

Aleksander zasalutował.

– Wracam do pracy, towarzyszu pułkowniku.

O zmierzchu wraz z trzema żołnierzami ponownie obszedł całe obozowisko. Mijając setki żołnierzy na brzegu Ługi – czekali na Niemców, grając w karty, paląc i gawędząc – ze zdziwieniem zauważył, że jest wśród nich mnóstwo oficerów. Zdawało się, że na dziesięciu szeregowych przypada co najmniej jeden. Byli tam nie tylko porucznicy i podporucznicy, ale i kapitanowie, a nawet majorzy. Wszyscy na pierwszej linii frontu, gotowi stawić czoło nieprzyjacielowi. Na pierwszej linii frontu. Boże, skoro majorzy siedzą w okopach, w takim razie kto dowodzi wojskiem? Aleksander wolał o tym nie myśleć.

Kwadrat po kwadracie, starannie przeczesał całą okolicę, zaglądając w twarz każdej kobiecie kopiącej kartofle lub wybierającej ziemię z okopów. Tani nie było.

Wrócił do Piadyszewa.

– Jeszcze jedno pytanie, towarzyszu pułkowniku. Pięć dni temu przyjechali tu ochotnicy z zakładów Kirowa. Czy mogli zostać skierowani gdzie indziej? Może wysłano ich dalej na wschód?

– Nie wiem. Dowodzę tylko tym odcinkiem. To ostatni punkt oporu. Dalej jest już tylko Leningrad. Możemy uciekać albo się poddać.

– O poddaniu się nie ma mowy, towarzyszu pułkowniku – odparł stanowczo Aleksander. – Pierwej zginiemy.

Zdumiony Piadyszew szybko zamrugał.

– Wracajcie do Leningradu, poruczniku. Wracajcie, dopóki jeszcze możecie. I zabierzcie ze sobą swoich ludzi. Niech przynajmniej oni ocaleją.

Kiedy nazajutrz rano przyszedł porozmawiać z pułkownikiem, zobaczył, że namiotu już nie ma, i że dziury po „śledziach” są zasypane ziemią. Ponieważ nad Ługę przybywało coraz więcej żołnierzy, front podzielono na trzy odrębne sektory: stało się oczywiste, że dowodzenie z trzech niezależnych stanowisk będzie dużo łatwiejsze. Namiot nowego dowódcy rozbito pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie jeszcze poprzedniego dnia stał namiot Piadyszewa. Nowy dowódca nie tylko nie wiedział, gdzie jest jego poprzednik, ale i nie znał nawet jego nazwiska. Był 23 lipca.

Aleksander nie miał czasu podziwiać skuteczności działania NKWD, gdyż o dziewiątej rano rozpoczęło się kolejne bombardowanie i ostrzał artyleryjski, który trwał aż do południa. Było jasne, że przed przystąpieniem do ataku Niemcy chcą wybić jak najwięcej żołnierzy. Aleksander czuł, że to już ostatnie chwile, że za dzień lub dwa zainicjują drugą fazę blitzkriegu. Pozostawały mu tylko dwie możliwości: szukać Tani albo wejść do okopu i stawić czoło hitlerowskim czołgom.

Z ciężkim sercem chodził wzdłuż brzegu rzeki, rozglądając się na wszystkie strony. Jego ludzi skierowano do budowy umocnień. Tym, których wyszkolił, wręczono karabiny i oznajmiono, że za porzucenie broni na polu walki grozi rozstrzelanie. Podczas kolejnego bombardowania zobaczył, jak trzech jego podwładnych ucieka między drzewa, cisnąwszy karabiny na ziemię. Kiedy wybuchy umilkły, wrócili i uśmiechnęli się do niego z zażenowaniem. Aleksander pokręcił głową i odpowiedział znużonym uśmiechem.

Tak minął kolejny dzień. Podczas gdy żołnierze zajmowali pozycje wzdłuż brzegu Ługi, podczas gdy ustawiali armaty, ładowali na ciężarówki ziemniaki, by wywieźć je do Leningradu, podczas gdy minowali pola, Aleksander krążył po okolicy i ze ściśniętym sercem szukał Tatiany.

Wiedział już, że Pasza zginął. Ale gdzie jest Tania? Dlaczego nigdzie nie może jej znaleźć?

5

Skoczyła i stoczyła się z nasypu, nie robiąc sobie żadnej krzywdy. Łatwizna w porównaniu z tym, co wyczyniali w Łudze, skacząc ze stromego, twardego i kamienistego brzegu rzeki. Trawiasty stok był niczym materac, niczym miękka gąbka. Bolało ją tylko ramię, na które upadła.

Bez trudu dotarła do Dogotina i stwierdziła, że w obozie nikogo nie ma. To ją zaszokowało. Nie wiedząc, co robić, została tam do końca dnia. Popływała w stawie, zjadła trochę jagód, odpoczęła w jednym z namiotów. Miała w plecaku kilka sucharów, ale postanowiła zachować je na później.

Będąc dzieckiem, chodziła z bratem nad rzekę, gdzie urządzali wyścigi w pływaniu. Pasza był cięższy i silniejszy, ale ona miała coś, czego mu brakowało: wytrzymałość. Za pierwszym razem wygrał. Za drugim też. Ale już za trzecim razem przegrał. Zirytowany porażką, głośno krzyknął, a ona radośnie zapiszczała. Uśmiechnęła się. Cudowne wspomnienia.

Nie, nie zamierzała rezygnować z poszukiwań. Domyśliła się, że wraz z innymi obozowiczami przewieziono Paszę do Ługi, do pomocy przy wznoszeniu umocnień. Postanowiła pojechać tam, odnaleźć Paszę, potem Zinę i namówić ją do powrotu do Leningradu. Nie chciała mieć jej na sumieniu. Wystarczyło, że ma na sumieniu brata.

Ale nazajutrz rano, gdy szła samotnie przez Dogotino, nadleciały niemieckie samoloty. Ukryła się w jednej z chat, lecz w tym samym momencie przez dach wpadła mała bomba zapalająca i drewniana ściana błyskawicznie stanęła w ogniu. Na ścianie wisiała stara lampa naftowa. Tania zobaczyła ją w ostatniej chwili i jak szalona wypadła na dwór. Kilka sekund później dom eksplodował, a zaraz potem w ogniu stanęły trzy sąsiednie chaty. Tatiana została bez namiotu, bez śpiwora, bez plecaka i bez sucharów.

Za chatami rosły krzaki. Upadła na ziemię i przez gęste pokrzywy doczołgała się do powalonego dębu. Bombardowanie Dogotina i pobliskiego Tołmaczewa trwało godzinę. Widziała płonące pokrzywy – pokrzywy, przez które niedawno się czołgała. Kilka bomb trafiło w las, podpalając górne gałęzie, które, całe w płomieniach, spadły tuż obok niej.

Umrę, myślała. Samotnie, w tej opustoszałej wiosce, pod tym starym dębem. Nikt mnie nigdy nie znajdzie. Bo i kto by mnie szukał? Umrę i zamienię się w mech, a na Piątej Radzieckiej otworzą kolejną butelkę wódki. Wypiją, zagryzą kiszonym ogórkiem i powiedzą, że to za naszą Tanię.

Choć samoloty odleciały, leżała pod dębem jeszcze godzinę. Tak na wszelki wypadek. Miała spuchniętą twarz i swędziały ją ręce – pokrzywy. Lepsze to niż bomby. Dziękowała Bogu za przezorność, która kazała jej zadbać o przepustkę. Miała ją przy sobie, w kieszeni. Ze stemplem i podpisem Krasienki. Bez niej daleko by nie zaszła. Zatrzymaliby ją na najbliższym posterunku albo w radzie miejskiej.

Wróciła do Tołmaczewa, zapukała do drzwi najbliższego domu i poprosiła o coś do zjedzenia. Pozwolili jej przenocować, a kiedy rano wyszła na ulicę, zobaczyła wojskową ciężarówkę. Pokazała żołnierzom przepustkę i spytała, czy mogliby podrzucić ją do Ługi. Wysiadła na wschodnim krańcu miasta, tym od strony Nowogrodu.

Pierwszego dnia kopała ziemniaki i okopy na polu. Nie widząc ani jednego chłopca ubranego w obozowy mundur, spytała sierżanta o ochotników z Tołmaczewa.

– Wysłano ich do Nowogrodu – wymamrotał i odszedł.

Do Nowogrodu? Nad Ilmen? Pasza był nad Ilmenem? Czyżby i ona miała tam pojechać? Umyła się w strumieniu, legła na trawie pod drzewem i zasnęła.

Nazajutrz rano niemieckie samoloty zbombardowały kartoflisko, okopy i ją.

Bomby odłamkowe były straszne, potworne. Eksplodowały tak, jakby chciały zabić tylko ją. Zrozumiała, że musi wydostać się z Ługi, i to za wszelką cenę. Do Nowogrodu. Tak, do Nowogrodu. Szła przez dym, zastanawiając się, jak, u licha, tam dotrze, gdy wtem zatrzymało ją trzech żołnierzy. Spytali, czy jest ranna, i kazali jej iść do szpitala polowego. Niechętnie poszła. Jeszcze większa niechęć ogarnęła ją wówczas, gdy się dowiedziała, czego od niej chcą: miała doglądać umierających. A było ich wielu. Żołnierzy, cywilów, mężczyzn, kobiet, wiejskich dzieci i starców. Wszyscy leżeli w wojskowym namiocie i wszyscy umierali.

Pierwszy raz w życiu widziała śmierć: zamknęła oczy i zapragnęła wrócić do domu, lecz o powrocie nie było mowy. Przy wejściu do namiotu stali ci z NKWD, pilnując porządku i ochotników takich jak ona.

Ze ściśniętym sercem i zaciśniętymi zębami nauczyła się tamować krwotoki, mocno bandażując ranę: krew krzepła, przestawała płynąć i ranny umierał. Nie mogła nauczyć się przeprowadzania transfuzji, ponieważ nie było krwi. Nie mogła też powstrzymać szerzących się infekcji ani zmniejszyć dręczącego rannych bólu. Lekarze nie podawali umierającym morfiny: mieli rozkaz podawać ją lżej rannym, żeby ci mogli szybko wrócić na front.

Tatiana wiedziała, że gdyby nie brak krwi i penicyliny, tego nowego lekarstwa, mogliby ocalić życie wielu ludziom, a przynajmniej ulżyć im w cierpieniu, podając morfinę. Poczucie tragicznej bezradności, które ogarnęło ją pierwszej nocy w szpitalnym namiocie, było tak wielkie, że zagłuszyło nawet rozpacz na myśl o biednym Paszy.

Nazajutrz rano jeden z żołnierzy śmiertelnie rannych w pierś spytał ją, czy jest chłopcem czy dziewczyną.

– Dziewczyną – odrzekła.

– Udowodnij – powiedział i umarł, zanim zdążyła cokolwiek zrobić.

Przez radio stojące koło oficerskich namiotów słyszała głos hitlerowskiego spikera, który z silnym akcentem zapraszał Rosjan do Niemiec. Rzucili jej nawet przepustkę uprawniającą do przekroczenia linii frontu, a kiedy odmówiła, próbowali ją zabić z karabinu maszynowego. Potem zamilkli, milczeli do wieczora, a wieczorem ponownie rozpoczęli bombardowanie. Między kolejnymi atakami Tatiana myła umierających i bandażowała rany.

Ponieważ od dawna nic nie jadła, nazajutrz w południe wyszła w pole poszukać ziemniaków. Usłyszała samoloty, zanim zdążyła je zobaczyć. Jak to? – pomyślała, padając w bruzdę między zielonymi krzaczkami. Przecież do wieczora daleko. Przeleżała tam kwadrans, a kiedy bombowce odleciały, wstała, wróciła do obozowiska i stwierdziła, że w miejscu szpitala polowego płonie wielkie ognisko, z którego wypełzają jęczący, na wpół zwęgleni ludzie.

Setki tych, którzy przeżyli, chwyciło hełmy, wiadra i kubły i popędziło do rzeki po wodę. Gaszenie pożaru trwało trzy godziny i skończyło się wieczorem, kiedy Niemcy rozpoczęli kolejne bombardowanie. Potem zapadła noc. Szpitalnego namiotu już nie rozstawiono. Ranni leżeli na kocach albo na trawie, jęcząc i wydając ostatnie tchnienie w ciepłym, letnim powietrzu. Tatiana nie mogła nikomu pomóc. Włożywszy na głowę zielony hełm z czerwoną gwiazdą – czerpała nim wodę z rzeki – mogła tylko usiąść przy kobiecie, która podczas nalotu straciła córeczkę. Ciężko ranna w brzuch, leżała na gołej

ziemi i opłakiwała śmierć dziecka. Tatiana nasunęła hełm na czoło, wzięła ją za rękę i siedziała tak, dopóki kobieta nie przestała szlochać.

Wtedy wstała, weszła między drzewa i położyła się. Teraz moja kolej, myślała. Tak. Czuję, że teraz moja kolej.

Do Nowogrodu. Tylko jak się tam dostać? Przecież to pięćdziesiąt kilometrów stąd.

Umyła się i nie zdjąwszy hełmu, zasnęła. Wczesnym rankiem spojrzała w kierunku rzeki i na jej drugim brzegu zobaczyła działa i wieżyczki niemieckich czołgów. Kapral, który spał w pobliżu, kazał jej wstać, następnie zebrał jeszcze kilku ochotników i polecił im natychmiast wracać do Ługi.

Odciągnęła go na bok i cicho spytała, czy zamiast do Ługi mogłaby dostać się jakoś do Nowogrodu. Odepchnął ją kolbą karabinu i wrzasnął:

– Czyś ty zwariowała? W Nowogrodzie są Niemcy!

Przyjrzał się jej twarzy i nieco zbity z tropu spytał:

– Jak się nazywacie, towarzyszko?

– Tatiana Mietanowa.

– Posłuchajcie, Mietanowa: jesteście za młodzi, żeby tu być. Ile macie lat? Piętnaście?

– Siedemnaście.

– Proszę, natychmiast wracajcie. W Łudze idźcie prosto na dworzec.

O ile wiem, wojskowe pociągi jeszcze kursują. Jesteście z Leningradu?

– Tak. – Nie chciała płakać przed obcym. – W Nowogrodzie są Niemcy? – powtórzyła cichutko. – A co z ochotnikami, którzy tam pracowali?

– Do jasnej cholery! – krzyknął kapral. – Przestaniesz z tym Nowogrodem czy nie? Rosjan już tam nie ma, rozumiesz? Niedługo nie będzie ich i w Łudze. Jeśli nie wyjedziesz, ciebie też nie będzie, jasne? Pokaż przepustkę.

Wyjęła dokument z kieszeni.

Obejrzał go, zwrócił i mruknął:

– To przepustka z Kirowa. Wracaj do fabryki. Do domu.

Wrócić do domu bez Paszy? Ale nie, nie mogła mu tego powiedzieć.

Jej grupa liczyła dziewięć osób. Była wśród nich najmłodsza i najdrobniejsza. Od Ługi dzieliło ich dwanaście kilometrów, tak że prawie do wieczora wędrowali przez pola i lasy. Tatiana powiedziała, że zdążą akurat na wieczorne bombardowanie, lecz znużeni towarzysze podróży kazali jej milczeć. Poczuła się jak w domu.

Dotarli na stację o wpół do siódmej.

Pociąg nie przyjechał, lecz pół godziny później Tatiana usłyszała warkot niemieckich samolotów. Ukryli się w małym budynku dworcowym. Budynek był z cegły i początkowo wydawało się, że wytrzyma lekki ostrzał i osłoni ich przed odłamkami.

Jednakże podczas bombardowania jedna z kobiet wpadła w panikę i krzycząc jak obłąkana, wybiegła na dwór, gdzie natychmiast skosiła ją seria z karabinu maszynowego. Pozostali patrzyli na to tym bardziej przerażeni, że wkrótce stało się jasne, iż Niemcy chcą zburzyć budynek, w którym się schowali. Że chcą zniszczyć tory. Że samoloty nie odlecą, dopóki nie zmiotą dworca z powierzchni ziemi. Tania usiadła na podłodze, podciągnęła kolana do piersi, mocniej nasunęła hełm i zamknęła oczy. Pomyślała, że hełm zagłuszy ryk śmierci.

Ściany runęły, rozlazły się jak mokry papier. Tatiana wypełzła spod płonących belek, lecz nie miała dokąd pójść. Wszędzie buchał dym, wszędzie leżeli ludzie. Osłabiona i zlana potem, pomacała wokoło rękami. Od strony drzwi huknęła seria wystrzałów, ale kiedy z sufitu spadł wielki dźwigar, przeraźliwy jazgot umilkł. Umilkło i rozpłynęło się

wszystko, łącznie ze strachem. Pozostał tylko żal, że nie zobaczy już Aleksandra.

6

Zaczynał tracić nadzieję. Za rzeką, która stanowiła naturalną granicę między wojskami, widział niemieckie czołgi i tysiące agresywnych, znakomicie wyszkolonych i po zęby uzbrojonych żołnierzy. Wiedział, że nic ich nie powstrzyma, a już na pewno nie kilkuset ochotników z łopatami w ręku.

Po stronie radzieckiej stały tylko dwa czołgi. Po niemieckiej co najmniej trzydzieści. Liczebność jego plutonu zredukowano do dwunastu ludzi, a drogę do Leningradu zagradzały pola minowe. Stracił trzech podwładnych. Zakopywali minę i mina wybuchła. Nie byli saperami, tylko strzelcami, ale ci z pierwszej linii zabrali im karabiny. Broń miał tylko on i jego sierżanci.

Odwróciwszy się od rzeki, nie wiedział, w którą stronę patrzeć.

Późnym wieczorem wezwał go do siebie nowy pułkownik. Aleksander dużo bardziej wolał Piadyszewa.

– Ilu zostało wam żołnierzy, poruczniku?

– Tylko dwunastu, towarzyszu pułkowniku.

– Dużo.

– Zależy do jakiego zadania, towarzyszu pułkowniku.

– Niemcy zbombardowali stację w Łudze i pociągi z Leningradu nie mogą dotrzeć na front. Weźmiecie swój pluton i zaprowadzicie tam porządek. Inżynierowie muszą naprawić tory, bo jutro rano spodziewamy się nowego transportu ludzi i amunicji.

– Robi się ciemno…

– Wiem. Chętnie podarowałbym wam trochę słońca, ale nie mogę. Białe noce też się skończyły, a to zadanie trzeba wykonać natychmiast.

– Aha, jeszcze jedno – dodał, gdy Aleksander ruszył do drzwi. – Podobno w czasie bombardowania na stacji byli jacyś cywile. Usuńcie zwłoki.

Pojechali na dworzec i w świetle lamp naftowych oszacowali zniszczenia. Z ceglanego budynku pozostały gruzy, a wyrwane siłą eksplozji szyny leżały pięćdziesiąt metrów dalej.

– Jest tam kto? – krzyknął Aleksander. – Odezwijcie się!

Odpowiedziała mu cisza.

Aleksander podszedł bliżej rumowiska.

– Jest tam kto?

Zdawało mu się, że usłyszał cichy jęk.

– Oni nie żyją, towarzyszu poruczniku – powiedział Kasznikow. – Ten gruz…

– Tak, ale posłuchajcie… Jest tu kto? – Zaczął odrzucać na bok cegły i kamienie. – Pomóżcie.

– Najpierw powinniśmy usunąć zerwaną trakcję, żeby elektrycy mogli doprowadzić prąd.

Aleksander wyprostował się i przeszył go chłodnym spojrzeniem.

– Sierżancie, co jest ważniejsze: trakcja czy ranni?

– Pułkownik kazał – wymamrotał Kasznikow.

– Tu rozkazy wydaję ja. Do roboty. Szybko. – Zaczął odrzucać głazy, kawałki futryn, parapetów i drzwi. Było ciemno i niewiele widział. Ręce miał uwalane pyłem i ziemią, skaleczył się szkłem, choć zdał sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy poczuł, że coś

kapie mu z dłoni na dłoń.

Nagle znowu coś usłyszał. Tak, na pewno.

– Słyszeliście? – To był cichy jęk.

– Nie, towarzyszu poruczniku – odrzekł Kasznikow, patrząc na niego z wyraźnym zatroskaniem.

– Ręce wam odpadły czy co? Do roboty. Szybciej!

Zabrali się do pracy.

Pod warstwą cegieł i pod nadpaloną belką znaleźli pierwsze zwłoki. Po chwili drugie. I trzecie. Potem znaleźli cały stos ciał. Leżały jedne na drugim, niczym przywalona gruzem piramida. Jak poukładane, pomyślał Aleksander. Wybuch bomby porozrzucałby je na wszystkie strony. Nie, ktoś je tak ułożył, na pewno. Wytężył słuch i ponownie usłyszał zduszony jęk. Przyświecając sobie lampą, odciągnął na bok zwłoki mężczyzny, potem zwłoki kobiety. Ktoś jęknął. Cichutko. Prawie bezgłośnie.

Na samym dnie, pod trzecimi zwłokami znalazł Tatianę.

Leżała na brzuchu, na głowie miała wojskowy hełm. Nie rozpoznał ani ubrania, ani hełmu, ale wiedział, że to ona, zanim jeszcze go zdjął. Poznał ją po kruchej, delikatnej figurce, której przypatrywał się intensywnie przez wiele dni.

– Tania… – wyszeptał zdumiony.

Odciągnął na bok pozostałe zwłoki, odrzucił zmiażdżone belki i odgarnął jej włosy. Była półprzytomna. W żółtym świetle lampy naftowej zdawało się, że ledwo żyje, lecz nie ulegało wątpliwości, że to ona pojękiwała.

Ubranie, włosy, buty i twarz miała uwalane pyłem i krwią.

– Taniu – wychrypiał, rozcierając jej policzek. Policzek był ciepły. To dobrze. To dobry znak.

– Czy to ta Tania? – spytał Kasznikow.

Aleksander nie odpowiedział. Zastanawiał się, jak ją podnieść. Pod warstwą kurzu i zakrzepłej krwi nie widział rany.

– Ona umiera – wymamrotał Kasznikow.

– A wy, kurwa, kto? – warknął Aleksander. – Lekarz? Nie, nie umiera. I przestańcie gadać. Zostańcie tu z ludźmi i oczyśćcie teren. Bez was nie dadzą rady. Przekazuję wam dowództwo, sierżancie. Potem wracajcie do Leningradu. Słyszycie? Poradzicie sobie? Oddaliśmy im broń, ośmiu żołnierzy, i znaleźliśmy ją. Nic tu po nas. Dlatego zróbcie tu porządek, i do Leningradu. – Ostrożnie obrócił Tatianę i wziął ją na ręce. Była bezwładna i cichutko pojękiwała.

– A co z rannymi?

– A słyszycie coś? Nawet jej nie słyszeliście. Coście tacy troskliwi? Tamci nie żyją. Jeśli chcecie, to sprawdźcie. Zaniosę ją do lekarza.

– Iść z wami? Trzeba by nosze…

– Nie. Sam ją zaniosę.

Do obozowiska było trzy kilometry i doszedł tam dopiero o jedenastej w nocy.

Lekarza nie znalazł, znalazł za to jego pomocnika, Marka, który spał w namiocie.

– Lekarz nie żyje – powiedział Mark. – Odłamek przeciął go na pół.

– Mieliście tylko jednego?

– Tak. A co? Ja wam nie wystarczę?

– Wystarczycie.

Mark zerknął na Tatianę i oświadczył:

– Wykrwawiła się. Zostawcie ją przed namiotem. – Ziewnął i położył się.

– Nie sądzę. To nie jej krew. – Pomocnik najwyraźniej chciał sobie pospać, lecz Aleksander ani myślał ustępować.

– W tym świetle trudno cokolwiek powiedzieć. Jeśli przeżyje do rana, to ją zbadam.

Aleksander postąpił krok do przodu.

– Nie, kapralu. Zbadacie ją teraz.

Mark usiadł na pryczy i westchnął.

– Jest bardzo późno, poruczniku…

– Późno? Macie tu jakieś prześcieradło albo łóżko?

– Łóżko? Myślicie, że co? Że to sanatorium? Dam jej prześcieradło.

Rozłożył prześcieradło na ziemi. Aleksander ukląkł i ostrożnie położył na nim Tatianę. Mark obejrzał jej głowę, twarz, zęby i szyję. Podniósł jej ręce, a gdy uniósł nogę, Tatiana jęknęła głośniej niż poprzednio.

– Aha – mruknął Mark. – Macie coś ostrego?

Aleksander podał mu nóż.

Tania miała na sobie długie spodnie. Mark rozciął obie nogawki, najpierw lewą, potem prawą. Prawa kostka u nogi i goleń były bardzo spuchnięte i czarnosine.

– Ma złamany piszczel. Tyle krwi, a to tylko piszczel. No, ale złamała go w kilku miejscach. Dobra, zobaczmy, co dalej. – Rozpiął jej bluzkę, rozciął brudną koszulkę, zbadał jej piersi, żebra i brzuch.

Krew. Jej drobne, kruche ciało było uwalane krwią.

Aleksander odwrócił wzrok.

Mark ciężko westchnął.

– Nie wiem, czy to jej krew czy nie. Na nogach nie ma żadnych ran, przynajmniej zewnętrznych… – Ucisnął jej brzuch. – Chyba macie rację. Skóra jest ciepła, sucha…

Aleksander milczał. Trochę mu ulżyło, choć serce miał jak z ołowiu.

– Widzicie? Tu, po prawej stronie. Trzy złamane żebra. Gdzie ją znaleźliście?

– Na stacji. W gruzach, pod trupami.

– Wszystko jasne. Miała szczęście. Widać, tak jej było pisane. – Mark wstał. – W lazarecie nie ma wolnych łóżek. Ale zanieście ją tam i połóżcie na ziemi. Rano ktoś się nią zajmie.

– Nie zostawię jej na ziemi do rana.

– Co się tak przejmujecie? Piszczel i żebra to jeszcze nic. Szkoda, że nie widzieliście innych.

– Kapralu, jestem oficerem Armii Czerwonej i widziałem ciężko rannych. Na pewno nie macie tu jakiejś pryczy?

Mark wzruszył ramionami.

– Oczy całe, brak ran zagrażających życiu: nie wyrzucę z łóżka ciężko rannego w brzuch tylko dlatego, żeby mogła sobie poleżeć.

– Oczywiście.

– Nie wiem, co z nią zrobimy. Trzeba by ją zawieźć do miasta, do normalnego szpitala. Nastawić nogę, założyć gips. Tu nie da rady.

Aleksander pokręcił głową. Tory były zerwane, a frontowcy zabrali mu ciężarówkę.

– Nie martwcie się o jutro. Macie tu jakieś ręczniki i bandaże? – Aleksander nachylił się, owinął Tatianę prześcieradłem i wziął ją na ręce.

Mark niechętnie otworzył lekarską torbę.

– Nie dalibyście jej morfiny?

– Nie, poruczniku – odparł ze śmiechem tamten. – Nie dam morfiny dziewczynie, która złamała sobie nogę i kilka żeber. Będzie musiała trochę pocierpieć. – Rzucił jej na brzuch trzy ręczniki i bandaże.

Aleksander poszedł do swego namiotu. Położył Tanię na prześcieradle, zapiął jej bluzkę i poszedł do strumienia po wodę. Wróciwszy, pociął jeden ręcznik na osiem małych kawałków, zwilżył je zimną wodą i zaczął obmywać jej czoło, policzki, oczy i usta.

– Tatia – szeptał. – Co z ciebie za wariatka… – W tym samym momencie Tatiana otworzyła oczy. Patrzyli na siebie bez słowa. – Tatia…

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy.

– Aleksander? – wyszeptała bez zdziwienia. – Czyja śnię?

– Nie.

– Śnię… Śniła mi się twoja twarz. Co się stało?

– Jesteś w moim namiocie. Coś ty robiła na tej stacji? Niemcy ją zbombardowali.

Tatiana długo milczała.

– Nie pamiętam. Chyba wracałam do Leningradu. A ty? Co tu robisz?

Był zły, urażony, że go odrzuciła, dlatego mógłby skłamać. Ale prawda była taka prosta, taka zwyczajna.

– Szukałem cię.

Przymknęła oczy.

– Dlaczego tak tu zimno?

– To nic, to nic. Sanitariusz rozciął ci spodnie i…

Podniosła rękę i dotknęła rozchełstanej bluzki. Aleksander odwrócił wzrok. Tam, w Leningradzie, cały czas grał, trzymał dystans, lecz teraz nie mógł już udawać, że się nie cieszy, że Tania nic dla niego nie znaczy. Znalazł ją całą we krwi, uratował jej życie i przepełniała go radość.

Dotknęła ręką twarzy i spojrzała na palce.

– To moja krew?

– Nie, chyba nie.

– Co mi jest? Dlaczego nie mogę się poruszyć?

– Masz złamane żebra…

Tania głośno jęknęła.

– I nogę.

– Moje plecy – szepnęła. – Bolą mnie plecy.

Aleksander zmarszczył czoło.

– Jak to?

– Nie wiem. Strasznie mnie palą.

– To pewnie żebra. W zeszłym roku, podczas wojny zimowej, też złamałem sobie żebro. Plecy paliły mnie żywym ogniem.

– I coś tam… cieknie.

Wrzuciwszy ręcznik do wiadra, Aleksander spojrzał jej w oczy.

– Taniu, dobrze mnie słyszysz?

– Uhm.

– Możesz usiąść?

Spróbowała.

– Nie. – Obiema rękami przytrzymywała rozciętą bluzkę i koszulkę. – Sama nie.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Pomógł jej usiąść.

– Muszę cię rozebrać. Ubranie masz porwane i przesiąknięte krwią. Na nic się nie zda.

Pokręciła głową.

– Muszę, Taniu. Obejrzę twoje plecy, a potem cię umyję. Jeśli są tam jakieś rany, wda się zakażenie. Zmyję ci krew z włosów, a potem obandażuję żebra i nogę. Od razu poczujesz się lepiej, zobaczysz.

Ponownie pokręciła głową.

– Nie bój się. – Przytulił ją, a ponieważ w dalszym ciągu milczała, ostrożnie zdjął z niej bluzkę i koszulkę. Krucha, delikatna, ranna, osłabiona i półnaga, przywarła do niego całym ciałem. Plecy miała we krwi. Tak bardzo mnie potrzebuje, myślał sunąc palcami po jej ciepłej skórze. A ja tak bardzo potrzebuję jej. – Powiedz, gdzie boli.

– Tam – wyszeptała. – Tam, gdzie dotykasz. Pod twoimi palcami.

Nachylił się i zmrużył oczy. Brud i zakrzepła krew.

– Masz rozciętą skórę. Zaraz cię umyję. Nic ci nie będzie.

Uniosła rękę i lekko pogładziła go po policzku.

Przytulił jej głowę do piersi, przywarł ustami do jej mokrych włosów, a potem pomógł jej się położyć. Zasłoniła piersi rękami i zamknęła oczy.

– Tatiasza – szepnął. – Muszę cię umyć.

Nie otworzyła oczu.

– Nie, ja sama.

– Dobrze, tylko czy dasz radę usiąść?

Milczała chwilę.

– Spróbuję. Podaj mi ręcznik.

– Tatia, chcę ci pomóc. – Wziął głęboki oddech. – Proszę. Nie bój się. Nigdy w życiu bym cię nie skrzywdził.

– Wiem – wymamrotała, nie mogąc lub nie chcąc otworzyć oczu.

– Dobrze. Zrobimy tak. Leż, jak leżysz, a ja umyję ci tylko to, co widać.

W świetle lampy naftowej w kącie namiotu umył jej włosy, ręce, brzuch i górną część piersi. Ilekroć dotykał prawego boku, Tania głośno jęczała.

– Ciii… – szeptał. – Któregoś dnia, nie teraz, ale niedługo, wyjaśnisz mi, co robiłaś na stacji podczas bombardowania. Dobrze? Pomyśl o tym. Miałaś szczęście, wielkie szczęście. Unieś rękę. Teraz cię wytrę i obandażuję. Za kilka tygodni będziesz jak nowo narodzona.

Nie otwierając oczu i wciąż zasłaniając piersi, odwróciła głowę. Ściągnął z niej rozcięte spodnie i nie tykając bielizny, umył jej nogi. Gdy dotknął złamanej piszczeli, gwałtownie drgnęła i zemdlała. Zaczekał, aż się ocknie.

– Aż tak boli?

– Jakby mi ją ucięli – wymamrotała. – Masz coś na ból?

– Tylko wódkę.

– Nie lubię wódki.

Gdy wycierał jej brzuch, jeszcze mocniej zacisnęła powieki i załamującym się głosem szepnęła:

– Proszę, nie patrz na mnie.

Jemu też łamał się głos.

– Wszystko będzie dobrze, Taniu, zobaczysz. Wszystko będzie dobrze. – Ucałował jej miękką pierś tuż nad dłonią, którą ją zasłaniała, po czym się wyprostował. – Muszę obrócić cię na brzuch.

– Sama nie dam rady.

– Nie, ja to zrobię. – Umył jej plecy z taką samą dokładnością i starannością jak resztę ciała. – Masz tu tylko powierzchowne skaleczenia, pewnie od szkła. To te żebra tak bolą.

– Co na siebie włożę? – wymamrotała. – Nic innego nie mam.

– Nie martw się. Jutro coś znajdziemy. – Obrócił ją, posadził i delikatnie wytarł. Bandażował ją od tyłu, żeby nie widzieć piersi, które wciąż zasłaniała. Owinął żebra i zawiązując bandaż, miał ochotę pocałować ją w ramię. Nie pocałował.

Potem przykrył ją kocem, usztywnił nogę kawałkiem drewna i mocno obandażował.

– No i jak? – spytał z bladym uśmiechem. – Mówiłem: niedługo będziesz jak nowo narodzona. A teraz obejmij mnie za szyję. – Zrobiła to z wielkim trudem.

Przeniósł ją na materac. Przytuliła się do niego, a gdy ją położył, niechętnie go puściła. Przykrył ją wełnianym kocem.

Naciągnęła go pod szyję i spytała:

– Dlaczego tak mi zimno? Chyba nie umieram, prawda?

– Nie. – Złożył prześcieradło i zebrał ręczniki. – Nic ci nie będzie – dodał z uśmiechem. – Musimy tylko odstawić cię do miasta.

– Ale jak? Nie mogę chodzić.

Poklepał ją lekko po zdrowej nodze.

– Kiedy jesteś ze mną, nie musisz się o nic martwić. Wszystkim się zajmę.

– Nie martwię się – odrzekła, przypatrując się mu intensywnie w mdłym świetle lampy.

– Może do jutra naprawią tory. To tylko trzy kilometry stąd. Szkoda, że nie mam już ciężarówki. Frontowcy zabrali. Przyda im się bardziej niż nam…. – Myślał chwilę. – Dobra. Wyruszymy z samego rana. – Przysunął się bliżej. – Gdzie byłaś, zanim was zbombardowali?

– Nad rzeką. Tam też nas bombardowali. – Z trudem przełknęła ślinę. – Są na drugim brzegu.

– Wiem. Jutro, najdalej pojutrze sforsują Ługę. Musimy wyruszyć bardzo wcześnie, o świcie. A teraz – dodał z uśmiechem – leż tu i nigdzie nie wychodź. Przed namiotem jest piecyk naftowy. Pójdę nad strumień, umyję się, przyniosę wody i zaparzę herbatę. – Wyjął z plecaka butelkę wódki i uniósł jej głowę.

– Nie lubię…

– Proszę, wypij. Będzie cię bardzo bolało, a po alkoholu poczujesz się trochę lepiej. To twoje pierwsze złamanie?

– Nie. Kiedy byłam mała, złamałam rękę. – Wypiła łyk wódki i aż się wzdrygnęła.

– Dlaczego ściełaś sobie włosy? – Wciąż podtrzymywał jej głowę. Była tuż obok niego, była tak blisko, że musiał zacisnąć na chwilę powieki i potrząsnąć głową.

– Nie chciałam, żeby mi przeszkadzały. Wyglądają okropnie, prawda? – Spojrzała na niego swymi słodkimi, bezbronnymi oczami.

– Nie, są bardzo ładne – wychrypiał. Znowu miał ochotę ją pocałować i z trudem się powstrzymał. Ułożył ją wygodniej i wyszedł z namiotu, żeby się pozbierać. Jej bezradność, to, że była od niego całkowicie zależna, sprawiło, że uczucia, jakie do niej żywił, uczucia dotychczas skrzętnie skrywane, wypłynęły na powierzchnię, gdzie unosiły się jak korek, dręcząc go i boleśnie drażniąc. Poszedł nad strumień, zaparzył herbatę i wrócił do namiotu. Tania była na wpół przytomna. Ni to spała, ni to czuwała. Żałował, że nie ma morfiny.

– Zostało mi trochę czekolady. Chcesz?

Ułożyła się na zdrowym boku i zaczęła ssać lepki kawałeczek. Aleksander usiadł na trawie i objął ramionami kolana.

– Chcesz resztę?

Pokręciła głową.

– Taniu, co ci strzeliło do głowy? Dlaczego to zrobiłaś?

– Szukałam brata. – Zerknęła na niego i uciekła wzrokiem w bok.

– Dlaczego nie przyszłaś do mnie, do koszar?

– Raz byłam. Pomyślałam, że gdybyś się czegoś dowiedział, na pewno dałbyś znać. – Podniosła wzrok. – Czy…

– Przykro mi, Taniu. – Uważnie obserwował jej okrągłą, bladą twarz. – Paszę wysłano do Nowogrodu. Tak mi przykro…

– Ciii… – wyszlochała zdławionym szeptem. – Już nic nie mów. Proszę. – Zadrżała. – Tak mi zimno. – Oparła rękę o jego but. – Dasz mi trochę herbaty, zanim zasnę?

Podtrzymał jej głowę i przytknął kubek do ust.

– Jestem taka zmęczona. – Nie odrywała wzroku od jego twarzy. Jak kiedyś, jak na przystanku przed Zakładami Kirowa.

Wstał.

– Gdzie idziesz? – spytała.

– Nigdzie. Będę spał tutaj, a jutro rano zabiorę cię do domu.

– Na trawie będzie ci zimno. Chodź do mnie.

Pokręcił głową.

– Chodź, Szura – powtórzyła cichutko i wyciągnęła do niego rękę. – Połóż się przy mnie.

Nie potrafiłby odmówić, nawet gdyby chciał. Zgasił lampę, zdjął buty i brudny, zakrwawiony mundur, poszperał w plecaku, włożył świeży podkoszulek, położył się przy niej i okrył wełnianym kocem.

W namiocie panowała aksamitna ciemność. On leżał na wznak, ona na lewym boku, z głową w zagłębieniu jego ramienia. Słyszał świerszcze grające w trawie. I jej cichy oddech. Czuł go na swoim ramieniu i piersi. Czuł, jak naga i bezbronna tuli się do niego całym ciałem. Nie mógł oddychać.

– Taniu?

– Tak? – spytała głosem drżącym i pełnym nadziei.

– Jesteś zmęczona? Porozmawiamy?

– Nie. – Nadzieja nieco przygasła.

– Jak trafiłaś do Ługi? Opowiedz. Od samego początku.

Opowiedziała mu wszystko po kolei, a gdy skończyła, długo milczał.

– I zanim dworzec runął, wczołgałaś się pod te zwłoki? – spytał w końcu z niedowierzaniem.

– Tak.

Ponownie zamilkł.

– Sprytny manewr. Wojskowy.

– Dziękuję.

Zapadła cisza i nagle usłyszał, że Tania płacze. Przytulił ją mocniej.

– Przykro mi z powodu Paszy – powtórzył.

– Szura… – Mówiła tak cicho, że musiał wytężyć słuch. – Pamiętasz, opowiadałam ci, jak jeździliśmy nad Ilmen.

– Pamiętam. – Pogłaskał ją po głowie.

– Ciocia Rita, wujek Borys, kuzynka Marina…

– Ta Marina?

– Jak to ta?

– Ta, do której jechałaś autobusem? – Uśmiechnął się w ciemności, a ona uszczypnęła go lekko w brzuch.

– Tak. Mieli tam daczę i łódkę. Często razem pływaliśmy, ja i Pasza. Wiosłowaliśmy na zmianę, on do połowy jeziora, a potem ja. Pewnego razu doszło między nami do głupiej sprzeczki. Pokłóciliśmy się o to, gdzie jest środek jeziora. Po prostu nie chciał, żebym wiosłowała, więc gadał i gadał, potem zaczął krzyczeć, wrzeszczeć, wreszcie powiedział, że jak chcę powiosłować, to proszę bardzo. Zamachnął się, grzmotnął mnie wiosłem i wpadłam do wody. – Tania zadrżała i roześmiała się cichutko. – Nic mi się nie stało, ale nie chciałam, żeby o tym wiedział, więc wstrzymałam oddech, przepłynęłam pod łódką i wynurzyłam się z drugiej strony. Pasza mnie nie widział. Wołał, krzyczał, coraz bardziej przerażony, wreszcie wskoczył do wody, żeby mnie ratować. Wtedy wdrapałam się do łódki, zagwizdałam, a kiedy się odwrócił, przyłożyłam mu wiosłem w głowę. – Otarła sobie twarz ręką. – Jak zwykle miałam pecha i stracił przytomność. Był w kapoku…

– Ty, oczywiście, nie.

– Nie, ja nie. Zobaczyłam, że pływa z twarzą w wodzie i myślałam, że udaje. Chciałam sprawdzić, jak długo zdoła wstrzymać oddech – byłam pewna, że jestem w tym lepsza – dlatego czekałam i czekałam. W końcu wskoczyłam do wody i wciągnęłam go do łódki. Nie wiem, jak to zrobiłam. Wiosłowałam do brzegu, a on leżał na dnie i jęczał, że za mocno go uderzyłam. Wyobrażasz sobie, jaką burę dostałam, gdy rodzice zobaczyli guza na jego głowie? Kiedy już mnie ukarali, rozpowiedział wszystkim, że cały czas oszukiwał, że wcale nie stracił przytomności. – Ponownie się rozpłakała. – Rozumiesz już, jak się teraz czuję? Jakby za chwilę miał wyjść z wody i powiedzieć, że to tylko żart, głupi kawał.

– Tatiasza – wychrypiał Aleksander. – Taniu, ci przeklęci Niemcy grzmotnęli go wiosłem za mocno.

– Wiem – szepnęła. – Tak mi smutno, że był sam, bez nas. – Umilkła; umilkł i on. Leżał, wsłuchując się w jej nierówny oddech. Że był bez ciebie, pomyślał. Z tobą byłoby mu lżej.

Poruszyła głową i wyczuł, że chce mu coś powiedzieć.

– Hmm?

– Szura, śpisz?

– Nie.

– Tęskniłam za tobą. Brakowało mi twoich… odwiedzin. Nie gniewasz się, że to mówię?

– Nie, Taniu, o nic się nie gniewam. – Powiódł wargami po jej krótkich, jedwabistych włosach. – Ja też za tobą tęskniłem. Bardzo.

Nie powiedziała nic więcej. Głaskała go ręką po piersi – tak delikatnie, tak czule – i milczała. Przytulił ją. Boleśnie jęknęła. Raz, potem drugi i trzeci.

Mijały minuty.

Minuty.

I godziny.

– Szura, śpisz?

– Nie.

– Chciałam tylko powiedzieć… Dziękuję ci, żołnierzu.

Patrzył w ciemność, próbując przywołać wspomnienia z dzieciństwa, obraz matki, ojca, miasta, w którym się urodził. Patrzył i patrzył, lecz nic nie widział. Czuł tylko ciężar jej

głowy w zagłębieniu zdrętwiałego ramienia, dotyk ręki gładzącej jego pierś. Wtem ręka spoczęła na mocno bijącym sercu. Tania musnęła wargami jego podkoszulek i… usnęła. Po chwili usnął i on.

Na dworze poszarzało.

– Taniu?

– Już nie śpię. – Wciąż trzymała rękę na jego piersi.

Wstał i poszedł nad strumień. W lesie było jeszcze ciemno. Tak, tu mógł się umyć. Ci nad Ługą się nie myli. Ledwie siedemdziesiąt pięć metrów dalej, na drugim brzegu rzeki, byli Niemcy z działami i armatami wycelowanymi w Rosjan, którzy spali, obejmując karabiny. A on spał na materacu i śpiąc, obejmował Tanię.

Nabrał czystej wody i wrócił do namiotu. Owinął Tanię kocem, pomógł jej usiąść, umył ją, dał jej trochę chleba i kubek herbaty.

– I jak się dzisiaj czujesz? – spytał z uśmiechem. – Pewnie świeżo i rześko.

– Tak – odrzekła cicho. – Chyba mogę kuśtykać na jednej nodze. – Po wyrazie jej twarzy poznał, że straszliwie cierpi.

Powiedział, że zaraz wróci, obudził Marka i poprosił go o jakieś ubranie i lekarstwa. Lekarstw nie było, znalazła się za to sukienka; należała do pielęgniarki, która zmarła przed kilkoma dniami.

– Kapralu, dajcie mi chociaż gram tej przeklętej morfiny.

– Nie mam – warknął Mark. – Za kradzież morfiny grozi rozstrzelanie. Ona ma złamaną nogę, tak? To tylko noga. Przyprowadźcie mi tu rannego w brzuch, i też nie dostanie morfiny. Wolicie, żebym dał ją jej czy kapitanowi Armii Czerwonej?

Aleksander nie odpowiedział.

Wrócił do namiotu, usiadł przy Tani i ostrożnie ubrał ją w sukienkę.

– Dobry z ciebie człowiek, Aleksandrze – powiedziała, głaszcząc go po twarzy.

– Przede wszystkim mężczyzna – odrzekł cicho, wtulając policzek w jej dłoń. – Pewnie bardzo cię boli. Masz, wypij trochę wódki.

– Dobrze, zrobię wszystko, co każesz.

Wypiła kilka łyków.

– Gotowa do drogi?

– Zostaw mnie – odparła. – Idź sam. Znajdą dla mnie miejsce w lazarecie. Ludzie ciągle umierają, będą wolne łóżka.

– Myślisz, że przejechałem taki kawał drogi, żeby cię teraz zostawić? – Zwinął namiot, materac i koc. Tania siedziała na ziemi. – Chodź, pomogę ci. Utrzymasz się na jednej nodze?

– Tak. – Wstała z cichym jękiem. Sięgała mu ledwie ramienia. Tak bardzo pragnął ucałować jej włosy. Proszę, myślał. Proszę, nie patrz na mnie, nie patrz… Przytrzymywała się jego ręki. – Daj mi plecak. Będzie ci łatwiej.

Rzeczywiście było.

– Ukucnę przed tobą, a ty obejmiesz mnie za szyję. Tylko mocno się trzymaj, słyszysz?

– Dobrze. A karabin?

– Ty na barana, karabin do ręki. Dobra, idziemy.

Wstał i wziął karabin.

– Gotowa?

– Tak.

Ruszyli. Niemal co krok Tania cicho pojękiwała.

– Boli?

Przytuliła się jeszcze mocniej.

– Nie jest tak źle.

Dźwigał ją na plecach przez trzy kilometry. Gdy dotarli do Ługi, okazało się, że torów jeszcze nie naprawiono.

– Co teraz? – spytała z niepokojem, gdy odpoczywali.

Dał jej wody.

– Musimy iść przez las do następnej stacji.

– Daleko?

– Sześć kilometrów.

Pokręciła głową.

– Nie, nie dasz rady.

– Masz lepszy pomysł? – Przykucnął. – Chodźmy.

Szli leśną drogą na północ, gdy wtem usłyszeli samoloty przelatujące tuż nad drzewami. Gdyby był sam, szedłby dalej, lecz z Tanią iść nie mógł: gdyby w pobliżu spadła bomba, odłamki mogły trafić ją w plecy.

Zboczył w las i ułożył ją za powalonym drzewem.

– Leż – rozkazał i ściskając karabin, położył się tuż obok. – Obróć się na brzuch. Ręce na głowę. O tak. Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

– Teraz już się nie boję – odrzekła niepewnie i znieruchomiała. Po chwili musnęła dłonią jego pierś.

– Hmm? Pomóc ci? Szkoda, że nie wzięłaś hełmu.

– Aleksandrze…

– Wstał dzień i nagle znowu jestem Aleksandrem?

– Och, Szura… – szepnęła.

Nie wytrzymał. Pochylił głowę i pocałował ją w usta. Wargi miała miękkie i pełne, dokładnie takie, jakimi je sobie wyobrażał. Zadrżała i oddała pocałunek z tak wielką czułością i namiętnością, że bezwiednie jęknął. Oszołomiła go siła, z jaką objęła go za głowę i przyciągnęła do siebie.

– Boże… – tchnął jej prosto w usta.

Przerwały im spadające bomby. Aleksander czuł, że coś musiało, po prostu musiało ich powstrzymać. Wierzchołek pobliskiej sosny stanął w ogniu, złamał się wpół i spadł na mokre poszycie kilka metrów dalej.

Aleksander obrócił Tanię na brzuch, legł na mchu i przywarł do niej całym ciałem.

– Wszystko dobrze? – szepnął. – Przestraszyłaś się bomb?

– Ich najmniej – odszepnęła.

– Chodź – powiedział, gdy wybuchy ucichły. – Musimy dotrzeć na stację. Szybko.

Wstała, unikając jego wzroku. Przykucnął, ponownie wziął ją na barana i podniósł karabin.

– Jestem ciężka.

– Nie cięższa niż mój plecak – wysapał. – Trzymaj się. Już niedaleko.

Ilekroć kolba karabinu trącała ją w złamaną nogę, czuł, że Tania sztywnieje z bólu, jednak ani razu nie krzyknęła, a nawet nie jęknęła. W pewnej chwili jej głowa opadła mu na kark. Miał nadzieję, że tylko przysnęła.

Pod czarnym od dymu niebem, przez płonący las, niósł ją sześć kilometrów do następnej stacji. Bomby już nie spadały, lecz zewsząd dochodziły odgłosy wybuchów i grzmot dział.

Dotarli do dworca. Aleksander posadził Tanię i osunął się na ziemię. Przysunęła się bliżej i mocno przytuliła.

– Zmęczony? – spytała łagodnie.

Kiwnął głową.

Czekali. Na stacji było pełno ludzi, kobiet z małymi dziećmi, dziadków i babć z całym dobytkiem. Brudni, posępni i zszokowani, też czekali na pociąg. Aleksander wyjął z plecaka ostatni kawałek chleba i przełamał go na pół.

– Nie, zjedz cały – powiedziała Tania. – Opadniesz z sił.

– Jadłaś coś wczoraj? Nie.

– Tak. Surowego ziemniaka i trochę jagód. No i czekoladę od ciebie. – Przylgnęła do niego niemal całym ciałem, złożyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

– Wszystko będzie dobrze. – Objął ją i pocałował w czoło. – Zobaczysz. Jeszcze trochę i będzie dobrze. Obiecuję.

Nadjechał pociąg. Z wagonami do przewożenia bydła.

– Czekamy na pasażerski? – spytał.

– Nie – odrzekła słabym głosem. – Źle się czuję. Im szybciej wrócimy do Leningradu, tym lepiej. Wsiądźmy. Będę stała na jednej nodze.

Podsadził ją i wskoczył do wagonu. Wagon był straszliwie zatłoczony. Stali tuż przy drzwiach, zerkając na krajobraz. Jechali tak kilka godzin, ściśnięci i wtuleni w siebie. Ona trzymała głowę na jego piersi, on delikatnie ją podtrzymywał, nie chcąc urazić jej obolałego boku i pleców. W pewnej chwili poczuł, że zwiotczała, że zaczyna osuwać się na podłogę.

– Nie – szepnął. – Stój. Wytrzymaj.

Objęła go za szyję i wytrzymała.

Drzwi były otwarte na wypadek, gdyby ktoś chciał wyskoczyć w biegu. Mijali pola i drogi zatłoczone rolnikami wlokącymi za sobą świnie i kozy oraz uchodźcami ciągnącymi wozy z dobytkiem. Tymi samymi drogami przebijały się karetki pogotowia i motocykliści. Aleksander obserwował ponurą twarz Tani.

– O czym tak myślisz?

– Dlaczego ci głupcy dźwigają na grzbiecie całe swoje życie? Gdybym to ja wyjeżdżała, nie zabrałabym nic. Tylko samą siebie.

– A swoje rzeczy? – spytał z uśmiechem. – Chyba jakieś masz.

– Tak, ale zostawiłabym je w domu.

– Wszystkie? Nie zabrałabyś nawet „Jeźdźca miedzianego”?

Spojrzała na niego ze słabym uśmiechem.

– „Jeźdźca” może bym wzięła. Chodzi o to, że albo próbujesz się ratować, albo dźwigasz na grzbiecie wszystko, co masz, i jesteś łatwiejszym celem dla wroga. Nie uważasz, że powinniśmy najpierw zdecydować, czego właściwie chcemy? Czy wyjeżdżamy na dobre? Czy zaczynamy nowe życie? Czy kontynuujemy stare, tyle tylko, że w nowym miejscu?

– Dobre pytania, Taniu.

– Wiem. – W zadumie spojrzała na pola.

Aleksander nachylił się, potarł policzkiem o jej krótkie włosy i przytulił ją jeszcze mocniej. Z poprzedniego życia zachował tylko jedną rzecz. Ameryka istniała dla niego jedynie w pamięci.

– Szkoda, że nie znalazłam Paszy – szepnęła Tania.

– A ja żałuję, że nie znalazłem go dla ciebie – odrzekł wzruszony.

Tatiana boleśnie westchnęła i zamilkła.

Na Dworzec Warszawski przyjechali wczesnym wieczorem. Usiedli na ławce nad kanałem, żeby zaczekać na tramwaj. Nadjechała szesnastka.

– Wsiadamy? – spytał Aleksander.

– Nie.

Czekali dalej.

Nadjechał kolejny tramwaj.

– Może tym?

– Nie.

Nadjechał trzeci tramwaj.

– Nie – powiedziała Tatiana, zanim zdążył o cokolwiek zapytać i złożyła mu głowę na ramieniu.

Przepuścili cztery tramwaje. Siedzieli przytuleni, milczeli i patrzyli na kanał.

– Za chwilę wsiądziemy i odwieziesz mnie do starego życia – szepnęła w końcu.

Aleksander nie odpowiedział.

– Wtedy, przed fabryką, pamiętasz? Kiedy się pokłóciliśmy. Czy miałeś jakiś… plan?

Owszem, chciał, żeby wyjechała z Leningradu. W mieście groziło jej zbyt duże niebezpieczeństwo.

– Raczej nie.

– Tak myślałam.

Przepuścili piąty tramwaj.

– Szura, co ja im powiem o Paszy?

Zacisnął zęby i dotknął ręką jej twarzy.

– Powiesz, że ci przykro. Że zrobiłaś, co w ludzkiej mocy.

– A może on przeżył? Może gdzieś tam jest, tak samo jak ja?

– Ty nie jesteś „gdzieś". Jesteś ze mną.

Głośno przełknęła ślinę.

– Ale do wczoraj byłam sama. Do wczoraj… – Spojrzała na niego z nadzieją. – Może…

Aleksander pokręcił głową.

– Och, Taniu…

Uciekła wzrokiem w bok.

– Długo mnie szukałeś?

– Nie. – Nie chciał jej mówić, że przeszukał każdy metr kwadratowy Ługi.

– Ale skąd wiedziałeś, że jestem akurat tam?

– W Tołmaczewie też szukałem.

– Ale dlaczego w ogóle szukałeś?

Patrzyła na niego z tak wielką nadzieją, z takim utęsknieniem, że nie mógł tego znieść.

– Taniu – zaczął. – Dasza mnie prosiła…

– Ach tak… – Momentalnie sposępniała. – Ach tak… – I odsunęła się od niego, tak że już się nie dotykali.

– Tatiu…

– Jest nasz tramwaj – powiedziała, próbując wstać. – Chodźmy.

Wziął ją za rękę.

– Pomogę ci.

– Dam sobie radę. – Podskoczyła na jednej nodze i jęknęła z bólu.

Otworzyły się drzwi.

– Przestań. Powiedziałem, że ci pomogę.

– A ja powiedziałam, że dam sobie radę.

– Przestań skakać, bo cię puszczę.

– To puść.

Rozdrażniony westchnął i zaszedł jej drogę.

– Ani kroku dalej, słyszysz? Jak tam twoje żebra? Cudownie, prawda? Obejmij mnie za szyję. Zaniosę cię.

– Co cię tak zdenerwowało? – spytał, gdy już usiedli.

– Nic. Nie jestem zdenerwowana.

Położył jej rękę na ramieniu. Tania bez słowa patrzyła w okno.

Po kwadransie milczenia dojechali na Grecki do szpitala. Pielęgniarki natychmiast wyszukały dla Tani łóżko, ubrały ją w czystą koszulę i podały środek przeciwbólowy.

– Nie ma to jak morfina, co? – spytał Aleksander z uśmiechem. – Zaraz przyjdzie lekarz. Nastawi ci nogę i założy gips. Muszę iść. Powiem twoim rodzicom, że tu jesteś, a potem pojadę po swoich ludzi. – Westchnął. – Pewnie utknęli w tej Łudze.

Tania oparła się o poduszkę.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała oschle.

Aleksander przysiadł na brzegu łóżka. Odwróciła głowę. Wyciągnął rękę i wziął ją pod brodę. W oczach miała łzy.

– Tatiu, czym się tak denerwujesz? Przecież gdyby nie Dasza, nie pojechałbym cię szukać. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem dlaczego, ale chyba tak miało być. Jesteś w domu i niedługo wyzdrowiejesz. – Pogłaskał ją po policzku. – Za dużo przeszłaś, za bardzo cię boli… – Pociągnęła nosem, próbując ponownie odwrócić głowę, lecz z niezwykłą, wprost obezwładniającą czułością przytrzymał ją za podbródek. – Ciii… – szepnął, obejmując ją delikatnie i całując we włosy. – Taniu, nie mam pojęcia, jakie pytania cię dręczą, ale wiedz, że na wszystkie odpowiedziałbym „tak”.

Spróbowała się odsunąć.

– Nie mam żadnych pytań – odparła. – Na wszystkie już odpowiedziałeś. Zrobiłeś to dla Daszy. Będzie ci bardzo wdzięczna.

Pokręcił głową i roześmiał się z niedowierzaniem, pozwalając jej opaść na poduszkę.

– I dla Daszy cię pocałowałem?

Tatiana spąsowiała.

– Taniu – dodał cicho Aleksander. – Nie powinniśmy o tym rozmawiać. Nie teraz, nie po tym, co przeszłaś.

– Masz rację. W ogóle nie powinniśmy rozmawiać. – Nawet na niego nie spojrzała.

– Powinniśmy, ale nie o tym.

– Idź, Aleksandrze. Idź do mojej siostry i powiedz, że uratowałeś mnie dla niej.

– Nie dla niej – odrzekł wstając. – Uratowałem cię dla siebie. Jesteś niesprawiedliwa.

– Wiem – powiedziała smutno, patrząc na koc. – To wszystko razem jest niesprawiedliwe.

Wziął ją za rękę. Bardzo pragnął ją pocałować i zmagał się ze sobą, nie chcąc sprawiać większego bólu ani jej, ani sobie. W końcu z ciężkim sercem przycisnął usta do jej drżącej dłoni i szybko wyszedł.

W jeden punkt

1

Chciało jej się płakać, ale za bardzo bolały ją żebra. Gdy do pokoju weszła pielęgniarka Wiera, Tania zasłoniła ręką oczy.

– Nie płacz, skarbie, nie płacz, bo nie wytrzymasz z bólu. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Niedługo przyjdą twoi rodzice. Najlepiej pośpij trochę. Dam ci coś na sen, chcesz?

– Ma siostra jeszcze trochę morfiny?

Wiera zachichotała.

– Przecież dałam ci aż dwa gramy. Ile byś chciała?

– Przynajmniej kilogram.

Wreszcie zasnęła.

Gdy otworzyła oczy, na krzesłach wokół łóżka siedziała rodzina. Sądząc po ich minach, byli na przemian wzruszeni i przerażeni. Dasza trzymała ją za rękę. Mama ocierała jej twarz. Babcia niespokojnie poklepywała dziadka po ramieniu, a tata patrzył na nią z wyrzutem w oczach.

– Taniu, nie było cię dwa dni. – Dasza nie przestawała całować jej świeżo obciętych włosów.

Mama głaskała jej dłonie.

– Co ci przyszło do głowy, córeczko? – zawodziła. – Co ci przyszło do głowy?

– Szukałam Paszy – odrzekła Tatiana, ściskając ją za rękę. – Nie znalazłam. Tak mi przykro…

– Nie pleć. Co ty pleciesz? – Tata podszedł do okna. – Nie chodziłaś do szkoły? Nie skończyłaś szkoły rok wcześniej? Czego was tam uczyli? Na pewno nie zdrowego rozsądku.

– Tanieczko – szlochała mama. – Jesteś naszym aniołkiem, naszą małą dziewczynką. Co byśmy zrobili, gdyby przyszło nam stracić i ciebie? Jak byśmy żyli?

Ojciec powiedział, żeby mama nie mówiła bzdur.

– Nie wiadomo, może Pasza żyje! Z frontu wraca mnóstwo ochotników, wracają cały czas. Wciąż jest nadzieja.

– Niech tata powie to Ninie Iglenko – mruknęła Dasza. – Płacze po Wołodi tak głośno, że słychać ją w całym domu.

– Ona ma czterech synów – odparł ponuro ojciec. – Jeśli wojna szybko się nie skończy, wszyscy pójdą na front. Nina musi przywyknąć do myśli, że może ich stracić. – Spuścił głowę. – A my mamy tylko jednego Paszę, dlatego muszę mieć nadzieję.

Gdyby Tatiana nie była tak osłabiona, uciekłaby od nich gdzie pieprz rośnie. Nie mogła, po prostu nie mogła opisać im tego, co widziała nad Ługą. Gdyby powiedziała, że owijała w prześcieradła dziesiątki zwłok, że na jej oczach konali ludzie, że widziała zmiażdżone i zwęglone kończyny, przeszyte kulami dzieci, nikt by jej nie uwierzył. Ona sama prawie w to nie wierzyła.

– Ty wariatko – szepnęła Dasza. – Umieraliśmy tu ze strachu. No i mój biedny Aleksander. Życie dla ciebie ryzykował. Pojechał cię szukać. Błagałam go, żeby coś zrobił. Nie chciał, musiał pominąć drogę służbową…

– Tatiano – przerwał jej dziadek. – Ten młodzieniec ocalił ci życie.

– Naprawdę? – spytała cichutko.

– Och, biedactwo ty moje – zaszlochała mama, głaszcząc jej rękę. – Nic nie pamiętasz. Gieorgij, ona nic nie pamięta. Ileś ty musiała przejść…

– Przecież ci mówiłam – powiedziała Dasza. – Przywaliły ją gruzy. Aleksander wykopał ją spod sterty cegieł!

– Niesamowite! – wykrzyknął ojciec. – Oto prawdziwy mężczyzna! Gdzieś ty go znalazła, Daszo? To prawdziwy skarb. Trzymaj się go i nie puszczaj.

– Nie zamierzam, tato.

W tym samym momencie „skarb" wkroczył do pokoju z Dmitrijem. Rodzina otoczyła go zwartym kręgiem. Tata i dziadek energicznie potrząsali mu ręką. Mama i babcia obejmowały go i ściskały. Dasza przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

I jeszcze raz, i jeszcze raz.

I jeszcze raz.

– Wystarczy, Dario Gieorgijewno – przerwał jej tata. – Daj żołnierzowi odsapnąć.

Dmitrij podszedł do łóżka, objął Tanię i lekko przytulił. Oczy miał zatroskane i rozbawione zarazem.

– Hmm… – powiedział, całując ją w czubek głowy. – Żyjesz. Wygląda na to, że miałaś dużo szczęścia.

– Tatiano – rzekł poważnie tata. – Zdaje się, że miałaś coś powiedzieć porucznikowi Biełowowi.

– Nasz porucznik dostanie kolejny medal za odwagę – prychnął Dmitrij. – Przywiózł Tatianę, a potem wrócił nad Ługę i przyprowadził do Leningradu jedenastu z dwudziestu ochotników, z którymi go tam wysłano. Poszło jeszcze lepiej niż w Finlandii, co, Aleks?

Aleksander podszedł do łóżka.

– Jak się czujesz, Taniu?

– Zaraz. – Dasza przykleiła mu się do ramienia. – W Finlandii? Co się stało w Finlandii?

– Jak się czujesz? – powtórzył Aleksander.

– Świetnie – odrzekła Tania, nie mogąc spojrzeć mu w oczy. Uśmiechnęła się do matki. – Nic mi nie jest, mamo. Niedługo wrócę do domu.

– Co się stało w Finlandii? – powtórzyła Dasza, ściskając Aleksandra za rękę.

– Nie chcę o tym mówić – odparł.

– Ja opowiem – rzucił wesoło Dmitrij. – Poszedł na akcję z trzydziestoma ludźmi i wrócił tylko z czterema. Ale nasz porucznik głowę ma nie od parady. Obrócił klęskę w zwycięstwo, dostał medal i awans. Dobrze mówię, Aleks?

Aleksander jakby go nie słyszał.

– Jak twoja noga, Taniu?

– Dobrze. Niedługo będzie jak nowa.

– Niedługo? – wykrzyknęła mama. – Dopiero we wrześniu. Dopiero wtedy zdejmą ci gips. I co ty biedna poczniesz?

– Nie wiem. Chyba zaczekam do września.

Mama pokręciła głową i pociągnęła nosem.

– Gieorgij, on niósł ją na plecach. Taki kawał drogi dźwigał ją na plecach. – Chwyciła Aleksandra za ręce. – Nie wiem, jak panu dziękować…

– Nie trzeba – odrzekł z uśmiechem Aleksander. – Zaopiekujcie się tylko Tatianą.

– Dobrze, że Taniusza waży ledwie trzy kilo! – wtrąciła ze śmiechem Dasza.

– Podziękuj mu, Taniu – nalegał niecierpliwie przepełniony wdzięcznością ojciec, napierając na łóżko. – Podziękuj naszemu porucznikowi.

Z ręką wciąż w dłoni Dmitrija, zdołała wykrzesać słaby uśmiech i spojrzeć Aleksandrowi w twarz.

– Dziękuję, poruczniku.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Dasza zarzuciła mu ręce na szyję, otarła się o niego całym ciałem i spytała:

– Widzisz, jak nas uszczęśliwiłeś? Jak ci mam dziękować?

Na szczęście w tej samej chwili do pokoju weszła pielęgniarka i kazała im wyjść.

Dmitrij przytknął gumowate wargi do kącika ust Tatiany.

– Dobranoc, najdroższa – powiedział. – Jutro przyjdę cię odwiedzić.

Miała ochotę wyć.

Dasza została, żeby poprawić koc i podłożyć poduszkę pod jej chorą nogę. Była bardzo poruszona i podekscytowana. Tania nie widziała jej w takim stanie od wielu tygodni.

– Taniu – szepnęła. – Jeśli Bóg istnieje, niechaj będą Mu dzięki. Kiedy Aleksander wrócił, odbyliśmy długą rozmowę. Tak się cieszyłam, że cię odnalazł, tak bardzo się cieszyłam. Przekonałam go, że warto spróbować jeszcze raz. Jest wojna, powiedziałam, cóż mamy do stracenia? Spójrz tylko, co dla mnie zrobiłeś. Czy zrobiłbyś to, gdybyś nic do mnie nie czuł? A on na to: Daszo, nigdy nie mówiłem, że nic do ciebie nie czuję. – Pocałowała ją we włosy. – Dlatego dziękuję ci, siostrzyczko. Dziękuję, żeś przeżyła, żeś na niego zaczekała.

– Nie ma za co – odparła głucho Tania. Wiedziała, że skoro Aleksander ponownie zagościł w życiu Daszy, w jej życiu też na pewno zagości.

W takim razie skąd ta pustka? Skąd ten nagły ból w sercu?

– Taniu. Myślisz, że Pasza… Że on żyje?

Tatianie przypomniały się niemieckie ulotki spadające z nieba jak confetti, pociski siekące ziemię stalowym deszczem, posępne działa wycelowane w nią i w Aleksandra. I w Paszę.

– Chyba nie – odrzekła, zamykając oczy. Bez względu na to, co się z nim stało, miała uczucie, że bezpowrotnie go stracili.

Godzinę później zdawało jej się, że zaskrzypiały drzwi i gdy otworzyła oczy, zobaczyła Aleksandra, który siedział na brzegu łóżka z karabinem przy nodze. Wszedł tak cicho, że nic nie słyszała.

– Co ty tu robisz?

– Przyszedłem spytać, jak się czujesz.

– Zostawiłeś Daszę?

Kiwnął głową.

– Jadę do soboru św. Izaaka. Do pierwszej mam służbę w wieży nad kopułą. Wypatrujemy niemieckich samolotów. Teraz jest tam Pietrenko. To dobry żołnierz. Jeśli się trochę spóźnię, na pewno nie wygada. – Sobór św. Izaaka był najwyższą budowlą w Leningradzie.

– W takim razie co robisz tutaj?

– Chciałem się upewnić, czy nic ci nie jest. I porozmawiać o Daszy…

– Czuję się dobrze. Naprawdę. Nie powinieneś tu przychodzić. Dasza ma rację. I tak już narozrabiałam. Spóźnisz się na służbę.

– O mnie się nie martw. Jak się czujesz?

– Świetnie. – Przeszyła go wzrokiem. – Bohater z ciebie, co? Rodzice i dziadkowie mówią, że Dasza nie mogła lepiej trafić. – Spuściła głowę.

– Tatiu…

– Powiedziała mi, że do siebie wróciliście – rzuciła ze sztuczną wesołością. – Czemu nie? Jest wojna, cóż macie do stracenia, prawda? Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Tatiu…

– Nie nazywaj mnie tak – warknęła.

Aleksander ciężko westchnął.

– Taniu, czego ty ode mnie chcesz?

– Żebyś zostawił mnie w spokoju.

– Jakżebym mógł?

– Nie wiem, ale lepiej coś wymyśl. Widziałeś Dmitrija? Widziałeś, jaki był zatroskany? Moja wyprawa do Ługi wydobyła na jaw jego najlepsze cechy. Nie wiedziałam, że potrafi być taki czuły.

– Tak, i jak czule cię całował. – Aleksandrowi pociemniały oczy.

– Był bardzo miły.

– A ty mu na to pozwoliłaś.

– Ale przynajmniej go nie pieprzę!

Aleksander drgnął i głośno wciągnął powietrze. Tatiana też. Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

– A co? – spytał kąśliwie. – Zamierzacie pójść ze sobą do łóżka?

Wstrząśnięta Tania nie odpowiedziała.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka. Zostawiła otwarte drzwi, żeby „wpuścić trochę świeżego powietrza".

– Taniu, nie wiem, czego ode mnie chcesz – powiedział Aleksander, gdy ponownie zostali sami. – Mówiłem ci od samego początku, żebyśmy przestali udawać i grać. Ale teraz już za późno. Dmitrij… – urwał, kręcąc głową. – Teraz będzie dwa razy trudniej.

A Tania pragnęła tylko jednego: żeby znowu ją pocałował.

– Skoro tak – rzuciła gniewnie – po raz trzeci zadam ci to samo pytanie: co cię tu sprowadza?

– Nie denerwuj się tak.

– Nie jestem zdenerwowana!

Chciał dotknąć jej twarzy, ale odwróciła głowę.

– Hmm… – mruknął wstając. – Ode mnie się odwracasz. – W progu przystanął i warknął: – Tak dla twojej wiadomości: kobieta nie może „pieprzyć" mężczyzny.

Jak zwykle rześka i energiczna Wiera powiedziała Tani, że zostanie w szpitalu do połowy sierpnia, dopóki nie zrosną się żebra, i dopóki nie będzie mogła chodzić o kulach. Ponieważ piszczel pękł w trzech miejscach, gipsowy opatrunek pokrywał jej nogę od stopy aż do kolana.

Rodzice i dziadkowie przynosili jej jedzenie, które ze smakiem pochłaniała. Pierogi z kapustą, kotlety z piersi kurczęcia, zapiekanki z mielonym mięsem i ciasto z czarnymi jagodami, które smakowało trochę mniej niż dawniej, gdyż w ciągu dwóch dni służby w Armii Pospolitego Ruszenia nie jadła praktycznie nic oprócz jagód.

Mama i tata odwiedzali ją początkowo codziennie, ale wkrótce zaczęli przychodzić co drugi dzień. Czasami wpadała Dasza, z porucznikiem Biełowem pod rękę. Całowała Tanię w czoło i mówiła, że niestety, nie może długo zostać. Przychodził i Dmitrij. Siadał na łóżku, przytulał ją i wychodził wraz z nimi.

Pewnego wieczoru, gdy dla zabicia czasu grali w karty, Dasza powiedziała, że jej

dentysta wyjechał. Chciał zabrać ją do Swierdłowska, za Ural, ale ona odmówiła i znalazła pracę w szwalni, w której pracowała mama.

– Teraz już nie mogę się ewakuować – dodała, patrząc z uśmiechem na Aleksandra. – Jestem niezbędna krajowi w czasie wojny. – Rozwarła dłoń i pokazała Tani garść złotych zębów.

– Skąd je masz?

Dasza wyjaśniła, że to zapłata od pacjentów, którym w zeszłym miesiącu zdejmowali złote koronki.

– Brałaś od nich… zęby? – spytała zdumiona Tatiana.

– Tak, zamiast pieniędzy – odrzekła przepraszającym tonem Dasza. – Nie każdy jest tak czysty i niewinny jak ty.

Tania nie drążyła tematu. Czyż miała prawo prawić jej morały?

Zaczęli rozmawiać o wojnie; o wojnie rozmawiało się teraz jak o pogodzie. Aleksander powiedział, że Ługa padnie lada dzień, i Tatianę ponownie ogarnęło poczucie klęski. Wystarczyło ledwie kilka dni i wysiłek tysięcy ludzi poszedł na marne. Przestała o cokolwiek pytać. Pobyt w szpitalu był jeszcze bardziej nierealny niż krótki pobyt w opustoszałym Dogotinie. Tkwiła między czterema szarymi ścianami z jednym oknem i nie widywała praktycznie nikogo, nie licząc tych, którzy sporadycznie ją odwiedzali. Opowiadali jej tylko o tym, o co ich spytała, więc może gdyby o nic nie pytała, wojna skończyłaby się przed jej wyjściem ze szpitala?

I co potem?

Nic, myślała ciemnymi nocami. Będę żyła po dawnemu. Wrócę do pracy. A w przyszłym roku pójdę na uniwersytet, tak jak zamierzałam. Pójdę na uniwersytet, nauczę się angielskiego i kogoś poznam. Poznam miłego rosyjskiego studenta, najlepiej inżynierii. Pobierzemy się i zamieszkamy z jego rodzicami i dziadkami. A potem będziemy mieli dziecko.

Nie, nie potrafiła wyobrazić sobie takiego życia. Nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego życia poza tym, jakie teraz prowadziła: poza wyglądaniem przez okno na Prospekt Grecki, jedzeniem owsianki na śniadanie, zupy na obiad i gotowanego kurczaka na kolację. Pragnęła tylko, żeby Aleksander przyszedł do niej sam. Chciała mu powiedzieć, że się myliła, że nie miała prawa tak się zachowywać. Pragnęła, żeby znowu był tuż przy niej.

Po raz kolejny przeczytała krótkie opowiadania Zoszczenki, lecz nie wiedzieć czemu, przestały ją śmieszyć.

Całymi dniami leżała w pokoju. Dni były długie, a nocami nie mogła spać. Jeszcze bardziej dobijały ją łzy w oczach matki i posępne milczenie ojca. Ilekroć pomyślała o swojej nieudanej wyprawie po Paszę, robiło jej się niedobrze. Ale najbardziej dręczyła ją nieobecność Aleksandra.

Początkowo było jej przykro, potem była zła, jeszcze potem była zła na siebie za to, że jest zła, a w końcu ogarnęło ją coś w rodzaju urazy i rezygnacji.

I właśnie wtedy – zaraz po obiedzie, kiedy zupełnie tego nie oczekiwała – przyszedł Aleksander. Przyniósł jej lody.

– Dziękuję-szepnęła.

– Proszę – odrzekł cicho i usiadł na krześle, patrząc, jak Tania je. – Jestem na patrolu – wyjaśnił. – Sprawdzam, czy okna są zaklejone taśmą i czy nie dzieje się nic podejrzanego.

– Sam?

– Nie – odrzekł, wywracając oczami. – Z siedmioma czterdziestolatkami, którzy nigdy w życiu nie nosili karabinu.

– Naucz ich. Jesteś dobrym nauczycielem.

Zerknął na nią i dodał:

– Do południa budowaliśmy zaporę przeciwczołgową na Prospekcie Moskiewskim. Tramwaje już tam nie jeżdżą. – Odgarnął włosy z czoła. – Ale Kirow wciąż pracuje. Dopiero teraz postanowili przenieść się dalej na wschód. Inne zakłady też się wynoszą. Rozmontowują maszyny, ładują je na ciężarówki, na ostatnie pociągi… Taniu? Czy ty mnie słuchasz?

– Co? – Ogłuszający huk, który rozbrzmiewał jej w uszach, nagle ustał.

– Dobre?

– Lody? Pyszne. Miła niespodzianka.

– I właśnie tak trzeba podchodzić do życia. – Wstał. – Muszę iść.

– Nie! – wykrzyknęła i ciszej dodała: – Zaczekaj.

Usiadł.

– Chciałam cię przeprosić. Za tamten wieczór. Po prostu…

Pokręcił głową.

– Nieważne, nie ma za co.

– Dlaczego przychodzisz dopiero teraz? – spytała ze smutkiem; nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Jak to? Przecież jestem tu codziennie.

Tania zamilkła, milczał i on.

Patrzyli na siebie.

– Przyszedłbym sam, ale uznałem, że to nie ma sensu. Ani ty nie poczułabyś się lepiej, ani ja.

Przed oczyma przemknęła jej seria obrazów. *Pochyla się nad nią, zmywa krew z jej nagiego ciała. Zabrakło jej tchu. Spi z głową w zgięciu jego ramienia, z ustami przyciśniętymi do jego piersi, dotyka go. Z nikim, z nikim tak blisko nie była. Obejmuje go, tuli się do niego w pociągu. I najgorsze: to promieniujące z trzewi uczucie, gdy rozchylił ustami jej usta*. Odwróciła głowę.

– Wiem – szepnęła. – Masz rację.

Wstał i tym razem go nie zatrzymywała.

– Do zobaczenia – powiedział, całując ją w czoło.

W czoło, pomyślała. Lepsze to niż nic.

– Przyjdziesz? – spytała, gdy był już w drzwiach. – Tylko na chwilę, jeśli będziesz mógł…

Obrócił czapkę w rękach.

– Taniu…

– Wiem. Lepiej nie przychodź.

– Te wszystkie pielęgniarki… Prędzej czy później doniosłyby twojej rodzinie. Źle by się to skończyło.

Ale przynajmniej by się skończyło.

– Masz rację.

Kiedy wyszedł, niczym zagorzała pokutnica zaczęła biczować się myślami: jestem złą, jestem bardzo złą siostrą. Zawsze uważałam się za dobrą siostrę, ale nigdy dotąd nie poddano mnie próbie. No i proszę. Wystarczyła jedna próba i zachowuję się jak…

2

Tydzień później obudziła się z uczuciem, że ktoś głaszcze ją po twarzy. Chciała otworzyć oczy, ale pomyślała, że to tylko sen, poza tym była tak bardzo zmęczona i oszołomiona lekami, że ich nie otworzyła. Głaskał ją jakiś mężczyzna. Miał duże dłonie, a jego oddech pachniał wódką. Znała tylko jednego mężczyznę o dużych dłoniach. Oczy miała wciąż zamknięte, lecz jej oddech stał się płytszy i bardziej chrapliwy.

– Tatia? – Zabrał rękę.

Tak bardzo nie chciała się obudzić. Tak bardzo pragnęła, żeby Aleksander, ten ze snu, głaskał ją w ciepłą, sierpniową noc. Rozwarła powieki.

To był Aleksander. Ten prawdziwy, nie ten ze snu. Siedział przy niej bez czapki i znowu miał te maślane oczy; widziała je nawet po ciemku.

– Obudziłem cię?

– Tak. Chyba tak. – Dotknęła jego ramienia. – Czy mi się zdaje, czy to jeszcze noc?

– Tak. – Patrzył na koc, a ona patrzyła na jego ciemne włosy. – Jest koło trzeciej.

Rozmawiali po cichu. Szeptem.

– Co się stało? Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Wpadłem, żeby spytać, jak się czujesz. Wciąż o tobie myślę. Leżysz tu… Pewnie ci smutno. Nie czujesz się samotna?

– Tak. – Znowu poczuła zapach alkoholu. – Piłeś?

– Piłem. – Z trudem skupił wzrok. – Pierwszy raz od długiego czasu. Miałem dzisiaj wolne i poszedłem z Marazowem na kielicha. – Urwał. – Tatiu…

Serce waliło jej jak młotem, nie mogła złapać tchu. Jego ręce spoczywały na kocu. Pod kocem były jej nogi.

– Szura – szepnęła i nagle, choć tylko przez chwilę, poczuła się szczęśliwa. Tak samo jak wtedy, gdy wychodząc z fabryki, spoglądała w lewo i widziała jego uśmiechnięte usta. Nie, teraz czuła się jeszcze szczęśliwsza.

– Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów. Pomyślałem, że może jak trochę wypiję, to…

– Nie, wszystko, co mówisz, ma sens. Co chciałeś powiedzieć?

Aleksander chwycił jej ręce i przycisnął sobie do piersi. Wciąż miał pochyloną głowę. I wciąż milczał.

Co robić? Tatiana była jak dziecko. Każda inna dziewczyna wiedziałaby, co robić, tymczasem ona nie miała nawet pojęcia, co w takiej chwili przystoi, a co nie. Boże, myślała, jestem jak niemowlę. Ileż bym dała, żeby tylko wiedzieć, jak się zachować. Teraz, podczas tych kilku bezcennych minut. Cóż z tego, że leżę w szpitalnym łóżku, że mam obandażowane żebra i nogę w gipsie. Najważniejsze, że on tu jest, że jest sam. Sam.

Nagle wyrosła między nimi twarz Daszy, jakby sumienie chciało odebrać sercu nawet tę jedną, jedyną chwilę skradzionej radości. I tak powinno być, pomyślała, rozpaczliwie pragnąc unieść jego twarz i… Raptem twarz Daszy zniknęła, a wówczas Tatiana nachyliła się i pocałowała go we włosy. Pachniały mydłem i papierosowym dymem. Aleksander podniósł głowę. Dzieliła ich odległość dwóch, najwyżej trzech centymetrów. Wciągnęła powietrze, odetchnęła jego oddechem i nagle poczuła silne ukłucie w podbrzuszu.

– Szura – szepnęła – jestem taka szczęśliwa, że przyszedłeś…

Przechylił głowę i pocałował ją w usta. Mocno, głęboko. Puścił jej ręce, a ona objęła

go za szyję i przywarła do niego ze wszystkich sił. Całowali się jak w gorączce, całowali się tak gwałtownie, jakby lada chwila miało zabraknąć im tchu.

Ból, ten dziwny ból w podbrzuszu stał się nie do zniesienia i Tatiana jęknęła. Aleksander dotknął jej policzków.

– Tatiu, słodyczy ty moja – wymruczał. – Jesteś taka… taka… Nie wiem, co robić, nie wiem, co robić. Taniu… – Całował ją w usta, sunął po wargach językiem, całował ją w oczy, w policzki, w szyję, a ona pojękiwała z cicha, obejmując go i tuląc. Czuła, że płonie, że spala się od środka. Miał tak natarczywe usta, tak zachłannie ją całował, że nagle przestała oddychać i zaczęła osuwać się na poduszkę.

Podtrzymał ją. Delikatnie przesunął rękami po jej nagich plecach w miejscu, gdzie miała rozchyloną koszulę, i powoli rozwiązał tasiemki. Kompletnie ubrany, siedząc na brzegu łóżka, ostrożnie zsunął z niej koszulę i Tatiana poczuła się tak, jakby płynęła w powietrzu, jakby łagodnie opadała na poduszkę. Drżąc, cicho sapnęła.

Nie przestając jej obejmować i namiętnie szeptać, oderwał się od jej twarzy. Oczy płonęły mu jak latarnie.

– Taniu, jesteś… Dłużej tak nie mogę. Ilekroć cię widzę, tutaj, w domu czy na ulicy… Chłonę cię małymi dawkami, chłonę dużymi i wciąż mi mało… – Jego ręce spoczywały tuż nad górną krawędzią bandaża.

– Szura – wyszeptała z bolesną słabością w głosie. – Co się ze mną dzieje? Co mi jest?

Położył ręce na jej piersiach, zaczął delikatnie je uciskać, a potem rozłożonymi na płask dłońmi ostrożnie potarł jej sutki. Tatiana jęknęła. Potarł je mocniej, podniósł głowę i wymamrotał:

– Boże, jakaś ty piękna… – Nie przestając pieścić jej lewej piersi, nachylił się, przywarł wargami do prawej sutki i zaczął ją ssać. Potem ssał lewą. Patrzyła, jak to robi, czując, że dłużej tak nie wytrzyma. Objęła go za głowę, przyciągnęła do siebie jeszcze mocniej i jęknęła tak głośno, że zasłonił jej ręką usta.

– Ciii… – szepnął. – Ktoś usłyszy. – I cały czas pieścił jej pierś, cały czas wodził palcami wokół stwardniałej sutki. Tania jęknęła dwa razy głośniej niż poprzednio. Lekko docisnął rękę.

– Ciii… – powtórzył bez tchu.

– Szura, ja chyba umieram.

– Nie, Tatiu, nie umierasz.

– Tchnij na mnie, daj mi swój oddech…

Pocałowała go namiętnie, burząc mu włosy. Pieszczoty, natarczywy dotyk jego palców doprowadzały ją do obłędu. Czuła, że zaraz zemdleje, i jęknęła tak głośno, że tym razem Aleksander oderwał się od niej i odsunął. Siedziała w błękitnym świetle półnaga i półprzytomna, ciężko dysząc i patrząc mu prosto w oczy. Dłonie kurczowo zaciskała na prześcieradle.

– Taniu – szepnął, chłonąc ją z pełnym zadziwienia pożądaniem. – Masz siedemnaście lat. Jak to możliwe, że w tym wieku jesteś taka… taka niewinna?

– Przepraszam. Chciałabym umieć więcej.

Przysunął się bliżej, objął ją i mocno przytulił.

– Jak to?

– Chciałabym mieć więcej doświadczenia. Ja jeszcze…

– Żartujesz, prawda? – tchnął namiętnie w jej włosy. – Nie rozumiesz? To właśnie ta niewinność doprowadza mnie do szaleństwa. Czy ty tego nie widzisz?

Pogłaskał ją po nagich plecach.

– Tylko ciii… – szepnął, całując ją w szyję. – Nie jęcz, bo mnie aresztują.

Nie chciała, żeby przerywał, pragnęła, żeby robił to w nieskończoność, lecz nie miała odwagi go poprosić. Łagodnie pchnęła mu głowę w dół.

– Proszę… – Nic więcej nie zdołała wykrztusić.

Aleksander uśmiechnął się, wstał i podszedł do drzwi. Nie miały zamka. Wziął karabin i zablokował nim klamkę.

Wrócił do łóżka, ułożył Tanię na wznak, zasłonił jej usta i ssał sutki, dopóki omal nie zemdlała, jęcząc mu w dłoń, drżąc i wijąc się pod nim jak wąż.

– Boże – wydyszała, gdy wreszcie przestał. – Czy to już… koniec?

– Nigdy nie próbowałaś niczego więcej? – spytał zdyszany.

Spojrzała mu w oczy. Powiedzieć prawdę? Jakżeby mogła, przecież był mężczyzną. Zagryzła wargę i nie odpowiedziała.

Usiadł, objął ją i przytulił.

– Nigdy? Powiedz. Proszę. Muszę znać prawdę. Nigdy?

Nie chciała skłamać.

– Nie – szepnęła. – Nigdy.

Popatrzył na nią z rozbawieniem, smutkiem i pożądaniem.

– Och, Taniu… Co my zrobimy?

Ale Tania zapomniała o całym świecie. Mogła myśleć tylko o jednym.

– Szura… – Wzięła jego dłoń i przyłożyła ją sobie do piersi. – Szura, błagam…

Odsunął się powoli i położył ręce na kocu.

– Tu nie możemy.

– To gdzie?

Uciekł wzrokiem w bok.

Czuła, że on też nie wie.

– A ty? – spytała, gotowa się rozpłakać. – Nie chcesz dla siebie niczego więcej?

– Chryste, nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Ale czego? Powiedz tylko, co mam robić.

– A co proponujesz? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Nie wiem. – Nieśmiało dotknęła jego uda. – Ale zrobię wszystko. – Pocałowała go w szyję. – Wszystko. Powiedz tylko co, i to zrobię… – Przesunęła dłoń trochę wyżej. Drżały jej palce.

Teraz z kolei on jęknął i chwycił ją za rękę.

– Taniu, zaczekaj. Czy na pewno tego chcesz? Chcesz, żeby odbyło się to właśnie tak? Tutaj?

– Nie wiem – sapnęła, sunąc językiem po jego wargach. – Chcę tego samego co…

Nagle uchyliły się drzwi i do pokoju wpadła smuga jasnego światła.

– Tatiana? – Głos pielęgniarki z korytarza. – Dobrze się czujesz? Co się dzieje z tymi drzwiami?

Tania błyskawicznie naciągnęła koszulę. Aleksander zapalił światło, odblokował klamkę i otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku, siostro – powiedział głosem oschłym i oficjalnym. – Przyszedłem powiedzieć jej dobranoc.

– Dobranoc? – wykrzyknęła pielęgniarka. – Zwariowaliście, czy co? Jest czwarta rano! O czwartej rano nie ma żadnych odwiedzin!

– Nie zapominajcie się, towarzyszko – odparł Aleksander podniesionym głosem. – Jestem porucznikiem Armii Czerwonej.

Pielęgniarka nieco spotulniała.

– Słyszałam krzyk, myślałam, że ją boli.

– Nie, siostro – wychrypiała Tatiana. – My się tak… śmialiśmy.

– Właśnie zamierzałem wyjść.

– Wszystkich pacjentów pobudzicie.

– Dobranoc, Tatiano – rzucił Aleksander, świdrując ją wzrokiem. – Mam nadzieję, że wkrótce wydobrzejesz.

– Dziękuję, poruczniku. Proszę mnie jeszcze odwiedzić.

– Byle nie o czwartej rano – wymamrotała pielęgniarka, wchodząc do środka, żeby poprawić pościel. Gdy go minęła, Aleksander przytknął palce do ust i posłała Tani całusa. Potem wyszedł.

Tej nocy już nie spała. Ani w nocy, ani rano. Poprosiła Wierę, żeby ją wykąpała, i to dwa razy, poza tym cały czas obsesyjnie szorowała zęby i język, żeby mieć pachnący oddech. Nic nie jadła – piła tylko wodę – ale po południu, głodna i kompletnie rozkojarzona, skubnęła trochę chleba z obiadu.

Myślała, że zadręczą ją wyrzuty sumienia, że nie poradzi sobie sama ze sobą. Ale nie. Cały czas, minuta po minucie, odtwarzała w pamięci to, co czuła, gdy Aleksander całował ją w usta, gdy pieścił jej piersi.

Nigdy dotąd czegoś takiego nie zaznała.

Chodziła do szkoły, mieszkała przy Piątej Radzieckiej, jeździła do Ługi. Miała wielu przyjaciół, a podczas letnich wakacji przeżyła wiele zwariowanych przygód. W Ludze pożegnała się z dzieciństwem, lecz i wtedy, i zawsze potem towarzyszył jej Pasza. Nie odstępował jej na krok, bawił się z nią, po prostu z nią był.

Nie, żeby od czasu do czasu nie dostrzegała tego, co podświadomie dostrzega każda dziewczyna w jej wieku. Ot, choćby kolegów Paszy, którzy za długo się jej przypatrywali czy stawali za blisko niej. Rzecz w tym, że ona nigdy nie patrzyła zbyt długo na nich. Ani na nich, ani na nikogo.

Dopóki nie spotkała Aleksandra.

Był dla niej czymś zupełnie nowym. Czymś transcendentnym i odwiecznym. Początkowo myślała, że ich zażyłość jest rezultatem tego, co dobrze rozumiała: współczucia, empatii, czułości i przyjaźni, że są dwojgiem ludzi, którzy do siebie pasują. Którzy odczuwając potrzebę bliskości, muszą siedzieć obok siebie w tramwaju, muszą na siebie wpadać i wzajemnie się rozśmieszać. Którzy potrzebują szczęścia i młodości.

Jednakże teraz nie mogła uwierzyć, że tak bardzo go pożąda, że pożąda go z wprost nadprzyrodzoną siłą. Że pożądanie to aż ją dławi. Nie potrafiła tego zrozumieć. Dziwne pulsowanie w podbrzuszu dręczyło ją cały dzień, gdy się kąpała, gdy myła zęby i gdy szczotkowała włosy.

Tego wieczoru pożyczyła od Wiery szminkę do ust.

Kiedy tylko przyszli, Dasza, Aleksander i Dmitrij, Dasza spojrzała na nią i uniosła brwi.

– Nigdy dotąd się nie malowałaś. Coś takiego! – Powiedziała to tak, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że siostra ma usta.

Dmitrij usiadł na brzegu łóżka.

– Właśnie – rzucił z uśmiechem. – Dziwne, prawda?

Tylko Aleksander milczał. Nie wiedziała, jaką ma minę, ponieważ bała się podnieść wzrok. Zrozumiała, że jedną z konsekwencji poprzedniej nocy będzie to, że już nigdy nie śmie spojrzeć na niego w towarzystwie innych.

Zostali bardzo krótko. Aleksander się spieszył.

Siedziała jak sparaliżowana do chwili, gdy ktoś zapukał do drzwi i ponownie wszedł do pokoju. Wówczas zesztywniała jeszcze bardziej.

Aleksander podszedł do łóżka długim, zdecydowanym krokiem, usiadł i czułym, władczym ruchem starł jej szminkę z ust.

– Co to jest? – spytał.

– Wszystkie dziewczęta się malują – odrzekła bez tchu, ocierając wargi. – Nawet Dasza.

– Ale ty nie musisz. – Pogłaskał ją po policzku. – Masz śliczną twarz, nie szpeć jej szminką.

– Dobrze. – Czekała. Złożyła głowę na poduszce i z nadzieją podniosła wzrok. Tak bardzo chciała podać mu usta…

Lecz on wciąż milczał.

– Taniu – zaczął w końcu z ciężkim westchnieniem. – Dzisiaj w nocy…

Tania mimo woli jęknęła.

– Widzisz? – Natychmiast złagodniały mu oczy. – Właśnie tego nie możesz robić.

– Dobrze. – Chwyciła go za rękaw i przesunęła palcami po jego ustach. – Szura…

Odsunął się i wstał. Oczy miał ciemne i poważne. Tatiana patrzyła na niego, nie potrafiąc ukryć zdumienia. – Przepraszam cię, Taniu – rzekł chłodno. – Za tę noc. Za dużo wypiłem, wykorzystałem cię…

– Nie, to nieprawda.

– Prawda. Popełniłem straszny błąd. Nie powinienem był tu przychodzić.

Odebrało jej mowę. Zdołała tylko pokręcić głową.

– Boże, Taniu, ja wiem… – Boleśnie wykrzywił twarz. – Ale nie można tak żyć. Bo gdzie byśmy…

– Tutaj. – Spąsowiała i spuściła oczy.

Weszła pielęgniarka. Łypnęła spode łba na Aleksandra i spytała, czy wszystko w porządku. Milczeli, dopóki nie wyszła.

– Tutaj? – szepnął. – Z pielęgniarkami na korytarzu? Piętnaście minut w dzikim pośpiechu? Na pewno tego chcesz?

Tatiana nie odpowiedziała. Była tak podniecona, że chętnie spędziłaby z nim pięć minut, gdyby nawet pielęgniarka stała tuż za drzwiami. Zwiesiła głowę.

Aleksander ciężko westchnął.

– Dobrze, a potem? Co będziemy z tego mieli? Ty. I ja.

– Nie wiem. – Zagryzła wargę, żeby się nie rozpłakać. – A co mają z tego inni?

– Inni robią to przy ścianie w ciemnym zaułku! – wykrzyknął. – Albo w parku na ławce. Albo w koszarach! Albo na sofie rodziców! Nie każdy sypia w jednym łóżku z Daszą! Nie każdy ma Dmitrija! – Wbił wzrok w podłogę. – I nie wszystkie są takie jak ty, Taniu.

Odwróciła głowę.

– Zasługujesz na coś lepszego – dodał.

Nie chciała, żeby widział jej łzy.

– Przyszedłem cię przeprosić. To się już nie powtórzy.

Zadrżała i zamknęła oczy. Przez chwilę czuła się jak ślepa.

– Dobrze.

Obszedł łóżko i stanął tuż przed nią. Nie odłożył nawet karabinu. Tatiana otarła policzki.

– Nie płacz. Proszę, nie płacz. W nocy byłem gotowy poświęcić wszystko, łącznie z tobą, żeby tylko zaspokoić żądzę, która trawi mnie, odkąd cię spotkałem. Na szczęście czuwał nad tobą Bóg i Bóg nas powstrzymał. Przede wszystkim powstrzymał mnie i kiedy nastał świt, przejrzałem na oczy, ale… – Urwał. – Ale nadal cię pragnę. – Patrząc na karabin, głęboko odetchnął.

Tatiana straciła głos.

– Ty i ja… – Aleksander pokręcił głową. – Ale teraz już za późno.

Przewróciła się na plecy i zasłoniła ręką twarz. Za późno. Czas, miejsce, życie.

– Nie mogłeś pomyśleć o tym, zanim tu przyszedłeś? – spytała. – Nie mogliśmy porozmawiać wczoraj albo przedwczoraj?

– Nie mogę bez ciebie. Wczoraj byłem pijany, dzisiaj jestem trzeźwy. Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

Łzy nie pozwoliły jej odpowiedzieć.

Aleksander wyszedł, ani razu jej nie dotknąwszy.

3

Ługę spalili, Tołmaczewo padło, a żołnierze feldmarszałka von Leeba przecięli linię kolejową Kingisepp-Gatczyna. Mimo wysiłku setek tysięcy ochotników kopiących okopy pod ogniem z moździerzy, Rosjanie nie utrzymali ani jednego odcinka frontu. Mimo rozkazu, żeby za wszelką cenę bronić kolei, kolej przeszła w ręce Niemców.

Tatiana wciąż leżała w szpitalu. Nie mogła stać na złamanej nodze ani chodzić o kulach. Ilekroć zamknęła oczy, widziała tylko Aleksandra.

Nie mogła wyzbyć się smutku i bólu. Nie mogła zdusić trawiącego ją ognia.

W połowie sierpnia, na kilka dni przed powrotem do domu, dziadek i babcia przyszli powiedzieć jej, że wyjeżdżają z Leningradu.

– Tanieczko – zaczęła babcia. – Jesteśmy za starzy, żeby siedzieć w mieście podczas wojny. Nie przetrwamy ani bombardowań, ani walk, ani oblężenia. Twój ojciec chce, żebyśmy wyjechali. I ma rację, musimy wyjechać. Lepiej nam będzie w Mołotowie. Dziadek dostał dobrą pracę, a latem…

– A Dasza? – przerwała jej z nadzieją Tatiana. – Jedzie z wami, tak?

Dziadek powiedział, że Dasza nie chce zostawiać siostry.

To nie mnie nie chce zostawiać, pomyślała Tania. Nie mnie.

Dziadek dodał, że kiedy zdejmą jej gips, ona, Dasza, a może nawet i Marina też ewakuują się do Mołotowa, zakładając, oczywiście, że do tego czasu Niemcy nie okrążą Leningradu.

– Z nogą w gipsie nie dałabyś rady, duszyczko.

Tak, pomyślała Tatiana. Bez Aleksandra, który poniósłby mnie na plecach, na pewno nie dałabym rady.

– Więc Marina na razie zostaje?

– Tak – odrzekł dziadek. – Ciocia Rita bardzo choruje, a wujek Borys jest w Iżorsku. Spytaliśmy ją, czy chce jechać z nami, ale powiedziała, że nie. Nie chce zostawiać matki w szpitalu i ojca, który szykuje się do walki z Niemcami.

Ojciec Mariny, Borys Razin, był inżynierem i pracował w fabryce bardzo podobnej do Zakładów Kirowa. Oni też robili czołgi, pociski i katiusze, a po pracy przygotowywali się do walki.

– Powinna z wami jechać – powiedziała Tatiana. – Ona… – Szukała w miarę delikatnych słów. – Ona źle znosi napięcie.

– Tak, wiemy – odparł dziadek. – Jest tak jak zawsze: zwycięża miłość i więzy rodzinne. Na szczęście my, ja i babcia, dźwigamy te więzy ze sobą. – Uśmiechnął się do żony. – Więzy, a może raczej łańcuchy.

– Pamiętaj, Tanieczko – powiedziała babcia, poklepując ją po zdrowej nodze. – Dziadek i ja bardzo cię kochamy. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, babciu, wiem.

– Kiedy przyjedziesz do Mołotowa, przedstawię cię mojej przyjaciółce Dusi. Jest bardzo stara i bardzo religijna i na pewno ci się spodoba.

– Świetnie – wymamrotała Tania ze słabym uśmiechem.

Dziadek pocałował ją w czoło.

– Czekają nas ciężkie dni. Zwłaszcza ciebie, Taniu. Ciebie i Daszę. Teraz, kiedy Paszy

już nie ma, rodzice potrzebują was bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Dla wszystkich nadejdzie czas wielkiej próby. Będzie obowiązywała tylko jedna zasada: zasada przetrwania za wszelką cenę. I to wy zdecydujecie, jaką cenę warto za przetrwanie zapłacić. Zawsze chodź z wysoko uniesionym czołem, a jeśli przyjdzie ci zginąć, giń pewna, że nie zszargałaś duszy.

Babcia pociągnęła go za rękaw.

– Dość, wystarczy. Tanieczko, zapomnij o duszy i zrób wszystko, żeby przeżyć. W przyszłym miesiącu czekamy na was w Mołotowie.

– Taniu – dodał dziadek, obejmując ją i tuląc na pożegnanie. – Pamiętaj, zawsze idź za głosem serca. Słyszysz?

– Tak, dziadku, głośno i wyraźnie.

Wieczorem, gdy przyszła Dasza z Aleksandrem i Dmitrijem, Tania wspomniała, że dziadek zaprasza je do Mołotowa, że muszą tylko zaczekać do września, aż zdejmą jej gips.

– To niemożliwe – odrzekł Aleksander. – We wrześniu nie będzie już pociągów.

Jak zwykle trzymał się na uboczu i unikał bezpośredniej rozmowy z Tatianą.

Tatiana chciałaby mu odpowiedzieć, ale nie mogła, gdyż wciąż przeżywała burzę uczuć. Nie ufała swojej twarzy, nie ufała głosowi i oczom. Dlatego jak zwykle milczała, unikając jego wzroku. Dmitrij usiadł tuż przy niej.

– Jak to nie będzie? – spytała Dasza.

– Po prostu nie będzie – powtórzył Aleksander. – Były w czerwcu, kiedy mogłyście wyjechać, były i w lipcu, ale w lipcu Tania złamała nogę. We wrześniu, kiedy zdejmą jej gips, z Leningradu nie wyjedzie ani jeden pociąg, chyba że zanim Niemcy dotrą do Mgi, zdarzy się cud.

– Jaki cud? – spytała z nadzieją Dasza.

– Bezwarunkowa kapitulacja Niemiec – odparł oschle Aleksander. – Strata Ługi przypieczętowała nasz los. Na pewno spróbujemy powstrzymać ich w Mdze, głównym węźle kolejowym, skąd prowadzi droga do reszty Związku Radzieckiego. Otrzymaliśmy rozkaz: utrzymać Mgę za wszelką cenę i bez względu na okoliczności. Oddawanie linii kolejowych Niemcom jest teraz przestępstwem. – Uśmiechnął się lekko. – Ale ja zawsze miałem niezwykłą zdolność przepowiadania przyszłości i wiem, że do przestępstwa dojdzie, i że we wrześniu nie wyjedzie stąd ani jeden pociąg.

W jego pozornie obojętnym głosie Tatiana usłyszała ukryty wyrzut. *Taniu, mówiłem ci, żebyś wyjechała z tego przeklętego miasta, ale nie chciałaś mnie słuchać. A teraz złamałaś nogę i wszystko przepadło.*

4

Życie w szpitalu było radosne w porównaniu z tym, co czekało ją po powrocie do domu.

Gdy wkuśtykała do mieszkania – z trudem, o kulach – okazało się, że Dasza gotuje obiad dla Aleksandra, że uszczęśliwiony Aleksander siedzi za stołem i je, że żartuje z mamą, rozmawia o polityce z tatą, że pali i że wcale nie zamierza wyjść. Nie wychodził i nie wychodził.

I nie wychodził.

Tatiana skubała obiad niczym przejedzona mysz.

Kiedy on wreszcie wyjdzie? Robi się późno. Nie mają tam capstrzyku czy co?

– Dmitrij, o której jest capstrzyk?

– O jedenastej, ale Aleksander ma dzisiaj wolne.

Ach tak.

– Słyszałaś? – spytała z uśmiechem Dasza. – Mama i tata śpią teraz u dziadków. Mamy dla siebie cały pokój. Wspaniale, prawda?

W jej głosie było coś dziwnego. Coś, co się Tani bardzo nie podobało.

– Tak. – Kiedy ten Aleksander stąd wyjdzie?

Dmitrij wrócił do koszar. Kilka minut przed jedenastą mama i tata zaczęli zbierać się do wyjścia. Mama wzięła Daszę pod rękę i szepnęła:

– On nie może zostać na noc, słyszysz? Ojciec dostanie szału. Zabije i jego, i ciebie.

– Dobrze, mamo. Niedługo wyjdzie, obiecuję.

Akurat, pomyślała Tania.

Kiedy rodzice poszli spać, Dasza odciągnęła ją na bok.

– Taniu, mogłabyś pójść na dach pobawić się z Antonem? Tak cię proszę. Chcę pobyć godzinkę z Aleksandrem. W pokoju, Tanieczko, w prawdziwym pokoju!

Tatiana zostawiła ich samych. W prawdziwym pokoju. W swoim pokoju.

Wyszła do kuchni i zwymiotowała do zlewu. Głowę rozsadzał jej wywołujący mdłości jazgot, który nie ustał nawet wówczas, gdy poszła na dach posiedzieć z Antonem. Anton był kiepskim obserwatorem, bo najzwyczajniej w świecie spał. Na szczęście bombowce nie nadleciały i nad miastem panowała cisza. Nie słychać było nic, żadnych odgłosów wojny. Tatiana przesypywała piasek w wiadrze i płakała.

To przeze mnie, myślała. Wszystko przeze mnie. Wzdrygnęła się i głośno roześmiała. Anton wymamrotał coś przez sen. Zrobiłam to sama sobie, to tylko moja wina.

Gdyby nie postanowiła szukać Paszy, gdyby nie wstąpiła do Ochotniczej Armii Pospolitego Ruszenia, gdyby nie pojechała Bóg wie dokąd, gdyby Niemcy nie zbombardowali dworca i gdyby nie złamała nogi, Dasza wyjechałaby z dziadkami do Mołotowa i w ich mieszkaniu nie działyby się teraz te potworności. Te niewyobrażalne potworności.

Siedziała na dachu do chwili, gdy jakiś czas potem Dasza kazała jej iść spać.

Nazajutrz wieczorem mama powiedziała, że ponieważ Tatiana siedzi cały dzień w domu i nic nie robi, mogłaby przynajmniej gotować.

Odkąd tylko Tania sięgała pamięcią, zawsze gotowała babcia Anna, która była na utrzymaniu męża, czyli dziadka. W soboty i niedziele gotowała mama, czasami gotował

też dziadek. W święta, takie jak Nowy Rok, gotowali wszyscy, to znaczy, wszyscy z wyjątkiem Tani, która zmywała naczynia i szorowała garnki.

– Chętnie, mamo – odrzekła – ale ja nie umiem.

– To nic trudnego – prychnęła Dasza.

– Właśnie, Taniu – wtrącił z uśmiechem Aleksander – to nic trudnego. Zrób nam pyszny pieróg z kapustą.

Czemu nie, pomyślała Tatiana; nogę miała chorą, ale mogła zająć czymś ręce. Postanowiła spróbować. Nie mogła cały dzień siedzieć i czytać, nawet jeśli czytała rozmówki angielsko-rosyjskie. Albo „Wojnę i pokój". Nie mogła siedzieć i cały czas myśleć o Aleksandrze.

Od chodzenia o kulach bolały ją żebra, więc przestała ich używać; to znaczy kul, nie żeber. Do sklepu pokuśtykała, wspierając się na chorej nodze. Pieróg z kapustą: jej pierwsza, samodzielnie przyrządzona potrawa. Chciałaby zrobić też pieróg z grzybami, ale w sklepie nie było grzybów.

Ciasto wyrosło dopiero przy trzeciej próbie, po pięciu godzinach pracy. Do pieroga ugotowała rosół.

Aleksander przyszedł na kolację z Dmitrijem. Tania miała straszną tremę – nie wiedziała, czy będzie mu smakowało – i spytała, czy aby na pewno nie chcą zjeść w koszarach.

– Absolutnie nie – droczył się z nią Aleksander. – Mielibyśmy przepuścić tak smakowitą okazję?

Dmitrij tylko się uśmiechnął.

Jedli, pili, rozmawiali o wydarzeniach dnia, o wojnie, o ewakuacji, o tym, że jest jeszcze nadzieja na powrót Paszy, i nagle tata powiedział:

– Taniu, to jest trochę za słone.

– Nie, nie – wymlaskała mama. – Po prostu ciasto nie wyrosło. I za dużo cebuli. A kapusta jest bez smaku. Dlaczego jej nie przyprawiłaś?

– Następnym razem dłużej gotuj marchewkę w rosole – wtrąciła Dasza. – I dodaj listek bobkowy. Zapomniałaś o listku.

– Jak na pierwszy raz, pieróg jest całkiem smaczny – powiedział z uśmiechem Dmitrij.

Aleksander podał Tani swój talerz i rzekł:

– Pyszny. Czy mógłbym prosić o dokładkę? I o jeszcze jeden talerz rosołu?

Po kolacji Dasza odciągnęła ją na bok.

– Mogłabyś pójść z Dmitrijem na dach? – szepnęła błagalnie. – Tylko na trochę, oni zaraz wychodzą…

Tania wiedziała, że na dachu zawsze są dzieci, i że nie zostanie z nim sam na sam.

Ale Dasza znowu miała zostać sam na sam z Aleksandrem.

Musiała przestać ich widywać, jego i ją. Jego nie chciała widzieć już nigdy w życiu, jej przez dwa tygodnie. Za dwa tygodnie skończy się lato, a wraz z latem zauroczenie Daszy Aleksandrem. Na pewno. Leningradzka zima ostudzi każde uczucie.

Ale jak to? Nie widywać Aleksandra? Mogła okłamywać innych, ale nie siebie. Wstrzymywała oddech cały dzień, do chwili, gdy słyszała jego kroki w korytarzu. Od dwóch dni przystawał przed jej drzwiami, uśmiechał się i mówił:

– Cześć, Taniu.

– Cześć – odpowiadała, czerwieniąc się jak burak i wbijając wzrok we własne buty; ilekroć patrzyła mu w oczy, coś w niej dygotało.

A potem uciekała.

A jeszcze potem Dasza brała ją na stronę i szeptała.

Była gotowa zrobić wszystko, żeby o nim zapomnieć. Od początku wiedziała, że tak trzeba, i mocno zaciskała zęby, żeby nie zmienić zdania.

Tylko dlaczego wieczór w wieczór musiała oglądać jego twarz?

W miarę upływu dni zdała sobie sprawę, że jest za młoda, żeby ukryć to, co ma w sercu, lecz wystarczająco dorosła, by wiedzieć, że zdradzają ją oczy.

Bała się, że zerknie na niego, i że zobaczy to Dmitrij, który pomyśli: zaraz, dlaczego ona patrzy na niego, zamiast na mnie? Albo co gorsze: co ona ma w tych oczach? Albo jeszcze gorzej: dlaczego odwraca wzrok? Dlaczego nie patrzy na niego jak inni? Jak ja patrzę na Daszę, jak Dasza patrzy na mnie?

Tak więc zdradzało ją to, że na niego patrzyła, ale chyba jeszcze bardziej to, że na niego nie patrzyła. Obłęd.

A Dmitrij wszystko to widział. Ilekroć zerkała na Aleksandra, ilekroć odwracała wzrok, wodził oczami to za nim, to za nią.

Aleksander był starszy. Umiał się lepiej maskować.

Przez większość czasu traktował ją tak, jakby poznali się poprzedniego dnia, tego dnia, o północy, przed godziną. Może była to godzina pijana, a już na pewno okopcona papierosowym dymem, ale potrafił przynajmniej zachowywać się tak, jakby Tania nic dla niego nie znaczyła. I jakby on nic nie znaczył dla niej.

Jak on to robi?

Jak ukrywa ich wieczorne spacery, nieśmiały dotyk ramion? Jak ukrywa to, czym wypełnił jej życie? Te natarczywe ręce na jej piersiach, usta na jej ustach, wszystko to, co jej mówił. Jak ukrywa przed nimi to, co zdarzyło się w Łudze? Tam, w Łudze, gdy obmywał jej zakrwawione ciało, gdy leżała przy nim nago, gdy całował ją we włosy, tulił czułymi ramionami, gdy tak mocno biło mu serce. I jak potrafi zapanować nad swoimi oczami? Bo gdy byli sami, patrzył na nią tak, jakby świata poza nią nie widział.

Kłamał?

Wtedy?

Czy teraz?

Może właśnie tak postępują dorośli. Najpierw całują piersi dziewczyny, a potem udają, że nic się nie stało. I jeśli udają dobrze, oznacza to, że są naprawdę dorośli.

A może całowanie piersi nic nie znaczy?

Nie, jak to możliwe? Dotykać kogoś w ten sposób i twierdzić, że to nic?

A może to kolejna oznaka dorosłości?

Ilekroć wspominała, jak ją pieścił, czuła się poniżona. Zbita z tropu, myślała: jak to? Całował mnie, a teraz prawie się do mnie nie odzywa?

Spuszczała głowę, pragnąc, żeby zniknęli, żeby przepadli raz na zawsze. Ale od czasu do czasu, kiedy Aleksander siedział przy stole, kiedy wszyscy rozmawiali, a ona przynosiła lub wynosiła do kuchni szklanki, widziała, że ukradkiem na nią zerka, że patrzy na nią tak jak kiedyś.

Najczęściej jednak wymieniali nic nie znaczące gesty. Otwierał drzwi, przepuszczał ją przodem, a wówczas lekko ocierała się o niego ramieniem i żyła tym do końca dnia. Albo podawała mu szklankę herbaty i czubkami palców – przypadkowo? – dotykała jego palców, po czym rozmyślała o tym przez całą noc. Do następnego spotkania. Do chwili, gdy znowu mogła się o niego otrzeć. Do kolejnego: „Cześć, Taniu”. Ale raz, kiedy Dmitrij już wszedł, kiedy szeroko uśmiechnięta Dasza pobiegła do kuchni, Aleksander

powiedział:

– Witaj, Taniu! Wróciłem.

Bardzo ją to rozbawiło i wbrew sobie miała ochotę wybuchnąć śmiechem. A spojrzawszy na niego, stwierdziła, że on też się bezgłośnie śmieje.

Pewnego wieczoru spróbował jej blinów z serem i oznajmił:

– Taniu, przeszłaś samą siebie.

Poprawiło jej to humor, ale już po chwili Dasza pocałowała go i powiedziała:

– Tanieczko, niebiosa cię nam zesłały.

Tania nawet się nie uśmiechnęła, lecz nagle zobaczyła, że obserwuje ją Dmitrij, więc czym prędzej wykrzywiła usta w uśmiechu, wiedząc, że znowu się zgapiła. Nieco później, gdy Dasza i Aleksander usiedli razem na sofie, Dima powiedział:

– Daszo, muszę przyznać, że nigdy dotąd nie widziałem, żeby Aleks był z kimś tak szczęśliwy jak z tobą.

I znowu wszyscy się uśmiechnęli, łącznie z Aleksandrem, który nawet nie zerknął na smutną Tanię. Tak, pomyślała ponuro, przechwytując spojrzenie Dmitrija. I podziękujcie za to mnie.

Nauczyła się gotować inne potrawy i piec słodkie ciasto, ponieważ wiedziała, że Aleksander je lubi. Pochłaniał wszystko za jednym posiedzeniem, a potem pił herbatę i palił papierosa.

– Wiesz, co jeszcze lubię? – spytał pewnego razu.

Zamarło jej serce.

– Placki ziemniaczane.

– Nie umiem robić placków.

Chryste, gdzie byli tamci? Mama i tata odpoczywali w pokoju dziadków. Dasza wyszła do łazienki. Aleksander uśmiechnął się, natychmiast uśmiechnęła się i ona.

– To nic trudnego. Wystarczy trochę ziemniaków, mąka, cebula. Sól.

– Czy to z…

W tym samym momencie wróciła Dasza.

Nazajutrz Tatiana usmażyła placki. Polała je śmietaną, a oni pochłonęli je, twierdząc, że nigdy dotąd nie jedli czegoś równie pysznego.

– Gdzieś ty się tego nauczyła? – spytała Dasza.

Szybko odkryła, że jedyną przyjemnością, jakiej może zaznać podczas tych długich dni, jest dokarmianie Aleksandra. Była to przyjemność bardzo intensywna i bynajmniej nie zakłócona smutkiem, który dręczył ją, zanim rodzina wróciła do domu, zanim znowu mogła zobaczyć jego twarz. Ale już podczas kolacji zaczynały zbierać się chmury, a po kolacji zawsze było tak samo: Aleksander wracał do koszar – co bardzo przeżywała – albo zostawał sam na sam z Daszą, co przeżywała jeszcze bardziej.

Gdzie się spotykali, kiedy nie mieli tego przeklętego pokoju? Tam, w szpitalu, Aleksander opowiadał jej o zaułkach i ławkach w parku, ale się na tym nie znała. Jak zawsze nadopiekuńcza Dasza nigdy z nią o tym nie rozmawiała. Dasza nie rozmawiała z nią o niczym.

Nikt z nią o niczym nie rozmawiał.

Nigdy nie widywała Aleksandra samego.

A on wszystko przed nią ukrywał.

Ale któregoś wieczoru, kiedy wszyscy poszli na dach, Anton zaproponował Tani ich zwariowaną grę w kierunki i państwa. Tatiana powiedziała, że z nogą w gipsie nie może

się obracać.

– Spróbuj – namawiał Anton. – Podtrzymam cię.

– Dobrze – odrzekła, pragnąc, żeby choć trochę zakręciło jej się w głowie. Zamknęła oczy i zaczęła podskakiwać niezdarnie na zdrowej nodze. Anton podtrzymywał ją przyjacielskim ramieniem i zanosił się śmiechem, bo nie potrafiła odgadnąć ani jednego państwa, a kiedy wreszcie otworzyła oczy, ujrzała Aleksandra. Patrzył na nią z tak posępną miną, że zabrakło jej tchu, że znowu rozbolały ją żebra. Usiadła obok Dmitrija, myśląc, że nawet dorośli nie potrafią ukryć wszystkiego.

– Świetna zabawa. – Dima objął ją za ramię.

– Taniu – rzuciła Dasza – czy ty kiedykolwiek dorośniesz?

Aleksander nie powiedział nic.

Ze wszystkich dobrodziejstw, jakimi niechętnie obdarzał ją los, najbardziej cieszyła się z tego, że dzięki złamanej nodze nie musi chodzić na spacery z Dmitrijem. Cieszyła się również i z tego, że w domu zawsze jest pełno ludzi, dzięki czemu nie musi zostawać z nim sam na sam. Jednakże kiedy zeszli z dachu, ogarnięta paniką stwierdziła, że tym razem to rodzice wyszli na spacer, i że oba pokoje są wolne.

Dmitrij uśmiechnął się znacząco i znacząco musnął ramieniem jej ramię. Dasza uśmiechnęła się do Aleksandra i spytała:

– Zmęczony?

Tatiana omal nie zemdlała.

Z opresji wybawił ją nie kto inny jak sam Aleksander.

– Nie – odrzekł. – Ale musimy już wracać. Chodź, Dima.

Nie odrywając wzroku od Tatiany, Dmitrij powiedział, że on wracać nie musi.

– Musisz, musisz – odparł Aleksander. – Porucznik Marazow chce nas widzieć przed capstrzykiem. Chodźmy.

Tatiana była mu wdzięczna, chociaż czuła się po trosze tak, jakby Niemcy obcięli jej nogi, twierdząc, że powinna podziękować im za to, że jej nie zabili.

Kiedy rodzice wrócili ze spaceru, poprosiła ich cicho, żeby nigdy, przenigdy nie wychodzili wieczorem z domu. Nawet jeśli będzie gorąco i zechcą się napić zimnego piwa.

Za dnia powoli obchodziła najbliższe sklepy w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Zauważyła, że zaczyna brakować wołowiny i wieprzowiny. Mieli przydział na dwieście pięćdziesiąt gramów mięsa tygodniowo na osobę, ale nie mogła kupić nawet tego. Od czasu do czasu udawało jej się wystać kurczaka.

Kapusty, jabłek, ziemniaków, cebuli i marchwi wciąż było pod dostatkiem. Ale już z masłem bywało gorzej. Drożdżowe ciasto „siadało” i pieróg był niesmaczny, chociaż Aleksander nadal prosił o dokładkę. Zwykle znajdywała tylko mąkę, jaja i mleko. Nie mogła dużo kupić, nie mogła dużo nosić. Najczęściej kupowała tylko tyle, żeby starczyło na kolację. Wracała do domu, ucinała sobie krótką drzemkę, uczyła się angielskich słówek, a potem włączała radio.

Radia słuchała codziennie, ponieważ wróciwszy z pracy, ojciec zadawał jej zawsze to samo pytanie: „Czy są jakieś wiadomości z frontu?”. Było to pytanie numer dwa. Pytanie numer jeden brzmiało podobnie, choć zupełnie inaczej: „Są jakieś wiadomości?”. Tyle. Wiedziała, o co mu chodzi. Chodziło o Paszę.

Dlatego czuła się w obowiązku włączać radio. Pozycje Armii Czerwonej, pozycje wojsk feldmarszałka von Leeba – nie chciała tego słuchać. Ale tak, bywało, że

wiadomości podnosiły ją na duchu. Nawet kolejne zwycięstwa Hitlera były lepsze od wewnętrznej szarpaniny, którą przeżywała. Włączała radio z nadzieją, że beznadziejność sytuacji na froncie choć trochę ją rozweseli.

Wiedziała, że jeśli spiker zacznie odczytywać listę wolnych częstotliwości, w kraju nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Zwykle przekazywał jakieś wiadomości, ale tuż przedtem z głośnika dochodziła seria dziwnych pisków i trzasków. Ratta-tat-tat – brzmiało to jak stukot maszyny do pisania. Dziennik trwał ledwie kilka sekund. Ot, dwa, trzy zdania na temat fińsko-rosyjskiego frontu.

„Armia fińska szybko odzyskuje ziemie utracone podczas wojny w tysiąc dziewięćset czterdziestym".

„Finowie są coraz bliżej Leningradu".

„Finowie są na Lisim Nosie, zaledwie dwadzieścia kilometrów od granic miasta".

Potem było o Niemcach. Spiker czytał powoli, bardzo powoli, żeby słuchacze mieli wrażenie, że jakieś wiadomości są, chociaż ich nie było.

Kiedy po raz kolejny wymienił listę miast leżących na południe od Leningradu, które wpadły w ręce Niemców, musiała wstać i otworzyć mapę.

Kiedy stwierdziła, że wśród zajętych miejscowości jest Carskie Sioło, doznała tak wielkiego wstrząsu, że na chwilę zapomniała o Aleksandrze. Przecież Carskie Sioło, myślała, to letni pałac carów, tak samo jak Peterhof, miejsce, gdzie pisał Puszkin. Ale nie, najgorsze jest to, że Carskie Sioło leży tylko dziesięć kilometrów na południe od Zakładów Kirowa, dziesięć kilometrów na południe od Leningradu!

Niemcy dotarli aż tam?

– Tak – odrzekł Aleksander. – Są bardzo blisko.

Kiedy była w Łudze i kiedy leżała w szpitalu, miasto bardzo się zmieniło. Złote wieżyce Admiralicji i soboru Piotra i Pawła pomalowano na szaro. Po wszystkich ulicach krążyli żołnierze, a jeszcze bardziej rzucały się w oczy granatowe mundury tych z NKWD. Wszystkie okna były oklejone papierem, przechodnie chodzili szybko i zdecydowanym krokiem. Tatiana często siadywała na ławce naprzeciw cerkwi i obserwowała ludzi i niebo. Po niebie pływały wszechobecne balony zaporowe, niektóre okrągłe, inne owalne. Racje żywnościowe były coraz bardziej skąpe, chociaż wciąż udawało jej się zdobyć mąkę na pieróg z grzybami czy z kapustą. Przychodząc na kolację, Aleksander często przynosił im jedzenie. W sklepach bywały jeszcze kury na rosół, ale dodać do rosołu można było tylko marchewkę. Liści bobkowych już nie było.

Dmitrij wyciągnął ją na dach; Dasza i Aleksander zostali na dole sami. Dima objął ją i powiedział:

– Taniu, tak mi smutno. Jak długo mam czekać? Może dzisiaj pozwolisz mi na coś więcej?

– Co ci jest? – spytała, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Pociesz mnie trochę. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek, próbując przywrzeć ustami do jej warg. W tym, że jej dotykał, było coś nienaturalnego. Nie wiedziała dlaczego.

– Przestań, Dima. – Odsunęła się lekko i skinęła na Antona, który podbiegł bliżej i gawędził z nią, dopóki Dmitrij nie miał tego dość i sobie nie poszedł.

– Dzięki.

– Zawsze do usług – odrzekł Anton. – Dlaczego mu nie powiesz, żeby wreszcie się od ciebie odczepił?

– Nie uwierzysz, ale im częściej mu to mówię, tym częściej do mnie przychodzi.

– Starsi faceci tacy już są – powiedział Anton z miną człowieka doświadczonego. – Czy ty nic nie rozumiesz? Pofolguj mu trochę, to cię zostawi! – I wybuchnął śmiechem.

Tania też się roześmiała.

– Chyba masz rację. Starsi tacy już są.

Grała z Dmitrijem w karty, czytała mu książki, opowiadała kawały, poiła go wódką. Szczególnie upodobała sobie wódkę, ponieważ Dima za dużo pił i szybko zasypiał na sofie w korytarzu. Brała wtedy sweter babci, szła na dach, siedziała z Antonem, myślała o Paszy i o Aleksandrze.

Zabijali razem czas, ona i Anton. Opowiadali sobie kawały, czytali Zoszczenkę, „Wojnę i pokój", patrzyli w niebo, zastanawiali się, kiedy Niemcy dotrą do Leningradu.

I jak długo to wszystko jeszcze potrwa.

A kiedy dzieci szły spać, zapalała lampę naftową, otwierała angielski słownik i rozmówki i zaczynała powtarzać słówka. *Pen. Table. Love. The United States of America. Potato pancakes* – umiała ich bardzo dużo. Tak by chciała zostać na dwie minuty sam na sam z Aleksandrem i powiedzieć mu, jakich zabawnych zwrotów się nauczyła.

Którejś nocy, kiedy Anton zasnął na dachu tuż obok niej, próbowała wymyślić sposób naprawienia swego życia.

Przecież kiedyś wszystko było dobrze, tak dobrze jak to tylko możliwe. I nagle, po dwudziestym drugim czerwca, rozpętało się piekło, ponure i złowieszcze, piekło, które zdawało się nie mieć końca. Chociaż nie zawsze tak było.

Wieczornej godziny z Aleksandrem brakowało jej bardziej, niż chciała przyznać to przed samą sobą. Godziny, kiedy po wyjściu z Kirowa siadywała na ławce, muskając go ramieniem, kiedy spacerowali pustymi ulicami, kiedy rozmawiali lub milczeli, gdy cisza wlewała się w słowa, jak Ładoga wlewa się do Newy, która wpada do Zatoki Fińskiej i do Bałtyku. Wieczornej godziny, gdy się do siebie uśmiechali, gdy biel jego zębów raziła w oczy, gdy śmiał się, zarażając ją śmiechem. Gdy nie mogła oderwać od niego oczu, gdy widział to tylko on, nikt więcej, bo on i tylko on miał do tego prawo.

Godziny, gdy byli sami.

Co robić? Jak to naprawić? Przecież musi jakoś z tego wybrnąć. I ze względu na samą siebie, i ze względu na Daszę, i ze względu na niego.

Druga nad ranem. Miała na sobie tylko starą sukienkę i sweter babci, i było jej zimno, ale wolałaby spędzić resztę życia na dachu niż na dole z mamą i tatą, którzy rozpaczali po stracie Paszy, i z błagalnym szeptem Daszy: „Taniu, idź na dach, chcę zostać z nim sam na sam".

Myślała też o wojnie. Gdyby tak nadleciały niemieckie samoloty, gdyby tak zrzuciły bombę na ich dom, może zdołałaby ich uratować i sama przy tym zginąć? Ciekawe, chodziliby w żałobie? Płakaliby po mnie? A on? Niczego by nie żałował?

Niby czego miałby żałować?

Wiedziała czego, bo już teraz żałował, że się w to wplątał. Żałował od samego początku.

Ale nawet wtedy, na początku, kiedy jeździli razem autobusem, kiedy, czyści i niewinni, dotykali się nieśmiało ramionami, czy znaleźliby ustronne miejsce – nie licząc spacerów pustymi ulicami, gdy odprowadzał ją z fabryki do domu – gdzie przez dwie, trzy minuty mogłaby poćwiczyć wymowę angielskich słówek?

Ona nie znała takiego miejsca.

A on?

Bezsensowne rozważania jeszcze bardziej ją przygnębiały. Tylko tego jej brakowało.

Pragnę jedynie ulgi, myślała. Ani jego wyniosłość, ani sporadyczne kłótnie z Daszą, ani jego zmienne nastroje, ani to, że ciągle wygrywał z nimi w karty, nie zmieniło uczuć, jakie dla niego żywiła, pożądania, jakie odczuwała. Nie miał zbyt wielu wolnych wieczorów. Zwykle musiał wracać na capstrzyk albo iść na służbę do soboru św. Izaaka, gdzie wypatrywał nieprzyjacielskich samolotów. Dostawał najwyżej dwie nocne przepustki tygodniowo: o dwie za dużo.

A dzisiaj był jeden z tych nieszczęsnych wieczorów. „Taniu, idź na dach. Chciałabym zostać z nim sama".

Dobiegł ją odległy grzmot. Po niebie bezgłośnie pływały wielkie balony zaporowe.

Wieczorne godziny. Godziny poranne, godziny dnia, znowu godziny wieczorne. Musiała coś zrobić. Tylko co?

Zeszła na dół. Nalała sobie herbaty, żeby ogrzać zziębnięte ręce, i usiadła na kuchennym parapecie, wyglądając na ciemne podwórze. Kątem oka zobaczyła przechodzącego korytarzem Aleksandra. Minął drzwi, zawrócił i przystanął w progu. Przez chwilę milczeli.

– Co tu robisz? – spytał cicho.

– Czekam, aż wyjdziesz, żebym mogła się położyć – odrzekła chłodno i odważnie.

Niepewnie wszedł do kuchni.

Zerknęła na niego spode łba.

Podszedł bliżej. Na myśl, że zaraz poczuje jego zapach, zamarło jej serce. Zatrzymał się krok przed nią.

– Rzadko kiedy zostaję do późna.

– I dobrze.

Nikt ich nie obserwował i patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem.

– Tatiasza – powiedział z bolesną wyrozumiałością. – Wiem, że ci ciężko. Przepraszam. To moja wina. Mam wyrzuty sumienia. Nie mówiłem? Nie powinienem był wtedy przychodzić.

– Aha, bo przedtem było łatwiej, tak?

– Łatwiej niż teraz.

– Masz rację. – Pragnęła zeskoczyć z parapetu i podejść bliżej. Pragnęła znowu jeździć z nim tramwajem, siedzieć z nim na ławce, spać z nim w namiocie. Pragnęła czuć go tuż przy sobie. Na sobie. Ale powiedziała tylko: – Powiedz, czy to dzięki tobie Dima jest co wieczór w Leningradzie? Bo ilekroć tu przychodzi, coraz bardziej się ze mną spoufala.

Błysnął oczami.

– Mówił, że mu pozwalasz.

– Doprawdy? – Czy to dlatego był dla niej taki oschły? – Co ci powiedział? – Była zbyt zmęczona, żeby gniewać się na Dmitrija. Aleksander podszedł bliżej. Jeszcze trochę, pomyślała, i poczuję jego zapach.

– Nieważne – odrzekł z bólem w głosie.

– Myślałeś, że mówił prawdę?

– A mówił?

– Wiesz co? – Spuściła nogi z parapetu i odstawiła szklankę.

Podszedł jeszcze bliżej.

– Co, Taniu? – spytał cicho.

Pachniał mężczyzną, mydłem i szamponem. Uśmiechnęła się blado. I spoważniała.

– Zrób mi przysługę i trzymaj się ode mnie z daleka. Dobrze?

– Próbuję – odrzekł, cofając się o krok.

– Nieprawda. Dlaczego wciąż tu przychodzisz? – syknęła. – Zerwij z Daszą. – Głęboko westchnęła. – Jak wtedy. I odejdź. Idź na swoją wojnę. I zabierz ze sobą Dmitrija. Do niego nic nie dociera i mam już tego dość. – Mam dość was wszystkich. Nie, tego mu nie powiedziała. – Dojdzie do tego, że nie będę miała siły mu odmówić – dodała z wysiłkiem.

– Przestań. Nie mogę teraz odejść. Niemcy są za blisko. Twoja rodzina będzie mnie potrzebowała… – Urwał. – Ty też.

– Nie. Dam sobie radę. Proszę, jest mi za ciężko. Czy tego nie widzisz? Pożegnaj się z Daszą, pożegnaj się ze mną i wyjedźcie. Proszę cię, Aleksandrze, proszę…

– Taniu. – Mówił tak cicho, że prawie bezgłośnie. – Jakżebym mógł cię nie widywać?

Szybko zamrugała.

– Kto mnie będzie karmił?

Zamrugała jeszcze raz.

– Dobrze, jak chcesz – odparła zdenerwowana. – Będę ci gotowała i puszczała się z twoim najlepszym przyjacielem, a ty będziesz pieprzył moją siostrzyczkę. Czy tym razem dobrze zrozumiałam warunki umowy? Świetnie. Doskonale.

Aleksander odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Nazajutrz wczesnym rankiem poszła na Prospekt Grecki, żeby Wiera obejrzała jej żebra.

– Wiero, znalazłabyś dla mnie coś do roboty? Tu, w szpitalu.

Wiera zmrużyła oczy.

– Co się stało? Jesteś smutna. Z powodu nogi?

– Nie… – Już miała otworzyć przed nią serce i wylać swój smutek na jej tlenioną i niczego nie podejrzewającą głowę, ale zdążyła wziąć się w garść. – Nie, nie. Po prostu nie mogę chodzić i śmiertelnie się nudzę. Cały dzień siedzę na dachu i wypatruję bombowców. Znajdziesz coś dla mnie?

– Cóż – odrzekła w zadumie Wiera. – Pracy tu pełno…

– Na przykład? – spytała z ożywieniem Tatiana.

– Mogłabyś siedzieć za biurkiem i wypełniać formularze. Albo roznosić jedzenie w stołówce. Albo bandażować rany czy mierzyć temperaturę. Kiedy wydobrzejesz, mogłabyś nawet nauczyć się pielęgniarstwa.

Tania uśmiechnęła się szeroko.

– Doskonale! – Nagle zmarszczyła czoło. – Ale co z Kirowem? Kiedy zdejmą mi gips, powinnam tam wrócić. Właśnie: kiedy zdejmą mi gips?

– Tatiano, przecież w Zakładach Kirowa jest teraz front! – wykrzyknęła Wiera. – Nie bądź taka odważna. Gdybyś wróciła, natychmiast daliby ci karabin i zaczęli cię szkolić do walki. Uciekłaś stamtąd w ostatniej chwili. Ale tu, w szpitalu, zawsze brakuje rąk do pracy. Zbyt wielu ludzi wstępuje do wojska, zbyt mało wraca. – Uśmiechnęła się do niej. – Nie każdy ma tyle szczęścia co ty. Gdyby ten oficer nie wygrzebał cię spod gruzów.

Gdyby Tatiana mogła skakać, wracałaby do domu w podskokach.

Tego wieczoru przy kolacji z entuzjazmem oznajmiła, że znalazła pracę blisko domu.

– I bardzo dobrze! – powiedział ojciec. – Nareszcie! Zamiast w domu, będziesz mogła jeść w szpitalu.

– Tania nie powinna jeszcze chodzić – wtrącił Aleksander. – Może okuleć na całe życie.

– Nie może nic nie robić i żyć naszym kosztem! – zagrzmiał ojciec. – Kto ją wykarmi?

W pracy powiadają, że znowu zmniejszą nam racje. Będzie jeszcze gorzej.

– Pójdę do pracy, tato – zapewniła go wesoło Tania. – I będę mniej jadła, dobrze?

Aleksander łypnął na nią spode łba i dźgnął widelcem tłuczone ziemniaki na talerzu.

Ojciec grzmotnął pięścią w stół.

– To twoja wina! – krzyknął. – Powinnaś była wyjechać z dziadkami! My mielibyśmy więcej jedzenia, a ty nie narażałabyś się na niebezpieczeństwo, pozostając w mieście. – Pokręcił głową. – Powinnaś była z nimi wyjechać.

– Co ty mówisz? – Cała wesołość pierzchła. Tania podniosła odrobinę głos. – Dobrze wiesz, że nie mogłam wyjechać, bo miałam złamaną nogę. – Zmarszczyła czoło.

– Przestań, Taniu. – Dasza położyła jej rękę na ramieniu.

Mama rzuciła widelec.

– Gdyby nie twoje idiotyczne pomysły, niczego byś sobie nie złamała!

Tatiana odtrąciła rękę Daszy i spojrzała na matkę.

– Gdybyś nie wolała, żebym to ja umarła zamiast Paszy, nie pojechałabym go szukać!

Rodzicom odebrało mowę. Pozostałym chyba też.

– Nigdy czegoś podobnego nie powiedziałam! – krzyknęła mama wstając. – Nigdy!

– Słyszałam!

– Nieprawda!

– Słyszałam na własne uszy! Dlaczego Bóg nie zabrał Tani zamiast niego! Już zapomniałaś?

– Przestań – powiedziała Dasza drżącym głosem. – Mama na pewno tak nie myślała.

– Taniu, Tanieczko – szepnął Dmitrij. – Uspokój się.

– Tatiano! – wrzasnął ojciec. – Jak śmiesz tak do nas mówić, wiedząc, że to wyłącznie twoja wina?

Tania próbowała wziąć głęboki oddech, ale nie mogła.

– Moja?! – krzyknęła. – To twoja wina! To ty posłałeś Paszę na śmierć i nie zrobiłeś nic, żeby go ocalić…

Ojciec zerwał się gwałtownie i uderzył ją w twarz tak mocno, że spadła z krzesła.

Aleksander szybko wstał i odepchnął go na bok.

– Nie – powiedział. – Nie.

– Precz! – ryknął ojciec. – To rodzinna sprawa. Wynoś się!

Aleksander pomógł Tani wstać. Stali między sofą i stołem, tuż obok

Daszy, która aż chwyciła się za głowę. Ojciec i mama patrzyli na nich, ciężko dysząc.

Tania miała rozbity nos i mocno krwawiła. Aleksander osłaniał ją jak mur.

– Możesz mnie bić, ile chcesz! – krzyknęła, przytrzymawszy się jego rękawa. – Możesz mnie nawet zabić, ale i tak nie wrócisz życia Paszy! A nikt nie wyjedzie stąd, dlatego że nie ma już dokąd!

Ojciec wpadł w furię. Krzyknął i znowu chciał ją uderzyć, lecz Aleksander odepchnął go jedną ręką, drugą podtrzymując Tanię.

– Nie – powtórzył. – Nie.

W tej samej chwili Dasza zerwała się z krzesła i głośno zawodząc, chwyciła ojca za rękę.

– Tatusiu, tatusiu, nie bij, proszę. – Przeszyła Tanię wzrokiem. – Coś ty narobiła! – Ona też próbowała ją uderzyć, lecz powstrzymał ją Aleksander.

– Co ty wyprawiasz? – spytał cicho.

Dasza spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Co? Ty jej bronisz? Nie widzisz, co zrobiła?

Mama płakała, ojciec dziko wrzeszczał. Dmitrij gapił się w talerz, Tatiana znieruchomiała.

– Przestań, Dasza – powiedział stanowczo Aleksander. – Tania nic nie zrobiła. Wszyscy przestańcie. Może gdybyście posłuchali jej w czerwcu, kiedy mogliście sprowadzić Paszę do domu, nie skakalibyście sobie teraz do oczu, a wasz syn i brat mógłby jeszcze żyć. Ale teraz już za późno, więc dajcie jej święty spokój.

Odwrócił się do nich plecami i spytał:

– W porządku? – Podał Tani serwetkę ze stołu. – Masz, krwawisz. Przyłóż u nasady, zaraz przestanie. Szybko, przyłóż.

Spojrzał na jej ojca.

– Gieorgiju Wasiljewiczu, rozumiem, że próbuje pan ratować syna. Proszę mi wierzyć, dobrze pana rozumiem. Ale niech się pan nie wyżywa na Tani.

Tata cisnął kieliszkiem o podłogę i wyszedł chwiejnie z pokoju. Mama wyszła za nim. Trzasnęła drzwiami i rozszlochała się.

– Ona zawsze tak – szepnęła Tania. – Płacze, dopóki ktoś jej nie przeprosi. Zwykle robię to ja.

Dasza przeszyła Aleksandra wzrokiem.

– Nie mogę uwierzyć, że trzymasz jej stronę, że wystąpiłeś przeciwko mnie.

– Przestań bredzić – odrzekł głośno Aleks. – Trzymam jej stronę, bo nie pozwoliłem, żebyś uderzyła siostrę, która ma złamaną nogę. Dlaczego nie uderzysz kogoś swojego wzrostu albo choćby mnie? Wiem, dlaczego – dodał gniewnie. – Bo mogłabyś to zrobić tylko raz.

– Masz rację – warknęła Dasza i wzięła zamach, chcąc go spoliczkować.

Chwycił ją za rękę i mocno odepchnął.

– Przestałaś nad sobą panować. Wychodzę.

Dmitrij, który od jakiegoś czasu nie powiedział ani słowa, wstał, westchnął i ruszył za Aleksandrem.

Gdy tylko wyszli, Dasza rzuciła się na Tatianę. Ta straciła równowagę i upadła na stół, prosto w tłuczone ziemniaki, które własnoręcznie przyrządziła.

– I zobacz, co zrobiłaś! – wrzasnęła Dasza. – Zobacz, co zrobiłaś!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Aleksander. Chwycił ją za rękę, szarpnął, odciągnął od siostry i spytał:

– Taniu, możesz nas na chwilę zostawić?

Wciąż przyciskając serwetkę do nosa, Tatiana wyszła i przystanęła na korytarzu.

Słyszała, jak na siebie krzyczą, on na nią, ona na niego.

Tuż obok stał Dmitrij. Patrzyli na siebie bez słowa. Wreszcie Dima wzruszył ramionami.

– On już taki jest. Ma koszmarny temperament.

Tania chciała powiedzieć, że nigdy dotąd nie stracił przy niej opanowania, ale wolała posłuchać tego, co działo się za drzwiami.

– Nie powinien się w to mieszać – mruknął Dmitrij. – To rodzinna sprawa, nie sądzisz? Burza szybko minie.

– Przypomina mi się stary kawał: „Wasilij, dlaczego ty mnie ciągle bijesz? Przecież nie robię nic złego?”. A Wasilij na to: „I dobrze. Gdybym wiedział, co robisz, pewnie bym cię zabił”.

Dmitrij roześmiał się, jakby nigdy w życiu nie słyszał nic zabawniejszego.

Zza drzwi dochodził podniesiony głos Aleksandra.

– Czy nie widzisz, że to nie ona mnie od ciebie odpycha, tylko ty sama? Swoim zachowaniem? Jak mogę trzymać stronę dziewczyny, która bije własną siostrę?

Dasza coś odpowiedziała.

– Nie przepraszaj. Nie potrzebuję twoich głupich przeprosin. – Cisza. – Nie, ja tak dłużej nie mogę…

Dasza zaniosła się histerycznym szlochem.

– Aleks, proszę, nie odchodź. Przepraszam, masz rację, kochanie, masz rację, tylko nie odchodź. Co mam zrobić? Chcesz, żebym ją przeprosiła?

– Jeśli tkniesz ją choćby palcem, natychmiast z tobą zerwę. Rozumiesz?

– Tak. Już nigdy jej nie uderzę.

I znowu cisza.

Tatiana osłupiała.

Nie wiedząc, gdzie uciec wzrokiem, wytarła krwawiący nos, zerknęła na Dmitrija i wzruszyła ramionami.

– Ani chwili sam na sam – powiedziała. – Nawet pokłócić się spokojnie nie mogą. – I zaczęła osuwać się po ścianie na podłogę.

Dmitrij podtrzymał ją, zaprowadził na sofę, otarł jej twarz i poklepał ją po plecach.

– Lepiej? – powtarzał. – Już lepiej?

Sarkowowie zastukali do drzwi z korytarza, pytając, czy wszystko w porządku. Jedna kłótnia i wszyscy wszystko słyszą, wszyscy o wszystkim wiedzą.

– Tak – odpowiedziała Tatiana. – To tylko drobna sprzeczka, już w porządku.

Zaraz potem na korytarz wyszła Dasza. Przeprosiła ją posępnie, wróciła do pokoju i zamknęła drzwi. Tania poprosiła Dmitrija, żeby już sobie poszedł, i pokuśtykała na dach. Tam usiadła i długo się modliła o niemiecką bombę.

Jakiś czas później z klatki schodowej wyszedł Aleksander. Właśnie rozmawiała z Antonem i chociaż drgnęło jej serce, udała, że go nie widzi. Trzymali się za ręce. Wtem Anton trącił ją łokciem i przestał mówić. Tatiana westchnęła i odwróciła głowę.

– Tak? – spytała smutno.

– Daj rękę – powiedział Aleksander.

– Nie.

– Daj rękę.

– Anton – odrzekła głośno Tania – pamiętasz Aleksandra, chłopca Daszy? Przywitajcie się.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Anton – poprosił Aleks – czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

Anton niechętnie odszedł i przykucnął na tyle blisko, że mógł ich podsłuchiwać.

– Odejdźmy trochę dalej – rzucił Aleksander.

– Noga mnie boli – odparła Tatiana. – Tu jest dobrze.

Nie tracąc czasu na wymianę zdań, Aleksander wziął ją na ręce, przeniósł kilka kroków dalej i postawił w rogu dachu, gdzie nie było ani Antona, ani Mariszki, siedmioletniej dziewczynki z pierwszego piętra, która dosłownie mieszkała na dachu, ponieważ jej rodzice ciągle pili.

– Daj rękę, Taniu.

Bezwolnie go posłuchała. Trzęsły jej się dłonie.

– Dobrze się czujesz? Często tak drżysz?

– Czasami. Nic mi nie jest – pokręciła głową. – Dlaczego?

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

– Ale co mi z tego przyjdzie? Teraz wszyscy są na mnie wściekli. Zabawiłeś się z Daszą i wyjdziesz, ale ja zostanę. Ja będę spała z nią w jednym łóżku, siedziała w tym samym pokoju, chodziła tym samym korytarzem. I wciąż będę śmieciem.

Na jego twarzy malował się wyraz czułości i współczucia.

– Z nikim się nie zabawiłem, Taniu. Nie pozwolę, żeby cię krzywdzili. Mam gdzieś, czy Dasza się o nas dowie, albo czy Dmitrij… – Urwał. Tatiana zamarła. – Mam gdzieś, czy dowie się o nas cały świat. Nie pozwolę cię skrzywdzić. Nigdy. Nikomu. – Zamilkł, patrząc jej w oczy. – Dobrze o tym wiesz. Dlatego jeśli nie chcesz, żeby mnie powiesili, jeśli nie chcesz powiedzieć siostrze prawdy, musisz zachować większą ostrożność w obecności ludzi, którzy mogą cię uderzyć.

– Gdzieś ty się uchował? W Ameryce tego nie robią? Bo tu, w Rosji, rodzice biją dzieci, a dzieci przyjmują to z pokorą. Bo tu starsze siostry biją młodsze, a młodsze muszą to znosić. Tu po prostu tak jest.

– Rozumiem – odrzekł Aleksander. – Ale ty jesteś za młoda, zbyt krucha, żeby ktoś cię bił. Poza tym on za dużo pije. Nie wie, co robi. Musisz uważać.

Dłonie miał ciepłe i kojące. Tatiana przymknęła oczy, wyobrażając sobie tylko jedno. Z jej lekko rozchylonych ust wydobył się cichy jęk.

– Ciii… – Ścisnął jej palce. – Nie rób tego.

– Szura, pogubiłam się, nie wiem, co robić. Zupełnie się pogubiłam.

Nagle zabrała ręce i oczami dała mu znak. Z klatki schodowej wyszła

Dasza.

– Przyszłam zobaczyć, co z Tanią. – Patrzyła to na nią, to na niego. – Jeszcze tu jesteś? Mówiłeś, że musisz iść.

– Bo muszę. – Aleksander wstał i poklepał ją lekko po policzku. – Do zobaczenia za kilka dni. A ty, Taniu, idź do lekarza. Niech sprawdzi, czy nie masz złamanego nosa.

Tatiana z trudem kiwnęła głową.

– Czego on chciał? – spytała Dasza, gdy odszedł.

– Niczego. Przyszedł sprawdzić, jak się czuję. – Raptem poczuła, że nie wytrzyma, że zaraz wszystko jej powie. Otworzyła usta i… – Wiesz co? Jesteś moją starszą siostrą i bardzo cię kocham. Do jutra mi przejdzie, ale teraz jesteś ostatnią osobą, z którą chciałabym rozmawiać. Wiem, że robię to za często, że wysłuchuję cię, kiedy masz ochotę pogadać, że odchodzę, kiedy każesz mi odejść. Jutro znowu będę posłuszna, ale teraz nie chcę. Chcę posiedzieć tu i pomyśleć. – Umilkła. – Dlatego proszę, idź sobie.

Dasza ani drgnęła.

– Posłuchaj, Taniu. Bardzo mi przykro, naprawdę. Ale nie powinnaś była mówić tego o tacie i mamie. Dobrze wiesz, co przeżywają. Dobrze wiesz, że mają wyrzuty sumienia…

– Nie chcę słyszeć tych dwuznacznych przeprosin!

– Co cię napadło? Nigdy dotąd tak się nie odzywałaś. Do nikogo.

– Proszę cię, Daszo, odejdź.

Owinąwszy się starym swetrem, Tania przesiedziała na dachu prawie do rana. Zmarzły jej stopy i policzki.

Z oszołomieniem stwierdziła, że łącząca ich intymność nie wygasła, że wciąż trwa. Chociaż mało ze sobą rozmawiali, chociaż był dla niej bardzo chłodny i chociaż ostatnio padło między nimi wiele gorzkich słów, nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby tylko potrzebowała wsparcia i obrony, mężczyzna, który odnalazł ją pod ruinami w Łudze, natychmiast przyszedłby jej z pomocą. Przekonanie to dodało jej sił, pomogło

krzyknąć na papę, pomogło powiedzieć mu prawdę bez względu na to, jak bardzo go tą prawdą zraniła. Gdyby Aleksander nie dodał jej sił, nigdy nie ośmieliłaby się tego zrobić.

Gdy za nim stanęła, gdy wyrósł przed nią niczym mur, zapomniała o krwawiącym nosie i o bolących żebrach, i poczuła się jeszcze odważniejsza: wiedziała, że obroniłby ją nawet przed Daszą. Była tego pewna jak własnego serca i nagle, w samym środku nocy, pogodziła się ze sobą, ze swoim życiem, a nawet z siostrą.

Dmitrij, ponoć bardzo w niej zakochany, nie zrobił nic, w ogóle nie zareagował – zgodnie z przewidywaniami. Nie zmieniła o nim zdania ani na jotę. Był typowym Rosjaninem, człowiekiem radzieckim, ale nie winiła go za to, że jest wierny swojej naturze.

Jednocześnie ze wszystkich sił próbowała sprzeciwić się swojej. Czuła, po prostu wiedziała, że należy do Aleksandra i że nic tego nie odmieni.

Myślała, że wymaże go z pamięci, że zdoła bez niego żyć.

Mrzonki.

Zakochała się w chłopaku rodzonej siostry i nie potrafi się odkochać. W żaden sposób. Miała wrażenie, że księżyc Jowisza i słońce Wenus ustawiły się dla nich w jednej linii.

5

Aleksander wszedł do swej kwatery i na górnej pryczy zobaczył Dmitrija.

– Co się dzieje? – spytał znużony.

– To ty mi powiedz.

– Przecież widzieliśmy się pół godziny temu. Idę spać. Wstaję o piątej.

– W takim razie przejdę do rzeczy. – Dmitrij zeskoczył z łóżka. – Chcę, żebyś skończył tę maskaradę i przestał zawracać głowę mojej dziewczynie.

– O czym ty mówisz?

– Czy ja nie mogę mieć czegoś tylko dla siebie? Ty żyjesz jak król, masz wszystko, czego dusza zapragnie. Jesteś porucznikiem Armii Czerwonej, masz pod sobą ludzi, którzy wypełniają każdy twój rozkaz. Ja pod tobą nie służę…

– Ale służycie pode mną, szeregowy – przerwał mu Marazow, zeskakując z pryczy. – Jest późno, czeka nas długi dzień. Nie powinniście podnosić głosu. Pozwolono wam tu wejść w drodze wyjątku.

Dmitrij zasalutował mu i zamilkł. Aleksander stał obok i czekał.

– Baczność, szeregowy. – Marazow podszedł bliżej. – Myślałem, że chcecie odpocząć, zaczekać na przyjaciela…

– Mam do niego małą sprawę, towarzyszu poruczniku – odrzekł Dmitrij.

– Sprawa byłaby mała tylko wtedy, gdybyście mnie nie obudzili, ale ponieważ mnie obudziliście, przestaje być mała i staje się duża. Spocznij. – Marazow podciągnął długie kalesony, powoli obszedł w pełni umundurowanego Dmitrija i mruknął: – Czy ta mała sprawa nie może zaczekać do jutra?

– Towarzyszu poruczniku – Aleksander odchrząknął – czy mógłbym porozmawiać z nim w cztery oczy?

– Jak sobie życzycie – odrzekł Marazow, z trudem tłumiąc uśmiech.

– Wyjdźmy na korytarz.

Aleksander zamknął za sobą drzwi.

– Co ty wyczyniasz, Dima? Chcesz sobie zaszkodzić u dowódcy?

– Przestań pieprzyć, dobra? – syknął Dmitrij. – Powiesz mi, kiedy będziesz miał dosyć? Możesz mieć każdą dziewczynę na świecie, dlaczego przystawiasz się akurat do mojej?

Aleksander opanował się z trudem, żeby nie zadać mu tego samego pytania.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Ojciec rozbił jej nos. Chciałem jej pomóc.

– Jestem zwykłym wyrobnikiem. Muszę wszystkich słuchać i za wszystkich nadstawiać karku. Tylko ona traktuje mnie jak człowieka.

Bo ma to we krwi. Wszystkich tak traktuje.

– Dima, życie wyrobnika ma swoje plusy. Pomyśl tylko, ilu rzeczy nie musisz robić. Czy wysłano cię na południe, gdzie Hitler przepuszcza wszystkich przez maszynkę do mięsa? Nie. Oddział Marazowa zostaje tu, na miejscu. Czekacie, aż front dotrze do Leningradu. I to ja się o to postarałem. Ja. Żeby ci pomóc. – Zamilkł. – Bo jesteś moim przyjacielem. – Podszedł krok bliżej. – Przez te wszystkie lata byłem dla ciebie dobry. Co się stało z naszą przyjaźnią, Dima?

– Miłość ją zniszczyła, ot co! – warknął Dmitrij. – Tania jest dla mnie ważniejsza. Chcę przeżyć tę kurewską wojnę. Dla niej.

– Aha… – Aleksander długo milczał. – No to ją przeżyj, kto ci broni?

– Podkochuje się w tobie jak głupia koza – szepnął Dmitrij. – Ale to niemożliwe, to tylko jej wyobraźnia. Przecież ona nie wie, kim jesteś. A może już wie?

Aleksandrowi drgnęło serce. Wisząca nad nimi żarówka była rozbita. Ta na końcu korytarza to się zapalała, to gasła. Zza drzwi dochodził śmiech żołnierzy. W rurach szumiała woda. Milczeli. Stali naprzeciw siebie i mierzyli się wzrokiem. O czym on mówi? – myślał Aleksander.

O mojej przeszłości? O Ameryce?

– Oczywiście, że nie – odrzekł w końcu. – Niby skąd?

– Bo gdyby się dowiedziała, zrobiłoby się bardzo niebezpiecznie, nie uważasz? Niebezpiecznie dla nas.

Aleksander podszedł powoli krok bliżej. Dmitrij podniósł ręce i oparł się o ścianę.

– Dima, przestań pleść głupstwa. Powiedziałem, że ona nic nie wie.

– Nie chcę nikogo skrzywdzić – wychrypiał cicho Dmitrij. – Chcę tylko mieć swoją szansę.

Aleksander zacisnął zęby i wrócił do pokoju.

Marazow leżał na łóżku z rękami pod głową.

– Czernienko załazi ci za skórę? – rzucił obojętnie. – Chcesz, żebym się nim zajął?

– Nie, dzięki. Sam z nim sobie poradzę.

– Mogę go przenieść.

– Przenosiłem go cztery razy.

– Aha. Nikt go nie chce, więc dałeś go mnie?

– Nie tobie, tylko Kasznikowowi.

– Tak, ale Kasznikow podlega mnie.

Marazow sięgnął po piersiówkę, pociągnął łyk wódki i poczęstował Aleksandra.

– Idą na nas niemieckie czołgi – powiedział. – A my nie mamy ludzi, nie utrzymamy się. Chyba będziemy musieli się poddać, co?

– O nie – odparł z uśmiechem Aleksander. – Jeśli będzie trzeba, pójdziemy na nich z kamieniami w ręku!

Marazow zasalutował i opadł na poduszkę.

– Poruczniku Biełow – rzucił. – Ostatnio widuję was tylko na służbie. Nie macie pojęcia, jakie dziewczyny przychodzą teraz do klubu.

Aleksander odpowiedział mu uśmiechem i pokręcił głową.

– To już nie dla mnie.

Zaskoczony Marazow podparł się na łokciu i westchnął.

– Nie rozumiem, poruczniku. Widzę was, słyszę. Mówicie po rosyjsku, ale te słowa… Nie wierzę własnym uszom. Co się, kurwa, dzieje?

Aleksander milczał.

– Zaraz, zaraz. Chyba się nie… O psiakrew! – I ryknął zaraźliwym śmiechem. – Bredzisz! Masz fioła? Chyba jeszcze nie umierasz?

– Umierać, nie umieram, ale na pewno nie śpię.

– No nie! Kogo by tu obudzić? Muszę to komuś powiedzieć.

Wychylił się z łóżka i grzmotnął poduszką śpiącego pod nim oficera.

– Obudź się, Grinkow! Jak ci powiem, to zdębiejesz.

– Odwal się – warknął tamten, odrzucając poduszkę.

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Marazow, przestań, ty wariacie. Przestań, bo przeniosę i ciebie.

– Kto to jest?

– O czym ty mówisz? – Aleks zasłonił twarz poduszką.

– Czekaj… To ta, o której gadasz przez sen?

Zaskoczony Aleksander podniósł głowę.

– Ja nie gadam przez sen.

– Gadasz, gadasz, i to jak! Grinkow! Co Biełow mówi przez sen?

– Odwal się. – Grinkow odwrócił się twarzą do ściany.

– Odwal się? Nie, nie, co innego… Powtarza imię jakiejś dziewczyny. Czekaj, zaraz sobie przypomnę… Aleks, jesteś kutas. Nie chcesz powiedzieć kolegom oficerom.

– Tylko dlatego, że wam bezgranicznie ufam. – Aleksander przewrócił się na bok.

Marazow klasnął w dłonie.

– Chcę ją poznać. Muszę poznać dziewczynę, która zawróciła we łbie naszemu Aleksandrowi.

Nieco później, gdy Aleksander, bijąc się z myślami, długo nie mógł zasnąć, doszedł do wniosku, że niełatwo jest odmienić ludzkie serce. Jeśli życie w Związku Radzieckim czegoś go nauczyło, to na pewno tego. Lecz wiedział również, że spróbuje. Tylko najpierw musi z nią porozmawiać. Tak, potem będzie już łatwiej.

Wiedział też, że gwiazdy rozświetlą mrok jego duszy tylko wówczas, jeśli na to zasłuży. Najwyraźniej jeszcze nie zasłużył. Najwyraźniej jeszcze nie pora.

6

Rano mama spytała ją, czy jest z siebie zadowolona. Nie, odrzekła Tatiana. Nieszczególnie.

Gdy wszyscy wyszli i gdy ona też szykowała się do wyjścia, ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła: w progu stał Aleksander.

– Nie mogę cię wpuścić – szepnęła, wskazując Żannę Sarkową, która przystanęła w korytarzu i podejrzliwie im się przyglądała. W Tatianie lęk walczył z podnieceniem. Nie mogła go wpuścić, nie mogła zamknąć drzwi, mimo to…

– Spokojnie – odrzekł, wchodząc do środka. – Na dole czeka na mnie cały pluton wojska. Budujemy zapory na południowo-wschodnim krańcu miasta. – Spuścił oczy. – Mam złe nowiny. Wczoraj Niemcy zdobyli Mgę.

– O Boże… – Dobrze pamiętała, co mówił o pociągach. – I co teraz?

Aleksander pokręcił głową.

– To już koniec. Chciałem tylko spytać, jak się czujesz po wczorajszym. I sprawdzić, czy nie idziesz do pracy.

– Idę.

– Taniu, nie.

– Tak, Szura, tak.

– Nie! – prawie krzyknął.

Tatiana zerknęła przez ramię i szepnęła:

– Sarkowa o wszystkim doniesie. Powie, że byłeś. Gwarantuję.

– Właśnie dlatego daj mi czapkę, którą tu wczoraj zostawiłem. Wlepili mi karę. Muszę ją mieć.

Wszedł do pokoju i po chwili wyszedł na korytarz z czapką.

– Proszę cię, nie idź do szpitala.

– Szura, ja tu wariuję. Siedzę sama całymi dniami, dzień w dzień. W szpitalu zobaczę przynajmniej tych, którzy naprawdę cierpią. To podniesie mnie na duchu.

– Będziesz musiała dużo chodzić, noga nie wytrzyma. Poczekaj, za dwa tygodnie zdejmą ci gips, a wtedy…

– Ani myślę. Za dwa tygodnie trafię nie do szpitala, tylko do domu wariatów.

– Szkoda, że Kirow jest już na linii frontu – odrzekł cicho Aleksander. – Mogłabyś wrócić do pracy. Czekałbym na ciebie. Codziennie. – Uśmiechnął się i dodał: – Jak kiedyś, pamiętasz?

Boże, jak mogłaby zapomnieć.

Serce waliło jej jak młotem, ale Sarkowa wciąż ich obserwowała.

– Dość tego – mruknął Aleksander i zatrzasnął drzwi.

Tatiana otworzyła usta i szybko je zamknęła.

– No to koniec – wyszeptała. – Będą jeszcze większe kłopoty. Aleksander podszedł bliżej.

Zrobiła krok do tyłu.

On kolejny krok do przodu.

– Jak twój nos? – spytał.

– Dobrze. Nie jest złamany.

– Skąd wiesz? – Podszedł jeszcze bliżej.

Obronnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce.

– Szura, proszę…

Ktoś głośno zapukał do drzwi.

– Tanieczko, wszystko w porządku?

– Tak, tak, w porządku – odkrzyknęła.

Zgrzytnęła klamka.

– Chciałam tylko spytać, czy zrobić ci coś do jedzenia. – Znowu Sarkowa.

– Nie, Żanno, dziękuję – odrzekła Tania, z trudem zachowując zimną krew.

Sarkowa łypnęła spode łba na Aleksandra, który spojrzał na Tatianę i przewrócił oczami. Tania omal nie wybuchnęła śmiechem.

– Już wychodzimy – dodała.

– Tak? A dokąd?

– Ja do pracy…

– Ani mi się waż – syknął Aleksander.

– A porucznik Biełow idzie budować zapory.

– Zapory, towarzyszko Sarkowa, zapory – powiedział Aleksander, ruszając w jej stronę. – Wiecie, co to takiego? To zespół umocnień prawie dwudziestokilometrowej długości.

Sarkowa wycofała się na korytarz.

– A każdego z nich broni osiem gniazd karabinów maszynowych, dziesięć stanowisk przeciwpancernych, trzynaście moździerzy i czterdzieści sześć karabinów maszynowych na wysuniętych pozycjach.

– Ach tak..

– Tak, bronimy naszego ukochanego miasta, towarzyszko. – Z tymi słowami ponownie zatrzasnął drzwi.

Tatiana stała za nim, kręcąc głową.

– No to mnie wsypałeś – powiedziała z promiennym uśmiechem.

Wzięła torbę i przekręciła klucz w zamku. – Chodźmy, panie budowniczy.

Podczas gdy Sarkowa mamrotała do siebie w kuchni nad szklanką herbaty, oni ruszyli schodami w dół. Aleksander wziął Tanię za rękę, chcąc pomóc jej zejść. Próbowała się wyszarpnąć, lecz na próżno.

– Aleksandrze…

– Nie. – Przyciągnął ją do siebie.

Zaszumiało jej w głowie. Zaszumiało, zahuczało i zatrzeszczało, jakby nagle zapłonęło tam wielkie ognisko.

– Posłuchaj – wychrypiała. – Poproszę Wierę, żeby przydzieliła mnie do stołówki. Może wpadniesz na obiad? Chętnie cię obsłużę – dodała z uśmiechem.

Aleksander pokręcił głową.

– Lubię, kiedy mnie karmisz, i niewiele rzeczy sprawia mi większą przyjemność, ale będę za daleko. Nie zdążę.

– Szura, puść mnie. Jesteśmy na schodach mojego domu…

Nie puścił. Jeszcze mocniej ścisnął ją za rękę.

– Co się stało? – spytała, przeczuwając coś złego.

Aleksander zawahał się i w jego czekoladowych oczach zagościł głęboki smutek.

– Taniu… – westchnął. – Musimy porozmawiać. O Dmitriju.

– O Dmitriju?

– Tak, ale nie teraz. To dłuższa rozmowa, rozmowa… sam na sam. Przyjdź do mnie do

Świętego Izaaka.

Serce waliło jej jak młotem.

– Do Świętego Izaaka? Szura, z trudem kuśtykam do szpitala, a to ledwie dwie ulice stąd. Nie dojdę, nie dam rady. – Mówiąc to wiedziała, że doszłaby tam, nawet gdyby musiała się czołgać.

– Wiem. Nie chcę, żebyś chodziła sama. Na ulicach jest bezpiecznie, ale twoja noga… – Pogłaskał ją po policzku. – Czy ktoś nie mógłby ci pomóc? Tylko nie Anton. Może jakaś koleżanka? Dziewczyna, której ufasz, która mogłaby odprowadzić cię w pobliże soboru. Parę ulic przeszłabyś sama.

Tatiana zagryzła wargę.

– Ale jak wrócę do domu?

Aleksander uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie.

– Jak zwykle – odrzekł z uśmiechem. – Odprowadzę cię.

Patrzyła na guziki jego koszuli.

– Taniu, musimy, koniecznie musimy porozmawiać, i dobrze o tym wiesz.

Owszem, wiedziała.

– Ale tak nie można.

– Można, Taniu, i trzeba.

– Dobrze. Ale teraz idź.

– Przyjdziesz?

– Spróbuję. Idź już.

– Podnieś…

Zanim zdążył dokończyć, podniosła głowę, a wtedy mocno ją pocałował.

– Czy ty masz pojęcie, co się ze mną dzieje? – wyszeptał z rękami w jej włosach.

– Nie – odrzekła, słaniając się na nogach. – Wiem tylko, co dzieje się ze mną.

Tego wieczoru zdarzył się cud: naprawiono telefon kuzynki Mariny, Tatiana zaprosiła ją do siebie i kilka minut przed ósmą Marina była już u niej. Tania długo nie wypuszczała jej z objęć.

– Marinko, jesteś żywym dowodem na to, że Bóg istnieje. Tak bardzo mi ciebie brakowało. Co się z tobą działo?

– Bóg istnieje, to przecież oczywiste. Co się ze mną działo? – Marina wybuchnęła śmiechem. – Powiedz lepiej, co działo się z tobą. Słyszałam o twojej eskapadzie do Ługi. – Szybko zamrugała. – I o Paszy. – Westchnęła, uśmiechnęła się lekko i spytała: – Dlaczego wyglądasz jak chłopak?

– Mam ci tyle do powiedzenia…

– Widzę. – Marina usiadła przy stole w pokoju, gdzie jeszcze wczoraj Aleksander osłaniał Tatianę własnym ciałem. – Masz coś do jedzenia? Okropnie zgłodniałam.

Marina, ciemnooka dziewczyna o szerokich biodrach, małych piersiach i krótkich, czarnych włosach, miała dziewiętnaście lat i pieprzyki na twarzy. Studiowała na Uniwersytecie Leningradzkim i była najbliższą przyjaciółką i powiernicą Tani. Spędzili razem wiele wakacji, one i Pasza, włócząc się po Łudze i pobliskim Nowogrodzie. Dzieląca je różnica wieku stała się widoczna dopiero niedawno, mniej więcej przed rokiem: Tatiana przestała po prostu pasować do towarzystwa Mariny.

Tania spiesznie podała Marinie kawałek chleba, trochę sera i zaparzyła herbatę.

– Jedz, tylko szybko, bo zaraz musimy iść na spacer. Ślicznie ci w tej sukience. Jak minęło lato?

– Nie możemy iść na spacer. To znaczy, ty nie możesz. Spójrz na swoją nogę. Pogadajmy tutaj. – Mama, tata i Dasza byli w pokoju obok; słuchali radia. Nie odzywali się do Tani od wczorajszej awantury. – Zacznij od włosów – wymamrotała Marina z ustami pełnymi sera. – Ostrzygłaś się? Zawsze nosisz takie długie spódnice?

– Nie, ale teraz mam nogę w gipsie. Wstawaj, idziemy. – Tania pociągnęła ją za rękę. Musiała się spieszyć. Umówiła się z Aleksandrem na dziesiątą, tymczasem była już prawie dziewiąta, a one nie wyszły jeszcze z domu. Powiedzieć jej? Wszystko? Jeszcze raz pociągnęła kuzynkę za pulchną rękę. – Chodź. Już się najadłaś.

– Ale jak ty pójdziesz? Przecież ledwo kuśtykasz. Zresztą po co mamy gdzieś chodzić? Kiedy zdejmą ci gips?

– W takim razie chodźmy pokuśtykać. Gips? Chyba nigdy. Jak wyglądam?

Marina przestała jeść i zmrużyła oczy.

– Co powiedziałaś?

– Żebyśmy poszły pokuśtykać.

– No dobrze. – Marina otarła usta i wstała. – Co się dzieje?

– Nic. Dlaczego?

– Tatiano, wiem, że coś jest nie tak.

– O czym ty mówisz?

– Taniu, znamy się od siedemnastu lat i nigdy dotąd nie pytałaś mnie, jak wyglądasz.

– Bo masz zepsuty telefon. Możemy już iść?

– Masz za krótkie włosy, za długą spódnicę i włożyłaś białą, obcisłą bluzkę. Co się, do diabła, dzieje?

W końcu Tatiana zdołała wyciągnąć ją za drzwi. Powoli doszły Greckim do placu Powstania, tam wsiadły do tramwaju i Newskim Prospektem dojechały do Admiralicji. Tania kuśtykała, wspierając się na ramieniu przyjaciółki. Trudno jej było iść i jednocześnie mówić: niemal całą energię pochłaniało samo chodzenie.

– Dlaczego wyskoczyłaś z tego pociągu? To wtedy się połamałaś?

– Nie. A wyskoczyłam z pociągu, bo musiałam.

– I musiałaś wylądować pod toną cegieł? – prychnęła Marina. – To wtedy złamałaś nogę?

– Tak. Przestaniesz wreszcie czy nie?

Marina roześmiała się i objęła ją serdecznie.

– Przykro mi z powodu Paszy – dodała cicho. – Był wspaniałym chłopakiem.

– Tak chciałam go odnaleźć…

– Wiem. – Marina przystanęła. – To było niedobre lato. Nie widziałam cię od początku wojny.

Tatiana kiwnęła głową.

– Niewiele brakowało i byśmy się spotkały. Jechałam do ciebie, pierwszego dnia wojny.

– I co? Nie dojechałaś?

Tak bardzo pragnęła wszystko jej opowiedzieć, o swoich uczuciach, o wyrzutach sumienia, o strachu i o wstydzie. Jednakże zamiast tego opowiedziała jej o Daszy i Aleksandrze, o sobie i Dmitriju, o Ludze i o tym, jak Aleksander jej szukał. Powiedziała jej wszystko oprócz prawdy.

Prześlizgiwała się między kłamstwami jak między szczelinami w kruchym lodzie. Czy może jej zaufać? Zaufać osobie, która nie ma nic do stracenia? Czuła, że ilekroć mówi prawdę, między nią i najbliższymi jej ludźmi rozwiera się bezdenna otchłań. Dlaczego? –

myślała. Jak to możliwe? Jak to możliwe, że prawda, zaufanie i otwartość dzieli, natomiast kłamstwo, zdrada i oszukaństwo łączy? Jak to możliwe, że nie może zaufać matce, ojcu i siostrze, że nie może opowiedzieć im o tym, co ją gnębi? Życie rodziło w ludziach pogardę dla innych.

Ogrody Admiralicji. Nareszcie, pomyślała. Ogrody leżały na brzegu Newy, między mostem Pałacowym i soborem Izaaka. To już niedaleko. Gdyby wytężyła słuch, mogłaby usłyszeć jego oddech. Uśmiechnęła się. Gałęzie wysokich, obsypanych liśćmi wiązów osłaniały ławki i alejki tak samo jak w Ogrodzie Letnim. Jedyna różnica polegała na tym, że w Ogrodzie Letnim Tania spacerowała i siedziała z nim. Z Aleksandrem.

– Czy przyszłyśmy tu w jakimś konkretnym celu? – spytała Marina.

– Nie – odrzekła Tania. – Po prostu siedzimy i rozmawiamy. – Żałowała, że nie ma zegarka. Która może być godzina?

– Kiedyś często tu przychodziłam – powiedziała Marina. – Raz byłam nawet z tobą, pamiętasz?

Tatiana spiekła raka.

– Tak, pamiętam.

– Życie podarowało mi kilka miłych chwil. Wydaje się, że to było tak niedawno. Myślisz, że kiedyś wrócą?

– Oczywiście, na pewno, bardzo na to liczę. Zwłaszcza że ja jeszcze ich nie zaznałam – dodała z cieniem uśmiechu na ustach.

– Nawet z Dmitrijem?

– No wiesz! Ależ skąd! – Tatiana zacisnęła usta.

Marina roześmiała się, objęła ją i przytuliła.

– Nie smuć się, Taniu. Jakoś się stąd wydostaniesz.

– Nie. Nie ma już pociągów. Niemcy zdobyli Mgę.

Marina zamilkła.

– Od trzech dni nie mamy wiadomości od ojca. Walczył w Iżorsku. To niedaleko Mgi, prawda?

– Tak – szepnęła Tatiana. – Niedaleko.

Marina przytuliła ją jeszcze mocniej.

– Chyba już nikt stąd nie wyjedzie. Mama jest ciężko chora, ojciec…

– Wiem. – Tania poklepała ją po nodze. – Damy sobie radę, zobaczysz. Musimy tylko być silne.

– Tak, zwłaszcza ty. – Marina potrząsnęła głową, odpędzając złe myśli. – Powiesz mi w końcu, dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

– Nie.

– Taniu…

– Nie.

Marina połaskotała ją w ramię.

– No, powiedz. Opowiedz mi o Dmitriju.

– Nie ma o czym.

Marina zachichotała.

– Że też akurat ty spotykasz się z wojskowym. Nie mogę w to uwierzyć. – Zerknęła na nią kątem oka. – A może… Umówiłaś się z nim? Tutaj?

– Nie! – wykrzyknęła Tatiana. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Tak, tak, oczywiście. Żołnierze znają tylko jeden rodzaj przyjaźni.

Teraz z kolei Tatiana zerknęła na nią kątem oka.

– To znaczy?

– Pamiętasz, w zeszłym roku chodziłam z wojskowym. – Marina drwiąco cmoknęła językiem. – Zobaczyłam, jak żyje, i powiedziałam sobie: daj sobie spokój, dziewczyno, on nie dla ciebie. Ale tego lata poznałam kogoś naprawdę miłego, pewnego studenta. Wstąpił do wojska i wysłali go do Woroncowa. – Westchnęła. – Od tamtej pory ani razu się do mnie nie odezwał.

– Nie rozumiem. I dlatego nie lubisz wojskowych? Dlatego, że idą na wojnę?

– Nie, Taniu. Dlatego, że uganiają się za kobietami.

– Za kobietami? – powtórzyła cicho Tatiana.

– Tak. Za takimi, co to lubią się zabawić, za zwykłymi ulicznicami, za garnizonowymi dziwkami, za tymi, które przychodzą do oficerskich barów i klubów, żeby oddać się pierwszemu lepszemu żołdakowi. Za wszystkimi. Po prostu tacy już są. To dla nich tak, jak wypalić papierosa. Ilekroć wychodzą na przepustkę, ilekroć mają wolny dzień czy urlop. – Marina pokręciła głową. – Nie wiem, jak zdołałaś opędzić się od Dmitrija. Kobiety łatwe, trudne, młode dziewczyny, takie jak ty, to dla nich to samo. Kolejny podbój, i tyle.

– Marinko, co ty mówisz? Tu? W Leningradzie? Chyba nie. Tak jest tylko na Zachodzie. I w Ameryce.

Marina wybuchnęła śmiechem.

– Uwielbiam cię, Taniu. Naprawdę. Jesteś taka…

– Aleksander jest inny… – wymruczała do siebie wstrząśnięta Tatiana.

– Kto? Aha, chłopak Daszy. Jest inny? Tak myślisz? Porozmawiaj z siostrą, niech ci powie. Wiesz, gdzie się poznali?

W „Sadko”. Poznali się w „Sadko”.

– Chcesz powiedzieć, że…

– Porozmawiaj z Daszą, Taniu.

– Nieprawda! To nie tak! Nie wiesz, co mówisz! – Tatiana zaczynała żałować, że poprosiła ją o pomoc.

– Posłuchaj – kontynuowała Marina. – Chcę ci tylko powiedzieć, że z żołnierzami takimi jak Dmitrij trzeba zachować dużą ostrożność. Oni mają… Oni czegoś oczekują. I jeśli tego nie dostaną, często próbują wziąć to siłą. Rozumiesz?

Tatiana milczała. Jak to, u licha, się stało, że zaczęły o tym rozmawiać?

– Nadal przyjaźnisz się z Antonem Iglenką? To miły chłopiec i bardzo cię lubi.

– Marina! Anton to tylko kolega. – Siedziała, ciężko dysząc, z rękami na kolanach. – Nawet mnie nie lubi.

Marina uśmiechnęła się ciepło i potargała jej włosy.

– Jesteś urocza, Taniu. I jak zwykle ślepa. Pamiętasz Miszę? Pamiętasz, jak za tobą chodził?

– Kto? – Tatiana wytężyła pamięć. – Misza z Ługi?

– Tak. W wakacje przez trzy lata z rzędu. Pasza nie mógł go od ciebie odpędzić.

– Zwariowałaś. – Tania i Miszka lubili zwisać do góry nogami z gałęzi drzewa, uczyła go robić gwiazdę. Pasza też.

– Taniu, czy kiedykolwiek rozmawiałaś o tych sprawach z Daszą?

– Niech Bóg broni! – wykrzyknęła Tatiana, próbując wstać. Czuła się tak, jakby ktoś dźgnął ją kilka razy tępym nożem.

Marina podtrzymała ją za ramię.

– To lepiej porozmawiaj. Dasza jest twoją starszą siostrą. Powinna ci pomóc. Ale bądź

ostrożna, zwłaszcza z Dmitrijem. Chyba nie chcesz być kolejnym karbem na żołnierskim pasie.

Tatiana myślała o Aleksandrze. Nie znała go od tej strony. Nagle ujrzała nad sobą jego głowę, usta delikatnie całujące jej piersi, gdy leżała ranna w namiocie. Pokręciła głową. Nie, to nieprawda. Aleksander jest inny.

I raptem przypomniało jej się to, co mówił Dmitrij. Co opowiadał o jego pozasłużbowych zajęciach. Zrobiło jej się niedobrze.

– Chodźmy do domu – mruknęła przygnębiona i powoli ruszyły w kierunku przystanku na Newskim. Powiedziała Marinie, że nie musi jej odprowadzać. – Nic mi nie będzie. Od placu Powstania dojdę sama. Naprawdę. Zaraz przyjedzie twój autobus. Nie martw się o mnie, dam sobie radę.

Marina odparła, że nie może zostawić jej samej w środku miasta, w dodatku w nocy. Tatianie nawet do głowy nie przyszło, że powinna się czegoś bać.

– Aleksander mówił, że od początku wojny przestępczość gwałtownie spadła. Że prawie nie istnieje.

– Cóż, skoro Aleksander tak mówił… – Marina popatrzyła jej prosto w oczy. – Dobrze się czujesz?

– Tak. Idź już. – I dopiero wtedy zobaczyła niechęć wypisaną na twarzy Mariny, niechęć, której, pochłonięta własnymi myślami, przedtem nie widziała. Zmrużyła oczy. Nic z tego nie rozumiała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jej policzka. Marina szybko zamrugała. I wówczas Tania wszystko pojęła. – Kto na ciebie czeka, Marino? – spytała cicho. – Do kogo wracasz?

– Nikt, do nikogo – szepnęła Marina. – Mama w szpitalu, taty nie ma. Naprzeciwko mieszkają Lublinowie, ale…

– Marinko – przerwała jej łagodnie Tatiana. – Tak nie może być. Zamieszkaj z nami. Mamy wolny pokój. Dziadek i babcia wyjechali. Samotność zabija. Przeprowadź się do nas. Będziesz spała z Daszą i ze mną.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– Pytałaś o to rodziców?

– Nie muszę. Po prostu spakuj się i przyjedź. Twoja mama jest siostrą naszego taty. Tata na pewno pozwoli. Przyjedź, dobrze?

Marina objęła ją i przytuliła.

– Dziękuję – szepnęła. – Te puste pokoje… Bez mamy i taty czuję się bardzo samotna.

Tatiana poklepała ją po plecach.

– Wiem… Spójrz, jest twój autobus!

Pomachawszy jej na pożegnanie, Marina przebiegła na drugą stronę ulicy, a Tania usiadła na ławce, żeby zaczekać na tramwaj.

Coraz bardziej ją mdliło.

Nadjechał tramwaj. Otworzyły się drzwi, spojrzał na nią konduktor. Tania pokręciła głową. Drzwi się zamknęły, tramwaj odjechał.

Jak mogła wrócić do domu, nie zobaczywszy się z Aleksandrem? Nie mogła, po prostu nie mogła.

Wstała i pokuśtykała przez park w stronę soboru.

Podeszli do niej dwaj żołnierze. Przystanęli, trzasnęli kolbami karabinów w chodnik i spytali, dokąd idzie. Powiedziała, że do soboru.

Jeden z nich odrzekł, że o tej porze sobór jest zamknięty. Tak, powiedziała, ale ja

szukam porucznika Biełowa. Chyba go znali, bo na ich poważnych twarzach wykwitł lekki uśmiech.

– Mówiłem ci, Wiktor, ale nie chciałeś mi wierzyć. Powinniśmy byli pójść do szkoły oficerskiej.

– Myślałem, że oficerowie mają więcej pracy, a nie więcej… – Żołnierz zerknął na Tatianę i urwał. – A ty kim dla niego jesteś? – spytał.

– Jestem jego kuzynką z Krasnodaru.

– Aha, kuzynką… Dobra, chodź, zaprowadzimy cię. Tylko nie wiem, jak wejdziesz na górę. To spiralne schody, ponad dwieście stopni, a ty masz nogę w gipsie.

– Dam sobie radę – odparła Tatiana.

Chociaż sobór strzelał w niebo ledwie kilkaset metrów dalej, nigdy dotąd nie była tak daleko. Tatiana ciężko dyszała, posapywała, bardzo bolała ją noga. Przed soborem, nad brzegiem Newy, wznosił się pomnik Piotra Wielkiego, Jeźdźca miedzianego. Na początku wojny owinięto go płótnem i obudowano drewnianym rusztowaniem, które następnie wypełniono piaskiem. Pomnik ufundowała caryca Katarzyna Wielka w hołdzie Piotrowi założycielowi miasta. Ale tego wieczoru nie było widać ani czarnego konia, ani jeźdźca, ani jego wyciągniętej ręki. Nic, tylko rusztowanie i worki z piaskiem, które miały chronić Piotra przed Niemcami.

– Od jutra w całym mieście będzie obowiązywała godzina milicyjna – powiedział żołnierz imieniem Wiktor. – Koniec z nocnymi spacerami. Dlatego postaraj się, żeby porucznik Biełow dobrze tę wizytę zapamiętał… kuzyneczko.

Wprowadzili ją do przestronnego wnętrza i Tatiana usłyszała cichy świst wahadła[9], które komuniści zamontowali w soborze, żeby miejsce kultu przekształcić w muzeum nauki.

Strażnik pilnujący wąskich drzwi na schody spytał, czy Tatiana jest czysta.

– Chyba tak. Żadnej bomby przy sobie nie ma.

– Obszukaliście ją?

– Zaraz. – Wiktor przesunął rękami wzdłuż jej boków i Tatiana skrzywiła się z bólu; wciąż doskwierały jej złamane żebra. Była sam na sam z trzema obcymi żołnierzami, w mrocznym, złowieszczym budynku, i nagle ogarnął ją strach. Wmawiała sobie, że to nic, że to tylko podświadomość, ale kiedy dłonie Wiktora spoczęły na jej biodrach, nie wytrzymała i cofnęła się o krok.

– Może któryś z was mógłby… mógłby powiedzieć porucznikowi, że przyszłam. – Wzięła głęboki oddech. – Nie. Wiecie co? Chyba wrócę do domu. Przekażcie mu, że byłam.

– Puścić ją! – W drzwiach stanął Aleksander z karabinem. Tatiana odetchnęła.

Wiktor natychmiast zabrał ręce.

– My tylko tak, towarzyszu poruczniku. Sprawdzaliśmy, czy nie ma broni. Mówi, że jest waszą kuzynką z…

– Szeregowy! – Aleksander podszedł bliżej. Górował nad Wiktorem jak sobór nad pomnikiem Piotra Wielkiego. – Nawet w Armii Czerwonej obowiązują pewne zasady, a zasady te zabraniają napastowania młodych dziewcząt. Ostrzegam, jeśli jeszcze raz was na tym nakryję, wyciągnę surowe konsekwencje dyscyplinarne. – Objął Tanię w talii i pchnął ją lekko w stronę schodów. – Wy dwaj wracajcie na ulicę, gdzie wasze miejsce. A wy, kapralu, zostańcie tu, dopóki nie zmienią was Pietrenko i Kapow.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem żołnierze. Kapral stanął przy drzwiach.

Aleksander z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

– Chodź. Czeka nas długa wspinaczka. – Kiedy minęli pierwszy zakręt i znaleźli się za załomem ściany, uśmiechnął się szeroko i szepnął: – Taniu, tak się cieszę, że przyszłaś.

Zrobiło jej się gorąco. Westchnęła, czując, że cała w środku taje.

– Ja też – odrzekła cichutko.

– Przestraszyli cię? – Pogłaskał ją po głowie. – Są nieszkodliwi.

– Jeśli tak, to dlaczego po mnie zszedłeś?

– Usłyszałem twój głos. Trochę się bałaś.

Patrzył na nią tak… tak…

– Co? – spytała nieśmiało.

– Nic, nic. – Przykucnął przed nią. – Wskakuj. Obejmij mnie za szyję. Jak wtedy. Pamiętasz?

– Chcesz mnie tam zanieść na barana? To dwieście stopni[10].

– Przeszłaś kawał drogi. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Weźmiesz karabin?

Kiedy wstał, przytrzymując się poręczy, Tania delikatnie pocałowała go w kołnierzyk munduru z nadzieją, że Aleksander tego nie zauważy.

Wniósł ją na samą górę, na przeszklony krużganek z kolumnami, które częściowo przesłaniały widok na miasto, niebo i horyzont. Postawił ją na podłodze, odebrał jej karabin i oparł go o ścianę złocistej kopuły.

– Wyjdziemy na taras, chcesz? Stamtąd jest lepszy widok. Jesteśmy bardzo wysoko – dodał z uśmiechem. – Nie będziesz się bała?

– Nie – odrzekła, patrząc mu w oczy. – Nie.

Wyszli na wąski taras biegnący wokół krużganka. Była tam tylko niska żelazna poręcz, nic więcej. Gdyby nie zaciemnienie, widok z tego miejsca zapierałby dech w piersi, pomyślała Tatiana. W mieście pogaszono wszystkie światła i w aksamitnym mroku nie mogła nawet dostrzec sylwetek wielkich, białych balonów zaporowych sunących cicho po czarnym niebie. Było chłodno. Pachniało świeżą wodą.

– No i co? Ładnie tu? – Aleksander podszedł bliżej. Tatiana nie mogła się poruszyć, nawet gdyby chciała. Tuż przed nią była tylko poręcz.

– Mmm… – Patrzyła w ciemność. Bała się odwrócić i zdradzić mu to, co ma w sercu. – Co tu robisz sam w nocy?

– Nic. Siedzę. Palę. Myślę.

Objął ją wpół, splótł dłonie na jej brzuchu i mocno ją przytulił. Na szyi poczuła jego usta.

– Och, Taniu…

Zalała ją fala pożądania. Nagle, gwałtownie. Było niczym rozrywająca się bomba, której odłamki rażą zakończenia wszystkich nerwów.

Nie, nie pożądanie.

To było pożądanie raptowne i palące.

Próbowała się odsunąć, lecz za mocno ją obejmował. Pragnęła tylko jednego: osunąć się na podłogę. Ilekroć jej dotykał, miała ochotę się położyć. Dlaczego? Dlaczego?!

– Szura, zaczekaj… – wychrypiała, nie poznając własnego, przepojonego wyczekiwaniem głosu, który tak naprawdę mówił zupełnie co innego. Chodź do mnie, chodź, bliżej… Zamknęła oczy. – Nie widzę żadnych samolotów.

– Ja też nie.

– Nadlecą? – jęknęła cichutko.

– Tak – szepnął, nie przestając całować jej obnażonej szyi. – Ogłoszenia i plakaty nareszcie mówią prawdę. Wróg stoi u bram.

– Myślisz, że zdołamy uciec?

– Nie. Utkwiliśmy tu jak w pułapce.

Ten gorący oddech, te wilgotne usta – Tatiana zadrżała.

– Więc co z nami będzie?

Aleksander nie odpowiedział.

– Chciałeś porozmawiać…

– Porozmawiać? – powtórzył, przyciskając ją do siebie jeszcze mocniej.

– Tak, o… o… – Zapomniała o czym. – O Dmitriju?

Zsunął jej bluzkę i pocałował ją w obnażoną łopatkę.

– Masz ładną bluzkę – tchnął z ustami tuż nad jej nagim ramieniem.

– Przestań, Szura, proszę…

– Nie – odrzekł, ocierając się o jej plecy. – Nie mogę. To tak, jakbyś poprosiła mnie, żebym przestał oddychać.

Położył jej dłonie na piersiach. Trochę bolały ją żebra, lecz był to ból miły, rozkoszny i Tatiana jęknęła. Odwrócił ją twarzą ku sobie i z ustami na jej szyi, szepnął:

– Ciii… Ci na dole wszystko słyszą. Dźwięk dobrze się niesie.

– To zabierz ręce – szepnęła. – Albo zasłoń mi usta.

– Dobrze, zasłonię – wymruczał, całując ją coraz namiętniej.

Chwilę później pomyślała, że zaraz zemdleje.

– Szura – jęknęła, tuląc się do niego ze wszystkich sił. – Boże, musisz przestać. Musimy przestać. Tylko jak? – Czuła coraz większy żar w podbrzuszu, coraz silniejszy ucisk.

– Nie przestaniemy.

– Przestaniemy.

– Nie – tchnął z ustami na jej ustach.

– Ale… ale jak się tego pozbyć? Co zrobić, żeby… żeby wreszcie mi ulżyło? Nie mogę tak żyć, nie mogę przestać o tobie myśleć. Boże, jak bardzo chcę zaznać ulgi…

Aleksander oderwał wargi od jej warg.

– Taniu – wyszeptał żarliwie. – Niczego w życiu nie pragnę bardziej, jak tego, żeby ci ją dać. – Jego ręce zaciskały się na niej jak imadło.

Przypomniały jej się słowa Mariny: „To dla nich tak, jak wypalić papierosa”. I wtedy, wbrew sobie, wbrew własnej pewności i niezachwianej wierze, zapominając o tych cudownych chwilach na szczycie świętego soboru, dopuściła do głosu to, co tak bardzo ją gnębiło. Nie ufając instynktowi, bojąc się i wątpiąc, odepchnęła go od siebie.

– Co się stało? – spytał. – Dlaczego?

Próbowała zebrać się na odwagę. Szukała odpowiednich słów, lękała się i pytań, i odpowiedzi, nie chciała go zdenerwować. Nie, nie zasługiwał na to. W końcu ufała mu, w końcu wierzyła mu bardziej niż cynicznej Marinie. Mimo to słowa, które kuzynka wypowiedziała w parku, wciąż przygniatały jej pierś, wciąż buzowały jej w żołądku.

Nie chciała obarczać go dodatkowym brzemieniem. Wiedziała, że i bez tego mu ciężko. Jednocześnie nie mogła pozwolić na to, żeby jej dotykał.

– Taniu, co się stało? – powtórzył. – Powiedz.

– Zaczekaj… Szura, czy możesz… – Odeszła kilka kroków dalej. – Zaczekaj, dobrze?

Nie podszedł do niej. Przystanęła dwa metry dalej, powoli usiadła i podciągnęła kolana.

– Mieliśmy rozmawiać o Dmitriju – powiedziała, czując się jak przekłuty balon.

Aleksander założył ręce.

– Porozmawiamy, ale najpierw powiesz mi, co cię dręczy.

Pokręciła głową. Nie, nie mogła, po prostu nie mogła go o to zapytać.

– Nic, naprawdę. – Uśmiechnęła się. Uwierzył, że szczerze? Sądząc po jego minie, chyba nie. – Nic.

– Tym bardziej mi o tym opowiedz.

Patrząc na swoją długą brązową spódnicę, na wystające spod gipsu palce, kilka razy głęboko odetchnęła.

– Szura, to dla mnie bardzo trudne.

– Wiem. – Przysiadł z rękami na kolanach.

– Nie wiem, jak to powiedzieć – szepnęła ze spuszczoną głową.

– Jak zwykle. Otwórz usta i powiedz.

Wciąż nie mogła zdobyć się na odwagę.

– Musimy omówić wiele ważnych spraw, podjąć wiele ważnych decyzji, dlatego… – Zerknęła na niego kątem oka. Przyglądał się jej ciekawie i z zatroskaniem. – Mamy tak mało czasu, a ja tak głupio go tracę, ale… Ale… – Aleksander milczał. – Czy… – Boże, to takie głupie. Co ona o tym wie? – Wiesz, kto mnie tu przyprowadził? Marina. Moja kuzynka Marina.

Aleksander kiwnął głową.

– To dobrze. Tylko co Marina ma wspólnego z nami? Czy ja ją wreszcie poznam?

– Kiedy się dowiesz, co mi powiedziała, pewnie nie będziesz chciał. Opowiadała mi o wojskowych. – Podniosła wzrok. Aleksander chyba wszystko zrozumiał, bo na jego twarzy odmalował się wyraz rozdrażnienia i poczucia winy.

Nie takim pragnęła go widzieć.

– Powiedziała mi wiele ciekawych rzeczy.

– Nie wątpię.

– Ale nie o tobie.

– Co za ulga.

– Ostrzegała mnie przed Dmitrijem, ale powiedziała, że żołnierze traktują dziewczęta jak zdobycz, że jesteśmy dla nich kolejnymi karbami na pasie. – Umilkła, doszedłszy do wniosku, że to wystarczy, że i tak jest bardzo dzielna.

Aleksander powoli przysunął się bliżej. Nawet jej nie dotknął. Po prostu przykucnął i cicho spytał:

– Chcesz mnie o coś zapytać?

– Nie.

– A chcesz, żebym ja zapytał o coś ciebie?

– Nie.

– No to nie zapytam.

– Odpowiedziałabym, ale nie chcę, żebyś mnie pytał.

Tak bardzo pragnęła spojrzeć mu w oczy. Po prostu nie chciała zobaczyć w nich poczucia winy. I pomyślała: a jeśli po tym wszystkim, po naszym lecie, po Kirowie, po Łudze, po tych niezgłębionych, zapierających dech w piersi chwilach, dowiem się zaraz, że Marina miała rację? Nie, nie mogła go o to spytać. Ale budować tak gorące uczucia na kłamstwie?

– Taniu, o co chciałaś mnie zapytać? – powtórzył Aleksander. Powiedział to tak łagodnie, tak cierpliwie. Był silny, dobry, taki jak zawsze, dlatego wzmocniona jego siłą, spytała cichutko:

– Szura, czy jestem dla ciebie kolejną… zdobyczą? Tyle że trochę młodszą

i trudniejszą? Kolejnym karbem na twoim pasie? – Nieśmiało podniosła głowę i popatrzyła na niego niepewnym, bezbronnym spojrzeniem.

Objął ją i przytulił do siebie jak maleńkie, ciasno obandażowane zawiniątko.

– Taniu – szepnął, całując ją we włosy. – Taniu, nie wiem, co z tobą zrobić. – Odsunął się lekko i z roziskrzonymi oczami ujął jej twarz w dłonie. – Tatiasza – spytał błagalnie – o czym ty mówisz? A szpital? Już zapomniałaś? Ty – zdobyczą? Zapomniałaś, że gdybym tylko chciał, mógłbym cię wtedy mieć? Tamtej albo każdej następnej nocy? – I nie odrywając od niej wzroku, jeszcze ciszej i jeszcze łagodniej dodał: – Zapomniałaś, że chętnie byś mi się wtedy oddała? I że to właśnie ja położyłem kres tej bezsensownej sytuacji?

Tatiana zamknęła oczy.

Aleksander zacisnął dłonie na jej policzkach.

– Otwórz oczy, Taniu. Otwórz oczy i spójrz na mnie.

Zawstydzona, powoli rozwarła powieki. Patrzył na nią tak łagodnie, tak czule.

– Taniu, uwierz, nie jesteś dla mnie ani zdobyczą, ani kolejnym karbem na pasie. Wiem, co czujesz, wiem, że ci ciężko, ale chciałbym, żebyś nie zamartwiała się czymś, co nie jest prawdą. – Pocałował ją głęboko i namiętnie. – Czujesz moje usta? – szepnął. – Kiedy cię całuję… – Pocałował ją raz jeszcze. – Nie czujesz moich warg? Nie rozumiesz, co mówią? Co mówią moje ręce?

Tatiana zamknęła oczy i jęknęła. Dlaczego była przy nim taka bezbronna, dlaczego? Miał rację. Miał rację. Oddałaby mu się nie tylko wtedy, ale i teraz, zaraz, na tej twardej podłodze. Aleksander patrzył na nią z lekkim uśmiechem.

– A może – szepnął – zamiast pytać o kolejny karb na moim pasie, spytaj mnie lepiej, dlaczego nim nie jesteś?

Trzęsły jej się ręce.

– Dobrze – wychrypiała. – Dlaczego?

Parsknął śmiechem.

Tania odchrząknęła.

– Wiesz, co jeszcze powiedziała?

– Marina? – Westchnął i odsunął się od niej. – No?

Tatiana objęła się za kolana.

– Powiedziała, że wszyscy wojskowi robią to z garnizonowymi dziwkami i nigdy żadnej nie odmawiają.

– Proszę, proszę… – Aleksander pokręcił głową. – Lepsze z niej ziółko. Jak to dobrze, że do niej nie dojechałaś. Wtedy, w czerwcu.

– Wiem. – Na wspomnienie tamtych chwil w autobusie, złagodniała jej twarz.

Jemu też.

Co ona sobie myśli? Co robi? Zła na samą siebie, potrząsnęła głową.

– Posłuchaj, nie chciałem ci tego mówić, ale… – Aleksander wziął głęboki oddech. – Kiedy tylko wstąpiłem do wojska, przekonałem się, że ze względu na charakter naszej służby, trwałe i szczere związki z kobietami będą bardzo trudne. – Wzruszył ramionami. – Ze względu na charakter służby i na realia życia w tym kraju. Brak mieszkań, brak hoteli: Rosjanin i Rosjanka nie mają po prostu dokąd pójść. Chcesz prawdy? Proszę. Nie chcę, żebyś się jej bała, nie chcę, żebyś bała się mnie. W wolne dni, na przepustce czy na dwudniowym urlopie, chodzimy na piwo i często towarzyszą nam młode kobiety, które… które są skłonne zabawić się z żołnierzami bez żadnych zobowiązań.

– I ty się z nimi… – Tatiana wstrzymała oddech. – Zabawiałeś?

– Tak, kilka razy – odrzekł, uciekając wzrokiem w bok. – Proszę, nie denerwuj się, Taniu.

– Nie jestem zdenerwowana – wymamrotała Tatiana. Oszołomiona, tak. Rozdarta wątpliwościami, tak. I zahipnotyzowana tobą.

– Jesteśmy młodzi, po prostu się bawiliśmy. Zawsze utrzymywałem dystans, nie chciałem się z nimi wiązać…

– A z Daszą?

– Co z Daszą? – spytał ze znużeniem.

– Czy Dasza też… – Słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

– Tatiu, proszę. – Aleksander pokręcił głową. – Nie myśl o tym. Spytaj ją, jaką była dziewczyną. Nie mnie o tym mówić.

– Przecież się z nią związałeś! – wykrzyknęła. – Ona nie jest z kamienia. Ma serce.

– Nie – odparł. – Ma ciebie.

Tatiana ciężko westchnęła. Rozmawiać z Aleksandrem o siostrze – to było dla niej za trudne. Wysłuchiwanie opowieści o anonimowych dziewczynach byłoby dużo łatwiejsze. Siedziała, obejmując mocno kolana. Miała ochotę spytać, jak jest z nim teraz, ale słowa grzęzły jej w gardle. Nie, o nic nie będzie go pytała. Pragnęła, żeby wszystko było jak kiedyś, przed szpitalem, zanim szokująca reakcja jej ciała przesłoniła to, co naprawdę do niego czuła.

Aleksander delikatnie pogłaskał ją po udach.

– Czuję, że się boisz. Taniu, błagam cię, nie zważaj na głupstwa.

– Dobrze – odrzekła ze skruchą.

– To nieistotne, to nie ma nic wspólnego z nami. Nie chcę, żeby rozdzieliło nas coś, co nie ma żadnego znaczenia. Spójrz tylko, ile dzieli nas i bez tego.

– Dobrze – powtórzyła.

– Zapomnij o tym. Czego się boisz?

– Tego, że się co do ciebie mylę – szepnęła.

– Tatiu, ty? Akurat ty? Jak to możliwe? – Rozgoryczony, zacisnął pięści. – Czy nie rozumiesz, że przyszedłem do ciebie właśnie dlatego, że było mi źle? Nie widziałaś, że zżerała mnie samotność?

Tatiana przycisnęła dłonie do piersi.

– Nie, bo ja też byłam samotna. – Oparła się o barierkę. – Szura, otaczają mnie półprawdy i niedomówienia. Nie mamy dla siebie chwili czasu, żeby porozmawiać jak kiedyś. Żeby ze sobą pobyć, tak sam na sam…

– Brakuje nam prywatności. – To ostatnie słowo powiedział po angielsku.

– Czego? – Postanowiła, że w domu zajrzy do słownika. – Szura, a teraz? Czy oprócz Daszy…

– Tatiano. Wszystko to, czym się tak zamartwiasz, już dawno nie istnieje. Zniknęło. Wyparowało z mojego życia w chwili, gdy cię spotkałem. Wiedziałem, że muszę z tym skończyć, bo gdybyś kiedykolwiek mnie o to spytała, nie mógłbym spojrzeć ci w twarz. Bo musiałbym kłamać. – Patrzył na nią, a ona dostrzegła w jego oczach niemą prawdę.

Uśmiechnęła się, odetchnęła i nagle poczuła, że to nieznośne napięcie i mdłości, które odczuwała od rozmowy z Mariną, szybko ustępują. Pragnęła, żeby ją objął.

– Przepraszam – wyszeptała. – Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam. Jestem chyba za młoda…

– Taniu, ty jesteś… ty jesteś… – Boże! – wykrzyknął. – To czysty obłęd. Nigdy nie mieć dla siebie czasu. Nie móc porozmawiać, wyjaśnić, wytłumaczyć. Nigdy nie mieć

chwili…

Chwile już mieliśmy, pomyślała. W autobusie. Przed Zakładami Kirowa. W Łudze. I w parku. Mieliśmy chwile, które zapierały dech w piersi. Teraz pragniemy wieczności.

– Przepraszam, Szura. – Chwyciła go za ręce. – Nie chciałam cię zdenerwować.

– Taniu, gdybyśmy tylko mieli choć chwilę prywatności, już nigdy byś we mnie nie zwątpiła.

Znowu to angielskie słowo.

– Prywatności?

Aleksander uśmiechnął się smutno.

– Chwilę sam na sam, z dala od oczu i uszu innych. Chwilę intymności, której w dwóch pokojach, w towarzystwie sześciorga osób nie sposób uświadczyć. To jest właśnie prywatność.

– Aha… – szepnęła Tatiana, czerwieniąc się jak piwonia. Prywatność: tego słowa szukała, odkąd go tylko poznała! – W rosyjskim czegoś takiego nie ma.

– Wiem.

– A w Ameryce mówicie na to…

– *Privacy*. Prywatność.

Tatiana zamilkła.

Nie wstając, Aleksander przysunął się bliżej i objął ją nogami.

– Taniu, kiedy znowu będziemy sami? – spytał, patrząc jej w oczy.

– Jesteśmy sami teraz.

– Kiedy będę mógł cię pocałować?

– Pocałuj mnie teraz – szepnęła.

Lecz on jakby jej nie słyszał.

– Czy wiesz, że może już nigdy? Nadchodzą Niemcy. Rozumiesz, co to znaczy? Że już nigdy nie będzie tak jak kiedyś.

– Już nie jest. Od dwudziestego drugiego czerwca.

– Masz rację, nie jest. Ale do niedawna tylko się zbroiliśmy, a teraz mamy prawdziwą wojnę. Tu, w Leningradzie, stoczymy bitwę o wolność. Ilu z nas przeżyje? Ilu tę wolność zdobędzie?

– Boże, to dlatego przychodziłeś do nas, ilekroć miałeś okazję, ciągnąc za sobą Dmitrija?

Aleksander westchnął i kiwnął głową.

– Bałem się, że już nigdy więcej cię nie zobaczę.

Tatiana z trudem przełknęła ślinę i jeszcze mocniej zacisnęła ręce na kolanach.

– Ale… dlaczego? Dlaczego zawsze przychodzisz z nim? Nie możesz mu powiedzieć, żeby dał mi święty spokój? On mnie nie słucha, nie wiem, co robić.

Aleksander nie odpowiedział, więc przechyliła głowę, chcąc pochwycić jego spojrzenie.

– Szura – szepnęła. – Opowiedz mi o Dmitriju. Co mu jesteś winien?

Aleksander spojrzał na papierosy.

– Szura, co mu obiecałeś? – spytała cichutko. – Mnie?

– Dmitrij wie, kim jestem, Taniu.

– Przestań. – Ledwo poruszyła wargami.

– Nie uwierzysz w to, Taniu. Ale kiedy ci powiem, nie będzie już dla nas odwrotu.

– Odwrotu nie ma już teraz – wyszeptała, pragnąc odmówić szybką modlitwę.

– Nie wiem, co z nim zrobić.

– Pomogę ci, Szura. – Serce rosło jej i waliło jak młotem. – Mów.

Usiadł przy ścianie naprzeciwko niej i wyciągnął nogi. Ona wciąż opierała się o żelazną balustradę. Wyczuła, że Aleksander nie chce jej bliskości. Nie teraz, nie w tej chwili. Zdjęła pantofelek. Jego but był dwa razy większy od jej stopy.

Aleksander zadrżał, jakby zmierzała ku niemu dzika bestia.

– Kiedy aresztowano moją matkę – zaczął, nie patrząc na Tanię – ci z NKWD przyszli i po mnie. Nawet nie mogłem się z nią pożegnać. – Odwrócił wzrok. – Jak się domyślasz, nie lubię o niej rozmawiać. Kiedy miałem czternaście lat i chodziłem z ojcem na zebrania partii komunistycznej, oskarżono mnie o szerzenie kapitalistycznej propagandy, dlatego trzy lata później, już w Leningradzie, aresztowano mnie i przewieziono do Kriestów, więzienia dla pospolitych kryminalistów; w Szpalernej[11] i Wielkim Domu[12] – więzieniu dla politycznych – nie było już miejsca. Krótki, niejawny proces i w trzy godziny po przyjeździe byłem już skazanym więźniem. Przesłuchanie? – prychnął. – Nie zawracali tym sobie głowy. Śledczy mieli dużo pracy, przesłuchiwali innych, ważniejszych aresztantów. Dostałem dziesięć lat obozu we Władywostoku. Wyobrażasz sobie?

– Nie. – Naprawdę nie mogła sobie tego wyobrazić.

– Wiesz, ilu nas wsiadło do pociągu? Tysiąc osób. Jeden z więźniów odciągnął mnie na bok i szepnął: „Niedawno wyszedłem i znowu mnie zamknęli”. Powiedział, że w obozie, do którego mamy jechać, przebywa osiemdziesiąt tysięcy osadzonych. Osiemdziesiąt tysięcy! Tylko w jednym obozie! Odparłem, że to niemożliwe, że nie wierzę. Miałem zaledwie siedemnaście lat. – Spojrzał jej w oczy. – Jak ty teraz, Taniu. Boże, przecież nie mogłem spędzić dziesięciu lat młodości w więzieniu, prawda?

– Nie – szepnęła Tatiana.

– Widzisz, zawsze wierzyłem, że czeka mnie dobre życie. Wierzyłem w siebie. Rodzice też we mnie wierzyli. Więzienie? Nigdy nie brałem tego pod uwagę. Nigdy nie kradłem, nie wybijałem okien, nie napadałem na staruszki. Nigdy nie zrobiłem nic złego. Mimo to skazali mnie na dziesięć lat. Przejeżdżaliśmy przez most na Wołdze, niedaleko Kazania. Pod nami przepaść, co najmniej trzydzieści metrów, a na dnie przepaści rzeka. Wiedziałem, że to moja ostatnia szansa, że teraz albo nigdy, że jeśli nie skoczę, utknę we Władywostoku na całą wieczność. Zbyt dużo oczekiwałem od życia, zbyt dużo miałem nadziei. Dlatego skoczyłem. – Parsknął śmiechem. – Nawet nie zatrzymali pociągu. Byli pewni, że zginąłem.

– Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. – Tania chciała objąć go i przytulić, lecz siedział za daleko. – To wtedy odkryłeś, że umiesz pływać?

Odpowiedział lekkim uśmiechem. Podeszwy jego butów dotykały jejstóp.

– Tak, trochę umiałem.

– Miałeś coś przy sobie?

– Nie, nic.

– Ani dokumentów, ani pieniędzy?

– Ani dokumentów, ani pieniędzy. – Chyba chciał powiedzieć coś innego, ale zmienił zdanie. – Było lato trzydziestego szóstego. Ruszyłem na południe. Szedłem, płynąłem rybacką łodzią, jechałem wozem. Łowiłem ryby, pracowałem u chłopów i cały czas wędrowałem na południe. Z Kazania do Uljanowska, gdzie urodził się Lenin; ciekawe miasto, niemal jak świątynia. Potem do Saratowa, wciąż z biegiem Wołgi, łowiąc ryby, pomagając przy żniwach i wędrując, cały czas wędrując na południe. Chciałem dotrzeć do Gruzji, potem do Turcji. Przekroczyć granicę na Kaukazie i…

– Ale nie miałeś pieniędzy.

– Ani kopiejki. Po drodze trochę zarobiłem i myślałem, że w Turcji pomoże mi znajomość angielskiego. Ale w Krasnodarze znowu dopadł mnie los. – Zerknął na nią kątem oka. – Jak zwykle. Była ciężka zima i rodzina, u której się zatrzymałem, Biełowowie…

– Biełowowie! – wykrzyknęła Tania.

Aleksander kiwnął głową.

– Miła chłopska rodzina. Ojciec, matka, czterech synów, córka… – Odchrząknął. – I ja. Wszyscy zachorowaliśmy na tyfus. Zachorowała cała wieś, cały Biały Jar, trzysta sześćdziesiąt osób. Zmarło dwieście osiemdziesiąt osiem, w tym sami Biełowowie. Najpierw córka, potem pozostali. Przyjechali przedstawiciele rady miejskiej w Krasnodarze i wraz z milicją spalili wieś w obawie, że epidemia rozprzestrzeni się na miasto. Spalili moje ubranie, a mnie zabrali na kwarantannę, żebym umarł albo wyzdrowiał. Wyzdrowiałem. Ci z rady chcieli mi wydać nowe papiery, więc bez wahania powiedziałem, że nazywam się Biełow. Ponieważ ze wsi zostało jedynie zgliszcza… – Aleksander uniósł brwi. – Swoją drogą to możliwe tylko tutaj, w Związku Radzieckim. Tak czy inaczej, ponieważ ze wsi zostały tylko zgliszcza, nie mogli sprawdzić, czy naprawdę jestem najmłodszym synem Biełowa.

Tatiana zamknęła usta.

– Wydali mi nowy dowód osobisty, na nowe nazwisko. I tak stałem się Aleksandrem Nikołajewiczem Biełowem, siedemnastoletnim sierotą… – Ponownie uciekł wzrokiem w bok.

– Jak brzmiało twoje amerykańskie nazwisko? – spytała cicho Tania.

– Anthony Alexander Barrington.

– Anthony?

Aleksander pokręcił głową.

– Po ojcu matki. Zawsze używałem tylko drugiego imienia, nigdy pierwszego. – Wyjął papierosy. – Mogę?

– Tak, tak.

– Potem wróciłem do Leningradu i zamieszkałem u „krewnych”, u ciotki Miry Biełowej. Musiałem wrócić… – Zawahał się i dodał: – Zaraz powiem ci, dlaczego. Tak więc zamieszkałem u ciotki. Nie widzieli siostrzeńca od dziesięciu lat, byłem dla nich jak obcy, ale pozwolili mi zostać. Skończyłem szkołę i właśnie w szkole poznałem Dmitrija.

– Boże, trudno uwierzyć, że tyle przeszedłeś…

– To jeszcze nie koniec, Taniu, to jeszcze nie koniec… W szkole często się z nim bawiłem. Był wysoki, chudy i raczej nielubiany. Kiedy na przerwach bawiliśmy się w wojnę, zawsze trafiał do niewoli. Nazywaliśmy go „jeńcem”. Mówiliśmy, że Związek Radziecki powinien był podpisać konwencję genewską wyłącznie ze względu na niego, bo ilekroć się bawiliśmy, zawsze „ginął” albo zostawał ranny.

– Dalej, Szura, mów dalej.

– Pewnego dnia dowiedziałem się, że jego ojciec jest strażnikiem w Szpalernej… – Aleksander umilkł.

Tatiana wstrzymała oddech.

– Twoi rodzice jeszcze żyli?

– Nie miałem pojęcia, dlatego postanowiłem się z nim zaprzyjaźnić. Miałem nadzieję, że pomoże mi ich zobaczyć. Wiedziałem, że jeśli żyją, na pewno się o mnie zamartwiają. Chciałem dać im znać, że nic mi nie jest, że jakoś sobie radzę. Zwłaszcza matce – dodał, z trudem panując nad głosem. – Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy.

Tatianie zwilgotniały oczy.

– Z ojcem nie?

Aleksander wzruszył ramionami.

– Z ojcem? Był taki, jaki był. Przed aresztowaniem często się kłóciliśmy. Cóż mogę powiedzieć? Myślałem, że wszystko wiem. On myślał, że nie wiem nic. I tak to szło.

Tatiana patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– Musieli bardzo cię kochać… – Głośno przełknęła ślinę.

– Tak – odparł z nagłym ożywieniem i zaciągnął się dymem. – Kiedyś kochali.

Współczuła mu tak bardzo, że rozbolało ją serce.

– Krok po kroku zdobyłem zaufanie Dmitrija i wreszcie zostaliśmy przyjaciółmi. Imponowało mu, że to właśnie jego wybrałem sobie na kumpla.

– Och, Szura… – Tatiana wszystko zrozumiała. Przysunęła się bliżej, objęła go za szyję. – Musiałeś mu zaufać.

Przytulił ją. W drugiej ręce trzymał papierosa.

– Tak. Musiałem mu powiedzieć, kim naprawdę jestem. Nie miałem innego wyboru. Mogłem bezczynnie czekać, aż rodzice umrą, albo mu zaufać.

– Zaufałeś Dmitrijowi… – powtórzyła Tania z niedowierzaniem w głosie. Cofnęła ręce i usiadła wygodniej.

– Tak. – Spojrzał na swoje duże dłonie, jakby szukał w nich sensu życia. – Wcale tego nie chciałem. Ojciec, ten wierny, zagorzały komunista, zawsze powtarzał, że nikomu nie wolno ufać, i choć to niełatwe, dobrze tę naukę sobie przyswoiłem. Ciężko mi było tak żyć, toteż przynajmniej raz w życiu chciałem komuś zawierzyć. Raz, chociaż jeden, jedyny raz. Poza tym bardzo potrzebowałem jego pomocy. Byliśmy przyjaciółmi, więc powiedziałem sobie, że jeśli to dla mnie zrobi, jeśli zobaczę ojca i matkę, nie zerwę tej przyjaźni do końca życia. I właśnie to mu powiedziałem. Dima, będę twoim przyjacielem aż do śmierci i zawsze będę ci pomagał. – Zapalił kolejnego papierosa. Tatiana czekała z coraz bardziej zbolałym sercem.

– Jego ojciec, Wiktor Czernienko, dowiedział się, że… – Załamał mu się głos. – Że matka już nie żyje. Opowiedział mi, co z nią zrobili. Ale tak, ojciec jeszcze żył, chociaż niewiele życia mu pozostało; siedział w więzieniu prawie od roku. Czernienko wprowadził nas do Szpalernej, Dmitrija i mnie. Mogliśmy spędzić pięć minut z Haroldem Barringto-nem, szpiegiem obcego wywiadu. Byłem tam ja, mój ojciec, Dmitrij, Wiktor Czernienko i strażnik. Żadnej prywatności.

Tatiana wzięła go za rękę.

– No i jak…

Aleksander spojrzał w noc.

– Łatwo to sobie wyobrazić – odrzekł. – Było boleśnie krótko.

Szara, betonowa cela. Harold Barrington patrzył na Aleksandra, Aleksander na niego. Harold siedział na łóżku. Nawet nie mrugnął.

Dmitrij stał pośrodku celi, Aleksander tuż obok niego. Za nimi stał strażnik i Wiktor Czernienko. Z sufitu zwisała naga żarówka.

– Mamy tylko chwilę, towarzyszu Barrington – powiedział Dmitrij. – Rozumiecie? Tylko chwilę.

– Dobrze – odrzekł po rosyjsku Harold, z trudem powstrzymując łzy. – Dziękuję, że przyszliście mnie odwiedzić. Cieszę się, że widzę dwóch dzielnych zuchów. Jak ci na imię, synu? – spytał Dmitrija.

– Dmitrij Czernienko.

– A tobie, synu? – Drżąc na całym ciele, Harold przeniósł wzrok na Aleksandra.

– Aleksander Biełow.

Harold kiwnął głową.

– No dobra – mruknął strażnik. – Napatrzyliście się? To chodźmy.

– Chwileczkę – powstrzymał go Dmitrij. – Chcieliśmy powiedzieć towarzyszowi Barringtonowi, że mimo przestępstw, jakich dopuścił się przeciwko proletariatowi, nasze społeczeństwo nigdy o nim nie zapomni.

Aleksander milczał. Patrzył na ojca.

– Społeczeństwo nie zapomni o nim dlatego, że te przestępstwa popełnił – warknął strażnik.

Zagryzając wargi, Harold spojrzał na syna, który stał tyłem do strażnika i twarzą do niego.

– Popow, mogę uścisnąć im dłoń? – spytał.

Strażnik wzruszył ramionami i podszedł bliżej.

– Muszę to widzieć. No? Szybko.

– Towarzyszu Barrington – odezwał się Aleksander. – Nigdy w życiu nie słyszałem, jak mówi rodowity Amerykanin. Możecie powiedzieć coś po angielsku?

Harold stanął przed Dmitrijem i uścisnął mu dłoń.

– Thank you – szepnął.

Potem podszedł do Aleksandra i uścisnął rękę jemu. Aleksander leciutko pokręcił głową, chcąc zmusić go do zachowania spokoju.

– „Obym to ja był umarł zamiast ciebie! Absalomie, synu mój, synu mój”.[13]

Przestań – powiedział bezgłośnie Aleksander. Przestań.

Harold puścił jego rękę i cofnął się o krok, z trudem zachowując równowagę.

– Po angielsku? – rzucił. – Dobrze. Zatem kilka wersetów z Kiplinga, być może nieco przeinaczonych.

> Jeśli zdołasz znieść to, że przez ciebie wyrzeczoną
> prawdę łotry przekręciły tak, że pułapką na głupców będzie –
> Jeśli widzisz, że niszczą rzeczy, za które oddałeś życie –
> Synu! – schyl się i odbuduj je z pomocą zużytych narzędzi[14].

Harold cofnął się i pobłogosławił Aleksandra znakiem krzyża. Jego policzki spływały łzami.

– Idziemy! – wrzasnął strażnik. – Ale już!

I love you, Dad – powiedział bezgłośnie Aleksander.

I wyszli.

Tatiana płakała. Aleksander objął ją i westchnął.

– Taniu, Taniu… – Otarł jej twarz. – Żeby zachować spokój, zaciskałem zęby. Zaciskałem je tak mocno, że jeden mi pękł. Ten. Widzisz? – Pokazał jej który. – Teraz już wiesz, dlaczego. No i tak… Zdążyłem zobaczyć ojca. Bez Dmitrija nie udałoby mi się to. – Znów westchnął i cofnął rękę.

Tatiana kucnęła. Drżały jej wargi.

– Zrobiłeś dla niego coś niezwykłego. Pocieszyłeś go przed śmiercią. – Zawstydzona, lecz przepojona gorącym uczuciem, z mocno bijącym sercem pochyliła głowę i pocałowała Aleksandra w rękę. Zaczerwieniła się, odchrząknęła i podniosła głowę.

– Taniu – spytał. – Kim ty jesteś?

– Tanią. – Podała mu rękę. – Tanią. – Zamilkli.

– To jeszcze nie koniec.

– Wiem, ale reszty się domyślam. – Wyjęła z paczki papierosa. Żeby mieć całkowitą jasność sytuacji, musiała poznać jeszcze jedną prawdę. Prawdę maleńką, lecz mimo to prawdę. Domyśliła się wszystkiego w chwili, gdy Aleksander powiedział, że dał Dmitrijowi coś, czego ten nigdy dotąd nie miał. Nie była to przyjaźń, nie było to towarzystwo ani poczucie braterstwa. Drżącymi rękami wetknęła mu papierosa między wargi, pstryknęła zapalniczką, przypaliła, a gdy zaciągnął się dymem, pocałowała go w policzek i zdmuchnęła płomień.

– Dziękuję – powiedział. Zanim odezwał się ponownie, wypalił połowę papierosa. – Nie przeszkadza ci mój oddech? Dużo palę…

– Twój? Nigdy – odrzekła, czerwieniąc się jak dzika róża. – Chcesz, to ci powiem, co było dalej. Wstąpiliście na uniwersytet. Potem do wojska. Jeszcze potem do szkoły oficerskiej, ale Dmitrij odpadł. – Spuściła głowę. – Początkowo mu to nie przeszkadzało. Nadal byliście przyjaciółmi. Dima wiedział, że zrobisz dla niego wszystko. A potem… – Podniosła wzrok. – Potem zaczął prosić.

– Widzę, że wszystko wiesz.

– O co cię prosi?

– A jak myślisz?

Unikali swego wzroku.

– O to, żebyś przeniósł go tam, gdzie zechce, żebyś zrobił dla niego taki czy inny wyjątek, o przywileje i specjalne traktowanie.

– Tak.

– O coś jeszcze?

Aleksander milczał. Milczał tak długo, że cierpliwie czekając, myślała, iż zapomniał, o co go pytała. Gdy się wreszcie odezwał, w jego głosie zabrzmiała dziwna nutka.

– O dziewczyny. Jest ich pełno, starczyłoby dla każdego, mimo to czasami podobała mu się ta, z którą akurat byłem. Mówił mi o tym, a ja się wycofywałem. Po prostu znajdowałem sobie inną i wszystko toczyło się po staremu.

Tatiana patrzyła w noc. Jej oczy były zielone, czyste jak najczystszy ocean.

– Powiedz, prosił cię, żebyś się wycofał, tylko wtedy, kiedy byłeś z dziewczyną, która bardzo ci się podobała, prawda?

– To znaczy?

– Nie chodziło mu o pierwszą lepszą. Interesowała go tylko ta, której okazywałeś wyjątkowe względy. Tak?

– Chyba tak – odrzekł w zadumie Aleksander.

– Więc kiedy poprosił o mnie – kontynuowała powoli Tatiana – po prostu się wycofałeś.

– Nie. Udałem, że nie wiem, o co mu chodzi, że nic do ciebie nie czuję. Miałem nadzieję, że ta obojętność go zniechęci. Niestety, nie zniechęciła.

Tania potrząsnęła głową i rozpłakała się.

– Zdradza cię twarz, Szura. On mnie nie zostawi.

Objął ją i przytulił.

– Wiem, Taniu. Mógłbym teraz uciec od ciebie aż do Japonii, ale jemu to obojętne. Zakochał się w tobie, chce cię tylko dla siebie…

Popatrzyła mu w oczy i jeszcze mocniej przywarła do jego piersi.

– Szura – szepnęła – coś ci powiem, dobrze? Słuchasz mnie?

– Tak.

– Nie, nie, nie wstrzymuj oddechu. – Posłała mu blady uśmiech. – Myślisz, że to coś strasznego?

– Nie wiem. Trudno mi w tej chwili zgadywać. Może masz dziecko? Mieszka z przyszywaną ciocią i…

Roześmiała się lekko.

– Nie. Gotowy? Mogę mówić?

– Mów.

– Dmitrij się we mnie nie kocha.

Aleksander drgnął i wytrzeszczył oczy.

Tatiana pokręciła głową.

– Nie. Absolutnie. Ani trochę. Możesz mi wierzyć.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– W takim razie czego od ciebie chce? Tylko mi nie mów, że…

– Ode mnie nie chce niczego. Posłuchaj, tylko uważnie: jedyne, czego Dmitrij chce, czego pragnie, czego pożąda, to władza. Tylko to się dla niego liczy. Władza: miłość jego życia.

– Władza nad tobą?

– Ależ skąd! Nad tobą. Ja jestem tylko środkiem do osiągnięcia celu.

Aleksander spojrzał na nią z powątpiewaniem. Tatiana westchnęła.

– Dmitrij nie ma władzy. Ty ją masz. Dima może jedynie cieszyć się tym, co zyska dzięki tobie. Do tego sprowadza się jego życie. – Pokręciła głową. – Jakie to smutne…

– Smutne? Po czyjej jesteś stronie?

– Szura, spójrz tylko na siebie. A potem na niego. On cię potrzebuje, dzięki tobie jest syty, cały i zdrowy. Im jesteś silniejszy, tym więcej przybywa mu sił. Dmitrij dobrze o tym wie. Ślepo na tobie polega, a ty chętnie spełniasz jego pragnienia. Mimo to im więcej masz, tym bardziej cię nienawidzi. On kieruje się wolą przeżycia, a jednocześnie ilekroć dostajesz awans czy medal, ilekroć masz nową dziewczynę, ilekroć śmiejesz się radośnie w zadymionym korytarzu, czuje się mniejszy i gorszy. Dlatego im silniejszy się stajesz, tym więcej od ciebie chce.

– W końcu zechce czegoś, czego nie będę mógł mu dać. Co wtedy?

– To, że wszystko ci odbiera, zaprowadzi go do piekła.

– Tak, a mnie na rozwałkę. – Aleksander pokręcił głową. – W jego prośbach i żądaniach ciągle pobrzmiewa ukryta groźba: jeśli nie, to idę do NKWD. Wystarczy jedno słowo o twojej amerykańskiej przeszłości i natychmiast trafisz w tryby radzieckiego wymiaru sprawiedliwości.

– Wiem – westchnęła ze smutkiem Tatiana. – Może gdyby miał więcej, przestałby prosić…

– Nie, Taniu. Mam co do niego złe przeczucia. Będzie prosił i żądał, żądał i prosił, aż w końcu odbierze mi wszystko.

– Nie, Szura, mylisz się. Nie odbierze ci wszystkiego. Takiej władzy nigdy nad tobą nie zdobędzie. – Pewnie będzie próbował, pomyślała, wznosząc ku niemu oczy. Ale nie wie, z kim ma do czynienia. – Poza tym – szepnęła – wiadomo, co się dzieje z pasożytem, kiedy jego nosiciel…

– Tak. Znajduje sobie nowego nosiciela. Wiesz, czego on najbardziej pragnie?

– Tego samego co ty.

– Taniu, przecież ja najbardziej pragnę ciebie.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiem, Szura. On też o tym wie. On się we mnie nie kocha. On chce twojej krzywdy.

Aleksander spojrzał w czarną pustkę pod sierpniowym niebem.

– Szura – szepnęła Tania. – Gdzie twoja odważna i obojętna mina? Bądź taki, kiedy do ciebie przyjdzie, a zacznie cię prosić o to, czego najbardziej pragnąłeś przede mną.

Aleksander nie odpowiedział. Siedział bez ruchu i milczał.

– Przede mną – powtórzyła. Boże, dlaczego on nic nie mówi? – Szura?

– Przestań, Taniu. Ja już nie mogę. Nie mogę dłużej o tym rozmawiać.

Nie potrafiła opanować drżenia rąk.

– Ty, ja, to, co między nami zaszło, Dasza… Mimo to odwiedzasz mnie, kiedy tylko masz okazję.

– Mówiłem, nie potrafię bez ciebie żyć.

Przeszedł ją dreszcz.

– Boże, musimy o sobie zapomnieć, Szura. Nie do wiary, ale po prostu nie jesteśmy sobie pisani…

– Nie mów tak – rzucił z uśmiechem. – A to, że dwa miesiące temu usiadłaś na tej ławce? Założę się o własny karabin, że innego dnia nigdy byś tego nie zrobiła.

Miał rację. Doskonale pamiętała autobus, który postanowiła przepuścić, żeby kupić sobie lody.

– Skąd wiesz?

– Stąd, że innego dnia nigdy bym do tej ławki nie podszedł. Dzieli nas tyle przeszkód i kiedy zaciskamy zęby, kiedy próbujemy ze sobą zerwać, żeby się jakoś pozbierać, znowu interweniuje los: z nieba sypią się cegły, a ja wygrzebuję cię spod nich ranną, lecz żywą. Czy to też przypadek?

Tatiana stłumiła szloch.

– Nie – szepnęła. – Nie możemy zapomnieć, że zawdzięczam ci życie. – Podniosła wzrok. – Że do ciebie należę.

– Lubię, kiedy tak mówisz. – Przytulił jąjeszcze mocniej.

– Uciekaj, Szura. Uciekaj i zabierz ze sobą swoją broń. Uratuj mnie przed nim. On musi uwierzyć, że nic cię nie obchodzę, wtedy przestanie się mną interesować. Zobaczysz. Da mi spokój, pójdzie na front. Musimy przetrwać tę wojnę, zanim dotrzemy tam, gdzie nam pisane. Zrobisz to dla mnie?

– Postaram się.

– Przestaniesz przychodzić? – spytała drżącym głosem.

– Nie. Tak daleko nie ucieknę. Wystarczy, że będziesz się trzymała z dala ode mnie.

Myślała, że pęknie jej serce. Przywarła do niego całym ciałem.

– Dobrze.

– Z góry proszę cię o przebaczenie, że będę dla ciebie oschły i zimny. Mogę ci zaufać?

Potarła policzkiem o jego ramię.

– Tak – szepnęła. – Zaufaj mi, Szura. Nigdy cię nie zawiodę.

– I nie wyprzesz się mnie? – spytał czule. – Nigdy?

– Tylko przed Daszą. I przed Dmitrijem.

– No i co? – spytał z ironicznym uśmiechem. – Nie cieszysz się teraz, że Bóg powstrzymał nas przed tym, co mogło się zdarzyć w szpitalu?

– Nie. – Siedzieli, patrząc sobie w oczy. Ona wyciągnęła dłoń. On położył na niej swoją.

– Spójrz – powiedziała cicho. – Sięgam palcami tylko do połowy twoich.

– Widzę. – Ścisnął jej rękę tak mocno, że jęknęła i zaczerwieniła się po czubki uszu.

Pocałował ją w policzek, tuż koło nosa.

– Mówiłem ci już, że uwielbiam twoje piegi? Są takie podniecające…

Wymruczała coś w odpowiedzi i pocałowali się głęboko, nie rozplatając palców.

– Tatiasza… Masz niesamowite usta… – Oderwał się od niej i znieruchomiał. – Jesteś… – Niechętnie otworzyła oczy. – Boże, ty w ogóle nie jesteś świadoma swego ciała, Taniu. To jedna z twoich najbardziej wzruszających i najbardziej irytujących cech.

– Nie wiem, o czym mówisz… – Zupełnie odebrało jej rozum. – Szura, jak to możliwe, że nigdzie nie możemy pójść? – Załamał jej się głos. – Co to za życie?

– Komunistyczne, Taniu, komunistyczne.

Przywarli do siebie jak dwoje zrozpaczonych rozbitków.

– Ty wariacie – szepnęła. – Dlaczego się ze mną kłóciłeś, wiedząc, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nam?

– Wtedy, przed Kirowem? Rzuciłem wyzwanie losowi. To jedyne, co mogę. Nie daję się pokonać, przynajmniej próbuję.

Kocham cię. Pragnęła to powiedzieć, lecz nie mogła. Kocham cię, kocham. Pochyliła głowę.

– Moje serce jest chyba za młode…

Objął ją i utulił.

– Tatiu – szepnął – tak, masz młode serce. – Pocałował ją między piersiami. – A moje serce chce przy nim być. Gdyby mi cię odebrano…

Nagle wstał, szybko i gwałtownie. Z tyłu dobiegł jakiś hałas i na taras wyjrzał sierżant Pietrenko. Nadeszła pora na zmianę warty.

Aleksander zniósł ją na dół, a potem objęli się i ruszyli powoli w kierunku Piątej Radzieckiej. Była druga nad ranem. O szóstej oboje zaczynali pracę, lecz mimo to tulili się do siebie, korzystając z ostatnich godzin nocy. Gdy doszli na Newski, wziął ją na barana. Ona niosła karabin, on niósł ją.

Szedł powoli i niespiesznie. Wokół nich spał ciemny Leningrad.

7

Gdy nazajutrz wieczorem wróciła z pracy, w pokoju zastała zawodzącą matkę, a w korytarzu Daszę, która płakała nad szklanką herbaty. Mietanowowie właśnie otrzymali telegram z dawno nie istniejącego dowództwa w Nowogrodzie, telegram, informujący rodzinę, że trzynastego lipca czterdziestego pierwszego roku pociąg wiozący niejakiego Pawła Mietanowa i setki innych młodych ochotników został zbombardowany przez niemieckie samoloty. Nikt nie ocalał.

Tydzień potem pojechałam go szukać, myślała otępiała Tatiana, krążąc po pokoju. Co robiłam, kiedy pociąg mojego brata wyleciał w powietrze? Pracowałam? Jechałam tramwajem? Czy choć raz o nim pomyślałam? Tak, myślałam o nim wiele razy. I czułam, że już go nie ma. Kochany Pasza. Straciliśmy cię, nawet o tym nie wiedząc. Koszmar. Przeżyć miesiąc, kilka dni, jedną noc, przeżyć jedną minutę w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, gdy tymczasem to, na czym budowało się życie, leżało już w gruzach. Zamiast cię opłakiwać, snuliśmy plany, chodziliśmy do pracy, marzyliśmy i kochaliśmy, nie wiedząc, że już odszedłeś.

Jak mogliśmy być tak ślepi?

Czyż nie zapowiadały tego wyraźne znaki, jak choćby to, że tak bardzo nie chciałeś wyjeżdżać, to, że tak długo nie mieliśmy od ciebie żadnej wiadomości? Zapowiadały.

Następnym razem je dostrzeżemy, następnym razem powiemy: nie, zaraz, przecież to znak. Następnym razem będziemy wiedzieli. I natychmiast przywdziejemy żałobę.

Czy mogliśmy cię zatrzymać? Jeszcze raz cię przytulić, jeszcze raz pobawić się z tobą w parku i oszukać nieugięty los? Odwlec to, co nieuniknione, chociaż o kilka dni, o kilka niedziel, o kilka wieczorów? Czy warto by było czekać ten jeden, jedyny miesiąc, a potem pozwolić ci odejść? Znając nieuchronną przyszłość, czy warto by było oglądać twoją twarz przez jeszcze jeden dzień, przez jeszcze jedną godzinę czy choćby tylko minutę?

Tak.

Tak, na pewno warto. I dla ciebie, i dla nas.

Pijany ojciec spał, a mama płakała, czyszcząc kozetkę. Tatiana chciała odebrać jej wiadro z wodą i posprzątać, ale mama ją odepchnęła. Dasza płakała w kuchni, gotując obiad. Tanię przepełniało bolesne poczucie nieodwołalności i silny lęk przed tym, co ich czekało. Niezrozumiała teraźniejszość, która zabiła jej brata, mogła sprawić, że przyszłość będzie jeszcze straszniejsza.

Tatiana weszła do kuchni.

– Dasza, miesiąc temu spytałaś mnie, czy moim zdaniem Pasza jeszcze żyje. Powiedziałam ci wtedy, że…

– Nic mnie to nie obchodzi – warknęła siostra.

– Ale dlaczego mnie o to spytałaś?

– Bo myślałam, że mnie pocieszysz, że poklepiesz mnie czule po ramieniu. Nie chcę o tym rozmawiać. Może tobą to nie wstrząsnęło, ale nami tak.

Na kolację przyszedł Aleksander. Przyszedł i spojrzał pytająco na Tatianę. Ta powiedziała mu o telegramie.

Przygotowanej przez Daszę kapusty z szynką nie jadł nikt oprócz Aleksandra i Tani, która – mimo tlącej się jeszcze nadziei – już od wyprawy do Ługi czuła, że brat nie żyje.

Ojciec wciąż leżał na kozetce. Mama siedziała obok niego, wsłuchując się w monotonne tik-tak, tik-tak radiowego metronomu.

Dasza poszła nastawić samowar i Tania została sam na sam z Aleksandrem. Pochylili głowy i bez słowa spojrzeli sobie w oczy.

– Odwagi, Aleksandrze – szepnęła Tania.

– Odwagi, Taniu.

Potem Tatiana poszła na dach, by w chłodną leningradzką noc wypatrywać niemieckich bomb. Lato się skończyło. Wkrótce miała nadejść zima.

CZĘŚĆ 2
Zimy ostre wiewy

Szturm! Atak!

1

Ile kosztuje kłamstwo? Ile płaci zań dusza? Jaką cenę płaci zań ktoś, kto kłamie na każdym kroku, z każdym oddechem, przy każdym raporcie Radzieckiego Biura Informacyjnego, przed każdą listą poległych i nad każdą kartką żywnościową?

Tatiana kłamała od rana do chwili, gdy nocą ogarniał ją niespokojny sen.

Chciała, żeby Aleksander przestał do nich przychodzić. Kłamstwo.

Pragnęła, żeby zerwał z Daszą. Niestety. Kłamstwo.

Koniec z wyprawami do soboru Izaaka. Dobra wiadomość. I kolejne kłamstwo.

Koniec z jazdą tramwajami, ze spacerami brzegiem kanału i parkowymi alejami, koniec z wyprawami do Ługi. Zapomnieć o jego ustach, zapomnieć o przyspieszonym oddechu. Dobrze. Bardzo dobrze. Świetnie. Kłamstwo.

Był zimny. Był znakomitym aktorem i potrafił udawać, że ten obojętny uśmiech, te spokojne ręce, nawet ten wypalony do końca papieros nie znaczy absolutnie nic. Ilekroć na nią patrzył, nie drgnął mu ani jeden mięsień na twarzy. Dobrze. Dobre kłamstwo.

Na początku września w Leningradzie wprowadzono godzinę milicyjną. Po raz kolejny zmniejszono racje żywnościowe. Aleksander odwiedzał ich coraz rzadziej i rzadziej. I bardzo dobrze. Kłamstwo. Kłamstwo.

W obecności Tatiany i Dmitrija był dla Daszy niezwykle czuły. Świetnie. Kłamstwo. Kłamstwo. Kłamstwo.

Zbierała się na odwagę, robiła dobrą minę do złej gry i ze ściśniętym sercem posyłała Dmitrijowi promienny uśmiech. Tak, potrafiła to robić. I kolejne kłamstwo.

Podawanie herbaty. Niby taka prosta czynność, a jednak wymagająca sporej dozy obłudy. Bo herbatę należało podać najpierw komuś innemu, a dopiero potem jemu. I opanować przy tym drżenie rąk.

Jakże pragnęła wyrwać się z zaczarowanego kręgu, jakim był Leningrad na początku września. Wyrwać się z kręgu rozpaczy i nieszczęśliwej miłości.

Kochała Aleksandra. No, nareszcie. Nareszcie coś prawdziwego. Kurczowo się tego trzymała.

Od kiedy dostali telegram z wiadomością o śmierci Paszy, ojciec pracował coraz mniej i coraz częściej pił. Ponieważ rzadko wychodził z domu, Tatianie trudno było gotować, sprzątać, odpoczywać i czytać. Znowu kłamstwo. Nie było jej trudno, tylko nieprzyjemnie. Pozostawał jej tylko dach, jedyne miejsce, gdzie mogła zaznać względnej ciszy i spokoju. Spokoju wewnętrznego już od dawna nie zaznała.

Siedząc na dachu, zamykała oczy i wyobrażała sobie, że nie ma już gipsu i że znowu spaceruje z Aleksandrem, że idą Newskim do placu Pałacowego, wybrzeżem wokół Pola Marsowego, że przechodzą przez most na Fontance, że idą przez Ogród Letni, że wracają na wybrzeże, skręcają do Smolnego, mijają park Taurydzki, przecinają ulicę Sałtykowa-Szczedrina, przechodzą obok swojej ławki, potem na drugą stronę Prospektu Suworowa, że są już prawie w domu. A krocząc u jego boku, czuła się tak, jakby wkraczała w nowe życie.

Spacerując w wyobraźni z Aleksandrem, słyszała jednocześnie stłumione echo artyleryjskich wystrzałów i eksplozji. To, że strzelano znacznie dalej niż wtedy, w Łudze, niewiele ją pocieszało. Bo teraz nie było przy niej Aleksandra.

Częstotliwość i długość jego wizyt zmniejszała się równie szybko jak racje żywnościowe Tani, a on sam dozował siebie tak, jak rada miejska dozowała mieszkańcom kartki. Tatiana bardzo za nim tęskniła. Pragnęła pobyć z nim sam na sam, choć przez chwilę, choć przez sekundę, tylko po to, żeby sobie przypomnieć, że lato czterdziestego pierwszego nie było iluzją, że naprawdę spacerowali kiedyś wzdłuż murku nad kanałem, że naprawdę niosła jego karabin, że on patrzył na nią i śmiał się.

Dzisiaj nie śmiał się już prawie nikt.

– Niemcy jeszcze daleko, prawda? – spytała Dasza przy herbacie; przy tej przeklętej herbacie. – Kiedy przyjdą, odeprzemy von Leeba, i już, tak?

– Tak – odrzekł Aleksander.

Akurat. Kolejne kłamstwo.

Patrzyła, jak siostra tuli się do niego, jak go uwodzi. Odwracała wtedy wzrok i spoglądała na Dmitrija.

– Opowiedzieć ci kawał?

– Co? Nie, Taniu. Nie mam nastroju.

– Nie szkodzi – mówiła, obserwując uśmiechającego się do Daszy Szurę. Same kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa.

Ale kłamstwa nie wystarczały. Dmitrij nie chciał się od niej odczepić.

Wciąż nie miała żadnych wiadomości od Mariny, a Wiera i inne pielęgniarki ze szpitala coraz bardziej bały się wojny. Tatiana też się bała: front był coraz bliżej. Wojna przestała być czymś abstrakcyjnym, czymś, co pochłonęło odległą Ługę i Paszę, czymś, z czym walczyli Ukraińcy w spalonych wioskach czy Anglicy w swoim poprawnym, wychuchanym Londynie.

Ale w sumie, myślała, to chyba lepiej, że wreszcie nadeszła, bo nie mogę tak dłużej żyć.

Zdawało się, że całe miasto wstrzymało oddech. Tatiana też.

Przez cztery dni z rzędu podawała na kolację kapustę, którą smażyła na coraz mniejszej ilości oleju.

– Co to jest? – spytała mama. – Co ty nam podajesz?

– To ma być smażona kapusta? – narzekał ojciec.

– Nie można nawet chleba zamoczyć w oleju. Gdzie jest olej?

– Zabrakło – odparła Tania.

W radiu podawali tylko najbardziej przygnębiające wiadomości. Wyglądało to tak, jakby dziennikarze celowo czekali, jakby czyhali na kolejną klęskę Rosjan i dopiero wtedy siadali przed mikrofonem. Pod koniec sierpnia, zaraz po upadku Mgi, podano, że Niemcy zaatakowali Dubrowkę. W Dubrowce, małym miasteczku po drugiej stronie rzeki, mieszkała mama mamy, czyli babcia Maja.

Dubrowka padła szóstego września.

I nagle nadeszła wiadomość, o którą było równie trudno jak o olej do smażenia, gdyż była to wiadomość dobra: babcia Maja miała zamieszkać z nimi przy Piątej Radzieckiej! Niestety, Michaił, ojczym mamy, zmarł na gruźlicę kilka dni wcześniej. Kiedy Niemcy spalili Dubrowkę, babcia uciekła do miasta.

Zajęła cały pokój, tak że rodzice musieli przeprowadzić się do pokoju Tatiany i Daszy. Dość, Taniu, odejdź.

Babcia Maja całe życie mieszkała w Leningradzie i nawet do głowy jej nie przyszło, żeby się ewakuować.

– Tu się urodziłam, tu umrę – oświadczyła, otwierając walizkę.

Po raz pierwszy wyszła za mąż na przełomie wieków; zaraz potem na świat przyszła matka Tatiany. Mąż babci zaginął podczas wojny w tysiąc dziewięćset piątym i chociaż nie wyszła ponownie za mąż, przez trzydzieści lat żyła z biednym, chorym na gruźlicę wujkiem Michaiłem. Kiedyś Tania spytała ją, dlaczego go nie poślubiła.

– A Fiodor? – odparła babcia. – Przecież może jeszcze wrócić. To by dopiero było.

Babcia Maja malowała i studiowała sztuki piękne; przed rewolucją sprzedawała obrazy galeriom, ale po tysiąc dziewięćset siedemnastym zaczęła zarabiać na życie, ilustrując bolszewickie materiały propagandowe. W jej domu w Dubrowce wszędzie leżały albumy ze szkicami krzeseł, kwiatów i owoców.

Powiedziała im, że dom spłonął tak szybko, iż nie miała czasu nic uratować.

– Ale nic się nie martw, Tanieczka. Narysuję ci piękne krzesło.

– Może lepiej jabłko? – odrzekła Tatiana. – Teraz jest sezon.

Nazajutrz, siódmego września, tuż przed kolacją przyjechała do nich

Marina. Jej ojciec zginął podczas walk na przedmieściach Iżorska, jako niewyszkolony działowy obsługujący działo czołgu, który sam zmontował. Mietanowowie uwielbiali wujka Borysa i gdyby nie koszmar, jaki przeżywali po śmierci Paszy, jego śmierć bardzo by ich poruszyła.

Matka Mariny wciąż leżała w szpitalu; z dala od wojny, powoli umierała na niewydolność nerek. Naiwność Tani zadziwiła nawet ją samą. Z dala od wojny? Jak to? Czy to możliwe, żeby wszystko to, co się ostatnio działo, nie miało żadnego związku z wojną? Najpierw wujek Misza, teraz ciocia Rita. Ludzie umierający z dala od okopów, które wykopał Aleksander? Było w tym coś niesprawiedliwego.

Ojciec patrzył na walizkę Mariny. Mama też. I Dasza.

– Marinko – powiedziała Tatiana – chodź, pomogę ci się rozpakować.

Ojciec spytał, czy Marina z nimi zamieszka.

– Chyba tak – odrzekła Tania.

– Chyba?

– Tatusiu, jej tata zginął, a twoja siostra umiera w szpitalu. Chcesz ją stąd wyrzucić?

– Taniu – wtrąciła Marina – zaprosiłaś mnie, nie uprzedzając ojca? Nic to, nie martw się, wujku. Mam swoje kartki.

Ojciec łypnął spode łba na Tatianę. Mama też. I Dasza.

– Chodź, Marinko – powtórzyła Tatiana. – Pomogę ci się rozpakować.

Tego wieczoru wydarzył się mały kłopot z kolacją. Dziewczęta zostawiły jedzenie na płycie – tylko na chwilę – i wróciwszy do kuchni, stwierdziły, że mały świeży pomidor, cebula i smażone ziemniaki po prostu zniknęły. Została tylko pusta i brudna patelnia. Do jej dna przywarło kilka przypalonych ziemniaków pokrytych odrobiną oleju. Dasza i Tatiana rozglądały się po kuchni, nie wierząc własnym oczom, zajrzały nawet do pokoju, przekonane, że podały kolację i po prostu o tym zapomniały.

Ale nie, ziemniaki naprawdę zniknęły.

Dasza, jak to Dasza: wzięła Tanię za rękę i zaczęła chodzić od drzwi do drzwi, pytając, czy nikt nie widział ich kolacji. Żanna Sarkowa była brudna i rozchełstana jak szalony Sławin.

– Wszystko w porządku? – spytała Tatiana.

– Tak! – warknęła Sarkowa. – Ziemniaki? Też coś. Mąż mi zginął, ot co! Nie widziałaś go w szpitalu?

Tania pokręciła głową.

– Może go postrzelili….

– Postrzelili? – spytała Tatiana. – Gdzie?

– A skąd mam wiedzieć? Ziemniaki! Nie, nie widziałam waszych głupich ziemniaków. – I zatrzasnęła drzwi.

Sławin leżał na podłodze i coś do siebie mamrotał. W jego klitce pachniało wszystkim, tylko nie smażonymi ziemniakami.

– Co on będzie jadł? – szepnęła Tatiana.

– Nie nasza sprawa – odrzekła Dasza.

Iglenków nie było w domu. Po śmierci Wołodi, który zginął wraz z Paszą, stary Iglenko prawie nie wychodził z fabryki i całymi dniami przetapiał złom na amunicję. Niedawno dostali kolejną złą wiadomość: ich najstarszy syn, Pietka, poległ w Pułkowie. Pozostało im tylko dwóch najmłodszych, Anton i Kirył.

– Biedna Nina – westchnęła Tatiana, gdy wracały do pokoju.

– Biedna?! – prychnęła Dasza. – Co ty, do diabła, bredzisz? Ma jeszcze dwóch synów. Prawdziwa z niej szczęściara.

– Łżą – dodała, gdy weszły do korytarza. – Wszyscy łżą jak najęci.

– Chyba nie – odparła Tatiana. – Smażone ziemniaki niełatwo ukryć.

Tego wieczoru jedli chleb z masłem. Jedli i narzekali. Potem tata skrzyczał je za to, że nie dopilnowały kolacji. Tatiana milczała, pamiętając o ostrzeżeniu Aleksandra, że powinna zachować ostrożność w obecności ludzi, którzy mogą ją uderzyć.

Po kolacji rodzina doszła do wniosku, że nie warto ryzykować. Mama i babcia powyjmowały zapasy – konserwy, mąkę, mydło, sól i wódkę – i poutykały je we wszystkich zakamarkach pokoju, a nawet za sofą, tą w korytarzu.

– Jakie to szczęście – zauważyła mama – że mamy przepierzenie. Te hieny tu nie wejdą, po moim trupie. Koniec z trzymaniem jedzenia w kuchni. Już ja tego dopilnuję.

Potem przyszedł Aleksander. Gdy powiedzieli mu o ziemniakach, poradził, żeby zamykać na klucz drzwi kuchenne.

Dasza przedstawiła go Marinie. Podczas powitania przyglądali się sobie dłużej niż wypada. Zażenowana Marina uciekła wzrokiem w bok i zrobiła krok do tyłu. Aleksander uśmiechnął się, objął Daszę i powiedział:

– A więc to jest ta twoja kuzynka…

Tatiana pragnęła zapaść się pod ziemię, a Marinie odebrało mowę.

– Taniu – spytała, gdy znalazły się w kuchni. – Dlaczego Aleksander patrzył na mnie tak, jakby mnie znał?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Jest czarujący…

– Tak myślisz? – Do kuchni zajrzała Dasza; szła do łazienki, zostawiwszy Aleksandra w korytarzu. – To trzymaj ręce przy sobie, bo on jest mój – dodała wesoło.

– Jest naprawdę czarujący, prawda? – szepnęła Marina, gdy ponownie zostały same.

– Tak, da się lubić. Zmyjesz patelnię?

Czarujący Aleksander stał w progu, paląc papierosa i uśmiechając się do Tani.

Tata nie przestawał jęczeć i narzekać. Uważał, że studenckie racje żywnościowe Mariny są za małe, i że kolejna gęba do wykarmienia jeszcze bardziej uszczupli rodzinne zapasy.

– Przyszła tu, żeby zjeść konserwy ojca – wymamrotał do mamy, spoglądając na rząd puszek.

Tatiana nie wiedziała, czy ma ochotę je zjeść, czy pocałować.

– To twoja siostrzenica, tato – szepnęła cichutko, żeby nie usłyszała jej Marina. – Jedyna córka twojej jedynej siostry.

2

Nazajutrz, ósmego września, w mieście było bardzo niespokojnie, i to od samego rana.

Nalot, nalot! – krzyczało radio.

Wysoko nad miastem przeleciały niemieckie samoloty.

– Słyszysz? – wykrzyknęła Wiera, chwytając Tanię za rękę. – Słyszysz ten huk?

Wyszły na Ligowski i stanęły przed bocznym wejściem do szpitala. Z oddali dochodził głuchy grzmot. Nie przybierał na sile, tylko na częstotliwości.

– Wieroczko, toż to moździerze – powiedziała spokojnie Tatiana. – Zwyczajne moździerze. Wystrzeliwują miny…

– Miny?

– Tak. Nie wiem dokładnie, jak to działa, ale ustawiają na ziemi rurę, która wystrzeliwuje miny, takie pociski. Duże, małe, rozrywające, zapalające, z zapłonem opóźnionym i przyspieszonym. Najgorsze są odłamkowe, ale są też takie małe, przeciwpiechotne. Wystrzeliwują je po sto naraz. Tak, te są najgorsze, śmiertelnie niebezpieczne.

Wstrząśnięta Wiera rozdziawiła usta.

Tania wzruszyła ramionami.

– Ługa. Żałuję, że tam byłam. Wierka, możesz obciąć mi nogę?

Weszły do środka.

– Chyba zdejmę ci tylko gips. Amputacja byłaby zbyt drastyczna.

Oglądała swoją nogę pierwszy raz od półtora miesiąca. Chciałaby pooglądać ją dłużej, ale gdy tylko wykuśtykała z sali, dobiegły ją krzyki z pokoju pielęgniarek. Wszystkie siostry pobiegły na górę. Tania ruszyła za nimi. Ilekroć stawała na chorej nodze, przeszywał ją tępy ból.

Gdy wyszła na dach, kilkaset metrów wyżej przeleciały dwie formacje po osiem samolotów w każdej i zaraz potem po drugiej stronie miasta buchnął słup ognia i czarnego dymu. Boże, pomyślała, to nie sen, to się dzieje naprawdę. Niemcy bombardują Leningrad. Myślałam, że Ługa już nie wróci, że czegoś gorszego już nie zobaczę. Z Ługi mogłam przynajmniej uciec i wrócić tu, gdzie cisza i spokój. Dokąd ucieknę teraz?

Wtem poczuła cierpką, gryzącą woń. Co to jest?

– Wiero – powiedziała – idę do domu. Wracam do rodziny. – Ten zapach. Co to za dziwny zapach?

Wszystko wyjaśniło się po południu. Płonął magazyn Badajewa, który zaopatrywał Leningrad w żywność. Tę cierpką, gryzącą woń wydzielał palący się cukier.

– Tatusiu – spytała, gdy przybici i sposępniali siedzieli przy stole. – Co teraz? Co będzie z miastem?

Ojciec długo milczał.

– Chyba to samo co z Paszą.

Mama wybuchnęła płaczem.

– Przestań! Nie mów tak! Nie strasz dzieci!

Dasza, Tatiana i Marina wymieniły nieme spojrzenia.

Bombardowanie trwało aż do wieczora.

Anton zabrał Tanię na dach. Chodzenie bez gipsu na nodze było dość dziwne, lecz nie

tak dziwne jak widok czarnego dymu nad miastem.

Aleksander miał rację, pomyślała. Od samego początku miał rację. Sprawdziło się wszystko to, co mówił. Z sercem przesyconym czułością i szacunkiem postanowiła, że od tej pory zawsze będzie go słuchała. I nagle przeszedł ją lekki dreszcz: dreszcz strachu.

Aleksander mówił, że… Tak. Że na ulicach Leningradu rozgorzeje walka na śmierć i życie.

Że Dmitrij pójdzie w bój z karabinem w ręku, Szura z granatem, a ona z kamieniem.

Czy nie mówił też, żeby kupować żywność tak, jakby miały to być ostatnie zakupy w jej życiu? Może trochę przesadzał, może chciał ją tylko nastraszyć. Tak, na pewno, pomyślała z ulgą. Ale czy nie namawiał jej, żeby uciekała z miasta? Namawiał, i to nieraz. Patrząc na żałobny całun dymu, przesłaniający miasto niczym wielka, czarna kopuła, i myśląc o przyszłości rodziny, odniosła wrażenie, że w mroku czai się coś złego. Przeczucia. Miała złe przeczucia.

Podekscytowany Anton wpatrywał się w niebo.

– Taniu! – zawołał. – Taniu, jestem mistrz nad mistrze! Tuż koło mnie spadła taka mała, zapalająca, i zgasiłem ją tym! – Pokazał jej kij z czymś w rodzaju betonowego kołpaka na końcu, po czym zaczął podskakiwać, wymachiwać pięściami i piskliwie krzyczeć: – Chodźcie tu, Szwaby! Chodźcie! Czekam na was!

– Anton – odrzekła ze śmiechem Tatiana. – Sfiksowałeś jak Sławin.

– Bardziej! Znacznie bardziej! On tu jest? Nie, na szczęście.

Tatiana popatrzyła w kierunku Newskiego i rzeki. Pożary. Wszędzie pożary.

Zza drzwi na schody wychynęła czyjaś głowa. Mama. Nie miała odwagi wyjść na dach.

– Tatiano Gieorgijewno! Czyś ty zwariowała? Natychmiast zejdź na dół!

– Nie mogę, jestem na służbie.

– Proszę natychmiast zejść! Słyszysz?

– Za godzinę, mamusiu. Idź. Zaczekajcie na mnie w mieszkaniu.

Rozsierdzona mama wymamrotała coś pod nosem i dziesięć minut później wróciła z Aleksandrem i Dmitrijem.

Tatiana pokręciła głową.

– Co ty wyprawiasz, mamo? Sprowadziłaś posiłki?

– Tatiano – Aleksander podszedł do niej zdecydowanym krokiem – zejdź na dół. – Dmitrij został przy drzwiach.

Tatiana nie ruszyła się z miejsca.

Aleksander uniósł brwi.

– Natychmiast, Taniu.

Tania ciężko westchnęła.

– A on? Przecież nie mogę zostawić go tu samego, prawda?

– Nic mi nie będzie! – wrzasnął Anton, wymachując kijem. – Jestem uzbrojony!

Ruszyli w stronę drzwi. Aleksander zerknął na Antona i rzucił:

– Włóż hełm, żołnierzu.

– Taniu droga – powiedział Dmitrij, gdy weszli do mieszkania. – Nie powinnaś wychodzić na dach podczas nalotu.

– Kiedy indziej nie ma sensu – odparła łagodnie Tatiana. – Chyba że zechcę się poopalać. – Weszła do pokoju.

– W tym mieście się nie poopalasz – warknął Aleksander. – Poważnie, Taniu, co ty sobie wyobrażasz? Dmitrij ma rację, twoja matka też. Chcesz, żeby została jej tylko Dasza? Anton miał szczęście. Nie wszystkie bomby to bomby zapalające, nie wszystkie

spadają na dach jak martwy gołąb. Zapomniałaś już, jak było w Łudze? Pamiętasz, co się dzieje, kiedy bomba wybucha w powietrzu? Fala uderzeniowa rozbija szkło, rozrywa drewno i plastik. Po co oklejaliśmy okna taśmą? Wiesz, co by się stało, gdyby taka bomba eksplodowała na dachu?

– Oklejcie taśmą i mnie – odparła oschle Tatiana. – Najlepiej we wzorek, w małe palemki.

– Nie odszczekuj, mądralo! – powiedziała Dasza. – Dość mamy przez ciebie kłopotów. – Ścisnęła Aleksandra za rękę. – Nasi dzielni chłopcy nie będą cię już odgrzebywać.

– Mnie przy tym nie było – mruknął Dmitrij z błyskiem w oku. – A szkoda. Prawda, Aleksandrze?

– Wiesz co, Taniu? – wtrąciła mama. – Lepiej zacznij szykować kolację i zostaw nas, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać. Pomóż jej, Marino.

Makaron z odrobiną masła, fasola i marchewka. Tania uznała, że to za mało, i usmażyła mielonkę z puszki dziadka, chociaż nikt jej nie lubił.

– Widzę, że rodzice nadal nie chcą przy tobie rozmawiać – zauważyła Marina.

– Fakt.

– Ale ci wojskowi… Bardzo się tobą przejmują. Zwłaszcza Aleksander.

– Aleksander przejmuje się wszystkim i wszystkimi. Przyniesiesz trochę masła? Tego chyba nie wystarczy.

Kolację zjedli w posępnej atmosferze. Aleksander i Dmitrij wyjeżdżali na front i nikt nie chciał myśleć o najgorszym: oni na wojnie, a w Leningradzie Niemcy. Tatiana wiedziała, że w przeciwieństwie do Dmitrija, Szura ma dowodzić artylerią, lecz zupełnie jej to nie pocieszało.

Mimo to, kiedy pili już herbatę, zdołała wykrzesać z siebie odrobinę energii i z ożywieniem spytała:

– No i co teraz?

– Musicie korzystać ze schronu na dole – odrzekł Aleksander. – Macie szczęście, że w ogóle tam jest. W większości domów są tylko piwnice. Schodźcie tam codziennie, jak najczęściej. Aha, Dasza. Dopilnuj, żeby Tatiana nie siedziała na dachu. Bombami niech zajmą się chłopcy. Słyszysz?

– Tak, kochanie.

Tatiana słyszała go aż za dobrze. Odchrząknęła i spytała:

– Aleksandrze, czy w tym magazynie spaliło się dużo żywności?

Szura wzruszył ramionami.

– Trochę cukru, trochę mąki… Parodniowe zapasy. Ale magazyn to nic. Najgorsze jest to, że Niemcy okrążyli miasto.

– Nie do wiary – powiedziała Dasza. – Niemcy w Leningradzie. Latem byli jeszcze tak daleko…

– Ale teraz są blisko. Zamknęli pierścień.

– Pierścień? – mruknęła Tania. – Trudno to nazwać pierścieniem.

– A ty kto? – wrzasnął pijany ojciec. – Jakim prawem zaprzeczasz porucznikowi Armii Czerwonej?

Aleksander uciszył ich gestem ręki.

– Twój ojciec ma rację, Taniu. Nie sprzeczaj się ze mną, chociaż w tym wypadku masz trochę racji.

Tatiana z trudem powstrzymała się od uśmiechu.

– Niestety – kontynuował poważnie Szura – nasze położenie geograficzne sprzyja

Niemcom. Otacza nas za dużo wody – wyjaśnił z uśmiechem. – Powiem inaczej: z Ładogą, z Newą, z Zatoką Fińską i z Finami od północy pierścień wokół Leningradu jest kompletny. – Popatrzył na Tanię. – Co ty na to? Teraz lepiej?

Wymamrotała coś niezrozumiałego i przypadkowo pochwyciła spojrzenie Mariny.

Dmitrij objął ją i musnął nosem jej włosy.

– Zaczynają odrastać – powiedział. – Zapuść długie, dobrze? Uwielbiam, kiedy są długie.

Nie, to, co robi Aleksander, to za mało, pomyślała. To, co robimy razem, też nie wystarczy. Boże, jak długo będziemy to ciągnąć? Musimy przestać ze sobą rozmawiać w obecności Dimy, Daszy, rodziców i Mariny. Jeśli nie przestaniemy, będą kłopoty. Jakby czytając jej w myślach, Szura przysunął się z krzesłem bliżej Daszy.

– Niemcy są już nad Newą? – spytała Dasza.

– Tak – odrzekł. – Zapuścili się aż nad Ładogę, aż do Szlisselburga.

Szlisselburg był małym miastem leżącym w miejscu, skąd wypływała

Newa, by siedemdziesiąt kilometrów dalej przeciąć Leningrad i wpaść do Zatoki Fińskiej.

– Szlisselburg też zajęli?

– Nie – westchnął Aleksander. – Ale jutro zajmą.

– A potem?

– Potem ich powstrzymamy.

– Magazyn się spalił – powiedziała mama. – Jak dowiozą nam żywność?

– Żywność – dodał Dmitrij – benzynę, olej napędowy, amunicję…

– Najpierw powstrzymamy Niemców, a potem będziemy się martwić o resztę – przerwał mu Aleksander.

Dima parsknął chrapliwym śmiechem.

– Chcą wejść do miasta, niech sobie wchodzą. Wszystkie większe budynki są zaminowane. Każda fabryka, każde muzeum, katedra i most. Jeśli Hitler tu wejdzie, zginie pod gruzami. Ale my go nie powstrzymamy. My umrzemy razem z nim.

– Nie, Dmitrij – odparł Szura. – Powstrzymamy go, zanim tu wejdzie.

– A więc z Leningradu pozostanie jedno wielkie pogorzelisko, tak? – spytała Tatiana. – A co będzie z nami?

Nikt jej nie odpowiedział.

Aleksander pokręcił głową.

– Jutro wyjeżdżamy z Dmitrijem do Dubrowki. Spróbujemy ich powstrzymać.

– Ale dlaczego akurat my? – wykrzyknął Dima. – Dlaczego akurat ty i ja? Dlaczego nie możemy się poddać? Poddał się Mińsk, poddał się Kijów i Tallin, który najpierw doszczętnie spłonął. Poddał się cały Krym, z radością poddała się Ukraina! – Wpadał w coraz większą złość. – Po cholerę mamy ginąć? Żeby powstrzymać Hitlera? A niech tu przyjdzie!

– Dmitrij – powiedziała mama. – W tym mieście mieszka twoja Tania. I Dasza, dziewczyna Aleksandra.

– Nie wspominając już o mnie – wtrąciła Marina. – Chociaż nie mam chłopaka, ja też tu mieszkam.

– Właśnie – rzucił oschle Aleksander. – Chcesz zejść Niemcom z drogi, żeby mogli dopaść twoją dziewczynę?

– Dmitrij! – wykrzyknęła Dasza. – Wiesz, co oni robią z Ukrainkami?

– Ja nie wiem – odrzekła Tatiana. – Co?

– Nieważne, Taniu – odparł łagodnie Szura. – Czy mógłbym dostać jeszcze trochę herbaty?

Dima wbił wzrok w pustą szklankę.

– Tobie też przyniosę – powiedziała Tania.

– Mój ojciec ich nie powstrzymał, nie zdołał – wyszeptała Marina. – Myślicie, że ktoś da im radę?

Szura milczał.

– Nikt! – wykrzyknął Dmitrij. – Nikt! Mamy trzy nędzne dywizje. To za mało, nawet gdyby przyszło nam walczyć do ostatniego żołnierza i do ostatniego czołgu!

Aleksander wstał i zasalutował.

– À propos. Musimy iść. Dziękuję za herbatę, Taniu. – Spojrzał na Dmitrija. – Wstańcie, szeregowy, idziemy. Od was zależy życie tej rodziny. – Na Tatianę nawet nie zerknął.

– Właśnie tego najbardziej się boję – wymamrotał Dima.

Dasza wybuchnęła płaczem i przytuliła się do Aleksandra.

– Wrócisz? – spytała. – Obiecaj, że wrócisz cały i zdrowy.

– Postaram się. – Dopiero teraz spojrzał na Tatianę.

Tania ani nie płakała, ani nie prosiła o nic Dmitrija. Kiedy wyszli, zjadła kawałek słodkiego ciasta, delektując się nim jak największym rarytasem.

– Podoba mi się ten Dima – powiedziała Marina. – Jest szczery. Lubię, kiedy żołnierz jest szczery.

Zaskoczona Tatiana zmarszczyła brwi.

– Żołnierz, który nie chce walczyć? Co to za żołnierz? Jak chcesz, możesz go sobie wziąć.

3

Nazajutrz rano, gdy się ubierali, radio podało, że na dach domu przy Sadowej spadła bomba zapalająca, i że nie zdołano jej ugasić. Eksplodowała, zabijając dziewięć osób, z których żadna nie miała dwudziestu lat.

Mój brat też nie miał dwudziestu lat, pomyślała Tatiana, wkładając buty; wciąż bolała ją noga.

– Widzisz? – mruknęła mama. – A nie mówiłam? Na dachu jest niebezpiecznie.

– Mamo, miasto jest oblężone, wszędzie jest niebezpiecznie.

Bombardowanie rozpoczęło się punktualnie o ósmej. Tania nie zdążyła nawet pójść po jedzenie. Cała rodzina zeszła do schronu. Zdenerwowana Tatiana ogryzała paznokcie i bębniła palcami w kolano, lecz niewiele to pomagało. Przesiedzieli tak godzinę.

Potem ojciec dał jej swoje kartki i wysłał ją do sklepu.

– Tanieczko – poprosiła mama – weźmiesz i moje? Mam dużo pracy. Szyję nowe mundury. Jeden mundur dla naszego Aleksandra, dziesięć rubli dla mnie – dodała z uśmiechem.

Tatiana chciała pójść z Mariną, ale Marina musiała pomóc babci się ubrać. Dasza była w kuchni i prała coś w żeliwnym zlewie.

Koniec końców, Tania poszła sama. Na Fontance w pobliżu teatru znalazła duży sklep. W teatrze grali „Dwunastą noc" Szekspira, a przed sklepem ciągnęła się długa kolejka.

Gdy stanęła przed ladą, oznajmiono jej, że ponieważ Niemcy zbombardowali magazyn Badajewa, władze po raz kolejny zmniejszyły racje żywnościowe.

Ojcu przysługiwało pół kilograma chleba, ale wszyscy pozostali mogli wykupić jedynie po trzysta pięćdziesiąt gramów, a Marina i babcia jeszcze mniej, bo tylko po dwieście pięćdziesiąt. W sumie na całą rodzinę przypadało dwa kilogramy chleba dziennie. Oprócz chleba Tania kupiła trochę marchwi, fasoli sojowej, trzy jabłka, dziesięć deka masła i pół litra mleka.

Wróciła biegiem do domu i powiedziała rodzinie o zmniejszonych racjach. Zupełnie się tym nie przejęli.

– Dwa kilo chleba? – spytała mama, odkładając szycie. – To aż za dużo. Jest wojna, nie musimy się obżerać. Zaciśniemy pasa, i już. Poza tym mamy jeszcze zapasy. Jakoś sobie poradzimy.

Tatiana podzieliła chleb na dwie porcje, śniadaniową i kolacyjną, następnie obie porcje podzieliła na dwanaście mniejszych. Najwięcej przeznaczyła dla ojca. Najmniej dla siebie.

W szpitalu nikt już nie udawał, że czeka ją jakieś szkolenie. Kazano jej sprzątać ubikacje, myć pacjentów i prać brudną pościel. Roznosiła też jedzenie w stołówce, dzięki czemu mogła podjeść trochę sama. Ilekroć do stołówki wpadali żołnierze, pytała ich, czy są z koszar pułku Pawłowskiego.

Bombardowanie trwało cały dzień.

Tego wieczoru zdążyła posprzątać po kolacji, ale już o dziewiątej ponownie zawyły syreny. Pobiegli do schronu. Siedzieli tam i siedzieli. Minęły dopiero dwa dni, myślała Tania. Boże, jak długo jeszcze? Kiedy spotkam Aleksandra, spytam go o to, wyciągnę z niego prawdę.

Schron był długi i wąski. Paliły się tam tylko dwie lampy naftowe – dwie lampy na

sześćdziesięcioro ludzi, którzy siedzieli na ławkach lub opierali się o pomalowane na szaro ściany.

– Tatusiu – spytała Tatiana. – Jak długo to potrwa?

– Pewnie kilka godzin – odrzekł znużony ojciec; jego oddech cuchnął wódką.

– Nie, pytam o wojnę.

– Skąd mam wiedzieć? – mruknął, próbując wstać. – Skończy się, kiedy nas wszystkich zabiją.

– Mamo, co mu jest?

– Tanieczko, jak możesz być tak ślepa? Pasza. Ojciec wciąż myśli o Paszy.

– Nie jestem ślepa – wymamrotała Tatiana, przysuwając się do Daszy i Mariny. – Rodzina go potrzebuje… Daszo, Marinka mówi, że podkochiwał się we mnie Misza, ten z Ługi, pamiętasz? Ona chyba zwariowała.

– Fakt, zwariowała – odrzekła siostra.

– Dzięki.

Marina spojrzała na nie i westchnęła.

– To wy zwariowałyście, obie. A ty, Daszo, będziesz musiała to kiedyś odszczekać, zobaczysz.

– Widzisz, Taniu? – rzuciła Dasza, nawet nie podnosząc głowy. – Miszka byłby dla ciebie lepszy.

Nazajutrz było dokładnie to samo. Tym razem Tatiana zabrała ze sobą „Notatki z podziemia" Dostojewskiego.

Dzień później stwierdziła, że dłużej tak nie wytrzyma. Boże, pomyślała, przecież nie mogę siedzieć tu cały dzień i bębnić palcami w kolano. Toteż kiedy rodzina ponownie schodziła do schronu, została w tyle, wróciła biegiem na górę i poszła na dach, gdzie czuwali Anton, Mariszka, Kirył i kilku mężczyzn, których nie znała. Wiedziała, że przy odrobinie szczęścia rodzice nie zauważą nawet jej nieobecności.

Na dachu świst i huk rozrywających się bomb był dość przerażający, mimo to została tam aż dwie godziny. Ku ich rozczarowaniu, w pobliżu nic nie wybuchło.

Miała rację: rodzice niczego nie zauważyli.

– Gdzie siedziałaś, Tanieczko? – spytała mama. – Przy drugiej lampie?

– Tak.

Nie mieli od nich żadnych wiadomości – ani od Aleksandra, ani od Dmitrija. Dziewczęta umierały ze zdenerwowania. Z trudem nad sobą panowały, warczały i na siebie, i na pozostałych. Tylko babcia Maja zachowywała niewzruszony spokój i nieustannie malowała.

– Babciu – spytała Tatiana, rozczesując jej długie, siwiejące już włosy – skąd u ciebie to opanowanie?

– Jestem za stara, żeby mnie to obchodziło. Co innego wy, młodzi – odrzekła babcia z uśmiechem. – Wy chcecie żyć, a mnie życie zobojętniało. – Popatrzyła na Tanię i musnęła dłonią jej policzek.

– Nie mów tak. – Tatiana objęła ją i przytuliła. – A jeśli Fiodor wróci?

– Nie powiedziałam, że nie chcę żyć – odrzekła babcia, głaszcząc ją po głowie. – Powiedziałam tylko, że życie mi zobojętniało.

Tatiana martwiła się o Marinę. Kuzynka wychodziła z domu wczesnym rankiem, szła na uniwersytet, potem odwiedzała matkę w szpitalu i wracała późnym wieczorem.

Wieczorami mama szyła. Wieczorami ojciec pił, krzyczał i spał. Wieczorami słuchały z Daszą radia. Wieczorami było bombardowanie i Tania wymykała się ukradkiem na dach.

Za dnia dobiegały ich odgłosy wojny. W Leningradzie nieustannie grzmiało. Huk dochodził z bliska i z daleka, zamierał na chwilę w południe, by wieczorem ustać na dobre.

Tatiana pracowała, chodziła po chleb, leczyła chorą nogę i zachowywała się tak, jakby jej życie toczyło się dalej, jakby nie zatrzymało się w miejscu jak ten tramwaj przy Kanale Obwodowym.

Babcia Maja miała cały pokój dla siebie. Mama spała na sofie, ojciec na leżance Paszy. Tatiana, Dasza i Marina spały w jednym łóżku. Tania cieszyła się, że wraz z przybyciem kuzynki między nią i siostrą wyrósł swoisty bufor, dzięki któremu mogła myśleć o bombardowaniu zamiast o Daszy. Bo Dasza przeżywała tragedię. Bo podczas wojny miała prawo kochać Aleksandra.

Jednakże bufor był za mały, ponieważ którejś nocy siostra położyła się nie przy Marinie, tylko przy niej.

– Taniu, śpisz?

– Nie. Co się stało?

– Myślisz, że oni… zginęli?

– Przestańcie, dziewczyny – mruknęła Marina. – Rano idę na zajęcia.

– Wiemy.

Dasza przytuliła się do siostry i cichutko wyszlochała:

– Zginęli?

Tatiana nabrała powietrza i głęboko odetchnęła, za siebie i za Aleksandra.

– Nie – szepnęła. – Oni żyją. – Nie chciała rozmawiać z siostrą o Szurze. Ani teraz, ani nigdy. – Martw się o siebie, Daszka. Zobacz tylko, jak my żyjemy. Czy ty w ogóle to widzisz? Rano poprosili mnie w szpitalu, żebym poszła na górę i pomogła przy opatrywaniu ofiar bombardowania. Poszłam, ale kiedy zobaczyłam, co z nich zostało… Wiesz, że przy Ligowskim zawalił się dom?

– Nie.

– Gruzy przygniotły dziewczynę. Miała siedemnaście lat…

– Tyle samo co ty.

– Tak. Jej ojciec pomagał strażakom ją odkopywać. Kopali przez cały dzień. Znaleźli ją dopiero o szóstej, kiedy wychodziłam ze szpitala. Już nie żyła. Miała dziurę w czole.

Dasza milczała.

– O szóstej? – spytała Marina. – O szóstej było bombardowanie. Nie zeszłaś do schronu?

– Marinko – powiedziała Dasza – nie warto z nią o tym gadać. – Przytuliła się do Tatiany i szepnęła: – Jeśli nie zaczniesz schodzić do schronu, powiem ojcu.

Tej nocy syreny obudziły ich o trzeciej nad ranem. Wyglądało na to, że Niemcy postanowili się zabawić. Tatiana odwróciła się do ściany i pewnie spałaby dalej, gdyby rodzice i siostra nie wywlekli jej z łóżka. Gdy tłoczyli się na półpiętrze za schodami, pomyślała, że gorzej już być nie może.

4

Aleksander i Dmitrij wrócili do Leningradu dwunastego września, pierwszego dnia, kiedy nie było ani jednego bombardowania. Przyjechali z Dubrowki tylko na jeden wieczór, po żołnierzy i broń.

Uszczęśliwiona Dasza tonęła we łzach i nie rozstawała się z Aleksandrem nawet na sekundę, odmawiając pomocy przy gotowaniu kolacji. Dmitrij nie rozstawał się z Tatianą, ale podczas gdy Dasza czule obejmowała Szurę, Tania stała sztywno jak kołek w płocie, rozglądając się bezradnie po pokoju.

– Dobrze, już dobrze – powtarzała, próbując nie patrzeć na czarne włosy Aleksandra i na jego krzepkie plecy. Naprawdę próbowała, lecz na próżno. Patrzyła więc, wiedząc, że musi jej to wystarczyć, że przy nich go nie obejmie.

– Taniu – powiedziała Marina, kiedy Dmitrij poszedł się umyć, a Dasza wybiegła do kuchni, żeby wstawić wodę na herbatę. – Ten mężczyzna walczy za ciebie na froncie. Mogłabyś okazać mu trochę więcej zainteresowania.

Okazuję, i to aż za dużo, pomyślała Tatiana, z trudem odrywając wzrok od twarzy Szury.

– Marina ma rację – wtrącił z uśmiechem Aleksander. – Mogłabyś okazać mu chociaż tyle samo zainteresowania co Żanna Sarkowa. Przechodząc koło jej uchylonych drzwi, zobaczyłem, jak leży na łóżku ze szklanką przytkniętą do ściany.

– Naprawdę?

Aleksander wziął karabin, grzmotnął kolbą w ścianę i głośno spytał:

– Znacie ten kawał? Kolega oprowadza kolegę po swoim mieszkaniu. Gość pyta: „Po co ci ta wielka miska?”. A tamten odpowiada: „To nie miska, to gadający zegar”. Bierze młotek… – Aleksander wziął zamach i ponownie grzmotnął kolbą w ścianę. – Uderza nim w miskę i nagle…

– Niech cię szlag, sukinsynu! – wrzasnęła Sarkowa. – Jest druga rano!

Tatiana śmiała się tak głośno, że Aleksander odłożył karabin i delikatnie poklepał ją po plecach.

– Dziękuję, Taniu – rzekł z uśmiechem. – Umieram z głodu. Co jest na kolację?

Tatiana, idąc do kuchni, zauważyła, że Marina nie spuszcza z niej oczu.

Usmażyła dwie puszki mielonki, ugotowała garstkę ryżu, trochę makaronu i odgrzała rosół, który zapomniał już, że jest rosołem. Gdy stała przy płycie, do kuchni wszedł Aleksander; chciał się umyć. Tatiana wstrzymała oddech. Szura zajrzał do garnków i westchnął.

– Hmm… Ryż, makaron i… woda? Wody nie chcę.

– To jest rosół – odrzekła cichutko Tania. Szura pochylił głowę. Gdyby przesunęła się trzy centymetry w lewo, mogłaby go dotknąć.

Nie śmiejąc głębiej odetchnąć, powolutku się przesunęła.

– Strasznie zgłodniałem – szepnął, patrząc jej w oczy, lecz zanim zdążył cokolwiek dodać, do kuchni weszła Marina.

– Dasza przesyła ci ręcznik – powiedziała. – Zapomniałeś.

– Dzięki. – Wziął ręcznik i zniknął w łazience.

Tatiana gapiła się w zupę, jakby szukała w niej jego odbicia. Marina podeszła bliżej i zajrzała do garnka.

– Widzisz tam coś ciekawego?

– Nie – odrzekła Tania, prostując się i cofając.

– Hmm… Nic dziwnego. Ciekawsze rzeczy dzieją się tutaj.

– Jak tam jest? – spytała Dasza przy kolacji. – Strasznie?

– A wiesz – odrzekł Aleksander, jedząc szybko i łapczywie – to dziwne, ale nie. Ciężko było tylko przez pierwsze dwa dni, prawda, Dima? Dima wie. Cały czas siedział w okopach. Niemcy chcieli nas sprawdzić. Atakowali, atakowali, ale wytrzymaliśmy i przestali. Nasi zwiadowcy przysięgają, że zaczęli się okopywać. I to jak: budują betonowe bunkry.

– Betonowe bunkry? – powtórzyła Dasza. – Co to znaczy?

– To znaczy – odrzekł powoli Aleksander – że prawdopodobnie nie zamierzają wkraczać do Leningradu.

Wszyscy się ucieszyli – wszyscy z wyjątkiem ojca, który siedział, na wpół śpiąc na kozetce, i Tatiany, która dostrzegła złowieszcze wahanie w twarzy Aleksandra.

– A ty? – spytała ostrożnie, zagryzając wargę. – Też się z tego cieszysz?

– Tak – mruknął Dmitrij, jakby zwracała się do niego.

– Nie – odparł Aleksander. – Myślałem, że będziemy walczyć. Walczyć jak żołnierze…

– I jak żołnierze ginąć! – przerwał mu Dima, waląc pięścią w stół.

– Tak, gdyby zaszła taka potrzeba…

– Mów za siebie. Wolałbym już, żeby Niemcy siedzieli w tych bunkrach przez dwa lata i zagłodzili nas na śmierć.

– Przestań. – Aleksander odłożył sztućce. – Mielibyśmy gnić w okopach? Nie uważasz, że to nie przystoi? Że zalatuje tchórzostwem? – Posłał mu zimne spojrzenie, otarł usta i sięgnął po kieliszek. Tatiana podała mu butelkę.

– Nie, to nie jest tchórzostwo – odparł Dmitrij. – To jest bardzo mądre posunięcie. Siedzisz i czekasz. A kiedy nieprzyjaciel zmięknie, atakujesz. To się nazywa strategia.

– Dimoczka – powiedziała mama, nerwowo skubiąc makaron. – Chyba nie chcesz nas tu zagłodzić?

– Nie, nie – odrzekł Dmitrij. – To była tylko przenośnia.

Tatiana patrzyła na Aleksandra. Aleksander milczał.

– Jest jeszcze wódka? – spytał Dima, podnosząc prawie pustą butelkę. – Mam ochotę się urżnąć.

Wszyscy zerknęli na ojca i szybko odwrócili wzrok.

– Aleksandrze – rzuciła wesoło Tatiana; lubiła wymawiać jego imię na głos. – Przyszła do nas dzisiaj Nina Iglenko. Chciała pożyczyć trochę mąki i szynki. Mamy dużo, więc jej daliśmy. Żałowała, że nie była przewidująca tak jak my i nie…

– Taniu – przerwał jej Aleksander i Tania usiadła ciężko na krześle. A jednak. Miała rację. Szura coś wiedział i nie chciał im tego zdradzić. – Nie dawaj nikomu ani grama żywności, rozumiesz? Pod żadnym pozorem. Nikomu, nawet Ninie.

– Przecież nie głodujemy – odrzekła Tatiana.

– Właśnie – wtrąciła Dasza. – Racjonowanie żywności to dla nas nie pierwszyzna. Ot, choćby podczas kampanii fińskiej. Gdzieś ty wtedy był?

– Walczyłem z Finami – odparł posępnie Aleksander.

Kampania, konflikt – przecież to nic innego jak wojna. Tatiana zastanawiała się, skąd u Daszy te eufemizmy. Czyżby siostra pisała teksty propagandowe do radia?

– Posłuchajcie – powiedział Aleksander. – Wszyscy. Pilnujcie żywności, jakby był to najcenniejszy skarb, skarb, który może ocalić wam życie.

– Boże, dlaczego jesteś taki poważny? – mruknęła Dasza. – Gdzie twoje słynne poczucie humoru? Niemcy nas nie zagłodzą. Jestem pewna, że ci z rady miejskiej zdobędą żywność. Zgoda, jesteśmy okrążeni, ale chyba nie całkowicie, prawda?

Aleksander zapalił papierosa.

– Dasza, zrób coś dla mnie: oszczędzaj zapasy.

– Dobrze, najdroższy. Masz moje słowo. – Pocałowała go w policzek.

– Ty też, Taniu – dodał Szura.

– Dobrze, najdroższy. Masz moje słowo. – Tania go nie pocałowała.

– Jak długo bombardowali Londyn? – spytała Dasza.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym? Czterdzieści nocy i dni.

– Czterdzieści nocy i dni? – powtórzyła Dasza. – Myślisz, że nas też…

Tatiana zesztywniała. Chciała go spytać o to samo i teraz już nie musiała.

– Dłużej – odrzekł Aleksander. – Będą nas bombardować, dopóki Leningrad się nie podda, dopóki nie padnie albo dopóki ich nie odeprzemy.

– Poddać się? – spytała Dasza. – Jeśli zajdzie taka konieczność, wyjdę na ulicę i będę z nimi walczyła.

Jak na dziewczynę, która nie wyściubiała nosa ze schronu, Dasza przemawiała bardzo odważnie.

Aleksander pokręcił głową.

– Nie wiesz, co mówisz. Walki uliczne są katastrofalne w skutkach nie tylko dla oblężonych, ale i dla atakujących. I jedni, i drudzy tracą mnóstwo ludzi. Co prawda, nasz ukochany przywódca nie dba o życie swoich żołnierzy, za to Hitler wykazuje zadziwiająco zdrowe zainteresowanie przetrwaniem rasy aryjskiej. Dlatego sądzę, że nie będzie ryzykował i nie wprowadzi wojska do Leningradu. – Zerknął na Tatianę. – Myślę, że spełnią się życzenia Dimy – dodał z nie ukrywaną pogardą w głosie.

Dmitrij siedział rozwalony na sofie, tuż obok ojca. Albo był pijany, albo zupełnie otępiały. Tania spojrzała na niego i poszła po szklanki do herbaty.

– Będzie jak w Londynie? – spytała Dasza z błyszczącymi oczami, odrzucając długie, kręcone włosy. – Kiedy Niemcy bombardowali Londyn, ludzie żyli tak, jakby nic się nie stało. Działały nocne kluby, młodzi chodzili na tańce… Widziałam zdjęcia. Było bardzo wesoło. – Uśmiechnęła się, głaszcząc Aleksandra po nodze.

– Daszo – wykrzyknął Szura. – Gdzie ty mieszkasz?! W Londynie? Londyn to dla ciebie jak Mars, rozumiesz? W Leningradzie nie ma nocnych klubów. Myślisz, że otworzą je teraz, podczas blokady?

Dasza spochmurniała.

– Jakiej blokady?

– Boże, Daszo! Niemcy Londynu nie oblegali! Naprawdę nie widzisz żadnej różnicy?

– Będą nas. oblegać? – spytała niepewnie Dasza.

Aleksander nie odpowiedział.

Mama, Marina i babcia ścieśniły się przy stole, pożerając go wzrokiem. Tylko Tatiana stała w drzwiach z tacą pełną szklanek i spodków.

– Jesteśmy okrążeni – powiedziała, nie patrząc na Szurę. – Dlatego Niemcy się okopują. Nie chcą tracić swoich ludzi. Zagłodzą nas na śmierć. Prawda, Aleksandrze?

– Dość, Taniu, wystarczy. Jeden wieczór i tyle pytań. Oszczędzajcie żywność, to najważniejsze.

– Aleksandrze – odezwała się z niedowierzaniem mama. – Słyszałam, że Niemcy są już w Peterhofie. To prawda?

– Pamiętasz, kochanie? – wymruczała Dasza, ściskając go za rękę. – Byliśmy w Peterhofie. Och, to był taki cudowny dzień! Nasze ostatnie beztroskie chwile. Pamiętasz?

– Tak, pamiętam – odrzekł Szura, nie patrząc na Tanię.

– Potem wszystko się zmieniło… – westchnęła smutno Dasza.

– Tak, Irino Fiodorowna. Niemcy są już w Peterhofie. Wynieśli dywany z pałacu i wyłożyli nimi okopy.

– Kochanie – powiedziała Dasza, pociągając łyk herbaty. – Może jednak Dmitrij ma rację? W Leningradzie zostało prawie trzy miliony ludzi. Chcecie ich wszystkich poświęcić? To chyba przesada. Czy dowództwo obrony miasta nie rozważa możliwości poddania się?

Aleksander przyglądał się jej bez słowa. Tatiana próbowała wyczytać coś z jego wzroku.

– Gdybyśmy się poddali… – kontynuowała Dasza.

– Poddali się i co? – wykrzyknął Szura. – Daszo, my nie jesteśmy im potrzebni. Ani my, ani ty. Czytałaś, co robili na Ukrainie?

– Staram się o tym nie czytać.

– Ja czytałam – powiedziała Tatiana.

– Dmitrij myślał przez chwilę, że pobyt w niemieckim obozie dla jeńców wojennych jest niezłym pomysłem. Uważał tak, dopóki się nie dowiedział, że naziści rozstrzeliwują więźniów, że grabią i palą wsie, zarzynają bydło, burzą stodoły, mordują wszystkich Żydów, kobiety, dzieci…

– Zapomniałeś dodać, że kobiety przedtem gwałcą – wtrąciła Tania.

Dasza i Aleksander oniemieli.

– Podaj mi dżem, dobrze? – poprosiła Dasza.

– Tak, i przestań tyle czytać – dodał Szura, patrząc w pustą szklankę.

– Skoro jesteśmy oblężeni – spytała Dasza, nabierając łyżką trochę dżemu – w jaki sposób władze sprowadzą tu żywność?

– Nam jedzenia nie zabraknie – odrzekła mama. – Dużo zaoszczędziliśmy.

– Nie wiem, mamo. Moim zdaniem Dmitrij ma rację. Powinniśmy się poddać i…

Patrząc ponuro na Tatianę, Aleksander pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Prawda, Taniu? „Nie ulegniemy i nie zawiedziemy. Wytrwamy do końca. Będziemy walczyć na morzach i oceanach. Bez względu na koszty, będziemy bronić naszej wyspy w powietrzu”.

– „Będziemy walczyć na plażach – podjęła odważnie Tatiana, patrząc mu prosto w oczy. – Będziemy walczyć na polach i na ulicach. Będziemy walczyć na wzgórzach. – Z trudem przełknęła ślinę. – Nie poddamy się. Nigdy” – zakończyła z drżącymi rękami. – Churchill.

Zirytowana Dasza ciężko westchnęła.

– Możesz nam zrobić herbaty, Churchillu?

Marina weszła do kuchni, żeby pomóc Tani pozmywać.

– Boże – szepnęła. – Nigdy w życiu nie widziałam nikogo głupszego i bardziej tępego niż twoja siostra.

Tatiana zbladła i zesztywniała.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Kilka dni później Tatiana i Dasza zrobiły domowy remanent, żeby sprawdzić, ile

zostało im żywności, z której większość Tania kupiła z Aleksandrem pierwszego dnia wojny.

Pierwszy dzień wojny. Był tak odległy, jakby należał do innego życia, do zupełnie innych czasów. Do nieodwracalnej przeszłości.

Natomiast teraźniejszość obdarowała ich czterdziestoma trzema kilogramami mielonki w puszkach, dziewięcioma puszkami przecieru pomidorowego i siedmioma butelkami wódki. Zaszokowana Tatiana przypomniała sobie, że przed ośmioma dniami, kiedy spalił się magazyn Badajewa, mieli ich aż jedenaście. Ojciec musiał pić więcej, niż myślały.

Mieli też dwa kilo kawy, cztery kilo herbaty, dziesięć kilo cukru w trzydziestu torebkach, piętnaście małych puszek sardynek, cztery kilo kaszy jęczmiennej, sześć kilo płatków owsianych i dziesięć kilo mąki.

– Sporo tego, co? – spytała Dasza. – Ile może potrwać ta cała blokada?

– Aleksander mówi, że do końca – odrzekła Tatiana.

Mieli też siedem pudełek zapałek po dwieście pięćdziesiąt zapałek w każdym.

Mama zaoszczędziła dziewięćset rubli, co wystarczyło na kupno żywności na czarnym rynku.

– Chodź, mamo – powiedziała Tania. – Idziemy. Natychmiast.

Poszły z matką do komercyjnego sklepu, który otwarto w sierpniu w Rejonie Oktiabrskim, niedaleko cerkwi św. Mikołaja. Szły ponad godzinę, a gdy wreszcie doszły, wytrzeszczyły oczy, widząc ceny towarów na półkach. Były tam jajka, ser, masło, szynka, a nawet kawior. Ale cukier kosztował siedemnaście rubli za kilo. Mama roześmiała się i ruszyła do drzwi, ale Tatiana chwyciła ją za rękę i powiedziała:

– Nie sknerz. Kup coś.

– Puszczaj, idiotko – warknęła matka. – Myślisz, że co? Że jestem głupia i zapłacę siedemnaście rubli za kilo cukru? Albo dziesięć rubli za dziesięć deka sera? Żartują z nas sobie czy co? – Spojrzała na sprzedawcę. – To jakiś żart? – wrzasnęła. – Kogo na to stać? Nikogo. Dlatego nie ma tu kolejek, jak przed zwykłymi sklepami!

Młody sprzedawca uśmiechnął się szyderczo.

– Oj, kobiety, kobiety… Albo kupujecie, albo wychodzicie.

– Wychodzimy – odparła matka. – Chodźcie, dziewczęta.

Tatiana nie ruszyła się z miejsca.

– Mamo, pamiętasz, co mówił Aleksander? – Wyjęła z torebki pieniądze, które zaoszczędziła, pracując u Kirowa i w szpitalu. Niewiele tego było. Zarabiała ledwie dwadzieścia rubli tygodniowo, z czego dziesięć oddawała rodzicom, lecz mimo to zdołała odłożyć sto rubli. Kupiła za to pięciokilogramowy worek mąki („Czterdzieści rubli! Zgroza! I po co nam więcej mąki?”), cztery kostki drożdży po dwa i pół rubla za kostkę, kilogram cukru i tuszonkę po trzydzieści rubli za kilo. Zostało jej trzy ruble, więc spytała, co może za to dostać. Sprzedawca zaproponował pudełko zapałek, pół kilograma herbaty lub czerstwy chleb, z którego można było zrobić grzanki. Po długim namyśle Tania wybrała chleb.

Przez resztę dnia kroiła bochenek na małe kawałki, które opiekała w duchówce. Matka, ojciec, a nawet Dasza śmiali się z niej i szydzili.

– Wydała trzy ruble na czerstwy chleb i jeszcze go opieka. Pewnie myśli, że będziemy to jedli!

Tania nie zwracała na nich uwagi. Cały czas pobrzmiewały jej w uszach słowa Aleksandra: „Kupuj tak, jakbyś miała jeść ostatni raz w życiu”.

Tego wieczoru Aleksander wysłuchał sprawozdania z wyprawy do sklepu i powiedział:

– Irino Fiodorowno, powinna pani wydać wszystko co do kopiejki i za dziewięćset rubli nakupić czerstwego chleba. Tak jak Tatiana.

Dziękuję, Szura, pomyślała Tania. Siedziała po drugiej stronie pokoju, a w pokoju było pełno ludzi. Nie dotykała go od wielu dni. Prosił, żeby trzymała się od niego z daleka, więc się trzymała, choć przychodziło jej to z wielkim trudem.

Mama pogardliwie machnęła ręką.

– Siedemnaście rubli za kilogram cukru. Jeszcze nie zgłupiałam. Mam rację, Gieorgij?

Ale Gieorgij już spał. Pewnie znowu za dużo wypił.

– Mamo, mam rację czy nie?

Babcia Maja jak zwykle malowała.

– Nie wiem, Irino. A jeśli to Aleksander ma rację?

5

Niemcy byli bardzo punktualni. Co wieczór o piątej wyły syreny, a radiowy metronom zaczynał popiskiwać z częstotliwością dwustu pisków na minutę.

Przerażającą monotonię nieustannych wybuchów przewyższała jedynie przerażająca monotonia wewnętrznego zakłamania, w którym żyła Tania, nieustanny strach o Aleksandra i tragiczne przygnębienie taty, który oddalił się od rodziny do tego stopnia, że stracił poczucie czasu.

– Niemożliwe – powiedział któregoś wieczoru, gdy zawyły syreny. – Bombardują nas chyba od tysiąca dni…

– Nie, tatusiu – odrzekła cicho Tatiana. – Dopiero od jedenastu.

Ostatnio denerwował ją nie tylko ojciec. Mamę całkowicie pochłaniało szycie. Babcia Maja spokojnie malowała, jakby w ogóle nie było wojny, a Marina myślała tylko o swojej matce; zresztą z Mariną Tania nie chciała za często rozmawiać. A Dasza… Daszę całkowicie pochłaniał Aleksander.

Dziadek i babcia byli bezpieczni; niedawno dostała od nich list. Pasza nie żył.

Dmitrij chodził zadumany i nieszczęśliwy. On też coraz więcej pił. Któregoś wieczoru dosłownie pchnął ją na ścianę przy kuchennym oknie i gdyby nie Dasza, Bóg wie, czym by się to skończyło.

Pocieszenie znajdywała jedynie wśród przyjaciół na dachu i w towarzystwie Szury.

Na dachu jak zwykle zastała małą, kędzierzawą Mariszkę, która z nadzieją wypatrywała kolejnych samolotów i kolejnych bomb. Zaniedbana, na wpół porzucona siedmiolatka biegała wokoło, radośnie wymachując rączkami.

– Tutaj, tutaj! – piszczała. – Przylećcie tutaj!

Anton czekał w pogotowiu z cementowym kołpakiem do gaszenia bomb zapalających.

– Anton – spytała Tania, siadając na papie i wyjmując z kieszeni kawałek suchara. – Co będzie, jeśli bomba spadnie ci na głowę? Masz ten głupi kołpak, ale kołpak ci wtedy nie pomoże. Lepiej nałóż hełm i usiądź.

Ani myślał siadać. Podekscytowany zaczął jej opowiadać o bombach odłamkowych, które przecinają człowieka na pół, zanim zdąży podnieść głowę, żeby sprawdzić, co na niego spada. Tania mogłaby przysiąc, że bardzo by chciał taki widok zobaczyć.

Pogryzając suchar, ze znużonym rozbawieniem obserwowała malutką, drobniutką Mariszkę.

Dziewczynka podbiegła do niej i powiedziała:

– Cześć, Tanieczko. Co jesz?

– Suchy chleb. – Tania sięgnęła do kieszeni. – Chcesz trochę?

Mariszka energicznie kiwnęła główką i zanim Tania zdążyła powiedzieć: „Tylko nie wyrywaj!”, chwyciła kawałek suchara i przełknęła go w całości.

– Masz jeszcze?

I nagle Tatiana dostrzegła w jej twarzy coś, czego przedtem nie widziała. Szybko wstała i wzięła ją za rękę.

– Gdzie twoi rodzice? – Ruszyły w stronę schodów.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Chyba śpią.

– Taniu! – zawołał Anton. – Zostaw ją.

Zaprowadziła Mariszkę do domu.

– Mamusiu, tatusiu, zobaczcie, kto do nas przyszedł.

Matka i ojciec ani drgnęli. Oboje spali z twarzami wtulonymi w brudną poduszkę. W pokoju cuchnęło jak w toalecie publicznej.

– Chodź do nas – powiedziała Tatiana. – Znajdę ci coś do jedzenia.

Nazajutrz o wpół do siódmej rano umyta i ubrana Tania nachyliła się nad śpiącą siostrą.

– Daszeńko, następnym razem nie nastawiaj budzika, tylko słuchaj syreny. Wstawaj. Idziemy do sklepu.

Dasza sennie mlasnęła językiem.

– Do sklepu? – wymamrotała. – Świetnie radzisz sobie sama.

– No chodź – namawiała Tania, ściągając z nich koc. – Obejrzysz poranne przedstawienie.

Dziewczęta ani drgnęły.

– Jak się spóźnisz, na pewno zdążysz na główne. Zaczyna się dokładnie o piątej.

Dasza i Marina nawet nie otworzyły oczu.

– Nie? To obejrzyj chociaż wieczorne – rzuciła przez ramię, wychodząc z pokoju. – Początek: punkt dziewiąta.

Może Aleksander wrócił, pomyślała. Może przyjdzie i porozmawiamy jak żywy człowiek z żywym człowiekiem. Czy już nikt nie chce ze mną rozmawiać? Czy już nikt mnie nie widzi? Nie wyczuwa mojej obecności? Wszyscy zniknęli, odcięli się ode mnie, jakbym umarła. Przyjdź, Szura. Przyjdź. Zapięła płaszcz i szybkim krokiem ruszyła ulicą Niekrasowa. Przyjdź i przypomnij mi, że jeszcze żyję.

Wieczorem, między nalotami, Aleksander rzeczywiście przyszedł zjedzeniem i z nachmurzonym Dmitrijem. W pokoju jak zwykle zaroiło się od ludzi. Tatiana pobiegła do kuchni, żeby odgrzać fasolę i ryż. Szura poszedł za nią – serce omal nie wyskoczyło jej z piersi – lecz w tej samej chwili dołączyła do nich Sarkowa, a zaraz potem Pietrow, Dasza i Marina. Aleksander natychmiast wyszedł.

Do stołu usiedli wszyscy oprócz ojca, który spał pijany w sąsiednim pokoju. Tatiana mogła się do Aleksandra odzywać, lecz w obecności tylu ludzi, tylu twarzy i oczu nie mogła na niego patrzeć. Patrzyła więc na jedzenie albo na mamę. Wzroku Daszy, Mariny i babci też wolała unikać, gdyż coraz częściej odnosiła wrażenie, że coś wyczuwają.

Aleksander opowiadał o złym przygotowaniu radzieckich wojsk, które broniły się przed Niemcami nad Newą.

– Dwa dni temu – mówił – mój batalion wysłano w okolice Szlisselburga; mieliśmy kopać okopy. Zabraliśmy kilka moździerzy, ale, wiecie, znowu ten koszmarny bałagan. – Zniżył głos. – Nie było tam nawet tych z NKWD.

– Nie mogą być wszędzie naraz – powiedziała Tatiana. – Mają za dużo pracy. Pilnują pograniczników, straży fabrycznej, milicjantów.

– I gestapowców – dokończył za nią Aleksander. – Nie zapominajmy też o ministrach spraw wszelakich, w tym wewnętrznych, i o czujnych strażnikach ładu tudzież spokoju.

Uśmiechnęli się; ona do talerza. Musiała, po prostu musiała dotknąć jego ręki, żeby oderwać go od przeszłości i wrócić do teraźniejszości. Nie, nie może tego zrobić: przy stole siedzi rodzina, przy stole siedzi Dmitrij. Ale czuła też, że Szura bardzo tego chce, że tego pragnie, i postanowiła, że za chwilę wstanie, dotknie jego ręki, a potem niech się dzieje co chce.

Zaczęła zbierać talerze. Podeszła bliżej, naparła biodrem na jego łokieć i szybko poszła dalej.

– Wiesz, Taniu – kontynuował – gdyby Niemcy zaatakowali w pierwszych dwóch tygodniach września, chybaby nas rozgromili. Nie mieliśmy ani czołgów, ani dział, a pod Szlisselburgiem stały tylko resztki sił z Karelii, źle uzbrojeni ochotnicy. Pamiętasz ochotników z Ługi? Pamiętasz, jak byli wyszkoleni? Nie wszyscy zachowują się równie przytomnie jak ty.

– Dlaczego rozmawiasz z nią o wojnie? – wtrąciła Dasza. – Jej to w ogóle nie interesuje. Lepiej pomów z nią o Puszkinie. Albo o gotowaniu. Ostatnio bardzo lubi gotować. Ale wojna? Ona nie wie nawet, że się toczy.

– Dobrze – odparł z poważną twarzą Aleksander. – Taniu, chciałabyś porozmawiać o Puszkinie?

– A propos gotowania… – wykrztusiła zmieszana Tatiana. – A raczej żywności. Gdzie jest teraz najbezpieczniej? Ilekroć idę do sklepu, zawsze mnie ostrzeliwują. To takie… niewygodne.

Szura wybuchnął śmiechem.

– Ładnie to ujęłaś. Najlepiej nigdzie nie chodź. A podczas ostrzału czy bombardowania siedź w schronie.

Nikt się nie odezwał.

– Tak, ale skąd oni strzelają? – spytała szybko Tatiana, żeby nie uprzedziła jej Dasza.

– Z Pułkowskich Wzgórz. Nie muszą już nawet wysyłać na nas samolotów. Zauważyłaś, że lata ich coraz mniej?

– Jak to? Wczoraj wieczorem naliczyliśmy prawie setkę.

– Wieczorem i nocą tak, bo wtedy trudniej je zestrzelić, ale za dnia bardzo się oszczędzają. Siedzą sobie na Pułkowskich Wzgórzach, walą z dział, a pociski spadają aż na Smolny. Wiesz, gdzie jest Pułkowo? Niedaleko Kirowa.

Tatiana zaczerwieniła się i wbiła wzrok w brudne naczynia. Dość. Musiała go powstrzymać. Nie, nie przestawaj, Szura, mów dalej. Mów dalej, bo umrę.

– Dzięki Bogu, że już tam nie pracujesz – powiedziała mama, gdy Tania wróciła z kuchni.

Aleksander radził, żeby nie chodziła Prospektem Suworowa. Odrzekła, że tamtędy nie chodzi.

– Najczęściej kupuję w sklepie przy Niekrasowa – powiedziała znacząco, zerkając na niego kątem oka. – Jestem tam codziennie o siódmej. Prawda, Dasza?

– Skąd mam wiedzieć? – odrzekła Dasza. – O tej porze jeszcze śpię.

– Unikaj ulic biegnących z północy na południe – powtórzył Szura.

Dasza parsknęła śmiechem.

– Kochanie, przecież połowa ulic w Leningradzie biegnie z północy na południe!

– A ty skąd wiesz? – rzuciła Tatiana. – Wychodzisz z domu tylko wtedy, kiedy nie strzelają.

Dasza objęła Aleksandra za szyję i pokazała jej język.

– I dobrze. Jestem przynajmniej rozsądna.

– A ty, Taniu? – spytał cicho Szura. – Ty też wychodzisz tylko wtedy, kiedy nie strzelają?

– Żartujesz? – wykrzyknęła Dasza. – Ona zupełnie zwariowała. Spytaj ją, jak często bywa w schronie.

Aleksander przeszył Tanię wzrokiem.

Ta wzruszyła ramionami.

– Bywam – odrzekła z zażenowaniem. – Pewnie, że bywam. Wczoraj siedziałam pod

schodami.

– Tak, przez trzy minuty. Aleks, ona dłużej nie usiedzi.

– Ale na dach chyba nie wychodzi?

Nikt mu nie odpowiedział. Żeby uniknąć jego spojrzenia, Tania pokręciła korbką maszyny do szycia.

– A na Newski? Mogę chodzić na Newski?

– Wykluczone. Tam jest najcięższy ostrzał. Uważają tylko, żeby nie trafić w Astorię. Wiesz, gdzie jest hotel Astoria? Niedaleko soboru Izaaka.

Tania czuła, że płonie jej twarz.

– Nieważne – dodał szybko Aleksander. – Hitler chce wydać w Astorii ucztę na cześć zwycięstwa. Najpierw przemaszeruje ze sztandarami Newskim, a potem będzie biesiadował. Trzymaj się z daleka od tamtych okolic. I nigdy nie chodź północną stroną ulic biegnących ze wschodu na zachód. Rozumiesz?

Tatiana długo milczała.

– Kiedy ma być ten bankiet? – spytała w końcu.

– W październiku. Hitler uważa, że do tego czasu mieszkańcy Leningradu opuszczą miasto. Ale moim zdaniem uczta się opóźni.

– Co my byśmy bez ciebie zrobili, Aleksandrze? – powiedziała Marina.

Dasza objęła go jeszcze mocniej.

– Przestań, Marinko. Chcesz poflirtować, to poflirtuj z chłopcem Tatiany.

– Śmiało, Marino, śmiało – wymamrotała Tania, spoglądając na półprzytomnego Dimę, który przysypiał na sofie.

– Naprawdę? – rzuciła Marina, unosząc brew. – Mam poflirtować z twoim chłopcem?

Za blisko uciekłeś, Szura, pomyślała Tatiana. Za blisko.

Kiedy zbierała szklanki, Dmitrij obudził się nagle i pociągnął ją na siebie.

– Tanieczko – wymamrotał. – Tanieczko…

Tania próbowała wstać, lecz na próżno.

– Taniu… – Miał cuchnący oddech. – Kiedy? Kiedy? Już dłużej nie mogę.

– Puść mnie, Dima. – Oddychała jak po ciężkim biegu, brakowało jej tchu. – Mam mokrą ścierkę w ręku.

– Przestań, Dmitrij – powiedziała mama. – On chyba za dużo pije…

Tania wyczuła, że stanął za nią Aleksander. Usłyszała też jego głos.

– Tak, stanowczo za dużo. – Odepchnął Dimę i pomógł jej wstać. Zanim się odsunął, zdążył jeszcze uścisnąć jej rękę. Dziękuję, Szura.

– Taniu, co mu jest? – spytała mama. – Ostatnio jest jakiś dziwny. Gderliwy, małomówny… Bardzo niemiły.

Tania obserwowała go chwilę.

– Czuje, że śmierć coraz bliżej, i mniej się mną interesuje. – Odwróciła się i nie zerknąwszy na Aleksandra, wyszła do kuchni, lecz tuż przedtem zdążyła pochwycić spojrzenie Mariny i babci. Dasza była w drugim pokoju. Doglądała ojca.

6

Tatiana myślała, że wytrzyma. Że wytrzyma niemal wszystko. Ale pewnego wieczoru – dwa tygodnie po zbombardowaniu magazynu Badajewa – kiedy wszyscy wrócili już z pracy i zamiast jeść kolację, sterczeli w schronie głodni i źli, Dasza usiadła przy niej i podekscytowanym głosem wykrzyknęła:

– Wiecie co? Wychodzę za mąż za Aleksandra!

Lampy naftowe dawały za dużo światła, żeby Tania mogła ukryć to, co w niej eksplodowało. Nawet Marina głośno sapnęła. Tylko rozradowana, promiennie uśmiechnięta Dasza, która nie zwracała uwagi na rozrywające się na górze pociski, nie dostrzegła tego, co działo się z jej siostrą.

– To wspaniale, Daszka – powiedziała Marina. – Gratulacje!

– Daszeńko! – zapiszczała mama. – Nareszcie jedna z moich córek założy własną rodzinę. Kiedy? Kiedy?

Siedzący obok ojciec wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Słyszałaś, Taniu? Wychodzę za mąż!

– Tak, słyszałam. – Tatiana odwróciła się, by napotkać współczujące spojrzenie Mariny. Nie wiedząc, co jest gorsze, popatrzyła na uśmiechniętą siostrę. – Moje gratulacje. Musisz być bardzo szczęśliwa.

– Szczęśliwa? Odchodzę od zmysłów! Dasza Biełowa. Boże! – Zachichotała. – Kiedy tylko dostanie urlop, pójdziemy do urzędu stanu cywilnego.

– Nie martwisz się? – Tania miała zamknięte oczy.

Dasza machnęła krzepką ręką.

– Nie. Czym mam się martwić? On też się nie martwi. Damy sobie radę.

– Cieszę się, że jesteś taka pewna siebie.

– Co ci jest? – Dasza objęła ją i przytuliła. Tania nie wiedziała, jakim cudem jeszcze siedzi. – Spokojnie, przecież nie wyrzucę cię z łóżka. Babcia odstąpi nam pokój, chociaż na kilka dni. – Cmoknęła ją w policzek. – Będę mężatką! Wyobrażasz sobie?

– Nie.

– Właśnie! – wykrzyknęła podniecona Dasza. – Ja też nie.

– Jest wojna. On może zginąć.

– Wiem. Myślisz, że nie wiem? I nie kracz, bo wykraczesz.

– Ja nie kraczę. – Tania zadrżała. – Nie chcę, żeby zginął.

– Dzięki Bogu, że nareszcie wyszli z tej przeklętej Dubrowki i siedzą koło Szlisselburga. Tam jest spokojniej. Wiesz – powiedziała z uśmiechem – kiedy zamykam oczy, czuję, że on tam jest, że żyje. Mam szósty zmysł – dodała z dumą.

Marina głośno zakaszlała. Tatiana otworzyła oczy i przeszyła ją wzrokiem. Kaszel natychmiast ustał.

– Co ty robisz, Daszka? Chcesz zostać wdową, zamiast dziewczyną poległego żołnierza?

– Taniu!

Tatiana zamilkła. Ulga. Gdzie jej teraz szukać? Przecież nie u mamy, nie u ojca, nie u dziadka i babci, którzy są tak daleko, nie u babci Mai, która jest zbyt stara, żeby cokolwiek ją obchodziło, nie u Mariny, która wie za dużo, nie wiedząc niczego, nie u Dmitrija, który utknął w swoim własnym piekle, a już na pewno nie u Aleksandra,

u tego niemożliwego, irytującego Aleksandra, któremu nigdy nie wybaczy.

Ogarnął ją tak wielki smutek, że nie mogła dłużej usiedzieć w miejscu. Wyszła ze schronu w samym środku ostrzału, słysząc za sobą głos Daszy:

– Chryste, co ją napadło?

Ściana, Marina i Dasza – jak spędziła tamtą noc? Jak to zrobiła? Jak wytrzymała? Była to najgorsza noc w życiu Tatiany.

Nazajutrz wstała później niż zwykle i zamiast iść na Niekrasowa, poszła do sklepu przy Starym Newskim, niedaleko szkoły, do której kiedyś chodziła. Słyszała, że mają tam dobry chleb. Zawyły syreny. Nawet nie przyspieszyła kroku.

Szła ze zwieszoną głową. Świst pocisków, ich przeraźliwy gwizd, ogłuszające wybuchy i odległy krzyk ludzi był niczym w porównaniu z krzykiem jej zranionej duszy.

Zdała sobie sprawę, że wojna już jej nie przeraża. Ot, nowość: pierwszy raz w życiu nie odczuwała strachu. Jak dotąd to Pasza był nieustraszony, Dasza pewna siebie, dziadek do bólu szczery, tata surowy – i pijany – mama despotyczna, a babcia Anna arogancka. Na wątłych ramionach Tatiany spoczywał ciężar ich kompleksów. Kompleksów? Tak. Nieśmiałości? Tak. Ich obaw i lęków? Tak, po raz trzeci. Lecz swoich lęków i obaw nie odczuwała. Już nie bała się wojny. Umrzeć podczas wojny to tak, jak umrzeć od uderzenia pioruna, który razi ziemię tysiąc razy dziennie. To nie wojna ją przerażała. Przerażało ją to, co działo się w jej złamanym sercu.

Pracę kończyła o piątej, lecz została do szóstej, a gdy wybiła szósta, postanowiła zostać do siódmej. O ósmej, kiedy zmywała podłogę w pokoju pielęgniarek, przyszła Marina. Tania nie chciała jej widzieć.

– Co ty wyprawiasz? Wszyscy umierają z niepokoju. Myślą, że cię zabili.

– Nikt mnie nie zabił. Zmywam podłogę.

– Miałaś wrócić trzy godziny temu. Co się stało?

– Zmywam podłogę, nie widzisz? Odsuń się. Zamoczysz sobie buty. – Tania nie odrywała wzroku od szmaty na szczotce.

– Taniu, oni tam czekają. Dmitrij, Aleksander. Jesteś taka samolubna. Nie mogą świętować zaręczyn Daszy, bo zamartwiają się o ciebie.

– Dobrze – odrzekła Tatiana przez zaciśnięte zęby. – Powiedz im, że mnie znalazłaś, i że nic mi nie jest. Niech sobie świętują. Jestem zajęta. Dzisiaj robię na dwie zmiany i wrócę później.

– Taniu, przestań. Wiem, jak ci ciężko, ale musisz wypić za zdrowie siostry.

– Ja pracuję! – krzyknęła Tatiana. – Nie widzisz, że pracuję? Zostaw mnie, dobrze? – Oślepiona łzami, popatrzyła na ociekającą mydlinami szmatę.

– Taniu, proszę…

– Daj mi spokój, Marino. Daj mi święty spokój.

Marina niechętnie wyszła.

Tatiana zmyła podłogę w pokoju pielęgniarek, na korytarzu, w łazience i w kilku salach. Potem lekarz poprosił ją o pomoc przy opatrywaniu pięciu ofiar ostatniego ostrzału. Godzinę później cztery z nich już nie żyły. Tania siedziała przy ostatniej, przy osiemdziesięcioletnim staruszku. Umarł, trzymając ją za rękę, a tuż przed śmiercią popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Kiedy wróciła do domu, wszyscy już spali; Dmitrij i Aleksander już dawno wrócili do koszar. Przespała się na kozetce w korytarzu, wstała pierwsza, umyła się i znów poszła do sklepu przy Newskim.

Kiedy wróciła, zastała w domu piekło. Ojciec szalał z wściekłości. Nie wiedziała, o co

mu chodzi, i mało ją to obchodziło, ale gdy wszedł wrzeszcząc do pokoju, pomyślała, że pewnie jest zły na nią.

– Znowu zrobiłam coś nie tak? – spytała znużonym, obojętnym głosem.

Ojciec chrypiał i bezładnie bełkotał, za to mama, równie zła, lecz trzeźwa, powiedziała, że poprzedniego dnia, kiedy Tania przepadła Bóg wie gdzie, a oni oblewali zaręczyny Daszy, przyszła do nich mała dziewczynka imieniem Mariszka i poprosiła o jedzenie.

– Powiedziała, że od tygodnia dokarmia ją jakaś Tania! Od tygodnia karmisz ją naszym jedzeniem?!

– Tak. – Tatiana nawet nie spuściła głowy. – Jej rodzice są wiecznie pijani. Była głodna. Codziennie dawałam jej kawałek chleba. Mówiłaś, że mamy duże zapasy. – Poszła do kuchni po nóż. Matka i ojciec ruszyli za nią, nie przestając krzyczeć i wrzeszczeć.

Nazajutrz po kolacji Aleksander i Dmitrij zaproponowali krótki spacer; musieli wrócić przed nalotem i godziną milicyjną. Tatiana nie patrzyła ani na Dmitrija, ani na Daszę, nie wspominając już o Aleksandrze.

– Gdzieś ty wczoraj przepadła? – spytał Dima. – Czekaliśmy na ciebie i czekaliśmy.

– Pracowałam. – Wzięła sweter i ze wzrokiem wbitym w podłogę minęła Aleksandra.

Tego wieczoru w mieście było bardzo spokojnie i gdyby nie zbombardowany dom na rogu Ósmej Radzieckiej, gdyby nie zasłana szkłem ulica, pewnie zapomnieliby o wojnie. Szli Prospektem Suworowa w kierunku Taurydzkiego, ona i Dmitrij z przodu, Dasza i Aleksander z tyłu. Dima spytał, dlaczego Tania idzie ze spuszczoną głową. Tatiana tylko wzruszyła ramionami, odgarniając z twarzy szybko odrastające włosy.

– Dasza wychodzi za Aleksa. Fantastycznie, prawda? – Dmitrij objął ją w talii.

– Tak – odparła głośno i oschle. – To fantastycznie, że Dasza wychodzi za Aleksa. – Ani się nie obejrzała, ani nawet nie podniosła głowy. Czuła na sobie jego wzrok i nie wiedziała, jakim cudem udaje jej się iść w miarę prosto.

Dasza zachichotała.

– Wysłałam list do dziadków. Na pewno się ucieszą. Bardzo cię lubią…

Tatiana usłyszała cichy, zduszony śmiech i potknęła się o krawężnik. Gdyby nie Dmitrij, pewnie by upadła.

– Tania jest ostatnio bardzo smutna – powiedziała Dasza. – Chyba chce, żebyś się jej oświadczył.

– Chcesz, Tanieczko? – spytał Dima, ściskając ją za ramię. – Chcesz, żebym poprosił cię o rękę?

Tatiana nie odpowiedziała. Przystanęli na skrzyżowaniu, żeby przepuścić tramwaj.

– Opowiedzieć wam kawał? „Kochanie, mówi on – zaczęła, nim zdążyli się odezwać – kiedy się pobierzemy, będę dzielił z tobą wszystkie smutki i zmartwienia”. „Ależ kochanie, odpowiada ona, ja nie mam żadnych zmartwień”. A on na to: „Powiedziałem, kiedy się pobierzemy”.

– Baaardzo śmieszne – mruknęła Dasza.

Tatiana roześmiała się sztucznie i odchyliła głowę, a wówczas spod włosów ukazał się czarny siniak nad jej napuchniętym okiem. Dmitrij rozdziawił usta. Tania szybko zasłoniła oko włosami.

– Co się stało, Dima? – spytał Aleksander.

Dmitrij nie odpowiedział. Aleksander podszedł bliżej. Tania wbiła wzrok w chodnik.

– Nic takiego – szepnęła.

– Możesz na mnie popatrzeć?

Tania miała ochotę podnieść głowę i zawyć. Ale po jednej stronie stała Dasza, po drugiej Dima, poza tym nie mogła spojrzeć w tę jedyną, ukochaną twarz. Po prostu nie mogła. Zdołała tylko powtórzyć, że to nic. To nic.

– Och, Taniu… – Aleksander aż pobladł z wysiłku, żeby nad sobą zapanować. – Taniu…

– To wyłącznie jej wina – powiedziała Dasza, biorąc go pod rękę. – Dobrze wiedziała, że ojciec jest pijany, mimo to cały czas mu odszczekiwała. Skrzyczał ją trochę za dokarmianie tej sieroty…

– Skrzyczał mnie za Mariszkę, ale uderzył za to, że nie wyprałam mu pościeli. A pościel miałaś wyprać ty!

– Tak mocno cię uderzył? – spytał zatroskany Dima.

– Nie, to moja wina. Straciłam równowagę i upadłam na otwartą szufladę. To nic takiego.

– Taniu, Taniu… – powtórzył Aleksander.

– Co? – syknęła, przeszywając go wzrokiem.

Aleks spuścił głowę.

– Zaraz, chwileczkę – broniła się Dasza. – Ojciec bredził, był pijany, nie zwracałam na niego uwagi. Miałam wykłócać się z nim o jakieś bzdury?

– O bzdury? To znaczy o mnie, tak? – spytała Tatiana. – Nie mogłaś podejść i powiedzieć: tato, przepraszam, to ja miałam wyprać ci pościel?

– Po co? Przecież był pijany.

– On zawsze jest pijany! – krzyknęła Tatiana. – Zawsze! Poza tym jest wojna! Nie uważasz, że i bez niego mamy dość kłopotów? Mamy, Daszo. Wierz mi, że mamy. – Ciężko dysząc, popatrzyła na siostrę i dodała: – Nieważne. Chodźmy.

Kiedy przeszli na drugą stronę ulicy, usłyszała chrapliwy głos Aleksandra:

– Idziemy, Daszo. – Pociągnął ją za sobą i pobiegli w przeciwnym kierunku.

Tatiana i Dmitrij zostali sami.

– Dima – rzuciła Tania, próbując się uśmiechnąć. – Co u ciebie? Słyszałam, że Niemcy już się okopali. Walki ustały?

– Chcesz rozmawiać o wojnie?

– Ależ oczywiście, że chcę. Powiedz, czy to prawda, że Hitler rozkazał zetrzeć Leningrad z powierzchni ziemi?

Dmitrij wzruszył ramionami.

– Musisz spytać o to Aleksandra.

– Słyszałam też, że… – Nagle coś jej zaświtało. – Wiesz, lepiej wracajmy do domu.

– Taniu, nie obrazisz się, jeśli wrócę do koszar? Mam… Mam kilka spraw do załatwienia.

– Oczywiście, Dima. – Stał przy niej tak blisko i tak daleko zarazem. Czy interesował się kimś poza sobą samym? Chyba nie.

– Nie wiem, kiedy będę mógł do was wpaść. Słyszałem, że wysyłają nas za rzekę. Przyjdę, kiedy wrócę. Jeśli wrócę. Ale napiszę.

– Dobrze. – Pożegnała się z nim na rogu ulicy i odprowadziła go wzrokiem. Czuła, że nieprędko się zobaczą.

Wróciła sama, a kiedy była już blisko domu, zobaczyła, że z drzwi wybiega Aleksander. Dzieliło ich najwyżej dziesięć metrów. Szura przystanął, stał chwilę, ciężko dysząc, nagle dostrzegł ją i znieruchomiał. Tatiana czuła, że nie potrafi nad sobą

zapanować, że nie może stawić mu teraz czoła. Odwróciła się i ruszyła szybko w przeciwną stronę.

– Taniu!

Wyrósł przed nią jak spod ziemi. Cofnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce.

– Zostaw mnie – szepnęła. – Daj mi spokój.

– Gdzieś ty była? – spytał cicho. – Co rano przychodziłem na Niekrasowa, przez trzy dni z rzędu czekałem przed sklepem. Próbowałem cię złapać…

– No i mnie złapałeś – syknęła jadowicie.

– Taniu, twoje oko… Jak mogłaś do tego dopuścić?

– Ja też zadaję sobie to samo pytanie. Tylko nie chodzi mi o oko.

Aleksander szybko zamrugał.

– Taniu…

– Nie chcę z tobą rozmawiać! – krzyknęła. – Rozumiesz? – Cofnęła się jeszcze o krok. – Ani teraz, ani nigdy – dodała spokojniej, ze łzami w oczach.

– Taniu, wszystko ci wyjaśnię…

– Nie.

– Zaczekaj…

– Nie!

– Taniu…

– Nie! – Zacisnęła zęby i podeszła bliżej. Nie mogła w to uwierzyć, ale miała ochotę zdzielić go w twarz. Miała ochotę uderzyć swego Aleksandra.

Spojrzał na jej zaciśnięte pięści i zmarszczył czoło.

– Obiecałaś, że mi wybaczysz… – zaczął z absurdalnym niedowierzaniem w głosie.

– Że wybaczę ci obojętną twarz! – Jęknęła boleśnie. – A nie obojętne serce.

Zanim zdążył ją powstrzymać, wyminęła go, pchnęła drzwi i wbiegła na górę.

Ojciec leżał na podłodze w korytarzu, pijany i nieprzytomny. Mama i Dasza płakały w pokoju. Boże, pomyślała Tatiana, ocierając łzy. Czy to się kiedyś skończy?

– Och, co tu się działo – szepnęła Marina. – Aleksander mówił takie rzeczy, że nie uwierzysz. Wpadł tu jak burza i… Spójrz tylko na ścianę. – Podekscytowana wskazała pęknięty i odłupany tynk. – To jego robota. Powiedział, że pijąc na umór, twój ojciec odwraca się od was, kiedy najbardziej go potrzebujecie. Że was zawiódł, że miał was chronić, nie krzywdzić. Boże, był jak szarżujący czołg! – Aleksander wyraźnie jej zaimponował. – Dokąd ona ma pójść, krzyczał, skoro Niemcy do niej strzelają, a ojciec próbuje ją zabić? Był niesamowity! Radził matce, żeby zawiozła go do szpitala. Powiedział: „Na miłość boską, jest pani matką! Niech pani ratuje własne dzieci!” – Tatiana uciekła wzrokiem w bok. – Ojciec był bardzo pijany i chciał go uderzyć, ale Aleksander chwycił go za ramiona, pchnął na ścianę, sklął go i skrzyczał, a potem wybiegł. Nie wiem, jak to się stało, że go nie zabił. Niesamowite, co?

– Niesamowite – szepnęła Tatiana. Swojego ojca Szura zawsze nosił w sercu. Ojca, matkę i siebie. Tania była jedyną osobą na świecie, której całkowicie ufał, dlatego dźwigała część tego brzemienia wraz z nim. Była to część niewielka, lecz na tyle duża, by zaciążyć jej nagle jak kamień. Przez chwilę – ale to w zupełności wystarczyło – przestała współczuć sobie i pomyślała o Aleksandrze, a kiedy o nim pomyślała, jej gniew nieco zmalał.

Usiadła na sofie i spojrzała na ojca.

– Aż tak się upił?

– Nie, to ze strachu. Przecież ci mówiłam, wyglądało to tak, jakby Aleksander chciał

go zabić. Co ci jest? Ogłuchłaś?

– Nie.

– Och, Taniu – szepnęła cichutko Marina; stała dwa metry od drzwi jednego pokoju i trzy metry od drzwi drugiego. – Co teraz zrobisz?

– O czym ty mówisz? Pomogę tacie.

Ojciec wciąż nie odzyskiwał przytomności i Mietanowowie zaczęli się niepokoić. Mama doszła do wniosku, że naprawdę powinien spędzić kilka dni w szpitalu i wreszcie wytrzeźwieć. Tatiana uznała, że to dobry pomysł. Ojciec za dużo pił.

Poprosiła o pomoc Piotra Pietrowa i zanieśli go do izby wytrzeźwień w szpitalu Suworowa. W szpitalu na Greckim, gdzie pracowała, nie było już miejsc.

Przyjęto go i położono w dużej sali wraz z czterema innymi pijakami. Tania poprosiła o gąbkę i wodę, po czym obmyła mu twarz, przysiadła na łóżku i wzięła go za bezwładną rękę.

– Tak mi przykro, tatusiu…

Siedziała tak chwilę, ściskając mu dłoń.

– Słyszysz mnie, tato? Tato?

W końcu głucho jęknął, jakby chciał odpowiedzieć. Jęknął i otworzył oczy, ale nie mógł skupić wzroku.

– Tutaj, tatusiu, tutaj.

Przekrzywił głowę.

– Jesteś w szpitalu, tato. Zostaniesz tu tylko kilka dni, dopóki nie wytrzeźwiejesz. Potem wrócisz do domu. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Delikatnie ścisnęła go za rękę.

– Tak mi przykro, że nie zdołałam odnaleźć Paszy. Ale my też cię potrzebujemy.

Do oczu napłynęły mu łzy. Otworzył usta, a kiedy ponownie ścisnęła go za rękę, chrapliwie wyszeptał:

– To moja wina…

Pocałowała go w głowę.

– Nie, tatusiu, nieprawda. To wojna. Musisz wytrzeźwieć.

Zamknął oczy. Tania wróciła do domu.

Dasza na nią krzyczała, a Marina próbowała odgrywać rolę rozjemczyni. Tatiana siedziała na sofie i milczała, wyobrażając sobie, że siedzi spokojnie między dziadkiem i babcią, że jest jej ciepło i dobrze. W pewnej chwili Dasza tak się zirytowała, że chciała ją uderzyć, lecz Marina chwyciła ją za rękę i powstrzymała.

– Co ty wyprawiasz? Przestań!

Dasza wyszarpnęła się i znów się zamachnęła.

– Przestań! – krzyknęła Marina. – Ślepa jesteś? Nie widzisz, że ona cierpi i bez tego?

Tatiana posłała jej ciepłe spojrzenie, przeszyła siostrę zimnym wzrokiem, wstała i ruszyła do drzwi. Musiała się położyć. Musiała zapomnieć i o tym dniu, i o dniu poprzednim. Dasza chwyciła ją za ramię. Tania cofnęła się, spojrzała na nią i nie mrugnąwszy okiem, powiedziała:

– Dasza, jeszcze sekunda i stracę cierpliwość. Przestań. Daj mi spokój. Możesz?

Dasza bez słowa zabrała rękę.

Później, kiedy leżały już w łóżku, Marina pogłaskała ją czule po plecach.

– Wszystko będzie dobrze, Taniu – szepnęła. – Będzie dobrze.

– Co ty bredzisz? Jesteśmy oblężeni, codziennie nas ostrzeliwują, niedługo zabraknie jedzenia, tata ciągle pije…

– Nie o tym mówię.

– W takim razie lepiej już śpij.

Daszy z nimi nie było.

Tatiana spała twarzą do ściany, z ręką na „Jeźdźcu miedzianym” Aleksandra. Bolało ją oko, ale nazajutrz rano poczuła się trochę lepiej. Posmarowała rozcięcie jodyną i poszła do pracy z brązowawym czołem.

Podczas przerwy na obiad wybrała się na spacer w stronę Pola Marsowego. Ledwo je poznała, gdyż wokół parku ciągnął się rząd betonowych gniazd artyleryjskich, a trawniki były poprzecinane okopami. Wywieziono wszystkie ławki, a sam park zaminowano, tak że nie mogła tamtędy wejść. Mogła jedynie stać siedemset metrów od łukowatego wejścia do koszar pułku Pawłowskiego i patrzeć na palących i śmiejących się głośno żołnierzy, którzy stamtąd wychodzili.

Stała tak pół godziny. Potem wróciła do szpitala. Wracając myślała: ani bomby, ani złamane serce nie odbiorą mi tych czerwcowych chwil, gdy wraz z tobą szłam boso przez Pole Marsowe.

7

Tego wieczoru po kolacji Niemcy zbombardowali szpital, w którym leżał ojciec.

Trafiony trzema bombami budynek stanął w ogniu i mimo wysiłków straży pożarnej, palił się długo w noc; jak większość osiemnastowiecznych budynków w Leningradzie, ściany miał nie z cegły, tylko z gliny wzmocnionej wiklinową siatką. Złożył się jak domek z kart i po prostu spłonął. Kilka osób, którym udało się wyskoczyć oknem, spadało na ziemię, przeraźliwie krzycząc.

Urodzony w poprzednim stuleciu ojciec miał czterdzieści trzy lata. Trawiony wyrzutami sumienia i pijany, nawet nie wstał z łóżka.

Dasza, Tatiana, Marina i mama przybiegły na miejsce tragedii i przerażone patrzyły bezsilnie, jak gorejące piekło pochłania strażaków, ich nieskuteczne sikawki, budynek i noc.

Na próżno chlustały wodą w wypalone okna na parterze, na próżno znosiły piach z dachów sąsiednich domów – było to tylko bezładne działanie popychanych siłą inercji ciał. Tatiana owijała zwęglone zwłoki mokrymi prześcieradłami ze szpitala na Greckim. Została tam do rana. Dasza i Marina wróciły do domu z mamą.

Uratowała się tylko garstka ludzi. Ojca wśród nich nie było. Strażacy nie zdołali nawet znaleźć jego ciała i zajęci dogaszaniem pogorzeliska, nie zamierzali nikogo za to przepraszać. W ogóle nie szukali zwłok.

– Dziewczyno – powiedział jeden. – Spójrz na te zgliszcza. Wszystko spaliło się na węgiel. Został tylko popiół. Kiedy ostygnie, rozsypie ci się w ręku w czarny proch. – Obojętnie poklepał ją po ramieniu. – Daj sobie z tym spokój. Straciłaś ojca? Cholerne Szwaby. Towarzysz Stalin ma rację. Nie wiem, kiedy i jak, ale pewnego dnia jeszcze nam za to zapłacą.

Gdy wstał świt, poszła powoli do domu. Idąc, wspominała Ługę, chwilę, gdy przysypały ją gruzy. Gdy leżąc pod ciałami trojga ludzi, czuła, jak uchodzi z nich życie. Miała nadzieję, że ojciec się nie obudził. Że nie cierpiał.

Cicho weszła do mieszkania, wzięła kartki żywnościowe – wszystkie oprócz kartek ojca – i poszła po chleb.

O ile życie w dwóch ciasnych, zatłoczonych pokojach było przedtem ciężkie, o tyle po śmierci ojca stało się nie do zniesienia.

Mama była niepocieszona i nie odzywała się do Tani.

Dasza była zła i też się do niej nie odzywała.

Tatiana nie wiedziała, czy siostra gniewa się na nią za ojca, czy za Aleksandra. Dasza nie chciała jej tego powiedzieć. W ogóle nic do niej nie mówiła.

Marina codziennie odwiedzała matkę i spoglądała na Tanię współczującym wzrokiem.

Babcia malowała. Pewnego dnia namalowała szarlotkę, która wyglądała tak apetycznie, że Tania miała ochotę ją zjeść.

Chcąc opowiedzieć o wszystkim Aleksandrowi, kilka dni po śmierci ojca Dasza poprosiła Tatianę, żeby ta poszła z nią do koszar. Żeby mieć w kimś oparcie, Tania zaciągnęła tam Marinę. Tak, bardzo chciała go zobaczyć, a jednocześnie… tak mało miała mu do powiedzenia. A może aż za dużo? Nie była tego pewna i bała się spojrzeć mu w oczy.

Lecz ani Szury, ani Dimy w koszarach nie było. Wyszedł do nich Anatolij Marazow.

Tania słyszała o nim od Aleksandra.

– Czy Dmitrij służy w pańskim oddziale? – spytała.

– I tak, i nie. Jego bezpośrednim przełożonym jest sierżant Kasznikow, ale dowództwo wysłało go do Tichwina.

– Do Tichwina? Aż do Tichwina?

– Tak. Popłynęli barką wzdłuż brzegu jeziora. W Tichwinie brakuje ludzi.

Tani zabrakło tchu.

– Aleksander też popłynął?

– Nie, Aleksander jest w Karelii. – Marazow uniósł brew. – A więc to pani? – spytał. – To pani jest dziewczyną, dla której rzucił wszystkie inne?

– A skąd – powiedziała niegrzecznie Dasza, podchodząc bliżej. – To ja. Mam na imię Dasza. Nie pamięta mnie pan? Poznaliśmy się na początku czerwca, w „Sadko".

– Dasza? – wymamrotał Marazow.

Tatiana pobladła i jeszcze mocniej przywarła plecami do ściany. Marina nie spuszczała z niej oka.

– A pani? – spytał Marazow. – Jak pani na imię?

– Tatiana.

Oczy rozbłysły mu i przygasły.

– Wy się znacie? – spytała Dasza.

– Nie – odrzekł Marazow.

– Przez chwilę patrzył pan na nią tak, jakbyście się znali.

Marazow nie odrywał wzroku od Tatiany.

– Nie – odparł powoli, obrzucając ją niepewnym spojrzeniem. – Poznaliśmy się dopiero teraz. – Wzruszył ramionami. – Powiem Aleksandrowi, że miał gości. Za kilka dni jadę do Karelii…

– Tak – przerwała mu Dasza – i proszę mu powiedzieć, że nasz ojciec umarł.

Tatiana odwróciła się i ciągnąc za sobą Marinę, wyszła na ulicę.

Odsunęły się od siebie niczym fragmenty pękniętego muru. Mama nie mogła wstać z łóżka, doglądała jej babcia. Nie chciała mieć nic wspólnego z Tatianą. Nie chciała słuchać ani jej przeprosin, ani próśb o wybaczenie i w końcu Tania przestała się do niej odzywać.

Przytłaczała ją bezbrzeżna pustka, wyrzuty sumienia i brzemię odpowiedzialności. Krojąc rano chleb, kładąc na talerzu małą kromkę i w milczeniu jedząc, powtarzała sobie, że to nie jej wina. Zjedzenie porannej porcji chleba trwało zaledwie trzydzieści sekund. Potem zbierała palcem wszystkie okruszki, a następnie odwracała talerz i strząsała je na stół. Trzydzieści sekund. Pół minuty wmawiania sobie, że to nie jej wina.

Po śmierci ojca miały o pół kilograma chleba mniej. Któregoś dnia mama nie wytrzymała, wcisnęła Tani do ręki dwieście rubli i kazała kupić coś do jedzenia. Tatiana wróciła do domu z siedmioma ziemniakami, trzema cebulami, pół kilogramem mąki i z kilogramem białego chleba, o który było równie trudno jak o mięso.

Co rano chodziła do sklepu i czasem, stojąc w kolejce, myślała, że gdyby natychmiast nie zawiadomiły władz o śmierci taty, do końca września mogłyby kupować na jego kartki.

Było jej wstyd, ale mimo to wciąż o tym myślała.

Skończył się wrzesień, nastał październik i smutek się nieco przytępił. Jednakże pustka

pozostała. I dopiero wtedy Tania zdała sobie sprawę, że to nie ból ją dręczy, tylko głód.

Mroczny nocy cień

1

Nawet w ciepłych miesiącach lata w Leningradzie ciągnęło dziwnym chłodem, jakby Arktyka nieustannie przypominała miastu, że ledwie kilkaset kilometrów dalej czyha wieczna zima i mrok. Wiały stamtąd lodowate wiatry, nawet w czerwcu, nawet w białe noce. Ale teraz, kiedy nastał październik, gdy na spłaszczone, posępne, wyludnione i ciche miasto codziennie spadały setki bomb i pocisków, wiatr niósł z sobą nie tylko mroźny oddech Arktyki, ale i niejasne poczucie rozpaczy, udręki i beznadziei. Tatiana opatuliła się w szare palto, włożyła szarą czapkę z nausznikami – kiedyś należącą do Paszy – szyję i usta owinęła brązowym szalikiem, lecz w nos co chwila dźgały ją lodowate podmuchy powietrza.

Rację chleba znowu zmniejszono – do trzystu gramów dziennie dla Tani, mamy i Daszy, i do dwustu dla babci i Mariny – w sumie niecałe półtora kilograma na całą rodzinę.

Oprócz razowego chleba w sklepach nie było dosłownie nic. Ani jajek, ani masła, ani białego pieczywa, ani mięsa, ani cukru, ani płatków owsianych, ani kaszy jęczmiennej, ani owoców, ani warzyw. Raz, na samym początku października, Tatiana wystała trzy cebule i ugotowała zupę cebulową. Zupa była całkiem niezła. Jeszcze lepsza byłaby z solą, ale Tania bardzo sól oszczędzała.

Starali się nie uszczuplać zapasów, jednak co wieczór – błogosławiąc dziadka – musieli otwierać puszkę tuszonki. Przestali gotować w kuchni, ponieważ zapach rozchodził się po całym korytarzu, a wtedy zaglądali do nich Sarkowa, Sławin i Pietrowowie. Wchodzili, stawali przy płycie i pytali:

– Taniu, zostanie choć trochę dla nas?

Sławin mlaskał językiem i głośno chichotał, a kiedy Dasza wypędzała go z kuchni, chichot ustępował miejsca wybuchowi niepohamowanej wesołości.

– Tak jest! Zjedz wszystko sama, piękna dzieweczko! Zjedz caluśką tuszonkę. Mam najświeższe wiadomości, od samego Hitlera. Herr Hitler zamierza wycofać wojska z Leningradu w chwili, gdy otworzysz ostatnią puszkę tuszonki. – Śmiał się histerycznie. – A może już o tym słyszałaś?

Kupili mały, żeliwny piecyk zwany „burżujką”, z długą, blaszaną rurą, którą wyprowadzili na zewnątrz przez dziurę w ramie okiennej, i od tamtej pory gotowali wyłącznie u siebie. „Burżujka” zużywała bardzo mało drewna, sęk w tym, że ogrzewała niewielką część pokoju.

Aleksander był w Karelii, Dima w Tichwinie. Nie mieli od nich żadnych wiadomości.

W drugim tygodniu października życzenie Antona w końcu się spełniło. Nad Greckim wybuchła bomba: jeden z odłamków świsnął tuż nad dachem i wbił mu się w nogę. Tatiany tam wtedy nie było. Gdy dowiedziała się o wypadku, przyniosła mu ukradkiem puszkę tuszonki i wygłodniały Anton łapczywie ją zjadł.

– A twoja mama? – spytała Tania.

– Mama je w pracy. Zupę. I płatki.

– A Kirył?

– Co ci jest? – warknął Anton. – Przyniosłaś to dla niego czy dla mnie?

Mariszka wyglądała coraz gorzej. Zaczęły jej wypadać włosy. Tatiana przynosiła jej codziennie trochę płatków owsianych, lecz wiedziała, że nie może jej dłużej dokarmiać;

mama i Dasza by ją zabiły. W płatkach było trochę soli i cukru, nie było za to ani masła, ani mleka. Właściwie podawała jej coś w rodzaju kleiku, a Mariszka jadła te gluty jak ostatni posiłek w życiu. W końcu Tania zaprowadziła ją na oddział dziecięcy przy Greckim – tuż przed szpitalem musiała wziąć ją na barana.

Kiedy była młodsza, czasami nie jadła przez pół dnia – po prostu o tym zapominała. Potem pamięć wracała, a wtedy Tania mówiła:

– Boże, umieram z głodu!

Burczało jej w brzuchu, do ust napływała ślina. Siadała przy stole, zachłannie zjadała talerz zupy z tłuczonymi ziemniakami, napychała się do przesytu, wstawała i już nie umierała.

Uczucie, którego ostatnio coraz częściej doświadczała – pod koniec września niejasne i rozmyte, od początku października coraz wyraźniejsze – było podobne do uczucia sprzed lat w tym, że burczało jej w brzuchu i że do ust napływała ślina. Jadła wtedy cienki rosół, gliniasty czarny chleb i płatki owsiane, a potem wstawała od stołu, by stwierdzić, że wciąż jest głodna. Sięgała po suchary, które upiekła w duchówce, ale torba z sucharami chudła z godziny na godzinę. Noce dłużyły się w nieskończoność. Dasza i mama zaczęły podjadać suchary w drodze do pracy. Najpierw brały po dwa, potem coraz więcej i więcej. Babcia skubała suchary cały dzień, kiedy malowała i czytała. Marina brała je ze sobą na uniwersytet i codziennie zanosiła kilka umierającej matce.

Pewnego zimnego ranka mama dała Tatianie resztę pieniędzy – pięćset rubli – kazała jej iść do komercyjnego i kupić, co się da. Do sklepu przy cerkwi św. Mikołaja było daleko i gdy Tania tam wreszcie doszła, poraziła ją podwójna ironia tego, co zobaczyła. Nie dość, że sklep był zbombardowany, to jeszcze w jego wypalonym oknie wisiała kartka z napisem: ŻYWNOŚCI BRAK. Pod napisem widniała data: 18 września.

Tatiana powoli wróciła do domu. Osiemnastego września, myślała. Trzy tygodnie temu. Tata jeszcze żył, a Dasza zamierzała wyjść za mąż.

Za Aleksandra.

Mama nie uwierzyła w opowieść o zbombardowanym sklepie i w ataku złości chciała ją uderzyć. Zapanowała nad sobą w ostatniej chwili, co Tatiana uznała za cud tak wielki, że objęła ją, mocno przytuliła i powiedziała:

– Nie martw się, mamusiu. Zajmę się tobą, zobaczysz.

Zwróciła jej pieniądze i położyła na stole przydziałowy chleb. Odkroiła maleńki kawałek i w drodze do szpitala zjadła go żarłocznie, myśląc tylko o obiedzie, o zupie i o płatkach owsianych. Ostatnio myślała niemal wyłącznie o jedzeniu. Ostry głód, który atakował od samego rana, zabijał wszelkie odczucia, dlatego idąc w kierunku Fontanki, znowu myślała o chlebie. W pracy myślała jedynie o obiedzie, po południu jedynie o kolacji, a po kolacji o kawałku suchara, który mogłaby zjeść przed pójściem spać.

W łóżku myślała o Aleksandrze.

Pewnego dnia Marina zaproponowała, że pójdzie po chleb zamiast Tani.

Zaskoczona Tatiana dała jej kartki.

– Pójść z tobą?

– Nie, z przyjemnością cię wyręczę.

Wróciła do domu i położyła na stole najwyżej pół kilo czarnego chleba.

– A gdzie reszta? – spytała Tatiana.

– Zjadłam – odrzekła Marina. – Przepraszam.

– Zjadłaś kilogram chleba? – Tatiana nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Byłam bardzo głodna.

Tania przeszyła ją wzrokiem. Chodziła po zakupy od półtora miesiąca i ani razu do głowy jej nie przyszło, żeby zjeść chleb przeznaczony dla pięciu osób, które nań niecierpliwie czekały.

Przy czym cały czas umierała z głodu.

I cały czas tęskniła za Aleksandrem.

2

Pewnego ranka w połowie października, idąc w kierunku Fontanki, Tania sięgnęła do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie zapomniała kartek, gdy wtem, zamroczona porannym głodem, zobaczyła jakiegoś oficera. Był podobny do Aleksandra – bardzo chciała, żeby był do niego podobny – więc podeszła bliżej. Nie, to niemożliwe, to nie on. Ten wyglądał dużo starzej i był brudny, tak samo jak jego pokryty błotem płaszcz. Przystanęła, a potem zrobiła jeszcze jeden krok do przodu.

Gdy podniosła oczy, w jego twarzy ujrzała smutek przemieszany z dziwną czułością. Podeszła jeszcze bliżej. Wyciągnęła rękę, dotknęła jego piersi…

– Szura, co ci się stało?

– Boże, Taniu… Jak ty schudłaś. Twoja twarz…

– Zawsze byłam szczupła. Ale co z tobą? Wszystko dobrze?

– Twoja piękna, okrągła twarz… – Załamał mu się głos.

– Tę twarz miałam kiedyś, Szura, w innym życiu. Jak było…

– Strasznie – odrzekł, wzruszając ramionami. – Zobacz, co ci przywiozłem. – Otworzył czarny plecak i wyjął z niego grubą pajdę białego chleba oraz owinięty w biały papier. ser! Ser i kawałek wieprzowiny! Tatiana wytrzeszczyła oczy. Oddech miała szybki i płytki.

– Boże – wyszeptała. – Moi bardzo się ucieszą.

– Na pewno. – Podał jej ser i chleb. – Ale zanim się ucieszą, musisz to zjeść.

– Nie mogę.

– Możesz i zjesz. Taniu, proszę, nie płacz.

– Ja nie płaczę – odrzekła, z trudem powstrzymując łzy. – Jestem po prostu… wzruszona. – Wzięła chleb, ser i mięso i zaczęła żarłocznie jeść, a on nie spuszczał z niej swoich ciepłych, miedzianych oczu. – Szura, nawet nie wiesz, jaka jestem głodna. Nie potrafię tego opisać.

– Wiem, Taniu, wiem.

– A ty? W wojsku dobrze was karmią?

– Tak. Frontowców z pierwszej linii całkiem nieźle. Oficerów jeszcze lepiej. Resztę dokupuję. Żywność przychodzi najpierw do nas, dopiero potem do was.

– I tak powinno być – odrzekła uszczęśliwiona, pochłaniając kolejny kawałek chleba.

– Powoli, Taniu, powoli. Brzuch cię rozboli.

Zwolniła, ale tylko trochę. I rzuciła mu słaby uśmiech.

– Dla nich przywiozłem masło i worek mąki. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. – I dwadzieścia jajek. Kiedy ostatni raz jadłaś jajka?

Tatiana doskonale tę chwilę pamiętała.

– Piętnastego września. Dasz mi kawałeczek masła? Możesz trochę zostać czy musisz wracać?

– Przyjechałem do ciebie, Taniu.

Patrzyli na siebie, nie dotykając się nawet palcem.

Patrzyli na siebie, nie rozmawiając.

– Mam ci tyle do powiedzenia – szepnął w końcu Szura.

– A czasu jak zawsze za mało. – Spojrzała na długą kolejkę przed sklepem. Przestała jeść. – Myślałam o tobie – powiedziała spokojnie.

– Nie, Taniu, o mnie nie myśl.

Cofnęła się o krok.

– Nie martw się. Wiem, że tego nie chcesz. Wyraźnie dałeś mi to do zrozumienia.

– Co ty mówisz? – spytał skonsternowany. – Masz pojęcie, jak tam jest?

– Wiem tylko, jak jest tutaj.

– Giniemy. Umieramy. Nawet wyżsi oficerowie. Grinkow zginął.

– Boże.

– Właśnie. – Ciężko westchnął. – Chodź, staniemy.

Był jedynym mężczyzną w kolejce. Stali czterdzieści pięć minut. W zatłoczonym sklepie było cicho, bo ludzie prawie się do siebie nie odzywali. A oni nie mogli przestać rozmawiać. Rozmawiali o tym, o czym się zwykle rozmawia, o nadchodzącej zimie, o Niemcach, o jedzeniu – po prostu nie mogli się nagadać.

– Musimy mieć więcej żywności – powiedziała. – Miasto, Leningrad. Tylko jak ją przewieźć? Może samolotami?

– Już to robią. Żywność, paliwo, amunicja… Przywożą pięćdziesiąt ton dziennie.

– Pięćdziesiąt ton… To chyba dużo, prawda?

Aleksander milczał.

– Prawda? – powtórzyła.

Wyczuła, że Szura unika odpowiedzi.

– Za mało – odrzekł w końcu.

– O ile?

– Nie wiem.

– Powiedz.

– Naprawdę nie wiem.

– Cóż – odparła z udawaną wesołością – musi wystarczyć. Pięćdziesiąt ton. Niesamowite. Dobrze, że mi powiedziałeś, bo Nina nie ma żadnych zapasów i…

– Przestań! – wykrzyknął.

– Dlaczego? Mówię tylko, że Nina…

– Pięćdziesiąt ton – powtórzył chrapliwie. – Myślisz, że to dużo? Pawłow, człowiek, który odpowiada za wyżywienie miasta, karmi trzy miliony ludzi tysiącem ton mąki dziennie. Co ty na to?

– To, co dostajemy, odpowiada tysiącowi ton mąki dziennie? – spytała wstrząśnięta Tatiana.

– Tak. – Aleksander pokręcił głową i spojrzał na nią z niespokojnym błyskiem w oczach.

– A samolotami dowożą tylko pięćdziesiąt ton?

– Tak, w dodatku nie samej mąki.

– W takim razie skąd biorą pozostałe dziewięćset pięćdziesiąt ton?

– Transportują barkami, wzdłuż brzegu jeziora. Lądują trzydzieści kilometrów za linią oblężenia.

– Szura, to niemożliwe, to za mało. Gdybyśmy nie mieli własnych zapasów, już dawno pomarlibyśmy z głodu.

Aleksander nie odpowiedział.

Tatiana patrzyła na niego chwilę, potem odwróciła głowę. Chciała natychmiast wrócić do domu i sprawdzić, ile zostało im puszek.

– Dlaczego nie mogą przysłać więcej samolotów?

– Bo wszystkie maszyny skierowano do obrony Moskwy.

– A co z obroną Leningradu? – spytała cichutko, nie oczekując odpowiedzi. Nie otrzymała jej zresztą. – Myślisz, że Niemcy odejdą stąd przed zimą? W radiu mówią, że wzmacniamy linię obrony, że próbujemy się przebić, że budujemy mosty pontonowe… Jak sądzisz?

Aleksander uparcie milczał i Tatiana ponownie odwróciła głowę. Spojrzała na niego dopiero, kiedy wyszli ze sklepu.

– Idziesz ze mną do domu? – spytała.

– Tak, Taniu. Idę z tobą do domu.

– To chodź. Przywiozłeś masło, ugotuję ci pyszną owsiankę. I jajka.

– Masz jeszcze płatki?

– Hmm… Mama, Dasza, babcia i Marina coraz częściej podjadają między posiłkami. Głównie babcia i Marina. Jedzą je na surowo, prosto z worka.

– A ty? Też sięgasz do worka?

– Jeszcze nie. – Nie powiedziała mu, jak często miała na to ochotę, jak często wtykała nos do worka, jak wdychała ten mdławy, zalatujący pleśnią zapach, żałując, że nie ma ani cukru, ani mleka, ani jajek.

– A powinnaś.

Szli powoli brzegiem zamglonej Fontanki. Przypomniał jej się Kanał Obwodowy, ich letnie spacery po pracy. Zabolało ją serce. Trzy ulice przed Piątą Radziecką zwolnili i oparli się o zimną ścianę.

– Szkoda, że nie ma tu ławki – szepnęła.

– Marazow powiedział mi o twoim ojcu. – Tania milczała. – Bardzo mi przykro. Przepraszam. Wybaczysz mi?

– Nie ma czego wybaczać.

– Wszystko przez tę bezradność – ciągnął sfrustrowany. – Nie potrafię cię obronić. Próbowałem. Próbowałem od samego początku. Pamiętasz?

Pamiętała.

– Chciałem tylko, żebyś wyjechała z Leningradu. Nie zdołałem cię namówić. Nie zdołałem obronić cię przed ojcem. – Pokręcił głową. – Jak twoja brew? – Musnął ją czubkami palców.

– W porządku. – Cofnęła się o krok. Opuścił ręce i spojrzał na nią z wyrzutem.

– Co u Dmitrija? – spytała. – Miałeś od niego jakieś wiadomości?

Aleksander westchnął.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Kiedy w połowie września wysłano nas do Szlisselburga, zaproponowałem mu, żeby pojechał ze mną. Odmówił. Twierdził, że to zbyt niebezpieczne. Dobra, ja na to, jak chcesz. Potem mój batalion zgłosił się na ochotnika na wypad do Karelii. Chcieliśmy odeprzeć Finów, poszerzyć drogę dla naszych ciężarówek transportujących żywność od Ładogi do Leningradu. Byli trochę za blisko. Coraz częściej dochodziło do utarczek między nimi i NKWD. Ci z NKWD uwielbiają strzelać i kończyło się to zwykle śmiercią Bogu ducha winnych kierowców. Powiedziałem Dmitrijowi, żeby ze mną jechał. Tak, mówię, to niebezpieczne. Tak, zaatakujemy wroga na jego terytorium, ale jeśli się nam powiedzie…

– Zostaniecie bohaterami – dokończyła za niego Tatiana. – Udało się?

– Tak – odrzekł cicho Aleksander.

Tania z podziwem pokręciła głową z nadzieją, że to, co w tej chwili czuje, nie jest zbyt oczywiste.

– I zgłosiłeś się na ochotnika?

– Tak.

– Dali ci w końcu awans?

Zasalutował wesoło i odrzekł:

– Kapitan Biełow, do usług. Widzisz ten medal?

– Coś ty? Naprawdę?! – wykrzyknęła z radosnym uśmiechem.

Popatrzył bacznie w jej twarz.

– Bo co? Jesteś ze mnie… dumna?

– Hmm… – wymruczała Tania, nie przestając się uśmiechać.

– Właśnie na tym polegał mój plan – ciągnął Aleksander. – Gdyby Dima pojechał ze mną, mógłby zostać kapralem, a im wyższy stopień, tym dalej od linii frontu.

– Jest bardzo krótkowzroczny.

– Co gorsze, wysłano go z Kasznikowem na wschód. Marazow poszedł w moje ślady i jest już porucznikiem. A Dmitrija wsadzili na barkę i powieźli Ładogą do Tichwina. Dołączył do dziesięciu tysięcy innych, będzie mięsem armatnim dla Schmidta.

Tatiana słyszała o Tichwinie. We wrześniu Rosjanie odbili to miasto Niemcom i teraz zaciekle go bronili, żeby za wszelką cenę utrzymać linię kolejową prowadzącą do jeziora. Gdyby ją stracili, Leningrad przestałby otrzymywać jakąkolwiek pomoc.

Już dawno przestała się uśmiechać.

– Szkoda, że nie zdołałeś go namówić – powiedziała. – Awans dobrze by mu zrobił.

– Wiem.

– Gdyby został bohaterem – dodała apatycznie – może nie musiałbyś się żenić z moją siostrą.

Aleksander momentalnie spochmurniał.

– Och, Taniu…

– Cóż – dodała głośno. – Ty jesteś kapitanem, a on jest w Tichwinie. Teraz będziesz musiał się z nią ożenić, prawda? – Nie odrywała wzroku od jego twarzy.

Aleksander potarł oczy czarną od brudu ręką. Tania nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Myśląc o sobie, zupełnie zapomniała o nim.

– Boże, Szura, co ja wyprawiam? Przepraszam. Chodźmy do domu. Jak ty wyglądasz? Chodź. Zagrzeję wody i zrobię ci gorącą kąpiel.

I ugotuję pyszną owsiankę. Chodź. – Chciała dodać: „kochanie”, ale nie śmiała. Omal nie dodała: „Ożeń się z nią. Skoro ma ci to ułatwić życie, ożeń się z nią choćby zaraz”.

Aleksander nie ruszył się z miejsca.

– Chodź, Szura, proszę…

– Zaczekaj. – Zagryzł wargę. – Gniewasz się na mnie za ojca?

Nie kłócił się z nią, nie sprzeczał, nie mówił, że to nie jego wina. Po prostu brał na siebie odpowiedzialność, by żyć z nią, jak z kolejnym ciężarem na barkach. Cóż, barki miał szerokie, bardzo szerokie: zmieściłoby się na nich sporo ciężarów, w tym kilka ciężarów Tani i, co dziwne, na widok jego krzepkiej piersi trochę jej ulżyło. Wyłącznie dzięki niemu, niemniej ulżyło. Pragnęła pocieszenia? Proszę. Miała swoje pocieszenie.

– Nie, Szura – odrzekła ciepło. – Nikt się na ciebie nie gniewa. Ucieszą się, że żyjesz.

Aleksander podniósł głowę.

– Nie pytałem o nich. Pytałem o ciebie.

Popatrzyła na niego ze współczuciem. Potrzebował jej człowiek w żelaznej zbroi, człowiek, który dowodził batalionem czołgów. Gdyby był ranny, mogłaby go opatrzyć. Gdyby był głodny, mogłaby go nakarmić. Gdyby chciał porozmawiać, chętnie by z nim porozmawiała. Lecz on był smutny. Pragnęła mu powiedzieć, że to nie z powodu ojca jest

na niego zła. Ale nie mogła, ponieważ pragnęła też pocieszyć go tak samo, jak on pocieszył ją. Nie chciała, żeby był smutny nawet przez chwilę.

Wzięła go za rękę. Brudne paznokcie, krwawe zadrapania na skórze… Tak, lecz dłoń miał ciepłą, silną i tak rozkosznie ściskał palcami jej palce.

– Nie, Szura – powiedziała czule. – Nie jestem na ciebie zła.

– Chcę tylko, żebyś była bezpieczna. To wszystko. Zawsze i wszędzie.

Podeszła bliżej, a on objął ją i przytulił.

– Wiem – wyszeptała w klapę jego płaszcza. – Nic mi nie będzie. – Czuła, że lada chwila osunie się ze szczęścia na chodnik.

Aleksander odgarnął jej włosy i pocałował ją w rozciętą brew.

– Nie uciekaj ode mnie jak wtedy, gdy cię dotknąłem.

– Dobrze – wymruczała z zamkniętymi oczami, mocno obejmując go w pasie. – Nie będę.

3

– Spójrzcie tylko, kogo znalazłam! – wykrzyknęła wesoło, wchodząc z Aleksandrem do mieszkania. Dasza zapiszczała radośnie i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

Tatiana zagotowała wodę. Dała mu mydło, świeży ręcznik, brzytwę i Szura poszedł się wykąpać.

– Ciepła, czy dolać? – zawołała z kuchni, wstawiając jeszcze jeden garnek wody.

– Zimna! – odkrzyknął ze śmiechem. – Dolej! Chodź tu i dolej!

Tatiana zaczerwieniła się, uśmiechnęła i podała Daszy dzbanek z wrzątkiem.

Wszedł do pokoju czyściutki, cieplutki, odświeżony i ogolony. Miał lśniące, mokre włosy, miał tak białe zęby i tak wilgotne wargi, że Tania z trudem się powstrzymała, by do niego nie podbiec i nie zarzucić mu rąk na szyję. Usiadł na sofie w podkoszulku i długich kalesonach, a Dasza poszła wyprać jego mundur. Marina, babcia i Tatiana otoczyły go zwartym wianuszkiem, tylko naburmuszona mama trzymała się od nich z daleka.

Tania nie powiedziała jej, że Aleksander przywiózł jajka. Zamierzała, ale gdy zobaczyła, że mama wciąż nie może wybaczyć mu tego, że skrzyczał ją i ojca, postanowiła zachować to w tajemnicy. Najpierw przebaczenie, dopiero potem jajka.

Aleksander dał im kilogram masła. Schowała je pod workiem z mąką na kuchennym parapecie. Mama wypiła szklankę słabej herbaty, zjadła kromkę białego chleba z masłem, burknęła: „Dziękuję” i poszła do pracy.

Babcia wzięła pieniądze, po czym zapakowała do worka kilka srebrnych sztućców, kilka srebrnych świeczników i stary koc z łóżka, jakby też zamierzała gdzieś wyjść.

Tatiana musiała wracać do kuchni, mimo to pozostała w pokoju i siedząc na krześle, patrzyła na Aleksandra.

– Dokąd ona się wybiera? – spytał.

– Babcia? – odrzekła Dasza, wchodząc do pokoju; Tania szybko odwróciła wzrok. – Za Newę, na Małą Ochtę. Ma tam przyjaciół. Wymienia rzeczy na ziemniaki i marchew. Była dla nich dobra, gdy wszystko było dobrze, więc teraz, gdy jest źle, oni są dobrzy dla niej. Mundur będzie dość długo schnąć – dodała, spoglądając z uśmiechem na Aleksandra.

– Nie szkodzi – odrzekł wesoło. – Muszę wracać dopiero za cztery dni. Do tej pory wyschnie?

Tatiana zamknęła oczy. Serce drgnęło jej ze szczęścia. Cztery dni z Aleksandrem!

– Taniu, zrobisz śniadanie? – spytała Dasza, ponownie znikając w łazience; Marina miała wykłady i szykowała się do wyjścia w drugim pokoju.

– Tatiasza, dasz mi szklankę herbaty? – poprosił Aleksander.

Szybko wstała. Co ona wyprawia? Siedzi tu i gapi się na niego jak sroka w gnat. Szura musi być bardzo zmęczony i głodny.

– Tak, oczywiście.

Siedział na krześle z wyciągniętymi nogami. Nogi miał tak długie, że nie mogła przejść, a on bynajmniej nie zamierzał ich zabierać. Palił papierosa i patrzył na nią z uśmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, z trudem zachowując poważną minę.

– Przejdź nad nimi – odrzekł, zniżając głos. – Tylko się nie potknij, bo będę musiał cię złapać.

Tatiana zaczerwieniła się jak piwonia i w tej samej chwili zobaczyła, że od progu obserwuje ich Marina.

– Przepraszam – powtórzyła, lekko drżącym głosem.

Aleksander niechętnie cofnął nogi.

– Marino – westchnął – chodź, niech no na ciebie spojrzę. Co słychać?

Tania przyniosła mu szklankę mocnej, dobrze osłodzonej herbaty, dokładnie takiej, jaką lubił.

– Dziękuję – szepnął, patrząc jej w oczy.

– Proszę. – Ona spojrzała w oczy jemu.

– Moje nogi wciąż przeszkadzają?

– Tak – szepnęła. – Ten pokój jest dla ciebie za mały.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wróciła Dasza z czystymi prześcieradłami.

– Jak babcia radzi sobie za Newą? – spytał Szura, uciekając wzrokiem w bok.

Dasza układała prześcieradła na stole.

– Wczoraj przyniosła pięć buraków i dziesięć ziemniaków. Ale sprzedała już ślubną zastawę mamy, a dzisiaj wzięła świeczniki. Bóg wie, co sprzeda jutro.

– A te złote zęby od dentysty? – spytała Tatiana. – Chłopi nie biorą złota? – Usiadła przy ścianie, tyłem do siostry, twarzą do Aleksandra.

– Po co im złoto?

– A po co im świeczniki?

– Żeby wstawić do nich świece – odrzekł Szura. – Żeby mieć światło, trochę ciepła… No i żeby tłuc nimi Niemców. Taniu… – Popatrzył na nią z uśmiechem. – Gdzie moja owsianka? Gdzie obiecane jajka?

Ktoś zapukał do drzwi i Tania poszła otworzyć. W progu stała Nina Iglenko. Spytała, czy nie mają czegoś dla Antona; odkąd został ranny, przymierali głodem. Na korytarz wyszedł Aleksander. W porównaniu z drobną, ubraną w stary sweter Niną był wysoki, wielki jak góra.

– Towarzyszko – powiedział. – Wszystkie matki dostają takie same kartki. Przykro mi, ale nic nie mamy. – Zamknął drzwi i spojrzał na Tatianę. – Anton jest ranny? Nic mi nie mówiłaś. – Stał tak blisko niej. Czuła jego zapach, oddychała jego oddechem, niewiele brakowało, a dotknąłby piersią jej twarzy.

– Nic mu nie będzie – odrzekła z udawanym lekceważeniem, na próżno walcząc z drżeniem rąk; nie chciała, żeby się o niego martwił. – To tylko draśnięcie.

– Taniu, wiedziałaś, że wszystkim matkom dają takie same racje żywnościowe? – spytał, robiąc krok do przodu, tak że przestraszona wpadła na wieszak.

– Tak, słyszałam.

– Macie tyle samo co oni.

– Wiem. Przepraszam, ale muszę zrobić śniadanie. – Miał na sobie tylko kalesony i nie mogła stać przy nim ani sekundy dłużej. Wyszła za drzwi, dopędziła Ninę i wcisnęła jej do ręki kawałeczek masła.

– Niech cię Bóg błogosławi, Tanieczko – szepnęła z wdzięcznością Nina. – Będzie cię chronił, dopóki żyjesz, zobaczysz. Za twoje dobre serce.

Tatiana wróciła do kuchni i właśnie gotowała owsiankę, gdy zajrzał do niej Aleksander. Wszedł i oparł się o gorący piec.

– Uważaj, sparzysz sobie plecy – powiedziała, nie podnosząc wzroku znad płyty.

Długo nic nie mówił, a potem syknął:

– Znam cię jak nikt. Wiem, co robisz…

– No pewnie. Owsiankę i jajecznicę.

Chwycił ją za podbródek.

– Nie możesz rozdawać jedzenia. Rozumiesz? Bo umrzecie z głodu.

Otworzyła usta i udając, że chce ugryźć go w palec, kiwnęła głową.

Zabrał rękę dopiero po chwili.

Ugotowała owsiankę z odrobiną masła i z kilkoma łyżeczkami cukru. Do wody dodała dwie łyżki mleka. Starczyło na cztery porcje. Największą dała Aleksandrowi, nieco mniejszą Daszy, jeszcze mniejszą Marinie, a najmniejszą przeznaczyła dla siebie. Szura przywiózł im dwadzieścia jajek. Z pięciu zrobiła jajecznicę z masłem i solą. Czekała ich prawdziwa uczta.

Aleksander spojrzał na swoją miseczkę i oznajmił, że nie będzie jadł. Dasza pochłonęła swoją, zanim skończył mówić. Marina też. Jajecznica zniknęła w okamgnieniu.

Tylko oni siedzieli bez ruchu, Tania i Aleksander.

– Co wam jest? – spytała Dasza. – Aleks, musisz jeść więcej niż ona. Jesteś mężczyzną. Tania jest najmniejsza, najdrobniejsza. Wystarczy jej połowa tego co tobie. Jedz. Proszę.

– Właśnie – powiedziała Tatiana, nie podnosząc głowy. – Jesteś mężczyzną. Ja jestem najdrobniejsza. Powinnam jeść najmniej. Jedz. Proszę.

Aleksander wziął jej miseczkę i dał jej swoją.

– Ty jedz. Ja mogę kupić jedzenie w koszarach. Jedz.

Tania zjadła owsiankę w kilka sekund. Jajecznicę też.

– Och, Aleksandrze – powiedziała Dasza. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się tu zmieniło. Jest dużo ciężej. Ludzie są podlejsi. Wszyscy myślą tylko o sobie. – Westchnęła i spojrzała w okno.

Tatiana i Aleksander patrzyli na nią w milczeniu.

– Dostajemy tylko trzysta gramów chleba dziennie – ciągnęła. – Czy może być jeszcze gorzej?

– Tak, i będzie – odrzekła Tania, wyręczając Szurę. – Za kilka dni znowu zmniejszą nam rację.

– Ile wam zostało mielonki? – spytał.

– Dwanaście puszek.

– Tak – wtrąciła Tatiana – ale cztery dni temu mieliśmy osiemnaście. Przez cztery dni zjedliśmy sześć puszek. Głód dopadał nas nawet w nocy. – Chciała dodać, że głodowali nieustannie, i na jawie, i we śnie, ale nie dodała.

Dasza i Marina musiały iść do pracy. Siostra podeszła do Aleksandra, a ten objął ją w talii.

– Och, Aleks, tak strasznie schudłam. Przestanę ci się podobać. Niedługo zacznę wyglądać jak Tania. – Pocałowała go w usta. – Dasz sobie radę, kiedy nas nie będzie? Co będziesz tu robił?

– Padnę na łóżko, zasnę i obudzę się dopiero wtedy, kiedy wrócisz.

Tatiana biegła do domu, nie zwracając uwagi na popołudniowy ostrzał.

A w domu było tak miło, tak przytulnie. Aleksander wyszedł jej na spotkanie, uśmiechając się radośnie, a ona odpowiedziała mu uśmiechem i rzuciła:

– Witaj, już jestem!

Roześmiał się. Tak ładnie, tak serdecznie.

Miała ochotę go pocałować.

Zszedł do piwnicy i przyniósł sześć naręczy drewna na opał.

– Jak tu przytulnie, prawda, Taniu? – spytała Dasza, obejmując go za szyję.

– Dziewczęta – odrzekł – będziecie musiały zacząć palić w piecu. Robi się zimno.

– Przecież mamy centralne.

– Daszo, na polecenie rady miejskiej ciepłownie ogrzewają budynki mieszkalne tylko do plus dziesięciu stopni Celsjusza. Myślisz, że to wystarczy?

– Do tej pory nie było tak źle – odparła Tatiana, zdejmując palto.

Aleksander poklepał Daszę po ramieniu.

– Przyniosę więcej drewna z piwnicy. Rozpalcie w dużym piecu, a nie w „burżujce", która nie ogrzeje nawet pingwina. Dobrze, Taniu?

Tatiana nagle zadrżała.

– Będziemy potrzebowali dużo opału – wymamrotała i poszła do kuchni robić kolację.

Babcia przyniosła z Małej Ochty siedem ziemniaków. Zjedli kolejną puszkę mielonki i wszystkie kartofle. Po kolacji Aleksander zasugerował, żeby od tej pory jedli tylko pół puszki mielonki dziennie, i Dasza się zdenerwowała. Powiedziała, że to za mało, że nawet cała im nie wystarczy. Aleksander tylko westchnął.

Kiedy zawyły syreny, kazał wszystkim zejść do schronu, Tatianie też. Kiedy Dasza poprosiła, żeby poszedł z nimi, spojrzał na nią w zadumie i odrzekł:

– Idźcie, o mnie się nie martwcie.

Dasza nalegała.

– Jaki byłby ze mnie żołnierz – odparł – gdybym pędził do schronu podczas każdego ostrzału? Idźcie. Ty też, Taniu. Mam nadzieję, że nie chodziłaś na dach?

Zapadł wieczór.

– Marinko – poprosiła Dasza – możesz spać dzisiaj z babcią? U niej jest cieplej niż tutaj. Chciałabym zasnąć obok Aleksandra. Chyba nie masz nic przeciwko temu, mamo. Przecież się pobieramy.

– Aleksander będzie spał z tobą i… z Tanią? – Marina zerknęła na Tatianę. Ta szybko odwróciła wzrok.

– Tak – odrzekła z uśmiechem Dasza, wyjmując z komody czyste prześcieradło. – Chyba że nie zechce.

Aleksander mruknął coś pod nosem.

– Tanieczko – droczyła się z nią Dasza, ścieląc łóżko. – Jak myślisz, gdzie go położyć? Może w środku, między nami? – Roześmiała się lekko. – Dobrze by ci to zrobiło. Pierwszy raz spałabyś z mężczyzną. – Rozbawiona uszczypnęła Aleksandra w rękę. – Z drugiej strony, sama nie wiem, kochanie. Chyba nie powinna zaczynać od ciebie.

Nie patrząc na Tatianę, Aleksander mruknął, że w środku byłoby mu niewygodnie, a Tatiana wymamrotała, że właśnie.

– Spokojnie – powiedziała Dasza. – Chyba nie myślisz, że położyłabym cię obok własnej siostry?

Późnym wieczorem Tatiana przywarła do swojej ściany, Dasza położyła się przy niej, a obok Daszy Aleksander w długich kalesonach. Prawie nie mogli się poruszyć, za to było im o wiele cieplej. Na myśl, że Szura leży tuż obok, tak blisko i tak daleko zarazem, że dzieli ich serce siostry, Tani zwilgotniały oczy. Na sofie cicho płakała mama. Tatiana zacisnęła powieki.

Nagle dobiegł ją szept Daszy.

– Mówiłeś, że się pobierzemy. Ale kiedy, kochanie, kiedy?

– Lepiej zaczekajmy.

– Na co? Mówiłeś, że weźmiemy ślub, kiedy tylko dostaniesz urlop. Zróbmy to jutro. Pójdziemy do urzędu stanu cywilnego, wszystko razem potrwa najwyżej dziesięć minut. Tania i Marina mogą być świadkami. Nie ma na co czekać, kochanie.

Tatiana przywarła do ściany jeszcze mocniej.

– Daszo, zrozum. Trwają ciężkie walki. Nie słyszałaś ostatnich wiadomości? Towarzysz Stalin ogłosił, że ci, którzy trafią do niewoli, będą uznani za przestępców. Wpaść w ręce Niemców to teraz zbrodnia, a żeby nikt nie przeszedł na ich stronę dobrowolnie, nasz wielki przywódca postanowił odebrać racje żywnościowe rodzinom jeńców wojennych. Jeśli się pobierzemy i jeśli wezmą mnie do niewoli, stracicie kartki. Ty. Tania. Twoja matka, babcia, wszyscy. Żebyście mieli co jeść, musieliby mnie zabić.

– Och, nie…

– Dlatego trzeba zaczekać.

– Ale na co?

– Na lepsze czasy.

– Myślisz, że nadejdą?

– Tak.

Umilkli.

Tania odwróciła się twarzą do siostry i popatrzyła na tył głowy Aleksandra. Przypomniało jej się, jak leżała w jego ramionach naga i chora, czując we włosach jego oddech.

W środku nocy Dasza wstała i wyszła do łazienki. Tania myślała, że Szura śpi, lecz on spojrzał na nią i mimo ciemności dostrzegła jego błyszczące oczy. Przesunął pod kocem stopę i leciutko dotknął jej nogi; miała na sobie skarpetki i podwójną flanelową piżamę. Kiedy na korytarzu trzasnęły drzwi, szybko zamknęła oczy. Aleksander cofnął nogę.

Nazajutrz wieczorem ugotowała tylko pół mielonki. Przypadło ledwie po łyżce na każdego, ale było to przynajmniej mięso. Dasza powiedziała, że za mało jedzą.

– Anton umiera – odrzekła Tatiana. – Jedz. Nina Iglenko nie jadła mielonki od sierpnia.

Po kolacji mama chciała się zabrać do szycia. Od początku września brała szycie do domu. Wojsko potrzebowało mundurów zimowych i dyrekcja fabryki zaproponowała jej premię za dwadzieścia zamiast dziesięciu mundurów dziennie. Premię i dodatkową rację żywnościową. Za trzysta gramów chleba i za kilka rubli mama harowała do pierwszej w nocy. Tego wieczoru usiadła na krześle, wyjęła materiał, podniosła głowę i zamarła.

– Gdzie maszyna?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Gdzie moja maszyna? – powtórzyła mama. – Taniu, gdzie jest maszyna do szycia?

– Nie wiem, mamo.

Przykuśtykała do niej babcia.

– Sprzedałam ją, Irino.

– Co takiego?!

– Wymieniłam ją na olej i fasolkę sojową, którą dzisiaj zjedliśmy. Była taka pyszna…

– Mamo! – krzyknęła Irina. Wpadła w histerię. Ukryła twarz w dłoniach i przez kilka minut rozpaczliwie płakała. Upokorzona i zażenowana Tania zastygła bez ruchu. Aleksander wyszedł na korytarz ze zbolałą miną.

– Mamo, jak mogłaś? – wyszlochała Irina. – Dobrze wiesz, że dzień w dzień i noc w noc ciężko pracuję, że zabijam się tu, żeby tylko zarobić, żeby przynieść do domu choć

trochę jedzenia. Dla siebie, dla was, dla nas wszystkich! Gdybym szyła dwadzieścia pięć mundurów dziennie, daliby mi jeszcze trochę płatków! Mamo, coś ty zrobiła?

Tatiana wyszła z pokoju. Aleksander siedział na sofie i palił papierosa. Tania wyjęła ołówek i uklękła, żeby podnieść worek z płatkami. Płatki znikały, znikały coraz szybciej, dlatego chciała zaznaczyć ich poziom. Znikała mąka, znikał cukier, znikało każde jedzenie.

– Wstań – powiedział Aleksander. – Pomogę ci. To dla ciebie za ciężkie. – Podniósł worek, a ona zajrzała do środka i narysowała na papierze czarną linię. – I co ty na to, Tatiu? – spytał cicho Szura. – Twoja mama prywaciarką. Kto by pomyślał.

– To dzisiaj powszechne. Hasło „Socjalizm w jednym kraju" nie sprawdza się, kiedy kraj prowadzi wojnę. – Wskazała worek z mąką.

Aleksander podniósł go i kiwnął głową.

– Tak samo jak podczas wojny domowej i zaraz po. Podczas wojny bestia waruje, żeby ocalić życie. Zauważyłaś?

– Dopóki nie nabierze sił, żeby znowu dźwignąć swój paskudny łeb. Opuść trochę niżej. – Dotknęła palcem jego ręki. Nie podniosła głowy.

– Co ona teraz zrobi? – spytał.

– Mama? Nie wiem. A babcia? Nie ma już nic do sprzedania. – Wróciła do kuchni, żeby pozmywać po kolacji.

Pozmywała i właśnie ruszyła do drzwi, gdy drogę zastąpił jej Aleksander. Zrobiła krok w lewo, on też zrobił krok w lewo. Zrobiła krok w prawo, on też zrobił krok w prawo. Podniosła wzrok. Miał roześmiane oczy.

Stali przez chwilę naprzeciw siebie. Nagle Tania udała, że chce skoczyć w lewo, a gdy Aleksander ponownie spróbował zajść jej drogę, zrobiła zwód i obiegła go szybko z prawej. Roześmiała się głośno i zerknęła przez ramię.

– Następnym razem musisz być dużo szybszy!

Cztery dni później wrócił do koszar. Gdy wychodził z domu, wszyscy mieli łzy w oczach.

Dobrze przynajmniej, że przez najbliższy tydzień miał zostać w Leningradzie, patrolować ulice, remontować sprzęt, wznosić umocnienia i szkolić rekrutów. Nocować już u nich nie mógł, ale często bywał na kolacji, a o wpół do siódmej rano odprowadzał Tatianę do sklepu przy Fontance.

– Słyszałem, że Dmitrij jest ranny – powiedział któregoś dnia.

– Nie!

– Tak.

– Jak to się stało? Ranili go w walce?

– Nie. Postrzelił się z nagana w stopę.

– No tak, zapomniałam. On to nie ty.

Szura dotknął jej ramienia i dodał, że Dima leży w szpitalu w Wołchowie.

– Na domiar złego ma dystrofię.

– Dystrofię?

Wyczuła, że Aleksander nie ma ochoty o tym mówić.

– Zanik mięśni – odrzekł niechętnie. – Z niedożywienia.

Tatiana poklepała go lekko po plecach.

– Nie martw się, Szura. Ja na to nie zachoruję. Nie mam mięśni.

Cierpliwie czekali w kolejce.

Aleksander próbował pochwycić jej spojrzenie, jakby czegoś od niej chciał. Zupełnie nie mogła się domyślić czego.

Nie mogła czy nie chciała?

Jego racje żywnościowe bardzo im pomagały. Dostawał iście królewską porcję chleba – osiemset gramów dziennie! – ponad połowę tego, co oni wszyscy razem. Przysługiwało mu również sto pięćdziesiąt gramów mięsa, sto czterdzieści gramów płatków i aż pół kilograma warzyw.

Ilekroć przychodził wieczorem z kolejną porcją żywności, Tatiana skakała ze szczęścia. Ciekawe. Cieszyła się na jego widok czy na widok jedzenia? I zawsze, ale to zawsze kazał jej rozdzielać wszystko na sześć równych części.

– Taniu – mówił – tylko pamiętaj: porcje mają być równiutkie.

Wołowiny brakowało, przynosił więc żółtawą wieprzowinę albo żylaste kurze udko o grubej skórze. Tylko dzięki olbrzymiemu wysiłkowi woli Tatiana nie próbowała podsunąć mu największej porcji, ale robiła co mogła, żeby wybrać dla niego najlepszy kawałek.

Na wymianę nie mieli już nic, ani świeczników, ani naczyń, z wyjątkiem sześciu talerzy, które postanowili zatrzymać dla siebie i Aleksandra. Babcia Maja chciała wymienić na żywność stare koce i palta, ale mama tupnęła nogą i powiedziała:

– Nie, wykluczone. Zimą będzie lodowato. – Pierwsze mrozy nadeszły już w trzecim tygodniu października.

Pozostało im jedynie sześć prześcieradeł na trzy łóżka i tylko sześć ręczników. Babcia chciała sprzedać jeden, ale tym razem zaprotestowała Tatiana, gdyż Aleksander nie miałby się czym wycierać.

Babcia przestała chodzić za Newę.

4

Wychodząc z kuchni, usłyszała, że Dasza, Aleksander, Marina, mama i babcia kłócą się o coś w pokoju. Już miała otworzyć drzwi, gdy wtem usłyszała głos Szury.

– Nie, nie możecie jej tego powiedzieć, nie teraz.

– Przecież i tak się dowie – odparła Dasza.

– Kiedyś, ale nie teraz!

– Dlaczego? – spytała mama. – Co to za różnica? Powiedzcie jej, i już.

– Zgadzam się z Aleksandrem – odezwała się babcia. – Tania jest bardzo słaba, bardzo to przeżyje.

Tatiana weszła do pokoju.

– Co przeżyję? – spytała.

Wszyscy zamilkli.

– Nic, Tanieczko, nic – odrzekła szybko Dasza, patrząc na Aleksandra, który spuścił głowę i usiadł.

Tania trzymała tacę ze szklankami, spodeczkami i dzbankiem herbaty.

– Co się stało?

Twarz Daszy była mokra od łez.

– Och, Taniu…

– Co „och Taniu”?

Ponownie zapadło milczenie. Nikt na nią nie patrzył.

Tatiana przeniosła wzrok na babcię, potem na matkę, na kuzynkę, siostrę i na Aleksandra. Chryste, niech ktoś wreszcie na mnie spojrzy, pomyślała.

– Aleksandrze – spytała – co mieliście mi powiedzieć?

Szura podniósł głowę.

– Taniu, twój dziadek nie żyje. Zmarł we wrześniu na zapalenie płuc.

Tatiana wypuściła tacę. Szklanki roztrzaskały się o podłogę, gorąca herbata zbryzgała jej pończochy. Tania kucnęła i bez słowa pozbierała szkło i skorupy. Milczała ona, milczeli oni. Po chwili wstała i wyszła do kuchni. Zanim zamknęła za sobą drzwi, usłyszała jeszcze, jak Aleksander mówi:

– No i co? Zadowoleni?

Kiedy do niej przyszli, stała przy oknie, trzymając się parapetu.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedziała Dasza. – Chodź, przytul się do mnie. – Objęła ją mocno i szepnęła: – Wszyscy go uwielbialiśmy. Jesteśmy zdruzgotani.

– To zły znak, Daszo – odrzekła Tania.

– Nie, Tanieczko, nie…

– To zły znak – powtórzyła z uporem Tatiana. – Dziadek umarł, bo nie mógł i nie chciał patrzeć, jak marnieje jego rodzina.

Spojrzały na Aleksandra. Aleksander milczał.

Nazajutrz rano poszli do sklepu i stanęli w kolejce. Prawie się do siebie nie odzywali. Kiedy wykupiwszy przydział, mijali kanał przy Fontance, Szura włożył rękę do kieszeni płaszcza i powiedział:

– Jutro muszę wracać. Ale spójrz. Spójrz, co ci kupiłem. – Na otwartej dłoni podał jej maleńką tabliczkę czekolady. Uśmiechnęła się blado i zwilgotniały jej oczy.

Wziął ją za rękę i poklepał się w pierś.

– Chodź do mnie.

Wtuliła twarz w jego płaszcz, a wówczas Szura objął ją i mocno przytulił. Stała tak i płakała. Długo. Bardzo długo.

Rana w nodze nie chciała się zagoić. Anton coraz bardziej słabł.

Tatiana przyniosła mu kawałeczek czekolady od Aleksandra. Chłopiec zjadł go, lecz bynajmniej nie łapczywie. Był blady i apatyczny.

Tatiana przysiadła na łóżku. Milczeli.

– Taniu, pamiętasz zeszłoroczne lato? – spytał cicho Anton.

– Nie. – Pamiętała tylko lato tego roku.

– W sierpniu, kiedy wróciłaś z Ługi, ty, ja, Wołodia, Pietka i Pasza poszliśmy pograć do Ogrodu Taurydzkiego, pamiętasz? Tak bardzo chciałaś odebrać nam piłkę, że kopnęłaś mnie w kostkę. – Uśmiechnął się lekko. – W kostkę tej samej nogi.

– Tak, pamiętam. Ciii… – Wzięła go za rękę. – Rana się zagoi, zobaczysz. Minie zima i znowu zagramy.

Zacisnął rękę na jej palcach i zamknął oczy.

– Ale już nie z Paszką. Ani z moimi braćmi.

– Zagramy we dwoje – szepnęła. – Tylko ty i ja.

– Nie, Taniu. Ze mną też już chyba nie zagrasz…

Oni tam na ciebie czekają, pomyślała. Czekają, żeby zagrać.

Z tobą i ze mną.

5

Do sklepu miała daleko, kolejki też były długie, ale ponieważ zawsze wychodziła o wpół do siódmej – nie ma to jak niemiecka punktualność – wyprawa zajmowała jej najwyżej półtorej godziny i o ósmej, kiedy nad miasto nadlatywały bombowce i zaczynały wyć syreny, była już w domu. Jednakże ostatnio zauważyła coś dziwnego. Albo samoloty nadlatywały za wcześnie, albo za późno wychodziła, ponieważ trzy razy z rzędu bombardowanie zaskoczyło ją na Niekrasowa.

Zeszła do najbliższego schronu tylko dlatego, że przyrzekła to Aleksandrowi. Przytuliwszy do piersi bezcenny chleb i poprawiwszy hełm – gdyby nie Szura, na pewno chodziłaby w samej czapce – usiadła w tłumie przypadkowych przechodniów i mieszkańców domu.

Chleb nie należał do najsmaczniejszych. Nie był biały ani miękki, nie miał też chrupiącej skórki, mimo to pachniał jak marzenie. Siedziała tam pół godziny i przez pół godziny ze wszystkich stron wpatrywało się w nią trzydzieści par oczu. W końcu jakaś staruszka powiedziała:

– Podziel się z nami, dzieweczko. Nie siedź tak, daj choć kawałek.

– To dla mojej rodziny – odparła Tatiana. – Jest nas pięć, same kobiety. Czekają na ten chleb. Jeśli się z wami podzielę, nie będziemy miały co jeść.

– Tylko kawałek – nalegała staruszka. – Mały kawałeczek…

Wybuchy ustały i Tatiana pierwsza wybiegła na ulicę. Postanowiła, że od tej pory będzie chodzić szybciej i że już nigdy się nie spóźni.

Jednakże mimo postanowienia w żaden sposób nie mogła zdążyć do domu przed porannym bombardowaniem.

Iść do sklepu o dziesiątej? Wykluczone. Musiała pracować, w szpitalu też jej potrzebowali. Wysłać mamę albo Daszę? Może chodziłyby szybciej niż ona? Nie. Mama od rana do nocy szyła mundury, w dodatku ręcznie. Za kilka mundurów dostawała dodatkową porcję płatków owsianych, dlatego praktycznie nie wstawała od stołu.

Dasza odmówiła, ponieważ rano robiła pranie. Marina też odmówiła, i dzięki Bogu. Prawie przestała chodzić na wykłady. Wykupywała swój przydziałowy chleb, natychmiast go zjadała, a wróciwszy do domu, domagała się chleba od Tatiany.

– Marinko, to niesprawiedliwie – mówiła Tania. – Wszyscy jesteśmy głodni. Wiem, że to trudne, ale musisz wziąć się w garść.

– Aha. Tak samo jak ty?

– Właśnie – odparła Tania, wyczuwając, że kuzynka nie mówi o jedzeniu.

– Dobrze ci idzie. Tak trzymać.

Mimo to Tania czuła, że idzie jej fatalnie.

Tak, nigdy dotąd nie szło jej gorzej, a tymczasem rodzina nie mogła się jej nachwalić. Ze światem musiało być coś nie tak, skoro chwalono ją za kompletną fuszerkę. Nie martwiło jej to, że jest powolna. Martwiło ją to, że czuła, iż z dnia na dzień jest coraz wolniejsza. Wszelki wysiłek i pośpiech napotykał nieznany dotychczas opór: opór własnego ciała.

Poruszało się znacznie wolniej niż kiedyś, czego namacalnym dowodem były niemieckie bombowce, które punktualnie o ósmej nadlatywały nad Leningrad, by ożywiwszy drzemiące surmy i trąby bojowe, przerwać poranną godzinę szczytu.

Słońce też wstawało o ósmej. Szła do sklepu i wracała prawie po ciemku.

Pewnego ranka minęła mężczyznę idącego w tę samą stronę. Był od niej wyższy, starszy i chudszy, i miał na głowie kapelusz.

Minęła go i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że już od dawna nikogo nie wyprzedziła. Ludzie chodzili każdy swoim krokiem, lecz nigdy nikogo nie wyprzedzali. Albo idę szybciej od niego, pomyślała, albo on idzie jeszcze wolniej niż ja.

Przystanęła i odwróciła się. Mężczyzna zdryfował na ścianę domu niczym zwiotczała płachta spadochronu, oparł się o nią i znieruchomiał. Tania podeszła, żeby pomóc mu usiąść. Mężczyzna ani drgnął.

Mimo to spróbowała posadzić go na chodniku. Zdjęła mu kapelusz. Patrzył na nią nieruchomymi oczami. Były szeroko otwarte jak przed kilkoma sekundami, jak wtedy, gdy szedł. Ale teraz nie żył.

Przerażona rzuciła kapelusz i nie oglądając się za siebie, szybko poszła dalej. W drodze powrotnej skręciła w Żukowskiego, żeby nie przechodzić koło zwłok mężczyzny. Zaczął się nalot, ale nie zwracała na to uwagi. Gdyby ci ze schronu chcieli jej odebrać bezcenny chleb, nie miałaby siły ich odpędzić. Poprawiła hełm i parła naprzód.

Opowiedziała o wszystkim rodzinie. Nie wywarło to na nich żadnego wrażenia.

– Tak? – odrzekła Marina. – A ja widziałam martwego konia na środku ulicy. Miał rozpruty brzuch, ludzie wycinali z niego mięso. To jeszcze nic. Podeszłam i spytałam, czy nie zostało czegoś dla mnie.

Gdy położyła się spać, przed oczami stanęła jej twarz mężczyzny, jego powolny krok i śmieszny kapelusz. Lecz to nie jego śmierć ją dręczyła, gdyż – niestety – śmierć już widziała, i tam, w Łudze, i tu, w Leningradzie, gdy tak nagle zabrakło Paszy, gdy patrzyła na płonący szpital, w którym zginął ojciec. Nie, dręczył ją chód mężczyzny, długość kroku i szybkość, ponieważ tuż przed śmiercią nieznajomy szedł i chociaż ona szła szybciej, to przecież wyprzedzała go dość długo.

6

– Ile zostało nam mielonki? – spytała mama.

– Jedna puszka – odrzekła Tatiana.

– Niemożliwe.

– Mamo, jedliśmy ją co wieczór.

– Ale to niemożliwe. Niedawno mieliśmy dziesięć.

– Tak, dziewięć dni temu.

– Została nam jeszcze mąka? – spytała mama nazajutrz.

– Tak, kilogram. Co wieczór piekę z niej placki.

– To jest placek? – rzuciła Dasza. – Smakuje jak mąka z wodą.

– Bo to jest mąka z wodą – odparła Tatiana. – Aleksander nazywa je marynarskimi sucharami.

– Nie możesz upiec chleba? – jęknęła mama. – Zamiast tych głupich placków upiecz lepiej chleb.

– Chleb? Z czego? Nie mamy mleka. Nie mamy drożdży. Nie mamy masła. A już na pewno nie mamy więcej jajek.

– Zmieszaj mąkę z wodą i dolej trochę mleka sojowego. Mleko sojowe chyba jeszcze jest?

– Tak, dokładnie trzy łyżki.

– No właśnie. I dodaj cukru.

– Dobrze, mamo.

Na kolację upiekła przaśny chleb z cukrem i resztką mleka. Zjedli też ostatnią puszkę mielonki. Był 31 października.

– Co to? – spytała Tatiana, rozłamując kawałek chleba i zaglądając pod czarną skórkę. – Co to jest?

Był początek listopada. Babcia Maja leżała na sofie. Mama i Marina już wyszły. Tania zwlekała. Delektowała się jedzeniem. Nie miała ochoty iść do szpitala.

Dasza pochyliła się na krześle i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Co to za różnica? Jak smakuje?

– Ohydnie.

– Jedz. Pewnie wolałabyś biały, co?

Tatiana wydłubała coś z chleba, zbadała palcem i włożyła to do ust.

– Boże. Wiesz, co to jest?

– Nie.

– Trociny.

Dasza przestała żuć, ale tylko na sekundę.

– Trociny?

– Tak. A to… – Pokazała jej mały, brązowawy wiórek. – To jest tektura. Jemy papier. Trzysta gramów dziennie, a oni dają nam papier.

– I tak mamy szczęście – odparła Dasza, wkładając do ust ostatnią okruszynę chleba i patrząc wygłodniałym wzrokiem na tę w ręku siostry. – Mogę otworzyć puszkę pomidorów?

– Nie. Zostały nam tylko dwie. Poza tym nie ma mamy i Mariny. Jeśli ją otworzymy, wszystko zjemy.

– I o to chodzi.

– Nie. Będą na kolację.

– Pomidory? Same pomidory? Co to za kolacja?

– Gdybyś nie zjadła na śniadanie wszystkich trocin i całej tektury, miałabyś czym zagryzać.

– Nie mogłam się powstrzymać.

– Wiem. – Tatiana włożyła do ust ostatni kawałeczek chleba, zamknęła oczy i zaczęła powoli żuć. – Posłuchaj – dodała, z trudem przełknąwszy ślinę. – Mam jeszcze trochę sucharów. Zjemy? Ale tylko po trzy kawałki na głowę.

– Pewnie. – Dziewczęta zerknęły na śpiącą babcię.

Zjadły po siedem. Z tego, co było kiedyś starym, odgrzanym w duchówce chlebem, zostały jedynie żałosne okruszki.

– Taniu, czy ty miesiączkujesz?

– Co takiego?

– Miesiączkujesz? – powtórzyła niespokojnie Dasza.

– Nie – odrzekła Tania. – Dlaczego pytasz?

– Bo ja też nie.

– Aha.

Dasza zamilkła. Patrzyły na siebie, płytko oddychając.

– Denerwujesz się? – spytała w końcu Tania z wyraźnym lękiem w głosie.

Siostra pokręciła głową.

– Nie, nie o to chodzi. Aleksander i ja… My nie… – Zerknęła na Tanię i urwała. – Nieważne. Martwi mnie to, że nagle przestałam miesiączkować. Tak po prostu, ni z tego, ni z owego.

– Nie martw się, Dasza. – Tatiana odczuła wielką ulgę, jednocześnie zrobiło jej się żal siostry. Chciała ją jakoś uspokoić. – Dostaniesz okresu, kiedy zaczniemy normalnie jeść.

Dasza podniosła głowę.

Tatiana uciekła wzrokiem w bok.

– Taniu, czy ty tego nie czujesz? Nie czujesz, że twoje ciało powoli umiera? – Dasza rozpłakała się i ukryła twarz w dłoniach. – Bo ja tak…

Tatiana objęła ją i szepnęła:

– Kochanie, wciąż bije mi serce, tobie też. Jeszcze nie umieramy.

W pokoju było zimno.

– Chcę, żeby wrócił ten wściekły głód – powiedziała Dasza. – Taki jak w zeszłym miesiącu. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Już go nie czuję. A ty?

– Też nie – przyznała cicho Tatiana.

– Chcę, żeby wrócił.

– Wróci. Zaczniemy lepiej jeść i wróci.

Tego wieczoru Tatiana przyniosła słoik przejrzystego płynu ze szpitalnej stołówki. W płynie pływał pojedynczy ziemniak.

– Rosół z kurczaka. I z wołową pręgą.

– Rosół? – spytała mama, zaglądając do słoika. – A gdzie kurczak? Gdzie pręga?

– Dzieci zjadły. Miałam szczęście, że w ogóle cokolwiek dostałam.

– Tak, Tanieczko, miałaś. Nalej.

Rosół smakował jak woda z ziemniakiem. Był zupełnie niesłony i nie pływało na nim

ani jedno oko tłuszczu. Ponieważ Aleksandra nie było, Tania podzieliła zupę na pięć porcji.

– Mam nadzieję, że Aleks niedługo wróci – westchnęła Dasza. – Na pewno przywiezie jedzenie. On to ma szczęście. Dostaje duże racje.

Ja też mam nadzieję, że niedługo wróci, pomyślała Tatiana. Muszę go zobaczyć, dłużej tak nie wytrzymam.

– Boże, czekaliśmy na kolację od pierwszej po południu – powiedziała mama. – A przecież ktoś musi gasić pożary, zbierać rozbite szkło, opatrywać rannych. Nikomu nie pomagamy. Myślimy tylko o jednym:

O jedzeniu.

– I właśnie o to chodzi Niemcom – odrzekła Tatiana. – Chcą, żebyśmy uciekli z miasta, a my jesteśmy gotowi to zrobić za jednego ziemniaka.

– Ja tam nigdzie nie ucieknę – oznajmiła mama. – Nie mogę. Muszę uszyć pięć mundurów, w dodatku ręcznie. – Łypnęła spode łba na milczącą babcię, która spokojnie żuła chleb.

– My też nie – powiedziała Tatiana. – Będziemy tu siedzieć, pracować, szyć, ale miasta nie opuścimy. Nie uciekniemy.

Nikt jej nie odpowiedział.

Kiedy zaczął się nalot, wszystkie zeszły do schronu. Na schodach Tatiana potknęła się o nogi kobiety, która umarła, siedząc przy ścianie, i której nikt stamtąd nie zabrał. Tania usiadła nieco dalej. Musiała przeczekać mrok, który ją nagle ogarnął.

7

Dasza codziennie pisała do Aleksandra. Dzień w dzień wysyłała krótki list. Szczęściara, myślała Tatiana. Pisać do Szury, wiedzieć, że to przeczyta. Szczęściara.

Pisali również do Mołotowa, do owdowiałej babci.

Poczta funkcjonowała okropnie.

Potem w ogóle przestano dostarczać listy.

Wtedy Tatiana zaczęła chodzić na pocztę przy Starym Newskim, gdzie szary, bezzębny staruszek oddawał jej listy, pytając, czy ma coś do jedzenia. Przynosiła mu kawałek suchara. Któregoś dnia nadszedł długo oczekiwany list o Aleksandra.

Droga Daszo i wszyscy pozostali!

Jedynym błogosławieństwem wojny jest to, że większość kobiet nie musi jej oglądać, że widzą ją jedynie uodpornione na ból pielęgniarki, które opatrują rannych.

Stacjonujemy za Szlisselburgiem, skąd próbujemy zaopatrywać w amunicję ufortyfikowaną wyspę Orieszek[15]*. Mimo silnego ostrzału z oddalonego o dwieście metrów brzegu jeziora Ladoga, nasi żołnierze utrzymują się tam od września. Orieszek. Pamiętasz tę nazwę? W 1887 powieszono tam Aleksandra, stryjecznego brata Lenina, za udział w zamachu na cara Aleksandra III.*

Żołnierze i marynarze strzegący źródeł Newy zostali okrzyknięci bohaterami Nowej Rosji: Rosji, która nastanie po Hitlerze. Mówią nam, że kiedy zwyciężymy, w Związku Radzieckim będzie zupełnie inaczej. Przyrzekają nam lepsze życie, lecz w imię tego lepszego życia musimy być gotowi na śmierć. Mówią, gińcie na polu chwały, żeby wasze dzieci mogły godnie żyć.

Dobrze, będziemy ginąć. Walki nie ustają nawet nocą. Ani walki, ani deszcz. Od tygodnia siedzimy tu przemoczeni jak szczury w kanałach. Nie możemy wyschnąć. Trzech moich zmarło na zapalenie płuc. Hitler chce nas zabić, a my umieramy na zapalenie płuc: to niemal komiczne, a raczej komicznie niesprawiedliwe. Cieszę się, że nie jestem teraz w Moskwie. Słyszałaś, co się tam dzieje? Myślę, że dzięki temu jeszcze żyjemy. I my, i wy. Hitler przerzucił dużą część grupy Armii Północ spod Leningradu pod Moskwę, w tym większość samolotów i czołgów. Jeśli zdobędą Moskwę, będzie po nas, ale na razie zawieszono nam wyrok.

Czuję się dobrze. Powiedz Tatianie, żeby chodziła pod ścianami domów. Kiedy zacznie się ostrzał czy bombardowanie, niech wejdzie do bramy czy schronu. I niech nosi hełm, który jej dałem.

Dziewczęta, pod żadnym pozorem nie oddawajcie nikomu chleba. I nie wychodźcie na dach.

Używajcie mydła, które wam zostawiłem. Pamiętajcie, że będąc czystym, człowiek czuje się trochę lepiej. Ojciec zawsze mi to powtarzał. Niestety tu, na froncie, o czystości i cieple trzeba zapomnieć. Jedynym pocieszeniem jest to, że na zimnie giną wszy, które roznoszą tyfus.

Wierzcie, myślę o Was w każdej minucie dnia.

Choć z daleka, serdecznie Was wszystkich pozdrawiam.

Do zobaczenia.

Aleksander

Tatiana wkładała hełm. Używała mydła. Ostrzał przeczekiwała w bramach. W domu coraz częściej chodziła w filcowych butach, filcowej czapce i palcie, które uszyła mama, kiedy miała jeszcze maszynę. I nie wiedzieć czemu mogła myśleć tylko o jednym: o Aleksandrze, który dzień i noc siedział nad Ładogą w przemoczonym mundurze.

Nad zasępionym Piotrogrodem

1

Nie mogły już dłużej zaprzeczać, że to, co działo się w Leningradzie, przechodziło ludzkie pojęcie.

Umarła matka Mariny.

Umarła Mariszka.

Umarł Anton.

Ostrzał nie ustawał. Nie ustawały bombardowania, chociaż Niemcy zrzucali ostatnio mniej bomb zapalających. Tatiana poznała to po mniejszej liczbie pożarów: idąc na Fontankę, mijała po drodze znacznie mniej miejsc, gdzie mogła ogrzać ręce.

Pewnego listopadowego ranka zobaczyła na ulicy dwoje martwych ludzi. Dwie godziny później leżało ich tam już siedmioro. Nie byli ani ranni, ani nawet draśnięci. Po prostu nie żyli. Przeżegnała ich znakiem krzyża, przystanęła i pomyślała: co ja robię? Dlaczego? I po co? Przecież mieszkam w komunistycznym kraju. Nakreśliła w powietrzu znak sierpa i młota i powoli poszła dalej.

W Związku Radzieckim nie było miejsca dla Boga. Co więcej, Bóg stał w sprzeczności z powszechnie przyjętymi zasadami życia: z wiarą w pracę, we wspólne bytowanie, w obronę państwa przed nonkonformistycznymi indywidualistami, w towarzysza Stalina. Szkoła, gazety i radio uczyły, że Bóg jest zaciekłym prześladowcą, znienawidzonym tyranem, który od stuleci zniewalał robotnika i przesłaniał mu oczy, tak że ten nie dostrzegał drzemiącego w nim potencjału. W bolszewickiej Rosji Bóg był tylko kolejną przeszkodą na drodze, którą kroczył Człowiek Radziecki. Prawdziwy komunista nie mógł wierzyć w Boga, ponieważ oznaczałoby to, że stawia Go ponad państwem. A ponad państwem nie mogło stać absolutnie nic. Państwo opiekowało się ludźmi, karmiło ich i broniło przed wrogiem. Powtarzano to Tani i w przedszkolu, i w szkole, i na zbiórkach pionierów, do których wstąpiła w wieku dziewięciu lat.

Wstąpiła do pionierów, ponieważ nie miała wyboru, ale kiedy mogła już wstąpić do Komsomołu – była wtedy w ostatniej klasie – zdecydowanie odmówiła. Nie ze względu na Boga, tylko tak, po prostu. Czuła, że nie będzie dobrą komunistką. Za bardzo podobały jej się opowiadania Zoszczenki.

Będąc dzieckiem, spotykała w Łudze bogobojne kobiety. Próbowały ją nauczać, chciały ją ochrzcić, wpoić jej wiarę. Uciekała przed nimi do ogrodu. Chowała się w bzach i patrzyła, jak powłócząc długimi spódnicami, idą drogą przez wieś, jak z życzliwym uśmiechem żegnają ją znakiem krzyża. Słyszała nawet, jak ją wołają: Tatiu, Tatiu…

Tatiana przystanęła. I przeżegnała się. Dziwne, bo trochę ją to pocieszyło.

Jakby nie była sama.

Poszła posiedzieć w cerkwi po drugiej stronie ulicy. Czy zbombardowano kiedyś jakąś świątynię? – myślała. Na przykład katedrę Świętego Pawła w Londynie? Skoro Niemcy nie trafili w olbrzymią katedrę, na pewno nie trafią w maleńką cerkiewkę. Poczuła się bezpieczniej.

Przed drzwiami poczty leżał martwy mężczyzna. Umarł dosłownie w progu.

– Długo tu leży? – spytała urzędnika.

Ten odsłonił w uśmiechu bezzębne dziąsła.

– Powiem ci za kawałek suchara.

– Za drogo, nie jestem aż tak ciekawa. Ale suchara panu dam.

Po ciemku nie widziały, co się dzieje z ich ciałami. Nikt by tego nie zniósł. Dasza pozdejmowała wszystkie lustra, i te w pokoju, i te w kuchni. Nie chciały w nie spoglądać, nawet przypadkowo. Z czasem przestały nawet patrzeć na siebie. Nie chciały widzieć ludzi, których kochały – nie w takim stanie.

Żeby ukryć swoje ciało i przed sobą samą, i przed wzrokiem innych, Tatiana wkładała flanelowy podkoszulek, flanelową bluzkę, wełniany sweter, wełniany sweter Paszy, grube pończochy, długie spodnie, na spodnie spódnicę, a na to wszystko zimowe palto. Palto zdejmowała jedynie do snu.

Dasza powiedziała, że zanikły jej piersi.

– Piersi? – fuknęła Marina. Straciłam matkę, a ty mi mówisz o piersiach? Zamieniłabyś piersi na matkę? Bo ja tak.

Dasza przeprosiła ją, ale w kuchni rozpłakała się i wyszlochała:

– Ja chcę mieć piersi! Tanieczko, ja chcę mieć piersi…

Tatiana pogłaskała ją po plecach.

– Przestań, Daszo. Odwagi. Nie jest tak źle. Mamy jeszcze trochę płatków. Ugotuję owsiankę.

Po śmierci cioci Rity Marina nie przestała chodzić na uniwersytet, chociaż, jak powiedziała Tatianie, profesorowie niczego ich nie uczyli. Nie było ani książek, ani wykładów, działała jednak w miarę ciepła biblioteka, gdzie można było przesiedzieć kilka godzin, czekając na cienką zupę w studenckiej stołówce.

– Nie znoszę zupy – powiedziała Marina któregoś dnia. – Nienawidzę. Po co ją jem? To bez sensu.

– Nieprawda. Jest przynajmniej gorąca. – Tatiana przykucnęła przy zwiotczałym worku; zostało im jeszcze trochę jęczmienia. – Od jęczmienia trzymajcie się z daleka. Starczy na cały miesiąc.

– Na miesiąc? Ta garstka?!

– Dobrze, że nie można go jeść na surowo.

Tania była w błędzie. Nazajutrz jęczmienia ubyło.

2

Tak samo jak w Łudze, któregoś dnia na miasto spadł deszcz ulotek. Najpierw ulotek, potem bomb. Różnica polegała na tym, że w Łudze było ciepło, że w Łudze mieli co jeść. Że wtedy Tatiana w coś wierzyła. Wierzyła, że znajdzie Paszę. Że wojna wkrótce się skończy. Wierzyła w towarzysza Stalina.

Teraz wierzyła tylko w jedno.

W pewnego człowieka. W człowieka niezmiennego i niezłomnego.

Ulotki zrzucane przez pilotów Luftwaffe były napisane po rosyjsku.

Kobiety! - głosiły. *Ubierajcie się na biało. Idąc Suworowa po dwieście pięćdziesiąt gramów chleba, miejcie na sobie białe ubranie, żebyśmy lepiej was widzieli. Nie chcemy do was strzelać ani rzucać na was bomb!*

Ubieraj się na biało, bo zginiesz, Tatiano! – Tak to zrozumiała.

Jedną ulotkę zachowała. Znalazła ją kilka dni przed dwudziestą czwartą rocznicą Wielkiej Rewolucji, którą obchodzono siódmego listopada. Przyniosła ją do domu i odruchowo rzuciła na stół. Ulotka przeleżała tam do następnego dnia, kiedy to wrócił Aleksander. Był chudszy niż przed dwoma tygodniami i miał jeszcze bardziej zapadłe policzki.

Oczy mu nie błyszczały, uśmiech zniknął, zniknął wrodzony urok, czar i animusz. Przepadł bez śladu.

Został tylko mężczyzna, który objął Daszę, a nawet mamę.

– Witaj, mój drogi, witaj – powiedziała mama. – Dobrze, że jesteś. Boże mój, tyle czasu na zimnie i deszczu…

– Sucho tu, choć niewiele cieplej – odrzekł Aleksander, obejmując babcię, która nie mogąc ustać na nogach, musiała cały czas opierać się o ścianę. Potem poklepał po policzku Marinę, a gdy spojrzał na Tatianę, która stała w drzwiach z ręką na klamce, stwierdził, że nie potrafi do niej podejść, że nie potrafi jej dotknąć. Że po prostu nie może. Obejmował ją chwilę wzrokiem. Pomachał jej ręką. To już coś. Pomachał, odwrócił się, wszedł do pokoju, odłożył karabin, zdjął gruby płaszcz, usiadł i poprosił o mydło. Dziewczęta świergotały i skakały wokół niego jak wróble. Dasza przyniosła mu kawałek chleba, który przełknął w całości. Marina miała taką minę, jakby chciała mu go odebrać.

– Jutro święto, rocznica rewolucji – powiedziała Dasza. – Myślisz, że dostaniecie coś ekstra?

– Kupię jedzenie, kiedy tylko wrócę do koszar. Jutro coś wam przyniosę.

– A teraz? Teraz nic nie masz?

– Daszo, jadę prosto z frontu.

Tatiana podeszła bliżej.

– Zrobić ci herbaty? – spytała. – Zrobię, dobrze?

– Tak, poproszę.

– Ja zrobię! – warknęła Dasza i wybiegła do kuchni.

Aleksander poczęstował Tanię papierosem.

– Masz, zapal – powiedział cicho. – Śmiało.

Zaskoczona Tatiana pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że nie palę.

– Wiem, ale nikotyna zabija apetyt… – Zmarszczył czoło. – Dlaczego tak na mnie

patrzysz? – Uśmiechnął się blado. – Patrz – szepnął. – Patrz jak najdłużej.

I Tania patrzyła, długo i czule. Nie mogła się powstrzymać. Poklepała go lekko po plecach.

– Szura, to nie ten etap. Ja już nie mam apetytu. – Cofnęła rękę. Aleksander zapalił.

Obserwowały ich babcia i Marina, ale Tani było wszystko jedno. Twarz Aleksandra należała do niej, i tylko do niej. Podeszła do nich Marina.

– Poczęstuj mnie – powiedziała. – Ja apetyt mam.

Aleksander wyjął papierosa z ust. Marina wzięła go i spojrzała na Tatianę.

– Na pewno nie chcesz? – spytała. – Przed chwilą miał go w ustach.

Aleksander popatrzył na nie znużonymi, lekko rozbawionymi oczami.

– Marinko, pal i daj jej święty spokój.

Wziął ze stołu ulotkę.

– „Dla uczczenia rocznicy Rewolucji Październikowej przewodniczący miejskiego komitetu partii komunistycznej Ždanow próbuje zdobyć dla dzieci dwie łyżeczki śmietany. Należy oczekiwać, że…" – Przestał czytać i zmarszczył brwi. – Co to jest?

– To? Nic takiego. – Tatiana podeszła do stołu. Marina usiadła. Babcia nadal stała przy ścianie. Tatiana rozpięła palto, spod którego wyjrzała biała sukienka w szkarłatne róże.

Aleksander zbladł.

– To… twoja sukienka?

Tylko ona stała przodem do niego, dlatego tylko ona widziała wyraz jego twarzy. Zrobiła krok do tyłu i leciutko, prawie niezauważalnie pokręciła głową. Przestań, Szura. Ten pokój jest dla nas za mały.

– Tak – szepnęła. Sukienka zwisała na niej jak na wieszaku. Tania zapięła palto.

Wróciła Dasza.

– Proszę – powiedziała, zamykając nogą drzwi. – Jest słaba, ale herbatę jeszcze mamy. Poza herbatą… – Urwała. Postawiła szklankę na stole. – Co się stało?

– Nic. – Aleksander spojrzał na ulotkę. – Co to jest?

Dasza popatrzyła pytająco na Marinę, lecz Marina tylko wzruszyła ramionami.

– Dlatego noszę tę sukienkę – wyjaśniła Tatiana. – Żeby do mnie nie strzelali.

Aleksander zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że oblał się gorącą herbatą. Wstał i grzmotnął pięścią w stół.

– Czyś ty zwariowała?! – wrzasnął. – Rozum ci odjęło?!

Dasza chwyciła go za rękaw płaszcza.

– Co cię napadło? Dlaczego tak na nią krzyczysz?

– Taniu! – wrzasnął Aleksander jeszcze głośniej i ruszył na nią jak czołg.

Tatiana ani drgnęła. Mrugnęła powiekami. Tylko raz.

Dasza wcisnęła się między nich, odepchnęła Aleksa i ciężko dysząc, krzyknęła:

– Siadaj! Co ci jest? Dlaczego tak wrzeszczysz?

Aleksander usiadł, nie spuszczając wzroku z Tatiany, która wyjęła zza sofy starą szmatę i zaczęła wycierać zalaną podłogę.

– Taniu, lepiej do niego nie podchodź, bo zaraz…

– Bo zaraz co? – spytał głośno Aleksander.

– Daj spokój, Daszka – szepnęła Tatiana. Pozbierała rozbite szkło i ruszyła do drzwi.

Aleksander chwycił ją za rękę.

– Rzuć to i natychmiast się przebierz. Proszę – dodał, nie zwalniając uścisku.

Tatiana położyła szkło na stół.

– Taniu – powiedział, świdrując ją wzrokiem; jakże pragnęła, żeby przestał tak na nią

patrzeć i żeby puścił jej rękę. – Taniu, czy wiesz, co Niemcy zrobili w Łudze? Byłaś tam, nie widziałaś? Zrzucili ulotki na ochotniczki, na kobiety i dziewczęta, które kopały okopy i zbierały ziemniaki. Noście białe ubranie i biały szal, nie chcemy strzelać do cywilów. Kobiety pomyślały: „dobrze, pewnie”, i czym prędzej przebrały się w swoje najlepsze białe sukienki. Niemieccy piloci tylko na to czekali. Przelatując na wysokości dwustu, trzystu metrów, strzelali do nich jak do kaczek. To była prawdziwa masakra. Biały strój ułatwia celowanie.

Tatiana odsunęła się o krok.

– Idź się przebrać. Włóż coś brązowego. I ciepłego. – Aleksander wstał. – Sam zaparzę herbatę. – Spojrzał zimno na Daszę. – Możesz coś dla mnie zrobić? Nigdy nie bierz mnie za kogoś, kto może skrzywdzić twoją siostrę.

– Nie zostaniesz na noc? – spytała Dasza.

Pokręcił głową.

– Najpóźniej o dziewiątej muszę się zameldować w garnizonie.

Zjedli zupę z kawałkiem kapuścianego liścia. Zagryźli ciężkim jak cegła chlebem i kilkoma łyżkami kaszy gryczanej, a na deser wypili nie słodzoną herbatę. Aleksandrowi dali kieliszek bezcennej wódki. Po kolacji zszedł do piwnicy po drewno i rozpalił w piecu. W pokoju zrobiło się ciepło i przytulnie. Niesamowite, pomyślała Tatiana. Niesamowite.

Siedział przy stole z Daszą po jednej i z mamą po drugiej stronie, a za nim stała Marina. Babcia leżała na sofie. Tania przycupnęła w najdalszym kącie pokoju, patrząc na słomkowej barwy ciecz w szklance. Wszyscy byli blisko niego. Wszyscy oprócz niej.

– Musi być ci bardzo ciężko – powiedziała mama. – Siedzisz w okopie, myślisz o jedzeniu…

– Irino Fiodorowno, zdradzę pani mały sekret. – Nachylił się ku niej i szepnął: – Kiedy jestem na froncie, o jedzeniu nie myślę ani przez chwilę.

Mama pogłaskała go po ramieniu.

– Drogi mój, nie dałoby się wywieźć dziewcząt z Leningradu? Prawie nie mamy jedzenia.

Aleksander ponownie pokręcił głową, próbując uwolnić się od otaczających go kobiet.

– To niemożliwe. Zresztą Ładoga to nie mój rejon. Stacjonujemy za Newą, ostrzeliwujemy Niemców w Szlisselburgu. – Zadrżał. – Są nieugięci. Poza tym jezioro jeszcze nie zamarzło, a barkami… W Leningradzie mieszka ponad dwa miliony cywilów, a barkami ewakuowano ledwie kilka tysięcy, głównie matek z dziećmi.

– My też jesteśmy dziećmi i mamy matkę.

– Małych dzieci, Daszo, małych. Wszystkie pracujecie, kto was puści? Ty i twoja mama szyjecie mundury dla wojska. – Poklepał matkę po ramieniu. – Tania pracuje w szpitalu. Jak dajesz sobie radę, Taniu?

Tatiana stała przy oknie, z dala od stołu.

– Dzisiaj uszyłam czterdzieści dwa worki – odparła, wzruszając ramionami. – Za mało. Zmarło siedemdziesiąt osiem osób. Szkoda, że nie mamy już maszyny.

Mama łypnęła spode łba na babcię.

– Smakowały ci te kartofelki, córeczko, oj smakowały – powiedziała babcia. – Ale teraz nie mam już nic i nic nie mogę ci dać.

– Jutro przyniosę wam ziemniaki z wojskowego sklepu – odrzekł Aleksander. – I trochę białej mąki. Przyniosę wszystko, co tylko uda mi się kupić. Ale wywieźć was

stąd nie mogę. Słyszałyście o „Konstruktorze”? To kuter torpedowy. Płynął do Nowej Ładogi z kobietami i dziećmi na pokładzie, kiedy zaatakowały ich niemieckie bombowce. Pierwszej bomby zdołali uniknąć. Druga trafiła. Zginęło dwieście pięćdziesiąt osób.

– Wolałabym już chyba zaryzykować i zostać tutaj, niż umierać w lodowatej wodzie – powiedziała Dasza.

– Jak dajecie sobie radę? Trzymacie się? Trzymasz się, Marino?

– Z trudem. Przecież widzisz, jak wyglądamy.

– Tak, bywało lepiej… – odrzekł Aleksander, zerkając na milczącą Tatianę.

– Umarł Anton – szepnęła, nie podnosząc głowy. – W zeszłym tygodniu.

– Właśnie – wtrąciła Dasza. – Może teraz Nina przestanie nas wreszcie nachodzić.

– Anton… – Aleksander odchrząknął. – Tak mi przykro, Taniu… Ale mam nadzieję, że nie rozdajesz jedzenia. Prawda?

Tatiana nie odpowiedziała.

– Co z Dmitrijem? – spytała, zmieniając temat. – Ani razu nie napisał.

Aleksander zapalił papierosa.

– Leży w szpitalu w Wołchowie. Walczy o życie. Pewnie nie ma siły pisać. – Wymienili z Tatianą ukradkowe spojrzenia.

Zawyła syrena. Aleksander popatrzył wokół stołu. Nikt się nawet nie poruszył.

– Przestaliście schodzić do schronu czy Tatiana was przekabaciła?

Dasza owinęła się szczelniej swetrem.

– Marina i ja schodzimy, ale…

– Taniu – przerwał jej Aleksander. – Kiedy ostatni raz byłaś w schronie?

Tatiana wzruszyła ramionami.

– W zeszłym tygodniu. Siedziałam obok kobiety, która w ogóle się nie odzywała. Trzy razy próbowałam nawiązać rozmowę i dopiero za czwartym razem zdałam sobie sprawę, że ona nie żyje. – Tania uniosła brwi. – I to od dawna.

– Wytrzymałaś tam tylko pięć sekund, a bombardowanie trwało trzy godziny. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przeczekałaś cały nalot.

– We wrześniu – powiedziała mama, sięgając po materiał.

– A ty? – wykrzyknęła Dasza. – Nie jesteś lepsza od niej. Ty też nie byłaś tam od września.

– Mam robotę. Próbuję dorobić. Ty też powinnaś…

– Przecież szyję! Tylko że ja szyję w schronie!

– Tak, tak, widziałam, co zrobiłaś z tym mundurem: przyszyłaś rękaw do góry nogami. Nie można szyć po ciemku.

Podczas gdy one się sprzeczały, Tatiana obserwowała Aleksandra, a on obserwował ją.

– Taniu – spytał – dlaczego nie zdejmujesz rękawic na noc? W pokoju jest ciepło. I nie stój przy oknie. Chodź do nas, usiądź.

– Och, Aleksandrze! – wykrzyknęła Marina, obejmując go za szyję. – Ta twoja Tanieczka, nie uwierzysz, co zrobiła.

– No? – spytał, lekko odwracając głowę. – Co zrobiła?

– Twoja? – wtrąciła Dasza. – Raczej nasza. Ale naprawdę nie uwierzysz, bo…

– Ja opowiem! – przerwała jej gniewnie Marina. – Ja!

– Może rzucimy monetę? – spytał żartobliwie Aleksander.

– Czyja muszę tego słuchać? – jęknęła Tatiana, podchodząc do stołu i zbierając szklanki. – Może Aleksander dorzuciłby trochę drewna do pieca?

Szura natychmiast wstał.

– Będę słuchał i podkładał.

– W ostatnią sobotę – zaczęła Dasza, nie zwracając uwagi na Marinę – wracałyśmy z Marinką z publicznej jadłodajni na Prospekcie Suworowa. Kiedy wychodziłyśmy, Tania smacznie spała, aż tu nagle biegnie do nas Kostia, ten z pierwszego piętra. Biegnie i krzyczy na całą ulicę: Szybko! Twoja siostra się pali! Twoja siostra się pali!

Aleksander wrócił do stołu i usiadł. Wciąż patrzył na Tatianę, lecz oczy miał jakby chłodniejsze.

– Taniu, kochanie, może dokończysz? – spytała Dasza. – Tak będzie zabawniej. Opowiedz, co się stało.

Tatiana znieruchomiała z tacą pełną naczyń. Miała krótkie włosy, zapadnięte oczy i znużoną twarz.

– Nic się nie stało – szepnęła.

– Opowiedz, Tatiano – poprosił Aleksander, przeszywając ją wzrokiem.

Tania łypnęła spode łba na Marinę.

– Kostia jest za mały, żeby zostawiać go samego na dachu. Poszłam zobaczyć, czy nic mu nie jest. Spadła mała bomba zapalająca i nie mógł jej ugasić. Pomogłam mu, i tyle.

– Poszłaś na dach? – spytał cicho Aleksander.

– Tylko na godzinę – odrzekła Tania, próbując zbagatelizować sprawę. Zdołała się nawet uśmiechnąć. – Ot, takie tam ognisko. Zasypałam je piaskiem, i już. Kostia to histeryk. – Spojrzała na Marinę. – Pełno tu takich.

– Ognisko? – wykrzyknęła Dasza. – I nie patrz tak na Marinkę. Histeryk? Histeryk! W takim razie zdejmij rękawiczki i pokaż mu ręce.

Aleksander milczał.

– Przecież on tego nie chce – mruknęła Tatiana, ruszając do drzwi.

– Wiecie co? – Szura wstał. – Niczego już nie chcę. Idę, wychodzę. Jestem spóźniony.

Chwycił karabin, płaszcz i plecak i otarłszy się o Tatianę, zniknął na korytarzu.

Dasza popatrzyła na siostrę, na Marinę, mamę i babcię.

– Co go napadło? – spytała znużona.

W pokoju panowała głucha cisza.

– Lęka się o was – szepnęła babcia. – Bardzo się lęka.

– Co ty wyprawiasz, Marinko? – spytała Tatiana. – Przecież wiesz, że on się o nas zamartwia. Po co zadręczasz go tymi bzdurami? Na dachu nic mi nie grozi, a ręce szybko się zagoją.

– Słusznie! – powiedziała Dasza, odwracając się na pięcie w stronę kuzynki. – Tania ma rację. I o co ci chodziło z tą „twoją Tanieczką”?

– Właśnie! – warknęła gniewnie Tatiana. – Co to było?

– Nic. To tylko taka przenośnia.

– Bardzo głupia przenośnia – prychnęła Dasza.

3

Tej nocy śniło jej się, że nie śpi, że noc trwa cały rok, i że w ciemności odnalazły ją jego palce.

Wstała wczesnym rankiem, akurat wtedy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Aleksander. Przyniósł dwa kilo czarnego chleba i szklankę kaszy gryczanej. Mama, babcia, Dasza i Marina były jeszcze w łóżkach. Zaczekał na nią w kuchni. Tania myła zęby nad zlewem, a on stał z założonymi rękami i przed długą chwilę milczał. Miał zimne oczy. Potem powiedział, że w ubikacji cuchnie jak nigdy dotąd. Tatiana tego nie zauważyła. Ostatnio nie zauważała prawie niczego.

Była już ubrana. Przed snem zdejmowała tylko palto i rękawiczki.

– Szura, nie wychodź, zostań. Jest za zimno. Kilogram chleba to niedużo, na pewno sobie poradzę. Daj mi swoje kartki, to kupię coś i dla ciebie.

– Chcesz dźwigać moje zakupy? Po moim trupie.

– Tak? – warknęła, ruszając w jego stronę tak szybko i gwałtownie, że aż się cofnął. – Skoro ty możesz walczyć z Niemcami…

– Nie mam wyboru.

– Ja też nie mam wyboru. Daj kartki.

– Nie. Gdzie masz palto? I jak twoje ręce?

– Dobrze, nic mi nie będzie. – Chciała, żeby ich dotknął, żeby pogłaskał jej dłonie, lecz on tylko spojrzał na nią tymi samymi chłodnymi oczami.

Wyszli razem na mróz. Termometr wskazywał dziesięć stopni poniżej zera. O siódmej rano niebo było jeszcze ciemne, a po ulicach hulał lodowaty wiatr, który wdzierał się pod palto, szczypał w uszy i wył, lamentował przez całą drogę do sklepu. W sklepie było trochę cieplej. Stanęli w krótkiej, bo ledwie trzydziestoosobowej kolejce. Najwyżej czterdzieści minut, pomyślała Tatiana.

– To niesamowite – powiedział Aleksander, z trudem tłumiąc gniew. – Jest listopad, a ty ciągle chodzisz po zakupy.

Tania nie odpowiedziała. Była zbyt śpiąca. Wzruszyła ramionami i owinęła głowę szalikiem.

– Dlaczego to robisz? Dasza też umie chodzić. Mogłaby choć raz pójść z tobą. Dasza albo Marina. Dlaczego zawsze chodzisz sama?

Tatiana nie wiedziała, co powiedzieć. Najpierw było jej za zimno, za mocno szczękała zębami. Potem nieco się ogrzała, jednak zęby szczękały dalej, same. Słusznie, pomyślała. Dlaczego to robię? Dlaczego marznę, po ciemku i podczas nalotów? Dlaczego nie chodzimy na zmianę?

– Bo Marina zjada wszystko w drodze do domu. Bo mama wiecznie szyje. Bo Dasza rano pierze. Kogo mam wysłać? Babcię?

Aleksander nie odpowiedział, lecz twarz wciąż miał gniewną.

Tatiana dotknęła jego rękawa. Cofnął się i odwrócił głowę.

– Dlaczego jesteś zły? – spytała. – Dlatego, że wyszłam na dach?

– Nie. Dlatego że… – Urwał. – Dlatego że mnie nie słuchasz. – Westchnął. – Nie jestem na ciebie zły. Jestem zły na nie.

– Niesłusznie. Po prostu tak wyszło. Wolę chodzić po chleb niż prać.

– Aha, bo Dasza niby tak często pierze, co? Mogłabyś dłużej spać, i to przez sześć dni

w tygodniu, tak samo jak ona.

– Szura, co cię tak denerwuje? To, że robię, co mi każą? Ciebie też słucham.

Aleksander zacisnął zęby.

– Tak? Naprawdę? Nie łazisz na ten cholerny dach? Schodzisz do schronu? Przestałaś dokarmiać Ninę? Jasne, słuchasz mnie jak nikt!

Nie wierzyła własnym uszom.

– Myślisz, że słucham ich bardziej niż ciebie? – Stało przed nimi kilkanaście osób. Kilkanaście osób strzygło uszami. – Mówiłeś, że nie jesteś na mnie zły.

– Jestem, ale nie za to. Chcesz wiedzieć, za co?

– Chcę – odrzekła zmęczona. Nie, tak naprawdę wcale nie chciała.

– Za to, że robisz wszystko, co ci każą.

– No i?

– Wszystko. Idź, mówią, i Tania idzie. Mówią: daj trochę, a Tania pyta, ile. Odejdź, mówią, i Tania odchodzi. Biją cię, a ty ich bronisz. Dawaj swój chleb, mówią, dawaj mleko, dawaj herbatę…

Zrozumiawszy, do czego zmierza, próbowała go powstrzymać.

– Nie, nieprawda, to nie tak.

Zacisnął zęby jeszcze mocniej. Z trudem panował nad głosem.

– On jest mój, mówią, a Tania na to: dobrze, oczywiście, weźcie go sobie, proszę bardzo. Tania na to: mnie tam wszystko jedno, nie obchodzi mnie ani jedzenie, ani chleb, ani życie, ani on, nic mnie już nie obchodzi. – Zbliżył twarz do jej twarzy. – Walczę i walczę, ale na próżno.

– Och, Szura… – westchnęła, patrząc na niego z wyrzutem.

Zamilkli i stali w milczeniu, dopóki nie odebrali swoich przydziałów.

Aleksander dostał ziemniaki, marchew, mięso, chleb, mleko w proszku, masło i śmietanę.

On niósł torbę, ona bez słowa szła za nim. Szedł za szybko, nie mogła za nim nadążyć. Najpierw tylko zwolniła, ale widząc, że Szura nie zamierza skrócić kroku, przystanęła.

Wtedy odwrócił się i warknął:

– Idziesz?

– Idź – odrzekła. – Ja tak szybko nie mogę. Spotkamy się w domu.

Podał jej ramię.

– Chodźmy. Dzisiaj rocznica rewolucji. Żeby to uczcić, za kilka minut Niemcy zaczną nas bombardować i przestaną dopiero późnym wieczorem. Zobaczysz.

Wzięła go pod rękę. Miała łzy w oczach. Chciała dotrzymać mu kroku, chciała, żeby było choć trochę cieplej. Do podartych, związanych sznurkiem butów wciskał się śnieg. Rozdarte, związane sznurkiem serce zalewał smutek.

Szli zaśnieżonym chodnikiem, patrząc pod nogi.

– Nikomu cię nie oddałam – szepnęła.

– Nie? – spytał z goryczą.

– Jak możesz? Postąpiłam tak, jak powinna postąpić siostra, a ty obracasz to przeciwko mnie. Powinieneś się wstydzić.

– I wstydzę się.

Zacisnęła palce na jego przedramieniu.

– Jesteś silniejszy. Nie widzę, żebyś o mnie walczył.

– Walczę o ciebie codziennie. – Znowu przyspieszył kroku.

Pociągnęła go za rękaw i roześmiała się bezgłośnie. Fizyczna słabość odebrała jej

ducha.

– Tak? Prosząc Daszę, żeby za ciebie wyszła?

Wtem rozległ się ogłuszający klekot, potem przenikliwy, coraz bardziej przeszywający świst. Sekundę później zawyły syreny, choć te w jej sercu zawodziły jeszcze głośniej.

– Dmitrij jest ranny i chory! – wykrzyknęła. – Dmitrij zniknął ze sceny, więc zrobiłeś się odważniejszy! Masz go z głowy, więc pozwalasz sobie na coraz więcej przed moją rodziną i wściekasz się na mnie o stare, dawno przebrzmiałe sprawy. Nie zamierzam tego znosić. Masz wyrzuty sumienia? Ożeń się z Daszą, od razu ci ulży.

Lunął deszcz. Deszcz bomb.

Aleksander wciągnął ją do bramy.

– Nie prosiłem jej o rękę! – wrzasnął. – Zgodziłem się z nią ożenić, żeby Dmitrij dał ci święty spokój! Już zapomniałaś?

– Aha! – krzyknęła. – A więc na tym polegał twój genialny plan! Chciałeś ożenić się z Daszą dla mojego dobra! Jakiś ty troskliwy, Aleksandrze, jaki ludzki!

Zasypała go gniewnymi słowami, zmroziła parującym oddechem, potem chwyciła za klapy płaszcza i przylgnęła do jego piersi.

– Jak mogłeś? – krzyknęła. – Jak mogłeś… – wyszeptała. – Poprosiłeś ją o rękę, Szura… – Co to było? Krzyk czy szept? Potrząsnęła nim, niezdarnie, apatycznie, tłukła go w pierś pięściami – tłukła, a może tylko poklepywała?

Aleksander objął ją, przyciągnął do siebie i przytulił tak mocno, że zabrakło jej tchu.

– Boże – szepnął. – Co my robimy?

Zamknęła oczy. Po chwili otworzyła je i podniosła głowę.

– Co ci jest, Szura? Boisz się o mnie? Czujesz, że umieram?

– Nie. – Odwrócił wzrok.

Odsunęła się od niego i stanęła po drugiej stronie drzwi.

– Widzisz, jak umieram?

– Umierając – odrzekł łamiącym się głosem – będziesz miała na sobie białą sukienkę w szkarłatne róże, a włosy będą ci spływać na ramiona. Kiedy zginiesz, na tym przeklętym dachu albo idąc samotnie ulicą, na sukience wykwitnie kolejna róża i nikt nawet nie zauważy, że wykrwawiłaś się za matkę Rosję.

Tatiana z trudem przełknęła ślinę.

– Przecież ją zdjęłam. Już ją zdjęłam.

Aleksander patrzył na ulicę.

– Wszystko jedno. Ostatnio prawie nic nie ma znaczenia. Spójrz tylko, co się dzieje. I po co my tu stoimy? Chodźmy do domu. Zaniesiesz im trzysta gramów chleba.

Tatiana nie ruszyła się z miejsca.

On też nie.

– Taniu – spytał – dlaczego wciąż udajemy? Na miłość boską, dlaczego? Zostało nam ledwie kilka chwil, kilka niezbyt dobrych chwil. Odsłaniamy przed sobą kolejne warstwy życia, zdzieramy je z siebie jak skórę, braknie nam wykrętów i pretekstów, a mimo to z uporem kłamiemy dalej. Dlaczego?

– Powiem ci dlaczego! – krzyknęła. – Ze względu na nią! Dlatego, że ona cię kocha. Dlatego, że w tych ostatnich chwilach chcesz ją pocieszyć. Dlatego!

– A ty, Taniu? – spytał łamiącym się głosem. Patrzył na nią, jakby chciał, żeby coś powiedziała. Ale Tania milczała. – Ty nie chcesz pocieszenia?

– Nie – odrzekła cicho. – Tu nie chodzi o mnie. – Spuściła głowę. – Ja wytrzymam. Ona nie.

– Ja też nie.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Wytrzymasz. Wytrzymasz nie tylko to, ale i dużo więcej. A teraz przestań.

– Dobrze, przestanę.

– Przyrzeknij mi coś.

Nie odpowiedział.

– Przyrzeknij mi, że…

– Że co? – rzucił. – Że nie ożenię się z nią czy nie złamię jej serca?

Po jej policzku spłynęła mała łza. Tania przełknęła ślinę i poprawiła palto.

– Że nie złamiesz jej serca – szepnęła.

Nie wierzył własnym uszom. Ona też nie.

– Taniu, nie dręcz mnie.

– Przyrzeknij.

– Tak jak ty mnie czy tak jak ja tobie?

– Co to znaczy?

– Nic.

– Przyrzekniesz?

– Dobrze. Przyrzeknę, jeśli ty mi przyrzekniesz, że…

– Że co?

– Że nie będziesz nosiła białej sukienki, nie będziesz rozdawała chleba, i że już nigdy więcej nie wyjdziesz na dach. Jeśli złamiesz choć jedną obietnicę, natychmiast jej powiem. Natychmiast. Słyszysz?

– Słyszę – wymamrotała Tatiana, dochodząc do wniosku, że to niesprawiedliwe.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił.

– Przyrzeknij, że zrobisz wszystko, żeby przeżyć.

Podniosła wzrok, oddając mu wzrokiem serce.

– Przyrzekam – szepnęła.

– Tak jak ja tobie?

– Nie rozumiem. Co to znaczy?

Ujął w dłonie jej twarz. Momentalnie straciła władzę w nogach.

– Taniu, jeśli przeżyjesz – szepnął, tuląc ją do siebie jeszcze mocniej – przysięgam, że nigdy nie złamię serca twojej siostrze.

4

Nazajutrz rano poszła do sklepu sama. Właśnie odebrała chleb dla rodziny – kawałek był tak mały, że choć bardzo osłabiona, nie czuła jego ciężaru – gdy wtem ktoś uderzył ją w tył głowy i w prawe ucho. Skuliła się i pochyliła, bezradnie patrząc, jak młody, najwyżej piętnastoletni chłopak o dzikich, zdesperowanych oczach wyszarpuje jej chleb i pakuje go do żarłocznych ust. Stojące w kolejce kobiety zaczęły go tłuc torebkami, lecz on nie zwracał na to uwagi i jadł, dopóki nie zjadł wszystkiego. Kierowniczka sklepu wyskoczyła zza lady i grzmotnęła go kijem w głowę.

– Nie! – krzyknęła Tatiana, lecz było już za późno.

Chłopak upadł, tocząc wokoło wzrokiem rannego zwierzęcia. Tania nachyliła się nad nim z krwawiącym uchem, chcąc pomóc mu wstać, lecz on odepchnął ją, zerwał się z podłogi i wybiegł na ulicę.

Sprzedawczyni nie mogła dać jej więcej chleba.

– Luba – szlochała Tatiana – jak ja wrócę do domu? Z pustymi rękami?

– Dziecko drogie, nic na to nie poradzę – odrzekła tamta, patrząc na nią ze współczuciem. – Ci z NKWD zastrzeliliby mnie jak psa. Nie masz pojęcia, co tu wyczyniają.

– Proszę – błagała Tatiana. – Dla mojej rodziny.

– Tanieczko, wierz mi, nie mogę. Wczoraj zastrzelili trzy kobiety za podrabianie kartek. Na miejscu, na ulicy. I zostawili je tam jak kawał ścierwa. Wracaj do domu, skarbie. I przyjdź jutro.

– Przyjdź jutro… – wymamrotała Tatiana, wychodząc ze sklepu. Chciała wziąć chleb na jutrzejsze kartki, ale co by jedli nazajutrz? Co by jedli za dwa dni? A za trzy?

Nie mogła wrócić do domu i nie wróciła. Posiedziała w schronie, a po bombardowaniu poszła do szpitala. Wiery nie było. Kart pracy też już nie było. Kogo obchodziły karty pracy? Przespała się w zimnym pokoju, a potem poszła do stołówki, gdzie dostała szklankę białej cieczy, namiastkę rozwodnionego kleiku. Szukała Wiery, lecz na próżno. Posiedziała trochę w pokoju pielęgniarek, potem zajrzała do jednej z sal i przycupnęła na łóżku umierającego żołnierza. Kiedy wzięła go za rękę, spytał, czy jest zakonnicą. Nie, odrzekła, ale może mi pan wszystko powiedzieć.

– Nie mam nic do powiedzenia – wychrypiał żołnierz. – Dlaczego krwawisz?

Zaczęła coś mówić, ale doszła do wniosku, że to bez sensu.

– Z tego samego powodu, dla którego pan leży w szpitalu.

Myślała o Aleksandrze, o tym, jak próbował ją ratować i chronić.

Przed miastem, przed Dmitrijem, przed pracą w tym brudnym, koszmarnym szpitalu, gdzie mogła zarazić się wszystkimi możliwymi chorobami. Przed gruzami w Łudze. Przed niemieckimi bombowcami, przed głodem. Nie chciał, żeby dyżurowała na dachu. Nie chciał, żeby chodziła sama do sklepu, żeby zdejmowała ten absurdalny hełm i rozbierała się przed snem. Kazał jej się myć, nawet w zimnej wodzie, kazał jej myć zęby, chociaż nie było na nich resztek jedzenia. Chciał tylko jednego.

Żeby przeżyła.

Ta świadomość przyniosła jej lekką ulgę.

I odrobinę pocieszenia.

To musiało wystarczyć.

Wróciła do domu o siódmej wieczorem. Rodzina szalała z niepokoju. Kiedy opowiedziała, co się stało, skrzyczeli ją za to, że natychmiast ich nie zawiadomiła.

– Daj spokój – powiedziała mama. – Co tam chleb.

Okazało się, że Dasza wysłała na poszukiwania Aleksandra.

– I po co? – spytała wyczerpana Tatiana. – Kiedyś przeze mnie zginie.

Zdziwiła się, że nie są na nią źli. Kilka minut później dowiedziała się dlaczego. Aleksander przyniósł im trochę oleju, fasolki sojowej i pół cebuli! Dasza udusiła fasolkę z łyżką mąki i szczyptą soli, i wyszła z tego przepyszna kolacja.

– Tak? Zostało trochę dla mnie?

– Tanieczko, było tego tyle, co kot napłakał – odrzekła siostra.

– Myślałyśmy, że zjesz na mieście – dodała mama.

– Jadłaś, prawda? – spytała babcia.

– Tak – odrzekła zniechęcona Tatiana. – O mnie się nie martwcie.

O ósmej wrócił Aleksander. Szukał jej od trzech godzin.

– Co się stało? – rzucił, wchodząc do mieszkania.

Tatiana wszystko mu opowiedziała.

– Gdzie byłaś cały dzień? – spytał, jakby byli w pokoju zupełnie sami.

– W szpitalu. Szukałam czegoś dojedzenia.

– Ale nie znalazłaś.

– Zjadłam trochę płatków na wodzie.

– Czyli nie jadłaś. – Aleksander zdjął płaszcz. – Nie szkodzi, zjesz teraz. Jest fasola.

Mama uciekła wzrokiem w bok, babcia cicho zakaszlała.

Aleksander nic z tego nie rozumiał. Popatrzył na Daszę.

– Przyniosłem fasolę. Mówiłaś, że ją udusisz.

– Tak – odrzekła zażenowana Dasza – ale było tego tak mało, że… że wszystko zjadłyśmy.

Aleksander poczerwieniał.

– Nie zostawiłyście niczego dla Tatiany?

– Nie jestem głodna – wtrąciła szybko Tania. – Tobie też nie zostawiły.

Dasza roześmiała się nerwowo.

– Kochanie, przecież możesz zjeść w koszarach, a Tania jadła w szpitalu…

– Tania kłamie!-wrzasnął.

– Nie, naprawdę jadłam – szepnęła Tatiana.

– Kłamiesz! – krzyknął. – Zabraniam ci, słyszysz? Zabraniam ci przynosić im chleb! Oddaj im kartki i niech same chodzą do sklepu! Skoro mają cię gdzieś i nie raczą nawet zostawić ci łyżki jedzenia, niech same się o siebie troszczą!

Tatiana stała bez słowa z sercem tak przepełnionym czułością, że przez chwilę zapomniała nawet o tym nieszczęsnym chlebie.

Aleksandrowi zabrakło tchu. Gdyby wzrok mógł zabijać, Dasza już dawno by nie żyła.

– Kto przyniesie wam jedzenie, jeśli ona umrze? Kto przyniesie wam zupę? Kto przyniesie garść płatków?

– Przynoszę płatki z fabryki – odparła wojowniczo matka.

– I zjada pani połowę w drodze do domu! – wrzasnął. – Myślicie, że nic nie wiem? Że nie wiem, że Marina odbiera cały przydział przed końcem miesiąca, a potem domaga się chleba od Tani, która obrywa w głowę od jakiegoś gówniarza, podczas gdy wy smacznie śpicie?

– Ja nie śpię – zaprotestowała mama. – Ja szyję.

Aleksander łypnął spode łba na Tatianę.

– Od tej pory przestajesz kupować dla nich chleb. Zrozumiałaś? – Znowu mówił do niej tak, jakby byli sami.

Tania poszła się umyć. Kiedy wróciła, Aleksander siedział przy stole i palił papierosa. Zdążył się już uspokoić.

– Chodź tu – powiedział.

Marina była w drugim pokoju z mamą. Babcia rozmawiała w korytarzu z Niną Iglenko.

– Gdzie Dasza? – Tatiana podeszła bliżej. Zobaczyła jego oczy.

– Szuka otwieracza do konserw. Chodź. Bliżej.

– Szura – szepnęła stając tuż przed nim. – Skąd ta obojętna mina? Przecież obiecałeś.

Wbił wzrok w jej sweter.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie.

– Przez ciebie czuję się jak… Nie rób tego, Taniu. – Położył jej rękę na biodrze. Tania cichutko jęknęła, nachyliła się i przytknęła czoło do jego czoła.

Trwali tak przez chwilę.

Potem się wyprostowała.

A on cofnął rękę.

– Spójrz, co dla ciebie mam. – Wyjął z kieszeni małą, najwyżej stugramową puszkę.

Wróciła Dasza.

– Mam otwieracz. Ale po co ci otwieracz?

Aleksander otworzył puszkę i pokroił jej zawartość na maleńkie kawałeczki.

– Śmiało, spróbuj.

– Co to jest? – spytała Tatiana. Chciała się uśmiechnąć, lecz zabrakło jej sił.

Była to najwspanialsza, najpyszniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek kosztowała. W smaku przypominała i mielonkę, i wędzoną kiełbasę, i wieprzowinę, a na wierzchu miała grubą warstwę tłuszczu i galaretki.

– Co to jest? – powtórzyła Tania. Z jej oczu można było wyczytać radość, której nie potrafiła wyrazić ani mową ciała, ani choćby tylko ustami.

– Tuszonka.

– Tuszonka? Co to jest?

– Coś w rodzaju mielonki.

– Hmm… Jest dużo smaczniejsza.

– Mogę spróbować? – spytała Dasza.

– Nie. – Aleksander nawet nie odwrócił głowy. – To dla Tani. Ty już jadłaś. Zjadłyście całą fasolę, a ty chcesz jeszcze?

– Tylko kawałeczek, tak dla smaku…

– Nie.

– Taniu, przepraszam za tę przeklęta fasolę. Wiem, że jesteś na mnie zła.

– Nie, nie jestem.

– Ale ja jestem – powiedział Aleksander. – Jesteś dorosłą kobietą. Zawiodłem się na tobie.

– Przecież ją przeprosiłam – wymamrotała Dasza.

Tatiana zjadła jeden kawałeczek, potem drugi. Zostało pół puszki.

– Masz, to dla ciebie.

– Nie – odparł Aleksander.

Zjadła jeszcze jeden kawałek. Zostały tylko dwa. Zlizała cały tłuszcz i galaretkę, potem wyjęła kawałek z puszki i podała go Aleksandrowi. Ten pokręcił głową.

– Proszę, zjedz – poprosiła. – Jeden dla ciebie, jeden dla Daszy, dobrze?

Dasza porwała swój kawałek jak wygłodniała hiena. Tatiana zerknęła na ten ostatni i dała go Aleksandrowi. Gdy zjadł, kiwnęła głową i wylizała puszkę.

– Pyszne, przepyszne. Skąd to masz?

– Amerykańska pomoc dla Rosji. Dali leningradczykom skrzynkę tuszonki i dwie wojskowe ciężarówki.

– Wolałabym skrzynkę tuszonki.

– No, nie wiem – odrzekł z uśmiechem. – To bardzo dobre ciężarówki.

Chciała odpowiedzieć mu uśmiechem, ale tuż obok stała siostra.

– Daszo – spytała – jak tam Nina?

– Nina? Strasznie.

Zaraz potem Aleksander wrócił do koszar. Nazajutrz rano Dasza poszła z Tanią do sklepu.

Dwa dni później została w łóżku, ale przed domem czekał na Tanię uzbrojony żołnierz.

– Sierżant Pietrenko! Co pan tu robi?

– Rozkaz kapitana. – Pietrenko zasalutował, posyłając jej ciepłe spojrzenie. – Mam odprowadzić panią do sklepu.

Trzy dni później sierżant się nie pojawił, za to przed sklepem czekał Aleksander. Odprowadził ją do domu, po czym wrócił do koszar. Nazajutrz rano przyszedł po nią do domu.

Kiedy wracali ze sklepu, zostawił ją na chwilę na Niekrasowa, żeby pomóc kobiecie, która próbowała ciągnąć dwie pary sanek. Na jednych sankach leżały owinięte w prześcieradło zwłoki, na drugich „burżujka". Aleksander poszedł powiedzieć jej, żeby najpierw zawiozła do domu piecyk, a potem wróciła po ciało.

Tatiana czekała na niego cierpliwie, oparta o ścianę domu, gdy wtem zobaczyła trzech wyrostków, którzy szli ku niej zdecydowanym krokiem. Popatrzyła na Szurę, ale ten, odwrócony tyłem do niej, był co najmniej sto metrów dalej.

– Szura! – krzyknęła, lecz jej cichy głos utonął w gwiżdżącym wietrze.

Spojrzała na idących w jej stronę chłopców. W jednym z nich rozpoznała napastnika, który przed kilkoma dniami odebrał jej chleb w sklepie. Ulica była opustoszała, na jezdni piętrzyły się wysokie na metr zaspy. Nigdzie ani samochodów, ani autobusów. Tylko ona, Tatiana. Zrezygnowana, ciężko westchnęła. Chciała uciec, odbiec nieco dalej, ale ten wysiłek, ten koszmarny wysiłek! Nie mogła się poruszyć, więc po prostu stała.

Kiedy tamci podeszli bliżej, bez słowa podała im chleb, swój i Aleksandra. Dwaj wciągnęli ją do pobliskiej bramy. Próbowała się wyszarpnąć, lecz nie mogła. Trzeci, ten, który uderzył ją w sklepie, spojrzał na nią zwierzęcymi ślepiami i warknął:

– Gotowi?

Błysnęło ostrze noża.

Tania nawet nie mrugnęła. Wstrzymała oddech, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Uciekajcie. Szybko. On was zabije.

Wyrostek zmarszczył czoło.

– Kto?

– Uciekajcie!

W tej samej chwili oberwał rękojeścią pistoletu i runął w śnieg. Pozostałych dwóch nie zdążyło nawet drgnąć. Aleksander ogłuszył najpierw jednego, potem drugiego. Nie minęły dwie sekundy i leżeli nieruchomo na ziemi.

Aleksander wyprowadził ją na ulicę.

– Odsuń się – powiedział, odbezpieczając pistolet i celując w nieprzytomnych napastników.

Położyła rękę na lufie broni.

– Nie, Szura.

Wyszarpnął się i zacisnął zęby.

– Taniu, te bandziory zaraz wstaną i napadną kogoś innego. Odsuń się.

– Szura, proszę. Widziałam ich oczy. Oni nie dożyją do rana. Nie brudź sobie rąk.

Aleksander niechętnie schował pistolet, podniósł torby z chlebem, objął ją i poprowadził do domu.

– Wiesz, co by się stało, gdyby mnie tu nie było?

– Wiem. – Pragnęła na niego spojrzeć, lecz miała siłę jedynie na to, żeby patrzeć pod nogi. – To samo, co dzieje się ze mną, kiedy tu jesteś.

Nazajutrz rano przyniósł jej pistolet. Rosyjscy oficerowie mieli na wyposażeniu tetenki, lecz on podarował jej niemiecki P-38, który zdobył przed dwoma miesiącami pod Pułkowem.

– To tchórze. Napadają na ciebie tylko dlatego, że wietrzą łatwy łup. Nie musisz strzelać, wystarczy, jak go wyjmiesz. Od razu uciekną, zobaczysz.

– Szura, ale ja nigdy…

– Jest wojna, Taniu. Pamiętasz, jak bawiłaś się w wojnę z Paszą, jak chciałaś z nim wygrać? Wygraj z nimi. Tylko uważaj: grasz o znacznie wyższą stawkę.

Potem dał jej plik banknotów.

– Co to? – spytała.

– Tysiąc rubli. Połowa mojego żołdu. Czarny rynek wciąż funkcjonuje. Kupuj, co się da, bez względu na cenę. Po prostu kupuj. Na targu sprzedają mąkę, może coś jeszcze, nie wiem. Boję się cię zostawiać, ale muszę. Pułkownik Stiepanow wysyła mnie nad Ładogę.

– Dziękuję – szepnęła.

Miał ściągniętą twarz.

– Nie chodź sama. Proszę. Nie będzie mnie tydzień, może dziesięć dni. Może dłużej. – W przeraźliwym zimnie zawisło coś niewypowiedzianie strasznego. – Nie martw się o mnie. Najgorsze, że straciliśmy Tichwin. Dmitrij postrzelił się w samą porę. Tichwin był… Nieważne.

– Wiem.

– Nie mamy już połączenia kolejowego. Żywność można dostarczyć do Leningradu tylko barkami, jeziorem; problem w tym, że nie możemy jej dowieźć na brzeg. – Milczał chwilę. – Chleb, który dostajecie, pieką z rezerw mąki. Musimy odbić Tichwin i odzyskać dostęp do linii kolejowej. Jeśli tego nie zrobimy, ludzie wymrą z głodu.

– Boże – szepnęła.

– Właśnie. Tymczasem rada miejsca kazała nam zbudować nową drogę. Ma prowadzić na drugi brzeg jeziora przez małe wioski na północ od Zaboria. Musimy budować, nie mamy wyboru. Inaczej zginiemy.

Tatiana zadrżała.

– Jak chcecie przewieźć żywność po ledwo zamarzniętym jeziorze?

Jego oczy były bezdennie smutne.

– Jeśli nie odbijemy Tichwina, nie będzie czego przewozić. Bez Tichwina nie mamy szans. Żadnych szans. Musicie oszczędzać to, co wam zostało. Niedługo znowu zmniejszą przydział.

– Zostało tyle co nic.

Doszli do rogu Newskiego i Litiejnego, gdzie mieli się pożegnać.

– Wczoraj powiedziałaś do mnie „Szura” w obecności rodziny. Musisz bardziej uważać, bo Dasza zacznie coś podejrzewać.

– Wiem – odrzekła posępnie. – Wiem.

Za pięćset rubli kupiła na targu niecały kilogram mąki; dwieście pięćdziesiąt rubli za kubek. Za trzysta nabyła pół kilo masła, trochę mleka w proszku i paczuszkę drożdży.

Ponieważ została im jeszcze odrobina cukru, upiekła chleb.

Mały bochenek chleba, kilka kawałków pieczywa cienko posmarowanego masłem: oto, co było warte tysiąc rubli, połowa miesięcznego uposażenia żołnierza, który bronił miasta przed hitlerowcami. Mieli jednak przynajmniej drewno na opał, a nawet trochę nafty od Aleksandra.

Podzielili bochenek na pięć kawałków, położyli je na talerzach, rozkroili nożami i zjedli widelcami. Tatiana nie wiedziała, co myślą mama, Dasza, babcia i Marina, ale ona dziękowała Bogu za Aleksandra.

5

Listopadowe poranki były bardzo ciemne. Żeby zatrzymać w mieszkaniu jak najwięcej ciepła, pozasłaniały okna kocami, ale koce nie przepuszczały światła.

Jakiego światła? – pomyślała pewnego dnia Tatiana, idąc do kuchni ze szczoteczką do zębów i wodą utlenioną. Zazwyczaj używała wody utlenionej i sody, ale kiedyś zostawiła sodę na płycie i ktoś ją zjadł.

Odkręciła kran. Kręciła nim i kręciła. Na próżno.

Nie było wody.

Tania westchnęła, poczłapała z powrotem do pokoju i weszła do łóżka. Dasza i Marina cicho jęknęły.

– Nie ma wody – powiedziała Tatiana.

O dziewiątej, kiedy na dworze pojaśniało, poszła z siostrą do rady dzielnicowej. Wychudzona urzędniczka z owrzodzoną twarzą powiedziała im, że ponieważ w Leningradzie zabrakło mazutu, piąta elektrownia miejska odcięła dopływ prądu.

– Co prąd ma wspólnego z wodą? – spytała Dasza.

– A co napędza pompy? – burknęła urzędniczka.

Dasza powoli zamrugała.

– Poddaję się. To jakiś egzamin?

Tatiana pociągnęła ją za rękaw.

– Chodź, idziemy. – Spojrzała na urzędniczkę. – Prąd pewnie włączą, ale do tego czasu rury zamarzną na dobre. Woda będzie dopiero w czasie wiosennych roztopów – dodała oskarżycielsko.

– Niepotrzebnie się martwicie – odparła kobieta. – Do tego czasu wszyscy pomrzemy.

Tatiana popytała w kamienicy i okazało się, że na parterze woda jest – ciśnienie było po prostu za słabe, żeby wypchnąć ją na wyższe piętra. Nazajutrz rano przyniosła wiadro śniegu z ulicy. Roztopiła śnieg na „burżujce” i spłukała muszlę klozetową. Potem przyniosła z dołu wiadro czystej wody, żeby mogły się umyć.

– Dasza, pójdziesz ze mną?

Siostra wciąż leżała w łóżku.

– Och, Taniu… – wymamrotała. – Jest tak zimno. Ciężko wstać.

Do szpitala Tatiana docierała dopiero o dziesiątej, czasami nawet o jedenastej, ponieważ najpierw musiała pójść do sklepu i przynieść wody.

Płatków owsianych już nie mieli. Zostało im tylko trochę mąki, herbaty i wódki.

No i trzysta gramów chleba dziennie dla Tatiany, Daszy i mamy oraz dwieście dla Mariny i babci.

– Przytyłam – powiedziała któregoś dnia Dasza.

– Tak, ja też – mruknęła Marina. – Mam trzy razy większe stopy.

– Ja też. Nie mogę włożyć butów. Chyba z tobą nie pójdę, Taniu.

– Dobrze, pójdę sama. Mnie stopy nie spuchły.

– Ale dlaczego? – spytała rozpaczliwie Dasza. – Dlaczego puchną? Co się ze mną dzieje?

– Z tobą? – warknęła Marina. – Dlaczego zawsze chodzi o ciebie? Zawsze ty, ty, i tylko ty!

– Co to znaczy?

– A ja? – krzyknęła Marina. – A Tania? My się nie liczymy? Wiesz, co ci dolega? Ty w ogóle nie dostrzegasz innych!

– A ty niby dostrzegasz, co? Nic, tylko żresz i żresz! Zaczekaj tylko, aż powiem Tani, ile płatków ukradłaś, złodziejko!

– Tak, jestem głodna, ale nie jestem przynajmniej ślepa!

– O czym ty, do diabła, bredzisz?

– Dziewczęta, dziewczęta! – krzyknęła cicho Tatiana. – O co się kłócicie? O to, która z was bardziej spuchła? Która bardziej cierpi? Przecież to bez sensu. I ty masz rację, i ty. A teraz wchodźcie do łóżka i zaczekajcie, aż wrócę. Tylko się nie awanturujcie, zwłaszcza ty, Marinko.

6

– I co my zrobimy? – spytała pewnego wieczoru mama, kiedy babcia wyszła do drugiego pokoju, a dziewczęta leżały w łóżku.

– Z czym? – spytała Dasza.

– Z babcią – odrzekła mama. – Odkąd przestała chodzić za Newę, całymi dniami siedzi w domu.

– Właśnie – wtrąciła Marina. – Siedzi w domu i łyżka po łyżce podjada mąkę od Aleksandra.

– Zamknij się – warknęła Tatiana. – Mąki już nie ma. Babcia wybiera pył z worka.

– Taniu – zmieniła temat Marina – ponoć szczury uciekły z miasta. Myślisz, że to prawda?

– Nie wiem.

– Widziałaś ostatnio jakiegoś kota albo psa?

– Nie – odrzekła Tatiana. – Chyba już ich nie ma.

Mama podeszła bliżej i przykucnęła przy łóżku.

– Posłuchajcie – zaczęła. Mówiła spokojnie, łagodnie, a nawet cicho. Tania z trudem rozpoznała w jej tonie głos matki. Na głowie wciąż miała chustkę. – Nie chodzi o jedzenie. Chodzi o zimno. Babcia siedzi tu cały dzień. Nie wiem, czy wystarczy nam opału do „burżujki".

Dasza podparła się łokciem.

– Nie. Na pewno nie. Na „burżujce" tylko gotujemy, a i tak nie wiem, czy wystarczy nam drewna. Pamiętacie, kiedy ostatni raz paliliśmy w piecu?

Kiedy był tu Aleksander, pomyślała Tatiana. Zawsze przynosi drewno, rozpala ogień i w mieszkaniu jest ciepło.

Mama załamała ręce.

– Musimy jej powiedzieć, żeby paliła cały dzień.

– Dobrze, powiemy, ale wkrótce zabraknie nam opału.

– Taniu, ona tu marznie. Widziałaś, jak powoli chodzi?

Dasza kiwnęła głową.

– Jeszcze niedawno chodziła do jadłodajni i siedziała tam cały dzień, czekając na talerz zupy, a ostatnio w ogóle nie wstaje z sofy, nie siada nawet do stołu. Taniu, nie dałoby się umieścić jej w szpitalu?

– Możemy spróbować – odrzekła Tatiana spod ściany. – Nie wiem, czy są wolne łóżka. Mamy mnóstwo dzieci. I rannych.

– Spróbujmy jutro, dobrze? – poprosiła mama. – Będzie jej chociaż trochę cieplej. W szpitalach jeszcze grzeją, prawda?

– Zamknęli trzy skrzydła – odrzekła Tatiana, wypełzając z łóżka. – Czwarte jest przepełnione.

Poszła do babci. Babcia Maja leżała na sofie, przykryta tylko paltem, ponieważ koc zsunął się na podłogę. Tania podniosła go, okryła staruszkę po samą szyję i uklękła.

– Babciu – szepnęła – powiedz coś.

Babcia cichutko jęknęła. Tania położyła jej rękę na czole.

– Nie masz siły? – spytała.

– Nie mam, skarbie.

Tatiana posłała jej blady uśmiech.

– Pamiętasz, jak siadałam przy tobie, kiedy malowałaś? Farby tak mocno pachniały, a ty byłaś nimi uwalana. Siadałam blisko, jak najbliżej ciebie, żeby też się pobrudzić. Pamiętasz?

– Pamiętam, słoneczko. Byłaś taka słodka…

– Kiedy miałam cztery lata, uczyłaś mnie rysować banana. Nigdy w życiu nie widziałam banana i nie umiałam…

– Twój banan był bardzo ładny, złotko. Och, Tanieczko, Tanieczko…

– Co, babciu?

– Ileż bym dała, żeby znowu być młodą…

– Nie wiem, czy zauważyłaś – szepnęła Tatiana – ale młodzi też cienko przędą.

– Nie mówię o nich – odrzekła babcia, otwierając na chwilę oczy. – Mówię o tobie.

Nazajutrz rano Tania jak zwykle przyniosła dwa wiadra wody i poszła do sklepu. Kiedy wróciła, babcia Maja już nie żyła. Leżała na sofie nieruchoma i zimna.

– Przyszłam ją obudzić – wyszlochała Marina – a ona…

Stanęły przed łóżkiem i zamilkły.

Po chwili Marina pociągnęła nosem, wzruszyła ramionami i odwróciła się do stołu.

– Chodźmy jeść.

Mama też się odwróciła.

– Tak, zjedzmy nasz poranny chleb. Zaparzyłam trochę cykorii. Sarkowa napaliła pod kuchnią własnym drewnem, to skorzystałam.

Usiadły i Tatiana podzieliła chleb na dwie połowy: niewiele ponad pół kilo na teraz, niewiele ponad pół kilo na potem. Jedną połowę rozkroiła na cztery kawałki i zjadły, po sto dwadzieścia pięć gramów każda.

– Marino – powiedziała stanowczo Tatiana. – Przynieś do domu swój przydział, słyszysz?

– A co z porcją babci? – spytała Marina. – Podzielmy ją i zjedzmy.

Tak też zrobiły.

Tania powiedziała, że pójdzie do rady miejskiej, żeby zawiadomić o śmierci babci i załatwić pogrzeb. Mama powstrzymała ją gestem.

– Zaczekaj. Jeśli tam pójdziesz, dowiedzą się, że babcia nie żyje.

– No tak.

– A kartki? Przestanie dostawać kartki.

Tatiana wstała.

– Mamo, będziemy odbierać jej chleb do końca miesiąca. To jeszcze dziesięć dni.

– A co potem?

Tatiana zaczęła zbierać talerze ze stołu.

– Nie mam pojęcia. Moja wyobraźnia tak daleko nie sięga.

– Przestań sprzątać – mruknęła Dasza. – Przecież nie ma wody. Zostaw te talerze. Był na nich tylko chleb. Niech stoją tu sobie do kolacji. – Spojrzała na matkę. – Jeśli nie pójdziemy do rady miejskiej, to do kogo? Sami jej nie wyniesiemy. Chcesz ją tu zostawić? Mamy jeść i szyć z babcią na sofie?

Mama milczała chwilę.

– Lepiej niech leży tutaj niż na ulicy.

Tatiana odstawiła talerze i wyjęła czyste prześcieradło z komody.

– Nie, mamo. Nie możemy jej tu zostawić. Umarłych się grzebie. Nawet w Związku Radzieckim – dodała ponuro. – Daszka, pomożesz mi? Zanim ją zabiorą, trzeba owinąć

ciało. Najlepiej tym.

Dasza zdjęła z babci koce.

– Ale koce zatrzymamy. Przydadzą się.

Tatiana rozejrzała się po pokoju. Wszędzie panował bałagan: na półkach porozrzucane książki, na podłodze ubranie, na stole brudne talerze. Gdzie to jest? Może tam… Tak. Na okiennym parapecie leżał mały szkic węglem: apetyczna szarlotka, którą babcia narysowała we wrześniu. Tania położyła go delikatnie na piersi zmarłej.

– Dobrze, zaczynajmy.

Owinęły zwłoki, a mama zaszyła prześcieradło. Gdy skończyła, Tatiana przeżegnała się, szybko otarła łzy i poszła do rady miejskiej.

Przyszli po południu. Mama poczęstowała ich dwoma kieliszkami wódki.

– Macie jeszcze wódkę, towarzyszko? – wykrzyknął ten wyższy. – Nie do wiary. To mój pierwszy kieliszek od miesiąca.

– Wiecie, że wódka jest teraz najlepszym pieniądzem? – spytał ten niższy. – Można za nią kupić dobry chleb.

Mama, Dasza, Marina i Tatiana wymieniły spojrzenia. Zostały im jeszcze dwie butelki. Po śmierci ojca i wyjeździe Dmitrija pił ją tylko Aleksander, w dodatku pił bardzo mało.

– Dokąd ją zabieracie? – spytała mama. – Pojedziemy z wami. – Tego dnia żadna z nich nie poszła do pracy.

– Ciężarówka jest pełna – odrzekł ten wyższy – nie starczy dla was miejsca. Zawieziemy ją na najbliższy cmentarz, ten przy Staroruskiej. Możecie ją tam odwiedzić.

– A grób? A trumna?

– Trumna? – Grabarz otworzył usta i roześmiał się cicho. – Towarzyszko, nie załatwię wam trumny nawet za resztę tej wódki. Niby kto ma je robić? I z czego?

Tatiana kiwnęła głową. Gdyby miała trumnę, też spaliłaby ją w „burżujce”. Zadrżała i zapięła palto.

Mamie spopielała twarz.

– No, a grób? – spytała łamiącym się głosem.

– Towarzyszko, widzieliście ten śnieg? – spytał ten wyższy. – Tę zamarzniętą ziemię? Chodźcie z nami, chodźcie. Chodźcie i zobaczcie, ile trupów tam mamy.

Tatiana położyła mu rękę na ramieniu.

– Towarzyszu – powiedziała cicho. – Znieście ją tylko na dół. To dla nas najtrudniejsze. Resztą zajmiemy się same.

Poszła na strych, gdzie kiedyś wieszali pranie. Teraz żadnego prania tam nie było, jednak znalazła to, czego szukała: dziecięce sanki, jasnoniebieskie saneczki o czerwonych płozach. Ostrożnie zniosła je na ulicę. Ciało babci leżało już na zaśnieżonym chodniku.

– Chodźcie, dziewczęta. Pójdziemy we trzy.

Marina była zbyt osłabiona, żeby im pomóc. Tania wraz z Daszą ułożyły zwłoki na sankach i powoli ruszyły na Staroruską. Odchodząc, Tania niechętnie zerknęła przez ramię na otwartą ciężarówkę. Warstwa leżących jeden na drugim trupów była wysoka na trzy metry.

– Aż tylu ich dzisiaj zmarło? – spytała kierowcę.

– Nie – odrzekł. – To tylko ci, których zebraliśmy rano. Wczoraj znaleźliśmy na ulicy pięciuset. Sprzedaj wódkę, dziewczyno. Sprzedaj wódkę i kup chleb.

Brama cmentarna była zabarykadowana zwłokami, nagimi i zaszytymi w prześcieradła.

Leżała tam między innymi matka z małym dzieckiem, która przywiozła na cmentarz ojca: zamarzli oboje na śniegu, tuż przed wejściem. Tania czym prędzej zamknęła oczy,

żeby odpędzić koszmarne myśli. Chciała jak najszybciej wrócić do domu.

– Nie przejdziemy. Nie damy rady. Zostawmy babcię tutaj. Co możemy zrobić?

Zdjęły ciało z sanek, położyły je delikatnie przed bramą i postały tam kilka minut.

Potem wróciły do domu.

Za dwie butelki wódki kupiły jedynie dwa bochenki białego chleba. Tichwin wpadł w ręce Niemców i chleba zabrakło nawet na czarnym rynku.

7

Minął tydzień. Tania nie mogła spłukać muszli klozetowej. Nie mogła się umyć. Szura kręciłby na to nosem. Ale Szura się nie odzywał. Żyje? Jest cały i zdrowy?

– Kiedy wreszcie zreperujące rury? – spytała któregoś dnia Dasza.

– Oby jak najpóźniej – odrzekła Tatiana. – Jak je naprawią, znowu zaczniesz prać.

Dasza objęła ją i przytuliła.

– Kocham cię, siostrzyczko. Dowcipkujesz, choć tak nam ciężko.

– Kiepskie to dowcipy, Daszka, oj kiepskie.

Zamarznięte rury i brak wody coraz bardziej dawał się im we znaki. Ale najgorsze było to, że nosząc wodę, ludzie rozlewali ją na schody, gdzie błyskawicznie zamarzała. Na dworze było dwadzieścia stopni mrozu, nocą jeszcze więcej, tak że schody nieustannie pokrywał lód. Żeby zdobyć choć trochę wody, najpierw trzeba było zejść na ulicę. Tatiana chwytała się poręczy, przytrzymywała wiadro i zjeżdżała na dół na pupie.

Wnoszenie wiadra na górę było jeszcze trudniejsze. Podczas każdej wyprawy przynajmniej raz upadała i musiała ponownie zjeżdżać na dół. Schody kuchenne były jeszcze zdradliwsze. Mieszkanka trzeciego piętra spadła z nich, złamała nogę i nie mogła wstać. Zamarzła, zamieniła się w bryłę lodu. Nikt nie mógł jej stamtąd ruszyć, ani wtedy, ani potem.

Siedziały na sofie i wsłuchiwały się w płynące z radia trzaski, które od czasu do czasu przerywało jakieś zdanie, niekiedy zrozumiałe, jak na przykład: „Moskwa walczy o życie", innym razem absurdalne, jak choćby: „Racje chleba zmniejszono do stu dwudziestu pięciu gramów dziennie dla niepracujących i do dwustu dla pracujących".

Bywało, że wyławiały z trzasków inne słowa: straty, zniszczenia, Churchill…

Stalin zapowiadał utworzenie drugiego frontu w Wołchowie pod warunkiem, że Churchill odciągnie Niemców, tworząc front w północnej części Europy. Churchill odpowiadał, że nie starczy mu na to ani ludzi, ani środków, jednak wyrażał gotowość pokrycia rosyjskich strat materialnych. Stalin cierpko odparł, że rachunek za straty materialne przedstawi samemu Hitlerowi.

Moskwa powoli konała, każdy oddech poświęcając walce z najeźdźcą. Bombardowali ją tak samo jak Leningrad.

– Babcia Anna nie pisze już od miesiąca – powiedziała Dasza któregoś listopadowego wieczoru. – A Dmitrij? Pisał do ciebie?

– Nie – odrzekła Tatiana. – I chyba już nie napisze. Aleksander też milczy.

– Nie, nie, napisał. Trzy dni temu dostałam list. Zapomniałam wam powiedzieć. Chcecie przeczytać?

Droga Daszo, Irino Fiodorowno, Babciu Maju, Marino i Taniu!

Mam nadzieję, że ten list zastanie Was w zdrowiu. Czy na mnie czekacie? Bo ja bardzo za Wami tęsknię.

Dowództwo wysłało mnie z dwudziestoma ludźmi do Kokoriewa, rybackiej wioski bez rybaków. Tam, gdzie stały kiedyś domy, zieją teraz leje po bombach. Po tej stronie jeziora nie było ciężarówek ani nawet paliwa do tych, którymi przyjechaliśmy. Mieliśmy zbadać grubość lodu i sprawdzić, czy utrzyma ciężarówkę z żywnością i amunicją, a jeśli nie ciężarówkę, to przynajmniej konia z wyładowanymi saniami. Konie były, choć tylko kilka.

Weszliśmy na lód. Jest tak zimno, że jezioro powinno porządnie zamarznąć, ale nie, w niektórych miejscach lód był zaskakująco cienki. Prawie natychmiast straciliśmy jedną maszynę i konia. Staliśmy na brzegu, patrzyliśmy na ten przeklęty lód i wtedy powiedziałem: szlag by to trafił, dajcie mi konia. Wskoczyłem na kobyłę, pognałem przed siebie i cztery godziny później byłem już w Kobonie! Chwycił tęgi mróz. Doszedłem do wniosku, że lód wytrzyma.

Gdy wróciłem z saniami wyładowanymi żywnością, awansowali mnie zaraz na dowódcę ochotniczego batalionu aprowizacji i transportu. Mam pod sobą samych cywilów. To oczywiste: prawdziwi żołnierze są potrzebni gdzie indziej.

Zanim lód pogrubiał, moi ludzie musieli jeździć do Kobony saniami, po mąkę i żywność. Mówię Wam, Babcia Maja poradziłaby sobie z końmi lepiej niż niektórzy z nich. Albo nigdy w życiu nie jeździli, albo nigdy nie pracowali na mrozie, tak czy inaczej, początkowo było mnóstwo wypadków Jedni spadali z konia, inni wpadali pod lód i tonęli. Pierwszego dnia straciliśmy ciężarówkę wyładowaną bańkami z naftą. Próbowaliśmy dostarczyć do Leningradu choć trochę paliwa; brakuje go niemal tak samo jak żywności i piekarze nie mają czym palić w piecach.

Zostawmy te przeklęte ciężarówki, powiedziałem, zaprzęgnijmy konie. Powoli, powolutku przejechaliśmy saniami trzydzieści kilometrów z Kobony do Kokoriewa. Tego dnia przewieźliśmy ponad dwadzieścia ton żywności. Niby niewiele, ale zawsze to coś. Piszę z Kobony. Ładujemy mąkę na sanie i serce mi pęka, bo wiem, jak bardzo jej Wam brakuje. Frontowcom też zmniejszono racje i dostajemy teraz pół kilo chleba dziennie. Słyszałem, że racje dla niepracujących zredukowano do stu dwudziestu pięciu gramów. Postaramy się to naprawić.

Nie muszę Wam chyba mówić, że Niemcy nie skaczą z radości na widok naszej małej lodowej drogi. Bombardują ją bezlitośnie, i w dzień, i w nocy, chociaż w nocy naloty są chyba rzadsze. Pierwszego tygodnia straciliśmy prawie czterdzieści maszyn i sporo żywności. W końcu dowództwo zrozumiało, że można mnie lepiej wykorzystać i przenieśli mnie do artylerii przeciwlotniczej. Obsługuję działo przeciwlotnicze; może wystrzeliwać pociski albo miotać miny. Odczuwam wielką satysfakcję, wiedząc, że poluję na samoloty, które lecą, by zatopić ciężarówki z przeznaczoną dla Was żywnością.

Nie licząc kilku miejsc, lód jest teraz gruby, a my mamy kilka dobrych maszyn. Czterdziestokilometrową trasę pokonują w godzinę! Naszą drogę nazywamy Drogą Życia. Coś w tym chyba jest, prawda?

Mimo to bez Tichwina niewiele Wam pomożemy. Musimy to miasto odbić. Musimy. Może zaproponuję dowództwu swoje usługi? Co ty na to, Dasza? Wsiądę na tę wychudzoną, szarą kobyłę i z pepeszą w ręku zaszarżuję na Niemców! To tylko żart, ale swoją drogą pepesza to świetna broń.

Nie wiem, kiedy wrócę do Leningradu, ale kiedy wrócę, na pewno przywiozę dużo jedzenia. Dlatego trzymajcie się i czekajcie.

Odwagi.

Wasz Aleksander

Idź, nie podnoś głowy. Owiń się szczelniej szalem, jeśli musisz, naciągnij go nawet na oczy, tylko nie patrz, niczego nie dostrzegaj, tylko nie oglądaj miasta ani własnego podwórza zasłanego trupami, nie patrz na zasłaną trupami ulicę. Omiń je i idź dalej. Nie, ani się waż, przecież nie chcesz tego widzieć.

Rano widziała umarłego mężczyznę. Leżał na chodniku i miał rozprutą pierś. Nie zabiła go bomba. Ktoś wykroił mu nożem wielki połeć ciała. Tatiana sięgnęła do kieszeni, namacała rękojeść pistoletu i nie odrywając wzroku od ziemi, w milczeniu poszła dalej.

Pistolet musiała wyjmować dwa razy. Była sama, a słońce wstawało coraz później.

Dzięki Ci, Boże, za Aleksandra.

Pod koniec listopada wybuch bomby wyrwał okno w pokoju, w którym jadały. Musiały zatkać dziurę kocami babci Mai, bo nie miały nic innego. Temperatura natychmiast spadła o kilkanaście stopni.

Przeniosły „burżujkę" do swego pokoju i ustawiły ją przy łóżku, żeby mama nie marzła, szyjąc mundury. W ramach nieustającej zachęty dla rozwoju prywatnej inicjatywy, kierownictwo fabryki płaciło jej teraz dwadzieścia rubli za każdą sztukę ponad normę. Przez cały listopad uszyła ledwie pięć mundurów. Potem dała Tatianie sto rubli i kazała jej kupić coś do jedzenia.

Tania wróciła ze szklanką czarnej brei. Była to woda z ziemią, w której roztopił się cukier ze spalonego magazynu Badajewa.

– Kiedy piach osiądzie – powiedziała najweselej, jak umiała – zrobimy słodką herbatę.

Przesuń się, nie podnoś głowy. Stój i pilnuj swego miejsca. Wypchną cię z kolejki, nie starczy chleba i będziesz musiała szukać innego sklepu. Zostań, ani kroku, ktoś inny to posprząta. Na ulicy eksplodowała bomba. Trafiła w kolejkę na Fontance i rozerwała na strzępy sześć kobiet. Co robić? Zająć się żywymi, ich rodzinami? Czy uprzątnąć trupy? Nie podnoś oczu, Tatiano.

Nie, nie podnoś oczu. Wbij wzrok w śnieg i patrz tylko na swoje rozpadające się buty. Mama mogłaby uszyć nowe, ale mama nie uszyła ostatnio ani jednego munduru, ani z pomocą Daszy, ani z pomocą Tatiany, podczas gdy w październiku szyła ich dziesięć dziennie. Ale wtedy miała maszynę.

Aleksandrze. Chcę dotrzymać przyrzeczenia. Chcę przeżyć, ale nawet ja, z moimi małymi potrzebami i spowolnionym metabolizmem, nie potrafię przeżyć na dwustu gramach chleba dziennie – chleba, który w jednej czwartej składa się z jadalnej celulozy, z trocin i kory drzewnej. Chleba przyprawionego wytłokami z nasion bawełny, które kiedyś uważano za trujące. Kiedyś, ale nie teraz. Chleba, który nie jest chlebem, tylko twardym sucharem. Czy to ty nazwałeś go kiedyś marynarskim sucharem? Chleba, który jest czarny i ciężki jak kamień. Na dwustu gramach takiego chleba chyba nie przeżyję.

Nie przeżyję na wodnistej zupie. Na wodnistej owsiance.

Nie przeżyła Luba Pietrowa. Ani Wiera. Ani Kirył. Ani Nina Iglenko. A Dasza? A mama? A Marina? Czy one przeżyją?

Dawałam i daję z siebie za mało.

Życie wymaga czegoś więcej, czegoś nie z tego świata. Wymaga siły, która zabije chęć przeżycia i zastąpi ją kompletną pustką. Która zastąpi pustką zimno. I głód.

Głodu już nie było. Miejsce głodu zajęło osłabienie, ciągła apatia i obojętność. Na ostrzał i bombardowanie Tatiana nie zwracała najmniejszej uwagi. Nie miała siły kryć się czy uciekać. Nie miała siły pomagać rannym ani znosić z ulicy zabitych. Otaczał ją pancerz paraliżującego odrętwienia, przypominająca mur bezwolność, przez którą coraz rzadziej i rzadziej przebijały się mgliste promyki uczuć.

Na widok matki bolało ją serce. Widok siostry wzbudzał czułość. Marina, nawet ta chciwa i zachłanna Marina, poruszała ukryte struny; Tania nie chciała jej osądzać, choć kuzynka ją rozczarowała. Nina Iglenko wzbudzała litość i współczucie: zaczekała, aż

umrze jej syn, a potem umarła sama.

Tatiana musiała przestać cokolwiek odczuwać. Już teraz zaciskała zęby, żeby przeżyć kolejny dzień. Wiedziała, że musi zacisnąć je jeszcze mocniej. Bo nie było już jedzenia.

Nie zadrżę. Nie stchórzę przed tym krótkim życiem. Nie spuszczę głowy. I podniosę oczy.

Wyrzucę z serca wszystko i wszystkich. Z wyjątkiem ciebie, Aleksandrze. Ciebie zatrzymam.

Armaty w twierdzy

1

Leningradzki grudzień, skrajne przeciwieństwo białych nocy. Białe noce: światłość, lato, słońce i pastelowe obłoki. Grudzień: ciemność, zamiecie śnieżne i niskie, posępne niebo. Niebo, które przytłacza.

Blade światło pojawiało się mniej więcej o dziesiątej rano, by już o drugiej niemrawo zniknąć, ponownie ustępując miejsca ciemności.

Całkowitej ciemności. Na początku grudnia wyłączono prąd już nie na dzień, ale na dobre. Miasto pogrążyło się w wiecznym mroku. Przestały kursować tramwaje. Autobusy nie jeździły od wielu miesięcy, ponieważ zabrakło paliwa.

Tydzień pracy zmniejszono najpierw do trzech dni, potem do dwóch, wreszcie do jednego. Przywrócono elektryczność w zakładach zmilitaryzowanych: u Kirowa, w piekarni, w zakładach wodociągowych, w fabryce mamy i w jednym skrzydle szpitala Tatiany. Ale tramwaje nie jeździły. W domu Mietanowów było ciemno i zimno. Woda docierała jedynie na parter.

W tych strasznych, ponurych dniach duszę Tatiany dławił gruby całun, który odbierał całą chęć życia. Chociaż to nieprawdopodobne, mogła myśleć tylko o jednym: o tym, że ona też jest śmiertelna.

Na początku grudnia Ameryka wreszcie przystąpiła do wojny; poszło o Hawaje, które zaatakowali Japończycy.

– No proszę – mruknęła mama znad szycia. – Może teraz Amerykanie będą po naszej stronie…

Kilka dni później odbito Tichwin. To Tatiana zrozumiała doskonale. Tichwin! Linia kolejowa, Droga Życia, jedzenie! Może zwiększą racje?

Nie, racji nie zwiększyli.

Nadal dostawały po sto dwadzieścia gramów chleba na głowę.

Kiedy wyłączyli prąd, przestało działać radio. Nie było już ani trzasków, ani szumów, ani wiadomości. Nie było też światła, wody, drewna i jedzenia. Tik-tak. Tik-tak.

Siedziały i patrzyły na siebie. Tatiana wiedziała, o czym myślą.

Kto następny? Kto będzie następny?

– Opowiedz nam jakiś kawał, Taniu.

Tatiana westchnęła.

– Klient mówi do rzeźnika: „Pięć gramów kiełbasy poproszę”. „Pięć gramów? – odpowiada rzeźnik. – Pan żartuje?” „Bynajmniej – mówi klient. – Gdybym żartował, poprosiłbym o pięć gramów kiełbasy w plasterkach”.

Mama i Dasza też westchnęły.

– Dobry kawał, córeczko.

Tania szła korytarzem, taszcząc wiadro wody. Drzwi do pokoju Sławina były zamknięte. Zmarszczyła czoło. Sławin nie wychodził już od jakiegoś czasu. Za to drzwi do pokoju Pietrowa były uchylone. Pietrow siedział przy stole, na próżno próbując skręcić papierosa.

– Pomóc? – Postawiła wiadro i weszła do środka.

– Tak. Dziękuję, Tanieczko. – Trzęsły mu się ręce.

– Co się stało? Niech pan idzie do pracy, dostanie pan obiad. Chyba nie przestali was

karmić?

Niemiecka artyleria stacjonująca w Pułkowie zniszczyła Zakłady Kirowa niemal doszczętnie, ale Rosjanie wybudowali w ruinach mniejszą fabrykę i jeszcze przed kilkoma dniami Piotr Pawłowicz jeździł jedynką aż na front.

Tramwaj numer jeden. Mgliste wspomnienia.

– Co się stało? – powtórzyła. – Nie chce pan iść?

Pokręcił głową.

– Nie martw się o mnie, Tanieczko. I bez tego masz dość kłopotów.

– Ale dlaczego? Dlatego, że ciągle do was strzelają?

Piotr Pawłowicz ponownie pokręcił łysą, pomarszczoną i jakby skurczoną głową.

– Nie? To dlaczego? – Tania zamknęła drzwi i podeszła bliżej. – Dlaczego? – powtórzyła cicho.

Powiedział, że do Kirowa przeniesiono go niedawno: miał tam naprawiać silniki czołgowe. Nie było ani dostaw, ani części zapasowych, ani nawet samych silników.

– Wynalazłem sposób zastępowania silników czołgowych samolotowymi. Naprawiałem je, montowałem w czołgach, potem w samolotach…

– Świetnie. Dostaje pan robotnicze racje żywnościowe, tak? Trzysta pięćdziesiąt gramów chleba dziennie?

Machnął ręką i zaciągnął się dymem.

– Nie o to chodzi. Chodzi o ten szatański pomiot, o tych z NKWD. – Splunął na podłogę ze złością i pogardą. – Omal nie zastrzelili tego, który pracował tam przede mną. Nie umiał naprawiać silników. Przyprowadzili mnie, odbezpieczyli karabiny i do roboty, mówią, naprawiaj! Naprawiaj!

Tatiana położyła mu rękę na ramieniu. Zadrżały jej dłonie. I serce.

– Ale naprawił pan te silniki, tak? – tchnęła.

– Tak, ale co by było, gdybym nie dał rady? Nie wystarczy im, że zabija nas głód? Że zabijają nas Niemcy? Ciągle im mało, ciągle mało!

Tatiana wycofała się powoli do drzwi.

– Przykro mi z powodu pańskiej żony – szepnęła wychodząc.

Po południu drzwi do pokoju Pietrowa były wciąż uchylone. Tania zajrzała do środka. Piotr Pawłowicz siedział przy stole z na wpół wypalonym papierosem między palcami. Nie żył. Trzęsącą się ręką Tatiana nakreśliła w powietrzu znak krzyża i cicho zamknęła drzwi.

Patrzyły na siebie z sofy, z łóżka i spod ścian. Cztery kobiety. Spały i jadły w jednym pokoju. Stawiały talerze na kolanach i żuły wieczorny chleb. Potem siadały przy „burżujce” i przez otwarte drzwiczki gapiły się w ogień. Ogień był jedynym źródłem światła. Miały mnóstwo zapałek, ale nie miały już prawie nic do spalenia. Gdyby tak…

Nic do spalenia. Boże.

Olej silnikowy. Wtedy, w tamtą słoneczną czerwcową niedzielę, kiedy były jeszcze lody, kiedy potrafiła odczuwać radość, Aleksander kazał jej kupić olej silnikowy. Nie posłuchała go, nie kupiła.

A teraz…

Zegar umilkł.

– Marino, co ty robisz?

Marina zdzierała tapetę ze ściany. Zdarłszy wielki kawał, namoczyła go w wodzie.

– Co ty robisz? – powtórzyła Tatiana.

Marina wzięła łyżkę i zaczęła zdrapywać papier z podkładu.

– Jakaś kobieta powiedziała mi w sklepie, że ten podkład jest z mąki ziemniaczanej. – Drapała coraz szybciej, nieprzytomnie i histerycznie.

Tatiana ostrożnie wyjęła papier z wiadra.

Marina wyrwała go jej i krzyknęła:

– Zostaw! To moje!

Tania cofnęła się o krok.

– Ta mąka jest z klejem.

– I co z tego?

– Klej jest trujący.

Marina roześmiała się i włożyła do ust łyżkę pełną szarawej papki.

– Co ty robisz?

– Rozpalam – odrzekła Dasza, wrzucając do „burżujki" książkę za książką.

– Palisz książki?!

– Pewnie. Jest zimno.

Tatiana chwyciła ją za rękę.

– Nie, Daszka, przestań. Proszę, nie pal książek. Tak nisko jeszcze nie upadłyśmy.

– Taniu! Gdybym miała więcej siły, zabiłabym cię, pokroiła na kawałki i zjadła – odparła Dasza, wrzucając do ognia kolejną książkę. – Tylko nie mów mi, że…

– Nie, błagam…

– Nie mamy już drewna – odrzekła trzeźwo siostra.

Najszybciej, jak mogła, Tatiana zajrzała pod łóżko. Jej Zoszczenko, jej John Stuart Mill, jej angielski słownik. Przypomniała sobie, że w sobotę po południu czytała „Jeźdźca miedzianego" i zostawiła bezcenną książkę na sofie.

Odwróciła się i z przerażeniem ujrzała ją w ręku Daszy.

– Nie! – wrzasnęła, rzucając się na siostrę. Skąd miała siłę krzyczeć i biec? Skąd miała siłę cokolwiek odczuwać?

Jednym szarpnięciem wyrwała – dosłownie wyrwała! – książkę z rąk Daszy.

– Nie! – Przycisnęła ją do piersi. – Boże, Dasza, to moja…

– Wszystkie są twoje – odrzekła apatycznie siostra. – Co to za różnica? Najważniejsze, żeby było ciepło.

Tatiana była tak wstrząśnięta, że nie mogła przez chwilę mówić. Oblizała wargi.

– Ale dlaczego akurat książki? Mamy jeszcze meble. Stół i sześć krzeseł. Jeśli będziemy oszczędzały, wystarczy na całą zimę. – Otarła usta i popatrzyła na rękę. Miała zakrwawioną dłoń.

– Chcesz porąbać meble? – Dasza wrzuciła do ognia „Manifest komunistyczny" Marksa. – Proszę bardzo.

Z Tanią działo się coś niedobrego. Nie chciała straszyć matki ani siostry; Marina nie bała się już niczego. Tania czekała na Aleksandra. Chciała go spytać, co to jest, dlaczego krwawi, ale zanim Szura wrócił, zauważyła, że Marina też krwawi.

– Chodź – powiedziała. – Idziemy do szpitala.

Czekały i czekały, wreszcie przyszedł lekarz.

– Gnilec – oznajmił beznamiętnie. – To gnilec. Wszyscy na to chorują. Dlatego krwawicie. Naczynia krwionośne są za cienkie i pękają. Potrzebujecie witaminy C. Zobaczę, czy jeszcze jest.

Dostały zastrzyk.

Tani się poprawiło.

Marinie nie.

– Taniu, śpisz? – szepnęła w nocy.

– Nie. Co się stało?

– Nie chcę umierać. – Gdyby miała siłę płakać, pewnie by się rozpłakała, jednak była w stanie wydać tylko cichy, zawodzący jęk. – Taniu, ja nie chcę umierać! Gdybym nie została z mamą, byłabym teraz w Mołotowie, z babcią, i bym nie umarła.

– Nie umrzesz. – Tatiana położyła jej rękę na czole.

– Nie chcę umrzeć, ani razu nie poczuwszy tego, co ty czujesz. – Brakowało jej tchu. – Chciałabym poczuć to chociaż raz w życiu. Chociaż raz!

Jakby z oddali dobiegł głos Daszy.

– A co ona czuje?

Marina nie odpowiedziała.

– Tanieczko – szepnęła. – Powiedz, jakie to uczucie?

– O czym ty mówisz? – spytała Dasza. – O zobojętnieniu? O zimnie?

O powolnym zdychaniu?

Tatiana delikatnie pogłaskała ją po czole.

– Dobre – szepnęła. – Dobre. Jakbyś nigdy nie była sama. A teraz przestań. Gdzie twoja siła, Marinko? Pamiętasz, jak wiosłowałyśmy, a Pasza płynął za łódką, próbując nas doścignąć? Gdzie twoja siła?

Nazajutrz rano Tatiana obudziła się obok martwej Mariny.

Dasza nawet nie mrugnęła okiem.

– Do końca miesiąca mamy jej chleb – powiedziała.

Tatiana pokręciła głową.

– Już go zjadła. Zjadła chleb za cały grudzień.

Tania owinęła zwłoki kuzynki kwiecistym prześcieradłem, mama je zaszyła, po czym zsunęły ciało po schodach na ulicę. Próbowały ułożyć je na sankach, ale nie dały rady – nie miały sił. Tatiana przeżegnała Marinę znakiem krzyża i zostawiły ją na zaśnieżonym chodniku.

2

Kolejny dzień. Kolejny zastrzyk witaminy C, kolejna porcja czarnego chleba. Tatiana poszła do pracy, żeby nie stracić robotniczego przydziału, ale w szpitalu nie było nic do roboty. Mogła tylko posiedzieć z umierającymi. Więc siedziała.

Pewnego spokojnego wieczoru tydzień po śmierci Mariny siedziały na sofie przed prawie wygasłą „burżujką". Wszystkie książki już dawno spaliły – wszystkie oprócz tych, które Tatiana ukryła pod łóżkiem. Czerwonawy żar nie dawał prawie żadnego światła i mama szyła po ciemku.

– Co szyjesz? – spytała Tatiana.

– Nic. Nic takiego. Gdzie jesteście?

– Tutaj, mamo.

– Daszo, pamiętasz Ługę?

Dasza pamiętała.

– Pamiętasz, jak Tania omal nie zadławiła się ością? Jak nie mogliśmy jej wyciągnąć?

Dasza pamiętała i to.

– Miała wtedy pięć lat.

– Kto tę ość wyciągnął?

– Pasza. Miał takie małe dłonie. Po prostu włożył ci rękę do gardła i wyciągnął.

– A pamiętasz – spytała Dasza – jak Tania wypadła z łódki i wszyscy wskoczyliśmy do wody? Myśleliśmy, że nie umie pływać, nagle patrzymy, a ona płynie pieskiem w przeciwną stronę.

Mama pamiętała.

– Miała wtedy dwa latka.

– Mamo – spytała Tatiana – a pamiętasz, jak wykopałam na podwórku taki wielki dół? Chciałam zastawić pułapkę na Paszę, ale zapomniałam go zasypać i zamiast Paszy wpadłaś w nią ty.

– Przestań – odrzekła mama. – Jeszcze teraz jestem na ciebie zła.

Spróbowały się roześmiać.

Mama nie przestawała poruszać rękami.

– Wiesz, Taniu, kiedy się urodziliście, ty i Pasza, byliśmy w Łudze. Cała rodzina unosiła się w zachwycie nad Paszką, wszyscy mówili, jaki to piękny, jaki wspaniały chłopiec. Daszka miała wtedy siedem lat. Podeszła do łóżeczka, podniosła cię i powiedziała: „Możecie go sobie wziąć. Ja tam wolę ją. To dziecko będzie moje". My w śmiech. Dobrze, mówimy, chcesz, to ją weź. Ale skoro to twoje dziecko, musisz nadać jej imię… – mamie załamał się głos. – A nasza Daszka na to: „Będzie miała na imię Tatiana…".

Kolejny dzień, kolejny zastrzyk witaminy C. Z palców sączyła się krew, prosto na dwieście gramów chleba, który kroiła dla matki i siostry.

Jeszcze jeden dzień. Tego dnia na dom na rogu Piątej Radzieckiej spadła bomba zapalająca. Na dachu nie było już ani Antona, ani Mariszki, ani Kosti, ani Tatiany, i nie miał jej kto ugasić. Przepaliła trzy piętra od strony cerkwi przy Greckim. Straż nie przyjechała. Bomba paliła się, paliła, aż się wypaliła.

Czy to tylko złudzenie, czy w mieście jest jakby ciszej, myślała Tatiana. Albo ogłuchła,

albo Niemcy rzadziej strzelają. Owszem, ostrzeliwali ich codziennie, ale chyba krócej, z mniejszą zaciekłością, jakby się tym znudzili. No pewnie, bo niby do kogo mieli strzelać? Wszyscy poumierali. Nie, nie wszyscy.

Żyła ona, Tatiana.

I Dasza.

I mama.

Nie, mama już nie.

Właśnie szyła białą pelerynę do zimowego munduru polowego, a pod wełnianą czapką miała swoją chustkę. Siedziała przed ledwie letnią „burżujką", szyła i raptem powiedziała:

– Nie mogę. Już nie mogę. – Przestała poruszać rękami i głową. Ale oczy wciąż miała otwarte. Nagle odetchnęła. Tylko raz, lekko. Bardzo płytko. I odeszła.

Tatiana i Dasza uklękły.

– Szkoda, że nie znam żadnej modlitwy – szepnęła Tania.

– Pamiętam trochę „Ojcze nasz". Ale tylko kawałek.

Tatiana klęczała tyłem do piecyka. Plecy miała ciepłe, piersi zimne.

– Który kawałek?

– „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj".

Tania położyła rękę na kolanach matki.

– Pochowamy ją z tym, co szyła – szepnęła.

– Nie z tym, ale w tym – odrzekła słabym głosem Dasza. – Uszyła dla siebie worek.

– Dobry Boże – powiedziała Tatiana, ściskając matkę za zimne kolano. – Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj… Daszo, co dalej?

– Nie wiem. Może amen?

– Amen – powtórzyła Tatiana.

Tego wieczoru pokroiły chleb na trzy porcje, jak zwykle. Tatiana zjadła swoją. Dasza swoją. Porcja matki została na talerzu.

W nocy mocno się do siebie przytuliły.

– Nie zostawiaj mnie, Taniu – szepnęła Dasza. – Bez ciebie nie dam rady.

– Nie zostawię cię, siostrzyczko. Ani ja ciebie, ani ty mnie. Nie możemy zostać same. Każdy kogoś potrzebuje. Potrzebujemy kogoś, kto będzie nam przypominał, że jesteśmy ludźmi, a nie zwierzętami.

– Zostałyśmy tylko we dwie, Taniu. Tylko ty i ja.

Tatiana przytuliła ją jeszcze mocniej. Ty. Ja. I Aleksander.

3

Wrócił kilka dni później. Z podkrążonymi oczami, z gęstą, czarną brodą wyglądał jak rozbójnik, ale poza tym był cały i zdrowy. Tatianie zrobiło się cieplej na sercu. Szura. Na jego widok… Cóż mogła powiedzieć? Dasza obejmowała jego, on Daszę, a ona stała w progu i patrzyła. A Szura patrzył na nią.

– Jak się masz? – spytała cichutko.

– Dobrze. A wy?

– Niezbyt – odrzekła Dasza. – Niezbyt. Chodź, pokażę ci mamę. Umarła pięć dni temu. Grabarze już nie przychodzą. Nie mamy siły jej znieść.

Dasza poszła przodem, on za nią. Mijając Tatianę, musnął jej twarz dłonią.

Owinął zwłoki białym całunem, ostrożnie zniósł je oblodzonymi schodami na dół, ułożył na sankach i zawiózł na Staroruską. Odsunął zamarznięte trupy przed bramą i poszli dalej, w głąb cmentarza, gdzie Aleksander ułożył matkę na śniegu. Potem ułamał dwie gałęzie i Tatiana związała je sznurkiem w kształt krzyża. Krzyż położyli na zwłokach.

– Znasz jakąś modlitwę? – spytała. – Za jej duszę.

Aleksander spojrzał na nią, pokręcił głową, przeżegnał się i wymamrotał coś pod nosem.

– Naprawdę nie znasz żadnej modlitwy? – szepnęła, gdy już wracali.

– Nie po rosyjsku – odszepnął.

W domu niemal poweselał.

– Zobaczcie. Nie uwierzycie, co tu mam. Same pyszności.. – Urwał. – Tylko dla was.

Przywiózł worek ziemniaków, siedem pomarańcz, które wytrzasnął Bóg wie skąd, pół kilograma cukru, ćwierć kilo jęczmienia, olej lniany i - wyjął to z worka, uśmiechając się szeroko do Tatiany – trzy litry oleju silnikowego.

Gdyby tylko mogła, na pewno odpowiedziałaby mu uśmiechem.

Pokazał jej, jak się go pali. Nalał na spodek kilka łyżek oleju, zanurzył w nim sznurek, przykrył to wszystko drugim spodkiem, po czym podpalił wystający kawałek sznurka. Światło było na tyle silne, że mogli przy nim szyć, a nawet czytać. Potem wyszedł i pół godziny później wrócił z naręczem drewna; znalazł w piwnicy zerwane belki stropowe. Przyniósł też wodę.

Tatiana bardzo chciała go dotknąć. Ale dotykaniem zajmowała się Dasza. Nie odstępowała go na krok. Tania nie mogła nawet pochwycić jego spojrzenia. Zaparzyła herbatę z cukrem – prawdziwa rewelacja. Ugotowała trzy ziemniaki i trochę jęczmienia. Podzieliła chleb. Jedli.

Naprawdę jedli. Potem podgrzała miskę wody na „burżujce”, poprosiła go o mydło i umyła twarz, szyję i ręce.

– Dziękuję – powiedziała. – Wiesz coś o Dmitriju?

– Nie ma za co, Taniu. O Dmitriju? Nie. A ty?

– Nie.

– Włosy mi wypadają – powiedziała Dasza. – Spójrz. – Wyrwała z głowy czarny kosmyk.

– Przestań, nie rób tego. – Spojrzał na Tatianę. – Tobie też wypadają? – Miał takie ciepłe oczy. Grzały prawie tak samo jak „burżujka”.

– Nie – wymamrotała. – Już wypadły. Za kilka dni zupełnie wyłysieję. I krwawię. – Zerknęła na niego, ocierając usta. – Może pomarańcze pomogą.

– Zjedzcie wszystkie, tylko powoli. I nie wychodźcie nocą na ulicę. To zbyt niebezpieczne.

– Nie wychodzimy.

– Zawsze zamykajcie drzwi na klucz.

– Tak, wiemy.

– W takim razie dlaczego były otwarte?

– Tania zapomniała…

– Nie zwalaj wszystkiego na Tanię. Po prostu zamykaj te cholerne drzwi, i już.

Po kolacji przyniósł piłę z kuchni i pociął na kawałki stół i krzesła. Kiedy piłował, Tatiana stała tuż przy nim. Owinięta kocami Dasza siedziała na sofie. W pokoju było lodowato. Już tam nie wchodziły. Spały i jadły w dawnym pokoju babci, w którym były wszystkie okna.

– Ile ton mąki nam teraz przysyłają? – spytała Tania, patrząc, jak Aleksander układa pocięte drewno.

– Nie wiem.

– Wiesz.

Ciężko westchnął.

– Pięćset.

– Pięćset ton?

– Tak.

– To chyba dużo – powiedziała Dasza.

– Aleksandrze, to dużo?

– Nie.

– Ile ton dostarczali nam w czerwcu?

– Boże, kim ja jestem? Szefem zaopatrzenia?

– Powiedz, ile?

Westchnął jeszcze ciężej.

– Siedem tysięcy dwieście.

Tatiana spojrzała bez słowa na siostrę. Dasza zamyka się w sobie, pomyślała. Coraz bardziej i bardziej.

– Nie jest tak źle – powiedziała wesoło, z trudem panując nad drżącym głosem. – Pięćset ton mąki starcza teraz na znacznie dłużej.

Stłoczyli się na sofie przed „burżujką”. Zza metalowych drzwiczek sączyło się trochę światła. Aleksander siedział między Tatianą i Daszą. Tania miała na sobie uszyte przez mamę palto i spodnie zszywane z kawałków materiału. Czapkę naciągnęła na uszy i oczy, wystawał jej tylko nos. Nogi przykryli kocem. W pewnej chwili Tatiana omal nie usnęła i bezwiednie pochyliła głowę, wspierając ją na ramieniu Aleksandra. Aleksander położył jej rękę na kolanie.

– W wojsku mamy nowe powiedzenie: chciałbym być niemieckim żołnierzem, służyć pod rosyjskim generałem, mieć angielską broń i amerykańskie racje żywnościowe.

– Mnie wystarczyłyby same racje – odrzekła Tatiana. – Myślisz, że teraz, kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, będzie nam lżej?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Na pewno. Jest przynajmniej nadzieja.

– Jeśli kiedykolwiek z tego wyjdziemy – powiedziała Dasza – przysięgam, że wyjadę z Leningradu i przeprowadzę się na Ukrainę, nad Morze Czarne, w każdym razie gdzieś, gdzie jest zawsze ciepło.

– W Związku Radzieckim nie ma takich miejsc – odparł Aleksander. Siedział w płaszczu i w czapce opuszczonej na uszy. – Jesteśmy wysunięci za daleko na północ, stąd mroźne zimy.

– Czy jest na świecie takie miejsce, gdzie zimą nie jest zimno?

– Jest, choćby Arizona.

– Arizona? To gdzieś w Afryce?

– Nie – odrzekł z cichym westchnieniem. – Taniu, wiesz, gdzie jest Arizona?

– W Ameryce. – Jedynym źródłem ciepła były drzwiczki piecyka. I Szura. Przytuliła głowę do jego ramienia.

– Tak – powiedział. – To stan w Ameryce. Niedaleko Kalifornii. Pustynia. Latem bywa tam czterdzieści stopni w cieniu. Zimą dwadzieścia. I tak rok w rok. Tubylcy nie wiedzą, co to mróz i śnieg.

– Przestań – powiedziała Dasza. – To jakieś bajki. Opowiadaj je Tatianie, ja jestem za stara.

– Nie, to prawda.

Tania zamknęła oczy, wsłuchując się w jego śpiewny głos. Pragnęła, żeby nie przestawał mówić. Masz piękny głos, Szura. Jest taki spokojny, miarowy, melodyjny, śmiały i głęboki, że mogłabym przy nim usnąć. Utula do snu, zachęca do wiecznego odpoczynku. Dalej, Taniu, dalej. Na co czekasz?

– Niemożliwe – mruknęła Dasza. – A zimą? Co oni tam robią?

– Noszą koszule z długimi rękawami.

– Przestań, znowu zmyślasz.

Tatiana poprawiła czapkę i spojrzała na miedziane płomyki w piecyku.

– Tatiu? Ty wiesz, że nie zmyślam, prawda? Chciałabyś mieszkać w Arizonie, w krainie wiecznego lata i przedwiośnia?

– Tak.

– Jak ją nazwałeś? – spytała apatycznie Dasza.

– Tatianą – odrzekł Aleksander.

– Nie. To było krótsze słowo, z akcentem w innym miejscu. Tatia. Tak, powiedziałeś, Tatia. Nigdy dotąd jej tak nie nazywałeś.

– Właśnie. – Tatiana naciągnęła czapkę na nos. – Co ci się stało? Dasza z trudem wstała.

– Mnie tam wszystko jedno. Nazywaj ją, jak chcesz.

Poszła do ubikacji.

Tatiana usiadła prosto.

– Tatia – szepnął. – Tatiasza. Taniu. Słyszysz mnie?

– Tak, Szura.

– Oprzyj głowę. Oprzyj.

Oparła.

– Jak dajesz sobie radę?

– Przecież widzisz.

– Tak, widzę. – Pocałował ją w rękawiczkę. – Odwagi, Tatiano. Odwagi.

Kocham cię, Szura, pomyślała. Tak bardzo cię kocham.

Przyszedł nazajutrz wieczorem.

– Dziewczęta! – wykrzyknął radośnie. – Wiecie, jaki dzisiaj dzień? Spojrzały na niego pustym wzrokiem. Tatiana spędziła kilka godzin w szpitalu, ale nie pamiętała, co tam robiła. Spróbowały się uśmiechnąć.

– Nie. Jaki? – spytała Dasza.

– Nowy Rok!

Wytrzeszczyły oczy.

– Zobaczcie tylko, co przyniosłem: trzy puszki tuszonki! Po jednej dla każdego. I trochę wódki. Ale wypijemy tylko troszeczkę, bo może wam zaszkodzić.

Na chwilę odebrało im mowę.

– Skąd mamy wiedzieć, że dziś Nowy Rok – odrzekła w końcu Tatiana. – Nasz budzik chodzi jak chce, a radio nie działa.

Aleksander postukał palcem w swój zegarek.

– Mam dokładny czas, wojskowy. Zawsze wiem, która godzina. Ale musicie być trochę weselsze. Obchodzić Nowy Rok w takim nastroju?

Nie było już stołu, więc postawili talerze na podłodze, usiedli przy piecyku, zjedli tuszonkę, trochę białego chleba i łyżeczkę masła. Aleksander poczęstował Daszę papierosem, a Tani dał twardego cukierka, który natychmiast włożyła do ust. Siedzieli i gawędzili, dopóki Aleksander nie spojrzał na zegarek i nie sięgnął po butelkę. Kilka minut przed północą wstali, żeby wznieść toast za czterdziesty drugi rok.

Głośno odliczyli ostatnie sekundy, trącili się kieliszkami, wypili, a potem Aleksander wyściskał Daszę, a Dasza Tatianę.

– Śmiało – powiedziała. – Nie bój się, możesz go pocałować. Przecież to Nowy Rok.

Tatiana podniosła głowę, a wówczas Szura delikatnie pocałował ją w usta. Pierwszy raz od spotkania w soborze Izaaka.

– Szczęśliwego nowego roku, Taniu.

– Tobie też, Aleksandrze.

Dasza siedziała na sofie. Miała zamknięte oczy. W jednej ręce trzymała kieliszek, w drugiej papierosa.

– Za czterdziesty drugi – wymamrotała.

– Za czterdziesty drugi – powtórzył Szura. Jeszcze raz spojrzał na Tatianę i usiadł przy Daszy.

Spali w jednym łóżku, Tatiana przy ścianie, tyłem do siostry i Aleksandra. Ile zostało mi warstw? – myślała. Czy to możliwe, żeby jeszcze coś przykrywały? Przecież już prawie umarłam.

Nazajutrz Tatiana i Aleksander poszli powoli na pocztę. Tania chodziła tam co tydzień, żeby sprawdzić, czy nie nadszedł list od babci. Po śmierci dziadka babcia napisała tylko raz, zawiadamiając je, że przeprowadziła się do małej wioski nad potężną Kamą.

Listy Tatiany były krótkie; nie była w stanie napisać więcej niż kilka akapitów. Pisała o szpitalu, o Wierze, o Ninie Iglenko i o szalonym Sławinie, który do chwili swego tajemniczego zniknięcia przed dwoma tygodniami jak zwykle leżał na korytarzu, i całkowicie obojętny na ostrzał i głód, zdawał się odczuwać jedynie zimno, gdyż coraz częściej przykrywał się kocem. Tak, o Sławinie pisać mogła. O sobie nie, tym bardziej o rodzinie. Pozostawiała to siostrze, która zawsze potrafiła dopisać kilka wesołych zdań pod ponurymi wynurzeniami Tatiany. Tania tego nie umiała. Nie umiała pisać wesoło o październiku, o listopadzie i o grudniu czterdziestego pierwszego. Natomiast Dasza

sprytnie wszystko kamuflowała, pisząc tylko o Aleksandrze i o ich małżeńskich planach. Cóż, była dorosła. Dorośli umieli się maskować.

List, który niosła tego dnia, napisała sama; siostra była zbyt zmęczona, żeby wziąć do ręki ołówek.

Ostrożnie szli przez śnieg, patrząc pod nogi i mrużąc oczy na lodowatym wietrze. Tania miała w butach pełno śniegu, lecz śnieg się nie topił. Myślała o swoim następnym liście. Może napisze w nim o mamie. I o Marinie. I o cioci Ricie. I o babci Mai.

Poczta znajdowała się na pierwszym piętrze starego gmachu przy Newskim. Kiedyś mieściła się na parterze, ale kiedy po wybuchu bomby wyleciały wszystkie szyby, przeniesiono ją na piętro. Tylko że na piętro trudno było wejść, gdyż na oblodzonych schodach zawsze leżały trupy.

– Późno już – powiedział Aleksander, gdy dotarli na miejsce. – O dwunastej muszę się zameldować w koszarach.

– Masz jeszcze dużo czasu – odrzekła Tatiana.

– Nie bardzo, jest jedenasta. Szliśmy półtorej godziny.

Tania zadrżała.

– Idź, Szura – wymamrotała. – Uciekaj z tego zimna.

Poprawił jej szalik.

– Nie idź do sklepu, słyszysz? Wracaj prosto do domu. Zostawiłem wam jedzenie i pieniądze.

– Tak, wiem…

– Taniu, proszę…

– Dobrze, Szura. Przyjdziesz wieczorem?

Pokręcił głową.

– Wyjeżdżam. Działonowy, który mnie zastępował…

– Nie kończ.

– Wrócę, jak tylko będę mógł.

– Obiecujesz?

– Tatiu, spróbuję wywieźć was z miasta. Rozumiesz? Musicie jeszcze trochę wytrzymać. Po prostu musicie.

Chciała mu powiedzieć, że dziękuję Bogu za to, iż widzi jego twarz. Chciała, lecz nie miała siły, więc tylko kiwnęła głową i ostrożnie weszła na schody. Szura został na dole. Na drugim stopniu potknęła się i byłaby spadła, gdyby jej nie podtrzymał. Chwyciła się poręczy, odwróciła głowę i na jej twarzy zagościło coś w rodzaju lekkiego uśmiechu.

– Dam sobie radę, Szura.

– A jak odpędzisz tych wygłodniałych wyrostków, którzy idą za tobą aż do domu?

Popatrzyła na niego ciepłym, szczerym wzrokiem – chciała, żeby znał prawdę.

– Nie dam sobie rady, Szura. Bez ciebie bardzo mi źle.

– Wiem – szepnął – wiem. Trzymaj się poręczy. Mocno.

Powoli, stopień po stopniu, dotarła na górę, po czym odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Aleksander jeszcze tam jest. Był. Posłała mu ręką od ust pocałunek.

Nazajutrz Dasza nie mogła wstać z łóżka.

– Dasza, proszę…

– Nie mogę. Idź ty.

– Pójdę, ale nie chcę iść sama. Aleksander wyjechał.

– Wiem.

Tatiana poprawiła przykrywające siostrę koce i palta. Wiedziała, że nic z tego nie będzie. Dasza miała zamknięte oczy i leżała w tej samej pozycji, w jakiej zasnęła. Poprzedniej nocy też się prawie nie ruszała. Kilka razy cicho zakaszlała, to wszystko.

– Wstań, musisz wstać.

– Później. Teraz nie mogę. – Nawet nie otworzyła oczu.

Tatiana poszła po wodę. Zajęło jej to godzinę. Potem rozpaliła w piecyku – wrzuciła do ognia nogę od krzesła – a kiedy piecyk się rozgrzał, zaparzyła herbatę.

Napoiwszy siostrę żółtawą, ledwo słodką lurą, poszła do sklepu. Minęła dziesiąta i na dworze było jeszcze ciemno. O jedenastej zrobi się jaśniej, pomyślała. Tak, kiedy wrócę z chlebem, będzie zupełnie jasno.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj – wymamrotała. Szkoda, że nie znałam tego wcześniej. Modliłabym się już od września.

Ciemność. Cały czas ciemność. Jest późno czy wcześnie? Czy to wieczór, czy noc? Spojrzała na zegarek, lecz w mroku nie mogła dostrzec wskazówek. Mrok. Wieczny mrok. Mrok rano, kiedy noszę wodę, mrok przed południem, kiedy obmywam twarz siostrze, mrok, kiedy idę do sklepu, mrok, kiedy wybuchają pociski. Gdy płonie jakiś dom, robi się jaśniej. Można wtedy przystanąć i trochę się ogrzać. Dzisiaj stałam chyba do południa, bo do szpitala dotarłam dopiero o pierwszej. Jutro też znajdę jakiś pożar. Ale w domu jest ciemno. Dobrze, że jest olej silnikowy od Szury. Zapalam knot, siadam i próbuję czytać książkę. Albo patrzę na Daszę.

Dasza – ona też na mnie patrzy. Dlaczego? Od pięciu dni jest jakaś dziwna. Od trzech w ogóle nie wstaje z łóżka. I ma ciemniejsze oczy. Co w nich jest? Gapi się na mnie tak, jakby nie wiedziała, kim jestem.

– Daszka? Co się stało?

Cisza. Siostra ani drgnęła.

– Dasza!

– Czego tak wrzeszczysz?

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Chodź tu.

Tatiana uklękła przy łóżku.

– Co ci jest, Daszka? – spytała łagodnie. – Przynieść ci coś?

– Gdzie Aleksander?

– Nie wiem. Chyba nad Ładogą.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. Może jutro?

Dasza wytrzeszczyła oczy.

– Co się stało?

– Chcesz, żebym umarła?

– Co takiego?! – Choć półżywa, Tatiana dosłownie osłupiała. – Co ty pleciesz? Jesteś moją siostrą. Potrzebuję cię, wszyscy kogoś potrzebujemy. Inaczej przestalibyśmy być ludźmi.

– Wiem.

– Więc o co chodzi?

– Tym kimś jesteś dla mnie ty, Taniu.

– Właśnie.

– A dla ciebie? – wyszeptała Dasza. – Kto jest tym kimś dla ciebie?

Boże.

Tatiana szybko zamrugała.
– Ty, Daszo – odrzekła niemal bezgłośnie.

Przez straszne fale

1

– Widziałam was. Ciebie i jego.

Tatianie zamarło serce.

– O czym ty mówisz?

– Widziałam cię. Obserwowałam. Pięć dni temu, na poczcie.

– Na jakiej poczcie?

– Byliście na poczcie.

Tatiana zmarszczyła czoło. Poczta. Rzeczywiście. Ale co się stało na poczcie? Nie pamiętała.

– Przecież ci mówiłam, wiedziałaś, że tam idziemy.

– Wszędzie z tobą chodzi.

– Żeby nas chronić i bronić…

– Nie nas.

– Nas, Daszo, nas. Bardzo się o nas martwi. Dlatego ze mną chodzi. Zapomniałaś już, ile jedzenia nam przyniósł?

– Ja nie o tym… – odparła ze znużeniem Dasza.

– Dzięki niemu nikt nie może odebrać mi chleba. Ani kartek. Jak myślisz, kto odpędza ode mnie tych przeklętych kanibali?

– Nie chcę o tym mówić.

Ale Tania chciała.

– Daszo, on przynosi nam chleb martwych żołnierzy, a kiedy nie może go znaleźć, oddaje nam pół swojego przydziału.

– Och, Taniu…

– Przestań z tym „och, Taniu”. Dlaczego za nami poszłaś?

– Miałam wyrzuty sumienia. Nie napisałam do babci, a ona tak lubi czytać moje listy. Twoje za bardzo ją przygnębiają, nie potrafisz ukryć prawdy. Pomyślałam, że napiszę do niej coś wesołego, że tak trzeba. Nie poszłam za wami. Zobaczyłam was dopiero na poczcie.

– Przedtem byliśmy w sklepie.

Tatiana wrzuciła do ognia kolejną nogę krzesła. Jedna noga na noc to za mało, ale musiały oszczędzać. Kiedy Aleksander rąbał stół, nie uświadamiała sobie, jak bardzo łakną ciepła. A stołu już prawie nie było. Zostały jedynie cztery krzesła.

Gdy Szura przyniósł jedzenie, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo są głodne. Ziemniaków też już nie było. Ani pomarańczy. Została tylko garść jęczmienia.

Poprawiła koce i weszła do łóżka. Chciała odwrócić się twarzą do ściany, ale się nie odwróciła.

Milczały. Dasza powoli przekręciła się na bok.

– Chcę, żeby go zabili – szepnęła. – Żeby zginął na froncie.

– Przestań, nie mów tak. – Tatiana chciała się przeżegnać, lecz nie mogła wyjąć zimnej ręki spod ciepłych koców. Wiedziała, że ogień niedługo zgaśnie. Że znowu pogrążą się w ciemności. Były całkowicie wyczerpane. Zobojętniałe, apatyczne i zbyt osłabione, by łamać sobie serce.

Ale kiedy Dasza powiedziała: „Widziałam was. Widziałam, jak na siebie patrzyliście”, Tania uświadomiła sobie, że mają jeszcze sporo sił.

– Daszeńko, co ty pleciesz? Nikt na nikogo nie patrzył, nikt nikogo nie widział. Czapka zasłaniała mi pół twarzy!

– Stał u stóp schodów. Ty dwa stopnie wyżej. Omal nie spadłaś, ale cię podtrzymał. Powiedział coś, a ty spojrzałaś na niego i kiwnęłaś głową. Potem popatrzyliście na siebie i weszłaś na górę. On nie odrywał od ciebie oczu. Wszystko widziałam.

– Kochanie, to tylko twoja wyobraźnia. Zamartwiasz się bzdurami.

– Czyżby? Taniu, powiedz, od kiedy jestem aż tak ślepa?

Tatiana pokręciła głową.

– Co ty mówisz?

– Od samego początku? Od dnia, kiedy weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak stoicie naprzeciwko siebie? Byłam ślepa przez te wszystkie dni? Boże, powiedz! Mów coś!

– Zwariowałaś.

– Może jestem ślepa, ale na pewno nie głupia. Myślisz, że nie potrafię tego wyczuć? Nigdy przedtem nie widziałam, żeby tak na kogoś patrzył. A na ciebie patrzył z taką czułością, z taką tęsknotą, z taką zachłannością, że gdybym miała czym wymiotować, odwróciłabym się i zwymiotowała.

– To nie tak, Daszo… – szepnęła cichutko Tatiana.

– Nie? A wiesz, jakie miałaś oczy, kiedy ty na niego patrzyłaś, siostrzyczko?

– Nie wiem. Nie wiem, o czym mówisz. Odprowadził mnie na pocztę, pożegnaliśmy się i weszłam na schody. Jeśli na niego spojrzałam, to tylko na pożegnanie.

– Nie, Taniu, nie na pożegnanie.

– Przestań. Jestem twoją siostrą…

– Tak, ale on nie jest mi nic winien.

– On mnie chroni…

– On cię pragnie.

– Nieprawda.

– Byłaś z nim?

– Gdzie?

– Odpowiedz. To proste pytanie. Czy spałaś z Aleksandrem? Czy się z nim kochałaś?

– Jak możesz! Oczywiście, że nie. Przecież…

– Tak długo mnie okłamywałaś. Teraz też kłamiesz?

– Nie kłamię.

– Nie? Ani teraz, ani przedtem?

– Ani teraz, ani przedtem. – Słowa z trudem przeszły jej przez gardło.

– Nie wierzę. – Dasza zamknęła oczy. – Boże, nie wytrzymam. Dłużej tego nie zniosę. Tyle dni, tyle nocy, tyle godzin. Rozmawialiśmy, spaliśmy w jednym łóżku, jedliśmy z tego samego talerza i nagle okazuje się, że to wszystko kłamstwo. Jak to możliwe?

– Nieprawda! On cię kocha. Zapomniałaś już, jak cię całuje? Jak cię dotyka? Jak się z tobą… kocha?

– Całował mnie, dotykał… Ale nie spaliśmy ze sobą od sierpnia. Ciekawe dlaczego.

– Przestań…

– Ostatnio nie jestem zbyt apetyczna. Ty też nie.

– Te dni przeminą.

– Tak, a ja wraz z nimi.

– Nie mów tak.

– Co zrobisz, kiedy umrę? Będzie ci łatwiej?

– Co ty pleciesz? Jesteś moją siostrą… – Gdyby tylko mogła, wybuchnęłaby płaczem.

– Nie wyjechałam, zostałam tu, z tobą! I nigdzie bez ciebie nie wyjadę. Nie zostawię cię. Jeszcze nie umieramy. On cię kocha… – Ucisnęła sobie piersi, żeby stłumić jęk.

– Tak – odparła chrapliwie Dasza. – Ale ja bym chciała, żeby kochał mnie tak jak ciebie.

Tatiana długo nie odpowiadała. Z ręką na sercu wsłuchiwała się w trzask ognia, zastanawiając się, kiedy z drewna zostanie jedynie popiół.

– On mnie nie kocha – odrzekła głucho, patrząc w ciemność.

– Powiedz, jak długo chciałaś to przede mną ukrywać?

Do samego końca.

– Niczego przed tobą nie ukrywam, Daszo.

– Taniu, Taniu… Jest ciemno, zimno, za progiem stoi śmierć, a ty wciąż masz siłę, żeby kłamać, żeby się gniewać. Jak to możliwe? Ja nie mogę nawet wstać, a ty? Gniew? O tak. Kłamstwa? Tak…

– Świetnie, będzie ci cieplej. Gniewaj się na mnie, wściekaj, znienawidź mnie, jeśli doda ci to sił.

– Znienawidź? – Dasza ledwo poruszyła ustami. – A mam powody?

– Nie – odrzekła Tatiana, odwracając się do ściany. Kłam. Kłam do samego końca.

2

Nazajutrz Dasza nie mogła wstać. Chciała, ale po prostu nie mogła, chociaż Tatiana zdjęła z niej wszystkie koce i palta. Była dziewiąta rano i ponownie przespały poranny alarm.

W końcu Tania poszła do sklepu sama. Dotarła tam o dwunastej, by stwierdzić, że chleba już nie ma. Tego dnia przywieźli bardzo mało i do ósmej wszystko rozdali.

– Nic nie zostało? – spytała. – Zupełnie nic? Nie możecie mi jakoś pomóc?

Za przeszkloną ladą stała… Nie, to nie Luba. Luby już nie było. Nowa sprzedawczyni milczała.

Tatiana poszła poszukać jedynego człowieka, który mógł jej pomóc.

– Szukam kapitana Biełowa. Jest w koszarach?

– Kapitan Biełow? – Wartownik, którego nie znała, zajrzał do wykazu dyżurów. – Tak, jest. Ale nie ma kto po niego pójść.

– Bardzo was proszę. Nie dostałam dzisiaj chleba, a moja siostra…

– A ty co? Myślisz, że kapitan to piekarz? Wynocha stąd.

Tatiana nie ruszyła się z miejsca.

– Moja siostra jest jego narzeczoną.

– I bardzo dobrze – warknął tamten. – Opowiesz mi teraz historię swojego życia?

– Jak się nazywacie? – spytała Tatiana.

– Kristow. Kapral Kristow.

– Kapralu, wiem, że nie możecie opuszczać stanowiska. Wpuśćcie mnie i poszukam go sama.

– Mam cię wpuścić do bazy? Zwariowałaś.

– Tak. – Tania przytrzymała się bramy. Pokonała kawał drogi, czuła, że lada chwila zemdleje, lecz nie zamierzała wracać do domu bez jedzenia dla siostry. – Tak, zwariowałam, ale spójrzcie na mnie. Nie odejmuję wam jedzenia od ust, nie proszę nawet, byście stąd odeszli. Proszę tylko o widzenie z kapitanem Biełowem. Pomóżcie mi choć trochę. Choć trochę…

– Dość tego gadania. – Kapral zdjął karabin z ramienia. – Wynocha stąd, zrozumiano?

Tatiana chciała pokręcić głową, ale nie miała siły. Poruszyła jedynie ustami.

– Zaczekam – szepnęła. – Zawiadomcie sierżanta Pietrenkę, porucznika Marazowa, pułkownika Stiepanowa. Oni mnie znają. Powiedzcie im, że odprawiliście siostrę umierającej narzeczonej kapitana Biełowa.

– Grozisz mi? – spytał z niedowierzaniem Kristow, podnosząc broń.

– Co się tam dzieje, kapralu? – Przez podwórze szedł jakiś oficer. – Kłopoty?

– Nie, nie. Ta tutaj nie chce stąd odejść.

Oficer przystanął i spojrzał na Tatianę.

– Wy do kogo? – spytał.

– Do kapitana Biełowa.

– Kapralu, kapitan jest na górze. Zawiadomiliście go?

– Nie, towarzyszu poruczniku.

– Otwórzcie bramę. Jak ci na imię, dziewczyno?

– Tatiana.

Wprowadził ją na podwórze.

– Tatiana… Kapral wam dokuczał?

– Tak.

– Nie przejmujcie się, jest nadgorliwy. Zaraz wracam.

Aleksander spał. Całą noc był na patrolu.

– Towarzyszu kapitanie – powiedział porucznik.

Aleksander obudził się gwałtownie.

– Na dole czeka jakaś dziewczyna. To wbrew regulaminowi, ale mogę ją tu przysłać. Ma na imię Tatiana.

Zanim skończył mówić, Aleksander zerwał się z łóżka.

– Gdzie? Gdzie czeka?

– Przy bramie. Wprowadziłem ją na podwórze. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu.

– Nie, nie, nie mam.

– Ten sukinsyn Kristow chciał do niej strzelać. Mało brakowało i…

– Dziękuję, poruczniku. – Aleksander wybiegł z pokoju.

Tatiana siedziała na schodach, tuląc się do ściany.

– Tatia? Co się stało?

– Dasza nie może wstać. W sklepie nie ma chleba. – Była tak osłabiona, że nawet nie podniosła głowy.

– Chodź. – Podał jej rękę, ale nie miała siły się podnieść.

Aleksander objął ją i pomógł wstać.

– Za dużo chodziłaś.

– Tak.

– Pójdziemy do stołówki.

Zdobył dla niej kawałek czarnego chleba, łyżeczkę masła, pół zimnego ziemniaka, trochę oleju, a nawet kubek czarnej kawy z odrobiną cukru.

– Jedz.

– A Dasza?

– Jedz. Dla Daszy też coś mam.

Dał jej jeszcze jedną kromkę chleba, pół ziemniaka i garść fasoli. Tatiana schowała to wszystko do kieszeni.

– Chciałbym z tobą pójść, ale nie mogę. Dzisiaj mnie nie puszczą.

– Nie szkodzi. – Boże, pomyślała, sama nie dojdę. Nie dojdę.

Obiadu jeszcze nie było i przy stołach siedziało tylko kilku oficerów.

Chciała go wypytać o miniony tydzień, o sierżanta Pietrenkę, którego od dawna nie widziała, o Dmitrija. Chciała mu powiedzieć o kapralu Kristowie, o Żannie Sarkowej, która umarła poprzedniego dnia. No i o poczcie. Powinna pójść na pocztę, ale nie miała siły.

Chciała mu powiedzieć o Daszy, lecz czuła, że nie da rady, że po prostu nie zdoła. Myślenie, wypowiadanie słów, układanie ich w logiczną całość było czymś niewyobrażalnie trudnym, znacznie trudniejszym niż jedzenie, powolne przeżuwanie twardego chleba. Chleb. Mogła myśleć tylko o chlebie. Nie. Opowie mu o wszystkim innym razem.

Oboje milczeli.

Odprowadził ją do bramy. Nagle Tatiana potknęła się na równym chodniku i omal nie upadła.

– Boże, Tatia…

Nie odpowiedziała, lecz na dźwięk tego słowa żywiej zabiło jej serce. Wsparła się na jego ramieniu.

– Nie martw się, dam sobie radę.

– Zaczekaj. – Posadził ją na ławce i odszedł. Kilka minut później wrócił z sankami.

– Siadaj. Zawiozę cię do domu. Stiepanow dał mi dwie godziny wolnego. Nie będziesz musiała nic robić. Po prostu usiądziesz.

Wpisał się w księdze wyjść na wartowni.

– Przepraszam, towarzyszko – wymamrotał kapral Kristow, zerkając lękliwie na Aleksandra. – Nie wiedziałem…

Aleksander już otwierał usta, żeby go zwymyślać, lecz Tania pociągnęła go za rękaw. Nic nie powiedziała, nawet nie pokręciła głową – nie miała na to siły. Aleksander zamknął usta, zacisnął pięść i potężnym uderzeniem powalił kaprala na ziemię.

– Wrócę za dwie godziny – warknął. – Wtedy się z wami policzę.

Kazał jej usiąść na sankach, lecz ona się położyła. Boże, nie chcę leżeć, pomyślała. Jeszcze nie jestem trupem. Ale nie. Nie mogła się podnieść.

Leżała na boku, a on ciągnął sanki cichymi, zaśnieżonymi ulicami Leningradu. Nie da rady, myślała, jestem dla niego za ciężka. On, zawsze on. Kiedy się poznaliśmy, dźwigał moje zakupy. Teraz musi dźwigać mnie. Chciała dotknąć skraju jego płaszcza, lecz nie zdołała. Usnęła.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła jego twarz i poczuła dotyk ręki na zimnym policzku.

– Tatiu – szepnął. – Wstań, jesteśmy w domu.

Pomyślała: Boże, umrę z jego ręką na twarzy. To dobrze. Nie mogę się poruszyć. Nie mogę wstać. Po prostu nie mogę. Zamknęła oczy i poczuła, że odpływa w niebyt.

Z daleka, jakby zza gęstej mgły, doszedł czyjś głos.

– Kocham cię, Tatiu. Słyszysz? Kocham cię, jak nigdy nikogo nie kochałem. A teraz wstań. Zrób to dla mnie. Proszę, wstań i zajmij się siostrą. Ja zajmę się tobą. – Ktoś pocałował ją w policzek.

Otworzyła oczy. Był tak blisko, miał takie szczere oczy. Czy to on mówił, czy nie on? Śniło mi się? Leżąc twarzą do ściany, tyle razy wyobrażała sobie, że jej to mówi, tak bardzo tych słów wyczekiwała. Czyżby znowu marzyły jej się białe noce?

Wstała. Nie dałby rady wnieść jej na górę oblodzonymi schodami. Przytrzymała się poręczy, on objął ją i powoli, krok po kroku, dotarli razem do drzwi mieszkania. Próg, długi korytarz, pokój. Tatiana przystanęła.

– Idź – szepnęła. – Zobacz, czy ona… – Nie mogła dokończyć.

Aleksander wniósł ją do środka i zajrzał do sypialni.

– Chodź. Wszystko w porządku. Chodź.

Weszła i uklękła przy łóżku.

– Daszo, spójrz. Aleksander przyniósł jedzenie…

Oczy siostry były jak dwa wielkie, brązowe spodki. Jak puste spodki. Wodziła nimi po ich twarzach, bezgłośnie poruszając ustami.

– Muszę iść – powiedział Aleksander. – Jutro wyjdź wcześniej, bo znowu nie dostaniesz chleba. Zjadłyście cały jęczmień? – Pocałował Daszę w czoło. – Rano przyniosę więcej.

Dasza podniosła rękę.

– Nie odchodź.

– Muszę. Wytrzymasz. Obie wytrzymacie. Tylko codziennie chodźcie po chleb. Niedługo znowu przyjdę. Taniu, pomóc ci? Dasz radę wstać?

– Tak.

– Zaczekaj. – Wsunął jej ręce pod pachy. – Hop! I do góry.

Wstała. Chciała na niego spojrzeć, lecz wiedziała, że obserwuje ich

Dasza, dlatego zamiast na niego, popatrzyła na nią. Tak było łatwiej, bo nie musiała podnosić głowy.

– Dziękuję, Szu… Aleksandrze.

3

Leżały pod kocami, balansując na granicy świadomości. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Zanim wypełzła spod koców i palt, upłynęło kilka minut. Chwiejnie podeszła do drzwi.

W progu stał Aleksander w białym mundurze polowym. Na głowie miał wielką czapę, w ręku trzymał koc.

– Co się stało? – spytała, chwytając się za serce. Na jego widok jak zwykle zabiło szybciej, nawet teraz, w środku nocy. Otworzyła szerzej oczy. Otrzeźwiała. – Co się stało?

– Nic – odrzekł. – Przygotujcie się. Gdzie Dasza? Musi wstać.

– Dokąd idziemy? Ona nie wstanie, nie da rady. Bardzo kaszle.

– Wstanie. Chodź. Wysyłamy nad Ładogę ciężarówkę z amunicją. Pojedziecie do Kobony. Taniu, wydostanę was z Leningradu, rozumiesz?

Wszedł do sypialni. Dasza leżała w łóżku. Miała zamknięte oczy i nieruchome usta.

– Daszo – szepnął. – Daszeńko, obudź się. Musimy iść. Teraz, zaraz, szybko.

– Nie mogę – wymamrotała, nie otwierając oczu.

– Możesz i wstaniesz – powiedział stanowczo. – W koszarach czeka ciężarówka, zawiezie was nad Ładogę. Przedostaniecie się na drugą stronę jeziora, do Kobony, a w Kobonie jest mnóstwo jedzenia, słyszysz? Potem pojedziecie do Mołotowa, do babci. Ale najpierw musisz wstać, Daszo. – Odrzucił koce.

– Nie dojdę do koszar.

– Tania ma sanki. Spójrz. – Wyjął zza pazuchy kromkę białego chleba ze skórką. Uskubał kawałek miąższu i włożył jej do ust. – Biały chleb! Jedz. Nabierzesz sił.

Dasza apatycznie żuła. Nawet nie otworzyła oczu. Nagle głośno zakaszlała. Tania owinęła się kocem. Patrzyła na chleb. Tylko na chleb. Patrzyła na chleb tak, jak kiedyś patrzyła na Szurę. Może Dasza nie zdoła wszystkiego zjeść? Może zostawi choć okruszynkę?

Nie, zjadła wszystko. Kromka była bardzo mała.

– Masz jeszcze?

– Została tylko skórka.

– Daj, zjem.

– Nie zdołasz jej pogryźć.

– Połknę.

– Dasza, nie zostawisz nic siostrze?

– Może ustać na nogach? Może.

Aleksander spojrzał na Tatianę. Patrząc łakomym wzrokiem na skórkę chleba, Tania potrząsnęła głową.

– Niech je. Ja jeszcze stoję.

Aleksander ciężko westchnął i podał Daszy resztkę chleba.

– Dobrze. Potrzebujecie czegoś? Pomóc wam się pakować?

Tatiana spojrzała na niego pustymi oczyma.

– Ja nic nie mam. Jestem gotowa. Buty na nogach, palto na sobie… Wszystko sprzedałyśmy albo spaliłyśmy.

– Wszystko? – rzucił. Jedno słowo, lecz jak bardzo nabrzmiałe przeszłością.

– Zostały tylko książki.

– Przynieś. – Nachylił się ku niej i szepnął. – Kiedy szczęście zupełnie się od ciebie odwróci, rozpruj tylną okładkę „Jeźdźca”. Gdzie je masz?

Ona wyjęła stary plecak Paszy, on wpełzł pod łóżko. Potem pomógł Daszy wstać. Trzy sylwetki zmagały się z ciemnością w ciszy przerywanej jedynie suchym kaszlem i pojękiwaniem Daszy. W końcu Aleksander wziął ją na ręce, wyniósł z mieszkania, a gdy zjechali schodami na dół, ułożył ją na sankach i przykrył kocem. Chwycili za sznurek i powoli ruszyli przez zaśnieżoną ulicę, ciągnąc za sobą niebieskie saneczki o jaskrawoczerwonych płozach.

– Co z nią będzie? – spytała cicho Tatiana.

– W Kobonie jest szpital i jedzenie. Kiedy się jej polepszy, pojedziecie do Mołotowa.

– Brzydko kaszle.

Aleksander nie odpowiedział.

– Dlaczego tak kaszle? – spytała Tania i sama zakaszlała.

Aleksander milczał.

– Babcia od tak dawna nie pisze…

– Na pewno ma się dobrze. Lepiej niż wy. Ciężko ci ciągnąć? Puść. Puść sznurek. Idź przy mnie.

– Nie. – Tak bardzo chciała odpocząć. – Pomogę ci.

– Oszczędzaj siły. – Rozwarł jej dłoń. Puściła sznurek i szurając nogami, poczłapała dalej.

– Weź mnie pod rękę. – Tak zrobiła.

Z zimna straciła czucie w stopach. W mieście panowała cisza i niemal zupełna ciemność. Na niebie świeciła jedynie zorza polarna. Tatiana spojrzała na siostrę, która leżała bez ruchu na sankach.

– Jest bardzo osłabiona.

– Na pewno.

– Jak ty to wytrzymujesz? – spytała cicho. – Musisz nosić karabin, stać na warcie, walczyć – skąd masz na to siłę?

– Daję wam to, czego najbardziej ode mnie potrzebujecie.

Bez słowa sunęli przez śnieg. Aleksander zwolnił. Tania chwyciła za sznurek. Tym razem Szura nie zaprotestował.

– Poczuję się lepiej, kiedy wyjedziecie z miasta. Kiedy zyskam pewność, że jesteście bezpieczne. Myślisz, że tak będzie lepiej?

Tatiana nie odpowiedziała. Tak, lepiej, bo nareszcie zjedzą coś pożywnego. I ona, i Dasza.

Jednocześnie gorzej, bo nie będzie tam jego. Bo przestanie go widywać. Zacisnęła zęby. Milczała. I nagle usłyszała ciche:

– Wiem.

Miała ochotę się rozpłakać, lecz wiedziała, że to niemożliwe. Przymknięte, piekące od czarnego mrozu oczy były zupełnie suche.

Gdy godzinę później dotarli wreszcie do koszar, ciężarówka miała za chwilę odjechać. Aleksander wniósł Daszę pod plandekę. Na podłodze siedziało sześciu żołnierzy, młoda kobieta z małym dzieckiem na rękach i ledwo żywy mężczyzna. Wygląda sto razy gorzej niż Dasza, pomyślała

Tatiana, lecz spojrzawszy na siostrę, stwierdziła, że ta nie może nawet siedzieć o własnych siłach. Gdy tylko Szura przestawał ją podtrzymywać, przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Tania nie mogła sama wejść, nie miała siły. Nie była w stanie

ani się podciągnąć, ani tym bardziej podskoczyć. Ktoś musiał ją podsadzić. Pasażerowie ciężarówki nie zwracali na nią uwagi, nie patrzył na nią nawet Aleksander, który niecierpliwie próbował zmusić Daszę do otwarcia oczu. Ktoś krzyknął: „Jedziemy!" i samochód powoli ruszył przez śnieg.

– Szura! – wykrztusiła Tatiana.

Aleksander przyczołgał się do drzwi, chwycił ją za rękę i wciągnął do środka.

– Zapomniałeś o mnie? – wydyszała, zerkając na siostrę. Dasza miała otwarte oczy. Dasza ich obserwowała.

Ktoś zamknął drzwi i zapadła ciemność. Tatiana ruszyła na czworakach w stronę siostry.

W milczeniu jechali w kierunku Ładogi.

Aleksander siedział przy swoim karabinie. Dasza leżała na pokrytej trocinami podłodze z głową na jego kolanach. Tania dźwignęła nogi siostry i wsunęła się pod nie, tak że Dasza leżała teraz na nich. Szura podtrzymywał jej głowę, Tania stopy. On opierał się o ścianę szoferki, ona o burtę maszyny. Pomacała wokoło ręką, podniosła z podłogi szczyptę trocin i wsypała je sobie do ust. Smakowały jak chleb. Sięgnęła po więcej.

– Nie jedz tego – powiedział Aleksander. Widział ją? W tej ciemności? – To brudne.

Mijał czas. Niekiedy, w migotliwym świetle reflektorów jadącego z naprzeciwka pojazdu, widziała przez chwilę jego twarz. Spotykali się wzrokiem i patrzyli na siebie, dopóki światło nie zniknęło w mroku. Nie dotykając się, siedzieli bez słowa na podłodze i przy każdej okazji próbowali odnaleźć się w półmroku.

Czas. Te nieskończenie długie minuty.

– Która godzina?

– Druga. Niedługo będziemy na miejscu.

Była głodna, było jej przeraźliwie zimno. Pragnęła, żeby Dasza nabrała sił, żeby mogła wreszcie wstać, a jednocześnie wyjazd do Mołotowa zdawał się czymś krańcowo ostatecznym.

Czekała na chwilę światła, żeby znowu spojrzeć na Aleksandra. Jej oczy przywykły wreszcie do ciemności i dostrzegała już zarys jego ciała, jego głowy, kształt ramion, którymi tulił Daszę, żeby ją ogrzać. Potrząsnęła ją za nogę, najpierw delikatnie, potem mocniej. Siostra poruszyła się lekko i zakaszlała. Tatiana z ulgą zamknęła oczy, by natychmiast otworzyć je ponownie. Nie, nie chciała zamykać oczu. Wiedziała, że za chwilę znajdzie się po drugiej stronie jeziora, tak daleko od Szury. Gdybym wyciągnęła rękę, pomyślała, mogłabym go dotknąć.

– Taniu?

– Tak?

– Jak się nazywa wioska, w której mieszka twoja babcia?

– Łazariewo. – Wyciągnęła do niego rękę. On wyciągnął rękę do niej.

– Łazariewo. – Mijające światło. Dotknęli się palcami i ponownie zapadła ciemność.

Aleksander zasnął. Dasza też usnęła. Wszyscy pasażerowie mieli zamknięte oczy – wszyscy z wyjątkiem Tatiany, która nie odrywała wzroku od śpiącego Aleksandra. Może umarłam? – myślała. Umarli nie mogą zamknąć oczu. Może właśnie dlatego nie śpię. Bo już umarłam. Patrzyła na niego i patrzyła. Obie ręce trzymał na głowie Daszy.

– Dlaczego nie kupiłeś sobie lodów?

– Nie miałem ochoty.

– To dlaczego tak łakomie patrzysz na moje?

– Nieprawda, nie patrzę.
– Nie? Chcesz spróbować?
– Chcę. – Nachylił się i liznął lody.
– Dobre?
– Pyszne.

W końcu ciężarówka stanęła. Aleksander otworzył oczy. Ludzie drgnęli, zaczęli się niemrawo podnosić. Pierwsza wstała kobieta z dzieckiem.

– Wiktor, chodź, kochanie. Dojechaliśmy, pora wysiadać.

Aleksander wysunął się spod Daszy i podał rękę Tatianie.

– Wstań – powiedział łagodnie. – Już czas.

Zachwiała się z wycieńczenia.

– Szura, co ja z nią zrobię w Kobonie? Ona nie może chodzić. Nie udźwignę jej, ja to nie ty.

– Nic się nie martw. Pomogą wam żołnierze i lekarze. Spójrz na tę kobietę – szepnął. – Niesie dziecko, ale jej mąż nie może nawet sam siedzieć, tak samo jak Dasza. Da sobie radę, zobaczysz. Chodź, pomogę ci zejść.

Zeskoczył w śnieg, wyciągnął ręce – Tania nie zeskoczyłaby, nawet gdyby mogła – chwycił ją w talii i powoli postawił na ziemi. Nie cofnął rąk.

– Szybciej! – krzyknął stojący za nimi sierżant. – Szybciej tam!

Aleksander puścił Tatianę, odwrócił się i posłał mu ponure spojrzenie. Sierżant szybko go przeprosił.

– Chodźcie, towarzyszki, chodźcie! Do jeziora! Ciężarówka czeka. Szybciej. Im szybciej wsiądziecie, tym szybciej ruszymy. To trzydzieści kilometrów lodem, dwie godziny jazdy, ale na drugim brzegu jest masło, może nawet ser. Pospieszcie się!

Kobieta z dzieckiem schodziła już stokiem. Tuż za nią kuśtykał mąż.

Aleksander wziął Daszę na ręce.

– Postaw ją, Szura – powiedziała Tatiana. – Pójdziemy razem.

Dasza stanęła na śniegu i natychmiast ugięły się pod nią nogi.

– Chodź, siostrzyczko, pomogę ci. Słyszałaś? Dadzą nam trochę masła.

Dasza jęknęła i otworzyła oczy.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiała.

– Na Drodze Życia. Chodź. Zaraz dostaniemy coś do jedzenia. Wszystko będzie dobrze, zbada cię lekarz…

Siostra popatrzyła na Aleksandra.

– Jedziesz z nami?

Wziął ją pod rękę.

– Nie, zostaję. Tu niedaleko jest moja bateria przeciwlotnicza. Ale kiedy dojedziecie do Mołotowa, zaraz napiszcie. Przyjadę, gdy tylko dostanę urlop. – Mówił, nie patrząc na Tatianę, lecz ona musiała na niego zerkać, inaczej nic by nie usłyszała.

Dasza przeszła kilka metrów i osunęła się w śnieg.

– Nie mogę.

– Możesz – odparła Tania. – Chodź. Pokaż mu, że życie jeszcze coś dla ciebie znaczy. Udowodnij, że potrafisz tam dojść, że chcesz się ratować. Chodź, Dasza, chodź. – Pomogła jej wstać.

Siostra przeszła kilka metrów i przystanęła.

– Nie – szepnęła.

Wzięli ją pod ręce i sprowadzili niebezpiecznym zboczem na brzeg jeziora, gdzie czekała wojskowa ciężarówka.

Aleksander wciągnął Daszę do środka, ułożył ją na podłodze i zeskoczył, żeby podsadzić Tatianę, która z trudem utrzymywała się na nogach. Stała, opierając głowę o brezentową burtę maszyny. Ktoś krzyknął. Zawarczał silnik.

– Chodź, Taniu. – Szura podszedł bliżej. – Pomogę ci wsiąść. Musisz zadbać o siostrę, musisz być silna.

– Będę. – Powiedziała to, czy tylko się jej zdawało?

– Nie bój się, nocą jest tu spokojniej. Niemcy śpią.

– Nie boję się. – Przywarła do jego ramienia.

Objął ją i przytulił.

– Bądź silna, Taniu – wyszeptał chrapliwie. – Dla mnie. Przeżyj.

– Przeżyję – odrzekła. – Dla ciebie.

Nachylił się, lecz ona nie mogła podnieść głowy. Pocałował ją w czapkę. Stali tak kilka chwil.

– Odjeżdżamy! – krzyknął kierowca.

Aleksander pomógł jej wsiąść. Sam też wskoczył do środka, usadził je wygodniej i złożył głowę Daszy na kolanach Tatiany.

– Tak dobrze? – spytał.

– Dobrze – odrzekły.

Aleksander ukląkł.

– Daszo, pamiętaj, kiedy w Kobonie dadzą ci jeść, jedz bardzo powoli, małymi kawałkami. Duże uszkodzą ci żołądek, słyszysz? Z dnia na dzień będziesz mogła jeść więcej. Zupę jedz łyżeczką do herbaty, dobrze?

Dasza wzięła go za rękę. Pocałował ją w czoło.

– Do widzenia. Do zobaczenia.

– Do widzenia… – szepnęła. – Jak ona do ciebie mówi? Szura?

Zerknął na Tatianę.

– Tak.

– Do widzenia, Szura – szepnęła Dasza. – Kocham cię.

Tania zamknęła oczy, żeby go nie widzieć. Gdyby mogła, zatkałaby sobie uszy, żeby go nie słyszeć.

– I ja ciebie – odrzekł Aleksander. – Napisz. – Wstał.

– Pożegnaj się z Tatianą – powiedziała Dasza. – A może już się pożegnaliście?

– Do widzenia, Taniu.

– Do widzenia, Aleksandrze – szepnęła, patrząc mu w oczy.

– Gdy tylko dojedziecie do Mołotowa, natychmiast piszcie. – Zeskoczył z ciężarówki. – Natychmiast, słyszysz?

– Aleksandrze! – zawołała Dasza.

– Tak?

– Od jak dawna kochasz moją siostrę?

Szura zerknął na Tatianę i przeniósł wzrok z powrotem na Daszę. Otworzył usta, zamknął je i potrząsnął głową.

– Od kiedy? Powiedz. Spójrz na nas. Czy warto mieć teraz jakieś tajemnice? Powiedz, jedyny, powiedz.

Aleksander zacisnął zęby.

– Nie kocham jej i nigdy nie kochałem – odrzekł z mocą. – Kocham tylko ciebie,

przecież wiesz.

– A nasz ślub? Mówiłeś poważnie?

– Tak. Przyjadę do ciebie latem i pobierzemy się. Jedźcie już, ruszajcie.

Posłał Daszy pocałunek i zniknął, nawet nie spojrzawszy na Tatianę. Tak rozpaczliwie pragnęła, żeby choć na nią zerknął, tak bardzo pragnęła ujrzeć prawdę w jego oczach. Prawdy nie ujrzała. Nie ujrzała nic. Nawet nie poczuła na twarzy jego oddechu. Usłyszała tylko, że się jej wyparł.

Opuszczono brezent, ciężarówka ruszyła i znowu pogrążyli się w ciemności. Tylko że teraz nie było z nimi Aleksandra, którego twarz majaczyłaby na pograniczu mroku i światła, tylko że teraz nie było nawet księżyca. Był tylko dobiegający z oddali odgłos wybuchów, odgłos, którego Tania prawie nie słyszała, tak głośno biło jej pęknięte serce. Zamknęła oczy, żeby leżąca tuż obok Dasza nie mogła dostrzec promieniującego z nich bólu.

– Taniu?

Nie odpowiedziała. Od wciągania mroźnego powietrza rozbolał ją nos. Rozchyliła wargi i zaczęła oddychać ustami. Kłuło ją w piersiach.

– Tanieczko?

– Tak? – szepnęła. – Dobrze się czujesz?

– Otwórz oczy, siostrzyczko.

Nie mogła. Nie chciała.

– Otwórz.

Rozwarła powieki.

– Daszo, jestem bardzo zmęczona. Ty drzemałaś tyle godzin. Teraz moja kolej. Ciągnęłam cię na sankach, podtrzymywałam ci nogi, pomogłam ci zejść ze zbocza. Teraz też wspierasz się na mnie, więc pozwól mi chociaż chwilę odpocząć. Dobrze?

Dasza milczała, patrząc na nią trzeźwo i z pełną świadomością. Tatiana ponownie zamknęła oczy. Siostra gwałtownie zakaszlała.

– Powiedział, że nigdy cię nie kochał i nie kocha. Jak się wtedy poczułaś, siostrzyczko?

Tatiana z trudem stłumiła w sobie bolesny jęk.

– Nijak – wychrypiała.-Normalnie.

– W takim razie dlaczego drgnęłaś, jakby cię uderzył?

– Ja? Co ty pleciesz?

– Otwórz oczy.

– Nie.

– Kochasz go nad życie, prawda? Jak, jakim cudem zdołałaś to przede mną ukryć? Przecież kochasz go nade wszystko…

Tak. Kocham go nade wszystko.

– Daszo – odrzekła Tania z mocą – ciebie kocham bardziej. – Ale oczu nie otworzyła.

– I wcale tego nie ukrywałaś. Nie, wprost przeciwnie. Marina miała rację. Po prostu byłam ślepa. – Mówiła tak głośno, że słyszała ją i kobieta z dzieckiem, i jej mąż, i kierowca ciężarówki. – Nie ukrywałaś miłości, zostawiałaś ją na widoku, w tysiącu różnych miejsc. Tak, teraz to widzę, teraz widzę wszystko. – Rozpłakała się i znowu gwałtownie zakaszlała. – Ale jak to możliwe? Przecież byłaś dzieckiem, małą dziewczynką! Mała dziewczynka nie może tak kochać! – Jęknęła boleśnie.

Dorosłam, Daszo, dorosłam. Gdzieś między wakacjami nad jeziorem Ilmen i początkiem wojny, mała dziewczynka przedzierzgnęła się w kobietę.

Zza brezentowej burty dochodził huk dział i moździerzy. Pod plandeką panowało

głuche milczenie.

Tatiana myślała o dziecku w ramionach młodej matki o ziemistej cerze i owrzodzonych policzkach. Jej mąż ciągle się na nią osuwał, bez względu na to, jak mocno go od siebie odpychała. W końcu kobieta nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Dziecko nawet nie zakwiliło.

– Może pomóc? – spytała Tatiana.

– Ma pani swoje własne kłopoty – burknęła kobieta. – Mój mąż jest bardzo osłabiony.

– Taniu – szepnęła Dasza. – Posadź mnie i oprzyj o ścianę. Od tego leżenia boli mnie w piersi. Idź. Pomóż jej.

Tatiana podczołgała się do kobiety. Ta jeszcze mocniej przytuliła do siebie dziecko.

Tania lekko potrząsnęła mężczyznę za ramię. Próbowała posadzić go prosto i tym razem upadł na podłogę. Był szczelnie owinięty szalem, palto miał zapięte pod samą szyję. Zaczęła je rozpinać. Trwało to co najmniej dziesięć minut. Kobieta nie przestawała mówić.

– Marnie z nim. Z córeczką też nie lepiej. Nie mam dla niej mleka.

Co za pech: urodziła się w październiku. Co za pech. A w lutym, kiedy zaszłam w ciążę, byliśmy tacy szczęśliwi. Myśleliśmy, że to znak od Boga. Pobraliśmy się we wrześniu. Byliśmy tacy przejęci: nasze pierwsze dziecko. Leonid pracował w wodociągach. Miał bardzo duży przydział, ale kiedy zabrakło wody… Dlaczego go pani rozpina?

I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej:

– Mam na imię Nadieżda. Najgorsze, że nie mogłam zdobyć mleka dla małej. Próbowałam karmić ją mlekiem w proszku, ale po nim miała straszną biegunkę, więc przestałam. Mąż też musiał jeść, a jedzenia było coraz mniej. Dzięki Bogu, że wreszcie udało nam się załatwić miejsce w ciężarówce. Mówili, że w Kobonie jest chleb i ser. Co ja bym dała za kawałek kurczęcia, za coś gorącego. Zjem wszystko, nawet koninę. I żeby było choć trochę dla Leonida.

Tatiana przyłożyła dwa palce do szyi mężczyzny, potem zapięła mu palto, owinęła twarz szalikiem, zsunęła go ze stóp żony i wróciła do Daszy. W ciężarówce zapadła martwa cisza. Tania słyszała tylko płytki oddech siostry i jej gwałtowny kaszel. Oddech, kaszel i ostatnie słowa Aleksandra.

Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na kobietę, na jej martwe dziecko i martwego męża. Położyła rękę na głowie siostry. Dasza jej nie odtrąciła.

Do Kobony dojechali o świcie. Nad ciemnym horyzontem wstała szkarłatna mgła. Wyblakła twarz Daszy zmatowiała. I ten jej oddech. Dlaczego tak chrapliwie oddycha?

– Możesz wstać? Dojechaliśmy.

– Nie dam rady.

Nadieżda krzyczała, żeby ktoś pomógł jej mężowi. Na próżno. Zza brezentowej plandeki wychynęła głowa żołnierza.

– Wysiadać. Musimy załadować wóz. Zaraz wracamy.

Tatiana pociągnęła siostrę za rękę.

– Chodź, Daszka, chodź.

– Sprowadź kogoś. Nie mogę…

Tania szarpnęła ją i Dasza wstała na czworaki.

– Dojdź tylko do plandeki, pomogę ci zejść.

– Może pani pomóc mojemu mężowi? – poprosiła płaczliwie Nadieżda. – Błagam. Ma pani tyle siły, on nie da rady…

Tatiana pokręciła głową.

– Jest dla mnie za ciężki.

– Przecież jeszcze pani chodzi. Proszę nam pomóc. Niech pani nie będzie taką egoistką.

– Zaraz. Najpierw siostra, potem wy.

– Odczep się, kobieto – mruknęła Dasza. – Twój mąż nie żyje. Daj spokój mojej siostrze.

Nadieżda przeraźliwie krzyknęła.

Gdy Dasza doczołgała się do rozchylonej plandeki, Tatiana obróciła ją nogami naprzód, pociągnęła i siostra runęła w śnieg. Tam znieruchomiała.

– Daszka, błagam. Nie dam rady cię…

Podszedł do nich kierowca. Jednym ruchem dźwignął Daszę na nogi i powiedział:

– Wstańcie, towarzyszko. Wstańcie i idźcie do namiotu. Zjecie coś, napijecie się gorącej herbaty. Idźcie już, idźcie.

– Nie zapominajcie o mnie! – krzyknęła spod plandeki Nadieżda.

Tatiana nie miała ochoty czekać, aż nieszczęsna kobieta dowie się prawdy o mężu.

– Dasza – powiedziała. – Wesprzyj się na mnie. Pójdziemy razem. Spójrz. – Wskazała pobliskie zbocze. – To rzeka. Jesteśmy nad Koboną.

– Nie dam rady – wydyszała siostra. – Za stromo. Na tamtym brzegu ledwo zeszłam, a to jest wzgórze…

– Nie, to łagodny stok. Czerp siłę ze mnie. Słyszysz? Czerp siłę ze mnie i wejdź na ten przeklęty stok!

– Dla ciebie to łatwe, co?

– Tak myślisz?

– Łatwe. Po prostu chcesz żyć, to wszystko.

Tak, chcę żyć, ale to nie wystarczy. Z trudem ruszyły przez śnieg.

– A ty? Ty nie chcesz żyć?

Dasza nie odpowiedziała.

– O tak, o tak. Bardzo dobrze ci idzie. Nie ma tu nikogo do pomocy. – Tatiana ścisnęła ją za ramię i szepnęła: – Zostałyśmy tylko my, tylko ty i ja, Daszko. Chodź. Żołnierze są zajęci, a tamci pomagają swoim, tak jak ja tobie. Chcesz żyć. Musisz żyć, słyszysz? Latem Aleksander przyjedzie do Mołotowa i pobierzecie się.

Dasza znalazła w sobie siłę, by się cicho roześmiać.

– Taniu, ty nigdy nie rezygnujesz, prawda?

– Nie, nigdy.

Dasza upadła.

Zrozpaczona Tatiana odwróciła się i zobaczyła Nadieżdę, która wchodziła na stok bez dziecka i bez męża. Chwyciła ją za rękę.

– Nadieżdo, pomóż mi. Pomóż Daszy. Upadła i…

Kobieta wyszarpnęła się i syknęła:

– Zostaw mnie! Nie widzisz, że zostałam sama?

– Błagam…

– A ty mi pomogłaś? Moi nie żyją. Zostaw mnie, słyszysz? – Nadieżda odeszła.

Nagle Tania usłyszała znajomy głos:

– Tatiana? Tatiana Mietanowa?

Odwróciła głowę i zobaczyła Dmitrija. Kuśtykał ku niej, podpierając się karabinem.

– Dmitrij! – Podeszła bliżej. Objął ją na powitanie. – Pomóż nam, Dima. Dasza upadła

i nie może wstać.

Dmitrij niezdarnie przykląkł.

– Poczekaj, Daszo, poczekaj. Jestem ranny, sam cię nie udźwignę, ale sprowadzę kogoś do pomocy. – Wstał i ponownie uściskał Tatianę. – Żeby tak na siebie wpaść. Niesamowite. To chyba przeznaczenie.

Sprowadził kolegów, którzy ponieśli Daszę do lazaretu. Tania ruszyła za nimi w fiołkoworóżowym świetle arktycznego dnia.

Przyszedł lekarz. Osłuchał Daszy serce, płuca, zbadał puls, kazał otworzyć usta, pokręcił głową, wstał i oznajmił:

– Galopujące suchoty. Już po niej.

– Jak to „już po niej”? – spytała Tatiana. – Co pan mówi? Niech pan coś jej da, sulfamid albo…

Lekarz wybuchnął śmiechem.

– Wszyscy jesteście tacy sami, wszyscy. Dziewczyno, twoja siostra to beznadziejny przypadek. Myślisz, że będę marnował na nią bezcenny sulfamid? Zwariowałaś? Spójrz na nią. Została jej najwyżej godzina życia. Nie dałbym jej nawet kawałka chleba, bo i po co? Widzisz, czym kaszle? Słyszysz, jak oddycha? Jestem pewien, że gruźlica zaatakowała już wątrobę. Idź do sąsiedniego namiotu. Zjedz trochę zupy i owsianki. Ty może z tego wyjdziesz, ale musisz regularnie jeść.

Tatiana zagryzła wargę.

– To znaczy, że nic mi nie jest? – spytała cicho. – Może mnie pan zbadać?

Lekarz rozpiął jej palto i przytknął stetoskop do piersi. Potem osłuchał jej plecy.

– To ty potrzebujesz sulfamidów, nie ona. Masz zapalenie płuc. Pielęgniarka się tobą zajmie. Olga! – Wychodząc przystanął. – I nie zbliżaj się do siostry. Gruźlica jest zaraźliwa.

Dasza leżała w czystym łóżku, Tatiana na ziemi. Szybko zmarzła. Przesunęła Daszę w stronę ściany, położyła się przy niej i mocno przytuliła.

– Kiedy miałam nocne koszmary, zawsze się do ciebie tuliłam.

– Pamiętam – wychrypiała siostra. – Byłaś taka słodka… – Na jej drżących wargach igrało sinawe światło dnia. – Nie mogę oddychać…

Tatiana uklękła przy łóżku, rozchyliła jej usta, nakryła je swoimi ustami i oddała siostrze swój oddech, oddech płytki, zimny i żałosny, oddech, w którym nie było ani ożywczej siły, ani niczego innego. Chętnie oddałaby jej płuca. Próbowała oddychać głębiej, lecz nie mogła, oddychała więc płytko, przez nieskończenie długie minuty, szepcząc do siostry cichym szeptem życia.

Do namiotu weszła pielęgniarka.

– Przestań – powiedziała łagodnie, pomagając jej wstać. – Doktor zabronił ci do niej podchodzić. To ty masz zapalenie płuc?

– Tak – odrzekła Tatiana, ściskając zimną rękę Daszy.

Pielęgniarka podała jej trzy białe tabletki, szklankę wody i kromkę czarnego chleba.

– Jedz. Namoczyłam ją w słodzonej wodzie.

– Dziękuję – wykrztusiła Tania, z trudem łapiąc oddech.

Pielęgniarka położyła jej rękę na ramieniu.

– Chodź. Spróbujemy znaleźć jakieś łóżko. Odpoczniesz przed śniadaniem.

Tatiana pokręciła głową.

– Nie oddawaj jej chleba. Zjedz sama.

– Ona potrzebuje go bardziej niż ja.

– Nie, kochanie. Już nie.

Gdy pielęgniarka wyszła, Tania rozkruszyła tabletki na ramie łóżka, wsypała proszek do wody, wypiła mały łyk, uniosła Daszy głowę i wlała jej do ust bezcenny lek.

Potem dała jej kawałeczek chleba, który siostra przełknęła, dławiąc się boleśnie i krztusząc. Na beżowej powłoczce poduszki wykwitły plamy krwi. Tania otarła jej usta i ponownie przywarła do nich swoimi ustami.

– Taniu?

– Tak?

– Czy ja umieram? Czy tak wygląda umieranie?

– Nie, Daszo. – Tatiana nie miała siły powiedzieć nic więcej. Uniosła głowę i spojrzała jej w zamglone oczy.

Siostra zamrugała.

– Taniu, kochanie… Jesteś taka dobra.

Tatiana ponownie tchnęła w nią cichy szept życia. Nie słyszała jej rzężącego oddechu. Słyszała jedynie swój, ciężki i płytki.

Wtem poczuła dotyk ciepłej ręki na ramieniu.

– Chodź. – Głos pielęgniarki. – Pora na śniadanie. Nie uwierzysz, co dla ciebie mam. Zjesz prawdziwą kaszę i chleb z masłem. Napijesz się herbaty z cukrem, dam ci nawet szklankę prawdziwego mleka. Chodź. Jak ci na imię?

– Nie mogę zostawić siostry…

– Chodź, skarbie – powtórzyła współczującym głosem pielęgniarka. – Mam na imię Olga. Chodź, śniadanie zaraz się skończy.

Dźwignęła ją z ziemi. Tania wstała, lecz wystarczyło, że spojrzała na Daszę i ponownie opadła na kolana.

Siostra miała otwarte usta. I nieruchome, szeroko rozwarte powieki. Patrzyła ponad jej ramieniem w szkarłatne niebo Kobony.

Tatiana zamknęła jej oczy pocałunkiem i zrobiła na czole znak krzyża. Potem wstała, wzięła Olgę za rękę i wyszła z namiotu.

Usiadła przy stole i wbiła wzrok w pusty talerz. Olga przyniosła jej trochę kaszy, ale Tania zjadła tylko połowę. Gdy pielęgniarka spytała ją dlaczego, Tatiana odrzekła, że reszta jest dla Daszy, i zemdlała. Jakiś czas potem ocknęła się w łóżku. Olga podała jej kawałek chleba i kubek herbaty. Tania ponownie odmówiła.

– Umrzesz, jeśli nie będziesz nic jadła.

– Nie umrę. Proszę dać to mojej siostrze.

– Ona nie żyje.

– Nieprawda.

– Chodź, zaprowadzę cię do niej.

Poszły na zaplecze. Dasza leżała na ziemi obok zwłok trzech innych osób.

Tania spytała, kto ją pochowa.

– Och, dziewczyno, dziewczyno… – odparła ze śmiechem Olga. – Nikt. Nikt ich nie pochowa. Wzięłaś tabletki?

Tatiana pokręciła głową.

– Olgo, możesz zdobyć jakieś prześcieradło? Dla niej. Dla mojej siostry.

Pielęgniarka przyniosła prześcieradło, tabletki, kubek czarnej herbaty z cukrem, chleb i masło. Tania usiadła na metalowym krześle tuż przy zwłokach i tym razem zjadła, tym razem wzięła też lekarstwo. Skończywszy, rozłożyła na ziemi prześcieradło, usiadła i objęła głowę martwej siostry.

Siedziała tak długo. Bardzo długo.

Potem owinęła szczelnie ciało, mocno związała naderwane płótno i poszła poszukać Dmitrija.

W Kobonie, małym, ciemnym nadmorskim miasteczku, stacjonowało dużo żołnierzy, lecz Dimy wśród nich nie było. Musiała go znaleźć. Potrzebowała pomocy. Zawróciła nad rzekę. Zatrzymała jakiegoś oficera i spytała o Dmitrija Czernienkę. Oficer go nie znał. Spytała dziesięciu innych żołnierzy, lecz oni też go nie znali. Jedenasty spojrzał na nią i rzucił:

– Tatiana? Co ci jest? Przecież to ja!

Dima. Nie poznała go.

– Musisz mi pomóc – odrzekła apatycznie.

– Taniu, nie poznajesz mnie?

– Poznaję – odparła beznamiętnie. – Chodź.

Pokuśtykał przed siebie, wspierając się lekko na jej pochylonych ramionach.

– Nie spytasz mnie nawet, co z moją nogą?

– Tak, zaraz. – Wprowadziła go za przepierzenie i wskazała owinięte prześcieradłem zwłoki. – Pomożesz mi pogrzebać Daszę? – spytała drżącym głosem.

Dmitrij głośno wciągnął powietrze.

– Och, Taniu… – Pokręcił głową.

– Nie mogę jej zabrać, ale tutaj też jej nie zostawię. Proszę, pomóż mi.

– Taniu… – Chciał ją objąć, lecz się cofnęła. – Gdzie ją pogrzebiemy? Ziemia jest zamarznięta na kamień. Nie rozkopałby jej nawet buldożer.

Tania czekała. Na słońce. Na olśnienie. Na jakieś rozwiązanie.

– Droga Życia. Niemcy wciąż ją bombardują, prawda?

– Tak.

– Lód pęka.

– Tak. – Do Dmitrija zaczynało coś powoli docierać.

– W takim razie chodźmy.

– Taniu, ja nie mogę…

– Możesz. Mogę ja, możesz i ty.

– Nie rozumiesz…

– Nie, to ty nie rozumiesz. Nie mogę jej tak zostawić. Nie zostawię jej i też umrę. – Stanęła twarzą do niego. – Czy będziesz umiał uszyć dla mnie worek, kiedy umrę? A może rzucisz mnie na te zwłoki? Powiedz, co ze mną zrobisz?

Dmitrij trzasnął kolbą karabinu w ziemię.

– Taniu…

– Proszę, pomóż mi.

Dima ciężko westchnął.

– Nie mogę. Spójrz na mnie. Trzy miesiące leżałem w szpitalu. Niedawno mnie wypisali i skierowali do Kobony. Łażę tu całymi godzinami, stopa boli mnie jak jasna cholera, a Niemcy nieustannie bombardują jezioro. Nie zdążę uciec.

– Postarasz się o sanki? – spytała zimno, siadając przy Daszy. – Czy zrobisz dla mnie chociaż to?

– Taniu…

– Tylko sanki, Dmitrij, tylko sanki.

Po jakimś czasie wrócił z sankami. Tatiana wstała.

– Dziękuję. Możesz już iść.

– Taniu, co ty robisz? – wykrzyknął. – Kogo to wszystko obchodzi? Przestań się o nią martwić, przecież ona nie żyje. Ta cholerna wojna już jej nie dotyczy!

Podniosła głowę.

– Kogo? – powtórzyła. – Kogo to obchodzi? Mnie. Moja siostra nie umarła samotnie. Byłam z nią, jestem i zostanę do samego końca. Odejdę dopiero wtedy, gdy ją pogrzebię.

– Odejdziesz i co? Co potem? Jesteś osłabiona, chora. Pojedziesz do dziadków? Gdzie oni teraz są? W Kazaniu? W Mołotowie? Nie powinnaś tam jechać. Ciągle docierają tu potworne opowieści o uciekinierach.

– Nie wiem, dokąd pojadę. Ale nie martw się, dam sobie radę.

– Dmitrij! – zawołała, gdy już odchodził.

– Tak?

– Jeśli zobaczysz Aleksandra, powiedz mu o Daszy.

Kiwnął głowa.

– Oczywiście. Będę u niego w przyszłym tygodniu. Przykro mi, że niewiele ci pomogłem.

Tatiana odwróciła się gwałtownie.

Olga pomogła jej ułożyć zwłoki na sankach, po czym zepchnęły sanki na zamarzniętą rzekę. Tania powoli zeszła na brzeg, chwyciła sznurek i pod szarym, milczącym niebem, pociągnęła Daszę po zamarzniętym jeziorze. Było wczesne popołudnie, lecz zapadała już ciemność. Niemieckie bombowce spały. Kilkaset metrów od brzegu ziała wyrwa w lodzie. Tatiana przystanęła i resztką sił zsunęła zwłoki z sanek.

Potem uklękła i położyła rękę na białym prześcieradle.

Daszo, pamiętasz, kiedy miałam pięć lat – ty skończyłaś wtedy dwanaście – uczyłaś mnie nurkować w jeziorze Ilmen. Nurkowałaś i zachęcałaś mnie, mówiąc, że to cudowne uczucie, że pod wodą jest tak cicho, tak spokojnie. A potem nauczyłaś mnie wstrzymywać oddech dłużej od Paszki. Mówiłaś, że muszę z nim wygrać, że dziewczęta zawsze powinny wygrywać z chłopcami. Dlatego teraz… Idź, Daszo. Idź popływać. Jak dawniej. Jak kiedyś.

Wiał lodowaty wiatr i Tatiana bardzo zmarzła.

– Szkoda, że nie znam żadnej modlitwy – szepnęła. – Szkoda, bo bardzo by mi się teraz przydała. Dobry Boże, proszę Cię, spraw, żeby moja siostra Dasza odpłynęła do nieba w spokoju. Spraw, żeby już nigdy nie było jej zimno, a chleba naszego powszedniego daj jej tyle, ile tylko zdoła zjeść. Proszę Cię, Boże…

Zepchnęła zwłoki do wody. W gasnącym świetle dnia biały worek zdawał się niebieski. Dasza zanurzyła się niechętnie, jakby nie chciała rozstać się z życiem. Ciało obróciło się powoli i zniknęło pod lodem. Tatiana długo klęczała nad czarną wyrwą. W końcu wstała i odkaszlnąwszy w rękawicę, ruszyła do brzegu, ciągnąc za sobą puste sanki.

KSIĘGA II
ZŁOTE WROTA

CZĘŚĆ 3
Łazariewo

Wiosenne dni

1

Do Łazariewa pojechał w ciemno.

Nie miał wyboru. Nie otrzymał dosłownie nic, ani jednego listu, ani jednej kartki pocztowej. Dasza i Tatiana nie napisały do niego ani słowa. Nachodziły go poważne wątpliwości co do Daszy, ale skoro zimę przeżył Sławin – Aleksander przekonał się o tym na własne oczy – mogła przeżyć i ona. Najbardziej niepokoiło go to, że ani razu nie napisała. Z Leningradu pisała nieustannie. Minął styczeń, minął luty, a listu jak nie było, tak nie było.

Tydzień po ucieczce dziewcząt z Leningradu pojechał do Kobony i szukał ich wśród chorych uchodźców na wybrzeżu. Na próżno. Nie znalazł ani jednej, ani drugiej.

W marcu, bardzo zaniepokojony i przygnębiony, napisał list do obwodu mołotowskiego. Wysłał również telegram do rady miejskiej z prośbą o wiadomość na temat Darii i Tatiany Mietanowych. Odpowiedź nadeszła dopiero w maju, kiedy poczta zaczęła normalnie funkcjonować. Mołotowska rada miejska w jednozdaniowym liście zawiadamiała, że żadnych informacji na ich temat nie mają. Natychmiast wysłał kolejny telegram z pytaniem, czy wiejska rada narodowa w Łazariewie ma telegraf. Tym razem odpowiedź przyszła już nazajutrz. Zawierała jedynie dwa słowa: „Nie. Stop”.

Ilekroć miał wolne, szedł do mieszkania przy Piątej Radzieckiej i otwierał drzwi kluczem, który zostawiła mu Dasza. Sprzątał, zamiatał, umył podłogę, gdy w marcu wymieniono popękane rury i puszczono wodę, zrobił nawet pranie. Wstawił szybę w drugim pokoju. Znalazł stare zdjęcia Mietanowów. Zaczął je przeglądać, ale szybko zamknął album i odłożył go na półkę. Niemal z każdej strony patrzyły na niego oczy duchów.

Właśnie tak się czuł. Wszędzie widział duchy.

Ilekroć przyjeżdżał do Leningradu, szedł na pocztę przy Starym Newskim, żeby sprawdzić, czy nie nadeszły jakieś listy do Mietanowów. Staremu poczmistrzowi robiło się niedobrze na jego widok.

Z kolei w garnizonie nieustannie wypytywał sierżanta odpowiedzialnego za odbiór i przekazywanie korespondencji, czy nie nadeszły listy od sióstr Mietanowych. Sierżantowi też robiło się niedobrze na jego widok.

Jednakże żaden list nie nadszedł. Ani list, ani telegram, ani kartka pocztowa. W kwietniu stary poczmistrz umarł. Nikt o tym nie wiedział, nikogo o tym nie powiadomiono. Co więcej, Aleksander znalazł go martwego za biurkiem, ze stertami listów na podłodze, na ladzie, w pudłach i w nie otwartych workach.

Przeglądając stosy korespondencji, wypalił trzydzieści papierosów. Nic, żadnego listu.

Wrócił nad Ładogę, żeby dalej ochraniać Drogę Życia – teraz już wodną – i wyczekując kolejnego urlopu, wszędzie widział ducha Tani.

Leningrad powoli uwalniał się ze szponów śmierci i rada miejska zaczęła mieć coraz poważniejsze obawy – obawy całkiem uzasadnione – że wraz z nastaniem wiosny rozkładające się zwłoki, zatkane rury kanalizacyjne i płynące ulicami ścieki mogą doprowadzić do wybuchu epidemii. Urzędnicy zainicjowali frontalny atak na miasto. Wszyscy żyjący i mogący chodzić mieszkańcy sprzątali gruzy i zbierali trupy z ulic. Wymieniono pęknięte rury, naprawiono elektryczność. Ruszyły tramwaje i trolejbusy, a kiedy przed soborem św. Izaaka ponownie zasadzono tulipany i kapustę, zdawało się, że

Leningrad chwilowo się odrodził. Tulipany, pomyślał Aleksander. Szkoda, że Tania ich nie widzi. Rację chleba dla niepracujących zwiększono do trzystu gramów dziennie. Nie dlatego, że było więcej mąki, nie. Dlatego, że było mniej ludzi.

Na początku wojny, 22 czerwca 1941, a więc w dniu, kiedy Aleksander poznał Tatianę, w Leningradzie mieszkało trzy miliony ludzi. 8 września 1941, kiedy Niemcy zaczęli oblegać miasto, było ich dwa i pół miliona.

Wiosną czterdziestego drugiego pozostało tylko milion.

Lodową Drogą Życia przez jezioro Ładoga ewakuowano pół miliona ludzi, pozostawiając ich samym sobie w Kobonie.

A oblężenie jeszcze się nie skończyło.

Kiedy stopniał śnieg, Aleksandra mianowano dowódcą oddziału odpowiedzialnego za wykopanie kilkunastu masowych grobów na cmentarzu Piskariowskim – żołnierze używali do tego celu dynamitu – w których pogrzebano prawie pół miliona zwłok. Cmentarz Piskariowski to tylko jeden z siedmiu leningradzkich cmentarzy, na które trupy zwożono niczym drewno na opał.

A oblężenie wciąż trwało.

Okrężnymi drogami, w ramach pomocy Lend-Lease, do miasta coraz częściej trafiała amerykańska żywność. Wiosną kilka razy przywieziono mleko w proszku, syrop w proszku, a nawet jajka w proszku. Aleksander kupił kilka rzeczy, w tym rozmówki angielsko-rosyjskie, które sprzedał mu kierowca ciężarówki w Kobonie. Kupił je z myślą o Tani. Tak dobrze radziła sobie z nauką angielskiego.

Z polecenia rady miejskiej wszystkie uszkodzone pociskami budynki przy Newskim przesłonięto fałszywymi fasadami. I tak, gładko, powoli i po cichu, Leningrad wkroczył w lato roku czterdziestego drugiego.

Niemcy ostrzeliwali i bombardowali miasto z niesłabnącą siłą.

Styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj. Pięć miesięcy bez żadnego listu, bez żadnej wiadomości, bez choćby cichego tchnienia.

Jak długo można milczeć? Jak długo można to milczenie znosić? Jak długo można nosić w sercu nadzieję i świadomość, że musiało się zdarzyć coś nieuniknionego i niewyobrażalnego? Że to możliwe. Prawdopodobne. Że to niemal pewne. Bo śmierć Aleksander widział wszędzie, i na froncie, i na ulicach Leningradu. Widział ciała okaleczone, rozszarpane i zamrożone, widział ciała przypominające chodzące szkielety. Widział wszystko. Mimo to wciąż wierzył.

2

W czerwcu do garnizonu przyjechał Dmitrij. Aleksander był wstrząśnięty i miał tylko nadzieję, że nie dał tego po sobie poznać. Dima postarzał się nie o miesiące, lecz o lata. Mocno kulał, chodził lekko pochylony na prawą stronę. Był wychudzony i wycieńczony. Drżały mu dłonie.

Patrząc na niego, Aleksander myślał: dlaczego przeżył właśnie on?

Dlaczego nie Dasza i Tatiana? Jeśli on mógł z tego wyjść, dlaczego nie wyszły one? Jeśli mogłem ocaleć ja, dlaczego nie ocalały one?

– Lewa stopa zdrowa, prawa do niczego – powiedział Dmitrij. – Głupiec ze mnie, co? – Uśmiechnął się ciepło i Aleksander niechętnie wskazał mu pryczę. Miał nadzieję, że Dima zniknął wreszcie z jego życia. Niestety, jak pech, to pech. Byli sami. W zamyślonych oczach Dmitrija dostrzegł dziwny błysk, którego tak bardzo nie lubił.

– Przynajmniej nie muszę już walczyć – rzucił wesoło Dima. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Właśnie – odrzekł Aleksander. – Zawsze chciałeś wylądować na tyłach.

– Ładne mi tyły – prychnął Dmitrij. – Wiesz, że od razu wysłali mnie do Kobony…

– Do Kobony?!

– Tak – odrzekł niespiesznie Dima. – A co? Czyżby Kobona miała dla ciebie jakieś specjalne znaczenie? Przyjeżdżają tam ciężarówki z żarciem od Amerykanów, i tyle.

Aleksander zmrużył oczy.

– Tak. Nie wiedziałem, że tam służyłeś.

– Bo dawnośmy się nie widzieli.

– Byłeś tam w styczniu?

– Nie pamiętam. Minęło tyle czasu…

Aleksander wstał i podszedł bliżej.

– Dima! – wykrzyknął. – Wywiozłem stąd Daszę i Tatianę. Przez Ładogę do Kobony!

– Pewnie są ci bardzo wdzięczne.

– Nie wiem. Może je widziałeś?

– Pytasz, czy wśród tysięcy uciekinierów widziałem w Kobonie dwie dziewczyny?

– Nie dwie dziewczyny, tylko Tanię i Daszę – odparł zimno Aleksander. – Chyba byś je rozpoznał, prawda?

– Nie rozpoznałbym nawet…

– Pytałem, czy je widziałeś – powtórzył Aleksander podniesionym głosem.

– Nie, nie widziałem. I przestań krzyczeć. Ale wiesz… – Dmitrij pokręcił głową. – Wsadzić dwie bezbronne dziewczyny do ciężarówki i wysłać je… Właściwie dokąd one pojechały?

– Gdzieś na wschód. – Nie zamierzał mu mówić, dokąd.

– W głąb kraju? Czyś ty zwariował? – Dima zachichotał. – Chyba nie chciałeś posłać ich na pewną śmierć?

– Co ty bredzisz? – warknął Aleksander. – A co miałem zrobić? Nie słyszałeś, co się tu działo zimą? Nie widzisz, co się dzieje teraz?

– Słyszałem – odrzekł z uśmiechem Dmitrij. – Nie mogłeś zrobić nic innego? Ty albo pułkownik Stiepanow?

– Nie, ani ja, ani Stiepanow. – Aleksander miał tego dość. – Słuchaj, muszę…

– Chcę tylko powiedzieć, że wszyscy uciekinierzy, którzy do nas trafili, stali u progu śmierci. Dasza jest silna, ale Tania? Dziwię się, że przeżyła przeprawę przez lód. – Wzruszył ramionami. – Myślałem, że ona pierwsza… Wiesz, nawet ja zachorowałem na dystrofię. Większość uciekinierów była chora i wycieńczona. Ponownie wsadzono ich do ciężarówek, powieziono do stacji kolejowej sześćdziesiąt kilometrów dalej, a tam czekały na nich bydlęce wagony. – Zniżył głos. – Nie wiem, czy to prawda, ale krążą pogłoski, że siedemdziesiąt procent tych ludzi zmarło z zimna i osłabienia. – Pokręcił głową. – A ty chciałeś, żeby Dasza i Tania przez to przeszły? Ładny z ciebie narzeczony! – rzucił z głośnym śmiechem.

Aleksander zacisnął zęby.

– Cieszę się, że stamtąd uciekłem – dodał Dmitrij. – W Kobonie było nieciekawie.

– Tak? – odparł z pogardą Aleksander. – Pewnie zbyt niebezpiecznie.

– Nie, nie w tym rzecz. Ciężarówki musiały wjeżdżać aż na lód, bo uciekinierzy nie mieli siły chodzić. Pomagaliśmy im wysiąść, pomagaliśmy im wsiąść, i tak dalej. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu Niemcy rozwalili trzy wozy pełne ludzi – Dmitrij ciężko westchnął. – Ładne mi tyły. W końcu poprosiłem o przeniesienie do zaopatrzenia.

Aleksander odwrócił się i zaczął składać ubranie.

– W zaopatrzeniu też jest niebezpiecznie. – Co ja gadam? – pomyślał. Co ja gadam?! Niech zostanie w tym cholernym zaopatrzeniu! – Z drugiej strony – dodał – możesz dobrze na tym wyjść. Będziesz sprzedawał papierosy. Wszyscy takich kochają.

Przepaść między tym, co łączyło ich kiedyś, i tym, co łączyło ich teraz, była zbyt wielka. Aleksander wiedział, że nie da się jej spiąć mostem czy pokonać łodzią. Czekał tylko, aż Dmitrij wyjdzie lub spyta o rodziców Tatiany, lecz ten nie miał zamiaru wychodzić ani o nich pytać.

W końcu Aleksander nie wytrzymał.

– Nie interesuje cię, co się stało z Mietanowami?

Dima wzruszył ramionami.

– Pewnie to samo, co z tysiącami innych leningradczyków. Umarli? – Zabrzmiało to tak, jakby pytał, czy poszli po zakupy. Aleksander spuścił głowę.

– To jest wojna – dodał Dima. – Przeżyją tylko najsilniejsi. Dlatego musiałem w końcu zrezygnować z Tatiany. Nie chciałem. Bardzo ją lubiłem i wciąż lubię. Mile ją wspominam, ale ledwo starczyło mi sił, żeby zadbać o samego siebie. Nie mogłem martwić się o nią, nie mając ani jedzenia, ani ciepłego ubrania.

Tania przejrzała go na wylot, pomyślał Aleksander, wkładając ubranie do szafki i unikając jego wzroku. Nigdy mu na niej nie zależało.

– A skoro już mowa o przeżyciu – dodał Dmitrij – chciałbym cię o coś spytać.

Oho, zaczyna się. Aleksander czekał.

– Amerykanie przystąpili do wojny. To dla nas lepiej, prawda?

– Oczywiście. Bardzo nam pomagają. Land-Lease…

– Nie, nie, nie o to mi chodzi. – Dmitrij wstał. – Nie mówię o kraju, tylko o nas, o tobie i o mnie. O naszych planach.

Aleksander odwrócił się i stanął twarzą do niego.

– Po tej stronie jeziora nie widziałem zbyt wielu Amerykanów – odrzekł powoli, udając, że nie rozumie, do czego Dmitrij zmierza.

– Właśnie! – wykrzyknął tamten. – Ale w Kobonie jest ich mnóstwo! Przyjeżdżają ciężarówkami, przypływają statkami, przywożą nam czołgi, dżipy, sprzęt. Jadą wschodnim brzegiem Ładogi, z Murmańska przez Pietrozawodsk i Łodiejnoje Pole.

W Kobonie aż się od nich roi.

– Naprawdę?

– Może się nie roi, ale jest ich tam sporo. Słuchaj, to są Amerykanie, nie rozumiesz? – rzucił podekscytowany. – Może nam pomogą?

Aleksander podszedł bliżej.

– Niby jak? – spytał ostro.

– Jak? – powtórzył cicho Dmitrij. – Po amerykańsku! Gdybyś pojechał do Kobony…

– Pojechałbym do Kobony i co? Co dalej? Z kim miałbym gadać? Z kierowcami? Myślisz, że jak rosyjski żołnierz zwróci się do nich po angielsku, to powiedzą: jasne, pewnie, wskakuj na pokład, bracie, zabierzemy cię do Ameryki? – Aleksander zaciągnął się dymem. – A nawet zakładając, że to możliwe, niby jak mielibyśmy wyprowadzić stąd ciebie? Uważasz, że Amerykanów łączy jakaś więź, i że ze względu na tę więź ktoś zechce zaryzykować dla mnie życie? Powiedzmy, tylko jak ta więź ma pomóc tobie?

– Nie mówię, że to dobry plan – odrzekł zaskoczony Dmitrij. – Ale na początek…

– Dima, byłeś ranny. Spójrz tylko na siebie. – Aleksander zmierzył go wzrokiem. – Nie możesz ani walczyć, ani nawet biegać. Daj spokój, trzeba o tym zapomnieć.

– Jak to? – wykrzyknął histerycznie Dmitrij. – Co ty mówisz? Przecież wiem, że chcesz…

– Dima!

– Co? Musimy coś zrobić! Przecież mieliśmy…

– Dima! Mieliśmy przebić się przez granicę, przez patrole NKWD, i ukryć się na fińskich bagnach! Postrzeliłeś się w stopę i myślisz, że dasz radę uciec?

Dmitrij nie wiedział, co odpowiedzieć i Aleksandrowi trochę ulżyło. Cofnął się i odwrócił.

– Zgoda – wychrypiał Dima – ucieczka przez Lisi Nos byłaby trudniejsza, ale może udałoby się przekupić tych pachołków z Land-Lease.

– Pachołków? – warknął gniewnie Aleksander. Wziął głęboki oddech. Nie warto było się wściekać. – Nie, Dima. To są świetnie wyszkoleni żołnierze, którzy narażając się na ataki niemieckich łodzi podwodnych, pokonali dwa tysiące kilometrów w arktycznym mrozie po to, żeby przywieźć ci tuszonkę.

– Tak, i właśnie oni mogą nam pomóc. – Dmitrij podszedł bliżej. – Posłuchaj, ktoś będzie musiał mi pomóc. – Podszedł jeszcze bliżej. – I to niedługo. Nie mam najmniejszego zamiaru zginąć w tej kurewskiej wojnie. – Zmrużył wąskie oczy. – A ty?

– Jeśli będzie trzeba, zginę – odparł cicho Aleksander, wytrzymując jego spojrzenie.

Dmitrij uważnie sondował go wzrokiem. Aleksander nie znosił, gdy ktoś mu się przypatruje. Zapalił kolejnego papierosa.

– A ta forsa? – spytał Dima. – Wciąż ją masz? Przy sobie?

– Nie.

– Możesz do niej dotrzeć?

– Nie wiem. – Aleksander wyjął z paczki papierosa. Rozmowa dobiegła końca.

– Jednego już palisz – zauważył oschle Dmitrij.

Dostał aż trzydzieści dni urlopu. Poprosił Stiepanowa o jeszcze więcej i pułkownik przedłużył mu urlop do dwudziestego czwartego lipca.

– Wystarczy? – spytał z lekkim uśmiechem.

– Albo wystarczy, albo nie, towarzyszu pułkowniku. To się dopiero okaże.

– Kapitanie… – Stiepanow zapalił papierosa i poczęstował Aleksandra. – Kiedy wrócicie… – Westchnął. – Nie możemy zostać dłużej w garnizonie. Sami widzieliście, co

się tu działo. Jeszcze jedna taka zima i będzie po mieście. Nie możemy na to pozwolić. Po prostu nie możemy. – Wypuścił dym. – Musimy przerwać blokadę. Wszyscy razem. Na jesieni.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Popieram ten pomysł.

– Doprawdy, Aleksandrze? Widziałeś, co zrobili z naszymi ludźmi pod Tichwinem i Mgą?

– Tak, towarzyszu pułkowniku, widziałem.

– Słyszałeś, co się dzieje na newskim przyczółku pod Dubrowką?

– Tak, towarzyszu pułkowniku, słyszałem. – Newski przyczółek pod Dubrowką był enklawą Armii Czerwonej na tyłach wroga, którą Niemcy wykorzystywali jako poligon artyleryjski. Codziennie ginęło tam co najmniej dwustu rosyjskich żołnierzy.

Stiepanow pokręcił głową.

– Będziemy przeprawiać się przez Newę pontonami. Z minimalnym wsparciem artyleryjskim. Mamy jednostrzałowe karabiny…

– Ja mam pepeszę, towarzyszu pułkowniku. I automat.

Stiepanow uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Niepotrzebnie was straszę.

– Nie straszycie. Wojna jest straszniejsza.

– Wiem, kapitanie, wiem. Walka będzie zaciekła i nierówna, ale nie trzeba się jej bać.

Aleksander stanął na baczność i spojrzał mu prosto w oczy.

– Towarzyszu pułkowniku, czyja się kiedykolwiek bałem?

Stiepanow podszedł bliżej i uścisnął mu rękę.

– Gdybym miał więcej żołnierzy takich jak ty, wygralibyśmy tę wojnę już dawno temu. Jedź. Szczęśliwej podróży. Kiedy wrócisz, zacznie się piekło.

3

Dasza i Tania, myślał, jadąc przez pół Związku Radzieckiego. Dasza i Tania. Czy nie napisałyby do mnie, gdyby jeszcze żyły?

Zwątpienie atakowało go z siłą artyleryjskiej nawałnicy.

Od pół roku nie miał od nich żadnej wiadomości, od pół roku nie słyszał z jej ust ani jednego słowa, mimo to przemierzył tysiąc sześćset kilometrów, jadąc ciągle na wschód, mijając po drodze jeziora Ładogę i Onegę, rzeki Dwinę, Suchonę, Unżę i Kamę, by dotrzeć aż na Ural. Czyż to nie szaleństwo?

Tak, to było czyste szaleństwo.

Podczas czterodniowej podróży do Mołotowa wspominał każdą spędzoną z nią chwilę. Przez tysiąc sześćset kilometrów spacerował z nią nad Kanałem Obwodowym, przychodził po nią do Kirowa, tulił ją w Łudze, niósł ją przez las na stację, całował w szpitalu, rozmawiał z nią na szczycie soboru Izaaka, jadł z nią lody, ciągnął ją na sankach do domu. Przez tysiąc sześćset kilometrów rozdawała wszystkim chleb, nie zostawiając nic dla siebie, i podskakiwała radośnie na dachu na widok niemieckich bombowców. Niektóre wspomnienia wywoływały w nim dreszcz przerażenia, lecz mimo to nie próbował ich odpędzać. Ona i on w drodze z cmentarza po pogrzebie matki. Ona, a naprzeciw niej trzech wyrostków z nożami.

Dwa obrazy powracały z uporem natrętnego refrenu.

Tatiana w hełmie i w dziwnym ubraniu. Tatiana uwalana krwią. Tatiana pod zwałami gruzów, belek i trupów. Tatiana wciąż ciepła i żywa.

I obraz drugi.

Tatiana w szpitalnym łóżku. Naga pod jego dłońmi. Jęcząca pod dotykiem jego warg.

Jeśli dane było komuś przeżyć, czyż nie przeżyłaby tego dziewczyna, która przez cztery miesiące z rzędu wstawała o szóstej rano i kuśtykała przez martwe miasto, żeby zdobyć chleb dla swojej rodziny?

Ale jeśli przeżyła, dlaczego do niego nie napisała?

Dziewczyna, która całowała jego rękę, która podawała mu herbatę, która, wstrzymując oddech, patrzyła na niego najpiękniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widział: czy to możliwe, że taka dziewczyna nie żyje?

Że przestała go kochać?

Proszę Cię, Boże, niechaj już mnie nie kocha, byle tylko przeżyła.

Trudna to była modlitwa, gdyż nie mógł sobie wyobrazić świata bez Tatiany.

Brudny i głodny, po czterech dniach w pięciu różnych pociągach i czterech wojskowych dżipach, dziewiętnastego czerwca w południe dojechał do Mołotowa. Dojechał i usiadł na drewnianej ławce przy stacji.

Nie, nie mógł iść do Łazariewa. Nie mógł się przełamać.

Miałaby uciec z umierającego Leningradu tylko po to, żeby umrzeć w Kobonie o krok od wybawienia? Koszmar. Nie potrafiłby stawić temu czoła.

Gdyby tam poszedł i stwierdził, że rzeczywiście umarła, byłoby jeszcze gorzej. Żyć bez niej? Po co?

Miał ochotę wsiąść do następnego pociągu i wrócić do Leningradu. Wyprawa do Łazariewa wymagała większej odwagi niż prowadzenie ognia z katiuszy czy z działa

przeciwlotniczego, gdyż tam, nad Ładogą, mógł go zabić każdy niemiecki samolot.

Nie bał się umrzeć.

Bał się, że zamiast niego, umarła ona. Widmo jej śmierci odbierało mu odwagę.

Gdyby nie żyła, oznaczałoby to, że Bóg też umarł, a we wszechświecie rządzonym przez kompletny chaos nie przeżyłby ani sekundy. Zginąłby jak ten nieszczęśnik Grinkow, którego przeszyła zbłąkana kula, gdy wracał z pola walki.

Takim chaosem była wojna. Była chaosem i grzmiącym zamętem, który wypluwał tysiące rozerwanych na strzępy zwłok i rzucał je na przemarzniętą ziemię. W kosmosie nie istniało nic bardziej chaotycznego niż wojna.

Natomiast Tatiana była ładem. Uporządkowaną materią w nieskończonej przestrzeni. Była chorążym dźwigającym sztandar męstwa, sztandar, za którym Aleksander przemierzył tysiąc sześćset kilometrów, za którym dotarł aż nad Kamę, aż na Ural. Do Łazariewa.

Dęby, bita droga: prowincjonalne Mołotowo. Siedział na ławce dwie godziny.

Powrót był niemożliwy.

Dalsza droga nie do pomyślenia.

A więc dokąd?

Przeżegnał się, wstał i zebrał swoje rzeczy.

Idąc w kierunku Łazariewa, czuł się jak skazaniec w drodze na egzekucję.

4

Łazariewo leżało dziesięć kilometrów dalej, za gęstym sosnowym lasem.

Oprócz sosen, w lesie rosły wiązy, dęby, brzozy, pokrzywy i czarne jagody, tak że idąc, cały czas chłonął ożywczy zapach lata. Dźwigał plecak, karabin, pistolet, ładownicę, duży namiot, koc, hełm i worek z żywnością, którą kupił w Kobonie. Za drzewami szumiała Kama. Wchodząc do lasu, pomyślał, że warto by się umyć, ale szybko zmienił zdanie. Wolał iść. Musiał iść.

Zerwał z krzaczka garść jagód. Bardzo zgłodniał. Dzień był ciepły, słoneczny i nagle serce wezbrało mu nadzieją. Przyspieszył kroku.

Las się skończył i Aleksander ujrzał zakurzoną wiejską drogę. Po obu stronach drogi stały drewniane chaty i stare, walące się płoty.

Między sosnami i wiązami błyszczała rzeka, a hen za rzeką, za potężnymi, gęstymi lasami, strzelały w niebo obłe, wiecznie zielone szczyty Uralu.

Aleksander wziął głęboki oddech. Czy Łazariewo pachnie Tatianą? Poczuł zapach dymu, świeżej wody i sosnowych igieł. I zapach ryb; na skraju wsi stała wędzarnia.

Idąc dalej, minął kobietę siedzącą na ławce przed domem. Kobieta wytrzeszczyła oczy. Aleksander zrozumiał: nieczęsto widywano tu oficerów Armii Czerwonej. Kobieta wstała.

– Boże! Aleksander? To niemożliwe…

Aleksander nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Możliwe, to ja – odrzekł w końcu. – Tak mam na imię. Szukam Tatiany i Daszy Mietanowych. Wie pani, gdzie mieszkają?

Kobieta się rozpłakała.

Aleksander odchrząknął.

– Spytam kogo innego – wymamrotał i poszedł dalej.

Kobieta potruchtała za nim.

– Zaczekaj, zaczekaj! – Wskazała przed siebie. – Dzisiaj piątek, a w piątki chodzą na zebranie kółka krawieckiego. Tam, na placu. – Kręcąc głową, zawróciła do domu.

Zalała go fala niewysłowionej ulgi.

– A więc one… żyją?

Kobieta nie odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach i pobiegła przed siebie.

„Chodzą”? Pytał o Daszę i Tatianę, a ona powiedziała „chodzą”.

Aleksander zwolnił, zapalił papierosa i wypił łyk wody z manierki. Poszedł dalej, lecz trzydzieści metrów przed placem przystanął.

Nie, nie mógł tam pójść. Jeszcze nie teraz.

Wiedział, że jeśli Dasza i Tatiana żyją, za chwilę będzie musiał stawić czoło problemom innym niż te, z którymi borykał się dotąd, problemom, które sobie wyobrażał. Wiedział również, że rozwiąże je tak samo jak wszystkie inne, ale najpierw.

Gorączkowo przepraszając, przeszedł przez czyjś ogród, otworzył furtkę i znalazł się na wąskiej ścieżce. Chciał obejść placyk. Chciał choć przez chwilę popatrzeć na Tatianę tak, jak patrzył na nią kiedyś, gdy nie musieli się ukrywać, tak, żeby ona nie widziała jego. Bo potem zobaczy Daszę. Bo potem znowu będzie musiał udawać.

Za chwilę Bóg miał spojrzeć na człowieka, lecz człowiek pragnął przedtem dowodu na Jego istnienie.

Przy długich, drewnianych stołach na niewielkim placu pod baldachimem wysokich wiązów siedziała grupka ludzi. Prawie same kobiety; był wśród nich tylko jeden młody mężczyzna. A jednak, pomyślał Aleksander. To naprawdę kółko krawieckie. Podszedł nieco bliżej.

Zasłaniał go płot i rozłożysty krzak bzu. Kwiaty muskały mu twarz. Wdychając ich zapach, ostrożnie wysunął głowę. Daszy nigdzie nie było. Zobaczył za to cztery starsze kobiety, młodego chłopca, starszą od niego dziewczynę i Tatianę.

Początkowo nie mógł uwierzyć, że to jego Tania. Szybko zamrugał, zmrużył oczy. Chodziła wokół stołu, pokazywała coś, demonstrowała, nachylała się, prostowała. W pewnej chwili stanęła i otarła czoło. Miała na sobie żółtą sukienkę z krótkimi rękawami. Była boso. Zobaczył jej odsłonięte do kolan nogi, lekko opalone ramiona, pojaśniałe od słońca włosy, dwa krótkie warkocze. Nawet z tej odległości widział piegi na jej nosie. Była piękna, piękna aż do bólu.

I żyła.

Zamknął oczy i ponownie je otworzył. Nie, wciąż tam była. Nachylając się nad robótką chłopca, powiedziała coś i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chłopiec dotknął ręką jej pleców. Tania uśmiechnęła się promiennie i w słońcu błysnęły jej śnieżnobiałe zęby. Aleksander nie wiedział, co robić.

Jedno było oczywiste: Tatiana żyje.

W takim razie dlaczego do niego nie napisała?

I gdzie jest Dasza?

Nie mógł stać bez końca za krzakiem bzu.

Wrócił na główną drogę, wziął głęboki oddech, zgasił papierosa i ruszył w stronę placu, nie odrywając wzroku od jej warkoczy. Serce waliło mu w piersi jak przed bitwą.

Tatiana podniosła głowę, zobaczyła go i ukryła twarz w dłoniach. Wszyscy wstali i rzucili się ku niej, nawet staruszki, zdumiewająco zwinne i szybkie. Odepchnęła ich. Odepchnęła stół i ławkę, i puściła się pędem ku niemu. Sparaliżowało go wzruszenie. Chciał się uśmiechnąć, ale czuł, że lada chwila upadnie na kolana i wybuchnie płaczem. Rzucił plecak, koc i karabin. Boże, pomyślał, Boże, za sekundę jej dotknę. I dopiero wtedy się uśmiechnął.

Tatiana wskoczyła w jego otwarte ramiona, a on uniósł ją w górę, nie mogąc się jej natulić i nawdychać. Zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz między jego ramieniem i nieogolonym policzkiem. Choć oczy miała suche, jej ciałem wstrząsał gwałtowny szloch. Była cięższa niż tam, nad Ładogą, gdzie pomagał jej wsiąść do ciężarówki. W butach i w grubym palcie ważyła znacznie mniej niż teraz.

I cudownie pachniała. Mydłem, słońcem i brązowym karmelem.

Boże, tulić ją, czuć dotyk jej ciała.

– Ciii… – wymamrotał, pocierając nosem jej warkocz. – Ciii… Taniu, proszę… – Załamał mu się głos.

– Aleksandrze… – szepnęła mu w szyję i kurczowo objęła go za głowę. – Żyjesz. Dzięki Bogu.

Przytulił ją jeszcze mocniej, rozkoszując się pieszczotą jej pachnącego latem ciała.

– Nie, dzięki Bogu, że ty żyjesz. – Przesunął dłońmi po jej plecach. Sukienka była z cienkiej bawełny i czuł przez nią miękkość jej skóry.

W końcu postawił ją na ziemi, lecz rąk nie cofnął. Nie zamierzał jej puszczać. Nigdy, przenigdy. Czy zawsze była taka drobna?

– Masz ładną brodę – szepnęła z nieśmiałym uśmiechem i dotknęła jego policzka.

Delikatnie pociągnął ją za warkocz.

– A ty piękne włosy.

– Jesteś brudny…

– A ty olśniewająca. – Nie mógł oderwać wzroku od jej żywych, kształtnych i namiętnych ust. Miały barwę lipcowych pomidorów.

Pochylił głowę, wziął głęboki oddech i…

Przypomniał sobie o Daszy. Przestał się uśmiechać, opuścił ręce i cofnął się o krok.

Tatiana zmarszczyła czoło.

– A gdzie Dasza?

W jej oczach ujrzał… Co to było? Uraza, ból, smutek, poczucie winy, gniew? Gniewała się na niego? Trwało to ledwie ułamek sekundy i nagle jej oczy przesłonił lodowaty welon, nagle coś się w niej zamknęło. Spojrzała na niego chłodno i chociaż wciąż trzęsły się jej ręce, głos miała niski i opanowany.

– Dasza umarła. Bardzo mi przykro.

– Och, Taniu, to mnie jest przykro… – Wyciągnął do niej rękę, lecz Tatiana się cofnęła. Szybko i gwałtownie.

– Co się stało? – spytał zaskoczony.

– Przykro mi z powodu Daszy – powtórzyła, spuszczając głowę. – Przejechałeś taki kawał drogi…

– O czym ty mówisz? Przecież…

Zanim zdążył dokończyć, zanim ona zdążyła cokolwiek wyjaśnić, otoczyli ich członkowie kółka krawieckiego.

– Tanieczko? – spytała niska, tęga kobieta o siwawych włosach i małych, okrągłych oczach. – Kto to? Czy to Aleksander? Ten od twojej Daszy?

– Tak – odrzekła Tatiana. – To jest Aleksander mojej Daszy. – Zerknęła na niego i dodała: – Aleksandrze, to jest Naina Michajłowna.

Naina wybuchnęła płaczem.

– Och, biedaku ty mój… – Objęła go i mocno wyściskała.

Biedaku? Aleksander spojrzał na Tatianę.

– Naino Michajłowno, proszę… – szepnęła Tania, cofając się jeszcze dalej.

Naina pociągnęła nosem.

– Tanieczko – szepnęła. – On… on o niczym nie wiedział?

– Nie – odrzekła Tatiana. – Ale teraz już wie.

Naina załkała jeszcze głośniej.

– Aleksandrze – powiedziała Tatiana – to jest Wowa, wnuk Nainy, i Zoja, jego siostra.

Wowa, krzepki, dobrze zbudowany dryblas, od razu mu się nie spodobał. Miał okrągłą twarz, okrągłe oczy, okrągłe usta, ciemne włosy i był młodszą, ciemnowłosą kopią swojej niskiej, tęgiej babki. Uścisnął mu rękę.

Zoja, rosła, czarnowłosa wiejska dziewucha, objęła go mocno, napierając wielkimi piersiami na jego pierś. Potem wzięła go za rękę i powiedziała:

– Bardzo nam miło. Dużo o tobie słyszeliśmy…

– Wiemy o tobie wszystko – wykrzyknęła kędzierzawa kobiecina, którą Tatiana przedstawiła jako Aksinię, starszą siostrę Nainy. – Wszystko – powtórzyła głośno. Ona też objęła go i wyściskała.

Podeszły do niego dwie staruszki. Obie były siwowłose, bardzo chude i bardzo kruche. Jedna z nich, Raisa, cała się trzęsła. Trzęsły jej się ręce, głowa, a nawet usta. Jej matka miała na imię Dusia. Była wyższa i tęższa od córki i nosiła na szyi srebrny krzyżyk.

Pobłogosławiła Aleksandra i wymamrotała:

– Nie martw się, synu. Bóg będzie nad tobą czuwał.

Aleksander chciał powiedzieć, że teraz, kiedy wreszcie znalazł Tatianę, nie musi się o nic martwić, ale zanim zdążył otworzyć usta, Aksinia spytała go, jak się czuje, co zapoczątkowało kolejną serię uścisków i sprowokowało kolejny atak płaczu.

– Czuję się dobrze – odrzekł. – Naprawdę. Szkoda łez.

Równie dobrze mógłby mówić po angielsku. Kobiety płakały i płakały.

Zdumiony spojrzał na Tatianę. Stała z boku. Z Wową.

– A więc ty… – wyszlochała Naina. – Och, nie mogę, po prostu nie mogę.

– Niech pani przestanie, Naino Michajłowno – powiedziała łagodnie Tatiana. – Nic mu nie będzie.

– Właśnie – powtórzył Aleksander. – Nic mi nie będzie.

– Biedaku ty mój. – Naina chwyciła go za rękaw. – Przejechałeś taki szmat drogi. Pewnie jesteś bardzo zmęczony…

Jeszcze pięć minut temu nie był. Spojrzał na Tatianę.

– Trochę zgłodniałem. – Posłał jej lekki uśmiech.

– Oczywiście – odrzekła apatycznie. – Chodźmy coś zjeść.

Nic z tego nie rozumiał i nagle zaczął tracić cierpliwość.

– Wybaczcie na chwilę, wybaczcie… – mruknął, uwalniając się od staruszek i ruszając w stronę Tatiany. – Taniu, moglibyśmy porozmawiać?

Odwróciła głowę.

– Chodź. Zrobię ci coś do jedzenia.

– Czy możemy… – Zabrakło mu słów. – Taniu, tylko na chwilę.

– Ależ oczywiście, że możemy – powiedziała Naina Michajłowna. – Porozmawiamy, zaraz porozmawiamy. Chodź, pójdziemy do domu. – Wzięła go pod rękę. – To musi być najgorszy dzień twojego życia.

Szczerze mówiąc, nie wiedział, co o tym dniu sądzić.

– Ale my ci dogodzimy – ciągnęła Naina. – Nasza Tania to świetna kucharka.

„Nasza” Tania?

– Wiem – odrzekł.

– Najesz się, napijesz i porozmawiamy. Wszystko ci opowiemy. Na długo przyjechałeś?

– Nie wiem. – Przestał zerkać na Tatianę. Czuł, że to na nic.

W gwarze i zamieszaniu zupełnie zapomnieli o przyborach krawieckich.

– Zaraz je przyniosę – powiedziała obojętnie Tatiana i zawróciła. Aleksander ruszył za nią, a za Aleksandrem Zoja.

– Możesz zostawić nas na chwilę samych? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, dopędził Tanię.

– Co się z tobą dzieje?

– Nic – odparła.

– Taniu!

– Co?

– Powiedz coś.

– Jak minęła podróż?

– Co ty mówisz, jaka podróż? Dlaczego nie napisałaś?

– A dlaczego ty nie napisałeś do mnie?

Zamurowało go.

– Bo nie wiedziałem, że żyjesz.

– Ja też nie wiedziałam, że żyjesz. – Mówiła z pozornym spokojem i gdyby jej nie znał, nie zauważyłby, że pod okrywającym jej twarz welonem trwa gwałtowna burza, z którą Tania nie chce się zdradzić.

– Miałaś do mnie napisać, miałaś dać mi znać, że bezpiecznie dotarłyście na miejsce. Pamiętasz?

– Nie – odparła kąśliwie. – To Dasza miała napisać. Już zapomniałeś? Ale Dasza umarła i nie napisała. – Zebrała ze stołu igły, nici, koraliki, guziki, wykroje i wepchnęła to wszystko do torby.

– Dasza… Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro. – Dotknął jej pleców.

Drgnęła, odsunęła się i szybko zamrugała, żeby odpędzić łzy.

– Mnie też.

– Jak to się stało? Udało wam się wyrwać z Kobony?

– Mnie tak. Jej nie. Umarła rano, zaraz po przyjeździe.

– Boże.

Nie patrzyli na siebie. Milczeli.

Zwlokła ją ze stoku na brzeg jeziora. Błagała ją, dodawała jej sił, pchała ją i podtrzymywała, chociaż sama leciała z nóg.

– Tak mi przykro – szepnął.

– Na twój widok odżywają wszystkie wspomnienia – odrzekła. – Rany są jeszcze zbyt świeże. – Podniosła oczy. Ujrzał w nich smutek i ból.

Powoli wrócili do pozostałych.

Wowa klepnął go w ramię i spytał:

– Jak tam na wojnie?

– Dobrze, dziękuję.

– Powiadają, że kiepsko nam idzie. Niemcy dotarli aż pod Stalingrad.

– Tak, są bardzo silni.

Wowa ponownie klepnął go w ramię.

– Żeby wojować, trzeba być silnym. Zaciągam się. W przyszłym miesiącu kończę siedemnaście lat.

– Jestem pewien, że wojsko zrobi z ciebie prawdziwego mężczyznę – odrzekł Aleksander, siląc się na wesołość. Zobaczył, że Tatiana niesie wielką torbę z przyborami krawieckimi. – Pomóc ci? – spytał.

– Nie, nie, i tak ci ciężko.

– Przywiozłem coś dla ciebie.

– Dla mnie? – Nawet na niego nie spojrzała.

Co się tu dzieje?

– Taniu…

– Aleksandrze – przerwała mu Naina Michajłowna – jutro idziemy do łaźni. Wytrzymasz do jutra?

– Nie. Wykąpię się w rzece.

– To tylko jeden dzień, może jednak…

Pokręcił głową.

– Jechałem cztery dni. Za długo nie widziałem wody.

– Cztery dni! – wykrzyknęła Raisa. – Jechał aż cztery dni!

Naina otarła twarz.

– Właśnie, i po co? Ach, ta wojna. Co za strata, co za tragedia…

Staruszki zgodnie pociągnęły nosami.

Z ust Tatiany wyrwał się zduszony jęk. Aleksander chciał, żeby na niego spojrzała, pragnął spojrzeć jej w oczy. Chciał ją spytać, o co tu chodzi. Pragnął dotknąć jej nagich ramion, pragnął tego tak bardzo, ale… miał zajęte ręce.

– Taniu… – Nachylił się ku niej i niewiele brakowało, by musnął ustami jej włosy.

Wstrzymała oddech i… odsunęła się od niego.

Przygnębiony zauważył, że Wowa nie odstępuje jej na krok i że Tania zdaje się nie mieć nic przeciwko temu.

Powoli szli drogą. Z wiejskich chat tłumnie wychodzili ludzie. Jedni kręcili głowami, inni wskazywali go palcem, jeszcze inni płakali. Wielu mu salutowało. Jakaś kobieta objęła go i ze współczuciem uścisnęła. Jakiś starzec chwycił go za łokieć.

– Jesteśmy z ciebie dumni – powiedział. Dziwne. Aleksander wyczuł, że starzec nie gratuluje mu wojennych sukcesów. Bynajmniej. – Przejechać po dziewczynę taki kawał drogi… – Uścisnął mu dłoń. – Jeśli będziesz czegoś potrzebował, od razu wal do mnie. Jestem Igor.

– Taniu – rzekł cicho Aleksander – mam wrażenie, że wszyscy mnie tu znają.

– Bo cię znają – odrzekła beznamiętnie Tatiana, patrząc prosto przed siebie. – Jesteś kapitanem Armii Czerwonej i przyjechałeś poślubić moją siostrę. Dobrze o tym wiedzą. Niestety, moja siostra umarła. O tym też wiedzą. Jest im bardzo przykro.

Natychmiast rozszlochała się idąca z przodu Naina i zamykająca pochód Dusia.

– W domu damy ci dużo wódki i wszystko ci opowiemy – powiedziała Naina.

– Opowiemy? – Zerknął na Tanię. – My? – Miał nadzieję, że zostaną tylko we dwoje, i przeczucie, że grubo się myli.

– Taniu – spytał – jak się czujesz? Jak…

– Och, świetnie! – przerwał mu Wowa, obejmując ją ramieniem. – O wiele lepiej niż na początku.

Aleksander spochmurniał i odwrócił głowę. Był coraz bardziej zdenerwowany.

W tym samym momencie, gdy zacisnąwszy zęby, spojrzał przed siebie, Tatiana odsunęła się od Wowy, podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

– Musisz być bardzo wyczerpany, prawda? – spytała łagodnie, zaglądając mu w oczy. – Cztery dni w pociągu. Jadłeś coś dzisiaj?

– Rano. – Ponownie uciekł wzrokiem w bok.

– Umyjesz się, zjesz coś i od razu odżyjesz – powiedziała z uśmiechem. – No i musisz się ogolić – dodała, ściskając go za łokieć.

Natychmiast poczuł się lepiej. Będzie musiał porozmawiać z nią o Wowie. Tak, koniecznie. W jej oczach dostrzegł wahanie i niepewność. Muszą, po prostu muszą wszystko sobie wyjaśnić. Kiedy ostatni raz ze sobą rozmawiali? Kiedy nikt im nie przeszkadzał? W Leningradzie, w soborze Izaaka. Czuł, że jeśli choć na chwilę zostaną sami, wszystko znowu będzie dobrze. Tak, ale najpierw musiał porozmawiać z nią o Wowie.

– Wiesz – powiedziała Aksinia – wyrwaliśmy Tanieczkę ze szponów śmierci.

Staruszki natychmiast zaniosły się szlochem.

Aleksander spojrzał czule na idącą obok niego Tatianę.

– Daj torbę, poniosę.

Już miała mu ją dać, gdy wtem odezwał się Wowa:

– Nie, nie, ja poniosę.

– Taniu, nie spotkałaś w Kobonie Dmitrija?

Naina odwróciła się szybko i spojrzała na niego błagalnie wielkimi jak spodki oczami.

– Ciii – syknęła. – My o nim nie rozmawiamy.

– To bydlak! – wykrzyknęła Aksinia. – Skończony bydlak!

– Przestań, Aksinio – skarciła ją Naina i spojrzała na Aleksandra. – Ale to fakt – szepnęła. – Skończony z niego bydlak.

Aleksander zmarszczył czoło.

– Taniu, czy to znaczy, że go tam spotkałaś?

– Uhm. – Powiedziała tylko tyle, nic więcej.

Aleksander pokręcił głową. A to sukinsyn.

Nachyliła się ku niemu Zoja i konspiracyjnym szeptem dodała:

– O Dmitriju nie rozmawiamy również dlatego, że Wowa podkochuje się w Tani.

Aleksander uniósł brwi.

– Naprawdę?

Dom Nainy stał na końcu wsi, niedaleko rzeki. Był biały, kwadratowy i mały.

– Wszyscy tu mieszkacie? – spytał Aleksander, zerkając na idącą przodem Tatianę.

– Nie, nie – odrzekła Naina. – Tylko my i Tania. Wowa i Zoja mieszkają z matką na drugim końcu wsi. Ich ojciec zginął latem, podczas walk na Ukrainie.

– Babciu – wtrąciła Zoja. – U was nie będzie dla niego miejsca.

Aleksander ogarnął wzrokiem dom. Zoja miała rację. W ogródku pasły się dwie kozy, a w drucianym kojcu chodziły trzy kurczaki. Skoro starczyło miejsca dla kóz i kurczaków.

Dwa drewniane stopnie, obszerna przeszklona weranda, długi drewniany stół i dwie małe sofy. Aleksander zajrzał do ciemnej izby, pośrodku której stał wielki rosyjski piec. Zajmował niemal trzecią część pomieszczenia. Miał długą, żeliwną płytę i składał się z trzech części: w środkowej się paliło, w bocznych się piekło. Komin szedł w górę i skręcał w lewo, pod nim zaś, na płaskim wierzchu pieca, leżały koce i poduszki. W wielu wiejskich chatach wykorzystywano to miejsce jako łóżko. Gdy ogień wygasł, było tam bardzo ciepło.

Naprzeciwko pieca stał stół, dalej maszyna do szycia i czarny kufer. Po prawej stronie było dwoje drzwi, pewnie do dalszych pomieszczeń.

– Niech no zgadnę – powiedział Aleksander do stojącej obok Tatiany. – Śpisz tam, na przypiecku.

– Tak. Jest bardzo wygodnie. Wejdź na chwilę. – Podeszła do stołu.

– Zaczekaj, zaczekaj – wtrąciła Naina Miachajłowna wdrapując się na schodki. – Chyba naprawdę za mało tu miejsca…

– Nie szkodzi, mam namiot – odparł Aleksander, idąc za Tatianą.

– Nie, żadnych namiotów – powiedziała Naina. – Zatrzymasz się u Wowy i Zojki. Dadzą ci osobny pokój. Bardzo ładny, z dużym łóżkiem, i w ogóle…

– Nie – odrzekł Aleksander. – Ale dziękuję.

– Tanieczko, nie myślisz, że u Wowy byłoby mu wygodniej? Mógłby…

– Naino Michajłowno, przecież powiedział, że nie chce.

– No tak – wtrąciła Aksinia, wchodząc na werandę – ale u nich miałby…

– Nie – powtórzył Aleksander. – Będę spał w namiocie, w ogrodzie. Dam sobie radę.

Tatiana przywołała go gestem ręki. Ruszył ku niej tak szybko, że omal się nie potknął.

– Śpij tu – szepnęła – na piecu. Będziesz miał ciepło.

– A ty? Gdzie będziesz spała?

Tania zaczerwieniła się jak piwonia. Aleksander nie wytrzymał: wybuchnął śmiechem,

pocałował ją w policzek i Tatiana zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Jesteś najzabawniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Cofnęła się o krok i stanęła w drzwiach do drugiej izby.

– Posłuchaj – powiedział-pójdę…

– Z Wową i Zojką? – spytała Naina, wchodząc do izby. – Świetny pomysł. Wiedziałam, że Tanieczka go przekona. Ona samego diabła przekabaci. Zoja!

– Nie! – wykrzyknęła Tatiana.

Aleksander miał ochotę ją pocałować.

– Naino Michajłowno – oświadczyła kategorycznie Tania. – Aleksander nie przejechał pół kraju po to, żeby spać u Wowy i Zoi. Zostanie tutaj. Będzie spał na piecu.

– Aha. – Nainie Michajłownie zabrakło tchu. – A ty?

Boże, dlaczego ciągle się czerwieni? Po prostu nie mogła przestać, i tyle.

– Na werandzie.

– Cóż, skoro tak, to zabierz swoją pościel i daj mu świeżą.

– Oczywiście.

– Ani mi się waż – szepnął Aleksander.

Naina powiedziała, że idzie po ręcznik, i zniknęła w komorze.

Tatiana i Aleksander natychmiast zwrócili się ku sobie. Tania miała spuszczoną głowę, ale stała twarzą do niego, stała tak blisko, że niemal go dotykała. Miał wrażenie, że chłonie jego zapach.

– Umyję się i zaraz wracam – powiedział z uśmiechem. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Miał ochotę dotknąć jej dłoni, pragnął ją przytulić… – Nigdzie nie odchodź.

– Nie odejdę. Dać ci mydło?

– Nie, mam swoje.

– Wiem, ale spójrz tylko, co tu mam. – Otworzyła szufladę i wyjęła małą butelkę. – Kupiłam w Mołotowie. Za dwadzieścia rubli. Masz. To prawdziwy szampon do włosów[16].

– Wydałaś dwadzieścia rubli na szampon?! – spytał z udawanym oburzeniem. Biorąc butelkę, chwycił ją za palce.

– Lepiej wydać dwadzieścia na szampon niż dwieście pięćdziesiąt na szklankę mąki – odrzekła, zwinnie cofając rękę.

– Za pieniądze z książki?

– Tak – odrzekła cicho. – Za te, które ukryłeś w okładce „Jeźdźca”. Bardzo się przydały. Dziękuję. – Spuściła głowę jeszcze niżej. – Za wszystko.

– Nie ma za co. To ja dziękuję tobie. Za wszystko. – Nie mógł oderwać od niej oczu. – Tatiasza, jakie ty masz jasne włosy…

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– To od słońca.

– A nosek obsypało ci piegami.

– Też od słońca.

– Jesteś taka…

– Chodź, pokażę ci, jak dojść do rzeki.

– Zaczekaj. Zobacz, co ci przywiozłem. – Przykucnął i otworzył plecak, pokazując jej kilka puszek tuszonki, duży worek cukru, worek soli, papierosy i wódkę. – I jeszcze rozmówki angielsko-rosyjskie – dodał cicho. – Uczyłaś się trochę?

– Nie bardzo, nie miałam czasu. Wiozłeś to wszystko aż tutaj? Nie do wiary. Jak to udźwignąłeś? – Zamilkła. – Dziękuję. Chodź.

Wziąwszy ręcznik od Nainy Michajłowny, Aleksander przepuścił Tanię przodem i wyszli do ogrodu. Przystanął tuż obok niej, lecz nie śmiał jej dotknąć, wiedząc, że z werandy obserwuje ich sześć par oczu. Tatiana wyciągnęła rękę. Nawet nie popatrzył w tamtą stronę. Nie odrywał wzroku od jej jasnych brwi. Miał ochotę ich dotknąć.

Miał ochotę dotknąć jej ciała.

Wstrzymując oddech, musnął palcem małą bliznę nad jej okiem, pamiątkę po awanturze z ojcem.

– Zniknęła – powiedział. – Prawie jej nie widać.

– Skoro tak – spytała lekko – to dlaczego jej dotykasz? Spójrz, to tam. Widzisz? Między tymi sosnami. Przejdziesz przez drogę i zobaczysz ścieżkę. Doprowadzi cię do polany. Zawsze tam piorę. Kama to potężna rzeka. Na pewno trafisz.

– Nie, zabłądzę – szepnął jej do ucha. – Lepiej mnie zaprowadź.

– Tania musi zrobić kolację. – Szła ku nim Zoja. – Ja cię zaprowadzę.

– Właśnie. – Tatiana natychmiast się cofnęła. – Zoja cię zaprowadzi. Jeśli zaraz nie wrócę do kuchni, nic dzisiaj nie zjemy.

– Nie, Zoju, wybacz – odparł Aleksander i pociągnął Tatianę za sobą. – Pójdziesz ze mną nad rzekę, powiesz mi wreszcie, co cię tak zdenerwowało i…

– Nie teraz – szepnęła. – Nie teraz.

Westchnął, puścił jej rękę i poszedł nad rzekę. Kiedy wrócił, czysty, ogolony i w świeżym ubraniu, zauważył, że Zoja bezwstydnie się do niego wdzięczy. Nic dziwnego. W mieście nie było młodych mężczyzn i kokietowałaby nawet jednookiego, bezzębnego pokrakę. Natomiast Tatiana uparcie unikała jego wzroku.

– Ogoliłeś się – rzuciła, pochylając się nad skwierczącą patelnią.

– Skąd wiesz? – Patrzył na jej plecy. Na jej wąską talię. Na zgrabne, krągłe biodra. Na jej łydki i nagie uda widoczne pod krótką, żółtą sukienką. Cały w środku pulsował.

– Życie na wsi bardzo ci służy – powiedział.

Tatiana wyprostowała się i ruszyła w stronę drzwi na werandę, lecz chwycił ją za rękę i przytknął dłoń do swojej twarzy.

– Teraz lepiej? – Potarł nią policzek i ucałował jej palce.

Łagodnie zabrała rękę.

– Rzadko kiedy widywałam cię ogolonego – wymamrotała. – Do twarzy ci i z zarostem, i bez. Cuchnę cebulą, a ty się umyłeś, odświeżyłeś. Jesteś taki… pachnący. – Odchrząknęła i odwróciła głowę.

– Tatiu – szepnął, nie puszczając jej uwalanej mąką ręki. – Nie poznajesz mnie? To ja, Aleksander. Co się stało?

Podniosła wzrok, zamrugała i ujrzał w jej oczach urazę. Ciepło i smutek też, ale przede wszystkim wielką urazę.

– Tatiu…

– Aleksandrze, mój drogi, chodź do nas. Tania niech sobie gotuje, a ty chodź. Napijemy się, pogawędzimy…

Wyszedł na werandę i Naina podała mu kieliszek. Pokręcił głową.

– Bez Tatiany nie wypiję. Taniu, możesz tu przyjść?

Stanęła obok niego, pachnąc słodko ziemniakami i cebulą.

– Przecież nasza Tanieczka nie pije – powiedziała Naina.

– Za niego wypiję – odrzekła cicho Tania. Aleksander podał jej kieliszek, muskając palcami jej palce. Naina nalała im wódki. – Za Aleksandra – powiedziała Tatiana łamiącym się głosem. W oczach miała łzy.

– Za Aleksandra – powtórzyli pozostali. – I za Daszę.

– I za Daszę – szepnął cicho Aleksander.

Wypili i Tatiana wróciła do kuchni.

Odwiedziło ich kilkunastu wieśniaków. Wszyscy chcieli poznać Aleksandra, wszyscy przynieśli drobne podarunki. Jakaś kobieta dała mu jajko. Jakiś starzec haczyk na ryby. Inny starzec przyniósł żyłkę do haczyka. Młoda dziewczyna podarowała mu kilka cukierków. Ściskali mu rękę, niektórzy nisko się mu kłaniali, a jakaś kobiecina padła na kolana i ucałowała jego kieliszek. Aleksander był bardzo wzruszony i wyczerpany. Wyjął papierosa.

– Może wyjdziemy do ogrodu? – rzucił Wowa. – Nasza Tania nie lubi dymu.

Aleksander zaklął pod nosem. Wowa troszczył się o zdrowie Tatiany: tego już za wiele. Ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ujrzał przed sobą jej twarz i poczuł na ramieniu jej rękę. Przyniosła im popielniczkę.

– Pal, Aleksandrze, pal – powiedziała.

– Taniu, przecież dym ci szkodzi – nieśmiało zaprotestował Wowa. – Dlatego wychodzimy…

– Wiem – przerwała mu stanowczo Tatiana. – Ale Aleksander nie przyjechał tu z frontu po to, żeby palić na dworze. Będzie palił, gdzie zechce.

Aleksander pokręcił głową.

– Nie muszę. – Pragnął, żeby znowu położyła mu rękę na ramieniu, pragnął ponownie zobaczyć jej twarz. – Pomóc ci, Taniu?

– Tak. Najbardziej mi pomożecie siedząc i jedząc. Pora na kolację.

Cztery kobiety zasiadły po jednej stronie długiego stołu, przy którym stały dwie ławy.

– Tatiana siedzi na końcu – rzuciła z uśmiechem Zoja. – Stamtąd ma bliżej do płyty.

– Wiem – odrzekł Aleksander. – Usiądę obok niej.

– Zwykle to ja tam siedzę – zaprotestował Wowa.

Aleksander nie miał ochoty z nim walczyć. Wzruszył ramionami, popatrzył na Tanię i uniósł brwi.

Tatiana wytarła ręce i odchrząknęła.

– A może usiądę między wami?

– Świetnie – powiedziała Zoja. – A ja obok Aleksandra.

– Zapraszam – mruknął Aleksander.

Tatiana przygotowała sałatkę z ogórków i pomidorów, ziemniaki z cebulą i wieprzowinę. Otworzyła słoik marynowanych grzybów. Nakroiła białego chleba, przyniosła masło, mleko, ser i jaja na twardo.

– Co ci podać, Szu…? – Odkaszlnęła. – Może sałatki?

– Tak, poproszę.

Tania wstała.

– I grzybów?

– Tak, dziękuję.

Zaczęła nakładać jedzenie na talerz. Jedynym powodem, dla którego nie zrobił tego sam, było to, że dotykała nogą jego nogi, i że biodrem ocierała się o jego łokieć. Był gotów prosić ją o dokładkę, ba! o trzy dokładki i deser, byle tylko nie przestała go dotykać. Tak bardzo chciał ją objąć, przytulić… Westchnął i wziął widelec.

– I jeszcze trochę ziemniaków – powiedział. – Tak, dziękuję. I kromkę chleba. Aha, i masło…

Myślał, że Tania usiądzie, ale nie, obeszła stół, żeby nałożyć jedzenie staruszkom.

A potem Wowie. Robiła to z taką poufałością, że ścisnęło mu się serce. Wowa podziękował, a ona uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy.

Na niego patrzyła. Do niego się uśmiechała. Na miłość boską! Aleksander nie poczuł się jeszcze gorzej tylko dlatego, że nie dostrzegł w jej oczach niczego, co wskazywałoby, że darzy wyrostka uczuciem.

W końcu usiadła.

– Tak się cieszę, że znowu masz co jeść – powiedział.

– Ja też – odrzekła. – Ja też.

Tam, w mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej, było tak ciemno, że nie mógł się jej dokładnie przyjrzeć – i dzięki Bogu – widział za to strużkę krwi wypływającą z kącika jej ust, gdy kroiła czarny chleb dla niego, dla Daszy i na końcu dla siebie. A teraz jadła chleb biały, świeży i pachnący. Chleb, masło, jajka…

– Tak jest dużo lepiej – szepnął. – Dzięki Bogu.

– Tak – odszepnęła ledwo słyszalnie. – Dzięki tobie.

Najbardziej denerwujące było to, że Zoja celowo i nachalnie ocierała się łokciem o jego łokieć. Dziewczyna grała w tę grę jak prawdziwa mistrzyni. Aleksander zastanawiał się, czy Tatiana w ogóle to zauważa.

Przysunął się do niej jeszcze bliżej.

– Będziesz miała więcej miejsca, Zoju – powiedział z obojętnym uśmiechem.

– Tak, ale ścisnęliście teraz biedną Tanieczkę – powiedziała siedząca naprzeciwko Naina.

– Nie, nie – odrzekła Tatiana.

Prawie dotykali się nogami. Aleksander trącił ją lekko kolanem.

– Czy wypiłem wystarczająco dużo, żebyście opowiedzieli mi wreszcie, jak było z Tanią? – spytał, łapczywie jedząc.

Znowu popłynęły łzy. Ale Tatiana nie płakała – płakały tylko staruszki.

– Och, Aleksandrze! Chyba nie, chyba za mało wypiłeś.

– To może chociaż zaczniecie?

– Tania nie lubi, jak o tym mówimy – wyjaśniła Naina. – Ale, Tanieczko, przecież to Aleksander. Jemu chyba możemy opowiedzieć.

Tania ciężko westchnęła.

– Tak, jemu możecie.

– Chciałbym, żeby to Tania opowiedziała. Nalać ci jeszcze wódki?

– Nie – odrzekła – ale naleję tobie. Co tu opowiadać… Jak już mówiłam, dotarłyśmy do Kobony i Dasza umarła. Ja przyjechałam tutaj. Byłam bardzo osłabiona, chora…

– Omal nam nie umarła! – wykrzyknęła Naina.

– Naino Michajłowno, proszę. Trochę chorowałam i…

– Trochę?! – wyszlochała Aksinia. – Aleksandrze, to dziecko przyjechało do nas w styczniu i do marca walczyło o życie! Co ona miała? Jakiś gnilec czy coś tam…

– Boże mój, jak ona krwawiła! – wymamlała Dusia. – Krwawiła i krwawiła, jak nasz carewicz Aleksy.

– Takie są objawy gnilca – powiedział łagodnie Aleksander.

– Carewicz nie chorował na gnilec – odrzekła Tatiana. – Miał hemofilię.

– A zapalenie płuc? – wykrzyknęła Aksinia. – Już zapomniałaś? Płuca jej się dosłownie zapadły, i to oba!

– Nieprawda, tylko jedno…

– To właśnie zapalenie płuc omal jej nie zabiło – oznajmiła stanowczo Naina. – Nie

mogła oddychać, ot co! – Poklepała Tanię po ręku.

– Akurat! – krzyknęła Aksinia. – Nie zapalenie płuc, tylko gruźlica. Ty już nic nie pamiętasz, Naino. Zapomniałaś, jak kaszlała? Krwią kaszlała, i to całymi tygodniami!

– O Boże… – szepnął Aleksander.

– To nie było nic poważnego, naprawdę. Miałam lekką gruźlicę. Wyleczyli mnie, zanim wyszłam ze szpitala. Lekarz powiedział, że niedługo dojdę do siebie, że w przyszłym roku po gruźlicy nie będzie ani śladu.

– I pozwoliłaś, żebym przy tobie palił.

– To co? Zawsze przy mnie paliłeś, przywykłam.

– Jak to co? – wykrzyknęła Aksinia. – Taniu, przez miesiąc leżałaś w izolatce. Siedziałyśmy przy niej, a ona leżała i pluła krwią…

– Powiedz mu, jak się tej gruźlicy nabawiłaś – zachęcała ją Naina. – Powiedz mu, powiedz.

Tania zadrżała.

– Może później.

– To znaczy kiedy? – szepnął Aleksander kącikiem ust. Tatiana milczała.

– Tanieczko! – wykrzyknęła Aksinia. – Powiedz mu, co musiałaś przeżyć, żeby tu dojechać, powiedz.

– Powiedz, Taniu – szepnął czule. Gdyby nie to, że jedzenie było smaczne, już dawno straciłby apetyt.

– Mnie i setki innych – zaczęła z wyraźnym trudem Tatiana – wsadzono do ciężarówek i zawieziono do pociągu. Wsiedliśmy koło Wołchowa…

– Opowiedz mu o pociągu!

– Nie był najwygodniejszy…

– Powiedz, ile was tam było!

– Nie wiem, dużo.

– I co się działo, kiedy ktoś umarł – wymamrotała Dusia i przeżegnała się.

– Po prostu wyrzucano go z pociągu. Żeby było więcej miejsca.

– Kiedy dojechali do Wołgi – wychlipała Naina – miejsca było dość.

– Niemcy wysadzili most i pociąg nie mógł przejechać! – wykrzyknęła Aksinia. – Kazano im wysiąść i przejść rzekę po lodzie. Wyobrażasz sobie? Po lodzie! W ich stanie!

Aleksander szybko zamrugał, raz i drugi. Nie odrywał wzroku od rozbawionej i lekko znużonej twarzy Tatiany.

– Ile osób przeszło? Ile zmarło z zimna i osłabienia? Powiedz mu, powiedz.

– Nie wiem, Aksinio, nie liczyłam.

– Nikt nie przeszedł – mruknęła Dusia. – Nikt.

– Tania przeszła – powiedział Aleksander, dotykając łokciem jej łokcia i nogą jej nogi.

– Inni też – odrzekła Tatiana. – Ale niewielu – dodała ciszej.

– Powiedz mu, ile kilometrów musieliście iść do najbliższej stacji. Nie było ciężarówek, nie było nic, a ci biedacy, gruźlicy i chorzy na zapalenie płuc, szli przez śnieg i zawieję taki szmat drogi! Ile to kilometrów? Piętnaście? – Aksinia wytrzeszczyła oczy.

– Nie, nie – poprawiła ją Tania. – Najwyżej trzy. I nie było żadnej zawiei. Po prostu bardzo zmarzliśmy.

– A dali wam coś do jedzenia? – spytała Aksinia. – Nie!

– Tak, dali, choć niewiele.

– Taniu, powiedz mu jeszcze o tym pociągu. Jak to nie miałaś gdzie się położyć i musiałaś cały czas stać. Wiesz, jak długo stała? Trzy dni! Od Wołchowa do Wołgi!

Powiedz mu, Taniu, powiedz.

– Tak – odrzekła cicho Tatiana, dziobiąc widelcem jedzenie. – Od Wołchowa do Wołgi.

Dusia otarła oczy.

– Po tym, jak przeszli Wołgę, pomarło tyle ludzi, że miała dla siebie całą leżankę. Tak, Taniu? Położyła się…

– I już nie wstała! – wykrzyknęła Aksinia.

Tatiana pokręciła głową.

– No nie, w końcu wstałam…

– Tak, ale gdyby nie ten konduktor, to byś nie wstała. Pytają, dokąd jedzie, a ona nic. Nie mógł się jej dobudzić…

– Ale w końcu mnie obudził.

– W końcu tak, ale początkowo myślał, że nie żyjesz.

– Wysiadła w Mołotowie i spytała o drogę do Łazariewa – dodała Raisa. – Kiedy jej powiedzieli, że to aż dziesięć kilometrów.

Staruszki ponownie się rozszlochały.

– Przepraszam, że musisz tego wszystkiego wysłuchiwać – szepnęła Tatiana.

Aleksander przestał jeść i poklepał ją delikatnie po plecach. Stwierdziwszy, że ani się nie cofnęła, ani nawet nie drgnęła, nie zabrał ręki i przez chwilę czuł ciepło jej ciała. Potem niechętnie sięgnął po widelec.

– Wiesz, co zrobiła, kiedy się dowiedziała, że czeka ją dziesięciokilometrowy marsz?

– Niech no zgadnę – odrzekł Aleksander. – Zemdlała.

– Tak! Skąd wiedziałeś! – spytała Aksinia, przypatrując się mu ciekawie.

– Mdleję cały czas – szepnęła Tatiana. – Mięczak ze mnie, i tyle.

– Kiedy wyszła z izolatki, siedziałyśmy przy niej i przytrzymywałyśmy maskę tlenową, żeby mogła normalnie oddychać – powiedziała Naina. – A kiedy zmarła jej babcia…

Aleksander bezwiednie upuścił widelec. Siedział bez słowa ze wzrokiem wbitym w talerz, nie mogąc spojrzeć nawet na Tatianę. To ona na niego spojrzała, łagodnie i ze smutkiem w oczach.

– Gdzie ta wódka, Taniu? – spytał. – Chyba jednak za mało wypiłem.

Nalała i jemu, i sobie. Trącili się kieliszkami, wspominając Leningrad, Piątą Radziecką, rodzinę Tani, która była też jego rodziną, Ładogę i tamtą noc.

– Odwagi, Szura – szepnęła Tatiana.

Nie był w stanie odpowiedzieć. Po prostu wypił.

Siedzący przy stole milczeli.

– Jak umarła? – spytał.

Naina wytarła nos.

– Na czerwonkę. W grudniu. – Nachyliła się ku niemu i dodała: – Moim zdaniem po śmierci męża nie chciała już żyć. – Zerknęła na Tatianę. – Ona też tak myśli.

– Tak – szepnęła Tatiana. – Po prostu nie mogła.

Naina nalała Aleksandrowi kolejny kieliszek.

– Przed śmiercią powiedziała do mnie tak: „Naino, chciałabym, żebyś zobaczyła moje wnuczki, ale biednej Tani pewnie już nie zobaczysz. Jest taka drobna, taka krucha. Nie zdoła tu dotrzeć”.

– Nie doceniła wnuczek – powiedział Aleksander i wypił.

– Powiedziała: „Jeśli przyjadą, zaopiekuj się nimi. Zatrzymaj dla nich mój dom…”.

– Dom? – Aleksander momentalnie się ożywił. – Jaki dom?

– A mieli tu taką chatę…

– Gdzie?

– W lesie, nad rzeką. Tania ci pokaże. Kiedy trochę wydobrzała, chciała tam zamieszkać. – Naina znacząco uniosła brwi. – Sama!

– Coś takiego – mruknął Aleksander.

Staruszki rozpromieniły się, poprychały i zgodnie pokiwały głowami.

– Wnuczka Anny miałaby mieszkać sama? – rzuciła Naina. – Po moim trupie. Co to za bzdury? Kto mieszka sam? Powiedziałyśmy jej: należysz do rodziny, Taniu. Twój dziadek był kuzynem mojego pierwszego męża. Zamieszkasz z nami, i już. Będzie ci lepiej, wygodniej. No i jest. Prawda, Tanieczko?

– Tak, Naino Michajłowno. – Tatiana dołożyła Aleksandrowi ziemniaków. – Wciąż głodny? – spytała cicho.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nic już nie wiem. Ale na pewno jeszcze zjem.

– Nasza Tanieczka już wydobrzała – mówiła dalej Naina – ale musi na siebie uważać. Co miesiąc chodzi do Mołotowa na badania. Gruźlica może w każdej chwili wrócić. Dlatego wszyscy palimy na dworze…

– I to z wielką chęcią – wtrącił Wowa, kładąc Tatianie rękę na ramieniu.

No tak, pomyślał Aleksander. Muszę z nią pogadać, i to szybko.

– Nie masz pojęcia, jaka była chuda, kiedy do nas przyjechała – powiedziała z uśmiechem Aksinia.

– Mam – odrzekł. – Prawda, Taniu?

– Tak, Szura, masz.

– Sama skóra i kości – mlasnęła Dusia. – Nawet Chrystus by jej nie odratował.

Aksinia posłała Tatianie czuły uśmiech.

– Ale podkarmiłyśmy ją troszkę, prawda, skarbie? Codziennie jajeczka, mleczko, masełko. Przytyła nam jak złoto, co, Aleksandrze?

– Hmm… – Aleksander wsunął rękę pod stół i lekko ścisnął Tanię za udo.

– Jest jak ciepła bułeczka – dodała Aksinia.

– Jak bułeczka? – powtórzył Aleksander i spojrzała na Tanię, która była czerwieńsza niż piwonia. Sukienka nie zakrywała jej ud, więc pieścił ją delikatnie, siedząc naprzeciw sześciu niemal zupełnie obcych osób. Nie, musiał zabrać rękę. Po prostu musiał. Zaczynało mu brakować tchu, przestawał nad sobą panować.

– Dołożyć ci? – spytała z uśmiechem Tatiana. Wstała i sięgnęła po patelnię. Drżały jej palce, oddychała przez nos. – Jedzenia jest dużo. Bardzo… dużo.

Teraz z kolei on nie był w stanie na nią spojrzeć.

– Nie, dziękuję. Ale chętnie się jeszcze napiję.

– Aleksandrze – powiedziała Naina. – Musisz wiedzieć, że nie byłyśmy z niej zadowolone, oj, nie. Cały czas trzymałyśmy twoją stronę.

– Taniu – spytał wesoło – czym zdenerwowałaś nasze miłe panie?

Dlaczego przestała się uśmiechać i łypnęła spode łba na Aksinię?

– Kazałyśmy jej do ciebie napisać – rzekła Naina z ustami pełnymi ziemniaków. – Napisać i opowiedzieć, co się stało z Daszą. Nie chciałyśmy, żebyś przejechawszy taki szmat drogi, dowiedział się, że twoja ukochana nie żyje. Zaoszczędź mu smutku, mówiłyśmy. Długiej drogi. Napisz. Wszystko mu opowiedz.

– A ona nie! – wykrzyknęła Aksinia.

Serce i dusza płonęły mu żywym ogniem.

– Dlaczego odmówiła? – spytał, patrząc na Tatianę.

– Nie wiem, nie chciała powiedzieć. Ale mówię ci, Aleksandrze, na myśl, że masz

przyjechać tu po swoją Daszę, umierałyśmy z przygnębienia. O niczym innym nie mogłyśmy rozmawiać.

– Fakt, o niczym innym – wycedziła Tatiana. – Dolać ci jeszcze?

– Może by przestały myśleć, gdybyś do mnie napisała – mruknął. – Tak, poproszę.

Nalała wódkę tak szybko, że omal nie przewróciła kieliszka.

Kręciło mu się w głowie.

– Czytałyśmy listy, które Dasza pisała do babci Anny – powiedziała Naina. – Ta dziewczyna za tobą szalała. Byłeś dla niej bohaterem.

Aleksander wypił wódkę dwoma haustami.

– Taniu, mówiłyśmy ci, żebyś do niego napisała! – wykrzyknęła Dusia. – Ale ona nie. Nasza Tanieczka jest czasami bardzo uparta.

– Czasami? – Aleksander zabrał Tani kieliszek i wypił do dna.

– Mówię jej, napisz, przecież potrafisz. A ona nie, ona swoje. – Dusia przeżegnała się szybko. – Nawet nie chciała wziąć pióra do ręki. – Popatrzyła na Tanię z gorzkim wyrzutem. – Modliłyśmy się, żeby Bóg zaoszczędził ci bólu i pozwolił zginąć na froncie.

Aleksander uniósł brwi.

– Modliłyście się o moją śmierć?

– Codziennie modliłam się z Tanią o twoją duszę – wyjaśniła Dusia. – Nie chciałyśmy, żebyś cierpiał.

– Chyba powinienem wam podziękować. Taniu, ty też prosiłaś Boga, żebym zginął na wojnie?

– Ależ skąd – odrzekła szybko. Nie mogła zachować chłodnego dystansu. Nie potrafiła być wobec niego nieszczera. Nie potrafiła kłamać, nie mogła na niego spokojnie patrzeć ani go dotknąć. Nie mogła niczego. Coś ją tłumiło, coś ją nieustannie blokowało. Powiodła wzrokiem wokół zatłoczonego stołu.

– Och, Aleksandrze! – wykrzyknęła Aksinia. – Jaki piękny list napisałeś do Daszy. Jaki poetycki! Jaki romantyczny! Serce nam pękało, kiedy czytałyśmy, że nic cię nie powstrzyma, że przyjedziesz do niej latem i się pobierzecie.

– Właśnie – wtrąciła Tatiana. – Pamiętasz ten poetycki list?

I nagle gdy spojrzał jej w oczy…

Zmarszczył czoło. Dziwne. Nie potrafił skupić myśli.

– Tak – odrzekł – pamiętam. – Wysłał ten list, żeby podtrzymać Daszę na duchu. I pomóc Tatianie. – Powinnaś była odpisać – rzucił z wyrzutem. – I powiedzieć mi o siostrze.

Tatiana zerwała się z miejsca i zaczęła sprzątać ze stołu.

Aleksander wzruszył ramionami.

– Nieważne – mruknął. – Może Tania była po prostu zbyt zajęta? Kto ma dzisiaj czas na pisanie? Zwłaszcza na wsi. Trzeba pójść na zebranie kółka krawieckiego, trzeba coś ugotować…

Zabrała mu talerz.

– Smakowało? – spytała.

Miał jej tyle do powiedzenia.

Tylko gdzie?

Było tak samo jak przedtem. Jak tam, w Leningradzie.

– Tak, dziękuję. Napijesz się ze mną?

– Nie – warknęła. – Dziękuję.

– I co teraz zrobisz? – spytał Wowa. – Wracasz?

Tatiana głośno wciągnęła powietrze. On wstrzymał oddech.

– Nie wiem.

– Zostaniesz, jak długo zechcesz – powiedziała Naina. – Kochamy cię jak członka rodziny. Gdyby nie los, byłbyś już mężem Daszy.

– Ale nie jest – rzuciła z zalotnym uśmiechem Zoja, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie martw się, rozweselimy cię. Długi masz urlop?

– Trzydzieści dni.

– Zoju – spytała Tatiana – co słychać u twego Stiepana? Widziałaś się z nim dzisiaj?

Zoja natychmiast zabrała rękę. Rozbawiony Aleksander zerknął z uśmiechem na Tanię. A jednak, pomyślał. Tania ma na nią oko.

Tatiana zbierała talerze. Aleksander spojrzał w lewo, potem w prawo. Nikt się nie ruszył. Nikt nawet nie drgnął. Zoja i Wowa także siedzieli jakby nigdy nic. Wstał.

– Dokąd idziesz? Pal tutaj.

– Chcę ci pomóc.

– Nie, nie! – wykrzyknęli chórem biesiadnicy. – Siadaj. Tania posprząta.

– Wiem, ale nie chcę, żeby robiła to sama.

– Dlaczego? – spytała szczerze zdumiona Naina.

– Aleksandrze – wtrąciła Tatiana. – Nie przejechałeś pół kraju, żeby sprzątać ze stołu.

Aleksander usiadł i spojrzał na Zoję.

– Fakt, jestem trochę zmęczony. Ale ty? Mogłabyś jej pomóc? – Powiedział to bez cienia uśmiechu na twarzy, lecz zdawało się, że Zoi bardzo to odpowiada. Posłała mu uśmiech, szeroki jak jej bujne piersi, i niechętnie wstała.

Tatiana przyniosła herbatę. Najpierw nalała Aleksandrowi, potem staruszkom, Wowie, Zoi i na końcu sobie. Otworzyła jagodowy dżem i już siadała, gdy wtem…

– Tanieczko, mogłabyś mi dolać herbaty? – poprosił Wowa.

Stojąc okrakiem nad ławą, Tatiana wzięła od niego szklankę, lecz Aleksander chwycił ją za nadgarstek. Szklanka zabrzęczała na spodku.

– Wiesz co, Wowa? Czajnik stoi na płycie, imbryk masz przed nosem. Siadaj, Taniu, dość się nabiegałaś. Wowa sam sobie doleje.

Tatiana usiadła.

W izbie zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli na Aleksandra.

Wowa wstał i poszedł po wrzątek.

W końcu nadeszła pora, kiedy Wowa i Zoja zaczęli się zbierać do domu. Aleksander nie mógł się tej chwili doczekać, lecz szybko zmarkotniał, usłyszawszy głos Wowy:

– Odprowadzisz mnie, Taniu?

Wyszła z nim do ogrodu. Aleksander udawał, że słucha Zoi i Nainy, i obserwował ich kątem oka.

Żałował, że tyle wypił. Koniecznie musiał porozmawiać z Tanią. Zaraz, teraz. Wreszcie wróciła. Tak bardzo chciał, żeby na niego spojrzała. Niestety.

– Chcesz pójść na spacer? – spytała Zoja. – I zapalić?

– Nie.

– Jutro idziemy popływać w sadzawce. Pójdziesz z nami?

– Zobaczymy. – Nawet nie podniósł głowy. Zaraz potem Zoja wyszła.

– Usiądź, Taniu – powiedział. – Tu, koło mnie.

– Dobrze. Chcesz coś jeszcze?

– Tak, ciebie. Usiądź.

– A może napijesz się czegoś innego? Mamy trochę koniaku…

– Nie, dziękuję.

– A może…

– Siadaj, Taniu.

Ostrożnie usiadła. Przysunął się bliżej.

– Musisz być bardzo zmęczona. Wyjdziesz ze mną do ogrodu? Chciałbym zapalić.

Nie dane jej było odpowiedzieć: uprzedziła ją Naina.

– Mówię ci, Aleksandrze, początkowo było jej bardzo ciężko.

Tania westchnęła, wstała i zniknęła w komorze.

– Ona nie chce o tym mówić – szepnęła Aksinia.

– Wiem – odrzekł Aleksander; on też nie chciał. – Dobrze to rozumiem.

Aksinia jakby tego nie słyszała.

– Marnie wyglądała, oj marnie. Była jak zjawa. – Staruszki pochyliły głowy i zamrugały załzawionymi oczami. Pewnie by go rozbawiły, gdyby nie to, że chciał wreszcie zostać sam na sam z Tatianą. – Nie wyobrażasz sobie, co znaczy stracić całą…

– Wyobrażam. – Nie miał ochoty o tym mówić, nie z nimi. Wstał, chcąc poszukać Tani.

– To jeszcze nic – szepnęła Naina. – Ona nie chce mówić o Kobonie, o tym, co się tam stało. Przy niej nie chciałyśmy o tym wspominać, ale…

– Dmitrij to bydlę! – wykrzyknęła Aksinia.

Aleksander usiadł.

– Opowiedzcie, tylko szybko.

Trzasnęły drzwi – wróciła Tania.

– Przepraszam cię, Tanieczko, ale chętnie obiłabym go kijem.

– Przestańcie mówić o Kobonie, dobrze? – rzuciła Tatiana.

– Biada ci, Dmitrij – wycedziła Dusia. – Któregoś dnia upadniesz i nikt nie pomoże ci wstać.

Tania przewróciła oczami i wyszła, zamykając z trzaskiem drzwi.

– Po mojemu ten łajdak złamał jej serce – syknęła Aksinia. – Chyba go kochała.

Aleksander zachowywał spokój z coraz większym trudem.

Dusia gwałtownie pokręciła głową.

– Nie, ależ skąd! Jej by nie nabrał. Nasza Tanieczka przejrzy każdego na wylot.

– Tak, to niesamowite, prawda? – odparł Aleksander.

Aksinia zniżyła głos.

– Naszym zdaniem kryje się za tym coś innego. Może jakiś romans.

Aleksander uniósł brwi.

– Romans? Niemożliwe.

Naina pokręciła głową.

– To ty tak myślisz, Aksinio, ale ja mówię, że nie. Ta dziewczyna straciła wszystkich i wszystko. Była zdruzgotana. Jaki tam romans!

– A moim zdaniem romans – powtórzyła stanowczo Aksinia.

– Bardzo się mylisz – odparła Naina.

– Tak? To dlaczego ciągle chodzi na pocztę i sprawdza, czy nie ma do niej listów? – spytała triumfalnie Aksinia. – Nikt jej nie został, straciła całą rodzinę, a mimo to ciągle chodzi i czeka.

– Słusznie – zauważył Aleksander. Co on miał zrobić? Wyjść gdzieś? Nie pamiętał. Miał za sobą długi dzień. Nie pamiętał już nawet, o czym rozmawiali.

– A zauważyłyście, że na zebraniach naszego kółka zawsze siada tak, żeby widzieć drogę?

– Właśnie! – zgodnie potaknęły staruszki. – Jakby kogoś wypatrywała, jakby na kogoś czekała.

Aleksander podniósł wzrok. Za Aksinią stała Tatiana, patrząc na niego swymi wyrazistymi, wiernymi oczami.

– Naprawdę, Tatiasza? – spytał, z trudem panując nad głosem. – Czekasz na kogoś?

– Już nie – odrzekła z uczuciem.

– A widzisz? – prychnęła Naina. – Mówiłam, że nie było żadnego romansu.

Tania usiadła obok Aleksandra.

– Tanieczko, chyba nie masz nic przeciwko temu, że o tobie plotkujemy, prawda? – spytała Naina. – Twój przyjazd to najciekawsza rzecz, jaka wydarzyła się w Łazariewie od lat. Spytajcie Wowy! – dodała ze śmiechem. – Mój wnuk się w niej podkochuje.

Aleksander spojrzał na Tatianę. Gdyby znalazł odpowiednie słowo, na pewno by je wypowiedział.

Przecież pragnął jedynie spędzić z nią dwie sekundy sam na sam. Dwie sekundy pełnej świadomości tego, co robi, wystarczyłaby nawet jedna. Czy to dużo? Nie, pełna świadomość nie wchodziła w rachubę, ale dlaczego nie mógł dotknąć jej ciepłego, zdrowego i odżywionego ciała?

Wyszedł zapalić i umyć się. Kiedy wrócił, chciał się spokojnie rozebrać i zdjąć buty. Zamiast tego ciągle słyszał: „Tanieczko, kochanie, podasz mi lekarstwo?” „Tanieczko, kochanie, poprawisz mi koc?” „Tanieczko, kochanie, przyniesiesz mi szklankę wody?”. Nie mógł dłużej czekać. Zdjął buty.

– Taniu… – Głowa opadła mu na stół i momentalnie zasnął.

Ktoś delikatnie nim potrząsał, ktoś delikatnie go głaskał. Było ciemno.

– Chodź, Szura. – To Tania. Próbowała dźwignąć go z ławy. – Chodź. Dasz radę wejść na piec? Wejdź, połóż się…

Stanął na płycie, wskoczył na ciepły piec i ponownie zasnął. Balansując na granicy świadomości, czuł, że Tatiana ściąga mu skarpetki, rozpina mundur, że zdejmuje mu pas. Poczuł dotyk jej miękkich warg na powiekach, na policzku i na czole. Coś delikatnie musnęło mu twarz. Pewnie jej włosy. Chciał się obudzić, ale nie mógł.

5

Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Późno, ósma rano. Poszukał wzrokiem Tatiany. Nigdzie jej nie było, ale cóż, leżał pod jej kocem, pod głową miał jej poduszkę. Uśmiechnął się, przewrócił na brzuch i wtulił w nią twarz. Pachniała mydłem, świeżością i nią.

Wyszedł na dwór. Był ciepły, słoneczny poranek. Świergotały ptaki, pachniały kwiaty wiśni i bez. Lato. Jak za czasów pokoju. A bzy go rozweseliły. Pod koniec wiosny na Polu Marsowym było ich pełno. Uwielbiał ten zapach. Ale jeszcze bardziej podobał mu się zapach oddechu Tatiany, gdy całowała go na dobranoc. Zapach bzów się do niego nie umywał.

W domu panowała cisza. Ochlapał się szybko i wyszedł jej poszukać. Właśnie wracała drogą, z dwoma cebrzykami ciepłego krowiego mleka; wiedział, że jest ciepłe, gdyż wetknął do cebrzyka palec. Miała rozpuszczone włosy i ślicznie zaróżowioną twarz. Tego ranka włożyła krótką, niebieską spódnicę i kusą białą bluzkę, która odsłaniała jej brzuch i podkreślała krągłość jędrnych piersi. Zobaczył ją i z wrażenia zamarło mu serce. Wziął od niej cebrzyki. Przez chwilę szli w milczeniu. Zaczynało mu brakować tchu.

– Pewnie teraz przyniesiesz wody ze studni.

– Teraz? – powtórzyła. – A czym myłeś twarz po goleniu?

– Po jakim goleniu?

– A zęby? – spytała z lekkim uśmiechem. – Zębów też nie myłeś?

Roześmiał się głośno.

– Tak, wiem, twoją wodą. – Zniżył głos. – Po śniadaniu pokażesz mi dom dziadków, dobrze? To daleko?

– Nie. – Miała nieprzeniknioną twarz.

Nie przywykł do tego. Musiał tę nieprzeniknioność rozproszyć.

– Hmm…

– Po co chcesz tam iść? Dom jest zamknięty.

– Weź klucz. Gdzie spałaś?

– Na werandzie. Było ci wygodnie? Chyba nie. Spałeś w mundurze. Nie mogłam cię obudzić i…

– A próbowałaś? – spytał z udawaną obojętnością.

– Niewiele brakowało, a musiałabym wystrzelić w powietrze z twojego pistoletu, żebyś wstał i wszedł na piec.

– Nigdy nie strzelaj w powietrze, Taniu. Kula leci do góry, ale zawsze spada. – Przypomniał mu się dotyk jej ust na powiekach i policzku. – Zdjęłaś mi skarpetki i pas – dodał z uśmiechem. – Szkoda, że tylko to.

– Nie mogłam cię podnieść. – Zaczerwieniła się i spuściła oczy. – Wczoraj sporo wypiłeś. Jak się czujesz?

– Świetnie. A ty?

– Hmm… – Zerknęła na niego ukradkiem. – Masz zapasowy mundur?

– Nie.

– Dzisiaj ci go wypiorę. Jeśli zostaniesz na dłużej, dam ci cywilne ubranie.

– A chcesz, żebym został?

– Oczywiście – odrzekła obojętnie. – Masz za sobą ciężką podróż. Nie ma sensu, żebyś

zaraz wracał.

– Taniu. – Podszedł jeszcze bliżej. – Już wytrzeźwiałem. Opowiedz mi o Dmitriju.

– Nie, nie mogę. Opowiem, ale…

– Rozmawiałem z nim dwa tygodnie temu. Twierdził, że nie widział was w Kobonie.

– Co ci powiedział?

– Nic. Spytałem go, czy widział ciebie albo Daszę, a on na to, że nie.

Tatiana pokręciła głową i spojrzała przed siebie.

– O, tak – szepnęła. – Widział mnie. I mnie, i Daszę.

Zadrżały mu ręce. Po ściance cebrzyka spłynęło kilka kropel mleka.

Szli, a on opowiadał o Leningradzie, o Hitlerze, o niemieckich stratach i o tym, że w całym mieście zasadzono warzywa.

– Wiesz, że przed soborem świętego Izaaka rosną teraz ziemniaki i kapusta? I żółte tulipany. Co ty na to?

– Świetnie – odrzekła z nieprzeniknioną miną.

Nie chciał, żeby się smuciła. Czy aż tyle spraw muszą wyjaśnić, zanim zdoła wykrzesać z niej choćby jeden uśmiech?

– A racje? – spytała ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Podwyższyli?

– Tak, do trzystu gramów na niepracujących i do sześciuset dla pracujących. Niedługo ma być biały chleb. Ci z rady miejskiej obiecali, że na wiosnę.

– Łatwiej jest wyżywić milion niż trzy miliony ludzi.

– Teraz już niecały milion. Ewakuują ich barkami przez Ładogę. – Zmienił temat. – Widzę, że w Łazariewie białego chleba nie brakuje. – Otaksował ją spojrzeniem. – Nie brakuje chyba niczego…

– A zmarłych? Pochowano?

Cicho westchnął.

– Nadzorowałem kopanie masowych grobów na Cmentarzu Piskariewskim.

– Masowych grobów?

– Tak. Wysadzaliśmy ziemię dynamitem.

– Boże, dlaczego?

– Taniu, przestań.

– Masz rację. Nie mówmy o tym. Zobacz. Już jesteśmy w domu. – Przyspieszyła kroku.

Rozczarowany Aleksander poszedł za nią.

– Pokażesz mi to ubranie? Chciałbym się przebrać.

Tania wbiegła do izby i nachyliła się nad czarnym kufrem. Już miała go otworzyć, gdy z sypialni dobiegł ich głos Dusi.

– Tanieczko, to ty?

Weszła Naina.

– Dzień dobry, skarbie. Nie poczułam zapachu kawy. Dlatego się obudziłam. Rano zawsze pachnie kawą, a dzisiaj nie pachniało.

– Zaraz zaparzę, Naino Michajłowno.

W progu sypialni stanęła Raisa.

– Tanieczko, złotko, pomożesz mi dojść do wychodka?

– Oczywiście. – Tania dopchnęła kufer do ściany i spojrzała na Aleksandra. – Potem ci pokażę.

– Nie, Tatiano – rzucił niecierpliwie. – Pokażesz mi teraz.

– Teraz nie mogę. Raisa sobie nie poradzi. Widzisz, jak się trzęsie? Usiądź i posiedź tu

sobie pięć minut, dobrze?

Boże, czyż nie wykazał wystarczająco dużej cierpliwości?

– Mogę siedzieć i godzinę. Wczoraj przesiedziałem cały wieczór.

Tania zagryzła wargę.

Aleksander ciężko westchnął.

– No dobrze. Masz moździerz i tłuczek? – Był w zbyt dobrym nastroju, za bardzo za nią szalał, żeby się długo gniewać. – Zetrę kawę, chcesz?

– Tak, dziękuję. Bardzo mi pomożesz. Dam ci kawałek gazy. – Zawahała się. – A mógłbyś rozpalić w piecu? Zaraz zrobię śniadanie.

– Oczywiście.

Tatiana zaprowadziła Raisę do wychodka. Potem podała jej lekarstwo.

Potem ubrała Dusię.

Potem posłała wszystkie łóżka, wreszcie usmażyła jajka z ziemniakami. Aleksander nie odrywał od niej wzroku. Gdy siedział przed domem, paląc papierosa, podeszła do niego z filiżanką kawy.

– Jaką pijesz?

– Kawę?

– Tak.

– Z gęstą, ciepłą i bardzo słodką śmietanką. – Przekrzywił głowę. – Zbierz ją z mleka w cebrzyku, z samego wierzchu. Tylko dużo. Bardzo dużo…

Filiżanka zabrzęczała na talerzyku.

Twarz Tani straciła całą nieprzeniknioność. Punkt dla niego.

Miał ochotę roześmiać się w głos, chwycić ją i przytulić.

Po śniadaniu pomógł jej sprzątnąć ze stołu. Gdy zanurzyła ręce w misce z mydlinami, patrzył na nią chwilę, po czym również włożył dłonie do wody i zaczął delikatnie pieścić jej palce.

– Co robisz? – szepnęła chrapliwie.

– Jak to co? – spytał niewinnie. – Pomagam ci zmywać.

– Kiepsko ci idzie. – Mimo to ręki nie zabrała i spojrzawszy jej w twarz, stwierdził, że welon smutku i bólu w jej oczach zaczyna powoli opadać. Podniecony, zafascynowany jej jasnymi włosami i brwiami, pieścił ją coraz śmielej.

– Naczynia będą lśnić czystością – powiedział, zerkając na cztery staruszki gawędzące w porannym słońcu ledwie kilka metrów dalej. Delikatnie, powoli, sunął palcami wzdłuż jej śliskich palców, zataczając kciukiem kręgi po wewnętrznej stronie otwartej dłoni. Tatiana miała rozchylone usta i szkliste oczy. Prawie przestała oddychać.

A w nim płonął ogień.

– Tatiu – szepnął. – Twoje piegi… Są takie śliczne, takie pod…

Jak spod ziemi wyrosła za nimi Aksinia. Uśmiechnęła się i uszczypnęła Tatianę w pośladek.

– To słońce ją tak wycałowało!

Niech to szlag, pomyślał Aleksander. Te baby wszystko słyszą! Kiedy Aksinia odwróciła się, by odejść, nachylił się szybko i pocałował Tanię w upstrzony piegami nosek. Jej palce wyślizgnęły się spomiędzy jego palców i nie wycierając rąk, Tatiana podeszła do kufra. Ruszył za nią, też z mokrymi rękami.

– A teraz? – spytał. – Czy to dobra pora na przymiarkę?

Tatiana wyjęła dużą, białą bawełnianą rozpinaną koszulę z krótkimi rękawami, zrobioną na drutach kamizelkę, koszulę lnianą i trzy pary wiązanych spodni z bielonego

lnu. Do tego dwa podkoszulki i krótkie spodenki z troczkami.

– Kąpielówki – wyjaśniła. – Co ty na to?

– Świetne – powiedział z uśmiechem. – Skąd je masz?

– Uszyłam.

– Sama?

Wzruszyła ramionami.

– Mama mnie nauczyła. To łatwe. Nie pamiętałam tylko twoich rozmiarów.

– Chyba jednak pamiętałaś. Taniu, uszyłaś to wszystko… dla mnie?

– Tak na wszelki wypadek. Nie wiedziałam, czy przyjedziesz, ale chciałam, żebyś miał coś wygodnego do noszenia.

– Len jest bardzo drogi – rzekł, mile połechtany.

– W „Jeźdźcu" było dużo pieniędzy. – Zagryzła wargę. – Kupiłam dla wszystkich drobne upominki.

Hmm. To nie sprawiło mu przyjemności.

– Dla Wowy też?

Skruszona uciekła wzrokiem w bok.

– Rozumiem. – Wrzucił ubranie do kufra. – Kupiłaś mu prezent za moje pieniądze?

– Tylko butelkę wódki i papie…

– Tatiano. – Wziął głęboki oddech. – Nie tutaj. Najpierw się przebiorę. Zaraz do ciebie przyjdę.

Włożył spodnie i białą koszulę; była trochę przyciasna w piersi, ale poza tym pasowała idealnie.

Kiedy wyszedł przed dom, staruszki aż zacmokały z zachwytu. Tatiana zbierała pranie do kosza.

– Powinnam była uszyć trochę większe. Ale ładnie ci. – Przełknęła ślinę i spuściła oczy. – Rzadko kiedy widywałam cię po cywilnemu.

Aleksander popatrzył wokoło. Spędzał z nią już drugi dzień i wciąż nie mógł się uwolnić od tych przeklętych staruszek, wyjaśnić, co ją gryzie, powiedzieć jej, co gryzie jego, nie wspominając już o tym, że nie miał ani jednej okazji, żeby ją wreszcie przytulić i pocałować. Miał tego dość.

– Tylko raz – odrzekł. – W Peterhofie. Pamiętasz Peterhof? – Wyciągnął do niej rękę. – Chodź. Pójdziemy na spacer.

Podeszła bliżej, lecz ręki mu nie podała. Nachylił się i chwycił ją za palce. Była tak blisko, że zakręciło mu się w głowie.

– Pokażesz mi drogę nad rzekę.

– Przecież ją znasz, byłeś tam wczoraj. – Zabrała rękę. – Szura, nie mogę, naprawdę nie mogę. Muszę wywiesić pranie, wyprać kilka rzeczy…

– Nie, chodźmy. – Pociągnął ją za sobą.

– Szura, proszę cię, nie!

Przystanął. Cóż to za nutka zabrzmiała w jej głosie? Gniewu? Nie. Strachu? Zajrzał jej w oczy.

– Co ci jest, Taniu? – Była zdenerwowana, drżały jej palce. Spuściła wzrok. Ujął w dłonie jej twarz. – Co się…

– Szura, błagam. – Próbowała odwrócić głowę i wówczas wszystko zrozumiał.

Zrobił krok do tyłu i rzucił jej lekki uśmiech.

– Taniu – powiedział łagodnie. – Chcę, żebyś pokazała mi dom dziadków. Rzekę. Pole. Łąkę. Głaz czy kamień, wszystko jedno co. Chcę, żebyś pokazała mi jakieś miejsce, gdzie

mielibyśmy odrobinę spokoju. Rozumiesz? To wszystko. Musimy porozmawiać, ale nie zamierzam rozmawiać w obecności twoich nowych przyjaciół. Ani rozmawiać, ani robić niczego innego. – Przestał się uśmiechać. – Dobrze?

Spuściła głowę jeszcze niżej.

– Świetnie. – Wziął ją za rękę. – Chodźmy.

– Tanieczko, dokąd idziesz? – zawołała Naina.

– Nazbierać jagód do ciasta! – odkrzyknęła Tatiana.

– Ale Tanieczko, co z praniem?

– Wrócisz do południa? – To Raisa. – Kto mi poda lekarstwo?

– Kiedy wrócimy? – spytała Tania.

– Kiedy wszystko sobie wyjaśnimy – odrzekł. – Powiedz jej. Powiedz: wrócę, kiedy Aleksander mnie uleczy.

– Chyba nawet ty mnie nie uleczysz – odparła zimno Tania.

Przyspieszył kroku.

– Zaczekaj. Muszę…

– Nie.

– Tylko… – Spróbowała wyszarpnąć rękę. Zacisnął palce. Spróbowała jeszcze raz.

– Taniu, ze mną nie wygrasz. Na pewno pokonasz mnie na wielu innych frontach, ale w walce wręcz zawsze będę lepszy. I dzięki Bogu, w przeciwnym razie miałbym poważne kłopoty.

– Taniu! – krzyknęła z oddali Naina. – Wowa zaraz przyjdzie! Co mu powiedzieć?

Tatiana podniosła głowę. Aleksander spojrzał na nią zimno i obojętnie wzruszył ramionami.

– Albo ja, albo pranie. Wybieraj. Wiem, że to trudne. Ja albo Wowa. – Puścił jej rękę. – To też trudny wybór? – Stali o krok od siebie. – No więc? Decyzja należy do ciebie.

– Że niedługo wrócę! – krzyknęła do Nainy. – Że zobaczymy się później. – Westchnęła i ruszyli przed siebie.

Szedł zbyt szybko, nie mogła za nim nadążyć.

– Zaczekaj.

Gniew kipiał w nim i skwierczał jak granat tuż przed wybuchem. Aleksander wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić i założyć z powrotem zawleczkę.

– Powiem ci coś już teraz, od razu. Jeśli chcesz uniknąć kłopotów, będziesz musiała powiedzieć Wowie, żeby się od ciebie odczepił.

Tania milczała. Aleksander przystanął i przyciągnął ją do siebie.

– Słyszysz? – spytał, podnosząc głos. – A może chcesz, żebym ja się od ciebie odczepił? Jeśli tak, powiedz mi to teraz, natychmiast.

Ani nie podniosła wzroku, ani się nie cofnęła.

– Przepraszam. Nie denerwuj się. Nie chcę go zranić, to wszystko.

– Właśnie – syknął. – Innych oszczędzasz, ranisz tylko mnie.

– Nieprawda. – Spojrzała na niego z posępnym wyrzutem. – Wszystkich, tylko nie ciebie.

Nie zamierzał tak tego zostawiać.

– Co to, do diabła, znaczy? – Ścisnął ją za ramię. – Tak czy inaczej, jeśli mamy się wreszcie dogadać, Wowa będzie musiał dać ci spokój, i to na dobre.

Nieśmiało uwolniła ramię.

– Nie wiem, dlaczego tak się nim przejmujesz.

– Taniu, jeśli uważasz, że nie ma powodu, udowodnij mi, że się mylę. Nie zamierzam

się w to bawić. Nie tutaj. Nie w Łazariewie. Nie z obcymi, rozumiesz? Nie będę oszczędzał jego uczuć, Wowa to nie Dasza. Albo ty mu powiesz, i tak byłoby najlepiej, albo powiem mu ja, ale wtedy będzie znacznie gorzej.

Tatiana zagryzła wargę. Milczała.

– Nie chcę się z nim bić. I nie chcę udawać przed Zojką, która cały czas się o mnie ociera. Miałbym to robić tylko po to, żeby nie burzyć spokoju tego domu? Ani mi się śni.

To ją poruszyło.

– Zojka się o ciebie… ociera? – Pokręciła głową. – Wowa tego nie robi.

– Nie? – Miał przyspieszony oddech. Ona też. I wtedy Aleksander leciutko się o nią otarł. – Powiesz mu, żeby zostawił cię w spokoju. Słyszysz?

– Tak – odrzekła cichutko i poszli dalej. – Ale szczerze mówiąc – dodała jeszcze ciszej – Wowa to najmniejszy kłopot.

Skręcili na drogę.

– Dokąd idziemy?

– Przecież chciałeś zobaczyć dom dziadków.

Aleksander odetchnął i roześmiał się smutno.

– Co cię tak rozbawiło? – Jej też nie było do śmiechu.

– Wiesz, nie przypuszczałem, że to możliwe. Nie po tym, co widziałem przy Piątej Radzieckiej. Ale jakimś cudem znowu ci się udało.

– Niby co mi się udało? – spytała zadziornie.

– Powiedz mi, jak ty to robisz? – warknął. – Przecież ci ludzie są jeszcze bardziej wygodniccy i samolubni niż twoja rodzina!

– Nie mów tak o mojej rodzinie, dobrze?

– Dlaczego tak się do ciebie garną? Możesz mi to wytłumaczyć?

– Ani myślę.

– Dlaczego dajesz się wciągać w ich życie?

– Nie zamierzam o tym rozmawiać. Jesteś złośliwy.

– Cholera jasna! – wykrzyknął. – Czy ty masz w tym domu chociaż chwilę spokoju? Chociaż jedną krótką chwilkę?

– Nie! I dzięki Bogu.

Resztę drogi przeszli we wrogim milczeniu. Minęli łaźnię, dom wiejskiej rady narodowej, maleńką chatkę z napisem „Biblioteka” nad drzwiami i mały budynek ze złotym krzyżem na białej kopule.

Weszli do lasu, skręcili w wąską ścieżkę prowadzącą do rzeki i w końcu dotarli do szerokiej polany na łagodnym stoku. Na polanie rosły wysokie sosny i pochylone brzozy, a w dole, za rzędem topól i głazów, skrzyła się Kama.

Po lewej stronie stała drewniana chatka. Z boku miała niewielkie zadaszenie, które służyło za drewutnię, tylko że teraz nie było tam drewna.

– Hmm… – Aleksander obszedł dom trzydziestoma długimi krokami. – Duży to on nie jest.

– Mieszkali tu tylko we dwoje. – Żeby obejść chatkę wraz z nim, Tania musiała zrobić pięćdziesiąt kroków.

– Czekali na wnuczki i wnuka. Gdzie by was pomieścili?

– Nigdzie. A jak mieścimy się w domu Nainy Michajłownej?

– Z trudem. – Wyjął z plecaka saperkę i zaczął podważać deski w oknach.

– Co ty robisz?

– Chcę zobaczyć, co jest w środku.

Tania zeszła na piaszczysty brzeg, usiadła, zdjęła sandały i zanurzyła stopy w wodzie. On zapalił papierosa i wziął się do roboty.

– Masz klucz? – zawołał.

Tatiana milczała. Miał tego dość. Podszedł bliżej.

– Tatiano, mówię do ciebie. Pytałem, czy przyniosłaś klucz.

– Już ci odpowiedziałam – warknęła. – Nie!

– Świetnie. – Wyjął z kabury pistolet i trzasnął zamkiem. – Skoro nie masz klucza, rozwalę tę cholerną kłódkę w drobny mak.

– Zaczekaj! Zaczekaj! – Zdjęła z szyi sznurek z kluczem. – Masz, łap. – Odwróciła głowę. – Tu nie ma wojny. Nie musisz wszędzie tego nosić.

– Owszem, muszę. – Zawrócił i zerknął za siebie. Jej jasne włosy, jej nagie plecy, jej ramiona… Schował klucz do kieszeni i z pistoletem w jednej i z saperką w drugiej ręce, wszedł w butach do wody. Stanął przed nią z szeroko rozstawionymi nogami i rzucił:

– No dobra. Zaczynajmy.

– Co zaczynajmy? – Cofnęła się podpierając rękami i usiadła nieco dalej.

– Nie wiesz?! – wykrzyknął. – Dlaczego jesteś zła? Co zrobiłem? Czego nie zrobiłem? Czego nie dopilnowałem, a z czym przesadziłem? Powiedz. Zamieniam się w słuch.

– Dlaczego tak do mnie mówisz? – Zerwała się na równe nogi. – Nie masz prawa być na mnie zły!

– A ty nie masz prawa być zła na mnie! Taniu, tracimy tylko cenny czas. Zresztą bardzo się mylisz. Mam prawo być zły, ale w przeciwieństwie do ciebie, cieszę się, że żyjesz i jestem szczęśliwy, że cię widzę.

– Ty dałeś mi więcej powodów do złości… – Urwała. – Ja też się cieszę, że żyjesz. – Spuściła głowę. – I jestem szczęśliwa, że przyjechałeś.

– Otoczyłaś się tak wysokim murem, że zupełnie tego nie widać. Czy nie dociera do ciebie, że od pół roku nie miałem od was żadnej wiadomości? Od pół roku! – powtórzył podniesionym głosem. – Myślałem, że nie żyjecie!

– Nie wiem, co myślałeś. – Ominęła go wzrokiem i spojrzała na rzekę.

– To ci powiem, żeby wszystko było jasne. Przez pół roku nie wiedziałem, co się z wami dzieje, tylko dlatego, że nie chciało ci się wziąć pióra do ręki!

– A ja nie wiedziałam, czy chcesz, żebym do ciebie napisała. – Tania podniosła dwa kamyki i wrzuciła je do wody.

– Nie wiedziałaś? – Czy ona kpi? – Co ty pleciesz? Taniu, to ja, Aleksander! Nie pamiętasz mnie? Nie wiedziałaś, że czekam na wiadomość? Że się o ciebie niepokoję? Uznałaś, że nie warto pisać do mnie o śmierci Daszy?

Drgnęła, jakby uderzył ją w twarz.

– Nie zamierzam rozmawiać z tobą o Daszy! – Ruszyła w górę stoku.

Poszedł za nią.

– Jeśli nie ze mną, to z kim? Może z Wową?

– Lepiej już z nim niż z tobą!

– Wspaniale! Cudownie! – Próbował się opanować, lecz czuł, że jeśli Tatiana nie przestanie tak mówić, opuści go cały rozsądek.

– Nie napisałam do ciebie, bo myślałam, że Dmitrij wszystko ci powie. Obiecał, że powie, więc sądziłam, że wiesz. – Chyba czegoś nie dopowiedziała, lecz Aleksander był zbyt wzburzony, żeby to zauważyć.

– Myślałaś, że mi powie? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Tak! – warknęła wojowniczo.

– I dlaczego nie napisałaś?! – wrzasnął, podchodząc bliżej i górując nad nią jak wielkolud nad karzełkiem. – Cholera jasna! Nie sądzisz, że za cztery tysiące rubli mogłaś napisać chociaż jeden cholerny list? Że na to zasługuję? Mogłaś kupić pióro i papier, a nie wódkę i papierosy dla swego wiejskiego kochanka!

– Schowaj to! – krzyknęła. – Nie waż się podchodzić do mnie z tym żelastwem w ręku!

Cisnął na ziemię pistolet i saperkę i ruszył na nią jak taran. Cofnęła się, lecz on przystanął. Dzieliło ich ledwie pół kroku.

– Co ci jest, Taniu? Czyżbym cię przytłaczał? Stoję za blisko? – Nachylił się ku niej. – Czyżbyś się mnie bała? – dodał zjadliwie.

– Tak! Tak! Tak!

Chwycił garść kamyków i rzucił je do rzeki z taką siłą, że woda aż zakipiała.

Przez dobrą minutę milczeli, ciężko dysząc. Aleksander czekał, aż Tatiana coś powie, a gdy się nie odezwała, spróbował wskrzesić atmosferę chwil, gdy byli razem, tylko we dwoje, pod Kirowem, w Łudze i w soborze Świętego Izaaka.

– Kiedy tu przyjechałem, kiedy mnie zobaczyłaś… – Urwał. – Byłaś bardzo szczęśliwa.

– Tak? – spytała podniesionym głosem. – Co mnie zdradziło? To, że szlochałam?

– Myślałem, że płaczesz ze szczęścia.

– Tak dobrze się na tym znasz?

Zastanawiał się, czy to nie jakaś aluzja, lecz był zbyt zdenerwowany, żeby trzeźwo myśleć.

– Co wtedy powiedziałem?

– Nie pamiętam.

– Czy musimy się bawić w zgadywanki? – warknął. – Nie możesz po prostu odpowiedzieć? – Tatiana uparcie milczała. Aleksander westchnął. – Spytałem tylko, gdzie jest Dasza.

Tania objęła się wpół, jakby uderzył ją w brzuch.

– Jeśli jesteś nieszczęśliwa dlatego, że przypominam ci chwile, o których wolałabyś zapomnieć, możemy się z tym uporać…

– Gdyby tylko…

– Zaczekaj! Powiedziałem „jeśli”. Ale jeżeli masz inne powody… – Tania mocno drżała, była bardzo zdenerwowana. Zniżył głos, rozłożył ręce i spojrzał na nią czule. – Posłuchaj, a może zrobimy inaczej: ja wybaczę tobie, że nie napisałaś, a ty wybaczysz mnie, że zrobiłem coś, co cię tak dręczy.

– Zdajesz sobie sprawę, ile rzeczy mnie dręczy? Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

Po jej smutnych, urażonych oczach poznał, że Tania nie kłamie.

Oczy. Jej oczy. Były to te same oczy, w które patrzył przy Piątej Radzieckiej, gdy krzyczała, że wybaczyłaby mu obojętną minę, lecz nie obojętne serce. Myślał, że mają to już za sobą. Przecież jego serce biło tylko dla niej, przecież nosił je niczym medal na piersi. Czyż nie skończyli już z kłamstwami i niedomówieniami?

Co się zdarzyło później, po rozmowie na ulicy?

Potem była już tylko śmierć. Nigdy tej sprzeczki nie załagodzili. Ani tego, co ją poprzedzało. Ani tego, co nastąpiło później.

A przez te wszystkie wydarzenia przewijała się Dasza, którą Tania próbowała uratować, i której nie uratowała. Którą on również próbował uratować, i której uratować nie zdołał.

– Taniu, masz do mnie pretensje o to, że chciałem ożenić się z Daszą?

Tatiana nie odpowiedziała.

Tuś mi, bratku.

– Dlatego, że napisałem do niej ten list?

Tania wciąż milczała.

Mam cię.

– Czy sąjeszcze inne powody?

Pokręciła głową.

– Mówisz tak, jakby była to jakaś drobnostka, coś trywialnego, zupełnie nieistotnego. Gardzisz moimi uczuciami, sprowadzasz je do głupich „pretensji”.

– Nieprawda – odrzekł zaskoczony. – Nigdy nie gardziłem twoimi uczuciami i nie gardzę. Drobnostka? Nie, ale przecież to już minęło…

– Nie! – krzyknęła. – Nie minęło! To wciąż żyje, we mnie i wszędzie dokoła! Teraz mieszkam tutaj, w Łazariewie, a w Łazariewie wszyscy czekali, aż przyjedziesz, żeby ożenić się z moją siostrą! Nie tylko staruszki, ale dosłownie wszyscy. Słyszałam to codziennie, przy każdym obiedzie, przy każdej kolacji, na każdym spotkaniu kółka krawieckiego. Dasza i Aleksander. Dasza i Aleksander. Biedna Dasza, biedny Aleksander! – Zadrżała. – I ty mówisz, że wszystko minęło?

– Taniu, ale czy to moja wina?

– A czyja? Ich? To oni poprosili Daszę o rękę?

– Mówiłem ci, chciałem się z nią ożenić tylko dlatego…

– Dość tych gierek, nie rób sobie żartów. Obiecałeś jej, że latem się pobierzecie.

– Zapomniałaś już dlaczego? – warknął.

– Przestań! W soborze uzgodniliśmy, że będziemy trzymać się od siebie z daleka, ale ty nie mogłeś, nie wytrzymałeś, dlatego postanowiłeś ożenić się z moją siostrą!

– Ale Dmitrij dał ci potem spokój, prawda? – spytał posępnie.

– Gdybyś przestał do nas przychodzić, też dałby mi spokój!

– Ciekawe, co byś wolała?

Spojrzała na niego zdumiona i znieruchomiała.

– Pytasz poważnie? – spytała z rozszerzonymi oczami. – Naprawdę pytasz, co bym wolała?

– Tak! U Świętego Izaaka byłaś gotowa mnie błagać, żebym cię nie zostawiał. Nie mydl mi oczu. Teraz łatwo ci powiedzieć.

– Łatwo? Tak myślisz? – Rozsierdzona, zaczęła chodzić w kółko tak szybko, że niemal wirowała. Sadząc długie kroki, z trudem za nią nadążał i zaczynało mu się kręcić w głowie.

– Przestań! – krzyknął. – Przestań tak chodzić! – Tania zatrzymała się. – Rozumiem. Najpierw ustalasz zasady, a potem nie podoba ci się, że według nich postępuję, tak? Naucz się z tym żyć!

– Ja z tym żyję! Żyję z tym od dnia, kiedy cię poznałam!

– Aaaa! – wrzasnął. – Więc o to chcesz się kłócić! O to? Tej kłótni nie wygrasz, bo to woda na mój młyn!

– Nie chcę tego słuchać!

– No jasne!

– Obiecałeś Daszy, że się z nią ożenisz. Dasza powiedziała o tym babci, babcia wszystkim sąsiadom. Napisałeś list. W liście też obiecywałeś, że do niej przyjedziesz i że się pobierzecie. Słowa mają swoją wagę. Nawet słowa kłamliwe.

Ciekawe. Dlaczego miał wrażenie, że Tatiana wcale nie mówi o Daszy?

– Skoro tak bardzo cię to wzburzyło, dlaczego do mnie nie napisałaś? Dlaczego nie powiedziałaś: „Aleksandrze, Dasza umarła, ale ja przeżyłam i czekam”? Przyjechałbym wcześniej. Oszczędziłabyś mi sześciu miesięcy niepewności i lęku o ciebie!

– Po twoim liście do Daszy? – spytała z niedowierzaniem. – Miałabym do ciebie pisać i prosić, żebyś przyjechał do Łazariewa? Myślałeś, że po tym liście o cokolwiek cię poproszę? Musiałabym być idiotką albo… – Urwała.

– Albo?

– Albo dzieckiem.

Aleksander wziął głęboki oddech.

– Och, Taniu…

Cofnęła się o krok.

– Te gry, w które grają dorośli, te wszystkie kłamstwa. Jesteście w tym dobrzy. – Spuściła głowę. – Dla mnie aż za dobrzy.

Tak bardzo pragnął jej dotknąć. Jej usta, jej gniew, jej twarz… Tak bardzo pragnął tulić ją i całować.

– Taniu… – szepnął, wyciągając do niej ręce. – O czym ty mówisz? Jakie gry? Jakie kłamstwa?

– Po co przyjechałeś? – spytała chłodno.

Omal nie zadławił się słowami.

– Jak możesz o to pytać?

– Mogę, bo w ostatnim liście napisałeś, że przyjedziesz ożenić się z Daszą. Że bardzo ją kochasz. Że jest kobietą twego życia. Że nikt, tylko ona. Czytałam ten list. Dokładnie tak napisałeś. A pamiętasz, co powiedziałeś nad Ładogą? Pamiętasz swoje ostatnie słowa? Nigdy mnie…

– Tatiano! – krzyknął, czując, że granat znów jest odbezpieczony. – Co ty, do diabła, bredzisz? Przecież kazałaś mi kłamać! Kłamać do samego końca! Już zapomniałaś? Już w listopadzie chciałem, żebyśmy powiedzieli jej prawdę. A ty? Nie! Kłam, Szura, kłam, kłam! Ożeń się z nią, ale obiecaj, że nie złamiesz jej serca! Pamiętasz?

– Tak, i spisałeś się na medal – odparła lodowato. – Tylko czy musiałeś być aż tak przekonujący?

Przeczesał ręką włosy.

– Przecież wiesz, że kłamałem.

– Kiedy? – spytała gniewnie, bez lęku podchodząc bliżej. – W którym momencie? Kiedy mówiłeś, że się z nią ożenisz? Że ją kochasz? Kiedy?

– Na miłość boską! Co miałem odpowiedzieć? Przecież umierała! Leżała w twoich ramionach i umierała!

– Odpowiedziałeś tak, jak kazało ci odpowiedzieć zakłamanie.

– Oboje byliśmy zakłamani! – krzyknął, mając ochotę wyrwać jej włosy z głowy. – I ty, i ja! Przez ciebie! Wszystko przez ciebie, bo dobrze wiesz, że tak nie myślałem!

– Miałam taką nadzieję – odrzekła gniewnie. – Ale czy nie możesz zrozumieć, że przez całą drogę do Mołotowa nie słyszałam niczego innego? Że słyszałam te słowa, idąc przez zamarzniętą Wołgę, walcząc o każdy oddech w szpitalu? Nie możesz tego zrozumieć?

Teraz też z trudem oddychała, a on patrzył na nią, trawiony wyrzutami sumienia.

– Jakoś bym to przeżyła. Niewiele mi potrzeba. Wystarczyłaby odrobina pocieszenia. – Zacisnęła pięści i spojrzała na niego z urazą w oczach. – Ale tak, pragnęłam czegoś tylko dla siebie – dodała drżącym głosem. – Mogłeś mi to dać, a potem powiedzieć jej to, co

musiałeś! Chciałam, żebyś choć raz na mnie spojrzał, żebyś dał mi do zrozumienia, że to nic, że tak trzeba, żebym w ciebie uwierzyła. Ale nie. Potraktowałeś mnie jak zwykle. Jakby mnie tam wcale nie było.

Aleksander pobladł.

– Co ty mówisz? To nieprawda, nigdy cię tak nie traktowałem! Ukrywałem swoje uczucia, to nie to samo!

– Aaaa, cóż za wyrafinowana różnica, zwłaszcza dla dziewczyny takiej jak ja. Skoro tak dobrze potrafisz ukrywać uczucia nawet przede mną, może jednak kochałeś Daszę? Może potrafiłbyś kochać Marinę, Zojkę, każdą dziewczynę, z którą kiedykolwiek byłeś? Może właśnie tak postępują dorośli mężczyźni? Kiedy są z dziewczyną sam na sam, traktują ją jak swoją wybrankę, ale publicznie do niczego się nie przyznają, wszystkiemu bez wahania zaprzeczają. – Zwiesiła głowę.

– Czyś ty zwariowała?! Zapomniałaś już, że jedyną osobą, która nie dostrzegała prawdy, była twoja ślepa siostra? Marina rozgryzła nas w pięć minut! Chociaż nie, nie tylko twoja siostra. Twoja siostra i ty, Taniu.

– Dasza nie dostrzegła prawdy? – Jeszcze mocniej zacisnęła pięści i podeszła bliżej. – Jakiej prawdy? Ja nie potrafiłam, nie umiałam tak dobrze kłamać. Ale ty jesteś mężczyzną. Ty umiałeś. Wyparłeś się mnie słowami, swoim ostatnim spojrzeniem. Przez jakiś czas wydawało mi się, że tak jest dobrze, że tak trzeba. Bo niby co mogłeś do mnie czuć? Po Leningradzie? Po tym piekle? – Zamilkła, ciężko dysząc. – Mimo to tak bardzo pragnęłam wierzyć! Dlatego kiedy napisałeś do Daszy, otworzyłam list z nadzieją, że się myliłam, że znajdę tam coś dla siebie. Chociaż jedno słowo, jedną sylabę przeznaczoną tylko dla mnie, rozumiesz? Tak rozpaczliwie pragnęłam dowodu na to, że moje życie nie było jednym wielkim łgarstwem! Jednego słowa! – krzyknęła, bijąc go pięściami w pierś. – Rozumiesz?!

Próbował przypomnieć sobie, co w tym liście napisał. Nie pamiętał.

Nie pamiętał nic. Objął ją i przytulił. Biła go, szarpała, próbowała mu się wyrwać, wreszcie się rozpłakała.

– Taniu, proszę. Przecież wiedziałaś, jak cierpię…

– Wiedziałam? – Wyślizgnęła się z jego ramion i krzyknęła: – Skąd miałam wiedzieć? Skąd?!

– Nie wyczułaś tego?

– A ty?

– Co ja? – wrzasnął. – Nie domyślałaś się, co czułem, obejmując cię przed tą nieszczęsną ciężarówką i błagając, żebyś przeżyła? Żebyś przeżyła dla mnie?!

– Skąd mam wiedzieć, czy nie mówiłeś tego każdej dziewczynie, którą wyprawiałeś na drugi brzeg Ładogi?

– Boże, Taniu…

– Nie znam innych mężczyzn. Nie umiem grać, udawać i kłamać. – Spuściła głowę. – Ilekroć byliśmy sam na sam, byłeś dla mnie dobry, czuły, i nagle dowiaduję się, że żenisz się z Daszą. Nad Ładogą mówisz jej, że mnie nie kochasz i nigdy mnie nie kochałeś. Potem, nawet na mnie nie spojrzawszy, wysyłasz nas na niemal pewną śmierć, znikasz i przez pół roku milczysz, przez pół roku nic do mnie nie piszesz. Czy dziewczyna taka jak ja mogła domyślić się prawdy? Przecież całe moje życie składało się tylko z kłamstw! Z twoich przeklętych kłamstw!

– Przestań! – krzyknął. – Zapomniałaś już, co było u Świętego Izaaka?

– Ile dziewczyn tam zwabiłeś?

– A Ługa? Ługi też nie pamiętasz?

– Byłam damą w potrzebie – ucięła zjadliwie. – Dmitrij mówił, że uwielbiasz pomagać biednym dziewczętom.

Aleksander czuł, że zaraz wybuchnie.

– A jak myślisz, po jaką cholerę przychodziłem na Piątą Radziecką i przynosiłem wam jedzenie? Dla kogo to robiłem?

– Nie twierdzę, że nie wzbudzałam w tobie litości.

– Litości?! – wrzasnął. – Kurwa mać, litości?!

Tatiana założyła ręce i odważnie podniosła głowę.

– Tak, litości.

– Wiesz co? – warknął, miażdżąc ją wzrokiem. – Litość byłaby dla ciebie zbytnim luksusem. Oto cena, którą płacisz za życie w zakłamaniu. Ale widzę, że ci to nie w smak, prawda?

– Żebyś wiedział! – Stała przed nim niczym mur, nie cofnęła się ani o centymetr. – Bo bardzo cierpię! A ty? Po co tu przyjechałeś? Żeby mnie jeszcze bardziej dobić?

– Przyjechałem, bo nie wiedziałem, że Dasza nie żyje! Bo nie chciało ci się wziąć do ręki pióra!

– A jednak – skonstatowała spokojnie. – Przyjechałeś ożenić się z Daszą. Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu?

Aleksander bezsilnie zacisnął piersi i odwrócił głowę.

– Za dużo kłamstw, co? – rzuciła zjadliwie. – Zaczynają ci się plątać.

– Przekręcasz fakty, Tatiano. Od samego początku proponowałem, żebyśmy powiedzieli Daszy prawdę, żebyśmy przestali się ukrywać. Porozmawiajmy z nimi, mówiłem. Wyznajmy prawdę i ponieśmy konsekwencje. To ty powiedziałaś „nie”. Uważałem, że postępujemy źle, ale mimo to powiedziałem: dobrze, zgoda…

– Nieprawda! Gdyby tak było, nie przychodziłbyś codziennie do Kirowa wbrew mojej woli!

– Wbrew twojej woli? – Aż się zachwiał.

Westchnęła.

– To niewiarygodne. Jesteś wysoki, przystojny, prowadzisz ciekawe życie, nosisz wielki karabin: która ci się oprze? Uważasz, że co? Że jeśli ja, niedoświadczona siedemnastoletnia dziewczyna, rozdziawiłam na twój widok usta, to masz już prawo żenić się z moją siostrą? Że skoro jestem tak młoda, to nie złamiesz mi serca? Że niczego od ciebie nie potrzebuję? Że możesz bez końca brać, brać i brać?

– Wiem, że potrzebujesz – syknął przez zaciśnięte zęby. – Wiem też, że nie tylko brałem.

– Ale tego mi nie odebrałeś! – krzyknęła. – Bo na to nie zasługujesz!

Podszedł bliżej.

– To też mógłbym ci odebrać.

Podniosła ręce i odepchnęła go ze wszystkich sił.

– Pewnie! Śmiało! Dobij mnie! Na co czekasz?!

– Przestań mnie odpychać!

– Przestań mi grozić! I trzymaj się ode mnie z daleka!

– Nie doszłoby do tego, gdybyś mnie posłuchała. Powiedzmy im, mówiłem…

– A ja mówiłam, że siostra jest dla mnie ważniejsza niż twoje potrzeby, których nie rozumiałam. Twoje i moje, bo swoich też nie rozumiałam. Chciałam tylko, żebyś uszanował moją prośbę. Ale nie! Przychodziłeś do nas i przychodziłeś, i kawałek po

kawałku rozdarłeś mi serce na strzępy. Jakby tego było mało, przyszedłeś i do szpitala, żeby zadręczyć mnie jeszcze bardziej, a potem zwabiłeś mnie do soboru Izaaka, żeby ostatecznie mnie dobić!

– Nieprawda!

– Prawda! I dobrze o tym wiedziałeś! A kiedy już zyskałeś pewność, że mnie masz, że moje serce należy tylko do ciebie, pokazałeś mi, ile dla ciebie znaczę, prosząc o rękę moją rodzoną siostrę!

– A co myślałaś? – krzyknął. – To są skutki życia w zakłamaniu, skutki kretyńskiej bierności. Tego, że nie walczy się o swoje, że zdradza się ukochanego czy ukochaną! Wiesz, co się wtedy dzieje? Ludzie żyją dalej. Żenią się, wychodzą za mąż i mają dzieci z kimś innym. I właśnie takiego życia chciałaś! Życia w kłamstwie!

– Nieprawda! Żyłam prawdą! Jedyną prawdą, jaką znałam! Miałam rodzinę i nie chciałam poświęcać jej dla ciebie! Tylko o to walczyłam.

Aleksander nie wierzył własnym uszom.

– Taniu, a inna prawda? Innej nie było?

Zamrugała i spuściła głowę.

– Była. Nie odepchnęłam cię, ale jak mogłam? Byłam… Weszłam w to świadomie, z szeroko otwartymi oczami. Miałam nadzieję, że będziesz bystrzejszy, ale ty bystrzejszy nie byłeś, więc trwałam przy tobie wierząc, że nigdy mnie nie zostawisz. Oddałabym ci wszystko, absolutnie wszystko, pragnąc dla siebie tak niewiele. – Wyparowała z niej cała śmiałość. – Wystarczyłoby, żebyś wyznając miłość Daszy, choć raz na mnie spojrzał. Wystarczyłoby, żebyś pisząc do niej miłosny list, wspomniał w nim o mnie chociaż jednym słowem. Ale ty nic do mnie nie czułeś, ty uważałeś, że nie potrzebuję nawet tego…

– Tatiano! – wrzasnął. – Możesz mnie oskarżać, o co chcesz, ale nie waż się mówić, że nic do ciebie nie czułem! Nie waż mi się tego wmawiać! Ani mnie, ani sobie! Wszystko, co zrobiłem w tym zasranym życiu, zrobiłem tylko dlatego, że czułem do ciebie to, co czułem! Jeśli w tej chwili nie przestaniesz bredzić, przysięgam Bogu, że…

– Przepraszam… – szepnęła, ale było już za późno.

Chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął. Była taka bezbronna, taka delikatna i krucha. Miotany gniewem i pożądaniem, dręczony wyrzutami sumienia, odepchnął ją mocno, zaklął, podniósł plecak i ruszył pędem w górę stoku.

6

Próbowała go dopędzić.

– Szura! – wołała. – Zaczekaj! Proszę!

Na próżno. Zniknął w lesie.

Pobiegła do domu. Jego rzeczy wciąż tam były, lecz on nie wracał.

– Co się stało, Tanieczko? – spytała Naina Michajłowna; niosła właśnie koszyk pomidorów.

– Nic, nic – odrzekła Tania, ciężko dysząc. Wzięła od niej koszyk.

– Gdzie Aleksander?

– W domu dziadków. Odbija deski z okien.

– Oby tylko przybił je z powrotem – mruknęła Dusia znad Biblii. – Ale po co on to robi?

– Nie wiem. – Tatiana odwróciła się, żeby staruszki nie zobaczyły jej twarzy. – Podać lekarstwo, Raiso?

– Tak, poproszę.

Podała jej lekarstwo, po którym Raisa trzęsła się tak samo jak przedtem, poskładała pranie, a potem – bojąc się, że Szura odejdzie – ukryła za domem jego namiot i karabin. Nie mając nic pilniejszego do roboty, poszła nad rzekę i wyprała na tarze jego mundur.

Aleksander wciąż nie wracał.

Poszła do lasu, nazbierała pełen hełm czarnych jagód, upiekła ciasto i zrobiła kompot.

Aleksandra wciąż nie było.

Nałapała ryb i ugotowała uchę. Wspomniał kiedyś, że bardzo lubi uchę.

Aleksander nie wracał.

Obrała ziemniaki, starła je i upiekła placki.

Przyszedł Wowa. Przyszedł i spytał, czy nie poszłaby z nim popływać. Odmówiła. Siadła do maszyny i uszyła dla Szury nową, nieco większą koszulę bez rękawów.

A Szura wciąż nie wracał.

Dlaczego uciekł? Dlaczego nie został do końca sprzeczki? Ona została, dlaczego nie mógł zostać on? Bała się, lękała, mimo to zamierzała wyjaśnić wszystko do ostatka, nie bacząc na jego wybuchowy temperament.

Szósta. Pora iść do łaźni. Zostawiła mu list.

Drogi Szura. Jeśli jesteś głodny, zjedz zupę i placki. Jesteśmy w łaźni. Albo zaczekaj na nas, to zjemy razem. Dałam ci nową kołdrę. Jest większa, w sam raz dla Ciebie. Tania.

W łaźni długo myła się i szorowała. Dla niego.

Siostra Wowy spytała ją, czy Aleksander pójdzie z nimi na ognisko.

– Nie wiem. Musisz spytać jego.

– Hmm, jest strasznie pociągający – wymruczała Zoja, kołysząc wielkimi piersiami. – Myślisz, że bardzo przeżywa śmierć Daszy?

– Bardzo.

– Może trzeba go trochę pocieszyć?

Tatiana spojrzała jej prosto w oczy. Ty głupia. Nie masz pojęcia, czym go można pocieszyć.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Pewnie, niby skąd miałabyś wiedzieć? Nieważne. – Zoja roześmiała się i poszła się przebrać.

Tania wytarła się i rozczesała włosy. Włożyła miękką, bawełnianą sukienkę w niebieski wzorek, którą własnoręcznie uszyła; była obcisła, krótka, a na plecach miała szerokie rozcięcie. Wyszły. Przed łaźnią czekał na nie Aleksander. Tatianie ulżyło. Popatrzyła na niego, lecz nie mogąc rozszyfrować jego miny, szybko odwróciła wzrok.

– Jest! – wykrzyknęła Naina. – Nareszcie! – Gdzieś ty był cały dzień?

– Jak tam okna? – spytała Dusia.

– Okna? – burknął. – Jakie okna?

– W domu Wasilija. Tania mówiła, że pozdejmowałeś wszystkie deski.

– Tak. – Nie odrywał wzroku od Tatiany, która próbowała ukryć się za Raisą.

– Jesteś głodny? – spytała cichutko. – Jadłeś coś? – Chciała mówić głośniej, lecz nie mogła.

Aleksander bez słowa pokręcił głową.

Powoli ruszyli do domu. Aksinia wzięła go pod rękę. Podeszła do nich Zoja i spytała, czy chciałby pójść z nimi na ognisko.

– Nie – mruknął i nachylił się ku Tatianie. – Co zrobiłaś z moimi rzeczami?

– Wszystko schowałam – odszepnęła z mocno bijącym sercem. Chciała go dotknąć, ale bała się, że Szura znowu wybuchnie i że pokłócą się na oczach całej wsi.

– Tania robi bardzo dobrą uchę – powiedziała Naina. – Lubisz uchę?

– A jej ciasto z jagodami! – zapiszczała Dusia. – Pyszności!

– Dlaczego? – szepnął.

– Co dlaczego? – nie zrozumiała Dusia.

– Nic, nic, nieważne.

Doszli do domu i Tatiana zaczęła nakrywać do stołu. Zerknęła na swoje łóżko, żeby sprawdzić, czy przeczytał list i wziął nową koszulę. List zniknął, lecz koszula leżała tam, gdzie przedtem.

Wszedł Aleksander. Staruszki siedziały na werandzie.

– Gdzie moje rzeczy?

– Szura…

– Przestań – warknął. – Oddaj mi namiot i karabin, zaraz wyjeżdżam.

– Aleksandrze, pozwól na chwilę, możesz? – zawołała Naina. – Nie mogę wyciągnąć korka.

Szura poczłapał na werandę. Ręce drżały Tatianie bardziej niż Raisie. Upuściła blaszany talerz. Głośno zabrzęczał i znieruchomiał na podłodze. Przyszedł Wowa. Na werandzie zrobiło się gwarno i wesoło. Aleksander wrócił do izby. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Tania powstrzymała go gestem ręki. W progu stał Wowa.

– Pomóc ci, Tatiusza? Zanieść coś na stół?

– Nie, dziękuję. Możesz mnie na chwilę zostawić?

– Chodź, Aleksandrze. Tania chce zostać sama.

– Nie sama, tylko ze mną – warknął Szura, nie odwracając głowy. Wowa niechętnie wyszedł.

– Gdzie moje rzeczy?

– Szura, dlaczego chcesz wyjechać?

– Dlaczego? Bo nie ma tu dla mnie miejsca. Jednoznacznie dałaś mi to do zrozumienia. Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Dziwne, że jeszcze mnie nie spakowałaś.

Zadrżały jej usta.

– Zjedz z nami kolację.

– Nie.

– Proszę cię. – Załamał jej się głos. – Usmażyłam placki. – Podeszła krok bliżej.

– Nie, dziękuję.

– Nie możesz wyjechać. Nie dokończyliśmy rozmowy.

– Wprost przeciwnie, dokończyliśmy.

– Co mam powiedzieć? Jak mam to naprawić?

– Powiedziałaś już wszystko. Wystarczy „do widzenia".

Dzielił ich stół. Tatiana powoli go obeszła.

– Szura – szepnęła. – Tak bardzo chcę cię dotknąć…

– Nie. – Cofnął się w stronę werandy.

Zza drzwi wychynęła głowa Nainy.

– Już?

– Zaraz, Naino Michajłowno, za chwilę. Miałeś mnie wyleczyć, Szura. Miałeś mnie przekonać. Przekonaj mnie…

– Powiedziałaś, że nikt cię z tego nie wyleczy, nawet ja. Teraz ci wierzę. Gdzie schowałaś rzeczy?

– Szura…

Zacisnął zęby.

– Czego ty chcesz? Kolejnej awantury?

– Nie. – Zamrugała, żeby się nie rozpłakać.

– Głośnej, paskudnej awantury, jednej z tych, do jakich przywykłaś?

– Nie. – Spuściła głowę.

– W takim razie oddaj mi rzeczy. Wyjdę stąd po cichu i wyjadę. Nie będziesz musiała niczego wyjaśniać, ani swoim nowym przyjaciołom, ani swemu kochankowi.

Tatiana nie drgnęła z miejsca.

– Na co czekasz? – warknął głośno. – Gdzie moje rzeczy?

Zażenowana i zdenerwowana, poprowadziła go do szopy za domem.

– Dokąd idziecie, Tanieczko? Przecież mamy jeść!

– Zaraz wracam! – Ramiona jej dygotały. Próbowała wziąć go za rękę, a gdy się wyszarpnął, stanęła przed nim i objęła go w pasie. – Proszę, nie odchodź – szepnęła, patrząc na niego błagalnie. – Nie chcę, żebyś odchodził. Szura, odkąd wyszłam ze szpitala, nie było minuty, żebym na ciebie nie czekała. Proszę… – Złożyła mu głowę na piersi.

On milczał, trzymając ręce na jej nagich ramionach. Ona nie podnosiła wzroku.

– Boże, dlaczego ty jesteś taki tępy? – Przytuliła się jeszcze mocniej. – Naprawdę nie rozumiesz, dlaczego nie napisałam?

– Nie. Dlaczego?

Wdychała jego zapach.

– Bałam się, że jeśli powiem ci o Daszy, w ogóle tu nie przyjedziesz. – Żałowała, że nie jest odważniejsza, że nie może spojrzeć mu w oczy, ale nie chciała, żeby znowu się rozgniewał. Wzięła go za rękę, przytknęła ją sobie do policzka i czerpiąc z niej siłę, w końcu podniosła wzrok. – Leningrad prawie nas zabił. Pomyślałam, że jeśli nie dowiesz się o Daszy i przyjedziesz, że jeśli do tego czasu wydobrzeję i będę wyglądała jak w zeszłym roku, to może twoje uczucia wrócą…

– Wrócą? – wychrypiał. – Taniu, co ty mówisz? – Jedną ręką muskał jej policzek, drugą objął ją i przytulił, sunąc dłonią po jej nagich plecach. – Nie widzisz, że ja… – Urwał.

Nie mógł powiedzieć nic więcej. Tatiana to wyczuła. I już nie musiał. Zrozumiała go bez słów.

– Tatiu – wyszeptał. – Zasłużę na twoje wybaczenie, wszystko naprawię, będę dla ciebie dobry, ale musisz mi na to pozwolić. Nie możesz się przede mną zamykać, po prostu nie możesz.

– Przepraszam. Ale zrozum. – Objęła go ze wszystkich sił. – Tyle kłamstw, tyle zwątpienia…

– Spójrz na mnie.

Podniosła oczy.

– Tatiasza, jakiego zwątpienia? Przyjechałem tu tylko dla ciebie.

– W takim razie zostań. Dla mnie.

On pochylił głowę, ona swoją spuściła, tak że pocałował ją w mokre włosy. Przez chwilę stali nieruchomo, wreszcie spytał:

– Czy znów jesteśmy nad Ładogą?

Zacisnął palce na jej ramionach tak mocno, tak sugestywnie, że omal nie zasłabła.

– Spójrz na mnie.

Natychmiast spojrzała.

– Taniu, możemy już jeść? – zawołała z ganku głodna i zirytowana Naina. – Wszystko się przypali!

Aleksander pocałował Tanię tak gwałtownie i namiętnie, że ugięły się pod nią kolana i gdyby jej nie podtrzymał, pewnie by upadła.

– Co ona tam robi? Taniu, jesteśmy głodni!

Oderwali się od siebie, sami nie wiedząc jak, wzięli jego rzeczy i wrócili do domu.

Tatiana nalała mu zupy, podsunęła talerz, podała łyżkę i dopiero potem obsłużyła pozostałych. Aleksandr nie jadł: czekał, aż Tania usiądzie.

– Aleksandrze – zagadnął Wowa – co robi kapitan Armii Czerwonej?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem, co robię ja.

– Dolać ci śmietany? – spytała Tatiana.

– Tak, poproszę.

– A więc co robisz?

– Właśnie – wtrąciła Aksinia – opowiedz. Sąsiedzi umierają z ciekawości.

– Służę w brygadzie pancernej. Wiecie, co to takiego?

Wszyscy z wyjątkiem Tatiany pokręcili głową.

– Dowodzę kompanią pancerną. Na polu walki wspieramy piechotę. – Przełknął kęs placka. – A przynajmniej mamy ją wspierać.

– Czym? – spytał Wowa. – Czołgami?

– Tak. I samochodami pancernymi. Taniu, mogę prosić o dolewkę? Mamy również działa przeciwlotnicze, moździerze i artylerię polową. Armaty, haubice, ciężkie karabiny maszynowe. Ja dowodzę stanowiskiem bojowym katiuszy.

– Niesamowite – westchnął Wowa. – Chyba ci tam dobrze, prawda? Zawsze to mniej niebezpiecznie niż na pierwszej linii.

– Sto razy bardziej niż gdziekolwiek indziej. Jak myślisz, kogo Niemcy próbują unieszkodliwić najpierw: żołnierza z naganem, który przed każdym wystrzałem musi na nowo odciągać kurek, czy mnie z wyrzutnią, która w minutę potrafi zarzucić ich pięćdziesięcioma pociskami?

– Dolać ci jeszcze uchy? – spytała Tania.

– Nie, Tatiasza… – Urwał. Tatiana zamarła. – Najadłem się. Dziękuję, Taniu.

– Słyszeliśmy, że Stalingrad niedługo padnie – powiedziała Zoja.

– Jeśli padnie, przegramy wojnę. Napijemy się?

Tatiana nalała mu kieliszek wódki.

– Aleksandrze – spytała Dusia – ilu żołnierzy musimy stracić pod Stalingradem, żeby powstrzymać Hitlera?

– Tylu, ilu będzie trzeba.

Dusia się przeżegnała.

– Moskwa – rzucił podekscytowany Wowa. – To była dopiero jatka.

Aleksander głośno wciągnął powietrze. Boże, pomyślała Tatiana.

Proszę, tylko nie kolejna scena.

– Wowa – odparł Szura, przeszywając go wzrokiem i nachylając się nad stołem; Tania natychmiast przywarła do jego boku. – Wiesz, co to jest jatka? W październiku, przed rozpoczęciem bitwy, w Moskwie i okolicach stacjonowało osiemset tysięcy żołnierzy. A wiesz, ilu ich zostało po bitwie? Dziewięćdziesiąt tysięcy. Wiesz, ilu naszych zginęło w pierwszych sześciu miesiącach wojny? Ilu młodych chłopców poległo, zanim Tania wyjechała z Leningradu? Cztery miliony. Jednym z tych chłopców mogłeś być ty, więc nie mów o tym jak o jakiejś podniecającej zabawie.

Wszyscy milczeli. Tatiana odchrząknęła.

– Nalać ci jeszcze wódki?

– Nie, dziękuję.

– W takim razie sprzątnę…

Wsunął rękę pod stół, chwycił ją za nogę i leciutko pokręcił głową.

Tatiana nie wstała. On nie cofnął ręki. Początkowo dzielił go od skóry cienki materiał sukienki, ale widocznie bardzo mu to przeszkadzało, gdyż podciągnął ją do góry i położył dłoń na jej nagim udzie. Zakłuło ją w podbrzuszu.

– Nie zbierzesz talerzy, Tanieczko? – spytała Naina. – Nie możemy się już doczekać twego ciasta. I herbaty.

Aleksander przesunął rękę nieco wyżej.

Tatiana zacisnęła zęby. Czuła, że za sekundę głośno jęknie w obecności czterech staruszek, Wowy i Zojki.

– Tania zrobiła wspaniałą kolację – powiedział Szura. – Przeszła samą siebie. Jest zmęczona. Dajmy jej trochę odpocząć. Zoja, Wowa, moglibyście posprzątać ze stołu?

– Aleksandrze, nie rozumiesz… – zaczęła Naina.

– Rozumiem doskonale. – Ręka przesunęła się centymetr wyżej.

Tatianie zbielały palce, którymi przytrzymywała się blatu.

– Szura, proszę… – szepnęła chrapliwie.

Zacisnął rękę jeszcze mocniej. Ona jeszcze mocniej zacisnęła palce.

– Nie, Taniu. Mogą zrobić przynajmniej tyle. – Popatrzył na Nainę. – Prawda, Naino Michajłowno?

– Myślałam, że Tanieczka lubi sprzątać.

– Właśnie – poparła ją Dusia. – Myślałyśmy, że sprawia jej to przyjemność.

– Tak, na pewno – odparł Aleksander. – Jeszcze trochę i zacznie myć wam nogi. Nie sądzicie, że od czasu do czasu każdy uczeń powinien nalać Jezusowi kielich wina?

– Jezusowi? – wyjąkała Dusia. – A co Jezus ma z tym wspólnego?

Ręka Aleksandra ścisnęła udo Tatiany jak kleszczami.

Tania otworzyła usta i…

– Dobrze – powiedziała Zoja. – Posprzątamy.

Aleksander zwolnił uścisk i delikatnie poklepał Tanię po kolanie.

Tatiana głośno odetchnęła i po kilku sekundach zdjęła ręce ze stołu. Nie mogła spojrzeć ani na Szurę, ani na nikogo innego.

– Dziękuję, Zoju – rzekł Aleksander z uśmiechem, nie odrywając wzroku od Tani. Ta nie była w stanie wykonać jakiegokolwiek ruchu.

– Idę na papierosa – powiedział. Tatiana nie mogła nawet mrugnąć.

Kiedy wyszedł, staruszki nachyliły się ku niej i zniżyły głos.

– Jaki on agresywny – szepnęła Naina.

– Najgorsze, że w naszym wojsku nie ma Boga – wymamrotała Dusia. – Zhardział na tej wojnie, oj zhardział.

– Tak – wtrąciła Aksinia – ale zobaczcie tylko, jaki jest opiekuńczy względem Tanieczki. To piękne…

Tatiana popatrzyła na nich nic nie rozumiejącym wzrokiem. Co one mówią? O czym rozmawiają? Co się stało?

– Słyszałaś, Taniu?

Tatiana wstała. Miałaby nie wesprzeć swego jedynego obrońcy, swego strażnika i dowódcy?

– Aleksander nie jest hardy. I ma zupełną rację. Nie powinnam się wszystkim zajmować.

Wypili herbatę i zjedli ciasto z jagodami, które było tak dobre, że nie została ani okruszynka. Kiedy staruszki wyszły, Zoja ścisnęła Aleksandra za rękę i kusząco spytała, czy na pewno nie chciałby pójść z nią na ognisko. Aleksander zabrał rękę i ponownie odmówił.

– No chodź – namawiała Zoja. – Nawet Tania idzie. Z Wową – dodała z naciskiem.

– Wątpię – szepnął cicho Aleksander, spoglądając na Tatianę, która słodziła mu herbatę.

– Tanieczko – poprosił Wowa – opowiedz Aleksandrowi ten świński kawał. Ten wiesz. Omal nie umarliśmy ze śmiechu.

– Chyba słyszałem wszystkie jej kawały – powiedział Aleksander.

Tania siedziała, tuląc się do jego boku. Było w tym coś boleśnie znajomego i miłego. Miała ochotę złożyć mu głowę na ramieniu. Nie złożyła.

– Opowiedz, Taniu.

– Nie, nie chcę.

Wowa połaskotał ją pod pachą.

– Opowiedz, skona ze śmiechu!

– Przestań, Wowa. – Zerknęła na Aleksandra, który w milczeniu popijał herbatę. – Nie opowiem – dodała zażenowana. Wiedziała, że Szurze kawał się nie spodoba, i nie chciała go irytować.

– Nie, nie. – Aleksander odstawił szklankę. – Uwielbiam twoje kawały. Opowiedz – rzucił z uśmiechem.

Tatiana westchnęła.

– Czapajew i Piet'ka wojują w Hiszpanii. Czapajew pyta: „Piet'ka, kogo ci ludzie witają? Co krzyczą?" „Jakąś Dolores Jebanuli"[17] – odpowiada Piet'ka. „A ona? – pyta Czapajew. – Co ona krzyczy?" A Piet'ka na to: „Że lepiej jest na stojąco niż na kolanach".

Wowa i Zoja ryknęli śmiechem.

Aleksander miał kamienną twarz. Siedział i bębnił palcami w szklankę.

– To takie kawały opowiadacie teraz na sobotnim ognisku?

Tania spuściła głowę. Milczała.

Wowa trącił ją łokciem.

– Dzisiaj też idziemy, prawda?

– Nie, dzisiaj nie.

Zanim Wowa zdążył ponownie otworzyć usta, Aleksander spojrzał na niego i nie odstawiając szklanki, syknął:

– Powiedziała, że nie dzisiaj. Ile razy trzeba ci powtarzać, zanim coś do ciebie dotrze? A tobie, Zoju?

Wowa i Zojka wytrzeszczyli oczy.

– Ale… ale o co chodzi? – wydukał Wowa.

– Idźcie – odparł Aleksander. – Oboje. Idźcie na ognisko, byle szybko.

Wowa chciał zaprotestować, ale Szura wstał i nachylił się ku niemu.

– Powiedziałem, idźcie – powtórzył powoli i spokojnie, nie znoszącym sprzeciwu głosem.

Zojka i Wowa wyszli.

Zadziwiona Tatiana uniosła brwi.

– Podobało ci się? – szepnął Aleksander. Pocałował ją w głowę i wyszedł na papierosa.

Tatiana posłała sobie na werandzie i pomogła staruszkom położyć się spać. Kiedy wróciła, Aleksander wciąż siedział przed domem. Tego wieczoru koniki polne były wyjątkowo głośne. W oddali zawył wilk, gdzieś bliżej zahukała sowa. Tania zmywała talerzyki po cieście. Właśnie szła po kilka ostatnich, gdy…

– Taniu, przestań się kręcić i chodź do mnie.

Miała mokre ręce. Nerwowo podeszła bliżej. Miłe pulsowanie w podbrzuszu za nic nie chciało ustąpić. Ani podczas jedzenia, ani podczas zmywania naczyń, ani podczas prania, ani w obecności staruszek.

– Bliżej. – Rzucił papieros na ziemię, położył jej ręce na biodrach i przyciągnął ją do siebie między szeroko rozstawione nogi.

Pod Tatianą ugięły się kolana.

Aleksander patrzył na nią chwilę, po czym wtulił twarz w jej piersi.

Nie wiedząc, co zrobić z rękami, ostrożnie położyła je na jego głowie. Włosy miał krótkie, gęste, proste i suche. Miłe w dotyku. Zamknęła oczy, próbując normalnie oddychać.

– Dobrze się czujesz? – szepnęła.

– O tak. Tatiu, nie mogłaś o mnie pomyśleć? Chociaż przez pięć sekund. Nie mogłaś pomyśleć, co przeżywałem przez te pół roku?

– Mogłam. Przepraszam.

– Gdybyś pomyślała, gdybyś do mnie napisała, natychmiast bym odpisał, a wówczas wyzbyłabyś się swoich lęków i złagodziła moje.

– Wiem.

– Doszedłem do wniosku, że istnieją tylko dwa wytłumaczenia tego, że milczysz. Pierwsze, że nie żyjesz. Drugie, że… Że znalazłaś kogoś innego. Nie przypuszczałem, że moje kłamstwa tak bardzo cię dotkną. Sądziłem, że mnie zrozumiesz, że dostrzeżesz prawdę.

– A ty? – Pogłaskała go po głowie. – Ty mnie rozumiałeś? Dostrzegłeś prawdę? Znalazłam kogoś innego. Boże.

Potarł czołem o jej pierś.

– Jak nazwała cię Aksinia? Ciepłą bułeczką?

Tatianie zabrakło tchu.

– Ciepłą bułeczką. – Trzęsącymi się palcami delikatnie pieściła jego włosy. Oddychała płytko, coraz szybciej.

– Tak mało tu miejsca…

– Tu? – szepnęła, nie chcąc burzyć nastroju nocy. – Między… nami? Czy w domu?

– Między nami? – powtórzył zdumiony. – Nie, w domu.

Tania zadrżała.

– Zimno ci?

Skinęła głową z nadzieją, że nie dotknie jej palącej skóry.

– Wracamy?

Skinęła głową ponownie, choć wcale nie miała ochoty wracać. Nie chciała, żeby zabierał ręce. Pragnęła, żeby obejmował ją tak bez końca, żeby dotykał jej bioder, pleców, nóg, żeby dotykał ją wszędzie i nieustannie.

Spojrzał na nią. Rozchyliła usta i już miała się nad nim pochylić, gdy wtem…

Za werandzie zaszurało i po schodach zeszła Naina Michajłowna.

– Muszę jeszcze raz – wymamrotała, idąc do wychodka.

– Oczywiście – mruknął Aleksander, nie siląc się nawet na uśmiech.

Naina przystanęła.

– Tanieczka? A co ty tu robisz? Idź spać, skarbie. Już noc, a wiesz, jak wcześnie wstajemy.

– Zaraz pójdę, Naino Michajłowno.

Kiedy staruszka zniknęła za węgłem chaty, Tatiana spojrzała na zmarkotniałego Aleksandra i ze smutkiem wzruszyła ramionami. Weszli do środka. Tania wyjęła z kufra dużą, białą koszulę nocną i pomyślała: gdzie ja się przebiorę? Aleksander nie miał takich problemów. Zdjął przy niej koszulę i w lnianych spodniach wskoczył do łóżka. Nigdy nie widziała go bez munduru, bez koszuli czy bez długich, wojskowych kalesonów. Nigdy nie widziała go nago. Był bardzo umięśniony. Boże, czy ja zacznę wreszcie normalnie oddychać? Chyba nie.

Nie mogła się przy nim przebrać. Postanowiła spać w sukience.

– Dobranoc – powiedziała, zmniejszając płomień w lampie. Aleksander nie odpowiedział.

Wróciła Naina.

– Dobranoc. – Zniknęła w komorze.

– Dobranoc, Naino Michajłowno.

Szura wciąż milczał.

Tatiana weszła pod koc, gdy wtem usłyszała jego głęboki głos.

– Tatiu.

Wstała i nieśmiała podeszła do drzwi.

– Chodź tu.

Nie pragnęła niczego innego, ale bardzo się bała. Obeszła stół.

– Wejdź na płytę.

Stanęła na płycie i zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, objęła go za głowę i pocałowała.

– Chodź do mnie. – Próbował wciągnąć ją na przypiecek.

– Szura, nie mogę… – Nie mogła też przestać go całować. – Wiesz, co by się tu działo?

– Taniu, niech się dzieje, co chce, niech napiszą o tym w jutrzejszych gazetach, nic mnie to nie obchodzi. Chodź. – Wciągnął ją na górę, objął rękami i nogami i nie

odrywając ust od jej ust, przygniótł ją swym masywnym ciałem.

– Boże, Tatiu – szepnął. – Tak bardzo za tobą tęskniłem.

– Ja za tobą – odrzekła, głaszcząc go po plecach. Przestał ją całować, uwił jej gniazdo z ramion, a ona głaskała go po plecach, nie mogąc się nadziwić, jakie są gładkie i miłe w dotyku.

Ponownie ją przygniótł. Usta miał coraz bardziej zachłanne, ręce coraz bardziej zaborcze. Ma tylko dwie dłonie? W takim razie dlaczego są wszędzie naraz? Tulił ją, otulał, wchłaniał – nie mogła otworzyć oczu, chociaż bardzo chciała go widzieć. Podciągnął jej sukienkę, dotknął nagich ud. Mimowolnie rozchyliła nogi i jęknęła.

– Och, Taniu – szepnął z uśmiechem. – Jęcz, tylko nie za głośno. Zaczekaj, nie, nie tak głośno…

Rozchyliła nogi jeszcze bardziej. Pieścił palcami wnętrze jej ud.

– Nie – jęknęła. – Przestań, proszę…

Polizał jej wargi.

– Taniu, twoje uda… – Przesunął dłoń nieco wyżej.

Próbowała się cofnąć, lecz nie miała gdzie.

– Szura, proszę, przestań.

– Nie mogę. Czy oni mocno śpią?

– Nie, gdzież tam. Budzi ich byle świerszcz, co pięć minut biegają do wychodka. Proszę. Nie potrafię być cicho. Musiałbyś mnie udusić.

Szeptali sobie prosto w wilgotne usta.

– Przestań. Przestań… – Ale przestać nie mogli.

Niechętnie zabrał rękę i położył ją na jej nagim brzuchu.

– Ładna sukienka.

– To nie sukienka.

– Nie? W każdym razie coś miękkiego i bardzo miłego w dotyku. Zdejmij ją.

Odepchnęła go lekko.

– Nie.

Znieruchomieli na chwilę, żeby wrócił im oddech.

Szura delikatnie potarł palcami jej nogę.

– Przestań – szepnęła. Ciało pulsowało jej od ud do pępka. – Przestań mnie dotykać.

– Nie mogę. Za długo na ciebie czekałem. – Przytknął usta do jej szyi. – Nie chcesz mnie, Taniu? Powiedz, że mnie nie chcesz. – Próbował ściągnąć z niej sukienkę. – Zdejmij to…

– Proszę – wydyszała. – Szura, ja nie wytrzymam, musisz przestać.

Nie przestał. Najpierw opadło jedno ramiączko, potem drugie.

Położył jej rękę na swojej piersi.

– Czujesz, jak bije? Nie chcesz się na mnie położyć? Dotknąć nagimi piersiami mojej piersi? Chodź, tylko na sekundę. Potem się ubierzesz.

Patrzyła na niego w ciemności. Jego błyszczące oczy, jego wilgotne usta… Jak mogłaby mu odmówić? Podniosła ręce, a on zdjął z niej sukienkę. Chciała zasłonić piersi, lecz ją powstrzymał.

– Nie, zostaw. Chodź, połóż się na mnie.

– A ty? – spytała cichutko. – Nie chcesz położyć się na mnie?

– Jeśli mam przestać, lepiej ty na mnie.

Jęknęła, ostrożnie położyła się na nim, a on objął ją i przytulił.

– Och Taniu… – Czujesz, jak bije?

– Tak. – Jej serce też biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Błądził dłońmi po jej nagich plecach, pieścił ją przez bieliznę, zsunął majteczki, pieścił jej pośladki, piersi.

– Marzyłem o twoich piersiach przez cały rok – szepnął z uśmiechem.

Chciała mu powiedzieć, że przez rok marzyła o jego pięknych, niepowstrzymanych rękach, lecz nie mogła mówić. Chciała mu powiedzieć, że marzyła o jego pięknych, niepowstrzymanych ustach, o ustach całujących jej sutki, lecz nie mogła mówić. Pragnęła nachylić się nad nim i włożyć mu je do ust, lecz za bardzo się wstydziła. Mogła tylko obserwować jego twarz i ciężko dyszeć.

Aleksander zamknął oczy.

– Tatiu, błagam, ciszej. Dłużej nie wytrzymam… – Zaczął ssać jej sutki. Jęknęła tak głośno, że przestał, lecz nie na długo. Ułożył ją na wznak. – Boże, jakaś ty piękna… – Przez chwilę całował jej piersi. – Tania zacisnęła palce na prześcieradle. Jedną ręką zasłonił jej usta, drugą pieścił jej uda. – Taniu, myślisz, że zgłodniałem?

– Hmm… – wydyszała mu w dłoń.

– Nie. Ja umieram z głodu. Teraz uważaj, ani mru-mru. Położył się na niej. – Boże… Tatiu, zasłonię ci usta, ty przytrzymaj się mojego ramienia i zrobimy tak…

Krzyknęła tak głośno, że stoczył się z niej, zasłonił twarz ramieniem i boleśnie jęknął.

Leżeli obok siebie, dotykając się tylko nogami; ona miała podwiniętą sukienkę, on wciąż był w spodniach. Szura znieruchomiał z ręką na twarzy.

Tatiana niechętnie włożyła sukienkę.

– Ja chyba umrę – wyszeptał. – Umrę, Tatiu.

Ty umrzesz? – pomyślała, zsuwając się z przypiecka.

Chwycił ją za ramię.

– Gdzie idziesz? Śpij tu, ze mną.

– Nie, Szura.

– Dlaczego? – spytał wesoło. – Nie ufasz mi?

– Ani trochę – odrzekła z uśmiechem.

– Obiecuję, że będę grzeczny.

– Wyjdą i wszystko zobaczą.

– Co zobaczą? I co zrobią? Taniu. – Poklepał się w pierś. – Tak jak w Ludze, pamiętasz? Zawołałaś mnie i przyszedłem. Teraz ja cię wołam.

Ostrożnie wtuliła się w zagłębienie jego ramienia. Aleksander naciągnął koc, objął ją i przytulił. Położyła rękę na jego gładkiej piersi i poczuła, jak mocno bije mu serce.

– Szura, kochanie…

– Jakoś wytrzymam. – Sądząc po tonie jego głosu, wytrzymywał z wielkim trudem.

– Jak w Ludze. – Przesunęła dłonią po jego piersi.

– Możesz trochę niżej? Żartuję, to tylko żart – dodał szybko, gdy Tatiana nagle znieruchomiała. – Uwielbiam, jak dotykasz mnie włosami. – Pogłaskał ją po głowie i pocałował w skroń. – Uwielbiam, jak dotykasz mnie… wszystkim.

– Przestań, Szura, proszę… – wymamrotała, całując go w pierś i zamykając oczy. W jego ramionach było tak bezpiecznie, tak wygodnie. Czubkami palców pieścił muszle jej uszu. – Jak miło… – szepnęła.

Mijały minuty. Minuty czy może…

Sekundy.

Chwile.

Ułamki chwil.

– Taniu? Śpisz?

– Nie. – Popatrzyli na siebie z uśmiechem. Rozchyliła usta, żeby go pocałować, lecz on pokręcił głową.

– Nie, bo nie wytrzymam.

Pocałowała go w ramię, pogłaskała po głowie.

– Szura, jestem taka szczęśliwa, że do mnie przyjechałeś.

– Ja też.

Potarła ustami o jego nagą skórę.

– Taniu – szepnął. – Chcesz porozmawiać?

– Tak.

– Opowiedz mi. Wszystko od początku. Nie przestawaj, dopóki nie skończysz.

Zaczęła od początku, lecz o saniach, o przeręblu w pokrywającym Ładogę lodzie i o Daszy opowiedzieć nie była w stanie.

A on nie był w stanie tego słuchać.

Potem zasnęła i obudziła się, gdy we wsi zapiały koguty.

7

– O Boże – szepnęła, próbując wyswobodzić się z jego objęć. – Chodź. Muszę iść, szybko.

Aleksander ani drgnął, spał jak kamień i trudno go było dobudzić. Wysunęła się spod jego ramienia i zeskoczyła na podłogę.

Włożyła świeżą sukienkę, pobiegła do studni po wodę, a potem po kozie mleko, które wymieniła we wsi na krowie. Kiedy wróciła, Szura już się golił.

– Dzień dobry – rzucił wesoło.

– Dzień dobry – odrzekła, zbyt zażenowana, żeby na niego spojrzeć. – Zaczekaj, pomogę ci. – Usiadła na krześle, wzięła małe, pęknięte lusterko i podniosła je na wysokość piersi. Brzytwa była chyba tępa, bo co chwila się zacinał. – Kiedyś poderżniesz sobie gardło – powiedziała. – Co oni wam dają w tym wojsku? Powinieneś zapuścić brodę.

– To nie brzytwa – odrzekł. – Brzytwa jest ostra.

– Nie brzytwa? A co?

– Nic, nic.

Spostrzegła, że wpatruje się w jej piersi.

– Aleksandrze… – Odłożyła lusterko.

– Aha. Wstał dzień i znowu jestem Aleksandrem.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Było jej tak wesoło, była tak podekscytowana, że chwyciwszy cebrzyki z mlekiem, niemal pofrunęła do domu.

Aleksander zrobił kawę. Usiedli bez słowa w tchnącym świeżością poranku i lekko się o siebie ocierając, pili gorący napar.

– Piękny dzień – szepnął.

Zawołała ją Naina i Tania wróciła do swoich obowiązków. Tymczasem on zaczął się pakować.

– Co robisz? – spytała, wyszedłszy na werandę.

– Uciekamy stąd – odrzekł. – Natychmiast.

– Tak? – Na jej twarzy wykwitł promienny uśmiech.

– Tak.

– Nie mogę. Muszę zrobić pranie. I śniadanie…

– I o to właśnie chodzi. Powinienem być ważniejszy i od prania, i od śniadania.

– Posłuchaj, pomóż mi. We dwoje uwiniemy się raz dwa.

– A potem pójdziesz ze mną?

– Tak. – Powiedziała to, czy tylko poruszyła wargami? Posłał jej uśmiech. Wiedziała, że usłyszał.

Usmażyła jajecznicę z ziemniakami. Aleksander błyskawicznie zjadł i rzucił:

– Dobra, teraz pranie.

Chwycił kosz i poniósł go nad rzekę. Ona wzięła tarę i mydło. Szedł tak szybko, że nie mogła za nim nadążyć.

– Odkąd to opowiadasz świńskie kawały?

Pokręciła głową.

– Szura, to tylko głupi dowcip. Nie wiedziałam, że się zdenerwujesz.

– Owszem, wiedziałaś. Dlatego nie chciałaś go opowiedzieć.

Tatiana przyspieszyła kroku, prawie biegła.

– Nie chciałam cię zdenerwować.

– Dlaczego? Czy kiedykolwiek się zdenerwowałem, słuchając twoich kawałów?

Co go tak dręczy? – myślała. To, że kawał był nieodpowiedni? Świński? To, że opowiedziała go Wowie? Obcym, których Szura nie znał? Że to do niej nie pasuje? Że nie pasuje do tego, co o niej wiedział? Tak. Na pewno. Zaczął o tym mówić, bo coś go niepokoi.

Odezwała się dopiero na brzegu rzeki.

– Nie wiem nawet, o co w tym kawale chodzi.

– Hmm, chyba jednak wiesz.

Aha, pomyślała. Mam cię. Martwisz się, bo nie wiesz, bo nie jesteś pewny. Weszła do wody i spłukała tarę.

Aleksander obserwował ją, paląc papierosa.

– Pierzesz w sukience? Nie zmoknie?

– Trochę, ale tylko dół. Bo? – Spojrzała na niego i natychmiast się zarumieniła. – Na co tak patrzysz?

– Tylko dół? A góra? – spytał z uśmiechem.

– Nie. Gdybym zanurzyła się po szyję, nie mogłabym prać.

Zgasił papierosa, zdjął koszulę i buty.

– Pomogę ci. Podawaj mi rzeczy.

On, kapitan Armii Czerwonej stał po kolana w wodzie i silnymi, potężnie umięśnionymi i śliskimi od mydlin rękami robił coś, co powinna robić kobieta, podczas gdy ona, Tania, suchutka i wesolutka jak motylek, podawała mu ubrania: było w tym coś tak ciepłego, wzruszającego i zabawnego, że kiedy nachylił się, by wyjąć z wody poszwę, podeszła na palcach bliżej i mocno go pchnęła. Stracił równowagę i zniknął pod wodą.

Gdy się wynurzył, wybuchnęła tak głośnym i serdecznym śmiechem, że z trudem wbiegła na stok, żeby od niego uciec. Dopędził ją trzema długimi susami.

– Musicie nad sobą popracować, towarzyszu kapitanie – wydyszała. – A gdybym tak była Niemcem?

Wziął ją na ręce i bez słowa zaniósł na brzeg.

– Nie! Natychmiast mnie postaw! Mam na sobie ładną sukienkę!

– Wiem – odrzekł i wrzucił ją do rzeki.

Wstała, ociekając wodą.

– I zobacz, co zrobiłeś – parsknęła. – W czym ja teraz wrócę?

Chwycił ją w ramiona, mocno pocałował i podniósł jak piórko. Poczuła, że się zataczają, że tracą równowagę, tym razem oboje, i że za chwilę upadną. I rzeczywiście upadli, lecz Tania błyskawicznie wstała i usiadła na nim okrakiem, chcąc go podtopić. Niestety, za mało ważyła, więc już kilka sekund później bez trudu zrzucił ją z siebie, zanurzył jej głowę i przytrzymał.

– Poddajesz się? – spytał, gdy wychynęła, żeby nabrać powietrza.

– Nigdy! – Ponownie wepchnął jej głowę pod wodę.

– Poddajesz się?

– Nigdy!

A więc jeszcze raz.

Za czwartym razem wysapała:

– Zaczekaj! Boże, spójrz!

Ich pranie – bielizna, prześcieradła i poszwy – powoli spływało z prądem rzeki.

On zaczął je wyławiać, ona, śmiejąc się i ociekając wodą, wyszła na brzeg.

Niebawem do niej dołączył. Rzucił pranie i podszedł bliżej.

– Co? – Na widok jego rozmarzonej twarzy zakręciło jej się w głowie. – No co?

– Jakaś ty piękna – szepnął namiętnie. – Twoje piersi, twoje sutki, twoje ciało…

Objął ją wpół i podniósł.

– Opleć mnie nogami.

– Jak to? – Objęła go za szyję i pocałowała.

– Zwyczajnie. Obejmij mnie nogami. – Podtrzymał ją jedną ręką, drugąjej pomógł.

– Szura, ja… Postaw mnie.

– Nie.

Ich wilgotne usta nie mogły się sobą nasycić.

Kiedy otworzyli oczy, po prostu musiał ją postawić, gdyż na polanie stało sześć zdumionych wieśniaczek z koszami pełnymi bielizny, które przypatrywały im się z potępieniem.

– Właśnie… skończyliśmy – wymamrotała Tatiana.

Szura zarzucił jej na ramiona mokrą poszwę, żeby przykryć mocno prześwitującą sukienkę. Tania nigdy nie nosiła stanika – nawet go nie miała – i pierwszy raz w życiu uświadomiła sobie, jak bardzo sterczą jej sutki, jak bardzo widać je przez materiał. Nagle ujrzała siebie oczyma Aleksandra.

– No to ładnie – wymamrotała. – Jutro będzie o tym trąbić cała wieś. Czy mogło mnie spotkać coś bardziej upokarzającego?

– Mogło – odrzekł. – Gdyby tak przyszły tu trzy minuty później…

Tatiana spiekła raka, a on roześmiał się i objął ją ramieniem.

Weszli do domu. Ona w mokrej sukience, on w samych spodniach.

Staruszki były przerażone.

– Pranie odpłynęło – wyjaśniła bez przekonania Tania. – Musieliśmy po nie… nurkować.

– Jak żyję, nigdy o czymś takim nie słyszałam – wymamrotała Dusia i zrobiła znak krzyża.

Aleksander przebrał się w brązowe wojskowe spodnie, włożył czarne wojskowe buty i białą koszulę z krótkim rękawem od Tatiany. Tania przyglądała mu się zza prześcieradeł, które wieszała jak popadło na sznurze przed domem. Szura przyklęknął i zaczął szperać w plecaku. Męski profil, nagie, muskularne ramiona, krzepkie ciało, wilgotne, czarne włosy, papieros w kąciku ust – był tak piękny, że zabrakło jej tchu od samego patrzenia. Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Mam coś dla ciebie. – Wyjął z plecaka białą sukienkę w szkarłatne róże.

Opowiedział jej, jak ją znalazł w mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej.

– Chyba już z niej wyrosłam – odrzekła wzruszona Tatiana. – Ale jutro ją włożę, chcesz?

– Koniecznie. – Aleksander schował sukienkę do plecaka, chwycił namiot i karabin. – Chodźmy. Niczego nie zabieraj.

– Ale dokąd?

– Byle dalej. – Zniżył głos. – Tam, gdzie będziemy sami i gdzie nikt nam nie przeszkodzi.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Weź pieniądze.

– Mówiłeś, żebym niczego nie brała.

– Aha, i dowód osobisty. Może pójdziemy do Mołotowa.

Oświadczyła staruszkom, że wychodzą, a podniecenie, które ją ogarnęło, zagłuszyło wszelkie wyrzuty sumienia.

– Wrócicie na kolację? – spytała Naina.

Aleksander zarzucił karabin na ramię i wziął Tatianę za rękę.

– Chyba nie.

– Ale Taniu, o trzeciej mamy spotkanie kółka krawieckiego.

– Hmm… – mruknął Szura. – Cóż, Tani dzisiaj nie będzie, ale życzę paniom miłego szycia.

Ruszyli biegiem w stronę rzeki. Tatiana nie obejrzała się nawet przez ramię.

– Dokąd idziemy?

– Do domu twoich dziadków.

– Dlaczego akurat do domu dziadków? Taki tam bałagan…

– Tak?

– No i bardzo się tam pokłóciliśmy.

– Nie, Taniu, to nie była kłótnia. Wiesz, co to było?

Wiedziała. Bez słowa ścisnęła go za rękę.

Weszli do chatki, pustej, lecz dokładnie wysprzątanej. Była w niej tylko jedna izba z czterema podłużnymi oknami i wielkim piecem pośrodku, jednak i podłoga, i okna lśniły czystością, a bielutkie, świeżo wyprane firanki nie pachniały już pleśnią. Tatiana wyjrzała zza drzwi. Aleksander klęczał tyłem do niej: rozstawiał namiot. Przycisnęła rękę do piersi. Uspokój się, powtarzała sobie. Uspokoisz się wreszcie czy nie?

Wyszła przed dom, żeby nazbierać trochę chrustu, gdyby chciał rozpalić wieczorem ognisko.

Porażona strachem i miłością, chodziła po piaszczystym, zasłanym igliwiem brzegu Kamy, a wokół niej królowało słoneczne czerwcowe południe.

Zdjęła sandały i zanurzyła stopy w zimnej wodzie. Teraz podejść do niego nie mogła, ale potem mogliby trochę popływać.

– Uwaga! – Aleksander śmignął tuż obok niej, wskoczył do rzeki i zanurkował. Miał na sobie tylko wojskowe szorty.

– Chcesz się wykąpać? – zawołał.

Z mocno bijącym sercem pokręciła głową.

– Nieźle ci idzie – powiedziała, patrząc, jak Szura płynie ku niej na plecach.

– Nieźle, nieźle! – odkrzyknął. – Chodź, prześcignę cię. Pod wodą, do drugiego brzegu – dodał z mokrym uśmiechem.

Gdyby nie była tak bardzo zdenerwowana, pewnie odpowiedziałaby uśmiechem i przyjęłaby wyzwanie.

Szura wyszedł na brzeg i przeczesał ręką włosy. Lśniły mu nagie mokre ramiona, nogi i pierś. Jakby biła z niego jakaś poświata. Tania nie mogła oderwać wzroku od tego silnego, wspaniałego ciała. I te mokre, obcisłe szorty…

Nie, czuła, że nie wytrzyma, że nie da rady.

– Cudowne uczucie – powiedział, podchodząc bliżej. – Chodź, popływamy.

Ponownie pokręciła głową i na chwiejnych nogach poszła na skraj polany nazbierać czarnych jagód. Uspokój się. Proszę, błagam…

– Tatiu. – Stał tuż za nią z ręcznikiem na ramionach. Podała mu jagody. Wziął ją za rękę i łagodnie pociągnął ją za sobą na trawę. – Słonko ty moje, usiądź na chwilę.

Usiadła, a on ukląkł i delikatnie pocałował ją w usta. Tania głaskała jego ramiona.

Brakowało jej tchu.

– Tatia, Tatiasza… – Całował jej ręce, nadgarstki i zgięcia łokci.

– Co, Szura? – szepnęła matowym głosem.

– Jesteśmy razem.

– Wiem – odrzekła, z trudem tłumiąc jęk.

– Nikt nam nie przeszkadza.

– Hmm…

– Nikt, Taniu – powtórzył z naciskiem. – Pierwszy raz w życiu jesteśmy razem i nikt tu nie przyjdzie. Tak samo jak wczoraj, na piecu.

Z jego oczu biło tyle uczucia, że musiała spuścić głowę.

– Spójrz na mnie.

– Nie mogę – szepnęła.

Delikatnie uniósł jej twarz.

– Taniu, boisz się?

– Bardzo.

– Nie, proszę. Nie bój się mnie. – Pocałował ją tak głęboko, tak namiętnie i tak czule, że płomień trawiący jej podbrzusze gwałtownie strzelił w górę. Zachwiała się siedząc i zatoczyła.

– Tatiasza – szepnął. – Skąd w tobie tyle piękna? Powiedz.

– W porównaniu z tobą wyglądam okropnie.

Objął ją jeszcze mocniej.

– Boże, co za błogosławieństwo… – Wziął ją za ręce. – Jesteś moim cudem, Taniu. Bóg zesłał mi cię, żebym nie stracił wiary. Zesłał cię, żeby mnie zbawić, pocieszyć uleczyć i… Na razie tyle – zakończył z uśmiechem. – Z trudem nad sobą panuję. Tak bardzo chcę się z tobą kochać, Tatiu… Wiem, że się boisz, ale pamiętaj, nigdy cię nie skrzywdzę. Nigdy. Pójdziesz ze mną do namiotu?

– Tak – odrzekła cicho, lecz wyraźnie.

Zaniósł ją do namiotu, posadził na kocu i zasłonił wejście. W środku panował ciepły półmrok, gdyż z zewnątrz sączyło się jedynie żółtawe, rozmyte światło.

– Zaniósłbym cię do domu – powiedział z uśmiechem – ale nie ma tam ani koców, ani poduszek. Tylko twardy przypiecek.

– Hmm… – wymruczała. – Tu jest dobrze. – Usiadłaby nawet na twardej posadzce pałacu w Peterhofie, byle tylko z nim.

Ledwo ją objął, a ona znowu zapragnęła znaleźć się pod nim. Boże, jak on to robił?

– Szura…

– Tak? – Całował ją w szyję, ale…

Ale nie robił nic więcej. Jakby na coś czekał, jakby się namyślał…

Podniósł głowę i po wyrazie jego oczu poznała, że coś go dręczy.

– Co się stało?

Uciekł wzrokiem w bok.

– Powiedziałaś wczoraj wiele przykrych słów. Nie, żebym na niektóre nie zasługiwał, ale…

– Nie zasługujesz na żadne – przerwała mu z uśmiechem. – Mów. Powiedz.

Wziął głęboki oddech. Milczał.

– Zapytaj mnie. – Wiedziała, co chce usłyszeć.

Spuścił oczy.

Tania pokręciła głową.

– Spójrz na mnie. – Spojrzał. Uklękła, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go w usta. – Szura, naprawdę nie wiesz? Przecież z nikim innym nie mogłabym tego zrobić. Należę do ciebie, tylko do ciebie. Jak mogłeś tak myśleć?

Uszczęśliwiony, popatrzył na nią z ulgą i szepnął:

– Och, Taniu… Nie wiesz, nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy…

– Ciii… – Dobrze o tym wiedziała.

Zamknął oczy.

– Masz rację. Nie zasługuję na to, co chcesz mi dać.

– Jeśli nie tobie, to komu? – Objęła go mocno. – Gdzie twoje dłonie? Chcę je poczuć.

– Dłonie? – Pocałował ją żarliwie. – Podnieś ręce. – Zdjął z niej sukienkę i ułożył Tanię na kocu, by wędrować po niej wygłodniałymi ustami i zachłannymi palcami.

– Muszę cię rozebrać, Taniu. Do naga, dobrze?

– Tak.

Zdjął z niej białe, bawełniane majteczki. Omdlewała z podniecenia, on też. Powiódł wzrokiem po jej ciele i szepnął:

– Boże, nie mogę. Jakaś ty piękna…

Przytknął policzek do jej piersi.

– Serce wali ci jak młotem… – Czubkiem języka musnął jej sutkę. – Nie bój się, Tatiu.

– Nie boję się – szepnęła z rękami w jego wilgotnych włosach.

Pochylił się nad nią i szepnął:

– Powiesz mi, co mam robić, a ja to zrobię, dobrze? Powoli, najwolniej, jak tylko będziesz chciała. Powiedz, co mam robić.

Nie mogła mówić. Chciała, żeby natychmiast stłumił płonący w niej ogień, lecz nie była w stanie poruszyć ustami. Musiała polegać na nim.

Położył jej dłoń na brzuchu.

– Sterczą ci sutki. Są takie wilgotne, takie piękne, aż się proszą, żeby je possać…

– Possij je – jęknęła.

– Tak – wymruczał. – Jęcz tak głośno, jak chcesz. Oprócz mnie, nikogo tu nie ma, a ja przejechałem tysiąc sześćset kilometrów, żeby usłyszeć, jak jęczysz. – Całował ją, zachłannie ssał sutki, a ona wyginała ku niemu biodra i piersi.

Położył się i delikatnie wsunął dłoń między jej uda.

– Zaczekaj, zaczekaj – powiedziała, zaciskając je ze wszystkich sił.

– Nie, rozchyl. – Wsunął dłoń jeszcze głębiej i zaczął powoli sunąć palcami w górę. – Ciii… – szepnął, obejmując ją za szyję. – Tatiu, jak ty drżysz. – Musnął jej najczulsze miejsce. Tatiana zesztywniała. Aleksander wstrzymał oddech. Ona też. – Czujesz, jak delikatnie cię dotykam? – szepnął z ustami na jej policzku. – Masz tam takie jaśniutkie włoski…

Splotła ręce na brzuchu. Ani na chwilę nie otwierała oczu.

– Czujesz, Taniu?

Jęknęła.

Przesuwał palcami w górę i w dół, potem zaczął zataczać nimi maleńkie kręgi.

Tania jeszcze mocniej zacisnęła ręce.

– Mam przestać?

– Nie!

– Tatiu, czujesz mnie na swoim biodrze?

– Hmm… Myślałam, że to lufa karabinu.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. – Nachylił się, ssał jej sutki, pieścił ją między udami,

w górę i w dół, zataczał palcami coraz szybsze kręgi i nagle…

Przestał. Nagle zabrał rękę.

– Nie, nie! – wymruczała, otwierając oczy. Drżące napięcie ciała doprowadziło ją na próg spełnienia i gdy znieruchomiał, zaczęła dygotać tak mocno, że musiał się na niej położyć i przytknąć czoło do jej czoła.

– Ciii… – szepnął. – Już dobrze, już dobrze. Powiedz, co mam robić.

– Nie wiem – odrzekła niepewnie. – A co… możesz?

Skinął głową.

– Dobrze. – Ściągnął szorty i ukląkł przed nią.

Tatiana wytrzeszczyła oczy, usiadła i aż się cofnęła.

– Boże, Aleksandrze – wymamrotała, nie wierząc własnym oczom.

– Nie bój się. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie uciekaj. – Przytrzymał ją za nogi.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie, nie. Proszę.

– W swej nieskończonej mądrości Bóg sprawił, że wszystko do siebie pasuje i działa, jak należy.

– Szura, przecież to niemożliwe. Jesteś za…

– Zaufaj mi – odrzekł, patrząc na nią z pożądaniem. Ułożył ją na wznak. – Nie mogę czekać ani sekundy dłużej. Ani sekundy. Muszę w ciebie wejść. Teraz, natychmiast.

– Boże, Szura, nie.

– Tak, Taniu, tak. Powiedz: tak, Szura.

– Boże… Tak, Szura.

Legł między jej nogami.

– Tatiu – szepnął namiętnie, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć. – Jesteś naga. Leżysz pode mną nago!

– A ty nago na mnie. – Załamał jej się głos.

Otarł się o jej udo.

– Nie mogę w to uwierzyć – tchnął jej w usta. – Nie przypuszczałem, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie. Nie potrafiłem wyobrazić sobie życia bez ciebie, tymczasem ty jesteś, ty żyjesz i leżysz pode mną. Dotknij mnie tam. Obejmij.

Sięgnęła w dół.

– Czujesz, jaki jestem twardy? To dla ciebie, Tatiu, to dzięki tobie. Czujesz?

– Boże święty, tak… – wychrypiała bez tchu. Jego widok ją zaszokował, dotyk oszołomił. – To niemożliwe – wymamrotała, pieszcząc go lekko. – Zabijesz mnie.

– Tak. Rozsuń nogi.

Rozsunęła.

– Nie, szerzej. – Pocałował ją i szepnął. – Otwórz się przede mną.

O tak…

Nie przestawała go pieścić.

– Jesteś gotowa?

– Nie.

– Jesteś. Puść mnie teraz – dodał z uśmiechem. – Obejmij mnie za szyję. Mocno.

Wchodził w nią powoli, powolutku, milimetr po milimetrze. Tatiana kurczowo zaciskała palce na jego ramionach, na plecach, na kocu, na rosnącej za głową trawie.

– Zaczekaj, zaczekaj, proszę…

Aleksander znieruchomiał, choć z wielkim trudem. Czuła się tak, jak to sobie przedtem wyobrażała, jakby Szura rozdzierał ją i przebijał, jednak za falą bólu kryło się coś jeszcze.

Nienasycone pożądanie.

– Już – szepnął wreszcie. – Jestem w tobie. – Pocałował ją i głęboko odetchnął. – Jestem w tobie, Tatiasza. Cały.

Cichutko jęknęła i objęła go za szyję.

– Naprawdę?

– Tak. Podniósł się lekko. – Sprawdź.

Sięgnęła w dół.

– Niemożliwe. To… pasuje.

– Na styk, ale pasuje – odrzekł z uśmiechem i pocałował ją w usta. – Jakby sam Bóg połączył nasze ciała… – Zaczerpnął tchu. – Jakby powiedział: odtąd będziecie razem.

Tatiana leżała nieruchomo. On też, z ustami przyciśniętymi do jej czoła. Czy to już? – pomyślała. Wciąż trawił ją ogień, wciąż nie odczuwała upragnionej ulgi. Objęła go mocniej. Miał zaczerwienioną twarz.

– Już? – szepnęła. – To już?

– Niezupełnie. – Odetchnął jej oddechem. – Po prostu… Tatiu, tak rozpaczliwie na to czekaliśmy… Chcę tę chwilę maksymalnie przedłużyć. – Spojrzał jej w oczy. – Rozumiesz?

– Tak. – Pulsowanie w podbrzuszu było nie do zniesienia. Uniosła biodra.

Minęło kilka sekund.

– Gotowa? – Cofnął się lekko i wszedł w nią ponownie.

Tatiana zacisnęła zęby i jęknęła.

– Zaczekaj, zaczekaj.

Wyszedł z niej całkowicie i ponownie w nią wszedł. Półprzytomna Tania omal nie krzyknęła, lecz bała się, że Aleksander znieruchomieje, myśląc, że ją zabolało. Wydał z siebie zduszony jęk, wyszedł z niej cały i cały wszedł. Chwyciła go mocniej za ramiona.

– Och, Szura… – Nie mogła oddychać.

– Wiem. Obejmij mnie. Tak.

Zaczął poruszać się nieco szybciej, nieco gwałtowniej.

Tatiana drżała jak w gorączce.

– Boli?

– Nie – szepnęła kompletnie zagubiona.

– Wolniej nie mogę.

– Och Szura… – Oddech. Dlaczego nie mogę oddychać?

– Tatiu, Boże… Jesteś moja, zawsze będziesz tylko moja!

Coraz szybciej, coraz mocniej.

Tatiana przywarła do niego ze wszystkich sił i otworzyła usta w bezgłośnym krzyku.

– Przestać?

– Nie.

Mimo to znieruchomiał.

– Zaczekaj. – Musnął nosem jej policzek. – Przytrzymaj się mnie. Mocno. Och Taniu… – szepnął i nagle wszedł w nią tak gwałtownie, zaczął poruszać się tak szybko, że omal nie zemdlała.

Chwila bez tchu.

I kolejna.

I jeszcze jedna.

Serce tłukło się w piersi jak szalone. Paliło ją w gardle, usta były mokre, oddech coraz wolniejszy. Powoli odzyskiwała słuch, węch i zmysł dotyku.

Otworzyła oczy.

Zamrugała.

Aleksander wziął głęboki oddech i legł na niej bez ruchu.

Wciąż obejmowała go za szyję.

W miejscu, gdzie przed chwilą był, odczuwała słodkie pieczenie. Szkoda. Tak bardzo pragnęła poczuć go tam ponownie. Tak chciała, żeby ponownie ją wypełnił.

Podmuchał na jej wilgotne czoło i piersi.

– Dobrze się czujesz? – szepnął czule, scałowując jej piegi. – Bardzo bolało? Taniu, kochanie, nic ci nie jest? Powiedz.

Nie mogła. Miał zbyt gorące usta.

– Nie. Dobrze mi – odrzekła z nieśmiałym uśmiechem. – A tobie?

Położył się obok niej.

– Cudownie. – Przesunął palcami po jej ciele, od twarzy po łydkę i z powrotem. – Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. – Uśmiechnął się tak radośnie, że omal nie rozpłakała się ze szczęścia. Przytuliła twarz do jego twarzy. Zamilkli.

Jego ręka znieruchomiała na jej biodrze.

– Byłaś cichsza, niż myślałem.

– Hmm… Próbowałam nie zemdleć.

Parsknął śmiechem.

Przekręciła się na bok.

– Szura, czy tobie…

Ucałował jej powieki.

– Taniu – szepnął. – Być w tobie, spełnić się w tobie… Boże, to czary, prawdziwe czary.

Trąciła go łokciem w bok.

– Myślałeś… No wiesz. Że jak będzie?

– Było lepiej niż wszystko to, co podsuwała mi moja żałosna wyobraźnia.

– Wyobrażałeś to sobie?

– Powiedzmy. – Przytulił się do niej. – Nieważne. A ty? Jak to sobie wyobrażałaś? – Pocałował ją ze śmiechem. – No nie, jesteś niezwykła! Opowiedz. Wszyściutko. Naprawdę to sobie wyobrażałaś?

Dała mu lekkiego kuksańca.

– Nie. – Czego jak czego, ale na pewno nie wyobrażała sobie tego. Delikatnie przesunęła palcami po jego ciele, od szyi do brzucha. Tak bardzo chciała, żeby pozwolił się dotknąć. – Dlaczego tak na mnie patrzysz? Co chcesz wiedzieć?

– Jak to sobie wyobrażałaś?

Myślała chwilę.

– Sama nie wiem.

– No powiedz. Przecież musiałaś się czegoś spodziewać.

– Hmm… Tak, ale nie tego.

– A czego?

Zażenowana wolałaby, żeby nie patrzył na nią z takim uwielbieniem.

– Nie zapominaj, że miałam brata. Wiedziałam, jak wyglądacie. Ale wiesz, tak normalnie. Kiedy jesteście spokojni i… – Szukała odpowiedniego słowa. – Kiedy on… Kiedy to jest małe i nie wygląda tak… zatrważająco.

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Nigdy w życiu nie widziałam tego…

– W stanie zatrważającym?

– Tak. – Z czego tak się śmiał?

– Co jeszcze?

– Myślałam, że będzie mniej przerażający, i że tak wiesz… Że tak po cichu, spokojnie… – Odkaszlnęła. – Powiedzmy, że zaskoczyła mnie jego ruchliwość.

Objął ją i radośnie pocałował.

– Jesteś przezabawna! Co ja mam z tobą zrobić?

Wciąż dręczyło ją to dziwne, podniecające napięcie w podbrzuszu. Patrzyła na Szurę. Fascynowało ją jego ciało. Przesunęła palcami po jego brzuchu.

– I co teraz? To już… koniec?

– A chcesz, żebyśmy skończyli?

– Nie – odrzekła bez wahania.

– Taniu, kocham cię.

Zamknęła oczy.

– Dziękuję-szepnęła.

– To nie wystarczy. – Uniósł jej głowę. – Ty nie powiedziałaś mi tego ani razu.

Niemożliwe, pomyślała. Przecież pokochałam go od pierwszego wejrzenia, przecież kochałam go w każdej minucie nocy i dnia.

– Kocham cię, Aleksandrze.

– Dziękuję – szepnął. – Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham cię. – Objęła go i przytuliła. – Kocham cię bez tchu, mój ty żołnierzu. – Uśmiechnęła się czule. – Ale wiesz, ja też nie słyszałam, żebyś mi to mówił.

– Słyszałaś, Tatiu, słyszałaś.

Milczeli chwilę.

Tatiana ani nie oddychała, ani nawet nie mrugała.

– Wiesz, skąd o tym wiem?

– Skąd?

– Bo wstałaś z tych sanek. Tam, w Leningradzie. Pamiętasz?

Płynął czas.

Gdy kochali się po raz drugi, ból był nieco mniejszy.

Za trzecim razem poczuła, że się unosi, że płynie, że wypełniają pulsujący żar, żar tak intensywny, iż zaskoczona, głośno krzyknęła.

– Boże, nie przestawaj. Proszę…

– Nie? – Szura zastygł bez ruchu.

– Co ty robisz? – Otworzyła oczy i rozchyliła usta. – Powiedziałam, nie przestawaj.

– Chcę usłyszeć, jak jęczysz – wymruczał. – Chcę, żebyś jęczała bez przerwy.

– Szura, błagam… – Kurczowo obejmowała go za szyję, gniotła wargami jego wargi.

– O co? Żebym przestał? Czy żebym nie przestawał?

– Tak! Nie przestawaj, proszę…

Poruszał się w niej coraz głębiej, coraz wolniej. Tania krzyknęła.

– Wolisz tak? – spytał.

Tania nie mogła mówić.

– Czy… – Gwałtownie przyspieszył. – Czy tak?

Tatiana krzyknęła jeszcze głośniej.

– Boże, Tatiu, aż tak ci dobrze?

– Tak.

– Więc jak wolisz?

– Wszystko jedno.

– Jęcz, Taniu, jęcz. Dla mnie. – Znowu zmienił rytm. – Głośno, głośniej…

Nie musiał jej dwa razy prosić.

– Nie przestawaj, Szura, proszę, nie przestawaj – szeptała jak w gorączce.

– Nie przestanę, Tatiu.

Nie przestał i w końcu ciało Tatiany zesztywniało, a ułamek sekundy później ogarnęła ją cudowna, pulsująca rozkosz, rozkosz gorąca niczym strumień lawy. Upłynęła długa chwila, zanim przestała drżeć.

– Co to było? – wykrztusiła, ciężko dysząc.

– Moja Tatia odkryła coś, co w kochaniu najpiękniejsze. – Przywarł policzkiem do jej policzka. – To, Taniu, jest ulga. To jest spełnienie.

Objęła go kurczowo i rozpłakała się ze szczęścia.

– Boże, Aleksandrze…

– Jak długo tu jesteśmy?

– Nie wiem. Kilka minut?

– Gdzie twój „dokładny” zegarek?

– W plecaku. Chciałem, żeby czas przestał płynąć.

– Śpisz?

– Nie. Mam zamknięte oczy. Jestem… odprężona.

– Powiesz mi prawdę, jeśli cię o coś spytam?

– Oczywiście – szepnęła z uśmiechem.

– Czy kiedykolwiek dotykałaś mężczyzny? Tylko dotykałaś…

Otworzyła oczy i roześmiała się cicho.

– Szura, co ty pleciesz? Nie licząc mojego brata, kiedy był młodszy, nigdy w życiu nie widziałam nagiego mężczyzny.

Leżała w jego ramionach, pieszcząc jego policzek i jabłko Adama. Przytknęła palec do tętnicy szyjnej. Pocałowała ją i przywarła do niej wargami, chcąc poczuć, jak pulsuje. Dlaczego jest dla mnie taki dobry, taki kochany? – pomyślała. Dlaczego tak słodko pachnie?

– A te hordy młodych, dzikich lubieżników, którzy ścigali cię po całej Ludze? Żaden z nich…

– Żaden z nich co?

– Cię nie dotknął?

Pokręciła głową.

– Jesteś zabawny. Nie.

– Nawet przez ubranie?

– Co takiego? – Nie odrywała ust od jego szyi. – Oczywiście, że nie. Szura, co ty chcesz ze mnie wyciągnąć?

– Wszystko to, co było przede mną.

– Przed tobą? – spytała żartobliwie. – Czy w ogóle coś przed tobą było?

– To ty mi powiedz.

– No dobrze. Co chcesz wiedzieć?

– Kto widział cię nago. Oprócz rodziny. Ale nie wtedy, kiedy jako ośmioletnia dziewczynka robiłaś te słynne gwiazdy.

A więc tego chciał? Całej prawdy? Tak bardzo bała się mu powiedzieć. Jak to zniesie?

– Szura, pierwszym mężczyzną, który widział mnie częściowo rozebraną, byłeś ty.

Tam, w Łudze.

– Naprawdę? – Podniósł głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

Potarła ustami o jego szyję.

– Naprawdę.

– I nikt cię nie dotykał?

– Dotykał?

– No wiesz. Piersi i… – Sięgnął w dół i odnalazł ją czubkami palców.

– Boże, oczywiście, że nie. – Serce zabiło mu szybciej: wargami czuła pulsowanie krwi. Skoro tak bardzo tego chciał, dobrze, powie mu to tu i teraz. – Pamiętasz las w Łudze?

– Jakże mógłbym zapomnieć? To był najcudowniejszy pocałunek w moim życiu.

– Szura, tam, w tym lesie, pierwszy raz całowałam się z mężczyzną.

Pokręcił głową i spojrzał jej w oczy z powątpiewaniem, a może nawet z niedowierzaniem, jakby wyznała mu jedynie pół prawdy.

– No co? – spytała z uśmiechem. – Wprawiasz mnie w zakłopotanie. – Co się stało?

– Nie mów mi tylko, że…

– Dobrze, nic ci nie powiem.

– Powiedz, tak proszę.

– Przecież mówię.

Osłupiały Aleksander szybko zamrugał.

– Kiedy pocałowałem cię w Łudze…

– Tak?

– Powiedz.

– Szura… – Przylgnęła do niego całym ciałem. – Czego ty chcesz? Prawdy czy czegoś innego?

– Nie wierzę. – Pokręcił głową. – Po prostu nie wierzę.

– No to nie wierz. – Położyła się na wznak z rękami pod głową.

Nachylił się nad nią.

– Mówisz tak, bo wiesz, że chcę to usłyszeć – szepnął, pieszcząc jej piersi i brzuch. Nie mógł oderwać od niej rąk; były w ciągłym ruchu.

– A chcesz?

Długo nie odpowiadał.

– Nie wiem. Nie. Tak, niech Bóg mi dopomoże. Ale powiedz całą prawdę.

Poklepała go po plecach.

– Już powiedziałam – rzuciła wesoło. – Oprócz ciebie, nikt mnie nigdy nie dotknął.

Lecz Aleksander wciąż był poważny. Spojrzał na nią maślanymi oczami i spytał:

– Jak to możliwe?

– Nie wiem, po prostu możliwe.

– Jak tyś to zrobiła? Prosto z łona matki trafiłaś w moje ramiona?

– Prawie – odrzekła ze śmiechem. – Kocham cię. Rozumiesz? Przed tobą nie miałam ochoty nikogo całować. W Łudze tak bardzo tego pragnęłam, że nie wiedziałam, co zrobić. Nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Pół nocy nie spałam, próbując coś wymyślić, zmusić cię, żebyś mnie pocałował. I kiedy weszliśmy do tego lasu, powiedziałam sobie, teraz albo nigdy. Że jeśli ty mnie nie pocałujesz, nie pocałuje mnie już nikt. – Dotykała go i nieustannie pieściła.

– Boże, wiesz, jak na mnie działasz? – wyszeptał chrapliwie. – Przestań. Co ty ze mną robisz?

– A ty ze mną?

Kochali się, nie odrywając od siebie ust i gdy roznamiętniony dotarł wreszcie na szczyt spełnienia, gdy ona dotarła tam razem z nim, była niemal pewna, że Szura stłumił w sobie głośny krzyk.

– Taniu – tchnął jej prosto w usta. – Nie wiem, jak ja z tobą przeżyję.

– Skarbie – wymruczał, przygniatając ją całym ciałem. – Otwórz oczy. Dobrze się czujesz?

Tatiana milczała. Wsłuchiwała się w czuły ton jego głosu.

– Taniu – szepnął, pieszcząc jej twarz, szyję i piersi. – Masz skórę jak noworodek, wiesz?

– Nieprawda.

– Skórę jak noworodek, słodki oddech i jedwabiste włosy. – Ukląkł, by delikatnie ssać jej sutki. – Jesteś boska, absolutnie boska.

Objęła go za głowę. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Przebacz mi, Tatiano – powiedział ze łzami w oczach. – Zraniłem twe czyste serce zimną, obojętną twarzą. Ale wierz mi, moje serce zawsze było gorące, zawsze tobą przepełnione. Nie zasłużyłaś na to, co zesłał ci los, przez co musiałaś przejść. Ani na cierpienia, jakich doznałaś od siostry, ani na to, co przeżyłaś w Leningradzie, ani na to, co zrobiłem ci ja. Tuż przed waszym odjazdem, tam, nad Ładogą… Opuściłem brezent, zasłoniłem wejście i nawet na ciebie nie spojrzałem. Nie wiesz, ile mnie to kosztowało. Czułem, że gdybym spojrzał, wszystko by się skończyło. Że już nie potrafiłbym okłamywać Daszy. Że nie dotrzymałbym obietnicy. Nie chodzi o to, że na ciebie nie spojrzałem. Ja po prostu nie mogłem na ciebie spojrzeć. Tyle ci dałem, kiedy byliśmy sami. Miałem nadzieję, że to wystarczy, byś beze mnie przetrwała.

– I wystarczyło, Szura – szepnęła ze łzami w oczach. – Jestem tu.

I będę. – Złożyła mu głowę na piersi. – Przepraszam, że w ciebie zwątpiłam. Ale teraz moje serce jest lekkie i czyste.

Aleksander ucałował ją między piersiami.

– Wyleczyłeś mnie, Szura.

Mrucząc i szepcząc, leżała pod nim szczęśliwa, ponownie zaznając rozkosznej ulgi.

– Boże, a ja myślałam, że kochałam cię przedtem…

Przytknął usta do jej skroni.

– Dzięki temu uczucie zyskuje zupełnie nowy wymiar, prawda? – Nie odrywał od niej rąk. Nie odrywał od niej ciała. Tulił ją, nie przestając się w niej poruszać.

Uśmiechnęła się błogim uśmiechem młodości.

– Jesteś moją pierwszą miłością, wiesz?

Wcisnął się w nią jeszcze głębiej i zlizał słony pot z jej czoła.

– Wiem.

– Ach tak? Skąd?

– Ha! – rzucił wesoło. – Wiedziałem o tym od samego początku, zanim jeszcze znalazłaś odpowiednie słowo na określenie tego, co czujesz. Czytałem z ciebie jak z otwartej księgi. Czyż mógł istnieć inny powód twojej nieśmiałości?

– Nieśmiałości?

– Uhm.

– Czy to było aż tak oczywiste?

– Tak. Kiedy ktoś z nami był, nie mogłaś spojrzeć mi w oczy, ale jeśli choć na chwilę zostawaliśmy sami, dosłownie chłonęłaś mnie wzrokiem. Tak jak teraz. – Pocałował ją w usta. – Byle drobiazg wprawiał cię w zażenowanie. Pamiętasz, jak jeździliśmy tramwajem? Ilekroć cię podtrzymywałem, czerwieniłaś się jak róża. Twoja ręka na mojej ręce, kiedy opowiadałem ci o Ameryce, twój uśmiech. Tatiu, twój uśmiech, kiedy biegłaś mi na spotkanie przed Kirowem. – Uśmiechnął się do wspomnień. – Usidliłaś mnie swoją pierwszą miłością.

– Ach więc to tak? – wymruczała, drocząc się z nim żartobliwie. – W pierwszą miłość uwierzyłeś, a w pierwszy pocałunek nie? Za kogo ty mnie masz?

– Za najmilszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek znałem.

– Gotowy?

– Taniu… – Pokręcił głową i uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Co w ciebie wstąpiło?

Roześmiała się, głaszcząc go po brzuchu.

– Szura, czyżbym za bardzo cię pożądała?

– Nie, ale jeszcze trochę i mnie zabijesz.

Bardzo chciała czegoś spróbować, ale nie miała śmiałości go o to poprosić.

Pomyślała chwilę, odchrząknęła i spytała:

– Kochanie? Mogę się na tobie położyć?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się i otworzył ramiona. – Chodź.

Położyła się na nim i pocałowała go w usta miękko, lecz zmysłowo.

– Lubisz tak?

– Uhmmm…

Okryła pocałunkami jego twarz, szyję i pierś.

– Wiesz, jaką masz skórę? – szepnęła. – Jak moje ulubione lody. Gładką, śmietankową… Jest karmelowa, ale cieplutka. – Ponownie potarła ustami o jego pierś.

– Smaczniejsza niż lody?

– Tak. – Wróciła ustami do jego ust. – O wiele. – Pocałowała go głęboko, a potem delikatnie possała mu język. – Lubisz tak?

Jęknął w odpowiedzi.

– Szura… – spytała nieśmiało. – Chciałbyś może, żebym pocałowała cię tak… gdzieś indziej?

Podniósł głowę i spojrzał na nią. Podekscytowana i zawstydzona Tatiana uważnie obserwowała jego piękną twarz.

– Hmm… – zaczął powoli. – Owszem, i to bardzo.

Uśmiechnęła się, na próżno próbując ukryć podniecenie.

– Musisz tylko… Musisz mi tylko powiedzieć, co mam robić, dobrze?

– Dobrze.

Chwilę wsłuchiwała się w bicie jego serca, potem przywarła policzkiem do jego umięśnionego brzucha, by sekundę później przesunąć się jeszcze niżej. Musnęła go włosami, delikatnie potarła piersiami i czując, że pod nią tężeje, powiodła językiem po wąskiej linii włosów od pępka aż do podbrzusza. Wreszcie musnęła go ustami, uklękła i objęła go dłońmi. Był wspaniały.

– Co teraz?

– Teraz weź mnie do ust – odrzekł, nie odrywając od niej wzroku.

Aż sapnęła.

– Całego?! – Wzięła tyle, ile się zmieściło.
– Poruszaj głową, w górę i w dół.
– Tak?
Szura cicho jęknął.
– Tak.
– Czy tak?
– Boże, tak też jest cudownie…
Pod jej namiętnie drżącymi wargami i zwinnymi palcami stężał jeszcze bardziej. Chwycił ją za włosy, a ona znieruchomiała na chwilę i podniosła wzrok.
– O tak… – szepnęła, zachłannie wsuwając go jeszcze głębiej.
– Jesteś cudowna – wychrypiał. – Nie przestawaj, nie przestawaj… Ale Tania przestała. Aleksander otworzył oczy.
– Jęcz, Szura. Chcę usłyszeć, jak jęczysz.
Usiadł i pocałował ją w usta.
– Nie przestawaj, Taniu, Boże, nie przestawaj. – Łagodnie pchnął jej głowę w dół, po czym opadł na koc.
Tuż przed spełnieniem, ujął w dłonie jej twarz i szepnął:
– Taniu, ja zaraz…
– Wiem. Zrób to w moich ustach.
Potem, gdy przytuliła się do jego piersi, spojrzał na nią rozbawiony i powiedział:
– Doszedłem do wniosku, że bardzo mi się to podoba.
– Mnie też – odrzekła cicho.

Długo leżała bez słowa, czując, jak pieści ją czubkami palców.
– Dlaczego przez dwa dni się kłóciliśmy, zamiast robić to, co robimy? Potargał jej włosy.
– To nie była kłótnia, Tatiaszo. To była gra wstępna.
– Przepraszam – szepnęła.
– Ja ciebie.
Tatiana ponownie zamilkła.
– Co się stało? – spytał. – O czym myślisz?
Skąd on mnie tak dobrze zna? Wystarczy, że mrugnę, a on już wie, że czymś się denerwuję albo że coś mnie niepokoi. Wzięła głęboki oddech.
– Szura, czy dużo dziewcząt kochałeś przede mną?
– Nie, mój aniołku – odrzekł czule. – Niedużo.
– A Daszę? – spytała cichutko, czując, że zaraz się rozpłacze. Aleksander długo nie odpowiadał.
– Taniu, nie wracaj do tego.
Tatiana milczała.
– Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekujesz – dodał po chwili. – Co chcesz usłyszeć?
– Prawdę.
– Nie, nie kochałem Daszy. Lubiłem ją, dobrze się razem bawiliśmy.
– Jak dobrze?
– Dobrze.
– Miałeś mówić prawdę.
– Po prostu dobrze. – Potarł palcem jej sutkę. – Nie domyśliłaś się jeszcze, że nie była w moim typie?

– A co powiesz o mnie swojej kolejnej dziewczynie?
– Hmm… Że miałaś cudowne piersi.
– Przestań.
– Że miałaś młodziutkie, sterczące piersi o dużych, nieprawdopodobnie wrażliwych sutkach… – Podniósł jej nogi i oparł je sobie o ramiona. – Usta dla bogów, oczy dla królów. – Wszedł w nią i namiętnie szepnął: – I że najcudowniejsza byłaś tam, w środku.

– Jak myślisz, która godzina?
– Nie wiem – wymruczał sennie. – Niedługo wieczór.
– Nie chcę wracać.
– A kto wraca? Nie wrócimy. Nigdy.
– Nie?
– Tylko spróbuj.
Wieczorem wyszli z namiotu. Tatiana usiadła na kocu w jego kurtce na ramionach, a on zaczął ustawiać ognisko z chrustu, który zebrała, gdy przyszli na polanę. Pięć minut później ogień buzował aż miło.
– Piękne ognisko – powiedziała cicho.
– Dziękuję. – Wyjął z plecaka dwie puszki tuszonki, chleb i manierkę z wodą. – Spójrz.
Rozwinął aluminiową folię. Było w niej kilka kwadratowych kawałków czekolady.
– Boże… – wymamrotała bezgłośnie, patrząc na niego w zadziwieniu.
Zjedli.
– Będziemy spać w namiocie? – spytała.
– Jeśli chcesz, mogę rozpalić w piecu. Widziałaś, jak dla ciebie posprzątałem?
– Tak. Kiedy zdążyłeś to zrobić?
– Wczoraj, po naszej kłótni. Myślałaś, że co? Że całe popołudnie spacerowałem?
– Po kłótni? – powtórzyła zdziwiona. – Zanim wróciłeś po rzeczy?
– Tak.
Dała mu sójkę w bok.
– Po prostu chciałeś, żebym…
– Przestań, bo zakocham cię na śmierć.
Niewiele brakowało i dotrzymałby słowa.
Siedzieli przy ognisku. Tatiana płakała w jego ramionach.
– Co ci, Tatiu?
– Och Szura…
– Ciii… Nie płacz.
– Brakuje mi Daszy.
– Wiem.
– Myślisz, że dobrze postąpiliśmy? Że dobrze się z nią obeszliśmy?
– Zrobiliśmy, co mogliśmy, i ty, i ja. Zakochaliśmy się w sobie, złamaliśmy sobie serce, zraniliśmy innych – przecież tego nie chcieliśmy. Walczyłem z tym. Chciałem pokochać Daszę, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Naprawdę chciałem. To nie moja wina, że nie mogłem.
Tatiana popatrzyła na ognisko i na srebrzysty księżyc skrzący się w rzece.
– Ja też próbowałam się w tobie odkochać. Ze względu na nią.
– Ale nie mogłaś.
– Nie. – Zerknęła na niego kątem oka. – Szura – spytała niepewnie. – Czy ty… czy ty ciągle jesteś we mnie zakochany?

– Spójrz na mnie. – Spojrzała. – Tatiu, ja cię uwielbiam, ja za tobą szaleję! Chcę się z tobą ożenić.

– Co takiego?!

– Tak. Tatiano, wyjdziesz za mnie? Zostaniesz moją żoną? Nie płacz, Tatiu, nie płacz… Nie odpowiedziałaś.

– Tak, Aleksandrze. Wyjdę za ciebie. Zostanę twoją żoną.

– To dlaczego płaczesz?

8

Nazajutrz o świcie, zmęczona i obolała poszła chwiejnie do rzeki. Aleksander ruszył za nią. Kama była zimna, a oni stali w niej nago.

– Mam mydło – powiedział.

– Cudownie.

Namydlił ją całą i sennie wymamrotał:

– Zmywam z ciebie lęk, który cię dręczy, zmywam z ciebie nocny strach… Obmywam wodą twoje ręce i nogi, twoje miłość niosące serce i twój życie dający brzuch…

– Daj mydło. Teraz ja cię umyję.

– Zaczekaj. Jak to idzie? Co Bóg powiedział Mojżeszowi?

– Nie mam pojęcia.

– „Nie ulękniesz się strachu nocnego ani strzały lecącej za dnia…”[18] Dalej nie pamiętam, a już na pewno nie po rosyjsku. Coś o dziesięciu tysiącach padających po twojej prawicy. Przeczytam i wszystko ci opowiem. Powinno ci się spodobać. Ale i tak wiesz, co chcę powiedzieć.

– Wiem – szepnęła. – Niczego już się nie lękam. Jak bym mogła? Teraz? Z tobą? Daj mydło.

– Lecę z nóg – wymamrotał. – Jestem wykończony.

Namydliła mu piersi i powędrowała rękami niżej.

– Hmm, chyba nie całkiem…

Stracił równowagę i upadł na plecy. Położyła się na nim i dodała:

– Zmęczony, ale nie wykończony…

Obejmowała go za szyję, przywierając całym ciałem do jego ciała. Nie dotykała nogami dna.

– Zobacz, słońce wychynęło zza gór – wymruczała. – Pięknie, prawda?

Lecz on nie patrzył ani na góry, ani na wschodzące słońce. Jedną ręką ją obejmował, drugą głaskał po twarzy.

– Na brzegu Kamy znalazłem prawdziwą miłość.

– Ja znalazłam ją na Sałtykowa-Szczerdina, kiedy siedziałam na ławce, jedząc lody.

– Nieprawda. Nawet mnie nie szukałaś. To ja znalazłem ciebie.

Zapadło długie milczenie.

– Naprawdę mnie szukałeś?

– Całe życie.

– Szura, jak to możliwe, że od samego początku jesteśmy sobie tak bliscy, że mamy ze sobą tyle wspólnego?

– To nie jest bliskość, Tatiu.

– Nie?

– Nie.

– A co? Powiedz.

– Więź duchowa.

Chłodnym, mglistym rankiem rozpalił ognisko na brzegu leniwie płynącej rzeki. Zjedli po kawałku chleba i popili wodą. Aleksander zapalił papierosa.

– Przyjechaliśmy nieprzygotowani – powiedziała Tatiana. – Powinniśmy byli zabrać

szklankę. I łyżeczkę. Talerze. I kawę.

– Nie wiem, jak ty – odparł z uśmiechem – ale ja najważniejsze zabrałem.

Zaczerwieniła się. Wziął ją za rękę.

– Tatiu – dodał z uśmiechem – za kilka godzin będziesz miała wszystko.

– Jak to?

– Chodź, trzeba się ubrać. Idziemy do Mołotowa.

– Naprawdę? – Jego głos, jego słowa wypowiedziane pod srebrzystym księżycem: czy to był tylko sen? – Po co? – Wstrzymała oddech.

– Musimy coś kupić.

– Talerze?

– Talerze, koce, poduszki, szklanki, patelnię, kosz na bieliznę, jedzenie. I obrączki.

– Obrączki?

– Tak, obrączki. Takie na palec.

9

Powoli szli do Mołotowa. Trzymała go pod rękę. Przez konary strzelistych sosen sączyły się promienie słońca.

– Wiesz, uczyłam się angielskiego.

– Naprawdę? Mówiłaś, że nie miałaś czasu. Uwierzyłem. Widziałem, jak żyjesz.

Tatiana odchrząknęła.

– Aleksandrze Barrington – powiedziała po angielsku. – Chcę cię kochać zawsze.

Przytulił ją ze śmiechem.

– A ja ciebie – odpowiedział w swoim ojczystym języku. Zamilkł i spojrzał jej w oczy.

– Co? – spytała. – Co się stało?

– Bardzo wolno idziesz. Dobrze się czujesz?

– Dobrze. – Zaczerwieniła się. Wszystko ją w środku bolało. – No co?

– Poniosę cię kawałek, chcesz? – zaproponował z uśmiechem. – Jak kiedyś. Pamiętasz?

– Tak. Ale tym razem weź mnie na ręce.

– Któregoś dnia – rzekł, podnosząc ją bez wysiłku – powiesz mi, dlaczego wsiadłaś do autobusu sto trzydzieści sześć i dojechałaś aż do pętli.

Dała mu kuksańca.

– A ty mi powiesz, dlaczego pojechałeś ze mną.

– Co takiego? – spytała z niedowierzaniem.

– Cerkiew – powtórzył. – Musimy znaleźć cerkiew.

– Ale po co?

Zerknął na nią kątem oka.

– A gdzie chcesz wziąć ślub?

Tatiana zagryzła wargę.

– Tam, gdzie wszyscy. W urzędzie stanu cywilnego.

Aleksander roześmiał się i ruszył przed siebie.

– W urzędzie? To bez sensu. Lepiej od razu wracajmy do namiotu.

– Chętnie – mruknęła Tatiana; wzmianka o cerkwi trochę ją zaniepokoiła.

Aleksander bez słowa wziął ją za rękę.

– Ale dlaczego akurat w cerkwi? – spytała.

– Taniu – odrzekł, patrząc przed siebie. – Biorąc ślub, zawierasz święte przymierze. Chcesz je zawrzeć ze Związkiem Radzieckim czy z Bogiem?

Tania nie odpowiedziała.

– Tatiu, w co wierzysz?

– W ciebie.

– A ja w Boga i w ciebie. Pobierzemy się w cerkwi.

Najbliższa cerkiew, pod wezwaniem świętego Serafina, była w centrum miasteczka. Pop, ojciec Michaił, przyjrzał im się i mruknął:

– Hmm, jeszcze jeden wojenny ślub. – Zerknął na Tatianę. – Nie za młoda jesteś, córko?

– Jutro kończę osiemnaście lat – odrzekła głosem dziesięcioletniej dziewczynki.

– Macie świadków i obrączki? Byliście w urzędzie stanu cywilnego?

– Nie, nie mamy i nigdzie nie byliśmy – odrzekła Tania, ciągnąc Aleksandra za rękaw.

Ten wyswobodził się i spytał popa, gdzie można kupić obrączki.

– Kupić? – powtórzył zaskoczony pop. Był wysoki, chudy, miał sondujące niebieskie oczy i długą, siwawą brodę. – Kupić obrączki? Nigdzie. W mieście jest jubiler, ale on nie ma złota.

– Gdzie mieszka?

– Synu, pozwól, że cię o coś zapytam: dlaczego chcecie pobrać się w cerkwi? Idźcie do urzędu, jak wszyscy. Dadzą wam ślub w pół minuty, a urzędnik może być waszym świadkiem.

Tatiana znieruchomiała. Aleksander wziął głęboki oddech.

– Tam, skąd pochodzę, ślub jest ceremonią publiczną i świętą. Zamierzamy pobrać się tylko raz, dlatego chcemy, żeby wszystko odbyło się jak należy.

Chcemy? – pomyślała Tatiana. My?! Miała coraz gorsze przeczucia.

– Dobrze, synu – odrzekł z uśmiechem ojciec Michaił. – Z radością połączę dwoje młodych ludzi rozpoczynających nowe życie. Przyjdźcie jutro z obrączkami i świadkami. Dam wam ślub.

– Nic z tego, nie mamy obrączek – powiedziała z ulgą Tania, gdy wychodzili z cerkwi. – Trudno.

– Ale będziemy mieli – odparł Aleksander, wyjmując z plecaka cztery złote zęby. – Na dwie powinno wystarczyć.

Tatiana osłupiała.

– To od Daszy – wyjaśnił Szura. – Nie rób takiej miny. To zwykłe koronki.

Tania była przerażona.

– Będziemy nosili obrączki zrobione z zębów, które Dasza ukradła swoim pacjentom?

– Masz lepszy pomysł?

– Powinniśmy zaczekać.

– Na co?

Tego nie wiedziała. Bo rzeczywiście, na co? Ruszyła za nim z ciężkim sercem.

Jubiler mieszkał i pracował w małym domku na skraju miasteczka. Popatrzył na zęby, popatrzył na Aleksandra i Tatianę i oznajmił, że owszem, zrobi obrączki, ale za cenę dwóch złotych zębów ekstra.

Aleksander odrzekł, że nie ma więcej złota, ma za to butelkę wódki. Jubiler tylko pokręcił głową. Szura głośno westchnął, wyjął z plecaka dwie złote koronki i spytał o sklep, w którym mogliby kupić naczynia i pościel.

– Daj spokój – syknęła Tatiana. – Pewnie zażądają zęba za koc.

Jubiler przedstawił im swoją tęgą żonę Sofię, która sprzedała im dwie kołdry, dwie poduszki i dwa prześcieradła – wszystko razem za dwieście rubli.

– Dwieście rubli! – wykrzyknęła Tania. – Nie zarobiłam tyle za zmontowanie dziesięciu czołgów i pięciu tysięcy miotaczy ognia.

– Tak, ale ja wysadziłem w powietrze dziesięć czołgów, zużyłem pięć tysięcy miotaczy ognia i dostałem za to dwa tysiące rubli. Nigdy nie myśl o pieniądzach. Po prostuje wydawaj.

Kupili również czajnik, patelnię, dzbanek, kilka talerzy, szklanek, piłkę do gry i dwie blaszane misy.

– Po co nam misy? – spytała Tatiana.

– Zobaczysz – odrzekł z uśmiechem Aleksander. – To urodzinowa niespodzianka.

– Jak zaniesiemy to wszystko do domu?

Cmoknął ją w czubek nosa.

– Kiedy jesteś ze mną, o nic się nie martw. Ja się tym zajmę.

Sofia sprzedała im dwa kilogramy tytoniu, lecz jedzenia sprzedać nie mogła. Poleciła za to sklep, gdzie kupili jabłka, pomidory, ogórki, chleb i masło. Znaleźli ustronne miejsce na brzegu rzeki, otworzyli puszkę tuszonki i zjedli pyszny obiad.

– Wiesz, co mnie zdumiewa? – spytała Tatiana, łamiąc chleb. – Że w zeszłym roku dałeś mi na urodziny „Jeźdźca miedzianego”.

– Bo?

– Jak włożyłeś tam pieniądze? – Nalała mu szklankę kwasu.

– Niczego nie wkładałem. One już tam były.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Dałeś mi tyle pieniędzy, prawie mnie nie znając? – Ciekawiło ją, skąd je wziął, lecz Szura milczał. Zdążyła już do tego przywyknąć i wiedziała, że powie jej dopiero wtedy, gdy sam zechce. Patrzyła na niego. Bardzo go pragnęła.

– Co?

– Nic, nic – odrzekła, szybko odwracając wzrok.

Podczołgał się bliżej i odebrał jej chleb.

– Coś ci powiem – szepnął z uśmiechem. – Jeśli czegoś ode mnie chcesz i wstydzisz się poprosić, szybko zamrugaj, trzy razy. To wystarczy.

10

Noc spędzili w namiocie nad brzegiem Kamy. Wykąpali się, na wiele godzin przed zachodem słońca zapadli w twardy sen i spali piętnaście godzin bez przerwy.

Nazajutrz przed południem zwinęli namiot i wraz z nowo zakupionymi rzeczami ukryli go w lesie.

Tatiana włożyła białą sukienkę w szkarłatne róże.

– Mówiłam, że jest za mała. – Aleksander obserwował ją, leżąc na kocu. Tania uklękła. – Ściągniesz paseczki? Tylko nie za mocno. Nie tak jak wtedy, w autobusie. – Szura ani drgnął. Zerknęła przez ramię. – Co się stało?

– Boże, ta sukienka… – Delikatnie popieścił jej plecy, ściągnął paseczki i całując łopatki, wyszeptał, że jest tak piękna, iż sam pop zechce się z nią ożenić. Tania rozpuściła włosy i założyła je sobie za uszy.

Aleksander przebrał się w wyjściowy mundur. Zasalutował jej i spytał:

– No i jak wyglądam?

Wstydliwie oddała mu honory.

– Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

– A już za dwie godziny – odrzekł, całując ją czule – będziesz żoną najprzystojniejszego męża. Wszystkiego najlepszego, moja osiemnastoletnia narzeczono.

Objęła go za szyję.

– To nie do wiary, że pobieramy się w moje urodziny.

– Dzięki temu nigdy mnie nie zapomnisz.

– Tak, tak – odrzekła, delikatnie wsuwając rękę między jego uda. – Kto mógłby ciebie zapomnieć?

Urzędnik spytał ich obojętnie, czy są zdrowi na umyśle i czy zawierają ten związek z własnej i nieprzymuszonej woli. Potem wzruszył ramionami i wbił im stempel do papierów.

– A ty chciałaś, żeby taki typ dał nam ślub – syknął Aleksander, gdy wyszli na ulicę.

Tania nie odpowiedziała. Tania myślała. Zdrowi na umyśle? Nie była tego pewna.

– Wbili nam stempel. „Osoba posługująca się niniejszym dokumentem zawarła związek małżeński dnia 23 czerwca 1942 r.”. I wpisali nazwiska. W twoim moje, w moim twoje.

– Wiem.

– Aleksandrze, a jeśli Dmitrij…

– Ciii… – Przytknął jej dwa palce do ust. – I co z tego? Ten sukinsyn ma nas powstrzymać?

– Nie.

– Mam go gdzieś. Nie wymawiaj przy mnie jego imienia. Rozumiesz?

– Tak. Ale nie mamy świadków.

– Kogoś znajdziemy.

– Moglibyśmy wrócić po Nainę Michajłowną, po Dusię i…

– Chcesz zepsuć mi dzień czy wyjść za mnie za mąż?

Tatiana umilkła.

Objął ją i szepnął:

– Nie martw się. Znajdziemy doskonałych świadków, zobaczysz.

Poszli do jubilera i Aleksander zaproponował mu butelkę wódki w zamian za pół godziny świadkowania w cerkwi. Jubiler chętnie się zgodził, a jego żona Sofia po namyśle wzięła nawet aparat fotograficzny.

– Ależ wam spieszno – powiedziała, gdy szli do świętego Serafina. – Tyle przy tym załatwiania, że wszystkiego się odechciewa. – Zmarszczyła brwi i otaksowała Tatianę spojrzeniem. – Nie jesteś przypadkiem w odmiennym stanie?

– Tak, jest – odparł Aleksander, nie tracąc kontenansu. – Już widać? Niemożliwe. – Delikatnie poklepał Tanię po brzuchu i uśmiechnął się szeroko. – To nasze trzecie, ale pierwsze z prawego łoża.

Tatiana uszczypnęła go i wyrwała mu włos z przedramienia.

– Dlaczego ciągle to robisz? – syknęła.

– Co? – spytał ze śmiechem. – Wprawiam cię w zażenowanie?

– Właśnie – odrzekła, z trudem zachowując powagę.

– Tatiu, po prostu nie chcę, żeby cokolwiek o nas wiedzieli. Ani oni, ani kobiety, z którymi mieszkałaś. Ta sprawa nie ma z nimi nic wspólnego. Dotyczy tylko ciebie i mnie. I Boga.

Stała u jego boku. Popa jeszcze nie było.

– Nie przyjdzie – szepnęła, zerkając przez ramię. Jubiler stał z żoną przy drzwiach, z butelką wódki w ręku.

– Przyjdzie.

– Czy przynajmniej jedno z nas nie musi być ochrzczone?

– Ja jestem. Dzięki matce, byłej Włoszce, jestem katolikiem. Poza tym czyż nie ochrzciłem cię wczoraj w rzece?

Tania spiekła raka.

– Zuch dziewczyna – szepnął. – Trzymaj się, zaraz będzie po wszystkim. – Zamknął usta, dumnie podniósł głowę i patrząc na ołtarz pewnym siebie wzrokiem, spokojnie czekał.

Tatiana czuła się jak we śnie.

Jak w koszmarze sennym, z którego nie mogła się obudzić. Nie w swoim koszmarze. W koszmarze Daszy.

Jak to możliwe, że brała ślub z jej Aleksandrem? Jeszcze przed tygodniem nie była w stanie nawet tego sobie wyobrazić. A tu proszę: ślub. Jakby nagle zaczęła żyć czyimś życiem.

– Jaka ja jestem uczciwa – szepnęła. – Usychałam z tęsknoty za jej kochankiem, a kiedy tylko umarła, zajęłam jej miejsce.

– Taniu, o czym ty myślisz? – spytał zaskoczony Aleksander, odwracając się lekko w jej stronę. – Nigdy do niej nie należałem. Zawsze byłem tylko twój. – Wziął ją za rękę.

– Nawet podczas blokady?

– Zwłaszcza podczas blokady. Dawałem ci wszystko, choć niewiele mi w duszy zostało. To ty dzieliłaś się sobą ze wszystkimi. Ja tylko z tobą.

Ich miłość przetrwała ciężkie próby. I nagle ślub. Sztandar, wielki plakat obwieszczający światu, że spotkali się, pokochali i postanowili się pobrać. Jakby od zawsze miało tak być. Jakby ich zalotom nie towarzyszyło kłamstwo, zdrada, wojna, głód i śmierć wszystkich tych, których kochała.

Z każdą sekundą miała coraz więcej wątpliwości.

Odeszło wielu ludzi, ludzi o wielkim, czułym sercu. Odszedł Pasza, który zginął, zanim zaczął tak naprawdę żyć, odeszła mama, która tak bardzo próbowała przetrwać po śmierci ukochanego dziecka. Odszedł tata w alkoholowej chmurze wyrzutów sumienia, których zagłuszyć nie mogła nawet wojna, odeszła Marina, która tęskniąc za domem i za matką, nie mogła znaleźć sobie miejsca w ich ciasnym mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej.

Odeszła Dasza.

Jeśli już tak miało być, dlaczego jej śmierć wydawała się tak nienaturalna? Dlaczego zakłóciła obowiązujący we wszechświecie porządek?

Czyżby Aleksander miał rację, a Tatiana się myliła? Czy powinna winić siebie za swoją źle pojętą uczciwość i niewytłumaczalne oddanie siostrze? Czy powinna była pozwolić, żeby Aleksander powiedział jej kiedyś: „Wolę Tatianę”?

A może to ona powinna była powiedzieć siostrze, że Aleksander należy tylko do niej.

Może tak byłoby uczciwiej?

Może uczciwiej byłoby wyznać całą prawdę, zamiast uciekać za parawan lęków i obaw?

Nie, pomyślała. Nie. Aleksander był dla mnie jak Bóg. Porażał mnie, onieśmielał, paraliżował, jakbym miała dwanaście lat. To Dasza do niego pasowała, nie ja. Na pierwszy rzut oka tylko ona mogła rościć do niego prawo.

Ja nadawałam się jedynie do przedszkola, ja pasowałam tylko do towarzyszki Pierłodskowej, która codziennie brała mnie na kolana i całowała. Do dziadka, który mówił: Taniu, masz być taka i taka, i któremu odpowiadałam: dobrze, dziadku, będę taka, jaka chcesz.

– Jestem egoistką! – wykrzyknęła. Aleksander spojrzał na nią i uniósł brwi. Tatiana kiwnęła głową i powtórzyła: – Wieczną egoistką. Dasza umiera i na scenę wkraczam ja. Wkraczam powoli, ostrożnie, żeby nie urazić zakochanego Wowy ani żyjących złudzeniami Nainy i Dusi. Wkraczam na scenę i mówię: zaczekaj, najpierw muszę sprawdzić, czy kochając cię, będę mogła chodzić na zebrania kółka krawieckiego, czy miłość nie odmieni mojego życia.

– Tatiano, gwarantuję ci, że miłość odmieni wszystko.

Podniosła głowę. Stał przy niej taki wysoki, taki przystojny. Wciąż była nim zauroczona, teraz jeszcze bardziej niż przedtem.

– Szura – szepnęła.

– Tak?

– Na pewno tego chcesz? Na pewno? Nie musisz tego dla mnie robić.

Nachylił się ku niej z uśmiechem.

– Ależ oczywiście, że muszę. Jako mąż zyskam do ciebie pewne… niezbywalne prawa.

– Mówię poważnie.

Pocałował ją w rękę.

– Chcę, Tatiu. Pragnę tego z całego serca.

Tatiana wiedziała, że gdyby wyznał Daszy prawdę, nie miałby wyboru: musiałby pójść swoją drogą i nie stałby się częścią jej przesyconego zdradą i bólem życia.

Straciłaby i jego, i Daszę. Nie mogłaby z nią żyć, wiedząc, że jej pełne piersi, jej śliczne włosy, usta i dobroć serca nie wystarczą dla mężczyzny, którego kochała. Przepaści, która podzieliłaby ich rodzinę, nie spiąłby żaden most, nawet most siostrzanej miłości.

Nie, Tatiana nie mogła rościć do niego praw. Dobrze o tym wiedziała.

Rzecz w tym, że wcale nie rościła. Że nie próbowała go odzyskać. Aleksander nie był

towarem, a ona klientką, która przychodzi do sklepu i mówi: podoba mi się. Chyba go wezmę. Tak, powinien się nadać. Nie walczyła o jego serce.

To on do niej przyszedł. To on wkroczył w jej młode, samotne życie i pokazał jej, że można żyć pełną piersią. To on przeszedł na drugą stronę ulicy i powiedział: jestem twój.

To on.

Zerknęła na niego kątem oka. Pogodzony ze sobą, stał i cierpliwie czekał. Był taki pewny siebie, taki doskonały. Przez witraż w oknie sączyły się promienie słońca. Pachniało kadzidłem. To Dusia zaprowadziła ją kiedyś do cerkwi i nauczyła się modlić. Od tamtej pory Tania przychodziła tu co wieczór z własnej woli, pragnąc wyzbyć się przytłaczającego smutku i zwątpienia.

Któregoś lata, w Łudze, była bardzo przygnębiona i nie wiedziała, jak się w tym przygnębieniu odnaleźć. Chcąc ją pocieszyć, dziadek powiedział: „Zadaj sobie trzy pytania, Tatiano, i dowiesz się, kim jesteś. Spytaj siebie, w co wierzysz. Spytaj siebie, czy masz nadzieję. I najważniejsze: spytaj siebie, kogo kochasz?".

Podniosła głowę.

– Szura – szepnęła – pierwszej nocy powiedziałeś, że mamy w sobie… Jak to nazwałeś?

– Siłę życiową – odrzekł.

Już wiem, kim jestem, pomyślała, biorąc go za rękę. Mam na imię Tatiana. Wierzę w Aleksandra. To on jest moją nadzieją. I kocham go nad życie.

– Jesteście gotowi, moje dzieci? – Do cerkwi wszedł ojciec Michaił. – Długo czekacie?

Stanął przed ołtarzem. Jubiler i Sofia podeszli bliżej; Tania pomyślała, że pewnie wypili już całą butelkę wódki.

– Dzisiaj twoje urodziny – zagaił z uśmiechem ojciec Michaił. – Ślub to piękny prezent, prawda?

Tatiana przytuliła się do Aleksandra.

– Nadszedł czas ciężkiej próby – kontynuował duchowny – i czasami odnoszę wrażenie, że moją władzę ogranicza brak Boga w sercach młodych ludzi. Ale tu, w tej cerkwi, Bóg jest i widzę, że jest również w was. Cieszę się, że do mnie przyszliście. Bóg pragnie, byście zawarli ten związek dla wspólnej radości, byście w czasach dobrych i złych nieśli sobie pomoc i pocieszenie, byście sprowadzili na ten świat dzieci. A ja, moi drodzy, chcę wyprawić was w tę prawą drogę przez życie. Czy jesteście gotowi służyć Bogu i sobie wzajemnie?

– Tak – odpowiedzieli Tatiana i Aleksander.

– Sakrament małżeński został ustanowiony przez naszego Stwórcę. Jego znaczenie podkreślił sam Chrystus, dokonując pierwszego cudu w Kanie Galilejskiej. Małżeństwo jest symbolem tajemnicy związku miedzy Chrystusem i Jego Kościołem. Czy rozumiecie, że tych, których Bóg złączył, człowiek nie ma prawa rozłączyć?

– Tak.

– Macie obrączki?

– Tak.

– Dobry Boże – kontynuował ojciec Michaił, trzymając krzyż nad ich głowami – spojrzyj łaskawie na tego mężczyznę i na tę kobietę pochodzących ze świata, za który Syn Twój oddał życie. Spraw, by ich wspólne życie było symbolem Jego miłości do tego grzesznego i zepsutego świata. Broń ich przed nieprzyjaciółmi. Prowadź ich w pokoju. Niechaj miłość, którą się wzajemnie darzą, będzie pieczęcią na ich sercach, opończą na

ramionach i koroną na ich głowach. Błogosław im w pracy, w przyjaźni, w nocy i za dnia. Błogosław im w radości i w smutku, w życiu i w godzinie śmierci.

Policzki Tatiany były mokre od łez. Miała nadzieję, że Aleksander tego nie zauważy. Ojciec Michaił dostrzegł to na pewno.

Szura wziął ją za ręce i spojrzał z uśmiechem w jej rozpromienioną twarz.

Gdy wyszli z cerkwi, podniósł ją, obrócił i namiętnie pocałował. Jubiler i Sofia apatycznie zaklaskali w dłonie.

– Nie ściskaj jej tak – mruknęła Sofia. – Dziecko wyciśniesz. Zaraz, zaczekajcie. – Podniosła ciężki aparat. – Zrobię zdjęcie nowożeńcom.

Trzasnęła migawka.

Raz.

I drugi.

– Przyjdźcie do mnie w przyszłym tygodniu. Może zdobędę papier na odbitki. – Pomachała im na do widzenia.

– Nadal uważasz, że powinniśmy byli wziąć ślub w urzędzie stanu cywilnego? – spytał Aleksander. – Przed tym urzędasem od „zdrowych na umyśle”?

Tatiana pokręciła głową.

– Miałeś rację. Skąd wiedziałeś, że będzie tak cudownie?

– Ponieważ to Bóg kazał nam się odnaleźć. A my podziękowaliśmy Mu, biorąc ślub w cerkwi.

Tatiana zachichotała.

– Ślub w parę dni. Szybcy jesteśmy. A wiesz, ile czasu upłynęło, zanim zrobiliśmy to pierwszy raz?

– Cały rok. – Znowu zakręcił nią w powietrzu. – Sam ślub to łatwizna. Tak samo jak kochanie się. Najtrudniej było namówić cię, żebyś zechciała się ze mną kochać. I żebyś za mnie wyszła.

– Przepraszam. Bardzo się denerwowałam.

– Wiem. Robiłem nawet zakłady. Wiesz, jak obstawiałem? Dwadzieścia do osiemdziesięciu.

– Osiemdziesiąt, że ci się uda?

– A skąd! Dwadzieścia!

– Więcej wiary, mężu – szepnęła Tatiana i pocałowała go w usta.

11

Wracali do domu drogą przez las, dźwigając na plecach nowo zakupione rzeczy. To znaczy, Aleksander je dźwigał. Tatiana niosła tylko dwie poduszki.

– Powinniśmy wpaść do Nainy Michajłowny – powiedziała. – Muszą odchodzić od zmysłów.

– Znowu to samo – odrzekł lekko zirytowanym tonem. – Zamiast o mnie, ciągle myślisz o innych. Chcesz tam wracać w dniu swojego ślubu? W naszą noc poślubną?

Miał rację. Dlaczego ciągle myślała o innych? Dlaczego? Dlatego, że nie lubiła ranić ich uczuć. Tak też mu powiedziała.

– Wiem, Tatiu, i bardzo się z tego cieszę. Dogadzaj im, ile dusza zapragnie. Coś ci powiem: najlepiej zacznij ode mnie. Nakarm mnie. Podoglądaj. Ukochaj. A potem pójdziemy do Nainy Michajłowny.

Powoli szła obok niego. Aleksander westchnął.

– Jeśli chcesz, odwiedzimy ich jutro. Zgoda?

Do chatki dziadków dotarli o szóstej wieczorem. Na drzwiach wisiała karteczka od Nainy Michajłowny. „Taniu, gdzie jesteś? Umieramy z niepokoju. N.M.”.

Aleksander zdarł ją i schował do kieszeni.

– Nie wchodzimy? – spytała Tatiana.

– Wchodzimy, ale… Zaczekaj. Najpierw muszę coś zrobić.

– Co?

– Zobaczysz. – I wraz z rzeczami zniknął w środku.

Czekając, zrobiła kilka kanapek z masłem, serem i tuszonką. Aleksander wciąż nie wychodził.

Zatańczyła. Popłynęła przez polanę leciutko jak piórko, cichutko nucąc ulubioną melodię: „Pewnego dnia spotkamy się we Lwowie, mój ukochany i ja”. Sukienka wirowała coraz szybciej i szybciej, a Tania uśmiechała się radośnie, patrząc na szkarłatne róże, które wykwitały w powietrzu pod jej rękami. Gdy podniosła wzrok, ujrzała Aleksandra. Stał w drzwiach chatki, patrząc na nią jak urzeczony.

– Zrobiłam kanapki – wydyszała. – Jesteś głodny?

Pokręcił głową i podszedł bliżej. Tania zarzuciła mu ramiona na szyję i szepnęła:

– Szura, nie mogę uwierzyć, że jesteśmy mężem i żoną.

Wziął ją na ręce i ruszył w stronę chatki.

– W Ameryce jest pewien zwyczaj. Zaraz po ślubie mąż przenosi żonę przez próg nowego domu.

Pocałowała go w nos. Szura był piękniejszy niż poranne słońce.

Zamknął nogą drzwi. W środku panował cienisty półmrok, jak we śnie. Zapomnieli kupić lampę naftową. Nie szkodzi, kupimy jutro, pomyślała Tania. W Łazariewie.

– I co teraz? – spytała, pocierając nosem o jego policzek; zdążył już porosnąć kłującymi włoskami. – Widzę, że posłałeś. Bardzo przemyślnie. W dodatku na piecu.

– Staram się. – Posadził ją na łóżku, rozsunął jej nogi i zadarł sukienkę.

Bardzo chciała na niego spojrzeć, lecz pożądanie zamknęło jej oczy.

– Nie przyjdziesz do mnie? – spytała.

– Za moment. Połóż się na wznak. – Zdjął z niej majteczki i zanurzył głowę między jej udami.

Przez chwilę słyszała tylko jego przyspieszony oddech.

– Szura? – Dotknęła jego głowy. Czuła na sobie jego wzrok, czuła, jak pieści ją językiem…

I palcami.

– A wszystko to pod białą sukienką w szkarłatne róże – szepnął. – Jakaś ty piękna… Jesteś taka piękna. – Ponownie poczuła dotyk jego wilgotnych ust. I dotyk kłujących włosków na udach. Nie wytrzymała. Pochłonęła ją fala rozkoszy i niemal natychmiastowego spełnienia.

Wciąż jeszcze drżała, gdy Aleksander legł na łóżku i położył rękę na jej pulsującym podbrzuszu.

– Boże – tchnęła. – Szura, co ty ze mną robisz?

– Jesteś niewiarygodna.

– Naprawdę? – wymruczała, spychając go w dół. – Możesz? Tak bardzo proszę… – Uśmiechnął się, a ona szybko zamknęła oczy. – No co? W przeciwieństwie do ciebie, ja nie muszę odpoczywać. – Objęła go za głowę.

– Tatiu, jesteś tu taka jaśniutka, taka mięciutka… Mówiłem ci, że to uwielbiam?

Tatiana cichutko jęknęła. Miał takie delikatne usta, takie czułe i podniecające.

– Och, Szura…

– Tak?

Zatracając się w sobie, przez chwilę nie mogła mówić.

– Co pomyślałeś, kiedy pierwszy raz zobaczyłeś mnie w tej sukience?

– Co pomyślałem?

Tania tylko jęknęła.

– Pomyślałem… Słyszysz?

– Tak.

– Pomyślałem, że…

– Och, Szura…

– Że jeśli Bóg istnieje, któregoś dnia na pewno będziesz kochała się ze mną w tej sukience. Bardzo Go o to prosiłem.

– Och…

– Tatiasza, czy nie jest miło wiedzieć, że On naprawdę istnieje?

– O tak, Szura, o tak…

– Powiedz – wydyszała, leżąc na boku z przymkniętymi oczami. Zaschło jej w gardle, nie mogła złapać tchu. – Musisz mi natychmiast powiedzieć, że to już wszystko, że nic więcej nie ma. Ledwo żyję.

– Zaskoczę cię – rzucił z uśmiechem Szura.

– Nie! To niemożliwe. – Dostrzegła dziwny błysk w jego oczach.

Szura poklepał ją po głowie.

– Niemożliwe? – Położył się i zachłannie całując ją w usta, rozsunął jej nogi. – Dopiero się rozkręcam – szepnął. – Do tej pory cię oszczędzałem, ale teraz…

– Oszczędzałeś? – powtórzyła z niedowierzaniem. Głośno krzyknęła, gdy w nią wszedł, a potem zajęczała pod jego ciężarem, czując, że znowu ogarniają znajoma rozkosz.

– Cudownie, prawda? Obejmujesz mnie, jakbyś…

– Tak, cudownie…

– Taniu… – Całował ją w ramiona, w szyję i w usta. – To nasza noc poślubna. Uważaj,

bo zostanie z ciebie tylko sukienka.

– Obiecujesz?

– W Ameryce nowożeńcy składają sobie przysięgę – powiedział, głaszcząc obrączkę na jej serdecznym palcu. – Wiesz jaką?

Ledwo go słyszała. Myślała o Ameryce. Chciała go spytać, czy są tam wioski, takie z chatkami nad brzegiem rzeki. W Ameryce, gdzie nie było ani wojny, ani głodu, ani Dmitrija.

– Słuchasz mnie? Ksiądz mówi: „Czy ty, Aleksandrze, bierzesz tę kobietę za prawnie poślubioną żonę?”.

– Jaką? Poślinioną?!

Parsknął śmiechem.

– To też. Poślubioną. A potem składamy przysięgę. Powiedzieć ci, jak brzmi?

– Powiedz. – Położyła sobie jego palce na ustach.

– Musisz powtarzać za mną.

– Już powtarzam.

– Ja, Tatiana Mietanowa, biorę tego mężczyznę za męża…

– Ja, Tatiana Mietanowa, biorę tego wielkieeeego mężczyznę za męża. – Pocałowała go w kciuk, w palec wskazujący i środkowy. Miał cudowne palce.

– Ślubuję…

– Ślubuję… – Tym razem pocałowała go w serdeczny.

– Że będę go kochać, wspierać i szanować…

– Że będę go kochać, wspierać i szanować… – Teraz obrączka i mały palec.

– Że będę mu posłuszna…

Tatiana przewróciła oczami.

– Że będę mu posłuszna.

– I że wyrzekając się innych, będę mu wierna aż do śmierci.

Pocałowała go w rękę i otarła łzy wnętrzem jego dłoni.

– I wyrzekając się innych, będę mu wierna aż do śmierci.

– Ja, Aleksander Barrington, biorę tę kobietę za żonę…

– Przestań, Szura. – Usiadła na nim i popieściła piersiami jego pierś.

– Przyrzekam…

Pocałowała go w obojczyk.

– Że będę ją kochał… – Załamał mu się głos.. – Kochał, wspierał i szanował.

Przytulona wsłuchała się w jambiczny rytm jego serca.

– I że wyrzekając się innych, będę jej wierny aż…

– Przestań. – Pierś miał mokrą od jej łez. – Proszę.

Objął ją za głowę.

– Są rzeczy gorsze niż śmierć.

Serce wezbrało jej czułością. Przed oczyma stanął obraz matki pochylonej nad szyciem. Przypomniały jej się ostatnie słowa Mariny: „Nie chcę umrzeć, ani razu nie poczuwszy tego, co ty czujesz”. Przypomniała się Tani roześmiana Dasza, która zaplatała jej warkocze. Boże, ile to czasu minęło?

– Tak? – spytała. – Jakie?

– Jakie? Na przykład życie w Związku Radzieckim.

– Ty też tu żyjesz. Wolę już marne życie w Związku Radzieckim niż dobrą śmierć. Ty nie?

– Gdybym miał żyć z tobą, to tak.

– Poza tym nie widziałam, żeby ktoś miał dobrą śmierć.

– Widziałaś. Co powiedziała Dasza, zanim umarła?

Tatiana przywarła do niego całym ciałem, chcąc dotknąć jego wielkodusznego serca.

– Że jestem dobrą siostrą.

Aleksander przytulił ją jeszcze mocniej.

– I byłaś – szepnął. – Dasza miała dobrą śmierć.

Pocałowała go w miejsce tuż nad sercem.

– A ty? Co mi powiesz, zanim zostawisz mnie samą na tym świecie? Co powiesz, żebym wiedziała, żebym usłyszała?

Szura pochylił się nad nią i szepnął:

– Taniu, kocham cię. W Łazariewie nie ma śmierci. Ani śmierci, ani wojny, ani komunizmu. Jesteśmy tylko my, ty i ja. I życie. Małżeńskie życie – dodał z uśmiechem. – Trzeba je wykorzystać. – Zeskoczył z łóżka. – Chodźmy na dwór.

– Dobrze.

– Włóż sukienkę. – Naciągnął spodnie. – I tylko sukienkę.

Z uśmiechem zeskoczyła za nim.

– Ale dokąd idziemy?

– Potańczyć.

– Potańczyć?

– Tak. Na weselu się tańczy.

Zaprowadził ją na polanę. W chłodnym powietrzu unosił się zapach sosnowych szyszek, słychać było szum rzeki i ciche potrzaskiwanie konarów drzew.

– Spójrz na księżyc, Tatiu – szepnął, wskazując odległą dolinę w górach Uralu.

– Widzę – odrzekła, widząc tylko jego. – Ale nie mamy muzyki.

Przyciągnął ją do siebie.

– Taniec w promieniach wschodzącego księżyca – powiedział. – Z młodą żoną w ślubnej sukni.

Popłynęli w walcu przez polanę. Aleksander śpiewał:

O, jak nas taniec lekko niósł
W poślubnej nocy piękny czas,
Bo znaleźliśmy miłość swą,
Chociaż milczało każde z nas[19].

Śpiewał po angielsku, lecz Tatiana zrozumiała niemal wszystko.

– Masz ładny głos, Szura. Znam tę piosenkę. Wiesz, jak nazywa się po rosyjsku? „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

– Bardziej podoba mi się po angielsku.

– Mnie też. – Przytuliła głowę do jego nagiej piersi. – Musisz nauczyć mnie słów, żebym mogła ci ją zaśpiewać.

Wyciągnął rękę.

– Chodź, Tatiasza.

Tej nocy nie spali. Nietknięte kanapki leżały pod drzewem tam, gdzie je zostawiła.

Aleksander.

Aleksander.

Aleksander.

Upalne wakacje sprzed lat, jej łódź, jej królestwo nad jeziorem Ilmen – wszystko to

zniknęło w otchłani dzieciństwa, które odeszło na zawsze, gdy zadziwiona i oczarowana, uległa Aleksandrowi. A on, to czule, to drapieżnie, koił jej wygłodniałe ciało cudami, o jakich nawet nie śniła.

I było tak, jakby nieśmiertelny zaczyn, wszystko, co ziemskie – uczucia, gniew i namiętność – przybrało niebiańską formę.

12

Wczesnym rankiem senna i zmęczona Tatiana usiadła na kocu nad brzegiem krystalicznie czystej rzeki, a on złożył jej głowę na kolanach.

– Kochanie – szepnęła – chcesz się wykąpać?

– Tak, ale nie mam siły. Lecę z nóg.

Kilka godzin spali, kilka pływali, potem ubrali się i poszli do domu Nainy. Staruszki siedziały na werandzie. Piły kawę i z ożywieniem rozmawiały.

– Plotkują – powiedziała Tatiana, wyprzedzając go o krok. – O nas.

– Zaczekaj, aż się dowiedzą – odrzekł i lekko uszczypnął ją w pośladek.

Staruszki bardzo się zdenerwowały. Dusia płakała i modliła się. Naina patrzyła z wyrzutem na Aleksandra. Podekscytowana Aksinia dygotała jeszcze bardziej niż zwykle, jakby nie mogła się doczekać, aż opowie wszystko przyjaciółkom.

– Gdzieś ty była? – wykrzyknęła Naina. – Nie wiedziałyśmy, co się stało. Myślałyśmy, że cię zabili!

– Powiedz im, Taniu – rzekł Aleksander, z trudem zachowując powagę. – Czy ktoś cię zabił?

Wszystkie kobiety – łącznie z Tanią – spiorunowały go wzrokiem. Szura zasalutował im i poszedł się ogolić; z gęstym, czarnym zarostem wyglądał jak pirat.

Co teraz? Co robić? Udawać? Powiedzieć prawdę? Boże, te wszystkie pytania, te wyjaśnienia… Czy ona to wytrzyma? Czy potrafi im wytłumaczyć zasady, jakimi rządzi się jej świat? Wierzyły w jedno, a teraz miałaby im powiedzieć zupełnie coś innego? Jeszcze przed paroma dniami unosiły się z zachwytu nad Aleksandrem, który przejechał tysiąc sześćset kilometrów, żeby ożenić się z Daszą, a tu masz: rzekomo przybity i załamany narzeczony żeni się z jej rodzoną siostrą. Nie wyglądało to zbyt dobrze, zwłaszcza dla niej.

– Powiesz nam wreszcie, gdzie przepadliście?

– Nigdzie, Naino Michajłowno. Byliśmy w Mołotowie. Kupiliśmy trochę naczyń, jedzenia, konserw i wódki. Poza tym…

Poza tym co? Co jej powiedzieć?

– Gdzie spaliście? Nie było was trzy dni! Naprawdę nie wiedziałyśmy, co o tym myśleć.

Wrócił Aleksander.

– Powiedziałaś paniom, że się pobraliśmy?

Płuca czterech staruszek, które chóralnie sapnęły z wrażenia, wyssały prawie całe powietrze z werandy.

Szura i jego subtelność. Tatiana potarła oczy, pokręciła głową, usiadła na krześle i westchnęła.

– Jestem głodny jak wilk – powiedział Aleksander i wszedł do izby. – Tatiu, mamy coś do jedzenia? – Wrócił, żując piętkę chleba. Dał jej kawałek, usiadł obok Dusi, objął ją i rzekł: – Moje panie, czyżbyście nie lubiły nowożeńców? Niemożliwe. Może zorganizujemy małe przyjęcie?

Naina nie wytrzymała.

– Aleksandrze, nie wiem, czy zauważyłeś, ale jesteśmy bardzo zdenerwowane. Zdenerwowane i zasmucone.

– Pobrali się! – wykrzyknęła Aksinia.

– Jak to? – Dusia aż się przeżegnała. – Co to znaczy? Niemożliwe! Moja Tanieczka jest czysta i niewinna jak…

Aleksander zakrztusił się, głośno zakaszlał i wstał.

– Taniu, chodźmy coś zjeść.

– Zaczekaj.

Aleksander usiadł.

– Tatiano Gieorgijewno, chcę usłyszeć, że to nieprawda – powiedziała Dusia. – Że on tylko żartuje. Że ma za nic cztery stare kobiety i chce przysporzyć im lat.

– On chyba nie żartuje, Dusiu – odrzekła Naina Michajłowna.

Tatiana przeszyła Aleksandra wzrokiem.

– Dusiu, nie trzeba się denerwować…

– Zaczekaj – przerwał jej Szura. – Nie rozumiem, po co te nerwy. Przecież się pobraliśmy. To chyba dobrze, prawda?

– Dobrze?! – wykrzyknęła Dusia. – A co z Bogiem?

– I z twoją siostrą – dodała surowo Naina.

– Gdzie dobre obyczaje i przyzwoitość? – zapiszczała Aksinia, jakby dobre obyczaje i przyzwoitość były ostatnią rzeczą, jaką pragnęła widzieć w Łazariewie.

– Taniu! – Raisa zadygotała jak podczas trzęsienia ziemi. – Twoja siostra nie zdążyła jeszcze ostygnąć w grobie!

– Aleksandrze – dorzuciła srogo Naina. – Myślałyśmy, że przyjechałeś ożenić się ze świętej pamięci Daszą, niech spoczywa w pokoju.

Jedno zerknięcie wystarczyło: Tatiana spostrzegła, że Szura zaczyna tracić cierpliwość.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię – przerwała im spiesznie.

Za późno. Aleksander wstał i powiedział:

– Nie, pozwól, że ja to zrobię. Przyjechałem do Łazariewa po Tatianę. Przyjechałem, żeby się z nią ożenić. Pobraliśmy się i nic tu po nas. Chodź, Taniu, idziemy. Wezmę twój kufer. Po maszynę do szycia kogoś przyślemy.

– Kufer?! – wykrzyknęła Naina. – Tatiana stąd nie odejdzie!

– Owszem – odparł Aleksander – odejdzie.

– Przecież nie musi!

Szura objął Tanię za szyję.

– Moje drogie panie, jesteśmy nowożeńcami. – Uniósł brwi. – Naprawdę chcecie, żebyśmy tu zostali?

Nainę zatchnęło. Dusia ponownie się przeżegnała. Raisa się zatrzęsła, a zachwycona Aksinia zaklaskała w dłonie.

Tatiana ścisnęła Aleksandra za rękę.

– Ciii… – szepnęła. – Proszę cię, wyjdź. Tylko na chwileczkę. Pozwól mi z nimi porozmawiać, dobrze?

– Nie, lepiej już chodźmy.

– Zaraz pójdziemy. Zaczekaj w ogrodzie.

– Nie wiem, dlaczego musicie iść – powiedziała Naina. – Możecie spać w mojej sypialni. Pościelę sobie na piecu.

Zanim Tatiana zdążyła zareagować, Aleksander nachylił ku niej i odrzekł:

– Naino Michajłowno, proszę mi wierzyć, nie wytrzymacie tu z nami… Aj!

– Wyjdź, Aleksandrze! – Tania roztarła mu plecy w miejscu, gdzie go uszczypnęła. – Proszę. – Gdy wyszedł, usiadła. – W chatce dziadków będzie nam wygodniej, naprawdę.

– Chciała powiedzieć, że będą tam mieli więcej prywatności, ale staruszki by tego nie zrozumiały. – Jeśli będziecie czegoś potrzebowały, dajcie nam znać. Szura chce naprawić wam płot. Jeśli zechcecie zaprosić nas na kolację, chętnie przyjdziemy.

– Tanieczko – odrzekła Naina – tak się o ciebie martwimy. Ty z wojskowym. Akurat ty!

Dusia wymamrotała pod nosem imię jakiegoś świętego.

– Nie wiem, jak on – kontynuowała Naina – ale myślałam, że ty wolisz kogoś bardziej podobnego do siebie. Kogoś odpowiedniejszego.

– Nie martwcie się – odrzekła Tatiana. – Nic mi przy nim nie grozi.

– Oczywiście, że zaprosimy was na kolację – powiedziała Naina. – Bardzo cię kochamy.

– I niech Bóg ci oszczędzi koszmarów małżeńskiego łoża – dodała Dusia.

– Dziękuję – odrzekła Tatiana, z trudem zachowując powagę.

Stojący nieopodal Aleksander zgiął się wpół ze śmiechu.

Dźwigając ciężki kufer, był względnie bezbronny. Bardzo jej to odpowiadało, gdyż mogła na niego nakrzyczeć.

– Dlaczego nigdy nie mogę załatwić nic po swojemu? Dlaczego mi nie pozwalasz?

– Bo gdybyś załatwiła to po swojemu, musiałabyś godzinami doić krowę, prać ich ubrania, potem szyć im nowe i robić Bóg wie, co jeszcze!

– Nie rozumiem. Myślałam, że po ślubie trochę się uspokoisz, że będziesz mniej opiekuńczy, mniej… No wiesz. Ale nie. Ty i ten twój amerykański styl życia. Wystajesz jak czarny kołek zza białych desek.

Aleksander parsknął śmiechem.

– Nic nie rozumiesz – odparł nieco zadyszany. – Dlaczego tak myślałaś?

– Bo już się pobraliśmy.

– Żeby rozwiać wszelkie złudzenia, ostrzegam cię, kochanie, że ponieważ jesteś moją żoną, wszystko, co do tej pory widziałaś, nasili się w dwójnasób. Absolutnie wszystko.

– Wszystko?

– Tak. Moja nadopiekuńczość. Zaborczość. Zazdrość. Wszystko. Wyjdzie ze mnie dzika bestia. Nie chciałem mówić ci tego przedtem, bo mogłabyś się wystraszyć.

– Boże!

– Widzisz? Ale nic z tego. Małżeństwa nie da się unieważnić. – Zerknął na nią płonącymi oczami. – Zwłaszcza małżeństwa tak dokładnie… skonsumowanego.

Nie doszli nawet do domu, nie wytrzymali. Szura wniósł kufer między sosny, usiadł na nim, a ona usiadła mu na kolanach.

– Tylko ciiiicho – szepnął, podwijając jej sukienkę. – Tu jest las. Przepłoszymy zwierzęta.

– To tak, jakby ktoś poprosił cię, żebyś zdjęła na dzień piegi, prawda? – spytał, gdy już odpoczywali.

Pod wieczór odwiedziły ich cztery staruszki. Akurat grali w piłkę. Tania właśnie mu ją odebrała i radośnie piszcząc, próbowała się przy niej utrzymać. W pewnym momencie Aleksander podniósł ją i mocno przytulił. On był tylko w szortach, ona w koszulce i majtkach.

Speszona Tatiana stanęła przed nim jak tarcza, chcąc osłonić jego prawie nagie ciało przed czterema parami wytrzeszczonych oczu. Aleksander spokojnie założył ręce i szepnął:

– Powiedz im, że… Nie, sam im powiem. – I zanim zdążyła jakkolwiek zareagować,

podszedł do gości wielki jak góra i jak góra nieustępliwy. – Drogie panie – zaczął. – Drobna uwaga na przyszłość. Chyba będzie lepiej, jeśli zamiast przychodzić do nas, zaczekacie, aż my przyjdziemy do was.

– Szura – wymamrotała Tatiana. – Idź się ubrać.

– Gra w piłkę nożną to jeszcze nic – dodał na odchodnym. – Zobaczycie tu takie rzeczy, że aż strach. – Wszedł do domu, wyszedł ubrany i oznajmił, że idzie do wsi po lód i siekierę.

– Po lód i siekierę? – powtórzyła zdumiona. – Skąd weźmiesz lód?

– Z przetwórni ryb. Muszą je jakoś chłodzić, nie uważasz?

– A siekierę?

– Od dobrego człowieka imieniem Igor! – odkrzyknął, posyłając jej całusa na pożegnanie.

Odprowadziła go wzrokiem.

– Szybko wracaj!

Naina Michajłowna bardzo ją przepraszała na niespodziewane najście. Dusia mamrotała pod nosem modlitwę za modlitwą. Raisa się trzęsła. Aksinia promieniała. Tatiana zaprosiła je na szklankę kwasu.

– Proszę, wejdźcie. Zobaczcie, jak ładnie tu posprzątał. I naprawił drzwi. Górny zawias był zepsuty, pamiętacie?

Staruszki rozejrzały się za czymś do siedzenia.

– Tanieczko – zauważyła nerwowo Naina. – Tu nie ma żadnych mebli.

Aksinia wydała wesoły okrzyk.

Dusia się przeżegnała.

– Wiem, Naino Michajłowna – odrzekła Tatiana, spoglądając na podłogę. – Ale niewiele nam potrzeba. Mamy kufer, trochę rzeczy… Aleksander powiedział, że zrobi ławkę. Przyniesiemy maszynę do szycia i… Damy sobie radę.

– Ale jak…

– Przestań, Naino – przerwała jej Aksinia. – Daj dziewczynie spokój.

Dusia zerknęła na zmiętą pościel na piecu. Tania zaczerwieniła się i uśmiechnęła. Szura miał rację. Lepiej by było, gdyby to oni je odwiedzili. Spytała, kiedy mogliby przyjść na kolację.

– Choćby dzisiaj – odrzekła Naina. – Wydamy przyjęcie. Ale możecie przychodzić co wieczór. Tu nie ma gdzie gotować ani na czym siedzieć. Umrzecie z głodu. Przychodźcie, przychodźcie codziennie. Tyle możecie chyba dla nas zrobić, prawda?

– Nie możemy – odparł Aleksander. Wrócił bez lodu („jutro”), przyniósł za to siekierę, młotek, gwoździe, piłę, deskę i naftowy prymus. – Nie ożeniłem się z tobą, żeby codziennie tam chodzić. Zaprosiłaś je do środka? – spytał ze śmiechem. – Odważna jesteś, żono! A zdążyłaś przedtem posłać? – Roześmiał się jeszcze głośniej.

Tatiana siedziała na zimnej płycie pieca i kręciła głową.

– Jesteś niemożliwy.

– Ja?! Ani myślę tam iść. Ale może zaprosisz je tutaj na pokolacyjny *vaudeville*?

– *Vaudeville?* – nie zrozumiała.

– Nieważne. – Rzucił rzeczy na podłogę w kącie izby. – Zaproś je na małe przedstawienie. My będziemy się kochali, a one będę chodzić wokół pieca i cmokać z zachwytu, ile dusza zapragnie. Naina powie: „A mówiłam, żeby wybrała mojego Wowę. Wowa sprawiłby się o wiele lepiej”. Raisa otworzy usta, żeby powiedzieć: „Ohoho!”, ale

nie powie nic, bo za bardzo będzie się trzęsła. Dusia wyszepcze: „Dobry Jezu, przecież prosiłam Cię, żebyś oszczędził jej koszmarów małżeńskiego łoża!”. Aksinia…

– Zaczekaj tylko, aż rozpowiem we wsi o twoich koszmarach – przerwała mu oschle Tatiana.

Szura roześmiał się i poszedł popływać.

Tatiana ogarnęła izbę, poukładała rzeczy i posłała łóżko. Przebrała się i gotowa do wyjścia, usiadła przy piecu, czekając, aż zagotuje się woda na prymusie. Wrócił Aleksander. Zdjął mokre szorty i podszedł bliżej. Tania podniosła wzrok i serce drgnęło jej na widok tego, co zobaczyła.

– Co? – spytał, trącając ją lekko nogą.

– Nic – odrzekła szybko, odwracając wzrok. Ale trącił ją nogą ponownie, a ona tak bardzo chciała na niego popatrzeć.

Tak bardzo chciała go posmakować.

Przezwyciężywszy nieśmiałość, uklękła na drewnianej podłodze i delikatnie ujęła go w dłonie.

– Czy wszyscy mężczyźni są tacy piękni czy tylko ty? – szepnęła czule.

– Tylko ja – odrzekł z uśmiechem. – Pozostali są odrażający. – Położył jej ręce na ramionach. – Wstań. Tu jest dla ciebie za twardo.

– Czy w Ameryce mają dywany?

– Wielkie, takie od ściany do ściany.

– Podaj mi poduszkę – szepnęła.

Poszli do Nainy na kolację. Tatiana gotowała, Aleksander naprawiał płot. Przyszli Wowa i Zoja, wyraźnie skonsternowani nieoczekiwanym zwrotem sytuacji i kaprysem losu, dzięki któremu ich mała, cicha Tania wyszła za mąż za oficera Armii Czerwonej.

Wszyscy obserwowali każdy ich ruch, jej i Aleksandra, dlatego, gdy podawała mu jedzenie i gdy na nią spojrzał, wspominając niedawno przeżyte chwile, szybko uciekła wzrokiem w bok. Bała się, że siedzący przy stole wyczytają wszystko z jej twarzy.

Po kolacji Aleksander nie poprosił nikogo o pomoc przy sprzątaniu ze stołu. Pomógł jej sam i kiedy zmywała na dworze patelnię, ujął w dłonie jej twarz i powiedział:

– Tatiu, nigdy się ode mnie nie odwracaj. Teraz jesteś moja, dlatego ilekroć na ciebie spojrzę, chcę widzieć to w twoich oczach.

Popatrzyła na niego z uwielbieniem.

– O właśnie – szepnął, całując ją w usta i splatając palce z jej śliskimi od mydlin palcami.

13

Nazajutrz po południu nagi do pasa Aleksander majstrował na bosaka przy dwóch blaszanych misach, podczas gdy Tatiana to podrygiwała, to podskakiwała, to tańczyła drobnymi kroczkami tuż za nim, pytając go co chwilę, co robi. Uświadomiła sobie, że nie lubi niespodzianek. W końcu Szura nie wytrzymał: chwycił ją za rękę, odciągnął na bok i poprosił, żeby poszła coś ugotować, poczytać, powtórzyć angielskie słówka, żeby zajęła się czymkolwiek i nie zawracała mu głowy przez najbliższe dwadzieścia minut.

Ale Tatiana nie mogła go zostawić nawet na minutę. Co prawda przestała podskakiwać, ale co chwila zaglądała mu przez ramię.

Aleksander wlał do mniejszej misy mleko, gęstą śmietanę, dodał cukru, żółtek i szybko zamieszał.

Tania podwinęła bluzkę i otarła się piersiami o jego nagie plecy.

– Hmm… – powiedział. – Przydałby się kubek czarnych jagód.

Tatiana chętnie pobiegła do lasu. Napełniwszy większą misę lodem i solą, Aleksander włożył do niej tę mniejszą, usiadł i długą, drewnianą łyżką zaczął powoli mieszać.

– Co robisz? Kiedy mi powiesz?

– Niedługo.

– Ale kiedy? Powiedz teraz.

– Jesteś niemożliwa. Za pół godziny. Wytrzymasz pół godziny?

– Pół godziny? Co będziemy przez ten czas robić? – Znowu zaczęła podskakiwać i podrygiwać.

Aleksander roześmiał się głośno.

– Ja cię chyba uduszę. Posłuchaj, nie mogę przestać mieszać. Przyjdź za pół godziny.

Tatiana krążyła po polanie, obserwując go z daleka. Była szczęśliwa. Szczęśliwa do utraty zmysłów. Tak szczęśliwa, że brakowało jej słów.

– Szura, patrzysz? Spójrz! – Zrobiła gwiazdę i stanęła na jednej ręce.

– Patrzę, kochanie, patrzę!

Zawołał ją pół godziny później.

Podbiegła w podskokach i spoglądając na gęstą, niebieskawą masę w misie, spytała:

– Co to jest?

Podał jej łyżkę.

– Spróbuj.

Spróbowała.

– Lody? – spytała zdumiona.

Z uśmiechem kiwnął głową.

– Lody.

– Zrobiłeś dla mnie lody?

– Tak. To urodzinowy prezent. Wszystkiego najlepszego, Tatiu… Boże, co się stało? Dlaczego płaczesz? Jedz. Roztopią się.

Tatiana usiadła na trawie z misą między nogami i rozpłakała się na dobre. Zdumiony Szura bezradnie rozłożył ręce i poszedł się umyć.

– Zostawiłam trochę dla ciebie – powiedziała ze łzami w oczach, gdy wrócił.

– Nie, zjedz wszystko.

– Za dużo. Zjadłam połowę. Jeśli nie zjesz, co z tym zrobimy?

– Tak sobie myślę… – Ukląkł tuż przy niej. – Tak sobie myślę, że chętnie bym cię rozebrał, posmarował nimi, a potem wszyściutko zlizał.

Tatiana upuściła łyżkę.

– Szkoda by było pysznych lodów – odrzekła chrapliwie.

Wkrótce zmieniła zdanie.

Potem wykąpali się i Szura usiadł na brzegu, żeby zapalić.

– Taniu, pokaż mi swoją słynną nagą gwiazdę.

– Tutaj? Nie, to niedobre miejsce.

– Jeśli nie tutaj, to gdzie? Śmiało!

Tatiana wstała i skrząc się kroplami wody, podniosła ręce.

– Patrzysz? – Po czym odbiła się i potoczyła w stronę rzeki, wykonując po drodze dwa, trzy, cztery, pięć, sześć… aż siedem obrotów.

– No i jak? – zawołała z rzeki.

– Cudownie! – odkrzyknął, nie odrywając od niej oczu.

14

Nawet bez zegarka Aleksander – jak na wojskowego przystało – obudził się bladym świtem i poszedł popływać, podczas gdy rozespana Tatiana czekała na niego, zwinięta w kłębek niczym bułeczka prosto z gorącego pieca. Szura wskoczył do łóżka i zimny jak lód, przylgnął do niej całym ciałem. Tania przeraźliwie krzyknęła i spróbowała uciec. Na próżno.

– Nie! Proszę, nie! To nieludzkie! Mam nadzieję, że ukarzą cię za to w wojsku. Założę się, że Marazowowi nigdy tego nie zrobiłeś.

– Oczywiście, że nie, ale nie mam do niego niezbywalnych praw, a ty jesteś moją żoną. Odwróć się do mnie.

– Puść mnie, to się odwrócę.

– Taniu, wcale nie musisz się odwracać – szepnął, powoli wchodząc w nią od tyłu. – Ale puszczę cię dopiero wtedy, gdy ogrzejesz mnie i od środka, i od zewnątrz…

Kiedy skończyli się kochać, zrobiła mu na śniadanie dwanaście placków ziemniaczanych. Potem usiadła na kocu i rozkoszując się kolejnym słonecznym dniem, patrzyła, jak Szura je. Jadł łapczywie, zachłannie.

– Hmm? – rzucił. – Co?

– Nic – odrzekła z uśmiechem. – Łapczywie jesz. Jak ty przeżyłeś zimę?

– Ja? – spytał zaskoczony. – A ty?

Oddała mu swoje placki. Protestował, lecz niezbyt długo, tymczasem ona, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy, przysunęła się bliżej, i jeszcze bliżej. Topniała przy nim jak lód.

– Co, Tatiu? – szepnął, gdy podała mu ostatni kawałek placka na widelcu. – Zrobiłem coś, co ci się spodobało?

Zaczerwieniła się, pokręciła głową, cichutko pisnęła i cmoknęła go w nie ogolony policzek.

– Chodź, mężu – wymruczała. – Idziemy się golić.

Goląc go, spytała:

– Wiesz, że jutro rano Aksinia chce napalić dla nas w łaźni? Powiedziała, że stanie przed drzwiami i będzie pilnowała, żeby nikt nie wszedł.

– Tak, mówiłaś. Lubię Aksinię, ale wiesz, dlaczego to zaproponowała: żeby nas podsłuchiwać.

– Musiałbyś zachowywać się trochę ciszej – odrzekła, ścierając resztki mydła z jego gładkiego policzka.

– Ja?!

Zarumieniła się i uśmiechnęła.

– Co będziemy dzisiaj robić? – spytała, odkładając ręcznik. – Trzeba nazbierać jagód do ciasta.

– Trzeba, ale najpierw muszę zawlec ten pień do rzeki, żebyśmy mieli na czym siedzieć, myjąc zęby. Jeszcze potem muszę zrobić stół do czyszczenia ryb. Ty pójdziesz na zebranie kółka krawieckiego, do tych bab. Będę nieszczęśliwy.

– To tylko dwie godziny, zaraz potem wrócę.

– I znowu będę szczęśliwy.

– Takie masz zadanie: być szczęśliwy.

Objął ją wpół.

– Tu, w Łazariewie, mam tylko jedno zadanie. Kochać się z moją apetyczną żoną.

Tatiana omal nie jęknęła.

– Dużo mówisz, mało…

– Jak moja angielszczyzna? – spytała po angielsku.

– Dobrze.

Było wczesne przedpołudnie. Szli zasłanym liśćmi brzegiem rzeki kilka kilometrów od domu, niosąc dwa kubełki czarnych jagód. Mieli rozmawiać tylko po angielsku, ale Tatiana co chwilę przechodziła na rosyjski.

– Czytam o wiele lepiej niż mówię. John Stuart Mill przestał być niezrozumiały i jest teraz tylko niepojęty.

– Subtelna różnica – odrzekł z uśmiechem Aleksander. Wyrwał z mchu dwa grzyby. – Jadalne?

Odebrała mu je i odrzuciła daleko za siebie.

– Tak, ale można je zjeść tylko raz.

Wybuchnął śmiechem.

– Muszę cię nauczyć zbierać grzyby, Szura. Nie można ich tak wyrywać.

– A ja muszę cię nauczyć angielskiego.

– To jest mój nowy mąż, Aleksander Barrington – powiedziała po angielsku Tatiana.

– A to jest moja młoda żona, Tatiana Mietanowa. – Pocałował ją w warkocz i po rosyjsku dodał: – Powiedz to, czego cię nauczyłem.

Tania spiekła raka.

– Nie – zdecydowanie odparła po angielsku. – Nie powiem.

– Proszę.

– Nie. Szukaj jagód. – Widziała, że jagody zupełnie go nie interesują.

– A potem? – spytał dwuznacznie. – Powiesz?

– Ani teraz, ani potem – odparła odważnie i czym prędzej spuściła oczy.

Przyciągnął ją do siebie.

– Potem – szepnął – twój angielskojęzyczny języczek sprawi mi wielką przyjemność w łóżku.

Próbowała wyswobodzić się z jego ramion, lecz na próżno.

– Dobrze – odrzekła po angielsku – że nie rozumiem, co on do mnie mówi.

– Nie rozumiesz? – Postawił kubełek. – Zaraz ci wytłumaczę.

– Potem, potem. Teraz weź kabołek i zbieraj jagody.

– Dobrze. – Cmoknął ją w policzek. – I nie kabołek, tylko kubełek. Tatiu, no powiedz. – Objął ją w pół. – Twoja nieśmiałość działa na mnie jak afrodyzjak. No powiedz.

Zabrakło jej tchu.

– Weź kubełek – szepnęła po angielsku. – Chodźmy do domu. Będziemy praktykować kochanie.

Wybuchnął śmiechem.

– Znowu to samo. Będziemy się kochać, Taniu. Będziemy się kochać.

Było spokojne, upalne popołudnie. Aleksander rozpiłowywał pień drzewa. Tatiana stała tuż obok niego.

– Hmm?

Trąciła go łokciem.

– No? – rzucił. – Chodzisz za mną jak mały cień. Muszę to skończyć i zrobić ławkę.
– Chcesz się w coś pobawić?
– Nie. Mam robotę.
– Moglibyśmy pobawić się… No wiesz, w rozkazy – szepnęła zapraszająco.
– Później.
– To może w chowanego?
– Później.
– Tak, tak, pan kapitan boi się przegrać. Już raz przegrał.
– Ach ty…
– Chcesz pobrykać?
Zerknął na nią przez ramię.
– Nie, nie – odrzekła, czerwieniąc się jak piwonia. – Pobawić się, w rzece. Stanę ci na rękach, a ty podniesiesz mnie wysoko i…
– Tylko pod warunkiem, że będę mógł cię zrzucić.
– Zrzucić? Nie słyszałam, żeby tak to nazywali, ale zgoda, z wielką chęcią.
Roześmiał się głośno, nie przestając piłować.
– Zrzucę cię nawet dwa razy, ale najpierw muszę pociąć ten przeklęty pień.
Tatiana milczała przez chwilę.
– Pokażesz mi, jak się robi wojskowe pompki? Dasz radę zrobić pięćdziesiąt?
– Jeśli mnie odpowiednio zachęcisz…
– Oczywiście. Teraz?
– Jesteś niesamowita. Nie, później.
Tatiana zmarszczyła brwi.
– Spróbujemy się na rękę?
– Na rękę? – powtórzył z ironicznym uśmiechem. – Chyba żartujesz.
– Ja? Bynajmniej. No chodź, wielkoludzie. Co? Boisz się? – Połaskotała go pod pachą.
– Przestań.
Połaskotała go ponownie.
– Tchórzysz, tchórzysz, tchórzysz…
– Dość tego, miarka się przebrała. – Odłożył piłę, ale ona była już w połowie polany i pędziła z piskiem w stronę lasu. – Poczekaj tylko, aż cię złapię! – krzyknął.
Z radością dała mu się dopędzić. Obrócił ją twarzą do siebie i wydyszał:
– Nigdy nie łaskocz mnie, kiedy mam piłę w ręku.
Roześmiała się.
– Szura, przecież ty zawsze masz coś w ręku. Jeśli nie piłę, to papierosa albo siekierę…
Chwycił ją za pośladki.
– O właśnie. Albo…
Chwycił ją za piersi.
– Sam widzisz. To co? Posiłujemy się? Na ziemi, tak jak lubisz. – Objął ją tak mocno, że zabrakło jej tchu. Albo nie wiedział, jak bardzo jest silny, albo bał się, że nie potrafi jej skutecznie utulić; miała nadzieję, że po prostu jest silny. Bardzo, ale to baaardzo silny. – No? Czekam, Szura? – Poklepała go łagodnie po plecach. – Hmm?
Puścił ją i głośno odetchnął.
– No dobra – rzucił z uśmiechem. – Oderwałaś mnie od pracy. Co teraz? Pompki? Czy pobrykamy w rzece?
Stali bez ruchu. Błyszczały jej oczy. Jemu jeszcze bardziej. Zrobiła pół kroku w lewo, potem w prawo…

Ale tym razem był szybszy.

– Nic z tego, kochanie. – Objął ją w talii. – Chcesz spróbować jeszcze raz?

Krok w prawo, krok w lewo…

Za wolno.

– Jeszcze raz? – spytał z uśmiechem.

Ponownie znieruchomiała, zrobiła błyskawiczny skok w lewo i zanim zdążył się wyprostować, stała już kilka kroków za nim. Radośnie piszcząc, padła mu w ramiona, pocałowała go i szepnęła:

– Zrobimy tak: zawiążę ci oczy, obrócę cię kilka razy dokoła, a potem będziesz musiał znaleźć mnie na polanie. – Zachichotała. – Przestań mnie łaskotać.

– Mam dość zabawy w ciuciubabkę – odparł, nie przestając jej łaskotać. – Zróbmy inaczej: ja zawiążę oczy tobie i będziesz musiała zgadnąć, co wkładam ci do ust.

Wybuchnęła śmiechem. Aleksander spojrzał na nią niewinnie.

– No co?

– Szura! – wykrzyknęła Tatiana. – Założysz się, że zgadnę, co to będzie, zanim jeszcze zawiążesz mi oczy?

On też się roześmiał, wziął ją na ręce i poniósł w stronę domu.

– Dobrze, zgoda – powiedział. – Ale pod warunkiem, że nazwiesz to po angielsku. – Wsunął rękę pod sukienkę i delikatnie ją popieścił.

– Szura?

– Tak?

– Postaw mnie. Ja się schowam, a ty mnie znajdziesz.

– Po co? Przecież już cię znalazłem. – Przytulił ją czule.

– Szura, nie tak mocno! Nie mogę się ruszać.

– Wiem. I właśnie o to chodzi. Nie chcę, żebyś uciekła.

– Co to za zabawa?

– Ta, w którą bawimy się codziennie.

– To znaczy?

– Obudzić się, wstać, pokochać się, umyć się, ugotować śniadanie, zjeść, pokochać się po raz drugi, popływać w rzece, pokochać się po raz trzeci, pograć w piłkę, w domino czy w chowanego, pokochać się po raz czwarty…

– No tak, ale teraz będziemy się kochać bez chowanego. I to ma być zabawne?

15

Obudzili się wcześnie, złowili kilka pstrągów, trochę popływali, a potem Tatiana zdecydowała, że najwyższa pora nauczyć Szurę smażyć bliny. Rzecz w tym, że nie wiedzieć czemu Aleksander w ogóle nie słuchał tego, co mówiła.

– Szura! Nie będę powtarzała po raz czwarty. Chcesz się nauczyć czy nie?

– Jestem mężczyzną – odparł z uśmiechem – a jako mężczyzna jestem fizycznie niezdolny do kucharzenia. – Leżał na podłodze, podczas gdy ona mieszała ciepłe, gęste mleko z mąką i cukrem.

– Ale lody zrobiłeś.

– Zrobiłem je dla ciebie, to zupełnie co innego.

– Szura!

– Co?

– Dlaczego patrzysz na mnie, a nie na ciasto?

– Bo nie mogę oderwać od ciebie oczu – odparł spokojnie. – Bo podnieca mnie myśl, że gotujesz dla mnie z takim oddaniem, że potrafisz przyrządzić wszystko, co zechcę. Nie mogę się tobą nasycić – dodał z nieco mniejszym opanowaniem – dlatego przeszła mi ochota na bliny.

– To patrz na ciasto, nie na mnie – odrzekła drżącym głosem. – Co zrobisz, kiedy znajdziesz się w lesie i będziesz musiał coś ugotować?

– Nie muszę smażyć blinów. Będę jadł korę, jagody, grzyby…

– Zrób coś dla mnie i grzybów lepiej nie jedz, dobrze? A teraz patrz.

Aleksander ciężko westchnął i zajrzał do miski.

– No dobrze. Mleko, mąka i cukier, tak? Już? To wszystko? Mogę teraz popatrzeć na ciebie?

Szybki ruch drewnianej łyżki i na nosie wylądował mu kleks ciasta.

– Powiedziałam, żebyś uważał.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem i pokręcił głową.

– Dziecko drogie, czy ty wiesz, z kim masz do czynienia? – Włożył rękę do miski i…

Tatiana niespiesznie otarła twarz z ciasta i nie przerywając mieszania, spokojnie odrzekła:

– Nie, ale wiem na pewno, że ty nie wiesz, kto tu rządzi. – I zanim zdążył zareagować, wylała na niego zawartość miski, błyskawicznie wstała i wybiegła z chatki.

Dopędził ją na polanie. Ociekając gęstym ciastem, chwycił ją w talii, podniósł, mocno przytulił i zatkał jej usta, żeby przestała się śmiać, lecz rozbrykana i podniecona Tatiana nie mogła się opanować i chichotała dalej. Momentalnie wyczuła, że jej dygoczące ze śmiechu ciało kojarzy się mężowi z drżeniem, jakie ogarnia ją w zupełnie innej sytuacji, i chociaż jej domysły okazały się słuszne, chichotała coraz głośniej. Uwalani gęstym, ciepłym ciastem, śliscy i słodcy, kochali się nieprzytomnie i wzajemnie lizali, aż wreszcie nasycony Aleksander wysapał:

– Czy zjedzenie surowego ciasta i zjedzenie smażonego blina to jedno i to samo?

– Chyba tak – odrzekła zdyszana Tatiana.

Było południe. Aleksander sprawiał pstrągi na własnoręcznie skleconym stoliku. Wojskowym nożem skrobał je i odcinał im łby. Tatiana stała tuż obok z torebką na

wnętrzności i garnkiem na rybę; zamierzała ugotować uchę z ziemniakami. Mieli tylko jeden ostry nóż i Szura władał nim z wielką wprawą.

– Jeśli tylko nie będziesz musiał gotować tego, co złowisz lub upolujesz, na pewno nie umrzesz z głodu.

– Taniu, gdybym musiał, usmażyłbym tę rybę na zwykłym ognisku. – Zerknął na nią przez ramię. – Hmm? No co? Nie wierzysz?

– Łowisz ryby, umiesz rozpalić ognisko, zrobić stół, walczysz, mógłbyś pracować w tartaku. Czy jest coś, na czym się nie znasz? – Zaczerwieniła się, zanim skończyła mówić.

– To ty mi powiedz. – Pocałował ją namiętnie i oderwał usta od jej ust dopiero wtedy, gdy cicho jęknęła. – Boże – szepnął. – Dlaczego ty jesteś taka… apetyczna?

Tatiana odchrząknęła.

– Muszę przestać się czerwienić.

– Nie. Proszę… Tak, jest coś, czego nie umiem robić. Nie umiem smażyć blinów.

– Kiedy pójdziemy do Mołotowa po ślubne zdjęcia?

– Ten jubiler zażąda za nie naszych obrączek.

Przytuliła się do niego i podniosła głowę.

– Czy mamy dość nafty do prymusa?

– Tak. Bo?

– Czy kiedy nastawię zupę, moglibyśmy gdzieś pójść? – Wzięła głęboki oddech. – Szura, Dusia pytała mnie, czy nie pomogłabym jej w cerkwi. Tak cię proszę… Dawno tam nie byłam, mam wyrzuty sumienia i…

Aleksander przestał się uśmiechać.

– Bywasz tam aż za często.

– Myślałam, że jestem twoim małym cieniem.

– Ale nie wtedy, kiedy tam chodzisz. – Szura westchnął. – Czego znowu chcą?

– Okno wypadło. – Tatiana z ulgą wypuściła powietrze. – Pytała, czy mógłbyś je wstawić. To jedyne okno z witrażem.

– Aha, a więc tym razem Dusia chce zapędzić do roboty mnie, nie ciebie.

– Pójdę z tobą. Obiecała butelkę wódki za fatygę.

– Jeśli da ci święty spokój, to sprawa załatwiona.

Przyniosła mu papierosy i zapalniczkę.

– Potrzymam. Otwórz usta.

– A to co? – Przypalił papierosa i kilka razy się zaciągnął. Nie wiedząc, co zrobić z papierosem, Tania powąchała go, też się zaciągnęła i gwałtownie rozkaszlała. Aleksander zaciągnął się jeszcze kilka razy i powiedział:

– Dość, wystarczy. A ty nigdy nie bierz papierosa do ust. Słyszę, jak w nocy oddychasz. Rzęzisz.

– To nie gruźlica. To dlatego, że tak mocno mnie przytulasz. – Odwróciła wzrok.

Aleksander popatrzył na nią bez słowa.

Trzymała okienko z witrażem. Stała na drabinie, podczas gdy on smarował ramę lepką mieszaniną sproszkowanego wapna, gliny i wody.

– Szura?

– Hmm?

– Mogę ci zadać hipotetyczne pytanie?

– Nie.

– Co byśmy zrobili, gdyby Dasza przeżyła? Czy kiedykolwiek o tym myślałeś?

– Nie.

– Ja czasami myślę.

– Na przykład kiedy?

– Choćby teraz.

Aleksander zamilkł.

– Możesz pomyśleć razem ze mną? – nie ustępowała Tatiana.

– Nie chcę.

– Proszę.

Aleksander westchnął.

– Lubisz się zadręczać. Czy życie było dla ciebie zbyt łaskawe?

Tatiana podniosła głowę.

– Tak, było.

– Trzymaj równo. O tak… To jedyny witraż Dusi. Gdyby pękł, nie wybaczyłaby nawet tobie. Nie za ciężko ci?

– Nie, nie. Zaczekaj, podniosę wyżej…

– Jeszcze tylko chwila. Już prawie gotowe.

Tatiana podniosła nogę, straciła równowagę i runęła w dół, wypuszczając okno. Aleksander chwycił je i szybko zszedł z drabiny, żeby pomóc jej wstać. Była lekko oszołomiona, ale cała. Miała tylko niewielkie zadrapanie na plecach i na kostce u nogi. Zmarszczyła czoło i przeszyła go wzrokiem.

– Co? – spytał Szura. – Podziwiasz mój refleks? Dusia będzie modliła się za mnie do końca życia. – Próbował oczyścić jej spódnicę, lecz jeszcze bardziej ją zabrudził. – Spójrz na moje ręce. Jeszcze trochę i scementuję się z tobą na dobre. – Z uśmiechem pocałował ją w obojczyk.

Ale Tatiana się nie uśmiechnęła.

– Co ci? – spytał.

– Podziwiam twój błyskawiczny refleks. Brawo, Szura. Chciałam tylko zauważyć, że mając wybór między żoną i witrażem, bez wahania wybrałeś witraż.

Roześmiał się głośno, pomógł jej wejść na drabinę, stanął tuż za nią i nie dotykając jej ubrudzonymi rękami, lekko ugryzł ją w pośladek.

– Nieprawda – odparł. – Leżałaś już na podłodze.

– Nie widziałam, żebyś wykorzystał swój legendarny refleks, kiedy leciałam w dół jak kamień do studni.

– Hmm… A co by się stało, gdyby witraż spadł ci na głowę? Wtedy też nie byłabyś ze mnie zadowolona.

– Tak samo jak teraz – odrzekła z uśmiechem.

Ugryzł ją czule jeszcze raz i wstawił okno. Dusia, która właśnie weszła do kościoła, była tak szczęśliwa, że nawet go pocałowała, mówiąc, że dobry z niego człowiek.

Aleksander lekko pochylił głowę i trącił Tatianę łokciem.

– A nie mówiłem?

Tania pociągnęła go za koszulę.

– Chodź, dobry człowieku. Trzeba cię umyć.

Wrócili do domu przez pachnący żywicą las. Tatiana od razu poszła po ręczniki i mydło.

– Taniu, ale przedtem mnie nakarm.

– Nie możesz jeść uwalany wapnem i cementem.

– Chcesz się założyć? Wiem, czym się to mycie skończy. Dasz mi jeść dopiero za dwie godziny, a już teraz umieram z głodu. Nalej talerz zupy i nakarm mnie jak dziecko.

– Dwie godziny? – wymruczała, czując znajome gorąco w podbrzuszu. – Hmm, mógłbyś uwinąć się szybciej…

– Nakarm mnie, Tatiu, ponarzekasz potem. – Jego roześmiane oczy ogrzewały ją niczym ogień.

Nalała mu uchy i wzięła łyżkę.

– Nie odpowiedziałeś na moje hipotetyczne pytanie.

– Na szczęście zapomniałem, o co pytałaś.

– O Daszę.

Przeżuł i przełknął kawałek ryby z ziemniakiem.

– Przecież znasz odpowiedź.

– Tak?

– Oczywiście. Gdyby Dasza przeżyła, musiałbym dotrzymać słowa i się z nią ożenić, a ty wylądowałabyś w łóżku z Wową.

– Szura!

– Co?

Kopnęła go w łydkę.

– Jak masz sobie żartować, to lepiej nie rozmawiajmy.

– Świetnie. Mogę prosić o dolewkę?

Po obiedzie poszli się umyć. On szorował sobie ręce, ona namydlała mu plecy.

– Gdyby żyła, nie mógłbym się z nią ożenić – powiedział. – Przecież wiesz. Musiałbym wyznać jej prawdę tu, w Łazariewie. A ty? Co byś zrobiła?

Tatiana nie odpowiedziała.

Siedzieli w wodzie, niedaleko brzegu. Aleksander mył jej głowę.

– Brakuje ci jej – szepnął, przeczesując palcami jej śliskie włosy.

– Tak. Wiele razy zastanawiałam się, jak by się z nią tutaj mieszkało. – Usiadła wygodniej. – Tęsknię za nimi wszystkimi. Za rodziną. Tak samo jak ty musiałeś tęsknić za matką i ojcem – dodała drżącym głosem.

– Nie miałem na to czasu. Byłem zbyt zajęty ratowaniem sobie życia. – Odchylił jej głowę i spłukał szampon z włosów.

Jednakże Tatiana wiedziała swoje.

– Czasami mam dziwne przeczucia co do Paszy.

– Dziwne?

Tania wstała i wzięła od niego mydło.

– Sama nie wiem. Pociąg wyleciał w powietrze, ale nie znaleziono żadnych zwłok. Jego śmierć jest przez to mniej rzeczywista.

On też wstał i poszli na głębszą wodę.

– Chcesz powiedzieć, że bardziej rzeczywista byłaby wtedy, gdybyś widziała, jak umierał?

– Coś w tym rodzaju. Czy to ma jakiś sens?

– Żadnego. Nie widziałem, jak umierali moja matka i ojciec, a mimo to oboje nie żyją.

– Wiem. – Namydliła go delikatnie i czule. – Ale Pasza to mój brat-bliźniak, moja druga połowa. Jeśli on nie żyje, dlaczego żyję ja? – Namydliła sobie piersi i potarła twardymi sutkami o jego pierś.

– Tego nie wiem. Ale tak – dodał z uśmiechem – żyjesz, i to bardzo. Coś ci powiem. Chcesz się pobawić w hipotezy? Dobrze. Teraz ja zadam ci pytanie. – Odebrał jej mydło

i rzucił je na brzeg. – Załóżmy, że Dasza żyje. My jeszcze się nie pobraliśmy, ale… – Podniósł ją i podtrzymał biodrami. – Ale kochaliśmy się już na stojąco. Jak teraz… – Wszedł w nią i oboje głucho jęknęli. – Jak tutaj, w tej rzece. Powiedz mi, kochana żono, co byś wtedy zrobiła? Pozwoliłabyś mi odejść, wiedząc, jakie…

Tatiana głośno krzyknęła.

– …to uczucie?

Nie była w stanie odpowiedzieć.

– Już nie chcę się w to bawić – wychrypiała, oplatając go nogami i mocniej obejmując za szyję.

– To dobrze.

Wyczerpana i nasycona, siedziała w wodzie, opierając się plecami o wielki głaz, a on leżał przy niej z głową na jej piersi. Przez chwilę o czymś rozmawiali, coś do siebie mruczeli, spoglądali na Kamę i błądzili wzrokiem po górach. Potem Aleksander zamilkł i tuląc się do niej, usnął z nogami w łagodnym nurcie rzeki. Tania uśmiechnęła się, objęła go jeszcze mocniej, ucałowała go w głowę i zanurzyła usta w jego mokrych włosach.

Długo siedziała bez ruchu, wreszcie głęboko odetchnęła, chłonąc zapach mydła, świeżej wody i kwitnących na brzegu czereśni. Wilgotna trawa, zeszłoroczne liście, piasek, ziemia i Aleksander.

– Dawno, dawno temu – zaczęła szeptem – żył sobie pewien człowiek, prawdziwy książę wśród wieśniaków. Kochała go skromna, cicha dziewica. Dziewica uciekła do krainy bzów i mleka, by niecierpliwie czekać na swego księcia, który w końcu przyjechał i podarował jej słońce. Nie mieli dokąd uciec, a uciekać musieli przed wszystkim i przed wszystkimi. Ani schronienia, ani ratunku: nie mieli dosłownie nic, oprócz swego maleńkiego królestwa, w którym mieszkali oni – ona i jej pan – oraz dwoje niewolników. – Nabrała powietrza i utuliła Szurę jeszcze czulej. – Żyli tak sobie i żyli, a każdy kolejny dzień był prawdziwym cudem, darem od Boga. I dobrze o tym wiedzieli. Potem książę musiał wyjechać, ale nic się nie stało, ponieważ dziewica… – Tatiana urwała. Zdawało jej się, że Aleksander wstrzymał oddech. – Szura?

– Opowiadaj – wymamrotał – opowiadaj. Co było dalej? Dlaczego nic się nie stało? Co zrobiła dziewica?

– Jak mi idzie?

– Nieźle. Najbardziej podobało mi się to o… Chyba coś o jej panu.

Cmoknęła go w policzek.

– Ale ostateczną ocenę wystawię na końcu. – Potarł czołem o jej piersi. – Powiedz, dlaczego nic się nie stało.

Tatiana spróbowała coś szybko wymyślić.

– Dlatego, że dziewica cierpliwie czekała na jego powrót.

– Hmm, no tak, to tylko bajka. I co było dalej?

– I książę wrócił.

– No i?

– I żyli długo i szczęśliwie.

Aleksander długo milczał.

– Gdzie? – spytał w końcu.

Tatiana popatrzyła na góry Uralu. Nie odpowiedziała.

Szura stęknął i wstał.

– Niezła bajka. Całkiem niezła.

– Niezła? Wymyśl lepszą.

– Nie umiem.

– No pewnie. Ty umiesz tylko wysadzać czołgi w powietrze. Śmiało, spróbuj.

– Dobrze. – Usiadł po turecku, opłukał twarz wodą i zaczął: – Dawno, dawno temu żyła sobie piękna dziewica… – Zerknął na nią i dodał: – Dziewica najpiękniejsza z dziewic. A pewien rycerz, sprzedajny zaprzaniec i renegat, miał szczęście być jej ukochanym. Kochał ją bardzo, raz po raz…

Trąciła go nogą, lecz uśmiechnęła się jeszcze szerzej niż on.

– Rycerz pojechał bronić królestwa przed maruderami… I już nie wrócił. – Aleksander popatrzył na brzeg. – Dziewica czekała na niego… bardzo długo.

– To znaczy?

– Bo ja wiem? Ze czterdzieści lat?

Tatiana uszczypnęła go w nogę.

– Co ty bredzisz?

– No więc czekała na niego i czekała, ale w końcu przestała i oddała się miejscowemu lennikowi.

– Po czterdziestu latach? Kto by ją zechciał?

Aleksander przeniósł wzrok na nią.

– Ale uwaga, uwaga, słuchajcie, o bracia i siostry! Rycerz wrócił, by stwierdzić, że dziewica prowadzi dwór i puszcza się z kimś innym…

– Jak w „Eugeniuszu Onieginie”.

– Tak, z tym że w przeciwieństwie do Oniegina, rycerz poczuł się jak idiota, wyzwał lennika na pojedynek w obronie czci i honoru dziewicy i przegrał. Rozerwano go końmi i poćwiartowano na jej oczach, które ocierała jedwabną chusteczką, snując mgliste wspomnienia z krainy bzów i miodu, gdzie niegdyś mieszkali. Potem obojętnie wzruszyła ramionami i poszła na herbatę. – Aleksander parsknął śmiechem. – To jest dopiero bajka!

– Tak. – Tatiana wstała i wyszła na brzeg. – Bardzo głupia bajka.

Ona przygotowywała się do wyjścia, on siedział i palił.

– Po co ty tam chodzisz? – mruknął. – Kółko krawieckie. Co za głupota.

– Idę tylko na godzinę. – Uśmiechnęła się i objęła go za szyję. – Godzinę chyba możecie zaczekać, prawda, towarzyszu kapitanie? – spytała matowym głosem.

– Hmm… Na miłość boską, nie poradzą sobie bez ciebie?

Pocałowała go w wilgotne czoło.

– Zauważyłeś, że z dnia na dzień robi się coraz goręcej?

– Zauważyłem. Nie możesz szyć tutaj? Przyniosłem ci maszynę, zrobiłem ci stołek. Wczoraj szyłaś coś po ciemku… Właśnie, co szyłaś?

– Nic, nic. Takie tam…

– Możesz szyć takie tam tutaj.

– Szura, ja ich uczę łowić ryby.

– Co takiego?

– Daj komuś rybę i zaraz ją zje. Naucz go łowić i będzie miał co jeść do końca życia.

Aleksander pokręcił głową i westchnął.

– No dobrze. Pójdę z tobą.

– Wykluczone. Cerkiew to cerkiew, ale żeby mój mąż, oficer Armii Czerwonej, szedł na zebranie kółka krawieckiego? To nie uchodzi, to bardzo niemęskie. Poza tym, ty już umiesz łowić ryby. Zostań w domu i pobaw się karabinem. Za godzinę będę z powrotem. Zrobić ci coś pysznego do jedzenia, zanim wyjdę?

– Tak. Wiem nawet, na co mam ochotę – odrzekł, pociągając ją za sobą na koc.
Nad ich głowami stało palące słońce.
– Szura, spóźnię się.
– Powiesz im, że mąż był bardzo głodny i musiałaś go nakarmić.

16

– I co ty tu masz, wielkoludzie? – mruknęła pewnego upalnego popołudnia, siedząc na polanie z jego plecakiem i mapnikiem między nogami i ostrożnie wykładając na koc jedną rzecz po drugiej. Chciało jej się pić. W Łazariewie było bardzo gorąco. Gorąco z rana, upalnie w południe i ciepło w nocy. Spali nago przy otwartych oknach, nieustannie pływali w rzece, lecz na próżno.

Aleksander coś piłował.

– Nic ciekawego – rzucił, nawet na nią nie spojrzawszy.

Tatiana wyjęła z plecaka pistolet, pióro, papier, talię kart, dwa pudełka nabojów, wojskowy nóż i dwa granaty ręczne, a z mapnika mapę. Mapa bardzo ją zainteresowała, lecz zanim zdążyła ją rozłożyć, podszedł do niej Szura z piłą i papierosem w ustach.

– Wiesz co? – Ostrożnie zabrał granaty. – Tym się lepiej nie bawmy.

– Dobrze. – Szybko wstała. – Nauczyłeś mnie strzelać z P-38, więc może teraz postrzelamy z karabinu? – Spojrzała na mapy. – Ile może wystrzelić pocisków?

– Trzydzieści pięć – odrzekł, dopalając papierosa.

– Mógłbyś nauczyć mnie strzelać z moździerza, ale moździerza tu nie masz.

Roześmiał się głośno.

– Myślałaś, że noszę go na szyi?

– Ale mapy masz. – Zerknęła na nie jeszcze raz.

– Tak. Bo?

– Szura, chciałabym, żeby zmienili ci przydział. Nie mógłbyś zostać na przykład łącznikiem? Powiedz pułkownikowi Stiepanowowi, że ożeniłeś się z miłą dziewczyną, która nie może żyć bez swego żołnierza.

– Dobrze, powiem.

Odebrała mu piłę, rzuciła ją na ziemię, wzięła go za rękę i poprowadziła do domu.

– Jeszcze nie skończyłem – zaprotestował, wskazując pień.

– No to co? Jesteś moim mężem czy nie?

– Tak, ale…

– Ja też mam do ciebie niezbywalne prawa.

– Jak to działa?

Siedziała na nim nago, opierając się dłońmi o jego pierś.

– Jak co działa?!

– Moździerz. Mówiłeś Wowie, że strzelasz z moździerza.

– Nie tylko z moździerza. No dobrze, co chcesz wiedzieć?

– Jaką ma lufę? Krótką czy długą?

– Długą.

– Aha, dobrze. Więc masz tę lufę i co z nią robisz?

– Trzeba ustawić ją pod kątem czterdziestu pięciu stopni…

– I?

– I wrzucić do niej pocisk. Pocisk spada i uderza w iglicę na dnie. Następuje eksplozja materiału miotającego i…

– Wiem, co dalej. Pocisk opuszcza lufę z prędkością siedmiuset metrów na sekundę.

– Coś w tym rodzaju.

– Zaraz to sobie powtórzę. Ustawiasz lufę. Wrzucasz pocisk. Puf! I już.
– Wiedziałem, że to zrozumiesz.
– Jeszcze raz. Ustawiam. Wrzucam. Puf! Szybko się uczę.
– To na pewno.
– Szura?
– Hmm?
– Dlaczego lufa musi być długa?
– Żeby pocisk nabrał odpowiedniej prędkości wylotowej. Wiesz, co to jest?
– Mniej więcej.

Aleksander wrócił do piłowania, a Tatiana wyszła na dwór, szybko napiła się wody i stanęła nad mapnikiem. Było jeszcze upalniej niż przedtem i koniecznie musiała się wykąpać. Zawahała się i zafascynowana przykucnęła.

– Szura, tu są tylko mapy Skandynawii. Finlandia, Szwecja i Morze Północne między Norwegią i Anglią. Dlaczego?

– To mapy sytuacyjne.

– Ale dlaczego tylko Skandynawii? – Podniosła głowę. – Przecież z nimi nie walczymy.

– Nie? A z Finlandią?

– O! Cieśnina Karelska.

– No to co?

– Nie walczyłeś tam w wojnie czterdziestego roku?

Aleksander podszedł do niej, położył się na brzuchu i pocałował ją w ramię.

– Tak, pod Wyborgiem.

Tatiana zmarszczyła czoło.

– A w zeszłym roku? Nie wysłałeś tam Dmitrija na zwiad?

Szura poskładał mapy.

– Pamiętasz wszystko, co mówię?

– Każde słowo.

– Szkoda, że mnie o tym nie uprzedziłaś.

– Po co ci te mapy?

– Taniu, to tylko mapa Finlandii. – Wstał i podał jej rękę. – Nie gorąco ci?

– Finlandii i Szwecji. Tak, okropny upał.

– Nie całej Szwecji. – Podmuchał na jej czoło i szyję.

– Norwegii i Anglii. – Zamknęła oczy i oparła się o niego. – Masz gorący oddech.

– Tatiu, o co ci chodzi?

– Szwecja jest teraz neutralna, tak?

Zaprowadził ją do domu.

– Tak. Próbuje zachować neutralność. Coś jeszcze?

– Sama nie wiem… A co masz?

– Wszystko widziałaś, wszystkiego próbowałaś, i to aż w nadmiarze. – Wziął ją na ręce i podszedł do łóżka. – Czego byś chciała? – spytał z uśmiechem. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Hmm… – wymruczała jak kotka, pieszcząc dłońmi jego spocone ramiona. – No wiesz, to, po czym zawsze kończymy razem.

– Dobrze, Tatiasza – odrzekł, pochylając się nad nią. – Z prawdziwą rozkoszą.

Oderwali się od siebie spragnieni i spoceni. Przez chwilę leżeli na plecach, ciężko dysząc, potem obrócili się twarzami do siebie i radośnie uśmiechnęli.

Aleksander przyniósł im wody i kilka minut później, kiedy mogła już normalnie oddychać, spytała go, za co dostał swój pierwszy medal.

Przez długą chwilę Aleksander milczał. Tania czekała. Firanki wydymały się na lekkim wietrze, lecz był to wiatr bardzo gorący. Szura był spocony, ona też. Powinni iść się wykąpać, ale Tatiana nie zamierzała wstawać, dopóki Szuranie opowie jej o Karelii.

W końcu wzruszył ramionami.

– Za nic takiego – odrzekł obojętnie. – Walczyliśmy na bagnach nad Zatoką, na odcinku od Lisiego Nosa do Wyborga. Odparliśmy Finów aż do miasta, ale ugrzęźliśmy na tych przeklętych mokradłach. Oni byli dobrze okopani i mieli mnóstwo amunicji, a my siedzieliśmy w błocie i nie mieliśmy nic. Doszło do strasznej bitwy, straciliśmy ponad dwie trzecie stanu. Musieliśmy się wycofać. – Ciężko westchnął. – Czysta głupota. Był marzec. Kilka dni później, trzynastego, podpisano zawieszenie broni, a my sterczeliśmy tam, tracąc bez powodu setki ludzi. Służyłem wtedy w piechocie. Mieliśmy prymitywne, jednostrzałowe karabiny. I kilka moździerzy – dodał z uśmiechem.

Tatiana położyła mu rękę na piersi.

– Kiedy wyruszaliśmy, mój pluton liczył trzydziestu żołnierzy. Dwa dni później zostało mi tylko czterech. Gdy wróciliśmy na miejsce zgrupowania, okazało się, że na mokradłach, tuż za linią obrony pod Wyborgiem, został Jurij, syn pułkownika Stiepanowa. Miał osiemnaście lat, niedawno wstąpił do wojska.

Aleksander umilkł.

Umilkł czy zamilkł na dobre?

Tatiana cierpliwie czekała. Czuła przyspieszony rytm jego serca.

Szura delikatnie zdjął jej rękę z piersi.

Już jej nie położyła.

– No więc… wróciłem. Szukałem go kilka godzin i w końcu znalazłem. Był ciężko ranny. – Aleksander zacisnął usta i odwrócił wzrok. – Nie przeżył.

Ale Tatiana na niego patrzyła.

– Boże…

– Za Jurija Stiepanowa dostałem swój pierwszy medal.

Twarz miał opanowaną, oczy bez wyrazu. Tania wiedziała, ile go to kosztuje.

Ostrożnie położyła mu rękę na piersi. Aleksander powoli zamrugał, próbując uciec od dawnego życia.

– Pułkownik był wdzięczny?

– Tak – odrzekł Szura obojętnym głosem. – Był dla mnie bardzo dobry. Przeniósł mnie z piechoty do zmotoryzowanych. A kiedy został dowódcą garnizonu leningradzkiego, zabrał mnie ze sobą.

Tatiana znieruchomiała. Leżała cicho, cichutko, ledwo oddychała. Nie chciała wiedzieć. Nie chciała o nic pytać. Ale zapytać musiała.

– Nie poszedłeś na bagna sam – powiedziała wreszcie z głębokim westchnieniem.

– Nie. Z Dmitrijem.

– Nie wiedziałam, że służył w twoim plutonie.

– Nie służył. Spytałem go, czy chce ze mną iść, i się zgodził.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego się zgodził? Trudno uwierzyć, że dobrowolnie poszedł na niebezpieczną

wyprawę do nieprzyjacielskich linii obronnych w poszukiwaniu rannego żołnierza.

– Fakt, ale poszedł.

– Zaczekaj. Czy dobrze to zrozumiałam? Ty i Dmitrij poszliście sami na mokradła, żeby ratować Jurija Stiepanowa? – Nie potrafiła zapanować nad sobą tak dobrze jak Aleksander i drżał jej głos.

– Tak.

– Wiedzieliście, że go tam znajdziecie?

– Tatiu, czego ty ode mnie chcesz? Myślisz, że coś przed tobą ukrywam?

Tatiana milczała chwilę.

– A ukrywasz? – spytała cicho.

Aleksander patrzył w sufit.

– Już ci mówiłem. Poszliśmy i łaziliśmy tam przez dwie godziny. Znaleźliśmy go. Przynieśliśmy go do bazy. To wszystko.

– To wtedy Dmitrij dostał awans na starszego szeregowego?

– Tak.

Tatiana złożyła mu głowę na piersi i czubkami palców zaczęła kreślić mu koła na brzuchu, koła duże, średnie i małe.

– Szura?

– Boże!

– Po podpisaniu zawieszenia broni w tysiąc dziewięćset czterdziestym Wyborg znalazł się na granicy fińsko-radzieckiej, prawda?

– Tak.

– Jak daleko jest z Wyborga do Helsinek?

Aleksander długo nie odpowiadał.

– Nie mam pojęcia.

Tatiana zagryzła wargę.

– Na mapie jest blisko.

– To mapa, Tatiu – odrzekł niecierpliwie. – Na mapie wszędzie jest blisko. Nie wiem, co najmniej trzysta kilometrów.

– Rozumiem. A jak daleko…

– Taniu!

– Co? Jak daleko jest z Helsinek do Sztokholmu?

– Na miłość boską, do Sztokholmu?! – Wciąż unikał jej wzroku. – Pewnie jeszcze trzysta. Ale przez morze, przez Bałtyk i Zatokę Botnicką.

– Tak, przez Bałtyk i przez Zatokę… Mam jeszcze jedno pytanie.

– Hmm? – mruknął niemal rozbawiony.

– Gdzie przebiega granica teraz?

Aleksander tylko westchnął.

– Finowie doszli aż do Lisiego Nosa, tak? Tam, dokąd wysłałeś na zwiad Dmitrija?

– Tatiano, to przesłuchanie nie ma sensu. Dość, wystarczy.

Usiadła gwałtownie i zaczęła schodzić z pieca.

Chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj. Gdzie idziesz?

– Nigdzie – odparła. – Przecież skończyliśmy, prawda? Idę się wykąpać, a potem muszę ugotować obiad.

– Chodź tutaj.

– Nie. Muszę…

– Chodź do mnie.

Tatiana zacisnęła powieki. Ten jego głos. Ten głos, te oczy, te ręce, te usta.

Usiadła.

– O co ci chodzi? – Ułożył ją obok siebie, pieszcząc jej piersi. – Po co te pytania?

– Po nic. Po prostu myślałam.

– Spytałaś mnie o medal, wszystko ci opowiedziałem. Spytałaś mnie o granice, opowiedziałem ci o granicach. Spytałaś mnie o Lisi Nos, opowiedziałem ci o Lisim Nosie. Przestań już wreszcie myśleć – szepnął, delikatnie ściskając jej sutkę.

Wciąż byli spoceni i spragnieni, wciąż było im gorąco.

Aleksander pocałował ją.

– Masz jeszcze jakieś pytania?

– Nie wiem.

Pocałował ją ponownie, tym razem dłużej, czulej, namiętniej i serdeczniej.

– Nie, chyba nie – szepnęła. Właśnie tak na nią działał: całował ją dopóty, dopóki nie zapłonęła żywym ogniem. I doskonale wiedział, jak na nią działa. Momentalnie ją rozbrajał. O tym też dobrze wiedział. Nie odrywając od niej ust, wsunął w nią dwa palce, powoli je wysunął, wsunął je ponownie…

– Nie – szepnęła Tatiana. – Nie mam już żadnych pytań.

17

Minęło kilka upalnych dni. Tatiana znowu podskakiwała jak dziecko.

– Co to będzie? – spytała. – Zrobiłeś już ławę. Rzuć to, odpocznij. Chodźmy popływać. Tak, popływać! Nawet Kama jest dzisiaj ciepła. Ponurkujemy i sprawdzimy, które z nas dłużej wytrzyma pod wodą.

Aleksander wniósł do domu dwie długie na metr kłody drewna. Sięgały mu bioder.

– Potem. Muszę to skończyć.

– Ale co to będzie?

– Zobaczysz.

– Dlaczego nie możesz mi powiedzieć?

– Kuchenny blat.

– Blat? Po co? Potrzebny nam stół. – Znowu zaczęła podskakiwać. – Jemy na podłodze. Dlaczego nie zrobisz stołu? A jeszcze lepiej chodź ze mną popływać. – Chwyciła go za rękę.

– Potem, Tatiu. Jest coś do picia? Boże, co za upał.

Tatiana szybko przyniosła mu wody i kawałek ogórka.

– Chcesz papierosa?

– Tak.

Przyniosła papierosy.

– Blat? – powtórzyła. – Szura, potrzebny nam stół.

– To będzie taki wysoki stół. Albo wysoka ława.

– Ale dlaczego wysoki?

– Zobaczysz. Tatiu, czy wiesz, że cierpliwość jest cnotą?

– Tak! – wykrzyknęła niecierpliwie. – Powiedz, co to będzie. Aleksander łagodnie wyprowadził ją na dwór.

– Możesz mi przynieść kromkę chleba? Zgłodniałem. Bardzo proszę…

– Dobrze, ale będę musiała pójść do Nainy. Wszystko zjedliśmy.

– Świetnie, idź. Tylko zaraz wracaj.

Wróciła z chlebem, masłem, jajkami i kapustą.

– Szura! Zrobię dzisiaj pieróg z kapustą.

– Naprawdę? Nie mogę się doczekać.

– Zawsze jesteś głodny. Jak ja cię wykarmię? Zdjąłeś koszulę. Gorąco ci?

– Koszmarnie.

– Skończyłeś? – spytała z promiennym uśmiechem.

– Prawie. Muszę tylko wyheblować.

Tatiana podeszła bliżej.

– Wyheblować?

– Wygładzić. Nie może być żadnych drzazg.

– Nie? Słuchaj, wiesz, co powiedziała Dusia?

– Nie, skarbie, nie mam zielonego pojęcia.

– Że to najgorętsze lato od siedemdziesięciu pięciu lat, od tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego! Dusia miała wtedy cztery lata.

– Naprawdę? – Tatiana podała mu manierkę z wodą. Wypił do dna i poprosił o jeszcze. Postawił manierkę na blacie i wziął hebel.

Tania uważnie go obserwowała.

– Nie rozumiem. Sięga mi piersi. Dlaczego jest taki wysoki?

Aleksander pokręcił głową, odłożył hebel i umył się w wiadrze z wodą.

– Chodź tutaj – powiedział. – Podsadzę cię.

Posadził ją na blacie i stanął przed nią.

– No i jak?

– Wysoko – odrzekła, nie odrywając od niego wzroku. Miał spokojne oczy i roześmiane usta. – Ale nie boję się wysokości. I moja twarz jest teraz na wysokości twojej. To mi się podoba. Podejdźcie no bliżej, żołnierzu.

Aleksander rozchylił jej nogi. Popatrzyli sobie w oczy i pocałowali się. Wsunął jej ręce pod sukienkę. Nie miała na sobie bielizny.

– Hmm… – Pieścił ją chwilę, po czym rozwiązał tasiemkę szortów. – Czy tak jest wystarczająco blisko? – wymruczał, obejmując jej biodra i powoli w nią wchodząc.

– Chyba tak – wychrypiała. – Tak…

Poruszał się w niej ostrożnie, nagle ściągnął z niej sukienkę, pochylił głowę i przywarł ustami do piersi.

– Obejmij mnie za szyję – wydyszał. – Chcę poczuć na sobie twoje twarde sutki.

Tatiana nie mogła oderwać rąk od blatu.

– Za szyję – powtórzył, poruszając się coraz szybciej. – Nadal uważasz, że blat jest za wysoki?

Tania nie mogła odpowiedzieć.

– Tak myślałem. – Wcisnął się w nią jeszcze głębiej, jeszcze mocniej objął ją w talii. – Ni z tego, ni z owego jest w sam raz, prawda, moja niecierpliwa żono? Prawda? Prawda?

Nieco później, gdy stał przed nią, spocony i zdyszany, pocałowała go w szyję i spytała:

– Powiedz, zrobiłeś ten blat tylko po to?

– Ależ skąd. – Pociągnął z manierki potężny łyk, a potem polał wodą jej twarz i piersi. – Można obierać na nim kartofle.

– Ale my nie mamy kartofli – odrzekła ze śmiechem.

– Hmm… Szkoda.

– Miałeś rację: ten blat jest w sam raz. Nareszcie mam gdzie wyrabiać ciasto. – Uśmiechnęła się do niego z uwalanymi mąką rękami. Ciasto właśnie urosło – zamierzała zrobić kruchy pieróg z kapustą.

Aleksander siedział na blacie, kiwając nogami.

– Nie zmieniaj tematu. Naprawdę uważasz, że Piotr Wielki nie powinien był zakładać Leningradu i unowocześniać Rosji?

– Ależ skąd. Przestań. Zabierz nogę. To Puszkin tak uważa. Pisząc „Jeźdźca”, wahał się, nie był o tym do końca przekonany.

– Długo będzie się piekł? – Aleksander nie odsunął się ani o centymetr. Pstryknął jej w twarz odrobiną mąki. – A Puszkin wcale się nie wahał. Sens „Jeźdźca miedzianego” jest taki, że Rosję trzeba wprowadzić do Nowego Świata choćby siłą.

– Puszkin uważał, że Leningrad zbudowano zbyt wielkim kosztem. – Cisnęła w niego garść mąki. – I lepiej ze mną nie zaczynaj, bo przegrasz. A pieróg będzie gotowy za trzy kwadranse.

– Tak, od chwili, gdy wstawisz go do pieca. – Kiwając nogami i nie odrywając wzroku od Tatiany, otarł sobie twarz. – Posłuchaj tylko, co napisał: „Czyż nie tak samo twoja dłoń, wzniesiona nad otchłanią pustą, szarpnęła Rosję twardą uzdą, że dęba wspięła się

jak koń?”[20]. Los, Taniu, przeznaczenie. Przeznaczenia nie pokonasz.

– Możesz się trochę przesunąć? – Tania sięgnęła po wałek. – Ale napisał również: „Cesarz rzekł – i na ten rozkaz w jednej chwili na wszystkie strony miasta, śród odmętu szalejących wód generałowie wyruszyli ratować przerażony lud”. Strach, Szura! Właśnie o to mi chodziło. Lud nie chciał ani wybawienia, ani nowoczesności.

Aleksander celowo potrącił udem wałek.

– Taniu, tam, gdzie kiedyś nie było nic, jest teraz wielkie miasto. Tam, gdzie były tylko mokradła, kwitnie cywilizacja!

– Przestaniesz wreszcie kiwać nogami czy nie? Powiedz to Puszkinowskiemu Eugeniuszowi, który zwariował. Powiedz to Paraszy, która się utopiła.

– Eugeniusz był słaby. Parasza też. I co? Czy ktoś postawił im pomnik?

– Szura, nie ma najmniejszych wątpliwości, że Puszkin się wahał. W „Jeźdźcu” zadał nam pytanie: czy ludzkie życie nie jest zbyt wysoką ceną za powstanie nowego miasta?

– Wprost przeciwnie, wątpliwości są – upierał się Aleksander. – Moim zdaniem Puszkin był co do tego zupełnie przekonany. Czy ten pieróg będzie miał nadzienie, czy upieczesz samo ciasto?

Tatiana przestała wałkować.

– Jak możesz tak mówić?

– Przecież widzę. Gdzie nadzienie?

Trąciła go wałkiem w nogę.

– Przynieś patelnię z płyty. Jak możesz mówić, że to, co Puszkin pisze, jest jednoznaczne? Pamiętasz ten fragment? To sedno całego utworu! – Wzięła głęboki oddech.

I w bladym blasku ukąpany,
Wysoko wyciągając dłoń,
On, Jeździec goni go Miedziany
I dźwięcznie w bruk łomoce koń.
Wypuściła powietrze.

– W zakończeniu poematu nie ma już ani wykładanych granitem ścian, ani złocistych wieżyc, ani białych nocy, ani Letniego Ogrodu. – Uśmiechnęła się do niego z wezbranym sercem. Szura odpowiedział uśmiechem. – Puszkin kończy swoje dzieło, mówiąc nam, tak, Petersburg zbudowano, ale pomnik Piotra Wielkiego ożył niczym w złym śnie, by przez całą wieczność ścigać nieszczęsnego Eugeniusza pięknymi ulicami miasta.

I wszędzie, dokąd, obłąkany
Uciekał, gnany zmorą trwóg,
Tam Jeździec ścigał go Miedziany
I ciężko dudnił kopyt stuk.

Tania lekko zadrżała. Dlaczego? Przecież było tak gorąco.

Aleksander podał jej patelnię.

– Tatiu, skarbie, czy możesz się ze mną sprzeczać i jednocześnie nakładać nadzienie? Zresztą nie. Od razu przyznam ci rację, bo inaczej nigdy nie zjemy obiadu.

– Szura, czy ty naprawdę tego nie widzisz? Parasza nie żyje. Eugeniusza ściga Jeździec Miedziany i będzie go ścigał przez całą wieczność. Oto, jaką cenę zapłaciliśmy za Leningrad. – Tania wygarnęła łyżką nadzienie i zaczęła zlepiać brzegi ciasta. – Parasza na

pewno chciałaby żyć. A Eugeniusz na pewno nie chciałby zwariować. Wolałby już mieszkać na bagnach.

Aleksander usiadł na blacie.

– „Więc tuż, nie skąpiąc mu pacierza, dobrzy go ludzie pochowali” – Obojętnie wzruszył ramionami. – Wszystko jedno. Nadal twierdzę, że Eugeniusz to dobra cena za życie w wolnym świecie.

Tatiana znieruchomiała.

– A za socjalizm w jednym kraju?

– Przestań. Nie można porównywać Piotra Wielkiego ze Stalinem!

– Odpowiedz.

Aleksander zeskoczył z blatu.

– Wszelkim kosztem, Taniu! Mimo oporu i protestów! Byle do wolnego świata! Ale nie do niewolnictwa. To najbardziej podstawowa, najważniejsza, najżywotniejsza różnica. Umrzeć za Hitlera i umrzeć, żeby go powstrzymać. Oto, jaka to różnica.

Tatiana podeszła bliżej.

– Ale umrzeć tak czy inaczej. Prawda, Szura?

– Sam zaraz umrę, jeśli czegoś nie zjem – mruknął.

– Już, już. – Wstawiła pieróg do duchówki, umyła ręce i opłukała twarz. W piecu buzował ogień i w izbie było nie do wytrzymania. Otworzyli drzwi, pootwierali wszystkie okna – na próżno. – Mamy trzy kwadranse. Co chcesz robić? Nie, zaczekaj. Po co ja pytam? Boże święty, może najpierw sprzątnę z blatu? Zobacz, cała jestem w mące. Lubisz to, prawda? Och, Szura, jesteś nienasycony. Nie możemy robić tego cały czas.

– Szura?

– Och, Szura…

– Boże…

– Robisz mi na złość. – Siedzieli w gasnącym świetle dnia pod wschodzącym sierpem księżyca, jedząc pieróg z kapustą i cebulą, pomidory i razowy chleb z masłem. – Dobrze wiesz, że zginąć za Hitlera i zginąć za Stalina to jedno i to samo.

Aleksander przełknął kęs ciasta.

– Zgoda, ale zginąć, żeby powstrzymać Hitlera, to zupełnie co innego. Jestem amerykańskim sojusznikiem. Walczę po ich stronie. – Stanowczo kiwnął głową. – I będę walczył.

Tatiana spojrzała na swój pieróg.

– Chyba za krótko siedział w piecu.

– Jest dziewiąta. Zjadłbym go na surowo cztery godziny temu.

Nie chcąc kontynuować tematu – była przekonana, że i tak ma rację – wróciła do Puszkina.

– Hmm… Rosja, którą symbolizuje w „Jeźdźcu” Eugeniusz, nie chciała nowoczesności. Piotr Wielki nie powinien był jej nikomu narzucać.

– Co ty pleciesz?! – wykrzyknął Aleksander. – Po pierwsze, nie było żadnej Rosji! Podczas gdy reszta Europy wchodziła w wiek Oświecenia, my ciągle tkwiliśmy w średniowieczu. Piotr Wielki zbudował Petersburg i nagle odkryliśmy francuską kulturę, język francuski. Nagle zaczęliśmy się kształcić, podróżować, budować prawdziwą gospodarkę. Powstała klasa średnia, powstała wyrafinowana arystokracja. Odkryliśmy muzykę i książki. Książki, Taniu, książki, które tak bardzo kochasz. Szczęśliwe rodziny, o których pisał Tołstoj. Gdyby nie Piotr Wielki, Tołstoj nigdy by nic nie stworzył. Dzięki

poświęceniu Eugeniusza i Paraszy zatriumfował lepszy świat. Światłość zwyciężyła mrok.

– Tak, łatwo ci mówić o ich poświęceniu. Ciebie nikt nie ściga, a już na pewno nie wielka bryła brązu.

– Spójrz na to z innej strony. Co jemy dzisiaj na obiad, a właściwie na późną kolację? Pieróg z kapustą. Chleb. Pomidory. Dlaczego? Wiesz dlaczego?

– Nie widzę żadnego…

– Cierpliwości, zaraz ci wszystko wytłumaczę. Jemy to, co jemy, dlatego, że nie chciało ci się wstać o piątej rano. Obudziłem cię i powiedziałem: jeśli zaraz nie pójdziemy nad rzekę, pstrągi odpłyną. Posłuchałaś mnie?

– Czasami cię słucham…

– Tak, i w te dni jemy rybę. Miałem rację? Miałem. Tak, oczywiście. Wstawać o piątej rano to prawdziwy koszmar. Ale potem można pysznie zjeść. – Zachłannie odgryzł kawałek pieroga. – I właśnie o to mi chodzi: wielkie, wspaniałe rzeczy, które warto mieć, wymagają wielkiego poświęcenia. Ot, choćby Leningrad. Warto było.

– A poświęcenie dla Stalina?

– Nie! Nie, nie i jeszcze raz nie! – Aleksander odstawił talerz. – Powiedziałem, wielkie rzeczy, rzeczy wspaniałe. Poświęcenie dla Stalina i jego nowego porządku światowego jest nie tylko ohydne, ale i kompletnie bezsensowne. Co by było, gdybym kazał ci wstawać co rano? Kazał, rozumiesz? Gdybym zmuszał cię do tego siłą. Gdybyś znużona i wyczerpana musiała wychodzić na zimno, żeby… Nie, nie. Nie żeby łowić ryby: zbierać grzyby! Grzyby trujące, takie, które wyrywam z ziemi i wyrzucam, które atakują wątrobę i zabijają człowieka w pięć minut. – Wybuchnął śmiechem. – Powiedz, chciałoby ci się wstawać?

– Teraz też mi się nie chce – mruknęła, wskazując jego talerz. – Jedz. To nie ryba, ale…

– Pieróg jest pyszny, Tatiu – odrzekł wesoło z pełnymi ustami. – Są takie bitwy, do których trzeba stanąć, żeby nie wiem jak nie chciało nam się walczyć. I warto w nich zginąć.

– Chyba tak… – Tania odwróciła wzrok.

Aleksander przełknął jedzenie i odstawił talerz.

– Chodź do mnie.

Przysunęła się bliżej i objęła go mocno.

– Nie rozmawiajmy już o tym.

– Nie będziemy. Wiesz co? Chodźmy ponurkować w wieczornej Kamie.

Ranek. Z chatki dobiegł przeraźliwy krzyk. Niósł się przez las i Aleksander usłyszał go mimo trzasku siekiery, którą rąbał drewno. Wrócił pędem do domu, wpadł do izby i ujrzał Tatianę siedzącą na kuchennym blacie. Siedziała w kucki, z kolanami pod brodą.

– Co się stało? – wysapał.

– Mysz! Gotowałam i tuż koło mnie przebiegła mysz!

Aleksander popatrzył na jajka smażące się na płycie, na bulgoczącą na prymusie kawę, na talerze z pokrojonymi pomidorami, a potem na Tanię siedzącą dobry metr nad podłogą. Popatrzył i mimo woli rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

– Co ty tam… – Z trudem powstrzymał się od śmiechu. – Co ty tam robisz?

– Przecież mówię! – krzyknęła. – Mysz! Przebiegła i… – Tania aż się wzdrygnęła. – I otarła się o mnie ogonem. Możesz ją złapać?

– Tak, ale co ty robisz na blacie?

– Jak to co? Uciekłam. – Nieszczęśliwa, zmarszczyła brwi. – Będziesz tam stał czy wreszcie ją złapiesz?

Aleksander objął ją i podniósł. Zarzuciła mu ręce na szyję, kurczowo zacisnęła palce i wysoko podciągnęła nogi. Pocałował ją, poklepał po plecach, pocałował jeszcze czulej, w końcu powiedział:

– Tatiu, myszy potrafią się wspinać.

– Nieprawda.

– W Finlandii widziałem, jak mysz wdrapała się na wierzchołek masztu przed namiotem komendanta, żeby zjeść kawałek sera.

– Skąd wziął się ser na maszcie?

– Myśmy go tam położyli.

– Po co?

– Żeby sprawdzić, czy myszy potrafią się wspinać.

Tatiana omal nie parsknęła śmiechem.

– Wszystko jedno. Nie dostaniesz ani śniadania, ani kawy, ani mnie, póki ta mysz stąd nie wyjdzie.

Aleksander wyniósł ją na dwór i wrócił po talerze z jedzeniem. Jedli, siedząc obok siebie na ławce.

– Taniu, naprawdę boisz się… myszy?

– Tak. Zabiłeś ją?

– Niby jak? Nigdy mi nie mówiłaś, że boisz się myszy.

– Bo nigdy mnie nie pytałeś. Nie wiesz, jak ją zabić? Na miłość boską, jesteś kapitanem Armii Czerwonej. Czego oni was tam uczą?

– Jak zabijać ludzi, nie myszy.

Tania prawie nie tknęła jedzenia.

– Wrzuć tam granat, zastrzel ją, zrób coś. Ona albo ja.

Aleksander pokręcił głową.

– Chodziłaś ulicami Leningradu, kiedy Niemcy zrzucali na miasto pięćsetkilogramowe bomby, które urywały ręce i nogi stojącym w kolejce kobietom. Stawiałaś czoło ludożercom, skoczyłaś z jadącego pociągu, żeby odnaleźć brata, i boisz się zwykłej myszki?

– Nareszcie coś do ciebie dotarło.

– Przecież to bez sensu. Ktoś tak nieustraszony jak ty…

– Mylisz się. Znowu. Jeszcze jakieś pytania? A może chcesz coś dodać?

– Tylko jedno – odparł powoli z kamienną twarzą. – Wygląda na to, że znaleźliśmy trzecie zastosowanie dla naszego blatu. – I wybuchnął śmiechem.

– Śmiej się, śmiej. Proszę bardzo. Jestem tu po to, żeby cię rozbawiać.

Wyjął jej talerz z rąk i poprosił, żeby przed nim stanęła. Zrobiła to bardzo niechętnie.

– Tatiu, nawet nie wiesz, jaka jesteś zabawna. – Pocałował ją w pierś. – Uwielbiam cię.

– Gdybyś naprawdę mnie uwielbiał – odrzekła, na próżno próbując uwolnić się z jego objęć – nie flirtowałbyś ze mną, tylko urządziłbyś najazd na nasz dom.

Aleksander wstał.

– Jedna uwaga: jeśli już poszło się z kimś do łóżka, trudno to nazwać flirtowaniem.

Gdy zniknął w środku, usiadła z uśmiechem na ławce, żeby skończyć jeść. Kilka minut później stanął w progu z karabinem w jednej ręce, z pistoletem w drugiej i z bagnetem w zębach. Na końcu bagnetu dyndała martwa mysz.

– No i co? – spytał kącikiem ust. – Dobrze się sprawiłem?

Tania z trudem zachowała poważną minę.

– Świetnie – odrzekła. – Ale nie musiałeś pokazywać mi łupów wojennych.

– Musiałem, musiałem. Gdybyś nie zobaczyła trupa na własne oczy, nie uwierzyłabyś mi, że trup nie żyje.

– Uwierzyłabym. I przestań mnie cytować. A teraz uciekaj stąd. Wynieś ją gdzieś i wracaj.

– Ostatnie pytanie.

– No nie. – Ukryła twarz w dłoniach, żeby się nie roześmiać.

– Myślisz, że warto było tę mysz zabić?

– Pójdziesz wreszcie czy nie?

Śmiał się przez całą drogę do lasu i z powrotem.

18

Siedzieli na głazie i łowili ryby. Łowili, a raczej próbowali łowić. Tatiana zanurzyła linkę w wodzie, natomiast Aleksander po prostu leżał, pieszcząc jej nagie plecy. Odkąd uszyła sobie nową, niebieską sukienkę z rozcięciem biegnącym od karku prawie do pośladków, nie mógł skupić się na drobiazgach takich jak łowienie ryb czy zbieranie jagód. Nie chciał, żeby nosiła coś innego i nic innego nie mógł robić.

– Szura, nie złapaliśmy ani jednej ryby. Naina Michajłowna będzie głodna tylko dlatego, że nic ci się nie chce.

– Hmm… Właśnie o niej myślę, o Nainie Michajłownie. A nie mówiłem? Trzeba było wstać o piątej.

Tatiana westchnęła i uśmiechnęła się, patrząc na lśniącą w słońcu rzekę.

– Miałeś mi poczytać. Wziąłeś książkę. Poczytaj. „Okrutna, straszna była pora, mam o niej wspomnień świeżych wieści…"

– Wolałbym raczej…

– Poczytaj. Ja będę łowiła i zbierała.

Pocałował ją w plecy.

– Zostaw tę linkę. Mam tego dość.

– Dochodzi szósta, a my nie mamy nic na kolację.

Wyjął jej linkę z rąk.

– Dlaczego nigdy mnie nie słuchasz? – Położył się na wznak. – Podciągnij sukienkę i usiądź na mnie. – Stęknął cicho. – Nie, nie tak. Odwróć się. Przodem do rzeki, tyłem do mnie.

– Tyłem do ciebie?

– Tak. – Zamknął oczy. – Chcę widzieć twoje plecy, kiedy na mnie siedzisz.

Potem, odprężona, nasycona i lekko skonsternowana Tatiana wymamrotała:

– Może jednak zarzucę linkę? I tak siedzę tyłem.

Aleksander przesunął palcami wzdłuż jej kręgosłupa. Nie odpowiedział.

Tania wstała.

– Pocałować cię?

Szura leżał z zamkniętymi oczami.

– Tak. – Ani drgnął. – Tatiano, ile zostało nam dni? – spytał zdławionym głosem.

Tania odwróciła się szybko i podniosła linkę.

– Nie wiem – szepnęła, patrząc w wodę. – Nie liczę.

– Teraz ci poczytam, chcesz? Mam. Ten fragment na pewno ci się spodoba.

Ożenić się? Czemuż by nie?
To oczywiście rzecz nieprosta;
Lecz jestem młody, mam sił moc,
Mogę pracować dzień i noc;
Wszystkim kłopotom w mig zaradzę,
Gniazdo uwiję…

Zamilkł. Tatiana wiedziała, że bohaterka poematu Puszkina miała na imię Parasza. Cierpliwie czekała z oczami, które przesłaniał serdeczny ból. Aleksander czytał dalej, głosem niższym i jakby zachrypniętym.

Gniazdo uwiję niby ptak
I mą Tatianę doń wprowadzę.
Rok minie, może nawet dwa –
Ciepłą posadkę człek dostanie,
Tania się dzieci wychowaniem
Zajmie i poprowadzi dom…
I zanim śmierć nas uspokoi,
Szczęśliwie będziem żyć oboje
I wnuki grób nasz zroszą łzą…[21]

Głośno zatrzasnął książkę.

– Podobało się?

– Czytaj dalej, żołnierzu – odrzekła, ściskając linkę drżącymi rękami. – Śmiało i odważnie.

– Nie.

Zamiast się odwrócić, Tatiana popatrzyła na leniwie płynącą rzekę i zaczęła recytować z pamięci.

Tak marzył sobie. I markotno
Było na duszy od tych dum,
I pragnął, by tak gniewnie w okno
Deszcz nie siekł…[22]

Zamilkli i nie odzywali się do siebie aż do powrotu do chatki.

Poszli do Nainy, wrócili i Aleksander rozpalił ognisko. Tania zaparzyła herbatę i usiedli, ona po turecku, on obok niej. Był cichy i milczący, spokojniejszy niż zwykle.

– Szura – szepnęła. – Chodź do mnie. Połóż mi głowę na kolanach. Jak zawsze.

Łagodnie, tkliwie i czule pogłaskała go po twarzy.

– Co się stało, żołnierzu? – Nachyliła się, żeby poczuć jego zapach. Herbata i papierosy. Otuliła go udami i piersiami i pocałowała w oczy. – Co cię dręczy?

– Nic. – Nie powiedział nic więcej.

Tatiana westchnęła.

– Opowiedzieć ci kawał?

– Pod warunkiem, że nie opowiadałaś go Wowie.

– Spadochroniarze przychodzą do składacza, takiego co to składaspadochrony przed skokiem. „Hej – pytają. – Dobrze składasz?" A ten na to: „Jak dotąd nikt nie narzekał".

Aleksander omal się nie roześmiał.

– Bardzo śmieszne. – Wstał i wziął od niej kubek. – Idę zapalić.

– Pal tutaj. I zostaw kubki. Zajmę się nimi później.

– Ale ja nie chcę, rozumiesz? Dlaczego zawsze wszystkim nadskakujesz?

Tatiana zagryzła wargę.

– Zwłaszcza Wowie. Ręce ma połamane czy co? Nie może obsłużyć się sam?

– Szura, nakładam jedzenie wszystkim, nie tylko jemu. Pierwszemu tobie – dodała cicho. – Jak by to wyglądało, gdybym go nie obsłużyła?

– Guzik mnie to obchodzi. Po prostu nie obsługuj go, i już.

Tatiana zamilkła. Za co się na nią gniewał?

Siedziała przed dogasającym ogniem. Gdyby nie mały krąg światła wokół ogniska i księżyc, byłoby zupełnie ciemno. Pachniało świeżą wodą, palącym się drewnem i nocą. Wiedziała, że Aleksander siedzi na ławce przed domem i że ją obserwuje. Robił to coraz

częściej. Siedział, obserwował ją i palił. I palił. I palił.

Zerknęła przez ramię. Jak teraz.

Wstała, podeszła bliżej i delikatnie nastąpiła mu na palce u stóp.

– Szura – szepnęła nieśmiało. – Chcesz się położyć?

Pokręcił głową.

– Idź. Jeszcze trochę posiedzę. Zaczekam, aż ogień dogaśnie.

Otaksowała go wzrokiem. Popatrzyła mu w oczy, spojrzała na jego usta, na lekko drżące ręce. Ponownie zagryzła wargę.

– Idź – powtórzył.

Podeszła jeszcze bliżej, rozsunęła mu nogi i uklękła. Miał płytki, przyspieszony oddech. Pogłaskała go po udach.

– Powiedz, co lubię?

Nie odpowiedział.

– A ty? Co lubisz?

– Jak pieścisz mnie ustami – odrzekł zdławionym głosem.

– Hmm… – Rozwiązała tasiemki jego spodni. – Nie za ciemno? Widzisz?

– Tak. – Objął ją za głowę, a ona ujęła go w dłonie.

– Szura?

– Hmm?

– Kocham cię.

19

Zmierzchało. Aleksander był w lesie; rąbał drewno na opał. Zawołała go, lecz nie odpowiedział. Chciała go zobaczyć przed wyjściem do Nainy. Na ławce postawiła talerz smażonych ziemniaków, położyła dwa pomidory i ogórek; kiedy wracał z lasu, zawsze był głodny. Obok talerza zostawiła kubek słodzonej herbaty, papierosa i zapalniczkę.

Jej zabawny mąż stracił zainteresowanie zabawą. Wciąż tylko palił albo rąbał drewno. To wszystko. Palił dla przyjemności, rąbał, żeby miała czym palić pod płytą. Od czasu do czasu wstawali przed świtem, kiedy Kama była gładka jak szkło i kiedy w powietrzu unosiła się sinawa wilgoć. Wstawali i, rozespani, szli bez słowa łowić ryby w odosobnionej zatoczce niedaleko polany. Aleksander miał rację. Wczesny ranek to najlepsza pora. W kilka minut potrafili złapać pięć, sześć ryb. Szura wkładał je do podbieraka zawieszonego na gałęzi rosnącej na brzegu topoli. Sięgał po papierosa, a Tatiana myła zęby, wracała do łóżka i czekała, modląc się i nasłuchując jego kroków.

Wypaliwszy i wykąpawszy się, przychodził do niej, a ona zawsze przyjmowała go z otwartymi ramionami. Wciąż ją niezmiernie podniecał. Wciąż do niego należała. Do niego i tylko do niego. Oddawała mu się jakkolwiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek zechciał, nawet jeśli po kąpieli w Kamie miał lodowato zimne ręce i nogi.

Jednakże o ile przedtem czerpał z tego wielką przyjemność, ostatnio dotykał jej tak, jakby go parzyła, jakby się na niej spalał. Ten ogień kusił go i pociągał, lecz teraz pieścił ją tak, jakby wiedział, że świadomie zadaje sobie rany, które nie zagoją się do końca życia, że może od nich umrzeć.

Co się stało z Szurą, który ścigał ją, chwytał, powalał na ziemię, by łaskotać i pieścić? Co się stało z Szurą, który kochał się z nią w pełnym słońcu, żeby wszystko widzieć? Gdzie się podział ten roześmiany żartowniś, ten beztroski zuchwalec? Powoli, stopniowo zmienił się w Aleksandra, który tylko palił, rąbał drewno i nieustannie ją obserwował.

Czasami budził ją nagle w środku nocy, wyrywał z bezpiecznego, spokojnego snu. Zastygała wówczas bez ruchu, a on tulił ją tak mocno, jakby chciał ją zmiażdżyć, udusić. Słyszała jego chrapliwy oddech, czuła, że błądzi ustami w jej włosach, i pragnęła wtedy przestać oddychać na dobre.

Kroiła pomidory i bezgłośnie płakała.

– Idziesz gdzieś?

Podkradł się bezszelestnie i stanął tuż za nią. Szybko otarła łzy i odchrząknęła z nadzieją, że w gasnącym świetle dnia Aleksander niczego nie zauważy.

– Już prawie skończyłam.

Był bardzo spocony. Do piersi przylgnęły mu wióry.

– Znowu rąbałeś? – spytała z mocno bijącym sercem. – Co ja zrobię z tym drewnem? – Pocałowała go w szyję. – Hmm… Cudownie pachniesz. – Na jego widok zabrakło jej tchu.

– Dlaczego masz zaczerwienione oczy?

– Kroiłam cebulę do ziemniaków.

– Widzę tylko jeden talerz. Idziesz gdzieś? – spytał bez uśmiechu.

– Nie. – Tania ponownie odchrząknęła.

– Pójdę się umyć.

– Po co? – Podniecona i bezbronna, podeszła do niego jeszcze bliżej. – Kiedy jesteś

w butach, a ja boso, zawsze czuję się przy tobie taka maleńka…

Jego ciało było niczym imadło. Lewą ręką przytrzymywał jej głowę, prawą obejmował ją za biodra. Był dosłownie wszędzie, i na niej, i wokół niej, i w niej. Nie mogła się poruszyć. Ulegając mu całkowicie i z oddaniem, czuła, jak Szura zmaga się ze swoją miłością, jak walczy z pożądaniem. I nareszcie zrozumiała: dobrze wiedział, jak bardzo jest silny.

Uniosła biodra.

– Och, Szura… Tak bardzo cię kocham.

– Jestem tu, Taniu – odrzekł załamującym się głosem. – Czujesz?

– Tak, mój żołnierzu, czuję.

Czuła również, że znowu wzbiera w niej znajoma fala, więc zacisnęła usta, żeby stłumić jęk. Jednakże wiedziała, że on też to wyczuł, gdyż powoli z niej wyszedł. Zaczyna się, pomyślała, błagalnie wyciągając do niego ręce. Zaczyna się, by trwać całą noc, do chwili, gdy łagodnymi, rytmicznymi i coraz szybszymi ruchami da upust miłości, pożądaniu i tęsknocie, gdy całkowicie wyczerpawszy siebie i mnie, ukoi nasz bolesny żal.

Wieczór. Tatiana obserwowała Aleksandra, który leżał na brzuchu z głową zwróconą w jej stronę. Siedziała cichutko, wsłuchując się w jego oddech, i próbowała odgadnąć, czy zasnął. Nie, chyba nie. Co kilka oddechów lekko drżał, jakby o czymś myślał. Nie chciała, żeby myślał. Powoli zakreśliła palcem krąg na jego plecach. Aleksander wymamrotał coś i odwrócił głowę.

Czego mu brak? Co mogę mu dać?

– Zrobić ci masaż? – Pocałowała go w ramię i przesunęła ręką po jego silnym karku. – Spisz?

Spojrzał na nią jednym okiem.

– Umiesz robić masaż?

– Umiem. – Miał na sobie tylko szorty. Usiadła na nim okrakiem.

– Gdzie się nauczyłaś?

– Jak to gdzie? – Żartobliwie uszczypnęła go w pośladek. – Robiłam to wiele razy.

– Naprawdę?

Wiedziała, że już go ma.

– Naprawdę. Gotowy? Szyna za szyną, za szyną szyna – zaczęła, kreśląc palcami dwie równoległe linie od szyi w dół kręgosłupa, aż po gumkę szortów.

– Podkład za podkładem, za podkładem podkład – kontynuowała, kreśląc krótkie, poprzeczne linie między „szynami”.

– Nadjeżdża spóźniony pociąg… – Wyrysowała mu zygzak na plecach.

– I z wagonu wysypuje się ziarno. – Połaskotała go w boki.

Aleksander roześmiał się i podłożył sobie ręce pod głowę.

Miała ochotę go pocałować. Ale nie. Wiedziała, że to nie należy do gry.

– Nadchodzą kury i dziob, dziob, zaczynają je dziobać. – Dźgnęła go kilka razy sztywnymi palcami.

– Nadchodzą gęsi i skub, skub, zaczynają je skubać. – Kilka razy mocno go uszczypnęła.

– Co to za masaż? – wymruczał.

– Nadchodzą dzieci i tup, tup, zadeptują caaałe ziarno. – Zabębniła mu w plecy otwartymi dłońmi.

– Ajaj! – wykrzyknął. – Dlaczego mnie bijesz?

– Nadchodzą złodzieje. Solą ziarno, posypują je pieprzem i… zjadają! – zapiszczała, łaskocząc go mocno pod pachami. Aleksander wił się jak piskorz. To cudownie, że ma łaskotki, pomyślała. Nie mogła oprzeć się pokusie i lekko ugryzła go w łopatkę. Był zbyt rozkoszny, leżąc tak pod nią i wyginając się na wszystkie strony. Gdy go ugryzła, zamruczał jak kot.

– Nadchodzi biedny dziadek i zbiera ziarno. – Ponownie dźgnęła go palcami. – Nadchodzi dozorca ogrodu zoologicznego…

– Nie, tylko nie dozorca!

– Siada i zaczyna pisać. – Wyrysowała mu na plecach stół, krzesło i kilkanaście falistych linii.

– Proszę przyjąć moją córkę do zoo i zebrać ziarno z torów. Stawia kropkę… Nakleja znaczek… – Klepnęła go w kark.

– Trrr! – Dała mu kuksańca w bok. – Pora wysłać list! – Trzasnęła gumką szortów, zsunęła je nieco i musnęła palcami jego pośladki.

Aleksander znieruchomiał.

– Już? – spytał zduszonym głosem. – Koniec?

Położyła się na nim i wybuchnęła śmiechem.

– Tak. – Pocałowała go między łopatkami. – Podobało ci się? – Uwielbiała tak leżeć. Plecy miał jak twarde łóżko. Niósł mnie na nich, pomyślała. Dziewięć kilometrów, mnie i karabin. Potarła policzkiem o jego opaloną łopatkę. Cały miesiąc na słońcu… Szybko zamrugała.

– Hmm, interesujące. Czy to rosyjski masaż?

Opowiedziała mu, jak to będąc małą dziewczynką, bawiła się w masaż z dziećmi w Łudze. Masowali się po dwadzieścia razy dziennie, łaskocząc się wzajemnie coraz mocniej i mocniej. Nie wspomniała, że z Daszą też robiła to bez końca.

Wysunął się spod niej i oznajmił:

– Teraz moja kolej.

– Nie! – zapiszczała. – Tylko delikatnie!

– Połóż się na brzuchu… Nie, zaczekaj. Zdejmij sukienkę.

Ze związanymi w kucyki włosami, leżała przed nim kremowa i gładka jak najgładszy jedwab. Ramiona miała piegowate – od słońca – lecz pozostała część pleców przypominała kość słoniową. Aleksander nachylił się, czubkiem języka wykreślił linię od łopatki do szyi i rozwiązał tasiemki w jej włosach.

– To też trzeba zdjąć – dodał, ściągając z niej majteczki.

Uniosła biodra.

– A czym trzaśniesz, żeby wysłać list?

Uwielbiał, kiedy unosiła biodra, dlatego widok ten jakby go zahipnotyzował. Chwycił zębami fałdkę skóry pod jej łopatką i odrzekł:

– Skoro tak naprawdę nie ma tu ani pociągu z ziarnem, ani stąpających po plecach niedźwiedzi, może wyobrazimy sobie, że jesteś w majteczkach? – Uśmiechnęła się i zamknęła oczy, a on pocałował ją, zdejmując szorty.

– Łamiesz reguły – jęknęła.

Usiadł na niej okrakiem.

– No dobrze. Jak to idzie?

– Szyna za szyną, za szyną szyna – podpowiedziała.

Wyrysował dwie równoległe linie na jej plecach, od łopatek po pośladki.

– Świetnie, ale nie musisz jechać aż tak daleko.

– Nie?

– Nie – odrzekła łamiącym się głosem.

– Teraz kury. Co robiły kury?

– Dziob, dziob, dziobały.

Dźgnął ją kilka razy czubkami palców, przesunął dłońmi po bokach i objął jej piersi.

– A gęsi?

– Skub, skub, skubały.

Delikatnie ścisnął jej sutki.

– To nie tak. – Podparła się łokciami. – Musisz się postarać.

Aleksander ścisnął je mocniej.

– Uhm… – wymruczała.

– Nadchodzą złodzieje… – Ukląkł między jej rozsuniętymi nogami. – Solą ziarno… – Uniósł jej biodra. – Posypują je pieprzem… – Wszedł w nią i Tatiana krzyknęła, kurczowo zaciskając ręce na prześcieradle. – I jedzą je, i jedzą, i jedzą…

Nachylił się, dotknął jej lśniących, złocistych włosów, zamknął oczy, wyprostował się i ponownie chwycił ją mocno za biodra.

– Czy to był amerykański masaż? – wymruczała kilka minut później. – Na pewno, bo masowałeś mnie według zupełnie innych reguł.

Aleksander roześmiał się, lecz oczu nie otworzył.

– Zdajesz sobie sprawę, że od tej pory zabawa w masaż będzie kojarzyła mi się wyłącznie z tym, co robiliśmy?

– To dobrze – odrzekł. – Tak samo jak zabawa w chowanego?

– Tak, ją też zepsułeś. Kocham cię.

– Ja ciebie. – Objął ją od tyłu jeszcze mocniej, nie mogąc nasycić się jej bliskością.

20

Późnym wieczorem grali w rozbieranego pokera. Tania, Tania, Tania… Ta nieustraszona, kochająca życie, nieposkromiona, nieprawdopodobnie piękna Tania nie znosiła przegrywać. A przegrywała jak się patrzy. Ale tym razem Aleksander musiał skoncentrować się na kartach, nie na niej.

Przegrawszy bluzkę, jego cichutko pojękująca żona odchylała się lekko do tyłu, podczas gdy on leniwie ssał jej sutki. Siedzieli na polanie, przy ognisku pod srebrzystym księżycem.

– Zanieś mnie do środka – szepnęła.

– Najpierw zupełnie cię rozbiorę. – Nie mógł się od niej oderwać. – Przy tobie jestem jak pijany…

Zerknęła w dół.

– Może ty, ale na pewno nie on. – Zachichotała, objęła go i pociągnęła na siebie. – Już nie przegram. Koniec z tym, koniec.

Jej szło fatalnie, jemu znacznie lepiej: Tania miała na sobie tylko bieliznę.

– Majteczki i obrączka – powiedziała. – Dwa rozdania i się odegram.

– Zdejmiesz obrączkę – odrzekł – i możesz jej już nie wkładać.

Uważnie oglądała karty; on ledwie zwracał uwagę na swoje. Trzymała je tuż przy piersiach, żeby nie zdołał podejrzeć. W blasku ognia miała taką romantyczną, taką poetycką twarz. Zapragnął rzucić karty i… Wziął głęboki oddech. Nie. Wiedział, że niebawem znowu będzie należała do niego.

– Wymieniam – powiedziała po angielsku. – Dwie.

Skupiona zmarszczyła czoło i nagle się rozpromieniła. Zatrzepotała powiekami, popatrzyła na niego i przeszła na rosyjski.

– Dobra, podbijam stawkę o dwie kopiejki.

– Sprawdzam – odrzekł Aleksander, z trudem zachowując powagę. – No, Taniu? Pokaż, co tam masz.

– Ha! – Wyłożyła karty. – Proszę bardzo. – Miała fula.

– Hmm… – Wyłożył swoje. Miał karetę króli.

– Cztery króle? No i co z tego?

– To, że znowu wygrałem. Majteczki. Ściągasz majteczki.

– Jak to?

– Tak to. Kareta bije fula.

– Ale z ciebie kłamca! – Rzuciła karty i zasłoniła piersi rękami.

Chwycił ją za palce.

– Tatiu, to nie Ługa, już je widziałem. Już je…

Zasłoniła się ponownie.

– Nareszcie rozumiem, dlaczego zawsze wygrywasz. Oszukujesz.

Aleksander skręcał się ze śmiechu. Nie mógł tasować kart.

– Ile razy mam wam to powtarzać, pamiętliwa towarzyszko? Zasady to zasady. – Pociągnął za gumkę majteczek. – Zdejmuj.

Odsunęła się nieco dalej.

– To są oszukańcze zasady. Zagrajmy jeszcze raz.

– Proszę bardzo, ale pod warunkiem, że będziesz grała nago.

– Szura! Nie dalej jak wczoraj powiedziałeś Nainie Michajłownie, że ful jest starszy od czwórki. Oszukujesz. Nie będę grała w karty z szulerem.

– Taniu, Naina Michajłowna miała trójkę, nie czwórkę, a ja miałem strita. Strit jest starszy od trójki. – Aleksander uśmiechnął się szeroko. – W pokera nie muszę oszukiwać. Może w domino, ale nie w pokera.

– Jeśli nie musisz, to dlaczego oszukujesz?

– Dość tego. – Odłożył karty. – Majteczki ściągasz tak czy inaczej. Wygrałem uczciwie i sprawiedliwie.

– Uczciwie oszukiwałeś.

Aleksander był tylko w spodniach. Tatiana wciąż zasłaniała piersi, lecz usta miała wilgotne, lekko rozchylone i błądziła oczyma po jego nagim torsie.

– Taniu, czy chcesz, żebym wyegzekwował wygraną siłą?

Zerwała się na równe nogi.

– Proszę bardzo, spróbuj!

Lubił jej zadziorność i waleczność. Skoczył za nią, lecz zrobił to odrobinę za późno. Zanim się zorientował, stała już w rzece.

Przystanął na brzegu.

– Zwariowałaś!

– Tak, a ty oszukujesz, żeby mnie rozebrać! – odkrzyknęła.

Skrzyżował ręce na piersi.

– Czy naprawdę muszę oszukiwać, żeby cię rozebrać? Przecież prawie cały czas chodzisz nago.

– Ach ty…

Parsknął śmiechem.

– Wychodź. – Nie widział jej. Musiała stać gdzieś dalej. – Wyjdź, Taniu.

– Skoroś taki bystry, to po mnie przyjdź.

– Jestem bystry, ale jeszcze nie zwariowałem. Nie wejdę do rzeki po ciemku. Wyłaź.

– Tchórzysz!

– Jak chcesz. – Wrócił do ogniska, zebrał karty i kubki, schował do kieszeni papierosy. Zaniósł do domu koc, wyszedł i stanął w progu. Polana tonęła w ciszy. Kama też. Pochłodniało.

– Taniu! – krzyknął.

Nic. Żadnej odpowiedzi.

– Taniu!

Cisza.

Szybko poszedł nad rzekę. Mrok. Ciemność. Księżyc był blady, woda czarna, bez gwiazd.

– Tatiano!

Cisza.

Nagle Aleksander przypomniał sobie, że środkiem rzeki rwie silny nurt, że są tam kamienie, o które się często potykali, że czasami płyną tamtędy gałęzie i grube konary drzew. Wpadł w panikę.

– Taniu! – wrzasnął. – To wcale nie śmieszne! – Wytężył słuch. Nic. Ani plusku wody, ani oddechu, ani żadnego ruchu.

Cisza.

Wbiegł w spodniach do wody.

– Jeśli to tylko dowcip, lepiej do mnie nie podchodź!

Nic. Milczenie.

Rzucił się do wody i popłynął pod prąd.

– Tania!

Odwrócił głowę, spojrzał na brzeg i…

Stała tam w długiej koszuli, wycierając włosy i spokojnie go obserwując. Na tle płonącego ogniska nie widział jej twarzy, ale kiedy się odezwała, wyczuł, że zadowolona z siebie, uśmiecha się do niego zadziornie.

– Jesteś tam, oszuście? A mówiłeś, że nie wejdziesz do wody po ciemku.

Odebrało mu mowę. Ulżyło, ale i odebrało mowę.

Wybiegł z rzeki tak szybko, że aż się cofnęła. Cofnęła się, potknęła i przerażona usiadła na ziemi.

Stał nad nią chwilę, ciężko dysząc i kręcąc głową.

– Jesteś niemożliwa. – Pomógł jej wstać i ociekając wodą ruszył do chatki.

Poszła za nim.

– Szura, to był tylko żart…

– Bardzo zabawny. Boki zrywałem ze śmiechu!

– Ktoś tu nie ma poczucia humoru – wymamrotała.

Odwrócił się gwałtownie i krzyknął:

– Myślisz, że śmiesznie by było, gdybyś się utopiła? Ciekawe co rozbawiłoby mnie najbardziej? – Chwycił ją za ramiona, puścił i wszedł do chatki.

Wbiegła do środka, stanęła przed nim i spojrzała na niego błagalnie.

– Szura… – Wzięła go za rękę i włożyła ją sobie pod koszulę.

Aleksander wstrzymał oddech. Ta dziewczyna była naprawdę niemożliwa. Zdjęła bieliznę. Ręka pozostała między jej udami.

– Miałeś przyjść mi na ratunek – szepnęła Tania ze skruchą, rozpinając mu spodnie. – Zapomniałeś, że dzielni rycerze zawsze pomagają wątłym damom w potrzebie?

Popieścił ją palcami.

– Wątłym? – Przyciągnął ją do siebie. – Chyba masz na myśli kogoś innego. I zapominasz, że jedynym zadaniem damy jest kochać się z rycerzem, a nie wprawiać go w przerażenie.

– Nie chciałam wprawić go w przerażenie – wymruczała, gdy położył ją na łóżku. Wyciągnęła do niego ramiona.

W migotliwym świetle lampy naftowej patrzył, jak otwarta i drżąca, leży przed nim nago, cichutko pojękując. Kochali się bardzo długo i wiedział, że niemal do końca ugasił płonący w niej ogień. Mógł myśleć tylko o niej. O Tani. Przesunął dłonią po jej stopach, po łydkach i kolanach, delikatnie dotknął jej między udami, popieścił brzuch, lekko ucisnął piersi, powoli objął za szyję.

– Co, Szura? – szepnęła. – Co, kochanie?

Nie odpowiedział.

– Jestem twoja, żołnierzu. – Przykryła jego rękę swoją ręką. – Czujesz?

– Czuję, Taniu. Czuję.

– Chodź – jęknęła – chodź. Weź mnie, ale tak, jak najbardziej lubię… Jak najbardziej lubię, Szura…

Wziął ją, a potem, gdy leżeli już pod kocem, wtuleni w siebie, nasyceni i półsenni, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz ona przytknęła mu palec do ust i szepnęła:

– Ciii… Wszystko wiem. Wszystko rozumiem. Wszystko czuję. Nic nie mów.

Jak w transie, objęli się i przytulili do siebie jeszcze mocniej, pragnąc, by zespolił ich

na wieki gorący spazm błogiego ukojenia.

Lecz Aleksander ukojenia nie zaznał. Codziennie czuł się jak drobina pyłu, którą wiatr wymiata z piasku na ciepłą, nieruchomą trawę.

21

I tak żyli, od rana do nocy, od pierwszych fal na rzece do ostatniej pieśni skowronka, od zapachu pokrzyw do żywicznego zapachu sosnowych szyszek, od spokojnego, porannego słońca do bladoniebieskiego księżyca nad polaną. Tak spędzali swe pełne bzów dni.

On rąbał drewno na opał, które wiązał w naręcza sznurkiem. Ona piekła mu ciasto z jagodami, robiła kompot z jagód i smażyła jagodowe naleśniki. Czarnych jagód było tego roku w bród.

On robił dla niej meble, ona piekła dla niego chleb.

Grywali w domino. W deszczowe dni siadywali na werandzie Nainy, grali do upadłego i Tatiana zawsze wygrywała, bez względu na to, jak bardzo się starał. W chatce lub przy ognisku grali w rozbieranego pokera. W pokera Tania zawsze przegrywała.

Bawili się w chowanego; Aleksander uwielbiał tę zabawę.

Tatiana uszyła mu pięć koszul i dwie pary wojskowych szortów.

– Żebyś czuł mnie, kiedy będziesz w mundurze – wyjaśniła.

Chodzili razem na grzyby.

On uczył ją angielskiego. Recytował jej wiersze, które pamiętał z dzieciństwa, w tym wiersz Roberta Frosa:

Ciągnie mnie w mroczną głąb tej kniei,
Lecz woła trzeźwy świat nadziei
I wiele mil od snu mnie dzieli,
I wiele mil od snu mnie dzieli.[23]

I wiersz Emmy Lazarus: Tu, przed omywanymi morzem bramami zachodu słońca, stanie potężna kobieta…

Rozpaliwszy pod płytą, czytał jej Puszkina, chociaż do „Jeźdźca miedzianego” zaglądali coraz rzadziej i rzadziej. Oboje za bardzo tę lekturę przeżywali.

W jednej z książek znalazł zdjęcie, które przed rokiem dał Daszy. Przedstawiało go podczas ceremonii wręczania medalu za próbę ratowania syna pułkownika Stiepanowa.

– Zobacz. Nie jesteś dumna z męża?

– Bezgranicznie – odrzekła z uśmiechem. – Pomyśl tylko. Kiedy ja byłam małą dziewczyną i pływałam łódką po jeziorze Ilmen, ty nie miałeś już ojca i matki, zdążyłeś wstąpić do wojska i zostać bohaterem.

– Nieprawda – odrzekł. – Byłaś wtedy królową nagich gwiazd i czekałaś na mnie.

– Nie odebraliśmy ślubnych zdjęć.

– A kto ma czas iść do Mołotowa?

Nie rozmawiali o jego wyjeździe, ale dni płynęły coraz szybciej. Pod koniec już nie płynęły, tylko pędziły trzykrotnie szybciej niż zwykle, jakby w bezlitosnym zegarze pękła jakaś sprężyna.

Nie rozmawiali o przyszłości.

Wróć, poprawka.

Nie mogli rozmawiać.

Nie byli w stanie. Nie po tym co przeszli. Nie po dwudziestym czerwca. Aleksander z trudem mówił o następnym dniu. Nie mieli przeszłości. Nie mieli przyszłości. Po prostu

byli. Żyli. Młodzi i piękni. Tu, w Łazariewie.

Tak więc jedli, bawili się, rozmawiali, opowiadali sobie kawały, łowili ryby, siłowali się i spacerowali po lesie. Ona uczyła się angielskiego i pływała nago w rzece. On pomagał jej prać ich ubrania i ubrania czterech staruszek, nosił wodę ze studni i mleko. Czesał ją co rano i niezmordowany, wiecznie nią podniecony, codziennie się z nią kochał. Przeżywał najpiękniejsze dni swego życia.

Nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że Łazariewo już się nie powtórzy, ani dla niego, ani dla niej.

Tatiana złudzenia miała.

Tak było lepiej: nie chciał ich jej odbierać.

Wystarczyło tylko na niego spojrzeć.

I spojrzeć na nią.

Chociaż dwudziestodziewięciodniowy cykl księżyca biegł coraz szybciej po pętli smutku, Tatiana usługiwała Szurze tak chętnie, tak często się śmiała i tak często go dotykała, że zastanawiał się, czy w ogóle myśli o przyszłości. O przeszłości myślała. Wiedział to. Czuł. Na pewno myślała o Leningradzie; na jej twarzy pojawiał się wówczas wyraz kamiennego smutku. Ale przyszłość otuliła ją różaną nadzieją, a jeśli nie nadzieją, to przynajmniej poczuciem rozśpiewanej beztroski.

Co robisz? – pytała, gdy siedział na ławce i palił papierosa. Nic, odpowiadał, hołubiąc swój ból.

Palił i marzył. O niej.

Tak samo jak przed kilku laty marzył o Ameryce.

Marzył o wspólnym życiu, o życiu, w którym nie byłoby nic oprócz niej. O prostym, małżeńskim życiu, o tym, żeby zawsze czuć jej zapach i smak, słyszeć jej ciepły głos, widzieć jej miodowe włosy. Marzył, żeby była mu wiecznym pocieszeniem. Codziennie o tym śnił.

Czy znajdzie sposób, żeby odwrócić się od niej i odejść? Czy kiedykolwiek uwolni się od spojrzenia jej wiernych oczu? Czy Tania mu wybaczy? Czy kiedykolwiek wybaczy mu, że ją zostawił, że skazał ją na śmierć, że ją zabił?

Ilekroć wybiegała nago z chatki i radośnie piszcząc, wskakiwała do rzeki, ilekroć wychodziła z wody i szła ku niemu przez polanę, czuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Widząc jej stwardniałe od chłodu sutki, jej piękne, drżące ciało, widząc, jak bardzo pragnie, by ją przytulił, zaciskał zęby i modlił się, by nie dostrzegła jego wykrzywionej bólem twarzy.

Palił i obserwował ją z ławki.

Co robisz? – pytała.

Nic, odpowiadał, hołubiąc ból, który powoli przechodził w szaleństwo.

Coraz częściej się denerwował i wybuchał gniewem.

Irytowało go, że Tania tak chętnie pomaga innym. Widząc to, dogadzała mu i nadskakiwała jeszcze bardziej, aż w końcu zaczęło brakować mu tchu.

– Co ci podać? – pytała nieustannie. – Co jeszcze ci podać? Przynieść ci coś?

Nie, odpowiadał, niczego mi nie potrzeba, a ona przynosiła mu papierosa, wkładała mu go do ust, przypalała, nachylała się i całowała w czoło, wodząc rozkochanymi oczyma po jego udręczonej twarzy. Chciał powiedzieć: przestań, odejdź, zostaw mnie. Co się z tobą stanie, kiedy wyjadę, kiedy mnie nie będzie? Co ci zostanie, jeśli oddasz mi wszystko?

Wiedział, że Tatiana nie umie inaczej. Że po prostu jest sobą. Należała tylko do niego i była mu bezgranicznie oddana. Zakochał się w niej, ponieważ nie potrafiła ukrywać

uczuć. Wkrótce będzie musiała się nauczyć, myślał, biorąc zamach i opuszczając siekierę setki razy dziennie. Nauczy się ukrywać uczucia nawet przed samą sobą.

Gniewał się na nią o najgłupsze drobnostki. Denerwowała go jej wesołość. Nieustannie śpiewała, nieustannie podskakiwała, jakby miała w nogach sprężyny. Nie rozumiał, jak może być tak beztroska, wiedząc, że za piętnaście, za dziesięć, za pięć, że już za trzy dni jej mąż wyjeżdża.

Stał się o nią potwornie zazdrosny, co zaskoczyło nawet jego samego. Nie mógł znieść, gdy ktoś na nią patrzył. Nie mógł znieść, gdy się do kogoś uśmiechała. Nie mógł znieść, gdy rozmawiała z Wową, i dostawał szału, gdy usługiwała mu przy stole. Stale wybuchał gniewem, lecz na nią nie potrafił się gniewać nawet pięć minut. W arsenale, który zgromadziła, by wydobyć go z bezdennej otchłani smutku, było zbyt wiele broni.

I nie mógł się nią nasycić. Ani wtedy, gdy spacerowali, ani wtedy, gdy jedli, ani wtedy, gdy spali, ani wtedy, gdy się kochali. Miotając się między czułością i niepohamowaną żądzą, musiał mieć ją kilka razy dziennie. Ogarniał go fizyczny ból, ilekroć wychodziła do Nainy czy na spotkanie kółka krawieckiego. Jej nieśmiała euforia, jej wszechogarniająca słodycz i nieskrywana bezbronność rozdzierała mu serce. Łaknął tylko jednego: bliskości i dotyku jej ciała, jej zdławionego szeptu: „Och, Szura”.

Nie potrafił już szczytować, widząc, jak go obserwuje. Musiał przewracać ją na brzuch, bo wtedy nic nie widziała.

Wszystko po to, żeby lżej mu było wyjeżdżać.

Ale wyjazd był czymś nie do pomyślenia.

Zajaką cenę?

Zadawał sobie to pytanie tyle razy, że zapomniał już odpowiedzi.

Początkowo była prosta: to ona, to sama Tatiana była odpowiedzią.

Ale początek już dawno minął i zbliżał się koniec.

Tatiana poszła do przetwórni ryb – ponoć mieli przywieźć śledzie – a on krążył apatycznie wokół chatki, czekając na jej powrót. Po jakimś czasie wszedł do środka, zajrzał do jej kufra i na samym dnie znalazł coś dziwnego. Kufer należał do jej dziadka, dlatego nigdy nie zwracał nań większej uwagi, ale wyjąwszy warstwę prześcieradeł, dokumenty i trzy książki, zobaczył czarny płócienny plecak. Zaciekawiony, natychmiast go otworzył. W środku był jego stary P-38, butelka wódki, zimowe buty, piętnaście puszek tuszonki, suchary, termos, pieniądze i ciepłe ubranie w ciemnym kolorze.

Czekając na Tatianę, wypalił dziesięć papierosów.

Usłyszał ją, zanim ją zobaczył. Nuciła walca, którego kiedyś jej śpiewał.

– Szura! – zawołała radośnie. – Nie uwierzysz. Mam śledzia! Prawdziwego śledzia! Urządzimy dzisiaj ucztę.

Podskakując, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Zgiął się wpół, pocałował ją – dziwne, miała wilgotne policzki – pokazał jej plecak i spytał:

– Co to jest?

– Co?

– To. Co to jest?

– Szperałeś w moich rzeczach? Lepiej pomóż mi sprawiać śledzia.

– Nie tknę żadnego śledzia, dopóki mi nie powiesz, co to jest.

– Powiem ci czy nie, i tak musimy coś zjeść. Zajmie mi to pół godziny…

– Tatiano!

Głośno westchnęła.

– To mój plecak.

– Po co ci plecak? Idziesz w góry?

– Nie. – Położyła śledzia i usiadła na ławce.

Aleksander wyjął z plecaka ciemnobrązowy sweter i ciemnobrązowy kapelusz.

– Hmm, bardzo gustowne. – Widział, że jest spięta.

– Żeby nie rzucać się w oczy.

– Żeby nie rzucać się w oczy? W takim razie lepiej ukryj swoje wymowne usteczka. Dokąd się wybierasz?

– Co cię napadło?

– Dokąd się wybierasz, Taniu? – powtórzył podniesionym głosem.

– Chcę być przygotowana na wszystko.

– To znaczy na co?

– Nie wiem. – Spuściła oczy. – Chcę z tobą jechać.

Na chwilę zaniemówił.

– Ze mną? Dokąd?

– Wszędzie. – Podniosła głowę. – Tam gdzie ty.

Odebrało mu mowę. Próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł, zabrakło mu słów.

– Ale Taniu… ja… ja wracam na front.

Wbiła wzrok w ziemię.

– Na pewno? – spytała cichutko.

– Oczywiście. Gdzie indziej mógłbym wracać?

Spojrzała na niego czule.

– Ty mi powiedz.

Aleksander szybko zamrugał i nie wypuszczając plecaka z ręki, cofnął się o krok, jakby się jej bał.

– Taniu, jadę na front – powtórzył. – Pułkownik Stiepanow przedłużył mi urlop, żebym mógł tu przyjechać. Dałem mu słowo, że wrócę.

– A wy, Amerykanie, zawsze dotrzymujecie słowa.

– Tak, żebyś wiedziała – odrzekł z goryczą. – Nie ma sensu o tym rozmawiać. Dobrze wiesz, że muszę wrócić.

Spojrzała na niego zielonymi oczami.

– W takim razie wrócę z tobą – odparła cicho. – Do Leningradu. – Wzięła jego milczenie za znak zgody i szybko dodała: – Pomyślałam, że gdyby znowu przydzielili cię do garnizonu…

– Tatiano! – krzyknął przerażony. – Chyba żartujesz? Do jasnej cholery, powiedz, że to tylko głupi żart!

Był tak zdenerwowany, że musiał pójść na chwilę do lasu, żeby wziąć się w garść. Gdy wrócił, Tatiana czyściła śledzia. Typowe. On dostawał szału, ona sprawiała rybę. Podszedł do stołu i silnym uderzeniem wytrącił jej śledzia z ręki.

– Przestań! – krzyknęła. – To boli. Co w ciebie wstąpiło?

Poszedł do lasu jeszcze raz, tymczasem ona podniosła śledzia, obmyła go z piasku i zaczęła patroszyć.

Aleksander wrócił, odebrał jej tego przeklętego śledzia, rzucił go na gazetę i położył jej ręce na ramionach.

– Spójrz na mnie, Taniu. Próbuję się opanować, widzisz? Widzisz, ile mnie to kosztuje? Co ty sobie myślisz? Nie możesz ze mną wrócić, i nie wrócisz.

Pokręciła głową.

– Wrócę – odparła cichutko.

– Nie! Wykluczone. Po moim trupie. Musiałabyś mnie najpierw zabić. Dostanę urlop i przyjadę cię odwiedzić.

– Nie przyjedziesz. Zginiesz beze mnie. Czuję to. Nie zostanę tu sama.

– Kto ci pozwoli wyjechać? Bo chyba nie ja. Zapomniałaś, że Leningrad jest nadal oblężony? Że blokada nadal trwa? Że wciąż ewakuujemy stamtąd ludzi? Zapomniałaś? Zapomniałaś już, jak tam było? Niemożliwe, bo minęło już pół roku, a ty ciągle budzisz się z krzykiem w środku nocy. Na Leningrad ciągle spadają bomby. Codziennie, każdego dnia!

Tam nie ma życia, rozumiesz? To zbyt niebezpieczne, nigdzie nie pojedziesz.

– Jeśli masz lepszy pomysł, to powiedz. Ja muszę sprawić śledzia.

Aleksander podniósł śledzia, chcąc wrzucić go do rzeki, lecz chwyciła go za rękę i powstrzymała.

– Nie! To nasza kolacja! Staruszki też chciałyby zjeść.

– Nigdzie nie pojedziesz. Dość, koniec. Nie zamierzam o tym więcej rozmawiać. – Odwrócił plecak do góry nogami i wysypał wszystko na ziemię.

– I kto to pozbiera? – spytała spokojnie Tatiana.

Aleksander chwycił wojskowy nóż i bez słowa pociął ubranie na kawałki.

Tania przestraszyła się trochę, lecz nawet nie mrugnęła.

– Jesteś spokojny jak nigdy. Szura, mogę uszyć sobie nowe.

Aleksander zaklął i nachylił się nad nią z zaciśniętymi pięściami.

– Boże, ty celowo mnie prowokujesz!

Tania ani drgnęła.

Szura podniósł plecak i już miał go rozpruć, gdy chwyciła go za rękę.

– Nie. Nie. Proszę. – Uczepiła się jego nadgarstka, próbując wyszarpnąć i nóż, i plecak, ale nie miała najmniejszych szans. Chciał ją odepchnąć, lecz powstrzymała go myśl, że wiedząc, iż góruje nad nią siłą, Tatiana nie zaprzestała walki. Żeby wygrać, musiałby zrobić jej krzywdę. Puścił nóż, puścił plecak.

Głośno posapując, Tatiana poszła czyścić śledzia. Jego wojskowym nożem.

Na kolacji u Nainy Aleksander mówił niewiele; był zbyt zdenerwowany. Kiedy Tania spytała go, czy chce dokładkę ciasta z jagodami, łypnął na nią spode łba i warknął:

– Mówiłem, że nie!

Dostrzegł wyrzut w jej oczach. Chciał ją przeprosić, lecz nie mógł.

W drodze powrotnej nie zamienili ze sobą ani słowa.

– Ciągle jesteś na mnie zły? – spytała, gdy rozebrali się już i położyli.

– Nie! – Był w szortach. Nakrył się kocem i odwrócił tyłem do niej.

– Szura? – Pogłaskała go po plecach i pocałowała w głowę. – Szura.

– Jestem zmęczony. Chce mi się spać.

Nie chciał, żeby przestała go pieścić i oczywiście nie przestała.

Wyjechać. Co ją napadło?

– No chodź – szepnęła. – Dotknij mnie, jestem nago. Czujesz?

Czuł aż za dobrze. Położył się na wznak i unikając jej wzroku, powiedział:

– Tatiano, chcę, żebyś mi obiecała, że tu zostaniesz.

– Wiesz, że nie mogę – odrzekła spokojnie. – Bez ciebie nie dam rady.

– Oczywiście, że dasz. Tak samo jak przedtem.

– Szura, nie było żadnego przedtem.

– Przestań. Nic nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz.

Aleksander milczał.

– Mów. Powiedz coś – poprosiła, kładąc mu rękę na brzuchu i powoli sunąc nią w dół.

Odtrąciłjej dłoń.

– Zostały nam tylko trzy dni. Nie chcę psuć ich głupimi kłótniami.

– Nie, ale zepsujesz je swoim ponurym nastrojem i zachowaniem. – Znów położyła mu rękę na podbrzuszu.

On ponownie ją odtrącił i nagle go olśniło.

– Aha, już rozumiem! To dlatego byłaś taka wesolutka, tak? Jakby zupełnie cię nie obchodziło, że niedługo wyjeżdżam. Jasne! Myślałaś, że pojedziesz ze mną.

Przytuliła się lekko i pocałowała go w ramię.

– Szura – szepnęła. – Myślisz, że wytrzymałabym tu cały miesiąc, wiedząc, że wyjedziesz? Że mnie zostawisz? Nie mogłabym żyć. Mężu – dodała głosem mrocznym jak otchłań kopalnianego szybu. – Wszystko, co miałam, oddałam tobie. Jeśli wyjedziesz, nic mi nie zostanie.

Aleksander zerwał się z łóżka, czując, że lada chwila postrada zmysły. Zeskoczył z przypiecka i stanął na podłodze.

– W takim razie będziesz musiała radzić sobie z niczym! – wrzasnął. – Bo ja wyjeżdżam, i wyjeżdżam bez ciebie!

Bez słowa pokręciła głową.

– I co tak kręcisz głową? – krzyknął. – Trwa wojna, do ciężkiej cholery. Wojna! Zginęły miliony ludzi. Chcesz umrzeć? Chcesz być kolejnymi niezidentyfikowanymi zwłokami w masowym grobie?

Tatiana zadrżała.

– Pojadę z tobą – szepnęła cichutko. – Proszę.

– Posłuchaj. Jestem żołnierzem. Ten kraj prowadzi wojnę i muszę wrócić. Ale ty jesteś tu bezpieczna. Przyjechałem, żeby choć na chwilę uciec od zabijania, i dobrze się razem bawiliśmy… – Czy to możliwe, żeby słowa nie chciały przejść mu przez gardło? – Było, minęło, rozumiesz? Minęło – powtórzył głośniej. – Ja wracam, ty zostajesz. – Milczał chwilę, ciężko dysząc. – Nie chcę, żebyś ze mną jechała. Poza tym nie wracam do garnizonu. Przenieśli mnie.

– Dokąd?

– To tajemnica. Powiem ci tylko tyle, że Leningrad nie przetrwałby kolejnej zimy.

– Chcecie przerwać blokadę? Gdzie?

– Tajemnica.

– Zawsze mi wszystko mówiłeś, prawda? Prawda? – powtórzyła z naciskiem.

Co to za nutka zabrzmiała w jej głosie? Boże. Nie zamierzał jej o to pytać.

– Tak, ale tym razem nie mogę.

– Ach tak… – Tatiana usiadła. – Trzeciego dnia naszej znajomości wyznałeś mi, że jesteś Amerykaninem. Ot tak, po prostu. Trzeciego dnia znajomości otworzyłeś się przede mną jak księga. A teraz nie możesz mi powiedzieć, dokąd cię przenoszą? – Zeskoczyła na podłogę.

Aleksander cofnął się, aby dalej od jej oczu, ciała i otwartych dłoni.

– Powiedz, Szura – powtórzyła błagalnie. – Nie pobraliśmy się po to, żebyś miał przede mną jakieś tajemnice.

– Przestań! Nie chcę o tym rozmawiać, rozumiesz?

– Nie! – krzyknęła. – Po co się ze mną ożeniłeś, skoro nie zamierzasz przestać kłamać?

– Ożeniłem się – odparł załamującym się głosem – żeby pieprzyć się z tobą, kiedy

tylko zechcę! Dotarło? Kiedy tylko zechcę, jasne? Myślałaś, że co? Marzy o tym każdy żołnierz na urlopie! Gdybym się z tobą nie ożenił, uchodziłabyś we wsi za kurwę! – Nie wierzył, że wypowiedział te słowa.

Zmieniła się na twarzy. Zatoczyła się na ścianę, nie wiedząc, czy ukryć twarz w dłoniach czy zasłonić piersi.

– Po co? – wychrypiała. – Po co się ze mną ożeniłeś?

Aleksander drżał jak na febrze.

– Tatiu…

– Przestań! – krzyknęła przeraźliwie. – Najpierw mnie obrażasz, a potem „Tatiu”? Kim dla ciebie byłam? Kurwą? – Głucho jęknęła, zamykając oczy.

– Taniu, proszę…

– Myślisz, że nie wiem, co robisz? Chcesz, żebym cię znienawidziła, tak? – Zacisnęła zęby. – Otóż powiem ci, że po długich próbach w końcu ci się udało!

– Taniu, błagam…

– Od wielu dni próbowałeś mnie odepchnąć, żeby łatwiej ci było wyjechać!

– Przecież wrócę.

– Do kogo? Kto cię przyjmie? Poza tym czy aby na pewno byś wrócił? Czy nie przyjechałeś przypadkiem po to? – Podbiegła do kufra, poszperała między prześcieradłami, znalazła „Jeźdźca miedzianego” i wyrwała z okładki garść stu- i tysiącdolarowych banknotów.

– Co to jest? – krzyknęła, ciskając w niego pieniędzmi. – Po to przyjechałeś? Po to? Po dziesięć tysięcy dolarów? Chciałeś je zabrać i uciec do Ameryki beze mnie? A może zamierzałeś zostawić mi sto dolarów w podzięce za to, że tak chętnie rozkładałam dla ciebie nogi?

– Taniu…

Rozwścieczona chwyciła karabin i dźgnęła go kolbą w brzuch.

– Zwróć mi to, co odebrałeś. – Mówiła z wielkim trudem, z trudem nad sobą panowała. – Żałuję, że tak długo na ciebie czekałam i że ci się oddałam, ale teraz zastrzel mnie, ty kłamco i złodzieju. I tak tego chcesz. Dalej! Zabieraj łapę i pociągnij za spust! – Dźgnęła go kolbą jeszcze raz i skierowała lufę między swoje piersi. – Śmiało, Aleksandrze! Trzydzieści pięć pocisków prosto w serce.

Bez słowa wyjął jej karabin z rąk.

Tatiana uderzyła go w twarz.

– Chcę, żebyś wyjechał. Natychmiast! – Po policzku stoczyła jej się pojedyncza łza. – Dobrze się bawiliśmy, ale już nie będziemy. Pieprzyłeś się ze mną, jak chciałeś i kiedy chciałeś – syknęła. – Tak, nareszcie to do mnie dotarło. Tylko o to ci chodziło, o nic więcej. I dobrze. Załatwiłeś swoje, a teraz idź. Nic tu po tobie. – Ściągnęła obrączkę z palca i cisnęła mu ją w pierś. – Masz. Daj ją swojej kolejnej kurwie!

Dygocząc na całym ciele, pochyliła ramiona, weszła na piec i owinęła się prześcieradłem. Wyglądała jak człowiek zmarły z głodu.

Aleksander poszedł się wykąpać. Pływał, pragnąc, żeby zimne wody Kamy zmyły z niego cały ból, wyrzuty sumienia, miłość i całe życie. Do pełni księżyca brakowało ledwie trzech dni. Może gdybym został tu, w wodzie, myślał, rzeka zaniosłaby mnie aż do Wołgi, aż do Morza Kaspijskiego, i nikt by mnie nie odnalazł. Płynąłbym tak i płynął, i wreszcie przestałbym cokolwiek odczuwać. Tak, przestać odczuwać. Niczego innego nie pragnę.

Wrócił do chatki i z zasłanej banknotami podłogi podniósł obrączkę.

Wszedł na piec, położył się bez słowa obok Tatiany i wsłuchał się w jej nierówny oddech. Co chwilę mocno drżała, jak ktoś, kto długo płakał. Leżała zwinięta w kłębek, tyłem do niego.

Aleksander odrzucił prześcieradło, otarł się o nią, lekko rozchylił jej nogi, wszedł w nią, przycisnął usta do jej szyi i wtulił ją w siebie. Jak zwykle. Jak zawsze. Tak, jak ona wtulała w siebie jego.

Tatiana prawie się nie poruszyła. Nie odepchnęła go, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Chce mnie ukarać, pomyślał Aleksander, zamykając oczy. Zasługuję na coś znacznie gorszego. Mimo to nie mógł znieść jej głuchego milczenia. Nie mógł też nasycić się jej rozpalonym, zniewalającym ciałem. Całował jej głowę, włosy, ramiona i wszedł w nią jeszcze głębiej. W końcu cicho jęknęła, zacisnęła palce na jego ręce, a on nawet nie próbował się powstrzymać. Nie tym razem.

Tania cichutko płakała.

– Tatiasza – szepnął. – Przepraszam za te okrutne słowa. Boże, przecież wiesz, że tak nie myślę.

– Nieprawda – odrzekła apatycznie. – Jesteś żołnierzem i tak myślisz.

– Nie. – Chryste, jakże siebie nienawidził. – Nieprawda. Jestem twoim mężem. – Przytulił ją jeszcze mocniej. – Czujesz, Taniu? To moje ciało, moje ręce, moje usta, moje serce. Nie chciałem tego powiedzieć.

– Szura, kiedy wreszcie przestaniesz mnie okłamywać? Kiedy zaczniesz mówić to, co myślisz?

Zanurzył twarz w jej włosach. Tak cudownie pachniała.

– Przepraszam.

Tatiana nie odpowiedziała.

– Odwrócisz się do mnie?

– Nie.

– Proszę. Odwróć się i powiedz, że mi wybaczasz.

Spojrzała na niego zapuchniętymi od płaczu oczami.

– Boże, Tatiu… – Nie mógł znieść widoku jej zbolałej twarzy. – Chodź bliżej. Podmuchaj na mnie. Pachniesz… jagodami. – Przytknął wargi do jej warg i wciągnął do płuc jej ciepły oddech. – Powiedz, że mi wybaczasz.

– Wybaczam ci – odrzekła beznamiętnie.

– Pocałuj mnie. Usta też niech wybaczą.

Pocałowała go, zamykając oczy.

– Nie, nie wybaczyłaś mi. Jeszcze raz.

Pocałowała go delikatnie, lekko rozchyliła wargi i cicho jęknęła.

Przesunęła rękami w dół, ujęła go w dłonie i zaczęła pieścić. I pieściła. I pieściła…

– Dziękuję – szepnął. – Powiedz: Szura, wiem, że to nieprawda, że nie chciałeś tego powiedzieć. Byłeś po prostu zły.

Tatiana ciężko westchnęła.

– Wiem, że nie chciałeś tego powiedzieć.

– Powiedz: wiem, że kochasz mnie do szaleństwa.

– Wiem, że mnie kochasz.

– Nie – odparł z uczuciem. – Kocham cię do szaleństwa. – Czubkiem języka wodził po jedwabistych powiekach, bojąc się wypuścić powietrze, które wyssał z jej płuc.

– Przepraszam, że cię uderzyłam – szepnęła Tatiana.

– Dziwne, że mnie nie zabiłaś.

– Posłuchaj… – Znowu załamał jej się głos. – Czy po to tu przyjechałeś? Po pieniądze?

Zacisnął palce na jej ramionach.

– Przestań, Taniu. Nie, nie przyjechałem po pieniądze.

– Skąd je masz?

– Od matki. Mówiłem ci, w Ameryce byliśmy dość bogaci. Ojciec postanowił przyjechać tu bez niczego, ale matka na wszelki wypadek zabrała dolary. To jedyna rzecz, jaką zostawiła mi na kilka tygodni przed aresztowaniem. Wydrążyliśmy okładki książki. W jednej ukryliśmy dziesięć tysięcy dolarów, w drugiej cztery tysiące rubli. Myślała, że pieniądze pomogą mi stąd uciec.

– Co zrobiłeś z książką w trzydziestym szóstym, kiedy cię aresztowali?

– Ukryłem ją w Leningradzkiej Bibliotece Publicznej. Potem dałem ją tobie.

– Mój przewidujący Aleksander. Dałeś mi ją w samą porę, prawda? Najcenniejsze egzemplarze, w tym wszystkie dzieła Puszkina, zostały wywiezione już w czerwcu, a pozostałe książki przeniesiono do piwnic. Mógłbyś stracić dużo pieniędzy.

Aleksander nie odpowiedział.

– Ale dlaczego mi ją dałeś? Chciałeś, żeby ktoś je bezpiecznie przechował?

Przeszył ją wzrokiem.

– Nie. Chciałem powierzyć ci życie.

Tatiana umilkła.

– Książka nie leżała tam cały czas, prawda?

Szura ponownie nie odpowiedział.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy pojechałeś walczyć w Finlandii, zabrałeś pieniądze ze sobą, prawda?

I to pytanie zbył milczeniem.

– Boże… – Tania złożyła mu głowę na piersi.

Aleksander chciał coś powiedzieć, ale po prostu nie mógł.

Ciszę przerwała Tatiana.

– Kolejna rzecz, której Dmitrij ci zazdrościł… Kiedy poszedłeś po syna pułkownika Stiepanowa, zabrałeś go ze sobą, bo chcieliście uciec przez Finlandię, tak?

Aleksander znieruchomiał.

– Zamierzaliście dotrzeć bagnami do Wyborga, potem do Helsinek, wreszcie do Ameryki! Zabrałeś pieniądze, ponieważ byliście gotowi, ponieważ nadeszła chwila, o której marzyłeś od tylu lat… – Pocałowała go w pierś. – Czy tak było, mężu mój, serce moje, życie moje? Tak było? – Policzki miała mokre od łez.

Aleksandrowi odebrało mowę. Czuł, że jeszcze trochę i przestanie myśleć, przestanie odczuwać. Nie chciał z nią o tym rozmawiać. Nigdy.

– To był świetny plan – szepnęła drżącym głosem. – Zniknęlibyście i nikt by was nie szukał. Pomyśleliby, że zginęliście. Założyliście, że Stiepanow nie żyje. To był tylko pretekst, żeby wrócić na bagna. I nagle się okazało, że Jurij żyje! – Roześmiała się cicho. – Boże, Dmitrij musiał być bardzo zdziwiony, kiedy oświadczyłeś, że wracasz z Jurijem do swoich. Spytał pewnie: Co cię napadło? Zwariowałeś? Od tylu lat chcesz uciec do Ameryki i nareszcie mamy okazję. I ty, i ja! – Westchnęła. – Zgadłam?

Wtulił twarz w jej włosy.

– Jakbyś tam była. Skąd to wszystko wiesz?

Ujęła mu twarz w dłonie.

– Bo znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. – Milczała chwilę. – A więc wróciliście do kraju, myśląc, że będziecie mieli kolejną okazję do ucieczki. Co musiałeś zrobić, Szura?

Obiecać Dmitrijowi, że jeśli nie zginiesz, wydostaniesz go ze Związku Radzieckiego i pomożesz mu uciec do Ameryki?

Odtrącił jej ręce, legł na wznak i zamknął oczy.

– Przestań. Nie mogę o tym mówić. Po prostu nie mogę.

Tatiana z trudem panowała nad głosem.

– I co teraz?

– Nic – odparł posępnie, patrząc w sufit. – Zostaniesz tutaj, a ja wrócę na front. Dmitrij jest kaleką, a ja będę walczył. O Leningrad. Zginę za ten przeklęty Leningrad.

– Boże, nie mów tak! – Chwyciła go za ramię i płacząc odwróciła ku sobie. Objął ją i mocno przytulił, mimo to wciąż nie mogli nasycić się swoją bliskością. – Nie mów tak, Szura! – Głośno szlochała, nie mogła nad sobą zapanować. – Proszę – szepnęła. – Nie zostawiaj mnie samej w tym kraju.

Nigdy dotąd nie widział jej tak bardzo zdenerwowanej. Nie wiedział, co robić.

– Przestań, Taniu. – Przestań. Przestań mnie kochać. Pozwól mi odejść. Uwolnij mnie.

Mijały godziny. W środku nocy kochał się z nią ponownie.

– Chodź. – Załamywał mu się głos, pękało serce. – Rozsuń nogi tak, jak to lubię. – Smakowała niczym łzy najsłodszego nektaru. – Obiecaj mi – powiedział, całując jej jaśniutkie włosy i sunąc językiem po wnętrzu ud. – Obiecaj, że nie wyjedziesz z Łazariewa.

W odpowiedzi głucho jęknęła.

– Będziesz grzeczną dziewczynką? – Jego palce były coraz czulsze i jednocześnie coraz bardziej natarczywe. – Powiedz, że będziesz. – Usta miał delikatne, namiętne, oddech gorący i przenikliwy. – Przysięgnij, że zaczekasz na mnie w Łazariewie. Że będziesz dobrą żoną, że jak na dobrą żonę przystało, zaczekasz na swego męża.

– Przyrzekam, Szura.

Później leżała w jego ramionach nasycona i nie nasycona zarazem.

– Zostanę sama. Będę czekała w nieskończoność.

Objął ją ze wszystkich sił, tak że prawie nie mogła oddychać.

– Sama, ale bezpieczna – szepnął.

Jak spędzili ostatnie trzy dni, tego Aleksander nie wiedział. Zalewani falami wrogości i rozpaczy, zmagali się ze sobą, złorzeczyli i kochali się gwałtownie, nie znajdując ani odrobiny, ani krzty ukojenia.

22

Tego ranka on nie mógł dotknąć jej, ona jego.

Siedziała na ławce przed domem, a on się pakował. Był w polowym mundurze, który wyprała i wyprasowała żelazkiem rozgrzanym na płycie. Uczesał się, włożył czapkę, sprawdził, czy hełm jest przypięty do plecaka i zwiniętego namiotu. Pistolet, amunicja, dokumenty, granaty, karabin. Niczego nie brakowało.

Zostawił jej wszystkie pieniądze, oprócz paru rubli na podróż.

Kiedy wyszedł, Tatiana wstała, zniknęła w chatce i kilka minut później wróciła z kubkiem osłodzonej kawy z mlekiem. Na talerzu podała mu biały chleb, trzy jajka i pokrojonego pomidora.

– Dziękuję. – Aleksander nie mógł mówić. Słowa utykały mu w gardle.

Tatiana ciężko usiadła.

– Jedz. Masz przed sobą długą drogę.

Jadł apatycznie. Siedzieli obok siebie, ale on patrzył w jedną stronę, ona w drugą.

– Odprowadzić cię na stację?

– Nie. Nie mógłbym….

Kiwnęła głową.

– Ani ja.

Skończył jeść, postawił talerz na ziemi i popatrzył na drewutnię.

– Narąbałem ci sporo drewna.

– Tak. Powinno wystarczyć… na bardzo długo.

Delikatnie rozwiązał wstążki w jej warkoczach. Wyjął grzebień i rozczesał gładkie, jasne włosy, pieszcząc palcami jedwabiste kosmyki.

– Jak ci przysyłać pieniądze? Dostaję dwa tysiące rubli miesięcznie. Tutaj to dużo pieniędzy. Przyślę ci tysiąc pięćset, pięćset zatrzymam na papierosy.

– Nie, nie przysyłaj. Będziesz miał jeszcze większe kłopoty. Leningrad to nie Łazariewo. Musisz się zabezpieczyć. Zdejmij obrączkę. Dmitrij nie może się dowiedzieć. I bez niego masz dość kłopotów. Pieniądze mi niepotrzebne.

– Potrzebne, Taniu, potrzebne.

– To wyślij je w liście.

– Nie. Cenzorzy natychmiast by je ukradli.

– Cenzorzy? A więc nie pisać do ciebie po angielsku?

– Jeśli chcesz, żebym przeżył, lepiej nie pisz.

– Niczego bardziej nie pragnę.

– Wyślę pieniądze do rady miejskiej w Mołotowie. Chodź tam raz na miesiąc i sprawdzaj, dobrze? Napiszę, że to dla rodziny Daszy. – Zamknął oczy i przywarł ustami do jej lśniących włosów. – Lepiej już pójdę. Jest tylko jeden pociąg dziennie.

– Odprowadzę cię do drogi – odrzekła łamiącym się głosem. – Masz wszystko?

– Tak.

Ani razu na siebie nie spojrzeli.

Ruszyli ścieżką przez las. Zanim polana zniknęła mu z oczu, Aleksander odwrócił się, żeby po raz ostatni spojrzeć na błękitną rzekę, na ciemnozielone sosny, na chatkę, na ławkę, na leżącą w wodzie kłodę, na miejsce, gdzie jeszcze wczoraj stał jego namiot. Na ich ognisko.

– Napisz – powiedział. – Daj znać, jak sobie radzisz. Żebym się nie martwił.

– Dobrze – odrzekła, obejmując się ramionami. – Ty też napisz.

Doszli do drogi. Pachniało igliwiem i żywicą. Las był cichy i spokojny, słońce jasne i ciepłe. Stanęli naprzeciwko siebie, ona w żółtej sukience, ze wzrokiem wbitym w ziemię, on w wojskowym mundurze, z karabinem na ramieniu. Patrzył w dal.

Tania podniosła rękę, poklepała go lekko po piersi i przyłożyła mu dłoń do serca.

– Uważaj na siebie, żołnierzu – powiedziała ze łzami. – Przeżyj. Dla mnie.

Ucałował jej rękę. Na serdecznym palcu miała dwie obrączki, swoją i jego. Nie mógł mówić. Nie mógł wypowiedzieć na głos jej imienia.

Drżącymi palcami dotknęła jego twarzy.

– Wszystko będzie dobrze, kochany – szepnęła. – Będzie dobrze.

Puścił jej rękę, ona cofnęła swoją.

– Odwróć się i wracaj – powiedział. – Nie patrz na mnie. Nie będę mógł odejść.

Tania odwróciła się.

– Idź. Nie patrzę.

– Tatiu, proszę. Nie mogę cię tak zostawić. Wracaj do domu.

– Szura, nie chcę, żebyś mnie zostawiał.

– Wiem. Ja też nie chcę, ale błagam, pozwól mi odejść. Muszę mieć pewność, że jesteś bezpieczna, inaczej umrę. – Zamilkł. – Muszę iść. Taniu, podnieś głowę. Podnieś głowę i uśmiechnij się do mnie.

Tatiana odwróciła się, podniosła zapłakane oczy i posłała mu uśmiech.

Patrzyli na siebie bardzo długo. Ona mrugnęła. Mrugnął on.

– Cóż widzę w twoich oczach? – spytał.

– Skrzynie carowej na rampie przed Pałacem Zimowym – szepnęła.

– Więcej wiary, Tatiano. – Drżącą ręką dotknął skroni, ust i serca.

Nad pustkowiem fal

1

Wróciła do domu, położyła się i już nie wstała.

Pogrążona w półśnie, słyszała głosy czterech staruszek. Krążyły po izbie, poprawiały koc i poduszkę pod jej głową, głaskały ją i coś mamrotały.

– Musi zaufać Panu – powiedziała Dusia. – W Panu wydobrzeje.

– Mówiłam jej, że zakochać się w wojskowym to zły pomysł – powiedziała Naina. – Złamią dziewczynie serce i odejdą.

– Nie chodzi o to, że on jest wojskowym – odparła drżącym głosem Raisa. – Chodzi o to, że ona za bardzo go kocha.

Aksinia poklepała Tatianę po plecach.

– Szczęściara.

– Szczęściara? – obruszyła się Naina. – Gdyby nas posłuchała i została w domu, do niczego by nie doszło.

– I gdyby częściej chodziła ze mną do cerkwi – dodała Dusia. – Obecność w domu Pana naszego dałaby jej pocieszenie.

– Jak myślisz, Tanieczko? – spytała Aksinia. – Pocieszyłaby cię teraz obecność w domu Pana naszego?

– Nic z tego – skonstatowała Naina. – Tak jej nie pomożemy.

– Nigdy mi się nie podobał. – To Dusia.

– Mnie też nie. Nie rozumiem, co w nim widziała. – To Naina.

– Jest dla niego za dobra. – Raisa.

– Dla każdego jest za dobra. – Naina.

– Zbliży się do Boga i będzie jeszcze lepsza. – Dusia.

– Mój Wowa to taki miły, łagodny chłopak. Bardzo się o nią starał. – To znowu Naina.

– Założę się, że ten Aleksander już po nią nie wróci. Że wyjechał na dobre. – Raisa.

– Też tak myślę. Ożenił się z nią… – Naina.

– Zbrukał. – Dusia.

– I porzucił. – Raisa.

– Zawsze wiedziałam, że on nie ma Boga w sercu. – Znowu Dusia.

Aksinia nachyliła się do Tatiany i szepnęła:

– Przed powrotem powstrzyma go tylko śmierć.

Dziękuję, Aksinio, pomyślała Tania, rozwierając ciężkie powieki i wstając. Niestety, tego właśnie się boję.

Staruszki łatwo namówiły ją do powrotu do domu Nainy. Wowa przeniósł kufer i maszynę do szycia.

Początkowo Tatiana nie mogła wziąć się w garść. Nie znajdowała w sobie żadnego pocieszenia. Jej serce wypełniał jedynie posępny mrok, którego za nic nie potrafiła rozproszyć. Nie potrafiła odnaleźć żadnego miłego wspomnienia, nie przychodził jej do głowy żaden wesoły dowcip, żaden muzyczny refren. Nie było takiej części ciała, której dotknięcie nie wywoływałoby dreszczy. I wszędzie widziała Aleksandra.

Tym razem nie było głodu, tym razem głód nie stępił jej smutku. Nie miała też zajętych płuc. Teraz była silna i zdrowa, więc nie pozostawało jej nic innego, jak mocno zacisnąć zęby i dźwigać wiadra z wodą, i doić kozę, i nalewać ciepłe mleko Raisie, która sama nalać go nie mogła, i wywieszać pranie, i słuchać, jak staruszki zachwycają się zapachem

czystej bielizny, która przez cały dzień wisiała na słońcu.

Szyła dla nich i dla siebie, czytała im, kąpała je, uprawiała ogródek, doglądała kurcząt, zrywała jabłka i powoli, wiadro po wiadrze, książka po książce, koszula po koszuli, ponownie owładnęła nią ich starcza bezradność. Tatiana nareszcie odnalazła pocieszenie.

Tak samo jak przedtem.

2

Dwa tygodnie później przyszedł pierwszy list od Aleksandra.

Tatiaszo.

Czyż może być jeszcze ciężej? Tęsknota jest jak fizyczny ból, który chwyta mnie z rana i nie opuszcza nawet wtedy, gdy zasypiam.

W tych wyblakłych, pustych dniach pociesza mnie jedynie świadomość, że żyjesz, że jesteś bezpieczna i zdrowa, że najgorsze, co może Ci się przytrafić, to służba u czterech dobrodusznych staruszek.

Zostawiłem Ci dużo drewna. Pamiętaj, że na samym wierzchu leżą najmniejsze polana. Te większe są na zimę. Spal je ostatnie i jeśli nie dasz rady przenieść ich sama, poproś o pomoc Wowę; niech mi Bóg dopomoże. Nie przemęczaj się. Wiadra napełniaj tylko do połowy. Są dla Ciebie za ciężkie.

Zaraz po powrocie wysłano mnie nad Newę, gdzie przez sześć dni planowaliśmy atak, by wreszcie spuścić łodzie na wodę i wyruszyć na drugi brzeg. Nie mieliśmy najmniejszych szans. Niemcy ostrzelali nas z „waniusz", odpowiednika naszych katiusz, i wszystkie łodzie poszły na dno. Straciliśmy tysiąc ludzi i nie posunęliśmy się ani o metr. Teraz szukamy innego miejsca na przeprawę. Jestem cały i zdrowy i czuję się dobrze. Czułbym się jeszcze lepiej, gdyby nie to, że od dziesięciu dni pada deszcz, i że siedzę po pas w błocie. Nie ma gdzie spać, więc śpimy w szlamie i mule. Rozkładamy płaszcze z nadzieją, że wkrótce przestanie lać. Brudny i przemoczony, bardzo sobie współczułem do chwili, gdy pomyślałem, co Ty przeszłaś podczas blokady.

Od tamtej pory robię to cały czas. Ilekroć jest mi ciężko i źle, myślę, jak musiałaś się czuć, grzebiąc siostrę w zamarzniętych wodach Ładogi.

Bóg mógłby dać Ci lżejszy krzyż do dźwigania.

Dopóki się nie przegrupujemy, a więc co najmniej przez kilka tygodni, będzie tu w miarę spokojnie. Wczoraj pocisk trafił w bunkier dowódcy. Dowódca był na szczęście gdzie indziej, jednak lęk pozostał. Kiedy przyjdzie kolej na nas?

Gram w karty i w piłkę. Palę. I myślę o Tobie.

Wysłałem Ci pieniądze. Pod koniec sierpnia przejdź się do Mołotowa.

Dużo jedz, moja Ciepła Bułeczko, moje Nocne Słoneczko. Ucałuj ode mnie wnętrze dłoni i przytknij ją sobie do serca.

Aleksander

Tatiana przeczytała list sto razy i nauczyła się go na pamięć. Spała, podkładając go sobie pod policzek, czerpała z niego siłę.

Ukochany mój. Mój drogi, drogi Szura.

Nie pisz mi o krzyżu – najpierw zrzuć z ramion swój.

Jak przeżyłam ostatnią zimę? Nie wiem, ale teraz niemal tęsknię za tamtymi czasami. Wtedy coś się we mnie poruszało. Miałam siłę, żeby kłamać, udawać przed Daszą, utrzymywać ją przy życiu. Chodziłam, rozmawiałam z mamą, byłam zbyt zajęta, żeby umierać. Żeby ukrywać przed Tobą miłość.

Teraz budzę się rano i myślę, jak zdołam przetrwać do nocy.

Żeby powrócić do życia, otoczyłam się ludźmi, sąsiadami. To, ile pracowałam przedtem, to nic w porównaniu z tym, ile pracuję teraz. Od rana do wieczora pomagam Irinie Piersikowej, której amputowano nogę w Mołotowie; infekcja czy coś w tym rodzaju. Lubię ją chyba dlatego, że nosi imię mojej mamy.

Myślę o Daszy. Bardzo mi jej brakuje.

Ale to nie jej twarz widzę przed zaśnięciem, tylko Twoją, jedyny.

Jesteś moim granatem ręcznym, moją artylerią. Zamiast serca mam teraz Ciebie.

Myślisz o mnie, gdy ściskasz w ręku karabin?

Co robić? Jak ustrzec Cię przed śmiercią? Myślę o tym w każdej minucie dnia. Co mogę zrobić, żebyś przeżył?

Bez względu na to, czy Niemcy zranią Cię, czy zabiją, koledzy zostawią Cię na polu walki.

Kto Cię uleczy, jeśli padniesz?

Kto Cię pogrzebie, jeśli zginiesz? Pogrzebie, jak na to zasługujesz, między królami i bohaterami.

Twoja Tatiana

Tatiu.

Pytasz, jak ustrzec mnie przed śmiercią. Na razie jakoś sobie radzę, choć z trudem. Jednakże idzie mi znacznie lepiej niż Iwanowi Pietrence.

Dowódca mówi mi: wybierz najlepszych ludzi. Salutuję mu, wybieram i najlepsi giną. Ijak ja wtedy wyglądam?

Dzisiaj wpadliśmy pod najgorszy ostrzał, jaki kiedykolwiek widziałem. Nie wiem, jak udało mi się ujść z życiem. Zaopatrujemy naszych na drugim brzegu rzeki; przewozimy żołnierzy, zapasy i amunicję. Ale Niemcy są nieugięci: siedzą jak sępy na wzgórzach pod Siniawinem i strzelają. Ani nie możemy ich obejść, ani ich stamtąd wykurzyć. Zwykle płyną tylko moi podwładni – dowódca wie, że szkoda mnie na te samobójcze misje – ale dzisiaj zabrakło nam ludzi.

Pietrenko zginął. Już wracaliśmy, kiedy trafił go odłamek pocisku. Urwał mu rękę. Zarzuciłem go sobie na plecy i w obłędzie, który mnie nagle ogarnął, schyliłem się po rękę. Podniosłem ją i Pietrenko zsunął się na dno łodzi. Spojrzałem na niego i pomyślałem: co ja robię? Kto mu tę rękę przyszyje?

Po chwili zdałem sobie sprawę, że nie o to mi chodziło. Po prostu chciałem, żeby pochowano go w całości. Rozszarpany wybuchem człowiek nie ma godności. Ciało powinno być całe, żeby dusza mogła je odnaleźć. Pochowałem go w lesie, pod brzózką. Mówił, że lubi brzozy. Musiałem zabrać jego karabin – wciąż brakuje nam broni – ale hełm zostawiłem.

Lubiłem go. Gdzie jest sprawiedliwość, skoro dobrzy ludzie giną, a Dmitrij, okulały i zniedołężniały, wciąż żyje?

Wiesz, o czym myślałem w tej łodzi?

Ze muszę przeżyć. Ze gdybym zginął, Tatiasza nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Ale jak sama wiesz, ta wojna jest niesprawiedliwa. Śmierć zabiera i dobrych, i złych. Tych pierwszych nawet częściej.

Tatiu, jeśli polegnę, nie martw się o moje ciało. Moja dusza do niego nie wróci. Nie wróci ani do ciała, ani do Boga. Pofrunie prosto do Ciebie, do Lazariewa. Nie chcę być ani z królami, ani z bohaterami. Chcę być z Tobą, z królową jeziora Ilmen.

3

Więcej listów nie przyszło.

Spokojnie minął sierpień, rozpoczął się wrzesień. Tatiana robiła, co mogła, żeby tylko nie myśleć. Pomagała staruszkom, pomagała mieszkańcom wioski, uczyła się angielskiego, spacerowała po lesie, czytając na głos Johna Stuarta Milla i niemal wszystko rozumiejąc.

Aleksander wciąż się nie odzywał i jej dusza drżała z niepokoju.

Któregoś piątku, na spotkaniu kółka krawieckiego, ukrywając twarz w swetrze, który dla niego robiła, usłyszała, jak Irina Piersikowa pytają, czy dostała list od Aleksandra.

– Nie pisze już od miesiąca – szepnęła Naina. – Ciii… Przy niej o tym nie rozmawiamy. W radzie miejskiej też nic nie wiedzą. Tania chodzi tam co tydzień. Ciii…

– Tak czy inaczej, Bóg go nie opuści – wymamrotała Dusia.

– Nie martw się, Tatiasza – dodała wesoło Aksinia. – Dobrze wiesz, że listy idą teraz tygodniami.

– Wiem, Aksinio – odrzekła Tatiana znad swetra. – Nie martwię się.

– Opowiem ci coś. Od razu poczujesz się lepiej. Kilka miesięcy przed twoim przyjazdem do Łazariewa mieszkała tu kobieta imieniem Olga. Jej mąż też był na froncie. Czekała na list od niego i czekała, a tu nic. Denerwowała się tak samo jak ty i nagle dostała dziesięć listów naraz!

– Dostać dziesięć listów od Aleksandra – odrzekła z uśmiechem Tatiana – byłoby cudownie.

– I będzie, kochanie, zobaczysz.

– Tak, tak! – wykrzyknęła Dusia. – Olga ułożyła je według dat i zaczęła czytać. Przeczytała dziewięć, a w dziesiątym dowódca pisał, że jej mąż zginął na froncie.

Tatiana pobladła.

– Ach tak… – Nic więcej nie zdołała wykrztusić.

– Dusiu! – wrzasnęła Aksinia. – Na miłość boską, czyś ty zwariowała? Zaraz powiesz, że Olga poszła utopić się w rzece!

Tatiana odłożyła sweter i wstała.

– Dokończcie beze mnie, dobrze? Ja już idę. Trzeba ugotować obiad. Upiekę pieróg z kapustą.

Chwiejnie wróciła do domu i natychmiast wyjęła z kufra „Jeźdźca miedzianego”. Aleksander powiedział, że schował w nim wszystkie pieniądze. Patrzyła na okładkę, patrzyła i patrzyła, wreszcie wzięła głęboki oddech i ostrożnie podważyła papier brzytwą. Pieniądze były na swoim miejscu. Tatiana odetchnęła, wyjęła je i przeliczyła.

Pięć tysięcy dolarów.

Bez najmniejszego zdenerwowania przeliczyła je ponownie, biorąc do ręki każdy banknot z osobna. Dziesięć studolarówek. I cztery banknoty tysiącdolarowe.

Pięć tysięcy.

Przeliczyła jeszcze raz.

Dokładnie pięć tysięcy dolarów.

Ogarnęły ją wątpliwości; przez chwilę myślała, że po prostu pomyliła kwotę, że Aleksander mówił nie o dziesięciu, ale o pięciu tysiącach dolarów.

Ale przecież dokładnie to pamiętała. Noc, blask lampy naftowej i jego głos: „To jedyna

rzecz, jaką zostawiła mi na kilka tygodni przed aresztowaniem. Wydrążyliśmy okładki książki. W jednej ukryliśmy dziesięć tysięcy dolarów, w drugiej cztery tysiące rubli”.

Położyła się na łóżku, patrząc w sufit.

Powiedział, że zostawia jej wszystkie pieniądze.

Nie. Powiedział: „Zostawiam ci pieniądze”. Widziała, jak skleja okładkę.

Dlaczego wziął tylko pięć tysięcy?

Żeby ją ułagodzić? Żeby się nie martwiła? Żeby nie zrobiła mu kolejnej sceny? Żeby nie wróciła z nim do Leningradu?

Zamknąwszy oczy, przytuliła pieniądze do piersi i spróbowała zgłębić jego serce.

Dzieliły go ledwie metry od wolności, od Ameryki, a mimo to postanowił zrezygnować z czegoś, o czym marzył całe życie. Czuł to, co czuł. I postępował tak, jak postępował. Mógł marzyć o powrocie do ojczyzny, lecz bardziej wierzył w siebie. I kochał ją całym sercem. Dobrze wiedział, kim jest.

Był człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa.

A dał słowo Dmitrijowi.

CZĘŚĆ 4

Podniósłszy łapy, jeżąc grzywę…

Z sercem strapionym, bliski łez…

1

Nie zamierzała zostawać w Łazariewie ani sekundy dłużej.

Napisała do Aleksandra dziesięć listów, spokojnych, wyciszonych i podnoszących na duchu. Zmyśliła kilka wydarzeń, ułożyła je w porządku chronologicznym i dokładnie opisała. Potem namówiła Nainę Michajłownę, żeby wysyłała listy w cotygodniowych odstępach.

Wiedziała, że gdyby wyjechała bez słowa, staruszki natychmiast by do niego napisały albo, co gorsze, wysłały telegram z wiadomością o jej tajemniczym zniknięciu: gdyby jeszcze żył, zareagowałby tak gwałtownie, że mógłby zginąć. Dlatego oznajmiła im, że wybiera się do pracy w mołotowskim szpitalu i że wróci na Boże Narodzenie. Powiedziała to tak stanowczo, że nawet nie zaprotestowały, nie licząc kilku nieśmiałych pytań Dusi.

Naina Michajłowna chciała tylko wiedzieć, dlaczego Tania nie wyśle listów sama, z Mołotowa. Tatiana wyjaśniła, że Aleksander zabronił jej wyjeżdżać z Łazariewa i bardzo by się zdenerwował, gdyby nagle zaczął dostawać listy z innym stemplem pocztowym.

– Dobrze wiecie, jaki jest opiekuńczy – zakończyła.

– Tak, tak, opiekuńczy i nierozsądny – odrzekła Naina, energicznie kiwając głową. Z wielką chęcią przyłączyła się do spisku, który – jej zdaniem – miał oszukać niepoprawnego Aleksandra.

Uszywszy sobie nowe ubranie i zapakowawszy do plecaka tyle butelek wódki i tyle puszek tuszonki, ile tylko mogła udźwignąć, Tatiana pożegnała się ze staruszkami i wczesnym rankiem wyruszyła w drogę. Dusia się za nią modliła. Naina płakała. Raisa płakała i trzęsła się bardziej niż zwykle. Aksinia nachyliła nad Tanią i szepnęła:

– Oszalałaś.

Tak, dla niego, pomyślała Tatiana.

Miała na sobie ciemnobrązowe spodnie, brązowe pończochy, brązowe buty i zimowe palto, też brązowe. Włosy ukryła pod brązową chustką. Wszystko po to, żeby nie rzucać się w oczy. Dolary zaszyła w mankiecie spodni. Przed wyjściem zdjęła obrączkę, nawlokła ją na własnoręcznie zrobioną plecionkę ze sznurka i zawiesiła sobie na szyi, ale przedtem ucałowała ją i szepnęła:

– Będziesz bliżej mego serca, Szura.

Idąc przez las, minęła ścieżkę prowadzącą na ich polanę. Przystanęła, wahając się, czy nie zejść nad rzekę i nie spojrzeć na nią ostatni raz. Ale nie. Myśli, wspomnienia – nie, nie dałaby rady. Pokręciła głową i ruszyła przed siebie.

Pamiętała, że Aleksander odwrócił się i spojrzał. Na polanę, na ich chatkę, na ognisko. Ona nie mogła. Nie była tam od jego wyjazdu. Wowa zabił okna deskami, zamknął drzwi na kłódkę i przeniósł drewno do domu Nainy.

W Mołotowie poszła do rady miejskiej, żeby sprawdzić, czy nie nadeszły pieniądze za wrzesień.

O dziwo, nadeszły!

Spytała, czy jest może jakiś list albo telegram, ale nie, nie było.

Skoro wciąż dostawał żołd, oznaczało to, że ani nie zdezerterował, ani nie zginął. Odbierając pieniądze, zastanawiała się, dlaczego przysłał jej pieniądze i nie napisał, ale

przypomniała sobie, że listy babci szły do Leningradu miesiącami. Cóż, nie miała nic przeciwko temu, żeby dostać trzydzieści listów naraz, po liście za każdy dzień września.

Na stacji kolejowej w Mołotowie powiedziała komendantowi NKWD, że w walczącym i głodującym Leningradzie brakuje pielęgniarek, że postanowiła wrócić i pomóc. Pokazała mu przepustkę ze stemplem ze szpitala na Greckim; nie musiał wiedzieć, że myła tam podłogi, sprzątała toalety i szyła worki na zwłoki. Za fatygę zaproponowała mu butelkę wódki.

Poprosił o list ze szpitala, zapraszający ją do Leningradu. Wyjaśniła, że list spalił się w pożarze, ale że ma list pochwalny z zakładów Kirowa, list pochwalny od dowództwa Leningradzkiej Armii Pospolitego Ruszenia i jeszcze jedną butelkę wódki za dobre chęci komendanta.

Komendant podstemplował dokumenty i mogła kupić bilet.

Zanim wsiadła do pociągu, wpadła na chwilę do Sofii, żony jubilera, która była tak powolna, że czekając, Tatiana miała wrażenie, że się starzeje. Już myślała, że spóźni się na pociąg, ale Sofia znalazła w końcu dwa zdjęcia, które zrobiła Aleksandrowi i Tatianie na schodach cerkwi w dniu ich ślubu. Tania schowała je do plecaka i pobiegła na stację.

Pociąg był znacznie wygodniejszy od tego, którym przyjechała do Mołotowa. Przynajmniej trochę przypominał pociąg pasażerski i jechał do Kazania, a więc na południowy zachód. Tatiana musiała jechać na północ, ale wiedziała, że Kazań to duże miasto, i że na pewno będzie mogła się tam przesiąść. Zamierzała dotrzeć do Kobony i przeprawić się barką przez Ładogę do Kokoriewa.

Gdy pociąg ruszał, spojrzała na Kamę przesłoniętą sosnami i brzozami i pomyślała: czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę Łazariewo?

Chyba nie.

W Kazaniu złapała pociąg do Niżnego Nowogrodu – nie do Nowogrodu dzieciństwa jej i Paszy, do innego Nowogrodu, niecałe trzysta kilometrów od Moskwy. Tam przesiadła się na pociąg towarowy do Jarosławia, a w Jarosławiu wsiadła do autobusu zmierzającego do Wołogdy.

W Wołogdzie dowiedziała się, że owszem, można dojechać pociągiem do Tichwina, ale że Tichwin jest pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim. Zresztą z Tichwina nie mogłaby się dostać do Kobony, ponieważ jadące w tamtym kierunku pociągi wylatywały w powietrze trzy, cztery razy dziennie, a wraz z pociągami ludzie i zapasy. Dzięki Bogu, że konduktor, który sprzedał jej bilet, był skory do rozmowy.

Spytała go, w jaki sposób przewożą do Leningradu żywność, skoro nie mogąjej przewieźć z Kobony.

Dowiedziawszy się, postanowiła jechać tą samą drogą. Z Wołogdy ruszyła do Pietrozawodska na zachodnim brzegu Onegi. Nie dojeżdżając do końcowej stacji, wysiadła w Podporożju i przeszła pięćdziesiąt kilometrów do miejscowości Lodowe Pole, leżącej dziesięć kilometrów od brzegu Ładogi.

W Lodowym Polu poczuła, że ziemia trzęsie się jej pod nogami i wiedziała już, że jest blisko celu podróży.

Wstąpiwszy do kantyny na talerz zupy z chlebem, podsłuchała rozmowę czterech kierowców przy sąsiednim stoliku. Wynikało z niej, że Niemcy przestali bombardować Leningrad, przerzucając niemal wszystkie samoloty i artylerię na wołchowski front, dokładnie tam, gdzie chciała dotrzeć. Druga Armia generała Mierieckowa stała ledwie cztery kilometry od Newy, a niemiecki feldmarszałek Manstein robił wszystko, żeby nie

dać się odeprzeć od brzegu rzeki. Jeden z kierowców powiedział:

– Słyszałeś o osiemset sześćdziesiątej pierwszej dywizji? Nie mogli posunąć się ani o metr i cały dzień siedzieli pod ostrzałem. Stracili sześćdziesiąt pięć procent stanu i sto procent kadry dowódczej!

– To jeszcze nic! – wykrzyknął jeden z trzech pozostałych. – Słyszałeś, ilu ludzi stracił Mierieckow między sierpniem i wrześniem pod Wołchowem? Ilu było zabitych, rannych i zaginionych w akcji? Sto trzydzieści tysięcy!

– To dużo? W Moskwie…

– Sto trzydzieści ze stu pięćdziesięciu tysięcy!

Tatiana miała dość podsłuchiwania, ale potrzebowała więcej informacji. Wszczęła z kierowcami rozmowę i dowiedziała się, że barki z żywnością odpływają z przystani na południe od miasteczka Siastroj, dziesięć kilometrów na północ od linii frontu. Siastroj leżał mniej więcej sto kilometrów na południe od miejsca, gdzie teraz była.

Początkowo zamierzała prosić ich o podwiezienie, ale nie podobał jej się sposób, w jaki rozmawiali. Chcieli spędzić noc w Lodowym Polu, poza tym jeden z nich nieustannie obmacywał ją wzrokiem, chociaż miała na głowie brązową chustkę…

Wytarła usta, podziękowała im i wyszła. Czuła się bezpieczniej, wiedząc, że ma przy sobie nabity pistolet Aleksandra.

Pokonanie stu kilometrów zajęło jej trzy dni. Początek października był dość zimy, ale śnieg jeszcze nie spadł, poza tym droga była brukowana. Szło z nią wielu ludzi: wieśniaków, uciekinierów, robotników sezonowych i wracających na front żołnierzy. Przez pół dnia maszerowała ramię w ramię z żołnierzem wracającym z urlopu. Sprawiał wrażenie równie przygnębionego jak Aleksander przed wyjazdem z Łazariewa. Potem złapała okazję, potem znowu szła.

Chociaż ziemią wstrząsał ogłuszający huk rozrywających się w pobliżu pocisków, ona parła naprzód ze wzrokiem wbitym w ziemię i z ciężkim plecakiem na ramionach. Bała się mniej niż wtedy, gdy musiała uciekać przez kartoflisko w Łudze, albo wtedy, gdy siedziała na tamtejszej stacji kolejowej, wiedząc, że niemieckie samoloty nie odlecą, dopóki jej nie zabiją. Bała się mniej, ale się bała. Mimo to cały czas szła, nie odrywając oczu od ziemi.

Szła nawet nocami. Nocami było spokojniej, a po jedenastej ostrzał ustawał zupełnie. Szła przez kilka godzin, a potem szukała stodoły, w której mogłaby się przespać. Jedną noc spędziła w domu rodziny, która ugościła ją kolacją, a na deser zaproponowała usługi najstarszego syna. Tatiana kolację zjadła, za syna podziękowała i zapłaciła im za gościnę.

Na rzece Wołchow, dziesięć kilometrów na zachód od Siastroju, znalazła małą barkę, która wyruszała w rejs wokół przylądka Nowa Ładoga. Przewoźnik właśnie podnosił trap. Tatiana odczekała do ostatniej chwili, a potem podbiegła bliżej i pokazawszy mu butelkę wódki oraz pięć puszek tuszonki, powiedziała, że wiezie żywność dla rodziny w oblężonym Leningradzie. Przewoźnik spojrzał łakomie na wódkę. Tania szybko dodała, że wódkę może sobie zatrzymać, byle tylko zdążyła zobaczyć umierającą matkę. Wiedziała, że większość miejscowych przeżywa wielką tragedię – ich uwięzieni w Leningradzie krewni już nie żyli albo właśnie umierali. Przewoźnik schował butelkę i wpuścił ją na pokład.

– Ale ostrzegam – rzucił. – Może być niebezpiecznie. Będziemy długo płynęli, a Niemcy bombardują nas cały dzień.

– Wiem – odrzekła Tatiana. – Jestem na to przygotowana.

Podróż minęła bez groźnych przygód.

Barka przybiła do Osinowiec, na północ od Kokoriewa, gdzie Tania złapała ciężarówkę do Leningradu. Za butelkę wódki i cztery puszki tuszonki kierowca pozwolił jej usiąść w szoferce, a nawet podzielił się z nią chlebem.

Tatiana wyglądała przez okno. Czy naprawdę zdoła wrócić do mieszkania przy Piątej Radzieckiej? Musi. Nie ma wyboru.

Ale wrócić do Leningradu? Boże.

Zadrżała. Nie, nie chciała o tym myśleć. Kierowca wysadził ją przy Dworcu Finlandzkim w północnej części miasta. Dojechała tramwajem na Newski, a stamtąd szła już pieszo.

Leningrad był pusty i posępny. Zapadła noc i na ciemnych ulicach płonęły żółtawe latarnie; dobrze, że w ogóle płonęły, bo oznaczało to, że w mieście jest prąd. Musiała przyjechać o dobrej porze, ponieważ niemieckie działa milczały. Ale idąc, widziała trzy dopalające się pożary i wielkie wyrwy zamiast okien w wielu domach.

Miała nadzieję, że kamienica przy Piątej Radzieckiej wciąż stoi.

I stała. Taka sama jak przedtem, zielonkawa, ponura i brudna.

Tatiana wzięła głęboki oddech. Zbierała w sobie coś, co Aleksander nazywał odwagą.

Odwagą potrzebną do tego, żeby otworzyć drzwi i wejść schodami do dwóch pustych pokoi, gdzie biło kiedyś sześć ludzkich serc. Gdzie rozbrzmiewał wesoły śmiech, gdzie pito wódkę, jedzono kolację, gdzie śniła, marzyła i pragnęła. Gdzie po prostu żyła.

Rozejrzała się. Cerkiew po drugiej stronie Greckiego wciąż stała, cała i nietknięta. Na Suworowa zobaczyła kilkoro ludzi wracających z pracy. Była ich garstka, najwyżej troje. Chodnik był czysty i suchy. W nos szczypał lekki mróz.

To dla niego. Wszystko dla niego.

Jego serce wciąż biło, wciąż ją przyzywało.

Tak, Szura doda jej odwagi.

Kiwnęła głową i nacisnęła klamkę. W ciemnozielonym korytarzu cuchnęło moczem. Przytrzymując się poręczy, Tatiana powoli weszła na górę.

Błyszczące, brązowe drzwi. Klucz pasował.

W mieszkaniu panowała cisza. Kuchnia. Pusto. Wszystkie drzwi zamknięte. Wszystkie z wyjątkiem drzwi do pokoju Sławina. Tatiana zapukała i zajrzała do środka.

Sławin leżał na podłodze, słuchając radia.

– A ty kto? – zapiszczał na jej widok.

– Tania Mietanowa. Pamięta mnie pan? Jak się pan miewa? – Uśmiechnęła się. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Byłaś tu podczas wojny w dziewięćset piątym? Popędziliśmy Japońców aż miło. – Wskazał palcem radio. – Słuchaj. Słyszysz?

Z głośnika dobywały się tylko popiskiwania i trzaski.

Tatiana po cichu wyszła z pokoju. Rosjanie tamtą wojnę przegrali, pomyślała. Sławin podniósł wzrok.

– Szkoda, że nie przyjechałaś w zeszłym miesiącu, Tanieczko. Na Leningrad spadło wtedy tylko siedem bomb. Było bezpieczniej.

– Proszę się nie martwić, dam sobie radę. Gdyby pan czegoś potrzebował, jestem u siebie.

W drugiej kuchni też nikogo nie było. Ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że drzwi do jej pokojów nie są zamknięte na klucz. W korytarzu zobaczyła dwoje obcych ludzi, kobietę i mężczyznę, którzy siedzieli na sofie, pijąc herbatę.

Tatiana wytrzeszczyła oczy.

– Kim jesteście?

Nazywali się Inga i Stanisław Krakowowie i mieli po czterdzieści kilka lat. On był lekko brzuchaty i zaczynał łysieć, ona była drobna i zasuszona.

– A kim ty jesteś? – spytał Stanisław, nie racząc nawet na nią spojrzeć.

Tatiana zdjęła plecak.

– To są moje pokoje – oświadczyła. – Siedzicie na mojej sofie.

Inga szybko wyjaśniła, że przedtem mieszkali na rogu Siódmej Radzieckiej i Suworowa.

– Mieliśmy ładne, samodzielne mieszkanie – powiedziała. – Własną kuchnię, własną łazienkę i sypialnię. – Ich dom zbombardowano w sierpniu. Ponieważ w Leningradzie brakowało mieszkań, rada miejska przydzieliła im pokoje Mietanowów.

– Nie martw się – powiedział Stanisław, nie patrząc na Tatianę. – Niedługo znajdą dla nas nowe, może nawet dwupokojowe. Prawda, Ingo?

– Ale ja już wróciłam – oznajmiła Tatiana. – To mieszkanie jest zajęte. – Aleksander tak ładnie tu posprzątał, pomyślała ze smutkiem.

– No i co z tego? – mruknął Stanisław. – Niby gdzie mamy się podziać? Rada miejska dała nam przydział, i kropka.

– A pozostałe pokoje? – spytała Tania, rozglądając się po korytarzu. Pokoje tych, którzy poumierali.

– Wszystkie zajęte. Posłuchaj, o czym tu gadać? Miejsca jest dosyć. Możesz mieć dla siebie cały pokój. Po co narzekać?

– Ale oba pokoje należą do mnie.

– Nie. – Stanisław spokojnie popijał herbatę. – Należą do państwa, a nasze państwo prowadzi wojnę. – Roześmiał się smutno. – Nie jesteście dobrą proletariuszką, towarzyszko.

– Stasik i ja jesteśmy członkami partii w leningradzkim związku inżynierów – dodała Inga.

– Doskonale – odrzekła Tatiana, czując, że ogarniają straszliwe zmęczenie. – W którym pokoju mogę zamieszkać?

Krakowowie zajęli ten, w którym spała z Daszą, mamą, ojcem i Paszą. Jedyny ogrzewany pokój w mieszkaniu. Piec w pokoju dziadka i babci był zepsuty, a nawet gdyby działał, nie miałaby czym palić.

– Mogę przynajmniej zabrać moją burżujkę?

– A my to co? – burknął Stanisław. – Będziemy marznąć?

– Jak ci na imię? – spytała Inga.

– Tania.

– Taniu – powiedziała nieśmiało Inga – możesz przysunąć łóżko do ściany. Ściana jest ciepła. Mój mąż ci pomoże…

– Przestań – warknął Stanisław. – Sama sobie przesunie.

– Właśnie – odparła Tatiana i wyszła.

Odsunęła sofę dziadka na tyle, żeby przytulić do ściany leżankę Paszy.

Ściana rzeczywiście była ciepła.

Tatiana przykryła się paltem i trzema kocami, zasnęła i spała siedemnaście godzin.

Nazajutrz poszła do biura meldunkowego w radzie miejskiej.

– I po co wróciłaś? – spytała niegrzecznie urzędniczka, wypełniając zapotrzebowanie na nowe kartki żywnościowe. – Blokada wciąż trwa.

– Wiem – odrzekła Tatiana – ale w szpitalach brakuje pielęgniarek. Ktoś musi doglądać

rannych żołnierzy, prawda?

Kobieta wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od papierów. Czy ktoś w tym mieście zechce na mnie spojrzeć? – pomyślała Tania. Tylko jeden człowiek. Tylko on.

– Latem było lepiej – mruknęła urzędniczka. – Było więcej żywności. A teraz nie dostaniesz już ziemniaków.

– Nie szkodzi. – Ziemniaki. Blat do obierania ziemniaków, który Aleksander zrobił w Łazariewie. Tatianę przeszył ostry ból.

Z kartkami w ręku poszła do sklepu przy Newskim. Nie miała odwagi iść na róg Fontanki i Niekrasowa, gdzie kupowała jedzenie przed rokiem. Chleba już nie dostała – było za późno – kupiła za to prawdziwe mleko, fasolę, cebulę i cztery łyżki oleju. Za sto rubli nabyła puszkę tuszonki. Ponieważ jeszcze nie pracowała, przysługiwało jej tylko trzysta pięćdziesiąt gramów chleba dziennie, podczas gdy robotnicy dostawali aż siedemset. Tak, zamierzała pójść do pracy, i to jak najszybciej.

Szukała burżujki, ale na próżno. Poszła nawet do domu towarowego Gostinyj Dwor po drugiej stronie Newskiego, ale tam też nic nie znalazła. Zostało jej trzy tysiące rubli i chętnie wydałaby połowę na piecyk, lecz piecyków po prostu nie było. Z torbą wypełnioną jedzeniem, minęła Hotel Europejski, skręciła w Michajłowską, potem na Włoską i usiadła na ławce, gdzie Aleksander opowiadał jej kiedyś o Ameryce.

Ani drgnęła, gdy zaczął się ostrzał. Nie drgnęła nawet wtedy, kiedy pociski zaczęły spadać na Michajłowską i Newski. Gdy jeden z nich eksplodował na chodniku po drugiej stronie ulicy, pokręciła tylko głową. Aleksander będzie zły, kiedy się dowie, że przyjechałam, pomyślała, wstając i ruszając w stronę domu. Pragnęła jednak, by żył, i było jej obojętne, czyją za to zabije. Widywała go w ataku szału, zwłaszcza podczas ostatnich dni w Łazariewie. Jakim sposobem doszedł do siebie – jeśli w ogóle doszedł – tego nie wiedziała.

Wróciła do szpitala na Greckim. Miała rację: w szpitalu brakowało pielęgniarek. Kadrowa zobaczyła stary stempel w jej papierach, spytała, czy Tatiana jest wykwalifikowaną pielęgniarką, na co ta odparła, że nie, że pracowała jako pomoc pielęgniarska, ale że wystarczy kilka dni, aby wszystko sobie przypomniała. Poprosiła, żeby skierowano ją do pracy na oddziale intensywnej opieki medycznej. Dostała biały fartuch, by podczas pierwszej dziewięciogodzinnej zmiany pomagać pielęgniarce imieniem Jelizawieta, a podczas drugiej pielęgniarce imieniem Maria. Jelizawieta i Maria unikały jej wzroku.

W przeciwieństwie do pacjentów.

Po dwóch tygodniach harówki na dwie zmiany mogła już doglądać ich sama. Wtedy zdobyła się na odwagę i poszła do koszar.

2

Chciała się tylko dowiedzieć, czy Aleksander żyje i gdzie stacjonuje.

Wartownika w budce przed bramą nie znała; nazywał się Wiktor Burienicz. Był młody, przyjacielski i chętny do pomocy. Zajrzał do rejestru i oznajmił, że Aleksandra Biełowa w koszarach nie ma. Tatiana spytała go, gdzie może być. Burienicz odrzekł z uśmiechem, że nie wie.

– Ale jest cały i zdrowy, tak?

Wartownik wzruszył ramionami.

– Tego nam nie mówią.

Tatiana wstrzymała oddech i spytała o Dmitrija Czernienkę.

Okazało się, że Dmitrij żyje. Tania wypuściła powietrze. Burenicz wyjaśnił, że Czernienki w tej chwili nie ma, bo często wyjeżdża w teren jako zaopatrzeniowiec.

Tatiana wytężyła pamięć.

– A Anatolij Marazow? – spytała. – Jest?

Miała szczęście: Marazow był i kilka minut później dostrzegła go przez bramę.

– Tatiana! – wykrzyknął uradowany. – Co za niespodzianka. Aleksander mówił, że wyjechała pani z siostrą… – Spuścił głowę. – Przykro mi z powodu Daszy.

– Dziękuję. – Oczy wezbrały jej łzami, ale trochę ulżyło. Skoro Marazow mówi o Aleksandrze bez cienia emocji w głosie, oznacza to, że wszystko jest w porządku.

– Przepraszam. Nie chciałem pani zdenerwować.

– Nie, nie, nie jestem zdenerwowana. – Stali w bramie.

– Przejdziemy się? – zaproponował Marazow. – Mam kilka minut czasu.

Poszli w stronę placu Pałacowego.

– Przyszła pani do Dmitrija? Już u mnie nie służy.

– Wiem. – Zawahała się. Jak poradzi sobie z tymi wszystkimi kłamstwami? Co mogła o nim wiedzieć? – Słyszałam, że był ranny. Kilka miesięcy temu spotkałam go w Kobonie… – Skoro nie przyszła odwiedzić Dmitrija, to do kogo właściwie przyszła?

– Tak, ale już wrócił. Jest zaopatrzeniowcem. Ale ciągle narzeka. Nie mam pojęcia, czego chce.

– Czy wciąż jest pan… w kompanii Aleksandra?

– Nie. Aleksander już nie dowodzi. Był ranny… – Marazow urwał, bo Tatiana nagle się potknęła. – Proszę uważać. Wszystko w porządku?

– Tak, przepraszam. Zawadziłam o coś butem. – Objęła się ramionami. Czuła, że zaraz zemdleje. Musiała nad sobą zapanować, i to za wszelką cenę. Musiała. – Co mu się stało?

– Podczas ataku poparzył sobie ręce. Jeszcze we wrześniu.

– Ręce? – Boże, jego ręce…

– Tak. Miał poparzenia drugiego stopnia. Przez wiele tygodni nie mógł utrzymać kubka wody. Ale już wydobrzał.

– Gdzie teraz jest?

– Wrócił na front.

Tatianie zabrakło tchu.

– Muszę iść. Czekają na mnie.

– Dobrze, oczywiście. – Zaskoczony Marazow przystanął. – Po co pani wróciła do Leningradu?

– W szpitalach brakuje pielęgniarek. Pracuję jako pielęgniarka… – Tatiana przyspieszyła kroku. – Przenosicie się do Szlisselburga?

– Tak. Prędzej czy później, ale na pewno. W Morozowie założyliśmy nową bazę operacyjną…

– W Morozowie? Cieszę się, że jest pan cały i zdrowy. Dokąd teraz?

Porucznik pokręcił głową.

– Próbując przełamać blokadę, straciliśmy tylu ludzi, że nieustannie się przegrupowujemy. Ale myślę, że po następnym wypadzie powinienem dołączyć do Aleksandra.

– Naprawdę? – Ugięły się pod nią nogi. – Mam nadzieję, że tak będzie. Cieszę się, że pana spotkałam.

– Taniu, dobrze się pani czuje? Na pewno? – Marazow patrzył na nią ze znajomym smutkiem na twarzy. Tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania we wrześniu. Jakby dobrze ją znał.

Posłała mu blady uśmiech.

– Tak, oczywiście, nic mi nie jest. – Sztywno podeszła bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. – Dziękuję – szepnęła.

– Powiedzieć Dmitrijowi, że pani była?

– Nie, proszę mu nic nie mówić.

Była już na ulicy, gdy krzyknął:

– A Aleksandrowi?

Tania odwróciła głowę.

– Też nie! – zawołała cicho. – Nie.

Nazajutrz wieczorem, wróciwszy ze szpitala, zobaczyła w korytarzu Dmitrija. Rozmawiał z Krakowami.

– Dmitrij? – wykrztusiła zaszokowana. – Jak… Co ty tu robisz? – Przeszyła wzrokiem Ingę i Stanisława.

– To my go wpuściliśmy, Tanieczko – wyjaśniła Inga. – Powiedział, że w zeszłym roku często się widywaliście.

Dmitrij podszedł bliżej i objął ją. Jej ręce wisiały bezwładnie wzdłuż boków.

– Słyszałem, że o mnie pytałaś. Byłem wzruszony. Naprawdę wzruszony. Wejdziemy do pokoju?

– Kto ci powiedział, że o ciebie pytałam?

– Burienicz, ten wartownik. Zameldował, że była u mnie młoda dziewczyna. Dziękuję, Taniu. Przeżyłem kilka ciężkich miesięcy…

Miał zapadnięte oczy i był mocno pochylony.

– Dmitrij, to nie najlepsza pora – odrzekła, łypiąc spode łba na Krakowów. – Jestem bardzo zmęczona.

– Musisz być głodna. Nie chce ci się jeść?

– Jadłam w szpitalu – zełgała Tatiana. – A tu nie mam prawie nic. – Jak go stąd wyrzucić? – myślała. – Jutro wstaję o piątej rano i czekają mnie dwie dziewięciogodzinne zmiany. Dzisiaj ani na chwilę nie usiadłam. Może innym razem?

– Nie, Taniu. Nie wiem, czy jeszcze się spotkamy. Zrób mi chociaż herbaty. I daj choć kromkę chleba. Przez pamięć dla starych, dobrych czasów.

Tatiana wolała sobie nie wyobrażać, jak zareagowałby Aleksander, dowiedziawszy się o odwiedzinach Dmitrija. Nie wiedziała, że przyjdzie jej z nim rozmawiać, nie miała tego

w planie. Nagle uświadomiła sobie, że Szura jeszcze z nim nie rozmawiał, że jeszcze nie stawił mu czoła. Dobrze, pomyślała. Skoro on, to i ja. To nasza wspólna sprawa.

Pożyczyła od Sławina naftowy prymus – obiecała, że od czasu do czasu będzie mu za to gotować – i usmażyła Dmitrijowi garść fasoli sojowej z marchwią, groszkiem i cebulą. Dała mu także kromkę razowego chleba z masłem, ale kiedy poprosił o kieliszek wódki, skłamała, mówiąc, że wódki nie ma – nie chciała, żeby się upił, kiedy zostanie z nim sam na sam. W pokoju paliła się tylko lampa naftowa; prąd był, ale w sklepach nie było żarówek.

Jadł, trzymając talerz na kolanach. Ona przysiadła na drugim końcu sofy i nagle zdała sobie sprawę, że nie zdjęła palta. Wstała, rozebrała się i poszła zaparzyć herbatę.

– Dlaczego tu tak zimno?

– Nie ma ogrzewania – odrzekła Tatiana; wciąż była w białym fartuchu, a włosy miała przewiązane białą chustką.

– Powiedz, jak ci się wiodło, Taniu. Dobrze wyglądasz. Dorosłaś – dodał z uśmiechem. – Dojrzałaś. Wyglądasz jak młoda kobieta.

– Nic na to nie poradzę – odparła. – Dzieje się tyle rzeczy, że…

– Nie, nie, naprawdę ładnie wyglądasz. Wojna ci służy. Przytyłaś, odkąd widziałem cię ostatni raz…

Tatiana spojrzała mu prosto w oczy.

– Dmitrij – powiedziała spokojnie. – Ostatni raz widzieliśmy się w Kobonie, kiedy prosiłam cię o pomoc przy pochówku siostry. Może ty zapomniałeś, aleja wciąż pamiętam.

– Tak, wiem… – Obojętnie machnął ręką. – Straciliśmy ze sobą kontakt, ale nigdy nie przestałem o tobie myśleć. Cieszę się, że udało ci się wyjechać z Kobony. Wielu zostało tam na zawsze.

– Choćby moja siostra. – Miała ochotę spytać go, jak mógł tak bezczelnie skłamać Aleksandrowi, lecz nie chciała wymawiać na głos imienia męża. Nie zniosłaby tego, nie przy tym człowieku.

– Przykro mi z powodu Daszy – odrzekł Dmitrij. – Moi rodzice też umarli, dlatego wiem, jak się czujesz.

Zamilkł. Tania czekała. Czekała, aż Dmitrij skończy jeść i wyjdzie.

– Jak wróciłaś do Leningradu?

Ledwo panując nad głosem, pokrótce streściła mu przebieg podróży. Nie miała ochoty z nim rozmawiać. Gdzie jest Dasza? Gdzie są Aleksander, mama i ojciec? Dlaczego musi siedzieć z nim sama?

Wzięła głęboki oddech i spytała go, co teraz porabia.

– Jestem zaopatrzeniowcem. Wiesz, co robią zaopatrzeniowcy?

Tania wiedziała, mimo to pokręciła głową. Mówiąc o sobie, o nic przynajmniej nie pytał.

– Odbieram zapasy – z ciężarówek, z samolotów, skąd się da – i rozwożę je wzdłuż linii frontu.

– Do Leningradu też?

– Tak, też. Odwiedzam wszystkie punkty odbiorcze po tej stronie Newy. Tu i w Karelii. – Uciekł wzrokiem w bok. – Rozumiesz teraz, dlaczego jestem taki nieszczęśliwy?

– Oczywiście. Wojna jest niebezpieczna. Nie chcesz brać w niej udziału.

– Nie chcę mieszkać w tym kraju. – Powiedział to tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

Prawie.

– Jeździsz do Karelii? – spytała, czując, że gwałtownie opada z sił. – Do fińskiej granicy?

– Tak. I do tych z Morozowa. Zbudowaliśmy tam nowe stanowisko dowódcze dla…

– Ale konkretnie dokąd? Gdzie?

– Nie wiem, czy słyszałaś o miejscowości Lisi Nos.

– Tak, słyszałam. – Tatiana zacisnęła rękę na oparciu sofy.

– No właśnie. Często muszę chodzić na piechotę, od kwatery do kwatery. Wiesz, że zaopatruję nawet generałów? – dodał, unosząc brwi.

– Naprawdę? – Tania ledwie go słuchała. – Poznałeś kogoś ciekawego?

Dmitrij zniżył głos.

– Zaprzyjaźniłem się z generałem Mechlisem. – Roześmiał się z satysfakcją. – Przywożę mu gazety, pióra i to, co zdołam skombinować na lewo. Nigdy nie proszę o pieniądze. Papierosy, wódka: dla generała wszystko. Lubi te moje wizyty, oj lubi.

– Coś takiego… – Tania nie miała pojęcia, kim jest generał Mechlis. – Którą armią dowodzi ten… jak mu tam…

– Żartujesz?

– Nie. Dlaczego? – Tatiana była coraz bardziej wyczerpana.

– Mechlis jest dowódcą wojsk NKWD! – szepnął Dmitrij. – Prawą ręką Berii!

Tatiana bała się kiedyś bomb, głodu i śmierci. Jako mała dziewczynka bała się zabłądzić w lesie. Bała się również człowieka, który chciał ją skrzywdzić tylko po to, żeby skrzywdzić.

Krzywda była jego środkiem i celem.

Ale tego wieczoru nie bała się o siebie.

Przyglądając się zdeprawowanej, złowieszczo przymilnej twarzy Dmitrija, bała się o Aleksandra.

Jeszcze niedawno miała wyrzuty sumienia, że złamała daną mężowi obietnicę i wyjechała z Łazariewa. Teraz była przekonana, że Szura potrzebuje jej tutaj. Że potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Ktoś musiał go chronić – nie od przypadkowej śmierci, tylko od celowego zniszczenia.

Znieruchomiała i bez mrugnięcia okiem przyglądała się Dmitrjiowi.

Patrzyła, jak odstawia kubek i jak przysuwa się bliżej niej. Nagle mrugnęła i wróciła do rzeczywistości.

– Co ty robisz?

– Znam się na tym, Taniu – odrzekł. – Widać, że nie jesteś już dzieckiem…

Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Inga i Stanisław mówili, że dużo pracujesz, że całymi dniami nie ma cię w domu. Są przekonani, że spotykasz się z jakimś lekarzem. To prawda?

– Skoro oni ci to powiedzieli – odrzekła kąśliwie Tatiana – to na pewno prawda. Komuniści nie kłamią.

Dmitrij kiwnął głową i przysunął się jeszcze bliżej.

– Co ty robisz? – Tatiana wstała. – Posłuchaj, robi się późno.

– Przestań, Taniu. Jesteś samotna. Ja też jestem samotny. I nienawidzę swego życia. Nienawidzę każdej jego minuty. Ty też się czasami tak czujesz?

Tylko teraz, pomyślała Tania.

– Nie, Dima. Zważywszy wszystkie okoliczności, nie mogę narzekać. Pracuję, jestem potrzebna i szpitalowi, i pacjentom. Żyję. I mam co jeść.

– Ale musisz być chyba bardzo samotna.

– Wprost przeciwnie. Cały czas jestem między ludźmi. Poza tym mówiłeś, że widuję się z jakimś lekarzem. Posłuchaj, przestańmy o tym rozmawiać. Już późno.

Dmitrij wstał. Tatiana obronnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce.

– Dość, Dima, skończmy z tym. Nie jestem dla ciebie. – Przeszyła go wzrokiem. – Zawsze o tym wiedziałeś, a mimo to nie dawałeś mi spokoju. Dlaczego?

Dmitrij roześmiał się lekko.

– Może miałem nadzieję, że miłość młodej, dobrej kobiety, takiej jak ty, zbawi starego łajdaka takiego jak ja?

Tatiana zmroziła go spojrzeniem.

– Zatem można cię jeszcze zbawić. To dobrze.

Dmitrij roześmiał się jeszcze głośniej.

– Nie, nie, Taniu, już nie – odparł. – Dlaczego? Może dlatego, że pewna dobra młoda kobieta nie chciała mnie pokochać. – Nagle spoważniał. – Pytanie tylko, kogo pokochała…

Tatiana nie odpowiedziała. Stała w miejscu, gdzie kiedyś stał stół, zanim Aleksander pociął go na opał do burżujki. W tym małym, ciemnym pokoju było tyle duchów. Tyle uczuć, tyle pragnień, tyle głodu…

Dmitrij błysnął oczami.

– Nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego przyszłaś do koszar? Dlaczego o mnie pytałaś? Myślałem, że tego chcesz. Próbujesz mnie zwieść? Droczysz się ze mną? – Mówił tak głośno, że musieli go słyszeć śpiący za ścianą Krakowowie. Podszedł bliżej. – Wiesz, jak nazywamy dziewczyny, które się z nami droczą? – Parsknął śmiechem.

– Tak myślisz? Myślisz, że się z tobą droczę? Że chcę czegoś, udając, że tego nie chcę? Uważasz, że to do mnie pasuje?

Dmitrij mruknął coś pod nosem.

– Tak myślałam. Od samego początku byłam wobec ciebie uczciwa. W koszarach pytałam i o ciebie, i o Marazowa. Po prostu chciałam zobaczyć znajomą twarz. – Nie zamierzała ustępować, chociaż był jej zupełnie obojętny.

– O Aleksandra też pytałaś? – Dmitrij mówił coraz głośniej. – Bo jeśli tak, to wiedz, że w garnizonie go nie ma. Jeśli jest na służbie, siedzi w Morozowie, a jeśli ma wolne, pewnie szlaja się po wszystkich spelunach w Leningradzie.

Tatiana pobladła. Miała nadzieję, że Dmitrij tego nie dostrzeże i nie usłyszy nowej nutki w jej głosie.

– Pytałam o wszystkich, których znałam.

– O wszystkich z wyjątkiem Pietrenki – odparł, jakby doskonale o tym wiedział. – To dziwne, bo z tego, co wiem, bardzo się z nim zaprzyjaźniłaś. W zeszłym roku często się widywaliście. Dlaczego o niego nie spytałaś? Zanim go zabili, opowiadał mi, że odprowadzał cię kiedyś do sklepu. Na rozkaz kapitana Biełowa, naturalnie. Bardzo wam pomagał, tobie i twojej rodzinie. A ty nawet o niego nie spytałaś. Ciekawe dlaczego.

Tatiana zaniemówiła. Tak bardzo brakowało jej Aleksandra, tak bardzo pragnęła, by obronił ją przed tym potworem, że nie wiedziała, jak zareagować.

Nie spytała o Pietrenkę, ponieważ Szura napisał jej, że Pietrenko nie żyje, a przecież Szura nie mógł do niej pisać.

Co robić? Co robić, żeby skończyć wreszcie z kłamstwami wypełniającymi jej życie?

Miała tego dość. Była tak znużona i zdenerwowana, że już otworzyła usta, żeby powiedzieć mu o Aleksandrze. Tak. Powiedzieć prawdę i ponieść konsekwencje.

Konsekwencje. To ją właśnie powstrzymało.

Wyprostowała się i patrząc zimno na Dmitrija, syknęła:

– Co ty chcesz ze mnie wyciągnąć, co? Próbujesz mnie podejść, próbujesz mną manipulować. Pytaj prosto z mostu albo milcz. Mam dość tych gierek. Co chcesz wiedzieć? Dlaczego nie spytałam o Pietrenkę? Dlatego, że najpierw spytałam o Marazowa i kiedy się dowiedziałam, że jest w koszarach, nie musiałam już pytać o innych. Jasne?

Zaskoczony Dmitrij przestąpił z nogi na nogę. Widać było, że czuje się nieswojo.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Co się tu dzieje? – W progu stanęła rozespana Inga w szlafroku. – Strasznie hałasujecie. Wszystko w porządku?

– Tak. Dziękuję, Ingo. – Tatiana zatrzasnęła drzwi; postanowiła, że wyjaśni jej wszystko później.

– Przepraszam – powiedział Dmitrij. – Nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu źle zrozumiałem twoje intencje.

– Nie szkodzi. Późno już. Pożegnajmy się.

Próbował podejść bliżej, lecz Tania zrobiła krok do tyłu.

Dmitrij wzruszył ramionami.

– Zawsze chciałem, żeby się między nami ułożyło.

– Doprawdy?

– Tak.

– Dima! Jak możesz… – Urwała.

Stał w pokoju, w którym spędził tyle letnich wieczorów. Pił tu i jadł. Siadywał tu z jej rodziną, która zapraszała go, pragnąc, by uczestniczył w ich życiu. Teraz spędził tu ledwie godzinę, opowiadając o sobie i oskarżając Tatianę Bóg wie o co. Kręcił i kłamał, robił wszystko, tylko nie spytał o ludzi, z którymi kiedyś tu rozmawiał. Nie spytał ani o jej matkę, ani o ojca, ani o dziadków, ani o Marinę, ani o babcię ze strony mamy. Nie spytał o to w Kobonie, nie spytał i teraz. Jeśli nawet wiedział, co się z nimi stało, nie wypowiedział ani jednego pocieszającego słowa, nie wykonał ani jednego pocieszającego gestu. Jak mógł mieć nadzieję, że wszystko się między nimi ułoży, skoro myślał tylko o sobie, skoro ani przez sekundę nie potrafił pomyśleć o innych? Nie spytał o jej rodzinę? I dobrze, było jej wszystko jedno. Pragnęła jedynie, żeby przestał wreszcie przed nią udawać.

Miała ochotę mu to powiedzieć, ale doszła do wniosku, że szkoda fatygi.

Choć milczała, Dmitrij musiał coś wyczuć, bo spuścił głowę i jeszcze bardziej się zgarbił.

– Nie wiem, co powiedzieć… – wymamrotał.

– Wystarczy dobranoc – odrzekła zimno Tania.

Ruszył do drzwi. Poszła za nim.

– Taniu, myślę, że już się nie zobaczymy.

– Zależy, co nam pisane. – Z trudem przełknęła ślinę. Zdrętwiały jej ręce. Czuła, że uginają się pod nią nogi.

Dmitrij zniżył głos do szeptu.

– Jadę tam, gdzie… Już mnie chyba nie zobaczysz.

– Naprawdę? – Nie miała siły mówić.

W końcu wyszedł, pozostawiając za sobą czarny wir ohydy, a w wirze tym Tatianę, która leżała na pryczy, przyciskając do piersi ślubną obrączkę, nie poruszając się i nie śpiąc aż do rana.

3

Aleksander siedział przy stole w oficerskim namiocie w Morozowie, gdy wszedł Dmitrij z wódką i papierosami. Aleksander miał na sobie wojskowy płaszcz, ale poparzone ręce zgrabiały mu z zimna. Chciał pójść do kantyny, żeby ogrzać się i coś zjeść, ale nie mógł opuścić namiotu. Był piątek i za godzinę miał spotkanie z generałem Goworowem, który chciał omówić z nim szczegóły ataku na niemieckie pozycje.

Był listopad i po czterech nieudanych próbach sforsowania Newy, 67 Armia niecierpliwie czekała, aż rzeka zamarznie. Dowództwo nareszcie zrozumiało, że łatwiej będzie atakować tyralierą po lodzie niż przeprawiać się pontonami, które były dla Niemców bardzo łatwym celem.

Dmitrij postawił na stole kilka butelek wódki i położył tytoń na skręty. Aleksander mu zapłacił. Chciał zostać sam: właśnie przeczytał dziwny list od Tatiany. Nie pisał do niej przez kilka tygodni, chociaż mógł poprosić o pomoc pielęgniarkę. Wiedział jednak, że jeśli Tania dostanie list napisany obcą ręką, popadnie w obłęd, próbując doczytać się między wierszami, jak ciężko jest ranny. Nie chcąc jej denerwować, wysłał do Mołotowa pieniądze za wrzesień, odczekał, aż ręce mu się wygoją, i pod koniec miesiąca napisał do niej sam.

Napisał, że poparzenia były prawdziwym darem od Boga. Jako ciężko ranny, nie wziął udziału w dwóch tragicznych atakach na drugi brzeg Newy, które zdziesiątkowały Rosjan do tego stopnia, że z Leningradu musiano ściągnąć wszystkie posiłki. Front wołchowski chętnie wspomógłby front leningradzki, gdyby tylko miał czym, ale po dyrektywie Hitlera, która nakazywała Mansteinowi utrzymać się na brzegu Newy i wokół Leningradu wszelkimi siłami i wszelkimi środkami, 2 Armia straciła prawie wszystkich ludzi.

Niemcy równali z ziemią Stalingrad. Ukraina należała już do Hitlera. Leningrad ledwo się trzymał. Armia Czerwona była bardzo osłabiona. Goworow planował kolejny atak na nieprzyjacielskie pozycje na drugim brzegu rzeki, a Aleksander siedział przy stole, próbując zrozumieć, co się stało jego żonie.

Był już listopad, tymczasem ani w jednym liście – przychodziły niezwykle regularnie, chociaż brakowało w nich charakterystycznej dla Tatiany spontaniczności i żarliwości – nie wspomniała o jego poparzeniach. Właśnie próbował zrozumieć dlaczego, gdy wszedł Dmitrij. Wszedł i wyglądało na to, że nie zamierza wyjść.

– Nalejesz mi kielicha? – poprosił. – Jak za starych, dobrych czasów?

Aleksander niechętnie nalał mu kieliszek wódki i mniejszy kieliszek dla siebie. Dmitrij usiadł naprzeciwko stołu. Rozmawiali o inwazji i o przerażających bitwach na froncie wołchowskim.

– Ja cię nie rozumiem – powiedział cicho Dmitrij. – Jak możesz być tak spokojny, wiedząc, co cię czeka? Cztery próby sforsowania rzeki zakończyły się kompletną klęską i większość naszych nie żyje. Słyszałem, że atak po lodzie będzie ostatni, że pozwolą nam wrócić dopiero wtedy, kiedy przerwiemy blokadę. Też o tym słyszałeś?

– Tak, coś niecoś.

– Nie mogę tu zostać. Nie mogę. Wczoraj byłem nad Newą. Szwaby wystrzelili rakietę aż z Siniawina: przeleciała nad rzeką i rozwaliła całą kompanię naszych. Akurat szykowali się do przeprawy. Wybuchła sto metrów ode mnie. Zobacz. – Pokazał mu zadrapania na twarzy. – To się po prostu nie kończy.

– Ano nie.

Dmitrij zniżył głos.

– Pewnie nie uwierzysz, ale na Lisim Nosie prawie nikogo nie ma! Często tam jeżdżę i widzę Finów w lesie. Naszych jest tam najwyżej kilkudziesięciu. To znak. Słyszysz? To znak. Możesz ze mną pojechać. Dotrzemy do granicy, porzucimy ciężarówkę i…

– Dima! – szepnął Aleksander. – Porzucimy ciężarówkę? Spójrz na siebie. Ledwo chodzisz. Rozmawialiśmy o tym w czerwcu…

– Nie tylko w czerwcu. Rozmawialiśmy o tym do upadłego. Mam dość gadania. Nie mogę dłużej czekać. Jedźmy tam, i już. Uda się – dobrze. Nie uda się – najwyżej nas zastrzelą. Tu czy tam, co to za różnica? Przynajmniej wykorzystamy szansę.

Aleksander wstał.

– Posłuchaj…

– Nie, to ty posłuchaj. Wojna mnie odmieniła…

– Naprawdę?

– Tak! Przekonałem się, że muszę walczyć o przeżycie. Za wszelką cenę. Nic, co do tej pory zrobiłem, nie odniosło żadnego skutku. Ani przenoszenie się z plutonu do plutonu, ani postrzał, ani miesiące spędzone w szpitalu, ani Kobona, ani nic! Próbuję przetrwać, żeby uciec. Niemcy robią wszystko, żeby mnie zabić, ale ja postanowiłem zrobić wszystko, żeby ocaleć. – Dmitrij zniżył głos. – Patrząc wstecz, numer, który wykręciłeś z nieżyjącym już i dawno zapomnianym Jurijem Stiepanowem, jeszcze bardziej mnie złości. On wykitował, a my wciąż tu jesteśmy. Wszystko dlatego, że musiałeś z nim wrócić. Gdyby nie ty, bylibyśmy już w Ameryce.

Aleksander zacisnął zęby, obszedł stół, nachylił się nad nim i syknął:

– Powtarzałem ci to wtedy, powtórzę i teraz. Będę powtarzał to do znudzenia. Jedź! Idź! Śmiało! Dam ci połowę pieniędzy. Drogę do Helsinek i Sztokholmu znasz na pamięć. Dlaczego nie zaryzykujesz?

Dmitrij odsunął się z krzesłem.

– Dobrze wiesz, że sam nie dam rady. Nie znam angielskiego…

– I nie musisz znać! Wystarczy, że dotrzesz do Sztokholmu i poprosisz o azyl. Przyjmą cię nawet bez znajomości języka.

– Moja noga…

– Zapomnij o nodze. Wlecz ją za sobą, ciągnij. Dam ci połowę pieniędzy i…

– Połowę pieniędzy? Co ty bredzisz? Mieliśmy uciec razem, zapomniałeś? Taki był plan. Razem. Sam nigdzie nie pójdę!

– Jeśli nie chcesz iść sam, zaczekaj, aż powiem, że nadeszła odpowiednia chwila. – Aleksander zacisnął pięści. – A chwila ta jeszcze nie nadeszła, jasne? Na wiosnę…

– Kurwa mać! Nie będę czekał do wiosny!

– Jaki masz wybór? Chcesz uciec czy pospieszyć się i zawalić sprawę? Wiesz, że ci z NKWD rozstrzeliwują dezerterów na miejscu?

– Do wiosny zdechnę i tak. – Dmitrij wstał, żeby skuteczniej stawić mu czoło. – Ty też. Co ci jest? Co cię, kurwa, napadło? Już nie chcesz uciekać? Wolisz umrzeć?!

Aleksander odwrócił udręczony wzrok. Nie odpowiedział.

– Pięć lat temu, kiedy byłeś nikim, kiedy nikogo nie miałeś i kiedy mnie potrzebowałeś, wyświadczyłem ci przysługę, towarzyszu kapitanie Armii Czerwonej.

Aleksander zrobił krok do przodu i Dmitrij opadł na krzesło.

– Tak, wyświadczyłeś. I nigdy ci tego nie zapomnę.

– Dobrze, już dobrze, nie zaczynaj…

– Jasno się wyraziłem? Zaczekamy na odpowiednią chwilę.

– Ale na Lisim Nosie nikogo teraz nie ma! – wykrzyknął Dmitrij. – Kurwa mać, na co tu czekać? Odpowiednia chwila właśnie nadeszła. Potem nasi wyślą tam więcej wojska, Finowie pójdą w ich ślady i znowu będzie burdel! Teraz panuje tam kompletny zastój, rozumiesz? Trzeba to wykorzystać, zanim wykończy nas bitwa o Leningrad.

– Kto cię zatrzymuje? Jedź.

– Powtarzam ci ostatni raz, że bez ciebie nigdzie nie pojadę.

– A ja ci powtarzam, że nigdzie nie zamierzam jechać. Nie teraz.

– A kiedy?

– Powiem ci kiedy. Najpierw przełamiemy blokadę. Tak, będzie nas to dużo kosztowało, ale przełamiemy ją, a na wiosnę…

Dmitrij zachichotał.

– Może Tania ją przełamie.

Aleksander myślał, że się przesłyszał.

Tania? Czy Dima mówi o Tani?

– Słucham? – spytał cicho i powoli.

– Mówię, że powinniśmy ściągnąć tu Tanię. Niezła z niej szmuglerka!

– O czym ty mówisz?

– Co za dziewczyna – rzucił z podziwem Dmitrij. – Jestem przekonany, że gdyby tylko chciała, mogłaby zwiać aż do Australii! – Odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem. – Zanim się spostrzeżemy, będzie jeździła do Mołotowa i z powrotem, zaopatrując w żywność pół Leningradu!

– Co ty pieprzysz?

– Mówię ci: zamiast tracić dwieście tysięcy żołnierzy, łącznie z tobą i ze mną, wystarczyłoby sprowadzić tu Tatianę Mietanową. Przełamałaby blokadę w trymiga!

Aleksander zgasił papierosa.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Miał nadzieję, że Dmitrij nie zauważy jego rąk zaciśniętych na oparciu krzesła.

– Mówię, Taniu, wstąp do wojska, za miesiąc zostaniesz generałem! A ona na to, że czemu nie…

– Jak to? – przerwał mu Aleksander. – Rozmawiałeś z nią?

– Tydzień temu, przy Piątej Radzieckiej. Zrobiła mi kolację. Nareszcie naprawili im rury. Mieszkają z nią jacyś obcy, ale… Hmm, niezła z niej kuchareczka.

Aleksander z trudem zachował kamienną twarz.

– Dobrze się czujesz? – spytał rozbawiony Dmitrij.

– Dobrze. Ale o czym ty mówisz, Dima? Czy to kolejne kłamstewko? Tatiany nie ma w Leningradzie.

– Wierz mi, rozpoznam ją na końcu świata. Dobrze wygląda. Powiedziała mi, że spotyka się z jakimś lekarzem. – Parsknął śmiechem. – Dasz wiarę? Nasza mała Tanieczka. Kto by pomyślał, że tak świetnie sobie poradzi…

Aleksander chciał go uciszyć, ale nie ufał własnemu głosowi. Jeszcze mocniej zacisnął ręce i milczał.

Przecież nie dalej jak wczoraj dostał od niej list. List z Łazariewa!

– Pytała o mnie w koszarach. Zrobiła mi kolację. Jest w Leningradzie od połowy października. A jak się tam dostała! Przeszła przez front, jakby nie było tam ani Mansteina, ani jego tysiąckilogramowych bomb! – Dmitrij pokręcił głową. – W czasie bitwy chciałbym mieć ją u swego boku.

– W czasie bitwy, Dima? – wychrypiał Aleksander. – Czyżbyś zamierzał walczyć?

– Baaardzo zabawne.

– Słuchaj, co mnie to wszystko obchodzi? Już późno. Zaraz mam odprawę z Goworowem. Przepraszam, ale zostaw mnie teraz samego.

Po wyjściu Dmitrija zdenerwował się do tego stopnia, że w napadzie szału roztrzaskał krzesło.

Teraz już wiedział, co było nie tak z listami Tatiany. Osłabiony gniewem, nie mógł się uspokoić ani przed rozmową z generałem, ani po. Wzburzenie przesłaniało logiczny osąd. Zaraz po naradzie poszedł do pułkownika Stiepanowa.

– No nie… – Stiepanow wstał zza biurka. – Widzę to w waszych oczach, kapitanie.

Aleksander zdjął czapkę.

– Towarzyszu pułkowniku, zawsze byliście dla mnie bardzo dobrzy. Od lipca nie miałem ani jednego wolnego dnia.

– Kapitanie, w lipcu dostaliście ponad pięć tygodni urlopu!

– Proszę tylko o kilka dni, towarzyszu pułkowniku. Jeśli chcecie, mogę pojechać do Leningradu jako zaopatrzeniowiec. Tym sposobem sprawa będzie czysta.

Stiepanow podszedł bliżej i zniżył głos.

– Co się dzieje, Aleksandrze?

Aleksander lekko pokręcił głową.

– Nic takiego. Wszystko w porządku.

Stiepanow zmrużył oczy.

– Czy ma to coś wspólnego z pieniędzmi, które wysyłasz co miesiąc do Mołotowa?

– Już nie będę wysyłał.

Stiepanow zniżył głos jeszcze bardziej.

– A może ze stemplem mołotowskiego urzędu stanu cywilnego, który widziałem w twojej książeczce wojskowej?

Aleksander zacisnął zęby.

– Towarzyszu pułkowniku, muszę natychmiast pojechać do Leningradu, żeby… – Urwał, próbując zebrać myśli. – Tylko na kilka dni.

Stiepanow westchnął.

– W niedzielę mamy decydującą odprawę. Jeśli nie wrócisz do dziesiątej…

– Wrócę. Dziękuję. Nigdy was nie zawiodłem i nie zawiodę. I nigdy wam tego nie zapomnę.

– Jedź, synu – odrzekł pułkownik. – I daj sobie spokój z zaopatrzeniem. Pozałatwiaj wszystkie sprawy osobiste, bo następną okazję będziesz miał dopiero wtedy, kiedy przełamiemy blokadę.

4

Tatiana ledwo powłóczyła nogami. Wciąż doglądała pacjentów, chociaż już dawno powinna iść do domu. Była trochę głodna, ale nie lubiła gotować tylko dla siebie; żałowała, że nie może odżywiać się dożylnie, jak niektórzy chorzy. Doglądanie ciężko rannych i umierających było lepsze niż samotność w zimnym pokoju przy Piątej Radzieckiej.

W końcu wyszła ze szpitala i ze spuszczoną głową powlokła się do domu.

Na sofie w korytarzu siedziała Inga, pijąc herbatę. Co oni robią w jej mieszkaniu? Przecież to zupełnie obcy ludzie. Co za absurd.

– Dobry wieczór – rzuciła znużonym głosem, zdejmując palto.

– Hmm… Ktoś u ciebie był.

Tatiana drgnęła.

– Zrobiłaś tak, jak cię prosiłam? Chyba go nie wpuściłaś?

– Nie, nie wpuściłam – odrzekła krótko Inga. – Był bardzo niezadowolony. Kolejny wojskowy…

– Wojskowy? Jaki wojskowy?

– Nie wiem.

Tatiana podeszła do sofy.

– Ten sam, który…

– Nie, inny. Wysoki.

Tatianie drgnęło serce. Wysoki!

– Gdzie… Dokąd poszedł?

– Nie wiem. Powiedziałam, że go nie wpuszczę. O nic więcej nie pytał. Widzę, że chodzi za tobą cały pułk wojska, Tanieczko…

Tatiana chwyciła palto, odwróciła się, otworzyła drzwi i… Stał przed nią Aleksander.

– Boże – tchnęła, czując, że załamują się pod nią nogi. – Boże… – Widziała jego mroczną twarz, wiedziała, że jest wściekły, ale nic ją to nie obchodziło. Z oczami pełnymi łez złożyła mu głowę na piersi.

Nawet jej nie objął.

– Chodźmy – rzucił zimno, biorąc ją za rękę. – Do pokoju.

– Tania zabroniła mi kogokolwiek tu wpuszczać. – Inga odstawiła filiżankę. – Taniu, nie przedstawisz nas?

– Nie przedstawi – warknął Aleksander, wpychając Tatianę do pokoju i zamykając nogą drzwi.

Podeszła do niego z dygocącymi ramionami i zapłakaną twarzą.

– Szura… – Była tak wzruszona, że z trudem wypowiedziała na głos jego imię.

Powstrzymał ją ostrzegawczym gestem.

– Nie podchodź do mnie.

Lecz ona jakby go nie słyszała.

– Szura, jestem taka szczęśliwa, że cię widzę. Jak twoje ręce?

– Nie! – Odepchnął ją mocno. – Trzymaj się ode mnie z daleka.

Podszedł do okna. Przy oknie było zimno. Tania stanęła przed nim.

Musiała go dotknąć. Musiała go dotknąć tak rozpaczliwie, że zapomniała o bólu wywołanym wizytą Dmitrija, brakiem pięciu tysięcy dolarów i jej własnymi, jakże

splątanymi uczuciami.

– Szura – spytała łamiącym się głosem. – Dlaczego mnie odtrącasz?

– Co ty robisz? – Oczy miał gniewne i zgorzkniałe. – Skąd się tu wzięłaś?

– Przecież wiesz. Potrzebowałeś mnie, więc przyjechałam.

– Nie potrzebuję cię tutaj! – wrzasnął. Chwycił jakąś książkę i cisnął nią w ścianę. Tatiana drgnęła, lecz nie odeszła. – Nie tutaj! – powtórzył. – Chciałem, żebyś była bezpieczna!

– Wiem. Szura, chcę cię dotknąć…

– Nie! Nie podchodź.

– Mówiłam ci, ja tak nie mogę. Czułam, że ci mnie brakuje. Że muszę być blisko ciebie.

– Blisko mnie? – prychnął szyderczo, opierając się o parapet. Pokój rozświetlało jedynie światło ulicznej latarni. Aleksander miał mroczną twarz i czarne oczy.

– Co ty mówisz? – spytała błagalnie. – Oczywiście, że blisko ciebie.

– Tak? To po cholerę poszłaś do koszar i wypytywałaś o Dmitrija?

– Nie pytałam o niego! Chciałam wypytać o ciebie. Nie wiedziałam, co ci się stało. Przestałeś pisać…

– Ty nie pisałaś do mnie przez pół roku! – krzyknął. – Nie mogłaś zaczekać dwóch tygodni?

– Nie, nie mogłam, bo milczałeś prawie miesiąc. Szura… – Tatiana podeszła krok bliżej. – Jestem tu dla ciebie. Dla ciebie. Mówiłeś, żebym nigdy nie odwracała od ciebie wzroku. Spójrz mi w oczy i powiedz, co czuję. – Błagalnym gestem otworzyła ramiona. – Co czuję, Szura?

Aleksander szybko zamrugał i zacisnął zęby.

– To ty spójrz mi w oczy i zobacz, co czuję.

Tania opuściła ręce i splotła palce.

– Obiecałaś! Obiecałaś. Dałaś mi słowo!

Tatiana dobrze o tym pamiętała. Spojrzała w jego ukochaną twarz. Była taka słaba, tak bardzo go pragnęła. Widziała, że on też jej potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Po prostu zaślepiał go gniew. Jak zawsze.

– Aleksandrze, mężu mój, to ja, twoja Tania. – Omal się nie rozpłakała. – Szura, proszę…

Nie odpowiedział. Tatiana zdjęła buty i stanęła przed nim w białym fartuchu. Czarne włosy, czarne wojskowe buty, czarny płaszcz: górował na nią jak mroczna skała.

– Błagam, nie kłóćmy się, Szura. Tak się cieszę, że cię widzę. Po prostu chcę… – Nie, postanowiła, że nie spuści wzroku, że wytrzyma jego spojrzenie. – Szura – szepnęła, drżąc na całym ciele. – Nie odpychaj mnie…

Odwrócił głowę. Rozpięła mu płaszcz i wzięła go za rękę.

– „Ucałuj ode mnie wnętrze dłoni i przytknij ją sobie do serca”. Tak napisałeś – szepnęła, całując go w rękę i przykładając ją sobie do piersi. Jego dłonie, jego ręce. Te wielkie, ciemne ręce, którymi dźwigał ją i pieścił. Zamknęła oczy i cicho jęknęła.

– Boże, Tatiano… – Przyciągnął ją do siebie, gwałtownie pchnął na sofę i z ustami na jej ustach, z rękami w jej włosach wychrypiał: – Czego ty ode mnie chcesz? – Zerwał z niej fartuch, halkę i bieliznę, pozostawiając jedynie pas do pończoch. Ścisnął jej nagie uda i półprzytomny z podniecenia powtórzył: – Taniu, Boże, czego ode mnie chcesz?

Tatiana milczała. Nie mogła mówić.

– Jestem na ciebie wściekły. – Całował ją, jakby zaraz miał umrzeć. – Nie obchodzi

cię, że jestem na ciebie wściekły?

– Nie… Wyładuj się na mnie. Proszę, Szura, tak cię proszę…

Kilka sekund później był już w niej.

Objęła go kurczowo za głowę.

– Zasłoń mi usta – szepnęła, czując, że zaraz krzyknie.

Aleksander nie zdjął nawet płaszcza ani butów.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Taniu? Wszystko w porządku?

– Precz stąd! – wrzasnął Aleksander.

– Zasłoń mi usta, Szura – powtórzyła Tatiana, płacząc ze szczęścia. – Boże, zasłoń mi usta…

– Nie, nie wstawaj, proszę… – wymruczała, chwytając go za klapę płaszcza i obejmując jego głowę. – Jak twoje ręce? – Po ciemku ich nie widziała. Czuła tylko, że są szorstkie.

– Dobrze.

Całowała go w usta, w policzki, w oczy, nie mogła się go nacałować.

– Szura, kochany, nie wstawaj. Tak bardzo za tobą tęskniłam. Zostań… – Przez kilka mrocznych chwil tuliła się do niego całym ciałem. – Zostań. Czujesz, jaka jestem ciepła? Tam zimno, nie wstawaj… – Leżała pod nim, na próżno powstrzymując łzy. – Dlatego nie pisałeś? Przez te ręce?

– Tak. Nie chciałem cię martwić.

– Nie wiedziałeś, że brak listów doprowadzi mnie do obłędu?

Aleksander wstał.

– Myślałem, że po prostu zaczekasz.

– Szura, mężu kochany, jesteś głodny? – wymruczała. – Nie mogę uwierzyć, że znowu cię dotykam. Nie, to niemożliwe. Co ci zrobić? Mam wieprzowinę i ziemniaki. Zjesz?

– Nie. – Pomógł jej wstać. – Dlaczego tak tu zimno?

– Piec nie działa, a burżujka jest w tamtym pokoju. Pożyczam od Sławina prymus. – Uśmiechnęła się, wędrując dłońmi po jego płaszczu. – Skarbie, może zaparzę ci herbaty?

– Zamarzniesz tu na śmierć. Masz ciepłe ubranie?

– Boże, ja cała płonę. – Przytuliła się do niego ze wszystkich sił.

Zdjął z leżanki koc i szybko ją okrył.

– Dlaczego nie śpisz na sofie?

Tatiana nie odpowiedziała, więc dotknął ściany. Popatrzyli na siebie w ciemności.

– Dlaczego oddałaś im cieplejszy pokój?

– Sami wzięli. Ich jest dwoje, ja jedna. Są bardzo smutni. On ma kłopoty z kręgosłupem… Szura, a może zrobić ci gorącą kąpiel? Napuszczę wody.

– Nie. Ubieraj się. Natychmiast. – Aleksander zapiął pas i wyszedł na korytarz. Rozczochrana Tatiana poszła za nim. Szura minął Ingę, wszedł do pokoju, w którym jej mąż czytał gazetę, i poprosił go, żeby zamienili się pokojami z Tatianą. Stanisław odparł, że nie zamierza się z nikim zamieniać. Aleksander na to, że owszem, zamieni się natychmiast, po czym zaczął przenosić rzeczy Tatiany z pokoju zimnego do ciepłego, a ich rzeczy z ciepłego do zimnego.

Stanisław stał w korytarzu i przez dobry kwadrans narzekał i klął. Mijając go, Tatiana szepnęła:

– Stanisławie Stiepanyczu, błagam, niech go pan nie prowokuje.

Ale Stanisław zlekceważył ostrzeżenie i kiedy Aleksander przechodził koło niego

z ciężkim kufrem, zaszedł mu drogę i rozwścieczony syknął:

– Za kogo ty się uważasz, co? Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Nie masz prawa mnie tak traktować.

Aleksander upuścił kufer, chwycił karabin, pchnął Krakowa na ścianę i dźgnął go lufą w szyję.

– Nie mam? – wrzasnął. – Ty skurwysynu! To ty nie wiesz, z kim masz do czynienia! Myślisz, że się ciebie boję? Źle trafiłeś, zasrańcu! Zjeżdżaj do tamtego pokoju i nie denerwuj mnie, bo nie ręczę za siebie. – Zacisnął zęby. – I ani mi się waż jej dokuczać, słyszysz? – Dźgnął go w szyję jeszcze raz i kopnął kufer, przewracając go na bok. – Masz. Zanieś go sobie sam.

Tatiana stała z boku i patrzyła. Nie przyszła z pomocą Stanisławowi, chociaż Szura mógł zrobić mu krzywdę. Inga zerknęła na nią i mruknęła:

– Chryste, przychodzą do ciebie sami wariaci. Chodź, Stanisławie, idziemy.

Krakow rozcierał sobie gardło. Zaczął coś mówić, ale Inga wrzasnęła:

– Przestań! Zamknij gębę i jazda stąd!

Tatiana weszła do pokoju, szybko ściągnęła z łóżka ich pościel, wyrzuciła ją na korytarz i rozesłała swoją.

– No, jest pewna różnica, co? – powiedział Aleksander siadając na sofie. – Chodź do mnie.

Tania pokręciła głową.

– Ach ty… Nie chce ci się jeść?

– Potem.

– Czy tym razem zdejmiesz płaszcz?

– Chodź tu, to ci powiem.

Padła mu w ramiona.

– Nie, nie zdejmuj. Nie zdejmuj niczego.

Napuściła wody do wanny, zaprowadziła go za rękę do ciasnej łazienki, rozebrała, namydliła, obmyła, wycałowała i rozpłakała się na widok jego rąk.

– Twoje biedne dłonie – powtarzała. – Biedne dłonie… – Miał mocno zaczerwienione palce, lecz zapewnił ją, że zagoją się bez najmniejszego śladu. Ślubną obrączkę nosił na szyi[24], tak samo jak ona.

– Ciepła woda?

– Tak, ciepła.

– Mogę jeszcze wstawić. A potem – dodała wesoło – przyjdę tu i cię obleję. Pamiętasz?

– Pamiętam – odrzekł bez uśmiechu.

– Och Szura… – Uklękła przy wannie, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go w mokre czoło. – Wiesz, możemy się w coś pobawić.

– Nie pora na zabawy, Taniu.

– Ta na pewno ci się spodoba – wymruczała. – Udajmy, że jesteśmy w Łazariewie, że ja myję patelnię, a ty głaszczesz mnie po palcach. Pamiętasz? – Zanurzyła ręce w wodzie.

– Pamiętam. – Szura zamknął oczy i lekko się uśmiechnął.

On wycierał się i ubierał, a ona poszła do kuchni i ugotowała mu na kolację niemal wszystko, co miała: ziemniaki, marchew i kawałek wieprzowiny. Zaniosła talerz do pokoju, usiadła na sofie i zafascynowana patrzyła, jak Szura je.

– Nie jestem głodna – powiedziała. – Jadłam w szpitalu. Jedz, kochany, jedz.

Podczas tej szalonej, bezsennej nocy opowiedziała mu to, co opowiedział jej Dmitrij:

o generale NKWD, o Lisim Nosie, o jego jednoznacznych aluzjach.

Aleksander wbił wzrok w sufit.

– Czekasz, aż odpowiem, zanim zadasz mi pytanie? – mruknął.

– Nie. O nic cię nie pytam. – Leżała w jego ramionach, bawiąc się obrączką.

– Nie będę o nim rozmawiał. Nie tutaj.

– Dobrze.

– Te ściany mają uszy. – Grzmotnął pięścią w ścianę.

– W takim razie wszystko już słyszały.

Pocałował ją w czoło.

– Naopowiadał ci kłamstw, Taniu.

– Wiem. – Roześmiała się cicho. – Ale powiedz mi, ile spelun jest w Leningradzie i dlaczego musiałeś szlajać się dokładnie po wszystkich?

– Taniu, spójrz na mnie.

Spojrzała.

– To nieprawda. Przecież…

– Szura, ja wiem. – Pocałowała go w pierś i okryła ich dwoma wełnianymi kocami. – Dzisiaj jest tylko jedna prawda.

– Tak, tylko jedna – odrzekł, wpatrując się w ciemność. – Och Taniu…

– Ciii…

– Masz swoje zdjęcie? Takie, które mogłabyś mi dać?

– Jutro poszukam. Boję się pytać, ale… Kiedy musisz wracać?

– W niedzielę.

Ścisnęło jej się serce.

– Tak szybko…

– Ilekroć biorę urlop, pułkownik nadstawia za mnie karku.

– To dobry człowiek. Podziękuj mu ode mnie.

– Tatiano, któregoś dnia będziemy musieli porozmawiać o składaniu i dotrzymywaniu obietnic. Kiedy dajesz komuś słowo, musisz go dotrzymać. – Pogłaskał ją po głowie.

– Wiem.

– Nie. Ty umiesz tylko obiecywać i jesteś w tym bardzo dobra. Ale z dotrzymywaniem obietnic masz wielkie trudności. Obiecałaś, że zostaniesz w Łazariewie.

– Bo tego chciałeś – odrzekła w zadumie Tatiana i wcisnęła się w zagłębienie jego ramienia. – Nie dałeś mi wyboru. – Nie mogła się go natulić. – Byłam w takim stanie, że przyrzekłabym ci wszystko. – Nie, ramię to za mało. Usiadła mu na brzuchu. – No i przyrzekłam. – Pocałowała go w usta. – Chciałeś, to przyrzekłam. Zawsze robię to, co chcesz.

Pogłaskał ją czule po plecach.

– Nie, ty zawsze robisz swoje. Ale przyznaję, że cudownie jęczysz.

– Hmm… – Otarła się piersiami o jego pierś.

– Tak, w tym też jesteś znakomita. – Miał coraz bardziej natarczywe dłonie. – I zawsze potrafisz znaleźć odpowiednie słowa. Tak, Szura, naturalnie. Obiecuję, Szura. Kocham cię, Szura. A potem i tak robisz, co chcesz.

– Kocham cię, Szura – szepnęła, zraszając jego twarz łzami.

Dręczyło ją tyle smutków, tyle chciała mu powiedzieć i z zaskoczeniem stwierdziła, że on też nie wszystko jej wyznał. Czuła, że coś nie daje mu spokoju, że Szura z trudem nad sobą panuje. Wiedziała jednak, że wieczna listopadowa noc jest zbyt krótka na

roztrząsanie nieszczęść, zbyt krótka na analizowanie tego, co oboje czuli – po prostu za krótka. Aleksander chciał usłyszeć jej podniecający jęk, więc jęczała, zapominając o Indze i Stanisławie, którzy spali tuż za ścianą. Przy migotliwym świetle bijącym z drzwiczek burżujki kochała się z nim, pieściła go i tuliła, nie mogąc powstrzymać się od płaczu, ilekroć osiągał spełnienie, ilekroć osiągali je razem. Kochała się z nim z oddaniem skowronka, który wyruszając na południe, wie, że albo doleci do ciepłych krajów, albo zginie.

– Biedne ręce – szeptała, całując szramy na jego palcach i nadgarstkach. – Ale zagoją się, prawda? Nie będzie blizn?

– Twoje zagoiły się bez blizn.

– Uhm – szepnęła, wspominając, jak przed rokiem gasiła pożar na dachu ich domu. – Nie wiem dlaczego.

– A ja wiem – szepnął. – To tyje zagoiłaś. Zagój i moje, Taniu.

– Żołnierzu mój. – Rozpaczliwie przytuliła mu głowę do piersi. – Żołnierzu jedyny…

– Nie mogę oddychać.

Objęła go tak jak kiedyś, tam, w Łazariewie, i z tego samego powodu.

– Otwórz usta. Będę oddychała za ciebie.

5

Nazajutrz rano, zanim wyszli z pokoju, Tatiana objęła go i powiedziała:

– Bądź miły. – Po czym otworzyła drzwi.

– Zawsze jestem miły – odrzekł Aleksander.

Krakowowie siedzieli w korytarzu. Stanisław wstał, wyciągnął do niego rękę, przedstawił się, przeprosił za wczorajsze, wskazał mu miejsce na sofie i poczęstował papierosem. Aleksander co prawda nie usiadł, ale papierosa przyjął.

– Wiem, że ciężko dzisiaj żyć, wszystkim i każdemu z osobna – powiedział Stanisław. – Ale niedługo wszystko się zmieni. Wiecie, co mówi nasza partia? – spytał, uśmiechając się przymilnie.

– Nie, towarzyszu, nie wiem – odparł Aleksander, zerkając na Tatianę, która stała obok, trzymając go za rękę.

– Że byt kształtuje świadomość. Do każdych warunków można przywyknąć. Nowy byt, nowi ludzie.

– Ale Stanisławie – wtrąciła płaczliwie Inga. – Ja nie chcę tak żyć! Mieliśmy ładne mieszkanie i chcę mieć takie samo.

– Cierpliwości. Rada obiecała nam dwupokojowe.

– Jak myślicie – rzucił Aleksander – długo przyjdzie nam tak żyć, zanim byt ukształtuje naszą nową świadomość? I jak ją ukształtuje? Jak nas odmieni? – Spojrzał posępnie na Tatianę.

Nie spodobał jej się wyraz jego oczu.

– Szura, kochanie – powiedziała – mam trochę kaszy. Zjesz?

Zaciągając się mocno dymem, kiwnął głową.

Kiedy wróciła z dwiema miskami kaszy i kubkiem kawy, Stanisław opowiadał właśnie o sobie i żonie. Pobrali się przed dwudziestu laty, oboje byli inżynierami i wieloletnimi członkami Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

Aleksander szybko przeprosił ich i nie czekając na Tatianę, wszedł do pokoju.

Tania zjadła kaszę z Krakowami, zbywając milczeniem ciekawskie pytania Ingi o Aleksandra. Potem zmyła naczynia z wieczora, posprzątała w kuchni i w końcu niechętnie wróciła do pokoju. Podświadomie zwlekała. Nie chciała zostawać z Aleksandrem sam na sam.

Szura pakował jej rzeczy. Łypnął na nią spode łba i warknął:

– Do tego chciałaś wrócić? Brakowało ci tych… tych obcych? Tych komunistów, którzy z uchem przy ścianie czatują na każde twoje słowo i każdy jęk? Za tym tęskniłaś?

– Nie – odparła. – Za tobą.

– Nie ma tu dla mnie miejsca. Dla ciebie też nie.

Obserwowała go chwilę, po czym spytała, co robi.

– Pakuję rzeczy.

– Pakujesz rzeczy – powtórzyła spokojnie, zamykając za sobą drzwi. Zaczyna się, pomyślała. Próbowałam tego uniknąć, ale nie zdołałam. – Dokąd wyjeżdżamy?

– Na drugi brzeg Ładogi. Zawiozę cię do Siastroju, potem wsiądziemy do wojskowej ciężarówki i pojedziemy do Wołogdy. Tam złapiesz pociąg. Musimy iść. To daleko, a jutro wieczorem muszę być w Morozowie.

Tatiana energicznie pokręciła głową.

– Co? – warknął niecierpliwie Aleksander. – O co chodzi?

Tatiana ponownie pokręciła głową.

– Ostrzegam cię, Taniu. Nie prowokuj mnie.

– Dobrze. Ale ja stąd nie wyjadę.

– Owszem, wyjedziesz.

– Nie – powtórzyła cichutko.

– Wyjedziesz! – krzyknął.

– Nie podnoś na mnie głosu – szepnęła.

Aleksander rzucił plecak na podłogę, podszedł do niej i zbliżył twarz do jej twarzy.

– Tatiano, za sekundę podniosę na ciebie coś innego.

Było jej tak smutno… Wyprostowała się i odważnie spojrzała mu w oczy.

– Nie boję się ciebie, Szura.

– Nie? – Zacisnął zęby. – A ty mnie przerażasz. – Podniósł plecak.

Tatianie przypomniał się pierwszy dzień wojny i Pasza, który mówił:

nie, nie chcę jechać. I ojciec, który wysłał go na spotkanie śmierci.

– Przestań – powiedziała. – Nigdzie nie pojadę.

Odwrócił się do niej z twarzą wykrzywioną gniewem.

– Pojedziesz! Pojedziesz. Zawiozę cię do Wołogdy, nawet jeśli będziesz gryzła mnie i drapała.

Tania zrobiła pół kroku do tyłu.

– Doskonale. Nie będę cię gryzła ani drapała, ale kiedy tylko wyjedziesz, wrócę do Leningradu.

Plecak śmignął tuż obok jej głowy. Aleksander doskoczył do Tatiany i grzmotnął pięścią w ścianę tak mocno, że wybił w tynku dziurę.

Zatrzęsły jej się nogi. Zamknęła oczy, cofnęła się jeszcze pół kroku i znieruchomiała.

– Kurwa mać! – ryknął rozwścieczony, grzmocąc w ścianę tuż obok jej głowy. – Czy ty kiedyś mnie posłuchasz? Chociaż raz w życiu! Czy chociaż raz w życiu zrobisz, co ci każę?! – Chwycił ją za ramiona i mocno przygniótł do ściany.

– Szura, tu nie wojsko – szepnęła Tatiana drżącym głosem, bojąc się na niego spojrzeć.

– Nie zostaniesz tu, rozumiesz?

– Zostanę – odparła cichutko.

Ktoś zapukał do drzwi. Aleksander szarpnął klamką, otworzył je i wrzasnął:

– Czego?

– Chciałam tylko sprawdzić, czy z Tanią wszystko w porządku – wymamrotała wystraszona Inga. – Słyszałam hałas, krzyki…

– Nic mi nie jest, Ingo, dziękuję – odrzekła Tatiana, odsuwając się chwiejnie od ściany.

– Zanim skończymy, usłyszycie o wiele więcej – warknął Aleksander. – Przytknijcie tylko szklankę do ściany! – Zatrzasnął drzwi, odwrócił się na pięcie i ruszył na Tanię, która cofnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce.

– Szura, proszę…

Lecz on, rozwścieczony i niepowstrzymany, podszedł jeszcze bliżej i pchnął ją na sofę. Tania upadła, zasłoniła sobie twarz, lecz Aleksander odtrącił jej ręce i wrzasnął:

– Nie zasłaniaj sobie twarzy! – Ścisnął palcami jej policzki i potrząsnął. – Nie doprowadzaj mnie do szału, słyszysz?!

Tatiana krzyknęła, na próżno próbując go odepchnąć.

– Przestań! – wydyszała. – Przestań…

– Chcesz zginąć czy bezpiecznie przeżyć? – wrzasnął. – Zginąć czy przeżyć?

Kurczowo obejmując go za ręce, chciała odpowiedzieć, lecz nie mogła. Zginąć, Szura, wolę zginąć.

– Widzisz, co się ze mną dzieje, kiedy tu jesteś? – Tania zaczęła się szarpać, więc ścisnął jej policzki jeszcze mocniej. – Widzisz, ale gówno cię to obchodzi!

Tatiana znieruchomiała i przykryła dłońmi jego dłonie.

– Proszę – szepnęła, próbując pochwycić jego spojrzenie. – Przestań, to boli.

Zwolnił uścisk, lecz rąk nie cofnął. Tania nie odsunęła się, chociaż trudno jej było oddychać. Leżała na sofie, ciężko posapując, on leżał na niej i sapał jeszcze głośniej. Poprzez ogłuszający ryk, który rozsadzał jej czaszkę, usłyszała odległe wycie syren i wybuchy za oknem. Odwróciła głowę; czuła, że zaraz się udusi. Objęła go za szyję.

– Och Szura… – szepnęła.

Aleksander wstał i nagle upadł przed nią na kolana.

– Tatiano – powiedział załamującym się głosem. – Ten nieszczęsny łajdak błaga cię, żebyś wyjechała. Jeśli kochasz mnie choć trochę, proszę, wróć do Łazariewa. Przeżyj. Dla mnie. Nie wiesz nawet, co ci tu grozi.

Tatiana usiadła na brzegu sofy i przyciągnęła go do siebie. Wciąż drżała, wciąż brakowało jej tchu. Dobijało ją to, że tak bardzo się zdenerwował.

– Przepraszam, że cię rozgniewałam – szepnęła, głaszcząc go po twarzy. – Proszę, nie bądź na mnie zły.

Przytrzymał jej ręce.

– Słyszysz te wybuchy? Słyszysz czy ogłuchłaś? Nie widzisz, że tu nie ma co jeść?

– Jest – odrzekła łagodnie i znowu go pogłaskała. – Dostaję siedemset gramów chleba dziennie, do tego obiad i kolację w szpitalu. Dobrze sobie radzę – dodała z uśmiechem. – O wiele lepiej niż w zeszłym roku. A bomby i pociski mam gdzieś.

– Tatiano…

– Szura, nie kłam. To nie Niemcy cię przerażają. Powiedz: czego się boisz?

Nad ulicą świsnęło kilka pocisków. Jeden wybuchł bardzo blisko. Tatiana przytuliła Aleksandra jeszcze mocniej.

– Posłuchaj. Słyszysz? To moje serce.

Zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Dobry Boże, dodaj mi siły. Nie proszę o to dla siebie, tylko dla niego. On bardzo mnie potrzebuje, dlatego błagam, nie pozwól, żebym teraz osłabła.

Odepchnęła go delikatnie, wstała i podeszła do toaletki.

– Zostawiłeś coś, Szura. Tam, w Łazariewie.

Aleksander opadł ciężko na sofę.

Tatiana rozerwała mankiet spodni i wyjęła zwitek banknotów.

– Zostawiłeś mnie i to. Pięć tysięcy dolarów. Przyjechałam, żeby ci je zwrócić. Zabrałeś tylko połowę. Dlaczego? – Dość. Przestań. Weź głęboki oddech.

W jego piwnych oczach miłość mieszała się z bólem.

– Nie będę o tym rozmawiał mając Ingę za drzwiami – odrzekł, ledwo poruszając ustami.

– Dlaczego? Przecież kłócimy się przy nich i kochamy.

Uciekli od siebie wzrokiem. Tatiana czuła, że coś się między nimi rozpada. Kto pozbiera te roztrzaskane i zmiażdżone kawałki? Ona. Pozbiera je i sklei. Zostawiwszy pieniądze na toaletce, podeszła bliżej i usiadła mu na kolanach.

– To nie Łazariewo, prawda, Szura? – szepnęła mu we włosy.

Objął ją i załamującym się głosem odrzekł:

– Nie, Tatiu, już nie.

Kochała się z nim, krucha i bezbronna, tuląc się do niego, modląc, pragnąc, by ją wchłonął, przebił, uratował i zabił, chcąc dać mu wszystko i nie żądając dla siebie niczego. Pragnęła jedynie oddać mu to, co utracił: pragnęła zwrócić mu życie. W końcu rozpłakała się. Rozpalona, wyczerpana i nasycona, ciężko oddychała i płakała.

– Tatiasza – szepnął Aleksander. – Przestań. Co ma myśleć mężczyzna, którego żona płacze, ilekroć się z nim kocha?

– Że należy tylko do niej – odrzekła, obejmując go za głowę. – Że jest jej jedyną rodziną. Jej całym życiem.

– Ona jego życiem, ale on nie płacze. – Leżał tyłem do niej i nie widziała jego twarzy.

Po alarmie ubrali się i wyszli.

– Za zimno na spacery – powiedziała, tuląc się do jego ramienia.

– Dlaczego nie włożyłaś czapki?

– Żebyś widział moje włosy – odrzekła z uśmiechem. – Wiem, że ci się podobają.

Aleksander zdjął rękawiczkę i pogłaskał ją głowie.

– Zmarzniesz, zawiążę ci szalik.

– Nie, nie trzeba. – Wzięła go pod rękę. – Podoba mi się twój nowy płaszcz. Jest duży, jak namiot. – Posmutniała. Namiot. Nie powinna była tego mówić. Zbyt dużo wspomnień z Łazariewa. Niektóre słowa po prostu już takie są. Symbolizują całe życie. Wszystkie duchy, smutki i rozkosze. Najprostsze słowo i nagle odebrało jej mowę. – Musi być ciepły – dodała cicho.

– W przyszłym tygodniu dostanę coś lepszego niż namiot. Dadzą mi własny pokój w kwaterze głównej, zaledwie pięcioro drzwi od Stiepanowa. Ogrzewany. Ciepły.

– To dobrze. Masz koc?

– Przykrywam się płaszczem, ale tak, mam i koc. Jest wojna, Taniu, ale jakoś sobie poradzę. Dokąd chcesz iść?

– Do Łazariewa – odrzekła, nie śmiejąc podnieść głowy. – Z tobą. A jeśli nie tam, może do Ogrodu Letniego?

Aleksander ciężko westchnął.

– Zatem do Ogrodu Letniego.

Długo szli w milczeniu. Tatiana trzymała go pod rękę i co chwilę tuliła się do jego ramienia. W końcu nie wytrzymała.

– Porozmawiaj ze mną, Szura. Powiedz, co się dzieje. Jesteśmy sami. Mamy odrobinę prywatności. Mów. Dlaczego wziąłeś połowę pieniędzy?

Aleksander milczał. Tania czekała. Na próżno. Przytknęła policzek do jego rękawa. Wciąż nic. Popatrzyła na brejowaty śnieg pod nogami, na przejeżdżający ulicą autobus, na konnego milicjanta, na odłamki szkła na chodniku, na czerwone światła na pobliskim skrzyżowaniu. Aleksander się nie odzywał.

Tania westchnęła. Dlaczego to dla niego takie trudne? Trudniejsze niż zwykle.

– Szura, dlaczego nie wziąłeś wszystkich pieniędzy?

– Zostawiłem ci to, co było moje.

– Jak to? Przecież wszystkie należą do ciebie. O czym ty mówisz?

Znowu milczenie.

– Aleksandrze, po co wziąłeś pięć tysięcy dolarów? Jeśli chcesz uciec, potrzebna ci będzie cała kwota. Jeśli nie, nie będziesz potrzebował ani dolara. Dlaczego wziąłeś tylko połowę?

Głucha cisza. Było jak w Łazariewie. Tatiana zadawała pytanie, Aleksander zaciskał usta, popadał w zamyślenie, odpowiadał, a ona przez godzinę rozszyfrowywała to, co kryło się za pojedynczymi słowami. Lisi Nos, Wyborg, Helsinki, Sztokholm, Jurij Stiepanow: ledwie kilka sylab, pośród których tkwił on, milczący Szura.

Poirytowana odsunęła się od niego.

– Wiesz co? Ta gra zaczyna mnie męczyć. Mam dość. Albo powiesz mi wszystko, niczego nie zatajając, bez tych głupich zgadywanek, w których próbuję się czegoś domyślić i z reguły domyślam się źle, albo zabieraj swoje rzeczy i wracaj na front. Wybór należy do ciebie. – Byli nad Fontanką. Tatiana przystanęła i założyła ręce.

On też przystanął, ale wciąż milczał.

– Namyślasz się? – Pociągnęła go za rękę, próbując przeniknąć jego wykrzywioną bólem twarz, i nie potrafiąc ukryć wzburzenia, dodała: – Wiem, że to ubranie, ten mundur, ten płaszcz, służy ci za zbroję. Wkładasz ją i nie musisz już nic mówić. Ale wiem też, że kiedy ją zdejmiesz, kiedy się ze mną kochasz, jesteś zupełnie bezbronny i gdybym tylko była silniejsza, mogłabym o wszystko cię wypytać, a ty niczego byś nie ukrywał. Kłopot z tym, że… – Załamał jej się głos. – Że nie jestem silniejsza. Że jestem wobec ciebie tak samo bezbronna jak ty wobec mnie. Boisz się, że cię przejrzę, że dostrzegę twoją udrękę, ból i to, że się ze mną żegnasz. Tak, żegnasz się ze mną, dlatego kiedy się kochamy, odwracasz mnie na brzuch, myśląc, że skoro tego nie widzę, na pewno nic nie wyczuję. – Boże, pomyślała płacząc. Gdzie moja siła?

– Taniu, proszę cię, przestań – szepnął, patrząc na drugą stronę ulicy.

– Ale ja to czuję, Szura. – Otarła twarz i wzięła go za rękę, lecz Aleksander ją wyszarpnął. – Tak, przyjechałeś tu zły i zdenerwowany, bo myślałeś, że pożegnałeś się ze mną na zawsze w Łazariewie…

– Nie dlatego byłem zły i zdenerwowany.

– Tymczasem okazuje się, że będziesz musiał pożegnać się ze mną tu, w Leningradzie. Ale musisz zrobić to, patrząc mi w twarz, dobrze?

Spojrzała mu w udręczone oczy.

Ona podeszła bliżej, on się cofnął. Jakiegoż walca tańczą tego zimnego poranka? Jednakże serce Tatiany było silne, serce Tatiany mogło to wytrzymać.

– Aleksandrze, ja wiem. Myślisz, że nie wiem? Nie robię nic innego, tylko analizuję to, co mi mówisz. Chciałeś uciec do Ameryki, odkąd tylko przyjechaliście do Związku Radzieckiego. Perspektywa ucieczki utrzymywała cię przy życiu przez wszystkie lata, które spędziłeś w wojsku, przez wszystkie lata, które upłynęły, zanim mnie poznałeś. Nadzieja, że pewnego dnia wrócisz do domu. – Wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej dłoń. – Mam rację?

– Tak – odrzekł. – Ale potem spotkałem ciebie.

Ale potem spotkałem ciebie… Dość, przestań. Och, to zeszłoroczne lato, te białe noce nad Newą, Ogród Letni, północne słońce, jego roześmiane oczy. Spojrzała mu w twarz. Chciała coś powiedzieć. Gdzie podziały się słowa, które tak dobrze znała? Uleciały akurat wtedy, gdy najbardziej ich potrzebowała.

Aleksander pokręcił głową.

– Taniu, dla mnie jest już za późno. Odkąd ojciec postanowił zrezygnować z życia, jakie wiedliśmy w Ameryce, byliśmy skazani na zagładę. Przeczułem to jako pierwszy. Potem przejrzała na oczy matka. Na końcu ojciec, ale on odczuł to najboleśniej. Matce było lżej, bo mogła obarczać winą jego. Ja uciekłem w młodość, potem do wojska, ale na kogo miał zwalić winę on?

Tatiana zacisnęła ręce na klapach jego płaszcza, nie chcąc uronić ani słowa, ani jednego oddechu. Objął ją i przytulił.

– Kiedy cię znalazłem, jeszcze przed Daszą i Dmitrijem, przez tych kilka wspólnie spędzonych godzin czułem, że może jednak uda mi się żyć inaczej. – Uśmiechnął się gorzko. – Odzyskałem nadzieję, odzyskałem poczucie sensu istnienia… Nie potrafię tego wyjaśnić ani zrozumieć. – Przestał się uśmiechać. – A potem dały o sobie znać realia naszego radzieckiego życia. Sama widziałaś, próbowałem od ciebie uciec. Myślałem: muszę trzymać się od niej z daleka. Po prostu muszę. Przed Ługą. Po Łudze. Po tym, jak byłem u ciebie w szpitalu. Po naszej rozmowie w soborze, po tym, jak Niemcy zamknęli pierścień wokół Leningradu. – Pokręcił głową. – Powinienem był lepiej się postarać…

– Nie chciałam, żebyś się starał – szepnęła Tatiana.

– Och, Taniu, gdybym tylko nie pojechał do Łazariewa!

– Co ty mówisz? – Zbladła. – Co ty mówisz? Jak możesz żałować… – Nie dokończyła. Jak mógł tego żałować? Patrzyła na niego zaszokowana.

Aleksander nie odpowiedział.

– Ładny mi sens istnienia. Odkąd cię poznałem, raniłem cię tylko i wciągałem w otchłań zagłady. – Potrząsnął głową tak gwałtownie, że spadła mu czapka.

Tatiana podniosła ją i oczyściła ze śniegu.

– Co ty mówisz? Raniłeś mnie? Przestań, to już minęło. Szura, byłam i jestem z tobą z własnej woli. – Zmarszczyła czoło. – Jakiej zagłady? Nie jestem skazana na zagładę. – Nic z tego nie rozumiała. – Jestem szczęśliwa.

– Jesteś ślepa.

– To otwórz mi oczy. – Jak kiedyś, Szura, jak kiedyś.

Otuliła się szalikiem. Pragnęła zwinąć się w kłębek przy ognisku, pragnęła wrócić do Łazariewa.

Aleksander walczył ze strachem. Odwrócił się, ruszył przed siebie i powiedział:

– Wziąłem pięć tysięcy dolarów, bo chciałem dać je Dmitrijowi. Próbowałem namówić go, żeby uciekł sam…

Tatiana roześmiała się posępnie.

– Przestań. – Pokręciła głową. – Tego się właśnie domyślałam. Człowiek, który nie chciał przejść ze mną pięciuset metrów po zamarzniętym jeziorze? I ten człowiek miałby uciec sam do Ameryki? Daj spokój.

Przystanęli na czerwonym świetle za Zamkiem Inżynieryjnym. Zimą poprzedniego roku urządzono tam szpital. Od tamtego czasu gmach zbombardowano tyle razy, że trudno go było rozpoznać.

– Dmitrij nie ucieknie sam – kontynuowała Tatiana. – Nigdy. Mówiłam ci, to tchórz i pasożyt. Żywi się tobą i twoją odwagą. Co ci przyszło do głowy? Kiedy tylko zda sobie sprawę, że z nim nie uciekniesz, że będzie musiał zostać w kraju bez cienia nadziei na lepsze życie, pójdzie do swego nowego przyjaciela z NKWD i natychmiast cię…

Urwała. Nagle coś do niej dotarło. Miał taką nieszczęśliwą twarz.

– Przecież o tym wiesz. Wiesz, że bez ciebie… Przecież wiesz.

Aleksander milczał.

Znowu ruszył przed siebie okaleczonym wybuchami mostem nad Fontanką, przeskakując gruz i kawałki granitu.

– Po co w ogóle o tym mówić? – Trąciła go lekko w rękę i pełna niewytłumaczalnego lęku, zajrzała mu w oczy. Nie mogła uwierzyć, że Aleksander boi się o siebie. Jeśli nie o siebie, w takim razie o kogo?

– Chyba nie chodzi ci o mnie… – Słowa utknęły jej w gardle. Spadły jej łuski z oczu, otworzyło się serce. Pojęła prawdę, lecz prawda ta w żaden sposób nie przystawała do Aleksandra. Było to raczej rozświetlające prawdę przerażenie. Prawda rozjaśniająca kąty obskurnego pokoju, w którym gnije sufit i meble, w którym odpada tynk. Gdy Tania ujrzała, co jej zostało…

Zaszła Aleksandrowi drogę. W tę ponurą leningradzką sobotę zrozumiała zbyt wiele rzeczy. Szura myślał o niej. Myślał tylko o niej.

– Powiedz – zaczęła cicho – co robią z żonami wysokich oficerów Armii Czerwonej, na których ciąży podejrzenie zdrady stanu? Aresztują je jako agentki obcego wywiadu? Co robią żonom Amerykanów, które wyskakują z pociągu w drodze do więzienia?

Aleksander zamknął oczy.

Cóż za nagła odmiana. Jego oczy były zamknięte, jej szeroko otwarte.

– Boże, Szura… Co robią z żonami dezerterów?

Aleksander nie odpowiedział. Próbował ją obejść, lecz go zatrzymała.

– Nie odwracaj się ode mnie. Powiedz, co komisarz NKWD robi z żonami żołnierzy, którzy zdezerterowali, którzy zbiegli na fińskie bagna? Co robią z ich kobietami, które zostały w kraju?

Aleksander milczał.

– Szura! – krzyknęła Tatiana. – Co zrobią ze mną ci z NKWD? To samo, co z żonami zaginionych w akcji? Z żonami jeńców wojennych? Zostanę profilaktycznie zatrzymana? Tak to się mówi? Tak nazwał to Stalin? I co to właściwie znaczy?

Aleksander wciąż milczał.

– Szura! – Nie, nie zamierzała pozwolić mu odejść. Nie teraz, nie w tej chwili. – To znaczy, że mnie rozstrzelają, tak? Tak?!

Dyszała jak po ciężkim biegu.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem w oczach, wdychając mokre, zimne, szczypiące w nos powietrze. Pomyślała o Kamie, o zimnej wodzie omywającej jej nagie ciało, splecione z jego ciałem, o Aleksandrze, który próbował ukryć się przed nią w zakamarkach swojej duszy z nadzieją, że nikt go tam nie znajdzie. Ale w Łazariewie widziała jedynie słońce wschodzące nad Kamą. Wszystko wyszło na jaw dopiero tu, w Leningradzie. Na jaw wyszła i ciemność, i jasność, i noc, i dzień.

– Naprawdę chcesz powiedzieć, że bez względu na to, co zrobisz, mój los jest już przypieczętowany?

Aleksander odwrócił od niej udręczony wzrok.

Tatianie spadł szalik. Podniosła go sztywno i znieruchomiała.

– Nic dziwnego, że nie mogłeś mi powiedzieć – szepnęła. – Ale jak to się stało, że tego nie widziałam?

– Jak? Bo nigdy nie myślisz o sobie. – Aleksander zdjął karabin z ramienia i nie patrząc na nią, zaczął przestępować z nogi na nogę. – Dlatego chciałem, żebyś została w Łazariewie. Chciałem, żebyś trzymała się jak najdalej od Leningradu, jak najdalej ode mnie.

Tatiana zadrżała. Schowała ręce do kieszeni.

– Na co liczyłeś? – spytała cicho. – Że w Łazariewie byłabym bezpieczna? – Pokręciła głową. – Myślisz, że by mnie nie znaleźli? Wiejska rada narodowa jest dwa kroki od łaźni. Przysłaliby do nich telegram z rozkazem, żeby zaprosić mnie na małe przesłuchanie.

– Właśnie dlatego tak bardzo mi się tam podobało – odrzekł Aleksander. – W radzie nie

ma telegrafu.

– Dlatego? Tylko dlatego?

Szura zwiesił głowę. Oczy przestały mu błyszczeć, z ust leciała biała para.

– Teraz już wiesz? – spytał. – Już rozumiesz?

– Tak, teraz już wiem. I wszystko rozumiem. – Otworzyłeś mi oczy.

– A więc rozumiesz, że czeka nas tylko jedno?

Zmrużyła oczy, zrobiła krok do tyłu, zaplątała się w szalik i upadła. Aleksander pomógł jej wstać i natychmiast się cofnął. Tania widziała, że nie jest w stanie dłużej jej dotykać. Przez chwilę ona też nie mogła dotknąć jego, ale tylko przez chwilę. Początkowo otaczał ją gęsty mrok, lecz nagle w mroku tym dostrzegła światło. Zabrakło jej tchu. Światło. Światło! Dostrzegła je hen, daleko, i pofrunęła ku niemu z tak wielką ulgą, jakby zdjęto jej z pleców olbrzymi ciężar. Jej i jemu.

Spojrzała na niego oczami najczystszymi z najczystszych.

Zaskoczony Aleksander zmarszczył czoło. Tania wyciągnęła do niego ręce.

– Szura, popatrz, popatrz. Otacza cię ciemność, ale przed tobą stoję ja! Widzisz? – spytała cicho. – Widzisz mnie?

– Tak – szepnął.

Tania podeszła bliżej. Aleksander ukląkł.

Tatiana patrzyła na niego chwilę i uklękła przed nim. Szura ukrył twarz w trzęsących się dłoniach.

– Kochany – powiedziała. – Żołnierzu mój, mężu. Boże, Szura, nie bój się. Spójrz na mnie.

Nie spojrzał. Nie mógł.

– Szura. – Zacisnęła pięści, żeby się uspokoić. Przestań. Oddychaj. Błagaj o siłę. – Myślisz, że czeka nas tylko śmierć? Pamiętasz, co powiedziałam ci w Łazariewie? Nie pamiętasz? Nie zniosę myśli, że mógłbyś zginąć. I zrobię wszystko, co tylko mogę w tym krótkim, żałosnym życiu, żeby do tego nie dopuścić. W Związku Radzieckim nie masz szans. Żadnych szans. Zabiją cię albo Niemcy, albo komuniści. To ich główny cel. Jeśli zginiesz na wojnie, do końca życia będę jadła trujące grzyby, sama i bez ciebie. Dobrze o tym wiesz. Ty poświęciłbyś to, co masz najcenniejszego, a ja żyłabym w wiecznym mroku. – Weź się w garść, Taniu, bądź silna! – Chciałeś, żebym cię wypuściła? Chciałeś uwolnić się od mojej wiernej twarzy? – Załamał jej się głos. – Oto moja twarz. – Jakże pragnęła, żeby na nią spojrzał. – Jedź, Aleksandrze! Uciekaj do Ameryki i nie oglądaj się za siebie. – Odpocznij. Weź oddech. Jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Nie mogła nawet otrzeć oczu. Trudno, pomyślała, popłakałam się, ale chyba nieźle mi poszło. Zresztą nie patrzył na mnie.

Aleksander oderwał ręce od twarzy i patrzył na nią długą chwilę.

– Czyś ty zwariowała? – powiedział powoli. – Przestań się wygłupiać, i to natychmiast.

– Szura, nie wyobrażałam sobie, że można kochać kogoś tak, jak ja kocham ciebie. Bez wahania oddałabym za ciebie życie. Zrób to dla mnie. Uciekaj! Wracaj do domu i nie myśl o mnie więcej.

– Daj spokój, Taniu, nie mówisz tego poważnie.

– Co takiego? – wykrzyknęła, wciąż klęcząc. – Czego nie mówię poważnie? Tego, że wolałabym, byś przeżył w Ameryce niż zginął tutaj? Myślisz, że bredzę? Szura, przecież to jedyny sposób. – Czekała, aż Aleksander coś powie, lecz on milczał. – Wiem, co zrobiłabym na twoim miejscu.

Pokręcił głową.

– Co byś zrobiła? Zostawiłabyś mnie, żebym zginął? Zostawiłabyś mnie przy Piątej Radzieckiej z Ingą i Stanisławem, samotnego i osieroconego?

Tatiana zagryzła wargę. Teraz. Miłość albo prawda.

Wygrała miłość.

– Tak – szepnęła. – Wybrałabym Amerykę.

Aleksander jęknął.

– Chodź tu, moja kłamczucho – odrzekł, obejmując ją czule.

Klęczeli na odłamkach granitu. Na rzece tworzył się pierwszy lód.

– Szura – tchnęła mu w szyję – posłuchaj. Bez względu na to, jak się obrócimy, nie mamy żadnych szans. Bez względu na to, co zrobimy, nic mnie nie uratuje, dlatego proszę, proszę cię…

– Taniu! – krzyknął. – Boże, nie zamierzam tego słuchać. – Odepchnął ją i z karabinem w ręku zerwał się na równe nogi.

Wciąż klęcząc, spojrzała na niego błagalnie.

– Możesz się uratować, Aleksandrze Barrington. Ty. Mój mąż. Jedyny syn swego ojca. Jedyny syn swojej matki. – Wyciągnęła do niego ręce. – Jestem Paraszą – szepnęła. – I ceną za resztę twego życia. Proszę! Kiedyś przeżyłam tylko dla ciebie. Spójrz: padłam przed tobą na kolana. Błagam cię, Szura. Przeżyj teraz dla mnie.

– Tatiano! – Szarpnął ją za rękę tak mocno, że zawisła w powietrzu i przywarła do niego ze wszystkich sił. – Nie będziesz ceną za resztę mojego życia! – Postawił jąna ziemi. – A teraz przestań. Dość tego.

– Nie przestanę.

– Przestaniesz.

– Wolisz, żebyśmy oboje zginęli? – wyszlochała. – Naprawdę wolisz? Tyle cierpienia, tyle poświęceń i wszystko na próżno? – Potrząsnęła go za ramiona. – Zwariowałeś? Musisz uciekać! Słyszysz? Uciekniesz i zbudujesz sobie nowe życie.

Aleksander odepchnął ją, cofnął się kilka kroków i wskazał drugi brzeg rzeki.

– Jeśli natychmiast nie zamilkniesz, przysięgam Bogu, że odejdę i już nigdy nie wrócę!

Tatiana wyciągnęła rękę w tę samą stronę.

– Właśnie tego chcę! Idź. Uciekaj. Byle daleko, Szura. Jak najdalej.

– Na miłość boską! – Trzasnął karabinem w lód. – W jakim świecie ty żyjesz? Myślisz, że co? Że możesz przylecieć tu jak wróżka na skrzydłach i powiedzieć: jedź, Szura, jedź? Jak mógłbym cię zostawić? Naprawdę myślisz, że bym mógł? Nie zostawiłbym obcego w lesie, a miałbym zostawić ciebie?!

– Nie wiem. – Tania skrzyżowała ręce na piersiach. – Ale lepiej coś wymyśl, wielkoludzie.

Umilkli. Co teraz? Uważnie go obserwowała.

– Nie widzisz, że to niemożliwe? – rzucił. – Że pleciesz bzdury? Naprawdę tego nie widzisz czy postradałaś zmysły?

Czuła, wiedziała, że to niemożliwe.

– Tak – odparła – postradałam zmysły. – Ale ty musisz stąd odejść.

– Bez ciebie nigdzie nie pójdę, rozumiesz? Chyba że pod ścianę.

– Szura, musisz uciekać…

– Przestań! – wrzasnął. – Jeśli nie przestaniesz…

– Szura! – krzyknęła rozdzierająco. – Jeśli ty nie przestaniesz, wrócę na Piątą Radziecką i natychmiast powieszę się nad wanną, żebyś mógł spokojnie uciec! Rozumiesz?!

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Ona na niego.

On na nią.

Potem Aleksander otworzył ramiona, Tania padła w nie, a on objął ją i już nie puścił. I stali tak na moście, wtuleni w siebie i zasłuchani w bicie swych serc.

– Zawrzyjmy układ, Tatiasza – szepnął w końcu Aleksander. – Ja ci przyrzeknę, że zrobię wszystko, żeby przeżyć, a ty przyrzekniesz, że będziesz trzymała się z daleka od wanien. Zgoda?

– Zgoda. – Spojrzała mu w oczy. – Żołnierzu mój, niechętnie mówię to w takiej chwili, ale chciałam zauważyć, że miałam całkowitą rację. To wszystko.

– Nie, całkowicie się myliłaś. To wszystko. Powiedziałem ci kiedyś, że niektóre, ale tylko niektóre rzeczy warte są wielkiego poświęcenia. To nie ten przypadek, Tatiu.

– Nieprawda. Powiedziałeś, że wielkie, wspaniałe rzeczy, które warto mieć, wymagają wielkiego poświęcenia. Nie uważasz, że twoje życie…

– Taniu, o czym ty, do diabła, mówisz? Porzuć swój świat, zajrzyj do mego – tylko na chwilę, na króciutką chwilkę – i powiedz, jakie życie mógłbym zbudować w Ameryce, wiedząc, że zostawiłem cię tu samą, że umrzesz albo zgnijesz w więzieniu. – Potrząsnął głową. – Jeździec Miedziany ścigałby mnie przez czarną noc, aż popadłbym w obłęd i rozsypał się w proch.

– Tak. To cena za światłość rozpraszającą mrok.

– Dlatego nie chcę jej płacić.

– Aleksandrze, tak czy inaczej mój los jest przypieczętowany, ale ty masz jeszcze szansę. Jesteś młody. Mógłbyś pocałować mnie w rękę i odejść z Bogiem, by robić wielkie, wspaniałe rzeczy, do których jesteś stworzony. – Wzięła głęboki oddech. – Nie ma ludzi takich jak ty. – Zawisła mu na szyi, nie dotykając nogami ziemi.

– Tak, tak, naturalnie. Porzucić żonę i uciec za ocean. Jestem wprost niezwykły.

– Jesteś niemożliwy.

– Ja? – Postawił ją na ziemi. – Chodź, przejdźmy się, bo zmarzniemy. – Przeszli przez most, wydeptaną w śniegu ścieżką powoli ruszyli w stronę Pola Marsowego, bez słowa minęli most na Mojce i weszli do Ogrodu Letniego.

Tatina otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Aleksander przytknął jej palec do ust.

– Ciii… Co my najlepszego robimy? Chodźmy, szybko.

Objął ją i pochyliwszy głowy, poszli ścieżką między wysokimi, nagimi drzewami, mijając po drodze puste ławki i posąg Saturna pożerającego własne dziecko. Kiedy spacerowali tu ostatni raz, było pięknie i ciepło, i Tatiana zapragnęła, żeby Szura dotknął jej, tu i teraz, na tym zimnie. Ona go dotykała i czuła, że nie zasługuje na swój los: na życie, w którym kochał ją mężczyzna taki jak on.

– Co ci wtedy powiedziałem? – rzucił. – Że spędzamy tu nasze najpiękniejsze chwile. I miałem rację.

– Nieprawda. Najpiękniejsze chwile nadeszły dużo później.

Siedziała mu na ramionach, czekając, aż wrzuci ją do wody. Ale on ani drgnął.

– Szura – spytała. – No kiedy?

Aleksander stał nieruchomo jak posąg.

– Szura!

– Siedź – odrzekł. – Jaki mężczyzna wrzuciłby do wody nagą dziewczynę, która opasuje mu szyję udami?

– Mężczyzna, który ma łaskotki!

Wyszli bramą na nabrzeże i milcząc ruszyli w górę rzeki. Słabnąc z minuty na minutę, Tatiana pociągnęła go za rękę, żeby zwolnił.

– Już nie mogę chodzić z tobą naszymi ulicami – wychrypiała.

Z nabrzeża skręcili w stronę parku Taurydzkiego. Żelazne ogrodzenie, ich ławka na chodniku przy Sałtykowa-Szczedrina: minęli ją, popatrzyli na siebie, zawrócili i usiedli. Po chwili Tania poruszyła się niespokojnie, wstała, usiadła mu na kolanach i powiedziała:

– Tak jest lepiej.

– Tak, o wiele.

Siedzieli na zimnie i milczeli. Serce Tatiany wypełniał smutek i ból.

– Dlaczego? – tchnęła mu prosto w usta. – Dlaczego nie możemy mieć tego co Inga i Stanisław? Nawet tu, w tym kraju, ale razem. Dwadzieścia lat razem.

– Bo Inga i Stanisław są partyjnymi szpiegami. Bo zaprzedali dusze za dwupokojowe mieszkanie, które i tak stracili. Nie, Taniu. Nie dla nas takie życie. Za dużo chcemy.

– Ja chcę tylko ciebie.

– Mnie, gorącej wody z kranu, prądu, małego domku na odludziu i państwa, które nie żąda życia w zamian za te drobiazgi.

– Nie – powtórzyła. – Tylko ciebie.

Pogłaskał ją po głowie i spojrzał jej w oczy.

– I państwa, które nie odbierze ci za mnie życia.

Tatiana westchnęła.

– Państwo musi czegoś żądać. Ostatecznie broni nas przed Hitlerem.

– Tak – odparł ponuro Aleksander. – Ale kto obroni cię przed państwem?

Złożyła mu głowę na ramieniu. Tak czy inaczej, musiała mu pomóc. Tylko jak? Jak mu pomóc? Jak go ratować?

– Nie rozumiesz? – rzucił. – Jesteśmy w stanie wojny. Wojny komunizmu z tobą i ze mną. Dlatego chciałem, żebyś została w Łazariewie. Próbowałem ukryć mój skarb.

– Wybrałeś złe miejsce. Sam mówiłeś, że w Związku Radzieckim nie ma bezpiecznych miejsc. Poza tym ta wojna będzie długa. Minie dużo czasu, zanim odmienimy nasze dusze.

– Muszę przestać z tobą rozmawiać – odrzekł, tuląc ją czule do siebie. – Pamiętasz wszystko, co mówię?

– Każde słowo. Codziennie ogarnia mnie lęk, że tylko tyle mi po tobie pozostanie.

Umilkli.

– Opowiedzieć ci kawał? – spytała z promiennym uśmiechem.

– Na pewno jest świetny. Umieram z ciekawości.

– Kochanie, kiedy się pobierzemy, będę dzieliła z tobą wszystkie zmartwienia i smutki.

– Jakie zmartwienia? Nie mam żadnych zmartwień.

– Powiedziałam, kiedy się pobierzemy. – Tania ścisnęła go za rękę, mrużąc załzawione, choć roześmiane oczy. – Ty giniesz na froncie, żebym mogła żyć w Związku Radzieckim, albo ja wieszam się nad wanną, żebyś ty mógł żyć w Ameryce: musisz przyznać, że to bardzo ironiczna i świetnie napisana baśń.

– Hmm… Ale ponieważ nie mamy dzieci, nie moglibyśmy jej nikomu opowiedzieć.

– Tak, ale jest w tym coś z greckiej tragedii, nie uważasz? – Uśmiechnęła się i ścisnęła mu policzki.

Aleksander pokręcił głową.

– Jak ty to robisz? Jak znajdujesz pociechę, i to we wszystkim? Jak?

– Uczył mnie nie lada mistrz – odrzekła cicho, całując go w czoło.

– Ładny mi mistrz. Nie potrafił nawet zmusić żony do pozostania w Łazariewie. – Patrzył na nią zadumany.

– Co, mężu? – spytała. – O czym tak myślisz?

– Taniu, mieliśmy tylko jedną chwilę… Jedną, jedyną chwilę w twoim czasie i moim, kiedy możliwe było inne życie. Wiesz, o czym mówię?

Wtedy, kiedy jedząc lody, podniosła głowę i zobaczyła wojskowego, który przypatrywał się jej z drugiej strony ulicy.

– Wiem – szepnęła.

– Żałujesz, że do ciebie podszedłem?

– Nie, Szura. Zanim ciebie poznałam, nie wyobrażałam sobie życia innego niż to, które wiedli moi rodzice, dziadkowie, Dasza, ja, Pasza i dzieci naszych sąsiadów. Po prostu nie mogłam. – Uśmiechnęła się ciepło. – Kiedy byłam małą dziewczynką i jeździłam na wakacje pod Ługę, nawet nie marzyłam o kimś takim jak ty. Pokazałeś mi nowe, piękne życie. – Zajrzała mu w oczy. – A ja? Pokazałam ci coś?

– Boga – szepnął.

– Tak, Bóg istnieje! – wykrzyknęła. – Kiedy tylko cię ujrzałam, natychmiast wyczułam, że mnie potrzebujesz. Jestem, Szura, jestem tu dla ciebie. Naprawimy to jakoś. Zobaczysz. Naprawimy to razem.

– Ale jak? I co teraz zrobimy?

Nabrała zimnego powietrza, próbując wykrzesać z siebie całą wesołość, na jaką było ją stać.

– Jak? Nie wiem. Co zrobimy? Pójdziemy na oślep do gęstego lasu, za którym czeka reszta naszego krótkiego, ale jakże cudownego życia na tej ziemi. Ty pojedziesz na wojnę, dzielny kapitanie. Walcz, przeżyj – pamiętaj, że mi to obiecałeś – unikaj Dmitrija…

– Taniu, mógłbym go zabić. Sądzisz, że o tym nie myślałem?

– Z zimną krwią? Wiem, że byś nie mógł. A gdybyś to zrobił, Bóg opuściłby ciebie na polu walki, a mnie tutaj. – Umilkła, bojąc się, że zaraz oszaleje. Nie, żeby sama o tym nie myślała, ale czuła, że to nie Wszechmocny utrzymuje Dmitrija przy życiu.

– A ty? – spytał Aleksander. – Co zrobisz? Nie przypuszczam, żebyś zechciała wrócić do Łazariewa.

Z uśmiechem pokręciła głową.

– O mnie się nie martw. Przeżyłam zeszłoroczną zimę w Leningradzie i jestem przygotowana na najgorsze. – I na najlepsze, pomyślała, głaszcząc go po policzku. – Nieważne, co mnie czeka, chociaż tak, czasami się nad tym zastanawiam. Długo tu zostanę czy krótko, jestem gotowa. – Objęła go z mocno bijącym sercem. – Żałujesz, że przeszedłeś przez ulicę, żołnierzu?

Wziął ją za ręce.

– Taniu, zauroczyłaś mnie, gdy tylko cię ujrzałem. Żyłem pustym, jałowym życiem, właśnie zaczęła się wojna. Garnizon w rozsypce, wszędzie chaos, strach i ludzie, którzy biegają w popłochu po mieście, wybierają pieniądze z banku, kupują żywność, wstępują do wojska i wysyłają dzieci na letnie obozy. I nagle w tym oszalałym chaosie zobaczyłem ciebie. Siedziałaś samotnie na ławce, cudownie młoda, piękna jak małe blond słońce i jadłaś lody z takim przejęciem, z taką lubością, z tak mistyczną rozkoszą, że nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Siedziałaś tam, jakby w tę letnią niedzielę nie liczyło się

absolutnie nic. Tatiu, jeśli kiedykolwiek zabraknie ci siły, a mnie nagle zabraknie, nie będziesz musiała daleko jej szukać. Czerwone sandałki na wysokim obcasie, sukienka w szkarłatne róże i lody: był pierwszy dzień wojny, nie wiedziałaś jeszcze, dokąd rzuci cię los i co tam znajdziesz, a mimo to nie miałaś najmniejszych wątpliwości, że kiedyś znajdziesz to na pewno. Dlatego przeszedłem przez ulicę, Tatiu. Wierzyłem, że to znajdziesz. Wierzyłem w ciebie.

Otarł jej łzy, zdjął rękawiczkę i ucałował jej dłoń.

– Gdyby nie ty, wróciłabym do domu z pustymi rękami.

Pokręcił głową.

– Nieprawda. Podszedłem do ciebie, ponieważ już coś miałaś. Miałaś siebie. Wiesz, co ci przynoszę?

– Nie.

Z trudem przełknął ślinę i zdławionym głosem odrzekł:

– Ofiarę.

Listopadowe niebo było szare i posępne, wiatr niósł chodnikiem martwe liście, a oni siedzieli tam twarz przy twarzy, tuląc się do siebie i obejmując.

Przejechał tramwaj. Troje ludzi szło w stronę klasztoru Smolnego, osłoniętego rusztowaniami i siatką maskującą. Za granitowym murkiem drzemała skuta lodem rzeka, a na zasłanym sczerniałym śniegiem Polu Marsowym migotał wieczny płomień.

Okno na Europę

1

Kiedy wyjechał, pisała do niego codziennie, aż zabrakło jej atramentu. Wtedy poszła do Wani Riecznikowa, sąsiada mieszkającego po drugiej stronie ulicy; słyszała, że ma dużo piór i że czasami je pożycza. Wania był martwy. Siedząc za biurkiem, oparł głowę o blat i umarł. Tania nie mogła wyrwać pióra z jego zesztywniałych palców.

Codziennie chodziła na pocztę. Nie mogła znieść przerw między kolejnymi listami. Aleksander pisał dużo i często, tymczasem zamiast powodzi docierał do niej jedynie cienki strumyczek listów. Przeklęta poczta.

Po pracy siedziała w domu, ucząc się angielskiego. Podczas nalotów czytała książkę kucharską matki. Zaczęła gotować dla samotnej i schorowanej Ingi.

Pewnego popołudnia urzędnik pocztowy oświadczył, że wyda jej listy i dorzuci jeszcze worek kartofli pod warunkiem, że ona też mu coś da.

Bojąc się, że nie dostanie już więcej listów, napisała o tym do Aleksandra.

Taniu.

Idź do koszar i spytaj o porucznika Olega Kasznikowa. O ile pamiętam, jest na służbie od ósmej do szóstej. Ma trzy kule w nodze i nie może walczyć. To on wygrzebał Cię wraz ze mną spod gruzów w Łudze. Poproś go o jedzenie. Obiecuję, że nie zechce nic w zamian. Och, Taniu…

Przekaż mu też listy, dostanę je już następnego dnia. Proszę cię, nie chodź więcej na pocztę.

Co to znaczy, że Inga jest samotna? A gdzie jej mąż?

I dlaczego tak dużo pracujesz? Zima robi się coraz sroższa.

Nie wiesz nawet, jak bardzo podnosi mnie na duchu to, że jesteś tak blisko. Nie chcę powiedzieć, że dobrze zrobiłaś, wyjeżdżając z Łazariewa, ale… Pisałem Ci, że obiecano nam dziesięć dni urlopu po przełamaniu blokady?

Taniu, aż dziesięć dni!

Tak bardzo bym chciał wskazać ci jakieś miejsce, w którym mogłabyś znaleźć pociechę. Wytrzymaj, to już niedługo.

Nie martw się o mnie. Na razie zwozimy tylko amunicję i ludzi. Newę forsować będziemy dopiero na początku przyszłego roku.

Posłuchaj tylko! Nie wiem, co zrobiłem, żeby na to zasłużyć, ale dali mi kolejny medal i awans na dokładkę! Może jednak Dmitrij ma rację, twierdząc, że każdą klęskę potrafię obrócić w zwycięstwo.

Badamy grubość lodu na Newie. Lód jest cienki, nie wiadomo, czy pęknie, czy nie. Utrzyma żołnierza, działo, może nawet katiuszę, ale czy utrzyma czołg?

Tak, myślimy, utrzyma i zaraz potem zmieniamy zdanie. Jeden z generałów, który projektował leningradzkie metro, wpadł na pomysł, żeby ustawić czołgi na płozach, na drewnianych deskach, czymś w rodzaju płaskich szyn, żeby równomiernie rozłożyć i zmniejszyć nacisk gąsienic na lód. Czołgi i wszystkie wozy pancerne miałyby sforsować rzekę, jadąc po deskach. Dobrze, mówimy, czemu nie?

Układamy deski.

Tylko kto przejedzie po nich czołgiem, żeby sprawdzić, czy lód wytrzyma?

Występuję z szeregu i mówię: ja, towarzyszu pułkowniku. Chętnie spróbuję.

Pułkownik się wściekł, bo nazajutrz na nasze małe przedstawienie przyjechało pięciu generałów, łącznie z nowym przyjacielem Dmitrija. Dowódca wzywa mnie i mówi: nie zawal sprawy, synu.

No więc do roboty. Wybieram najcięższy czołg, KW-60 – pamiętasz je, prawda, Taniu? – i wjeżdżam tym potworem na lód. Dowódca idzie obok, generałowie z tyłu. Dobrze, mówią, znakomicie, tylko tak dalej.

Przejechałem jakieś sto pięćdziesiąt metrów i nagle trzask: lód zaczyna pękać. Słyszę to, myślę: cholera! A generałowie krzyczą do dowódcy: uciekaj, uciekaj!

No więc uciekł, uciekli i oni, a czołg zapadł się pod lód i poszedł na dno jak… No wiesz, jak czołg.

A ja wraz z nim.

Na szczęście wieżyczka była otwarta, więc wypłynąłem.

Pułkownik wyciągnął mnie na brzeg i dał mi łyk wódki na rozgrzewkę. Podchodzą generałowie i jeden z nich mówi: dajcie mu Czerwoną Gwiazdę i awans. I tak zostałem majorem.

Marazow mówi, że od tamtego dnia jestem nie do zniesienia, że uważam, że wszyscy powinni mnie słuchać. Sama powiedz: przecież to do mnie zupełnie niepodobne!

Aleksander

Najdroższy MAJORZE Biełow!

Owszem, towarzyszu majorze, to bardzo do Was podobne.

Jestem z Ciebie BARDZO dumna. Niedługo zostaniesz generałem. Dziękuję, że powiedziałeś mi o Olegu. To bardzo miły i uczynny człowiek. Wczoraj dał mi jajka w proszku, z którymi, ku swemu rozbawieniu, nie wiedziałam, co zrobić. Dodałam do nich trochę wody i zrobiły się takie jakieś… Sama nie wiem. Usmażyłam je bez oleju na prymusie Sławina. Były trochę gumowate.

Ale Sławinowi smakowały. Powiedział, że carowi Mikołajowi też by smakowały, zwłaszcza w Swierdłowsku. Czasami nie wiem, co myśleć o naszym zwariowanym Sławinie.

Aleksandrze, jest tylko jedno takie miejsce, w którym zawsze znajduję pocieszenie. Budzę się tam i zasypiam. Jestem tam spokojna, bezpieczna i kochana. Miejscem tym są Twoje ramiona, Szura.

Tatiana

2

W grudniu do szpitala na Greckim zawitał Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

W Leningradzie było za mało lekarzy. Z trzech tysięcy pięciuset, którzy mieszkali tu przed wojną, przeżyło jedynie dwa tysiące. Dwa tysiące lekarzy na ćwierć miliona hospitalizowanych.

Tatiana poznała doktora Matthew Sayersa, kiedy przemywała ranę gardła młodemu kapralowi.

Sayers wszedł i zanim zdążył otworzyć usta, wyczuła, że jest Amerykaninem. Po pierwsze, ładnie pachniał. Był szczupłym, niskim szatynem o głowie zbyt dużej w stosunku do reszty ciała, ale biła z niego pewność siebie, jaką Tania widziała jedynie u Aleksandra. Wszedł do pokoju, wziął do ręki kartę choroby, spojrzał na pacjenta, zerknął na nią, przeniósł wzrok z powrotem na pacjenta, cmoknął językiem, pokręcił głową i przewrócił oczami.

– Kiepsko to wygląda, prawda? – rzucił po angielsku.

Tatiana zrozumiała go, mimo to jednak nie odpowiedziała, pamiętając o ostrzeżeniach Aleksandra.

Sayers powtórzył to samo po rosyjsku; mówił z silnym obcym akcentem.

– Myślę, że z tego wyjdzie – odrzekła. – Widziałam pacjentów w gorszym stanie.

Sayers roześmiał się głośno, zupełnie nie jak Rosjanin.

– Wierzę – powiedział. – Wierzę. – Podszedł do niej i wyciągnął rękę. – Matthew Sayers z Czerwonego Krzyża. Potrafi pani wypowiedzieć moje nazwisko?

– Sayers – powtórzyła bezbłędnie Tania.

– Bardzo dobrze! Jak jest po rosyjsku Matthew?

– Matwiej.

– Matwiej. Podoba się pani to imię?

– Chyba wolę Matthew – odrzekła i zajęła się charczącym pacjentem.

Miała co do Sayersa rację. Był bardzo kompetentny, przyjacielski i natychmiast zaprowadził porządek w ich ponurym szpitalu. Wraz z nim na Grecki zawitały prawdziwe cuda: penicylina, morfina i plazma.

Miała też rację co do młodego kaprala z raną gardła: chłopak przeżył.

3

Droga Taniu.

Nie mam od Ciebie żadnej wiadomości. Co ty wyprawiasz? Czy wszystko dobrze? Oleg mówi, że nie widział Cię od wielu dni. Nie mogę martwić się i o Ciebie, nie wiem, w co mam ręce włożyć; tak przy okazji: prawie zupełnie się wygoiły.

Napisz natychmiast, słyszysz? Nawet jeśli palce Ci odpadły. Raz wybaczyłem Ci tak długie milczenie. Nie mam pojęcia, dlaczego jestem taki wspaniałomyślny.

Jak wiesz, to już niedługo. Potrzebuję Twojej rady. Wysyłamy oddział zwiadowczy w sile sześciuset ludzi. To coś więcej niż zwykły oddział: to tajna grupa uderzeniowa. Oni pójdą do ataku, a my zaczekamy, żeby sprawdzić, czym zaskoczą ich Niemcy. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ruszymy za nimi.

Muszę wybrać batalion.

Masz jakiś pomysł?

Aleksander

PS Nie napisałaś, co się przydarzyło Stanisławowi.

Drogi Szura.

Nie wysyłaj Marazowa. To Twój przyjaciel.

A może by tak rzucić do ataku… zaopatrzeniowców? Kiepski dowcip.

A propos: musisz pamiętać, że nasz prawy Aleksander Puszkin stanął do pojedynku z baronem DAnthesem i nie przeżył, by napisać o tym poemat. Dlatego zamiast szukać zemsty, po prostu trzymajmy się z daleka od tych, którzy chcą zrobić nam krzywdę.

Jestem cała, zdrowa i bardzo zajęta w szpitalu. Prawie nie bywam w domu. Tam nikt mnie nie potrzebuje. Szura, najdroższy, proszę, nie zamartwiaj się o mnie. Jestem tu i czekam bez tchu na Ciebie. Nic innego nie robię: czekam, by znowu Cię zobaczyć.

W Leningradzie jest ciemno od rana do wieczora. Słońce świeci tylko wtedy, kiedy myślę o Tobie, tak więc wszystkie dni są dla mnie słoneczne i gorące.

Tatiana

PS Pytasz, co przydarzyło się Stanisławowi. Jak to co? Związek Radziecki.

Droga Taniu.

Po „Jeźdźcu miedzianym" Puszkin nie musiał już pisać, zresztą nic więcej nie napisał, bo młodo umarł. Ale masz rację: ludzie prawi nie zawsze trafiają do panteonu chwały. Ale bywa, że trafiają.

Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś zajęta. Oczekuję czegoś więcej niż kilku słów tygodniowo.

Aleksander

PS A Ty zazdrościłaś Indze i Stanisławowi.

Najdroższa Tatiaszo.

Jak spędziłaś Nowy Rok? Mam nadzieję, że jadłaś coś pysznego. Byłaś u Olega?

Mnie się nie poszczęściło. Spędziłem Nowy Rok w stołówce z osobami, z których żadna nie była Tobą. Brak mi Cię. Czasami marzę, żebyśmy mogli żyć kiedyś tak, by móc trącić się kieliszkami na Nowy Rok. Mieliśmy trochę wódki i mnóstwo papierosów. Życzyli nam, żeby czterdziesty trzeci był lepszy od czterdziestego drugiego.

Kiwnąłem głową, ale pomyślałem o naszym lecie.

Aleksander

PS Straciliśmy wszystkich sześciuset ludzi. Toli nie wysłałem. Powiedział, że podziękuje mi po wojnie.

PS Gdzie ty, do diabła, jesteś? Od dziesięciu dni nie mam od Ciebie żadnej wiadomości. Czyżbyś wróciła do Łazariewa? Akurat teraz, kiedy przywykłem już, że podtrzymujesz mnie na duchu z odległości zaledwie siedemdziesięciu kilometrów? Proszę, napisz coś do mnie w ciągu kilku najbliższych dni. Przecież wiesz, że niedługo ruszamy i nie wrócimy, dopóki Front Leningradzki i Wołchowski nie uścisną sobie rąk. Musisz napisać. Bardzo tego potrzebuję. Nie wysyłaj mnie na lód bez jednego słowa, Tatiano.

Kochany Szura.

Jestem tu, jestem. Nie czujesz tego, mój żołnierzu?

Spędziłam Nowy Rok w szpitalu i wiedz, że ja trącam się z Tobą kieliszkiem codziennie.

Nie wiem nawet, ile pracuję, ile nocy spędzam w szpitalu. Przestałam już wracać do domu.

Szura! Kiedy tylko przyjedziesz, musisz natychmiast do mnie przyjść. Nie licząc oczywistych powodów, mam fantastyczne nowiny, które muszę z Tobą niezwłocznie omówić. Prosiłeś mnie o słowo? Oto ono: NADZIEJA.

Twoja Tania

Sztandarów strzępy, chwały blask

1

Aleksander spojrzał na zegarek. Był wczesny ranek 12 stycznia 1943 i wkrótce miała się rozpocząć operacja „Iskra”: bitwa o Leningrad. Przewidziano tylko jedną, jedyną próbę. Na rozkaz towarzysza Stalina mieli przełamać blokadę i wrócić dopiero wtedy, gdy im się to uda.

Ostatnie trzy dni i noce Aleksander spędził w drewnianym bunkrze na brzegu Newy wraz z Marazowem i sześcioma kapralami. W głębokich okopach przed bunkrem stały dwa ciężkie moździerze kaliber sto dwadzieścia, dwa przenośne moździerze kaliber osiemdziesiąt jeden, ciężki przeciwlotniczy karabin maszynowy, katiusza i dwa przenośne działka polowe kaliber siedemdziesiąt sześć. Aleksander był nie tylko gotowy do ataku, ale walczyłby nawet z Marazowem, żeby tylko nareszcie wyjść z przytłaczająco ciasnego bunkra. Grali w karty, palili, rozmawiali o wojnie, opowiadali sobie kawały, spali – miał tego dość już po sześciu godzinach, tymczasem oni musieli siedzieć tam aż siedemdziesiąt dwie. Myślał o ostatnim liście Tatiany. NADZIEJA. Co to znaczy? Co mu chciała powiedzieć? I niby jak miało mu to pomóc? Najwyraźniej nie mogła napisać o tym w liście, ale wolałby, żeby nie rozpalała jego wyobraźni, zwłaszcza że nie wiedział, kiedy będzie mógł do niej wrócić.

A musiał do niej wrócić.

Otuliwszy się białą peleryną maskującą, wyjrzał z okopu. Rzeka była ubrana tak samo jak on i jej południowy brzeg ledwo majaczył w szarówce dnia. Oni czekali na brzegu północnym, niedaleko Szlisselburga. Jednostka Aleksandra zabezpieczała zewnętrzny i najbardziej niebezpieczny odcinek przeprawy: stacjonujący w Szlisselburgu Niemcy byli znakomicie okopani i obwarowani. Kilometr dalej, u źródeł Newy, stała twierdza Orieszek. Kilkaset metrów przed twierdzą leżały ciała sześciuset żołnierzy, którzy przed sześcioma dniami przypuścili na nią nieudany szturm. Aleksander zastanawiał się, czy polegli dla chwały kraju, czy na próżno. Odważnie i bez żadnego wsparcia weszli na lód, gdzie jednego po drugim rozniósł ich ogień niemieckich moździerzy i karabinów maszynowych. Czy historia ich zapamięta?

Aleksander popatrzył prosto przed siebie. Tego dnia Marazow dowodził katiuszą, a on obroną przeciwlotniczą. Wiedział, że nadeszła rozstrzygająca chwila. Czuł to. Że albo przełamią blokadę, albo zginą. 67 Armia miała sforsować rzekę na odcinku ośmiu kilometrów. Strategia uderzenia polegała na dotarciu do Wołchowa i połączeniu się z 2 Armią, która miała jednocześnie zaatakować od tyłu Północną Grupę Wojsk Mansteina. Plan operacyjny zakładał, że rzekę przekroczy dywizja piechoty i lekkie czołgi i że dwie godziny później na lód wejdą kolejne trzy dywizje piechoty, wspierane przez średnie i ciężkie czołgi, w tym sześciu podwładnych Aleksandra. On sam miał zostać na brzegu przy zenitówkach i dowodząc T-34, dołączyć do kolegów dopiero w trzeciej fazie ataku wraz z plutonem ciężkich czołgów.

Za kilka minut dziewiąta. Słońce dopiero co wzeszło i niebo było ciemnofioletowe.

– Towarzyszu majorze – spytał Marazow – czy wasz telefon działa? – Zgasił papierosa i podszedł bliżej.

– Działa, poruczniku, działa – odrzekł z uśmiechem Aleksander. – Wracajcie na stanowisko.

– Ile kilometrów polowych przewodów telefonicznych zażądał Stalin od Amerykanów?

Aleksander zaciągnął się dymem.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy.

– Hmm, no i proszę, a wasz telefon już nie działa.

– Poruczniku!

Marazow zasalutował.

– Tak jest, towarzyszu majorze. – Ruszył do swojej katiuszy. – Jestem gotów. Nie uważacie, że dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy kilometrów to lekka przesada?

Aleksander pstryknął niedopałkiem w śnieg, zastanawiając się, czy zdąży zapalić jeszcze jednego papierosa.

– Nie, to za mało. Do końca wojny Amerykanie dostarczą nam pięć razy tyle.

– Mogliby podrzucić nam kilka sprawnych telefonów – mruknął Marazow, uciekając wzrokiem w bok.

– Cierpliwości, poruczniku. – Aleksander patrzył na rzekę, próbując ocenić, czy jest szersza niż Kama. Na oko była szersza, choć niewiele. W Kamie grasowały silne prądy, mimo to przepływał ją w jakieś dwadzieścia pięć minut. Ile czasu zajmie im przejście sześciuset metrów po lodzie, pod ogniem niemieckich karabinów i dział?

Doszedł do wniosku, że mniej niż dwadzieścia pięć minut.

Zadzwonił telefon. Aleksander wykrzywił usta w uśmiechu, Marazow też.

– Nareszcie.

– Cierpliwie czekaj, a będzie ci dane – powiedział Aleksander. Pomyślał o Tatianie i wezbrało mu serce. – Dobrze… Żołnierze! – zawołał. – Za chwilę ruszamy. Bądźcie gotowi. – O kilka stopni obrócił lufę zenitówki. – I dzielni.

Podniósł słuchawkę telefonu i wydał rozkaz dowódcom stanowiska moździerzy. Ci odpalili trzy pociski dymne, które spadły na drugi brzeg rzeki, chwilowo oślepiając Niemców. W tym samym momencie z okopów wysypali się rosyjscy żołnierze, którzy ruszyli na wroga długą, wężowatą tyralierą.

Przez dwie godziny nie ustawał ogień z czterech tysięcy pięciuset karabinów, przez dwie godziny ogłuszał huk moździerzy. Aleksander stwierdził, że Rosjanom idzie lepiej, niż zakładano, i to znacznie lepiej. Przez lornetkę widział wielu zabitych, lecz widział też wielu wbiegających na drugi brzeg i kryjących się między drzewami.

Tuż nad rzeką przeleciały trzy niemieckie samoloty szturmowe, siekąc wodę kulami; wyrwy w lodzie stwarzały dodatkowe niebezpieczeństwo i dla żołnierzy, i dla pojazdów. Niżej, troszkę niżej, pomyślał Aleksander, otwierając ogień z ciężkiego karabinu maszynowego. Jedna z maszyn eksplodowała, dwie pozostałe szybko nabrały wysokości, żeby uniknąć trafienia. Aleksander trzasnął zamkiem zenitówki i zwolnił spust. W ogniu stanął drugi samolot. Trzeci wspiął się na jeszcze wyższy pułap, ale ponieważ nie mógł już prowadzić skutecznego ognia, odleciał na południe. Aleksander zapalił papierosa.

– Dobrze, chłopcy, tylko tak dalej! – krzyknął do podwładnych, lecz ci byli tak zajęci ciągłym ładowaniem i strzelaniem, że na pewno go nie słyszeli. Ledwo słyszał sam siebie, bo zatkał sobie uszy watą, żeby nie ogłuchnąć.

O wpół do dwunastej w południe na niebie rozbłysła zielona raca: znak, że rozpoczyna się druga faza ataku.

Być może nieco za wcześnie, lecz Aleksander miał nadzieję, że zaskoczenie podziała na ich korzyść, oczywiście pod warunkiem, że żołnierze szybko dotrą na drugi brzeg. Spojrzał na Marazowa.

– Naprzód! – krzyknął. – Smirnow! – Kapral zerknął na niego przez ramię. – Bierzcie broń!

Marazow zasalutował, chwycił przenośne działko polowe, dał znak swoim ludziom i niskim zboczem zbiegł na lód. Dwóch pozostałych kaprali dźwigało moździerze kaliber osiemdziesiąt jeden; studwudziestki zostawiali w okopie – można je było przewieźć tylko ciężarówką. Ubezpieczało ich trzech żołnierzy z pepeszami.

Marazow przebiegł trzydzieści metrów i upadł na lód.

– Boże, Tola! – krzyknął Aleksander i podniósł głowę.

Przelatywał nad nimi niemiecki samolot, plując ogniem z karabinów maszynowych. Ludzie Marazowa też przywarowali. Zanim samolot zdążył nawrócić, Aleksander szarpnął uchwytem zenitówki, wycelował i zwolnił spust. Trafił. Nisko lecąca maszyna eksplodowała i zwaliła się na brzeg w kuli ognia.

Tola leżał nieruchomo na lodzie. Jego podwładni zalegli przy działku i obserwowali go bezradnie. Niemcy wzmogli ostrzał.

– Kurwa mać!

Aleksander przywołał kaprala Iwanowa, przekazał mu zenitówkę, chwycił pistolet maszynowy, zbiegł zboczem na lód i machnąwszy ręką, kazał żołnierzom wstać i pędzić dalej.

– Naprzód! Naprzód!

Kaprale wstali, dźwignęli działo i moździerz i pognali przed siebie.

Marazow leżał na brzuchu. Dopiero teraz Aleksander zrozumiał, dlaczego podwładni założyli, że nie można mu pomóc. Ukląkł, chcąc przewrócić go na plecy, lecz Tola oddychał tak ciężko i boleśnie, że Aleksander bał się go dotknąć.

– Tola! Tola, trzymaj się…

Marazow dostał w szyję. Spadł mu hełm. Aleksander rozejrzał się rozpaczliwie w poszukiwaniu sanitariusza z morfiną.

Nagle dostrzegł mężczyznę, który zamiast karabinu niósł lekarską torbę. Był w grubym wełnianym palcie, a zamiast hełmu miał na głowie czapkę! Biegł w prawo, w stronę kilku żołnierzy leżących za wielką wyrwą w lodzie. Aleksander zdążył jeszcze pomyśleć: Chryste, co ten kretyn robi, gdy wtem usłyszał czyjś wrzask:

– Padnij! Padnij!

Huk był za głośny, niemal wszystko przesłaniał czarny dym: mężczyzna w palcie przystanął, wyprostował się, odwrócił i krzyknął:

– Co? – Mówił po angielsku! – Co?!

Aleksander momentalnie otrzeźwiał. Stwierdził, że lekarz stoi dokładnie na linii ostrzału, że jeśli natychmiast nie padnie, będzie po nim. Zerwał się na równe nogi i ze wszystkich sił wrzasnął:

– *Get the fuck down!*

Lekarz usłyszał go i runął na lód. W samą porę. Pocisk świsnął metr nad jego głową, eksplodował tuż za nim, a siła wybuchu zmiotła nieszczęśnika prosto do wody.

Aleksander zerknął na Marazowa – nieruchome oczy, buchająca z ust krew – nakreślił w powietrzu znak krzyża, podniósł broń, przebiegł dwadzieścia metrów po lodzie, upadł na brzuch i podczołgał się do przerębli.

Nieprzytomny lekarz unosił się na wodzie. Aleksander spróbował go dosięgnąć, lecz tamten miał zanurzoną twarz i był za daleko. Aleksander odrzucił broń, zdjął plecak, ściągnął ładownicę i wskoczył do przerębli. Ogarnęło go przenikliwe zimno, lecz sekundę później przestał cokolwiek odczuwać, gdyż lodowata woda podziałała jak otępiający zastrzyk morfiny. Chwycił lekarza za szyję, doholował go do krawędzi, ostatkiem sił wypchnął na lód, wypełzł z wody i zwalił się ciężko na jęczącego i charczącego

Amerykanina.

– Boże, co się stało?

– Cicho – wychrypiał po angielsku Aleksander. – Leż. Musimy dotrzeć do tej ciężarówki. Tam, widzisz? To jakieś dwadzieścia metrów. Jeśli tam dotrzemy, będziemy bezpieczni. Tu jesteśmy jak na patelni.

– Nie mogę się poruszyć, nic nie czuję, zamarzam…

Przemarznięty do szpiku kości Aleksander dobrze go rozumiał. Rozejrzał się i zatrzymał wzrok na zwłokach trzech żołnierzy przy przeręblі. Nie miał wyboru. Podczołgał się, chwycił za nogę najbliższego trupa i przykrył nim półprzytomnego lekarza.

– Trzymaj go, słyszysz? Nie może spaść, bo oberwiesz, jasne? Leż tu.

Wróciwszy do przeręblі, zarzucił sobie na plecy kolejnego trupa, sięgnął po plecak i karabin, po czym powoli dopełzł do lekarza.

– Gotowy? – spytał po angielsku.

– Tak.

– Trzymaj się brzegu mojego płaszcza, rozumiesz? Puścisz, i będzie po tobie. Poślizgamy się trochę.

Z trupem na plecach powlókł przykrytego zwłokami lekarza w stronę ciężarówki.

Czuł, że powoli traci słuch, że wybuchy pocisków odbierają mu zdolność logicznego myślenia. Musiał tam dotrzeć. Tam, do ciężarówki. Tatiana nie miała na plecach trupa, a mimo to przeżyła blokadę. Dam radę, myślał pośród trzasku i ogłuszającego huku, ciągnąc lekarza coraz szybciej i szybciej. Zdawało mu się, że słyszy warkot nisko lecącego samolotu i zastanawiał się przez chwilę, czy Iwanow zestrzeli sukinsyna czy nie.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, był przeszywający świst, zaraz potem wybuch i silne, ale zupełnie bezbolesne uderzenie, które cisnęło go głową naprzód w burtę ciężarówki. Na szczęście mam na sobie trupa, przemknęło mu przez myśl. Na szczęście mam trupa.

2

Otwarcie oczu pochłonęło zbyt wiele energii. Było tak dużym wysiłkiem, że otworzył je, natychmiast zamknął, po czym zasnął i spał chyba całą wieczność. Nie wiedział, jak długo. Słyszał przyciszone głosy i stłumiony hałas; od czasu do czasu czuł słaby zapach kamfory i alkoholu. Śniły mu się pierwsze jazdy diabelską kolejką, niesamowitym „Cyklonem" w Revere Beach w Massachusetts. Śniły mu się piaski Nantucket Sound. Był tam krótki drewniany pomost. Sprzedawano na nim watę cukrową, ale we śnie kupił trzy czerwone lizaki i zjadł je, czując, że wcale nie pachną jak lizaki, toteż zamiast wypatrywać diabelskiej kolejki czy basenu pływackiego, zamiast bawić się w policjantów i złodziei, skupił się na samych zapachach.

Śnił mu się też las, jezioro i łódź. Widział, jak zbiera sosnowe szyszki, jak rozwiesza hamak między drzewami, jak wpada w pułapkę na niedźwiedzie. Obrazy były rozmyte i niewyraźne. Wiedział, że nie są to jego wspomnienia.

Zza zamkniętych powiek i ze sparaliżowanego mózgu dochodziły głosy, kobiet i mężczyzn. Raz usłyszał, jak coś spadło na podłogę. Innym razem słyszał bicie czyjegoś serca. Potem jechał przez Mojave, wciśnięty między ojca i matkę. Pustynia mu się nie podobała. W samochodzie było duszno i gorąco, a mimo to dostał dreszczy. Skąd to zimno?

Pustynia. Nie wiedzieć czemu, znowu doszedł go zapach pustyni. Nie lizaka, nie morskiej soli, tylko…

Rzeki o poranku.

Otworzył oczy. Tym razem, zanim je zamknął, spróbował skupić wzrok, lecz nie zobaczył żadnych twarzy. Dlaczego nie widzi twarzy? Nic, tylko rozmazane plamy bieli. I znowu ten zapach. Potem ujrzał jakiś kształt, chyba kształt głowy, ale… Zamknął oczy, lecz mógłby przysiąc, że ktoś wypowiedział na głos jego imię. Coś metalicznie brzęknęło. Ktoś go przytrzymał. Mocno.

Tak, ktoś go dotykał.

Nagle mózg ożył i Aleksander na siłę rozwarł powieki. Leżał na brzuchu. Jasne. Dlatego nie widział żadnych twarzy. Znowu mgła. I czyjś szept. Chciał spytać: co? Co? Ale nie mógł. Nie mógł mówić. Ten zapach. Czyjś oddech, czyjś słodki oddech tak blisko twarzy. Zapach niosący ukojenie, którego zaznał tylko raz w życiu.

Zatrzepotał powiekami, ale wciąż widział jak przez warstwę białej gazy.

– Szura, obudź się. Aleksandrze, spójrz na mnie. Spójrz na mnie, kochany. – Dotyk miękkich ust na policzku.

Otworzył oczy. I zobaczył twarz Tatiany.

Poczuł, że zaraz się rozpłacze, więc zacisnął powieki, mamrocząc: nie, nie…

Ale musiał rozewrzeć je ponownie. Ona go przywoływała.

– Szura, natychmiast otwórz oczy.

– Gdzie ja jestem?

– W szpitalu polowym w Morozowie.

Spróbował potrząsnąć głową, ale nie mógł.

– Tatia? – szepnął. – To ty? Niemożliwe.

I zapadł w sen.

Leżał na wznak. Stał przed nim lekarz i coś mówił. Aleksander skupił się na jego głosie. Tak, to lekarz. Na pewno. Tylko co on gada? Co to za dziwny akcent? Mówi po rosyjsku, ale jakby nie po rosyjsku.

Nieco później zaczęło docierać do niego znaczenie poszczególnych słów i zwrotów.

– Chyba z tego wychodzi… Jak się pan czuje?

– Co ze mną? – Powiedział to bardzo powoli, sylaba po sylabie.

– Było marnie.

Rozejrzał się. Leżał w czymś, co przypominało prostokątne drewniane pudło z kilkoma okienkami. W pudle stały dwa rzędy łóżek rozdzielonych wąskim przejściem, a w łóżkach leżeli zabandażowani i zakrwawieni ludzie.

Zmrużył oczy, skupiając wzrok na stojących w oddali pielęgniarkach, lecz w tej samej chwili ponownie odezwał się lekarz. Aleksander niechętnie przeniósł na niego wzrok, nie chcąc odpowiadać na żadne pytania.

– Długo? – wymamrotał.

– Od czterech tygodni.

– Co się, do diabła, stało?

– Nie pamięta pan?

– Nie.

Lekarz przysiadł na łóżku.

– Uratował mi pan życie – powiedział po angielsku.

Aleksander zaczął coś sobie przypominać. Lód. Wyrwa w lodzie. Pokręcił głową.

– Tylko po rosyjsku – szepnął. – Chyba że chce pan, żebym stracił swoje.

– Rozumiem. – Lekarz ścisnął go za rękę. – Przyjdę za kilka dni, kiedy poczuje się pan lepiej. Porozmawiamy. Chcieli mnie przenieść, ale nie mogłem zostawić pana w takim stanie.

– Co pan robił na tej przeklętej rzece? Od tego są sanitariusze.

– Tak, wiem. Biegłem na ratunek sanitariuszowi. Jak pan myśli, kim mnie pan przygniótł nad tą przeręblą?

– Aha.

– Właśnie. Pierwszy raz w życiu byłem na froncie. Poznał pan? – Lekarz uśmiechnął się dobrym, szczerym, amerykańskim uśmiechem. Aleksander miał ochotę również się uśmiechnąć.

– Oho! Czyżbyśmy się obudzili? – Do izby weszła pielęgniarka o czarnych włosach i czarnych, małych jak guziczki oczach. Przystanęła, żeby zbadać mu puls. – Dzień dobry. Mam na imię Ina. Ależ z was szczęściarz!

– Naprawdę? – Wcale nie czuł się jak szczęściarz, wprost przeciwnie. – Dlaczego mam w ustach watę?

– Tak się wam tylko zdaje. Od miesiąca jesteście na morfinie. W zeszłym tygodniu zaczęliśmy ją odstawiać, bo wpadlibyście w nałóg.

Aleksander spojrzał na lekarza.

– Jak się pan nazywa?

– Matthew Sayers, do usług. Idiota, za którego omal nie oddał pan życia. Jestem z Czerwonego Krzyża.

Aleksander rozejrzał się po szpitalnej izbie. Cisza. Spokój. Może mu się tylko to przyśniło. Może ona też mu się przyśniła.

Może po prostu spał, cały czas spał.

Niesamowite. Nie ma jej i nigdy nie było. Nigdy jej nie znał. Mógł spokojnie wrócić

do dawnego życia.

Do jakiego życia? Tamten człowiek już nie żyje. Tamtego człowieka już nie ma.

– Tuż za nami wybuchł pocisk – powiedział Sayers. – Trafił pana odłamek. Rzuciło pana na ciężarówkę. Ja też nie mogłem się poruszyć. – Mówił po rosyjsku niezbyt dobrze, ale jakoś mówił. – Machałem o pomoc. Nie chciałem pana zostawiać, ale… Powiedzmy, że natychmiast potrzebowaliśmy noszy. Wtedy nadbiegła jedna z moich pielęgniarek. – Sayers pokręcił głową. – Niesamowita dziewczyna. Właściwie to nie nadbiegła, tylko się przyczołgała. Powiedziałem: „Jesteś trzy razy mądrzejsza ode mnie". – Nachylił się nad łóżkiem. – Żeby tylko się przyczołgała. Czołgając się, pchała przed sobą apteczkę z plazmą!

– Z czym?

– Z plazmą, płynem zastępującym krew. Jest praktyczniejsza w zastosowaniu, bo lepiej się przechowuje, zwłaszcza w waszych temperaturach. Dla rannych to prawdziwe zbawienie, bo można podać ją natychmiast, na długo przed transfuzją.

– Czy mnie też musieliście zrobić… transfuzję?

Pielęgniarka poklepała go po ramieniu.

– Tak, towarzyszu majorze, też.

– Dobrze, siostro – powiedział Sayers. – W Ameryce mamy pewną zasadę: nie wolno denerwować pacjenta. Zna ją pani?

– Doktorze – spytał Aleksander. – Było ze mną aż tak źle?

– No, nie najlepiej – odrzekł jowialnie Sayers. – Zostawiłem pana z pielęgniarką, a sam poszedłem… Nie, poprawka: poczołgałem się po nosze. Nie wiem, jak ta dziewczyna dała sobie radę, ale pomogła mi pana dźwigać. I to od strony głowy, a tam ciężej. Kiedy dotarliśmy do brzegu, wyglądała tak, jakby sama potrzebowała plazmy.

– Czołgasz się czy nie, jeśli trafi cię pocisk, już po tobie – wymamrotał Aleksander, pragnąc go pocieszyć.

– Was też trafił – wtrąciła pielęgniarka. – Niewiele brakowało i…

– Ina, czy to ty wczołgałaś się na lód? – Chciał jej podziękować, poklepać ją po ręku.

Pokręciła głową.

– Nie, trzymam się z dala od frontu. Nie pracuję w Czerwonym Krzyżu.

– Nie, nie – wyjaśnił Sayers. – Przyjechałem tu z pielęgniarką z Leningradu. Zgłosiła się na ochotnika – dodał z uśmiechem.

Aleksander poczuł, że zaczyna słabnąć.

– W którym szpitalu pan pracuje?

– Na Greckim.

Aleksander boleśnie jęknął. Jęknął i nie przestał jęczeć, dopóki Ina nie dała mu zastrzyku z morfiny. Sayers spytał, co się stało.

– Doktorze, ta… pielęgniarka, ta ochotniczka…

– Tak?

– Jak się nazywa?

– Tatiana Mietanowa.

Aleksander rozpaczliwie poruszył ustami.

– Gdzie ona teraz jest?

Sayers wzruszył ramionami.

– Niech pan lepiej spyta, gdzie jej nie ma. Pewnie buduje linię kolejową. Przełamaliśmy blokadę. Sześć dni po tym, kiedy został pan ranny. Fronty się połączyły i tysiąc sto kobiet natychmiast zaczęło kłaść tory. Tania też. Pracuje po tej stronie…

– Ale nie od początku – wytrąciła Ina. – Głównie siedziała przy was, majorze.

– Tak, a kiedy się panu polepszyło, pojechała im pomóc. Nazywają to torami do zwycięstwa. Moim zdaniem odrobinę przedwcześnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę stan rannych, których tu operuję.

– Mógłby ją pan sprowadzić? – Aleksander chciał mu wszystko wyjaśnić, lecz nie mógł. Był zbyt wstrząśnięty. – Gdzie oberwałem?

– W plecy, w prawy bok. Na szczęście odłamek poharatał głównie nieboszczyka, którego pan dźwigał. Ma pan szczęście. Ciężko pracowaliśmy, żeby uratować pańską nerkę. – Sayers nachylił się nad nim i wykrzywił usta w uśmiechu. – Nie chciałby pan chyba mścić się na Niemcach bez sprawnej nerki, prawda, majorze?

– Dzięki. I jak wam poszło? – Aleksander spróbował zlokalizować miejsce, w którym bolało go najbardziej. – Rwie mnie w plecach.

– Nic dziwnego. Wokół rany ma pan poparzenia trzeciego stopnia. Dlatego tak długo leżał pan na brzuchu. Niedawno zaczęliśmy pana przewracać. – Sayers poklepał go po ramieniu. – A pańska głowa? Staranował pan ciężarówkę. Ale wszystko będzie dobrze, jakoś pana naprawimy. Kiedy rana i poparzenia się wygoją, odstawimy morfinę. Za miesiąc będzie pan znowu wojował. – Sayers zawahał się. – Porozmawiamy kiedy indziej, dobrze?

– Dobrze – wymamrotał Aleksander.

– Ale, ale! – dodał wesoło lekarz. – Dostał pan kolejny medal!

– Pośmiertnie?

– Nie, nie. Powiedziano mi, że kiedy tylko stanie pan na nogi, dadzą panu awans. Aha. Ciągle wypytuje o pana jakiś żołnierz, zaopatrzeniowiec. Zaraz, zaraz… Czernienko?

– Proszę sprowadzić tę pielęgniarkę, dobrze? – Aleksander zamknął oczy.

3

Zobaczył ją dopiero nad ranem. Otworzył oczy, a ona siedziała przy nim na brzegu łóżka. Patrzył na nią, patrzył i milczał.

– Szura, tylko nie bądź na mnie zły.

– Boże! – Aleksander nie zdołał powiedzieć nic więcej. – Jesteś bezlitosna i nieugięta.

Kiwnęła głową.

– Tak, nieugięcie zamężna.

– Nie. Nieugięta i…

– Bezlitośnie zakochana. Potrzebowałeś mnie, więc przyjechałam.

– Nie potrzebowałem cię na froncie. Ile razy mam ci to powtarzać? Chciałem, żebyś była bezpieczna.

– A kto miał zapewnić bezpieczeństwo tobie? – Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy w izbie nie ma lekarzy i pielęgniarek, pocałowała go w rękę i przytknęła ją sobie do policzka. – Wszystko będzie dobrze, wielkoludzie, zobaczysz.

– Taniu, kiedy tylko stąd wyjdę, natychmiast się z tobą rozwiodę. – Nie chciał odrywać wzroku od jej twarzy. Nigdy. Za nic.

– Przykro mi, towarzyszu majorze, ale nic z tego. Chciałeś ślubu przed Bogiem? To go masz.

– Tatiasza…

– Kochany, Szura. Tak się cieszę, że znowu słyszę twój głos.

– Powiedz prawdę: mocno oberwałem?

Tatiana zbladła.

– Nie – odrzekła z uśmiechem. – Mogło być gorzej.

– Pobiegłem za Marazowem jak ostatni kretyn. Co mi strzeliło do łba? To tamci powinni byli się nim zająć. Z drugiej strony nie bardzo mogli. Utknęli. Ani do przodu, ani do tyłu… Biedny Tola.

Tatiana uśmiechnęła się smutno.

– Pomodliłam się za spokój jego duszy.

– Za mnie też się modliłaś?

– Nie. Ty nie umarłeś. Modliłam się za siebie. Dobry Boże, prosiłam, pomóż mi go wyleczyć. – Ścisnęła go za rękę. – Pobiegłeś za Marazowem, wrzasnąłeś po angielsku na Sayersa, wskoczyłeś po niego do wody, zawlokłeś go do ciężarówki: nic nie mogłeś na to poradzić, Szura. Tak samo jak nic nie mogłeś poradzić na to, że wróciłeś do naszych z Jurijem Stiepanowem. Pamiętasz? Jesteśmy sumą drobnych cząsteczek. Co te cząsteczki mówią o tobie?

– Że jestem kompletnym idiotą. Plecy pieką mnie żywym ogniem. Czy to aby na pewno tylko drobne zadrapanie, Taniu? – spytał z uśmiechem.

Tatiana zawahała się.

– To poparzenia. Ale nic ci nie będzie. – Wtuliła twarz w jego dłoń. – Powiedz prawdę. Powiedz, że nie cieszysz się na mój widok.

– Nie mogę, nie chcę kłamać – szepnął, wędrując palcami po jej piegach.

Wyjęła z kieszeni fiolkę i podłączyła ją do kroplówki.

– Co to?

– Morfina. Żeby plecy tak bardzo nie piekły. – Rzeczywiście, kilka sekund później

poczuł się dużo lepiej.

Przyjrzał się jej uważnie. Biło z niej ulotne, lecz mimo to niewyczerpane ciepło. Sama jej obecność, jej gładka niczym jedwab twarz koiła ból skuteczniej niż morfina. Promienne oczy, zaróżowione policzki, cudne, lekko rozchylone usta… Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, chłonął ją całą duszą i ściśniętym sercem.

– Jesteś aniołem, prawda?

Na jej twarzy wykwitł elektryzujący uśmiech.

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego – szepnęła. – Nie masz pojęcia, co twoja Tania tu szykuje. – Była tak podekscytowana, że niemal zapiszczała z radości.

– Co szykujesz? Nie, nie, nie wstawaj. Chcę dotykać twojej twarzy.

– Szura, prawie na tobie leżę. Musimy być ostrożni. – Jej uśmiech lekko przygasł. – Dmitrij tu zagląda. Przychodzi, sprawdza, wypytuje, wychodzi, wraca. Co on knuje? Bardzo się zdziwił na mój widok.

– Nie tylko on. Jak się tu dostałaś?

– To część mojego planu.

– Jakiego planu?

– Tego, dzięki któremu umrę przy tobie ze starości.

– Aha, wszystko jasne.

– Szura, musimy porozmawiać. Kiedy tylko zupełnie oprzytomniejesz, usiądziemy i…

– Powiedz mi teraz.

– Nie mogę. Musisz być całkowicie przytomny. Godzinę czekałam, aż się obudzisz. Przyjdę jutro. – Rozejrzała się po izbie. – Widzisz, jak zmyślnie wybrałam dla ciebie łóżko? Stoi w rogu, przy ścianie, dzięki czemu mamy trochę prywatności. – Wskazała okno. – Jest wysoko, ale widać kawałek nieba i dwa drzewa. To sosny, Szura.

– Sosny, Taniu.

Tatiana wstała.

– Twój sąsiad nic nie słyszy ani nie widzi. Nie mam pojęcia, jakim cudem w ogóle mówi. Poza tym leży pod namiotem tlenowym, widzisz? Rozstawiłam go, żeby łatwiej mu było oddychać. Jest jak parawan, zasłania pół izby. Masz tu więcej odosobnienia niż ja przy Piątej Radzieckiej.

– Jak tam Inga?

Tatiana zagryzła wargę.

– Już tam nie mieszka.

– Tak? W końcu się przeniosła?

– Nie, to oni ją przenieśli.

Popatrzyli na siebie i bez słowa skinęli głowami. Aleksander zamknął oczy. Nie chciał, nie mógł pozwolić jej odejść.

– Taniu – szepnął. – Czy to prawda, że wyszłaś na lód? Że w samym środku zaciekłej bitwy wyczołgałaś się na środek rzeki?

Pocałowała go szybko i szepnęła:

– Tak, najdzielniejszy rycerzu mojego serca. Za Leningrad.

– Tatiu, jutro na nic nie czekaj, tylko od razu mnie obudź.

4

Myślał tylko o tym, kiedy ją znowu zobaczy. Przyszła w porze obiadu i przyniosła jedzenie.

– Ja go nakarmię – rzuciła wesoło.

Ina nie robiła wrażenia zadowolonej, ale Tatiana nie zwracała na nią uwagi.

– Siostra Mietanowa odbiera mi pacjenta – westchnęła, podpisując kartę przebiegu choroby.

– Byłem jej pacjentem od samego początku. Czy to nie ona przyniosła mi plazmę?

– Żeby tylko to – mruknęła Ina. Łypnęła spode łba na Tatianę i wyszła.

– O co jej chodzi? – spytał Aleksander.

– Nie wiem. Otwórz usta.

– Taniu, przecież mogę sam.

– A chcesz?

– Nie.

– Pozwól mi się tobą zająć – szepnęła czule. – Pozwól mi zrobić coś, czego tak bardzo pragnę. Dla ciebie, Szura, dla ciebie.

– Taniu, gdzie moja obrączka? Cały czas miałem ją na szyi. Przepadła?

Tatiana z uśmiechem sięgnęła pod bluzkę i pokazała mu pleciony sznurek. Wisiały na nim dwie obrączki.

– Oddam ci ją, kiedy znowu będziemy mogli je nosić.

– Nakarm mnie – szepnął czule.

Ale zanim zdążyła wziąć łyżkę, do izby wszedł pułkownik Stiepanow.

– Słyszałem, żeście się obudzili. – Zerknął na Tatianę. – Przychodzę nie w porę?

Tania pokręciła głową, odłożyła łyżkę i wstała.

– Pułkownik Stiepanow? – spytała.

– Tak – odrzekł tamten zaskoczony. – A wy…

Tatiana wzięła go za rękę i mocno uścisnęła.

– Tatiana Mietanowa. Chciałam wam tylko podziękować za wszystko, co zrobiliście dla majora Biełowa. – Nie puściła jego ręki, a on nie cofnął swojej. – Dziękuję. Bardzo wam dziękuję.

Aleksander miał ochotę ją wyściskać.

– Towarzyszu pułkowniku – powiedział – siostra wie, jacy jesteście dla mnie dobrzy.

– W pełni na to zasługujecie, majorze. Widzieliście już swój nowy medal?

Wisiał na oparciu krzesła przy łóżku.

– Tak, ale dlaczego nie zaczekali, aż odzyskam przytomność?

Stiepanow odchrząknął.

– Nie wiedzieliśmy, czy…

– I to nie byle jaki medal! – przerwała mu radośnie Tatiana. – To nasze najwyższe odznaczenie: medal Bohatera Związku Radzieckiego! – dokończyła bez tchu.

Stiepanow popatrzył na nią, potem na Aleksandra i przeniósł wzrok z powrotem na Tatianę.

– Widzę, że wasza pielęgniarka jest z was bardzo… dumna, majorze.

– Tak, towarzyszu pułkowniku. – Aleksander z trudem zachował poważną minę.

– Wiecie co? Przyjdę, kiedy będziecie mniej zajęci.

– Towarzyszu pułkowniku, jak radzą sobie nasi chłopcy?

– Dobrze, całkiem dobrze. Dostali dziesięć dni urlopu, wrócili i próbują wyprzeć Niemców z Siniawina. Jest ciężko, ale wiecie, krok po kroku i jakoś to będzie. Są i lepsze nowiny. W zeszłym miesiącu Paulus poddał się w Stalingradzie. – Stiepanow zachichotał. – Dwa dni przedtem Hitler mianował go feldmarszałkiem. Powiedział, że w historii Niemiec nie było feldmarszałka, który poddałby się nieprzyjacielowi.

– Pewnie chciał być pierwszy – odrzekł z uśmiechem Aleksander. – To naprawdę dobra nowina. Pobiliśmy ich pod Stalingradem, przełamaliśmy blokadę Leningradu… Może jeszcze tę wojnę wygramy. Ale nawet jeśli, będzie to pyrrusowe zwycięstwo.

– Macie rację. – Stiepanow uścisnął mu rękę. – Ponosimy tak wielkie straty, że nie wiem, kto będzie je oblewał. – Pułkownik westchnął. – Wracajcie do zdrowia, majorze. Czeka was kolejny awans. Ale bez względu na to, co się będzie działo, na front już was nie wyślemy.

– Chciałbym jeszcze powalczyć, towarzyszu pułkowniku.

Tatiana trąciła go w ramię.

– To znaczy, bardzo dziękuję, towarzyszu pułkowniku.

Stiepanow popatrzył na Tanię, potem na niego.

– Cieszę się, że wam lepiej. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem was w tak dobrym humorze. Śmiertelne rany bardzo wam służą.

Pułkownik wyszedł.

– Był tak speszony, że nie wiedział, co ze sobą zrobić – powiedział z uśmiechem Aleksander. – Śmiertelne rany? O co mu chodziło?

– O nic, to tylko przenośnia. Ale miałeś rację, to bardzo miły człowiek. – Spojrzała na niego z udawanym wyrzutem. – Widzę, że nie podziękowałeś mu ode mnie.

– Taniu, jesteśmy mężczyznami, to nie uchodzi.

– Otwórz usta.

– Co to jest?

Przyniosła mu kapuśniak z ziemniakami, do tego biały chleb z masłem.

– Skąd wytrzasnęłaś tyle masła? – Było tego z ćwierć kilo.

– Ranni żołnierze dostają dodatkowy przydział. A ty masz przydział ekstra dodatkowy.

– Masła i morfiny? – spytał z uśmiechem.

– Uhm. Musisz szybko wydobrzeć.

Ilekroć wkładała mu łyżkę do ust, Aleksander wciągał głęboko powietrze, żeby powąchać jej rękę.

– Ty już jadłaś?

Tania wzruszyła ramionami.

– Kto ma czas na jedzenie? – rzuciła lekko, przysuwając krzesło bliżej łóżka.

– Myślisz, że pacjenci zaprotestują, jeśli siostra mnie pocałuje?

– Natychmiast – odrzekła, odsuwając się nieco. – Pomyślą, że teraz ich kolej.

Aleksander rozejrzał się. Naprzeciwko leżał umierający żołnierz bez nóg. Lekarze nic nie mogli dla niego zrobić. Z namiotu tlenowego dobiegał cichy charkot. Ranny walczył o każdy oddech. Jak Marazow.

– Co mu jest?

– Z Nikołajem Uspieńskim? Stracił płuco. – Tatiana odchrząknęła. – Ale wyjdzie z tego. To miły człowiek. Jego żona mieszka na wsi i przysyła mu cebulę.

– Cebulę?

Tania wzruszyła ramionami.

– To prości ludzie.

– Ina mówiła, że musieliście mi zrobić transfuzję. Czy…

– Nic ci nie będzie – przerwała mu szybko Tatiana. – Straciłeś trochę krwi, to wszystko. – Potrząsnęła głową, jakby chciała odpędzić natrętne myśli. – Posłuchaj. – Zniżyła głos. – Posłuchaj bardzo uważnie…

– Dlaczego nie jesteś ze mną cały czas? Nie chcesz być moją pielęgniarką?

– Jak to? Dwa dni temu kazałeś mi wracać do domu, a teraz chcesz, żebym została?

– Tak.

– Najdroższy – szepnęła z uśmiechem. – On tu jest cały czas. Nie słyszałeś, co mówiłam? Próbuję utrzymywać zawodowy dystans. Ina jest świetną pielęgniarką. Niedługo wydobrzejesz i jeśli zechcesz, przeniesiemy cię na rekonwalescencję.

– Tam pracujesz? Za tydzień będzie mi lepiej.

– Nie, Szura. Pracuję gdzie indziej.

– Gdzie?

– Posłuchaj, chcę z tobą porozmawiać, ale ciągle mi przerywasz.

– Już nie będę. Tylko weź mnie za rękę.

Tatiana wsunęła rękę pod koc i splotła palce z jego palcami.

– Gdybym była duża i silna jak ty, zniosłabym cię z tego lodu sama.

Ścisnął ją za rękę.

– Nie denerwuj mnie, dobrze? Za bardzo się cieszę, że widzę twoją śliczną twarzyczkę. Pocałuj mnie, tak bardzo proszę…

– Nie. Szura, posłuchaj…

– Boże, dlaczego jesteś taka piękna? Cały czas promieniejesz radością i szczęściem. Nigdy dotąd tak nie wyglądałaś.

Nachyliła się ku niemu, rozchyliła usta i matowym głosem spytała:

– Nawet w Łazariewie?

– Przestań, bo się rozpłaczę. Bije z ciebie taka jasność, taka…

– Cieszę się, że żyjesz.

– Jak trafiłaś na front?

– Gdybyś mi nie przerywał, już dawno wszystko bym ci opowiedziała. Wyjeżdżając z Łazariewa, wiedziałam, że chcę zostać pielęgniarką na oddziale intensywnej opieki medycznej. Po twojej listopadowej wizycie postanowiłam wstąpić do wojska. Skoro miałeś się bić o Leningrad, chciałam się bić i ja. Tam, na zamarzniętej Newie, tak samo jak ty.

– Taki miałaś plan?

– Tak.

Aleksander pokręcił głową.

– Świetnie. Cieszę się, że nic mi wtedy nie powiedziałaś. Teraz też tego nie zniosę, nie mam siły.

– Musisz, bo to jeszcze nie koniec. – Nie mogła ukryć podniecenia. Serce waliło jej jak młotem. – Kiedy na Grecki przyjechał doktor Sayers, natychmiast go zapytałam, czy nie potrzebuje kogoś do pomocy. Wojsko zaprosiło go do Leningradu, bo spodziewaliśmy się dużej liczby rannych. – Zniżyła głos. – Dużej, ale nie aż tak wielkiej. Nie mamy ich gdzie kłaść. W każdym razie, kiedy się okazało, że Sayers jedzie na front, spytałam go, czy nie mogłabym mu jakoś pomóc. To ty mnie tego nauczyłeś. A on na to, że tak, jak najbardziej. Przyjechał do Leningradu z pielęgniarką, ale biedaczka zachorowała. Nic dziwnego w tym zimnie. Złapała gruźlicę, wyobrażasz sobie? Teraz już wydobrzała, ale

musiała zostać na Greckim. Ponieważ nie zdążyłam się jeszcze zaciągnąć, przyjechałam tu jako jego asystentka. Popatrz – dodała z dumą, pokazując mu opaskę na ramieniu. – Zamiast zwykłej sanitariuszki masz przed sobą pielęgniarkę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża! Czy to nie wspaniale?

– Cieszę się, że pobyt na froncie tak bardzo ci się podoba – mruknął Aleksander.

– Szura, nie na froncie! Wiesz, skąd przyjechał Sayers?

– Z Ameryki?

– No tak, ale z jakiego miasta przyjechał do Leningradu.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Z Helsinek! – szepnęła podekscytowana Tatiana.

– Z Helsinek?

– Tak.

– No dobrze…

– A wiesz, dokąd niedługo wraca?

– Nie.

– Do Helsinek!

Aleksander nie odpowiedział. Powoli odwrócił głowę i zacisnął powieki. Słyszał, że Tania go woła. Otworzył oczy. Miała zarumienioną twarz, oddychała szybko i płytko, tańczyła palcami po jego ramieniu.

Parsknął śmiechem.

Pielęgniarka stojąca przy drzwiach spojrzała w ich stronę.

– Cicho, nie śmiej się – szepnęła Tatiana.

– Taniu, błagam, przestań.

– Wysłuchasz mnie czy nie? Kiedy tylko poznałam doktora Sayersa, zaczęłam myśleć.

– O nie.

– O tak!

– I o czym tak myślałaś?

– Próbowałam wymyślić jakiś plan.

– Boże, tylko nie kolejny plan.

– Zadałam sobie pytanie: czy Sayersowi można zaufać? Doszłam do wniosku, że tak, bo wyglądał na porządnego Amerykanina. Postanowiłam opowiedzieć mu o nas, o tobie i o mnie, i prosić go, żeby pomógł ci wrócić do domu, żeby nas stąd wywiózł. Tylko do Helsinek, bo z Helsinek dotarlibyśmy do Sztokholmu sami.

– Taniu, przestań. Dłużej tego nie zniosę.

– Nie, posłuchaj! – syknęła. – Nie wiesz nawet, jak bardzo Bóg nam sprzyja. W grudniu przywieźli do szpitala rannego fińskiego pilota. Przywożą ich cały czas, a oni umierają. Próbowaliśmy go ratować, ale miał ciężkie obrażenia głowy. Jego samolot wpadł do Zatoki. – Jeszcze bardziej zniżyła głos, mówiła ledwo słyszalnym szeptem:. – Mam jego mundur. Mundur z identyfikatorem. Ukryłam go w dżipie Sayersa, w pudle z bandażami. Czeka na ciebie.

Aleksander wytrzeszczył oczy.

– Bałam się tylko prosić Sayersa, żeby zechciał zaryzykować, pomagając ludziom, których zupełnie nie zna. Nie bardzo wiedziałam, jak go przekonać. – Tatiana nachyliła się i cmoknęła go w ramię. – Ale wtedy na scenę wkroczyłeś ty, mój bohaterze. Uratowałeś mu życie i jestem pewna, że Sayers wydostanie cię stąd, nawet gdyby musiał dźwigać cię na plecach!

Aleksandrowi odebrało mowę.

– Przebierzemy cię w fiński mundur i przez kilka godzin będziesz Tove Hanssenem. Wsadzimy cię do ciężarówki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i wywieziemy ze Związku Radzieckiego.

Zaskoczony Aleksander wciąż milczał.

Rozradowana Tatiana roześmiała się bezgłośnie.

– Co za szczęście, nie uważasz? – Wskazała opaskę na ramieniu i ścisnęła go za rękę. – W zależności od tego, jak szybko odzyskasz siły i czy Bałtyk będzie zamarznięty, z Helsinek moglibyśmy dotrzeć do Sztokholmu albo statkiem handlowym, albo ciężarówką pod konwojem. Szwecja jest neutralna! Nie, nie, nic nie mów. Wszystko pamiętam, każde twoje słowo. – Klasnęła w dłonie. – Czyż to nie wspaniały plan? Lepszy niż ukrywanie się miesiącami na fińskich bagnach.

Wstrząśnięty Aleksander patrzył na nią, nie wierząc własnym oczom i uszom.

– Chryste, kim ty jesteś, dziewczyno?

Tatiana wstała i pocałowała go mocno w usta.

– Twoją ukochaną żoną.

Nadzieja jest zadziwiającym lekarstwem.

Dni, które nieznośnie się przedtem dłużyły, stały się nagle za krótkie, gdyż Aleksander chciał jak najszybciej wstać i zacząć wreszcie chodzić. Wstać z łóżka jeszcze nie mógł, lecz podpierał się już łokciami, a w końcu zdołał usiąść. Samodzielnie jadł i niecierpliwie czekał tylko na jedno: na wizytę Tatiany.

Bezczynność doprowadzała go do szału. Poprosił Tanię, żeby przyniosła mu kilka kawałków drewna i nóż, i czekając, rzeźbił godzinami małe palmy, sosny, sztylety i ludziki.

Tatiana przychodziła codziennie, nawet po kilka razy dziennie, i szeptała:

– Szura, w Helsinkach pojedziemy na przejażdżkę saniami albo dorożką. Czy to nie cudowne? I moglibyśmy pójść do prawdziwego kościoła! Doktor Sayers mówi, że cerkiew cesarza Mikołaja jest bardzo podobna do naszego Izaaka. Szura, czy ty mnie słuchasz?

A on z uśmiechem kiwał głową i rzeźbił dalej.

– Wiesz, że Sztokholm jest cały z granitu, tak samo jak Leningrad? – szeptała Tania. – A wiesz, że w tysiąc siedemset dwudziestym piątym

Piotr Wielki odebrał Karelię Szwedom? Co za ironia, prawda? Już wtedy walczyliśmy o ziemię, która da nam teraz wolność. Kiedy dotrzemy do Sztokholmu, będzie już pewnie wiosna, a w sztokholmskim porcie jest rynek, gdzie można kupić świeże owoce, warzywa, ryby, i wiesz co? Wędzoną szynkę i coś, co nazywają bekonem. Wiem to od doktora Sayersa. Widziałeś kiedyś bekon? Szura, ty wcale mnie nie słuchasz.

A on uśmiechał się tylko, kiwał głową i cichutko pogwizdywał.

– W Sztokholmie pójdziemy do… do… Zapomniałam, jak to się nazywa, ale… Mam! Do Szwedzkiej Świątyni Chwały. To miejsce pochówku królów. Królów i bohaterów – dodała z promiennym uśmiechem. – Na pewno ci się spodoba. Pójdziemy tam?

– Tak, kochanie, pójdziemy – Aleksander odłożył nóż i mocno ją przytulił. – Dokądkolwiek zechcesz.

5

– Aleksandrze? – Doktor Sayers usiadł na krześle przy łóżku. – Jak pan sądzi, czy jeśli będę mówił cicho, to mogę przejść na angielski? Rosyjski mnie wykańcza.

– Oczywiście – odrzekł po angielsku Aleksander. – Dobrze jest słyszeć dawno zapomniany język.

– Przepraszam, że nie mogłem przyjść wcześniej, ale… – Sayers pokręcił głową. – Utknąłem w tym frontowym piekle na dobre. Kończą mi się zapasy, a ci z Land-Lease nie mogą nadążyć z dostawami. Jem wasze jedzenie, śpię bez materaca…

– Dlaczego?

– Na materacach śpią ranni. Ja sypiam na tekturze.

Aleksander zastanawiał się, czy Tania też sypia na tekturze.

– Myślałem, że wyjadę dużo wcześniej, ale sam pan widzi. Wciąż tu siedzę. Siedzę i haruję dwadzieścia godzin na dobę. Dopiero teraz dali mi trochę odsapnąć. Chce pan porozmawiać?

Aleksander wzruszył ramionami, przyglądając mu się uważnie.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Bostonu. Zna pan Boston?

– Uhm. Moja rodzina mieszkała w Barrington.

– No proszę! – wykrzyknął Sayers. – Jesteśmy prawie sąsiadami. – Westchnął. – To długa historia?

– Długa.

– Opowie pan? Amerykanin, który skończył jako major Armii Czerwonej. Niesamowite. Umieram z ciekawości.

Aleksander milczał.

– Od jak dawna nie może pan nikomu zaufać? – spytał łagodnie Sayers. – Proszę zaufać mnie.

Aleksander wziął głęboki oddech. Skoro Tatiana mu zaufała, pomyślał, zaufam i ja.

Doktor Sayers wysłuchał go w skupieniu i mruknął:

– Chryste, co za koszmar.

– Mnie pan to mówi?

Sayers zmrużył oczy.

– Mógłbym jakoś pomóc?

Aleksander nie odpowiedział.

– Czy chce pan… wrócić do domu?

– Tak. Chcę.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Niech pan porozmawia z moją pielęgniarką. Proszę. Ona wszystko panu powie. – Właśnie, gdzie jest Tania? Musi ją zobaczyć. Teraz, zaraz, natychmiast.

– Z Iną?

– Nie, z Tatianą.

– Ach, z Tatianą. – Sayers uśmiechnął się ciepło. – Boże, to ona… wie?

Był tak zdumiony, że Aleksander nie wytrzymał i roześmiał się cicho.

– Doktorze, chyba będę musiał powierzyć panu wszystkie tajemnice. W pańskich rękach spocznie życie dwojga osób. Widzi pan, Tatiana…

– Tak?

– Jest moją żoną. – Aleksander poczuł, jak zalewa go fala wewnętrznego ciepła.

Sayers wybałuszył oczy.

– Pańską… żoną? – powtórzył z niedowierzaniem. Zmarszczył brwi, potarł czoło i nagle w jego oczach rozbłysła iskierka smutku i zrozumienia; Aleksander uśmiechnął się z rozbawieniem, widząc jego minę. – Boże, jaki ja byłem głupi. Tatiana jest pańską żoną. No tak. Powinienem był się tego domyślić. Teraz już wszystko jasne… Szczęściarz z pana.

– Wiem.

– Nie, majorze, nic pan nie wie. Ale nie szkodzi.

– Proszę z nią porozmawiać, doktorze. Ona nie bierze morfiny, nie jest ranna. Powie panu, co robić.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Widzę, że prędko stąd nie wyjadę. Czy mam pomóc jeszcze komuś?

– Nie, dziękuję – odrzekł Aleksander.

Doktor Sayers wstał i uścisnął mu rękę.

– Ino, kiedy przeniosą mnie na salę ozdrowieńców?

– Po co ten pośpiech? Niedawno odzyskaliście przytomność. Zajmiemy się wami tutaj.

– Przecież straciłem tylko trochę krwi, to wszystko. Wypuśćcie mnie stąd. Sam pójdę.

– Macie w plecach dziurę wielkości mojej pięści, majorze. Nigdzie nie pójdziecie.

– Twoje piąstki są bardzo małe, Ino. Dlaczego się tak ze mną cackacie?

– Powiem wam tylko jedno: nigdzie nie pójdziecie, i już. Jasne? A teraz muszę przewrócić was na brzuch i oczyścić tę paskudną ranę.

Aleksander przewrócił się na brzuch bez jej pomocy.

– Jest aż tak paskudna?

– Paskudna, majorze, paskudna. Pocisk wyrwał wam kawał ciała…

– Pewnie z funt – mruknął z uśmiechem Aleksander.

– Pewnie co? – nie zrozumiała Ina.

– Nic, nic. Powiedz prawdę: mocno oberwałem?

Ina zaczęła zmieniać opatrunek.

– Mocno. Siostra Mietanowa wam nie powiedziała? Ona jest niemożliwa. Kiedy was tu przywieźli, doktor Sayers powiedział, że nie przeżyjecie.

To Aleksandra nie zaskoczyło. Życie na krańcach świadomości nie przypominało normalnego życia, mimo to śmierć była czymś niewyobrażalnym.

– Doktor to dobry człowiek. Chciał was ratować, czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Ale powiedział, że straciliście za dużo krwi.

– Aha. Dlatego leżę na oddziale intensywnej terapii?

– Tak, ale początkowo leżeliście gdzie indziej. – Poklepała go po ramieniu. – Na oddziale przypadków beznadziejnych.

– Ach tak… – Aleksander przestał się uśmiechać.

– Ta Mietanowa… Sama nie wiem. Moim zdaniem za dużo czasu poświęca umierającym. Powinna być tu, ze mną, a ona cały czas siedzi w umieralni.

A więc to tam pracuje, pomyślał Aleksander.

– Jak sobie radzi?

– Kiepsko. Pacjenci umierają jeden po drugim, a ona siedzi z nimi do samego końca. To nie pomaga, ale…

– Umierają szczęśliwi?

– Nie, to nie to. Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Przestają się bać?

– Właśnie! – wykrzyknęła Ina. – Przestają się bać. Mówię jej: Taniu, oni i tak umrą, daj sobie spokój. Zresztą nie tylko ja tak uważam. Doktor Sayers też ciągnie ją na intensywny, ale ona nie chce o tym słyszeć. – Ina zniżyła głos. – Odmawia nawet lekarzowi! Jest niemożliwa.

Aleksander uśmiechnął się leciutko.

– I jaka bezczelna! Nie wiem, jakim cudem uchodzi jej to na sucho. Doktor Sayers to bardzo miły człowiek i tak ciężko pracuje. Kiedy was przywieźli, spojrzał na ranę, pokręcił głową i powiedział: „Wykrwawił się". Był smutny, bardzo zdenerwowany, sama widziałam.

Wykrwawił się? – Aleksander zbladł.

– „Dajmy sobie spokój, już mu nie pomożemy". – Ina przestała przemywać ranę i zajrzała mu w oczy. – A wiecie, co na to Tania?

– Nie mam pojęcia.

– Nie wiem, za kogo ona się uważa – odrzekła Ina tonem sfrustrowanej plotkarki. Nachyliła się jeszcze bardziej i szepnęła: – „Dobrze, że major Biełow tak nie pomyślał, kiedy topił się pan w lodowatej wodzie!" Tak mu powiedziała. „Dobrze, że się od pana nie odwrócił, że nie zostawił pana samego!" – Ina zachichotała! – Co za tupet. Żeby mówić tak do lekarza.

– Fakt, co za tupet – wymruczał Aleksander.

– Nie wiem, ona się chyba zawzięła. Potraktowała to jak jakąś krucjatę. Oddała doktorowi litr krwi. Cały litr! Dla was.

– Dużo. Skąd tyle wzięła?

– Litr własnej krwi, majorze, własnej! Macie szczęście. Nasza Tania ma grupę „0", jest uniwersalną dawczynią.

To na pewno, pomyślał Aleksander, zaciskając powieki.

– Doktor mówi: „dość, wystarczy, więcej nie można", a ona, że litr to za mało. Tak, mówi doktor, ale nie możesz się wykrwawić, a ona na to, że krwi ma aż za dużo. Doktor mówi: „wykluczone", ona na to: „zobaczymy". I cztery godziny później przynosi mu jeszcze pół litra krwi.

Ina opowiadała, kładąc mu na plecy świeżą gazę, a on słuchał. Prawie przestał oddychać.

– Doktor mówi: „Taniu, niepotrzebnie tracisz czas. Spójrz tylko na te oparzenia. Zaraz wda się zakażenie". Mieliśmy za mało penicyliny, a wam bardzo spadła liczba krwinek. – Ina zachichotała z niedowierzaniem. – Robię nocny obchód i kogo widzę przy waszym łóżku? Tatianę. Patrzę, patrzę i nie wierzę własnym oczom. Siedzi z cewnikiem w ręku i nie uwierzycie: cewnik jest podłączony do waszej kroplówki! Siedzi tam i przetacza wam krew! Biegnę do niej i wrzeszczę: „Zwariowałaś?! Rozum ci odjęło?! Przetaczasz mu krew?!". A ona patrzy na mnie i spokojnym, stanowczym głosem mówi: „Ino, jeśli tego nie zrobię, on umrze". Ja na to: „Na intensywnym leży trzydziestu żołnierzy, którym trzeba oczyścić rany, których trzeba pozszywać i zabandażować. Zajmij się lepiej nimi, trupami niech zajmie się Bóg". A ona mówi: „On jeszcze nie umarł. On żyje, a dopóki żyje, będę się nim opiekowała". Uwierzycie? Naprawdę tak powiedziała. „Cholera jasna, ja na to. Dobrze, chcesz, to umieraj, mam to gdzieś". Nazajutrz rano poszłam na skargę do doktora Sayersa. Powiedziałam mu, co zrobiła, a on wpadł do izby, żeby ją skrzyczeć.

– Ina zniżyła głos do pełnego niedowierzania świszczącego szeptu. – Leżała nieprzytomna przy waszym łóżku. Była bardzo osłabiona, strasznie się wykrwawiła, za to wam trochę się polepszyło. Powróciły czynności życiowe. A ona? Wstała z podłogi blada jak śmierć, spojrzała na doktora i spokojnie powiedziała: „Może teraz poda mu pan penicylinę?”. Doktorowi odjęło mowę, ale zaaplikował wam penicylinę, plazmę i dodatkową morfinę. Potem was operował. Usunął z ciała odłamki pocisku, uratował wam nerkę, na koniec was pozszywał. A Tatiana nie odstępowała go na krok. Trzeba wam było zmieniać opatrunki, i to regularnie, co trzy godziny. Na umieralni były tylko dwie pielęgniarki, ona i ja, i podczas gdy ja zajmowałam się wszystkimi pacjentami, ona siedziała tylko przy was. Przez piętnaście nocy i dni przemywała wam ranę, zmieniała opatrunki i bandaże. Co trzy godziny. Pod koniec wyglądała jak duch. Ale wydobrzeliście. Wtedy przenieśliśmy was tutaj, na intensywny. Mówię jej: „Taniu, za to, co zrobiłaś, ten major powinien się z tobą ożenić”. A ona: „Myślisz?” – Ina nachyliła się nad łóżkiem. – Aż tak boli, majorze? Dlaczego płaczecie?

Kiedy przyszła go nakarmić, wziął ją za rękę i długo nie mógł nic powiedzieć.

– Co się stało, kochanie? – spytała. – Co cię boli?

– Serce.

– Szura, skarbie, zaraz cię nakarmię. Potem muszę nakarmić dziesięciu innych. Jeden z nich nie ma języka. Wyobrażasz sobie, jak trudno mu jeść? Jeśli będę mogła, wrócę wieczorem. Ina mnie zna. Myśli, że się w tobie podkochuję. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Aleksander wciąż milczał. Słowa utknęły mu w gardle.

Przyszła wieczorem. Światło było zgaszone, wszyscy już spali. Tania usiadła na brzegu łóżka i wzięła go za rękę.

– Tatiu…

– Ina ma długi język. Zabroniłam jej mówić. Nie chciałam, żebyś się martwił. Nie wytrzymała.

– Nie zasługuję na ciebie.

– Przestań, Szura. Myślałeś, że pozwoliłabym ci umrzeć, wiedząc, że możemy stąd uciec? Miałabym cię stracić o krok od wolności?

– Nie zasługuję na ciebie – powtórzył.

– Mężu mój, zapomniałeś już, co było w Łudze? Boże, zapomniałeś już, co było w Leningradzie? W naszym Łazariewie? Ja wciąż pamiętam. Moje życie należy do ciebie.

6

Gdy się obudził, wciąż siedziała na krześle. Spała pochylona, w białej chustce na głowie. W izbie było cicho, ciemno i zimno. Zdjął jej chustkę, dotknął opadających na oczy włosów, musnął brwi, przesunął palcem po jej piegach, po małym nosku i miękkich ustach. Obudziła się.

– Hmm… – Poklepała go po ręku. – Lepiej już pójdę.

– Taniu, kiedy wyzdrowieję, kiedy odzyskam spokój?

– Kochanie, nie denerwuj się. – Nachyliła się nad łóżkiem. – Przytul mnie, Szura. Mocno. Tak jak lubię…

Objął ją, a ona pocałowała go w czoło, muskając mu twarz kosmykami włosów.

– Powspominajmy – szepnął. – Opowiedz coś.

– Myślisz o czymś konkretnym?

– Dobrze wiesz, o czym myślę.

– Pamiętam – zaczęła, nie przestając go całować – jak pewnego deszczowego wieczoru wróciłam od Nainy i rozłożyłam koc na podłodze przed piecem. Kochałeś się ze mną tak czule, tak namiętnie, i mówiłeś, że przestaniesz dopiero wtedy, kiedy poproszę. – Uśmiechnęła się z ustami na jego policzku. – Poprosiłam?

– Nie – wychrypiał. – Byle słabeusz cię nie zadowoli, Tatiasza.

– A ciebie nie zadowoli słabeuszka. A potem zasnąłeś na mnie. Ja nie spałam i mocno cię tuliłam. W końcu zasnęłam, a rano, kiedy się obudziłam, wciąż na mnie leżałeś. Pamiętasz?

– Tak. – Aleksander zamknął oczy. – Pamiętam dokładnie wszystko. Każde twoje słowo, każdy oddech, każdy uśmiech, każdy pocałunek. Wszystkie nasze zabawy, wszystkie pierogi z kapustą, które piekłaś, wykłócając się ze mną o Puszkina. Pamiętam wszystko.

– Teraz ty – szepnęła. – Tylko cicho, bo ten niewidomy po drugiej stronie przejścia dostanie ataku serca.

Aleksander odgarnął jej włosy z czoła.

– Pamiętam, jak Aksinia stała przed drzwiami łaźni, podczas gdy my, rozpaleni i śliscy od mydła, kochaliśmy się w kłębach pary. Musiałem ciągle powtarzać: cicho, ciii…

– Ciii… – szepnęła Tatiana, zerkając przez ramię na śpiących pod ścianą pacjentów.

Aleksander poczuł, że się od niego odsuwa.

– Zaczekaj. – Rozejrzał się szybko po ciemnej izbie. – Chcę…

Uśmiechnęła się figlarnie. Patrzył na nią tak jak kiedyś: dobrze znała ten wyraz oczu.

– Tak? Czego byś chciał? Widzę, że wracasz do formy, żołnierzu.

– Szybciej, niż myślisz.

Przytknęła policzek do jego policzka.

– Wyobrażam sobie.

Zaczął rozpinać jej fartuch.

– Nie, Szura, przestań.

– Co znaczy przestań? Rozepnij. Chcę dotknąć twoich piersi.

– Szura, ktoś się obudzi, zobaczy i będą kłopoty. Ktoś na pewno zobaczy. Jako pielęgniarka mogę cię trzymać za rękę, ale piersi? Nie zrozumiałby tego nawet doktor Sayers.

Aleksander ścisnął jej dłoń.

– Muszę je pocałować – szepnął. – Muszę wtulić w nie twarz, tylko na sekundę. Tatiasza, błagam: rozepnij się i nachyl, jakbyś poprawiała mi poduszkę. To wystarczy…

Tatiana ciężko westchnęła i niechętnie rozpięła fartuch. Aleksander pragnął zobaczyć ją tak bardzo, że zapomniał o przyzwoitości. Wszyscy śpią, myślał, patrząc na nią wygłodniałym wzrokiem, wszyscy śpią.

Tatiana wstała, nachyliła się nad nim i podciągnęła bluzkę.

Aleksander wciągnął powietrze tak gwałtownie i głośno, że szybko ją opuściła. Piersi miała dwa razy większe niż przedtem. Były obrzmiałe i białe jak mleko.

– Tatiano – jęknął. Zanim zdążyła się cofnąć, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Szura, przestań…

– Tatiano. Boże, nie…

Tania przestała się wyrywać.

– Co takiego? – wymruczała, całując go w usta.

– Boże, ty jesteś…

– Tak. Jestem w ciąży.

Bez słowa wpatrywał się w jej rozpromienioną twarz.

– Co my teraz zrobimy?

– Jak to co? Urodzimy dziecko! W Ameryce. Dlatego szybko zdrowiej, żebyśmy mogli stąd uciec.

Zabrakło mu słów.

– Od… Od kiedy wiesz? – wyjąkał.

– Od grudnia.

Na czoło wystąpiły mu krople potu.

– I przyjechałaś na front?

– Tak.

– I wyszłaś na ten przeklęty lód, wiedząc, że jesteś w ciąży?

– Tak.

– I oddałaś mi krew?

– Tak. – Posłała mu czuły uśmiech. – Tak.

Aleksander odwrócił głowę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Szura, właśnie dlatego. Znam cię. Umierałbyś z niepokoju, a sam ledwo żyjesz. Myślisz, że jesteś bezradny, że nie możesz mnie chronić, ale nic mi nie jest, naprawdę. Czuję się dobrze. Nawet lepiej niż dobrze – dodała z uśmiechem. – Poza tym jeszcze wcześnie. Urodzę dopiero w sierpniu.

Aleksander zasłonił sobie oczy ramieniem. Nie mógł na nią spojrzeć.

– Pokazać ci piersi jeszcze raz? – szepnęła.

Pokręcił głową.

– Chce mi się spać. Przyjdź jutro.

Pocałowała go w ramię i wyszła. Tej nocy nie zmrużył oka.

Był przerażony. Przedzierać się przez granicę z żoną w ciąży? Omijać posterunki NKWD, jechać przez wrogą Finlandię z ciężarną kobietą? Dlaczego ona nie rozumie, że on się boi, że serce ściska mu strach? Gdzie się podział jej zdrowy rozsądek i zdolność oceny sytuacji?

Jaki rozsądek? – myślał. Do reszty zgłupiałem. Ta dziewczyna przeszła sto pięćdziesiąt kilometrów, przeszła przez linię frontu! I po co? Tylko po to, żeby przynieść mi

pieniądze, żebym mógł uciec i zostawić ją na pastwę losu. To nie rozsądek, tylko czyste szaleństwo.

Na piechotę? Wykluczone. Moja żona i moje dziecko nie pójdą na piechotę. Wrócił myślą do mieszkania przy Piątej Radzieckiej. Przypomniał mu się ten brud, ten zaduch, wycie syren o poranku, posępne noce i mróz. Przypomniała mu się młoda matka, która zamarzła na śniegu z dzieckiem w ramionach. Zadrżał. Co było gorsze: pozostać w Związku Radzieckim czy zaryzykować jej życie i spróbować uciec?

Jako żołnierz, jako wielokrotnie odznaczony oficer największej armii świata, bił się z posępnymi myślami.

Nazajutrz rano, kiedy przyszła go nakarmić, wziął się w garść i spokojnie oświadczył:

– Zostajemy. Jesteś w ciąży i nigdzie nie wyjedziesz.

– Co ty pleciesz? Oczywiście, że wyjadę. Z tobą.

– Wykluczone.

– Boże, Szura, właśnie dlatego nie chciałam ci nic mówić. Wiedziałam, jak to przyjmiesz.

– A jak mogłem to przyjąć? Jak? Leżę tu jak kłoda, nie mogę nawet wstać. Jestem bezradny, bezsilny jak dziecko, a moja żona…

– Nie jesteś bezsilny! Jesteś taki sam jak przedtem, nawet w tym stanie. Rana to rzecz tymczasowa, a ty nie. Odwagi, żołnierzu. Spójrz, co ci przyniosłam. Jajecznica. Doktor Sayers zapewnił mnie, że z prawdziwych jajek. Spróbuj i powiedz.

Z Helsinek do Sztokholmu: pięćset kilometrów ciężarówką po lodzie pod niemieckim ostrzałem. Aleksander zadrżał i odwrócił wzrok.

Tatiana westchnęła.

– Siedzi w tobie dzikie zwierzę. Dlaczego zawsze tak reagujesz?

– Jak reaguję?

– Właśnie tak. – Podała mu widelec. – Jedz.

Rzucił widelec na metalową tacę.

– Taniu, zrób skrobankę. Niech Sayers się tym zajmie. Zajdziesz w ciążę jeszcze raz. Będziemy mieli dużo, dużo dzieci, obiecuję. Będziemy robili dziecko za dzieckiem, będziemy dobrymi chrześcijanami, ale nie teraz, nie teraz! Nie możemy uciec stąd, kiedy jesteś w ciąży, po prostu nie możemy. Ja nie mogę – dodał. Wziął ją za rękę, ale wyszarpnęła się i wstała.

– Chyba żartujesz.

– Nie. Mnóstwo dziewczyn to robi. Dasza miała trzy skrobanki.

Tatiana zbladła.

– Była w ciąży… z tobą? – spytała cichutko.

– Nie, Tatiu – odparł ze znużeniem, przecierając oczy. – Nie ze mną.

Choć wciąż blada, Tania lekko odetchnęła.

– Myślałam, że od trzydziestego ósmego przerywanie ciąży jest u nas nielegalne.

– Boże święty! Dlaczego ty jesteś taka naiwna?

Trzęsły jej się ręce, nie mogła nad sobą zapanować.

– Tak, jestem – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Cóż, może powinnam była mieć trzy skrobanki, zanim cię spotkałam. Może byłabym wtedy atrakcyjniejsza i mniej naiwna.

Aleksandrowi ścisnęło się serce.

– Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. – Stała za daleko i była zbyt zdenerwowana, żeby wziąć ją za rękę. – Myślałem, że Dasza ci powiedziała.

– Nie, nie powiedziała – odparła Tatiana niskim, udręczonym głosem.

– Nigdy nie rozmawiała ze mną o takich sprawach. Tak, rodzina chroniła mnie, jak tylko mogła, ale nie zapominaj, że mieszkaliśmy w ciasnym mieszkaniu. Wiedziałam, że w latach trzydziestych mama miała sześć skrobanek. Nina Iglenko miała ich osiem, ale nie o tym mówię.

– Więc o czym? O co chodzi?

– Wiesz, co do ciebie czuję, i mimo to myślisz, że mogłabym coś takiego zrobić?

Aleksander zacisnął usta.

– Ależ skąd. Oczywiście, że nie. Niby po co? – Podniósł głos. – Czy kiedykolwiek zrobiłaś coś, co zapewniłoby mi spokój ducha?

Tatiana nachyliła się nad nim i gniewnie szepnęła:

– Masz rację. Spokój ducha albo dziecko. Wybór należy do ciebie. – Trzasnęła talerzem o tacę i wyszła.

Nie było jej cały dzień i Aleksander doszedł do wniosku, że dłużej tego nie wytrzyma: chciał ją zobaczyć zaraz, teraz, natychmiast, tymczasem od ich spotkania upłynęło aż szesnaście godzin. Prosił Inę i doktora Sayersa, żeby ją przyprowadzili, ale najwyraźniej nie miała czasu i nie mogła przyjść. Przyszła dopiero wieczorem, z kawałkiem białego chleba z masłem.

– Gniewasz się na mnie – powiedział Aleksander.

– Nie. Po prostu mnie rozczarowałaś.

– To jeszcze gorzej. – Zrezygnowany, pokręcił głową. – Taniu, popatrz na mnie. – Podniosła wzrok i w jej oczach koloru morza dostrzegł bezbrzeżną miłość. – Zrobimy tak, jak zechcesz. – Ciężko westchnął. – Jak zwykle.

Tatiana uśmiechnęła się, usiadła na brzegu łóżka i wyjęła z kieszeni papierosa.

– Zobacz, co dla ciebie mam. Zapalisz? Tylko szybko.

– Nie. – Przyciągnął ją do siebie. – Chcę dotknąć twoich piersi. – Zaczął rozpinać jej fartuch.

– Nie odrzuci cię ich widok?

– Chodź bliżej. Nachyl się.

W izbie było ciemno, wszyscy już spali. Tatiana podciągnęła bluzkę i Aleksandrowi zabrakło tchu. Otworzył szeroko oczy, ujął w dłonie jej piersi, wtulił w nie twarz, wziął głęboki oddech i ucałował delikatną skórę, pod którą biło serce.

– Tatiasza…

– Tak?

– Kocham cię.

– I ja ciebie, żołnierzu. – Potarła sutkami jego usta, nos i policzki. – Muszę cię ogolić – szepnęła. – Drapiesz.

– A ty jesteś miękka i gładziutka – wymruczał, ssąc jej powiększone brodawki. Czuł, że Tania mocno zaciska zęby, żeby nie jęknąć. Nie wytrzymała, jęknęła i natychmiast opuściła bluzkę.

– Nie podniecaj mnie. Zaraz wszyscy się obudzą. Wyczuwają pożądanie na kilometr.

– Ja też – wychrypiał Aleksander.

Tania zapięła bluzkę i opanowała się.

– Szura, czy ty tego nie widzisz? Nasze dziecko to znak od Boga.

– Tak?

– Oczywiście – odrzekła z promienną twarzą.

I nagle Aleksander wszystko zrozumiał.

– Ta poświata! – wykrzyknął. – To dlatego bije z ciebie taki blask! Dziecko!

– Tak. Tak nam było pisane. Pomyśl tylko: Łazariewo. Ile razy kochaliśmy się w ciągu tych dwudziestu dziewięciu dni?

– Nie wiem – odrzekł z uśmiechem. – Ile? Dwadzieścia dziewięć i kilka zer.

Roześmiała się cicho.

– Dwa albo trzy. Kochaliśmy się do upadłego, mimo to nie zaszłam w ciążę. Wystarczyło, że przyjechałeś na sobotę i niedzielę, i proszę. Jak się to mówi? Gdzie kijem nie możesz, tam pałką.

Aleksander parsknął śmiechem.

– Dzięki za komplement, ale chcę ci przypomnieć, że w sobotę i niedzielę też się często kochaliśmy.

– Wiem.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Tamtej szarej soboty i niedzieli oboje czuli bliską obecność śmierci. Mimo to…

– Sam Bóg mówi nam, żebyśmy stąd uciekli – powiedziała Tatiana, jakby czytając w jego myślach. – Nie czujesz tego? Mówi, że to nasze przeznaczenie! Że dopóki noszę twoje dziecko, nic mi się nie stanie.

– Naprawdę? – spytał, głaszcząc ją po brzuchu. – Bóg tak mówi? Powiedz to kobiecie, z którą jechałyście z Daszą do Kobony. Pamiętasz? Tej z martwym dzieckiem w ramionach.

– Czuję się silniejsza niż kiedykolwiek dotąd – odrzekła Tatiana, obejmując go i tuląc. – Gdzie twoja słynna wiara, wielkoludzie?

– Rozmawiałaś z doktorem Sayersem? – Pieścił jej dłonie pod kocem. Muskał palce, nadgarstki i dłonie.

– Tak, oczywiście. Musimy tylko omówić szczegóły. Czekamy, aż zaczniesz chodzić. Wszystko przygotowane. Wypełnił już dla mnie przepustkę Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. – Zamknęła oczy. – Jak miło… Nie przerywaj. Zaraz zasnę.

– Nie, nie zasypiaj. Na jakie nazwisko?

– Przepustka? Jane Barrington.

– Ładnie. Jane Barrington i Tobe Hanssen.

– Tove Hanssen.

– Moja matka i jakiś Fin. Co za para.

– Prawda? – Westchnęła. – Hmm… Tak, nie przerywaj.

– Ani myślę – odrzekł coraz bardziej podniecony.

Otworzyła oczy. Popatrzyli na siebie, ożywieni wspomnieniami.

Tatiana posłała mu uśmiech.

– Czy będę mogła przyjąć twoje nazwisko? Tam, w Ameryce.

– Jeśli nalegasz – odparł w zadumie.

– Co się stało?

– Nie mamy paszportów.

– No to co? W Sztokholmie pójdziemy do amerykańskiego konsulatu. Wszystko załatwimy.

– Wiem, ale najpierw musimy dojechać i wyjechać z Helsinek. Nie możemy tam zostać ani sekundy, to zbyt niebezpieczne. No i przeprawa przez Bałtyk. Ciężko będzie.

– A jak zamierzałeś uciec z tym kulawym diabłem? Tak samo uciekniesz ze mną.

„Eugeniusz […] woła przewoźnika, i oto rybak obojętny, na parę groszy zawsze chętny, przez straszne fale z nim pomyka”[25]. – Uśmiechnęła się radośnie. – Dzięki twojej matce, tobie i dzięki dziesięciu tysiącom dolarów dotrzemy do twojej Ameryki. – Splotła palce obu dłoni z jego palcami.

Dusił się pod brzemieniem swojej miłości.

– Szura – szepnęła drżącym głosem. – Pamiętasz dzień, kiedy dałeś mi „Jeźdźca”?

– Jak wczorajszy poranek. Tego wieczoru zakochałaś się we mnie.

Tatiana zaczerwieniła się i odchrząknęła.

– Gdybym nie była… No wiesz. Gdybyś… Gdybym tak nie tchórzyła… – Urwała i uciekła wzrokiem w bok.

Ścisnął ją za ramię.

– Co? Czybym cię pocałował?

– Uhm.

Pokręcił głową i uśmiechnął się do wspomnień.

– Tak bardzo się mnie bałaś. Boże, zupełnie straciłem dla ciebie głowę. Czybym cię pocałował? Gdybyś dała mi tylko jakiś znak, kochałbym się z tobą na ławce pod Saturnem pożerającym swoje dzieci!

7

Z dnia na dzień przybywało mu sił. Mógł już postać chwilę przy łóżku. Bardzo go bolało i ponieważ przestał brać morfinę, rana w plecach przypominała mu o sobie od rana do wieczora. Nieustannie rzeźbił. Właśnie wykańczał malutką kołyskę. Już niedługo, myślał. Już niedługo. Chciał, żeby przeniesiono go na oddział rekonwalescentów, ale Tatiana mu to wyperswadowała. Powiedziała, że miejsce na oddziale intensywnej opieki medycznej jest zbyt dobre, żeby z niego rezygnować.

– Pamiętaj – szepnęła któregoś dnia, gdy stali razem przy łóżku. – Musisz wyzdrowieć, ale tak, żeby nikt nie wiedział, że już wyzdrowiałeś, bo jeszcze wyślą cię na front z tym głupim moździerzem na plecach.

Aleksander szybko zabrał rękę i przytrzymał się łóżka.

– Odwagi, Taniu – szepnął.

– Co się stało?

Szedł ku nim Dmitrij.

– Tatiano! Aleksandrze! – wykrzyknął. – Niesamowite, prawda? Znowu wszyscy razem. Gdyby tylko Dasza mogła z nami być.

Tatiana i Aleksander milczeli.

– Jak tam w umieralni, Taniu? Mam dla ciebie nowe prześcieradła.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. A dla ciebie papierosy, Aleksandrze. Nie musisz mi płacić, pewnie nie masz przy sobie pieniędzy. Mogę przywieźć ci żołd…

– Nie, nie trzeba.

– To żaden kłopot. – Dmitrij strzelał oczami to na niego, to na nią. – Co tu porabiasz, Taniu? Myślałem, że pracujesz na oddziale beznadziejnych.

– Tak. Przyszłam odwiedzić moich byłych pacjentów. Lowa z łóżka numer trzydzieści sześć leżał na oddziale beznadziejnych i teraz ciągle o mnie wypytuje.

– Nie tylko on – odparł z uśmiechem Dmitrij. – Wszyscy o ciebie wypytują. – Tatiana nie odpowiedziała. Aleksander usiadł na łóżku. Dmitrij westchnął. – Miło was widzieć. Wpadnę do ciebie jutro, dobra? Taniu, odprowadzisz mnie?

– Muszę zmienić Aleksandrowi opatrunek.

– Szuka cię doktor Sayers. „Gdzie moja Tania? – pyta. – Gdzie moja Tania?” To jego słowa. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłaś, prawda? – Uniósł brew. – Wiesz, co powiadają o Amerykanach?

Tatiana ani nie pokręciła głową, ani nawet nie mrugnęła.

– Połóż się, Aleksandrze, i nie ruszaj się.

– Taniu, słyszałaś? – rzucił Dmitrij.

– Tak, słyszałam – odrzekła. – Powiedz mu, że przyjdę, jak tylko będę mogła.

– No i co? – spytał Aleksander, kiedy Dmitrij wyszedł. – Co o tym myślisz?

– Nic. Zmienię ci opatrunek i pójdę.

– A chcesz wiedzieć, co ja myślę?

– Absolutnie nie.

– Posłuchaj, gdzie jest mój plecak?

– Nie wiem. Dlaczego? Po co ci plecak?

– Kiedy oberwałem, był…

– Przywieźli cię bez plecaka. Pewnie przepadł.

– Tak… Ale wiesz co? Po bitwie musieli się tam kręcić ci z zaplecza. Zbierają broń, i tak dalej. Mogłabyś popytać?

– Dobrze – odrzekła, rozwijając bandaż. – Zapytam pułkownika Stiepanowa. – Cichutko zamruczała. – Wiesz? Ilekroć widzę twoje plecy, mam ochotę zabawić się w szyny, podkłady i pociąg. – Cmoknęła go w łopatkę.

Zamknął oczy.

– Ja też, ilekroć widzę twoje.

– Tatiano – powiedział, gdy przyszła go odwiedzić późnym wieczorem. – Musisz mi coś przyrzec. Przyrzeknij, że jeśli mi się coś stanie, uciekniesz sama.

– Nie bądź śmieszny. – Odwróciła wzrok. – Co ma ci się stać?

– Próbujesz być dzielna?

– Wcale nie. Kiedy tylko wrócisz do zdrowia, natychmiast wyjeżdżamy. Doktor Sayers może jechać w każdej chwili. Aż się do tego pali. Straszny z niego malkontent. Na wszystko narzeka. Na zimno, na brak rąk do pracy, na… – Tatiana urwała. – O czym ty mówisz? Co się może stać? Na front cię nie puszczę i nigdzie bez ciebie nie wyjadę.

– Mówię właśnie o tym. Oczywiście, że wyjedziesz.

– Ani myślę.

Aleksander wziął ją za rękę.

– Posłuchaj…

Odwróciła głowę, chcąc wstać.

– Nie chcę. Szura, proszę, nie strasz mnie. Tak, próbuję być dzielna. – Mówiła spokojnie, lecz oddech miała coraz płytszy.

– Taniu, dużo rzeczy może pójść nie tak. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że mnie aresztują.

– Wiem, ale jeśli aresztują cię siepacze Mechlisa, spokojnie zaczekam.

– Na co? – wykrzyknął. Wiedział, że może liczyć najwyżej na to, że Tatiana się z nim zgodzi, że jeśli już coś sobie postanowi, w żaden sposób jej tego nie wyperswaduje.

Czytała w nim jak w otwartej księdze, gdyż ujęła jego wielkie, ciemne, chropowate dłonie swoimi białymi, jedwabiście gładkimi palcami, przycisnęła je do ust i szepnęła:

– Na ciebie. – Chciała wstać, ale nie zamierzał jej puścić. Przyciągnął ją do siebie, tak że musiała usiąść na łóżku.

– Gdzie zaczekasz?

– W Leningradzie. Przy Piątej Radzieckiej. Ingi i Stanisława już nie ma. Mam dwa pokoje. I zaczekam. Kiedy wrócisz, powitam cię z dzieckiem.

– Ci z rady narodowej odbiorą ci korytarz i pokój z piecem.

– To zaczekam w pokoju, który mi zostanie.

– Jak długo?

Patrzyła na śpiących pacjentów, na ciemne okna, na wszystko, tylko nie na niego. W szpitalnej izbie panowała szara cisza. Nie słychać było nic oprócz ich własnych oddechów.

– Tyle, ile będzie trzeba.

– Na miłość boską! Wolałabyś być wdową z dzieckiem i mieszkać w zimnym pokoju bez kanalizacji, niż ułożyć sobie nowe życie?

– Tak – odparła stanowczo. – Nie ma dla mnie innego życia, więc dajmy temu spokój.

– Taniu, proszę… – Zabrakło mu słów. – A jeśli przyjdą po ciebie ci z NKWD? Co

wtedy?

– Pojadę tam, gdzie mnie wyślą. Na Kołymę. Na Tajmyr. Kiedyś komunizm upadnie i…

– Jesteś tego pewna?

– Tak. Kiedyś zabraknie ludzi do przebudowy, wtedy mnie wypuszczą.

– Jezu Chryste. Nie chodzi już tylko o ciebie. Muszę myśleć o dziecku!

– O czym ty mówisz? Doktor Sayers nigdzie bez ciebie nie pojedzie. Ameryka? Nikt mnie tam samej nie przyjmie. Aleksandrze, pojadę z tobą, dokąd tylko zechcesz. Chcesz do Ameryki? Dobrze. Do Australii? Dobrze. Do Mongolii? Na pustynię Gobi? Do Dagestanu? Nad Bajkał? Do Niemiec? Do samego piekła? Powiedz tylko, kiedy wyjeżdżamy. Dokądkolwiek pojedziesz, ja pojadę z tobą. Ale jeśli zostaniesz, ja też zostanę. Nie zostawię ojca mojego dziecka w Związku Radzieckim.

Nachyliła się, wtuliła piersi w jego twarz, pocałowała go w czoło, usiadła i musnęła ustami jego drżące palce.

– Pamiętasz, co powiedziałeś mi w Leningradzie? Jakie życie bym sobie ułożyła, wiedząc, że zginąłbyś tu lub zgnił w więzieniu. To twoje słowa, Szura. – Uśmiechnęła się. – I tu całkowicie się z tobą zgadzam.

„I wszędzie, dokąd, obłąkana, biegłabym, gnana zmorą trwóg, Jeździec by ścigał mnie Miedziany i ciężko dudnił kopyt stuk”.

– Tatiano – odrzekł wzruszony Aleksander. – Jest wojna. Wszędzie trwa wojna. – Odwrócił wzrok. – Na wojnie się umiera.

Uroniła łzę, chociaż próbowała być silna.

– Proszę, nie umieraj, Szura – szepnęła. – Nie zdołałabym cię pochować. Pochowałam już wszystkich innych.

– Jak mógłbym umrzeć? – odrzekł łamiącym się głosem. – Przecież płynie we mnie twoja nieśmiertelna krew.

Pewnego zimnego ranka do izby wszedł Dmitrij z plecakiem w ręku. Mocno kulał na prawą nogę i miał zabandażowaną dłoń. Dmitrij Czernienko, nędzny sługus, chłopiec na posyłki generałów, handlarz papierosami i wódką, zaopatrzeniowiec, który nie chciał nosić broni. Przykuśtykał do łóżka i podał Aleksandrowi plecak.

– A jednak się znalazł – mruknął Aleksander. – Co ci się stało w rękę?

– To samo co zwykle. Głupia bójka w okopach. Paru chłopaków. Nie wiem, musieli być wściekli. Spójrz tylko na moją twarz.

Była mocno posiniaczona.

– Powiedzieli, że za dużo liczę za fajki. Dobra, mówię, w porządku. Za dużo? To bierzcie za darmo. Wzięli, a potem spuścili mi manto. – Dmitrij szyderczo wykrzywił usta. – Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. – Usiadł na krześle pod oknem. – Tatiana mnie opatrzyła. Odwaliła kawał dobrej roboty. Cudowna z niej dziewczyna, prawda?

Powiedział to tak, że Aleksander poczuł silny skurcz w żołądku.

– Tak. I dobra pielęgniarka.

– Dobra pielęgniarka, dobra dziewczyna i dobra…

– Dzięki za plecak – przerwał mu Aleksander.

– Drobiazg. – Dmitrij wstał i nagle znów usiadł, jakby coś mu się przypomniało. – Chciałem się upewnić, czy wszystko tam masz. No wiesz, książki, pióro, papier. Okazało się, że nie, więc włożyłem ci trochę papieru, bo może będziesz chciał pisać listy. – Uśmiechnął się przymilnie. – Dorzuciłem też papierosy i nową zapalniczkę.

Aleksandrowi pociemniały oczy.

– Szperałeś w moich rzeczach? – Skurcz w żołądku przybierał na sile.

– Chciałem ci tylko pomóc. – Dmitrij podniósł się i zrobił krok w stronę drzwi. – Ale wiesz… – Przystanął i odwrócił się. – Znalazłem tam coś interesującego.

Aleksander zmarszczył czoło. Listy Tatiany niechętnie spalił, lecz jednej rzeczy spalić nie mógł, gdyż była niczym światełko nadziei w mrocznym tunelu. Rzucił plecak na podłogę i skrzyżował ręce na piersi.

– Czego ty chcesz?

Dmitrij uśmiechnął się przyjacielsko, podniósł plecak, otworzył go i wyjął sukienkę Tatiany. Białą sukienkę w szkarłatne róże.

– Widzisz? Leżała na samym dnie.

– No i co z tego? – spytał spokojnie Aleksander.

– Masz rację, absolutnie nic. Nosisz w plecaku sukienkę siostry swojej nieżyjącej już narzeczonej. Normalne.

– Tak bardzo cię to dziwi? – rzucił lodowato Aleksander. – Niemożliwe. Czegoś tam przecież szukałeś.

– Dziwi? I tak, i nie – odrzekł wylewnie Dmitrij. – Przyznaję, trochę mnie to zaskoczyło.

– Tak? Dlaczego?

– Pomyślałem, że to ciekawe. Sukienka, Tatiana, która pomaga lekarzowi z Czerwonego Krzyża, i Aleksander, którego ten lekarz leczy. Uznałem, że nie jest to zwykły zbieg okoliczności. Zawsze podejrzewałem, że macie się ku sobie. Zawsze. Od samego początku. Dlatego poszedłem do pułkownika Stiepanowa. Pamiętał mnie z dawnych czasów i bardzo ciepło mnie przyjął. Lubię go, naprawdę. Zaproponowałem, że chętnie będę ci przywoził żołd, żebyś mógł kupować papierosy, gazety, dodatkowe masło i wódkę, a on odesłał mnie do swego adiutanta, który wręczył mi pięćset rubli. Zdziwiłem się, że jako major dostajesz tylko pięćset rubli i wiesz, co mi powiedział?

Aleksander zacisnął zęby, żeby krew przestała pulsować mu w skroniach.

– Nie, nie wiem.

– Że resztę pieniędzy wysyłasz Tatianie Mietanowej zamieszkałej w Leningradzie przy ulicy Piątej Radzieckiej!

– Tak, wysyłam.

– Oczywiście, przecież to zupełnie normalne. Dlatego wracam do pułkownika Stiepanowa i pytam, czy to nie wspaniałe, że nasz rozpasany Aleksander znalazł wreszcie wspaniałą dziewczynę, w dodatku świetną pielęgniarkę? A pułkownik na to, że tak, że ożeniłeś się z nią podczas letniego urlopu w Mołotowie, ale nic mu o tym nie powiedziałeś, co go trochę zdziwiło.

Aleksander milczał.

– To jego słowa! – wykrzyknął wesoło Dmitrij. – Ja mu na to, że nie wspomniałeś o tym nawet mnie, swojemu najlepszemu przyjacielowi, a Stiepanow odrzekł, że skryty z ciebie człowiek. Tak, towarzyszu pułkowniku, mówię, nie wiecie nawet, jak bardzo.

Aleksander odwrócił głowę i popatrzył na rannych leżących po drugiej stronie przejścia. Zastanawiał się, czy zdołałby wstać. Wyjść stąd, trochę pochodzić. Co mógłby zrobić?

Uprzedził go Dmitrij.

– Posłuchaj, to świetnie! – wykrzyknął. – To wspaniała wiadomość! Chciałem ci tylko pogratulować. Idę poszukać Tani. Jej też pogratuluję.

Tatiana przyszła pod wieczór. Nakarmiła Aleksandra, a potem przyniosła wiadro ciepłej wody i mydło.

– Nie noś tego – powiedział. – Jest za ciężkie.

– Daj spokój – odrzekła z uśmiechem. – Noszę twoje dziecko. Myślisz, że wiadro mi straszne?

Niewiele mówili. Tatiana umyła go, ogoliła i wytarła mu twarz. Zamknął oczy, żeby niczego z nich nie wyczytała, ale od czasu do czasu czuł zapach jej rąk, muśnięcie ust na czole i palcach. Pogłaskała go po twarzy i ciężko westchnęła.

– Szura, rozmawiałam z Dmitrijem.

– Tak. – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Tak. Był… Powiedział, że wie o naszym ślubie. Że się cieszy… – Ponownie westchnęła. – Prędzej czy później musiał się dowiedzieć.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby to przed nim ukryć.

– Posłuchaj, może się mylę, ale był chyba mniej spięty. Jakbyśmy przestali go obchodzić. Czy to możliwe? – spytała z nadzieją.

Myślisz, że wojna obudziła w nim człowieka? Myślisz, że wojna jest szkołą człowieczeństwa i Dmitrij skończył ją z wyróżnieniem? Chciał ją o to spytać, lecz otworzywszy oczy, zobaczył jej wystraszoną twarz.

– Chyba tak – odrzekł cicho, biorąc ją za rękę. – Pewnie przestał się nami interesować.

Tatiana odchrząknęła i pogłaskała go po świeżo ogolonym policzku.

– Kiedy dasz radę wstać? – szepnęła. – Nie chcę cię popędzać, ale… Wczoraj trochę chodziłeś. Bardzo boli? Rana się goi, Szura, świetnie sobie radzisz. Kiedy tylko wstaniesz, natychmiast wyjedziemy i już nigdy nie będziemy musieli go oglądać.

Aleksander długo patrzył na nią bez słowa. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz go uprzedziła.

– Nie martw się, Szura. Mam szeroko otwarte oczy i widzę go takim, jakim naprawdę jest.

– Tak?

– Tak. Ponieważ, tak samo jak wszyscy, on też jest sumą małych cząstek.

– Jego nie da się zmienić, Taniu. Nawet ty go nie zmienisz.

– Tak myślisz? – spytała z uśmiechem.

Ścisnął ją za rękę.

– Jest dokładnie taki, jaki chce być. Jak chcesz go zbawić, skoro uważa, że można żyć tylko tak, jak on żyje? Że inni, ty czy ja, żyją głupio i źle? Zbudował swoje życie na kłamstwie, oszustwie, na złośliwym podstępie, na pogardzie dla mnie i braku szacunku dla ciebie.

– Wiem.

– Bądź ostrożna. Nic mu nie mów.

– Dobrze.

– Powiedz, kiedy byś się od niego odwróciła? Kiedy odtrąciłabyś jego rękę, mówiąc, że ten człowiek nie pragnie zbawienia? Kiedy?

– Och, Szura – szepnęła. – On pragnie zbawienia, tylko nie wierzy, że kiedykolwiek go dostąpi.

Nazajutrz Dmitrij znowu odwiedził Aleksandra; przyszedł o lasce. To obłęd, pomyślał Aleksander. Na drugim brzegu rzeki trwa walka, a w sąsiedniej izbie leczą rannych. Generałowie snują plany, pociągi wożą żywność do Leningradu, Niemcy dziesiątkują nas

ze wzgórz wokół Siniawina, doktor Sayers jest gotów do wyjazdu, Tatiana siedzi z umierającymi, nosząc w sobie nowe życie, tymczasem ja leżę tu jak kłoda i obserwuję umykający świat. Miał tego dość. Odrzucił koc, wstał i już sięgał do stojaka kroplówki, gdy nadbiegła Ina. Pomogła mu się położyć i ostrzegła, żeby nigdy więcej tego nie robił.

– Bo powiem Tatianie – szepnęła, zostawiając ich samych.

Dmitrij opadł na krzesło.

– Musimy porozmawiać – powiedział. – Masz dość siły, żeby mnie wysłuchać?

– Tak, mam. – Aleksander z najwyższym wysiłkiem odwrócił głowę w jego stronę. Nie miał ochoty go oglądać.

– Cieszę się, żeście się pobrali, naprawdę. Nie czuję do was urazy, ale jak sam wiesz, mamy coś do załatwienia, ty i ja.

– Wiem.

– Tania jest świetna, bardzo opanowana i stanowcza. Nie doceniałem jej.

Co ty tam wiesz, pomyślał Aleksander.

– Wiem, że coś knujecie. Po prostu wiem. Czuję to tu, w sercu. Próbowałem z nią rozmawiać, ale ona wciąż powtarza, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Ale ja wiem, rozumiesz? Ja wiem! – Dmitrij był podekscytowany. – Znam cię, dlatego pytam, czy w waszych planach nie znalazłoby się choć trochę miejsca dla starego przyjaciela.

– O czym ty mówisz? – odparł z kamienną twarzą Aleksander, myśląc, że był taki czas, kiedy nie mógł zaufać nikomu innemu, że od tego człowieka zależało jego życie. – Nie mam żadnych planów.

– Hmm… Tak, ale widzisz, rozumiem teraz dużo rzeczy – odrzekł Dmitrij z obłudnym uśmiechem. – Tatiana cię odmieniła. Zamierzaliście wyjechać razem? Nie chciałeś jej porzucać i postanowiłeś zostać? Tak czy inaczej, wcale ci się nie dziwię. – Odchrząknął. – Ale nadeszła pora, żebyśmy uciekli stąd we troje, ona, ty i ja.

– Nie mamy żadnych planów – powtórzył Aleksander. – Ale jeśli coś się zmieni, dam ci znać.

Godzinę później Dmitrij przykuśtykał ponownie, tym razem z Tatianą. Posadził ją na krześle, a sam przysiadł w kucki między nimi.

– Taniu – zaczął – musisz przekonać swego rannego i wielce nierozsądnego męża. Wytłumacz mu, że chcę tylko, byście wywieźli mnie z kraju. To wszystko. Chcę uciec ze Związku Radzieckiego. Widzisz, robię się coraz bardziej drażliwy i nerwowy, ponieważ nie mogę ryzykować, że uciekniecie, zostawiając mnie w samym środku wojny. Rozumiesz?

Aleksander i Tatiana milczeli.

On wbił wzrok w koc, lecz spostrzegłszy, że Tania patrzy spokojnie na Dmitrija, poczuł nagły przypływ siły i podniósł głowę.

– Taniu, jestem po waszej stronie – mówił Dmitrij. – Nie chcę was skrzywdzić, ani ciebie, ani jego. Wprost przeciwnie – dodał z uśmiechem. – Życzę wam wszystkiego najlepszego. Wiem, że trudno dzisiaj o prawdziwe szczęście. To, że wam się udało, to cud. Ja też chcę spróbować i teraz mam szansę. Niczego innego nie pragnę. Chcę tylko, żebyście mi pomogli.

– Przetrwanie niezbywalnym prawem każdego człowieka – mruknął Aleksander.

– Co? – nie zrozumiał Dmitrij.

– Nic.

– Dmitrij – powiedziała Tatiana – nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Bardzo dużo, najdroższa Tanieczko, bardzo dużo. Chyba że zamierzasz uciec z tym miłym, zdrowym Amerykaninem, a nie ze swoim rannym mężem. Chcecie uciec z Sayersem, kiedy będzie wracał do Helsinek, tak?

Tatiana i Aleksander nie odpowiedzieli.

– Nie mam czasu na głupie zabawy – warknął Dmitrij i wstał. – Taniu, mówię do ciebie. Albo mnie zabierzecie, albo twój mąż zostanie tutaj, w Związku Radzieckim.

Trzymając Aleksandra za rękę, Tatiana popatrzyła na Dmitrija ze stoickim spokojem i lekko uniosła ramiona. Szura ścisnął jej dłoń tak mocno, że cichutko jęknęła.

– Właśnie! – wykrzyknął Dmitrij. – Na tę chwilę czekałem. Tania wszystko widzi i zawsze potrafi cię przekonać. Jak ty to robisz, Tanieczko? Skąd u ciebie tyle przenikliwości? Twój mąż ma jej znacznie mniej i stawia opór, ale w końcu ulega, ponieważ wie, że innego wyjścia po prostu nie ma.

Aleksander zwolnił uścisk, lecz dłoń Tatiany pozostała w jego dłoni.

Dmitrij skrzyżował ręce na piersi.

– Nie wyjdę, dopóki nie usłyszę konkretnej odpowiedzi. Co ty na to, Taniu? Przyjaźnię się z twoim mężem od sześciu lat. Zależy mi na was, naprawdę. Nie chcę żadnych kłopotów. – Przewrócił oczami. – Wierz mi, nie znoszę kłopotów. Pragnę tylko cząstki tego, co planujecie. To chyba niewiele, prawda? Malutkiej cząsteczki. Nie uważasz, że postąpiłabyś samolubnie, odmawiając mi szansy na nowe życie? Nie? Nie wierzę. Ty, która podkarmiałaś umierającą z głodu Ninę Iglenko? Niemożliwe. Odmówiłabyś mi niewinnej drobnostki, wiedząc, ile możesz stracić? – Spojrzał wymownie na Aleksandra.

We wzburzonym sercu Aleksandra gniew walczył z bólem.

– Nie słuchaj go, Taniu. A ty daj jej spokój. To nasza sprawa, moja i twoja. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Dmitrij milczał. Tatiana w zadumie pocierała palcami wnętrze dłoni Aleksandra, mocno i rytmicznie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

– Ani słowa, Taniu.

– Zastanów się, Tatiano – rzekł Dmitrij. – To ważne słowo. Wszystko zależy od ciebie. Ale wiesz, mam bardzo mało czasu i bardzo bym chciał otrzymać jakąś odpowiedź.

Tatiana wstała.

– „Bo jeżeli upadną, to jeden drugiego podniesie. Lecz biada samotnemu, gdy upadnie!”[26]

Dmitrij wzruszył ramionami.

– Rozumiem, że… – Urwał. – Nie, nic nie rozumiem. To znaczy tak czy nie?

– Mój mąż coś ci przyrzekł – odrzekła cichutko Tatiana. – A on zawsze dotrzymuje przyrzeczeń.

– Tak! – Dmitrij chciał ją objąć, lecz Tania się odsunęła.

– Dobrzy ludzie odpłacają za dobroć dobrocią. Dmitrij, opowiem ci o naszych planach nieco później. Ale musisz być gotowy w każdej chwili. Rozumiesz?

– Oczywiście! Mogę jechać choćby zaraz. – Wyciągnął rękę do Aleksandra, lecz ten bez słowa odwrócił głowę.

Dopiero Tatiana połączyła ich dłonie.

– Już dobrze – szepnęła drżącym głosem. – Już wszystko dobrze.

Dmitrij wyszedł.

– Szura, co mogliśmy zrobić? – spytała Tania, biorąc łyżkę. – Musi się udać. Trzeba będzie zmienić plany, ale tylko trochę. Coś wymyślimy.

Aleksander spojrzał jej w oczy.

– On chce przeżyć, Szura. Sam mówiłeś.

A co ty powiedziałaś mnie? – pomyślał. Tam, na dachu soboru, pod czarnym leningradzkim niebem?

– Zabierzemy go. Potem da nam spokój. Zobaczysz. Bylebyś szybko wyzdrowiał.

– Uciekajmy, Taniu. Powiedz Sayersowi, że kiedy tylko zechce wyjechać, wyjedziemy z nim.

Tatiana wyszła.

Minął dzień.

Wrócił Dmitrij.

Usiadł na krześle przy łóżku, lecz Aleksander na niego nie patrzył. Patrzył w pustkę, bliską i dalszą, patrzył na swój brązowy koc, próbując przypomnieć sobie nazwę moskiewskiego hotelu, w którym mieszkałz ojcem i matką. Nazwa ciągle się zmieniała, co wprawiało go w wesołą konsternację. I dobrze, ponieważ dzięki temu mógł nie myśleć o Tatianie i o człowieku, który siedział zaledwie metr od niego. Boże, nie, tylko nie to.

Nazwa. Przypomniał sobie tę nazwę.

Kirow.

Dmitrij odchrząknął. Aleksander czekał.

– Możemy pogadać? To bardzo ważne.

– Wszystko jest ważne. Nic tylko rozmawiamy. O co chodzi?

– O Tatianę.

– Co z nią? – Aleksander patrzył na kroplówkę. Ciekawe, czy długo by ją odłączał. I czy by krwawił. Rozejrzał się po izbie. Było już po obiedzie i pacjenci albo spali, albo czytali. Przy drzwiach siedziała pielęgniarka. Też czytała. Zastanawiał się, gdzie jest Tatiana. Nie potrzebował już kroplówki. Tania nie odłączała jej tylko dlatego, żeby nie przenieśli go na oddział rekonwalescentów. Nie. Nie myśl o Tatianie. Weź się w garść.

– Wiem, co do niej czujesz…

– Czyżby?

– Oczywiście.

– Wątpię. Co z nią?

– Jest chora.

Aleksander nie zareagował.

– Tak, chora. Nic nie wiesz. Nie widzisz tego co ja. Snuje się po szpitalu jak duch, ciągle mdleje. Wczoraj też zemdlała. Upadła i Bóg wie, jak długo leżała na śniegu. Znalazł ją nasz porucznik. Przyprowadzili ją do Sayersa. Udawała, że nic się nie stało.

– Skąd wiesz, że leżała na śniegu?

– Słyszałem. Ja dużo słyszę. Widuję ją w umieralni. Chodząc, musi przytrzymywać się ściany. Powiedziała Sayersowi, że za mało je.

– To też słyszałeś?

– Sayers mi powiedział.

– Widzę, że zdążyliście się zaprzyjaźnić.

– Nie. Przywożę mu tylko bandaże, jodynę i lekarstwa z drugiego brzegu jeziora. Wiecznie mu ich brakuje. Chwilę rozmawiamy, i tyle.

– Dmitrij, do czego ty zmierzasz?

– Wiedziałeś, że źle się czuje?

Aleksander popadł w posępne zamyślenie. Wiedział, dlaczego Tatiana jest głodna i dlaczego mdleje, ale zaufać Dmitrijowi? Wykluczone, po jego trupie. Odczekał chwilę

i spytał:

– Nie rozumiem. Czego ty właściwie chcesz?

– Nie rozumiesz? – Dmitrij zniżył głos i przysunął się z krzesłem bliżej łóżka. – Już ci tłumaczę. To, co zamierzamy zrobić, jest niebezpieczne. Wymaga siły, odwagi i hartu ducha.

Aleksander uniósł brew.

– Tak? – rzucił zdziwiony, że z ust Dmitrija mogło paść określenie w rodzaju „hart ducha". – No i?

– Uważasz, że Tatiana da sobie radę?

Aleksander zbladł.

– Czyżbyś sugerował, że…

– Zaczekaj. Wysłuchaj mnie, zanim coś powiesz. Ona jest osłabiona, a my mamy przed sobą długą, ciężką drogę. Nawet z pomocą Sayersa nie będzie nam łatwo. Wiesz, że na odcinku stąd do Lisiego Nosa jest sześć posterunków kontrolnych? Sześć. Wystarczy, że na którymś pójdzie coś nie tak i będzie po nas. Ona nie może jechać.

Aleksander zniżył głos; czuł, że zaraz wrzaśnie, jeśli go nie zniży.

– Mam dość tej kretyńskiej rozmowy.

– Ty mnie nie słuchasz.

– Fakt, nie słucham.

– Przestań się upierać. Dobrze wiesz, że mam rację.

– Bzdura! – wykrzyknął Aleksander, zaciskając pięści. – Wiem, że bez Tatiany… – Chryste, co on robi? Próbuje przekonać Dmitrija? Przestał panować nad głosem. – Jestem zmęczony. Dokończymy kiedy indziej.

– Mów ciszej – syknął Dmitrij. – Nie dokończymy, bo już nie będzie okazji. Za czterdzieści osiem godzin wyjeżdżamy. Powtarzam ci jeszcze raz: nie zamierzam wisieć tylko dlatego, że jesteś ślepy.

– Ja? – warknął Aleksander. – Widzę doskonale. Tatiana pojedzie z nami.

– Po sześciu godzinach pracy kona ze zmęczenia.

– Po sześciu godzinach? Gdzie ty żyjesz? Ona haruje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie siedzi w ciężarówce, nie kopci papierosów i nie chleje wódy z klientami. Śpi na kartonie, je to, czego nie zjedzą pacjenci, i myje twarz śniegiem. Nie opowiadaj mi lepiej o jej pracy.

– A jeśli na granicy coś się wydarzy? Jeśli mimo wysiłków Sayersa zatrzymają nas i zaczną przesłuchiwać? Będziemy musieli użyć broni, będziemy musieli walczyć.

– Zrobimy to, co trzeba – odparł Aleksander, spoglądając na jego laskę, posiniaczoną twarz i zgarbione ramiona.

– Tak, ale co zrobi ona?

– To, co będzie musiała.

– Ona zemdleje! Upadnie w śnieg, a ty nie będziesz wiedział, czy strzelać do tych z NKWD, czy biec jej na pomoc!

– Zrobię i to, i to.

– Ona nie może biegać, nie umie strzelać i walczyć. Zemdleje przy pierwszych oznakach kłopotów, a wierz mi, kłopoty zawsze są.

– A ty? – spytał Aleksander, nie potrafiąc ukryć nienawiści w głosie. – Ty możesz biegać?

– Tak! Jestem żołnierzem.

– A doktor Sayers? On też nie umie walczyć.

– Ale jest mężczyzną! Poza tym, szczerze mówiąc, o niego się nie martwię…

– Więc martwisz się o Tatianę? To bardzo miłe z twojej strony.

– Martwię się o to, co ona zrobi.

– Aha, to delikatna różnica.

– Martwię się, że tak się będziesz nad nią trząsł, że coś schrzanisz, że zaczniesz popełniać głupie błędy. Ona cię spowolni. Zamiast podjąć szybką decyzję, będziesz myślał i myślał, tymczasem tamci nas rozwalą. W lasach na Lisim Nosie jest mało patroli, co nie oznacza, że ich tam nie ma.

– Masz rację. Niewykluczone, że będziemy musieli walczyć.

– A więc zgadzasz się ze mną?

– Nie.

– Posłuchaj: wiem, że to nasza ostatnia szansa. Plan jest doskonały, ale Tatiana może go zaprzepaścić. Ona nie da sobie rady. Nie bądź głupi. Jesteśmy tak blisko celu. To jest to. To, na co tak długo czekaliśmy! Nie będzie więcej prób, nie będzie następnego razu. Teraz albo nigdy.

– Tak, teraz albo nigdy. – Zamknąwszy na chwilę oczy, Aleksander nie miał ochoty ich otwierać.

– Sam widzisz. A więc posłuchaj…

– Ani myślę.

– A ja ci mówię, że mnie wysłuchasz! Planowaliśmy to od wielu lat. Teraz mamy szansę! Nie mówię, żebyś zostawił ją tu na zawsze. Bynajmniej. Mówię tylko, żebyśmy my, mężczyźni, zrobili wszystko, co w naszej mocy, żeby stąd uciec. Uciec bezpiecznie i, co najważniejsze, przeżyć! Jasne? Martwy jej się nie przydasz, ja też nie nacieszę się Ameryką, jeśli mnie zabiją. Przeżyć, rozumiesz? W razie czego ukryć się na bagnach i…

– Na jakich bagnach? Jedziemy do Helsinek ciężarówką.

– Powiedziałem, w razie czego. Trzech mężczyzn i nieporadna kobieta to tłum! Nie zdołamy się ukryć, napraszamy się, żeby nas schwytali. A gdyby coś się stało Sayersowi, gdyby go zabili…

– Dlaczego mieliby go zabić? Jest lekarzem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

– Nie wiem, ale gdybyśmy musieli przedostać się na drugi brzeg Bałtyku, piechotą, po lodzie, ukrywając się w konwojach ciężarówek, we dwóch dalibyśmy radę, ale we troje? Natychmiast by nas przyuważyli i zatrzymali. Tatiana nie da sobie rady.

– Przeżyła blokadę. Przeżyła Ładogę i śmierć siostry. Przeżyła katorgę na zamarzniętej Wołdze. Na pewno sobie poradzi. – Aleksander mówił głośno i pewnie, mimo to trawił go silny niepokój. Wiedział, że Dmitrij nie zmyśla, że niebezpieczeństwo, które wymienił, jest aż nadto realne. – To wszystko prawda – dodał z wysiłkiem – ale zapominasz o dwóch ważnych rzeczach. Jak myślisz, co się z nią stanie, kiedy odkryją, że uciekłem?

– Z nią? Nic. Przecież nazywa się Mietanowa. Tatiana Mietanowa. Po ślubie zatrzymała panieńskie nazwisko. – Uśmiechnął się chytrze. – Postąpiłeś bardzo sprytnie i teraz na tym skorzystasz.

– Może ja, ale nie ona.

– Nikt nie będzie o tym wiedział.

– Mylisz się. Ja będę wiedział. – Aleksander zacisnął zęby, żeby stłumić bolesny jęk.

– Tak, ale wrócisz do Ameryki! Wrócisz do domu!

– Tania nie może tu zostać.

– Może. Nic jej nie będzie. Przecież ona nie zna innego życia…

– Ty też nie!

– Będzie żyła tak, jakby nigdy cię nie było…

– Co takiego?!

Dmitrij roześmiał się cicho.

– Wiem, że masz o sobie wysokie mniemanie, ale wierz mi, Tatiana jakoś to przeboleje. Nie będzie pierwsza. Tak, bardzo jej na tobie zależy, ale z czasem pozna kogoś innego i…

– Doszczętnie skretyniałeś! Aresztują ją w trzy dni jako żonę dezertera. W trzy dni! Dobrze o tym wiesz, więc przestań gadać głupstwa!

– Nikt się nie dowie, że jest twoją żoną!

– Ty się dowiedziałeś!

– Posłuchaj – kontynuował spokojnie Dmitrij. – Tatiana Mietanowa wróci do Leningradu i jakby nigdy nic podejmie pracę w szpitalu. Jeśli osiedliwszy się w Ameryce, nadal będziesz za nią tęsknił, po wojnie wyślesz jej oficjalne zaproszenie, żeby przyjechała do Bostonu odwiedzić umierającą ciotkę czy daleką krewną. I Tatiana się u ciebie zjawi. Przyjedzie pociągiem, przypłynie statkiem, jak każdy normalny podróżny. Potraktuj to jak tymczasową separację. Niech zaczeka na bardziej odpowiednią chwilę. I ze względu na siebie, i ze względu na nas.

Aleksander potarł grzbiet nosa. Boże, pomyślał, niech ktoś wreszcie przyjdzie i wybawi mnie z tego piekła. Zjeżyły mu się włosy na karku, oddychał szybko i płytko.

– Dmitrij – powiedział. – Masz drugą okazję w życiu, żeby zrobić coś porządnego. Skorzystaj z niej. Pomogłeś mi zobaczyć się z ojcem, pomóż i teraz. Co to za różnica, czy Tania z nami pojedzie czy nie?

– Duża. Nie mogę tracić czasu na ratowanie twojej żony.

– Długo nad tym myślałeś? – wykrzyknął Aleksander. – Zawsze myślisz tylko o sobie…

– A ty niby nie? – Dmitrij wybuchnął śmiechem.

– Jedź z nami. Ona wyciągnęła do ciebie rękę.

– Żeby cię chronić.

– Tak, ale ją wyciągnęła. Przyjmij ją. Ona nas stąd wyprowadzi. Będziemy wolni. Dostaniesz to, na czym ci najbardziej zależy: uciekniesz od wojny. Bo chyba ci na tym zależy, prawda? – Przypomniały mu się słowa, które Tatiana wypowiedziała na dachu soboru Świętego Izaaka: „Dlatego im silniejszy się stajesz, tym więcej od ciebie chce”. Nie, nie zamierzał ustępować. Tania powiedziała również: „Nie odbierze ci wszystkiego. Takiej władzy nigdy nad tobą nie zdobędzie”. – Będziesz wolny dzięki niej. Przeżyjemy: dzięki niej.

– Zginiemy dzięki niej.

– Gwarantuję, że ty nie zginiesz. Skorzystaj z okazji. Nie chcę ci odbierać tego, co ci się słusznie należy. Powiedziałem, że cię stąd wydostanę, i wydostanę. Tania jest bardzo silna i na pewno nas nie zawiedzie. Przekonasz się. Ani się nie zachwieje, ani nie upadnie. Nie musisz nic robić, wystarczy, że powiesz „tak”. Resztę zostaw nam, jej i mnie. Sam powiedziałeś: to nasza ostatnia szansa. Masz rację. Ja też to czuję, wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd.

– Nie wątpię – mruknął ponuro Dmitrij.

– Popatrz na to inaczej – powiedział Aleksander, próbując ukryć rozpaczliwy gniew. – Przez tę wojnę zapomniałeś o innych. Przypomnij sobie Tanię. Pomyśl o niej, tylko raz. Dobrze wiesz, że jeśli tu zostanie, prędzej czy później zginie. Uratuj ją. – Omal nie dodał „proszę”.

– Jeśli z nami pojedzie, zginiemy wszyscy – odparł zimno Dmitrij. – Jestem o tym

przekonany.

Aleksander przewrócił się na bok i znów zapatrzył się w dal. Oczy zaszły mu mgłą, pojaśniały i ponownie zaszły mgłą.

Ogarnęła go ciemność.

– Pomyśl o tym inaczej – powiedział Dmitrij. – Pomyśl o tym jak o śmierci na polu walki. Gdybyś zginął na froncie, musiałaby dalej żyć w Związku Radzieckim, prawda? W sumie to żadna różnica.

– Kolosalna. – Aleksander spojrzał na swoje sztywniejące ręce. Bo teraz Tania widzi przed sobą światło.

– Nie, żadna. Tak czy inaczej zostałaby sama.

– Nie.

– Czy to za duża cena? Za Amerykę?!

Aleksander zadrżał. Serce waliło mu jak młotem. Zacisnął usta.

– Jeśli z nami pojedzie, wszyscy przez nią zginiemy!

– Dmitrij, już ci powiedziałem.

Dmitrij zmrużył oczy.

– Naprawdę nic nie rozumiesz, czy tylko udajesz? Ona nie może jechać.

Aleksander wybuchnął śmiechem.

– Nareszcie! Zastanawiałem się, kiedy zaczniesz mi grozić. A więc mówisz, że Tatiana nie może jechać?

– Nie, nie może.

– Doskonale. W takim razie ja też zostaję. Wszystko odwołane. Koniec. Kropka. Doktor Sayers natychmiast wyjedzie do Helsinek. Za trzy dni ja wrócę na front, a Tania do Leningradu. – Przeszył go nienawistnym spojrzeniem. – Nikt nie pojedzie, jasne? Jesteście wolni, szeregowy. Możecie odejść.

– Chcesz powiedzieć, że bez niej nie pojedziesz? – spytał Dmitrij z chłodnym zaskoczeniem.

– Ogłuchłeś? Mówiłem za cicho?

– Rozumiem. – Dmitrij zatarł ręce, nachylił się i oparł o łóżko. – Nie doceniasz mnie, Aleksandrze. Widzę, że nie przemówię ci do rozsądku. Szkoda. Cóż, w takim razie porozmawiam z Tatianą i wyjaśnię jej sytuację. Ona jest dużo rozsądniejsza. Kiedy zrozumie, że jej mężowi grozi poważne niebezpieczeństwo, na pewno zostanie w kraju i…

Aleksander chwycił go za ramię. Dmitrij cicho krzyknął, podniósł wolną rękę, lecz było już za późno. Palce Aleksandra zacisnęły się na niej jak szczęki imadła i zaczęły ją wykręcać.

– A teraz posłuchaj, skurwysynu. Gówno mnie obchodzi, do kogo z tym pójdziesz. Idź do Tatiany, do Stiepanowa, do Mechlisa, do kogo tylko chcesz. Idź i powiedz im wszystko, ale bez Tani nigdzie nie pojadę. Jeśli ona zostanie, zostanę i ja. Dotarło? – Zacisnął zęby i nagłym, potężnym szarpnięciem złamał mu rękę w łokciu. Choć w uszach pulsowała mu krew, słyszał, jak pękła. Brzmiało to jak uderzenie siekiery rozłupującej polano w Łazariewie. Dmitrij przeraźliwie krzyknął.

– To ty mnie nie doceniasz, sukinsynu! – syknął Aleksander wykręcając mu rękę jeszcze mocniej. Szarpnął raz, drugi i pęknięta kość przebiła skórę. Wtedy zwolnił uścisk, zacisnął pięść i grzmotnął go w twarz. Uderzenie zmiażdżyłoby Dmitrijowi nos, gdyby nie sanitariusz. W ostatniej chwili chwycił Aleksandra za ramię, przygniótł go do łóżka własnym ciałem i wrzasnął:

– Przestań! Co ty robisz? Puść go, puść go!

Aleksander cofnął rękę. Dmitrij osunął się bezwładnie na podłogę.

– Złaź ze mnie – warknął Aleksander, ciężko dysząc. Kiedy przerażony sanitariusz zwlókł się z łóżka, Aleksander zaczął wycierać ręce. W trakcie szamotaniny wyrwał z żyły cewnik kroplówki i miał zakrwawione palce. A jednak krwawię, pomyślał. A jednak krwawię.

Nadbiegła pielęgniarka.

– Na miłość boską, co się tu stało? Szeregowy przychodzi do was w odwiedziny, a wy co?

– Następnym razem niech siostra go nie wpuszcza. – Aleksander odrzucił koc, żeby wstać.

– Proszę się natychmiast położyć! Nie macie prawa wstawać, rozumiecie? Pod żadnym pozorem. Zaczekajcie na Inę. Ja tu nie pracuję. Boże święty, jeśli coś się dzieje, to zawsze na mojej zmianie. Dlaczego? Dlaczego?

Zamieszanie trwało dobre pół godziny. Nieprzytomnego i zakrwawionego Dmitrija wyniesiono z izby, a sanitariusz posprzątał i zmył podłogę, narzekając, że i bez tego ma mnóstwo pracy. Do czego to podobne, żeby pacjent katował zdrowego człowieka i przysparzał mu rannych?

– Zdrowego człowieka? – burknął Aleksander. – Widzieliście, jak kuleje? Widzieliście jego posiniaczoną mordę? Popytajcie. Oberwał nie pierwszy raz. I zapewniam was, że nie ostatni.

Jednakże mówiąc to, wiedział, że nie była to zwykła bójka. Że gdyby go nie powstrzymano, zabiłby Dmitrija gołymi rękami.

Zasnął, obudził się i rozejrzał.

Był wczesny wieczór. Ina stała przy drzwiach, rozmawiając z trzema cywilami. Aleksander zmrużył oczy. Szybko się uwinęli, pomyślał.

Leżał bez ruchu z rękami w plecaku. Czubkami palców dotykał białej sukienki w szkarłatne róże. Tatiana: za jaką cenę?

W końcu poznał odpowiedź.

Parę godzin później przyszedł do niego pułkownik Stiepanow. Miał zapadnięte oczy i popielatą twarz. Usiadł ciężko na krześle i powiedział:

– Aleksandrze, nie wiem nawet, jak zacząć. Nie przychodzę tu jako twój dowódca, tylko jako…

– Towarzyszu pułkowniku – przerwał mu łagodnie Aleksander. – Sama wasza obecność działa na mnie jak balsam. Wiem, dlaczego przyszliście.

– Wiesz?

– Tak.

– To prawda? Rozmawiałem dzisiaj z generałem Goworowem. Powiedział, że Mechlis – pułkownik wypowiedział to słowo tak, jakby je wypluł – zdobył informacje, że jesteście jakoby byłym więźniem, prowokatorem obcego mocarstwa i… Amerykaninem? – Stiepanow wybuchnął nerwowym śmiechem. – Co wy na to? Powiedziałem, że to bzdura, że…

– Towarzyszu pułkowniku, od prawie sześciu lat wiernie służę w Armii Czerwonej.

– I jesteście wzorowym żołnierzem, majorze. To też mu powiedziałem. Powiedziałem, że to niemożliwe, ale wiecie… – Stiepanow urwał. – Wystarczy samo oskarżenie.

Pamiętacie, jak było z generałem Miereckowem? Teraz dowodzi Frontem Wołchowskim, ale jeszcze dziewięć miesięcy temu siedział w piwnicach NKWD, czekając, aż zwolni się miejsce pod ścianą.

– Tak, pamiętam. Jak myślicie, ile zostało mi czasu?

Stiepanow nachmurzył czoło.

– Przyjdą po was nocą. Nie wiem, czy widzieliście, jak działają…

– Niestety widziałem, towarzyszu pułkowniku. Robią to cicho i po kryjomu. Ale nie wiedziałem, że mają swoją delegaturę i tutaj, w Morozowie.

– Tak, tu też. Są wszędzie. Ale wy jesteście oficerem wysokiej rangi, majorem. Pewnie wyślą was na drugi brzeg, do Wołchowa.

Na drugi brzeg.

– Dziękuję, towarzyszu pułkowniku. – Aleksander zdołał wykrzesać z siebie słaby uśmiech. – Myślicie, że awansują mnie przedtem na podpułkownika?

Stiepanow głośno wciągnął powietrze.

– W nikim nie pokładałem tak wielkich nadziei jak w was, majorze.

Aleksander pokręcił głową.

– Miałem najmniejsze szanse, towarzyszu pułkowniku. Zróbcie mi przysługę. Jeśli będą was o mnie wypytywać… – Szukał odpowiednich słów. – Dobrze wiecie, że mimo odwagi i męstwa, niektórych bitew po prostu nie da się wygrać.

– Wiem, majorze.

– Dlatego nie traćcie czasu. Nie brońcie mnie. Nie powołujcie się na moje zasługi i nienaganną karierę wojskową. Odetnijcie się ode mnie i wycofajcie. – Aleksander spuścił wzrok. – I nie zapomnijcie o broni.

Stiepanow milczał.

W powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa.

Aleksander nie mógł myśleć ani o sobie, ani o nim. Musiał spytać o nią.

– Czy Mechlis wie… – Urwał. Nie mógł mówić.

Stiepanow zrozumiał.

– Nie – odrzekł cicho. – Ale to tylko kwestia czasu.

Dzięki Bogu. A więc Dmitrij nie chciał pogrążyć ich obojga. Chciał ich tylko rozdzielić, ale z ucieczki nie zrezygnował. „Nie odbierze ci wszystkiego. Takiej władzy nigdy nad tobą nie zdobędzie”. Wciąż była nadzieja.

– Mogę jej jakoś pomóc? – spytał Stiepanow. – Może przeniosę ją do Leningradu? Albo nawet do Mołotowa, byle dalej stąd.

Aleksandrowi skurczyło się serce. Podniósł wzrok.

– Tak, towarzyszu pułkowniku, możecie.

Nie miał czasu na myślenie, nie miał czasu na analizowanie odczuć i uczuć. Wiedział, że jeśli tylko zacznie się zastanawiać, wszystko przepadnie. Musiał działać. Teraz, natychmiast. Po wyjściu Stiepanowa poprosił Inę, żeby wezwała doktora Sayersa.

– Nie wiem, czy go do was dopuszczą – odrzekła Ina.

Aleksander zerknął na stojących w drzwiach cywilów.

– Nie przejmuj się, to był tylko mały wypadek. Ale zrób coś dla mnie i nie mów nic siostrze Mietanowej, dobrze? Wiesz, jaka ona jest.

– Wiem, wiem. Lepiej bądźcie grzeczni, bo na was naskarżę.

– Będę, Ino, obiecuję.

Kilka minut później przyszedł Sayers.

– Co się tu dzieje, majorze? – rzucił wesoło. – Ponoć pobił pan jakiegoś szeregowego.

Aleksander wzruszył ramionami.

– Siłowaliśmy się na ręce i przegrał.

– Aha. A ten złamany nos? Na nosy też się siłowaliście?

– Panie doktorze, proszę posłuchać. – Aleksander czuł, że coraz bardziej słabnie. Cała energia, którą kiedyś miał, opuściła ciało, by powędrować do drobnej dziewczyny o piegowatym nosku. – Kiedy rozmawialiśmy o…

– Niech pan nic nie mówi. Wiem.

– Spytał pan wtedy, czy mógłby mi pan pomóc, a ja powiedziałem, że… – Aleksander z trudem zebrał myśli. – Myliłem się. Rozpaczliwie potrzebuję pańskiej pomocy.

– Panie majorze, robię wszystko, co mogę. Pańska pielęgniarka, wie pan, ta z umieralni, umie przekonywać.

Pielęgniarka z umieralni.

Aleksander skurczył się i zapadł w sobie.

– Proszę uważnie posłuchać. Chcę, żeby zrobił pan dla mnie jedną, jedyną rzecz. Dla mnie i tylko dla mnie.

– Oczywiście.

– Niech pan wywiezie moją żonę ze Związku Radzieckiego.

– Już niedługo, majorze, już niedługo…

– Nie, nie rozumie pan. Niech pan wywiezie ją teraz, zaraz, natychmiast. Ją i tego… – Słowa utknęły mu w gardle. – I tego skurwysyna ze złamaną ręką.

– Jak to?

– Mamy bardzo mało czasu. Lada chwila ktoś pana wezwie i nie zdążę dokończyć.

– Przecież jedzie pan z nami.

– Nie, nie jadę.

– Majorze – wykrzyknął zdenerwowany Sayers. – Do diabła, co pan mówi?

– Ciii… Wyjedziecie najpóźniej jutro, jasne?

– A pan?!

– Nieważne. Doktorze, Tania potrzebuje pańskiej pomocy. Jest w ciąży. Wiedział pan o tym?

Sayers pokręcił głową.

– Tak, jest w ciąży i bardzo się boi. Musi ją pan ochronić, musi ją pan uratować. Proszę ją stąd wywieźć. – Aleksander uciekł wzrokiem w bok i ujrzał… Kamę, rzekę, a w rzece Tanię. Jej namydlone ciało, ręce na jego szyi, jej ciepły szept: placki, Szura, czy jajecznica?

Potem zobaczył, jak Tatiana wychodzi ze szpitala na Greckim. Jest listopad, a ona, niska, drobna, w obszernym palcie, mija go bez słowa i odchodzi. Tania. Jego Tania wraca do samotnego życia w mieszkaniu przy Piątej Radzieckiej.

– Niech pan uratuje moją żonę.

– Nic z tego nie rozumiem – szepnął Sayers załamującym się głosem.

– Widzi pan tych cywilów? Są z NKWD. Pamięta pan? Opowiadałem panu o moich rodzicach.

Sayers pobladł.

– Ci ludzie rządzą całym krajem, ci ludzie założyli Gułag. Zabiorą mnie. Jutro. Dlatego Tania nie może tu zostać. Grozi jej wielkie niebezpieczeństwo. Musi ją pan wywieźć.

Sayers wciąż nic nie rozumiał. Protestował, kręcił głową, był coraz bardziej zdenerwowany.

– Aleksandrze – powiedział. – Jutro zadzwonię do amerykańskiego konsulatu.

Zadzwonię w pańskim imieniu.

Aleksandra ogarnął niepokój. Czy Sayers sobie poradzi? Czy zdoła nad sobą zapanować? Nic na to nie wskazywało.

– Doktorze, wiem, że niewiele pan z tego rozumie, ale nie mam czasu na tłumaczenie. Gdzie jest najbliższy konsulat? W Szwecji? W Anglii? Zanim pan do nich zadzwoni, zanim oni zadzwonią do departamentu stanu, ci z NKWD zgarną nie tylko mnie, ale i ją. Co Tatiana ma wspólnego z Ameryką?

– Jest pańską żoną.

– Noszę tylko jedno nazwisko, rosyjskie nazwisko, pod którym się z nią ożeniłem. Zanim rząd Stanów Zjednoczonych zdąży się skontaktować z NKWD, będzie za późno. Niech pan zapomni o mnie. Niech pan myśli tylko o niej.

– Nie. – Sayers nie mógł usiedzieć na miejscu. Wstał, obszedł łóżko i poprawił koc.

– Doktorze! – wykrzyknął Aleksander. – Wiem, że to dla pana trudne, ale jak pan myśli, co się stanie z Rosjanką, żoną Amerykanina, wysokiego oficera Armii Czerwonej, podejrzanego o szpiegostwo? Jak pan myśli, co zrobią z nią ci z NKWD? Jak ją wykorzystają?

Sayers milczał.

– Powiem panu jak. Wykorzystają ją jako broń przeciwko mnie. Gadaj, powiedzą, mów wszystko, bo twoja żona zostanie „surowo osądzona". Wie pan, co to znaczy? To znaczy, że będę musiał im powiedzieć, że nie będę miał żadnej szansy. Mogą też wykorzystać mnie przeciwko niej. Mężowi nic się nie stanie, ale musisz wyznać całą prawdę. I Tania ją wyzna. A potem…

– Nie! Wsadzę pana do karetki i pojedziemy do Leningradu. Teraz, natychmiast. Niech pan wstaje. Do Leningradu, a stamtąd do Finlandii…

– Doskonale – przerwał mu Aleksander – ale muszę pana uprzedzić, że ci ludzie – ruchem głowy wskazał drzwi – pojadą z nami. Nie odstąpią nas na krok. Nie uciekniemy. Ani ona, ani ja.

Zerknął w stronę drzwi, na cywilów, którzy gawędzili z Iną, paląc papierosy, i przeniósł wzrok na Sayersa. Biedak, naprawdę nic nie rozumiał i chwytał się czego tylko mógł.

– A ten Czernienko? Niby dlaczego mam go zabierać? Nie znam go, nic mu nie jestem winien.

– Musi pan. Ten sukinsyn nareszcie wszystko pojął. Myślał, że poświęcę Tatianę, żeby się ratować, ale teraz zna już prawdę. Wie też, że nie poświęcę jej, żeby go zniszczyć. Że nie zatrzymam jej tu, żeby mógł uciec. I ma rację. Dlatego niech pan go zabierze. Dzięki temu Tania będzie mogła wyjechać, a resztę mam gdzieś.

Sayersowi zabrakło słów.

– Doktorze – dodał łagodnie Aleksander. – Niech pan przestanie o mnie walczyć. Wystarczy, że ona to robi. Mój los jest już przypieczętowany, ale ona ma życie przed sobą. Ona jest najważniejsza.

Sayers potarł dłonią policzek i pokręcił głową.

– Widziałem, jak ta dziewczyna… – Załamał mu się głos. – Widziałem, jak oddawała panu krew. Chcę, żeby pan wyjechał, bo wiem, jak ona to…

– Doktorze! – Aleksander zaczynał tracić cierpliwość. – Nie pomaga mi pan. Myśli pan, że nie wiem? – Zamknął oczy. Oddała mi wszystko, dosłownie wszystko.

– Przecież ona bez pana nie wyjedzie!

– Nie, nie wyjedzie. – Boże, jak bardzo ją w tej chwili kochał.

– Chryste, w takim razie, jak ją przekonać?

– Tatiana nie może się dowiedzieć, że mnie aresztowano. Jeśli się dowie, zostanie, żeby sprawdzić, co się ze mną stało, żeby mi jakoś pomóc, żeby zobaczyć mnie ostatni raz. A wtedy będzie za późno.

Powiedział mu, co trzeba zrobić.

– Nie mogę! – wykrzyknął Sayers. – Wykluczone.

– Może pan. Wystarczy kilka słów. Kilka słów i kamienna twarz.

Sayers pokręcił głową.

– Coś może nie wypalić – kontynuował Aleksander. – I na pewno nie wypali, bo plan nie jest ani doskonały, ani bezpieczny. Ale nie mamy wyboru. Jeśli ma nam się udać, musimy wykorzystać każdą dostępną broń. Nawet tę bez amunicji.

– Pan zwariował. Ona nigdy mi nie uwierzy!

Aleksander chwycił go za rękę.

– To zależy od pana, doktorze. Jeżeli jej pan nie wywiezie, Tania zginie. Jeśli się pan zawaha, jeśli załamie się panu głos, jeśli widząc jej zrozpaczoną twarz, zacznie się pan plątać, Tania natychmiast wyczuje, że to jedno wielkie kłamstwo, i nigdzie nie wyjedzie. Jeżeli uzna, że ja żyję, zostanie tu, a wówczas jej dni będą policzone. Zobaczy puste łóżko, załamana padnie na kolana, spojrzy na pana zapłakanymi oczami i powie: „Pan kłamie. Wiem, że pan kłamie. Czuję, że on żyje". Widział pan, jak pocieszała innych i na pewno zechce ją pan pocieszyć. Zaleje pana fala smutku, a wtedy ona powie: „Błagam, pojadę z panem, ale chcę znać prawdę". Jeśli pan wtedy mrugnie, jeśli zaciśnie pan usta, ona natychmiast wszystko zrozumie i w tej samej chwili skaże ją pan na więzienie lub śmierć. Ją i nasze dziecko. Tania umie przekonywać i trudno jej odmówić. Będzie za panem chodziła, dopóki się pan nie załamie, ale proszę pamiętać: jedno słowo prawdy, jedno słowo pocieszenia zabije ją jak kula. – Aleksander puścił jego rękę. – Niech pan już idzie. Niech pan spojrzy jej prosto w oczy i skłamie. Najlepiej, jak pan potrafi, z całego serca. – Ochrypł, prawie odebrało mu głos. – Jeśli ją pan uratuje, bardzo mi pan pomoże.

Sayers wstał. Miał łzy w oczach.

– Kurewski kraj – wymamrotał. – Co za kurewski kraj…

– Wiem. – Aleksander wyciągnął do niego rękę. – Może ją pan poprosić? Muszę zobaczyć ją ostatni raz. Ale niech pan nie odchodzi, niech pan zostanie z nami. Przy ludziach jest nieśmiała. Będzie bardziej opanowana.

– Może zostawię was samych chociaż na chwilę?

– Pamięta pan, co mówiłem? Nie mogę zostać z nią sam na sam, po prostu nie mogę. Może pan potrafi spojrzeć jej w oczy, bo ja nie.

Dziesięć minut później usłyszał jej kroki i głos.

– Mówiłam, że śpi. Był niespokojny? Jak to?

– Majorze? – Głos Sayersa.

– Panie majorze? – To znowu Tatiana. – Proszę się obudzić. – Poczuł na czole jej ciepłą rękę. – Nie, nie jest rozpalone. Nic mu nie będzie.

Aleksander przykrył jej dłoń swoją dłonią.

Spójrz, Taniu.

Oto moja dzielna, obojętna mina.

Wziął głęboki oddech i otworzył oczy. Tatiana patrzyła na niego z tak wielką tkliwością i miłością, że ponownie je zamknął.

– To nic. – Mówił tak cicho, że jego ochrypły głos niósł się najwyżej na kilka

centymetrów. – Jestem tylko zmęczony. Jak się masz? Dobrze się czujesz?

– Otwórz oczy, żołnierzu – szepnęła czule Tania, pieszcząc jego twarz. – Jesteś głodny?

– Byłem, ale mnie nakarmiłaś. – Zadrżał.

– Dlaczego odłączono ci kroplówkę? – Wzięła go za rękę. – I dlaczego masz tu siniak, jakby ktoś wyrwał ci ją z żyły? Co ty robiłeś, kiedy mnie nie było?

– Już nie potrzebuję kroplówki. Czuję się dużo lepiej.

Ponownie położyła mu rękę na czole i spojrzała na Sayersa.

– Chyba jest mu trochę zimno. Może dać mu jeszcze jeden koc?

Odeszła. Aleksander otworzył oczy. Sayers miał udręczoną twarz.

– Niech pan przestanie – syknął Aleksander.

Wróciła Tatiana z kocem. Przykryła go i przyglądała mu się przez chwilę.

– Nic mi nie jest – powiedział – naprawdę. Opowiem ci kawał, chcesz? Co jest produktem krzyżówki niedźwiedzia białego z czarnym?

– Dwa szczęśliwe niedźwiedzie – odrzekła.

Uśmiechnęli się do siebie. Aleksander nie odwrócił wzroku.

– Wytrzymasz beze mnie do jutra? – spytała. – Przyniosę ci śniadanie.

Pokręcił głową.

– Jutro nie. Nie zgadniesz, dokąd mnie zabierają.

– Dokąd?

– Do Wołchowa. Nie wpadnij w zbyt wielką dumę, ale twój mąż dostanie awans na podpułkownika. – Aleksander zerknął na Sayersa, który stał u stóp łóżka ze sztucznym uśmiechem na twarzy.

– Naprawdę? – Tatiana promieniała.

– Uhm. I medal Bohatera Związku Radzieckiego za uratowanie naszego doktora. Co ty na to?

Uszczęśliwiona Tania nachyliła się nad nim i odrzekła:

– Jak ja z tobą wytrzymam? Będę musiała spełniać każdy twój rozkaz.

– Musiałbym najpierw zostać generałem.

– Kiedy wracasz? – spytała ze śmiechem.

– Pojutrze rano.

– Dlaczego nie jutro wieczorem?

– Bo ciężarówki robią tylko jeden kurs dziennie. Odjeżdżają wczesnym rankiem. Tak jest bezpieczniej, mniejszy ostrzał.

– Taniu, musimy iść – przerwał im niepewnie Sayers.

Aleksander zacisnął powieki.

– Panie doktorze – usłyszał – czy mogłabym zostać z majorem sama? Tylko na chwilę.

Nie! – pomyślał Aleksander. Otworzył oczy i posłał Sayersowi znaczące spojrzenie.

– Tatiano, naprawdę musimy już iść. Mam obchód na trzech oddziałach…

– Tylko chwilkę – odrzekła. – Zresztą proszę spojrzeć, macha do pana Lowa z trzydziestki.

Sayers odszedł. Aleksander pokręcił głową i pomyślał: Chryste, on nie potrafi jej odmówić.

Tatiana nachyliła się nad nim i zerknęła przez ramię. Doktor patrzył w ich stronę.

– Boże – szepnęła – Sayers się na nas gapi. Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie pocałuję cię otwarcie. – Poklepała go po piersi. – Niedługo las się skończy i wyjdziemy na piękną łąkę.

– Pocałuj mnie. Teraz.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Nie odrywając rąk od jego piersi, Tatiana delikatnie musnęła jego usta słodkimi jak miód ustami i przytknęła policzek do jego policzka.

– Szura, otwórz oczy.

– Nie.

– Otwórz.

Aleksander rozwarł powieki.

Tatiana popatrzyła na niego błyszczącymi oczami i szybko zamrugała.

Potem wyprostowała się, przybrała poważny wyraz twarzy i zasalutowała.

– Spijcie dobrze, majorze. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Tatiu.

Odwróciła się. Chciał krzyknąć: Nie, Taniu, zaczekaj, nie odchodź! Co jej powiedzieć? Z jakim słowem ją zostawić? Potrzebne mi słowo, jedno słowo…

– Tatiasza – zawołał. Boże, jak się nazywał ten kustosz…

Zerknęła przez ramię.

– Orbeli[27]. Pamiętaj.

– Taniu! – krzyknął Sayers od drzwi. – Proszę natychmiast do mnie!

Zdenerwowana Tatiana zmarszczyła czoło.

– Szura, kochanie, przepraszam, ale muszę iść. Powiesz mi, kiedy się zobaczymy, dobrze?

Aleksander kiwnął głową.

Szła przejściem między łóżkami, dotykając nóg pacjentów i wywołując uśmiech na ich zabandażowanych twarzach. Pożegnała się z Iną, poprawiła komuś koc, powiedziała coś do Sayersa, roześmiała się, spojrzała na Aleksandra ostatni raz, ostatni raz posłała mu pełen miłości uśmiech i znikła za drzwiami.

– Tatiano – szepnął cichutko Aleksander. – „Nie ulękniesz się strachu nocnego ani strzały lecącej za dnia, ani zarazy, która grasuje w ciemności, ani moru, który poraża w południe. Chociaż padnie u boku twego tysiąc, a dziesięć tysięcy po prawicy twojej, ciebie to jednak nie dotknie”.[28]

Przeżegnał się i skrzyżował ramiona na piersi. Teraz mógł już tylko czekać. Przypomniały mu się ostatnie słowa ojca.

Jeśli zdołasz znieść to, że przez ciebie wyrzeczoną
prawdę łotry przekręciły tak, że pułapką na głupców będzie –
Jeśli widzisz, że niszczą rzeczy, za które oddałeś życie –
Synu! – schyl się i odbuduj je z pomocą zużytych narzędzi.

Stała przed nim boso. Miała na sobie żółtą sukienkę, a na głowę włożyła jego wojskową czapkę, spod której wysuwały się złociste warkocze. Uśmiechnęła się promiennie i zasalutowała.

– Spocznij – rozkazał.

– Dziękuję, towarzyszu kapitanie. – Stanęła na palcach, uniosła twarz i pocałowała go w policzek – wyżej nie sięgała. Objął ją w talii i przytulił.

Cofnęła się trochę i odwróciła do niego tyłem.

– Dobrze. Tylko mnie złap. Gotowy?

Upadła, wesoło chichocząc, a on chwycił ją, podtrzymał i pocałował.

– No dobrze. – Wyprostowała się i z radosnym śmiechem rozłożyła ramiona. – Teraz

twoja kolej!

Żegnaj, pieśni księżyca. Żegnaj, oddechu mój, białe noce i złociste dni moje. Żegnaj, wodo świeża i ogniu. Obyś ułożyła sobie życie i odnalazła ukojenie, obyś uśmiechnęła się tym zapierającym dech w piersi uśmiechem. A kiedy twoją ukochaną twarz ozłocą promienie słońca wolności, uwierzysz, że nie na próżno cię kochałem.

Nazajutrz przed południem Tatiana weszła na oddział intensywnej terapii, mieszczący się w drewnianym budynku dawnej szkoły, i stwierdziła, że w łóżku Aleksandra ktoś leży. Myślała, że będzie puste, tymczasem przydzielono je pacjentowi bez rąk i nóg.

Patrzyła na niego bez słowa, przekonana, że po prostu się pomyliła. Wstała dość późno, potem spędziła kilka godzin na oddziale beznadziejnych przypadków. Tego ranka umarło siedmiu pacjentów.

Ale nie, jaka pomyłka? Przecież jest na oddziale intensywnej terapii. Lowa, pacjent numer trzydzieści sześć, czyta gazetę. W łóżkach obok łóżka Aleksandra też leżą inni pacjenci. Zniknął i Nikołaj Uspieński, porucznik z jednym płucem, i jego sąsiad, młody kapral.

Ale dlaczego odebrano łóżko Aleksandrowi? Poszła do Iny, lecz Ina nic nie wiedziała; poprzedniego dnia miała wolny wieczór. Powiedziała jej tylko, że Aleksander poprosił o swój galowy mundur. Przyniosła mu go i wyszła. Może przenieśli go na oddział ozdrowieńców?

Ale nie, tam też go nie było.

Tatiana wróciła na oddział intensywnej terapii i zajrzała pod łóżko. Plecak zniknął. Medal też. Nowy pacjent miał zabandażowaną twarz i zalane krwią ucho. Tania powiedziała, że zaraz sprowadzi lekarza, i chwiejnie wyszła z izby. Była w czwartym miesiącu ciąży i zaczynał jej rosnąć brzuch. Dobrze, że wyjeżdżają, bo jak wytłumaczyłaby się przed pielęgniarkami i pacjentami? W drodze do stołówki naszły ją złe przeczucia. Bała się, że Aleksandra wysłano na front, że będzie musiał zostać na drugim brzegu jeziora. Nie mogła przełknąć ani kęsa. Poszła poszukać doktora Sayersa.

Nigdzie nie mogła go znaleźć, znalazła za to Inę, która szykowała się do dyżuru. Ina powiedziała jej, że Sayers też jej szukał.

– Widać słabo się starał – odrzekła Tatiana. – Cały czas byłam u siebie.

Sayers był na oddziale beznadziejnych przypadków; operował pacjenta, który stracił połowę żołądka.

– Panie doktorze – szepnęła Tania. – Co się tu dzieje? Gdzie jest major Biełow? – Zerknęła na rannego i stwierdziła, że pozostało mu ledwie kilka minut życia.

– Zaraz, już prawie skończyłem – odparł Sayers, nie odwracając głowy. – Możesz ścisnąć brzegi rany?

– Co się stało? – powtórzyła Tatiana, wkładając rękawiczki.

– Najpierw skończę szyć, dobrze?

Tatiana spojrzała na niego, przeniosła wzrok na pacjenta i dotknęła jego czoła.

– On nie żyje – powiedziała po chwili. – Może pan przestać.

Sayers odłożył narzędzia.

Tatiana ściągnęła zakrwawione rękawiczki i wyszła na dwór. Była już prawie połowa marca i wiał silny wiatr. Dołączył do niej Sayers.

– Posłuchaj… – Wziął ją za ręce. Dlaczego nagle zbladł? – Strasznie mi przykro, ale… Stało się coś strasznego. – Załamał mu się głos. Miał udręczoną twarz i ciemne sińce pod oczami, jakby ktoś go pobił.

Tatiana mrugnęła raz, mrugnęła drugi.

Wyrwała ręce, zbladła i rozejrzała się za czymś, czego mogłaby się przytrzymać.

– Co się stało?

– Zaczekaj, nie krzycz…

– Ja nie krzyczę.

– Bardzo mi przykro, ale Aleksander. – Urwał. – Dziś rano wyjechał z dwoma żołnierzami do Wołchowa i… – Zamilkł. Nie mógł mówić.

Tatiana znieruchomiała. Czuła się tak, jakby wstrzyknięto jej dawkę silnego środka odurzającego.

– I co? – Powiedziała to czy tylko pomyślała?

– Kiedy jechali przez jezioro, Niemcy otworzyli ogień…

– Jacy Niemcy? – szepnęła. – Tu nie ma Niemców.

– Taniu, jest wojna. Nie słyszałaś, że ostrzeliwują nas z Siniawina? Tuż przed ich wozem wybuchła rakieta dalekiego zasięgu.

– Gdzie on jest?

– Strasznie mi przykro. W samochodzie było pięciu żołnierzy. Wszyscy zginęli.

Tatiana odwróciła się i zadrżała tak gwałtownie, jakby za chwilę miała się rozpaść.

– Skąd pan o tym wie?

– Wezwano mnie na brzeg. Próbowaliśmy ich ratować, ale wóz był za ciężki, doszczętnie rozbity… Poszedł na dno.

Tatiana chwyciła się za brzuch i zwymiotowała. Z mocno walącym sercem, pochyliła się, zgarnęła garść śniegu i otarła sobie usta. Zgarnęła drugą i przytknęła ją sobie do twarzy. Serce nie chciało się uspokoić, a ona nie mogła przestać wymiotować. Poczuła na plecach rękę Sayersa, usłyszała jego odległy głos.

– Taniu. Taniu.

Nie odwróciła się.

– Widział go pan?

– Tak. Mam jego czapkę…

– Żył, kiedy go pan widział?

– Nie. Strasznie mi przykro.

Ugięły się pod nią nogi.

– Nie, proszę… – Sayers objął ją i podtrzymał. – Proszę…

Tatiana wyprostowała się z trudem i odwróciła. Sayers dotknął jej policzka.

– Musisz usiąść. Jesteś w stanie…

– Wiem. Niech pan mi da tę czapkę.

– Serce mi pęka…

– Proszę mi ją dać. – Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że nie mogła jej uchwycić, a uchwyciwszy, natychmiast upuściła.

Nie była też w stanie utrzymać świadectwa zgonu, które podał jej Sayers. Patrzyła na nie i patrzyła, lecz widziała tylko rubrykę z jego nazwiskiem i miejscem śmierci. Aleksander Biełow. Jezioro Ladoga.

Ladoga. Pod lodami Ladogi.

– Gdzie on jest? – szepnęła. – Gdzie… – Słowa utknęły jej w gardle.

– Boże, Taniu, cóż mogliśmy zrobić? Przecież…

Podniosła rękę.

– Niech pan przestanie. Dlaczego mnie pan nie obudził? Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

– Taniu, spójrz na mnie. – Podtrzymał ją za ramiona. Miał łzy w oczach. – Nie szukałem cię. Nie byłem w stanie, nie miałem siły. Gdybym tylko mógł, wysłałbym ci telegram. Ale przyszłaś tu i nie miałem wyboru. – Zadrżał. – Taniu, uciekajmy stąd. Ty

i ja. Nienawidzę tego miejsca. Muszę wyjechać, dłużej tu nie wytrzymam. Jedźmy do Helsinek. Chodź, spakujemy twoje rzeczy. Zadzwonię do Leningradu, o wszystkim ich powiadomię. Muszę wyjechać jeszcze dziś wieczorem. – Spojrzał jej w oczy. – Musimy wyjechać. Razem.

Tatiana milczała. Umysł płatał jej dziwne figle. Nie wiedzieć czemu, nie mogła przestać myśleć o świadectwie zgonu. Dlaczego wystawił je Czerwony Krzyż? Dlaczego nie wojsko?

– Słyszysz mnie? Taniu?

– Tak, słyszę.

– Pojedziesz ze mną.

– Nie mogę trzeźwo… – Urwała. – Muszę chwilę pomyśleć.

– Chodźmy do mnie. Proszę. Zaraz zemdlejesz. Chodź, usiądziesz…

Tatiana cofnęła się, spojrzała na niego bolesnym wzrokiem, po czym najszybciej jak mogła ruszyła w stronę kwatery głównej. Musiała porozmawiać z pułkownikiem Stiepanowem. Stiepanow był zajęty i początkowo nie chciał jej przyjąć.

Zaczekała pod drzwiami, dopóki nie wyszedł.

– Idę do stołówki – powiedział, unikając jej wzroku. – Przejdziecie się ze mną?

Tatiana nie ruszyła się z miejsca.

– Towarzyszu pułkowniku, co się stało z majorem… – Nie mogła wymówić jego nazwiska.

Stiepanow przystanął.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci waszego męża – odrzekł cicho i łagodnie.

Tatiana nie odpowiedziała. Podeszła bliżej i wzięła go za rękę.

– Dobry z was człowiek. Jesteście jego dowódcą. – Wiatr smagał jej twarz. – Proszę, powiedzcie, co się z nim stało.

– Nie wiem. Nie było mnie tam.

Tatiana skurczyła się i jakby zmalała.

Stiepanow westchnął.

– Wiem tylko tyle, że dziś rano wóz pancerny, którym jechał wasz mąż, porucznik Uspieński, kapral i dwóch kierowców, zatonął pod nieprzyjacielskim ostrzałem. Innych informacji nie mam.

– Wóz pancerny? – powtórzyła ledwo słyszalnym szeptem. – Major mówił, że jedzie do Wołchowa po medal…

– Towarzyszko Mietanowa, wóz zatonął. Reszta to czyste spekulacje.

Tatiana nie odrywała od niego wzroku.

Stiepanow kiwnął głową.

– Bardzo mi przykro. Wasz mąż był…

– Wiem, kim był mój mąż. – Przytuliła do piersi czapkę i świadectwo zgonu.

– Tak. Oboje wiemy – odrzekł drżącym głosem pułkownik, patrząc na nią niebieskimi oczami.

Długo stali naprzeciwko siebie bez słowa.

– Taniu – nie wytrzymał Stiepanow. – Wyjedź z doktorem Sayersem. Wracaj do Leningradu, może nawet do Mołotowa. Tam będzie ci łatwiej, bezpieczniej. Wyjedź stąd. – Pułkownik zapiął guzik munduru.

– Zwrócił wam syna – szepnęła Tatiana.

Stiepanow spuścił oczy.

– Tak.

– A kto zwróci mi jego?

Między budynkami gwizdał porywisty wiatr.

Jak tu iść? Jak stawiać nogi? Może na czworakach? Nie, pójdę. Wbiję wzrok w ziemię i pójdę. Nie zachwieję się, nie potknę.

A jednak się potknę.

Upadła. Pułkownik pomógł jej wstać i poklepał ją po plecach. Tania zapięła palto i przytrzymując się ścian, ruszyła w stronę szpitala.

Ukrywała go. Od samego początku. Przed Daszą, przed Dmitrijem, przed śmiercią. A teraz musiała ukrywać go nawet przed samą sobą. Czuła, że nie zdoła, że nie da rady.

Sayers czekał w ciasnym gabinecie.

– Panie doktorze, niech pan spojrzy mi w oczy i przysięgnie, że on nie żyje.

Upadła przed nim na kolana i złożyła ręce jak do modlitwy.

Sayers przykucnął i ujął jej dłonie.

– Przysięgam – odrzekł, uciekając wzrokiem w bok.

– Nie mogę – powiedziała gardłowym głosem. – Rozumie pan? Nie mogę znieść myśli, że umarł beze mnie. Po prostu nie mogę! – załkała. – Niech pan powie, że zabrało go NKWD. Niech pan powie, że go aresztowano, że wysłano go na front, na Ukrainę, do Siniawina, na Syberię. Niech pan powie cokolwiek, byle nie to, że umarł beze mnie. Tego nie zniosę, nie zniosę. Przysięgam, pojadę z panem, dokąd pan tylko zechce, zrobię wszystko, co pan każe, ale błagam, niech mi pan powie prawdę.

– Przykro mi, Taniu. Nie mogłem go uratować. Żałuję. Nie wiesz nawet, jak bardzo.

Tatiana podpełzła na czworakach do ściany i ukryła twarz w dłoniach.

– Nigdzie nie jadę – szepnęła. – To nie ma sensu.

– Taniu. – Sayers przytknął jej rękę do czoła. – Nie mów tak. Proszę. Chcę cię uratować. Dla niego.

– To nie ma sensu.

– Jak to? A dziecko?

Opuściła ręce i spojrzała na niego szklistymi oczami.

– Powiedział panu, że jestem w ciąży?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Masz rozpalone czoło. I dreszcze.

Tatiana nie odpowiedziała. Drżała jak w febrze.

– Boże, wytrzymasz?

– Nie. – Ponownie ukryła twarz w dłoniach.

– Zostań tu. Zostań i zaczekaj. Nie wstawaj, słyszysz? Postaraj się zdrzemnąć.

Z ust Tatiany wydobywało się chrapliwe rzężenie, odgłos przypominający skowyt rannego zwierzęcia, które tarza się po ziemi z nadzieją, że umrze, zanim wykrwawi się na śmierć.

– Pacjenci o ciebie pytają. Myślisz, że dałabyś radę…

– Nie. Niech pan idzie. Chcę zostać sama.

Siedziała na podłodze do wieczora. Z zamkniętymi oczami, z głową na kolanach. Potem się położyła i zwinęła w kłębek. Jakby z oddali dobiegło ją skrzypnięcie drzwi. Wrócił Sayers. Spróbowała wstać, lecz nie mogła. Sayers dźwignął ją z podłogi i zmartwiał, widząc jej twarz.

– Boże, Taniu, musisz być…

– Jaka? – wykrzyknęła. – W tej chwili mogę być tylko taka, jaka jestem. Już pora?

– Tak. Chodźmy. – Doktor zniżył głos. – Spójrz, przyniosłem twój plecak. To chyba twój, prawda?

– Tak.

– Chcesz zabrać coś jeszcze?

– Nie, nic więcej nie mam. Jedziemy tylko we dwoje?

Sayers nachmurzył czoło.

– Rano był u mnie Czernienko. Pytał, czy po śmierci… Czy zmieniliśmy plany.

– A pan powiedział… – Ugięły się pod nią nogi. Opadła na krzesło i podniosła głowę. – Nie mogę z nim jechać, po prostu nie mogę.

– A ja nie chcę go zabierać, ale nie mam wyboru. Powiedział mi bez ogródek, że bez niego zatrzymają nas już na pierwszym posterunku. Chcę stąd wyjechać. Co mogłem zrobić?

– Nic – odrzekła beznamiętnie Tatiana.

Pomogła mu się spakować i wyniosła na dwór jego lekarską torbę. Myślała, że pojadą karetką, tymczasem przed szpitalem czekał duży dżip. Miał przeszkloną szoferkę, ale z tyłu zamiast blaszanego poszycia był zwykły brezent – rozwiązanie dość niebezpieczne i dla rannych, i dla personelu medycznego, jednak ci z Helsinek nie dysponowali wówczas żadnym innym pojazdem, a Sayers nie mógł czekać. Na brezencie widniały znaki Czerwonego Krzyża.

Przy dżipie czekał Dmitrij. Tatiana minęła go bez słowa i weszła do środka, żeby załadować podręczną apteczkę i karton plazmy.

– Taniu? – rzucił Dmitrij.

Nadszedł doktor Sayers.

– Szybciej, szybciej. Niech pan wsiada. Kiedy ruszymy, przebierze się pan w mundur tego Fina. Nie wiem, jak pan poradzi sobie z ręką. Taniu, gdzie go położyłaś? Dać panu morfiny? Jak pańska twarz?

– Potwornie, ledwo widzę. Ale najgorzej z ręką. Myśli pan, że dostanę zakażenia?

Tatiana przyjrzała mu się z dżipa. Prawa ręka w gipsie i na temblaku, twarz opuchnięta i sinawa – w pierwszej chwili chciała spytać, co mu się stało, ale przestało ją to obchodzić. Sayers i tak jej powie. Później.

– Taniu – powiedział Dmitrij. – Słyszałem o… Bardzo mi przykro.

Tatiana wyjęła mundur fińskiego pilota i rzuciła go na podłogę.

– Szybciej. – Sayers wyciągnął ręce. – Pomogę ci zejść i jedziemy.

Tatiana zeskoczyła na ziemię.

– Taniu. – Znowu Dmitrij.

Spojrzała na niego z tak wielką pogardą, że odwrócił wzrok.

– Przebierz się – syknęła przez zęby – połóż się i leż.

– Posłuchaj, wiem, jak się czujesz, ale…

Tatiana zacisnęła pięć i uderzyłaby go w złamany nos, gdyby Sayers nie chwycił jej za rękę.

– Boże, przestań, proszę.

Dmitrij cofnął się o krok.

– Powiedziałem tylko, że bardzo mi…

– Nie chcę słyszeć tych kurewskich kłamstw! – wrzasnęła Tatiana. – Nie odzywaj się do mnie, jasne?

Dmitrij wymamrotał, że nie rozumie, dlaczego jest na niego wściekła, i wsiadł do dżipa.

Doktor Sayers wskoczył za kierownicę i szeroko otwartymi oczami spojrzał na Tanię.

– Jestem gotowa. Jedźmy. – Tatiana zapięła białą kurtkę z czerwonym krzyżem na rękawie i zawiązała biały czepek. Miała przy sobie pieniądze Aleksandra, jego książkę, listy i ślubne zdjęcia. Miała też jego czapkę i obrączkę.

Ruszyli w noc.

Tania rozłożyła mapę na kolanach, ale gdyby nie Sayers, mapa na nic by się im nie przydała. Jechali wąskimi, błotnistymi droga i rozmiękłymi od śniegu wertepami. Tatiana patrzyła w mrok. Próbowała siedzieć prosto, próbowała się uspokoić. Po cichutku policzyła do stu.

Sayers mówił i mówił, cały czas po angielsku.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz…

– Tak? – odrzekła też po angielsku. – A co z nim?

– Kogo to obchodzi? Wysadzę go w Helsinkach i niech sobie robi, co chce. Mam go gdzieś. Chodzi mi tylko o ciebie. W Helsinkach zrobimy kurs z zapasami, a potem wsiądziemy do samolotu Czerwonego Krzyża i polecimy do Sztokholmu. Ze Sztokholmu pojedziemy pociągiem do Göteborga, a stamtąd popłyniemy w konwoju do Anglii. Słyszysz mnie? Rozumiesz?

– Tak, słyszę. Rozumiem.

– W Anglii będę musiał wpaść w kilka miejsc, ale potem albo polecimy, albo popłyniemy do USA liniowcem z Liverpoolu. W Nowym Jorku…

– Matthew, proszę – szepnęła Tatiana.

– Próbuję cię jakoś pocieszyć. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Wie pan co? Najpierw przekroczmy granicę.

– Nie wiedziałem, że znasz angielski, Taniu – rzucił z tyłu Dmitrij.

Zamiast odpowiedzieć, Tatiana sięgnęła po krótki łom, który Sayers trzymał w szoferce na wypadek kłopotów. Wzięła zamach i grzmotnęła nim w blaszane przepierzenie, co przeraziło doktora do tego stopnia, że omal nie zjechał z drogi do rowu.

– Dmitrij! – krzyknęła. – Leż i przestań gadać. Jesteś Finem. Nie chcę słyszeć ani słowa po rosyjsku.

Odłożyła łom i objęła się ramionami.

– Taniu…

– Niech pan przestanie, Matthew.

– Nic nie jadłaś, prawda?

Pokręciła głową.

– Nie miałam ochoty.

W środku nocy przystanęli na poboczu. Dmitrij przebrał się już w mundur.

– Jest o wiele za duży – powiedział do Sayersa. – Obym tylko nie musiał wstawać. Natychmiast poznają, że nie mój. Ma pan może morfinę?

Doktor wrócił kilka minut później.

– Jeszcze jeden zastrzyk i umrze – mruknął. – Ta ręka go wykończy.

– Co mu się stało? – spytała po angielsku Tatiana.

Sayers długo milczał.

– Omal go nie zabili – odrzekł w końcu. – Ma paskudne otwarte złamanie. Może stracić rękę. Nie mam pojęcia, jakim cudem chodzi i jest przytomny. Myślałem, że po wczorajszym już się nie podniesie, a tu proszę. – Doktor pokręcił głową.

Tatiana zacisnęła usta. Jak to jest, że ta kanalia wciąż stoi? – myślała. My, młodzi, silni, odważni i pełni werwy padamy na kolana, zdruzgotani ciężarem życia, a on stoi?

Dlaczego?

– Któregoś dnia mi to wytłumaczysz – dodał Sayers i ruchem głowy wskazał przepierzenie. – Bo przysięgam na Boga, że nic z tego nie rozumiem.

– Chyba nie potrafię – szepnęła Tatiana.

W drodze na Lisi Nos zatrzymywano ich sześć razy. Sayers pokazywał im dokumenty, swoje i swojej pielęgniarki Jane Barrington. Fin nazwiskiem Tove Hanssen miał tylko metalowy identyfikator na piersi. Był rannym pilotem, który wracał do Helsinek w ramach programu wymiany jeńców wojennych. Sześć razy strażnicy rozchylali brezentowe klapy, świecili Dmitrijowi w opuchniętą twarz i przepuszczali ich dalej.

– Miło jest podróżować pod flagą Czerwonego Krzyża – powiedział Sayers.

Tatiana kiwnęła głową.

Doktor zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

– Zimno ci? – spytał.

– Nie. – Chciała zamarznąć. – Może poprowadzić?

– Umiesz?

Kiedy miała szesnaście lat, ona i Pasza zaprzyjaźnili się z pewnym kapralem, który odbywał służbę w jednej z pobliskich wsi. Pozwolił im jeździć ciężarówką całe lato. Pasza był nie do wytrzymania, bo cały czas chciał siedzieć za kierownicą, ale kapral, miły chłopak, pozwalał prowadzić i jej. Uważała, że prowadzi dobrze, lepiej niż brat, a kapral twierdził, że bardzo szybko się uczy.

– Umiem.

– Nie, jest za ciemno i za ślisko. – Sayers zamknął oczy.

Tatiana siedziała cichutko, z rękami w kieszeniach kurtki. Próbowała przypomnieć sobie, jak się ostatni raz kochali, ona i Aleksander. Było to na pewno w listopadzie, w posępną listopadową niedzielę. Ale gdzie? Nie pamiętała. Co robili? Patrzyła na niego? A Inga? Stała pod drzwiami? Kochali się w łazience, na sofie czy na podłodze? Nie, nie pamiętała.

A wczoraj? Co mówił Aleksander? Opowiedział jej kawał, pocałował ją, uśmiechnął się, dotknął jej ręki. Miał jechać do Wołchowa po awans i medal. Okłamali ją? On też ją okłamał?

Cały drżał. Tak, drżał. Myślała, że mu zimno. Co jeszcze powiedział? Do zobaczenia. Spokojnie, zwyczajnie, nawet przy tym nie mrugnął. Co jeszcze. Orbeli.

Orbeli? Kto to jest?

Opowiadał jej wiele fascynujących ciekawostek zasłyszanych w wojsku. O generałach, o Hitlerze, o Rommlu, o Anglii, o Włoszech, o Stalingradzie, o Richthofenie, o Paulusie, o El Alamein, o Montgomerym. Owszem, bywało, że używał słów, których znaczenia nie rozumiała, jednak o Orbelim nigdy dotąd nie wspominał. Orbeli. Kto to jest? A może co?

Obudziła Sayersa.

– Panie doktorze, co to znaczy Orbeli?

– Nie wiem – odrzekł rozespany Sayers. – Nie mam pojęcia. Dlaczego?

Tatiana nie odpowiedziała.

Ruszyli.

O szóstej rano dotarli do cichej, sennej granicy.

Aleksander wyjaśnił jej, że granica fińsko-radziecka praktycznie nie istnieje, że jest to raczej linia obronna, co oznacza, że wrogie wojska siedzą w okopach oddalonych od siebie o trzydzieści, najwyżej o sześćdziesiąt metrów i spokojnie przeczekują wojnę.

Tatiana rozejrzała się wokoło, lecz nie dostrzegła niczego niezwykłego. Otaczał ich las,

taki sam jak ten, przez który jechali od wielu godzin, a reflektory oświetlały wąską, zrytą koleinami drogę. Była połowa marca i słońce jeszcze nie wzeszło.

Doktor Sayers uznał, że jeśli po tej stronie granicy wszyscy śpią, trzeba jechać dalej i okazać dokumenty Finom zamiast Rosjanom. Tatiana uznała, że to świetny pomysł.

Nagle usłyszeli „Stać!" i do dżipa podeszło trzech rozespanych enkawudzistów. Sayers podał im dokumenty. Tamci przejrzeli je dokładnie i jeden z nich spojrzał na Tatianę.

– Zimny wiatr, prawda? – spytał po angielsku z silnym rosyjskim akcentem.

– Tak, bardzo – odrzekła. – Podobno ma padać śnieg.

Enkawudzista kiwnął głową i całą trójką poszli zajrzeć pod plandekę.

Tatiana czekała.

Cisza.

Błysnęło światło latarki.

Znowu cisza.

I nagle:

– Zaczekaj. Poświeć jeszcze raz.

Pstryk! Światło latarki rozbłysło ponownie.

Tatiana zamarła i wytężyła słuch.

Enkawudzista wybuchnął śmiechem i powiedział coś po fińsku. Tania nie znała fińskiego, więc nie mogła dać za to głowy, w każdym razie mówił językiem, którego nie rozumiała. Dmitrij chyba też nie, gdyż nie odpowiedział.

Enkawudzista powtórzył pytanie głośniej.

Dmitrij milczał. Nagle powiedział… kilka słów po fińsku? Tania nie była tego pewna. Rosjanin parsknął szyderczym śmiechem.

– Wysiadaj – rzucił.

– Cholera jasna – szepnął doktor Sayers. – Wpadliśmy!

– Ciii… – odrzekła Tatiana.

Enkawudzista powtórzył rozkaz, lecz Dmitrij nie zareagował.

– On jest ranny, nie może wstać – powiedział po rosyjsku Sayers.

– Jeśli chce żyć, to wstanie – odparł tamten. – Powiedzcie mu to po fińsku, po angielsku czy po jakiemu tam chcecie.

– Doktorze – szepnęła Tatiana – niech pan będzie bardzo ostrożny. Jeśli Dmitrij wpadnie w panikę, może nas wszystkich pozabijać.

Enkawudziści wywlekli go z dżipa, po czym kazali wysiąść jej i Sayersowi. Doktor obszedł samochód i stanął przed nią, przy drzwiach od strony pasażera. Tatiana poczuła, że słabnie, że zaraz zemdleje, więc dotknęła jego kurtki z nadzieją, że to ją trochę wzmocni. Dmitrij stał na otwartej przestrzeni kilka metrów dalej, tonąc w obszernym mundurze. Żołnierze trzymali go na muszce.

– Pytam cię po fińsku, gdzie tak oberwałeś, a ty mówisz, że jedziesz do Helsinek. To jak to z tobą jest, hę?

Dmitrij milczał, patrząc błagalnie na Tatianę.

Sayers odchrząknął.

– Wieziemy go z Leningradu. Jest ciężko ranny…

Niedostrzegalnym ruchem ręki Tatiana trąciła go w plecy.

– Niech pan się nie wtrąca, będą kłopoty.

– Ranny to może on jest, ale na pewno nie jest Finem.

Enkawudziści ponownie wybuchnęli śmiechem. Jeden z nich podszedł bliżej.

– Nie poznajesz mnie, Czernienko? To ja, Roskowski.

Dmitrij opuścił zdrową rękę.

– Podnieś łapę – krzyknął wesoło żołnierz. – Podnieś!

Tatiana widziała, że nie traktują go poważnie. Gdzie ukrył broń? Pod temblakiem? Czy w ogóle ją ma?

– Znasz go? – rzucił z tyłu jeden z enkawudzistów.

– Czy go znam? – wykrzyknął Roskowski. – No jasne! Czernienko, zapomniałeś już, jak zdzierałeś ze mnie za fajki? I jak musiałem ci płacić, bo skąd miałbym je tu wziąć? Widzieliśmy się miesiąc temu. Zapomniałeś?

Dmitrij wciąż milczał.

– Myślałeś, że nie rozpoznam cię w tej sinej maseczce na twarzy? – Wszystko wskazywało na to, że Roskowski świetnie się bawi. – A więc powiedz mi, kochany Czernienko, jak to się stało, ze masz na sobie fiński mundur i leżysz w dżipie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża?

O rękę i gębę nie pytam, bo to oczywiste. Komuś nie przypadły do gustu twoje horrendalne ceny, co?

– Nie uważasz, że nasz zaopatrzeniowiec próbuje zdezerterować? – rzucił ze śmiechem jeden z jego kolegów.

Dmitrij wciąż patrzył na Tatianę i na chwilę spotkali się wzrokiem. Nagle Tania odwróciła się, otuliła szczelniej kurtką i podeszła bliżej drzwi.

– Zimno mi – powiedziała.

– Tatiano! – wrzasnął po rosyjsku Dmitrij. – Ty im powiesz czyja?

Roskowski zmarszczył czoło.

– Tatiana? Amerykanka imieniem Tatiana? – Podszedł do Sayersa. – Co się tu dzieje? Dlaczego on mówi do niej po rosyjsku? Pokażcie no jej papiery.

Doktor sięgnął do kieszeni. Dokumenty były w porządku.

– Tatiana? – powiedziała po angielsku Tania, patrząc Roskowskiemu prosto w oczy. – Co on bredzi? I kto to jest? Twierdził, że jest Finem. Prawda, panie doktorze?

– Właśnie, absolutnie. – Sayers objął Roskowskiego za ramię i odprowadził go na bok. – Proszę posłuchać. Nie chcemy żadnych kłopotów. Ten człowiek przyszedł do naszego szpitala…

W tej samej chwili Dmitrij wyjął zza pazuchy pistolet i strzelił do Roskowskiego.

Tatiana nie była pewna, do kogo mierzył – trzymał broń lewą ręką – ale nie zamierzała tego sprawdzać. Natychmiast padła na ziemię. Dmitrij mógł celować w enkawudzistę. Mógł, lecz spudłował i trafił doktora Sayersa. A może nie spudłował, może chciał zabić ją? Stała ledwie dwa kroki za nimi. Nie, nie zamierzała o tym myśleć.

Roskowski zawrócił, lecz Dmitrij wypalił ponownie. Tym razem trafił, lecz poruszał się zbyt niezdarnie, żeby skierować ogień na pozostałych enkawudzistów, którzy – niczym aktorzy na zwolnionym filmie – właśnie zdejmowali z ramienia karabiny. Zdawało się, że trwa to całe wieki, jednak w końcu zaczęli strzelać. Siła uderzenia pocisków odrzuciła Dmitrija kilka metrów do tyłu.

Nagle w lesie rozgorzała kanonada. Nie był to ogień z karabinów powtarzalnych, które słychać w walce najczęściej: wystrzelić, przeładować, wystrzelić, przeładować, załadować magazynek i wystrzelić kolejne pięć nabojów. Nie, to był ogień ciągły, maszynowy: pociski rozłupały wydłużoną maskę dżipa i roztrzaskały przednią szybę.

Roztrzaskały też szybę boczną i Tatiana poczuła, że coś wbija jej się w policzek. Usta wypełnił dziwny, metaliczny smak, a czubek języka natrafił na coś ostrego. Krew. Z ust płynęła jej krew, ale nie miała czasu o tym myśleć. Musiała wpełznąć pod samochód.

Enkawudziści zniknęli. Dmitrij leżał na otwartej przestrzeni, doktor Sayers też. Zewsząd niósł się huk wystrzałów, wciąż słyszała brzęk pocisków przebijających poszycie dżipa.

Tatiana doczołgała się do Sayersa, chwyciła go za rękę i powlokła w stronę samochodu. Zdawało jej się, że Dmitrij się poruszył – a może to tylko wyobraźnia i rozbłyski wybuchów? Nie, poruszył się, na pewno się poruszał: pełzł w stronę dżipa. Wysoko w górze świsnął pocisk z radzieckiego moździerza. Eksplodował w lesie i rozpętało się piekło. Zewsząd buchnął ogień i dym. Skąd strzelają? Stąd czy stamtąd? Nie, nie było żadnego „stąd" ani „stamtąd". Był tylko Dmitrij, który cały czas się ku niej czołgał. Widziała go w absurdalnym świetle reflektorów dżipa, widziała, że jej szuka, że wyciąga do niej rękę, słyszała, jak ją woła.

– Tatiano… Tatiano, proszę…

Zamknęła oczy.

Precz. Ani kroku dalej.

Raptem dobiegł ją przeraźliwy gwizd. Dostrzegła oślepiający rozbłysk, poczuła potworny podmuch, uderzyła w coś głową i straciła przytomność.

Ocknąwszy się, postanowiła nie otwierać oczu. Źle słyszała, ale było jej bardzo ciepło, jak w łaźni w Łazariewie, kiedy to lała wodę na rozpalone kamienie, które głośno syczały, wydzielając gęstą parę. Doktor Sayers wciąż leżał pod nią. Iść gdzieś? Dokąd? Ponownie natrafiła językiem na ostry przedmiot w ustach, ponownie poczuła słonawy, metaliczny smak.

Sayers był chyba mokry. Krew. Doktor krwawił. Otworzyła oczy. Za dżipem coś się paliło i płomień oświetlał jego bladą twarz. Gdzie oberwał? Pomacała pod kurtką i znalazła ranę w ramieniu. Rany wylotowej nie było, więc zatkała otwór rękawiczką, żeby zatamować krwotok. Potem ponownie zamknęła oczy. Strzelanina ucichła.

Jak długo to trwało? Dwie minuty? Trzy?

Poczuła, że zsuwa się powoli w czarną otchłań. Otworzyć oczy? Nie mogła. Nie chciała.

Kiedy umrze? Jak długo jeszcze pożyje? Jak długo Sayers będzie spał, a Dmitrij leżał w blasku ognia? Jak długo?

A Szura? Jak długo trwało to w jego przypadku? Widziała wszystko z karetki Czerwonego Krzyża, która stała na polanie wychodzącej na łagodnie opadający stok.

Tak, widziała wszystko.

Trwało to najwyżej dwie minuty. Aleksander podbiegł do Marazowa, krzyknął do Sayersa, wyciągnął go z wody, a potem powlókł do ciężarówki trzech ludzi, dwa trupy i doktora. Były to najdłuższe minuty w jej życiu.

Niewiele brakowało, aby zdążył. Zdążyłby na pewno, gdyby niemiecki samolot nie zrzucił bomby. Bomba eksplodowała i podmuch cisnął go na ciężarówkę. Wtedy Tatiana chwyciła skrzynkę z plazmą, wyskoczyła z karetki i zbiegła zboczem na lód.

– Zwariowałaś? – Jakiś kapral powalił ją i przytrzymał.

– Jestem pielęgniarką, muszę pomóc lekarzowi.

– Zabiją cię, leż!

Leżała dokładnie dwie sekundy. Sayers i Aleksander byli za ciężarówką i bezpośrednie trafienie im nie groziło. Doktor machał ręką, wzywał pomocy. Tania zerwała się na równe nogi i zanim kapral zdążył zareagować, popędziła przed siebie. Początkowo biegła, potem przestraszyła się wybuchów, padła na lód i resztę drogi pokonała pełznąc. Aleksander leżał bez ruchu. Na plecach jego białej kurtki wykwitła czerwona plama otoczona czarną

obwódką spalonego materiału. Tatiana zdjęła hełm z jego zakrwawionej głowy.

Wystarczyło spojrzenie i wiedziała już, że Szura zaraz umrze.

Szaropłowy leżał na śliskim od krwi lodzie. Tatiana uklękła.

– Stracił dużo krwi, jest w szoku. Trzeba mu podać plazmę.

Sayers natychmiast się z nią zgodził. Podczas gdy on grzebał w torbie w poszukiwaniu skalpela, którym chciał rozciąć Aleksandrowi rękaw, ona zdjęła czapkę i wcisnęła ją w ranę, żeby zatamować krwotok. Potem sięgnęła do jego buta, wyjęła nóż i rzuciła go doktorowi.

– Niech pan spróbuje tym. – Przez cały ten czas odetchnęła najwyżej dwa razy.

Sayers rozciął rękaw, odsłonił ramię, wkłuł się w żyłę i podłączył do rurki pojemnik z plazmą. Kiedy poczołgał się po nosze, Tatiana rozcięła nożem drugi rękaw, wyjęła ze skrzynki drugi pojemnik z plazmą, wkłuła się w żyłę w lewym ramieniu i otworzyła kranik, tak że plazma spływała do rurki z maksymalną prędkością sześćdziesięciu dziewięciu kropli na minutę. Potem usiadła na nim i zalana krwią, ze wszystkich sił uciskała ranę.

– Wytrzymaj, żołnierzu, wytrzymaj.

Do powrotu Sayersa zdążyła wymienić pojemnik z plazmą. Zdjęła kurtkę, a kiedy rozłożyła ją na noszach, przenieśli na nie Aleksandra i szczelnie owinęli go połami; miał przemoczone ubranie i był strasznie ciężki. Sayers spytał, jak zataszczą go na brzeg. Powiedziała, że dźwigną go na raz, dwa, trzy i po prostu poniosą. Spojrzał na nią jak na wariatkę, spytał: „ty i ja?", a ona nawet nie mrugnęła i odparła: „tak, pan i ja. Szybko!".

Potem wykłócała się z rosyjskimi lekarzami, z pielęgniarkami, a nawet z Sayersem, który postawił na Aleksandrze kreskę. „Wykrwawił się – powiedział. – Dajmy sobie spokój, już mu nie pomożemy. Morfina? Najwyżej gram, nie więcej".

Podłączyła mu kroplówkę, wstrzykiwała morfinę i podawała plazmę. Kiedy i tego było za mało, oddała mu swoją krew, a kiedy i to nie pomogło, przetoczyła krew bezpośrednio, z tętnicy do żyły.

Kropla po kropli.

Siedząc przy nim, cały czas szeptała. Szura, pragnę tylko jednego: żebyś mimo bólu i cierpienia usłyszał głos mojej duszy. Siedzę tu i kropla po kropli wlewam w ciebie moją miłość z nadzieją, że zaraz podniesiesz głowę i znowu się uśmiechniesz. Szura, słyszysz mnie? Czujesz, że tu jestem? Czujesz moją rękę na sercu? Wierzę w ciebie. Wierzę, że będziesz żył wiecznie, że z tego wyjdziesz, że wyrosną ci skrzydła i umkniesz na nich śmierci. A kiedy otworzysz oczy, będę przy tobie. Zawsze będę przy tobie. Zawsze będę w ciebie wierzyć i zawsze cię kochać. Jestem tu, Szura. Dotknij mnie. Dotknij mnie i żyj.

Aleksander przeżył.

A teraz, leżąc pod dżipem tego zimnego, marcowego poranka, pomyślała: czy uratowałam go tylko po to, żeby umarł na lodzie? Sam, beze mnie? Żebym nie mogła objąć go i przytulić? Żebym chociaż raz nie mogła spojrzeć na jego młode, piękne, silne i zniszczone wojną ciało, które kiedyś tak czule całowałam? Żeby umarł w samotności?

Boże, wolałaby już pochować go pod lodem, jak pochowała siostrę. Wiedziałaby przynajmniej, że odszedł w pokoju, że była z nim do samego końca. Wolałaby to niż sekundę tego mrocznego życia.

Czuła, że dłużej tego nie zniesie, że nie wytrzyma. Ani chwili. Że zaraz się wypali, że nic z niej nie zostanie.

Jak przez mgłę usłyszała cichy jęk. Mrugnęła raz, mrugnęła drugi.

– Matthew?

Był półprzytomny. Las ucichł. Wstał siny świt. Tatiana wypełzła spod dżipa. Potarła twarz i stwierdziła, że krwawi. Z policzka sterczał kawał szkła. Spróbowała je wyciągnąć, lecz za bardzo ją bolało. Zacisnęła palce, mocno szarpnęła i zaniosła się przeraźliwym krzykiem. Z rany trysnęła krew.

Chryste, co za ból.

Krzyczała i krzyczała, a nagi las odpowiadał upiornym echem. Objąwszy się za kolana, za brzuch, za piersi, uklękła i wyła jak ranne zwierzę.

Potem upadła i przycisnęła policzek do śniegu. Nie pomogło: śnieg był za ciepły.

W ustach nie czuła już nic ostrego, ale miała skaleczony język, skaleczony i spuchnięty. Usiadła i rozejrzała się wokoło. Na drodze panował dziwny spokój. Szare, nagie drzewa kontrastowały posępnie z bielą śniegu. Cisza. Umilkło nawet echo. Cisza, spokój i mokradła. Blisko Zatoki.

Do krajobrazu nie pasował jedynie posiekany kulami dżip. I martwy enkawudzista po jej prawej stronie. I leżący metr od samochodu Dmitrij. Miał otwarte oczy i wciąż wyciągał do niej rękę, jakby oczekiwał cudu, który wyrwałby go z otchłani niebytu.

Patrzyła chwilę na jego oszronioną, nieruchomą twarz. Dmitrij rozpoznany przez NKWD – ciekawe, co powiedziałby na to Aleksander. Odwróciła wzrok.

Szura miał rację: lepszego miejsca na przekroczenie granicy chybaby nie znaleźli. Enkawudziści byli słabo uzbrojeni: mieli tylko karabiny i jeden moździerz, lecz jeden moździerz nie wystarczył. Po fińskiej stronie też panował spokój. Między drzewami nie dostrzegła żadnego ruchu. Co robić? Wiedziała, że wkrótce nadciągną posiłki, że na granicy zaroi się od Rosjan, że natychmiast zabiorą ją na przesłuchanie. Co wtedy?

Położyła rękę na brzuchu. Zmarzły jej dłonie.

Wczołgała się pod samochód.

– Doktorze – szepnęła, przykładając mu palce do szyi. – Matthew, słyszy mnie pan?

Sayers nie odpowiedział. Był w bardzo ciężkim stanie. Serce biło z częstotliwością czterdziestu uderzeń na minutę, spadło mu ciśnienie krwi. Z kieszeni kurtki wyjęła jego amerykański paszport i dokumenty Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wynikało z nich niezbicie, że niejaki Matthew Sayers i Jane Barrington są w drodze do Helsinek.

Boże, co robić? Jechać dalej? Dokąd? Czym?

Wsiadła do szoferki i przekręciła kluczyk w stacyjce. Nic. Cisza. Dalsze próby nie miały sensu. Maska samochodu przypominała durszlak. Spojrzała przed siebie. Las po fińskiej stronie. Czy to jakiś ruch? Tam, między drzewami. Nie. Na śniegu leżało kilka trupów, a za trupami stała furgonetka, samochód trochę większy od ich dżipa. Ale wozy różniły się nie tylko wielkością: fiński sprawiał wrażenie całego i nie uszkodzonego. Tania wysiadła.

– Matthew?

Sayers nie zareagował.

– Zaraz wracam.

Sayers milczał.

– Dobrze, leż tu.

Przeszła na fińska stronę. Dziwne, pomyślała. Czuję się tak samo jak po radzieckiej. Ostrożnie obeszła martwych żołnierzy. W szoferce furgonetki siedział kierowca. On też nie żył. Żeby wsiąść, musiała najpierw go stamtąd wyciągnąć.

Szarpnęła ze wszystkich sił i z głuchym stukotem runął na zdeptany śnieg. Wsiadła i przekręciła tkwiący w stacyjce kluczyk. Furgonetka szarpnęła do przodu, silnik prychnął i zgasł. Tania wrzuciła luz i spróbowała jeszcze raz. Na próżno. Spojrzała na wskaźnik

paliwa. Pełny bak. Wysiadła i zajrzała pod samochód, żeby sprawdzić, czy zbiornik jest cały. Był. Podniosła maskę. Przez chwilę gapiła się na silnik otępiałym wzrokiem, lecz nagle coś do niej dotarło. Miała przed sobą wysokoprężny silnik diesla. Skąd o tym wiedziała?

Boże, z Kirowa.

Przeszedł ją tak silny dreszcz, że miała ochotę się położyć. Silnik diesla. Podobne montowała w czołgach. „Dzisiaj zrobiłam dla ciebie cały czołg!" Pamięta coś jeszcze czy nie?

Nie, nic. Od tamtej pory wydarzyło się tak dużo, że nie pamiętała nawet, jakim tramwajem wracała do domu.

Jedynką!

Tramwajem numer jeden. Wsiadali i zaraz wysiadali, żeby pospacerować, żeby lekko potrącając się ramionami, porozmawiać o wojnie i o Ameryce.

Silnik diesla.

Było jej zimno. Naciągnęła czapkę na uszy.

Zimno. Zimno? Silniki diesla źle odpalają na mrozie. Ile cylindrów? Policzyła: sześć. Sześć cylindrów, sześć tłoków, sześć komór spalania. Komory spalania były za zimne i nie mogło dojść do zapłonu paliwa. W każdej powinien tkwić specjalny żarnik, tak zwana świeca żarowa. Tylko gdzie? Z boku. Tak, z boku.

Znalazła ich sześć. Musiała je podgrzać, w przeciwnym razie powietrze sprężane podczas ruchu tłoka nie osiągnie wymaganej temperatury pięciuset sześćdziesięciu stopni Celsjusza.

Rozejrzała się. Kilka kroków dalej leżało pięciu martwych żołnierzy. Włożyła rękę do małej kieszeni plecaka i wyjęła zapalniczkę. Aleksander też trzymał swoją w plecaku; w Łazariewie często przypalała mu papierosa. Pstryk! Przez kilkanaście sekund podgrzewała pierwszą świecę. Potem drugą. Potem trzecią. Zanim podgrzała szóstą, pierwsza zdążyła już zupełnie ostygnąć. Tatiana miała tego dość. Zaciskając zęby i postękując, odłamała gałąź brzozy i spróbowała ją podpalić. Na próżno. Gałąź była mokra od śniegu.

Nie, to nie to. Już wiedziała, czego szuka, i znalazła to za furgonetką, na ciele jednego z martwych Finów: miotacz ognia. Z mroczną twarzą zarzuciła na plecy zbiornik z paliwem, zapięła szelki, chwyciła prowadnicę lewą ręką, wyjęła zatyczkę, pstryknęła zapalniczką i pociągnęła za spust.

Przez pół sekundy nie działo się nic, a potem z dyszy buchnął strumień ognia. Odrzut był tak silny, że Tatiana omal nie upadła. Omal. Zaparła się nogami o zbity śnieg i wytrzymała.

Podeszła do furgonetki i skierowała płomień na silnik. Odczekała chwilę i ponownie zwolniła spust. Wszystko razem trwało może trzydzieści sekund, chociaż nie była tego pewna. W końcu opuściła dźwignię zamykającą dopływ paliwa i płomień zgasł. Rozpięła szelki, zdjęła z pleców zbiornik, wsiadła do szoferki i przekręciła kluczyk. Silnik kichnął i zaskoczył. Tania wcisnęła pedał sprzęgła, wrzuciła jedynkę i dodała gazu. Samochód szarpnął i ruszył. Powoli przejechała przez granicę: musiała wrócić po Sayersa.

Wciągnięcie doktora do furgonetki było ponad jej siły.

Ponad, ale niewiele ponad.

Gdy skończyła, jej wzrok padł na wielki czerwony krzyż na plandece dżipa.

W bucie Dmitrija znalazła nóż. Na wszelki wypadek zabrała też jego granaty. Potem starannie wycięła krzyż z plandeki. Chciała przymocować go do poszycia fińskiej

furgonetki, lecz nie miała pojęcia czym. Słysząc jęk Sayersa, przypomniała sobie o apteczce. Z obojętną determinacją przeszła na tył samochodu, rozcięła mu kurtkę, podłączyła pojemnik z plazmą i obejrzała brudną, zaognioną ranę w ramieniu. Doktor miał rozpalone czoło i majaczył. Oczyściła ranę rozcieńczoną jodyną i opatrzyła ją gazą. Następnie z posępną satysfakcją polała sobie jodyną policzek i przez kilka minut mocno uciskała go zwiniętym bandażem. Miała wrażenie, że w skórze wciąż tkwią odłamki szkła. Żałowała, że nie ma jodyny stężonej, i zastanawiała się, czy policzek trzeba będzie szyć. Doszła do wniosku, że na pewno.

Szwy. Szycie.

W apteczce była igła.

Wyjęła ją, wysiadła i stanąwszy na palcach, starannie przyszyła krzyż do brezentu furgonetki. Cienka nić kilka razy pękała, lecz Tatiana się tym nie przejmowała. Wiedziała, że krzyż wytrzyma, przynajmniej do Helsinek.

Skończywszy, usiadła za kierownicą, zerknęła na Sayersa i spytała:

– Gotowy?

A potem przejechała przez granicę, zostawiając za sobą martwego Dmitrija.

Jechała leśną drogą przez moczary. Prowadziła bardzo niepewnie: kurczowo zaciskała ręce na wielkiej kierownicy, z trudem sięgała nogami pedałów. Drogę z Lisiego Nosa do Wyborga znalazła bez kłopotu – innej po prostu nie było. Musiała tylko jechać na zachód, a zachód znalazła, obserwując blade, marcowe słońce.

Na przedmieściach Wyborga zobaczyła wojskowy posterunek. Okazała im dokumenty, spytała o benzynę i o drogę do Helsinek. Chyba pytali ją o ranę na twarzy, gdyż kilka razy wskazywali policzek, ale ponieważ nie znała fińskiego, po prostu pojechała dalej. Szosa była szeroka, gładko brukowana i zanim cztery godziny później dotarła do Helsinek, przystawała jeszcze osiem razy, żeby okazywać dokumenty patrolom i tłumaczyć im, że wiezie ciężko rannego lekarza.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła w stolicy Finlandii, był jasno oświetlony kościół św. Mikołaja na wzgórzu nad portem. Przystanęła i spytała o drogę do Helsingin Yliopistollinen Keskussairaala, do szpitala uniwersyteckiego. Umiała powiedzieć to po fińsku, ale nie rozumiała, co do niej mówią, i dopiero za piątym razem znalazła kogoś, kto znał angielski. Okazało się, że szpital jest tuż za kościołem. Trafiła bez trudu.

Doktor Sayers pracował w Helsinkach od wojny czterdziestego roku i wszyscy pracownicy szpitala znali go i lubili. Pielęgniarka przyniosła nosze i zasypała Tatianę pytaniami po angielsku i fińsku, których ta w większości nie rozumiała. Po rosyjsku nie mogły się dogadać.

W szpitalu poznała kolejnego lekarza z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Amerykanina nazwiskiem Sam Leavitt. Leavitt spojrzał na jej policzek, oznajmił, że trzeba szyć, i zaproponował środek znieczulający. Tatiana odmówiła.

– Niech pan szyje. Śmiało.

– Muszę założyć co najmniej dziesięć szwów.

– Tylko dziesięć? – spytała.

On szył, ona siedziała bez ruchu na szpitalnym łóżku. Nawet nie jęknęła. Skończywszy, zaproponował antybiotyk, środki przeciwbólowe i kolację. Przyjęła tylko antybiotyk. Pokazała mu zakrwawiony, mocno spuchnięty język i wyjaśniła, że nie może jeść.

– Jutro – szepnęła. – Jutro będzie lepiej.

Pielęgniarka przyniosła Tatianie nowy obszerny uniform, który ukrył jej brzuch, ciepłe

pończochy i flanelowy podkoszulek. Zaproponowała również, że odda do prania jej ubranie. Wzięła brudny fartuch i wełnianą kurtkę. Opaskę Czerwonego Krzyża Tania zatrzymała.

Potem położyła się na podłodze przy łóżku Sayersa i leżała tam, dopóki pielęgniarka z nocnej zmiany nie zaprowadziła jej do sąsiedniego pokoju. Tatiana odczekała, aż pielęgniarka wyjdzie, po czym wróciła do separatki Sayersa.

Rano jej się polepszyło, jemu pogorszyło. Przyniesiono jej stary fartuch, bielutki i nakrochmalony, a także śniadanie. Zdołała trochę zjeść. Cały dzień przesiedziała przy łóżku Sayersa, spoglądając na zamarzniętą Zatokę, którą widać było za murowanymi domami i nagimi drzewami. Po południu przyszedł doktor Leavitt, żeby sprawdzić szwy. Prosił ją, żeby odpoczęła, lecz Tania stanowczo odmówiła.

– Ale dlaczego? Dlaczego się pani nie położy?

Dlaczego? – pomyślała. Bo taką mam pracę. Siedzę przy umierających.

W nocy Sayersowi jeszcze bardziej się pogorszyło. Miał wysoką gorączkę – prawie czterdzieści dwa stopnie – był rozpalony i zlany potem. Antybiotyk nie pomagał. Tatiana nie rozumiała, co się z nim dzieje. Pragnęła tylko, żeby odzyskał przytomność. Usnęła na krześle, z głową na łóżku.

W środku nocy obudziła się z przeczuciem, że doktor nie przeżyje.

Ten oddech. Sayers charczał jak umierający człowiek. Wzięła go za rękę, drugą rękę położyła mu na czole i po rosyjsku i po angielsku szeptała mu o Ameryce i o tym, co będzie robił, gdy wyzdrowieje. Otworzył oczy i słabym głosem powiedział, że mu zimno. Gdy przykryła go drugim kocem, ścisnął jej dłoń.

– Tak mi przykro, Taniu – wychrypiał, z trudem łapiąc oddech.

– Nie, to mnie jest przykro – odrzekła. – Panie doktorze, Matthew. – Łamał jej się głos. – Błagam, proszę mi powiedzieć, co się stało z moim mężem. Dmitrij go zdradził? Aresztowano go? Uciekliśmy, jesteśmy w Helsinkach. Już tam nie wrócę. Proszę o tak mało. – Złożyła głowę na jego ramieniu. – Wystarczy mi odrobina pocieszenia.

– Jedź do… Ameryki. – Sayers mówił coraz ciszej, coraz niewyraźniej. – Pociesz jego.

– A pan niech pocieszy mnie. Prawdą. Widział go pan w tym jeziorze?

Sayers spojrzał na nią bez słowa, z wyrazem zrozumienia i niedowierzania na twarzy, po czym powoli zamknął oczy. Zadrżały mu palce, pierś uniosła się, opadła i znieruchomiała.

Tatiana trzymała go za rękę do samego rana.

Pielęgniarka wyprowadziła ją łagodnie na korytarz, objęła ją i powiedziała:

– Skarbie, możesz oddać im całe serce, a oni i tak będą umierali. To wojna. Wszystkich nie uratujemy.

Idąc na obchód, Sam Leavitt spytał ją, co teraz zamierza. Powiedziała, że musi wrócić do Ameryki.

– Wrócić? – powtórzył Leavitt. – Proszę posłuchać. Nie wiem, gdzie Matthew panią znalazł. Mówi pani niezłą angielszczyzną, ale jest to angielszczyzna z silnym akcentem. Naprawdę jest pani Amerykanką?

Tatiana zbladła i kiwnęła głową.

– Ma pani paszport? Bez paszportu pani nie wróci.

Patrzyła na niego bez słowa.

– Poza tym to bardzo niebezpieczne. Niemcy bezlitośnie bombardują Bałtyk.

– Wiem.

– Codziennie idzie na dno kilka okrętów.

– Wiem.

– Może zostanie tu pani do kwietnia, dopóki lód nie stopnieje? Rana musi się zagoić, trzeba zdjąć szwy. No i przydałby się nam ktoś do pomocy. Proszę zostać w Helsinkach.

Tania pokręciła głową.

– Przecież musi pani zaczekać na paszport. Mogę zaprowadzić panią do naszego konsulatu. Wystawienie nowych dokumentów potrwa co najmniej miesiąc. Do tego czasu Bałtyk odmarznie. Podróż do Stanów jest teraz zbyt niebezpieczna.

Tatiana wiedziała, że jeśli ci z konsulatu zaczną grzebać w archiwach, szybko odkryją, że Jane Barrington z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża nie jest prawdziwą Jane Barrington. Aleksander mówił, że nie mogą zostać w Helsinkach ani sekundy – NKWD miało długie ręce – że muszą dotrzeć do Sztokholmu. Ponownie pokręciła głową.

Wyszła ze szpitala z plecakiem, z podręczną torbą i z dokumentami. Obeszła port, usiadła na ławce i długo obserwowała straganiarzy, którzy spakowawszy towar na wózki, zmywali długie stoły i zamiatali skwer.

Ogarnął ją kojący spokój.

W górze krzyczały mewy.

Siedziała tam kilka godzin, a gdy zapadła noc, wstała i ruszyła do portu, mijając po drodze wąską uliczkę prowadzącą do kościoła św. Mikołaja. Ledwo spojrzała w tamtą stronę.

Chodziła, błądziła, dopóki nie zobaczyła kilku ciężarówek z niebiesko-białymi szwedzkimi flagami i sągów drewna na ziemi. Port żył. Noc była najlepszą porą na przewóz towarów przez Bałtyk: za dnia ciężarówki za bardzo rzucały się w oczy. Niemcy zwykle oszczędzali okręty handlowe, ale ponieważ czasami je bombardowali, Szwedzi zaczęli wysyłać je pod obstawą dobrze uzbrojonych okrętów marynarki wojennej. Wiedziała to od Aleksandra.

Wiedziała również, że ciężarówki jadą do Norwegii, ponieważ jeden z robotników wypowiedział słowo Stokgolm, co brzmiało jak Sztokholm.

Stała chwilę, obserwując załadunek. Bała się? Nie. Już nie. Podeszła do jednego z kierowców, pokazała mu opaskę na ramieniu, wyjaśniła po angielsku, że jest pielęgniarką, że musi dostać się do Sztokholmu, i zaproponowała mu sto dolarów za przewiezienie przez Zatokę Botnicką. Kierowca nie zrozumiał z tego ani słowa, ale chętnie przyjął pieniądze.

Nie znał ani angielskiego, ani rosyjskiego, dlatego prawie ze sobą nie rozmawiali, co Tatianie bardzo odpowiadało. W drodze przez ciemność i bezkresną biel, rozświetlaną jedynie gwiazdami i reflektorami jadących w konwoju ciężarówek, wspominała ich pierwszy pocałunek. Byli wtedy w Ludze, w lesie, i bojąc się, że Aleksander pozna, iż nigdy dotąd nikt jej nie całował, postanowiła, że jeśli ją o to spyta, powie mu, że tak, oczywiście – nie chciała, żeby wziął ją za niedoświadczoną gąskę. Ale myślała tak tylko przez kilka sekund, gdyż podniecona zachłannością jego ust i ogarniającą ją namiętnością, zupełnie zapomniała o braku doświadczenia.

Na wspomnieniach z Ługi upłynęła większa część podróży. Potem Tatiana zasnęła.

Nie wiedziała, jak długo jechali, w każdym razie przez kilka ostatnich godzin meandrowali po lodzie między wysepkami naprzeciwko Sztokholmu.

– *Tack* – powiedziała, gdy zatrzymali się w porcie. – *Tack sa mycket*. – Dziękuję. To Aleksander ją tego nauczył.

Ostrożnie przeszła kilka metrów po lodzie, pokonała kilka granitowych stopni

i znalazła się na brukowanej promenadzie. Jestem w Sztokholmie, pomyślała. Jestem prawie wolna. Niespiesznie krążyła opustoszałymi ulicami. Było bardzo wcześnie, za wcześnie na otwarcie sklepów. Jaki to dzisiaj dzień? Nie wiedziała. Niedaleko doków znalazła otwartą piekarnię: półki uginały się od białego chleba. Pokazała sprzedawczyni dolary. Ta pokręciła głową i powiedziała coś po szwedzku.

– *Bank. Pengar dollars.*

Tatiana ruszyła do drzwi. Kobieta zawołała ją, ale Tania przestraszyła się jej piskliwego głosu i przyspieszyła kroku. Sprzedawczyni wybiegła za nią aż na ulicę i dała jej bochenek chleba z chrupiącą skórką, jakiego Tatiana nigdy dotąd nie widziała. Bochenek chleba i kubek czarnej kawy.

– *Tack* – powiedziała Tania. – *Tack sa mycket.*

– *Varsagod* – odrzekła tamta, ponownie odmawiając przyjęcia pieniędzy.

Tatiana usiadła na ławce z widokiem na Zatokę i sierp Bałtyku, zjadła niemal cały chleb i wypiła kawę. Wstawał błękitny świt. Gdzieś hen, daleko za wschodnimi lodami leżał oblężony Leningrad, a jeszcze dalej Łazariewo. Na obszarze między Leningradem i Łazariewem wciąż trwała wojna. I rządził towarzysz Stalin.

Potem wędrowała ulicami, aż znalazła bank, gdzie wymieniła amerykańskie dolary. Za szwedzkie korony kupiła biały chleb. Znalazła również sklep, w którym sprzedawano ser, a właściwie kilkanaście rodzajów sera, ale najlepsze było to, że niedaleko portu odkryła kawiarnię, w której podano jej śniadanie. I to jakie! Owsiankę, chleb, jajka, a do jajek bekon! Bekon smakował jej tak bardzo, że poprosiła o trzy dokładki i postanowiła, że od tej pory niczego innego nie będzie jadła.

Dzień bardzo się dłużył. Nie wiedziała, co będzie z noclegiem. Aleksander mówił, że w Sztokholmie są hotele, w których można wynająć pokój bez okazywania paszportu. Tak samo jak w Polsce. Wtedy mu nie wierzyła, ale okazało się, że jak zwykle miał rację.

Pokój, który bez trudu wynajęła, był cieplutki, miał łóżko i piękny widok na port. Mało tego: wraz z pokojem dostała własną łazienkę z tryskającym wodą prysznicem, o którym opowiadał jej kiedyś Szura. Stała pod nim chyba godzinę.

A potem dwadzieścia cztery godziny spała.

Wyjazd ze Sztokholmu zajął jej ponad dwa miesiące.

Siedemdziesiąt sześć dni przesiedziała na portowej ławce, spoglądając w kierunku Związku Radzieckiego, a nad jej głową krążyły mewy.

Siedemdziesiąt sześć dni…

Zamierzali tu zostać z Aleksandrem do wiosny, dopóki amerykański departament stanu nie wyrobi im dokumentów. Dwudziestego dziewiątego maja mieli obchodzić jego dwudzieste czwarte urodziny.

Wraz z nadejściem wiosny w surowym Sztokholmie zrobiło się ładniej i przyjemniej. Tatiana kupowała żółte tulipany, jadła świeże owoce prosto z ulicznych straganów i mięso: wędzoną szynkę, wieprzowinę i kiełbasę. Jadła też lody. Policzek jej się zagoił, brzuch urósł. Zastanawiała się, czy tam nie zostać, czy nie poszukać pracy w szpitalu i nie urodzić dziecka w Szwecji. Podobały jej się tulipany i gorący prysznic.

Lecz portowe mewy wciąż krzyczały i łkały.

W Szwedzkiej Świątyni Chwały nie była ani razu.

W końcu pojechała pociągiem do Göteborga, a tam bez trudu dostała się na szwedzki statek handlowy, wiozący artykuły papiernicze do Anglii. Podobnie jak podczas przeprawy z Finlandii do Szwecji, okręt płynął w ciężko uzbrojonym konwoju. Okupujący Norwegię Niemcy często wypuszczali się nad Morze Północne, by atakować

i zatapiać statki wrogich bander, ale Szwecja była neutralna, a wraz ze Szwecją Tania.

Do Harwich dotarli bez żadnych przygód. Z Harwich pojechała do Liverpoolu. Jechała pociągiem, w którym były niezwykle wygodne fotele. Z czystej ciekawości kupiła bilet pierwszej klasy: oparcia miały białe zagłówki. Takim pociągiem pojechałabym chętnie do Łazariewa po pogrzebie Daszy, pomyślała.

W wilgotnym, przemysłowym Liverpoolu spędziła aż dwa tygodnie, by w końcu odkryć, że okręt linii oceanicznej White Star kursuje do Nowego Jorku tylko raz w miesiącu i że nie ma mowy, by weszła na pokład bez amerykańskiej wizy. Kupiła bilet drugiej klasy. Gdy podoficer przy trapie poprosił ją o dokumenty, pokazała mu papiery podróżne Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Powiedział, że to nie wystarczy, że potrzebna jest wiza. Odrzekła, że wizy nie ma, że nie ma ani wizy, ani paszportu. Wybuchnął śmiechem.

– W takim razie nie wejdziesz na pokład, skarbeńku.

Tatiana zakaszlała.

– Nie mam wizy i paszportu, ale jeśli mnie pan przepuści, dam panu pięćset dolarów. – Wiedziała, że to jego roczny żołd.

Podoficer bez wahania wziął pieniądze i zaprowadził ją do małej, ciasnej kajuty pod linią wodną. Położyła się na górnej koi; Aleksander mówił jej, że w koszarach też śpi na górnej. Nie czuła się najlepiej. Miała na sobie nowy, obszerniejszy uniform, ten z Helsinek; stary już nie pasował, ale nawet tego nie mogła zapiąć na brzuchu.

W Sztokholmie była pralnia, w której mieli coś, co nazywało się *tvatt maskins* i *tork tumlares*. Wrzucała do otworu pieniądze i pół godziny później odbierała czyste, suche ubranie. Bez stania w zimnej wodzie, bez tary i mydła. Nie musiała nic robić. Po prostu siedziała i patrzyła na pracującą maszynę.

I właśnie wtedy przypomniała sobie, kiedy kochała się z Aleksandrem ostatni raz. Wychodził o szóstej wieczorem, a skończyli się kochać o piątej pięćdziesiąt pięć. Zdążył się tylko ubrać, pocałować ją i wypadł na korytarz. Kiedy się kochali, leżał na niej. Cały czas obserwowała jego twarz, obejmując go za szyję i błagając, żeby jeszcze nie kończył – wiedziała, że zaraz potem będzie musiał wyjść. Kochać. Jak to jest po szwedzku?

Hallar Av.

Hallar Av Aleksander.

Cieszyła się, że widziała wtedy jego twarz.

Podróż do Nowego Jorku trwała dziesięć mdłych i rozkołysanych dni. Był koniec czerwca. Dziewiętnaście lat skończyła na środku Atlantyku, pod pokładem okrętu linii oceanicznych White Star.

Coraz bardziej kaszlała. Często myślała o Orbelim.

„Orbeli. Pamiętaj”.

A może powiedział: „Orbeli. Pamiętasz?”.

Kaszląc krwią, zebrała resztki sił, żeby zadać sobie pytanie, czy wiedząc, że go aresztują, i nie mogąc jej o tym powiedzieć – nigdzie by bez niego nie pojechała – Aleksander zacisnąłby zęby i powiedział jej nieprawdę.

Tak. Znała go, wiedziała, że by skłamał. Skłamałby i na pożegnanie podarowałby jej to jedno słowo.

Orbeli.

Ból w płucach był tak silny, że rozrywał mostek.

Kiedy zacumowali, nie miała siły wstać. Chciała, ale po prostu nie mogła. Majaczyła, gwałtownie kaszlała, miała wrażenie, że coś z niej wycieka.

Do kajuty weszło dwóch ubranych na biało mężczyzn. Słyszała ich głosy.

– No nie – mruknął ten niższy. – Znowu ktoś na gapę.

– Czekaj. Ma na sobie mundur Czerwonego Krzyża – odrzekł ten wyższy.

– Pewnie go ukradła. Jest na nią za mały, nie zapina się na brzuchu. Chodźmy. Zawiadomię tych z imigracji. Musimy opróżnić statek.

Tatiana jęknęła. Mężczyźni zawrócili. Ten wyższy wytrzeszczył oczy.

– Chris, ona chyba rodzi.

– Co?

– Ona rodzi. – Mężczyzna dotknął prześcieradła na koi. – Wody odeszły.

Chris przytknął jej rękę do czoła.

– Rozpalone. Słyszysz, jak oddycha? Niepotrzebne mi słuchawki. Ona ma gruźlicę. Boże, który to już przypadek? Edward, dajmy sobie spokój. Mamy kupę roboty.

Edward położył jej rękę na brzuchu.

– Jest bardzo chora. Proszę pani, mówi pani po angielsku?

Tatiana nie odpowiedziała.

– A widzisz? – wykrzyknął Chris.

– Może ma jakieś dokumenty? Proszę pani, ma pani paszport?

Tatiana milczała.

– Idę – powiedział Chris. – Nic tu po mnie.

– Ona jest chora i zaraz urodzi, a ty chcesz ją zostawić? Co z ciebie za lekarz?

– Biedny i zmęczony. Płacą nam tyle, że ledwo starcza mi na utrzymanie. Dokąd chcesz ją zabrać?

– Na kwarantannę na Ellis Island, do szpitala. Jest jeszcze miejsce. Tam ją wyleczą.

– Z gruźlicy?

– To gruźlica, nie rak.

– Chryste, przecież to kolejna emigrantka! Skąd ona jest? Spójrz na nią. Gdyby była tylko chora, powiedziałbym: dobra, bierzemy ją. Ale ona urodzi dziecko w Stanach, i klops! Będzie miała prawo tu zostać. Daj spokój. Odbierzmy poród tutaj, na statku, żeby nie mogła rościć sobie prawa do obywatelstwa, a potem przewieziemy ją na Ellis. Kiedy tylko dojdzie do siebie, władze ją deportują. I dobrze. Wszyscy myślą, że można tu przyjechać bez pozwolenia. Dość tego. Zobacz tylko, ilu ich tu jest. A kiedy skończy się ta przeklęta wojna, będzie ich jeszcze więcej. Cała Europa zechce…

– Niby czego zechce Europa, doktorze Pandolfi?

– Łatwo panu osądzać innych, doktorze Ludlow.

– Moja rodzina mieszka tu od czasów wojen francusko-indiańskich. Nikogo nie osądzam.

Chris machnął ręką i wyszedł. Wyszedł, zawrócił, zajrzał do kajuty i powiedział:

– Chodź. Potem tu wrócimy. Ona jeszcze nie rodzi. Za spokojnie leży. No?

Edward ruszył do drzwi i w tej samej chwili Tatiana cicho jęknęła. Edward przystanął.

– Proszę pani…

Tatiana podniosła rękę, odnalazła jego twarz i dotknęła policzka.

– Proszę mi pomóc – szepnęła po angielsku. – Ja rodzę. Pomóżcie mi.

Edward Ludlow znalazł nosze i wraz z niechętnym, zrzędliwym Chrisem Pandolfim zaniósł Tatianę na prom, którym popłynęli na Ellis Island. Szczyt sławy wyspa miała już za sobą i mieszczący się tam szpital służył obecnie jako ośrodek detencyjno-kwarantannowy dla imigrantów i uchodźców przybywających do Stanów Zjednoczonych.

Tatiana widziała jak przez mgłę – okna promu były bardzo brudne – lecz mimo to dostrzegła silne ramię wznoszące pochodnię ku słonecznemu niebu, dźwigające latarnię oświetlającą złote wrota.

Zamknęła oczy.

Zanieśli ją do małego, po spartańsku urządzonego pokoju, położyli na czyściutkim łóżku i wezwali pielęgniarkę, która ją rozebrała. Edward natychmiast przystąpił do badania.

– Widać główkę – stwierdził zaskoczony. – Nie czuje pani?

Tatiana prawie się nie poruszała, prawie nie oddychała. Gdy główka dziecka wyszła na zewnątrz, przeszył ją tępy, stłumiony ból. Gwałtownie drgnęła i zacisnęła zęby.

Edward odebrał poród.

– Halo? – rzucił z uśmiechem. – Słyszy mnie pani? Niech pani spojrzy! Ma pani ślicznego chłopczyka! Jaki wielki! – Podszedł bliżej. – Jakim cudem tak drobna kobieta donosiła takiego kolosa? Spójrz, Brenda. Olbrzym, co? – Brenda owinęła noworodka białym kocykiem i położyła go obok Tatiany.

– Za wcześnie się urodził – wyszeptała Tania, ostrożnie dotykając synka.

– Za wcześnie? – Edward roześmiał się głośno. – Raczej w samą porę. Gdyby urodziła pani później, przyszedłby na świat… Skąd pani jest?

– Ze Związku Radzieckiego – wymamrotała Tatiana.

– O Chryste… Jak pani stamtąd uciekła?

– Nie uwierzyłby pan, gdybym panu opowiedziała. – Tania zamknęła oczy.

– Nieważne – odrzekł wesoło Edward. – Pani syn jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. – Usiadł na krześle przy łóżku. – To chyba dobrze, prawda? Tego pani chciała?

– Tak – jęknęła Tatiana, tuląc synka do rozpalonej twarzy. – Tego chciałam. – Trudno jej było oddychać.

– Ma pani gruźlicę. Wiem, że panią boli, ale wszystko będzie dobrze. Tamto życie już nie wróci.

– Tego się właśnie boję – szepnęła Tatiana.

– Nie, nie, to bardzo dobrze! – wykrzyknął Edward. – Poleży pani w szpitalu, wyzdrowieje pani… Skąd pani ma opaskę Czerwonego Krzyża? Jest pani pielęgniarką?

– Tak.

– Świetnie! Ma pani kwalifikacje, dostanie pani pracę. W przeciwieństwie do większości tych, którzy tu przyjeżdżają, mówi pani po angielsku. – Posłał jej wesoły uśmiech. – Proszę mi zaufać, oddzielę panią od plew. Na pewno pani sobie poradzi. No dobrze. A teraz coś zjemy. Mam kanapki z indykiem…

– Z czym?

– Gwarantuję, że będą pani smakowały. Zaraz przyniosę.

– Jest pan dobrym lekarzem. Doktor Edward Ludlow, prawda?

– Tak.

– Edwardzie…

– Edwardzie? – wykrzyknęła oburzona Brenda. – „Panie doktorze”!

– Siostro! Niech pacjentka mówi do mnie, jak chce. Co to panią obchodzi?

Poirytowana Brenda mruknęła coś pod nosem i wyszła. Edward wziął mały ręcznik i otarł Tatianie łzy.

– Wiem, że jest pani smutno. Że się pani boi. Ale wszystko się ułoży. Obiecuję.

– Wy, Amerykanie, lubicie obiecywać – wyszeptała Tatiana ze zbolałymi oczami.

– Tak, i zawsze dotrzymujemy obietnic. Przyślę tu Vikki, pielęgniarkę ze społecznego wydziału zdrowia. Jeśli będzie trochę gderać, niech się pani nie przejmuje. Pewnie ma zły dzień, ale to dusza, nie człowiek. Przyniesie świadectwo urodzenia. – Edward spojrzał na dziecko. – Śliczny jest. I jak dużo ma włosów. Widziała pani? Prawdziwy cud. Wybrała już pani imię?

– Tak – odrzekła Tatiana, łkając we włosy syna. – Będzie nosił imię swego ojca. Anthony Alexander Barrington.

Żołnierzu! Tulę twoją głowę, pieszczę twoją twarz, całuję cię w ukochane usta i szepczę do ciebie poprzez morza i lodowate rosyjskie trawy. Ługa, Ładoga, Leningrad, Łazariewo… Aleksandrze, kiedyś mnie niosłeś, teraz ja poniosę ciebie w wieczność.

Przez Finlandię i Szwecję do Ameryki, z wyciągniętą ręką, chwiejnie prę naprzód, a za mną pędzi czarny rumak bez jeźdźca. Pocieszy mnie twoje serce i twój karabin. Twoje serce i karabin będą mą kołyską i grobem.

Łazariewo sączy w duszę krople świtu i księżycowych nocy nad Kamą. Sączy w nią ciebie. Kiedy będziesz mnie szukał, szukaj mnie nad naszą rzeką, gdyż pozostanę tam do końca swoich dni.

– Szura, nie zniosę myśli, że mógłbyś kiedyś umrzeć. – Był wilgotny ranek. Przed chwilą skończyli się kochać i leżeli na kocu przed paleniskiem w chatce. – Że mógłbyś przestać oddychać i odejść z tego świata.

Aleksander spojrzał na nią z uśmiechem.

– Mnie też niezbyt się to podoba. Ale ja nie umrę. Sama tak powiedziałaś. Powiedziałaś, że dane mi jest dokonać wielkich czynów.

– Bo tak jest. Dlatego lepiej nie umieraj, żołnierzu, bo nie mogłabym bez ciebie żyć. – Patrzyła mu w oczy. Trzymała rękę na jego piersi. Czuła, jak bije mu serce.

Ucałował piegi na jej nosku.

– Nie mogłabyś beze mnie żyć? Ty? Królowa gwiazd znad Ilmenu? – Z uśmiechem pokręcił głową. – Znalazłabyś jakiś sposób, żyłabyś za nas dwoje…

On szeptał, a wezbrana Kama toczyła swe wody z Uralu przez śpiące pośród sosen Lazariewo. Tam, gdzie byli niegdyś młodzi i zakochani.

1 Tytuły części i rozdziałów zaczerpnięte z „Jeźdźca miedzianego” Aleksandra Puszkina; tu w przekładzie Juliana Tuwima (przyp. red.).
2 Przekład Leona Susida.
3 Pułk ten wyróżnił się w czasie wojny z Napoleonem w 1812 r.; koszary wzniesiono wg projektu W. Stasowa w latach 1817 – I820. W istocie jest to potężny budynek, otaczający prawie całą zachodnią część Pola Marsowego (przyp. red.).
4 Przylądek i przystań w Zatoce Fińskiej na północ od Kronsztadu (przyp. red.).
5 30 czerwca 1941 r. Rada Wojenna Frontu Północnego ogłosiła zaciąg do Leningradzkiej Armii Pospolitego Ruszenia, na której czele stanął generał Subbotin (przyp. red.).
6 Przekład Juliana Tuwima.
7 Przekład Juliana Tuwima.
8 Rodzaj rewolweru bębenkowego, produkowanego w Belgii, w Rosji od 1893 r. (przyp. red.).
9 Wahadło Foucaulta (przyp. red.).
10 W rzeczywistości na wieżę soboru Izaaka prowadzą 562 stopnie (przyp. red.).
11 Szpalerna – stare carskie więzienie w Leningradzie na ulicy Szpalernej (przyp. red.).
12 Wielki Dom (Bolszoj dom) – wielkie więzienie śledcze NKWD w Leningradzie na Prospekcie Litiejnym (przyp. red.).
13 Biblia Gdańska, II Ks. Samuela, 19, 1.
14 Przełożyła Ludmiła Marjańska.
15 Dawna nazwa wyspy z Twierdzą Szlisselburską (przyp. red.).
16 W tym okresie nie używano jeszcze szamponu – zwłaszcza w ZSRR (przyp. red.).
17 Nieprzyzwoita gra słów; mowa o działaczce ruchu robotniczego Dolores Ibarruri (przyp. red.).
18 Biblia Gdańska, Księga Psalmów.
19 Przełożyła Ludmiła Marjańska.
20 Fragmenty utworów w przekładzie Juliana Tuwima.
21 Przekład Ewy Rojewskiej-Olejarczuk.
22 Przekład Juliana Tuwima.
23 Przekład Stanisława Barańczaka.
24 Pomyłka autorki: odchodząc z Łazariewa, Aleksander zostawił obrączkę Tani (przyp. red.).
25 Przekład Juliana Tuwima.
26 Biblia Gdańska, Księga kaznodziei Salomona, 4, 10.
27 Josif Orbeli, akademik radziecki, kustosz Ermitażu, dzięki któremu ocalała większość muzealnych zbiorów. Wywiezione na Ural, po wojnie powróciły do Leningradu (przyp. tłum.).
28 Biblia Gdańska, Księga Psalmów, 91, 5-7.